

NIEWIERNI

VINCENT V. SEVERSKI

Kontynuacja bestsellerowej powieści szpiegowskiej *Nielegalni*.



Ali-Baba

Vincent V. Severski

NIEWIERNI

Wydawnictwo Czarna Owca
2012

UWAGA !!!

W książce po rozdziale 13 następuje rozdział 15, ale jest to błąd wydawcy .

Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa nie wyróżniała się tego roku niczym specjalnym. Może tylko pogoda była ładniejsza i zrobiło się bardzo ciepło, ale dla Marii Krynickiej to i tak nie miało większego znaczenia.

Po powrocie z kościoła jak zwykle wzięła się do szykowania obiadu. Jej mąż Marian, od lat bez pracy, zaległ z butelką piwa w dłoni przed telewizorem. Z drugiego pokoju dochodziły głosy chłopca i dziewczynki walczących o dostęp do komputera. Całe mieszkanie z ciemną kuchnią miało ledwie czterdzieści metrów kwadratowych, a sprawiało wrażenie jeszcze mniejszego. Tak zostało zaprojektowane w latach sześćdziesiątych.

Zanim Maria Krynicka przygotowała obiad, Marian zdążył już wypić trzy piwa i wypalić pięć papierosów. Nie usłyszała, jak zachrząściła zakrętka od dwusetki żołądkowej gorzkiej schowanej pod starym fotelem przykrytym narzutą. Po chwili z balkonu drugiego piętra domu przy ulicy Orzyckiej w Warszawie poszybowała w krzaki pusta buteleczka.

Papierosów i piwa Krynicki używał w nadmiarze kosztem dwójki dzieci. I to właśnie najbardziej bolało Marię. Kiedyś próbowała protestować, walczyć, ale pięści Mariana szybko kończyły dyskusję.

Odkąd dostała pracę sprzątaczką w hotelu Marriott, nie mogła sobie pozwolić na widoczne sińce, bo to ona utrzymywała dom, Mariana i coraz bardziej wymagające dzieci.

Instynkt samozachowawczy Krynicki miał rozwinięty nadzwyczaj dobrze, ale nie tak dobrze aby hamować popęd seksualny i upodobanie do brutalności. Dlatego Maria wiedziała doskonale, czym jest gwałt połączony z okrucieństwem. Pozbawiona wyboru godziła się na takie życie, czekając nie wiadomo na co. Czasami nawet żal jej było Mariana i szczerze mu współczuła, bo nie mogła inaczej. Brak współczucia to też okrucieństwo – podpowiadał jej ksiądz.

Nie bała się Mariana, bała się konsekwencji, których właściwie nie potrafiła określić. Ale najbardziej bała się pójść do ginekologa, choć organizm od dawna już sygnalizował, że może

być za późno. A może dlatego, że było za późno, uważała, iż nie ma już po co iść do lekarza.

Kiedyś starała się zatrzymywać dzieci w domu, bo tylko w ten sposób mogła uniknąć natarczywości Mariana. Ale z czasem nauczył się wykorzystywać każdą okazję i uznała, że lepiej, by dzieci były wtedy poza domem.

W hotelu pracowała na zmiany, więc przy stałe obecnym w domu mężu jej los był naznaczony cierpieniem, większym, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Z czasem jednak uznała, że muszą być przecież kobiety, które cierpią bardziej od niej. O wiele bardziej! Bo cierpienie nie ma granic – uważała Maria Krynicka wsłuchująca się uważnie w Pismo Święte.

Do pracy szła dopiero w poniedziałek na ósmą rano i od tego dnia, dzięki jej spostrzegawczości i odpowiedzialności, miał się trochę zmienić świat. Ale nie ten w ciasnym mieszkaniu na drugim piętrze przy ulicy Orzyckiej w Warszawie.

Minęło już ponad siedem miesięcy, odkąd wysłał do Zuzy maila z Kijowa. Odpowiedziała mu dopiero po trzech tygodniach. Później przysyłała wiadomości co dwa dni. Przeglądał swoją skrzynkę możliwie często. Ale nie mógł odpisać, bo wokół niego działy się dziwne rzeczy i obawiał się, że może być śledzony przez rosyjską FSB albo Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy. Doskonale wiedział, że rosyjskie służby mają swoje wtyczki w Al-Takfir, ale sprawa, którą miał załatwić, warta była tego ryzyka.

Rozmowy były tajne i spotkania odbywały się za każdym razem gdzie indziej, w różnych wsiach i chutorach, od Symferopola do Jałty, więc Karol nie miał swobodnego dostępu do Internetu i musiał polegać na przygodnych kawiarenkach. Telefonu również nie mógł używać. Numer, który podał Zuzie we Lwowie, był już nieaktualny.

Od rozstania na lwowskim peronie nie mógł przestać o niej myśleć. Jej obraz w oknie pociągu i smutne, oddalające się spojrzenie utkwily w jego pamięci z siłą, jakiej dotąd nie znał.

Chwilami wydawało mu się, że popadł w jakiś obłąd, że to wszystko jest bez sensu. Skłamał przecież, że nazywa się Aleksander Kurtz, i opowiedział jej o sobie zmyślane historie. Zuza poznała kogoś innego, więc jak mógł nawet pomyśleć, że będzie chciała się z nim spotykać, jeżeli się zorientuje, że ją okłamał. Była na tyle inteligentną dziennikarką, że prędzej czy później by się domyśliła, że nie jest tym, za kogo pragnął uchodzić.

Jednak ta na pozór tak oczywista myśl nie mogła zniszczyć marzenia, że mógłby jej wytłumaczyć sens swojej misji. Gdyby zrozumiała, że poświęcił się walce o lepsze jutro, mogłaby się do niego przyłączyć. We dwoje, razem, mieliby większą szansę przybliżyć tę wizję.

Dlatego kiedy wrócił z Krymu do Polski, postanowił przygotować się do tej rozmowy. Najpierw musiał ustalić, gdzie mieszka Zuzanna Wilska.

Karol wynajmował na obrzeżach Iwicznej solidny, murowany

domek z lat siedemdziesiątych. Przeciętny, niewyróżniający się niczym szczególnym, dobrany jednak bardzo starannie, tak by spełniał wszystkie jego nietypowe potrzeby.

Teren posesji i dom były zabezpieczone minikamerami połączonymi z komputerem ukrytym pod podłogą w kuchni. Tam też miał skrytkę, w której trzymał broń, dokumenty, pieniądze, zestaw notebooków, iPhone'ów, BlackBerrych, zdobytych w różnych zakątkach świata. Dom zabezpieczony był dodatkowo ładunkami wybuchowymi.

W garażu Karol trzymał motor Kawasaki KX 450F, na którym regularnie, co tydzień ćwiczył jazdę terenową. Opanował ją w stopniu doskonałym i miał prawo wierzyć, że kiedy po niego przyjdą, to nie broń, nie ładunki wybuchowe, ale właśnie ten motor go uratuje.

Spędzał tutaj ledwie kilka miesięcy w roku, lecz uważał ten dom za swoje miejsce na ziemi, bo czuł się Polakiem.

W domu korzystał z Internetu tylko w sprawach, które nie były związane z jego działalnością w Bazie. Sprawy organizacyjne załatwiał wyłącznie w sieciach WiFi w centrach handlowych.

Nieustannie studiował technologie informatyczne, szczególnie te wojownicze, lecz nie tylko po to, by podnieść własne umiejętności, ale również po to, by nawiązywać kontakty z osobami zatrudnionymi w miejscach, które mogą być przydatne dla Bazy.

Dlatego nie miał najmniejszych trudności ze zdobyciem adresu IP Zuzy Wilskiej, choć zajęło mu to trochę czasu. Jej komputer znajdował się w mieszkaniu na trzecim piętrze przy placu Wilsona 2, nad kinem Wisła.

Wcześniej przejrzał w Internecie wszystkie informacje na temat Zuzanny Wilskiej. Osoby o tym imieniu i nazwisku pojawiały się wielokrotnie, jednak żadna nie pasowała do jej profilu. Nic też nie wyszło, kiedy połączył jej nazwisko z hasłem „Ukraina”. Wydało mu się dziwne, że dziennikarka specjalizująca się w tym temacie nie ma w Internecie żadnych publikacji. Jej nazwisko nie pojawiło się na żadnym blogu, forum ani czacie. Sprawdzał to długo i systematycznie. Zupełnie nic!

Freelancer musi przecież gdzieś istnieć, gdzieś publikować – zastanawiał się aż do chwili, kiedy zrozumiał, że Zuza publikuje pod pseudonimem. Skoro jeździ tak często na Ukrainę, woli pewnie pozostać anonimowa. Ta myśl stała się nagle dla niego tak oczywista, że zaprzestał dalszego śledztwa.

Teraz, gdy znał już jej adres, postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście tam mieszka.

Wielokrotnie wyobrażał sobie, że po prostu dzwoni do jej drzwi, wchodzi z wielkim bukietem kwiatów i bez słowa ją całuje. Od tego momentu wszystko zacznie się od nowa. Im dłużej układał sobie w głowie słowa i myśli, tym mocniej dochodził do przekonania, że ktoś taki jak ona musi go zrozumieć i zaakceptować.

A jeżeli tak się nie stanie?! – myślał z niepokojem i zaraz sam sobie odpowiadał: Nie! Nie... Oszalałeś, człowieku! Nie! Na pewno się zgodzi!

Przesłała mu mailem trzydzieści siedem obszernych wiadomości, w których dawała wyraźne sygnały, że tak właśnie może być, że jej uczucie jest silne i trwałe, a wrażliwość na krzywdę świata nie mniejsza niż u niego. Tyle razy już napisał „Kocham Cię!”, lecz nie mógł się zdobyć na uderzenie w klawisz Enter. Teraz trochę żałował.

Od dwóch miesięcy nie miał od niej żadnej wiadomości i poczuł się zagrożony. Musiał się pospieszyć i jak najszybciej zrobić to, co sobie zaplanował.

Wcześniej, zanim ją poznał, miał chwilami wrażenie, że walka w Bazie przemieniła go w bezdusznego, pozbawionego uczuć wojownika. Zuza tchnęła w niego tak wiele optymizmu, nadziei, że znów poczuł się człowiekiem pełnym życia, rewolucjonistą. Jej aura sprawiła, że powrót Mahdiego stawał się realny i bliski.

Teraz najważniejsze było sprawdzić, czy Zuza jest wolna, czy nie ma przy niej kogoś, czy wciąż mieszka sama. Nawet nie dopuszczał do siebie innej myśli. Wydawała mu się tak irracjonalna, nieprawdopodobna, że chwilami się zastanawiał, czy zamiast sprawdzać wszystko i przygotowywać się jak do akcji bojowej, nie powinien wejść po prostu na trzecie piętro

i zadzwonić do drzwi.

Jednak instynkt wojownika nie pozwalał mu ryzykować życia. Od niego zależało nie tylko powodzenie rewolucji i bezpieczeństwo wielu braci, lecz także coś znacznie ważniejszego.

Na pewno się do mnie przyłączy! Nie będzie miała wyboru, kiedy zrozumie, o co trzeba walczyć! – powtarzał sobie uporczywie i z głębokim przekonaniem, że tak właśnie będzie.

Postanowił jednak, że zanim się z nią spotka, porozmawia z profesorem Ahmedem. Czuł, że odkąd ją poznał, tak mocno zawładnęły nim emocje, że chwilami traci samokontrolę, błądzi i coraz częściej się myli. Uznał więc, że nie powinien sam podejmować decyzji. Nie mógł przecież sprzeniewierzyć się przysiędze. Są sprawy ważniejsze niż życie, śmierć czy nawet miłość.

Do domu wchodziło się od tyłu. Pod wysokimi drzewami stały zaparkowane samochody lokatorów. Była jedenasta rano i Karol miał nadzieję, że Zuzy nie ma w domu. Dla pewności jednak nacisnął na domofonie numer jej mieszkania. Tak jak się spodziewał, odpowiedziało mu milczenie.

O tej porze, w dzień powszedni, prawie każdy ma coś do załatwienia w mieście albo jest w pracy. W domach są tylko emeryci, renciści, bezrobotni, matki z dziećmi, więc wcisnął dowolny numer. Odezwała się starsza kobieta i na hasło „listonosz” otworzyła drzwi klatki numer 2.

Przypiął sobie podrobiony identyfikator z logo PGNiG ze swoim zdjęciem. Wziął duży zeszyt i detektor gazu, który kupił w Internecie, i zadzwonił do drzwi piętro niżej.

Dopiero po trzecim dzwonku otworzył mu nieogolony mężczyzna po czterdziestce, w majtkach i brudnym podkoszulku.

– Dzień dobry panu. Jestem z gazowni. Prowadzimy kontrolę instalacji – pewnym siebie głosem zaczął Karol Hamond. – Można?

– Wchodź pan! – wyrzucił z siebie mężczyzna wraz z alkoholowym odorem.

Karol przeszedł bokiem, bo jedynie tyle mu zostawił miejsca.

Już z przedpokoju było widać, że umeblowanie pochodzi z lat siedemdziesiątych, a ostatni remont robiono tu pewnie jeszcze wcześniej. Mieszkanie składało się z dwóch dużych pokoi i sporej kuchni. Mogło mieć jakieś sześćdziesiąt metrów.

Wszedł do kuchni i włączył detektor gazu przy starej kuchence. Choć miała to być zwykła przykrywka do sprawdzenia rozkładu mieszkania i krótkiej rozmowy, ku jego zaskoczeniu detektor zaczął głośno piszczeć.

– Ma pan silny upływ gazu. To bardzo niebezpieczne! – stwierdził zgodnie z prawdą Karol i bez pytania usiadł przy stole, rozłożył zeszyt i coś w nim zapisał. – Przyślę dzisiaj do pana gazowników, żeby to uszczelnili. Sprawia pan zagrożenie dla wszystkich lokatorów – powiedział i pomyślał, że Zuza nawet nie wie, na jakiej bombie mieszka. – Zrozumiał pan? W przeciwnym razie grozi panu sąd grodzki...

– Dobra! Dobra! – odezwał się nagle mężczyzna. – Załatwimy sprawę, kurwa!

– Nie wie pan, kiedy można zastać tego lokatora nad panem?

– zapytał Karol, wciąż coś pisząc w zeszycie. – Pan tu podpisze!

– powiedział po chwili, dał mężczyźnie długopis i podsunął zeszyt.

– Jaki lokator?! Panie! Dupa, i to jaka! – ożywił się tamten.

– To może przyjdę, jak nie będzie męża – odparł Karol z udawaną ironią.

– Gdzie tam, panie! Sama mieszka! Wysoka blondyna, ale żadnego fiuta z nią nie widziałem... No... tego... łóżko też nie wali po nocy.

– Długo tu mieszka?

– Parę lat... nie pamiętam. Kupiła to mieszkanie ze trzy albo cztery lata temu. I zaraz mi, kurwa, załała całą kuchnię. Tynk odszedł z sufitu. Patrz pan! – Karol spojrział na zagrzybiony sufit. – Potem robiła remont. Wszystko wypierdoliła na śmieci... Ma cipa kasę, ma... Co ja z nią miałem, panie!

– Kiedy ją najlepiej zastać?

– Nie wiem. Często wyjeżdża... wraca raczej późno...

– Dobrze. Dziękuję panu. Niech pan czeka na gazowników!

– Dobra. Dobra – zakończył mężczyzna tym samym tonem,

jakim zaczął.

Karol wyszedł na klatkę schodową z dziwnym uczuciem, że chętnie pchnąłby nożem tego obślinionego pijaka, ale jednocześnie był mu wdzięczny, bo usłyszał to, co chciał, i były to dobre wiadomości. Na tyle dobre, że nie musiał się zastanawiać, dlaczego w tym mieszkaniu zameldowana jest jakaś Sara Kaliska. Można było to łatwo wyjaśnić na sto sposobów. Wiedział o tym aż nadto dobrze.

Następnego dnia o siódmej rano ustawił samochód w miejscu, z którego miał doskonały widok na drzwi klatki numer 2.

Było dosyć ciepło i sucho. Wiedział, że rozpozna ją z łatwością. Jej obraz tkwił w jego pamięci, jakby był utrwalony w miejscu wybranym wyłącznie dla niej.

O siódmej trzydzieści zamknęło się okno sypialni, co oznaczało, że Zuza wkrótce będzie wychodzić. Pomyślał, że jeżeli codziennie wychodzi o tej porze, to z pewnością musi gdzieś pracować i pewno nie jest już freelancerem. Wolał, żeby była wolnym człowiekiem, tak jak mówiła we Lwowie.

Po chwili otworzyły się drzwi i wyszła Zuza. Karol instynktownie pochylił się w fotelu. Rozpoznał ją od razu. Słomkowożłote włosy miała spięte wysoko z tyłu głowy, identycznie jak wtedy, gdy widział ją ostatni raz w oknie pociągu do Kijowa.

Zatrzymała się na moment przed wejściem, jakby chciała się upewnić, jaka jest pogoda. Podniosła kołnierz granatowego żakietu w marynarskim stylu, ze złotymi guzikami. Była w dżinsach i czarnych butach na płaskiej podeszwie. Na ramieniu miała dużą czarną torbę sportową. Kompozycja stroju była trochę męska, dosyć prosta, a jednak dobrana z kobiecym smakiem i stylem, wzmocniona urodą Zuzy i harmonijnymi ruchami jej ciała.

Pamiętał ją trochę inną, w wakacyjnym otoczeniu, ale teraz, gdy patrzył, jak idzie szybkim, pewnym krokiem, a spięte włosy kołyszą się w takt jej ruchów, poczuł, jakby coś ścisnęło go za gardło, jakby niespodziewanie zamarzl i stracił kontrolę nad własnym ciałem. Nigdy wcześniej nie doświadczył podobnego doznania. Ale to było przyjemne.

Potrzebował chwili, by się opanować. Dopiero teraz się zorientował, że Zuza nie będzie jechać samochodem i prawdopodobnie zmierza w kierunku metra albo tramwaju. Postawił kołnierz kurtki, założył okulary i naciągnął głębiej czarną czapkę. Wyskoczył z samochodu, gdy Zuza zniknęła już za zakrętem.

Na placu Wilsona było już sporo porannych przechodniów zmierzających w różnych kierunkach. Jemu jednak się wydawało, że w Warszawie jest teraz tylko ich dwoje.

Weszła do metra. Karol musiał skrócić dystans, ale zachował bezpieczną odległość. Nie był gotowy na przypadkowe spotkanie, nie w takich warunkach.

Kupił bilet w automacie, przeszedł przez bramkę i zobaczył ją stojącą na peronie przy torze w kierunku Centrum. Było dużo ludzi i łatwo mógł się ukryć. Stał na końcu peronu. Rzadko jeździł komunikacją miejską w Warszawie, bo bał się, że ktoś mógłby go rozpoznać.

Zuza stała bliżej początku peronu, zatem gdy wysiądzie, pójdzie do przedniego wyjścia – pomyślał.

Po chwili nadjechał pociąg. Karol odczekał, aż Zuza wejdzie do jednego z pierwszych wagonów, przepuścił wszystkich pasażerów i wsiadł ostatni do końcowego wagonu.

Wysiadł na każdej stacji, przepuszczając pasażerów, i wracał ostatni. Manewr ten wymagał od niego sporo zdecydowania i siły, jednak Karol radził sobie dobrze. Ta prosta technika pozwalała mu kontrolować, czy Zuza nadal jest w pociągu. Wysiadła z tłumem ludzi na stacji Centrum.

Jej jasne włosy prowadziły go bezbłędnie. Był bardzo blisko i wydawało mu się, że ona wyczuje jego obecność, odwróci się i spojrzy prosto na niego.

Gdy wyszli na zewnątrz, zwiększył dystans. Zuza skrzyła w prawo i ruszyła w kierunku Dworca Centralnego.

Widział doskonale, jak przeszła na drugą stronę ulicy Emilii Plater i po chwili zniknęła w jednym z wieżowców. Wszedł za nią wraz z ludźmi spieszącymi do pracy.

Wrócił do domu w Iwicznej i od razu włączył Internet. W budynku, do którego weszła Zuza, było około czterdziestu

instytucji. Skonstatował, że prawdopodobnie musi teraz pracować dla jakiejś firmy handlowej albo konsultingowej. Poczł lekkie rozczarowanie i mocno zatrzęsł pokrywę komputera.

Oparł się na fotelu i założył ręce za głowę. Przez chwilę trwał w bezruchu. Dotarło do niego, że po tym wszystkim, co go dziś spotkało, potrzebuje wewnętrznej równowagi i wymiany energii. Postanowił, że pójdzie do siłowni w garażu i przez godzinę nad sobą popracuje, a potem za domem poćwicz Falun Dafa. Zrobi dzisiaj pełny zestaw ćwiczeń, ale skupi się na Falun Zhou Tian Fa i Shen Tong Jia Chi Fa.

Gdy już będzie odnowiony i gotowy, zasiądzie znowu przy komputerze i spróbuje ustalić, w której firmie pracuje Zuza.

Konrad Wolski, naczelnik Wydziału Specjalnego „Q” Agencji Wywiadu, siedział w swoim pokoju na dwudziestym piętrze warszawskiego wieżowca i czekał. Przed nim na biurku stał zimny już kubek ze złotym symbolem CIA, nieduże drewniane pudełko o pięknym ciemnobrązowym wzorze i leżał iPhone 4S.

Minęły już ponad dwie godziny. Nie odbierał telefonów i zabronił sekretarce Ewie wpuszczania kogokolwiek aż do odwołania. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, a czarne lustro telefonu wciąż było martwe.

– Co się dzieje? – wymamrotał ze złością i przygryzł dolną wargę. Wziął do ręki telefon i wcisnął przycisk, jakby chciał się upewnić, czy przypadkiem nie przeoczył połączenia. Dobrze wiedział, że to bezsensowna reakcja, ale robił tak czasami, gdy denerwował się bardziej niż zwykle.

Popatrzył na pamiątkowy kubek z okazji pięćdziesięciolecia CIA, który kiedyś podarował mu warszawski rezydent, i pomyślał, że był to chyba dziesiąty kubek, jaki dostał od Amerykanów. Wszystkie oprócz tego jednego rozdał pracownikom, ale ci nigdy ich nie używali do picia kawy, jakby uważali, że nie może ona smakować z czegoś takiego, i przechowywali w nich przybory biurowe.

Konrad jednak używał go zgodnie z przeznaczeniem, bo odpowiadała mu powiększona pojemność i wygodny uchwyt.

Przeniósł wzrok na pudełko. Przekreślił srebrny kluczyk. Wewnątrz, pod spodem, umieszczona była mosiężna tabliczka z wygrawerowanym napisem: *To Konrad with best wishes from your friends in Israel. January 1998.*

Dostał je od Dawida Awnera, starszego od niego o siedemnaście lat oficera Mosadu, z którym współpracował przez wiele lat. Realizowali razem operację „Condor” w Iranie.

Dawid był prawdziwym przyjacielem i to on nauczył Konrada, czym jest świat islamu i kim są Izraelczycy. Ale nauczył go też czegoś znacznie ważniejszego: moralności, jaką powinien się cechować oficer wywiadu.

Zmarł pięć lat temu po wypaleniu miliona papierosów

i wypiciu dwustu pięćdziesięciu hektolitrów arabskiej kawy. Konradowi bardzo brakowało jego prostej szpiegowskiej mądrości. Nikt tak jak Dawid nie potrafił wytłumaczyć spraw trudnych do zrozumienia dla wszystkich tych, którzy nie przeżyli Holocaustu.

Zawsze zachowywał zimną krew i znajdował słuszne rozwiązanie. Cierpliwość tracił jedynie wtedy, gdy zaczęli rozmawiać o ortodoksyjnych żydach, których uważał za zakałę i prawdziwe nieszczęście narodu izraelskiego. Sam był żydem reformowanym, urodzonym w Sosnowcu.

Pudełko zostało zrobione przez Izraela Białego, mosadowskiego arcymistrza wyrobów ręcznych, z dwóch dużych kawałków drzewa oliwnego, które po tysiącu lat owocowania uschło któregoś dnia na dziedzińcu jakiegoś starego domu w Jaffie. „Z jego drewna wytworzono przedmioty, które otrzymali sprawdzeni przyjaciele Izraela – mówił Awner, wręczając pudełko Konradowi. – W tym świętym drzewie, które przez setki lat rodziło owoce i które zawsze ktoś otaczał czułością, zaklęta była istota człowieczeństwa. To drzewo równie żarliwie kochali Żydzi, jak i Arabowie”. Tak mówił Dawid, który Arabów nazywał braćmi, a Persów uważał za przyjaciół.

Gdy wręczał Konradowi to pudełko, przestrzegał go, by dobrze się zastanowił, co w nim będzie przechowywał. Nie mogły to być jednak pieniądze. Do dzisiaj Konrad nic w nim nie trzyma. Nie znalazł jeszcze niczego takiego, co byłoby godne je wypełnić.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Sara. Od razu ciężko usiadła w fotelu, zapaliła papierosa i gestem pełnym złości uderzyła zapalniczką Zippo o ławę.

– No! Mów! – zaczął Konrad.

– Prokurator zapowiedział, że najprawdopodobniej będzie musiał przedstawić mi zarzut przekroczenia uprawnień. Wyobrażasz sobie?! Przekroczenia uprawnień! On nic nie rozumie! Co on może wiedzieć o pracy wywiadu... To nie jest normalny kraj...

– Jak to możliwe?! – Konrad był mocno poruszony.

– To młody prokurator... może chce na tym zrobić karierę... sama już nie wiem...

– *Fuck!* Może to jakiś oddany wyznawca sekty Zielińskiego!

– Najgorsze, że jak dostanę zarzuty, to Szef będzie musiał mnie zawiesić w czynnościach.

– Kiedy to może być?

– Nie wcześniej niż za miesiąc, półtora. Tak go przynajmniej rozumiałam.

Po powrocie do Polski i zakończeniu sprawy archiwum NKWD „Travis” złożył raport o zwolnieniu ze służby w Agencji Wywiadu i szczegółowo opisał, jak doszło do zabójstwa pułkownika Stepanowycza z białoruskiego KGB.

Aresztowanie Rupertów, ojca i syna, wstrząsnęło sceną polityczną w Polsce i wymiotło prezydenta Zielińskiego, który nawet nie próbował ubiegać się o reelekcję. Ku zaskoczeniu wszystkich wybory wygrał Adam Poławski, kandydat Zjednoczonej Centrolewicy. Wkrótce nastąpiły też przedterminowe wybory parlamentarne i dotychczasowa koalicja rządowa ledwo utrzymała się w Sejmie. Opozycja przy wsparciu mediów doprowadziła do głębokiej wymiany elit w Polsce i jeszcze przed końcem roku szybka przebudowa sceny politycznej była zakończona. Powstał chimeryczno-hybrydowy centrolewicowy rząd, w którym lewica miała iluzoryczną władzę opartą na licznych trzeciorzędnych stanowiskach.

Jednak odchodząca ekipa, zgodnie ze swoimi ideałami, zostawiła szereg pułapek, w które naiwnie wpadali nowi politycy. Tak czy inaczej, albo ich nie widzieli, albo nie potrafili sobie z nimi poradzić.

Nie inaczej było w Agencji Wywiadu na Miłobędzkiej, gdzie generał brygady Zdzisław Pęk i jego zastępcy, jeszcze przed odejściem, złożyli pięć zawiadomień do prokuratury o popełnieniu przestępstw przez oficerów. Oczywiście starannie wyselekcjonowanych. Sprawa oficera o pseudonimie „Travis” była wręcz idealna, by odpowiednio zapłacić Konradowi Wolskiemu za wtrącanie się do polityki, jak uważał generał Pęk.

Przeliczyli się jednak, bo prokuratura wprawdzie wszczęła postępowanie, lecz nikomu nie postawiła zarzutów i wciąż prowadziła dochodzenie. Konrad bardzo przeżywał to, co się stało, ponieważ ostrze prokuratury skierowało się głównie przeciwko Sarze, która wyszkoliła i obsługiwała „Travisa”.

Pęk nie znalazł się na pracy wywiadowczej, ale przez lata po mistrzowsku opanował prostą zasadę – „dziel i rządź”. Doskonale wiedział, że prędzej czy później prokuratura skupi się na Sarze Korskiej, zastępczyni Konrada. I o to chodziło! Bo Konrad był odporny na własny ból czy upokorzenie, ale nie był przygotowany na jakiegokolwiek oskarżenie wymierzone w jego współpracowników, a szczególnie w Sarę.

Dlatego Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego tak skonstruował zawiadomienie, by odpowiedzialność przede wszystkim spadła na Sarę. Mimo rozpaczliwych ruchów Konrada prokuratura nie umiała albo nie chciała zrozumieć, że to on jest odpowiedzialny za sprawę „Travisa”. Pęk i jego zastępca „Ciężki”, informowani regularnie przez Marka Belika, zastępcę Konrada, wiedzieli aż nadto dobrze, że to, co zabolitwardą Sarę, dziesięciokroć mocniej zrani wrażliwego i trochę naiwnego Konrada.

Zawiadomienie o sprawie „Travisa” i Stepanowycza było oczywiste, bo takie jest prawo. Jednak uzasadnienie, jakie przekazała Agencja Wywiadu, wskazywało na możliwość popełnienia przestępstwa. Konrad i Sara byli dodatkowo sfrustrowani zaistniałą sytuacją, bo był to pierwszy przypadek, kiedy Agencja oskarżała własnych oficerów. A przecież „Travis” działał w stanie wyższej konieczności.

Po akcji w twierdzy brzeskiej i sprawie Rupertów Pęk nie przyjął raportu Konrada o zwolnienie, bo uznał, że musi mieć go na oku, a może dokładniej – w zasięgu ręki. Przynajmniej do czasu wyborów.

Po wyborach nowe kierownictwo Agencji Wywiadu zapewniało Konrada, Sarę i „Travisa”, że zrobi wszystko, by sprawa jak najszybciej została wyjaśniona, wyrażało sympatię i pełne poparcie, ale gołym okiem było widać, że nikt nie chce się w to angażować, by nie padło na niego jakiegokolwiek podejrzenie. Po

aferze Ruperta nowy premier był wyjątkowo przewrażliwiony i najpierw dokonywał egzekucji na swoich współpracownikach, a dopiero potem badał sprawę.

„Travis” brał na siebie całą odpowiedzialność i był gotowy ponieść karę, nie mógł więc zrozumieć, dlaczego prokurator wciąż traktuje go jak broń, narzędzie, którym miała się posłużyć Sara.

– Co będzie, to będzie! Nie ma sensu teraz się tym zamartwiać – stwierdziła Sara, bo nie chciała już o tym myśleć.

– Widziałas Marcina?

– Nie.

– Nie widziałas jego nowego wcielenia?

Sara spojrzała z zainteresowaniem na Konrada, bo Marcin zawsze dostarczał im dużo radości i czasami trosk. Nie wyobrażali sobie, by Wydział Specjalny „Q” mógł bez niego istnieć.

– Już nie ma tego dawnego Marcina z pomadą na włosach, syntezы macho-żigolo... tych jego ciemnych okularków, podkoszulków i koszul à la Bahama...

– Chory? – z lekką ironią wtrąciła Sara.

– Sama idź i zobacz. – Konrad ruchem głowy wskazał na drzwi. – Dziś jego pierwszy dzień w nowej skórce. Dosłownie... nowej skórce. Poczekaj... – przerwał na moment. – Zawołam go. – Wcisnął interkom. – Ewa! Niech przyjdzie do mnie Marcin. I... dwie kawy.

Po jakiejś półminucie do gabinetu Konrada wszedł Marcin, ale Sara, siedząc w fotelu, w pierwszej chwili go nie poznała. Wstała, podeszła bliżej i z niedowierzaniem obejrzała go od stóp do głów. Konrad przysiadł na biurku i oglądał tę scenę z rozbawieniem.

– To ty? Marcin! Uszczypnij mnie Konrad. – Sara z coraz większym rozbawieniem lustrowała wzrokiem Marcina. – Tak będziesz chodził codziennie? To... – dotknęła go ręką – to... jest wygodne? Jestem naprawdę... naprawdę bardzo zaskoczona. Ale... skąd ta niespodziewana zmiana?

– Taaak... – z wyraźnym ociąganiem i udawaną flegmą zareagował Marcin. – Teraz dopiero jestem sobą.

– Nooo... ja... nic nie mówię... więcej... muszę powiedzieć, że mi się podoba.

Marcin zrobił poważną minę, podciągnął nogawkę czarnych skórzanych spodni i pokazał wysoką cholewkę kowbojskich butów.

– Tysiąc! – zakomunikował.

– Skąd masz takie przetarte skórzane spodnie? – zapytał Konrad.

– No... kupiłem od jednego kolesia...

– A po co ci te rzemienie na bokach? To tak ma być?

– Nooo... jeszcze dobrze nie wiem, ale są *cool*.

– Podnieś tę kamizelkę... Frędzelki takie trochę nie tego... niemęskie – z lekką ironią zauważyła Sara.

– Czaszka ze skrzydłami w jakichś płomieniach. Ciekawe! Co to znaczy? – zapytał Konrad, oglądając czarną koszulkę Marcina, który kiwał tylko z politowaniem głową nad ignorancją szefa.

Stroju dopełniał srebrny sygnet na palcu, koraliki na szyi, dwudniowy zarost i zaczesane do tyłu włosy.

– Mam nadzieję, że nie masz tatuaży. Wiesz, że to u nas niedozwolone! – dorzucił Konrad. – Nooo... i nie jesteś chyba w żadnym gangu?

– Szefie, kurczę, szpieg też potrzebuje trochę wolności! Zawsze chciałem mieć motor... no... taki Easy Rider. Każdy prawdziwy mężczyzna mnie zrozumie... Ja dzisiaj tak tylko. Wczoraj zdałem prawo jazdy na motor...

– Jaki masz motor?

– Kupiłem od kolesia czarnego harleya-davidsona V-Rod VRSC z dwa tysiące piątego roku – ożywił się natychmiast Marcin i wyjął zdjęcie. – Oto cacuszko! Pojemność tysiąc sto, sto pięć koni... i niech szef patrzy... wydech Screaming Eagle, to znaczy słyszysz, a nie widzisz... Kupiłem go już trzy miesiące temu i wiernie na mnie czekał, aż się nauczę jeździć!

– Podoba mi się twoja metamorfoza – wtrąciła Sara. – Będziesz teraz musiał zabrać mnie na wycieczkę albo na jakiś zjazd... Goście na takich motorach są sexy. Liczę jednak, że masz też pod ręką nasz strój służbowy?!

– Czuję, że teraz używasz wody po goleniu Harley-Davidson. – Konrad przybliżył się do Marcina i pociągnął nosem.

– Szef to ma węch!

– Okay! Obejrzymy twój motor później – oznajmił Konrad. – Teraz odszukaj mi raport z naszej wizyty w Säpo we wrześniu... ten, który dotyczył nielegala Jorgensena. Pamiętasz?

– Jakże mógłbym zapomnieć?! Szefie! To moja sprawa... najlepsza... A co? Coś nowego?

– Przynieś i już!

Marcin wykręcił gwałtownie na wysokim, podciętym obcasie i o mało się nie przewrócił.

– Coś nowego? – zapytała Sara.

– Przyszła depesza od Olafa Svenssona. Ustalili, dlaczego Rosjanie chcieli zlikwidować Hansa Jorgensena i oszczędzili jego syna Carla. To może być ciekawe! Chcą jednak rozmawiać w cztery oczy i zapraszają nas do Sztokholmu.

– Świetnie! – zareagowała entuzjastycznie Sara. – Ta Linda Lund bardzo mi przypadła do serca. Profesjonalistka, przy tym wrażliwa. Ma dziewczyna głowę... i seksapil... nie?

– Podobna do ciebie. Macie coś wspólnego, chociaż to ty bardziej wyglądasz na Szwedkę niż ona. Masz, przeczytaj sobie całą depeszę ze Sztokholmu.

– Kiedy jedziemy? Bierzymy Marcina, jak poprzednio?

– Gdyby się dowiedział, że pojechaliśmy rozmawiać o Jorgensenie bez niego, mógłby być dla siebie niebezpieczny, nie mówiąc już o nas – zażartował Konrad. – Czeka! – Nagle jakby coś sobie przypomniał. – Pamiętasz tego Hasana Mardana z dredami... no, tego arabskiego przystojniaczka od Olafa... nie pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam! Co się tak dopytujesz? Żadna dziewczyna nie zapomni takiego faceta!

– Olaf mówił mi, że to też harleyowiec...

W tym momencie wszedł Marcin i położył na biurku Konrada raport. Miał już wyjść, kiedy zatrzymała go Sara.

– Jedziemy do Sztokholmu... w przyszłym tygodniu. – Spojrzała na Konrada, który potwierdził skinieniem głowy. – Zajmij się wszystkimi przygotowaniami. Jedziesz z nami, więc

odśwież sobie sprawę Jorgensena...

– Pamiętasz Hasana Mardana? – zapytał Konrad.

– Tak.

– To ten oficer Säpo, pół Irańczyk, pół Irakijczyk...

– Pamiętam.

– On też podobno jest harleyowcem.

– Wiem.

– Skąd?

– Bo te spodnie i motor kupiłem od niego – odparł Marcin trochę niepewnym głosem.

Sara i Konrad popatrzyli na siebie ze zdumieniem, bo Marcin ani słowem nie zdradził, że utrzymuje kontakt z Mardanem, na co powinien mieć formalną zgodę przełożonych.

– Hasan to mój najlepszy przyjaciel. Muszę prosić o zgodę na przyjaciela? – zapytał z rozbijającą miną.

Odpowiedziało mu wymowne milczenie obojga przełożonych, pokonanych jego szczerością.

– Nie masz wrażenia, że Marcin czasami czyta w twoich myślach? – zapytał Konrad, gdy zostali sami, ale Sara tylko wzruszyła ramionami i też wyszła z pokoju.

Swoje plemię zaczął zbierać prawie jednaście lat temu. W najśmielszych myślach nie przypuszczał, że stanie się ono tak potężnym orężem.

Karol przeprowadził w Zatoce Psów Niewiernych jako Mirmillo i nikt spośród dziesięciu braci nie znał jego prawdziwej tożsamości. Wybrał najlepszych, najwaleczniejszych i najwierniejszych.

Każdy z nich miał zdolności i osobiste doświadczenie porównywalne z bliźniami weteranów Delta Force, lecz zdobyte w świecie cyberwojny. Dziesięciu hakerów zjednoczonych w plemienu, którego jedynym celem było odnaleźć świętego Graala, by z niego czerpać nieograniczoną niczym wolność i prawdę. I oddać je w służbę ludzkości.

Oni nie wierzyli, oni wiedzieli, że świadomość to jedyna droga do pokoju i pomyślności skłóconego i podzielonego świata, że wolność jest pełna albo jej w ogóle nie ma.

Wiedzieli, że poszukiwanie nie jest łatwe i będzie wymagać ofiar. Byli na to przygotowani. Oddani sobie bezgranicznie, pozbawieni jakichkolwiek wątpliwości i strachu.

Zatoka Psów Niewiernych była plemieniem wyjątkowym. Idea wolności i świadomości człowieka łączyła ich tak mocno, że dawała siłę nieporównywalną z niczym, co powstało dotąd w sieci. Najważniejsze było jednak wzajemne zaufanie i służba, a nie pieniądze, które miały znaczenie jedynie techniczne. Były właściwie złem koniecznym i powinny kiedyś zniknąć.

Nie znali takich pojęć jak wiara, Bóg, ojczyzna, honor. Ich zawołaniem było zapomniane już Wolność, Równość, Braterstwo, Wszystkiego, Wszystkich i Wszędzie. Albo Śmierć – jak z pełnym przekonaniem dodawał w duchu Karol.

Karol jako Mirmillo był nie tylko twórcą Zatoki i niekwestionowanym wodzem. Był też jej bankierem i księgowym. To dzięki wierności i wzajemnemu zaufaniu plemię przez tyle lat, niezauważone przez nikogo, mogło walczyć o swój cel, choć największe potęgi współczesnego świata z pewnością chciałyby je zniszczyć. Nie było na świecie

państwa, stolicy, służby czy koncernu, które świadome możliwości Zatoki Psów Niewiernych nie zrobiłyby wszystkiego, by wypalić ją do żywego, zniszczyć, wymazać albo najlepiej zaprząć do własnego rydwanu.

Być może nie było to jedyne takie plemię na świecie, ale z pewnością najpotężniejsze. Oni sami wiedzieli o tym doskonale i dodawało im to jeszcze sił, tak jak poczucie, że efekt ich walki jest coraz lepiej widoczny i – wraz z nieustannym rozwojem świadomości nadchodzących pokoleń – niemożliwy już do powstrzymania. Każdy dzień przynosił postęp technologiczny ponad podziałami cywilizacyjnymi i rozszerzał świat Wolności, Równości i Braterstwa.

Dla Karola džihad i Zatoka to było jedno. Dwie idealnie uzupełniające się części. Nie wiedział o tym też profesor Ahmed al-Husajn, który od lat prowadził Hamonda przez świat. Więcej, to właśnie Ahmed zainspirował go do założenia Zatoki, choć o tym nie wiedział.

Profesor uważał, że ideały rewolucji francuskiej są dzisiaj największym sojusznikiem islamu i dzięki nim Francja jest obecnie ojczyzną ośmiu milionów muzułmanów. Choć twórcy *Deklaracji praw człowieka i obywatela* w 1789 roku wcale nie myśleli o Arabach, którzy mieszkają teraz na przedmieściach, na ulicach, w poprawczakach i więzieniach. Te same ideały przyświecały setki lat wcześniej Hasanowi ibn Sabbahowi, który wołał: „Misjonarze dla ludu i mordercy dla przywódców!” – twierdził profesor i Safir podążał za jego wskazaniem, pełny wiary i oddania.

Ani Sajed, ani tym bardziej Raszid nie byliby w stanie tego pojąć. Odrzucali wszystko, czego nie rozumieli, bo widzieli w tym zagrożenie. Nawet Sajed, który świat Zachodni znał bardzo dobrze, uważał, że ideały plemion cyberprzestrzeni są przedłużeniem żydowsko-krzyżowej konkwisty i z założenia muszą być wrogię islamowi. „I żaden imam prorok jeszcze się nie narodził” – zwykł mówić z pewną dozą ironii, ale z Internetu korzystał często i sprawnie. Dlatego Karol trzymał sprawę Zatoki Psów Niewiernych w tajemnicy przed

kierownictwem Al-Kaidy, a ono na szczęście nigdy nie pytało, skąd się bierze ta jego nadzwyczajna efektywność.

Spośród braci najważniejszy i najstarszy jest Retiarius. Przekonany libertarianin, obywatel Nowego Jorku. Kiedyś był współpracownikiem Erica Stevensa Raymonda w programie Open Source i miał swój wkład w powstanie Linuxa. Drugie miejsce w Wielkiej Radzie zajmuje Provocator, Amerykanin z Seattle, który wsławił się wyciągnięciem z Microsoftu dokumentu Halloween Memo. Wielu uważa, że był ojcem przełomowego momentu w wyzwoleniu się społeczności hakerskiej. Mirmillo cenił go jednak najbardziej za walkę partyzancką z koncernem IBM.

Pozostali jeźdźcy nie mają takiego doświadczenia i nie byli legendami środowiska. Byli za to niezwykle utalentowani w węglowaniu między chmurami i mają nadzwyczaj ważne i użyteczne kontakty. Wszyscy to typowe geeki. Gal w Sztokholmie – genialny informatyk i były współpracownik WikiLeaks, Andabata w Londynie – pracownik serwisu bezpieczeństwa w Citibank, i Bestiarius w Hajfie – inwalida, były oficer Szin Bet. W sumie w Zatoce było dwóch Amerykanów, Niemiec, Szwed, Anglik, Izraelczyk, Arab – najlepszy phreaker, Chińczyk i Polak – wyjątkowe black haty, i Rosjanin wyspecjalizowany w wyszukiwaniu samurajów i kontaktach z rosyjską mafią karderską.

Zatoka była zacumowana na anonimowym serwerze w Katarze. Obsługiwał i zabezpieczał go Gal. System komunikacji i język opracował Retiarius przy pomocy nieświadomego niczego pracownika naukowego NSA.

O tym wszystkim wiedział tylko Mirmillo. Natomiast dla braci liczył się tylko cel, wolność i zaufanie. Nic więcej! W Zatoce nie było granic, państw, narodowości, ras, religii ani płci. I mało kto na świecie, oprócz nich, mógłby to zrozumieć. Ich śmiertelnymi wrogami byli zarówno wszyscy ci, którzy nie uznawali wolności totalnej, czyli wojsko, służby specjalne, politycy, jak i wszystko to, co sankcjonowało ich prawny i finansowy byt.

Miejsce szczególne w ich sercu zajmowały Stany Zjednoczone

Ameryki Północnej, żandarm świata i gwarant globalnego *pax americana* w wydaniu irackim, afgańskim, kubańskim i setkach innych. Największy wróg wolności.

Wyszedł spod prysznic i owinął się spranym, poszarpanym ręcznikiem frotté.

Dzień jak co dzień... od dwóch miesięcy – pomyślał, stojąc przed lustrem w łazience służbowego mieszkania na ulicy Krasnodarskiej w moskiewskiej dzielnicy Lublino.

Przetarł ręką zaparowane szkło, ale jego odbicie wciąż było nieostre. Otworzył szeroko drzwi i po chwili lustra nabrały wyrazu.

Delikatnie dotknął policzka, gdzie jeszcze niedawno od nosa do ucha ciągnęła się szeroka, szarpana blizna. Przyzwyczał się do niej przez osiem lat. Nawet więcej. Polubił ją! Była jak jego znak firmowy. Dodawała mu wiary w siebie i bojowego uroku.

Poprowadził palcem po bliźnie cienkiej jak cięcie skalpela i nie wyczuł żadnych zgrubień. Opuchlizna zeszła już zupełnie. Twarz nabrała teraz dziwnej symetrii. Pojawiło się zupełnie nowe oblicze Andrieja Trubowa.

Jednak to nie była jedyna ważna odmiana w jego życiu.

Wszystko zaczęło się od tego, że któregoś dnia Trubow postanowił zrobić sobie tatuaż. Tatuaże nosili wszyscy jego koledzy ze specnazu, ale jemu najbardziej podobały się rysunki na ciele Gali, co miała farbowane na zielono włosy i paliła camele. Gala była niedrogą studentką Akademii Sztuk Pięknych, nigdy się nie spieszyła, nie targowała i można było z nią pogadać. I wyraźnie lubiła go bardziej niż innych klientów.

On też lubił ją bardziej niż inne dziewczyny, z którymi dotąd obcował. Mimo zielonych włosów Gala wyglądała niemal jak idealna kopia Mii Wallace. Może miała zbyt duży nos i za krótkie nogi, ale nigdy wcześniej nie spotkał kobiety tak bliskiej ideału Mii. Vincent Vega był też jedynym zagranicznym wzorem, który mógł zaakceptować. W Rosji podobnych do Vincenta macho było pełno, nawet znacznie lepszych, ale Gala w roli Mii była jedyna. Tytuł filmu, w którym widział Mię i Vincenta, nie mu nie mówił, więc nawet nie próbował go zapamiętać.

Od Gali dowiedział się sporo o malarstwie. Dotąd malarstwo łączyło się dla niego nierozdzielnie z nazwiskiem Ajwazowski, a nazwisko Ajwazowski z malarstwem, ale teraz wiedział dużo więcej.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Galę nagą, od razu pozazdrościł jej pięknej żyraby z wielką grzywą wyklutej na widocznej skoliozie, między lekko wystającymi łopatkami, i krzywego zegara przyklejonego do ramienia niczym ciepły blin. Nie podobało mu się jedynie sporych rozmiarów jajko tuż nad wzgórkiem Wenery. Dlatego od razu zadzwonił z rekomendacji pewnego kolegi do samego Głogowa, artysty wyjątkowego na skalę Federacji, który miał dom na Rublowce. Przedstawił mu swój pomysł, a ten przygotował rysunek. Drogo to kosztowało, ale efekt był tak imponujący, że gdyby Głogow zażądał za swoją pracę trzy razy więcej, Trubow też by się nie zawahał zapłacić. Dałby nawet i cztery razy więcej!

Artysta sam był tak zachwycony swoim dziełem, że nie mógł pozwolić, by klient poszedł do pierwszego lepszego salonu. A że było to dzieło sygnowane, polecił Trubowa swojemu przyjacielowi, artyście, mistrzowi tatuażu z salonu Prizim Tatroo na Lublinskiej 171.

Dzieło zrobiło równie duże wrażenie na mistrzu tatuażu. Był głęboko przejęty jego rozmiarem, szczegółowością i dramatyzmem. Obliczył, iż potrzeba będzie na nie przynajmniej ośmiu, dziesięciu sesji. Trubow jednak wolał zapłacić więcej i zakończyć pracę w ciągu czterech spotkań. Mistrz wątpił, czy klient wytrzyma taki ból, ale skoro on sam tego sobie życzył, nie mógł mu odmówić. W głębi duszy wiedział, że i tak nie wytrzyma.

Oczywiście się pomylił! Trubow nie tylko wytrzymał, ale chwilami nawet przysypiał, chociaż nie był pijany jak wielu innych klientów. Ale zdziwiłby się mistrz jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że tatuowanie sprawiało mu nawet przyjemność.

Trubow postanowił, że obejrzy dzieło dopiero, kiedy będzie gotowe, i przez te wszystkie dni spał w domu na brzuchu, bo, nie wiadomo dlaczego, bał się, że może je uszkodzić.

Tego dnia, gdy było już skończone, kupił cztery duże lustra i zawiesił je w łazience. To był ważny dzień, więc kupił też butelkę wódki i wyłączył telefon komórkowy.

Tydzień później, nim wszedł do łazienki, przygotował się psychicznie i wypił z gwinta pół butelki. Odczekał chwilę, aż wyostrzą mu się zmysły, i ruszył. Wszedł do pomieszczenia, które wypełniło się jego odbiciami. Wyglądało, jakby do małej łazienki wszedł pluton dorodnych spadochroniarzy.

Powoli rozebrał się do naga, składając każdą część garderoby na taborecie. Robił to z uwagą i w ściśle określonym porządku. Nie potrafił znaleźć na to właściwego określenia, ale czuł, że właśnie dzieje się coś niezwykłego i pięknego zarazem.

Zamknął oczy, nabrał głęboko powietrza, podniósł w górę ręce i wyprężył się tak mocno, jak tylko mógł. Trwał w tej pozycji minutę i pięć sekund, po czym powoli wypuścił powietrze i otworzył oczy. Najpierw nieśmiało, potem coraz odważniej oglądał swoje plecy, które początkowo sprawiały wrażenie, jakby wcale nie były jego. Jakby do łazienki wszedł z nim ktoś obcy.

Na całych jego plecach widniał symetrycznie rozplanowany dwugłowy, skrzydlaty smok wyprężony w śmiertelnym starciu z niewidzialnym wrogiem. Osłaniał się od ciosów potężnymi skrzydłami, a zakrzywione ostre dzioby zionęły ogniem. Nic jednak nie dodawało mu grozy w równym stopniu co przerażające oczy podkreślone czerwoną i zieloną barwą.

Szczegółowość rysunku i fantazja kompozycji mogły wzbudzać nie tylko szacunek, uznanie czy podziw. Ten smok z powodzeniem może budzić także strach i zmusza do pokory – uznał z dumą Jagan.

Na samym dole kompozycji ptasie szpony smoka schodziły aż na pośladki i dotykały dwóch niedużych blizn. W jednym szponie smok trzymał obciętą, krwawiącą brodatą głowę z zamkniętymi oczami, a w drugiej duży zakrwawiony nóż Kizlyar z dedykacją Putina.

Zarówno artysta Głogow, jak i mistrz tatuażu uznali, że głowa Jana Chrzciciela w szponach smoka ma dużą siłę wyrazu i szczególne znaczenie dla wszystkich wiernych na Rusi, toteż

umieszczenie jej właśnie na pośladku było trochę kontrowersyjne. Jednak Trubow niewiele wiedział o Janie Chrzcicielu, a obcięta brodata głowa należała do kogoś zupełnie innego, bardziej realnego, bo wciąż żywego. Niemniej pomysł artysty Głogowa dotyczący Jana Chrzciciela bardzo mu się spodobał, bo dodawał mistycznej siły przesłaniu, jakie chciał w tych symbolach zawrzeć.

Narodził się smok, którego mógłby ktoś przyrównać do bizantyjskiego orła, ale to był jednak smok. Prawdziwy, pięknie wytatuowany na szerokich, umięśnionych męskich plecach! Nie jakiś chiński dragon, jakich pełno na tłustych rękach, nogach, anorektycznych plecach i dupach różnych socjopatów i frustratów na całym świecie.

To był najprawdziwszy rosyjski smok na rosyjskim zdrowym, silnym ciele. Więc wszystkie spotkania z Galą odbywały się teraz w łazience pełnej luster i zapalonych świec. Trubow nigdy wcześniej nie przypuszczał, że obserwowanie smoka w lustrach, jak się wiję, wykrzywia, drży, dostarczy mu tak niezwykłych doznań i wyzwoli z niego siłę, jakiej chyba nie ma nikt.

Potem zawsze długo stał pod zimnym prysznicem, bo czuł, że rozpalony do ostateczności, spragniony smok właśnie tego potrzebuje, by się uspokoić. Nikt jednak, oprócz Gali, nie wiedział o smoku i demonicznej sile, jaką wyzwalał w Trubowie.

Jagan stał teraz wyprostowany przed lustrem w towarzystwie kilku swoich kopii i pomyślał, że może powinien odmienić się także duchowo.

– Odmienić? To znaczy, co? Zapaściłem włosy. Zrobiłem smoka. W zasadzie niby dlaczego miałbym się zmieniać... z powodu usunięcia tej blizny? To chyba wystarczy... – powiedział na głos, spojrzał sobie prosto w oczy i po chwili dodał niepewnie: – Przecież nawet nie wiem... nie pamiętam, co się stało... skąd się wzięła. – I poczuł, jak smok się porusza, zaniepokojony dreszczem. – Właściwie to ja już się odmieniłem... i duchowo, i fizycznie – rzucił zdecydowanie i pokiwał głową.

Wspomnienie letniej nocy w zburzonym domu na Kaukazie tkwiło w nim niezłomnie przez te wszystkie lata, bo to był najważniejszy dzień w jego życiu. Teraz miał smoka i nie był już sam. Miał z kim dzielić sprawę czeczeńskiego diabelskiego rodzeństwa.

Amina, Rustam i bliźniacy Szamil i Aślan... Bładź! Nigdy nie zapomnę! – pomyślał w przypiływie złości. – Bładź! Nie zapomnę! Jedenaście lat temu to były małe potworki, jak mówił kapral Zorin, co nie miał oczu... Teraz to już pewnie dorosłe diabły. Któregoś dnia dopadnę ich... tego Rustama. To on ma mój nóż! Blizna to blizna, to akurat mógłbym im darować, ale Zorina...

Zakończył obdukcję swojego nowego oblicza, ostatni raz rzucił okiem na smoka i zgasił światło. Wziął z taboretu złożone w kostkę ubranie i wyszedł z łazienki.

Jego dziwna przypadłość uniemożliwiająca zapamiętywanie twarzy jakoś dziwnie nie dotyczyła czeczeńskiego rodzeństwa. Ich twarze utrwaliły mu się w pamięci, jakby były wyrte w płytce ze stali nierdzewnej. Kiedy więc poprosił Galę, żeby odtworzyła ich portrety, wynik był zadziwiający.

Wyglądało to tak, jakby Gala po prostu skopiowała tę stalową płytkę z jego pamięci i powstały trzy wizerunki, jak żywe. Trzy, bo Aślan i Szamil jako bliźniacy niczym się od siebie nie różnili. Teraz wisiały w pokoju, gdzie spał, i w kuchni, i w przedpokoju, niemal wszędzie. Oczywiście miał je też w swoim telefonie.

Wciąż owinięty w ręcznik, podszedł do okna i wyjrzał z dziesiątego piętra na daleki rosyjski krajobraz. Tarcza słońca wisiała gdzieś nad Uralem. Dochodziła szósta trzydziści. W mieszkaniu było już jasno.

Słońce od kilku godzin wędrowało nad Rosją, budząc kolejne miasta i wsie, i było w tym coś nielogicznego, że jednocześnie każdy Rosjanin jest w innym momencie swojego życia. Czasami Trubow myślał, że to niesprawiedliwe, jakby ktoś kogoś oszukiwał.

Zwinał z podłogi materac, na którym ćwiczył, i włączył najnowszy album Lube, *Swoi*, który od kilku miesięcy puszczał niemal nieustannie.

Była szósta trzydzieści cztery, gdy zadzwoniła jego służbowa komórka. Odebrał bez słowa i czekał. Ci, którzy znali jego numer, wiedzieli, że Jagan ma taki zwyczaj. Nie ufał nawet telefonom.

– Jedziemy! – usłyszał rozradowany głos w słuchawce.

– To dlaczego dzwonisz dopiero dzisiaj? – zapytał.

– Chwilę temu dzwonił do mnie Zaricki – odparł spokojnie głos. – Dlaczego rano...? *Czort jego znajet!* Ma swoje powody!

– Kiedy jedziemy?

– Jeszcze nie wiem. Mamy dzisiaj o dziewiątej spotkanie z Zarickim i Gruzowem, więc bierz dupę w troki i pędem melduj się u mnie! – Głos nie brzmiał groźnie, raczej wesoło.

– Wiesz co, Jura? – rzucił Jagan, wpatrując się w atramentowe niebo. Czuł, jak rozpiera go coś między euforią a satysfakcją. – Jeżeli nie jedziemy dzisiaj, to musimy to oblać... ja muszę... to dla mnie dobra wiadomość, czekałem na nią jedenaście lat!

– Wchodzę, Andriusza! – zdecydowanie zapewnił głos i wyłączył się.

Trubow stał jeszcze przy oknie. Nie mógł się oderwać od widoku, który teraz, po tym, co usłyszał, uważał za najpiękniejszy, jaki widział. Wiadomość od partnera, Jury Kosowa, była tym, na co czekał od dawna.

Zaricki z GRU i Gruzow z FSB byli wyjątkowo zdolnymi oficerami rosyjskich służb i nikt w całej Federacji nie wiedział lepiej od nich, co się dzieje na Kaukazie. Nawet sam prezydent! Zaricki i Gruzow prowadzili najlepszą agenturę wewnątrz organizacji islamskich na Kaukazie, i nie tylko.

Wiadomość, na którą czekał, oznaczała, że złapali w końcu kontakt na Muhamedowa, cichego, ale najinteligentniejszego ze wszystkich ceczeńskich komendantów, który zarządzał kontaktami z Al-Kaidą. Był doktorem socjologii i znał kilka języków, czyli znacznie się różnił od innych bojowników ceczeńskich. Wzbudzał zaufanie i szacunek także u swoich wrogów. Jagan też go tak traktował i dlatego perspektywa ujęcia Muhamedowa wykraczała daleko poza sprawę osobistą. Stawała się misją w imieniu Federacji Rosyjskiej i rozliczeniem za tych towarzyszy, którzy padli z jego ręki.

Opinia publiczna nie wiedziała o nim zbyt wiele, bo nie wslawił się żadną akcją terrorystyczną w metrze, teatrze czy szkole. Mało kto również się orientował, że gdyby nie on, to płomień dżihadu na Kaukazie wygasłby już dawno. Muhamedow stał za finansowym wsparciem dla bojowników świata islamu. Ludzi dobierał z niezwykłą wnikliwością i intuicją, więc wprowadzenie konfidenta w jego szeregi było prawie niemożliwe.

Mimo że Zaricki i Gruzow uchodzili za dobrych oficerów, kierownictwo podjęło decyzję, że sprawę Muhamedowa przejmie Służba Wywiadu Zagranicznego. Nie tylko dlatego, że działalność Czeczena wykraczała poza granice byłego Sojuszu, ale przede wszystkim także dlatego, że FSB nie była na tyle szczelna, żeby sprawa miała szansę na pozytywne zakończenie. Wiadomo było od dawna, że Muhamedow ma w tych służbach swoje wtyczki.

Trubow wyraźnie pamiętał szarą, ślepą twarz kaprała Zorina. Wydawało mu się, że to przez te wyłupane oczy. Nie miał pamięci do twarzy ani nazwisk, szczególnie tych, którzy zginęli. Ale te oczy to co innego. Zorin ze swoim cierpieniem w ciemnej komórce pod podłogą uosabiał wszystkich poległych towarzyszy.

Dla Jagana Muhamedow był przede wszystkim środkiem, drogą, drogowskazem, pomysłem na to, jak odnaleźć Aminę, Rustama i bliźniaków. Obiecał sobie kiedyś, że zanim ich zabije, nie z osobistych powodów oczywiście, tylko za Zorina, będzie musiał odzyskać swój nóż i wyjaśnić, co się stało o świcie w zburzonej chacie w czeczeńskich górach osiemnastego lipca 2001 roku.

Brał potem udział w akcji na Dubrowce w październiku 2002 roku i dokładnie obejrzał wszystkie zabite czeczeńskie smiertnice i męskie ścierwo, ale Aminy tam nie było. Ani braciszków. W jakimś sensie był nawet z tego zadowolony, bo to tylko on miał prawo wymierzyć im karę. A tak uniknęliby losu, jaki im zaplanował, i byłoby w tym coś niesprawiedliwego. Do dzisiaj Amina nie weszła do panteonu świętych, podobnie jak żaden z jej braci. Jagan sprawdzał to

w FSB za każdym razem, gdy zginął jakiś czeczeński bojownik lub wybuchła śmiertnica.

Jeżeli żyją gdzieś na świecie, odnajdę ich. Na pewno! – powtarzał regularnie po cichu i na głos.

Zaczęła się już pora deszczowa i nad ostrymi szczytami gór Ajban i Dżabal Nukum otaczających Sanę zbierały się chmury wypiętrzone na kilka kilometrów. Wyglądały, jakby były wykute z solidnego marmuru.

Karol najbardziej lubił przyjeżdżać do Jemenu właśnie w porze deszczowej. Gwałtowne burze jak wodospady oczyszczały wtedy ulice miasta i poprawiały suche zwykle powietrze. Wszyscy nagle nabierali chęci do życia, bo przez następne kilka miesięcy wypalona dotąd ziemia obrodzi wspaniale, w wielu miejscach kraj soczyście się zazieleni i ożywią się ptaki Kaukabanu. Można by sądzić, że na Półwyspie Arabskim tylko Jemeńczycy mogą mówić, że w ich kraju występują dwie pory roku. Karol jednak uważał to stwierdzenie za grubo przesadzone, bo na pustyniach nigdy nie padał deszcz.

Samolot linii Royal Jordanian z Ammanu przyleciał o czasie, chociaż rozkład lotów na tej linii był umowny. Podobnie zresztą jak kodeks drogowy, zwyczajowy i w najwyższym stopniu ogólny. Inaczej mówiąc, zasady ruchu drogowego były formą zalecenia, sugestii, a nie prawa. Mustafa, kierowca taksówki, za dwa tysiące riali szybko dowiózł Karola z lotniska El Rahaba do Bab al-Jaman w północnej części starej Sany. Karol oczywiście nigdy nie pozwoliłby sobie powiedzieć taksówkarzowi, że Koran ma niewiele wspólnego z zasadami ruchu drogowego, ale obecność Allaha z pewnością pomogła im dojechać bezpiecznie.

Ostatni raz był w Jemenie ponad dwa miesiące temu, w górach u Sajeda al-Szariego. Jednak od tego czasu działania Amerykanów nabrały niespodziewanej aktywności, a drony coraz częściej krążyły po niebie, więc szef jemeńskiej Al-Kaidy musiał czasowo zerwać kontakty z otoczeniem.

Dlatego jego łącznikiem w Sanie był teraz Raszid z klanu Sajeda. Odważny młody człowiek, ale tak zaślepiony w walce o sprawę islamu, że Karol miał spore wątpliwości, czy jest odpowiedni do roli, którą mu powierzono. Planował porozmawiać o tym z Sajedem, jak tylko nadarzy się okazja.

Sajed bardzo liczył się ze zdaniem Karola, ale nie dlatego, że był on Europejczykiem i znał kilka języków, tylko przede wszystkim dlatego, że był jedyny i niezastąpiony. Mógł być tym, kim chciał. Żaden z nich nigdy nie zagrałby takiej roli!

Argumentował zawsze prosto, a jego pragmatyzm był czymś zupełnie niepojętym w tym środowisku. Nie uznawał praw klanów i dzięki temu Al-Kaida miała się dobrze i otwierały się przed nią całkiem ciekawe perspektywy. Rozumiał to Sajed, Omar i – co najważniejsze – Ajman, który teraz oficjalnie najlepiej wiedział, co jest dobre dla Bazy.

Wysiadł przy bramie Bab al-Jaman. Po jej drugiej stronie zaczynało się Stare Miasto. U ulicznego sprzedawcy kupił dwa kubki zimnego soku z limonki i przysiadł na kamiennym murku.

Mimo że w Jemenie czuł się jak w domu, tym razem tę harmonię zakłócały nieustanne myśli o Zuzie.

Niestety, nie zdążył przed wyjazdem ustalić, w której firmie pracuje, ale nie miało to większego znaczenia, skoro wiedział, gdzie mieszka. Był już gotowy z nią porozmawiać. Przeprowadzić najważniejszą rozmowę życia. Szykował się do niej przez cały czas. Miał przygotowane odpowiedzi na jej pytania. Miał też swoje pytania, ale jego wyobraźnia biegła uporczywie do chwili, kiedy wejdzie do jej mieszkania i zanim zaczną rozmawiać, będą się kochać. I ta myśl pozbawiała go panowania nad sobą, wyzwalala podniecenie, przez które tracił samokontrolę. Potrzebował potem sporo czasu, by wyzwolić się z uścisku tego marzenia i zacząć myśleć logicznie. Zaczynał się bać sam siebie.

Gdyby nie to, że Sajed polecił mu natychmiastowy przyjazd do Sany, byłby już prawdopodobnie po rozmowie z Zuzą. A kto wie, może byłaby teraz z nim, tu, w jego Arabii.

Było wczesne popołudnie, jakieś dwadzieścia osiem stopni, bezwietrznie, wilgotno, z niewielkim zachmurzeniem. Na niebie dominował słoneczny dysk. Karol lubił taką pogodę. Zimny sok z limonki smakował wyśmienicie. Stare Miasto w Sanie było dla niego kwintesencją wszystkiego co arabskie, pozbawione jakiegokolwiek konformizmu, pełne piękna

i prawdy o historii Arabia Felix. Sana miała to, czego nie miało żadne inne arabskie miasto – Żywą Przeszość! Pogoda, architektura, ludzie... właściwie wszystko razem stanowiło nierozzerwalną kompozycję ozdobioną duchem islamu i wonią przypraw. Parzonej po turecku świeżo mielonej kawy z kardamonem, ciemnożółtego curry, bordowego sumaku.

Ruszył wypolerowanymi przez wieki wąskimi brukowanymi uliczkami starej Sany, by dotrzeć do suku Al-Milh, gdzie stragan z sandałami miał Ramadan, który od dwóch lat był jego pierwszym łącznikiem. Wyłącznie jego łącznikiem.

Aden, Sana to były miasta Karola, jego miejsce na ziemi. Lokalne służby specjalne oficjalnie z sukcesami walczyły z Al-Kaidą, ale w rzeczywistości robiły tylko to co niezbędne, byle nie doprowadzić do wojny domowej, jak w Iraku czy Afganistanie. Bojownicy z Jemenu już kilka razy pokazali, do czego są zdolni.

Al-Kaida Półwyspu Arabskiego opiera się na związkach plemiennych i świętym prawie gości, a to są więzy znacznie silniejsze niż jakiegokolwiek relacje państwowe. Karol, mimo że czuł się bezpiecznie, musiał przestrzegać zasad konspiracji nawet tutaj, bo był łącznikiem Al-Kaidy. Najważniejszym!

Po sprawie Nigeryjczyka Omara, który spartolił robotę w samolocie Northwest Airlines, Amerykanie mocno się zdenerwowali i zaczęli naciskać na władze jemeńskie, by ostrzej rozprawiły się z miejscową Al-Kaidą.

Zawsze uważał, że najpierw nazywa się Karol Hamond, a dopiero potem Safir as-Salam ibn Butrus. Używał zresztą tak wielu nazwisk i dokumentów, że właściwie było to obojętne, jak się nazywa. Jednak imię Karol nadali mu rodzice, a nazwisko Hamond otrzymał po ojcu i dlatego miały dla niego szczególne znaczenie. Czuł się Polakiem wyznania muzulmańskiego, jak jego przewodnik duchowy Michał Czajkowski herbu Jastrzębiec, a nie jakiś Jusuf Islam.

Choć teraz modlił się i chodził do meczetu stanowczo za rzadko, by zadowolić współbraci, to miał czyste sumienie, bo był przede wszystkim wojownikiem Allaha i ważną postacią dżihadu. Lecz dżihad Karola Hamonda był obliczony nie tylko

na szerzenie islamu, lecz również na walkę o wyzwolenie i sprawiedliwość. Skierowaną przeciw kapitalistom, oligarchom, dyktatorom i amerykańskiej demokracji siły, Rosji i Chinom i wszystkim tym, którzy są z nimi. Przeciw globalizacji wedle ich standardów.

Od dawna był przekonany, że musi się poświęcić walce. Na świecie nikt już nie walczył z monopolem na jedyną prawdę judeołacińskiego świata, tylko islam, religia ludzi biednych, okradanych z tożsamości, godności i majątku.

Odkąd wypaliły się komunistyczne ideały, znikła nadzieja światowej rewolucji i upadł Związek Radziecki, a Chiny już tylko formalnie nazywają się Ludową Republiką i bezwzględnie kolonizują świat swoim kapitałem, Koran pozostał ostatnią szansą na wyzwolenie. W Ameryce Południowej dawni rewolucjoniści, czciciele Tupaca Amaru i Che Guevary, zostali demokratycznymi prezydentami i premierami, ale liczba faweli wcale się przez to nie zmniejszyła. Chrystus z karabinem na ramieniu strzeże teraz już tylko pół kokainowych.

Mimo że miał wiele wątpliwości, to gdy zrobił pierwszy krok na tej drodze, wiedział, że nie może się cofnąć. I nigdy tego nie żałował! Nawet przez chwilę! Wiedział, że zginie, lecz nie bał się śmierci, i nie dlatego, że uspokajała go wizja rajy i tłumy hurys, ale dlatego, że warto jest walczyć o lepszy świat, lepszego człowieka, oddać życie za wolność i równość, za cierpiących.

Nigdy też nie zaakceptował talibów i wahabitów, bo wiedział, że to nieuniknione zjawisko uboczne trwającej rewolucji. Był przekonany, że islam poradzi sobie z tym problemem później. Jak każda rewolucja. Na razie są potrzebni. Uważał, że kiedy naród odzyska swoje bogactwa naturalne, będzie można edukacją walczyć z zacofaniem w świecie islamu i cywilizacja ta rozkwitnie jak przed wiekami. Pojawi się Mahdi. Znikną talibowie, wahabici, salafici – jak zniknęli albigensi i katarzy – gdy wyznawcy Allaha zaczną czytać także inne książki niż tylko Koran i Sunnę i gdy nie będą im potrzebni pośrednicy, by zrozumieć ten najtrudniejszy przewodnik po życiu człowieka.

O tym, jak Safir pojmował islamską rewolucję, nie wiedział

w Bazie nikt. On sam nie dzielił się z nikim swoimi poglądami, chociaż miał je dobrze ukształtowane. Chwilami popadał w zniechęcenie, kiedy widział bezkres wyznawców islamu unikających jakiegokolwiek próby jego zrozumienia i pozbawionych woli odnalezienia w nim nie tylko wiary, lecz także idei i myśli łączącej ludzi. Kiedy jednak patrzył na białą masę wiernych jak mgławica galaktyczna cudownie wirującą w Mekce podczas hadżu, to czuł, że w tym ruchu jest potężna magiczna siła, jakiej nie ma nigdzie na świecie.

Nikt nigdy nie pokona ekstremistów islamskich, nie ma takiej armii na świecie, tylko sami muzułmanie mogą to zrobić. Karol dobrze o tym wiedział i był przekonany, że kiedyś tak będzie.

Konrad wyjął z niebieskiej tekturowej teczki kilkustronicowy dokument sporządzony prostą bezszeryfową czcionką. Była to jego własna relacja ze spotkania z partnerami z Säpo, którą sporządził we wrześniu ubiegłego roku po powrocie ze Szwecji.

Teraz musiał przypomnieć sobie szczegóły sprawy Hansa Jorgensena, rosyjskiego nielegala w Szwecji, i wszystko, co się wtedy wydarzyło. Bo chociaż mogło się wydawać, że sprawa zakończyła się wraz z jego śmiercią, to jednak w rzeczywistości tak nie było. Toczyła się dalej z nowym impetem i dostarczała wielu wartościowych informacji. Czasami wprost bezcennych!

Przyniosła też niezamierzone skutki uboczne. Zrodziło się coś szczególnego, więź sympatii między oficerami AW i Säpo, przypięczętowana przez Marcina Dolskiego i Hasana Mardana wspólną miłością do motocykli Harley-Davidson.

Warszawa, 2009.09.09

Ściśle tajne

Egzemplarz pojedynczy

NOTATKA SŁUŻBOWA

dot. wizyty delegacji Wydziału „Q” AW w Szwecji w dniach 02–04 bm.

Skład delegacji AW: naczelnik mjr Konrad Wolski, z-ca naczelnika kpt. Sara Korska i inspektor por. Marcin Dolski.

Strona Säpo: z-ca szefa Säpo Kurt Lövenström, szef Wydziału Rosja KW Olaf Svensson, oficer Linda Lund, oficer Hasan Mardan i oficer KSI Per Gustavsson.

Do Sztokholmu nasza delegacja przyleciała o godz. 9.50. Z lotniska odebrał nas Olaf Svensson, którego poznałem już wcześniej podczas jego wizyty w Warszawie w związku ze sprawą H. Jorgensena. W samochodzie poinformował nas o programie wizyty.

Udaliśmy się minibusem Säpo do hotelu Scandic Sergel Plaza w centrum Sztokholmu. O godzinie 13.00 Olaf Svensson odebrał nas z hotelu i pojechaliśmy samochodem na lunch do restauracji Kungsholmen.

Sashimi było wyborne – pomyślał Konrad. To ciekawe, że taka prosta potrawa może w różnych miejscach różnie smakować... To nie pizza, nie chińszczyzna...

W restauracji oczekiwali nas wszyscy ww. oficerowie szwedzcy.

Oficjalnie przywitał nas Kurt Lövenström w imieniu szefa Säpo Paulssona.

Przedstawiłem członków naszej delegacji, a Lövenström – oficerów Säpo. Następnie poinformował krótko, że po lunchu udamy się do siedziby Säpo, gdzie omówimy wszystkie interesujące nas sprawy.

Lunch przebiegł w nadzwyczaj serdecznej i przyjacielskiej atmosferze. Korzystną okolicznością było to, że, jak już wspominałem, Svensson i Gustavsson byli w Polsce wcześniej i mieliśmy okazję poznać się bliżej. Z uwagi na miejsce rozmowy dotyczyły tematów pozasłużbowych.

O godz. 14.20 udaliśmy się do siedziby Säpo na Polhemsgatan. Rozmowy odbyły się w pomieszczeniu specjalnym.

Rozpoczęły się od wystąpienia Lövenströma, który podziękował AW za informacje dotyczące Jorgensena, a w szczególności za opis jego spotkania z Krzysztofem Rupertem w Sopocie. Miały one decydujące znaczenie dla prowadzenia całego rozpracowania. W nawiązaniu do słów L. poinformowałem, że autorem sprawy był por. Marcin Dolski.

Marcin wyglądał wtedy, jakby miał za chwilę eksplodować z zadęcia – przypomniał sobie z rozbawieniem Konrad. Rzeczywiście! Hasan Mardan podszedł wtedy do niego, żeby mu pogratulować. Tak było!

Następnie Lövenström poinformował, że sprawa Jorgensena nie dość, że się nie zakończyła, to jeszcze nabrała nowej dynamiki i że w ramach szwedzkich służb specjalnych, tj. MUST, KSI, Säpo i FRA, powołany został specjalny, głęboko utajniony zespół. O wynikach jego prac będą sukcesywnie informowane służby partnerskie. Lövenström podkreślił, że ww. służby otrzymają informacje tylko w takim zakresie, jaki nie doprowadzi do dekonspiracji źródła.

Kierownictwo państwa, w tym osobiście premier Szwecji, podjęło decyzję, że w dowód uznania dla naszego wkładu w rozpracowanie H. Jorgensena strona polska (Agencja Wywiadu) w drodze wyjątku otrzyma pełną informację.

Premier rządu szwedzkiego ma wkrótce podziękować osobiście premierowi rządu polskiego za wkład polskich służb specjalnych w umacnianie bezpieczeństwa Szwecji.

Pamiętam, że aż mnie wtedy coś ścisnęło w gardle, bo i ja miałem poinformować Szwedów, że aresztowano nie tylko Ruperta z IPN – pomyślał Konrad. Jak premier Szwecji dowiedział się o tym od Lövenströma, to pewnie stracił ochotę na rozmowę ze swoim polskim kolegą o wzorowej współpracy służb. Minister obrony Rupert przez kilka lat bynajmniej nie umacniał międzynarodowego bezpieczeństwa, w tym i Szwecji. Wręcz odwrotnie!

Następnie K.L. oddał głos Olafowi Svenssonowi, który oświadczył, że wiadomość, jaką nam przekazano za pośrednictwem naszego łącznika w ambasadzie, nie była kompletna. Stwierdził krótko, że Hans Jorgensen nie zginął w swoim domu w Åkersberdze, tak jak wcześniej nas poinformowali. Prosimy o zrozumienie, ale sytuacja po tych dramatycznych wydarzeniach była dynamiczna i musieli najpierw uporządkować sytuację u siebie.

Głos zabrała Linda Lund, która wraz z Hasanem Mardanem i O.S. była uczestnikiem akcji.

Lund potwierdziła, że przekazane przez nas informacje pozwoliły Säpo podjąć ofensywne działania operacyjne wobec

Hansa Jorgensena i jego syna Carla Jorgensena, oficera wywiadu szwedzkiego KSI.

Następnie przedstawiła chronologicznie przebieg wydarzeń.

W domu letniskowym H.J. w Å., gdzie planowane było spotkanie J. i jego syna Carla, zainstalowana została technika operacyjna, podgląd i podsłuch. Säpo miało przesłanki, żeby przypuszczać, iż będzie w stanie uzyskać tą drogą informacje o działalności wywiadowczej Jorgensenów na rzecz Rosji. Tymczasem zanim pojawił się H.J., kamery zarejestrowały w jego domu nieznanego człowieka z blizną na twarzy, mówiącego po rosyjsku.

Tego samego dnia oficer policji z dzielnicy Solna poinformował Säpo, że w tamtejszym hotelu zatrzymało się dwóch podejrzanych rosyjskojęzycznych mężczyzn. Zameldował się tylko jeden, o nazwisku Garbinow. Posługiwał się paszportem lotewskim. Wieczorem tego samego dnia doszło do strzelaniny, w której zginął policjant i jeden pracownik hotelu, a drugi został ciężko ranny. Później ranny policjant potwierdził, że strzelał do niego mężczyzna z blizną, ujawniony wcześniej w domu J. Wtedy jednakże nasi partnerzy mieli tylko zdjęcie Garbinowa. Policja rozpoczęła akcję poszukiwawczą na terenie całego kraju. W tym momencie sprawa H.J. nie łączyła się jeszcze ze sprawą Garbinowa.

Następnego dnia rano nasi partnerzy otrzymali od SIS informację potwierdzającą, że Garbinow jest odpowiedzialny za dokonane kilka lat wcześniej w Szkocji zabójstwo dwóch rosyjskich nielegalów, którzy przeszli na stronę Brytyjczyków. W tym czasie ustalili również, że człowiek z blizną, którego zauważono w domu H.J., i ten z hotelu to ta sama osoba. Po analizie wszystkich informacji doszli do wniosku, że G. i „Blizna” to rosyjskie komando likwidacyjne, które przyjechało do Szwecji wyeliminować H. Jorgensena i prawdopodobnie jego syna Carla. Dom H.J. został dodatkowo zabezpieczony przez antyterrorystów i ukrytych obserwatorów, a równocześnie w całym kraju trwały intensywne poszukiwania obu Rosjan. Tymczasem do swojego domu przyjechał H.J., a potem przybył jego syn z konkubiną (znaną dziennikarką

telewizyjną). Partnerzy sądzą, że do zamachu może dojść w domu H.J. Nie było wiadomo, jakimi motywami mogli kierować się Rosjanie, skoro Jorgensenowie dla nich pracowali.

O godz. 23.20 oficer Hasan Mardan odnalazł w zaroślach ciało zamordowanego oficera z obserwacji. Wkrótce potem okazało się, że Garbinow i „Blizna” są w domu H.J., który wraz z synem przebywał w piwnicy, gdzie, jak partnerzy podejrzewali, miał urządzoną kryjówkę. Napastnicy byli uzbrojeni w automat MP5 i broń krótką. Mieli też granaty. Partnerzy nie mogli dopuścić do zabójstwa Jorgensenów i wywiązała się intensywna strzelanina z oddziałem antyterrorystów. Po pierwszej wymianie ognia dom zaczął się palić. Po analizie nagranych materiałów partnerzy doszli do wniosku, że został podpalony w piwnicy. Nastąpiła kolejna wymiana ognia. Napastnicy użyli dwóch granatów błyskowych o wyjątkowej sile rażenia. Dotychczas nieznanymi. Wymiana ognia trwała kilka minut i zanim dotarło wsparcie, dom doszczętnie spłonął. Partnerzy zaprezentowali nam kilkuminutowy film nakręcony przez kamery wewnątrz i na zewnątrz domu.

Następnie głos zabrał oficer Hasan Mardan.

W trakcie strzelaniny H.M. przebywał z drugiej strony domu, pod oknem. „Blizna” prawdopodobnie wyskoczył przez okno i spadł na H.M., który stracił przytomność. Gdy już niemal cały drewniany dom obejmowały płomienie, H.M. odzyskał przytomność i zauważył, że z okienka w podpiwniczeniu wysuwa się Hans Jorgensen, a po chwili wyciąga nieprzytomnego Carla. Po kilku minutach dotarł helikopter ze wsparciem i straż pożarna, ale dom praktycznie już spłonął.

Ponownie głos zabrał Olaf Svensson.

Hans i Carl Jorgensenowie nie zginęli. Nie spłonęły też dokumenty. Obaj zostali natychmiast przewiezieni do tajnego ośrodka KSI na wyspie w pobliżu Sztokholmu. Jak się okazało po ich przesłuchaniu, Hans Jorgensen w rzeczywistości nazywa się Andriej Wołkowski. Był rosyjskim nielegalnym najpierw w Danii, a następnie w Szwecji. Urodził się przed wojną jako obywatel Polski we wsi Miedwiedki pod Grodnem. Obaj, ojciec i syn, jednoznacznie przyznali, że następnego dnia miał się

oddać w ręce władz szwedzkich. Nikt oprócz Carla nie wiedział, że zamierza się ujawnić. Sam Carl nie był współpracownikiem rosyjskich służb. Natomiast Rosjanie prawdopodobnie wiedzieli, że jest on oficerem szwedzkiego wywiadu, i Garbinowowi kategorycznie zakazano jego eliminacji. Sprawa ta jest obecnie przedmiotem szczegółowego badania, ponieważ Carl osobiście prowadził najważniejszą szwedzką agenturę w obwodzie kaliningradzkim. Ma to szczególne znaczenie, gdyż Hans nigdy nie poinformował Moskwy, że jego syn jest oficerem szwedzkiego wywiadu. Wciąż otwarte pozostaje zatem pytanie, dlaczego Rosjanie chcieli zabić Hansa Jorgensena, chociaż nie wiedzieli, że ma zamiar zdezerterować, a postanowili oszczędzić jego syna Carla. Partnerzy poinformowali nas, że nie wykluczają wersji, iż Rosjanie mają agenta wewnątrz szwedzkich służb i zorientowali się, że Hans jest rozpracowywany. W związku z tym Svensson spytał, czy możemy podobną analizę przeprowadzić w naszej służbie.

Poinformowałem wówczas partnerów, że oczywiście takiej analizy dokonamy, jednakże Jorgensenem zainteresowaliśmy się na prośbę strony szwedzkiej. Ponadto aresztowanie agenta Ruperta, z którym się spotkał H.J., nastąpiło już po wydarzeniach w Åkersberdze. Zatem wyciek z naszej strony jest mało prawdopodobny. O sprawie Jorgensena wiedziały w AW trzy osoby. Zapewniłem jednak partnerów, że sprawę zbadamy dogłębnie i o wszystkim ich poinformujemy.

Olaf Svensson ujawnił, że Hans Jorgensen przekazał uratowany z pożaru przy pomocy H. Mardana zbiór bezcennych dokumentów, a w szczególności notatnik, który prowadził skrupulatnie od lat. W notatniku tym, nazwanym „Berlingske-Posten 1953”, H.J. zapisywał wszystkie czynności, które wykonywał. Ponieważ był uplasowany w Urzędzie Imigracyjnym, specjalizował się w przygotowywaniu i legalizowaniu przrzucanych na Zachód radzieckich i rosyjskich nielegalów. Partnerzy prowadzą w tej chwili szczegółową analizę tego dokumentu, ale już wstępnie oceniają, że jest to materiał o ogromnym znaczeniu operacyjnym. Dodatkowo H.J. mimo podeszłego wieku ma doskonałą pamięć

i przejawia wolę współpracy.

W związku z tym partnerzy, za zgodą premiera, podjęli decyzję o utajnieniu sprawy Jorgensenów. Następnego dnia zwołana została konferencja prasowa, na której oficjalnie poinformowano o śmierci Hansa Jorgensena, Carla Jorgensena i Igora Garbinowa oraz nadano wydarzeniom w Åkersberdze charakter kryminalny.

Jak się później okazało, Garbinow i „Blizna” dotarli do domu Jorgensena skradzioną łodzią motorową, którą później odnaleziono zatopioną u wybrzeży Wysp Alandzkich. Na tej podstawie partnerzy zakładają, że „Blizna” wydostał się tą łodzią do Rosji przez Finlandię. Brak bliższych danych na temat tego człowieka. Wiadomo, że jest brutalny, bezwzględny i wyjątkowo niebezpieczny. Zdjęcia z kamer są słabe i zniekształcone efektem „rybiego oka”, lecz partnerzy pracują nad stworzeniem portretu „Blizny”. Nie ustalono, który z nich zamordował oficera Säpo. Media zostały poinformowane ogólnikowo, że funkcjonariusz zginął w walce. Formalnie prokuratura umorzyła śledztwo w związku ze śmiercią sprawcy, tj. Garbinowa. W ocenie partnerów to najsłabszy punkt prowadzonej operacji, ponieważ Rosjanie prawdopodobnie wiedzą, że oficer zginął w wyniku podcięcia gardła. „Blizna” wydostał się, ale nie wiadomo, jaką wersję wydarzeń przedstawi swoim przełożonym w Moskwie.

Głos zabrała Linda Lund.

Zapytana, dlaczego Jorgensen zdecydował się przejść na naszą stronę, potwierdziła, że był to wynik jego głębokiej przemiany psychicznej, na którą miało wpływ wiele czynników. Sprawa ta jest przedmiotem głębokiej analizy psychologicznej i faktograficznej. Już teraz jednak widać, jakie były dwa zapewne najważniejsze czynniki. Po pierwsze, H.J. bał się, że Rosjanie się zorientują, kim jest jego syn (pracował przecież na kierunku rosyjskim), i niewykluczone, że tak właśnie się stało. Po drugie, H.J. otrzymał od Ruperta kopię dokumentu (raport profesora Bardy), w którym jest mowa o jego rodzinnej wsi Miedwedki na Grodzieńszczyźnie. Jorgensen przeczytał w nim, że mordu na mieszkańcach tej wsi dokonało NKWD

w przebraniu polskich partyzantów. Zginęła wtedy cała jego rodzina. Nie wiedział o tym i przez całe życie o tę zbrodnię obwiniał Polaków. Na tej osobistej tragedii zbudował całe swoje późniejsze życie, które wiódł i tak pełne wątpliwości aż do dnia, kiedy pojął, co się stało w Miedwiedkach. Zrozumiał, że nazywa się Hans Jorgensen, a nie Andriej Wołkowski.

To zadziwiające, z jaką swobodą Linda poruszała się w temacie – pomyślał Konrad. Szkoda, że tak sucho streściłem to, co mówiła. Piękna dziewczyna! Już gdzieś widziałem ten typ urody... Nawet mówiąc o naszych historycznych sprawach, używała właściwej terminologii... chociaż to Szwedka...

Partnerzy nie wątpią w szczerść Hansa i Carla. Obaj dwukrotnie przeszli badania na wariografie z wynikiem negatywnym. Niemniej jednak w sprawie pozostało tak wiele znaków zapytania, a materiał wywiadowczy jest tak szokujący (właściwie O.S. użył słowa „przerażający”), że jeszcze długo trzeba będzie pracować nad uwiarygodnieniem źródła jego pochodzenia (H.J.). Partnerzy zdają sobie sprawę, że nie są w stanie przeprowadzić tego sami. Nie chcą też na razie angażować Amerykanów ani Anglików, którzy mają wprawdzie duże doświadczenie w pracy na kierunku rosyjskim, ale to właśnie oni byli głównym obiektem zainteresowania H.J.

„Jak zwykle pozwolił pan sobie zabardzo naczelniku!” – Konrad przeczytał na marginesie adnotację generała Pęka, zapewne świadczącą o głębokiej dysleksji.

Może... może nawet miał rację! – pomyślał.

Per Gustavsson (KSI).

Poinformował, że Carl Jorgensen jest wciąż komandorem Szwedzkiej Marynarki Wojennej i oficerem wywiadu. Wszystko to, co się zdarzyło tamtego dnia, było dla niego potężnym wstrząsem. Wciąż jest pod opieką psychologów, podobnie jak jego konkubina Sophie Lundberg. Mimo to radzi sobie nadzwyczaj dobrze. Powstała niezwykła sytuacja, z którą partnerzy nie wiedzą jeszcze, jak sobie poradzić. Carl Jorgensen i Hans właściwie przestali istnieć, gdyż oficjalnie

splonęli w domu w Åkersberdze i zostali pochowani w Jakobsbergu. Jednocześnie Hans Jorgensen nabył swoje nazwisko na drodze przestępstwa popełnionego w Niemczech. Czy zatem Carl Jorgensen nosi to nazwisko zgodnie z prawem? Hans Jorgensen nazywa się Andriej Wołkowski, ale nie ma na to żadnych dowodów, a jego wieś nie istnieje. Jak stwierdził z pewnym rozbawieniem P.G., aby uregulować status Jorgensenów, trzeba by zmienić cztery punkty w konstytucji Szwecji, pięć ustaw i ogromną liczbę innych przepisów. To jest z oczywistych powodów niemożliwe. Partnerzy poszukują prawnych możliwości uregulowania tej kwestii.

Najważniejszym problemem pozostaje wyjaśnienie, dlaczego Rosjanie zdecydowali się na likwidację Hansa Jorgensena, a nie mieli tego samego zamiaru wobec Carla. Dodatkowo przy zwłokach Garbinowa znaleziono urządzenie z nieznanym dotąd szwedzkim specjalistom, co podkreślił G., środkiem chemicznym mogącym wywołać atak serca. Rosjanie mogli przecież wezwać H.J. do Moskwy, mogli też go porwać, a tymczasem zdecydowali się na jego eliminację w tak spektakularnych okolicznościach. Według oceny partnerów pośpiech w ich działaniu wskazywał, że czegoś się obawiali i nie ufali H.J. Ich determinacja musiała być czymś sprowokowana. Najbardziej prawdopodobna jest wersja, że Rosjanie odkryli, iż Carl jest oficerem szwedzkiego wywiadu, i dokonali analizy wszystkich informacji, jakie na jego temat przekazywał H.J. Mogli uznać, że H.J. ukrywał to z powodów osobistych, bo nie chciał narażać syna. Tak czy inaczej Carl nie byłby użyteczny dla Rosjan, gdyby Hans nie powiedział mu o sobie prawdy, a mieli podstawy się obawiać, że Carl nie przeszedłby na ich stronę. Wówczas straciliby ich obu wraz z całą wiedzą, jaką posiadają. Byłoby lepiej, gdyby Hans zmarł na atak serca, bo Rosjanie zabraliby swoje dokumenty i dopiero wtedy przystąpili do kontruderzenia i werbunku Carla, opierając się na materiałach, jakie mieli na jego ojca. Ta wersja oznacza zatem, że Carl był rozpracowywany i któryś z jego agentów w Kaliningradzie jest podstawiony przez Rosjan. A może nawet niejeden. Kolejne pytanie, na które usiłują odpowiedzieć sobie

partnerzy, to dlaczego Garbinow i „Blizna”, mimo że zabili policjanta w hotelu i wiedzieli, że postawili w stan gotowości całą Szwecję, podjęli ryzyko dokończenia akcji. Najwyraźniej musieli mieć takie rozkazy. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko konieczność realizacji zadania dokładnie tego dnia, kiedy Säpo rozpoczęło działania w Åkersberdze. Partnerzy są zatem przekonani, że Rosjanie wiedzieli o planowanych działaniach i chcieli uprzedzić służby szwedzkie. Zatem – Rosjanie mają w ich szeregach swojego informatora. Po „naturalnej” śmierci Jorgensena i wyczyszczeniu jego schowków nie można by mu nic udowodnić. Wówczas i Carl byłby poza podejrzeniem. Ta wersja wskazuje, że Rosjanie najprawdopodobniej nie wiedzieli, że nasza służba (AW) ustaliła tajny kontakt Jorgensena z Rupertem w Sopocie, gdyż inaczej musieliby uznać, że Hans i Carl są spaleni, więc cała operacja w tym kształcie nie ma sensu. Partnerzy stoją na stanowisku, że przeciek nastąpił w Szwecji, a nie w Polsce. Analiza wydarzeń wskazuje też, że informator nie był w grupie bezpośrednio realizującej zadanie, ponieważ nie wiedział, że w domu Jorgensena zamontowano kamery i mikrofony. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że gdyby Rosjanie zostali o tym poinformowani, nie weszliby do domu, tylko zrealizowali inny scenariusz. Czyli – według rozeznania informatora – Säpo nie miało wtedy jeszcze wystarczających dowodów na to, że H.J. pracuje dla Rosjan. W przeciwnym razie ci ostatni nie pokusiliby się o tak ryzykowną akcję.

Linda Lund.

Zgodnie z jej koncepcją, którą popiera kierownictwo Säpo, należy mówić, że mamy do czynienia nie z jednym, ale z co najmniej dwoma informatorami. Pierwszym, który wiedział, że Hans Jorgensen znalazł się w kręgu zainteresowania szwedzkiego wywiadu, gdyż odwiedził altanę w Visby, i drugim, który wiedział, że tego dnia zostaną przeprowadzone działania w Åkersberdze. Zatem Rosjanie prawdopodobnie mieli nawet dwa, niezależne źródła informacji.

Do rozmowy włączył się Hasan Mardan.

Partnerzy uważają tę wersję za najbardziej prawdopodobną

i, niestety, najtrudniejszą do rozwikłania, gdyż dotyczy dużej liczby ludzi z różnych jednostek szwedzkich służb i podjęcie próby ustalenia informatorów zostałoby zapewne dostrzeżone przez Rosjan. Tym samym cały pomysł z „uśmierceniem” Jorgensenów nie miałby sensu, a Rosjanie zdążyliby wyczyścić to, co H.J. miałyby do przekazania, zanim partnerzy zdążyliby odebrać od niego informacje. Na szczęście Rosjanie nie wiedzą, że H.J. prowadził notatnik „Berlingske-Posten 1953”.

I to jest przyjaciel Marcina? – przypomniał sobie Konrad. Chyba Arab, skoro ma na imię Hasan... Sprawiał dobre wrażenie... nie tylko zawodowe. Muszę porozmawiać teraz z Sarą, żeby mu się nie przyglądała zbyt nachalnie... Trochę mnie to wkur... Ciekawe! Oficer kontrwywiadu, kierunek Wschód, Arab, w garniturze i z dredami. Jak on wkłada kask motocyklowy? Zaraz! – zastanowił się nagle. Jak Marcin powiedział? Najlepszy przyjaciel! Kurczę, czy tu nie rozkwita jakieś uczucie?

Kurt Lövenström.

Podziękował jeszcze raz za pomoc i informację na temat H.J., która zapoczątkowała jedną z największych operacji szwedzkich służb specjalnych. Prosił, byśmy ponownie przejrzeni sprawę Jorgensena. Podkreślił, że przeciek nastąpił najprawdopodobniej w Szwecji, zbadać jednak trzeba wszystkie okoliczności.

Na tym o godz. 18.00 zakończył się pierwszy dzień rozmów ze szwedzkimi partnerami. Wieczorem udaliśmy się do restauracji Den Gyldene Freden w Gamla Stan. Nie poruszaliśmy już tematów służbowych. W kolacji, która przebiegła w serdecznej i przyjacielskiej atmosferze, nie uczestniczył Kurt Lövenström.

Kurczę, „w serdecznej i przyjacielskiej”, tak... ale Marcin i ten Hasan... Cholera! – Konrad wyraźnie się zaniepokoił. Siedzieli obok siebie i rzeczywiście... coś tam... nooo... Kurczę! Niemożliwe! Zauważyłbym wcześniej! *Fuck!*

Konrad czuł się nieswojo.

A jeżeli nawet, to co? Co mnie to może obchodzić? Nie można się tatuować, ale preferencje... dlaczego nie?! Muszę

porozmawiać z Sarą. Tak się wpatrywała w tego Hasana, że pewnie coś by zauważyła.

Następnego dnia o godz. 9.30 odebrał nas z hotelu Hasan Mardan. Udaliśmy się ponownie do siedziby Säpo. Skład partnerów był taki sam jak poprzedniego dnia.

Twardzi są! – pomyślał z rozbawieniem. Nawet nie można było po nich poznać, że kolacja przeciągnęła się do północy, a potem był jeszcze nocny rajd po kilku klubach. Linda przebiła Sarę! To niemożliwe! Najślabszy był Per... Fajni są! Jesteśmy tacy podobni do siebie...

Ta część rozmów przeznaczona była na prezentację naszych informacji (zgodnie z raportem zatwierdzonym przez gen. Zdzisława Pęka).

Na wstępie w imieniu szefa AW i całego zespołu złożyłem wyrazy ubolewania z powodu śmierci funkcjonariuszy podczas tej trudnej i niebezpiecznej operacji. Zapewniłem też, że dokonamy szczegółowej analizy sprawy pod kątem ewentualnych zagrożeń dla konspiracji prowadzonych działań. W nawiązaniu do naszego wcześniejszego szyfrogramu, w którym donosiliśmy o aresztowaniu Zenona Ruperta pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji, przekazałem partnerom informację, że Z.R. już na początku przesłuchania przyznał się do kontaktu z Jorgensenem w Sopocie, lecz nie miał najmniejszego pojęcia, kim on jest, jak się nazywa, skąd przyjechał i jakiej jest narodowości. Ponadto po spotkaniu z H.J. sprowadził sobie do pokoju hotelowego dwie prostytutki i pił cały następny dzień. Miał w związku z tym poważne zaburzenia pamięci. Ani Rupert, ani Jorgensen nie byli pod obserwacją. Jorgensen sprawdzał się, ale nic nie ustalił. Czyli Rosjanie nie mogli podjąć decyzji o eliminacji Jorgensena na podstawie tego zdarzenia. Tym bardziej że od tego spotkania do wydarzeń w Åkersberdze było zbyt mało czasu na przygotowanie akcji. Także teraz nasi partnerzy nie mają się czego obawiać, bo te sprawy się ze sobą nie łączą, i w naszej ocenie mogą spokojnie kontynuować działania.

Szczegółowo przedstawiłem okoliczności rozpracowania i aresztowania Zenona Ruperta oraz dotychczasowe wyniki jego przesłuchań. Naszych partnerów ciekawiło szczególnie, jakiego charakteru informacje, uzyskiwane z tytułu pracy w Instytucie Pamięci Narodowej, przekazywał Rosjanom. Dlaczego ci ostatni tak wielką wagę przywiązywali do zasobów IPN i jakie negatywne skutki przyniosła interesom Polski penetracja tego ośrodka przez SWZ. Wyjaśniłem partnerom, że wciąż badamy zakres zniszczeń. Jeszcze zbyt wcześnie na obiektywną ocenę, lecz już na tym etapie możemy powiedzieć, że straty dla państwa polskiego są ogromne. Partnerzy pytali, kiedy oficjalnie poinformujemy opinię publiczną o aresztowaniu Ruperta (wydaje się, że zdają sobie sprawę z politycznych konsekwencji ujawnienia tego faktu).

Następnie powiedziałem, że z upoważnienia szefa AW chcę ich powiadomić nieoficjalnie o zdarzeniu, które wkrótce będzie upublicznione, z jednoczesną prośbą o niezwłoczne przekazanie tej informacji kierownictwu państwa szwedzkiego. Chodziło o to, że w kilka dni po aresztowaniu Zenona Ruperta, pracownika IPN, aresztowany został jego ojciec Karol Rupert, minister obrony narodowej RP. Również pod zarzutem współpracy z wywiadem rosyjskim.

Ale mieli miny! – pomyślał bez satysfakcji Konrad. Kto by nie miał? To przecież wstyd! Pewnie pomyśleli sobie, że sprawa Jorgensena to pryszcz przy takiej aferze... a może się myłę. Inteligentni ludzie zdawali sobie sprawę z międzynarodowych konsekwencji takiego numeru.

Po dłuższym wahaniu Kurt Lövenström wyraził głębokie ubolewanie z powodu zaistniałej sytuacji. Stwierdził, że jeszcze dzisiaj poinformuje o niej premiera. Zapytał też, czy nasza służba nie potrzebuje pomocy ze strony Säpo albo innych szwedzkich instytucji. Wyraził pełną gotowość pomocy i współpracy, jeśli tylko zaistnieje taka potrzeba. Stwierdził też, że rozumie sytuację i nie będzie teraz zadawać żadnych pytań. Potwierdziłem, że na razie wstrzymujemy się z przekazywaniem naszym partnerom szczegółowych

informacji. Sprawa jest w tej chwili w gestii prokuratury. Jednakże gdy tylko zaistnieją odpowiednie okoliczności, poinformujemy ich o wszystkim...

Konrad właściwie skończył czytać swoją notatkę, ponieważ w dalszej części nie było już niczego istotnego. Doskonale wszystko pamiętał, bo przecież sam był jej autorem, chociaż zapiski podczas rozmów robił Marcin. Atmosfera spotkania załamała się pod ciężarem informacji o ministrze Rupercie, bardziej nawet ze strony Szwedów, którzy prawdopodobnie uważali, że Polacy przeżywają teraz jakąś traumę.

Od tamtej pory Konrad przez trzy miesiące nie miał bezpośredniego kontaktu z kolegami z Säpo, ale co jakiś czas pisali do siebie depesze. Olaf i Linda informowali go o stanie sprawy Jorgensena.

Częstotliwość kontaktów wyraźnie wzrosła, gdy ucichła polityczna burza w Polsce i przygasł międzynarodowy skandal. Olaf nawet dwukrotnie dzwonił do Konrada i zapraszał go na narty do Szwecji. Wynajął z Lindą duży dom w ośrodku sportów alpejskich Åre i było tam miejsce również dla gościa z Polski, ale Konrad nie mógł przyjechać. Czego faktycznie bardzo żałował, bo uwielbiał narty i był prawie wszędzie w Alpach i Karpatach, ale nigdy nie jeździł po stokach Skandynawii.

Za to Marcin w tym czasie rozwinął znajomość z Hasanem Mardanem i teraz ma prawdziwego przyjaciela, też miłośnika H-D.

– *Salam alejkum*, Safir!

– *Alejkum salam*, Raszid!

Objęli się i dotknęli trzy razy policzkami.

Karol wszedł do mafradżu, dużego pomieszczenia wyłożonego miękkim bordowym dywanem i poduszkami. Nie było w nim żadnych mebli ani telewizora. Nie było też elektroniki.

Pierwsze dziesięć minut poświęcili na rozmowę o rodzinie, przyjaciółach, dzieciach przyjaciół, pogodzie i najnowszych filmach. A ponieważ nie mieli żadnych wspólnych znajomych ani zainteresowań, pytania i odpowiedzi były bardzo ogólnikowe. I o to chodziło w tym niemal obowiązkowym zwyczaju, od którego Arabowie zaczynali spotkanie.

Dopiero po zakończeniu tej części wstępnej Raszid zadał pierwsze konkretne i jakże oczekiwane przez Karola pytanie.

– Zjesz coś?

– Tak – odpowiedział Karol niemal natychmiast.

– Zaraz będzie obiad... Chcesz khatu? – Raszid podsunął mu koszyk z zielonymi liśćmi.

– Nie, dziękuję. Czego Sajed chce ode mnie?

– Nie wiem...

– Gdzie on jest?

– Jeszcze w górach. Będzie tu w nocy.

Karol pokiwał głową i spojrzał na zegarek.

– Kiedy w końcu uderzymy? Wiesz coś? – zapytał Raszid, wyciągając się na dywanie. – Najwyższy czas! Coraz więcej tu Amerykanów... – Poprawił galabiję.

– Nie wiem. To ty jesteś kuzynem Sajeda... powinieneś coś wiedzieć – odparował trochę sarkastycznie Karol.

Było oczywiste, że Raszid nie jest wprowadzony we wszystkie działania Bazy. Karol podejrzewał jednak, że Sajed chowa go po prostu na przynętę dla Amerykanów. W odpowiednim momencie ogłosi, że on, Sajed, dowódca Al-Kaidy w Jemenie, zginął w walce albo podczas ataku drona. Wtedy będzie mógł przeszukać swoje otoczenie i wyłowić zdrajców. Ogłosi Raszida, kuzyna z klanu, następcą i CIA będzie teraz polować na niego,

dopóki się nie zorientuje, że Sajed jednak żyje. Amerykanie tracą pieniądze, czas, a co najważniejsze – orientację w sytuacji. Potem może nawet zabiją niezbyt rozgarniętego Raszida, a wtedy on, Sajed, ożyje z woli Allaha i narodzi się kolejna z legend, które tak kochają Arabowie.

Takie jest życie w Bazie. Każdy ma to wkalkulowane w swój los i musi być gotowy oddać życie za wiarę czy lepszą przyszłość. Nikt nikogo do walki nie zmuszał, wszyscy w Bazie są ochotnikami i dlatego pytania, kiedy, skąd i dlaczego przyjdzie śmierć, nie miały większego znaczenia. Raszid z pewnością też tak uważał. Zresztą niewielu bojowników potrafiło powiedzieć, co jest dla nich ważniejsze: życie czy śmierć.

– Musimy uderzyć! Świat powinien o nas usłyszeć! Niedługo będzie już jedenaście lat od ataku na WTC! Co o tym myślisz, Safir?

– Zrozum, Raszid. Nasza walka to nie tylko samoloty, bomby, zamachy... rozumiesz? Odkąd świat niewiernych wypowiedział nam wojnę, staliśmy się podmiotem, a nie przedmiotem światowej gry...

– Nie rozumiem – wtrącił Raszid. – Jakiej gry? Prowadzimy przecież dżihad... aż zetrzemy wszystkich żydów i krzyżowców...

– Prowadzimy, prowadzimy! Spójrz jednak na to tak... na przykład Japonia. Mocarstwo, prawda? Najpierw zaatakowali amerykańskie Pearl Harbor, to było tak jak nasze WTC. Potem była wojna na Pacyfiku, Amerykanie zrzucili dwie bomby atomowe. Każda ze stron traktowała przeciwników jak zwierzęta. Dzielili ich przepaść cywilizacyjna, kulturowa, no... prawie wszystko. Amerykanie nawet internowali swoich własnych Japończyków. Jednak kiedy stajesz się wrogiem Ameryki, kiedy jej wojska idą się z tobą bić, to następuje twoja nobilitacja, stajesz się podmiotem, liczą się z tobą. Amerykanie są praktyczni: jeżeli widzą, że nie mogą cię pokonać, a koszt walki jest za wysoki, wtedy są gotowi do porozumienia... no wiesz, oni liczą się tylko z silnymi.

– Jakiego porozumienia? Safir! – oburzył się Raszid. – Ich trzeba zniszczyć!

– Tak, tak! Na razie jesteśmy na początku drogi – spokojnie zareagował Karol. Nawet przez moment nie wierzył w siłę swojej perswazji i pomyślał, że tacy ludzie jak Raszid nie posuną sprawy dżihadu naprzód.

Przez chwilę zaległa cisza i obaj się zamyśliłi, każdy inaczej, nad swoim sposobem pojmowania islamu.

– „A jeśli oni skłonią się do pokoju, to i ty się ku niemu skłoń i zaufaj Bogu”¹ – Raszid wyrecytował werset z Koranu.

Słyszając po raz pierwszy z jego ust fragment mówiący o pokoju, Karol aż uniośł brwi. Jednak jego zdziwienie było większe niż kiedykolwiek dotąd, bo wyglądało na to, że Raszid jednak rozumiał, o co mu chodziło w tej opowieści o Japonii.

Otworzyły się drzwi i do mafradżu wszedł Ismail, służący Raszida. Ustawił na podłodze kilka miseczek z potrawami i dużą tacę z pachnącym, ciepłym jeszcze chlebem czubz. Po chwili przyniósł misę i dzban do mycia rąk.

Od tej chwili Raszid i Karol poświęcali więcej uwagi na jedzenie niż rozmowę. Tym bardziej że warto było, bo falafel i szalarma były doskonałe, chociaż salta już nie i została prawie nieruszona. Z oczywistych względów nie potrafili nawiązać między sobą głębszego dialogu, ale nie można powiedzieć, żeby czuli do siebie jakąś niechęć.

Raszid był bezgranicznie oddany Sajedowi, który wykorzystywał jego lojalność jak bufor z otaczającym go światem. Nie ufał nikomu tak jak Raszidowi, chociaż wcale go nie cenił. Już po krótkiej rozmowie widać było, że jest on ociężały umysłowo, i z punktu widzenia potrzeb Sajeda była to prawdopodobnie jego jedyna zaleta.

Jeżeli Sajed tracił kogoś z pola widzenia choć na jeden dzień, to zakładał, że ten ktoś zdradził. Wyłączeni z tej zasady byli członkowie jego klanu i ci, którzy nie mieli rodzin. Nie byłoby niczym dziwnym, gdyby Sajed wcale nie był w górach, lecz siedział w pomieszczeniu obok i słuchał rozmowy Raszida z Safirem. Uznawszy, że jakiś szczegół mu nie odpowiada, że w zachowaniu Safira jest coś dziwnego, podejrzanego, z pewnością kazałby mu czekać do jutra, a może dłużej. Mógłby go w ogóle nie przyjąć albo po prostu kazać go zabić. Dużo

zależało od tego, co w takiej sytuacji podpowie mu Allah.

Nigdy się jednak nie zdarzyło, żeby Karol musiał czekać na niego dłużej, niż było to przyjęte. Sajed zresztą nigdy nie umawiał się na określoną godzinę, nie tylko dlatego, że w Jemenie wydawałoby się to dziwne i niezrozumiałe, ale również dlatego, że był bardzo zajęty sprawami Bazy. Dużo też się modlił, a jako pobożny muzułmanin nigdy modlitwy nie przerywał.

Karol nawet nie wiedział, ile Sajed ma lat. Wyglądał na trzydzieści siedem, może czterdzieści dwa. Jak na jemeńskiego Araba był bardzo wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt pięć, i dosyć szczupły. Miał wyjątkowo jasną karnację i ładne, regularne semickie rysy. Czasami można było odnieść wrażenie, że jest nawet jakąś odmianą Osamy.

Sajed był człowiekiem wykształconym i dało się to wyczuć już po kilku chwilach rozmowy. Ukończył socjologię na Uniwersytecie Al-Azhar w Kairze i zrobił doktorat w Oksfordzie. Wiele lat mieszkał w Europie i dużo podróżował. Nigdy nie chodził do żadnej medresy i swoje zrozumienie islamu czerpał z samokształcenia i uważnego wsłuchiwania się w słowa sunnickich duchownych meczetu Al-Dżami al-Kabir w Sanie, chociaż odkąd objął dowództwo jemeńskiej Bazy, rzadko tam bywał i poświęcał się głównie samodzielnej medytacji.

W jaki sposób i kiedy trafił do Bazy, pozostawało tajemnicą, a Karol nigdy nie próbował go o to pytać. Właściwie nawet się nad tym nie zastanawiał, bo wiedział, że myśli człowieka widać w jego spojrzeniu, ruchu, geście i prędzej czy później mógłby powiedzieć o jedno słowo za dużo. O ile w Europie czy Ameryce mało kto zwracał na to uwagę, o tyle pustynni Arabowie potrafili odczytywać ten język bezbłędnie.

Ismail sprawnie sprzątnął z podłogi wszystkie naczynia i znikł tak szybko, jak się pojawił.

– W Polsce są muzułmanie? – zapytał Raszyd.

– Oczywiście. Ale nie tak wielu jak na zachodzie Europy czy w Rosji.

– A jak Polacy odnoszą się do islamu?

– Trudno powiedzieć... Nie znam takich badań – odparł zgodnie z prawdą Karol.

– Ale jak ty uważasz? – dopytywał się Raszid.

– Bo ja wiem... Myślę, że w ogóle o islamie wiedzą niewiele, trochę przesądów, stereotypów... W znacznym stopniu opinię kształtują medialne wydarzenia. Sporo w tym hipokryzji, ale jednocześnie to naród głęboko katolicki, więc z szacunkiem podchodzi do pobożności innych. Wśród młodzieży pojawia się zainteresowanie albo zauroczenie islamem, ale jest ono płytkie, typowe dla młodych Europejczyków, którzy buntują się przeciw obecnemu porządkowi świata... dla antyglobalistów, anarchistów... – wyłożył Karol z niewielką nadzieją, że Raszid cokolwiek zrozumie.

– Ale to i tak dobrze! To też jacyś sojusznicy dżihadu! Powinni zabijać Żydów i Amerykanów. Jak dorosną, coś z tego zostanie. Przecież nasza walka trwa pokolenia. – Reakcja Raszida była mieszaniną naiwności i pozornej wnikliwości, czyli dokładnie tym, czego spodziewał się Karol.

– Zobaczmy, co będzie z Palestyną! Młoda Europa i świat solidaryzują się z Palestyńczykami, nie z nami...

– Nie sądzisz chyba, że nasi bracia w Palestynie, nawet jak powstanie niepodległe państwo, pogodzą się kiedykolwiek z istnieniem Izraela, tego amerykańskiego żandarma, psa niewiernego!

– Zobaczmy – powtórzył Karol.

Nie zamierzał szerzej komentować tej powszechnej w Bazie opinii, którą sam uważał za mało elastyczną, wiedząc, że Izraela długo nie będzie można pokonać, o ile w ogóle okaże się to potrzebne. Ale ani Raszid, ani Sajed nie byłiby w stanie tego zrozumieć.

– Polacy mają swoje doświadczenie z islamem. – Karol zmienił temat. – Przez kilkaset lat walczyli z Turcją i Tatarami, ale to nie była wojna religijna... no... nie to było w niej najważniejsze... Chodziło o wpływy i panowanie, ekspansję Polski na Ukrainę, a Turcji na Europę. – Raszid zrobił minę, jakby usłyszał o tym po raz pierwszy, co z pewnością było prawdą. – W wojsku polskim też służyli muzułmanie i walczyli

ze swoimi braćmi po drugiej stronie...

– Tatarzy to kto?

– Sunnici – wyjaśnił krótko Karol, bo Raszid miałby trudności ze zrozumieniem historii Mongolii i Chin. – Przed drugą wojną światową mieli nawet swoją kawalerię w Wojsku Polskim, a na czapkach półksiężyc...

– Ciekawe! – skomentował Raszid i zaczął upychać w ustach liście khatu. – Z Taizz... hm? – zachęcał niezobowiązująco, zachwalając jakość produktu.

Gdy skończył, wyciągnął się wygodnie na podłodze, podpierając ręką głowę. Nie wykazywał już zainteresowania polskimi Tatarami, skupiony w oczekiwaniu na bliski efekt działania khatu.

W zasadzie zucie tej rośliny powodowało rozluźnienie, pobudzenie i spadek apetytu, jednak w przypadku Raszida miało tylko ten pierwszy efekt. Karol, odkąd przeszedł na islam, nie przyjmował tej używki, bo uważał, podobnie zresztą jak Sajed, że jest to sprzeczne z Koranem. Podchodził jednak do tego tolerancyjnie, bo bez khatu Jemen po prostu by nie istniał.

Kiedyś zapytał profesora Ahmeda al-Husajna, jaki wpływ może mieć odwieczne narkotyzowanie się niemal całego społeczeństwa jemeńskiego na kształt kultury i sztuki, a szczególnie wiary. Profesor odpowiedział w sposób iście salomonowy: sztuka Jemenu, różnorodna, abstrakcyjna i czasami surrealistyczna, jest nieporównywalna z żadną inną, kultura – bogata i niepowtarzalna jak Wadi Hadramaut czy Sana, a wiara w Allaha gorąca i tak bezgraniczna, jak powinna być, choć niepozbawiona pogańskiej wolności. Takie, w jego swobodnej ocenie, mogłaby mieć skutki konsumpcja khatu, sam jednak, jak podkreślał, należał do tej niewielkiej części społeczeństwa, która zachowuje abstynencję, i to z powodów nie tylko religijnych, lecz także osobistych.

Karol często o nim myślał, bo każde jego słowo, które zapamiętał z tamtej rozmowy, tchnęło nie tylko mądrością, ale przede wszystkim prostą prawdą, o którą nie jest łatwo w świecie islamu, a którą jeszcze trudniej przyjąć za swoją, by

z przekonaniem za nią podążać. Dlatego profesor Ahmed al-Husajn, starszy od niego o czterdzieści lat nauczyciel historii i języka arabskiego, a nie żaden pobożny mułła czy mędrzec koraniczny, potrafił go przekonać do islamu, a właściwie otworzyć drzwi i pokazać, co jest po drugiej stronie.

Miał wrażenie, jakby to było dzisiaj, gdy szli razem promenadą nad Zatoką Adeńską, wzdłuż szerokiej piaszczystej plaży opodal uniwersytetu, a profesor opowiadał o poezji Kasima asz-Szabbiego. Zdążył wyrecytować słowa poety: „Gdy ludzie chcą żyć, los im da odpowiedź, znikną ciemności i spadną kajdany”, a ciężka ołowiana chmura zasłoniła słońce na błękitnym niebie i gwałtownie wyrzuciła z siebie strumień wody, jakby celowo chciała przerwać ich rozmowę. Ledwie zdążyli skryć się przy wejściu do pobliskiego baru, gdy natura z nową determinacją przybrała na sile i wokół nie było już nic poza ścianą wody i ogłuszającym hukiem ciężkich jak kamienie kropli bijących o plastikowe zadaszenie. Zamilkli oszołomieni bezwzględnością przyrody.

– Masz?! – Karol poczuł lekkie szarpnięcie za ramię. – Przywiozłeś? – Potrzebował chwili, by dojść do siebie. Wydawało mu się, że jeszcze śni, i nie mógł zrozumieć, dlaczego zamiast profesora widzi uśmiechniętego Sajeda.

Dopiero teraz dotarło do niego, że zasnął i został sam w mafradżu. Raszida nie było. Na zewnątrz zapadła już ciemność. Przez szeroko otwarte okno słychać było, jak na tarasie głośno dudni zwrotnikowy deszcz.

– Masz?

Ponowne pytanie Sajeda rozbudziło Karola ostatecznie.

– Mam.

– Dawaj!

Karol rozejrzał się wokół trochę nieprzytomnie, potrzęsnał głową i dostrzegł swój plecak w drugim kącie pokoju. Wydawało mu się przez moment, że kiedy przyszedł, położył go w innym miejscu. Wyjął z plecaka płytę CD i wręczył ją Sajedowi.

– Raszid, dawaj radio! – krzyknął ten, zanim jeszcze dotknął płyty.

Wziął ją w obie dłonie i ze skupieniem zaczął przyglądać się okładce. Przez moment nie zwracał uwagi na otoczenie i zdawało się, jakby gdzieś odpłynął.

– Decca... dobra wytwórnia... taka sama okładka jak na filmie... – wymamrotał ni to do siebie, ni to do Karola i natychmiast krzyknął: – Raszid, gdzie to radio?!

Drzwi otworzyły się niemal w tym samym momencie i Raszid wniósł ogromne srebrne radio Sony – model, jaki można kupić tylko na suku w Dubaju.

Sajed rozpakował płytę i z nabożną czcią włożył ją do stacji CD. Raszid usiadł obok Karola. Deszcz na zewnątrz przestał padać, jakby posłuszny życzeniu Sajeda. Po chwili pokój wypełniły dźwięki ledwo słyszalnej muzyki. Z początku nieczytelne, rozplywające się, po minucie zaczęły nabierać wyrazistości. Pojawiło się drzenie arabskich smyczków. Raszid zamknął oczy i najpierw powoli, a po chwili coraz mocniej zaczął się kiwać w przód i w tył.

– To niesamowite! – rzucił po kilku minutach, gdy tylko umilkły dźwięki. – Czwórka to *Chant*! To najlepszy utwór na tej płycie, chociaż wszystko jest świetne. Dziękuję, Safir! – Uśmiechnął się i przytulił opakowanie CD do piersi jak dziecko misia.

– To prawda! Cała muzyka Zimmera do *Helikoptera w ogniu* jest niezwykła...

– Dlaczego to cię tak bierze, Sajed? – odezwał się Raszid. – Mało mamy własnej muzyki?

– Kiedyś to zrozumiesz, kuzynie. Widziałeś ten film?

– Widziałem. Amerykańska propaganda...

– To znaczy, że nie widziałeś! – przerwał mu ostro Sajed.

– Obraz i muzyka w tym wypadku to jedno dzieło, ale każde może też żyć oddzielnie – wtrącił pojednawczo Karol, bo zanosilo się na kłótnię między kuzynami, a wiedział dobrze, co o tym filmie sądzi Sajed.

– Zastanów się, Raszid, bo Safirowi nie muszą tego tłumaczyć, co by było, gdyby rangersi musieli walczyć w Sanie... albo nawet w Adenie. Afganistan, Irak i Somalia razem to nic w porównaniu z piekłem, jakie byśmy im tutaj zgotowali,

i dzięki Allahowi, że natchnął Ridleya Scotta do zrobienia tego filmu. Teraz zastanowią się dwa razy, zanim zdecydują się wysłać wojsko tutaj.

Sajed sprawiał wrażenie, że traktuje swoje słowa nadzwyczaj poważnie, ale Karol wiedział aż nadto dobrze, że nie jest tak naiwny i że zwyczajnie indoktrynuje Raszida. Bo Sajed w tej dziedzinie był mistrzem, i to nie tylko dlatego, że studiował Koran pilniej niż inni, ale przede wszystkim dlatego, że lepiej go rozumiał. Nie mógł się jednak powstrzymać od indoktrynacji, gdziekolwiek był i z kimkolwiek prowadził rozmowę. Czasami Karol się zastanawiał, czy Sajed, czytając święte pisma, medytuje, uczy się czy też z zamiłowaniem indoktrynuje sam siebie.

– Masz sporo racji, Raszid – przyznał niezobowiązująco Karol, bo rzeczywiście tak uważał. – W kulturze łaćńskiej masy nastawione są na bierny odbiór świata. Telewizja, film, radio, billboardy, tadżypao...

– Co to? – wtrącił Raszid.

– Nieważne... – ciągnął Karol. – Świat łaćński, wbrew temu, co mówi oficjalnie, także ustami Kościoła, to świat introwertyczny...

– Jaki? – znów zapytał Raszid, wyraźnie zainteresowany jego słowami, podczas gdy Sajed wciąż studiował okładki płyty. Wyglądało na to, że pożyteczna dociekliwość Raszida nie odgrywa w jego planach żadnej roli. Karol mógł tylko domyślać się dlaczego.

– Ludzie na Zachodzie sądzą, że wojna wygląda tak jak na filmach, że można być nieśmiertelnym albo wbrew prawom fizyki unosić się w powietrzu. *Wehikuł czasu, Park Jurajski...* Widziałeś?

– Tak...

– I konfrontują to z bajkami z Biblii...

Sajed podniósł wzrok i spojrzał na Karola z mieszaniną zainteresowania i wyczekiwania. Wydawało się, że zestawienie słów „bajka” i „Biblia” nie do końca mu odpowiada.

– I tak mają od dziecka – ciągnął Karol, choć czuł, że powinien kończyć. – Później wierzą, że taki jest świat i że ludzie żyli

współcześnie z dinozaurami, a islam, Chiny, Afryka to Atlantyda, która im zagraża i której nie rozumieją. I jest coraz gorzej, chociaż część zachodnich intelektualistów stara się nas zrozumieć... czasem z sympatią... to są nasi sojusznicy... ale decydują ci, którzy rządzą masami przed telewizorem...

– Raszid, idź i powiedz, żeby Ismail przyniósł herbatę – przerwał Sajed ku zaskoczeniu i satysfakcji Karola. – Potem pilnuj, żeby nam nikt nie przeszkadzał – dorzucił zupełnie abstrakcyjnie, bo było oczywiste, że i tak nikt nie mógłby im przeszkodzić.

Karol przyjął pozycję siedzącą, bo wiedział, że zaraz się dowie, po co Sajed ściągnął go tak pilnie do Jemenu. I chociaż spotkania odbywały się zawsze w luźnej i niewymuszonej atmosferze, to jednak Karol znał swoje miejsce w szeregu, a dyscyplinę cenił ponad wszystko. Kiedy czasami odzywała się w nim dusza białego człowieka, nie mógł wyjść ze zdumienia, jak przy braku poszanowania dla dyscypliny Baza może funkcjonować tak sprawnie.

Pokój wciąż wypełniała muzyka z filmu *Helikopter w ogniu*. Sajed ściszył radio i przybliżył się do Karola na odległość pozwalającą postawić między nimi tacę z *szai masbut*, turecką słodką herbatą.

Hamond sięgnął do plecaka i wyjął jeszcze jedną płytę CD.

– To prezent ode mnie!

– Co to?

– Zobacz...

– Soundtrack z *Afery Thomasa Crowna*?

– Tak... Nina Simone... *Sinnerman*... pamiętasz?

– Pewnie. Do eid jest jeszcze trochę czasu... ale dziękuję!

Sajed schował CD pod poduszkę i przez chwilę wyglądał na lekko zakłopotanego. Wydawać by się mogło, że to trochę nieodpowiednie zachowanie jak na charyzmatycznego przywódcę Bazy w Jemenie. Ale właśnie za to Karol lubił go najbardziej, bo to był taki ludzki odruch, zupełnie inny od tego, co obowiązywało wśród pozostałych braci.

Sajeda poznał cztery lata temu, kiedy ten mieszkał jeszcze w londyńskim Enfield i był odpowiedzialny za struktury

w Wielkiej Brytanii. Wynajmował typowy angielski szeregowiec z czerwonej cegły przy Morrison Avenue. Z pewnością znacznie łatwiej byłoby mu mieszkać w Luton czy też w Bury Park, ale nie chciał być postrzegany jako tradycjonalista.

I dom, i ulica były tak typowe, że tylko ktoś o nie lada zdolnościach potrafił odnaleźć je za pierwszym razem. Wtajemniczonym pomagała nieduża chorągiewka Union Jack widoczna już z daleka i oznaczająca, że jest bezpiecznie. Znikała tylko wtedy, gdy Sajed wyjeżdżał na dłużej, ale o tym wiedzieli jedynie najbardziej zaufani.

Karol mieszkał wtedy u niego i nieustannie krążył między Islamabadem a Londynem.

Tamtego pamiętnego dnia samolot spóźnił się niemiłosiernie i Karol dotarł do Enfield w środku nocy. Przez całą drogę się zastanawiał, jak mu to powiedzieć, i w końcu doszedł do wniosku, że to bezsensowny dylemat i że trzeba powiedzieć tak, jak było naprawdę. Jak zginął jego brat Husam i dwadzieścia innych osób. Jak rakietą odpalona z amerykańskiego drona trafiła dokładnie w Husama, tak że jego ciała nie odnaleziono. Pewnie zostało wymieszane ze szczątkami zabitych kobiet i dzieci i pochowane wraz z nimi w jedynym wspólnym grobie.

I o ile śmierć w walce byłaby uznana za męczeńską, o tyle takiej sytuacji Allah nie przewidział. Powstał poważny problem, bo muzułmanin nie otrzymał duszy, jak krzyżowcy czy syjoniści, tylko ciało.

Przez resztę nocy rozpacz Sajeda pogłębiał brak możliwości koranicznego rozwiązania tego dylematu. Nie pomogła nawet butelka whisky Black & White, którą wypili jako karę za swoje nie dość pobożne życie.

Sajed długo się zastanawiał, który imam może mu odpowiedzieć na dręczące go pytania, i kiedy wydawało się, że wypłakał już całą whisky, a w otwartym oknie pojawił się, jak na złość, piękny londyński poranek, usłyszeli nagle skrzeczący głos Niny Simone i jej modlitwę *Sinnerman*. Znali ją już wcześniej, ale wtedy wydawało im się, że słyszą ją po raz pierwszy. Poczuli, jakby Allah zamówił tę pieśń specjalnie dla nich, na tę okazję, na ten świt, i chciał im wytłumaczyć coś, nad

czym warto się zastanowić. Wtedy Sajed oznajmił Karolowi, że nie musi już iść do meczetu i rozmawiać z imamem, a tę pieśń włącza do swojego *zikh-e chaffi*. Na zawsze!

Karol wiedział, że było to nadzwyczaj ważne i bardzo osobiste wyznanie, bo Nina Simone nijak się nie nadawała na kolejnego proroka islamu.

Marian Krynicki jeszcze spał. Dzieci były już po śniadaniu i pakowały plecaki do szkoły. Maria wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda, i zdecydować, jak się ubrać. Okrągły termometr za oknem wskazywał trzynaście stopni mrozu. Tak się kiedyś zatrzymał, chyba zimą 1998 albo może 1999 roku.

Do przystanku tramwajowego na ulicy Marynarskiej miała niewiele ponad trzysta metrów. Był to dopiero trzeci przystanek od pętli, więc o tej porze tramwaj był zazwyczaj pusty. Tym bardziej że przejeżdżał przez tak zwany kiedyś Służewiec Przemysłowy, a teraz „Biurowy”, więc nie było zbyt wielu pasażerów w tę stronę.

Dzięki temu Maria zawsze miała miejsce siedzące w tramwaju linii 10 lub 17 i całkiem poważnie traktowała to jak dodatkowy ważny bonus związany z jej pracą w hotelu Marriott. Przez pół godziny mogła się poświęcić tylko sobie i dzieciom. Tak już było, że w tym czasie pozwalała sobie myśleć wyłącznie o tym, co sprawiało jej radość i przyjemność. Czasami nawet fantazjowała, bo mimo przykrych doświadczeń z Marianem widywała w tramwaju przystojnych mężczyzn, którzy nie musieli być do niego podobni.

W tym tygodniu obsługiwała piętro dwudzieste trzecie. A na nim miała trzydzieści siedem pokoi standardowych i dwa apartamenty.

Przebrała się w pomieszczeniu socjalnym, po czym zaczęła przygotowywać swój wózek. Ręczniki, pościel, mydelka, szampony i wszystko to, co było potrzebne, by uprzątnąć pokój hotelowy i przygotować go dla nowego gościa.

Hotel Marriott ma pięć gwiazdek i uchodzi za jeden z najlepszych w Warszawie, nie oznacza to jednak, że może sobie wybierać gości.

Maria dzieliła pokoje do sprzątnięcia na trzy rodzaje. Pierwszy to takie, w których nikt nie mieszkał, chociaż były opłacone. Drugi to te użyte standardowo, z rozgrzebanym łóżkiem, ręcznikami na podłodze, zabrudzonym sedesem i brakiem

zestawu kąpielowego. I trzeci – z butelkami po alkoholu, prezerwatywami w koszu lub obok niego, krótkimi włosami na prześcieradle i wszystkimi innymi śladami, jakie tylko człowiek dowolnej płci może na nim pozostawić.

Doprowadzając taki pokój do porządku, zawsze miała wrażenie, że robi coś bardzo ważnego, co sprawia, że znikają brudy i świat staje się lepszy. Często widywała też na korytarzu gości klasy trzeciej, zajmujących głównie apartamenty, którzy rzadko odpowiadali na standardowe, ale uprzejme „dzień dobry”. Czasami się ich bała, bo widziała kilka razy na filmach, że zamordowanie hotelowej sprzątaczką w celu – na przykład – zdobycia klucza jest dziecinnie proste i nawet nie zwraca niczyjej uwagi.

Dochodziła za kwadrans pierwsza i Maria właśnie skończyła sprzątać pokój odbiegający nieco od jej trzystopniowej skali. Tak ją zaskoczył, że aż postanowiła sprawdzić, kto w nim mieszkał. W koszu na śmieci znalazła obierki z co najmniej dwóch kilogramów ziemniaków i ewidentne ślady, że ktoś musiał je gotować w umywalce za pomocą grzałki.

Nieco rozbawiona tym odkryciem, przepchnęła wózek pod drzwi apartamentu numer 2313 i spojrzała na zegarek. Była dwunasta pięćdziesiąt. Sprawdziła na wykazie. Gość miał opuścić pokój o wpół do pierwszej i nie było żadnych zmian.

Zastukała do drzwi i odczekała kilka sekund. Nie usłyszała żadnego głosu, więc zastukała jeszcze raz. Była prawie pewna, że w środku nikogo nie ma, i odruchowo włożyła swoją kartę do zamka. Bo jeżeli gość chciał się zabezpieczyć, to jest przecież zasuwka – uznała. Pchnęła drzwi do przodu, popychając przed sobą wózek.

Od razu poczuła, że wewnątrz ktoś jest, ale to była tylko jej zawodowa intuicja. Już nie mogła się wycofać. Tym bardziej że z małego korytarzyka nie było widać, co się znajduje w głębi pokoju.

Trwało to może dwie, trzy sekundy, gdy nagle zobaczyła nieruchome twarze wpatrzone w nią w sposób, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Ale to, co miała przed sobą, musiało być wycięte z jakiegoś filmu. Tego akurat była pewna, więc

przerazona zamarła w miejscu, tak jak stała. Dokładnie w tym momencie mężczyźni gwałtownie pozamykali swoje notatniki, a jeden z nich zrzucił jakieś papiery pod stół.

Maria wstrzymała bezwiednie oddech, spuściła oczy i bez słowa „przepraszam” wycofała się z pokoju.

Zostawiła wózek kilka metrów dalej, po czym poszła szybko do pokoju serwisowego. Wzięła słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny szefa ochrony, Jacka Morawca, który podczas cyklicznych szkoleń starał się uwrażliwiać personel hotelu na wszystkie dziwne i podejrzane sytuacje.

Maria nie miała najmniejszych wątpliwości, że to jest właśnie taka sytuacja. Była dokładnie dwunasta pięćdziesiąt cztery.

Szwecja ma tysiące wysp i każda jest inna. Wiele jest prywatnych, inne nie. Są duże, małe i bardzo małe, czasami tak małe, że miejsca wystarcza tylko na niewielki domek z dwoma łózkami i jedno drzewo.

Mają jednak coś wspólnego – skały – są więc niezatopialne. Niezniszczalne. Bo woda i skały to fundament i dusza Szwecji. Najpiękniejsze są ponoć sztokholmskie szkiery, które kiedyś broniły serca kraju i żywiły jego mieszkańców. Każda z setek tysięcy wysp na wschodnim czy na zachodnim wybrzeżu, nawet taka, którą ledwo widać w wietrzną pogodę, jest najprawdziwszą częścią państwa. Chociaż w języku szwedzkim wyspa to tylko jedna litera – ö.

Od dziecka wie o tym każdy Szwed, a może nawet ma to w genach. I nigdy się tym nie chwali przed obcymi, gdzieś w głębi czując niepokój, że ktoś mógłby mu to zabrać. Dwadzieścia cztery tysiące sztokholmskich wysp, zwane dźwięcznie *skärgård*, nigdy nie startowało w żadnych konkursach na cuda świata, bo jakie są, to widać, a Szwedom nie starcza próżności. Bardziej jednak dlatego, że chcą, by pozostały takie, jakimi są.

Gdy tylko nadchodzi lato, każda szwedzka stacja radiowa, wychodząc naprzeciw potrzebom serca słuchaczy, przypomina piosenkę Teda Gärdestada *Sol, vind och vatten*. Ktoś, kto nie zna tego kraju, zdziwiłby się, że posłów w Riksdagu do tworzenia prawa napawa natchnieniem nie godło państwowe, lecz ogromnych rozmiarów kompozycja artystyczna przedstawiająca właśnie szkiery.

Linda Lund i Olaf Svensson tak samo kochali słońce, wodę i wiatr jak inni Szwedzi. Spędzali na wyspach każdą wolną chwilę.

Wujek Lindy, komandor Magnus Christian Lund, odszedł ze służby w Szwedzkiej Marynarce Wojennej ponad trzydzieści lat temu. W rodzinie ojca w każdym pokoleniu był ktoś, kto służył zbrojnie ojczyźnie i koronie na wodzie, lądzie lub w powietrzu. Lundowie mogli to z łatwością udowodnić aż do XVI wieku, ale

nikt ich nigdy o to nie pytał. Najsłynniejszy żołnierz z rodziny, Daniel, zginął w boju z rąk Rosjan dziesiątego sierpnia 1808 roku pod Kauhajoki. Linda była pierwszym pokoleniem, które nie wydało żadnego wojskowego.

Przez chwilę, po skończeniu studiów prawniczych w Uppsali, myślała nawet, żeby wstąpić do marynarki, ale propozycję pracy w służbie bezpieczeństwa uznała za ciekawszą. Nawet wtedy nie przypuszczała, jak bardzo ją ta praca zmieni. Jak głębokie wywrze na niej piętno.

Po ubiegłorocznych wydarzeniach w Åkersberdze, kiedy zginął oficer Säpo i doszło do strzelaniny z rosyjskim komandem Garbinowa, Linda jeszcze przez miesiąc trzymała się dobrze.

Potem któregoś ranka niespodziewanie powiedziała Olafowi, że nie może się podnieść z łóżka, nakryła się kołdrą i zaczęła płakać. Gdy nieco się uspokoiła, Olaf mógł wyjść do pracy. Dzwonił do niej wielokrotnie i wydawało mu się, że wszystko jest w porządku. Ale kiedy wrócił, zastał ją w łóżku, w tej samej pozycji, wstrząsaną spazmami. Natychmiast wezwał karetkę.

Następne trzy miesiące Linda spędziła na zwolnieniu w domu wuja Magnusa Christiana w Ajkesvik na wyspie Fårö. Mimo usilnych nacisków, a nawet ukrytych gróźb, nie zgodziła się na opiekę psychologa, twierdząc, że poradzi sobie sama ze swoim problemem. Potrzebuje tylko trochę czasu, ciszy i spokoju.

Od razu wiedziała, że chce jechać do domu wuja nad brzegiem morza. Cisza i jesienny spokój na wyspie, która ma szesnaście na dziewiętnaście kilometrów i leży niemal na środku Bałtyku, mogłyby się wydać mało wiarygodne dla kogoś, kto nie jest Szwedem. A jednak rozszalałe morze i wiatr szarpiący karłowatymi sosnami budowały wprost idealną równowagę psychiczną i przynosiły wewnętrzny spokój. Pozwalały się wyciszyć jak nigdzie indziej.

Ponaddziewięćdziesięcioletni komandor przebywał w ośrodku opieki w Visby na sąsiedniej Gotlandii. Chociaż jego syn, wnukowie i prawnukowie rozbiegli się po świecie w nieustannym poszukiwaniu lepszego życia, to jednak pamiętali o starym Magnusie i chcieli go zabrać do siebie. Miłość komandora do wyspy Fårö, gdzie stacjonowała jego

nieistniejąca już jednostka artylerii nabrzeżnej Gotlands Kustartilleriregemente, KA 3, była jednak silniejsza i wszyscy doskonale go rozumieli.

Linda postanowiła, że przeniesie się na jakiś czas na wyspę i zaopiekuje wujem. Uznała, że musi to zrobić dla niego i dla siebie. Żaden psycholog nie był potrzebny, bo uważała, że nikt nie może zrozumieć, dlaczego człowiek po dziewięćdziesiątce podejmuje cztery próby samobójcze, a nowoczesna medycyna, jak na złość, nie daje mu umrzeć. Jakby się spieszył na miejsce, które sobie wybrał – na cmentarzu przy jedynym kościele na wyspie. Nikt też poza Magnusem Christianem nie był w stanie jej pomóc.

Zabierała go z ośrodka opieki na każdy weekend, by mógł jak najdłużej się cieszyć swoim nadmorskim domem. Mieli umowę, że w tym czasie nie będzie próbował jej uciec. Mógł za to pić ze spodka swoją ulubioną kawę Gevalia. Wystawiali na taras stół, okrywali się kocami i grali w szachy, wsłuchani w szum morza. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o śmierci, choć ona siedziała obok nich jak sędzia, gość honorowy, który chciwie czeka na zbite figury.

Linda czuła, że Magnus Christian jest jedynym człowiekiem, który rozumie, co to śmierć, i może jej wyjawić tę tajemnicę. I gdy tak spoglądał na nią pochylony nad szachownicą, miała wrażenie, że starzec dobrze wie, o co ona chce go zapytać. Obiecała sobie, że zrobi to, kiedy wygra z nim pierwszą partię, ale żadnej nigdy nie skończyli, bo Magnus wcześniej zasypiał.

Jakież było jej rozczarowanie, gdy podczas ich ostatniego spotkania powiedział, że Boga nie ma! Dowodem na jego brak miał być kształt świata – mówił – składający się wyłącznie z cierpienia. Tak czy inaczej wyszło na to, że Magnus Christian nie wie, co jest po drugiej stronie. Może dlatego tak się tam spieszył.

Mimo gwałtownego oporu Olaf spełnił prośbę Lindy i przez trzy miesiące nie odwiedzał jej ani do niej nie dzwonił.

Wróciła odnowiona i pełna życia. Szczęśliwa jak nigdy dotąd, gotowa do pracy i nowych wyzwań. Olaf momentami miał wrażenie, że to ktoś inny, że to już nie jest jego Puchatka, że za

nią nie nadają. Ale ta odmieniona Linda bardzo mu odpowiadała, w dzień i jeszcze bardziej w nocy.

W Sztokholmie czekała ją miła niespodzianka. Zastępca szefa Säpo, Kurt Lövenström, zebrał cały personel Wydziału Wschodniego w sali konferencyjnej i w imieniu premiera przekazał Lindzie Lund, ubranej w granatowy kostium z dużym dekoltem, wyrazy najwyższego uznania za sprawę Jorgensena. Szczeremu do bólu Kurtowi starczyło piętnaście minut na opisanie wszystkich zalet Lindy. Przy okazji skorzystał też trochę Olaf.

Brawa, jakie się potem rozległy, i uśmiechnięte twarze nie pozostawiały złudzeń, że Linda cieszy się szacunkiem kolegów. Najszerzej uśmiechał się Hasan Mardan albo tak się Lindzie wydawało, bo właściwie patrzyła tylko na niego.

Gdy ucichły brawa, Lövenström zupełnie spokojnie oznajmił, że z dniem pierwszym stycznia Linda Lund zostaje zastępcą naczelnika Wydziału Walki z Ekstremizmem. Szeroko otwarte oczy pracowników, a u niektórych również usta, jasno świadczyły, że decyzja kierownictwa Säpo była prawdziwym zaskoczeniem. Nie dla Olafa oczywiście, ale on jak nikt inny wiedział, że Linda musi przejść do innej jednostki, jeżeli chce pracować w Säpo. Utrzymywał to jednak w tajemnicy przed nią aż do tej chwili.

Po odprawie, gdy wszyscy już wyszli po złożeniu gratulacji, Linda zwróciła się do sympatycznie i szelmowsko uśmiechniętego Kurta.

– Rozumiem, że chcesz mnie zapytać, czy jestem zainteresowana objęciem wspomnianego stanowiska, tak? – odezwała się z surowym wyrazem twarzy.

Kurt zareagował jeszcze szerszym uśmiechem, wyraźnie rozbawiony pełnym ironii i godności pytaniem Lindy.

– Więc odpowiadam ci „tak”. – Zawiesiła głos, a Olafowi wydawało się, że jeszcze nigdy nie była taka piękna, taka dumna i twarda. – Po rozważeniu twojej propozycji doszliśmy z Olafem do wniosku... – znów przerwała i po chwili uśmiech rozjaśnił jej oczy i rozlał się na całą twarz – że przyjmuję propozycję! Mam jednak warunek. – Lövenström uniósł siwe

krzaczaste brwi. – Zabieram ze sobą Hasana. Pół Arab, pół Pers, co on robi w kontrwywiadzie?

– Nieźle, Lindo, nieźle! Będzie z ciebie dobry naczelnik. – Kurt był wyraźnie rozbawiony. – Załatwiał to teraz z Olafem Svenssonem. Tylko się nie pokłóćcie... hm... jestem teraz poważnie zainteresowany waszym zgodnym pożyciem... Psiakrew! Nie pomyślałem o tym wcześniej.

Gdy Kurt wyszedł i zostali sami, Olaf jako ostatni złożył Lindzie gratulacje, po czym chwycił ją oburącz w pól, przyciągnął mocno do siebie i zaczął całować, nie zapominając o żadnym miejscu od szyi wzwyż. Po raz pierwszy całował się w siedzibie szwedzkich służb specjalnych przy Polhemsgatan, chociaż pracował tu już prawie dwadzieścia lat.

Kiedyś Linda za coś takiego z pewnością wymierzyłaby mu solidny cios otwartą dłonią, ale teraz zdecydowanie przejęła inicjatywę i nawet nie zapytała, dlaczego nie powiedział jej wcześniej o awansie.

Było też oczywiste, że Hasan Mardan przejdzie razem z nią.

Późna wiosna tego roku była wyjątkowo piękna. Południowa Szwecja zazieleniła się bardzo intensywnie. Temperatura na Fårö dochodziła do dwudziestu ośmiu stopni, co przy bezwietrznej pogodzie dawało znacznie mocniejszy efekt. Na wyspie pojawiło się tak wielu przyjezdnych, że nawet Lisa i Barbro, córki Sylvii, otworzyły wcześniej swoją jedyną na wyspie piekarnię, a właściwie drugi, obok domu Ingmara Bergmana, ośrodek kultury szwedzkiej.

Linda i Olaf postanowili spędzić tydzień w domu Magnusa Christiana, którego miesiąc wcześniej najbliższa rodzina pożegnała na maleńkim cmentarzu po drugiej stronie wyspy. Tym razem komandor przechytrył pielęgniarki oraz nowoczesną medycynę i udało mu się uciec. Pastor w swojej mowie pożegnalnej pominął ten fakt milczeniem i cieszył się ze wszystkimi, że Magnus Christian osiągnął w końcu tak upragniony spokój.

– Olaf! Zdecyduj się w końcu! – Linda odłożyła na stolik książkę Dawkinsa *Bóg urojony*, odczekała jeszcze chwilę i zawołała nieco głośniejszym głosem: – Nie słyszysz?! Olaf!

– Słyszę – niewyraźnie zabrzmiało z wnętrza domu.

Linda, owinięta w stary koc z wielbłądziej wełny, siedziała na dużym drewnianym tarasie z widokiem na dziką kamienistą plażę i spokojne morze. Słońce zbliżało się do horyzontu i od morza ciągnęło już chłodem.

Olaf przyszedł z narzuconym na ramiona grubym gotlandzkim swetrem. Postawił na stoliku talerzyk z pachnącymi cynamonem kanelbullami, które dopiero co przywiózł z piekarni Sylvis Döttrar, i z kubkiem kawy w dłoni usiadł obok Lindy.

Z wnętrza domu, niezbyt głośno, doleciał ich dźwięczny głos Marie Fredriksson: *Jag vill ha ett hus vid havet, där jag kan se på alla båtterna, som lägger till...*

– Niesamowite! Jakby tu była! Ubóstwiam ją... dobrze wybrałeś – z uniesieniem oznajmiła Linda.

– To piękne, ale wolę Evę Dahlgren... – Olaf chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy rozległ się dzwonek jego telefonu. – Nie mogą sobie beze mnie poradzić – rzucił i wszedł do domu.

Wrócił na taras i dopiero wtedy odebrał.

– Witaj, Konrad! – odezwał się po angielsku i po chwili dodał: – Nie... jesteśmy z Lindą na Fårö... w domu jej wuja... – Zamilkł na chwilę, a potem w ciągu prawie dwóch minut powiedział przynajmniej piętnaście razy *yes* i na zakończenie stwierdził: – Sprawa może jeszcze poczekać, ale mimo wszystko dobrze byłoby pogadać... no i... – Znow na moment przerwał i zaraz zakończył krótko: – Czekamy. Do usłyszenia.

Usiadł na leżaku.

– Nie przyjadą? – Linda zamknęła oczy.

– Mają jakąś pilną robotę. Będą w przyszłym tygodniu.

– Nic im nie mówiłeś, że przeszłam do antyterrorystów?

– Skąd!

– Ale zaprosisz mnie na kolację, jak przyjadą? – zapytała z nutką zadufania.

– Jasne, Puchatko! – Pochylił się i pocałował ją w nos.

– Masz już pomysł, jak się dostać do aktywów Carla Jorgensena w Kaliningradzie?

Słońce było już nisko nad horyzontem i nabrało ostrości,

oświetlając na czerwono twarz Lindy.

– Nie mam! To, co zrobiliśmy dotąd, pachnie amatorszczyzną. Zresztą... – Zamyślił się na moment – Teraz to sprawa KSI i zespołu Pera. Ja mam tylko głos doradczy.

– No to dlaczego ty zapraszasz Polaków? – zainteresowała się Linda i uniosła powieki. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że Sara wpadła ci w oko? Olaf! Popatrz na mnie!

Jej głos zabrzmiał zupełnie poważnie, aż Olaf spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nooo... ona jest rzeczywiście atrakcyjna, ale blondynek mamy dostatek...

– Nie takich!

– W porządku! – odparł natychmiast, jakby chciał już zakończyć temat.

Linda zręcznie podchodziła Olafa, który w takich sytuacjach był zakłopotany, bezradny i taki zabawny. Bez trudu mogła go kontrolować.

– Nie wiem dlaczego, ale sprawa tego nielegała, tej Róży Stefanowicz, nie daje mi spokoju...

– To ze sprawy Jorgensena? – przerwała mu Linda.

– Tak! Notatki Hansa to kopalnia informacji. Stary wiedział, co zapisywać, co jest ważne.

Usiadła wygodniej, jakby oczekiwała, że Olaf powie coś ciekawego. Praktycznie od zakończenia sprawy Jorgensenów wlecie ubiegłego roku nie miała już z nią do czynienia. Najpierw trzymiesięczne zwolnienie lekarskie, a potem nowe zadania odsunęły ją od sprawy, którą sama rozpoczęła. W domu Olaf unikał rozmowy na ten temat, bo bał się, że u Lindy może nastąpić nawrót depresji. Bał się, ale w rzeczywistości to on był słabszą połową tego związku.

– Kto to jest Róża Stefanowicz? – zapytała z zaciekawieniem.

– Nie potrafię tego racjonalnie wytłumaczyć, ale postać ta w jakiś dziwny sposób przyciąga moją uwagę. Mam wrażenie, że różni się od wszystkich pozostałych, o których opowiedział nam Jorgensen, jest jakaś inna, tajemnicza...

– To znaczy?

– No, nie wiem! Spośród trzydziestu ośmiu nielegalów KGB

i SWZ to była jedyna Polka, właściwie to był jedyny nielegal z polską tożsamością czy też pod polską flagą. To była też jedyna kobieta, którą KGB przerzucało samą. Jeżeli pojawiały się kobiety, to zawsze w parze z mężczyzną. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku Jorgensen przetrzymywał ją w swojej przechowalni trzy tygodnie. Twierdził, że to była kobieta niezwykła, piękna. Miała wtedy dwadzieścia sześć lat i Jorgensen poczuł do niej coś szczególnego...

– Zauroczenie? Przecież kochał swoją żonę... Ingrid.

– Nic z tych rzeczy! – zdecydowanie odparł Olaf. – Jorgensen ma lekkie odchylenie mistyczne czy coś w tym rodzaju i twierdzi, że Róża Stefanowicz jest teraz gdzieś w pobliżu i odegra jeszcze ważną rolę...

– Gdzie? Co? Jak?! No, rzeczywiście ma odchylenie! – wtrąciła Linda.

– Gdybym ci przytoczył szczegóły tego, co nam powiedział Hans Jorgensen, tobyś nie uwierzyła. Więcej powściągliwości, Puchatko! – Olaf pomyślał przez moment, że Linda może mieć uraz do tej sprawy.

– Niech ci będzie. Co dalej?

– Przyjechała do Szwecji jako Róża Stefanowicz, a wyjechała jako Róża Bielska i wyruszyła gdzieś w świat. Ma teraz sześćdziesiąt jeden lat, czyli jest jeszcze w sile wieku.

Słońce znikło za horyzontem i w dali majaczyło już tylko halo. Zrobiło się nagle zimno. Linda zamilkła i wpatrywała się przez chwilę w morze. Olaf włożył sweter. Siedzieli tak w ciszy kilka minut i wyglądało na to, że oboje myślą o owej tajemniczej Polce.

– Wiesz... może rzeczywiście coś w tym jest – niespodziewanie odezwała się Linda. – To o tym chcesz rozmawiać z Konradem? Może ona była nie radzieckim, tylko polskim nielegalnym albo zrobionym w kooperacji z KGB?

– Jorgensen wykluczył to zdecydowanie. Zresztą nielegalów tak się nie robiło – odpowiedział pewnie Olaf. – Tak, chcę o tym porozmawiać z Konradem, bo ta sprawa nie daje mi spokoju. Zaraziłem się od Hansa czy co?

– Popatrz, Olaf, jest tyle różnych wysp na świecie, ale Fårö jest tylko jedna. Przeszywająca swoją atmosferą i tajemnicą. Widziałam tu kiedyś na plaży kroczącą śmierć w czarnym stroju... i tu... straciłam dziewictwo. Uwierzyłyś? – Olaf spojrzał na nią z lekkim półśmiechem. – Zimno już! – dodała po chwili, podniosła się z leżaka i wchodząc do domu, rzuciła: – Pójdziemy do sauny? A potem poczytamy *Kubusia Puchatka* albo obejrzymy *Lowcę androidów*.

– Mmmm... – zamruczał, wchodząc za nią. – To może najpierw obejrzymy, a potem poczytamy... scenariusze Bergmana.

– Najpierw sauna!

– Trzyyy, cztery...

Zaczęli rozbierać się na wyścigi, rozrzucając po salonie części garderoby. Jego but poszybował tak precyzyjnie, że strącił lampkę ze stolika.

– Zaczekaj! – zawołał Olaf i pobiegł do przedpokoju. Wrócił z kaskiem rowerowym i rzucił go nagiej już Lindzie. – Załóż! Jestem nastawiony dzisiaj bardzo bojowo! – I zaczął niemiłosiernie fałszować *Walkirię*.

– Raszid! – rzucił krótko Sajed i zrobił nieokreślony ruch głową.

Oznaczało to, że chce teraz porozmawiać z Safirem w cztery oczy, a Raszid ma zadbać o ich spokój i bezpieczeństwo.

– Chodź! – Objął gościa ramieniem i wyszli na obszerny taras, z którego rozpościerał się widok na nocną Sanę.

Karola zaskoczyło, że mafradz jest aż tak wysoko. Nigdy nie widział Starego Miasta z góry i teraz poczuł, że jego orientalne piękno w tej księżycowej nocy, tuż po zwrotnikowej burzy, tchnie niebywałym urokiem i pachnie jak cudowny kamienny kwiat. Wydawało mu się, że jeżeli za chwilę rozłoży ręce, to uniesie się i poszybuje nad miastem z tysiąca i jednej nocy.

– Pięknie, prawda? – zapytał Sajed i wziął go za rękę. – Tyle światła i ani jednego neonu Coca-Coli, Nokii czy Forda. Czy to nie jest symboliczne?

– Jest! – odpowiedział Karol z autentycznym przekonaniem. – I niech tak zostanie! Od krzyżowców weźmiemy tyle, ile trzeba. I kiedy trzeba.

– I co trzeba.

Usiedli na miękkich niskich stołkach. Karol nawet nie zauważył, kiedy pojawiły się na tarasie, bo w czasie ulewy z pewnością ich tam nie było.

Zanim rozpoczęli rozmowę, siwy, brodaty Ibrahim w nieświeżej galabii i z patologiczną kifozą postawił na inkrustowanym macią perłową i mosiądzem stoliku pękate szklaneczki, miseczkę z cukrem i dzbanek z herbatą. Nic więcej.

– Masz pilną robotę, Safir – oznajmił Sajed, gdy tylko zostali sami.

Karol, zajęty mieszaniem herbaty, nawet nie zareagował, bo Sajed zawsze zaczynał rozmowę od tego stwierdzenia.

– Posłuchaj. Są dwie sprawy, które musisz załatwić... natychmiast! Potem przyjedziesz do mnie i zdasz mi relację. – Sajed był rozluźniony, mówił cicho, bez wysiłku i patrzył Safirowi prosto w oczy. – Dzieje się coś dziwnego!

– Co? – zapytał Karol, wyraźnie zaskoczony, bo ostatnie słowa

Sajeda zdecydowanie odbiegały od standardu.

– Zapomniałem, jak on się nazywa... – Sajed zmrużył oczy i zaczął nerwowo pocierać palcami.

– Kto?

– Ten Irlandczyk, z którym spotkaliśmy się w Kenii... pamiętasz...

– Oczywiście! Ted Kelly...

– Właśnie! Patrz, Safir, zapomniałem. Chyba dlatego, że od dawna nie mieliśmy z nimi kontaktu. – Sajed zamyślił się na moment. – Z tymi Irlandczykami tak już jest, chodzą własnymi ścieżkami... Jeden Allah wie, co bulgocze w tych tępych irlandzkich łbach... Whisky pewnie.

– Ja ich rozumiem! – wtrącił Karol.

– Nie wątpię. W końcu przez dwa lata byłeś łącznikiem.

– Ted to legenda! Wspaniały człowiek... Kiedyś ci o nim opowiadałem.

– Tak, wy Polacy i Irlandczycy macie coś wspólnego. Odwiecznych wrogów! Oni Anglików, a wy Rosjan. I zamiłowanie do wódki! Kiedyś o tym pogadamy, może jak wrócisz...

– Ale o co chodzi? – Karol się zaniepokoił.

– Kelly przekazał nam przez Hadziego, że chce się pilnie spotkać w jakiejś nadzwyczaj ważnej sprawie.

– Dlaczego kontaktuje się przez Hadziego? – Karol uniósł nieco głos. – Miał tego nie robić, ma przecież stały kontakt na Abdula... co jest? Zgubili numer telefonu czy zapomnieli? – Rozłożył ręce.

– No właśnie! Dlatego mówię, że masz dwie sprawy do załatwienia. – Sajed pokiwał głową i pogładził oburącz brodę, co robił tylko wtedy, gdy szukał kontaktu z Allahem.

Karol zastanowił się przez moment.

– Myślisz...? – zapytał w końcu.

– Na to wygląda – odparł Sajed.

– Muszę to rozważyć...

– Safir! – ciągnął Sajed coraz chłodniejszym tonem. – To ty wprowadziłeś Abdula i dałeś mu rekomendację, chociaż wiedziałeś, że nie znoszę Francuzów. Ufam ci jednak bardziej

niż komukolwiek i zgodziłem się na tego Tunezyjczyka...

– W porządku, Sajed. W porządku. – Karol poczuł się nieswojo.

Natychmiast zrozumiał, że ma poważny problem do rozwiązania, a Sajed oczekuje od niego konkretnej propozycji. Tu i teraz.

Po raz pierwszy od jedenastu lat coś zazgrzytało.

Na taras wszedł Ibrahim, jakby jeszcze bardziej zgarbiony, i postawił na stoliku daktylę i figi. Zajęło mu to prawie dwie minuty, dokładnie tyle, ile potrzebował Karol, by zastanowić się nad odpowiedzią.

– Od ciebie zależy, którą ścieżką pójdziesz, i niech ci Allah pomoże wybrać tę jedyną, prawdziwą. Masz trudny wybór, ale my też. Rozumiesz? – Sajed skończył i czekał na ruch Safira.

– No dobrze – odparł Karol, kryjąc zaniepokojenie. – Telefon od Kelly'ego do Hadżiego z pominięciem Abdula może świadczyć o tym, że stracili do niego zaufanie i woleli ruszyć kanał, którego nie powinni wykorzystywać do łączności. Znaczy, że woleli zaryzykować, bo jest pewniejszy niż Abdul. – Zamilkł na moment i zobaczył, że Sajed drugi raz tego wieczoru pociera rękami brodę. – Wiedzą, że Abdul zdradził!

– Też tak uważam – odezwał się Sajed.

– Sądzę jednak, że Irlandczycy muszą mieć do nas naprawdę ważną sprawę...

– I pewnie nie chodzi im o Abdula.

– Oczywiście!

– A co z Abdulem? – zapytał Sajed, jakby chciał zignorować ostatnie słowa Safira.

– Przecież nie spotkam się z Irlandczykami, zanim się nie dowiem, o co chodzi z tym Abdulem. To wszystko jest niejasne, podejrzan.

– Safir, bracie! – Sajed położył mu rękę na ramieniu. – Niech cię Allah prowadzi! Wracaj jak najszybciej. – Popatrzył mu prosto w oczy i dodał: – A teraz odpocznij. Ibrahim zaprowadzi cię na kwatere.

Na korytarzu Karol spotkał Raszida. Powiedział mu, że jutro wyjeżdża, i pożegnali się serdecznie. Raszid, który najwyraźniej

szedł do Sajeda, nie zapytał, kiedy znowu przyjedzie, i Karol od razu się domyślił, że wie o sprawie Abdula.

Wszystko wskazywało na to, że musi jak najszybciej porozmawiać z profesorem Ahmedem. Było źle, a mogło być jeszcze gorzej.

– Bładź! Nic nie poznają! – odezwał się Jagan z tylnego siedzenia.

– To dawny prospekt Pobiedy, teraz imienia Władimira Władimirowicza – wyjaśnił beznamiętnie Gruzow, a Jagan od razu pomyślał o swoim kizlyarze i poczuł, jak smok poruszył się nerwowo.

– Dużo się zmieniło. Miasto prawie nie do poznania... wiele się buduje – rzucił Zaricki.

– Moskwa, Kadyrow, mafia... wszyscy inwestują, bo to też jakiś sposób na lepsze jutro dla Czeczenów. Ludzie są zmęczeni, chcą choć trochę normalności – dodał Gruzow.

– Ładnie tu się zrobiło, ale to wciąż Czeczenia – wymamrotał Jagan.

– W Gudermesie byłeś? – zapytał Zaricki.

– W ubiegłym roku... – Jagan obserwował szybko przesuwane się widoki za oknem samochodu. – Ładnie odbudowany. – Po chwili dodał: – Patrzcie, jakimi samochodami tu jeżdżą! Mała Moskwa czy co?

– Co ty, starszyna, Czeczenów nie znasz? – zapytał Zaricki i wyrzucił papierosa przez okno. – Rubelek dla brata, rubelek dla żony, rubelek dla dziadka, rubelek dla miasta i sto dla mnie.

– To prywatyzacja po kaukasku... zresztą u nas jest tak samo. I tak te pieniądze kiedyś gdzieś zainwestują – skomentował Gruzow.

– Pies ich jebał! – rzucił niespodziewanie Jagan. – Nie podoba mi się to. Bładź, przecież my za to płacimy! A za dwa, trzy lata znów to trzeba będzie rozwałać. Gruzow! – Walnął go dłonią w ramię. – Dwie smiertnice wybuchły niedawno w metrze w Moskwie. Oglądaliśmy je. Pamiętasz?

– Pamiętam. No i co?

– To my im budujemy miasta, te ulice i domy, a one przyjeżdżają robić u nas fajerwerki!

– Trubow! Coś ty się z kija urwał? – smętnie, ale konkretnie odparł Gruzow i wszyscy zamilkli.

Jagan był w Groznych ostatni raz w 2003 roku, a to przejazdem. Nie lubił tego miasta. Lubił za to i znał Gudermes, bo tam stacjonowała kiedyś jego jednostka.

Wynikało to może z tego, że pamiętał, jakie klęski ponieśli Rosjanie w walce z góralami, i to w mieście. Przekroczyli wtedy normalny poziom hańby i na myśl o tym wciąż czuł przyływ wściekłości wymieszanej z bezsilnością. Najgorszy stan ducha, jaki może się przytrafić rosyjskiemu żołnierzowi specnazu. Tylko pawia puścić!

A może Jagan w ogóle nie potrafił sobie wyobrazić, że musiałby walczyć w mieście. Tyle ulic, domów, ludzi... jak mógłby w każdym z nich wyczuć niebezpieczeństwo?

Nie próbował tego dotąd. Wiedział, że jego niezwykły dar demaskacji zagrożenia, ujawnienia planów czyhającej w pobliżu śmierci na nic by się nie zdał w mieście, szczególnie takim jak Grozny.

Dlatego postanowił kiedyś, że w górach musi być lepszy od górali, i nieźle mu się to udawało, chociaż sam pochodził z Omska. Muhamedow szybko poznał sierżanta Andrieja Trubowa z imienia i nazwiska, choć normalnie nie interesowali go podoficerowie.

– Dojeżdżamy! – odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu Jura Kosow, który prowadził samochód. – Która godzina? – zapytał. – W tym gracie nie działa zegar.

– Osiemnasta dwadzieścia pięć – odpowiedział Jagan, nie patrząc na zegarek.

– To nie żaden grat, tylko dobrze zamaskowany samochód grupy specjalnej połączonych służb specjalnych Federacji Rosyjskiej – zauważył dowcipnie Gruzow, ale nikt nie zareagował na jego słowa.

Jechali szerokim, czystym prospektem między nowymi domami o jasnych elewacjach. Na końcowym odcinku ulica przechodziła w promenadę obsadzoną młodymi drzewami, które rozdzielały oba pasy ruchu. Po chwili wyjechali na ogromny plac zajmowany przez monumentalny meczet.

Zaczęło się już ściemniać i włączone zostało oświetlenie budowli przypominającej Hagia Sofia w Stambule. Cztery

wysokie, wyjątkowo smukłe minarety o ostrych szczytach wyrastały na rogach meczetu, jakby miały go bronić przed niewidzialnym wrogiem. Tysiące świateł dodawało świątyni więcej dramatyzmu niż majestatu.

Kosow zwolnił i wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się w ten widok. Jagan pomyślał, że minarety stoją wbrew prawom fizyki i każdy z pewnością pięknie by się zwałił od jednego celnego trafienia z RPG.

Skręcili w lewo, w sześciopasmową aleję, i w ciszy minęli meczet po prawej stronie. Po trzystu metrach dojechali do stojącego opodal skrzyżowania nowego dziesięciopiętrowego apartamentowca.

– Jesteśmy na miejscu – zakomunikował Zaricki, blisko czterdziestoletni major. – To ten dom po lewej... najwyższe piętro.

Kosow i Jagan musieli się pochylić, żeby spojrzeć w górę.

– Ostatnie trzy okna po prawej – dodał Zaricki.

– Ciemno – rzucił Kosow.

– Dobrze! Tak miało być!

– No... to co? – wtrącił Gruzow. – Zaczynamy?

– Dowodzi Fiedieralnaja Służba Biezopasnosti. Panowie oficerowie, czekamy na sygnał! – Zaricki przypomniał, że od tej chwili gospodarzem sprawy jest wywiad wojskowy.

– Długo? – zapytał Kosow.

– Wysłałem SMS-a... i czekamy.

Na parkingu przed domem stało kilka samochodów. Dwa SUV-y, kilka bmw, mercedes i dalej w rzędzie inne, nie mniej okazałe pojazdy. Stary opel astra z 1998, najwyższej z 1999 roku wyraźnie się odróżniał. Jagan wyczuł to natychmiast.

– Spierdalamy stąd – rzucił cicho.

– Co jest, Trubow? – odezwał się nieco zaskoczony Gruzow.

– Spierdalamy i już! – powtórzył bardziej zdecydowanie Jagan. – Sto osiem metrów za nami jest budynek administracji miasta. Wyglądamy w tym gruchocie, jakbyśmy chcieli zrobić jakieś bum, jak niedorobieni amatorzy Umarowa z Emiratu Kaukaskiego... Spierdalamy!

– Jagan ma rację. Słyszałeś, Zaricki! – Kosow włączył silnik

i wrzucił jedynekę, aż zazgrzytała skrzynia biegów.

– Bez nerwów – spokojnie zareagował Zaricki. – Wszystko jest pod kontrolą. Co ty, kurwa, myślisz, Trubow, że nie wiedzieliśmy, gdzie stoi ten budynek? W tym domu mieszkają ludzie Kadyrowa i Muhamedow wiedział, gdzie zrobić swoją kryjówkę. Pod latarnią najciemniej... nie?!

Gruzow przez całą drogę palił papierosy i wyglądał, jakby denerwował się bardziej od innych.

Smród papierosów Marlboro nie pozostawiał wątpliwości co do źródła ich pochodzenia, ale paradoksalnie to dobrze świadczyło o Gruzowie, który musiał kupować je taniej na bazarze. Oryginalne fajki palili tylko ci oficerowie, których było na nie stać. Dlatego pewnie Gruzow mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat – choć wyglądał na więcej – wciąż był majorem i musiał ryzykować życie, zamiast łowić ryby kijem Megabass Diablo Slant Bridge z kołowrotkiem Stella Shimano.

Gruzow pstryknął niedopałkiem przez okno i o mało nie trafił podjeżdżającego motocyklisty bez kasku, w czarnej skórce, który zatrzymał się cztery metry dalej, pochylił i bez słowa zajrzał do wnętrza samochodu. Po chwili podjechał drugi motocyklista w identycznej czarnej skórce i stanął obok.

Jagan delikatnie, powoli, wciąż patrząc w kierunku motocyklistów, wyjął spod kurtki swojego skorpiona model 61, odbezpieczył go i położył na kolanach.

– Nie rób głupstw – wyszeptał Gruzow. – Schowaj to, bo nie wyjedziemy z Groznego żywi...

– *Wy kto?* – zapytał twardo po rosyjsku z kaukaskim akcentem pierwszy motocyklista. – Czego tu?

– Daj porozmawiać, przyjacielu! – zaczął Gruzow pojednawczo.

Drugi motocyklista przejechał parę metrów dalej i stanął przed samochodem, najwyraźniej schodząc z możliwej linii strzału.

Zanim Gruzow zdążył otworzyć drzwi samochodu, obaj motocykliści błyskawicznie rozpięli kurtki i sprawnym ruchem wyjęły pistolety.

Mimo że było już ciemno, Jagan dostrzegł, że Czeczeni mają wypasione, najnowsze dziewięćmilimetrowe skorpiony

model 91, i od razu pomyślał, że coś jest nie w porządku ze sprawiedliwością na świecie, a w każdym razie sporo jest na tym polu do zrobienia, przynajmniej w Rosji.

– Nooo... Ruski, tylko bez numerów! – krzyknął ten, który stał z przodu. – Bo będziemy strzelać!

– Nie chcemy kłopotów. Jesteśmy z Federalnej Służby Bezpieczeństwa. – Gruzow wysiadł z samochodu i podniósł ręce. – Teraz sięgnę do kieszeni po legitymację, dobrze? – I zaczął powoli opuszczać jedną rękę.

Jagan obserwował Gruzowa i jednocześnie odciągnął zamek, który cicho zadzwieczał. Szybko ocenił, że sytuacja nie jest dobra, bo Gruzow zasłania mu motocyklistę, a drugi Czeczen stoi przed maską, poza zasięgiem strzału.

– Spokojnie! – bardzo cicho powiedział Zaricki.

Motocyklista wciąż uważnie obserwował samochód i Gruzowa. Po chwili dał mu znak automatem, żeby się zbliżył. Gdy ten był już półtora metra przed nim, kazał mu stanąć. Gruzow powoli wyjął swoją legitymację i wręczył motocyklistę.

Chciał opuścić ręce, ale nie dostał pozwolenia.

– Zadzwoń do Fiołkina! – zaproponował.

– Nie bądź taki mądry, Ruski! Wiem, co mam robić – odparł sucho pewny siebie Czeczen.

Jedną ręką wyjął krótkofalówkę, nacisnął przycisk i z głośnika odezwał się skrzeczący, niezrozumiały głos. Przez chwilę motocyklista, nie spuszczając wzroku z samochodu i Gruzowa, rozmawiał z kimś po czeczeńsku.

Jagan zrozumiał tylko słowa „opel astra” i „Gruzow”. Upłynęło dokładnie dwie i pół minuty, zanim ponownie odezwała się krótkofalówka. Czeczen powiedział kilka słów, czegoś wysłuchał i w końcu się rozłączył. Oddał legitymację Gruzowowi, a pistolet schował pod kurtkę. Wrzucił nogą biegi i bez słowa odjechał. Po kilku sekundach ruszył za nim drugi motocyklista.

– No i co teraz?! Kurwa! – zaczął Kosow, gdy tylko Gruzow wsiadł do samochodu. – Zaraz pół Groznego będzie wiedziało, że czterech facetów z FSB stoi w tym gracie, i to akurat pod tym domem. Nie sądzisz, że Kadyrowa zainteresuje, co tu robimy?

– ciągnął spokojnie i logicznie. – Czy ta nasza akcja ma jeszcze sens? Żaden Czeczen nie ufa drugiemu...

– Robimy tak, jak było zaplanowane! – zdecydowanie przerwał mu Jagan i schował swój automat.

W samochodzie zaległa cisza. Nie było najmniejszej wątpliwości, że wszyscy chcą kontynuować operację, bo namierzenie lokalu konspiracyjnego Muhamedowa kosztowało ich dużo pracy, pieniędzy i czasu. I mogło w końcu doprowadzić do rozbicia tej najniebezpieczniejszej, bo najinteligentniejszej grupy na Kaukazie, a może i w całej Rosji. Nie mówili o tym, ale każdy z nich wiedział, że powodzenie akcji może kiedyś uratować czyjeś życie. Rosyjskie na pewno – pomyślał Jagan.

Jura Kosow też tak myślał, ale był oficerem wywiadu, czyli działał w służbie, w której często forma przerasta treść, i dlatego czasami, w trudnych sytuacjach, stawiał niepotrzebne pytania. Trubow, Zaricki i Gruzow byli inni. Wiedzieli, że to misja bojowa i rozterki Jury, choć może i słuszne, nie popchną sprawy. Oczywiście wzrósł teraz stopień zagrożenia, ale w tej profesji to nie pierwszyna.

To, co się przed chwilą stało, wyzwoliło w Jaganie znane mu miłe uczucie podniecenia bojowego. Poczul, że dwugłowy smok na jego plecach drży i lekko się porusza. Odsunął się więc od oparcia, by dać mu więcej miejsca.

– *Kazak! Mołodiec Andriej!* – Zaricki bez cienia dwuznaczności skomentował decyzję Jagana i było już oczywiste, że Jura Kosow jest w mniejszości. – Czyli co? Zaczynamy!

Konrad wrócił ze spotkania z Szefem Agencji na Miłobędzkiej w gorszym nastroju, niż był rano, kiedy tam jechał. Prosił o to spotkanie od kilku dni, bo sprawa pod kryptonimem „Zaraza” nabierała coraz szybszego tempa i nie mógł podejmować wszystkich decyzji sam. Ale Szef wciąż był zajęty, jakby Karol Hamond niemal nic nie znaczył dla Agencji Wywiadu. Jakby wszystko inne miało pierwszeństwo. Konradowi trudno było to zrozumieć, bo po odejściu generała Pęka wydawało się, że może być już tylko lepiej.

Nie była to też kwestia osobistego stosunku nowego Szefa do Konrada, bo znali się od kilku lat i chociaż nie było w tej znajomości ani krzty sympatii, to nie było też niechęci. Właściwie ich drogi zawodowe nigdy się ze sobą nie skrzyżowały. Biegły równolegle, jak drogi wielu innych.

Podczas wyproszonego dwugodzinnego spotkania Szef zadał raptem cztery pytania dotyczące Safira, w tym jedno o jakąś datę. Chwilami można było pomyśleć, że ta sprawa po prostu go nie obchodzi, ale to nie mogło być prawdą.

Najważniejszą od lat, przełomową informację, że partnerzy brytyjscy z SIS pozyskali do współpracy wiedeńskiego łącznika Al-Kaidy, który został włączony do struktur Bazy z rekomendacji Safira i miał być skrzynką kontaktową z Irlandczykami, Szef skwitował pytaniem, kiedy ten człowiek został zwerbowany. Mimo że milczenie Szefa drażniło Konrada do żywego, to jednak mogło być też uznane za błogosławieństwo. Dawało praktycznie wolną rękę w działaniu. Tak czy inaczej Konrad nie był przyzwyczajony do takiego prowadzenia spraw i odczuwał silny dyskomfort.

Ten przykry stan pogłębiła druga część rozmowy, w której Szef niezwykle się ożywił, gdy usłyszał o konieczności powołania Międzywydziałowego Zespołu Analitycznego do spraw Oceny Stanu Zagrożeń Terrorystycznych dla Bezpieczeństwa Publicznego Rzeczypospolitej Polskiej. Nagle się okazało, że świetnie włada językiem polskim i jest nawet swoistym erudyta.

Wydawało się, że to nie ujęcie Safira, lecz oczekiwane przez kierownictwo państwa powołanie zespołu będzie prawdziwym wkładem AW w walkę z międzynarodowym terroryzmem. I tego właśnie Konrad nie mógł zrozumieć. Podejrzewał oczywiście, co może się za tym kryć, ale ta myśl była tak irracjonalna, że nie mogła się przebić przez jego zawodową prostolinijność.

Najgorsza była jednak trzecia część spotkania. Bo o ile dwie pierwsze mieściły się w schemacie dysfunkcji zawodowych, o tyle ostatnia dotyczyła Konrada osobiście. Po raz kolejny zreferował Szefowi sytuację Sary i Wydziału „Q” w związku z prowadzonym dochodzeniem w sprawie „Travisa”. Wskazywał, że nie może być tak, by trup w szafie generała Pęka niszczył – przy pomocy dyżurnych prokuratorów – najlepszych oficerów.

Początkowo, jak zawsze do tej pory, Szef zadeklarował solidarność, pomoc i wszystko, co mieściło się w jego możliwościach. Tym razem jednak zrobił poważny błąd. Wyraził współczucie. Słowo to, wzmocnione bezbarwnym spojrzeniem, było dla Konrada wręcz krwawo czytelne, bo oznaczało, że Szefowi jest obojętne, co się dalej stanie, i że nie zamierza angażować się w sprawę.

Była za kwadrans pierwsza i Konrad jechał na dwudzieste piętro. Wydawało mu się, że winda porusza się wolniej niż zwykle, jakby ją ciągnęły niedożywione osły. Właściwie nie miał ochoty wracać do Wydziału, bo wiedział, że będzie musiał wszystko opowiedzieć Sarze. A jeśli się z tym spóźni, to Sara będzie miała słuszną pretensję, że jej nie uprzedził, i wyjdzie na to, że jest zbyt miękki.

Konrad zalogował się do kamery, która odczytała biometr jego twarzy, i wszedł do Wydziału. Zanim dotarł do swojego gabinetu, pozaglądał przez oszklone drzwi do pokoi po obu stronach korytarza. Sara siedziała za biurkiem i zawzięcie pisała coś na komputerze. Marcin przechadzał się nerwowo, wymachując jedną ręką, a drugą przyciskając do ucha telefon. U M-Irka były jak zwykle opuszczone żaluzje. W innych pokojach można było dostrzec umiarkowany ruch, jakby

wszyscy jeszcze nie przywykli do tego, że dzień pracy już dawno się rozpoczął.

Konradowi wydawało się, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nawet sekretarka Ewa sprawiała wrażenie nieobecnej. Przez moment pomyślał, że biuro opanował jakiś tajemniczy wirus, a on sam stał się niewidzialny.

Postanowił jednak sprawdzić prawdziwość swoich podejrzeń i nacisnął na intercomie przycisk z napisem „Sara”.

Na jej telefonie wyświetlił się napis „Konrad” i Sara podniosła głowę znad komputera, spojrzała przez szyby na Konrada i równocześnie zapytała jakby nieco zdezorientowana:

– No... co jest?

– Przyjdź do mnie... albo nie, ja przyjdę – rzucił i rozłączył się.

Przeszedł do jej pokoju, usiadł w fotelu i już miał zacząć opowiadać o wizycie na Miłobędzkiej, gdy Sara z głośnym trzaskiem zapaliła papierosa.

– Dlaczego używasz takiej niewygodnej męskiej zapalniczki? To jakiś szpan czy pamiątka po... nim? – Konrad po raz pierwszy zapytał o to, o co chciał ją zapytać od zawsze. Zrobił to tak spontanicznie, że aż się zawstydził. – Mogłabyś rzucić palenie! – dodał świadomy bezsensu tego, co powiedział.

– Co z tobą, Konrad? – Sara uniosła brwi i założyła nogę na nogę. – Coś się stało?

Kurwa! – zaklął w duchu. Że też ona zawsze mnie wyczuje...

– Co się stało?

– Nie, nic! – skłamał, przygryzł dolną wargę i zdecydował, że porozmawia z nią w bardziej sprzyjających okolicznościach.

– Gdybym cię nie znała, to pomyślałabym, że rzuciła cię dziewczyna albo, co gorsza, ktoś ci porysował saaba... 900i... turbo. Tak?

Konrad zmienił zdanie i chciał już wszystko powiedzieć, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy. Znał tę melodię – to był jego ulubiony motyw z piosenki Cata Stevensa i Sara o tym wiedziała. Kiedyś nawet miał pewne podejrzenia, dlaczego ściągnęła sobie ten utwór na prywatną komórkę.

Zdążyli wysłuchać sporego kawałka melodii, nim odnalazła telefon w torebce. Konrad chciał już wyjść, ale dała mu ręką

znak, żeby został.

Była trzynasta pięćdziesiąt sześć.

– Cześć, Jacek! Kopę lat! – zaczęła Sara, niby uradowana z telefonu.

Konrad od razu zrozumiał, że to Jacek Morawiec, szef ochrony hotelu Marriott, były oficer Wydziału Wschodniego kontrwywiadu ABW i dawny chłopak Sary. Razem byli w szkole wywiadu w Kiejkutach i potem jeszcze przez pół roku ze sobą chodzili. Rozstanie wymusiły alkoholowe problemy Jacka, lecz, jak zawsze twierdziła Sara, pozostali przyjaciółmi. Wkrótce odszedł też z ABW, z tych samych powodów.

– Poczekaj – odezwała się do Jacka i zwróciła do Konrada: – Coś dziwnego dzieje się w Marrioticie. Jacek? Słyszysz mnie dobrze? Jest u mnie Konrad... przełączę na głośniki... mów.

– Dobrze. – Konrad rozpoznał podniecony głos Morawca. – Słuchajcie uważnie. Minutę temu zadzwoniła do mnie jedna ze sprzątaczek. Przez przypadek weszła do pokoju... apartamentu i zobaczyła coś dziwnego. Przy stole siedziało kilku facetów, którzy bardzo się zdenerwowali jej niespodziewanym wtargnięciem i zaczęli chować pod stół jakieś papiery. Ale żeby było dziwniej... trzech facetów to Azjaci. Sprawdziłem. Pokój jest na Szweda, Gustava Winklunda. Oni tam teraz są...

– Może to jacyś biznesmeni? – zapytała zaciekawiona Sara.

– No... może... może nie?! Jednak znam tę sprzątaczkę. Była wyraźnie przerażona...

– Może to mafia? – wtrącił Konrad.

– Słuchajcie! – rzucił wyraźnie podniecony Jacek. – Coś tu nie gra! Ale jak was to nie interesuje...

– Daj spokój – odezwała się Sara. – Oczywiście, że nas interesuje! Co to za Azjaci? Zapytaj tej sprzątaczkę. Chińczycy, Japończycy...?

– Na głowę upadłaś! Ona rozróżnia co najwyżej białych, czarnych i żółtych...

– Okay! Weź z recepcji dane tego Szweda i podaj nam datę urodzenia i numer paszportu...

– Czekaj... – Jacek ściszył głos. – Czekaj... – Na chwilę w głośnikach zaległa cisza. – Ty... Sara... oni właśnie

wychodzą... Trzech Azjatów w garniturach i dwóch białych...
Coś dziwnego! Są mocno zdenerwowani!

– Zrób im zdjęcie – rzucił Konrad.

– Nie mam jak!

– Co się dzieje? Jacek?! – Sara poczuła wyraźne podniecenie.

– Jeden poszedł płacić do recepcji... przeszli obok mnie, jestem w holu.

– Jacek! Słuchaj! Jedź za nimi! Trzymaj telefon włączony...

– Żółci wsiadają do taksówki...

– Zajmij się białym! – Atmosfera w pokoju Sary z sekundy na sekundę stawała się coraz bardziej napięta.

– Biały wyraźnie czeka na tamtego, co płaci... Jest zdenerwowany!

Konrad poderwał się nagle z fotela i pobiegł do pokoju Marcina.

– Motor masz?

– Mam... ale...

Marcin zamarł ze zdziwienia.

– Pędem na motor! Włącz telefon i załóż słuchawki...

Tamten stał, jakby ogłuchł.

– Już! Zasuвай! Dostaniesz dyspozycje!

Marcin chwycił kask, skórzaną kurtkę i pobiegł w kierunku wyjścia. Konrad wrócił do pokoju Sary, która z wypiekami na twarzy zrelacjonowała mu sytuację:

– Jacek w tej chwili ruszył taksówką za tym młodszym... białym. Stary... ten Szwed... właśnie wsiadł do drugiej taksówki hotelowej. Jacek zna kierowcę. Zaraz zadzwoni do operatora i zapyta, dokąd jadą.

– Marcin na swoim motorze czeka już na dole – powiedział z satysfakcją Konrad.

– Mądry chłopiec! – rzuciła Sara, mocno już pobudzona.

Telefon nie zdążył nawet zagrać pierwszych pięciu nut *Morning has broken*, kiedy Sara nerwowo nacisnęła zielony przycisk i zaraz przełączyła na głośnik.

– Jadą na lotnisko! Stoją w korku w Alejach – usłyszeli głos Jacka. – Ja jadę za tym młodszym w kierunku Wilanowa.

– Trzymaj się blisko, ale nie daj się złapać – powiedział

Konrad, choć Jacek po służbie w kontrwywiadzie powinien znać zasady prowadzenia obserwacji. – Chyba nie zapomniałeś? Bądź cały czas na linii. Nie wyłączaj się!

Wyjął swojego iPhone'a i wybrał numer Marcina.

– Gdzie jesteście?

– Stoję pod naszym budynkiem.

– Zapamiętaj! Taksówka, czarny mercedes 300 z logo hotelu Marriott, numer rejestracyjny WE 195610... Zapamiętałeś?

– Oczywiście, szefie!

Marcin był absolutnie szczęśliwy, bo niczego tak nie lubił jak spontanicznych akcji, a szczególnie teraz, kiedy był na swoim własnym motorze Harley-Davidson. To nasze pierwsze wspólne zadanie – pomyślał całkiem poważnie.

– Ta taksówka stoi teraz gdzieś w Alejach Jerozolimskich i jedzie na Okęcie. W środku jest starszy facet. Musisz być na lotnisku przed nim. Rozumiesz?

– Jasne, szefie!

– Skończ z tym szefem! – wkurzył się Konrad. – Jak przyjedzie, pójdziesz za nim i ustalisz, dokąd leci. Zrozumiałeś?

– Jasne, sz...

– My dzwoniemy do Straży Granicznej, żeby go dokładnie przetrzepali przy heimannie. Pójdziesz do nich i sprawdzisz, co ten facet ma przy sobie.

– Czego szukać, szefie? – Marcin mówił głośno, żeby przekrzyczeć warkot motoru.

– Nie mam pojęcia. Czegokolwiek! Po prostu zobacz, co ma ze sobą. – Konrad zorientował się, że dał się ponieść emocjom i zapomniał o elementarnych zasadach pracy operacyjnej.

– Widzę! Widzę taksówkę! – krzyknął Marcin, aż Konradem rzuciło.

– Dobrze. Grzej na lotnisko! Tylko się nie rozłączaj i nie zabij się, na litość boską!

Nagle w pokoju zalega cisza. Konrad i Sara patrzyli na siebie w napięciu. Coś się stało, coś dziwnego, więcej – niezwykłego!

Gdzieś tam, w hotelu Marriott, jakaś niepozorna sprzątaczką zobaczyła na dwudziestym trzecim piętrze coś, czego prawdopodobnie nie powinna była zobaczyć. Potem dziwna

siła kazała jej zadzwonić do szefa ochrony i mu o tym opowiedzieć. Mało osób w hotelu wiedziało, że Jacek Morawiec był dobrym oficerem kontrwywiadu, a jeszcze mniej – że przez pół roku chodził z Sarą Korską. A już tylko ona wiedziała, że jak Jacek coś wyniucha, to nie wolno tego lekceważyć.

Konrad zaś ufał Sarze bardziej niż sobie samemu.

Oboje teraz stali i patrzyli sobie w oczy jak w końcowej scenie odcinka wenezuelskiej telenoweli i choć wydawało im się, że upływają minuty, to naprawdę trwało to tylko kilka sekund.

Nie wiedzieli jeszcze, że będzie to najważniejsza sprawa w ich życiu. Na razie czuli tylko lekki dreszcz emocji.

Rano Karol wypożyczył białą toyotę corolla, model z przełomu wieków.

Nigdy nie korzystał dwa razy z tej samej wypożyczalni, ale teraz miał mało czasu i zdecydował się na garaż U Jusufa przy ulicy Zubairi, z drugiej strony okazałego budynku Banku Islamskiego. Ostatni raz brał tam samochód dwa lata temu, więc ryzyko było minimalne.

Pracownik z niedbale zawiązaną na głowie kefiją, przeraźliwie chudy i z trzydniowym białosinym zarostem, sprawiał wrażenie, jakby nie obchodziło go nic poza khatem, którego potężna porcja wypychała mu policzek. Skserował paszport Karola, nawet go nie przejrzawszy, i gdyby był wystawiony na prezydenta Saliha albo Michelle Obamę, też pewnie by tego nie zauważył. Karol zapłacił za dwa dni sto pięćdziesiąt dolarów.

Dochodziła dziewiąta rano. Do Adenu było ponad trzysta pięćdziesiąt kilometrów i mimo że droga wydawała się całkiem dobra, wiedział, że nie zdąży dojechać na miejsce przed zachodem słońca. I o to mu chodziło.

Dlatego kiedy po kilku kilometrach się zorientował, że klimatyzacja w samochodzie nie działa, od razu zrezygnował z reklamacji. W końcu w Adenie planował spędzić tylko kilka godzin.

Musiał się spotkać z profesorem Ahmedem al-Husajnem. To było ważne. Bardzo ważne!

Samolot powrotny z Sany do Stambułu miał dopiero następnego dnia wieczorem. Nie mógł się jednak spóźnić, bo w Wiedniu musiał załatwić pilną sprawę. Nie zastanawiał się nad tym teraz, bo sądził, że to zadanie jest proste, podobne do wielu innych, jakie dotąd realizował.

Na początku, kiedy wstąpił do Al-Kaidy, był łącznikiem. Z czasem zaczął wykonywać coraz ważniejsze i trudniejsze zadania. Spotkał się kilka razy z Osamą i wielokrotnie z Ajmanem. Wyraźnie przypadł im do gustu, bo od tego czasu całe otoczenie zaczęło go traktować jak świątobliwego imama dżihadu. Zrazu czuł się wyróżniony, potem zaczęło go to

śmieszyć. W końcu przestał zwracać na to uwagę. Teraz jednak zachowanie Sajeda, którego przecież znał jak nikogo w Bazie, wskazywało, że choć nadal postrzega otoczenie tak, jak postrzegał, to jednak ono samo się zmieniło. Zdał sobie sprawę, że jest jednym z najstarszych żyjących bojowników, choć nie pełni żadnej funkcji kierowniczej. Od sześciu lat nie był też w Pakistanie ani Afganistanie i od dawna nie miał już bezpośredniego kontaktu z Osamą, który zginął, tak jak oczekiwał, męczeńską śmiercią. Może dlatego Karol wciąż podążał swoją drogą. Niebezpieczeństwo mogło się jednak czaić gdzie indziej.

Sajed mówił o Tunezyjczyku Abdulu, jakby winił Sajeda za wprowadzenie go do Bazy. Ale w grę wchodziła też znacznie gorsza sytuacja: Abdul mógł już wcześniej pracować dla CIA albo Mosadu i było tylko kwestią czasu, kiedy wrogowie uderzą w organizację. Czyli on, Safir as-Salam, może odegrać teraz rolę przynęty. Ta myśl napawała go niepokojem i coraz bardziej dodawał gazu, by jak najszybciej zobaczyć się z profesorem.

To oczywiście, że Sajed może tak myśleć – skonstatował w duchu – skoro i ja w końcu poczułem, że coś tu nie gra. Pewnie gdybym inaczej ocenił sprawę Abdula... próbował go tłumaczyć... nie wyjechałbym już z Sany... Ale skąd o tym wiedzą Irlandczycy?

Nie podejrzewał wcześniej, by Sajed był aż tak przebiegły. Co gorsza, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, po jakim kruchym lodzie on sam stąpa. I nie chodziło tu o dżihad, chodziło o sprawy wewnętrzne. Kiedyś tak nie było. Więcej, był przekonany, że to on steruje Sajedem. Dopiero teraz coś zazgrzytało w jego rewolucyjnej misji. Rzeczywiście sprawa Abdula z Wiednia mogła mieć dla Bazy katastrofalne skutki, ale kiedy pomyślał, że mogłaby tym samym zniweczyć jego misję, zaczął wyciskać ze starej toyoty ostatnie siły, wbrew martwemu prędkościomierzowi i charczącej skrzyni biegów.

Nawet przez chwilę nie pomyślał o Zuzie.

Do Adenu zostało niewiele ponad dwadzieścia kilometrów. Zatrzymał samochód na poboczu i wysiadł, żeby chwilę odpocząć.

Na południu było znacznie goręcej niż w Sanie. Karol stał oparty o samochód i obserwował, jak czerwona tarcza słońca powoli znika za poszarpanymi szczytami Dżabal Charaz. Czekał, aż zapadnie zmrok, by wjechać do Adenu. Tu się urodził, to było jego miasto i znało go tutaj wiele osób, musiał więc uważać bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Słońce znikło, pozostawiając po sobie płonące niebo, i Karolowi się wydawało, że skryło się szybciej niż zwykle. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i wrzucił je do samochodu. Odszedł parę metrów dalej od drogi, wybrał odpowiednie miejsce i stanął twarzą w kierunku Mekki. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz odmawiał maghrib, ale teraz poczuł silną potrzebę. Znacznie większą niż kiedykolwiek przedtem.

Do Adenu wjechał drogą od północy, gdy było już zupełnie ciemno. Szeroką aleją przez Al-Mansuri, potem minął po prawej meczet Redha w Szeich Othman i dotarł do Damby. Tak nazywała się dwupasmowa droga wybudowana na adeńskiej lagunie. W dzień było stamtąd widać góry otaczające port i stada brodzących flamingów. Karol bardzo lubił ten widok, ale teraz mógł go sobie tylko wyobrazić. Od pięciu lat nie był w Adenie w ciągu dnia.

Jechał, obserwując kolorowe światła miasta, które odbijały się w granatowej wodzie zatoki.

Noc była ciemna o tej porze roku, więc musiał uważać bardziej niż zwykle, bo uliczne latarnie dawały słabe światło i nie wszystkie działały.

Damba miała niewiele ponad sześć kilometrów długości, więc Karol się nie spieszył. Był już u kresu drogi i bał się, by zmęczenie i jakiś fatalny przypadek nie spowodowały niepotrzebnego zagrożenia.

Po kilku minutach dojechał do Chormaksaru. Kiedyś była tu baza brytyjskiego RAF-u i najlepsza dzielnica willowa Adenu, dzisiaj mocno już podupadła. Rodzice Karola przez kilka lat wynajmowali tu dom, lecz po jakimś czasie przenieśli się do nowych bloków w Al-Maali, bliżej portu.

Profesor Ahmed al-Husajn miał siedemdziesiąt dwa lata i był szczupłym, niewysokim mężczyzną o ciemnej karnacji

i regularnych rysach. Trudno było jednak nazwać go starcem.

Gęste, kręcone włosy, mocno przeplatane srebrem, nosił krótko obcięte. Karol uważał, że dodają jego twarzy niezwyklego dramatyzmu i dostojeństwa, lecz w gruncie rzeczy profesor był typowym jemeńskim Arabem.

Mieszkał w Chormaksarze, w małym mieszkaniu zniszczonego dwupiętrowego bloku na osiedlu, którego patronem był niegdyś Karol Marks. W czasach istnienia Ludowo-Demokratycznej Republiki Jemenu miał to być wzór i przykład nowej socjalistycznej rzeczywistości. Po epoce nierealnego radzieckiego socjalizmu na skrawku Półwyspu Arabskiego profesorowi pozostało tylko to zniszczone mieszkanie z pięknym widokiem na szeroką plażę w Ibjan i turkusowe wody Zatoki Adeńskiej.

W lipcu 2006 roku w Bejrucie odłamek izraelskiej bomby uszkodził Ahmedowi kręgosłup, powodując częściowy niedowład prawej części ciała i utratę wzroku. Zatem piękny widok z okna pozostał dlań tylko wspomnieniem, wzbogaconym przez szum morza.

Nigdy wcześniej profesor nie był w Bejrucie. Kiedy rozpoczęło się izraelskie bombardowanie, gościł w Libanie po raz pierwszy na zaproszenie Arabskiego Związku Pisarzy. Nie miał żadnej bliskiej rodziny, bo wcześniejsza przygoda z marksizmem wykluczyła go z klanu na zawsze. Tak to wyglądało na zewnątrz, bo w rzeczywistości jego życie toczyło się gdzie indziej.

Mimo kalectwa radził sobie nadzwyczaj dobrze. Wyglądał, jakby utrata wzroku i możliwości pisania nie tylko mu nie przeszkadzała, ale wręcz dodała impetu jego aktywności intelektualnej. Dawni uczniowie i koledzy z uniwersytetu wyposażyli go w dyktafon, radio i łączność satelitarną, więc miał całkiem niezłe możliwości komunikowania się ze światem. Kiedy tylko wyszedł ze szpitala w Damaszku, stwierdził, że nie potrzebuje żadnej rehabilitacji. Nie narzekał też na brak towarzystwa i kontaktów z kolegami, którzy opiekowali się nim solidarnie, tym bardziej że uniwersytet był niedaleko. W ostatnim czasie profesor stał się nawet jeszcze większym

autorytetem dla małego grona adeńskich intelektualistów, jakby przez swoje kalectwo odnalazł dostęp do tajemnej wiedzy i mądrości, jaką Allah obdarza wyłącznie ślepców. Karol doskonale wiedział, że profesor dostąpił owej mądrości znacznie wcześniej, zanim został ranny.

Karol Hamond, Safir as-Salam ibn Butrus, był w życiu profesora kimś wyjątkowym. Nieporównywalnym z nikim innym. Jakby wyznaczonym przez Boga Jedyneego Wszechmocnego do naprawy świata, budowy jego nowych fundamentów, szerzenia sprawiedliwości i wiedzy. Był kimś więcej niż tylko jego przybrany synem. Ahmed darzył go uczuciem tak silnym, że miłość wydawała się przy nim czymś prostym i śmiesznym. Dlatego okaleczenie uznał za nic nieznaczący wypadek. Wydawało mu się czasem, że izraelski F-16, którego nawet nie widział, nigdy się nie pojawił na błękitnym niebie nad Bejrutem.

Do dziś nie potrafił określić, kim jest dla niego ten młody człowiek, który z jego woli przyjął imię Safir as-Salam ibn Butrus i stał się wojownikiem mądrości Allaha, żołnierzem Mahdiego.

Choć jemeńskie służby specjalne naciskały go co jakiś czas, by sobie przypomnieć, gdzie może być Safir, zawsze odpowiadał, że nie wie. A zawsze wiedział, gdzie jest. Tak jak teraz, gdy Karol wszedł do jego mieszkania.

– *Salam alejkum*, mahdi! – powiedział niezbyt głośno i z wyraźnym wzruszeniem, po czym przyklęknął obok wielkiego fotela, obitego mocno wytartym bordowym pluszem.

Drobna postać Ahmeda wyglądała na nim jak kukielka uwięziona w ogromnym cielsku tajemniczego stwora.

Ujął oburącz jego prawą rękę i pocałował, dotknął jej czołem i chciał ponownie pocałować, kiedy profesor powolnym, lecz zdecydowanym ruchem wyciągnął ją i położył mu niepewnie na głowie.

– *Wa alejkum as-salam* – odparł. – Ile razy mam ci powtarzać, synu, że nie jestem mahdim? Na niego wciąż czekamy i nie wzywaj jego imienia nadaremno. Przyjdzie, cierpliwości. – Uśmiechnął się. – Ale bardzo lubię ten twój

chrześcijański mistycyzm... to takie poetyckie... Wstań. – Podniósł go z kolan i objął. – Która jest godzina? – zapytał.

– Za dwadzieścia dwunasta – odparł Karol.

– Zawsze przyjeżdżasz do mnie w nocy... Rozumiem. To dobrze. – Przerwał i po chwili zapytał: – Ile masz czasu? Do świtu? – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – A co to jest świt? – uśmiechnął się gorzko.

– Dla mnie jesteś mahdim! Ja już się doczekałem, a nie jestem Arabem, profesorze. Zresztą lubię to słowo, ma w sobie tyle dostojeństwa... – Karol usiadł na wytartym skórzanym pufie i skrzyżował nogi.

– Przyjechałeś bezpośrednio z Sany? Na pewno jesteś głodny... W lodówce jest jedzenie, które zrobiła Adila. Idź, weź sobie...

Podniósł się z pufy, którego wysuszona skóra cicho zaskrzypiała. Po chwili dała się słyszeć lecąca z kranu woda.

– Tamia i kuszari! Mniam... Zjesz też? – odezwał się z głębi kuchni.

– Nie, dziękuję! Już jadłem.

– Adila przychodzi codziennie? – zapytał, gdy wrócił do pokoju.

Profesor uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Wiedziałem, że to ty, kiedy tylko wszedłeś. Odwiedza mnie wielu przyjaciół, ale tylko ciebie poznaję od razu.

– Powinieneś się zamykać... – odparł Karol i na chwilę zamilkli.

– Czy zamknięte drzwi mogą mnie uchronić przed niebezpieczeństwem? – zapytał Ahmed z ledwo uchwytną ironią.

Karol chciał już nakazać mu większą ostrożność, lecz nie zdążył, bo miał pełne usta, i profesor odpowiedział sobie sam:

– Przed jakim niebezpieczeństwem? Zamknięte drzwi to niewola. Czy bezbronny człowiek może się bać?

Karol skończył jeść, wytarł twarz i ręce i wyniósł talerz do kuchni.

– Nie zmywaj! – zawołał profesor, wyczuwając, co Safir chce zrobić. – Adila zorientuje się rano, że ktoś u mnie był. Niewidomy nie pozmywa przecież jedną ręką.

Nieduży pokój profesora nie przypominał typowych arabskich mieszkań. Wielki pluszowy fotel, dwa inkrustowane miedzią stare fotele, biurko w tym samym stylu oraz kilka wytartych skórzanych pufów. Wszystko tonęło w bezmiarze wszechobecnych książek w różnych językach i rozmiarach, starych i nowych. To właśnie one decydowały o charakterze tego pokoju. Czuć było, jak suma tysięcy dusz uwiecznionych między okładkami łączy się z zapachem słonej bryzy znad Zatoki Adeńskiej w magiczną siłę dżina mądrości.

Kiedyś miały pełną wolność i leżały wszędzie, niektóre otwarte, inne czekające na swoją kolejkę, a inne właśnie spełnione. Teraz stały równo na półkach, niepotrzebne już swojemu panu.

Centralne miejsce na ścianie naprzeciwko okna zajmowało czarno-białe zdjęcie człowieka o uśmiechu, który wciąż porusza dusze Arabów. I nie był to ani Omar Sharif, ani Osama bin Laden. To był Gamal Abdel Naser z wąsikami przypominającym Clarka Gable'a z *Przeminęło z wiatrem*. Zdjęcie wisiało w tym samym miejscu od zawsze i Karol przez moment się zastanawiał, czy profesor o nim pamięta i czy w ogóle ma ono dla niego jeszcze jakieś znaczenie.

– Przywiozłem ci trochę audiobooków – przypomniał sobie i wyjął z torby nieduży pakiet. – Polecam ci książki Stiega Larssona. Teraz cały świat się nimi zachwyca.

– Co to za literatura?

– Kryminały... po angielsku...

– Dziękuję! Chętnie posłucham – powiedział profesor i niespodziewanie zapytał: – Co się dzieje? Czy coś się stało? Jesteś jakiś dziwny... inny.

– Nie, nic. Jestem trochę zmęczony... Klimatyzacja w samochodzie nie działała i jechałem przy otwartym oknie. – Karol próbował nieudolnie się tłumaczyć, choć słowa Ahmeda wcale go nie zaskoczyły, bo przyjechał, żeby porozmawiać o Sajedzie i Zuzie.

– Nie kłam, synu! – Profesor uśmiechnął się z dobrze dobraną odmianą goryczy. – Czy coś się stało? – powtórzył.

– Wczoraj w Sanie spotkałem się z Sajedem... – zaczął niepewnie Karol, a Ahmed poprawił się w fotelu. – Nie wiem,

jak to powiedzieć... ale po raz pierwszy miałem dziwne odczucie, że coś jest nie tak...

– Nie ufa ci? – wtrącił profesor z przekonaniem.

– Tak. Właśnie tak! – potwierdził Karol. – Mam poważne obawy, że Sajed niewłaściwie ocenia sytuację i może popełnić błąd, który będzie nas drogo kosztować.

– O co chodzi? – Z twarzy profesora znikł ostatni ślad uśmiechu.

Karol opowiedział ze szczegółami o spotkaniu z Raszidem i Sajedem w Sanie. Starał się nie pominąć żadnego szczegółu, toteż mówił powoli i dobierał oszczędnie słowa. Dbał, by zachować chronologię wydarzeń i przedstawić wszystkie fakty tak wiernie, jak to tylko było możliwe. Dopiero na samym końcu zwierzył się ze swoich niepokojów względem Sajeda i Raszida.

– Czyli obawiasz się, że nawet jeżeli Abdul przyzna się do zdrady, a Irlandczycy to potwierdzą, Sajed wciąż może powątpiewać w twoją lojalność? – zapytał profesor.

– Otóż to! – odparł Karol. – Myślę, że po załatwieniu sprawy Abdula będzie chciał mnie wyeliminować... zapobiegawczo. W pewnym sensie nawet go rozumiem, ale przecież jestem czysty. Nie możemy się na to zgodzić! – I po chwili nieco spokojniejszym tonem zapytał: – Co powinniśmy zrobić?

Profesor siedział wyprostowany w fotelu. Martwe oczy miał zamknięte. Przez moment wyglądał, jakby zasnął, lecz jego drżące usta świadczyły o czymś innym. Karol również zamilkł i na dłuższą chwilę pokój wypełniła cisza, lekko zakłócona szumem morza.

– Obawiam się, synu, że twoje podejrzenia są uzasadnione – odezwał się w końcu Ahmed. – Wstępując na drogę dżihadu, walki w Bazie, byłeś na to przygotowany. Mówiłem ci o tym przecież... Sajed i Raszid też są na to przygotowani. Dotyczy to ich w takim samym stopniu jak ciebie, a może nawet w większym. Oni jednak o nas nie wiedzą i dlatego mamy przewagę. Problem w tym, że mogą zaszkodzić naszej misji, a bez nich znacznie trudniej będzie nam ją wypełnić.

– To co mam robić? Przecież nie zabiję teraz Sajeda, nie

zdezerteruję... Dlaczego? Dlaczego mi nie ufają?

– To za mocne słowo! To nie tak. Sam powiedziałeś, że w pewnym sensie go rozumiesz. – Profesor był wyraźnie przekonany do tego, co mówił. – Musisz się zdać na wolę Allaha, ale wykonać zadanie... tego Abdula... tak? Najlepiej jak potrafisz. Prawda ci pomoże! Jestem tego pewny.

Karol spojrział na profesora, który kiwnął w jego kierunku głową, jakby właśnie na chwilę odzyskał wzrok i chciał powiedzieć coś ważnego. Wydawało się, że patrzą sobie w oczy jak kiedyś przed laty, kiedy Ahmed odkrywał przed nim świat islamu i budził jego młodzieńczą żarliwość.

– Synu, ty nie tylko jesteś muzułmaninem. Ty jesteś islamistą, rewolucjonistą. Twoja wiara jest doskonalsza i czystsza niż moja czy Sajeda. Przyjąłeś ją świadomy swojej potrzeby i misji, jednak dla Sajeda nigdy nie będziesz *dar al-islam*, ale też nie jesteś *dar al-harb*...

– Zdaję sobie sprawę...

– Sajed nie rozumie jeszcze, co to jest *dar al-szahada*, ale to nawet dobrze. Powinieneś to wszystko wiedzieć. Urodziłeś się między nami... rozmawialiśmy o tym. Dlatego martwi mnie twoje zaskoczenie tą sytuacją. Wygląda to tak, jakbyś stracił poczucie naszej misji, równowagi i zrozumienia dla woli Allaha. Ja doskonale wiem, że tak nie jest, ale skoro ja odnoszę takie wrażenie, to co dopiero Sajed! Jednak to ty przejrzałeś go wcześniej. To daje nam przewagę.

– Nie! To nie jest tak! – Karol zareagował emocjonalnie, choć wiedział, że profesor celowo go prowokował.

– Synu! – Ahmed podniósł głos. – Musisz nieustannie ćwiczyć się w takiji! Bez tego cię stracę... Dzięki niej trwamy w naszej walce od setek lat! – Przerwał na moment i po chwili dodał: – Nie zapominaj, że klan Sajeda ma beduińskie korzenie, bardzo odległe, stare... ale jednak!

Karol pokiwał ze zrozumieniem głową, bo wiedział doskonale, co profesor ma na myśli. Wiedział aż nadto dobrze, że Beduini związki klanowe przedkładają nad wszystkie inne, a islam traktują płytko, lecz niezwykle poważnie. I choć Sajed był wykształcony na Zachodzie, to jego pustynna mentalność

pozostała aż nadto widoczna.

– Al-Kaida i nasza rewolucja to przymierze meczetu i bazaru, a Sajed wyśmieniecie to symbolizuje. Musisz o tym wciąż pamiętać, synu! W tym nasza nadzieja... Będziemy czekać na Mahdiego i następne tysiąc lat, ale jak...

– ...jak będziemy się pilnie uczyć i wierzyć, wtedy przyjdzie wcześniej – dokończył Safir. – Ja to przecież wiem!

– Kiedyś ci tłumaczyłem, jaka jest różnica między konwersją w chrześcijaństwie a riddą w islamie. Zapomniałeś? Konwersja to dar boży, nawrócenie niewiernego. Tak może patrzeć na ciebie Raszid i wielu innych muzułmanów, ale dla Sajeda, który zna Zachód, jesteś kimś w rodzaju transwestyty i nigdy nie będziesz dla niego prawdziwym wahabitą. On może sobie tego nie uzmysławia, ale tak czuje. Jakobini też wiedzieli, że zagraniczni rewolucjoniści nie są pewnymi przyjaciółmi. Sajed jest jakobinem!

– Ale ja jestem jedyny. Beze mnie Baza będzie mieć kłopoty... i co wtedy z naszą walką?

– Dlatego zdaj się na wolę Allaha, ale bądź ostrożny. Zrób, co do ciebie należy, i bądź pewien, że Sajed nie jest głupcem. Bóg go oświeci. W to nie wątpię. A jak nie... to... to pamiętaj o *dawa dzadida*, w Nowym Nauczaniu znajdziesz odpowiedź! Nie zaniedbuj się, synu.

Zamilkli. To, co powiedział profesor, wydawało się tak oczywiste, że nie można było nic dodać. Karol się tego spodziewał, zanim jeszcze wyjechał z Sany, ale chciał to usłyszeć z ust Ahmeda. To on przekonał go do islamu, zainteresował walką i polecił odpowiednim braciom i świątobliwym imamom. Karol dobrze wiedział, że profesor nie tylko dobrze mu życzy, lecz także bierze za niego odpowiedzialność znacznie większą, niż ojciec może wziąć za syna.

Profesor Ahmed al-Husajn z Uniwersytetu w Adenie był w swoim czasie najbliższym przyjacielem ojca Karola, Piotra Hamonda, który przez dwadzieścia jeden lat pracował jako główny technolog w tamtejszej rafinerii ropy.

Ahmed i Piotr spędzali razem wiele godzin, dyskutując

o literaturze, polityce, religii, a Karol przysłuchiwał się ich rozmowom. Piotr był człowiekiem niezwykle otwartym i tolerancyjnym. Nakłaniał syna, by starał się poznać i zrozumieć Arabów, ich kulturę i religię. Był dla niego wzorem i ideałem. Najbliższym przyjacielem i najwyższym autorytetem. Dlatego do imienia, które nadał mu profesor, dobrał sobie „ibn Butrus” – syn Piotra.

Wówczas wydawało mu się, że ojciec będzie zawsze. Chciał się od niego uczyć, poznawać świat, nowych bohaterów, podróżować w nieznaną, tajemniczą miejsca i przeżywać przygody, otoczony jego opieką i mądrością.

Wszystko znikło w jednej chwili, kiedy Piotr zginął w wypadku samochodowym w drodze do Sany. Jego volkswagen zderzył się czołowo z ciężarówką na prostej pustynnej drodze. Kierowca twierdził potem, że golf zjechał ze swojego pasa wprost pod jego koła. Potwierdził to oficjalny raport policji i na tym sprawa się zakończyła. Nie dla Karola jednak. Długo nie mógł uwierzyć w śmierć ojca. Wydawało mu się, że on tylko gdzieś wyjechał i że za chwilę wszystko będzie tak jak wcześniej. Nie pomogła opieka zorganizowana przez znajomych, a przede wszystkim przez profesora Ahmeda, i Karol popadł w głęboką depresję. Wymagał profesjonalnej pomocy medycznej.

Wysłany został do dziadków w Polsce, i to nie tylko dlatego, że w Jemenie trudno było o właściwą opiekę. W ich opowiadaniach, wygrzebywanych na strychu zdjęciach, zabawkach i książkach, we wszystkim, co kiedyś należało do ojca, odnajdywał przynajmniej jakąś jego część, a tego właśnie najbardziej potrzebował.

Z czasem uporządkował swoje uczucia i w pamięci utrwalił mu się idealny obraz ojca. Taki jak w piosence *Father and Son* Cata Stevensa.

Wtedy Karol zaczął mocno tęsknić za Jemenem, miejscem najszcześniejszych chwil młodości. Do Adenu przyjeżdżał coraz częściej i zawsze zatrzymywał się w mieszkaniu z widokiem na morze, na osiedlu imienia Karola Marksa w Chormaksarze. Dokładnie tak jak teraz.

I wciąż wydawało mu się, że ojciec żyje, przemieniony za pomocą magii w profesora Ahmeda al-Husajna. W jego baśniowym Adenie czas się zatrzymał.

– Może zrobię herbaty? – zapytał Karol.

– Która jest godzina?

– Po pierwszej...

– Tak mi się wydawało. To ciekawe! Zaczynam wyczuwać upływ czas... po odgłosach miasta. – Profesor pochylił się do przodu, wziął laskę i zadziwiająco sprawnie się podniósł. – Dobrze, synu, zrób herbaty, chętnie się napiję.

Safir poderwał się, żeby go podtrzymać, ale Ahmed dał ręką znak, że sam sobie poradzi.

– Rozmawiałeś z Wandą? – zapytał niespodziewanie.

– Nie – odparł Karol zgodnie z prawdą.

– Safir... jak długo tak można...?

– Nic się nie zmieniło! To wciąż jest ta sama osoba, a ja chciałbym uwierzyć, że to jest moja matka. – Karol był coraz bardziej poruszony. – Przypomnij sobie, jak się wówczas zachowywała, co mówiła.

– Dzwoni do mnie kilka razy w miesiącu. Prosi, żebyś się z nią skontaktował. Zrób to. Proszę cię.

– To dobrze, że cierpi! – powiedział Karol z satysfakcją w głosie. – Wiem, że tego nie chcesz, bo ją kochałeś. Kochałeś, prawda? Powiedz! – To pytanie wyrzucił z siebie po raz pierwszy. Trochę niezamierzenie i niezdarnie, ale szczerze. – Przepraszam – powiedział po chwili. – Nie chciałem cię...

– Nic się nie stało – odparł spokojnie profesor. – Wanda jest twoją matką i bardzo cierpi. Nawet jeżeli cię skrzywdziła, nie możesz jej karać do końca życia. – Nie odpowiedział na pytanie Karola. – Dzwoniła do mnie dwa miesiące temu i błagała, żebym ci przekazał jej nowy adres i numer telefonu. Prosiła, żebyś się z nią skontaktował.

– Po co? Przecież twój telefon jest na podsłuchu...

– Nie ten. – Z kieszeni spodni profesor wyjął aparat komórkowy. – Dostałem go od naszych braci...

– To i tak nie jest bezpieczne. – Karol zgasił jego zadowolenie.

– Od kogo konkretnie go dostałeś? W ten sposób mogą mnie

namierzyć.

– Nie martw się! Wszystko w porządku. Dał mi go ktoś od nas.

– A może to ona... Rozumiesz?!

– Oszalałeś?! – oburzył się Ahmed. – Jak możesz?! Ona wciąż płacze... Nie wie, czy w ogóle żyjesz.

– Niech płacze! Może zadzwonić do dziadków w Polsce. Oni wiedzą, że żyję – rzucił bez przekonania i trochę niepewnie zapytał: – Chyba jej nie powiedziałaś...?

– Nie! – przerwał mu profesor. – Tak jak poprzednio powiedziałem jej, że nie widziałem cię od pięciu lat, ale ona i tak w to nie wierzy.

– Ile razy dzwoniła od naszego poprzedniego spotkania?

– Trzy razy. – Profesor wciąż próbował przekonać Karola. – Nie zostawiaj jej tak. Zrób coś! – Pogrzebał przez moment w kieszeni i wyjął karteczkę. – Tu jest jej numer telefonu i adres. – Wyciągnął rękę w jego kierunku.

Po dłuższej chwili daremnego oczekiwania położył kartkę delikatnie na skraju inkrustowanego stolika. Jednak to nie reakcja Karola go dotknęła. Znał go od dziecka, właściwie uczestniczył w jego wychowaniu i nigdy nie dał po sobie poznać, jakim uczuciem darzył jego matkę.

Gdybym miał oczy – pomyślał – Safir pewnie bez najmniejszych trudności wyczytałby z nich teraz prawdę.

– Masz płytę z koncertu Mohammada Abdo? – odezwał się Karol z głębi pokoju i profesorowi ulżyło, że zmienił temat.

– Tak. Dostałem niedawno od Omara Tahiego... Pamiętasz go?

– Oczywiście! Mogę puścić?

Nie czekając na zgodę, włożył płytę do szufladki CD i po chwili pomieszczenie wypełniły zespolone dźwięki wielu skrzypiec. Karol ściszył odtwarzacz.

– Gdzie jesteś? Powiedz coś! – odezwał się Ahmed, nagle dziwnie zaniepokojony, chociaż było oczywiste, że Safir jest w pokoju. – Jesteś? Chodź. – Wyciągnął rękę. – Usiądź... tu! – Wskazał puf obok fotela.

Karol usiadł i wziął rękę profesora w obie dłonie. Spojrzał na jego twarz, na której rysowała się bezsilność kaleki.

Działo się to tak szybko, że poczuł niepokój. Profesora widział

takim po raz pierwszy. Jego oblicze, zawsze pełne spokoju i zadumy, wydawało się potwierdzeniem mądrości i wiary, jeszcze silniejszym, odkąd został okaleczony. Że jego uśmiech nabral gorkiego wyrazu, to było oczywiste, ale Safir nigdy nie zauważył, by profesor się bał.

Zrobiło mu się smutno. Ogarnęło go zakłopotanie. Ahmed wyglądał, jakby prosił o pomoc, a to było przecież niemożliwe. To on przyjeżdżał do niego po radę i naukę. Wydawało się, że profesor stracił na moment orientację, jakby nie wiedział, gdzie jest, co się dzieje.

Karol dotknął czołem dłoni starego człowieka i poczuł, jak wypełnia go ciepło spokoju i pewności siebie. To był właśnie ten magiczny związek, jaki łączył Braci Czystości, ich niezłomna siła i nadzieja. Związek między nim, Safirem as-Salamem, dai-kabirem, uczniem, a jego imamem, profesorem Ahmedem al-Husajnem. To było tak, jakby dotykając go czołem, przejmował na siebie wszystkie jego ludzkie słabości, jakich nie może przecież mieć Szajch al-Dżabal.

– Opowiedz mi teraz o nich... o Czterech Źródłach... Czy są już gotowi? – zaczął profesor, wciąż pozwalając Safirowi trzymać swoją dłoń.

– Myślę, że są już gotowi, efendi – odpowiedział Karol z ociąganiem.

– To świetnie. – Profesor pochylił głowę i zamknął oczy.

– Czas na baję...

– Sam odbierz od nich przysięgę, synu... Doszedłem do wniosku, że tym razem odstąpimy od zasad. Taka nasza wewnętrzna takijja. – Profesor uśmiechnął się, ale Karol w skupieniu patrzył gdzieś przed siebie. – Staną się naszymi braćmi fidai i nikt nie powinien o nich wiedzieć.

– Trzeba koniecznie podziękować dai-duatowi Wysokich Gór, efendi – wtrącił Safir. – To wybitny zespół, są wspaniali. Takich braci jeszcze nie mieliśmy...

– Już się tym zająłem.

– Od początku zapowiadali się wyjątkowo. Mówiłem ci o tym wcześniej. Dai-duat włożył w nich dużo pracy. Przez ostatnie trzy lata ćwiczyli z niezwykłym zapałem i prawdziwym

oddaniem sprawie...

– To twoja zasługa, synu. Allah nagrodzi cię za wierną służbę.

– Jestem jego wiernym sługą i wszystkich Braci Czystości, efendi!

– Podoba mi się, jak mówisz do mnie „efendi”. Wolę to niż „mahdi”... – rzekł profesor i obaj roześmiali się, pierwszy raz tej nocy. – Wciąż są w Warszawie?

– Od trzech miesięcy ćwiczą i uczą się w pewnej miejscowości na północ od Warszawy, gdzie kupiłem małą posiadłość.

– Dobrze! Teraz musimy przygotować dla nich zadanie, ale nie będziemy się spieszyć. To musi być coś, co wstrząśnie bezdusznymi ludźmi, wiernymi i niewiernymi, i zmieni ten świat na lepsze. Ich poświęcenie i męczeństwo nie mogą pójść na marne... Musisz jeszcze tylko pilnie załatwić sprawę Abdula.

– Profesor wyciągnął swoją dłoń z rąk Karola, pogładził się po policzku i zaczął cicho się modlić.

Safir również rozpoczął recytację.

Gdy po kilkunastu minutach skończyli, nie rozmawiali już więcej o Czterech Źródłach. Co będzie dalej, obaj wiedzieli bardzo dobrze. Pokora dla słów i swoboda myśli pozwalały panować nad emocjami. Właśnie dzięki temu bracia mogli przetrwać setki lat i niezauważeni kontynuować swoją misję.

Resztę nocy spędzili na rozmowie podobnej to tych wszystkich, jakie dotąd prowadzili. Profesor właściwie nie powiedział nic nowego. Ale Karol potrzebował jedynie moralnego i intelektualnego wsparcia swojego przewodnika. Każda rozmowa z Ahmedem dodawała mu sił. Pozwalała jeszcze mocniej wierzyć, że kroczy we właściwym kierunku i że nie jest sam.

Profesor opowiedział, jak radziecki wywiad próbował wykorzystywać Jemeńczyków do infiltracji mudżahedinów w czasie wojny w Afganistanie.

– To islam pokonał Rosjan, to my pokonaliśmy w końcu to bezbożne mocarstwo. Stingery i islam! Czyli to, co jest nam teraz najbardziej potrzebne, modernizacja bez *gharbzadegi*, zachodniego zatrucia. Islam, nowoczesna technologia i nasza bomba demograficzna, potężniejsza niż atom. Spójrz na

Bractwo Muzułmańskie, jaką mądrą przeszli ewolucję! To fundamenty rozwoju cywilizacji islamu i w tym kierunku musimy zmierzać. To przyszłość i zwycięstwo! Przyszłość islamu zależy od takich ludzi jak szejk Tarik Ramadan, od Internetu, mediów w służbie Allaha. Dlatego Al-Kaida, Ajman, Sajed, Raszid i wielu innych wahabitów musi wypełnić samobójczą misję. – Profesor jasno wykladał swoje racje. – A my, Bracia Czystości, musimy im w tym pomóc. Czyż to, co się teraz dzieje w królestwie Allaha, nie jest sygnałem, że wysłuchał naszych modlitw, że nasza walka służy Bogu i naszym narodom?

– Allah jest wielki, a Mahomet jest jego prorokiem – wyszeptał Karol i obtarł twarz dłońmi.

– Nasza walka potrwa jeszcze długo i będzie niebezpieczna, ale widać już świt... Bóg jest wielki! – wyrecytował profesor bez śladu patosu, zwyczajnie, tak jak zawsze.

Gdzieś z odległego meczetu ostry głos muezina przypomniał, że jest już czwarta nad ranem. Wraz z nim przez szeroko otwarte okno wpłynęła do pokoju fala świeżego, rześkiego powietrza znad morza. Profesor właśnie skończył recytować fragmenty ody Ibrahima al-Jazidziego – „Ocknijcie się, Arabowie, obudźcie się!” – i sentymentalnie stwierdził, że to motto jego młodości straciło już nieco swój sens. Teraz Algierczyków, Jordañczyków, Egipcjan czy Syryjczyków znów zaczyna łączyć język arabski i jego poezja. Łączy ich nie tylko islam, łączy ich coś więcej – świadomość celu, wolności.

– „Naszego celu poszukujemy za pomocą miecza, ponieważ to, do czego dążymy, jest w ten sposób lepiej zapewnione” – zakończył profesor cytatem z Al-Jazidziego i kazał Safirowi iść spać.

Nie chciał jego pomocy i sprawnie sam przygotował sobie łóżko. Karol położył się na tapczanie w kuchni przy szeroko otwartym oknie.

Zaczynało już świtać. Nie mógł zasnąć, tak był pobudzony rozmową z profesorem, którego spokojny oddech dochodził z głębi małego mieszkania.

Po cichu wszedł do pokoju Ahmeda i sięgnął po pierwszą

z brzegu książkę. Były to wiersze Hawiego. Przez moment się zawahał, bo nie był pewien, czy jest w nastroju na arabską poezję. Uznał jednak, że to dobry wybór, bo już dawno nie czytał wierszy. Kiedy już stamtąd wychodził, dostrzegł na krawędzi inkrustowanego stolika, obok fotela profesora, złożoną na pół, trochę pomiętą białą karteczkę. Zatrzymał się niepewny tego, o czym pomyślał. Po chwili wyciągnął rękę, która jakby wbrew jego woli wzięła kartkę.

Położył się na łóżku, wyciągnął na plecach i obserwował jaśniejące nad nim niebo. Po chwili podniósł się i włożył kartkę do książki Hawiego.

Przez cały wieczór pamiętał, że musi porozmawiać z profesorem o Zuzie. Był na to przygotowany i potrzebował tego. Może nawet bardziej niż rozmowy o Sajedzie. Odkąd jednak zapytał Ahmeda, czy kochał jego matkę, nie było już miejsca na rozmowę o innej kobiecie.

Posiedział jeszcze na brzegu łóżka. Próbował zapanować nad oddechem i zmierzył sobie tętno. W końcu postanowił, że pójdzie wykąpać się w morzu. Potem poćwiczy na plaży Shen Tong Jia Chi Fa, raz, a może nawet dwa razy. Wróci do domu, weźmie prysznic i pojedzie z powrotem do Sany. Nie będzie budził profesora.

Prześpi się w samolocie.

Jagan nawet nie musiał specjalnie sprawdzać. Mieszkanie było puste, po prostu o tym wiedział. Jura Kosow trzymał straż na klatce schodowej, kiedy bez trudu poradził sobie z zamkiem. Trwało to może minutę.

Weszli do środka, nie zapalając światła, i starali się zachowywać możliwie najciszej. Skromnie umeblowane mieszkanie składało się z trzech pokoi, obszernej kuchni, toalety i łazienki. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest niezamieszkałe, tylko wykorzystywane okazjonalnie.

Jura sprawdził wszystkie pomieszczenia pod kątem ukrytych pułapek, sygnalizatorów, czujników i kamer. Detektor nic nie wykazał i od tego momentu mogli rozmawiać i poruszać się swobodnie. Po kilku minutach przyszli Zaricki i Gruzow. Przynieśli dwie duże zielone torby i położyli je na tapczanie.

Wszyscy zebrali się w kuchni i Zaricki przypomniał, co kto ma robić i co jest zabronione. Nie wolno było otwierać okien, zapalać światła, głośno mówić i spuszczać wody. Wolno było palić. Dwóch śpi, dwóch dyżuruje. Broń załadowana, pod ręką. Oko Proroka podłączone do wizjera w drzwiach i jeden z nich stale kontroluje obraz na monitorze komputera.

Na tym polegała zasadzka, organizowana przez trzech oficerów i jednego podoficera trzech rosyjskich służb specjalnych w mieszkaniu na dziesiątym piętrze w domu w centrum Groznego.

– Teraz, bładź, módlmy się, żeby to był sam Muhamedow i żeby to stało się szybko – zakończył Zaricki. – Inaczej możemy tu siedzieć kilka dni.

Wszyscy oczywiście o tym wiedzieli, ale kiedy współdziałać mają trzy służby, trzeba co jakiś czas przypominać o podstawowych sprawach, bo z ludźmi różnie bywa i mają różne nawyki. Dlatego nikt się nie obrażał, że Zaricki przypomina, co mają robić. Rozumieli zresztą, że zdani są tylko na siebie. Jeśli przyjdzie Muhamedow, to na pewno nie będzie sam i nie będzie nieuzbrojony. Szansa na to, że się podda, była zerowa. A jeżeli nie odpałą ładunku błyskawicy

w odpowiedniej chwili i nie położą trupem jego ochrony, mogą już nigdy nie wyjść z tego mieszkania.

Nikt nie mówił o tym na głos, ale wszyscy liczyli na starszego sierżanta Andrieja Trubowa, zwanego nie wiadomo czemu Jaganem. Nikt też nie wiedział, co to znaczy. Wiedzieli natomiast, że on jeszcze nigdy nie przegrał, co żywo potwierdzała jego obecność. Mówiło się nawet, że ma jakieś niezwykle umiejętności. Krążyły na ten temat legendy. Tak czy inaczej jego spokój, opanowanie i sprawność już teraz dodawały im otuchy. Byli przekonani, że jednak wyjdą z tej operacji cało. Tylko najstarszemu w grupie majorowi FSB Gruzowowi jakoś nie pasowały do tego długie włosy Jagana związane w koński ogon.

– Bładź! *Gospodi!* Co to jest? – Zaricki nagle usłyszał podniecony głos Kosowa. – Co to jest? Pokaż! Gdzie to znalazłeś?

Zaricki wszedł do pokoju i zobaczył Jagana, jak stoi na środku pokoju, trzymając w rękach jakieś pudełko, a Kosow i Gruzow otaczają go ściśle i świecą latarkami. Twarze całej trójki w tym niesamowitym świetle sprawiały wrażenie, jakby wyreżyserował je sam Stanisławski dla MChAT-u, aż Zaricki poczuł przypływ przerażenia. Podszedł bliżej i od razu zrozumiał, jak sztuka jest blisko życia.

Jagan trzymał na rękach pudełko z różowego mahoni, niewiele mniejsze niż pudełko na buty, lecz znacznie od niego cieńsze. Rogi chronione były przez misternie kute mosiężne płytki. W dolnej części tkwił w małym zamku kluczyk rozetkowy. Wieko podtrzymywały dwa łańcuszki, a każde ogniwo zdobione było delikatnym wzorkiem. Wnętrze wyścielał połyskliwy zielony atlas z wyraźnym, ale nie dominującym dodatkiem złotych nitek.

Na środku pudełka, w idealnie dopasowanym wgłębieniu, leżał pistolet Tulski Tokariewa, zwany tetetką. W komunistycznym świecie wyprodukowano takich trzy miliony. Ten jednak wyróżniał się spośród nich do tego stopnia, że czterech zaprawionych w bojach oficerów nie mogło ukryć bezgranicznego zdumienia.

Pozłacana tetetka nie miała numerów seryjnych. Jej uchwyt obłożony był kością słoniową, w której tkwiły jakby zatopione trzy jednokaratowe brylanty, wyjątkowo pięknie szlifowane. Obok pistoletu widniał, również pozłacany, zapasowy magazynek z ośmioma nabojami 7,62 i złotymi pociskami. Na pistolecie wygrawerowany był arabski napis niezwyklej urody.

– Noo... bladź... Rosjanin potrafi. – Pierwszy odezwał się Kosow.

– Czyje to? Przecież nie tego wała Muhamedowa? – zapytał Zaricki. – Na chuj mu taki pistolet?

– Może to prezent od Bieriezowskiego dla Osamy – stwierdził bez sensu Gruzow i zaraz dodał: – Albo na odwrót...

– Nie wiedziałem, że takie u nas robią – przerwał mu Kosow.

– Ile to może być warte? – zainteresował się Gruzow. – Pewnie można by za to kupić mieszkanie w Moskwie...

– Dwa! I jacht – szybko dorzucił Zaricki.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Kosow.

– Może damy w prezencie Władimirowi Władimirowiczowi? – znów bez wyczucia rzucił Gruzow, więc nikt nie zareagował.

– Trzeba będzie ustalić, czyj to pistolet i skąd się tutaj wziął – stwierdził Jura Kosow. – Odpowiedź może być bardzo ciekawa. To nie jest zwykły pistolet do ozdoby. On musi mieć swoje znaczenie, a Muhamedow na pewno tylko pośredniczy między jakimiś bardzo ważnymi osobami – ciągnął Kosow całkiem rozsądnie. – Bardzo chciałbym się dowiedzieć między kim a kim.

– Ten pistolet nie może tak sobie tutaj leżeć – wtrącił Zaricki. – Ktoś musi po niego przyjść!

Stali wpatrzeni w błyszczącą złotem tetetkę i żaden z nich nawet się nie pokusił, by wziąć ją do ręki, jakby była w niej zaklęta jakaś nieznaną moc, która mogła niepotrzebnie zmienić ich życie albo, co gorsza, przynieść nieszczęście. Wiedzieli przecież jak mało kto, że broń służy do zabijania, ale dlaczego zabijać złotymi pociskami? Czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widzieli, więc na wszelki wypadek postanowili zachować ostrożność i nie dotykać pistoletu.

Wszyscy, tylko nie Jagan. On takich myśli nie miał. Dla niego

to było cudowne zrządzenie losu. To był dar od jakiegoś Boga i zadośćuczynienie za utratę kizlyara z dedykacją Putina. Jagan poczuł się dobrze, wyjątkowo dobrze. Nie czuł się tak od lat i ciężar pudełka ze złoto-diaamentowym pistoletem sprawiał mu głęboką, intymną przyjemność. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że niebezpieczeństwo, jakie wciąż nad nim wisiało, odkąd Rustam w Czeczenii zabrał mu nóż, bezpowrotnie minęło. Wypełniała go radość, bo to oznaczało, że odnajdzie Aminę, Rustama i bliźniaków. No i nóż oczywiście też!

Ku przerażeniu i jednocześnie zazdrości kolegów wziął pistolet do ręki. Wydawać się mogło, że tym gestem okiełznał cudowną broń i nabył prawo do jej posiadania. Dreszcz smoka na plecach nie pozostawił mu złudzeń, że tak właśnie było.

Przez następne dwa dni Zaricki, Gruzow i Kosow nie rozmawiali o niczym innym i żaden się nie pokusił, by otworzyć skrzynkę i choć raz spojrzeć na pistolet. Snuli najróżniejsze przypuszczenia, padło kilka zakładów i doszło do dwóch kłótni. Zgodni byli jednak co do jednego: Muhamedowa muszą wziąć żywcem, by dowiedzieć się prawdy o tej broni. Wyglądało to tak, jakby tylko po to tu przyjechali i zupełnie zapomnieli, że walczą z terroryzmem, także światowym.

Gruzow wypalił dwa razy więcej papierosów niż zwykle, a Jura Kosow znów powrócił do nałogu. Rozmowy o złotym pistolecie uszczupliły zapasy na tyle, że Gruzow chciał już wyjść i kupić nowy karton. Jednak Zaricki trzeźwo mu tego zabronił, licząc się w każdej chwili z możliwością wizyty Muhamedowa.

Jagan nie uczestniczył w tych rozmowach, bo nie obchodzili go wcześniejsi właściciele tetetki. Teraz należała do niego. Dziwił się jednak trochę i niepokoił, że pistolet w magiczny sposób zatruwa myśli kolegów, pozbawiając ich wrodzonej czy wyuczonej czujności. Jednocześnie czuł satysfakcję, że to właśnie on potrafił opanować jego tajemną moc. To dobrze wróżyło na przyszłość.

Konieczność zachowania zupełnej ciszy w mieszkaniu obejmowała też zakaz spuszczenia wody w toalecie. Zaricki nie mógł zagwarantować, że któryś z sąsiadów nie jest cichym

strażnikiem konspiracyjnego mieszkania Muhamedowa. Wszyscy to dobrze rozumieli, bo był to ze wszech miar logiczny argument. Skutkowało jednak tym, że po dwóch dniach pobytu czterech dorosłych mężczyzn dym papierosowy podrabianych marlboro Gruzowa i fetor dochodzący z toalety tworzyły mieszankę nie do zniesienia, a okien Zaricki nie pozwalał otwierać.

Drugiego dnia o dwudziestej trzeciej osiemnaście dyżur pełnili Jagan i Zaricki. Gruzow leżał z zamkniętymi oczami na kanapie. Jura Kosow siedział w drugim pokoju i przez szerokie otwarte drzwi wyglądał, jakby czytał książkę, ale w rzeczywistości spał.

Jagan siedział przy komputerze i wpatrywał się w martwy obraz za drzwiami mieszkania. Od kilku miesięcy miał służbowego iPhone'a, więc już trzeci raz słuchał kolejnej płyty zespołu Lube i starał się nauczyć słów na pamięć, ale bezskutecznie. Przypomniawszy sobie Tatara, który tak ładnie śpiewał w Szwecji, i pomyślał, że też chciałby mieć taki głos.

Porządny był kolega – pomyślał. Szkoda Tatara!

Poczuł lekkie rozrzewnienie, może dlatego, że w słuchawkach leciała rapowana piosenka Rastorgujewa *Dawaj za*, która tak dobrze pasowała do jego wspomnień z tej paskudnej Szwecji.

– Idzie! – zakomunikował niespodziewanie i wyjął z uszu słuchawki iPhone'a.

Zaricki i Gruzow podnieśli się i podeszli do komputera. Była dwudziesta trzecia dwadzieścia. Na ekranie jednak nic się nie działo, wciąż było widać nieruchomy obraz korytarza.

– Kto? Gdzie? – niepewnie zapytał Gruzow.

– Idzie! – powtórzył chłodno Jagan. – Zaraz!

Minęło piętnaście sekund i na monitorze pojawiła się niewyraźna postać. Mężczyzna przystanął na moment i rozejrzał się po klatce schodowej. Wyjął telefon komórkowy i dokądś zadzwonił.

Jura Kosow, który najwyraźniej usłyszał, że coś się dzieje, był już na nogach. Wszyscy błyskawicznie zajęli ustalone pozycje, odbezpieczyli broń i założyli gogle. Zaricki odblokował ładunek błyskowy.

Jagan wciąż obserwował na monitorze mężczyznę, który skończył rozmawiać przez telefon i zbliżył się do drzwi. Przez chwilę wyraźnie czegoś szukał w kieszeni. Wyjął klucze i zanim włożył je do zamka, zbliżył twarz do wizjera. Jagan zobaczył ogromne oko, które przez kilkanaście sekund go obserwowało.

Jasne już było, że to nie może być Muhamedow. Jednak Jagan był pewny, że ten mężczyzna to szpica.

Właściwie to tak powinno być – pomyślał. Zaricki popełnił błąd.

Zanim klucz zazgrzytał w zamku, Jagan zrobił błyskawiczną ocenę sytuacji. Uznał po pierwsze, że jeżeli ten człowiek jest szpicą Muhamedowa, który czeka gdzieś w pobliżu na sygnał, użycie ładunku błyskawicznego nie wchodzi w grę. Po drugie, trzeba gościa wziąć żywcem i szybko przesłuchać. Po trzecie, zdobyć jego telefon komórkowy i ustalić, dokąd przed chwilą dzwonił.

Zajął pozycję w ciemnym przedpokoju, błyskawicznie włożył skórzane rękawiczki i odbezpieczył pistolet. Po chwili drzwi się otworzyły i na podłogę padł z korytarza snop światła, w którym odcinał się cień człowieka. Nieznajomy zawahał się i widać było, że coś go zaniepokoiło – i Jagan od razu wiedział co. Mimo to po kilku sekundach, jakby wbrew sobie, mężczyzna zrobił niepewnie dwa kroki do przodu i znalazł się wewnątrz.

I to był błąd! – pomyślał z satysfakcją Jagan i bez specjalnego wysiłku wymierzył prosty cios ołowianą pięścią, trafiając zgodnie z planem między nasadę nosa a górną szczękę. Głowa intruza odskoczyła do tyłu, aż spadł mu pes.

Fetor wydobywający się z mieszkania był ostatnią rzeczą, jaką tamten zapamiętał. Nie zdążył jeszcze upaść, gdy Jagan przy pomocy Zarickiego złapał go pod ramiona.

Ocknął się szybko. Siedział przywiązany do krzesła taśmą samoprzylepną. Na głowie miał kaptur. Czuł ostry ból nosa rozlewający się na twarz i ciepło krwi spływającej po brodzie. Właściwie bolała go cała głowa aż do karku.

Potrzebował dobrej chwili, by zdać sobie sprawę, że został uderzony i skrepowany.

– Jak się nazywasz? – usłyszał męski głos.

– A kto pyta? – wykrztusił arogancko, macając językiem w ustach, i gdy poczuł, że rusza mu się przedni ząb, rzucił hardo: – Jak mi wypadnie ten ząb... macie przejebane! Zresztą i bez tego też! – dodał i zaraz poczuł w prawym uchu ostry ból od kolejnego uderzenia.

– Jak się nazywasz? – powtórzył ten sam głos, ale więzień potrzebował czasu, żeby dojść do siebie. – Pospiesz się!

Ktoś mocno ścisnął jego palec i przeszło mu przez myśl, że chce go obciąć. Jednak dotknął nim czegoś płaskiego, jakby szkła. Po chwili poczuł to samo drugą ręką. Zorientował się, że zdejmują mu odciski palców.

– Panowie z FSB czy GRU?

– Jak się nazywasz? – spokojnym głosem znów zapytał ten sam człowiek. – Skąd się tu wzięłeś?

– Jestem najzwyczajszym złodziejem, typowym Czeczenem – próbował ironizować przesłuchiwany. – U mnie cała rodzina taka... sami złodzieje i dużo nas. Oj, dużo!

W tym momencie ktoś zerwał mu kaptur z głowy i więzień zobaczył twarz trzydziestoparoletniego blondyna o regularnych rosyjskich rysach, z włosami związanymi w koński ogon.

– Już cię gdzieś widziałem, złodzieju! – rzucił Jagan i mokrą szmatą wytarł mu krew z twarzy.

Skierował w jego stronę iPhone'a i zrobił zdjęcie.

– Masz! – Podał telefon Gruzowowi. – Wyślij to i niech Moskwa odpowie jak najszybciej. Zaraz zobaczymy, co to za złodziej kaukaski.

Mężczyzna na krześle próbował się obrócić i zobaczyć, co dzieje się za jego plecami.

– Nie wierć się! – Jagan uderzył go otwartą dłońią w twarz. – Masz owsiki czy co?!

– Dzwonił do kogoś, kto był w promieniu trzystu metrów. Siatka w Groznych nie jest gęsta... – oznajmił Jura Kosow, trzymając przy uchu telefon.

– Zapytaj, do kogo należy numer – rzucił Zaricki i Kosow powtórzył pytanie do słuchawki.

Jagan wziął za ramię Zarickiego i Kosowa i poprowadził ich do drugiego pokoju. Gruzow został za plecami mężczyzny, pilnując

go i pałac papierosa.

– Ty tu dowodzisz! – zwrócił się Jagan do Zarickiego z pełnym szacunkiem. – Ale nie rozmawiajmy przy nim, po kiego ma wiedzieć, co robimy.

– To ktoś od Muhamedowa. Nie ma najmniejszej wątpliwości – stwierdził Kosow.

– Jasne! – dodał Zaricki.

– To szpica Muhamedowa. Przyszedł skontrolować, czy lokal jest bezpieczny. Na korytarzu sprawdził łączność i po wejściu miał pewnie dzwonić jeszcze raz. Muhamedow jest w Groznmym. To pewne – krótko zanalizował sytuację Jagan.

– Jasne! – powtórzył z lekkim podnieceniem Zaricki. – Trzeba uruchomić wszystkich naszych ludzi w mieście i na posterunkach w okolicy!

– Właśnie! – dorzucił Kosow.

– Jeżeli mamy namierzyć Muhamedowa, to trzeba szybko zająć się tym śmieciem. Może coś wie – włączył się Jagan. – Ostro! – dodał i spojrzał na nich obojętnie.

– Ty masz największe doświadczenie, Andriej. Zostawiamy to tobie. – Kosow wołał nie uczestniczyć w przesłuchaniu, które mógł sobie wyobrazić po krótkiej rozmowie Jagana z Czeczenem. Zawsze trzymał się z dala od tortur i sama myśl o nich napawała go obrzydzeniem.

Jagan natychmiast zrozumiał, co Jura miał na myśli, i zachciało mu się śmiać. Jednocześnie odebrał to jako pierwszy poważny sygnał, że Kosow może być mięczakiem. W takiej robocie, jaką wykonywali, mazgaj i mięczak we własnych szeregach jest większym zagrożeniem niż wróg.

Tatar taki nie był – pomyślał z przekonaniem. Kosow musi się jeszcze dużo nauczyć. Już po pierwszych słowach Czeczena było widać, że nawet najostrzejsze bicie nic tu nie da. Takie metody są dobre na zwykłych zbójów, ale nie na ludzi Muhamedowa. Co prawda miło jest czasem komuś przywalić, szczególnie jak państwo za to płaci i nie ma kary, tyle że skutek jest z reguły wątpliwej jakości. No, może trochę dyscyplinuje klienta, ale to za mało.

– A może on przyszedł tylko po ten pistolet? – zapytał Zaricki.

Jagan już wychodził z pokoju, lecz na ułamek sekundy zatrzymał się w drzwiach i poczuł, jak smokiem wstrząsnął dreszcz. Jakby te słowa go obudziły. Pomyślał z niepokojem, że to, co powiedział Zaricki, może być prawdą, a on o tym zapomniał. Dopiero jego kolorowy smok musiał mu przypomnieć tę prostą prawdę.

– Może... – rzucił krótko i wyszedł.

Gdy wrócił, Gruzow wciąż stał za plecami Czeczena i palił papierosa.

Jagan wziął krzesło, postawił je oparciem w stronę więźnia i usiadł okrakiem. Przez chwilę obserwował Czeczena. Ten uśmiechnął się do niego i puścił oko, po czym splunął mu siarczyście krwią pod nogi.

– Głupi jesteś, dzygit – skwitował Jagan. – Mówisz, że nawet jak cię zabiję, to nic mi nie powiesz, czy tak? Mógłbym ci teraz pierdyknąć w łeb i musiałbyś go sobie zbierać ze ścian. Ale poczekam. Może się za chwilę okazać, że nie jesteś ze złodziejskiego klanu. Na tę okoliczność będę miał dla ciebie inną propozycję. Pomyślisz... zastanowisz się... wtedy zobaczymy. – Jagan mówił spokojnie, z przekonaniem. – A jak nie... zawsze mogę cię walnąć.

– Sam się wal! – hardo odpowiedział Czeczen i znów splunął na podłogę.

– Co ty masz taki ślinotok, dzygit? Plujesz i plujesz. W domu też tak robisz? Plujesz na swoje klepisko? Wieprzowina jesteś niemyta islamska... źle skończysz!

Czeczen plunął mu teraz w twarz.

– Wiedziałem, że nie lubisz wieprzowiny – spokojnie powiedział Jagan i starł krwawą plwocinę z czoła. – Teraz ja na ciebie napluję, dobra? – Zaczął charczeć i chrząkać, zbierając ślinę, po czym wydał policzki i z całej siły splunął Czeczelowi w twarz. – Co... nie masz czym się wytrzeć? – zapytał złośliwie. – Obliz się.

– Chodź, coś mamy – oznajmił podnieconym głosem Zaricki, wchodząc do pokoju.

– Przepraszam pana na chwilkę. Zaraz wracam – odezwał się Jagan do Czeczena i wstał z krzesła.

Gdy tylko przestąpił próg sąsiedniego pokoju, zobaczył rozpromienionych Zarickiego i Kosowa.

– Mamy sporo szczęścia – zaczął Jura. – To Zelimhan Ahmetow!

– To znaczy... kto? – zapytał Jagan.

– Weteran z Budionnowska i organizator z Dubrowki...

– Niemożliwe! – wtrącił podniesionym głosem Jagan. – To po prostu wspaniale! Jednak jest sprawiedliwość na tym świecie!

– Teraz jest w bandzie Muhamedowa – ciągnął Jura. – Ale nie wiadomo, czym się zajmuje...

– Wiemy za to, że ma rodzinę... żonę i dwoje dzieci w Dagestanie – dodał Zaricki. – Opiekują się nimi jego brat i ojciec... ukrywają się pod Machaczkałą... wiemy, gdzie są...

– No to go mamy, bładź! Szejk szejków Ahmetow ma teraz problem. Poważny! Będzie pluł sobie krew w brodę, że dał się wziąć żywcem. – Jagan i smok nie potrafili opanować radości, a nikt, ani Jura, ani Zaricki, ani Gruzow, nie wiedział, że ma on za Dubrowkę rachunki do wyrównania.

Jagan podszedł do stołu i wyjął z pudełka złoty pistolet z diamentami. Przez chwilę ważył go na otwartej dłoni, jakby wstydził się zacisnąć dłoń na rękojeści. Uśmiechnął się szczerze po raz pierwszy od wielu miesięcy, choć Zaricki i Kosow tego nie widzieli, i schował tetetkę do kieszeni.

Wszedł do pokoju, gdzie Gruzow stał posłusznie za Czeczenem, tak jak go zostawił kilka minut temu, i dalej palił papierosa.

– Nie będziesz już pluć? – zapytał Jagan i przysiadł na krześle jak poprzednio.

– Szkoda mojej krwi na taką sobakę niewierną – wymamrotał Czeczen.

– No dobrze... nie bądź taki zły... Zelimhanie Ahmedow.

– Ahmetow – poprawił po chwili Czeczen. – Naucz się, baranie!

– Posłuchaj, Zelimhanie Ahme... Ahmedow – zaczął niby po przyjacielsku Jagan, a Zaricki i Kosow stanęli w otwartych drzwiach. – Jesteś prawdziwy dżygit. Serio. Szanuję takich bojowników jak ty. – Czeczen podniósł głowę i spojrzał na niego podejrzliwie. – Masz prawo zginąć jak prawdziwy

męczennik i jeżeli chcesz, to ci to załatwię...

– Co ty, Ruski, możesz o tym wiedzieć?

– Oj, spokojnie, szejku – odparł Jagan i zapytał: – Gdzie byłeś szesnastego lipca dwa tysiące pierwszego roku? – I nie czekając na odpowiedź, powiedział: – To ja i moi chłopcy wybiliśmy wraże plemię Muhamedowa w górach. Świta ci coś?

Czeczen jakby wstrzymał oddech i trochę śmiesznie wysunął brodę do przodu. Dla Jagana było oczywiste, że doskonale wie, co się zdarzyło tego dnia. Starszy sierżant Andriej Trubow i smok poczuli się tak dobrze jak jeszcze nigdy dotąd.

– Teraz popatrz, co zrobię – ciągnął Jagan. – Uwolnię cię! – Podniósł się z krzesła, wyjął nóż i kilkoma szybkimi cięciami oswobodził Czeczena, który nawet nie zdążył się poruszyć, zaskoczony tym, co się stało.

– Czego ty chcesz? – zapytał po chwili zupełnie normalnie i zaraz dorzucił: – Nie licz na wiele...

– Dobrze zacząłeś!

– Czego ty chcesz, Ruski? – Czeczen niepokoił się, wciąż macając językiem zęby.

– Pamiętasz?

– Co, kurwa? Co?

– Jak wtedy, w lipcu dwa tysiące pierwszego, kiedy zrobiliśmy wam kuku, ścigaliście przez cały dzień po górach jednego podoficera Batalionu Specjalnego „Zachód” GRU imienia Matuszki Rossii?

– Pamiętam, ty ruski chuju. Pamiętam. – Ahmetow wyraźnie się ożywił. – To ty, sobako?

– Nikt inny... – z uśmiechem odparł Jagan i zajęty rozmową z Czeczenem nawet nie zauważył zdziwionych min swoich towarzyszy.

– Zdaje się, że miałeś trochę szczęścia... czekaj... sobako... czekaj. Miałeś chyba rozdarty ryj... nie?

– O tym pogadamy później. Powspominamy stare dobre czasy.

– Jagan zreflektował się, że Zaricki przysłuchuje się tej rozmowie z coraz większym zdziwieniem.

– Czego chcesz? – Czeczen rozcierał ręce i wciąż sprawdzał językiem, czy ząb jeszcze się trzyma.

– Okay, waleczny synu Iczkerii! – zaczął Jagan – Jesteś dżygit i masz charakter, a ja takich szanuję. Nie powiedziałem, że lubię, tylko że szanuję, nie pomył się. Godnie przeszedłeś nasze zapoznanie i widać, że masz jaja, choć nie masz kawałka fiuta... noo... dobrze, dobrze. – Przerwał na moment, widząc kaukaski błysk w oku Czeczena. – Przecież nie zrobiłeś sobie tego sam! My to wiemy i oczywiście nie akceptujemy takiego okrucieństwa wobec dzieci. I stąd była ta cała wojna... przez tyle lat! Nie wiedziałeś?

– Jeżeli zobaczymy się jeszcze raz... bez kolegów – Ahmetow wskazał głową na stojących za jego plecami – to własnoręcznie cię obrzeżam, fiuta wsadzę ci w ryj, a jaja zawieszę na uszach!

– Ahmetow! – twardo odezwał się Jura Kosow. – Za dużo oglądasz amerykańskich filmów i po prostu się ośmieszasz, co w twojej sytuacji jest jeszcze bardziej rażące. Wojownik dżihadu powinien być poważny! A ty co? Obcięcie fiuta jest już najwyższą karą dla mężczyzny, więc co się z nim potem stanie... z fiutem oczywiście i z jajami... nie ma już żadnego znaczenia...

Wszyscy ku zaskoczeniu Jury wybuchnęli śmiechem, nawet sam Zelimhan Ahmetow.

– Pytam ostatni raz, Ruski, i wychodzę. Czego chcesz? – powtórzył hardo Czeczen. – Nie mam czasu tu siedzieć.

– Ustalmy fakty – zaczął Jagan. – Po pierwsze, jesteś szejtanem... od Muhamedowa. Po drugie, wiemy, gdzie jest twoja rodzina. Po trzecie, będziesz jeszcze żył albo i nie.

– Posłuchaj, Ruski. Oszczędzę ci pracy i wysiłku – odciął się Czeczen. – Ponieważ nie zadzwoniłem o ustalonej porze, wszystko, co wiedziałem o Muhamedowie, od tamtej chwili jest już nieaktualne. Nie sądzisz chyba, że jesteśmy takimi durniami? To po pierwsze. Po drugie, gdybym nawet wiedział, to też bym nie pisnął ci słowa...

– Posłuchaj, capie. Śmierdzisz, szejtanie! – przerwał mu ostro Jagan, wstał i otworzył szeroko okno. – Najpierw cię wywietrzymy, a potem zrobimy tak... Jutro rano twoi dagestańscy bracia się dowiedzą, że twoja żona i brat, co się ukrywają w chlewie Szamkał pod Machaczkałą, są informatorami FSB. Czyli... ostatnia wpadka oddziału Kalhela

to ich robota. Mamy tam swoich ludzi i to nie będzie trudne. – Jagan uśmiechnął się złośliwie, bo Zalimhan zamilkł i zbladł. – Grubymi nićmi to szyte, ale twoi dagestańscy bracia to ciemniaki i nawet się nie kapną. Ale możemy być pewni, i ty, i ja, i twoja rodzina, że bracia Kalhela osobiście poderzną im gardła... tępym, zardzewiałym kindżałem. Na wszelki wypadek! Chyba nie masz wątpliwości? Zelimhan! Co ty na to?

Zapadła cisza. Czechen siedział ze spuszczoną głową, a Jagan wstał, założył ręce na piersi i oparł się o ścianę. Ta cisza była najważniejszym elementem przesłuchania i najcięższą torturą dla Ahmetowa. Nie bicie czy łamanie palców, jak myślał Jura Kosow. Jagan wiedział doskonale, w jaki sposób można złamać kogoś takiego jak Zelimhan. A przynajmniej spróbować. Szansa była spora, bo fifty-fifty.

– Masz do wyboru trzy odpowiedzi i do wykorzystania jedno koło ratunkowe oraz telefon do przyjaciela albo możesz zabrać to, co już wygrałeś. Muszę cię zatem zapytać. Czy grasz dalej?

Jagan nawet nie zauważył, że Zaricki i Gruzow się uśmiechają. Jednak Czechenowi wcale nie było do śmiechu. Siedział nieruchomo, chociaż nie był już skrępowany.

– Pierwsze! Mówisz nam wszystko, co wiesz, szybciotko, my to sprawdzamy i jeszcze dzisiaj będziesz wpierdalał swój żizig gałas. A jutro nawet odtańczysz zikra i jeżeli wszystko się zgodzi – zrobił ruch głową – jeden kolega, tam z tyłu, załatwi tobie i twojej sobaczkiej rodzinie szybki wyjazd do Jewrosojuza. Ile potem Muhamedow da ci pożyczyć, to już nie nasz interes. Tylko decyduj się raz-dwa, bo nam się spieszy do domu. Wersja druga. – Jagan zawiesił na moment głos. – Tam są drzwi – wskazał ręką. – Możesz wstać i wyjść. Pójdiesz do Muhamedowa i powiesz, jakie spotkały cię przykrości. Może ci uwierzy, a może nie... ale raczej nie... Tak czy inaczej zdecydować będzie musiał od razu... bo za duże ryzyko. Myle się? Oczywiście, że nie... i ty to wiesz, Ahmedow – złośliwie przekręcił jego nazwisko. – W tym czasie bracia z tejpu Kalhel tępymi kindżalami rozliczą się z twoją rodziną... wiesz, jacy nerwowi są Lezgini. I trzecia opcja. – Jagan podszedł do otwartego okna i wskazał ręką. – Możesz lecieć, sokole

kaukaski! Dziesiąte piętro. Rodzina dołączy do ciebie później... gdzieś tam w waszym rajach męczenników. Wybór należy do ciebie. Dlatego muszę cię zapytać teraz, czy grasz dalej.

Zelimhan Ahmetow siedział nieruchomo na krześle przed oknem, wpatrzony w rozgwieżdżone niebo nad Groznym. Potężnie opuchnięty nos i górna warga nadawały jego twarzy groteskowy wyraz. Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że wyglądał śmiesznie, gdyby nie duże czarne oczy wypełnione połyskującymi łzami.

Czuł, jakby ktoś rozdzierał mu wnętrzności rozpalonym żelazem. Bezsilność i rozpacz sprawiały mu fizyczny ból, o jakim dotąd nie miał pojęcia, a na Kaukazie widział i słyszał już niemało, bo walczył jeszcze u Dudajewa. Cokolwiek zrobi czy czego nie zrobi, i tak będzie źle, i tak przegra. Wiedział, że blondyn z końskim ogonem ma rację.

Jura Kosow pierwszy raz uczestniczył w przesłuchaniu jeńca. Wydawało mu się, że będzie to krwawe przeżycie, na które nie był przygotowany. Nie wiedział, jak zareaguje, a przed kolegami musiał zachować twarz oficera SWZ. Tymczasem przesłuchanie, jakie prowadził Jagan, pozytywnie go zaskoczyło i cieszył się, że nie musiał przechodzić ciężkiej próby. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co przeżywał Zelimhan Ahmetow, jaką torturą jest dla niego to, co zafundował mu Jagan.

Jakie życie jest przewrotne i niesprawiedliwe! – pomyślał Czechen. W dwa tysiące pierwszym mogłem go zabić i dzisiaj nie byłoby tego całego cyrku.

Spojrzał za okno i doszedł do wniosku, że nie ma dobrego rozwiązania. Pozostało mu jedynie grać na czas. Muhamedow powinien się już zorientować, że coś się dzieje.

– Dobra, Ruski – odezwał się w końcu. – Potargujemy się?

– Mówiłem ci, że spieszymy się do domu i nie jesteśmy na kozim bazarze w jakimś jurcie, by się z tobą targować...

– Czego chcesz? – zapytał Ahmetow, próbując się uśmiechać.

Jagan od razu wyczuł, że Czechen będzie kręcił, żeby zyskać na czasie. Wiedział też, że każda kolejna minuta spędzona w tym mieszkaniu przybliżyła ich do nieokreślonego, lecz jakże

realnego niebezpieczeństwa. Taka była Czeczenia.

– Gdzie jest Muhamedow? – zapytał.

– Zaczynajmy od czegoś lżejszego... Tak od razu chcesz wszystko wiedzieć?

– Jesteś niegrzeczny, capie! Śmierdzisz, szejtanie! – spokojnie powtórzył Jagan i zamierzył się do ciosu. Czeczen odruchowo zasłonił się ręką. – Przypomnij sobie lipiec dwa tysiące pierwszego roku...

– Oj! To bardzo dawno! – Ahmetow pokręcił głową. – Nie wiem, czy pamiętam...

– To sobie zaraz przypomnisz! – Jagan uniósł głos.

Zaricki, Gruzow i Jura Kosow stanęli za plecami Czeczena i oparci o ścianę obserwowali przesłuchanie. Zaricki trochę się denerwował, że sprawa się przeciąga, ale i tak był wdzięczny Jaganowi, że najtrudniejsze zadanie wziął na siebie. Właściwie podziwiał go za spokój i opanowanie, których jemu starczyłoby na pięć minut.

W głębi duszy wszyscy jednak czekali, kiedy Jagan zacznie wypytywać więźnia o złoty pistolet, tak jakby Muhamedow w ogóle nie istniał.

– Nooo... pamiętam! Oj... taaak! Pamiętam! Jeden *szurawi* biegał po górach, a my za nim... Czekaaj! To byłeś ty!

– Dobrze zacząłeś. Dalej!

– Ale co? Co chcesz wiedzieć?

Jagan zdał sobie sprawę, że sam nie wie, do czego zmierza.

– Na wschód od Tałan-Jurtu była taka zniszczona wieś...

– Tam dużo takich!

– Nad strumieniem, u wylotu wąwozu...

– No... wiem. Szhad. Zniszczyły ją helikoptery, chociaż tam nigdy nie było naszych oddziałów... ale to u was częste. No i co?

– Tam... tam było takie rodzeństwo... dzieci wtedy. – Głos mu zadrżał na widok pytającego spojrzenia Czeczena. – Było ich wtedy sześćcioro. Wiesz coś o tym?

– No... a co?

– Jak oni się nazywali? Pamiętasz?

Czeczen spojrzał nieco zdziwiony, że Jagan z takim zaangażowaniem pyta o podobne rzeczy, a nie o Muhamedowa.

Ten jednak kontynuował:

– Najstarsza miała na imię Amina...

– Bogajew... Wasi waleczni żołnierze wybili wcześniej całą rodzinę Bogajewów. Macie pecha, bo Bogajewowie to bardzo waleczny tejp.

Jagan szybko wyjął notatnik i zapisał nazwisko, żeby nie zapomnieć. Bo twarze pamiętał, jakby to było dzisiaj.

– Amina była najstarsza... też się jej nie upiekło... – Zelimhan zawiesił głos. W jego oczach nie było już śladu łez, jedynie dzika kaukaska nienawiść.

Jagan nawet nie zauważył reakcji Czeczena.

– Amina... potem ten... Rustam...

– I bliźniacy Szamil i Asłan – dokończył Ahmetow. – Przez trzy lata byli potem w naszym oddziale, ale ja ich prawie nie znałem. Zajmował się nimi Dżochar i osobiście Muhamedow. Ja byłem wtedy w Inguszetii – tłumaczył. Czuć było, że coś kręci, ale Jagana to teraz nie obchodziło.

– Czyli oni nazywają się Amina, Rustam, Szamil i Asłan Bogajewowie?

– Tak.

Jagan przybliżył się do jego ucha.

– To przyjrzyj się uważnie, Zelimhan – wyszeptał.

Wyjął telefon, przez kilka sekund czegoś w nim szukał, po czym podsunął go pod nos przesłuchiwanemu.

Ahmetow podniósł na moment wzrok, spojrzał beznamiętnie i jeszcze niżej opuścił głowę. Dla Jagana to była wystarczająco czytelna odpowiedź.

– Gdzie oni teraz są?

– A skąd mam wiedzieć! – kłamliwie odparł Czeczen, ale zaczął się na poważnie zastanawiać, czy propozycja wyjazdu do Europy, przynajmniej na jakiś czas, nie jest w jego sytuacji najlepsza.

– Posłuchaj, capie! Na razie nic nie utargowałeś. Przypomnij sobie, gdzie oni są, i pospiesz się. Będę bardziej życzliwy...

– Poza twoim zasięgiem, Ruski – odparł niespodziewanie Zelimhan. – Dostali nowe paszporty i są już pewnie gdzieś w Polsce... a tam ich nie dostaniecie!

– Co tam robią?

– Mnie o to pytasz?! W ogóle... po co ci to wszystko?

– Chodź na chwilę – odezwał się niespodziewanie Gruzow.

Kosow z pistoletem w dłoni pozostał przy Czechenie, a reszta wyszła do drugiego pokoju. Zaricki wyraził zaniepokojenie przeciągającym się przesłuchaniem, ale nawet nie zapytał o Bogajewów. Gruzow natomiast stwierdził z przejęciem, że Dżochar, o którym mówił Zelimhan, to nikt inny, tylko „Buster Keaton”, najbardziej zaufany człowiek Muhamedowa do zadań specjalnych i kontaktów z Al-Kaidą.

– Zapytaj go teraz o pistolet – rzucił na koniec i wszyscy wrócili do sąsiedniego pokoju.

– Kiedy wyjechali do Polski? – zaczął Jagan.

– Skąd mam wiedzieć! Chyba niedawno... nie wiem...

– Kiedy? – Chwycił go za gardło. – Kiedy, koźle?!

– Dwa... góra trzy lata temu – wycharczał Czechen.

– No dobrze, capie. To już coś. Zaczynasz się rozkręcać.

Jagan był umiarkowanie zadowolony. Włożył rękę do kieszeni, by wyjąć złotą tetetkę.

Zorganizowanie zasadzki w mieszkaniu w Groznm, ujęcie Zelimhana Ahmetowa i w ogóle wszystko to, co się właśnie wydarzyło, było silnym stresem dla trójki oficerów połączonych sił rosyjskich służb specjalnych. Nie było tylko niczym specjalnym dla Jagana, który jednak zajęty przesłuchaniem więźnia nie mógł o wszystkim pamiętać, zwłaszcza że grupą dowodził doświadczony major Zaricki.

Nie mógł zatem pamiętać, że należało zamknąć drzwi na klucz i że ktoś powinien obserwować otoczenie, skoro podłączone do komputera Oko Proroka wciąż działało. Na ekranie monitora jak na scenie widać było pod drzwiami trzy uzbrojone postacie, które wyraźnie czegoś nasłuchiwały.

Jagan wyjął z kieszeni złoty pistolet i uniósł go powoli. Ostatnie, co zapamiętał, to oczy Zelimhana, które jak zahipnotyzowane podążały za złotą tetetką. Dziecinne zaskoczenie przybrało w nich wyraz zdziwienia, by wreszcie się przemienić w szczere przerażenie. Ale zabrakło już czasu na jedno choćby pytanie.

Drzwi do mieszkania wyleciały z zawiasów i do środka, strzelając z pistoletów automatycznych, wtargnęło trzech mężczyzn. Grad pocisków rozrywających wszystko na swej drodze i dewastujących gipsowe ściany sparaliżował wszystkich.

Biały gęsty pył i drobiny drewna wypełniły powietrze.

Jagan natychmiast zdał sobie sprawę, że nie dosięgnie teraz swojego skorpiona, który leżał na stole dwa metry od niego, i schylił się tak nisko, jak mógł. Jasne było, że Zaricki i Gruzow znajdowali się najbliżej napastników, wprost na linii ognia.

Kątem oka zobaczył przebiegające postacie, ale nie był pewien, kto to jest. Instynktownie rzucił się w kierunku swojego pistoletu i gdy tylko go dotknął, poczuł, że już panuje nad sytuacją.

Zanim strzelił w żarówkę, zobaczył Zelimhana, który z roztrzaskaną i odchyloną do tyłu głową wciąż siedział na krześle, oraz szeroko otwarte oczy Gruzowa leżącego na ziemi z dymiącym papierosem w ustach.

Stan 200 – przemknęło mu przez myśl.

Zrobiło się cicho. Jagan szybko ocenił, że Zaricki i Kosow z pewnością nie przeżyli ataku i że nie ma co na nich liczyć, chociaż nigdzie nie mógł dostrzec ciał. Musiał podjąć decyzję natychmiast, zanim napastnicy ruszą do ataku. Chwilowa cisza świadczyła, że ma jeszcze szansę.

Wycelował swojego skorpiona i puścił długą serię w ciemny otwór drzwi, roztrzaskując drewniane framugi. Pomyślał, że skoro stawi opór, napastnicy będą musieli się zastanowić, co robić dalej. Te sekundy były najważniejsze. Nim skończył strzelać, był już przy oknie.

Tak jak sobie wcześniej zaplanował, postanowił zeskoczyć po balkonach. Nigdy nie wchodził do akcji, jeżeli nie miał przygotowanego odwrotu, a manewr z balkonami miał przeciwczony.

Zanim napastnicy się zorientują, że taki cyrkowy numer jest w ogóle możliwy, będzie już na dole. To tylko dziesięć piętér.

W ciągu trzydziestu pięciu sekund dotarł do drugiego, skąd skoczył już na trawnik. Z góry nikt nie strzelał. Ruszył biegiem

w kierunku parkingu i natychmiast zauważył dwóch mężczyzn w czarnych skórach, którzy stali przy wejściu na klatkę schodową.

Niezauważony zbliżył się na odległość dwudziestu dwóch metrów i oddał w biegu dwie krótkie celne serie. Potężne uderzenie kilkunastu pocisków 7,65 rzuciło tamtymi o ścianę.

Już miał przyspieszyć, lecz nagle się zatrzymał. Nie przebrzmiało jeszcze echo wystrzałów i nie opadł kurz po pociskach, gdy Jagan zawrócił i podszedł do wejścia.

Jeden z mężczyzn leżał na brzuchu, spod którego wypływała gęsta kałuża krwi. Jego ciało wciąż drgało, ale dla Jagana było oczywiste, że to koniec. Drugi, bardziej chłopiec niż mężczyzna, może dwudziestoletni, z otwartymi szeroko oczami, siedział oparty o ścianę i próbował coś mówić, ale z jego ust wydobywała się jedynie jasnoczerwona piana.

– Ożeż ty! – Jagan się nad nim pochylił. – *Nuuu... smotri, drug moj... Gospodī, kakoj podarok u tiebia...* – Wyciągnął rękę po najnowszy model skorpiona, który leżał obok, dokładnie taki, jaki widział u Czeczenów na motorze.

Ranny wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale zachłysnął się krwią i niezdarnie próbował odszukać dłonią automat.

– *Nuuu... czto... pacan?* – Jagan nachylił się bliżej. – *Czego?* Ale chłopak tylko bełkotał i bluzgał krwią.

Jagan wziął skorpiona, potem pistolet drugiego mężczyzny. Podniósł się, stanął nad chłopcem okrakiem i nie celując, strzelił mu w czoło.

Zaczął biec, jakby dostał skrzydeł. Lekko i bez wysiłku, mimo że był porządnie obciążony bronią. Kiedyś sobie obiecał, że już nigdy nie porzuci żadnego pistoletu, tym bardziej automatu. Rozpierała go wspaniała świadomość, że ma tylko dla siebie najnowszy model skorpiona, i to w dodatku czeczeński, czyli nierejestrowany, a to było bardzo ważne.

Kierował się w stronę, gdzie, jak wiedział, jest bezpiecznie. Gdy oddalił się o czterysta trzydzieści dwa metry, przystanął, żeby wyrównać oddech i trochę odpocząć. Położył się w pozycji witruwiańskiej na nieskoszonym trawniku i spojrział w bajkowo rozgwieżdżone kaukaskie niebo.

Takie niebo może być tylko tutaj. Jest pięknie! – pomyślał i poczuł, że dwugłowy smok podziela jego radość.

Dotknął kieszeni, w której tkwiła złota tetetka, i chociaż przez cały czas czuł jej ciepło i wiedział, że tam jest, to jednak musiał się upewnić.

Od początku nie wątpił, że ta magiczna broń jest mu przeznaczona. Nie dość, że wyprowadziła go bezpiecznie ze strzelaniny, to jeszcze mu pomogła w ustaleniu, gdzie jest rodzeństwo Bogajewów, a to było najważniejsze. Muhamedowem zajmą się inni.

– Polska – pomyślał. To przecież niedaleko.

Było jedenaście minut po północy, ale Jaganowi się wydawało, że jest już czternaście.

Konrad obudził się cały spocony i odetchnął z ulgą, że to był tylko sen. Jeszcze brzmiał mu w uszach dźwięk tłuczonego szkła wymieszany z chrzęstem metalu, a wszystko to na skrzyżowaniu alei KEN i Indiry Gandhi.

Za każdym razem, gdy przejeżdżał tamtędy do miasta i widział wypadek, ogarniało go jakże typowe uczucie – jak to dobrze, że to nie ja! Przed chwilą jednak widział wszystko tak realistycznie, że aż się zawahał, czy nie zjechać do garażu i nie sprawdzić swojego saaba 900i cabrio, model z 1985 roku.

Zupełnie hipotetyczna świadomość, że coś mogłoby mu się stać, napawała go przerażeniem. Bo to nie był jakiś tam samochód, jaguar, bmw czy nawet maybach, to była część jego ciała i duszy, i to nawet ta ważniejsza. Od kilku miesięcy nie dawała mu spokoju dziura wypalona w tylnym siedzeniu, więc horror, jaki mu się przyśnił, z jego saabem w roli ofiary, zaowocował złym nastrojem już od samego rana.

Tak czy inaczej Konrad solennie postanowił, że dzisiaj do pracy pojedzie metrem i w przyszłości będzie unikał tego skrzyżowania.

W końcu mogę jeździć Rosoła... to przecież także wygodna i szeroka ulica – pomyślał i poszedł do łazienki.

Włożył dres, wypił szklankę kefiru Robico i po kilku chwilach był już na ulicy Wilczy Dół. Zatrzymał się i zrobił parę ćwiczeń, żeby rozciągnąć mięśnie. Było pochmurno, ale wyjątkowo ciepło. Pomyślał, że nie padało od kilku dni, więc na Kabatach nie będzie podtopień. Zawsze denerwowało go czyszczenie butów z błota, a nigdy nie zaczynał biegu w brudnych. W końcu to były czerwone salomony XT wings s-lab 4.

Zrobił swoją stałą trasę do Pyr i z powrotem. Na Leśnej spotkał Przemysława Saletę, który biegł w przeciwnym kierunku z psem na smyczy. Mijali się czasami na Kabatach i chociaż się nie znali, to Saleta zawsze pozdrowiał Konrada, choć powinno być odwrotnie. Po każdym takim spotkaniu Konrad od razu czuł się lepiej, bo to był w końcu sam Przemysław Saleta i nie dość, że sympatyczny i kulturalny, to jeszcze nieco

wyższy. Konrad miał dziwne wrażenie, że Saleta pozdrawia na trasie tylko jego, ale nie potrafił wytłumaczyć, skąd się ono wzięło. Tak czy inaczej świadomość ta była na tyle miła, że przy niej trwał. Widząc go, od razu poprawiał styl swojego biegu, by wyglądał bardziej świeżo i sprężysto, bo Saleta poruszał się, jakby sunął po wodzie.

Wrócił do domu zdyszany, bo po schodach wbiegł na sporym przyspieszeniu. W przedpokoju zrzucił buty i stanął, dysząc, przed wielkim lustrem oprawionym w barokowe ramy. Spojrzał na swoje odbicie i przez moment pomyślał, że może powinien już zmienić strój na taki, jaki ma Saleta. Po krótkiej ocenie jednak uznał, że nie będzie nikogo naśladował, a szczególnie jego. Pozostanie wierny swojemu spranemu bawełnianemu dresowi z wypchanymi kolanami i napisem niemożliwym już do odczytania. Styl Rocky Balboa bardziej odpowiadał jego charakterowi niż obowiązujący teraz powszechnie à la Lara Croft.

Po goleniu i prysznicu zjadł tost z miodem i wypił szklanek mleka, oglądając poranne wiadomości na TV24. Z pewnym zaskoczeniem zauważył, że od pewnego czasu nie widział w telewizji swojej byłej partnerki Justyny, i trochę się zaniepokoił.

Początkowo, po wyborach wygranych przez Partię Gładkiej Gadki, jak ją nazywał, Justyna niemal nie schodziła z ekranu. Rano i wieczorem męczyła się z żałośnie miłymi i papierowo uprzejmymi politykami, którzy nigdy nie odpowiadali na jej proste pytania.

Może w końcu zmądrzała – pomyślał naiwnie i zrobiło mu się trochę głupio, więc skończył jeść i poszedł do łazienki.

Wyplukał usta, wytarł twarz i przyjrzał się sobie uważniej w łazienkowym lustrze oświetlonym trzema halogenami. Sprawdził dłonią jeszcze raz, czy się dobrze ogolił, i poczuł nagle, że musi zakomunikować coś mężczyźnie w lustrze, coś ważnego i osobistego.

– Potrzebujesz kobiety, chłopie! Prawdziwej, takiej dorodnej! Nic więcej nie będę ci tłumaczył. Tak już na tym świecie jest! Jak tego nie zrozumiesz, to musisz iść się przebadać... czy coś

tam.

Aż się zachwycił, z jakim autentycznym dramatyзмом i przejęciem wypowiedział tak naiwną kwestię.

Ja pierdołę! Czy dzisiaj jest dzień świra? Eeee... mam jeszcze czas.

Mimo że chciało mu się śmiać z samego siebie, dobrze wiedział, że tak właśnie czuje, ale akurat nie potrafił dobrać lepszych słów, by wytłumaczyć sobie tę prostą i oczywistą dla każdego mężczyzny prawdę. Jeszcze bardziej zrobiło mu się głupio, kiedy przypomniał sobie scenę z wujkiem Teo na drzewie z filmu *Amarcord*. Ten obraz prześladował go od zawsze jak wyrzut sumienia, przestroga, że też tak może skończyć.

Wczorajsze zdarzenie w hotelu Marriott zrobiło na nim takie wrażenie, że jeszcze tego samego dnia powołał zespół, który miał się zająć jego rozpracowaniem, czyli ustaleniem, o co w tym wszystkim chodzi. Właściwie nie za bardzo jeszcze wiedział, co mają rozpracować, co ustalić, po co i dlaczego, ale im dłużej się zastanawiał, tym więcej pojawiało się pytań i denerwował się coraz bardziej, a to już było wystarczającym uzasadnieniem, by nadać sprawie priorytet. Tak działało jego poczucie obowiązku, chłodna kalkulacja zasad pracy operacyjnej i nieokiełznana dusza oficera wywiadu.

Było wpół do dziesiątej rano. Na dwudziestym piętrze jednego z warszawskich wieżowców firma Vigo, czyli Wydział Specjalny „Q” Agencji Wywiadu, pracowała już na pełnych obrotach. Ewa przygotowała dla wszystkich kawę w dwóch termosach, które postawiła na stole konferencyjnym. Przygotowała też sześć filiżanek i szklany dzbanek z mlekiem.

Konrad wszedł do sali ze swoim wielkim kubkiem z logo CIA w dłoni, ale nikt tego nie zauważył, bo wszyscy stali przy oknie, obserwując maszerującą na dole demonstrację Solidarności.

Nowo powołany zespół pod komendą Konrada składał się z jego zastępcy, czyli Sary Korskiej, Marcina harleyowca, Lutka, męża Ewy, i M-Irka. Słowem – stała szóstka.

Zmiana sytuacji politycznej w Polsce odbiła się także na Wydziale „Q”. W poniedziałkowy poranek nazajutrz po

wyborach Marek Belik, dotychczasowy pierwszy zastępca Konrada i przyjaciel „Ciężkiego”, został przeniesiony do gmachu AW na Miłobędzkiej i od tej pory słuch o nim zaginął. Nikt go nie żałował, więc i pamięć o jego krótkiej obecności w Wydziale długo nie przetrwała. Belik jednak coś po sobie pozostawił, coś specjalnego. Pustkę po nim wypełniła znacznie lepsza atmosfera. Czuli to każdy, choć mało kto uzmysławiał to sobie z taką siłą jak Sara, dla której obecność Belika była oczywistą niesprawiedliwością i osobistym wyzwaniem. Od samego początku.

Teraz Sara była pierwszym zastępcą, chociaż stanowisko to formalnie wciąż nie było obsadzone. Konrad zastanawiał się coraz częściej, czy nowy Szef AW szuka na to stanowisko swojego wiernego człowieka, czy też jest mu obojętne, kto zarządza Wydziałem „Q”. Jakkolwiek było, w obu wypadkach nie mogło to dobrze świadczyć o Szefie.

– Zaczynamy! – oznajmił głośno Konrad i wszyscy zajęli miejsca.

Ucichł gwar, stukot filiżanek, zgrzyt przesuwanych krzeseł i prośby o mleko czy cukier. Pięć par oczu spoczęło na prowadzącym zebranie.

– Sprawa będzie mieć kryptonim „Ural” – zaczął Konrad.

– Dlaczego „Ural”? – zapytał natychmiast Marcin, uprzedzając Sarę.

– No... bo... – Konrad zawahał się na moment. – Ural łączy Azję i Europę, a tu mamy Azjatów i białych... więc Ural będzie chyba dobry – wyjaśnił niepewnie i przygryzł wargę, jednak odgłos zapalniczki Zippo jeszcze bardziej go speszył. – Ktoś ma lepszy pomysł? – zapytał, kierując na nią spojrzenie.

– To jest świetne! – wykrzyknął Marcin. – Takie proste, bezpośrednio i głębokie jednocześnie... inteligentne!

– Daj spokój – przerwała mu Sara. – To nie ma znaczenia. Ural, Altaj czy Góry Świętokrzyskie...

– Zamykamy ten temat – wyraźnie stwierdził Konrad, jeszcze bardziej speszony. – Wszyscy wiemy, że coś się wczoraj stało w hotelu Marriott, tu, obok nas. Trzeba jednak, byśmy wspólnie uporządkowali wszystkie fakty i spróbowali określić,

co się właściwie stało i co będziemy dalej robić. Gospodarzem sprawy będzie Sara – rzucił bez uzgodnienia z nią i trochę za karę, że nie spodobał jej się kryptonim sprawy.

W rzeczywistości jednak czuł gdzieś w głębi, że Sara na to czeka, i wcale się nie pomylił.

Sprawa wyszła od jej byłego chłopaka, Jacka Morawca, i dlatego Sara bardzo chciała coś sobie udowodnić. Wiedziała, że to coś wypływa z jej kobiecej duszy, a dopiero potem – szpiegowskiej. Choć romans z Jackiem dawno się już zakończył i nawet myślami nie wracała do tamtych chwil, to teraz drgnęło w niej coś dziwnego i musiała ustalić co. Dlatego to była jej sprawa i Konrad nie powinien był pierwszy wymyślać kryptonimu – uważała.

– Wczoraj około pierwszej sprzątaczką w hotelu Marriott weszła niespodziewanie do pokoju numer 2313 na dwudziestym trzecim piętrze – zaczęła referować. – W apartamencie zobaczyła pięciu mężczyzn, którzy siedzieli za stołem. Na jej wejście... widok... nastąpiła u nich widoczna konsternacja... może lepiej powiedzieć: zaniepokojenie. Tak czy inaczej mężczyźni natychmiast, aczkolwiek dosyć nieudolnie, próbowali ukryć jakieś dokumenty. Ten pokój powinien być opróżniony trzydzieści minut wcześniej, co oznacza, że faceci musieli mieć wystarczająco ważny powód, by przeciągać spotkanie...

– Prawdopodobnie nie spodziewali się, że ktoś ich zaskoczy – stwierdził Konrad.

– Dlaczego nie wywiesili kartki „nie przeszkadzać” i nie zamknęli drzwi na łańcuch? – zapytał Lutek.

– Trudno na to odpowiedzieć – skonstatowała Sara. – Czynniki ludzkie... zwykły błąd...

– Sądzę, że spotkanie dobiegło końca i coś musiało ich zatrzymać, ponieważ doba hotelowa już minęła. Dodatkowo jeden z białych mężczyzn ledwo zdążył na lotnisko – dodał Konrad.

– No właśnie, szefie. Tak jak mówiłem... nooo... nie zdążyłem, kurczę – tłumaczył się Marcin.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Sara. – Nic się nie

stało. Wszyscy improwizowaliśmy. Dziadka musiało zatrzymać coś bardzo ważnego, skoro odkładał wyjazd na lotnisko do ostatniej chwili. Czyli... podsumowując ten etap, należy stwierdzić, że panowie rozmawiali o jakichś bardzo ważnych sprawach i wyraźnie nie chcieli, by ktokolwiek o tym się dowiedział.

– Stąd taka nerwowa reakcja na niespodziewane wejście sprzątaczkę – dorzucił Marcin i z przekonaniem pokiwał głową, aż wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Punkt drugi – zaczęła Sara, wyjęła papierosa i trzymała niezapalony między palcami. – Mamy pięciu mężczyzn, trzech Azjatów i dwóch białych. Jeden w wieku około siedemdziesięciu lat, może więcej, obywatel Szwecji, Gustav Winklund, numer ID 3810040312, drugi biały, około czterdziestu, czterdziestu pięciu lat, brak danych. Azjaci, dwóch prawdopodobnie młodych, wiek trudny do określenia, i jeden znacznie starszy... może sześćdziesiąt lat, wyraźnie szef, boss.

– Winklund błyskawicznie wymeldował się z hotelu, a pokój zajmował tylko jedną dobę. Rezerwacji dokonano z adresu mailowego w Sztokholmie – stwierdził Konrad.

– W drodze na lotnisko jechałem tuż za nim – włączył się Marcin. – Sprawdzał się! Nie ma najmniejszej wątpliwości. Odleciał samolotem do Kopenhagi. Nie miał bagażu, tylko nieduży neseser, ale nie zdążyłem poprosić o pomoc Straży Granicznej, bo już przeszedł na drugą stronę. Na lotnisku z nikim się nie kontaktował. Siedział w barze i pił piwo, ale nie wyglądał na zdenerwowanego.

– Czy telefonował... w taksówce albo na lotnisku? – zapytał znudzonym głosem Irek.

– Na lotnisku nie, ale w taksówce... nawet na pewno! Rozmawiał i rozglądał się wokół. Ja w tym samym czasie rozmawiałem z szefem przez komórkę. – Marcin był wyraźnie pobudzony.

– Dawaj telefon! – zarządził Mirek, a na widok zdezorientowanej miny Marcina powtórzył ostrzej: – Dawaj i już!

- Mam tu zdjęcia... prywatne...
- Dawaj! – ryknął Irek, zabrał telefon i wyszedł z Mirkiem z pokoju.
- Ciekawe! – skomentował po chwili Konrad, czując, że M-Irek wie, co robi.
- Czekamy na nich czy...? – zapytała Sara.
- Idziemy dalej – zdecydował Konrad.
- Kierowca taksówki hotelowej stwierdził, że Winklund rozmawiał w nieznanym mu języku, ale na pewno nie po angielsku, francusku ani niemiecku. Właściwie nie umiał powiedzieć, co to był za język, ale żaden z tych, które potrafił rozpoznać... nawet mniej więcej – zrelacjonował Marcin.
- Skoro to Szwed, to pewnie mówił po szwedzku – wtrąciła Sara.
- Tym bardziej że w Szwecji mają mnóstwo różnych dialektów – poparł ją Konrad.
- Drugi biały. – Sara spojrzała na swoje odręczne notatki. – Według Jacka, który pojechał za nim, wysiadł w Wilanowie i znikł. Niestety, to była zwykła taksówka i teraz trzeba ją odnaleźć. Mamy numer rejestracyjny. Musimy porozmawiać z kierowcą, może zauważył coś podejrzanego...
- Ja się tym zajmę – natychmiast zareagował Marcin. – To moja robota!
- Tu masz dane. – Sara podała mu kartkę.
- Trzeba to zrobić jeszcze dzisiaj – zarządził Konrad. Odpowiedziało mu zmarszczone czoło Marcina.
- Azjaci – kontynuowała Sara. – *No bloody fucking idea* – zakłęła ostro. – Kto to jest? Nic nie wiadomo! Ustaliliśmy, że pojechali taksówką na plac Trzech Krzyży i tam wysiedli. Nic więcej! Co za ptice? Nie mamy pojęcia!
- No, Chińczyków jest dużo... Wietnamczyków u nas też nie brakuje. Będziemy mieli problem, żeby to ustalić. Jeśli to jakaś mafia chińska czy wietnamska, to policja nam pomoże – stwierdził Marcin.
- Jeżeli to sprawa kryminalna, to nam nic do tego... ale to nie jest żadna mafia. Ja to wiem! – stwierdził z pełnym przekonaniem Konrad. – Ja to czuję! To jest coś w sam raz dla

nas – dodał i odruchowo przygryzł wargę, aż Sara musiała dać mu znak, żeby przestał, bo głupio wygląda.

– W zasadzie to wszystko – stwierdziła. – Aha, zapomniałabym! Jacek roztropnie przeszukał pokój 2313, zanim weszła tam sprzątaczką, i nic nie znalazł. Nawet jednej chusteczki do nosa, gumy do żucia, nic. Dwa skrawki papieru w sedesie. Wyglądało, jakby ktoś coś podarł i spuścił w klozecie. Winklund spał w tym pokoju tylko jedną noc. Żadnych śladów!

– To też coś mówi – odezwał się milczący dotąd Lutek.

– Właśnie – dodał Konrad i wszyscy na chwilę zamilkli, jakby oczekiwali, że wymyślą coś nowego. – Dobrze! Idź, Marcin, po M-Irka. Zaczniemy teraz przeglądać nagranie z kamer hotelowych.

– Szef wie, że to nielegalne – z poważną miną zauważył Marcin.

– Idź!

– Siedzieli wczoraj do rana, żeby oczyścić ten film... Jest super!

– Idź już, człowieku!

– Szef strasznie dzisiaj nerwowy – rzucił Marcin w drzwiach i już po drugiej stronie powiedział do siebie: – Musiało mu się coś strasznego przyśnić w nocy... jak nie!

Lutek stanął przy oknie i zaczął przez nie wyglądać. Sara zapaliła w końcu papierosa. Konrad dziwił się nawet, że nie zrobiła tego wcześniej, tylko trzymała go między palcami.

Dopiero teraz zauważył, że włożyła klasyczną skórzaną marynarkę w jasnobrązowym kolorze. Do tej pory nigdy jej nie widział w skórzanej odzieży. Pomyślał, że pewnie byłoby jej też dobrze w skórzanych spodniach.

Niektóre kobiety rodzą się piękne i takie już zostają, ale przytłaczająca większość musi później wciąż poprawiać naturę – skonstatował Konrad. Sara ma dużo szczęścia... i nie musi wydawać na kosmetyki.

Dolał sobie kawy z termosu i stanął obok Lutka. Na ulicy pod nimi trwała właśnie walka zastępów związkowych Solidarności z policją. Na dwudzieste piętro docierał jedynie niewyraźny,

bezdźwięczny obraz ozdobiony czarnymi pióropuszcami dymu z płonących opon. Po chwili obok Konrada stanęła Sara z filiżanką w ręku i przez dłuższą chwilę obserwowali w milczeniu ulicę. Nie zauważyli, że Lutek wcale nie interesuje się tym, co się dzieje na zewnątrz, tylko stoi wpatrzony w daleki horyzont nad Warszawą.

Otworzyły się drzwi i wszedł Irek razem z Marcinem. Zaczęli zasłaniać okna. Wszyscy zajęli miejsca naprzeciwko czterdziestosiędmioocalowego telewizora Sony. Irek włączył komputer i ekran się ożywił, a po chwili ukazał się na nim obraz z holu Marriotta.

– Nagranie dostaliśmy od pana Morawca wczoraj po dziewiętnastej. To kopia cyfrowa w HD – zaczął Irek. – W holu mają osiem kamer pokrywających praktycznie całą przestrzeń oraz dwie przed wejściem. Dochodzą kamery na piętrze i w windzie. To nowoczesny system VDRS Professional OEM. Całe interesujące nas zdarzenie trwało cztery minuty czterdzieści siedem sekund, to jest od chwili wyjścia Azjatów i białych z pokoju do momentu, jak rozjechali się taksówkami.

– Dlaczego wyszli z pokoju wszyscy razem? Przecież muszą wiedzieć, że na korytarzu są kamery. To nieprofesjonalne, nawet jak na mafię – wtrącił Marcin.

– Marcinku – odezwała się kordialnie Sara. – Ty wiesz, ile ty i ja, i nawet nasz szef Konrad robimy błędów? Czegoś się przestraszyli i już poleciało. Dlaczego nie zamknęli się w pokoju? Noo...?

– Podzieliliśmy obrazy na poszczególne kamery, tak by postacie były lepiej widoczne, i usunęliśmy szумы – dokończył Irek i zapytał: – Zaczynamy? Bo Mirek pracuje jeszcze nad telefonem Marcina i szybko tu nie wróci.

– Zaczynaj! – zarządził Konrad.

Na ekranie pojawił się przyciemniony obraz długiego korytarza hotelowego, wystarczająco jednak wyraźny, by można było rozpoznać wszystkie szczegóły. Po chwili z pokoju wyszedł mężczyzna w granatowym garniturze i rozejrzał się po pustym korytarzu.

– Azjata... ten młodszy... – skomentował Marcin.

Po kilku sekundach wyszedł drugi, też w granatowym garniturze. Zaraz po nim pojawił się starszy Azjata w jasnym płaszczu i z teczką w lewej ręce. Zdecydowanym krokiem ruszyli w kierunku wind. Jeden młody z przodu, drugi z tyłu.

– Zatrzymaj! – rzucił Konrad do Irka. – Nie ma najmniejszej wątpliwości!

– To obstawa tego starego Chińczyka. Zawodowcy, to pewne! Ale to chyba nie jest mafia – niepewnie stwierdziła Sara.

– Raczej nie... owszem.

– A dlaczego nie mafia? – zapytał Marcin.

– Ten ubiór, garnitury... te fryzury jakieś staromodne, ten krok. I ten prochowiec z lat siedemdziesiątych... – ciągnął Konrad. – Nie pasuje mi to!

– Teraz takie są na topie! – zdecydowanie wtrącił Marcin.

– Nie mają broni – odezwał się nagle pewnym głosem Lutek.

– To po co taka ochrona?

Lutek jednak nie odpowiedział i dalej siedział na krawędzi stołu, z rękami założonymi na piersi. W rozciągniętym, grubym granatowym golfie wyglądał jak stary szyper z Orkadów.

– Puść dalej – zarządził Konrad.

Azjaci zatrzymali się przy windzie jakieś dziesięć metrów od pokoju. Wtedy na korytarzu pojawiło się dwóch białych. Starszy w jasnej wiatrówce, z mocno siwymi włosami zaczesanymi do tyłu, w grubych okularach i z dużym neserem w dłoni. Wyglądał, jakby lekko utykał. Za nim wyszedł drugi, znacznie wyższy, o ciemnych włosach i szczupłej sylwetce, w ciemnej marynarce i koszuli bez krawata. Zatrzasnął drzwi i rozejrzał się dokoła. Stary Szwed czekał z Azjatami przy windzie, gdy młody szybko podszedł do zakrętu korytarza i wyraźnie się kryjąc, zajrzał za róg.

– Bingo! Bingo! – zawołał Marcin.

– No, to sprawa jasna! – stwierdziła z przekonaniem Sara, podniosła się i zdjęła skórzaną marynarkę, pod którą miała bluzkę bez rękawów.

Na ten widok wszyscy zamarli na ułamek sekundy.

– Po co on to zrobił? – zapytał w końcu poruszony Konrad. – To hotel... są kamery... powinien o tym wiedzieć! Facet się

zdekonspirował. Ale... to nie jest oficer wywiadu czy służb specjalnych, proszę państwa. To amator! Chyba że się mylę.

– No więc kto to jest? – dopytywał się Marcin.

– Na terrorystę z Al-Kaidy nie wygląda... – wtrąciła Sara.

– To może chodzi tu o szpiegostwo przemysłowe... Sony kontra Samsung albo Cola przeciw Pepsi – dorzucił Marcin.

– Duże koncerty zatrudniają w oddziałach bezpieczeństwa czy wywiadu najlepszych emerytowanych oficerów – odezwał się Konrad – zawodowców z CIA, Mosadu i tak dalej... Ten nie może być ze służb specjalnych. Jestem prawie pewien. Zobaczmy dalej!

Po chwili wszyscy weszli do windy. Irek przełączył program i na ekranie ukazało się pięć postaci w windzie widzianych z góry. Po minucie dojechali na parter. Zanim otworzyły się drzwi i wyszli do holu, stary Szwed i stary Azjata podali sobie ręce. Irek zmienił kamerę. Z tej pozycji widać było, jak Azjaci sprężystym, dosyć nerwowym krokiem kierują się do wyjścia. Ochroniarze byli wyraźnie zdenerwowani i rozglądali się intensywnie. Doszli do drzwi obrotowych, jeden przeszedł pierwszy, stary zaczekał wewnątrz, potem przeszedł, a za nim drugi ochroniarz. Zmiana kamery i widać, jak ochroniarz otwiera przed starym drzwi taksówki SaWa, rozgląda się i zaraz za nim wsiada. Drugi ochroniarz usiadł z przodu. Taksówka odjechała.

– W wypadku Azjatów mamy pewność – stwierdził Konrad, kiedy Irek zatrzymał film. – To ktoś bardzo ważny, a ci dwaj to jego ochroniarze.

– Zaprezentuję teraz poprawione i powiększone stop-klatki każdego z żółtków... – zapowiedział Irek.

– Mówimy „Azjatów” – poprawił go Konrad.

– Wybraliśmy takie sekwencje – ciągnął niespeszony Irek – na których widać całe ich sylwetki, a na kolejnych twarze, tak by nadawały się do identyfikacji.

Na ekranie pojawiły się dwa zdjęcia oznaczone numerem 1. Cała sylwetka młodego mężczyzny i obok zdjęcie jego twarzy. Przez dłuższą chwilę wszyscy w milczeniu wpatrywali się w obraz.

– Daj obok zdjęcie tego drugiego – zaproponowała Sara. – Porównamy ich. Może coś z tego będzie.

Irek postukał w klawiaturę komputera i na ekranie pojawiły się teraz dwie sylwetki Azjatów obok siebie.

– Mają takie same garnitury... – zaczął Marcin.

– W ogóle są tacy sami... aż trudno powiedzieć, który jest który... chyba nawet buty mają identyczne. Może to bliźniacy? – kontynuowała Sara. – Wyglądają jak wycięci z któregoś Bonda...

– Rzeczywiście – stwierdził Konrad. – Prawie się od siebie nie różnią, ale to chyba nie są jakieś eleganckie, drogie garnitury... Wyglądają mi na Chińczyków... z Chin...

– To są północni Koreańczycy – odezwał się obojętnym głosem Lutek.

Aż wszyscy zamarli, tak niesamowicie zabrzmiały jego słowa. Lutek odzywał się rzadko, ale jeśli już to robił, nigdy nie pudłował, jak na strzelnicy, i wszyscy na dwudziestym piętrze dobrze o tym wiedzieli.

– Skąd u nas północni Koreańczycy, i to tacy... coś ty? Skąd to wiesz? Widziałeś kiedyś takiego Koreańczyka? A czym się różni północny od południowego? – Marcin próbował nieudolnie kwestionować opinię Lutka, choć doskonale wiedział, że za chwilę może narazić się na śmieszność.

– Ja od razu wiedziałem, że to KRL-D – niespodziewanie dorzucił Irek – ale to nie moja sprawa...

Konrad, Sara i Marcin siedzieli w pozycji, jakby przed chwilą uderzył w nich piorun, a teraz czekali na studzący deszcz. Północnokoreańskie służby specjalne w Warszawie! To brzmiało jak żart primaaprilisowy, wręcz śmiesznie. Konrad nawet nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywają te służby i czy kiedykolwiek się z nimi zetknął.

Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna była w absolutnym centrum zainteresowania wszystkich służb wywiadowczych, bo groziła pożarem o niewyobrażalnych konsekwencjach dla całego świata. Jednak Agencja Wywiadu nie miała dotąd okazji zetrzeć się ze służbami Kim Dzong Una.

O KRL-D w ogóle niewiele wiedziano, a co dopiero o jej

sz służbach specjalnych czy wywiadzie! Wiadomo było tylko, że to jedyny taki kraj na świecie, który posiada broń atomową, leży w sercu dwóch największych mocarstw światowych, Chin i Japonii, i ma miliony obywateli gotowych poświęcić swoje życie dla dynastii Kimów i idei Dżucze.

Więc skąd, kurwa, Koreańczycy w Warszawie? – pomyślał Konrad i uznał, że to chyba nie może być prawdą.

– Dlaczego tak uważacie? – uprzedziła go Sara.

– Ci dwaj ochroniarze nie noszą broni. To widać doskonale po ich ruchach. Są tak wyszkoleni, by mogli zabić rękami i nogami, i to w okamgnieniu. Muszą być mistrzami taekwondo! Widzę to w ich ruchach, gestach, spojrzeniu. – Lutek mówił spokojnie, lecz po raz pierwszy wszyscy wyczuli w jego głosie rodzącą się nutkę emocji. – Na całym świecie taekwondo to sport, ale w Korei Północnej rozwinięto go do rangi niebezpiecznej broni, która ma skutecznie zabijać.

Te słowa wyczerpały temat. Były na tyle proste, że nie wymagały komentarza, bo Lutek miał dziewiąty dan w taekwondo, ale o tym nikt nie wiedział.

– Ty, o ile wiem... i widzę... słabo znasz się na wschodnich sztukach walki. – Sara zwróciła się do Irka.

– Ale jako jedyny z tego Wydziału byłem w KRL-D.

– Kiedy? – zapytali równocześnie Sara i Konrad.

– Spokojnie, nie jeździłem tam na handel. Gdy pracowałem w Departamencie Bezpieczeństwa Teleinformatycznego ABW, sprawdzaliśmy regularnie naszą ambasadę w Pjongjangu. Nigdy nie chciałem tam latać, bo do Korei Północnej można się dostać tylko ich liniami lotniczymi, a to prawdziwy hazard...

– Do rzeczy, Irek! – ponaglił Konrad, bo dobrze wiedział, co może być dalej. – Nie mamy czasu!

– Skoro to was nie interesuje...

– Irek!

– W takim razie popatrzcie. – Irek ustawił na ekranie zdjęcia twarzy obu Azjatów. – I co widzicie? Co was uderza? Co w nich jest wyjątkowego? Czym odróżniają się od wszystkich innych żółtków?

– Irek! – Konrad był już wyraźnie zdenerwowany.

– Nooo... tam jest głód, a oni nie wyglądają... – wtrącił Marcin.
– Matko Przenajświętsza! – niemal zawołał Irek. – Nic?! Nic nie kapujecie?!

– Noo... ja tak... ale... – wciąż rezonował Marcin.

– Ech, asy wywiadu Trzeciej i Czwartej RP... Fryzury! Fryzury!
– rzucił Irek, ale, jeśli nie liczyć Lutka, odpowiedziały mu tylko zdziwione spojrzenia. – Oni tam mają jednego fryzjera, bo fryzura nie jest elementem estetyki człowieka, lecz musi być praktyczna. Szczególnie u tych, którzy noszą sztywne czapki z daszkiem i otokiem. To jest fryzura północnokoreańska i nie spotkasz takiej w żadnym innym kraju na świecie. Prawie wszyscy zaczesują się do tyłu i mają wysoko podgolone boki! Dokładnie jak Kim Dzong... tylko brak im w klapie znaczka z Ojcem Ojców! Koreańczycy to prawdopodobnie najbardziej homogeniczny etnicznie naród na świecie. Sugeruję wszystkim szpiegom z Wydziału „Q” uważne obejrzenie filmu *Goldfinger* z sześćdziesiątego czwartego roku. Tam możecie zobaczyć, jak wyglądają Koreańczycy ze służb w mercedesach. Dzisiaj wyglądają dokładnie tak samo jak za czasów pierwszego Kima. Sprawdźcie, jeśli nie wierzycie.

– Eee... to jakieś dyrdymały – skomentował Marcin. – Co Fleming mógł o tym wiedzieć?

– Co? – obruszył się Irek. – A GPS, który zaprezentował Q w tym filmie, to pies? Dyrdymały? Trzeba mieć wizję... i my ją mamy!

– Panowie, jesteście genialni, a polski wywiad cywilny najlepszy na świecie! – stwierdził z uśmiechem Konrad. – Garnitury démodé, taekwondo, fryzury i mamy rozpracowaną grupę koreańskich szpiegów...

– Śmiać się czy płakać, ale to prawda – dorzuciła Sara. – Teraz mamy prawdziwy problem. Kim są ci biali i co, do diabła, oni wszyscy tu robili? Bo na pewno nie było to spotkanie szwedzkiego wywiadu z ich przyjaciółmi z KRL-D! – Zwróciła się do Konrada: – Rusz w końcu głową! O co tu chodzi? Masz największe doświadczenie, a robisz sobie jaja!

– Nie robię – spokojnie zareagował Konrad. – Ja po prostu naprawdę nie wiem, co jest grane. Czy ja muszę wszystko

wiedzieć, Saro? – zawiesił na chwilę głos i już bardziej pewny siebie dodał: – Czas to wszystko podsumować i ruszyć z kopyta do przodu, inaczej nigdy się nie dowiemy. Rozpisać sztukę na role i ustalić w końcu... ustalić cokolwiek. Szefa biorę na siebie.

W tym momencie otworzyły się drzwi i ze znużoną miną wszedł do sali Mirek z telefonem Marcina w rękę.

– No i co? – zapytała bez przekonania Sara, bo właściwie nie wiedziała, co Mirek miał zrobić z tym telefonem.

– Wygląda to tak – zaczął Mirek, kiedy usiadł. – W kwadracie Nowogrodzka, Lindleya, Chałubińskiego, Chmielna... mam na myśli czas, kiedy przebywali tam Marcin i ten Winklund... do polskich sieci komórkowych zalogowanych było dwadzieścia cztery tysiące dwieście trzydzieści jeden telefonów...

– Boże drogi, Mirek! Wierzymy ci, ale oszczędź nam, Mireczku, tych szczegółów. – Sara była zdeterminowana się nie poddawać. – Co ustaliłeś, mistrzu nasz?

– Z tego tysiąc sto pięćdziesiąt numerów w roamingu – ciągnął niezachwianie Mirek – ale tylko jeden był zajęty o czternastej jedenaście. Ten sam numer zalogował się też na Żwirki i Wigury, a potem na lotnisku i znikł o czternastej pięćdziesiąt pięć, czyli w momencie, kiedy odleciał samolot do Kopenhagi. Telefon należy do szwedzkiej sieci Telia i wczoraj między czternastą dziesięć a czternastą trzynaście kontaktował się z numerem belgijskim z sieci Vodafone, który był zalogowany w Warszawie w rejonie ulicy Sobieskiego. Zniknął w Wilanowie o czternastej dwadzieścia trzy.

– To musiał być ten drugi, wysoki biały – stwierdziła Sara, zapaliła papierosa i natychmiast go zgasiła. – Jechał Sobieskiego do Wilanowa, to jasne.

– Na to wygląda – dodał Konrad. – Co dalej?

– Zdjęcia i dane Gustava Winklunda, jego numer telefonu, adres, z jakiego robił rezerwację, oraz zdjęcie tego drugiego trzeba natychmiast przesłać do Säpo... Zresztą – zawahała się przez moment – Koreańczyków też trzeba im pokazać... może coś wiedzą. Zdjęcia wszystkich białych wysłać do Brytoli, ale nie mówić im jeszcze, o co chodzi, bo jeśli wspomnimy o Koreańczykach, to zaraz nam tu wyląduje połowa Langley

i MI6. Najpierw zobaczymy, co odpowiedzą – skończyła Sara i zwróciła się do Marcina: – Pojedziesz na Miłobędzką i sprawdzisz wszystkich w programie Face 69... może są gdzieś notowani. Wysłać numer telefonu do Belgów, niech sprawdzą...

– Skontaktuję się z ABW – wtrącił Konrad. – Może mają jakieś dane o Koreańczykach... Wydaje mi się, że pilnują ich ambasady. Poproszę też, żeby sprawdzili tego Winklunda we wszystkich możliwych hotelach w Warszawie. Może gdzieś nam wypłynię.

– To co? – zapytała krótko Sara, strzeliła dwukrotnie zapalniczką Zippo i przeciągnęła po wszystkich wzrokiem. – Do roboty! Każdy wie, co ma robić.

Gdy została już sama z Konradem, oboje podeszli do okna. Na dole demonstracja Solidarności wciąż toczyła zaciekły bój z policją. Za sprawą dźwiękoszczelnych szyb mieli wrażenie, jakby oglądali smutny niemy film.

– Koreańczycy, Szwed, tajemniczy brunet, sprzątaczką w hotelu, były oficer ABW, belgijski telefon... rozumiesz coś z tego? – zapytał Konrad.

– Nie – odparła, kręcąc głową.

– To zgłoś się, jak coś z tego pojmiesz – rzucił Konrad i oboje wybuchnęli śmiechem.

Samolot z Budapesztu wylądował ponad dziesięć minut przed czasem. Od startu w Sanie do Warszawy Karol leciał dwa dni trzema maszynami. Najpierw Turkish Airlines, osiem godzin oczekiwania w Stambule, potem Malevu i na koniec ulubionego Lotu. Trzy starty, trzy lądowania, ale nie był w stanie sobie przypomnieć żadnego epizodu podróży. Zasypiał, gdy samolot stał jeszcze na lotnisku, a budziło go uprzejme, lecz zdecydowane szarpnięcie stewardesy za ramię. Wyjątkiem było lądowanie w Stambule solidnie wyeksploatowanego boeinga 737 Turkish Airlines, który tak mocno spotkał się z płytą lotniska, że aż Karol poczuł bolesne uderzenie w tył głowy.

Kiedy wysiadł z samolotu w Warszawie, od razu włożył bejsbolówkę i okulary zerówki. Miał tylko podręczny baraż, więc nie musiał niepotrzebnie się wystawiać na ekspozycje kamer w hali przylotów. Widocznie ani ABW, ani żadne inne służby nie miały jego zdjęcia, skoro bez żadnych problemów od tyłu lat przekraczał granicę. Odkąd podjął decyzję o przejściu na islam i włączeniu się do walki, zniszczył wszystkie swoje zdjęcia, których i tak miał niewiele. U dziadków w Ursusie pozostawił trochę swoich fotografii z dzieciństwa, i to tylko tych z ojcem. Nie mógł ich zniszczyć, ale do celów identyfikacyjnych raczej się nie nadawały.

Wyszedł przed terminal i kilka razy głęboko się zaciągnął rzeńskim powietrzem. Nawet nie przypuszczał, że tylko jedna nieprzespana noc i podróż samochodem do Adenu tak go wykończą. W końcu to nie pierwszy raz eksploatował swój organizm ponad normę i był do tego przyzwyczajony. Zwykła medytacja i ćwiczenia z falowania, jak nazywał Falun Gong, działały wyśmienicie na ciało i zmysły, dając mu wystarczająco siły, by przedłużyć dobę do siedemdziesięciu dwóch godzin. Ale tym razem było inaczej.

Obiecał sobie, że już nigdy nie zaśnie w czasie podróży. W Warszawie czuł się najlepiej, bezpiecznie, u siebie, i był przekonany, że ABW czy AW w najśmielszych myślach nie podejrzewają, że Karol Hamond, Safir as-Salam, może

spokojnie mieszkać gdzieś pod bokiem.

Odczekał jeszcze kilka minut, aż osłabnie ruch przed terminalem. Taksówki stały w długim szeregu, zabierając co chwila nowych pasażerów. W końcu wybrał mercedesa korporacji 19191, usiadł na tylnym siedzeniu, tak by wyjść z pola widzenia kierowcy, i polecił kurs do Galerii Mokotów.

Nigdy nie jechał z lotniska prosto do swojego domu w Iwicznej. Najpierw musiał sprawdzić, czy jest on bezpieczny, czy podczas jego obecności nie zdarzyło się coś, co mogło świadczyć o zagrożeniu.

Program monitoringu domu opracowany przez Zatokę był niemal idealnie prosty i praktycznie niemożliwy do złamania bez wiedzy właściciela. Stosowali go wszyscy w plemienu i nazywali EyeShield. Jakakolwiek próba jego obejścia była natychmiast sygnalizowana wszystkim czynnym wojownikom i pozwalała na podjęcie natychmiastowych działań, z autodestrukcją wszelkich zapisów i systemów włącznie. Nikt jednak w Zatoce nie wiedział, że Mirmillo ma dodatkowo zamontowane ładunki wybuchowe, które skutecznie zniszczą dom i wszystko, co się znajduje wewnątrz.

Było dopiero wpół do jedenastej i o tej porze kawiarnia Wedla w Galerii Mokotów świeciła pustkami, a dwie urocze panie właśnie przygotowywały ekspozycję ciastek i czekoladek. Karol zamówił dużą caffè americano z mlekiem i croissantą z malinami. Zajął miejsce w rogu sali na miękkiej kanapie. Tego dnia był pierwszym klientem.

Delikatna, spokojna muzyka, zapach kawy i niezwykle aromat słodczy podziały na niego rozluźniająco. Od razu pomyślał o Zuzie. Poczul radość, że jest już z powrotem w Warszawie. Pomyślał z nadzieją, że może i ona przebywa gdzieś tu, w pobliżu, może nawet robi teraz zakupy. I ze zdumieniem stwierdził, że czuje jej zapach. Jakby przed chwilą przeszła obok. Ten sam zapach, który miała na sobie wtedy wieczorem na korytarzu hostelu we Lwowie. Nawet się nie zorientował, kiedy zaczął rozglądać się wokół, jakby stała tuż za jego plecami i chciała go pocałować.

Wyciągnął z kieszeni i włączył swojego iPhone'a. Na ekranie

pojawił się znak, że jest w zasięgu sieci WiFi. Najpierw sprawdził, czy na adresie Zatoki są dla niego jakieś wiadomości. Od chwili wyjazdu z Polski nie korzystał ani z telefonów komórkowych, ani z Internetu. Dlatego teraz moment włączenia telefonu naznaczony był silną emocją, jak przebudzenie z długiego snu.

Program EyeShield był aktywny, ale w stanie uśpienia i bez żadnych aplikacji. To była pierwsza dobra wiadomość. Oznaczała, że może spokojnie wziąć taksówkę i wracać do domu.

Najpierw jednak musiał jak najszybciej wysłać informację do Retiarusa. To było najważniejsze, ważniejsze nawet niż Zuza. Ona mogła jeszcze poczekać, ale sprawa Abdula nie. Była ważna dla braci z Bazy, ale przede wszystkim dla niego samego. Od jej załatwienia zależał nie tylko jego los. Profesor uświadomił mu to wystarczająco jasno.

Karol przesunął filiżankę i zrobił miejsce na stoliku. Z notatnika formatu A6, który miał w wewnętrznej kieszeni swojej jemeńskiej marynarki, wyrwał kratkowaną kartkę. Wziął do ręki cienkopis Pilot i zamarł na chwilę.

To, co miał teraz napisać do Retiarusa, musiało być krótkie, czytelne i wiarygodne, czyli takie jak zawsze. Wiadomość była jednak nieporównywalnie ważniejsza niż wszystko to, co dotąd do niego pisał. Gdyby w plemienu siedział kret, w Wiedniu czekałaby na Karola zasadzka i stu agentów kilku służb. Nie miałyby żadnej szansy ująć z życiem, nawet gdyby był Batmanem.

Mirmillo do Retiarusa.

Abdul Rahman Tahti. 1965.10.10. Tunezyjczyk. Wiedeń, Albrechtskreithgasse 5a. Telefon 784562318. Bezrobotny. Obywatel. Prawdopodobnie informator policyjny. Przestępca. Potrzebuję bezpiecznego miejsca na spotkanie w lokalu pod camcontrol on line na iPhone'a, w pobliżu jego miejsca pracy – do 300 metrów. I podobnego koło jego domu. Potrzebny dostęp do City Cam w rejonie jego zamieszkania. Pilne! Jaki operator ma najslabsze pokrycie w Wiedniu? Czas 1–2 dni.

Info na IPX9899!

Przeczytał tekst dwa razy i upewnił się, że napisał wszystko, co było niezbędne. Ani mniej, ani więcej. Teraz wszedł na aplikację SafeTribe, dostępną tylko dla wojowników z Zatoki, i zaczął wpisywać tekst. Po zapisaniu każdego słowa i naciśnięciu spacji zamieniało się ono w ciąg znaków opartych na systemie ASCII. Ta aplikacja, dobrze już sprawdzona, była dziełem Retiarusa i nieznanego geeka z NSA.

Karol zawahał się na moment, czy aby jest już gotowy do tej roboty i czy wszystko dokładnie przemyślał. Żadna improwizacja nie wchodziła w grę i jeśli puści tę wiadomość, już nie będzie mógł się wycofać. Zadanie musi być wykonane szybko, sprawnie i dokładnie, a wynik ma być czytelny i wyraźny.

Uderzył palcem wskazującym w okienko Send mocniej niż normalnie, po czym wyłączył iPhone'a i schował go do kieszeni.

Po kilku minutach wstał, odniósł kubek i talerzyk. Zanim dał nieprzyzwoicie wysoki napiwek, pogodna kelnerka o zabójczych czarnych oczach obdarzyła go powalającym uśmiechem. Pomyślał, że pewnie nie byłaby taka miła, gdyby się do niego zbliżyła i poczuła skutki jazdy w czterdziestostopniowym upale bez klimatyzacji.

Wyszedł na skrzyżowanie alei Wilanowskiej i Wołoskiej. Przed wejściem stał rząd taksówek z logo Galerii Mokotów. Karol wziął pierwszą i podał adres w Iwicznej.

Dochodziło wpół do pierwszej, kiedy wyszedł mokry spod prysznic. Zarzucił swój ulubiony biały szlafrok frotté i porządnie wytarł gęste czarne włosy. Pomyślał, że przed robotą powinien się ostrzyć.

Pozasłaniał szczelnie wszystkie okna i dopiero wtedy otworzył skrytkę w podłodze. Wyjął duże drewniane pudełko, w którym w specjalnie przygotowanych przegródkach ułożone były iPhone'y, Blackberry, zwykłe telefony i dwa iPady. Wyjął iPhone'a z marynarki i nakleił na nim karteczkę samoprzylepną, na której napisał numer 9. Następnie otworzył notatnik w twardych okładkach i pod cyfrą 9 zapisał datę i treść wysłanej do Retiarusa informacji. Kratkowaną kartkę z Galerii

Mokotów spalił w popielniczce, a szczątki rozgniół zapalniczką. Zamknął skrytkę, ale jej nie zabezpieczył, choć powinien. Uznał, że dzisiaj będzie spał w salonie, więc wszystko będzie miał pod kontrolą, a i tak musi wstać najpóźniej o osiemnastej i zacząć się przygotowywać do wyjazdu do Wiednia.

Położył się w szlafroku na kanapie i przykrył pledem. Na wszelki wypadek nastawił budzik na osiemnastą. Wyjątkowo zmęczony po podróży, nie był pewien, czy jego zegar biologiczny zadziała sprawnie. Wyciągnął się na wznak i podłożył ręce pod głowę.

W salonie panował przyjemny mrok i cisza, chociaż na zewnątrz świeciło słońce, ptaki szalały wokół domu i było czuć, jak intensywnie żyje Warszawa.

Wciąż był podenerwowany podróżą, rozmową z Sajedem i tym, co mu powiedział profesor. I teraz, kiedy powinien się rozluźnić i odpocząć, czas wygrywał ze snem.

– Zuza, Sajed, Raszid, profesor, Abdul, każdy z osobna... wszyscy razem... Cztery Źródła... – powiedział do siebie bez zastanowienia i usiadł na skraju kanapy.

Na wyciągnięcie ręki wisiała na oparciu krzesła jego jemeńska marynarka. Przyglądał jej się przez chwilę, potem chwycił za kołnierz i powoli ściągnął ją z krzesła. Zawahał się, po czym włożył rękę do bocznej kieszeni i wyciągnął niedużą książeczkę po arabsku, z wierszami Hawiego. Wyjął z niej białą kartkę, rozłożył, rozprostował kantem dłoni i przeczytał niewyraźny tekst zapisany ręką niewidomego: „Stockholm, Veckovägen 12, Täby, mobile 0709875432”.

Linda wyjątkowo szybko wdrożyła się do pracy jako zastępca naczelnika Wydziału Walki z Ekstremizmem, zwanego potocznie i błędnie wydziałem terrorystów islamskich. Tak się przyjęło, jak tylko został on utworzony, ale prawdziwego znaczenia ta nazwa nabrała dopiero po jedenastym września 2001 roku. Nawet Kurt Löwenström, kiedy szedł do tego wydziału, mówił sekretarce, że „będzie u terrorystów”.

Określenie „terroryzm” istnieje w języku szwedzkim i oznacza dokładnie to samo co we wszystkich innych językach. Jednak oficjalnie sprawa nie jest taka prosta. Określenie „terroryzm islamski” dopiero od niedawna i z trudem przebija się do języka publicznego, bo kojarzy jednoznacznie jedną religię z określonym zachowaniem. A w Szwecji żyje trzysta tysięcy muzułmanów i funkcjonuje cicha umowa, że ekstremiści islamscy nie naruszają spokoju społeczno-politycznego. Państwo w zamian popiera aspiracje Palestyńczyków, chociaż robi przy tym perskie oko do Izraela, że wprawdzie popiera, ale tak nie do końca.

„Taki nasz syndrom sztokholmski, tyle że w nowym, ogólnopolitycznym wydaniu” – zwykł mówić z sarkazmem Löwenström i wcale się z tym nie krył. Kilka razy powiedział tak w wywiadach dla telewizji i prasy, ale nigdy tego nie opublikowano.

Dlatego Wydział Walki z Ekstremizmem miał trzy podwydziały: walki z ekstremizmem prawicowym, lewicowym i religijnym. I nikt nie mógł teraz Sjöpo nic zarzucić. Więcej, właśnie organizowany był podwydział do spraw walki z zielonym ekstremizmem.

Od 2001 roku wszyscy już nazywali sprawę po imieniu, nawet w Rosenbad, siedzibie rządu. Wyjątkiem byli oczywiście rzecznicy prasowi, ale to też pozostawało tylko kwestią czasu.

W nocy mocno padało, aż Linda musiała wstać i wytrzeć zalaną podłogę w salonie. Olaf spał jak zabity i nawet nic nie zauważył. Rano zjedli razem śniadanie, potem Olaf włożył swój najlepszy garnitur i pierwszy wyszedł z domu. Musiał być

wcześniej w pracy, bo chciał się przygotować do spotkania z norweskimi kolegami z PST. Dlatego poszedł do najbliższej stacji metra Medborgarplatsen i pojechał na Polhemsgatan 30 z przesiadką na Centralen.

Linda wyjrzała przez okno i uznała, że pogoda jest wystarczająco dobra, by mogła jechać do pracy na rowerze. Włożyła niebieskie spodnie, bluzkę z długim rękawem i żółtą bawełnianą marynarkę z paskiem typu safari oraz granatowe półbuty na niskim obcasie. Na plecy zarzuciła wytarty granatowy plecak Fjällräven. Wzięła też pompkę rowerową, bo kiedy wracała wieczorem do domu, wydawało jej się, że z przedniego koła zeszło powietrze.

Olaf miał je napompować wieczorem, ale dyskusja na temat ostatniego tomu trylogii Stiega Larssona wybuchła tak gwałtownie, że prozaiczna sprawa powietrza w kole zeszła na dalszy plan, a w końcu gdzieś się rozplynęła. Teraz Linda patrzyła na ten problem zupełnie inaczej i była zła na Olafa, bo pompowanie koła rano nie należało do jej ulubionych zajęć. Mogła oczywiście jechać metrem, ale to nie byłoby w jej stylu. Jak sobie coś postanowiła, to tak musiało być.

Do pracy miała trzy i pół kilometra, więc jeśli nie musiała dłużej stać na światłach, dojeżdżała na Polhemsgatan w piętnaście minut. Za każdym razem, kiedy wracała już z pracy do domu przez Centralbron, najpierw po prawej stronie mijala wydawnictwo Norstedts, które ożywiło książki Larssona, a zaraz potem dom na wysokiej skale, w którym mieszkała Lisbeth Salander. I chociaż doskonale wiedziała, że to czysta fikcja literacka, miała nieodparte wrażenie, że ona tam siedzi wysoko nad wodą w oknie swojego ogromnego mieszkania i patrzy, jak Linda przejeżdża przez most.

Odkąd Stieg Larsson stworzył tę postać, Linda z radością stwierdziła, że ma nareszcie kogoś, kto myśli i czuje podobnie jak ona. Mikael Blomkvist mógł dla niej nie istnieć. Facet bez jaj, co daje dupy każdej babie i nie tylko. Nie tak jak Lisbeth, ona bierze sama i tylko to, co chce. Nawet jeżeli niektórzy uważają, że to współczesna Pippi Langstrumpf. Ale to akurat Lindzie podobało się w niej najbardziej.

– Zarezerwowałem dla nich Park Hotel na Karlavägen, obok polskiej ambasady – zakomunikował Hasan Mardan, kiedy tylko Linda pojawiła się na korytarzu.

– Może nie chcą się pokazywać w okolicach swojej ambasady? – zapytała.

– Może. O ile wiem, nie włączają do rozmów łącznika z placówki...

– To nie tak. To nasza decyzja... Właściwie Olafa. Sprawa Jorgensena ma wciąż najwyższą klauzulę tajności...

– Tak wysoką, że nie widać jej końca – wtrącił Hasan.

– Żebyś wiedział! – potwierdziła poważnym tonem.

Hasan usiadł za niedużym stołem konferencyjnym i przyglądał się, jak Linda rozkłada dokumenty na biurku. Mocniej upiął swój ogon z dredów i położył ręce na kolanach. Odczekał jeszcze, aż Linda z głośnym westchnieniem zapadnie się w fotelu, i zapytał, od czego ma zacząć.

– Od przyniesienia mi kawy, džentelmenie! – I zanim zdążył się podnieść, zapytała o coś, co od dawna ją intrygowało. – Jak ty zakładasz na te włosy kask motocyklowy?

– Normalnie. Od góry – odpowiedział i wyszedł.

Przyniósł kawę także dla siebie. Usiadł na tym samym krześle i otworzył tekturową teczkę.

– Wygląda na to – zaczął – że Polska i Szwecja zawarły jakiś tajemny sojusz i Warszawa chce naszego Karola Gustawa na króla, a potem zrobimy im potop...

– Dowcipniś! Jaki potop? A nasz Karolek chyba nie weźmie drugiej fuchy – stwierdziła Linda, przekładając dokumenty do podpisu.

– Nie pamiętasz? – Hasan z lekkim niedowierzaniem pokręcił głową. – Chyba nie byłeś wtedy... tego...

– Nie zbaczaj z tematu! – przerwała mu, zanim powiedział coś, czego potem mógłby żałować.

– Oni w Polsce mówią „potop” na najazd szwedzki w siedemnastym wieku – wyjaśnił Hasan.

– Myśmy nigdy nikogo nie najeżdżali – odparła Linda ze zmarszczonymi brwiami. – Zawsze byliśmy neutralni. Szwedzi to spokojni rolnicy... Ciągle nas myślą z Norwegami... Co tam

masz?

– To od Konrada. Zobacz. – Podsunął Lindzie plik zdjęć. – Przyszło wczoraj po południu. Azjaci to prawdopodobnie północni Koreańczycy, chyba ze służb. Spotkali się w Warszawie z tymi dwoma facetami.

Linda zrobiła zdziwioną minę, a Hasan dotknął palcem zdjęć.

– Ten, numer dwa, nieznany, brak danych. Nie wiadomo, kto to jest. Ale ten to prawdziwa ciekawostka. Nazywa się Gustav Winklund, numer ID 3810040312...

– Szwed?

– Nooo... nie bardzo...

– A co?

– Takiego człowieka w naszym królestwie nie ma. Ot co! Sprawdzaliśmy nawet zbliżone dane. I nic!

– Czyli ma fałszywe dokumenty. Nie podszywa się pod kogoś? To bardzo ciekawe... bardzo ciekawe. – Linda była wyraźnie poruszona. – Co tam jeszcze trzymasz w zanadrzu?

– Gość używa szwedzkiej komórki. Mamy jej numer w Telii. I kolejna ciekawostka! – Hasan zawiesił na chwilę głos. – Ta komórka to pre-paid kupiony na Arlandzie ponad trzy lata temu i... i ten numer nigdy się nie zalogował na terytorium Szwecji.

– A to już bardzo ciekawe! – Linda aż wstała zza biurka. – Ruski? Nielegal? Chyba nie... czuć amatorszczyznę...

– Nie wiem, ale to nie jest amatorszczyzna – stanowczo stwierdził Hasan. – Azjatów sprawdziłem w naszych archiwach i w wojsku. Są nieznani. Nikt ich nigdy nie widział. Przygotowałem odpowiedź dla Konrada – podsunął Lindzie pismo. – Przeczytaj. Zaraz ją wyślemy. O szczegółach pogadamy, jak przyjadą...

– Niewiele tego – przerwała mu, postawiła parafkę i oddała dokument.

– Myślę, że nasza odpowiedź, mimo że tak krótka, da Konradowi dużo do myślenia. Nie sądzisz? Musimy jeszcze sprawdzić, z jakiego adresu zrobiono rezerwację dla tego Winklunda, ale nie spodziewałbym się niczego ciekawego. Jest pewne, że to jednorazowy pre-paid.

– Cóż, skoro facet nie istnieje, nie możemy zrobić nic więcej. – Linda pokręciła głową i usiadła. – Na wszelki wypadek zabezpiecz tego Winklunda w naszej kartotece. Ciekawe, kto to może być... Duńczyk, Fin, Norweg...?

– To tyle. Masz jeszcze coś do mnie? Bo się spieszę – oznajmił Hasan i podniósł się do wyjścia.

– Dokąd?

– Jadę do FRA. Jestem umówiony z dyrektorem Hermanssonem.

– Zaraz, zaraz. A w jakiej sprawie? Dlaczego nie informujesz przełożonych o takich spotkaniach?

– Mało masz na głowie? – obruszył się Hasan. – Jak ustale, o co chodzi Hermanssonowi, to ci powiem. Nie martw się. Dbam o twój spokój, szefowo!

– W porządku. Informuj mnie – zakończyła Linda i Hasan wyszedł z pokoju.

Michaił Wiktorowicz Popowski, naczelnik Wydziału Polskiego Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, przez ostatnie miesiące czuł się świetnie. I to nie z powodu przedwczesnego awansu na podpułkownika, choć i to było miłe, lecz dlatego, że rzeczywiście przysłużył się ojczyźnie, co dokładnie tymi właśnie słowami określił sam Władimir Władimirowicz. Zostały co prawda wypowiedziane w wąskim gronie kierownictwa SWZ, brzmiały jednak i smakowały wyśmienicie. Po kilku połowicznych zwycięstwach i kilku porażkach Michaił Popowski w końcu wziął odwet na Konradzie Wolskim, chociaż on o tym jeszcze nie wiedział. Od wielu tygodni Popowski kombinował, jak mu ten fakt uzmysłowić, mimo że było to wbrew kardynalnej zasadzie wszystkich służb wywiadowczych, że o zwycięstwach się nie mówi, a porażki widzą wszyscy.

Tymczasem cieszył się nagrodą, jaką dostał od prezydenta. Nie dość, że wystarczyło na najnowszy model bmw X5, to jeszcze zostało na roczny karnet do centrum sportowego Gloria.

Teraz przeciskał się samochodem zatłoczonymi ulicami Moskwy, by jak najszybciej dotrzeć do domu na Flockiej. Był piątek i o dziewiętnastej miał umówione spotkanie ze starszym sierżantem Andriejem Trubowem.

Popowski wiedział, w jakiej jednostce służy Trubow, bo umówił się z nim za pośrednictwem „Szybkiego” Griszy, przyjaciela jeszcze z czasów Akademii Andropowa. Cokolwiek Grisza robił, robił szybko i dokładnie, i dlatego zaraz po skończeniu nauki gdzieś znikł. Nawet podczas przypadkowego spotkania nikt nigdy nie pytał, gdzie znikł Grisza, ale każdy się domyślał, że jest w oddziale Gamma.

Michaił jednak o oddziale Gamma wiedział więcej niż inni, i to nie tylko dlatego, że miał tam kilku przyjaciół, ale także dlatego, że sam niegdyś blisko z nim współpracował przy realizacji kilku spraw. Dlatego zgodził się porozmawiać z Andriejem Trubowem, który osobiście miał mu przedstawić swoją prośbę. A jako że prośba była nie do końca służbowa –

jak stwierdził „Szybki” – więc chciał się spotkać poza firmą.

Popowski był już spóźniony prawie piętnaście minut i kiedy wjeżdżał do podziemnego garażu, zauważył przed domem ubranego na czarno mężczyznę z jasnymi włosami związanymi w kucyk. Od razu pomyślał, że to musi być sierżant Trubow.

Jeżeli to on, to pierwszy sierżant specnazu z kucykiem, jakiego widziałem – pomyślał Michaił z pewną dozą uznania.

Wjechał z garażu windą na piąte piętro i ledwie zdążył zapalić światło, odezwał się domofon.

– Kto?

– Trubow.

– Piąte piętro – powiedział Popowski i pomyślał, że facet musi być wyjątkowo bystry, skoro wyczył światło w oknie. Od razu go polubił.

Nie minęła minuta, kiedy zadzwieczał dzwonek do drzwi. Popowski z niedopiętym rozporciem aż znieruchomiał między toaletą a korytarzem i z niedowierzaniem spojrzął na zegarek. To było po prostu niemożliwe, żeby Trubow wjechał windą tak szybko, ale zaraz pomyślał, że coś musiało mu się pokręcić.

Spojrzał przez wizjer, ale nikogo nie zauważył.

– Kto?

– Trubow.

Spojrzał jeszcze raz, ale dalej nikogo nie widział. Po chwili zdziwienia otworzył drzwi. I nie pomylił się. Stał przed nim wysportowany mężczyzna o ładnej rosyjskiej twarzy, z blond kucykiem, ubrany od stóp do głów w czerń bez stylu i smaku.

Wyciągnął rękę na przywitanie.

Popowski poczuł twardą dłoń. Od razu było widać, że nie jest to jakaś ślamazara z Jaseniewa, tylko prawdziwy mężczyzna. Wydawało się nawet, że w tym uścisku Trubow przekazał mu pełną informację, że jest kimś wyjątkowym, nawet niebezpiecznym, i dobrze mieć kogoś takiego za przyjaciela.

Do Popowskiego dotarło, że ktoś taki nie może przychodzić z jakimś głupstwem. Sierżant zrobił jeszcze większe wrażenie, gdy bez słowa wskazał palcem na jego rozporek.

Tak naprawdę jednak gapiostwo Popowskiego wcale Trubowa nie obchodziło, bo miał do niego ważną, bardzo osobistą

sprawę, więc wszedł głębiej do mieszkania i od razu trafił do salonu. Usiadł na brzegu dużego skórzanego narożnika i beznamiętnie zaczął lustrować pokój.

Popowski, wchodząc za nim, zapalił światło i wtedy Trubow ujrzał na przeciwległej ścianie potężny bizantyjski kredens. Tak wysoki, że aż dotykał sufitu, choć mieszkanie nie było niskie. Przeplatany odcieniami złota, intarsjowany mahoniem i hebanem, barwionym kryształem. Opierał się na pięciu mosiężnych sfinksach, a na obu górnych rogach widniały dziwaczne stwory: na poły węże, na poły kobiety o uroczo wysuniętych do przodu nagich piersiach. Kredens był zdobiony, rzeźbiony i tak bił w oczy wszelakim bogactwem, że Trubow po raz pierwszy w życiu otworzył z zachwytu usta i stracił głos. Nie wiedział, czy jest w cerkwi, czy w Ermitażu. Zdawało mu się, że odczuwa obecność jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska, więc gotów był nawet uklęknąć, gdyby ktoś mu powiedział jak. Nigdy czegoś tak pięknego w cerkwi nie widział, więc nabrał dla podpułkownika Popowskiego szczególnego szacunku.

To jest rosyjski, nadzwyczaj rosyjski dom – uznał od razu. A kredens wart ze trzy mercedesy – pomyślał – może nawet cztery!

– Podoba ci się? – usłyszał, ale dopiero po sekundzie dotarło do niego, że Popowski stoi w drzwiach.

– Bardzo – z pewnym ociąganiem, ale zgodnie z prawdą odpowiedział Trubow. – Jak w cerkwi na Kremlu... albo jeszcze lepiej! Co to jest?

– Kredens.

– Piękne cycki! – Wskazał głową na rzeźbę. – Szkoda, że nie mają cipek... gdzieś już takie widziałem...

– To chimery... albo raczej echidny – wyjaśnił Popowski.

– Musi być bardzo drogi!

– Wart niezły samochód.

– Mercedesa? Lexusa... jednego?

– Volkswagena golfa... nowego – odparł Popowski.

– Niemożliwe! – rzucił Trubow, autentycznie zaskoczony. Z niedowierzaniem pokręcił głową i pomyślał, że też mógłby

kupić sobie taki mebel.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Popowski i otworzył drzwiczki w kredensie.

Trubow wstał i podszedł bliżej. Wewnątrz stał rząd dyskretnie oświetlonych różnokolorowych butelek, ale tylko kilka było mu znajomych. Nigdy nie widział czegoś tak pięknego, nawet na filmach. Jeżeli jakiś oficer wywiadu może sobie pozwolić na coś takiego, taki kredens i barek, to co dopiero ma jakiś Abramowicz! I nagle dotarło do niego, że są też inne piękne rzeczy w życiu, nie tylko robienie porządków na Kaukazie.

– Wódki – odparł pewny, że dobrze i bezpiecznie wybrał.

– Ja... Jacka Daniel'sa... chyba.

Popowski nalał dwie szklanki i usiadł na kanapie. Whisky i wódka były w temperaturze pokojowej i bez lodu, ale nie robiło im to żadnej różnicy. Nawet więcej, lód mocno utrudnia spełnienie toastu po rosyjsku, więc stuknęli się kryształowymi szklankami i wypili do dna.

– Z czym przychodzisz, starszyna? – zapytał Popowski. – „Szybki” mówił, że masz sprawę prywatną. W czym ci mogę pomóc?

– Tak... prywatną. Chociaż jakby się kto uparł, to może być i służbowa – zaczął niepewnie Trubow. – Ale ja wolałbym, żeby była nieoficjalna...

– Czekaj, czekaj... – przerwał mu Popowski. – To ty jesteś Jagan, tak?

– Tak.

– To ty pracowałeś z Tatarem?

– Ja.

– Szkoda chłopaka... Ale nie pytam. Nie moja sprawa. – Zamilkli na chwilę, – No dobrze, o co chodzi?

– Jest taka sobacza rodzinka... raczej rodzeństwo... – Trubow podciągnął rękawy i pokazał dwa duże tatuaże na wewnętrznej stronie przedramion, wykonane mocno stylizowaną cyrylicą.

Popowski ze zdumienia aż otworzył szeroko oczy, przechylił na bok głowę i potrzebował chwili, żeby odczytać napis.

– Amina... Rustam... Szamil... Asłan... – I na drugiej ręce: – Bogajew... Ty jesteś nieźle popierdolony, Jagan! Naprawdę! –

Uśmiechnął się szeroko i pokiwał z uznaniem głową.

– To Ciecchy...

– Znaczą Czeceń?

– Tak. Mają na sumieniu kilku moich kolegów. – Trubow nie zamierzał mówić o tym, co go spotkało jedenaście lat temu w spalonej wsi na Kaukazie. – Wyjątkowa bładź! Noo... lubią zadawać ból.

– Zaszli ci za skórę, skoro zrobiłeś sobie coś takiego... To też pewnie bardzo bolało – stwierdził naiwnie Popowski, nieświadomy rozmiarów smoka na plecach sierżanta.

– Żeby nie zapomnieć – spokojnie, bez cienia ironii rzucił Jagan. – Najstarsza to... – wyciągnął prawą rękę i dotknął palcem tatuażu – Amina, ma teraz jakieś dwadzieścia pięć lat, może więcej. Młodszy... – przesunął palec w dół – Rustam, około dwudziestu dwóch, i bliźniacy Szamil i Asłan, mniej niż dwadzieścia... chyba...

– Jednojajowi?

– Jacy? Aaa... nie wiem – odparł niepewnie Jagan. – No... ci ostatni

– Co ty, kurwa?! Nie możesz zapamiętać paru imion czy co? – Popowski był wyraźnie zaskoczony. – To o tobie mówią, że jesteś Nexus?

– Nie, no... tak jakoś mam, że jak pamiętam twarz człowieka, to ni chuja nie mogę zapamiętać jego nazwiska, a jak... tego... no... pamiętam nazwisko, to nie twarz. Tak już mam. – Jagan wykrzywił usta i spojrzał niepewnie na Popowskiego. – Jaki Nexus? Co wy, pułkowniku?

– Dziwne! Coś z tobą nie tak, ale pies to trącał – odparł Michaił. – No dobrze. Czym ci się tak narazili? Wiesz, skąd pochodzą?

– Mówiłem, że trzeba im odplacić za kilku kolegów... moich towarzyszy z Batalionu „Zachód”. Tej wsi, z której pochodzą, już nie ma. Nasi chłopcy trochę tam sobie poszaleli. I nasza flota powietrzna też. To było w okolicach Tałan-Jurtu. Jest jednak inna sprawa – Trubow przeszedł do sedna. – Niedawno byłem w Groznych. Mieliśmy zamiar na mieszkanie konspiracyjne, taką dziuplę Muhamedowa...

– Tego Muhamedowa?

– Tego. I zrobiliśmy zasadzkę. Wpadł nam człowieczek od Muhamedowa, niejaki... nieważne zresztą. Wyjawiał mi przy okazji, że Bogajewowie byli na wychowaniu u Muhamedowa, więc wiadomo, czego tam się uczyli. Z tego, co mówił jeniec, wynika, że musieli być przygotowywani do specjalnej roboty. Pewne jest, że gdzieś nam wypłyną, i to z fajerwerkiem.

– Nie rozumiem, Andriej. Tak masz na imię? – zapytał Popowski. – Toż to sprawa dla FSB i może dla naszych od terroryzmu. Trzeba zająć się tym formalnie. Wygląda na to, że to jakieś rodzinne komando, bardzo niebezpieczna grupa. Czego ty chcesz? – Na kilka sekund zawiesił głos, po czym z wyraźnym przekonaniem zapytał: – Ty chcesz ich załatwić, tak?

Trubow nic nie odpowiedział. Odruchowo pogładził się po lewym policzku, gdzie mógł wyczuć cienkie zgrubienie od nosa do ucha. Uniósł pustą szklankę na znak, że jest gotowy na następną kolejkę. Popowski westchnął głęboko, ale nie z powodu wódki, tylko zamiarów Trubowa.

– Towarzyszu pułkowniku – odezwał się zdecydowanym głosem Jagan. – Podczas tej zasadzki w Grozным zginęło trzech moich kolegów...

– To ty tam byłeś?! – niemal wykrzyknął Popowski. – Tam zginął mój bliski kolega... Jura Kosow!

– Był moim partnerem.

– To zmienia postać rzeczy, Andriej! Czego ci potrzeba? Co mogę dla ciebie zrobić? – Wydawał się tak szczerzy, że Trubow nie miał najmniejszych wątpliwości, że pułkownik rzeczywiście zrobi dla niego wszystko.

Popowski wstał, podszedł do barku i przyniósł butelkę wódki Absolut 40% i Jacka Daniel'sa dla siebie. Wlał sobie i gościowi.

Wypili za Jurę Kosowa, a potem Trubow, nie ukrywając niczego, opowiedział całą historię ich znajomości, choć w gruncie rzeczy wcale go dobrze nie znał. Tak się złożyło, że Tatar i Kosow zginęli, a on się uratował. Nie próbował nawet tego tłumaczyć, bo Popowski i tak pewnie by nie zrozumiał, że on potrafi dostrzec niebezpieczeństwo. A może nawet by nie

uwierzył. Tylko raz w życiu zawiódł go nadprzyrodzony instynkt: kiedy wpadł w ręce Bogajewów, tracąc przy tym nóż Kizlyar. Tę historię jednak pominął, nic też nie wspomniał o złotej tetetce i kilku innych sprawach, które były ściśle tajne. Popowski zresztą wcale się nie dopytywał. O smoku na plecach Jagan też mu nie powiedział, ale to była zupełnie inna sprawa. Nie był też pewien, czy pułkownik jest już na tyle przygotowany, by to wszystko zrozumieć.

Trubow i Popowski przypadli sobie do gustu. Obaj mieli mocną głowę i rozumieli się niemal bez słów, choć teraz nie miało to znaczenia, bo alkohol wypity za poległych rozwiązał im języki na dobre. W ten sposób nad grobem Tataru i Jury Kosowa narodziła się nowa przyjaźń. Trubow poczuł, że Popowski jest zupełnie inny niż wszyscy oficerowie SWZ, z którymi pracował. Miał nieodparte wrażenie, że mógłby mu zaufać bardziej niż komukolwiek i że pod jego komendą stałby się absolutnie niepokonany. Bo nieśmiertelny już był. Potrzebował właśnie kogoś takiego na dowódcę i przyjaciela. Nie takiego jak Tatar – szczerego i odważnego, ale głupiego – ani takiego jak Jura Kosow – sympatycznego i oddanego, ale słabego i tchórza.

Właściwie nie miał żadnych podstaw, by obdarzyć Popowskiego takim zaufaniem, bo nie widział go nigdy w boju. Uznał jednak, że powie mu całą prawdę o Bogajewach i wyzna, co chce zrobić. Jeżeli Popowski zgodzi się pomóc, udowodni w ten sposób swoją odwagę i oddanie sprawie.

– Jak ołtarz... piękny... przepiękny! – Trubow, patrząc na kredens, przerwał chwilę ciszy i podniósł do góry zdobioną kryształową szklankę za pięćdziesiąt dolarów.

– Posłuchaj, Andriej! Ty chodzisz do cerkwi? – zapytał Popowski, lekko rozwlekając słowa, co znaczyło, że osiągnął czwarty poziom skali Generała Stakana.

– Byłem... kilka razy... No?

– Wiesz, był taki komisarz u Lenina... czekaj, jak mu... a tak... Łunaczarski, komisarz sztuki i kultury czy coś takiego. To on powiedział kiedyś Leninowi, że jeżeli bolszewicy zabierają ludziom Boga i ikony z kąta chaty, to muszą im coś w to

miejsce dać. No i zaproponował, żeby ludzie stawiali tam portret Lenina i modlili się do niego...

– No i bardzo dobrze! – ożywił się Trubow. – Jedyne Bóg, co mógłby spełniać modlitwy. Świetny pomysł! I byłoby gdzie chować pieniądze.

– Gdzie tam! Leninowi nie spodobał się pomysł i zesłał Lunaczarskiego do Finlandii...

– Super! Byłem tam. Też bym chciał!

– Dobry z ciebie żołnierz, ale nie rozumiesz...

– Rozumiem... co tu nie rozumieć?

– No dobrze. Która jest? – zapytał Popowski i stwierdził, że nie ma zegarka.

– Piętnaście po dziesiątej – odpowiedział natychmiast Trubow. – Albo już osiemnaście – dodał.

Popowski jednak nie był już w stanie zauważyć, że Trubow także nie ma zegarka.

– No... Andriusza, bładź! Co więc mam zrobić z tymi Bogajewami? – Popowski w końcu się ocknął. – To znaczy... tego... co ty chcesz, żebym ja z nimi... to znaczy... co ty chcesz z nimi zrobić? Ja się godzę!

– Jak ci mówiłem... *towariszcz polkownik*... Trzeba im odplacić za kaprała Zorina i powstrzymać, żeby nie napsocili nam gdzieś za granicą. Noo... i może tego sukinsyna Muhamedowa namierzy się jeszcze przy okazji... Ale najważniejsze to odplacić! *Ponimajesz, towariszcz polkownik?* Odplacić!

– Chcesz to zrobić po swojemu... tak? – Popowski zrozumiał już, o co chodzi. – Jestem za! Ale... tego... jak mam ci pomóc?

– No bo... Michaile... – Trubow chciał być naprawdę uprzejmy i miły. – Bogajewowie są teraz w Polsce... gdzieś...

– Nooo! – Popowski uniósł wysoko brwi. – To teraz wiem, o co ci biega, Andriusza, starszyno... Jasne! Taaak! Pomogę ci, oczywiście! Trzeba się tylko zastanowić, co i jak. – Podniósł swoją kryształową szklankę, stuknął się z Trubowem i jak na komendę obaj wyrecytowali: – Śmierć terrorystom!

Popowski wstał i niepewnym krokiem podszedł do regału, na którym stał mały odtwarzacz Bang & Olufsen. Niespodziewanie

z ukrytych potężnych głośników popłynęły proste tony trąbki, do których po chwili dołączyła rosyjska harmonia. Obaj doskonale wiedzieli, co zaraz usłyszą, więc zaczerpnęli głęboko powietrza. Jagan podniósł się, stanął obok Michaiła. Patrząc sobie w oczy, zaśpiewali wraz z Siergiejem Russkichem: *S czego naczynajetsia Rodina...*

I choć było już późno, nie znalazłby się w Rosji taki obywatel, który chciałby zadzwonić po milicję, by ich uciszyła. Właściwie po telefonie w takiej sprawie można było nie tylko mieć sprawę karną za zakłócanie spokoju i nieuzasadnione wezwanie milicji, ale nawet być posądzonym, że się nie zna tej piosenki albo – co gorsza – że się jej nie lubi.

Zupełnie nie mógł się dobudzić. Wyraźnie słyszał, jak dzwoni budzik, ale zdawało mu się, że całe ciało ma wypełnione płynnym ołowiem i nie może się ruszyć.

Chyba po raz pierwszy odnosił wrażenie, że powinien rozpocząć nowe życie – bez Bazy, zamachów, Braci Czystości i walki o lepsze jutro. Ale od islamu nie mógłby odejść, to było jasne. Wiara dawała mu siłę i zaufanie do samego siebie. Bez tej wiary i szczerego przekonania, że dzięki niej wszyscy stają się lepsi, byłby dla Zuzy nikim. Zrozumiał to tak mocno jak nigdy wcześniej i poczuł się stanowczo lepiej.

Elektryczny budzik wciąż brzmiał ostrymi dźwiękami i w końcu pokonał wątpliwości Karola, który zemścił się na nim mocnym ruchem ręki i otworzył oczy. Niedorzeczne myśli o jakiejś dezercji prysnęły jak bańka mydlana.

Usiadł na krawędzi kanapy i dotknął rękami twarzy. Poprawił włosy i uznał, że weźmie zimny prysznic, choć kąpał się już przed snem.

Powinienem szybciej stanąć na nogi – pomyślał i poderwał się zdecydowanie.

Po pięciu minutach był już z powrotem w salonie. Czuł się zdrowy, silny i wypoczęty. Gotowy do zrobienia tego, co zaplanował. Ogarnął go nawet bojowy entuzjazm. Warto było żyć, choćby właśnie dla takich chwil.

Najpierw uporządkował dwa zestawy dokumentów na wyjazd. Każdy złożony z dowodu osobistego, prawa jazdy i kart kredytowych. Umieścił je w oddzielnych portfelach. Jeden w czarnym, drugi w żółtym. Wziął też paszport, na wypadek gdyby musiał wyjechać poza Unię. Przypomniawszy sobie, że to właśnie ten paszport trzymała w ręku Zuza na granicy ukraińskiej, i zrobiło mu się ciepło na sercu. Dla niej Karol Hamond to nikt inny jak właśnie Aleksander Kurtz, ale już niedługo.

Oba portfele położył obok siebie na stoliku. Ze schowka wyjął futerał. Otworzył go i wziął do ręki swój ulubiony pistolet Beretta 92SB-F, znany bardziej jako M9.

Przeładował i spuścił zamek, który miło klapnął. Nie musiał sprawdzać, bo broń czyścił regularnie, nawet jeśli jej nie używał. Przynajmniej raz w miesiącu jeździł na motorze do lasu i ćwiczył strzelanie. Miał takie miejsce w głębokim jarze, kilkanaście kilometrów od Warszawy, gdzie nikogo nie było.

Nie wszyscy, którzy muszą używać broni, lubią ten model pistoletu, bo jest dosyć duży i ciężki, ale właśnie to odpowiadało mu najbardziej. Czuł się z nim pewnie i bezpiecznie. Najczęściej wystarczał jeden celny strzał w odpowiednie miejsce. Zaświadczyć mógł to prawie każdy żołnierz amerykański, który był na Grenadzie, w Panamie, Iraku czy gdziekolwiek jeszcze.

Wyjął też tłumik, nóż Cold Steel i gaz obezwładniający. Jednak po chwili zastanowienia uznał, że lepszy będzie paralizator Scorpy Max. Używał go już kilka razy i w szczególnych sytuacjach był niezastąpiony. Sprawdził baterie i kartridże. Wszystko było w porządku. Włączył komputer, żeby się zorientować, jaka będzie pogoda w najbliższych dniach w Wiedniu i czego może się spodziewać po drodze. Wiadomości były uspokajające. Miało być słonecznie i ciepło, a w Wiedniu wręcz buzowało lato.

Wstał i spojrział na swoje wyposażenie, równo ułożone na stoliku. Po chwili zastanowienia uznał, że niczego więcej nie potrzebuje, i poszedł do sypialni spakować ubranie.

Po kilku minutach miał już wszystko porządnie spakowane. Zabrał tyle ubrań, by wystarczyło mu na tydzień, bo na taki czas zaplanował swój wyjazd. W końcu zawsze może sobie coś dokupić, jak będzie potrzeba. Dużą sportową torbę z napisem „Champion” postawił obok drzwi do garażu i wrócił do sypialni, żeby się ubrać.

Teraz najważniejsze było przygotowanie „wehikułu bojowo-rozpoznawczego” – jak nazywał swój czerwony volkswagen transporter furgon.

Z zewnątrz nie wyróżniał się on niczym szczególnym. Wyglądał jak wiele tego typu samochodów, które krążą po drogach całej Europy, wożąc narzędzia budowlane, rury hydrauliczne, kwiaty.

Jednak ten był inny, cięższy o trzysta kilogramów, i służył do przewożenia jednej rzeczy. Na wewnętrznej platformie przymocowany był do podłogi stelaż własnego pomysłu i wykonania. Służył on do przewożenia motocykla Kawasaki KX 450F w takiej pozycji, by można było z łatwością zwolnić uchwyt i wyskoczyć z samochodu przez tylne drzwi.

Manewr ten Karol miał doskonale przećwiczony i był pewny, że jest go w stanie wykonać nawet pod ostrzałem. Największą jednak przyjemność sprawiała mu myśl, że taki numer musiałby zrobić na napastnikach duże wrażenie, jemu zaś pomóc w ucieczce.

Dodatkowe obciążenie samochodu było spowodowane stalowymi płytami, które zamontował, by ochronić motocykl i kabinę przed ostrzałem. Wiedział dobrze, że te płyty nie są w stanie ochronić go w stu procentach, dawały jednak szansę przejechania odcinka, który pozwoli mu przynajmniej wyrwać się z pułapki. Potem wszystko zależało od mocy motocykla, jego czterystupięćdziesięciocentymetrowego silnika i ponadstukilogramowej masy.

Karol nieustannie podnosił swoje umiejętności i wydawało mu się, że w jeździe na motorze osiągnął poziom bliski Miki Aholi, mistrza Enduro. Jego wielkim marzeniem było wystartować kiedyś w tych zawodach jako tajemniczy czarny jeździec, wygrać je w pięknym stylu na oczach tysięcy zachwyconych i oniemiałych z wrażenia widzów i zaraz potem zniknąć. Rozpłynąć się w powietrzu, stworzyć mit, którym przez lata żyć będzie całe środowisko, snując domysły i niekończące się teorie. Ale prawdę znałby tylko on. Zdawał sobie sprawę, jak naiwne i dziecinne było to marzenie, a jednak nigdy nie mógł mu się oprzeć.

Dopiero od ostatniej podróży na Ukrainę zupełnie inne marzenie coraz mocniej dominowało w jego myślach i powoli wypierało mit czarnego jeźdźcy. Próbował się przed tym bronić, szukać jeszcze jakiegoś rozwiązania, ale wiedział, że jest bez szans.

Na koniec rzucił okiem na składane łóżko, które miał zamontowane w samochodzie i z którego czasami korzystał, by

unikać nocowania w hotelach.

Wrócił jeszcze na chwilę do domu. Sprawdził, czy wszystko zostawił w należyłym porządku, szczególnie zabezpieczenie skrytki w salonie. Odstał minutę i gdy był już pewny, że o niczym nie zapomniał, wszedł do garażu, wsiadł do furgonetki, włączył silnik i otworzył pilotem rolowaną bramę Hörmann. Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści i na zewnątrz zapadł już zmrok.

Poprawił broń w kaburze pod pachą, spojrzął na zegarek i pomyślał, że przejazd do Wiednia zajmie mu około dziewięciu–dziesięciu godzin. Na miejscu powinien być o świcie. Zdrzemnie się w samochodzie, a potem zajmie Abdulem.

Włączył płytę Cata Stevensa *Remember*, wyjechał ostrożnie z garażu, zamknął pilotem bramę i skierował się w stronę ulicy Słonecznej. Pojechał drogą numer 721 przez Magdalenkę, minął krajową siódemkę, potem Sękocin Stary i dotarł do ósemki, zwanej popularnie gierkówką.

Teraz już prosto do granicy – pomyślał z zadowoleniem, bo na ósemce ruch był niewielki i nie lubił jeździć drogą 721.

Jechał bardzo spokojnie. Nie spieszył się, bo i tak w Wiedniu powinien być dopiero rano. Z nadzwyczajną dokładnością przestrzegał ograniczeń prędkości i starał się niczym nie wyróżniać, by niepotrzebnie nie sprowokować policji, a co ważniejsze – nie stać się uczestnikiem jakiegokolwiek kolizji. Bo nawet zupełnie przypadkowe zdarzenie mogło być dla niego niebezpieczne. Dlatego przezornie zachowywał nawet dwukrotnie większy odstęp od poprzedzającego go samochodu.

Był przekonany, że dokumenty, którymi się posługiwał, są dobrze podrobione i że na podstawie pobieżnej kontroli niełatwo jest wykryć fałszerstwo.

Niepokoilo go jednak co innego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że musi być poszukiwany przez co najmniej kilka służb specjalnych na świecie, w tym z całą pewnością przez polskie ABW i AW. W końcu jest Polakiem. Dotąd nie spotkało go nic takiego, co mogłoby budzić obawy czy podejrzenia. Uważał jednak, że jest to efekt jego wewnętrznej dyscypliny,

perfekcyjnej organizacji pracy i talentu konspiracyjnego, a nie słabości służb specjalnych.

Chociaż właściwie obie te sfery się równoważą albo nawet uzupełniają – pomyślał z przyływem optymizmu. A może jednak nie jest tak dobrze? – zastanowił się po chwili. W końcu mnie doświadczenia już raczej nie przybywa, a oni wciąż pracują. Szukają i szukają. Mają do dyspozycji wszystkie służby, satelity, najnowocześniejszą technikę... i ciągle, kawałek po kawałeczku, nas rozgryzają. Z całą pewnością wiedzą o mnie coraz więcej...

Z zamyślenia wyrwało go potężne uderzenie, które nagle wstrząsnęło samochodem. Przez chwilę miał wrażenie, że w coś uderzył, i nacisnął hamulec. Furgon jednak toczył się dalej i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wjechał na odcinek drogi w przebudowie i musiał wpaść w dziurę. Odruchowo obejrzał się do tyłu, by sprawdzić motocykl. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Przez chwilę był zły na siebie, że dał się wmanewrować swojej podświadomości w zupełnie zbędne w tym momencie rozważania. Postanowił skupić się na drodze i jechać zdecydowanie uważniej.

Na desce rozdzielczej podświetlonej pomarańczowym światłem zegar analogowy wskazywał dwudziestą trzecią trzydzieści cztery. Postanowił zatrzymać się na stacji, zatankować benzynę i coś zjeść. I gdy tylko o tym pomyślał, naszała go ochota na francuskiego hot doga z kiełbaską pepperoni i dużą kawę z mlekiem.

– A taki zestaw najlepszy dają na stacjach BP w Wild Bean Café – usłyszał nagle własny głos i nim zdążył się zastanowić, ile w pepperoni jest wieprzowiny, a ile wołowiny, po prawej stronie drogi pojawiła się oświetlona na zielono stacja benzynowa.

Hot doga z sosem czosnkowym, musztardą i keczupem zjadł na stojąco przy małym stoliku. Miał wyraźną ochotę na jeszcze jednego, ale jakiś młody mężczyzna w granatowej marynarce uporczywie mu się przyglądał. Karol zrobił rachunek swoich znajomości, lecz nie mógł go sobie przypomnieć. Dlatego na wszelki wypadek zrezygnował z następnego hot doga, wziął

swoją kawę i wyszedł.

Wsiadł do furgonu i przez moment obserwował nieznajomego, który wyraźnie się rozglądał, jakby czegoś szukał. Karol był pewny, że tamten nie mógł go widzieć, jak wsiadał do samochodu, ani teraz, gdy siedział w zaciemnionej szoferce. Męczyzna wciąż wykazywał nadmierne pobudzenie.

Policzę do dwudziestu. Jeżeli wyjmie telefon i zadzwoni, to znaczy, że... ma pecha – pomyślał Karol i natychmiast sobie uzmysłowił: I ja też! Bo to by znaczyło, że wiedzą już, jak wyglądam... Tylko skąd?!

Dotknął dłonią ogrzanej ciepłem ciała beretty. Doliczył do dwudziestu i spokojnie przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Ma palant szczęście! – rzucił sam do siebie i ruszył.

Z trudem włączył się do ruchu, gdyż na tym odcinku drogi trwała przebudowa i tiry ciągnęły niemal jeden za drugim. W końcu udało mu się wpaść między dwie potężne ciężarówki.

Włączył stację RMF, ale akurat śpiewał Michael Jackson, więc natychmiast wyłączył. Nie wiadomo skąd poczuł coś w rodzaju wewnętrznej radości, nieuzasadnionej niczym konkretnym. Takiej zwyczajnej, która czasem nachodzi człowieka znienacka i pozwala oderwać się choć na chwilę od prozy codzienności. Czy to mogła być radość życia? – przeleciało mu przez myśl. I aż się uśmiechnął. Po chwili mimowolnie zaczął śpiewać piosenkę, która zawsze dodawała mu siły i pobudzała do działania nie mniej niż modlitwa pełna wiary w sens tego, co robił. Myślał czasem, jaka to szkoda, że tych słów nie darował światu Allah.

*Here's to you, Nicola and Bart,
Rest forever here in our hearts,
The last and final moment is yours,
That agony is your triumph.*

Zwrotkę angielską śpiewał zawsze cicho, spokojnie, jakby chciał tylko zaznaczyć, że zaczyna, bo za chwilę będzie się działo coś ważnego.

*Maintenant, Nicolas et Bart,
Vous dormez au fond de nos coeurs,
Vous étiez seuls dans la mort,
Mais par elle, vous vaincrez.*

Wersję francuską lubił bardziej, bo pasowała mu idealnie do przekazu i miała jakąś wewnętrzną siłę i spójność. Dlatego podnosił nieco głos, jakby śpiewał *Marsyliankę* albo *Non, je ne regrette rien*.

*Canto aqui Nicola e Bart,
Vuestro fin y vuestra prison,
El morit os dié libertad,
Y un lugar en mi corazon.*

Hiszpański kojarzył mu się z Che, z walką, Bolivarem, Allendem i Victorem Jara, więc starał się, by siła głosu odpowiadała jego najgorętszym uczuciom.

*Canto asi a Nicola e Bart
Á quien odia la escalvitud
Á quien sabe amar la verdad
Canto fuerte „Libertad”.*

Ostatnią zwrotkę, po włosku, mógł już tylko wykrzyknąć, bo zawsze czuł w tym momencie, że rozsadzają go wściekłość i ból.

Gdy skończył, poczuł ulgę i jednocześnie przypływ sił, jak za każdym razem, gdy ją śpiewał. Teraz mógł odpocząć. Znów włączył radio.

Noc była wyjątkowo ciemna i zaczęło padać. Słabo widział drogę, więc jechał na pamięć, trzymając się świateł pozycyjnych wielkiego tira, którego naczepa niebezpiecznie przechylała się na boki.

W wiadomościach usłyszał, że na lotnisku w Amsterdamie zatrzymano dwóch Jemeńczyków podejrzanych o terroryzm. Jednak po sprawdzeniu okazało się, że przewożone przez nich

przedmioty nie są niebezpieczne, i zostali zwolnieni.

Karol uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Sajed wciąż testuje systemy bezpieczeństwa – pomyślał z przekonaniem. Szuka luki w zabezpieczeniach, ale w ten sposób tylko pogarsza sytuację... Westchnął głęboko. Mówiłem mu to tyle razy... nic do niego nie dociera! A może ci Jemeńczycy to tylko przypadek? Może. Ale każda taka sytuacja wzmaga czujność służb, które sprawdzają swoje procedury i zniechęcają do działania spontanicznych entuzjastów i amatorów... Chociaż któremuś może się udać... Przecież Sajed nie jest głupi i powinien zrozumieć, że nie wysadzi samolotu za pomocą dezodorantu.

Przypomniał sobie ich rozmowę sprzed dwóch lat.

„Teraz już nie wystarczy dziewiętnastu męczenników i Mohammed Atta – mówił wówczas. – Wróg wciąż się przygotowuje na nasze uderzenie i żeby uczcić pamięć bohaterów z jedenastego września, powinniśmy pomyśleć o czymś nowym”.

Nagle przed Karolem otworzyła się szeroka przestrzeń. Okazało się, że cały czas poprzedzał go tylko jeden tir. Skończył się odcinek drogi w przebudowie, a rozpoczęła nowa dwupasmówka. Przestało padać, mógł więc w końcu wyłączyć wycieraczki.

Sam się zdziwił, że tak prozaiczna sytuacja przyniosła mu tyle radości. A do tych marzeń podczepiała się jeszcze nieustannie wizja krótkiej wizyty u sąsiada Zuzy piętro niżej, którego odwiedził jako pracownik gazowni. Ta myśl tak go bawiła, że psuła nieco powagę marzeń o złotych włosach Zuzy, jej oczach i idealnych ustach.

Myśl o śmierdzącym sąsiedzie w tłustym podkoszulku stała się tak natrętna, że aż tłumiała podniecenie. Przez moment Karol się zastanawiał, czy to aby nie jest podświadoma zazdrość albo, co gorsza, jakaś obsesja. Nawet trochę się zaniepokoił tymi przemyśleniami, lecz po chwili uznał, że to stanowczo przedwczesna ocena. Doszedł nawet do wniosku, że to jak najbardziej prawidłowy odruch przed tym, co zaplanował zrobić z Abdulem, i oznacza jedynie, że jego podświadomość

działa zupełnie sprawnie.

Czuł już wyraźne zmęczenie. Zaczynał mieć omamy wzrokowe, a ciężkie powieki szorowały po zapiaszczonych oczach. I na dodatek te durne myśli o jakimś sąsiedzie Zuzy...

Kiedy zauważył tablicę informującą, że właśnie wjeżdża do miasta Frydek-Mistek, ze zdumieniem stwierdził, że jest już w Czechach. Postanowił skorzystać ze swojego rozkładanego łóżka i trochę się zdrzemnąć.

Była pierwsza trzydzieści osiem i do Wiednia pozostało jeszcze około trzystu kilometrów.

Rano będę na miejscu. Wystarczy! – pomyślał bez entuzjazmu i zjechał na parking przy całodobowej stacji benzynowej.

Poinformował obsługę, że jest zmęczony i chce się zdrzemnąć w samochodzie. Kupił dwie butelki wody niegazowanej i paczkę pierniczków. Wrócił do samochodu, rozłożył łóżko, zdjął marynarkę, pod którą schował beretkę, i położył się, naciągając koc na głowę.

Pomyślał, że powinien się jeszcze pomodlić, bo ostatnio coraz bardziej zaniedbuje się w kontaktach z Bogiem. Kiedyś nie tylko częściej chodził do meczetu, ale też starał się żyć jak pobożny muzułmanin. Z chwilą gdy przystąpił do dżihadu, nie mógł już tak często bywać w meczecie, a po jedenastym wrześniu – praktycznie w ogóle. Przynajmniej poza krajami islamskimi. Europejskie meczety pełne są konfidentów różnorakich służb i on, Karol Hamond, Safir as-Salam, nie zdążyłby pewnie zmówić dwóch rakatów, nim zostałyby aresztowany. A w Warszawie był przecież tylko jeden meczet.

Tahadżdżud odmawia się w nocy, ale wcześniej trzeba przespać przynajmniej jej część – pomyślał i usiadł na brzegu łóżka, owinięty w koc. Dobrze, zmówię, jak się obudzę... albo nie!

– Mam przecież na taką okoliczność salat as-safar! – powiedział do siebie, jakby nagle odkrył coś niezwykłego, i spróbował stanąć, ale uderzył się w głowę, bo samochód był zbyt niski.

Przecież można ją odmówić w dowolnej pozycji – przypomniał sobie tę oczywistość islamskiej wiary i postanowił od dzisiaj

stanowczo częściej uciekać się do tej modlitwy.

Kiedy skończył, położył się z powrotem w dużo lepszym nastroju niż wcześniej. Miał pewność, a nie tylko wrażenie, że kontakt z Allahem bardzo mu pomógł przezwyciężyć wątpliwości, które dręczyły go przez całą podróż. Utwierdził się w przekonaniu, że podąży Jego słuszną drogą i niesie w Jego imieniu światło nadziei wszystkim biednym i skrzywdzonym tego niesprawiedliwego świata.

Kim jest człowiek, który mnie ściga... śledzi? – pomyślał, leżąc na wznak, z głową zakrytą kocem jak całunem. Kim jest człowiek, który chce mojej śmierci? Czy jest jakiś Kapitan Hak? Czy wie, dlaczego walczę? Czy wie, dlaczego walczy ze mną?

Poczuł, że jego zmysły powoli zrywają kontakt z rzeczywistością. Ale te myśli i pytania brzmiały tak naturalnie i trzeźwo, jakby wcale nie spał, tylko siedział na skale gdzieś nad brzegiem morza wypełnionego nieruchomą turkusową wodą, a za plecami miał ciszę opustoszałego Adenu.

– On wie, kim ja jestem, ale ja nie wiem, kim jest on. Musi być przecież jakiś ON! Nawet jeżeli szuka mnie cała grupa, to musi być przecież jakiś jeden – ON. Ten najważniejszy! Ten, który o wszystkim decyduje. Śledczy, sędzia i kat, gotów wykonać wyrok w imieniu rozhisteryzowanego tłumu, który boi się tego, czego nie rozumie i nie chce zrozumieć... Jak ON wygląda? Jest pięknym, przystojnym mężczyzną, który chodzi co niedziela do kościoła, czy małym łysiejącym blondynem z brzuchem, co wieczorami zapija w samotności swoje kompleksy? Czy ON zadał sobie chociaż trud, żeby dowiedzieć się czegokolwiek o nas, o naszych ideach, o islamie, czy ma to gdzieś i chce mnie tylko złapać, zabić i mieć święty spokój albo wypiąć pierś do odznaczenia? Czy dowie się o nas czegoś więcej, podtapiając naszych braci w jakimś tajnym więzieniu? A może ON wierzy, że tylko broni swojego świata przed islamskimi barbarzyńcami? Czy ON potrafi wymienić choć jednego arabskiego pisarza, poetę? Czy ON wie, że Koran to najpiękniejszy poemat, choć nie traktuje o miłości? Czy ON kiedykolwiek przeczytał choć jedną jego strofę? Czy ON wie, że Ryszard i Saladyn darzyli się wzajemnym szacunkiem, choć nie

mieli litości w walce? Że templariusze i wojownicy dżihadu potrafili z sobą rozmawiać? Czy ON robi to, by bronić swojej jedynie słusznej cywilizacji przed nędzą Afryki i HIV, biedą Ameryki Południowej i Azji oraz odmiennością Chin? Czy ON kiedykolwiek zadał sobie pytanie, dlaczego Karol Hamond nazywa się teraz Safir as-Salam ibn Butrus? Czy ON dowiedział się – dlaczego? A może to jest ONA?

– Melduję się, towarzyszu generale! – Popowski wyprężył się przepisowo, jakby był w mundurze.

Generał Lebieńdz dostojnie podniósł głowę i wstał. Zajęło mu dobrą chwilę, nim zdołał obejść swoje ogromne biurko.

– Podejdź, Misza. – W ojcowskim geście wyciągnął prawą rękę, jakby chciał objąć gościa.

Popowski w pięciu szybkich, sprężystych krokach znalazł się przed Lebieńdzem, który położył mu na ramieniu ciężką rękę i zapytał:

– Jak się czuje mama? Potrzebuje czegoś?

– Wszystko w porządku, towarzyszu generale – odparł Popowski i skinął służbowo głową.

– Siadaj. – Generał wskazał mu krzesło przy stole konferencyjnym i kiedy usiedli, z wyraźną troską w głosie dodał: – Nie widziałem Marii Iwanowny od śmierci twojego ojca... to już pięć miesięcy...

– Jutro będzie sześć.

– No... tak. – Generał zamyślił się przez chwilę. – Wydałem polecenie, aby przygotować biografię Wiktora Mironowicza. Na razie do użytku wewnętrznego, ale może kiedyś ją opublikujemy. Co wiesz o życiu swojego ojca, Misza?

– O życiu? Chyba wszystko – odparł Popowski. – O służbie prawie nic. Tyle ile mogłem się domyślić...

– Jak biografia będzie gotowa – przerwał mu generał – ty pierwszy ją przeczytasz. Myślę, że będziesz dumny, że jesteś synem Wiktora.

– Jestem dumny! – krótko i zdecydowanie odparł Popowski.

– Będziesz jeszcze bardziej. Jestem o tym przekonany. – Lebieńdz zawiesił na moment głos i zaraz potem zapytał: – Co z bratem?

– Pije, jak pił.

– Szkoda chłopaka.

– Szkoda mamy – zdecydowanie rzucił Popowski.

– No dobrze. – Generał westchnął, co oznaczało, że nie chce się już zagłębiać w problemy rodzinne Popowskich, i tym

samym zakończył temat.

Michaił zamilkł, bo dobrze wiedział, że generał jest więcej niż życzliwy jemu i całej rodzinie Popowskich, od trzech pokoleń strzegącej bezpieczeństwa Rosji, i że wyraźnie go boli, iż wraz ze śmiercią Wiktora zakończył się pewien etap historii. Odchodziło ostatnie pokolenie ZSRR, do którego należał także on sam.

– Jak twój samochód... bmw, tak? – Generał przeszedł na neutralny temat.

– Świetnie! Dany od serca...

– Zasłużyłeś! Nie mów tak! To był twój pomysł, Misza. – Głos generała brzmiał zwyczajnie i szczerze. – Dzięki temu świat stał się choć na chwilę lepszy. Dużo zyskaliśmy!

– Są już jakieś oceny Kremla? Władimira Władimirowicza?

– Nooo... Misza. Przecież czytasz depeche z Warszawy, oglądasz telewizję... – Lebieź udawał, że nie wie, o co chodzi Popowskiemu.

– Wciąż dręczy mnie pewne pytanie, towarzyszu generale, nie potrafię znaleźć na nie odpowiedzi. A to sprawia mi jakiś trudny do wytłumaczenia dyskomfort – zaczął Michaił. – Nie jestem w stanie odgadnąć, czy Konrad się zorientował... czy nie. Dopiero wtedy, gdy poznam odpowiedź, będę mógł stwierdzić, że to ja jestem autorem tej najważniejszej w moim życiu sprawy. Przecież w Brukseli, gdy rozmawialiśmy w tej knajpie, nie mógł się domyślić, dlaczego wystawiliśmy mu „Hooka” i „Baobaba”. Był jednak jakiś dziwny, nienaturalnie spokojny. Przecież powinien od razu zasuwać do Rezydentury albo wracać do kraju... Z taką informacją?! A myśmy pili jeszcze dwa dni i on ani razu już nie zapytał o Rupertów! – Popowski z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Misza. – Generał położył mu rękę na ramieniu. – Tego nigdy nie będziesz wiedział. Tak już jest w naszym zawodzie. Operujemy w materii, której prawa znamy, ale nie zawsze je rozumiemy. I nie ma w tym nic dziwnego. A ty jesteś jak ojciec... – Przerwał na moment. – Dokładnie taki sam. Trochę za ambitny. Chcesz wszystko rozumieć, a nie wszystko da się zrozumieć. Ja wiem, że lubisz Polskę i Polaków...

– Nie o to chodzi, towarzyszu generale...

– O to, czy Konrad Wolski cię nie przechytrzył? – przerwał mu Lebieź. – Wiem doskonale, jaki jesteś. Męczy cię to? Nawet jeżeli masz takie wrażenie... to jednak obaj przysłużyliście się swoim krajom jak nikt dotąd, on Polsce, ty Rosji. Sam popatrz! Zresztą – zawiesił na moment głos. – Pewnie wkrótce będziesz miał okazję porozmawiać z nim w cztery oczy... Może się czegoś dowiesz! – Dostrzegł zaskoczone spojrzenie Michaiła. – Sam byłbym ciekaw! Zaraz się wszystkiego dowiesz.

Popowskiego nie dziwiło, że generał jest tą sprawą osobiście zainteresowany. Może nawet bardziej niż innymi, które zrealizowała ostatnio Służba Wywiadu Zagranicznego. Sukces polskiej operacji „Katusza”, wbrew zdecydowanemu oporowi Krugłowa z administracji prezydenta, pozwolił pozostać generałowi Lebieźowi na stanowisku szefa SWZ. A na dwa lata przed emeryturą to było więcej niż ważne. Naczelnik podpułkownik Michaił Popowski i generał Lebieź doskonale o tym wiedzieli, ale nigdy na ten temat nie rozmawiali. I to nie dlatego, żeby nie chcieli czy też nie było odpowiedniej okazji, ale dlatego, że generał z zasady nie dziękuje oficerowi. Nawet jeżeli ma za co. Generał mówi zwykle: „Ojczyzna nigdy wam tego nie zapomni” albo „Świetnie wykonaliście zadanie”, albo podobne rzeczy, ale nigdy „Dziękuję”. Nawet jeżeli zwraca się do Michaiła Popowskiego, syna Wiktora, legendy wywiadu, a sprawa „Katusza” uratowała generalski honor i godność. I przy okazji zatopiła taką kremłowską bladź jak Krugłow, który teraz zajmuje się bezpieczeństwem Gazpromu pod żelazną ręką Aleksieja Millera. „Zwyciężyło dobro” – lubił sobie powtarzać w takich sytuacjach Lebieź.

– Przyszedł naczelnik Iwan Siemionow, towarzyszu generale – odezwała się przez interkom sekretarka.

– Niech wejdzie – odpowiedział Lebieź.

Po chwili przy drzwiach stanął niewysoki blondyn około czterdziestki w niemodnych rogowych okularach, szarym garniturze bez określonego wzoru i z aktówką w dłoni zakrytej rękawem marynarki.

Mimo wyglądu starszego archiwisty zameldował się

przepisowo, po oficersku, głosem nieco zbyt gromkim, jakby chciał zrekompensować w ten sposób swoją nie dość doskonałą powierzchowność.

Popowski znał Siemionowa bardziej z widzenia niż kontaktów osobistych, ponieważ zajmowali się krajami leżącymi dokładnie po przeciwnych krańcach globu ziemskiego i w żaden sposób nie można było znaleźć nic, co mogłoby je połączyć. Dlatego jednoczesna obecność Siemionowa i Popowskiego w gabinecie generała Lebiedzia była co najmniej intrygująca.

W bezpośredniej rozmowie Siemionow był cichy i niewiele się odzywał, toteż zaskoczył Popowskiego swoim potężnym głosem. Ale już chwilę potem, zupełnie nieprzepisowo, popchnął palcem wskazującym opadające mu na nos okulary. To już bardziej do niego pasowało.

Przecież stać go na nowe oprawki Versacego albo i lepsze – pomyślał z pewnym niesmakiem Popowski.

Próbował sobie przypomnieć, od kiedy zna Siemionowa. Nawet nie potrafił powiedzieć, czy ukończył on Akademię Andropowa przed nim, czy po nim, a przecież umiał to powiedzieć o każdym koleźce. Nie mógł sobie również przypomnieć, skąd zna ten gest popychania palcem opadających okularów. Ani odkąd Siemionow jest naczelnikiem i właściwie dlaczego. Nie był też pewien, na którym piętrze jest jego wydział. Nie mógł powiedzieć, żeby wzbudzał w nim jakiegokolwiek emocje, ale teraz poczuł się dziwnie, widząc Siemionowa, małego człowieczka prężącego się groteskowo przy drzwiach, będącego, jak mu się wydawało, jego całkowitym zaprzeczeniem. Przynajmniej fizycznym i estetycznym.

I w tym momencie dotarło do niego z jakąś niewytłumaczalną i olśniewającą siłą, że wewnątrz szarego garnituru musi jednak kryć się jakaś niezwykła postać, godna szacunku, skoro od niepamiętnych czasów pilnuje bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej z drugiej strony mapy i cieszy się zaufaniem generała. Od razu też widać było, że Siemionow nie może być z rodziny generała. Mitrochina – jeszcze, jeszcze, ale na pewno nie Lebiedzia.

Popowski poczuł chwilowy przypływ sympatii do Iwana Siemionowa, naczelnika Wydziału Północnokoreańskiego SWZ Federacji Rosyjskiej, i od razu zadał sobie pytanie: Czy Iwan zna język koreański tak jak ja polski? Pewnie tak. Nie może być inaczej – stwierdził w duchu i sympatię niespodziewanie uzupełnił szacunek. Najważniejsze to właściwie ocenić człowieka, zanim ten się zorientuje, jaka to ocena – przemknęło mu przez myśl. Siemionow ma stare buty i tani garnitur, ale przecież nie pracuje z Polakami, tylko z Koreańczykami, więc może to coś tłumaczy...

– Siadajcie... – zarządził generał, wrywając Popowskiego z niepewnych rozważań i nieoczekiwanie męskiego uścisku dłoni Siemionowa. – Herbaty?

Obaj jednocześnie skinęli głowami, choć o tej porze każdy miał już za sobą co najmniej kilka szklanek.

– To chyba pierwsze wasze spotkanie służbowe – bardziej stwierdził, niż zapytał, generał, kiedy tylko wydał polecenie sekretarce. – Dziwisz się pewnie, Misza, o co tu chodzi? Co może mieć wspólnego Korea Północna z Polską?

– Każdy by się zdziwił, towarzyszu generale – odparł szczerze Popowski.

– Jaka jest najkrótsza granica Federacji Rosyjskiej? – zapytał niespodziewanie Lebedź, ale Siemionow nawet nie zareagował i Popowski od razu wyczuł, że to pytanie skierowane jest do niego.

– No... już nie pamiętam... dawno temu... w szkole...

– No? Ile? – Generał zwrócił się do Siemionowa, przeglądającego właśnie jakieś dokumenty, które przyniósł.

Ten, nie podnosząc wzroku, odpowiedział: – Siedemnaście kilometrów trzysta czterdzieści metrów...

– To jest... – Lebedź spojrzał na wielką mapę Rosji wiszącą w gabinecie.

– Mniej niż jedna setna procenta długości wszystkich naszych granic lądowych, która wynosi obecnie dwadzieścia tysięcy dwieście czterdzieści jeden i pół kilometra – odparł jak automat Iwan i palcem wskazującym poprawił okulary na nosie, jakby ta liczba wydała mu się boleśnie mała.

– Jedna setna procenta. Tyle wynosi nasza granica z Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną i od tego miejsca nad Morzem Wschodnim zaczyna się granica Rosji...

– Czterdzieści dwa stopnie siedemnaście minut i dwadzieścia osiem sekund szerokości północnej i sto trzydzieści stopni czterdzieści jeden mi... – zdążył wtrącić Siemionow, zanim otworzyły się drzwi i do pokoju weszła sekretarka.

Wiera była sekretarką szefa SWZ od zawsze. Sam Lebieź nie wiedział od kiedy. Bałby się nawet o tym pomyśleć, a co dopiero o to zapytać! Herbatę podawała z wrodzonym wdziękiem uzbeckiego czekisty. Taca z dwiema szklankami herbaty w pięknych starych rosyjskich podstakannikach z miedzioniklu, ręcznie zdobionych w mocne, złoto-srebrzyste motywy rustykalne, płynęła przed nią pewnie jak najważniejsze akta rozpracowania operacyjnego. Zaden z nich nie wiedział oczywiście, że to część zastawy ostatniego księcia Jusupowa, przejętej niegdyś przez Czeka razem z jej właścicielem. Dobrze, że chociaż zastawa została. W końcu była ładna i praktyczna, a Rosja, jeżeli chce przetrwać, musi dbać o swoje dziedzictwo. To było oczywiste i wiedział o tym każdy, a szczególnie każdy jej obrońca. Herbatę piją przecież w Rosji wszyscy.

Siemionow chwycił zdecydowanym ruchem za ucho koszyczka, które trzymał kiedyś w dłoni sam Dzierżyński, po nim Jagoda i Jeżow, a potem jeszcze wielu innych. Ale on o tym nie wiedział. Nawet się nad tym nie zastanawiał, zajęty kilkanaście godzin dziennie potężnymi problemami, które świata i Rosji przysparzała dynastia Kimów.

Popowski siedział naprzeciwko Iwana, a generał wciąż lustrował mapę. Nagle dotarło do Popowskiego, że rozmowa Lebieźdia i Siemionowa brzmi śmiesznie, groteskowo, nawet irracjonalnie. Odniośł wrażenie, jakby znalazł się tu przez przypadek, a oni zaraz zaczną grać w państwa, miasta i rzeki Federacji Rosyjskiej. Przez moment wydawało mu się, że to niemożliwe, żeby był w gabinecie generała Lebieźdia, legendy i szefa najpotężniejszego wywiadu świata. Kiedy przypomniał sobie w końcu, że Siemionow poprawia okulary dokładnie takim samym gestem jak student Szurik z komedii Gajdaja,

bezceremonialnie parsknął śmiechem, aż Iwan podniósł wzrok, a generał oderwał się od lustrowania mapy i zapytał:

– Czy coś nie tak?

– Wszystko w porządku, towarzyszu generale. Jak najbardziej w porządku. – Popowski z trudem dusił śmiech, ale był pewien, że tego nie widać.

– Ile ma nasza granica z Polską? – ciągnął Lebidź.

– Dziś to... jakieś dwieście kilometrów – niepewnie odpowiedział Popowski.

– Dwieście dziesięć – poprawił go Siemionow i w jednej chwili stracił wszystko, co do tej pory u niego zyskał.

– Kończy się na Bałtyjskiej Kosie – dorzucił pewnie Michaił, pełen woli zemsty i walki. – Po polsku to Mierzeja Wiślana... sto pięćdziesiąt dziewięć stopni, sześćset minut i jedna sekunda – zakończył z wyraźną złośliwością pod adresem Siemionowa i od razu zrobiło mu się lepiej.

– No i popatrzcie! – odezwał się generał, jakby nie dosłyszał Popowskiego. – Koreę i Polskę dzieli jakieś osiem tysięcy kilometrów, te kraje nijak do siebie nie przystają, a tyle nam sprawiają kłopotów, każdy z osobna i na swój sposób – mówił cicho, sam do siebie, tonem zatroskanego nauczyciela geografii. – Hm... a jednak coś je łączy! Czy jest jakiś inny kraj na świecie, który ma takie problemy na granicach jak my? Ciekawe... Taki wielki kraj nie może nie mieć problemów... tu Konfucjusz, a tu papież rzymski!

Lebidź wciąż stał odwrócony do nich tyłem, z założonymi za plecy rękami, i wpatrywał się na zmianę raz w jeden, raz w drugi koniec mapy, po czym zatrzymał wzrok na wysokości Chin i trwał tak chwilę w milczeniu.

Mógł sprawiać wrażenie wodza zatroskanego losami swojego kraju. Popowskiego jednak trochę drażniła ta jego poza. Wydawało mu się nawet, że wygląda jak Chaplin w *Dyktatorze* albo jakaś tandetna odmiana Aleksandra I. A generał przecież nigdy nie był śmieszny, tylko zawsze pełen dostojności, roztropności i umiaru. Michaił był tego pewny i kiedy spojrzął na Siemionowa, z wyrazu jego twarzy odczytał jednoznacznie, że i w nim Lebidź wzbudza głęboki szacunek. Skorygował więc

natychmiast swoje pierwsze wrażenie i uznał, że jest małosłowny i niesprawiedliwy wobec swojego – przecież najlepszego – szefa. Po chwili zastanowienia był nawet zły na siebie, że znów go pokonała własna arogancja.

– No dobrze... – odezwał się po chwili generał. – Zaczynaj, Wania! – I wrócił do długiego stołu konferencyjnego.

– Jak ustaliła FSB, Lee Young-chul, pierwszy zastępca SWRSK i pracownik ambasady północnokoreańskiej w Moskwie, w ciągu ostatnich trzech miesięcy odbył co najmniej trzy podróże do Polski – zaczął bezbarwnym głosem Siemionow, wciąż przekładając swoje dokumenty, jakby czegoś w nich szukał.

– Co to takiego SWRSK? – zapytał Michaił i od razu zrozumiał swój błąd. – Wywiad północnokoreański! No tak... oczywiście!

– Właśnie – odparł Siemionow.

– Zaraz! – wszedł mu w słowo Michaił. – Trzy podróże do Polski? Czy ja dobrze zrozumiałem? Wywiad Kima jeździ do Polski? NATO? Unii? – Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Otóż to! – wtrącił Lebedź. – Otóż to! – powtórzył tonem, jakby naprawdę nie wiedział, po co Koreańczycy jeżdżą do Polski, i te dwa słowa w ustach szefa rosyjskiego wywiadu miały swoje niezwykle, wręcz niepokojące znaczenie. Michaił zrozumiał to natychmiast.

– W ich ambasadzie na ulicy Mosfilmowskiej pod siedemdziesiątym drugim przebywa stale ponad pięciuset Koreańczyków z rodzinami, chociaż oficjalnie akredytowanych jest trzydziestu – zaczął Siemionow. – Z tych pięciuset przynajmniej połowa albo więcej to szpiedzy.

– To nasza FSB ma pełne ręce roboty – skomentował nie bez zaskoczenia Michaił. – Jest ich chyba więcej niż wszystkich innych razem...

– To prawda! – wtrącił Lebedź. – Ale nie jest tak źle, jakby na pierwszy rzut oka mogło się wydawać. Większość z nich jest zajęta robieniem biznesu...

– Handlem – przerwał Siemionow. – Muszą zarobić na utrzymanie swoje, ambasady, rodzin w Korei i tysiący innych urzędników i wojskowych w kraju. Robią tak wszędzie, gdzie

tylko mogą, we wszystkich swoich ambasadach na świecie. To jest jak najbardziej półoficjalna działalność. – Wania poprawił okulary gestem Szurika. – Pewna część zajmuje się jednak prawdziwym szpiegostwem i to jest problem.

– Technologie wojskowe... broń jądrowa... tak, czytałem w naszym biuletynie – stwierdził Popowski.

– Otóż to! – potwierdził Lebieź. – I to jest właśnie problem...

– Są u nas środowiska i ludzie, którzy w Korei Północnej widzą wspomnienie po ZSRR i są do tego kraju życzliwie, a czasem nawet bardzo życzliwie nastawieni – ciągnął Siemionow. – Trzeba powiedzieć wprost, że Koreańczycy mają wsparcie partii komunistycznej w naszej Dumie, ale, co gorsza, także niezrzeszonych gorących prokomunistów starszej daty...

– W tym... w środowisku naukowców... – wtrącił generał.

– Także fizyków jądrowych... – dodał Siemionow.

Popowski nagle odkrył, że generał i Siemionow mówią dosłownie tym samym językiem i idealnie się uzupełniają. Dotarło do niego, że muszą spędzać ze sobą dużo czasu, i jasne było, że problem koreański ma priorytet. Była to skądinąd oczywista konstatacja, lecz jednocześnie sprawiła, że Michał nie potrafił ocenić, gdzie w tej chwili leży Polska. Jakie jest jej znaczenie dla Rosji. Groźba wojny atomowej na Półwyspie Koreańskim mogła spowodować nie tylko światowy kryzys gospodarczy, lecz także konflikt militarny na znacznie większą skalę. To było oczywiste dla każdego rosyjskiego oficera wywiadu, bo i Kaliningrad, i Władywostok to części Rosji, jednego żywego organizmu. Wszystko zatem, co się działo na tym terenie, miało dla Moskwy ogromne znaczenie.

– Ostatniego Koreańczyka, generała Nam Gye-boka, wydaliliśmy w dziewięćdziesiątym trzecim roku, właśnie za usiłowanie werbunku naszych naukowców – kontynuował Siemionow – ale oczywiście na tym nie zakończyli i my to doskonale wiemy...

– Uznaliśmy jednak – wtrącił ponownie Lebieź – że będziemy obserwować działalność wywiadu koreańskiego u nas, bo dzięki temu ustalimy, czego im brakuje w ich programie budowy broni jądrowej i rakiet... czyli na jakim

etapie są teraz.

– Od maja dwa tysiące siódmego roku obowiązuje dekret prezydenta o zakazie jakichkolwiek dostaw dla Korei Północnej czy innej współpracy, która mogłaby się przysłużyć realizacji jej programu jądrowego i wojskowego, a od testu atomowego z dwudziestego piątego maja dwa tysiące dziewiątego roku sytuacja w naszych relacjach z Kimem i ogólnie w regionie uległa całkowitej zmianie – zakończył Siemionow i wszyscy zamilkli.

Czuć jednak było w powietrzu, że to dopiero wstęp, przygotowanie do tego, co miało być najważniejsze. Bo przecież Popowski, nawet jeśli nie znał dat czy jakichś epizodów, doskonale zdawał sobie sprawę, co oznacza dla Rosji sprawa koreańska. Miał nieodparte wrażenie, że spadnie mu na głowę nowy problem, odmienny od tego, czym dotąd się zajmował. Zastrzeżenia, jakie miał wcześniej do Siemionowa, rozplynęły się jak kropla w morzu i teraz patrzył na okrągłą twarz w niemodnych okularach z pełnym uznaniem i szacunkiem. Więcej, poczuł się trochę głupio w swoim garniturze Hugo Bossa i idealnej kopii butów Manhattan Richelieu, którą sobie kupił niedawno.

– Posłuchaj teraz uważnie, Misza – zaczął generał. Popowski nigdy dotąd nie słyszał u niego takiego tonu, i już wiedział, że to, co Lebieź za chwilę powie, będzie musiało pozostać w tym pokoju na jedenastym piętrze budynku SWZ w Jaseniewie. – Nie wszyscy w Rosji... także na Kremlu... uważają, że powstrzymanie rozwoju siły militarnej, a głównie programu broni jądrowej i rakiet Korei Północnej jest rozsądne...

– Przynajmniej na tym etapie – dodał Wasia.

– Zaraz... – Popowski zmarszczył czoło. – Nie rozumiem.

– To trochę skomplikowane – odparł Siemionow. – Musiałbyś wejść głębiej w szerszy kontekst problemu koreańskiego, a teraz nie ma na to czasu. Krótko mówiąc, są ludzie, którzy uważają, że rozstawienie najważniejszych figur na szachownicy Dalekiego Wschodu, takich jak Chiny, Japonia, USA czy Korea Południowa, jest dla nas w tej chwili mało korzystne i że powinniśmy poczekać, aż Kim jeszcze mocniej wszystkich

postraszy swoją bombą atomową.

– Co to za ludzie? Komu może na tym zależeć? – zapytał poirytowany Michaił.

– O tym... może kiedy indziej... – wtrącił z wahaniem Lebieź.

– Ogólnie rzecz ujmując, chodzi o strategiczne przeorientowanie Chin na nasze dostawy z Syberii. Uniezależnienie ich od złóż na Bliskim Wschodzie i w Afryce – dodał. – We wzajemnych rozliczeniach odeszliśmy od dolara i zastąpiliśmy go juanem i rublem. Są tacy, którzy uważają, że wkrótce będziemy musieli pójść dalej. Rosja, jeżeli chce przetrwać jako cywilizacja, jako państwo, potrzebuje modernizacji.

– Są na to dwa sposoby – cicho, bez emocji powiedział Siemionow. – Albo Zachód, który wciąż kluczy, kręci i składa mnóstwo deklaracji, ale tak naprawdę na nowoczesnej Rosji mu nie zależy, bo się boi naszej potęgi, albo... Chiny.

Michaił poczuł, jak przechodzi go dreszcz. W ustach Siemionowa ta prawda stała się tak dramatycznie oczywista, że przez moment odniósł wrażenie, jakby sam ją wymyślił i ogłosił z mównicy Dumy Państwowej.

– Wasia – wtrącił w końcu Lebieź – Misza to wszystko wie i rozumie. O szczegółach możemy porozmawiać później. Przejdź teraz do sedna.

Popowski jednak nie mógł się zgodzić z generałem. Wcale wszystkiego nie wiedział ani nie rozumiał. Wprost przeciwnie. W żaden sposób nie potrafił pojąć, dlaczego kryzys koreański miałby się przyczynić do umocnienia współpracy Rosji i Chin. Z tego, co mówili Lebieź i Wasia, wywnioskował tylko, że Władimir Władimirowicz nie chce sprawdzać wytrzymałości świata na szaleństwa Kima. Jakże mogłoby być inaczej!

– W dalszym ciągu nie rozumiem, po co Lee Young-chul jeździł do Polski – powiedział. – Warszawa jest znacznie tańsza niż Moskwa, ale chyba nie chodziło mu o zakupy... – Spojrzał pytająco na Siemionowa.

– Pewnie, że nie! – zdecydowanie odparł Wasia. – Lee Young-chul to trzygwiazdkowy generał. Tacy jak on nie muszą już jeździć sami na zakupy.

– Mamy uzasadnione podejrzenia, że Lee jeździ do Polski, żeby się z kimś spotykać... – zabrał głos generał. – Z kimś, z kim nie mógłby się spotkać w Rosji ani Korei. Uznaliśmy też, że nie bez powodu wybrali właśnie Polskę.

– Lee lata do Polski z dwoma ochroniarzami i wszyscy posługują się paszportami dyplomatycznymi – przejął inicjatywę Wasia. – Kiedy pojechali tam pierwszy raz, uznaliśmy, że to zwykła podróż kurierska, bo na lotnisku mieli pakiet i list. Może generał chciał odwiedzić swoją ambasadę w Polsce. Właściwie nie było w tym niczego dziwnego, bo koreańscy dyplomaci z Moskwy dosyć często jeżdżą do Warszawy. Za drugim razem, kiedy na Szeremietiewie pojawił się ten sam zestaw... Lee i dwóch ochroniarzy... FSB nieco się zaniepokoiła i przekazała nam informację. Musieli coś ze sobą mieć, coś specjalnego, bo ochroniarze ostro pilnowali Lee na lotnisku.

– FSB ma swoje źródła w ich ambasadzie, ale nie udało się nic ustalić. Wyjazdy Lee do Polski były utrzymywane w absolutnie ścisłej tajemnicy, także wewnątrz placówki – stwierdził Lebieź w taki sposób, jakby sam był zaangażowany w działania operacyjne. – Pojawił się jednak pewien interesujący szczegół. Bilety na samolot do Warszawy kupował ochroniarz Lee, a nie oficer rezydentury albo pracownik administracyjny ambasady. To był ważny element potwierdzający, że te wyjazdy mogą mieć tajny charakter.

– Po wstępnej analizie przyjęliśmy założenie, że Lee musi się spotykać w Polsce z kimś szczególnie ważnym dla wywiadu koreańskiego – przejął głos Siemionow. – Wykluczaliśmy tajne rozmowy z Amerykanami...

– Dlaczego? – zapytał Popowski. – Przecież...

– Ze względów politycznych – zdecydowanie odpowiedział Lebieź. – Lee jest zdeklarowanym jastrzębiem... Amerykanie prędzej by go zlikwidowali, niż wdawali się z nim w rozmowy.

– Jankesi nie będą się kontaktować z Północą bez wiedzy Południa – wtrącił Wania. – Już kiedyś próbowali i źle to się skończyło. A poza tym po co jeździć aż do Warszawy? Przez moment podejrzewaliśmy, że to może Północ rozmawia

z Południem, ale zaraz uznaliśmy to za bezsensowne, bo Seul musiałby mieć zgodę Warszawy, więc tego samego dnia wiedzieliby o tym Amerykanie. Tak czy inaczej żadna z kombinacji politycznych nie miała większego sensu – zakończył Siemionow i pokiwał znacząco głową, ale nie poprawił okularów, które zjechały mu już na koniec nosa.

– No dobrze. To co teraz? Jaka jest koncepcja? – zapytał nieco zdezorientowany Popowski. – Po co Lee jeździ do Warszawy?

– Lee z obstawą był ostatni raz w Polsce tydzień temu – odparł Wania. – Jego ochroniarz za każdym razem kupował bilet na tydzień przed wylotem, czyli data wyjazdu była z góry ustalona...

– Podczas ostatniego spotkania – uściślił Michaił.

– Otóż to!

– Czyli Lee na pewno z kimś się spotyka.

– Oczywiście! – Siemionow się uśmiechnął. – Dlatego kiedy jego ochroniarz kupował bilet do Warszawy, odpowiednio się przygotowaliśmy. Wcześniej poleciało do Polski dwóch naszych oficerów z obserwacji zewnętrznej, a do samolotu wsadziliśmy mu jeszcze dwóch z paszportami dyplomatycznymi, bo zakładaliśmy, że może przechodzić przez salonik VIP-ów.

– Naszych oficerów z obserwacji zewnętrznej w Warszawie prowadził twój oficer... – rzucił Lebież.

– Witalij Bobriukow?

– Ten sam!

– Towarzyszu generale, czy nie byłoby celowe poprosić o pomoc Polaków? – niepewnym tonem zapytał Popowski.

– To nie wchodzi w rachubę – zdecydowanie odpowiedział Wania. – Ani z powodów politycznych, ani tym bardziej z powodu, o którym zaraz powiem. – Sposób, w jaki to oświadczył, wyraźnie wskazywał, że to on, Iwan Siemionow, decyduje w tej sprawie o wszystkim.

– Rozumiem. Polacy natychmiast poinformowaliby o wszystkim Amerykanów. Czy tak?

– Oczywiście, ale nie to jest najważniejsze. Posłuchaj dalej, Misza. – Wania po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. – Lee oczywiście wyszedł przez salonik VIP-ów, gdzie

czekał na niego cały pluton dyplomatów z warszawskiej ambasady. Nasi trzymali się dyskretnie w cieniu. Dali tylko znać Bobriukowowi, gdzie mają się ustawić jego ludzie, by dalej śledzić Lee. Nie wyglądało to jednak dobrze, bo wydawało się, że generał pojedzie do ambasady Korei i stracimy możliwość dalszej obserwacji. Oczywiście liczyliśmy się z tym od samego początku, więc nie byłoby zaskoczenia. – Siemionow przerwał, poprawił okulary i pociągnął łyk zimnej herbaty. – Ale szczęście nam dopisało!

Popowski, widząc jego spontaniczną reakcję, poczuł przyływ radości. Zresztą twarz generała Lebedzia też nabrała wyrazu dyskretniej satysfakcji. Albo tak się przynajmniej wydawało. Tak czy inaczej wyglądało na to, że także w tej sprawie wywiad rosyjski dobrze sobie radzi.

– Z parkingu dla VIP-ów na lotnisku Okęcie wyjechały trzy jednakowe mercedesy na niebieskich numerach dyplomatycznych – ciągnął Siemionow z coraz większym przejęciem. – Nasi ludzie mieli nie lada kłopot, żeby ustalić, kto wsiadł do którego, a szczególnie gdzie jest Lee. Natychmiast przekazali informację do Bobriukowa i numer rejestracyjny samochodu Koreańczyka. Kolumna ruszyła z lotniska w kierunku miasta...

– Ulicą Żwirki i Wigury... – wtrącił z satysfakcją Misza. – Lotnisko jest bardzo blisko centrum...

– No więc właśnie... – ciągnął Wania, jakby był w transie. – Trzy mercedesy pojechały do centrum miasta, ale korek był spory i nasi ludzie swobodnie mogli je śledzić. W pewnym momencie zauważyli, że samochód Lee wyraźnie odbił od kolumny i skręcił w jakąś ulicę. Kiedy się zatrzymał, szybko wysiadł z niego generał z teczką i jego dwóch ochroniarzy. Nasza obserwacja ustaliła, że udali się do pobliskiego hotelu Marriott...

– W Alejach Jerozolimskich... w Warszawie jest tylko jeden.

– Na dojściu kontrolowali się, jakby ich obsiadło stado pszczół, i najwyraźniej chcieli być na sto procent pewni, że są czyści. Wyglądali ponoć komicznie. – Przerwał na moment, jakby zbierał myśli. – Nasi ustalili, że wjechali na dwudzieste trzecie

piętro. I nic więcej. Po jakichś trzech godzinach wyszli, jakby czymś mocno zdenerwowani, pośpiesznie wsiedli do hotelowej taksówki i odjechali. Próbowaliśmy jechać za nimi, ale nasi szybko ich zgubili.

– Lee z kimś się tam spotkał... To dość drogi hotel.

– I o to boli nas głowa – stwierdził generał.

– Od pewnego czasu FSB i nasza służba prowadzą rozpracowanie profesora Igora Konstantinowicza Zagorskiego.

– Siemionow nagle zmienił ton, jakby zaczął referować nową sprawę.

– Profesora Zagorskiego? Tego deputowanego z partii komunistycznej? – wtrącił ze zdziwieniem Michaił.

– Tak! Tego!

– Przecież on ma z dziewięćdziesiąt lat!

– Osiemdziesiąt siedem – odparł generał.

– Przecież to legenda naszego przemysłu zbrojeniowego... deputowany do Dumy!

– Niestety – z wyraźnym smutkiem odparł Lebedź. – Igor Konstantinowicz ma problemy z głową, i to coraz większe, cierpi na zespół Kramera...

– To rodzaj obsesji. Tak czy inaczej nikt nie ma na niego wpływu. Staruszek chodzi własnymi ścieżkami, a w jego partii nie ma z kim rozmawiać. Zresztą nie możemy ujawniać, że się nim interesujemy. O sprawie wie oczywiście Władimir Władimirowicz. – Wania też był zatroskany.

– Profesor Zagorski ma jakieś związki z Koreą Północną – wywnioskował Popowski. – Jakie?

– To wygląda tak, Misza. Posłuchaj uważnie. – Siemionow poprawił okulary, podciągnął krzesło i wyprostował się. – W drugiej połowie lat osiemdziesiątych profesor Igor Konstantinowicz kierował zespołem pracującym nad ściśle tajnym projektem „Elbrus 2” w Arzamas-16...

– Tak, wiem... Obecnie Sarow...

– To było miasto zamknięte do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, ale teraz to nie ma znaczenia. Projekt „Elbrus 2” dotyczył prac nad nowym materiałem wybuchowym, który nazywa się

pentaheksadrylihityna próżniowo-kompensacyjna... Brzmi zabawnie? – Siemionow uśmiechnął się, widząc zdziwienie na twarzy Popowskiego. – Ale to wcale nie jest zabawne! W ogólnym zarysie to związek chemiczny, który pobudzony strumieniem elektronowym wyzwała gwałtowną implozję materii, ta zaś po osiągnięciu masy krytycznej powoduje w ciągu kilku sekund rozprężenie, wykorzystując do tego tlen z atmosfery. Następuje potężna eksplozja, lecz nie jest to eksplozja chemiczna, tylko właściwie czysto fizyczna... To teraz nieistotne... Efekt jest taki, że powstaje potężna fala uderzeniowa bez reakcji cieplnej... to coś takiego jak wybuch balonu. Dlatego materiał ten nazywano w skrócie „balonik”.

– Jak amerykański „kosiarz stokrotek” – z przekonaniem wtrącił Michaił.

– Amerykańska bomba BLU-82 to coś zupełnie innego. Nasz „balonik” daje efekt podobny jak bomba termobaryczna, ale ładunek jest znacznie mniejszy i lżejszy.

– Napijcie się jeszcze herbaty? – zapytał generał tonem zatroskanego gospodarza, ale Popowski i Siemionow, nawet nie patrząc w jego stronę, pokręcili głowami.

– Ten materiał w założeniu miał być bronią ofensywną, pozwalającą na niszczenie pól minowych, głównie atomowych, lecz także konwencjonalnych, by utorować drogę naszym wojskom. W fazie prób okazało się jednak, że może on mieć również inne zastosowanie. Nieduża ilość „balonika” zdetonowana w pomieszczeniu zamkniętym powoduje niewyobrażalne zniszczenia, gdyż obiekt, w którym wybucha, sam staje się potężną eksplozją. Uznano wówczas, że materiał doskonale się nadaje do niszczenia obiektów zamkniętych i podziemnych, a także w działaniach naszych oddziałów specjalnych. Prace nad projektem „Elbrus 2” objęte zostały nadzwyczajnym programem ochronnym KGB. W końcowej fazie wojny w Afganistanie użyto tego materiału w walce z mudżahedinami, którzy ukrywali się w jaskiniach... jakichś podziemnych obiektach. – Siemionow przerwał i jakby z niedowierzaniem pokręcił głową. – Efekt był przerażający! – Po chwili wrócił do zasadniczego wątku. – Przy odpowiednim

przygotowaniu wyprodukowanie tego materiału było stosunkowo proste, ale zajmowało dużo czasu i okazało się nieprawdopodobnie kosztowne – ciągnął z zaangażowaniem i znajomością tematu. – Po rozpadzie ZSRR nikt nie miał głowy do projektu „Elbrus 2” i wielu innych, zresztą pieniędzy też nie było. Jednak KGB skutecznie zabezpieczyło wówczas ludzi związanych z tym projektem i całą dokumentację. Zgodnie z decyzją Władimira Władimirowicza z dwa tysiące trzeciego roku projekt „Elbrus 2” został formalnie zamknięty jako zbyt drogi i zbędny w obecnej strategii Rosji.

– A co z profesorem? – zapytał Michaił.

– Początkowo protestował, ale później pogodził się z tą decyzją – odpowiedział generał. – Teraz jednak widać, że chyba nie.

– Sprawdziliśmy. Igor Konstantinowicz przebywał w Europie dokładnie w tych dniach, kiedy Lee Young-chul latał do Warszawy... Właściwie dotyczy to jego dwóch ostatnich podróży – stwierdził Siemionow. – Nie wiemy, po co profesor latał do Europy... dokładniej do Berlina, ale oni tam przecież nie mają granic i mógł swobodnie jechać do Warszawy...

– To trochę mało! – obruszył się Popowski, jakby chciał wziąć profesora w obronę. – To może być najzwyczajniejszy przypadek.

– Chciałbym, żeby tak było! – przerwał mu generał. – Chciałbym wierzyć, że profesor Igor Konstantinowicz, Bohater Związku Radzieckiego, jest tylko cierpiącym na zespół Kramera starcem i lata do Europy na wakacje... albo szuka starych samowarów, które wywieźli Niemcy. Sprawa jest jednak zbyt poważna. – Zamilkł na chwilę, ale Wania nie podjął opowieści, wyraźnie oddając teraz inicjatywę generałowi. – Kiedyś Lee wypił za dużo, zostawił jakiś dokument na biurku i poszedł rzygać. Nasze źródło w ich ambasadzie, właściwie agent FSB, przez minutę widziało ten dokument... Patrz, Misza, jaki przypadek! – Znów przerwał i zaczerpnął powietrza, jakby miał kłopoty z sercem. – Dokument dotyczył pentady...

– Pentaheksadrylihityny próżniowo-kompensacyjnej – pomógł mu Siemionow.

– Właśnie, „balonika”. Chociaż w dokumencie nie użyto tego słowa. Nasz człowiek zdążył przeczytać tylko mały kawałek, a że

w ambasadzie koreańskiej nie wolno mieć przy sobie telefonów komórkowych ani żadnej elektroniki, więc zapamiętał, ile się dało. Dokument objaśniał zasady działania penta... „balonika”. Koreańczycy nie tylko wiedzą o takim materiale wybuchowym, ale też najprawdopodobniej są bliscy jego wyprodukowania... o ile już go nie mają!

– To zmienia postać rzeczy – stwierdził Popowski. – Nie ma wyjścia. Trzeba rozmawiać z profesorem.

– Właśnie wczoraj z nim rozmawialiśmy – odparł Wania i spojrzął na zaskoczonego Michaiła. – I stąd to nasze dzisiejsze spotkanie...

– Igor Konstantinowicz wszystkiemu zaprzeczył – włączył się generał. – Wyzwał mnie od szaleńców i durniów. Obwinił o upadek Związku Radzieckiego i zapowiedział, że poskarży się Władimirowi Władimirowiczowi. Po co jeździł do Berlina, nie chciał powiedzieć...

– Przeszukanie u niego w domu i na dachy też nic nie dało – dodał Siemionow. – Zresztą... profesor ma wszystko w głowie... Znow wtrącił się Lebieź.

– Dysponując pe... „balonikiem”, Koreańczycy będą mogli z łatwością przejść zapory minowe Południa na granicy, jego podziemne instalacje i zniszczyć połowę Seulu bez konieczności użycia broni jądrowej, której mają za mało, nie wspominając już o nie dość doskonałych środkach przenoszenia. Zaatakują więc konwencjonalnie, i to z dużą szansą na sukces. Ich czołgi wejdą na Południe jak w masło. Jeżeli Amerykanie i Japończycy się dowiedzą, czym dysponuje Kim, znajdą się w trudnej sytuacji. Nie dość, że będą musieli zmienić swoją taktykę obronną, to jeszcze do czasu rozwiązania problemu – pójść na ustępstwa wobec Kima. Nie wiadomo, czy Tokio wytrzyma napięcie i nie zacznie w końcu zbroić się na poważnie... – Przerwał na chwilę. – Chińczycy tego nie zaakceptują i sytuacja może się wymknąć spod kontroli... W tych okolicznościach Koreańczycy mogą uznać, że dzięki „balonikowi”... co za idiotyczna nazwa... mają przewagę, i krucha równowaga albo głód... kombinacji jest wiele... może ich zachęcić do zdecydowanych kroków. Największy problem

kryje się w tym, że stracimy i tak ograniczoną możliwość racjonalnej oceny niebezpieczeństwa... To wszystko grozi wojną, a Rosja nie jest na nią gotowa – zakończył Lebedź i było po nim widać, że wie, co mówi. Jak przystało na szefa rosyjskiego wywiadu.

W wielkim gabinecie generała armii Aleksandra Lebedzia zaległa głucha cisza. Gdyby nie dźwiękoszczelne szkło w oknie, można byłoby usłyszeć odgłosy miasta. Michailowi wydawało się, jakby ostatnie słowa odbijały się od ścian i rykoszetem boleśnie go raziły. Patrzył na Lebedzia i Siemionowa jak na zupełnie mu nieznaną przezroczyste, szare kontury i myślał, że to jakiś absurdalny sen. Czuł w głowie ciężką próżnię i nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Wydawało mu się, że to trwa w nieskończoność. Gdy obudził go nienaturalnie spokojny głos Siemionowa, zdał sobie sprawę, że ta cisza trwała ledwie kilka sekund.

– Lee jeździ do Warszawy, profesor znika w Berlinie, do niczego się nie przyznaje i chce się poskarżyć, agent FSB widzi dokument poświęcony materiałowi wybuchowemu zwanemu pieśczołliwie „balonik” i trzeba się liczyć z groźbą wojny atomowej na Półwyspie Koreańskim... – Wania teatralnie zawiesił głos, a po chwili pierwszy raz się uśmiechnął. – Aż trudno uwierzyć, co? – dodał i wskazał palcem. – Teraz twoja kolej, podpułkowniku Popowski!

Wyglądało, jakby chciał go zaskoczyć. Michail jednak już od dawna czekał na tę prostą deklarację, chociaż wcześniej wyobrażał sobie, że Wania powie to inaczej. Ale ta wersja spodobała mu się bardziej. Także dlatego, że zabrzmiała równie sympatycznie jak bojowo.

Dobrze, że z Polską nie mamy takich problemów... no i leży daleko od Korei – pomyślał i zrobił poważną minę w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Jest wiele pytań – podjął Siemionow – wiele niewiadomych, poszlak, różnych domysłów, być może błędnych analiz i sporo naszego przewrażliwienia. Jest jednak jeden punkt tej sprawy, który decyduje o zasadności naszych podejrzeń i obaw...

– Nie męcz się, Wania! – przerwał mu Michail. – Trzeba

ustalić, czy profesor Igor Konstantinowicz spotkał się w Warszawie z generałem Lee. O to chodzi?

– Właśnie o to! – odparł Siemionow. – Ale sprawa tylko pozornie jest prosta i oczywista...

– Posłuchaj, Miszka! – odezwał się generał. – Zastanawialiśmy się długo i uznaliśmy, że zaczniemy od ciebie. – Wstał od stołu, przeszedł przez pokój, przysiadł na biurku i założył ręce na piersi. – Mamy przygotowane wersje zapasowe, które uruchomimy, jeżeli tobie nie uda się tego załatwić. Musimy się jednak spieszyć... To nie jest sprawa, która może sobie poczekać i dojrzeć, ale też wymaga spokoju i rozsądku...

– Jestem gotowy do wykonania zadania, towarzyszu generale! – zadeklarował Popowski tak szczerze, jak potrafił, i bez cienia ukrytej aluzji.

– Masz kontakt z Wolskim... Konradem Wolskim, prawda?

– Oczywiście. Tak jak meldowałem. Mamy kontakt telefoniczny, rodzaj naszej prywatnej gorącej linii... Lubię go i szanuję. Jestem pewien, że z jego strony wygląda to podobnie. Łączy nas coś w rodzaju szorstkiej, żołnierskiej przyjaźni. To bardzo pryncypialny i odważny oficer, ze słabostkami oczywiście, ale...

– Jak każdy – dodał Siemionow.

– Inteligentny i doświadczony... otwarty na logiczne argumenty... samodzielny...

– W porządku – przerwał mu generał. – Wygląda zatem, że to dobry pomysł.

Popowski spojrział na generała, potem na Siemionowa i znów na generała, który trwał wciąż w tej samej pozycji na brzegu biurka. Po chwili twarz Michaiła rozjaśnił szeroki uśmiech. Zaraz potem, jakby go naśladując, po raz drugi tego dnia uśmiechnął się Wania i na końcu, z nieco większą ostrożnością i dystansem, także generał, który delikatnie skinął przy tym głową.

– Bardzo dobry, towarzyszu generale! Doskonały! – niemal zameldował Michaił, ale zaraz dotarło do niego, że chwilowy entuzjazm przysłonił mu najważniejsze pytanie. – Mam się z nim spotkać oficjalnie? Czy tak? Przecież Agencja Wywiadu

i my mamy łączników w Warszawie i Moskwie... – Uśmiech na jego twarzy przygasł o połowę.

– Dobrze kombinujesz, Miszka...

– Nieoficjalnie?!

– Jesteś zaskoczony? – zapytał generał, chociaż twarz Popowskiego mówiła wszystko. – Posłuchaj – rzucił trochę mocniej i spojrzął na Siemionowa. – O ile wiemy, Półwysep Koreański to nie jest specjalność polskiego wywiadu. Mają inne zmartwienia, więc sprawa, z którą do niego pójdziesz, będzie dla interesów Polski niejako obojętna. Dlatego liczymy, że może się udać. Twoim zadaniem będzie poprosić Wolskiego, żeby ustalił, z kim spotykał się generał Lee Young-chul w hotelu Marriott w Warszawie...

– Oczywiście... ten Wolnowski... – przejął głos Iwan.

– Wolski... Konrad... major – poprawił go Michaił.

– Wolski... zada ci trzy pytania. Po pierwsze: o co chodzi? Powiesz mu prawdę... o pentaheksadrylihitynie próżniowo-kompensacyjnej i o profesorze. Musimy zagrać va banque. To jedyna szansa...

– Absolutnie! – zareagował natychmiast Michaił. – Jak będziemy kręcić, Wolski natychmiast się zorientuje. Jest na to zbyt przebiegły. Wtedy uzna, że jestem nieuczciwy, i na nic się nie zgodzi.

– Jeżeli Lee spotyka się z profesorem w Warszawie, to i tak ten Wolski prędzej czy później się zorientuje, o co nam chodzi, a jeżeli spotkań nie było, to prawdopodobnie nie ma sprawy. Po drugie, powiesz mu, że przychodzisz do niego poza kanałem oficjalnym między naszymi służbami, bo nie chcemy jeszcze, by dowiedzieli się o tym Amerykanie. Sprawa wymaga na razie rozpracowania i potwierdzenia, a my wolelibyśmy uniknąć przedwczesnych, ryzykownych decyzji, które mogłyby negatywnie wpłynąć na relacje rosyjsko-amerykańskie, czym nikt nie jest zainteresowany... szczególnie Polska. Powiesz też, że mamy podstawy przypuszczać, że Amerykanie mogą zareagować nerwowo, z głupoty sprowokować konflikt w Korei, i ucierpią na tym wszyscy...

– To prawda?

- Jest takie niebezpieczeństwo – odparł generał.
- Po trzecie wreszcie powiesz mu, że w ciągu trzech miesięcy o wynikach naszego rozpracowania oficjalnie poinformujemy Biały Dom, a wcześniej Agencję Wywiadu.
- Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie chcecie zaproponować tej sprawy szefowi Agencji Wywiadu?
 - Mamy podstawy uważać, że Polacy... że aktualny szef Agencji Wywiadu mimo wszystko informuje CIA. Bez względu na to, co nam obieca – wtrącił generał. – Nie sądzimy, by można było mu zaufać.
 - A jeżeli Konrad nie się zgodzi... to byłby przecież przejaw niesubordynacji... i od razu powie, że musi o wszystkim zameldować?
 - Jeżeli nie zrozumie naszych argumentów, to trudno... Powiesz, że to my ponosimy ryzyko, ale konsekwencje mogą osiągnąć wszystkich. Decyzja należy do niego. Liczymy tu na twój kunszt wywiadowczy i umiejętność przekonywania.
 - Z Wolskim tak łatwo nie pójdzie... chyba. – Popowski zamyślił się na chwilę. – Ale wszystko jest możliwe... to inteligentny oficer.
 - Zastanów się, czy nie wykorzystać sprawy „Baobaba” i nie powiedzieć mu prawdy, żeby był... no, bardziej życzliwy... żeby wydobyć z niego człowieka. Rozumiesz! Wiesz, o co chodzi. Zostawiam to tobie.
 - Pomyślę, ale to raczej się nie sprawdzi – odpowiedział Popowski.
- W głębi duszy jednak się ucieszył, bo w rzeczywistości generał dał mu wolną rękę. Być może będzie mógł spełnić marzenie i utrzymać Wolskiemu nosa. Powiedzieć mu prawdę o ministrze Rupercie. Wiedział jednak aż nadto dobrze, że będzie mógł to zrobić dopiero wtedy, gdy Konrad zgodzi się mu pomóc w sprawie generała Lee. Żaden nacisk nie wchodził tu w grę. A Konrad zgodzi się pomóc, jak będzie pewny, że tak właśnie należy postąpić.
- Kiedy mam dzwonić? – zapytał.
- Musimy jeszcze dzisiaj dopracować szczegóły twojej rozmowy. Mamy kilka dni – odparł Siemionow.

– Sąd odracza posiedzenie do dziesiątego czerwca – oświadczyła obojętnym tonem sędzia Maria Carlsson, złożyła akta, podniosła się i wyszła z sali, zostawiając dwadzieścia osób w pozycji stojącej. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, mecenas Leopold Blum zajrzał do swojego notatnika.

– Umówimy się na... może na środę? Co ty na to?

– W środę nie mogę – odparł natychmiast Claes. – Będę zajęty do końca tygodnia.

– Dobrze, w takim razie zadzwonię do ciebie w poniedziałek i umówimy się na pierwszy wolny termin.

Blum zamknął z głośnym klapnięciem notatnik i wrzucił go do starej, wytartej skórzanej teczki, która z pewnością pamiętała sprawę Wennerströma i śmiało mogłaby pomieścić jej akta. Teraz jednak teczka firmy Goldberg & Co. zawierała tylko potężny skoroszyt sprawy o podział spadku po Victorii i Albercie von Utrecht.

Pięciu innych adwokatów obecnych właśnie w sali sądu przy Scheelegatan w Sztokholmie powtórzyło po kolei ten sam gest, kłapiąc swoimi notatnikami dokładnie tak jak mecenas Blum i chowając je jak na komendę do teczek podobnych kolorów i fasonów. Duża, droga i stara teczka świadczyła jednoznacznie o pozycji kancelarii adwokackiej i kompetencjach prawnika zaprawionego w sądowych bojach. Nie było wątpliwości, że im starsza, droższa i obszerniejsza, tym więcej ważnych spraw musiała w sobie nosić. Z oczywistych zatem względów rodzina von Utrecht z łatwością złapała się na ten prosty chwyt marketingowy. Sąd oczywiście nie. Mecenas Blum, podobnie jak pozostali, miał jeszcze kilka innych teczek i zawsze potrafił znaleźć odpowiednią dla konkretnego klienta.

Ten chwyt nie podziałał jednak na Claesa von Utrecht, który jako jedyny w rodzinie nawet nie zauważył nobliwej teczki, bo był pierwszy raz w sądzie, a poza tym mieszkał w gotyckim mieszkaniu wypełnionym antykami.

Żył jednak w zupełnie innym świecie.

Claes von Utrecht należał do wybranej klasy jeźdźców

w Zatoce Psów Niewiernych i naprawdę nazywał się Gal. To było najważniejsze miejsce w jego życiu. Wirtualny świat przyszłości – świat wolnych i równych ludzi – był jego największym marzeniem, któremu całkowicie się poświęcił i w którym gotów był trwać niezależnie od wszystkiego.

Toczący się proces był dla niego smutną i uciążliwą koniecznością. Zmagał się z nią od roku z powodu całkowicie rozbieżnych żądań współspadkobierców jego zmarłych ponad rok temu rodziców, Alberta i Victorii.

Był najmłodszy z czworga rodzeństwa i od młodszej z sióstr, Margarety, dzieliła go różnica dwudziestu pięciu lat, a od brata Frederika – trzydziestu trzech lat i trzech miesięcy. Przyszedł na świat, gdy Victoria miała pięćdziesiąt dwa lata. W rodzinie af Gedde, z której pochodziła, było to niezwykle wydarzeniem, ale jeszcze bardziej niezwykły był przypadek Alberta von Utrecht, który miał wówczas sześćdziesiąt osiem lat. Obie rodziny zapewne jeszcze bardziej by się zdziwiły, gdyby się dowiedziały, że Victoria poczęła w swoich ostatnich dniach płodnych przed menopauzą.

Nieplanowane pojawienie się Claesa na świecie zostało przyjęte z pewnym zażenowaniem, konsternacją, o ile nie z widocznym niesmakiem. Szczególnie że Frederik miał już bliźniaki w wieku przedszkolnym, które nijak nie mogły zrozumieć, że właśnie urodził im się wujek.

Kłopotliwą sytuację dodatkowo pogłębiał fakt, że chrzciny późnego potomka Utrechtowie musieli po raz pierwszy zorganizować poza rodzinną kaplicą zamku Grönavatten w Smalandii, w którym teraz jakaś macedońska rodzina prowadziła z sukcesem zajazd.

Okolicznościowe przyjęcie odbyło się zatem w niedzielę wielkanocną 1980 roku w dziewiętnastowiecznej kamienicy przy ulicy Strandvägen 13 w sztokholmskiej dzielnicy Östermalm. Mały Claes Magnus cieszył się niespotykanym wręcz zainteresowaniem dwustu siedemdziesięciu dziewięciu zaproszonych gości. Każdy osobiście chciał sprawdzić, czy najmłodszy potomek dwóch rodów jest podobny do rodziców, tak jakby miał odziedziczyć po nich zmarszczki, spłowiałe oczy

i przerzedzone włosy. Po mniej lub bardziej dokładnych oględzinach chłopca każdy miał inne zdanie. Ostatecznie uroczystość utraciła podniosły nastrój, jaki powinien towarzyszyć pojawieniu się nowego członka chrześcijańskiej społeczności, i zamieniła się w *loppmarknad*. Nie pomogła tu obojętność, jaką okazywali chłopcu Victoria i Albert, zajęci załatwianiem mnóstwa spraw z licznymi członkami obu rodzin.

I dla nikogo z gości nie było to dziwne, bo od ponad stu lat trwała sądowo-słowna śmiertelna wojna między wytypowanymi członkami poszczególnych klanów, gałęzi i rodzin. Dlatego szczególnego znaczenia nabierały wszelkie zjazdy rodzinne, w których formalnie nie można było odmówić udziału, bo zabraniała tego szlachecka etykieta. W rzeczywistości w XXI wieku miała ona już wyłącznie merkantylne znaczenie i służyła do grabienia resztek dawnego rodzinnego imperium.

Karol von Utrecht przybył do Szwecji w 1633 roku, w samym środku wojny trzydziestoletniej, wraz ze zwłokami króla Gustawa Adolfa zwanego Lwem Północy. Pochodził ze zubożałej niemieckiej rodziny szlacheckiej, która gorąco powitała szwedzkiego króla, Mesjasza Północy, obrońcę jeszcze ciepłego protestantyzmu, i oddała w jego służbę wszystkich pięciu synów, już od kilku lat z dużym poświęceniem uczestniczących w walce o jedyną słuszną odmianę chrześcijaństwa i pomnożenie własnego majątku.

Do noszenia broni nie nadawał się jedynie najmłodszy z Utrechtów, Karol, którego za nieznane dotąd grzechy rodziców Bóg pokarał kurzą klatką piersiową, niskim wzrostem i krzywymi nogami. Nie pasował na niego żaden kirys i miał też poważne kłopoty z dosiadaniami konia, więc z zaangażowaniem pilnował taborów.

Czterech starszych braci Karola, rycerskich i groźnych, Pan Bóg obdarzył za to wyjątkowymi walorami fizycznymi, pozwalając im tym samym na sprawne pomnażanie majątku Utrechtów. Wkrótce okazało się, że ułomności Karola są dla nich prawdziwym dobrodziejstwem. Szybko opanował on umiejętność czytania i pisania, ale najlepiej szło mu liczenie.

Mógł się zatem zająć coraz bardziej się rozrastającym taborem braci.

W 1630 roku Utrechtcowie przyłączyli się do lądujących na Pomorzu wojsk szwedzkich i wkrótce objęli oficerskie komendy. Zgromadzony dotąd majątek pozwolił im na wystawienie sporych oddziałów piechoty i czterech szwadronów kawalerii, więc ich stan posiadania szybko się rozszerzał u boku kroczącego od sukcesu do sukcesu Gustawa Adolfa. Natomiast zdolności biznesowe Karola znalazły uznanie u samego hrabiego Axela Gustafssona Oxenstierny, co liczyło się wtedy nawet bardziej niż względy samego króla.

Wojna trzydziestoletnia trwała dłużej niż jedno pokolenie i tylko zaprawieni w starych dokumentach historycy potrafią w miarę dokładnie określić, kto, kiedy i w jakiej bitwie zwyciężył. Historia braci von Utrecht zaczęła się w 1620 roku i zakończyła przybyciem Karola do Sztokholmu w 1633. Im bardziej przeciągała się wojna, tym większy stawał się majątek braci, lecz prawdopodobieństwo ich przeżycia malało. Z biegiem czasu wojska szwedzkie miały coraz mniej szczęścia i w ciągu dwóch lat polegli czterej bracia von Utrecht. Ostatni padł pod Lützen razem z królem Gustawem II Adolfem.

Karol był już wówczas zamożnym kwatermistrzem armii szwedzkiej. Hrabia Oxenstierna, wyznaczony na regenta królestwa, zabrał go ze sobą do Sztokholmu, pewny jego lojalności i kompetencji. Potrzebował kogoś zaufanego i niezwiązanego z miejscowym środowiskiem. Karol, już wkrótce von Utrecht, z powodzeniem pomnażał teraz budżet królestwa i ucziwie, bez jakiejkolwiek zachłanności, swój własny. Lojalność i uczciwość opłaciły mu się podwójnie, bo Bóg dodatkowo obdarzył go mądrą i zdrową żoną, a wkrótce też liczным potomstwem, zupełnie do niego niepodobnym, ale jedynie fizycznie, jako że zdolności do robienia interesów następne pokolenia miały nie mniejsze niż protoplasta rodu.

Dopiero w 1818 roku, gdy tron szwedzki objęła francuska dynastia Bernadotte, uprzywilejowana pozycja rodu von Utrecht zaczęła podupadać. W ponad dwieście lat od przybycia Karola do Sztokholmu sownie obdarzona nadaniami przez

króla Oskara I rodzina von Utrecht na zawsze utraciła dostęp do państwowego skarbcza i zajęła się wyłącznie zarządzaniem swoim niemałym przecież majątkiem, rozłożonym od pół Skanii po tundrę Norrlandu.

Jednakże nie tylko decyzja króla Oskara spowodowała zmierzch Utrechtów, trwający nieprzerwanie przez następne półtora wieku. Musiało stać się coś jeszcze, ale dzisiaj nie sposób już ustalić co. W rodzinie zanikł gen przedsiębiorczości i opanował ją wirus próżności, bezproduktywności i arogancji. Wirus wyjątkowo zaraźliwy. Opanowywał skutecznie nawet te rodziny, które próbowały się z nimi wiązać. Utrechtowie, niezależnie od płci, z uporem bliskim obsesji wybierali zawody, które nie dość, że nie przynosiły żadnego dochodu, to jeszcze powodowały ogromne straty. Dlatego przez dziesięciolecia, krok po kroku, wyprzedawali majątek zgromadzony przez poprzednie pokolenia i wciąż im się wydawało, że skoro można to było robić przez sto pięćdziesiąt lat, to będzie można już zawsze.

Albert von Utrecht zmarł w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat, a w kilka miesięcy po nim, w wieku osiemdziesięciu dwóch, odeszła Victoria. Była to główna gałąź rodu i spadkobiercy się spodziewali, że trzystusiedemdziesięciometrowe mieszkanie na Östermalm, warte, lekko licząc, kilkanaście milionów koron, oraz jego wyposażenie wycenione na wiele więcej będą przedmiotem podziału i pozwolą wszystkim na pokrycie długów, a być może nawet na sfinansowanie nowych wydatków. Okazało się jednak, ku ogólnemu zaskoczeniu, że Albert i Victoria pozostawili długi przewyższające na oko wartość mieszkania z wyposażeniem.

Na wniosek wierzycieli sąd zabezpieczył majątek Utrechtów, pozwalając Claesowi mieszkać na Strandvägen do zakończenia sprawy.

Teraz wszyscy dziedziczący, każdy oddzielnie, walczyli w sądzie o odrzucenie spadku po Albercie i Victorii, wciąż przy tym żywiąc skrywaną głęboko nadzieję, że to jednak niemożliwe, by nic nie zostało z prawie czterystuletniej historii Utrechtów, i przeciągając proces w nieskończoność. Dokładnie

na to liczył syndyk, adwokat wierzycieli, który nosił komputer zamiast teczki i marzył o dobraniu się także do majątku spadkobierców.

Jednak dla Claesa ten proces miał zupełnie inne znaczenie. Przez ostatnie kilka lat rodzinne antyki były przykrywką dla zarządzanej przez niego fikcyjnej aukcji internetowej. Dom Aukcyjny Henry'ego Corteza wysmienicie legalizował pieniądze dostarczane przez Mirmilla na działalność plemienia. Syndyk nie miał najmniejszego pojęcia, że stare obrazy, meble i rzeźby zbierane przez rodzinę od setek lat były już wielokrotnie sprzedane do Rosji, USA, Niemiec, Argentyny i wielu innych krajów świata, choć w rzeczywistości nigdy nie opuściły domu w Sztokholmie. Teraz cały majątek na Strandvägen został zabezpieczony przez sąd, z wyjątkiem rzeczy, które Claes zdążył przenieść do domu znajomego. Były to cztery nieduże obrazy w stylu vanitas Adriaena van Utrechta z bocznej holenderskiej linii rodu. Miały dla Claesa znaczenie symboliczne i nigdy na szczęście nie zostały skatalogowane jako majątek Utrechtów.

Ludzkie czaszki, przypominające o marności człowieka żywota i nieuchronnej śmierci, zupełnie nie pasowały do dziedzicznego hedonizmu przedstawicieli rodu i ich nadpobudliwości seksualnej. Dlatego żaden z obrazów nigdy nie zawisł na ścianie. Stały zatem zapomniane w zakurzonej komórce bez okna. A mogły się doskonale prezentować w ciemnym gotyckim mieszkaniu na Strandvägen, pełnym tajemniczych zakamarków.

Claes odkrył nagie czaszki i martwe zwierzęta z zainteresowaniem bliskim podnieceniu, gdy miał osiem lat, i od tamtej pory studiował je nieustannie, znajdując w nich wciąż coś nowego i coraz bardziej emocjonującego. Z czasem nabrały dla niego osobistego znaczenia i choć nie wiedział jeszcze, co oznacza sztuka vanitas, to jednak w podświadomości odczytywał je tak, jak należy. Któregoś dnia, gdy miał dwanaście albo trzynaście lat, ze zdziwieniem się zorientował, że obrazy są osierocone i że nikt nie poświęca im uwagi, więc adoptował je jako swoje.

Nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, by je wycenić, a tym

bardziej sprzedać. Bał się jedynie, że jego rodzeństwo, wychowane na podobieństwo swoich rodziców, wszystko, co zostało, rozerwie na strzępy, nie bacząc na majestat śmierci.

Claesa Magnusa z rodzicami nie łączyło prawie nic, a jeszcze mniej z rodzeństwem. Był wciąż dziwnym przypadkiem, który nie powinien był się zdarzyć, a z którym trzeba jednak coś zrobić. Toteż Claes wychowywał się sam, ledwie zauważany przez coraz szybciej starzejących się rodziców i tolerowany przez rodzeństwo zajęte ciągłym przepychaniem się na okładkę „Hänt i Veckan”.

W 1982 roku Albert von Utrecht zakupił nieduże mieszkanie w kamienicy na obrzeżach centrum miejscowości Almuñécar na południowym wybrzeżu Hiszpanii, nieopodal Malagi.

Claes spędzał tam każde lato, najpierw z rodzicami, a potem sam lub z przyjaciółmi, i długo nie wiedział, jak piękne może być lato w Szwecji. We wczesnym dzieciństwie nawet nie miał szwedzkich przyjaciół. Szybko opanował hiszpański i wychowywał się z rówieśnikami z okolicznych domów. Gdy szedł do szkoły, mógł równie dobrze zaczynać naukę w Madrycie jak w Sztokholmie.

Zdarzyło się kiedyś, gdy miał czternaście lat, że zgubił klucz, a rodzice wyjechali do znajomych w Maladze i mieli wrócić dopiero za dwa dni. Stanął zatem wobec trudnej decyzji, co ze sobą zrobić.

Na parterze ich domu, w małej kawalerce, mieszkał Alejandro María Fernando. Był kimś w rodzaju dozorca lub portiera. Wyglądał jak stuletni starzec, choć w rzeczywistości miał dopiero siedemdziesiąt pięć lat. Na jego drzwiach widniał napis *Conserje*, ale Albert nie nazwał go nigdy inaczej niż *butler*, chociaż Alejandro wcale nie chodził w liberii, tylko w rozciągniętych brązowych spodniach z welwetu. Claes znał go tylko z widzenia. Kilka razy dziennie mijał jego otwarte drzwi i widział, jak starzec z uśmiechem podnosi głowę nad książki i niezdarnie go pozdrawia wykrzywioną gośćcem dłonią. Claes czuł do niego sympatię i odpowiadał mu w taki sam sposób. Dlatego nie rozumiał nieustannych komentarzy rodziców, którzy uważali go za dziwaka, lenia i nieudacznika,

co to nie potrafi wbić prosto gwoźdźcia, choć Albert von Utrecht młotek znał tylko z teorii. Mówił o nim tak, jakby celowo wybrał tego zbliżonego doń wiekiem starca, by choć trochę sobie powetować więdnący etos rodu von Utrecht. To wystarczyło Claesowi, żeby go polubić.

Dwa dni, które spędził w przypominającej antykwariat kawalerce Alejandra Marii Fernanda, odmieniły go na zawsze. Było to jedno z tych nielicznych zdarzeń w jego życiu, za które był wdzięczny swoim nieprzybranym rodzicom. I choć znajomość z Alejandrem przetrwała ledwie dwa lata, to jednak zapamiętał ją w najdrobniejszych szczegółach i nawet dzisiaj mógłby powtórzyć każde słowo, które wtedy padło.

A były to słowa proste, takie jak „wolność”, „równość”, „sprawiedliwość”. Potem przysły trudniejsze – „wojna”, „Franco”, „Stalin”, „Hitler”, „życie” i „śmierć”. I w końcu najtrudniejsze – „Hiszpania”, „Grenada”, „Lorca”, „Hemingway”, „Picasso”, „Orwell” i „kochać”. I choć rankiem pierwszego dnia były mu zupełnie obce, następnego późnym wieczorem rozumiał już, co oznaczają i jak blisko, nierozzerwalnie są ze sobą związane. Do tego stopnia, że wszystkie brzmią tak samo. Pod koniec drugiego dnia był już absolutnie pewny, że to są najważniejsze słowa, jakie dotąd usłyszał.

Ale najważniejszy w tej podróży do nowego świata był dla czternastoletniego Claesa Magnusa sam *conserje*, wspaniałe, idealne przeciwieństwo własnego ojca, Alberta von Utrecht, praprawnuka karłowatego kwatermistrza Karola, co służył wiernie Królestwu Szwecji w czasie wojny trzydziestoletniej.

Alejandro miał szesnaście lat, kiedy wstąpił do oddziałów republikańskich w Grenadzie. Lipiec 1936 roku był bardziej gorący niż zwykle. Wtedy właśnie na wieść o buncie generała Franco rząd republikański w Madrycie wydał robotnikom broń. Alejandro, jak większość jego przyjaciół z gimnazjum, nie miał wątpliwości, że po tę broń trzeba sięgnąć. To było oczywiste, choć nie należał do żadnej partii ani organizacji.

Jednak walka z nacjonalistami nabrała osobistego wymiaru dopiero po zamordowaniu Garcii Lorki i stała się formą zemsty

w obronie wolności i odmienności.

Niepostrzeżenie Andaluzja stanęła w ogniu okrucieństwa. Walka nie trwała długo, bo Grenadę szybko zajęli z zewnątrz i od wewnątrz frankiści. Rozpoczęło się polowanie na republikanów, represje, egzekucje. Ludzie znikali niezależnie od wieku i płci, choć niedaleka republika trzymała się wciąż mocno i Alejandro wraz z przyjaciółmi wypatrywali odsiecz, która nigdy nie nadeszła.

Następne czterdzieści lat spędził ukryty pod podłogą w swoim rodzinnym domu. Przez dwadzieścia pięć lat opiekowała się nim matka, przez dziesięć siostra, potem jej dzieci i wnuki. Wszyscy zawsze wiedzieli, że wujek mieszka pod podłogą, i było to równie oczywiste jak to, że nikt nie może o tym wiedzieć. W ostatnich latach wiedziała już o tym cała ulica, z wyjątkiem, jak mogłoby się wydawać, Guardiai Civil. Wyglądało to tak, jakby jego samouwięzienie było dla frankistowskiej władzy sprawiedliwe i wygodne.

Mimo próśb rodziny dziadek Alejandro zdecydował się pozostać pod podłogą aż do powrotu republiki i śmierci Franco. Przez czterdzieści lat przeczytał setki książek, więc nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że jest z nim coś nie w porządku. Przeciwnie, w ostatnich latach jego dziwna, pustelnicza walka z Franco, pełna poświęcenia, jakby złożył śluby czystości, zdobyła uznanie i szacunek okolicznych mieszkańców. Po wkroczeniu frankistów w 1936 roku została zamordowana większość jego przyjaciół i Alejandro uważał, że musi żyć, by dalej walczyć, a walczyć może tylko żywy. W końcu był ateistą.

W 1975 roku po trzech zawałach zmarł jego osobisty wróg, generalissimus Franco, i Alejandro miał nadzieję, że długo się nacierpiał. Młody król Juan Carlos szybko i sprawnie odbudował demokrację, ale to już nie było to.

Z domu wyszedł po raz pierwszy dziewiętnastego stycznia 1976 roku przy aplauzie zebranych na zewnątrz mieszkańców i wznosząc zaciśniętą pięść, trzykrotnie przemaszzerował wzdłuż całej stumetrowej ulicy. Przez pierwsze lata poszukiwał mogił przyjaciół. Znalazł dwa masowe groby, ale nie było wtedy badań DNA i nie udało się ustalić, kto w nich leży.

Zrobiono o nim kilka programów telewizyjnych, udzielił kilkunastu wywiadów i na koniec został *conserje* w domu dla bogatych Europejczyków, bo był najbardziej czytany.

Los Alejandra Marii Fernanda tak wstrząsnął Claesem, że ten przez kilka nocy nie mógł spać i poprzysiągł zemstę wszystkim jego wrogom. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego nie urodził się, jak on, w 1920 roku, by z bronią w rękę walczyć o wolność. Potem przeczytał mnóstwo książek o wojnie domowej w Hiszpanii i chociaż nie wszystko mu się u republikanów podobało, to jednak wolności po tej stronie było tyle, że bez trudu mógł tam znaleźć miejsce i broń dla siebie.

Z czasem przestał czytać na ten temat, sporo zapomniał, a nieraz też dowiedział się nie tego, czego oczekiwał. Ale pozostał wierny ideałom. Solidaryzował się całym sercem ze wszystkimi, którzy gdziekolwiek na świecie toczyli walkę o wolność.

Gdy Lady Gaga zaśpiewała piosenkę *Alejandro*, Claes uznał, że nie ma już odwrotu.

Nie opuścił w Europie prawie żadnego wiecu, demonstracji czy protestu, a już na pewno nie w Sztokholmie, i nigdy nie stał z rękami w kieszeniach. I choć zebrał sporą kolekcję blizn, ta forma walki dalece nie zaspokajała jego ambicji.

Męczyłby się jeszcze długo w swej bezsilności, gdyby pewnego dnia nie spotkał niewiele od siebie starszego Polaka, który wyjaśnił mu, że prawdziwa wolność jest w sieci, i przyjął go do Zatoki Psów Niewiernych. Nazywał się Mirmillo i – jak to Polak – o wolności wiedział wszystko. Uważał, że walka w sieci to suma wszystkich rewolucji i wojen o wolność, jakich doświadczył dotąd świat, i sprawił, że Claes von Utrecht stał się Galem – na zawsze, jak uważał.

Za kilka dni do Sztokholmu miał przylecieć Mirmillo, więc Gal chciał się przygotować do jego wizyty. Zresztą wszystkie dni do końca tygodnia miał dokładnie zaplanowane i nie miał czasu na rozmowę z mecenasem Blumem, który przynudzał nieustannie, by uzasadnić sens swojego istnienia.

We wtorek Gal wybierał się na spotkanie organizacyjne Komitetu Poparcia Mudzahedinów, na którym miał

przedstawić projekt nowej strony internetowej organizacji. Po południu zamierzał zrealizować zlecenie z firmy konsultingowej w Huddinge w sprawie przygotowania zabezpieczeń w sieci komputerowej. Zadatek wziął już dawno temu, więc musiał w końcu wykonać to zlecenie, bo urywały się telefony z ponagleniami i groźbami. Gal miał jednak ciągle coś ważniejszego do załatwienia.

Zobowiązał się, że w środę pomoże przygotować transparenty i plakaty wzywające do uwolnienia Aziza Hazimiego. Demonstracja miała się odbyć jak zwykle o siedemnastej na Sergels Torg.

Hazimi został aresztowany za próbę podłożenia ładunku wybuchowego pod pomnikiem Gustawa II Adolfa w Sztokholmie, co miało stanowić protest przeciw udziałowi Szwecji w wojnie afgańskiej. Gal uważał zawsze, że pomysł Hazimiego był strzałem w dziesiątkę, bo nie tylko dotyczył największego imperialisty spośród szwedzkich królów, ale też sam pomnik miał wprost idealną lokalizację, bo stał przed szwedzkim MSZ, Ministerstwem Obrony, Operą i Parlamentem, a naprzeciwko Pałacu Królewskiego.

Szansę na uwolnienie Aziza były jednak tym razem mniejsze niż poprzednio. Dwa lata wcześniej został on zatrzymany z bronią i pieniędzmi w Jemenie i oskarżony o przynależność do Al-Kaidy, ale zorganizowana akcja powstałego spontanicznie Komitetu Obrony Wolności, do którego przyłączyło się kilka znanych nazwisk i polityków opozycji, nie pozostawiła szwedzkiemu MSZ nawet chwili na wahanie i doprowadziła do szybkiego uwolnienia Hazimiego. W końcu jest on obywatelem Szwecji, chociaż nigdy nie płacił w tym kraju podatków.

Ponownie Aziz został aresztowany w Tunezji w towarzystwie poszukiwanego terrorysty. Tym razem nie poszło już tak łatwo i trzeba było się znacznie więcej napracować, by wrócił do Szwecji, chociaż tamtejsze i tutejsze władze groziły mu poważnymi konsekwencjami. Jego wspaniałe powitanie na lotnisku Arlanda transmitowały wszystkie szwedzkie stacje telewizyjne.

Wiec w sprawie uwolnienia Aziza był ważny dla Gala, ale najważniejszy był czwartkowy wiec poparcia dla Juliana Assange'a. Wszystkie ciemne siły kapitalizmu, wojny i niewolnictwa sprzysięgły się właśnie, by zniszczyć WikiLeaks, pierwszy prawdziwy taran wolności, i aresztować jego twórcę. To była dla Gala prawdziwie osobista sprawa, bo Juliana i Mirmilla uważał za swoich ideowych przewodników, chociaż każdego w inny sposób i w innym wymiarze.

Przywiązanie do ich obu było dla niego problemem, z którym nie mógł sobie poradzić.

Kiedyś zaproponował, by rozszerzyć klan jeźdźców w plemienu do sześciu i włączyć do niego Juliana. Albo nawet połączyć obie struktury. Mirmillo jednak zaprotestował gwałtownie, bo choć wyrażał się z najwyższym uznaniem o osiągnięciach Juliana i WikiLeaks w kruszeniu murów, to mimo wszystko uznał, że jego wstąpienie do plemienia byłoby dla nich śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Mówił, że WikiLeaks, jak przystało na wielkie medium, działa jawnie, ma swoją twarz i jedno kryterium – prawdy – i na tym polega jego siła. Plemię zaś jest jak jednostka bojowa, tajna, przeznaczona do zadań specjalnych, do działania za linią wroga. Jej zadaniem jest uderzać w najczulsze miejsca, ale cel ma ten sam. Inne jest jednak ryzyko, bo o ile WikiLeaks może się bronić zasadami wolności i prawa, to plemię jest spod prawa wyjęte.

Mirmillo zabronił mu zatem jakichkolwiek kontaktów z Julianem Assange'em i WikiLeaks i Gal mu to przysiągł. Ale tęsknota za wolnością totalną klóciła się z tym żądaniem i nie był w stanie dotrzymać przysięgi.

Ostatnio coraz częściej się zastanawiał, jak zareagowałyby Mirmillo, gdyby wiedział, że jest on zaangażowany w działalność Komitetu Obrony Wolności, Komitetu Poparcia Mudżahedinów i jeszcze kilku podobnych organizacji.

Dlatego na wszelki wypadek zawsze nosił czarną bluzę z kapturem, czarną bejsbolówkę i w chłodniejsze dni keffiję.

Dochodziła dziewiąta. Już dawno wstał ładny, słoneczny dzień i zapowiadało się, że będzie wyjątkowo ciepło. Miał to być najcieplejszy dzień tego roku i według późniejszych badań Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej okazał się najcieplejszym dniem od ponad stu lat.

Konrad złożył dach samochodu i wyjechał z garażu. Na głowie miał czarną bejsbolówkę ze srebrnym napisem *Saab*, która zawsze pełniła dyżur w samochodzie. Założył też czarne okulary słoneczne typu Ray Ban Clubmaster. Wszystko to razem dawało właściwy efekt i na całej trasie z Kabat do centrum mało było kierowców, którzy nie zwróciliby na niego uwagi. Konrad ze szczególną uwagą rejestrował zainteresowanie pań, ale panowie z lepszych marek też byli mile widziani.

W ostatnim czasie dokonał jednak odkrycia, że panie z pojazdów typu SUV gigant i półciężarówka, przynajmniej te, które mógł dostrzec za kierownicą, nigdy nie zwracały na niego uwagi. Właściwie na nic nie zwracały uwagi, wpatrzone zawsze przed siebie i zajęte z reguły rozmową przez telefon.

Konrad lubił sobie pofantazjować w drodze do pracy, zwłaszcza gdy był w dobrym nastroju. A w szczególnie dobrym nastroju był wtedy, gdy trwał sezon *cabrio*, czyli dokładnie dzisiaj.

Samochodów typu SUV i większych przybywało w Warszawie szczególnie szybko i Konrad uznał, że musi to być związane z problemami osobowościowymi Polaków nowej generacji. Takie pojazdy spisywały się doskonale w kulturze amerykańskiej, szwedzkiej czy rosyjskiej, ale ursynowskiej?! Nigdy nie poznał żadnej właścicielki takiego SUV-a, ale był przekonany, że muszą to być bardzo zajęte bizneswomen, które nawet nie mają czasu na seks i częściej korzystają z wibratorów. No i z pewnością muszą być przeciwniczkami parytetu.

Intrygowało go też, jak miłość do środowiska naturalnego koresponduje z kobiecym seksapilem. Może właśnie poszukiwanie odpowiedzi na to trudne pytanie sprawiało, że

jego uwagę podczas jazdy niebezpiecznie przyciągały dziewczyny na rowerach, mknące wzdłuż alei KEN. Od zawsze uważał, że kobieta najpiękniej wygląda na rowerze i w kabrioletcie.

Kiedy wszedł do biura, od razu poczuł, że w pomieszczeniach czuć spaloną gumą. Przez moment nie mógł zrozumieć, skąd ten zapach, i dopiero po chwili do niego dotarło, że ktoś musiał zaproszyć ogień albo zapaliła się instalacja elektryczna. Na samą myśl o pożarze przeszedł mu dreszcz po plecach. Już widział oczami wyobraźni, jak płoną akta z napisem „ściśle tajne”, gdy nagle zdał sobie sprawę, że zna ten zapach.

– To spalona guma z opon – usłyszał nagle głos Sary. – Zaciągnęło wczoraj przez wentylację do całego budynku. Na przyszły tydzień Solidarność planuje nowe demonstracje. Może gdzieś wyjedziemy?

– Przecież wybieramy się do Szwecji. Marcin załatwił już wszystko?

– Zaraz sprawdzę – odpowiedziała i ruszyła w kierunku drzwi. Gdy trzymała już rękę na klamce, dogoniło ją pytanie Konrada:

– Dlaczego nie masz samochodu?

– Bo nie potrzebuję – odparła, nawet się nie odwracając.

– A gdybyś chciała sobie kupić, to jaki?

Cofnęła dłoń i spojrzała na niego.

– A co?

– No... jaki? Mały, duży, srebrny, polo, mercedes, land-rover... albo jak nasz touareg? Jaki?

– Nie wiem, jakiś ładny. Zgrabny...

– Nie wiesz jaki?! Kobiety nigdy nie potrafią odpowiedzieć wprost! – rzucił Konrad i trochę się zawstydził.

– A mężczyźni są zadęci i myślą, że wszystko wiedzą. Miałeś w nocy jakieś koszmary czy co?! – odparła zdecydowanie. – Dla was samochód to...

– Nie gniewaj się... ja tylko tak...

Sara wyjątkowo nie znosiła seksizmu w pracy ani gdziekolwiek indziej. Trzeba było mieć sporo wyobraźni, by doszukać się erotycznego podtekstu w tym, co powiedział Konrad, ale ona знаła go na tyle dobrze, że potrafiła to wyczytać z jego oczu.

Właściwie to bardzo lubiła, gdy było czuć od niego feromony. Ale teraz, o dziewiątej rano, było stanowczo za wcześnie...

I nie w pracy – skarciła się w myślach bez przekonania.

– Naucz się, że kobieta postrzega otoczenie przez pryzmat swoich zmysłów, estetykę, otaczające ją piękno... wartości wyższe, zapachy. Czasami kobiety używają tych samych perfum, ale każda pachnie inaczej...

– Jasne! Ale w takim samym samochodzie wyglądają tak samo.

– Nic nie zrozumiałeś! Jak ty się dogadywałeś z Justyną? – Sara przybrała bardziej bojową postawę. – Normalnie kobieta powinna mieć na każdą okazję inny samochód. Pasujący do konkretnej kiecki czy garsonki... jak ważny dodatek, biżuteria, elegancka droga torebka... Bottega Veneta albo Miu Miu. – Wyraźnie zaczęła się rozkręcać. – Dla niektórych kobiet... – przerwała na moment – samochód jest jak pralka, lodówka czy kuchnia. Są różne babki... Oczywiście samochód powinien być też użyteczny, szybki, wygodny i takie tam...

– No... a bezpieczny to nie?

– Duży i bezpieczny to musi być mój mężczyzna – rzuciła odruchowo i aż zamarła, bo po raz pierwszy zadeklarowała kobiecą słabość, co było absolutnie sprzeczne z jej oficjalną linią.

Popatrzyła na Konrada, który zawsze wypełniał jej ideał mężczyzny, i poczuła gwałtownie narastające zawstydzenie. Nagle jej się zdało, że stoi przed nim naga i nieznanne jej dotąd przerażenie przemienia się w zdziwienie, potem ciepłe rozluźnienie, wyraźną przyjemność i coraz gwałtowniejsze podniecenie.

– No... ja to... już nic nie wiem... – rzuciła zupełnie zdezorientowana. – Mam dużo pracy! – Odwróciła się gwałtownie i niemal wybiegła z pokoju.

To miałem rację z tymi SUV-ami. Dobrze mi się wydawało – pomyślał z pełnym przekonaniem Konrad. Fajnie, że Sara lubi małe samochody.

Zamknął za nią drzwi i podszedł do telefonu, żeby się umówić na wizytę u dentysty.

Sara zatrzasnęła się w swoim pokoju i opadła na fotel. Obróciwszy się w stronę okna, próbowała opanować przyspieszony oddech i szalone bicie serca. Czuła silne wypieki na twarzy, drżenie rąk i robiło jej się słabo. Miała tylko dwie myśli pędzące z prędkością światła, które walczyły ze sobą bezładnie: żeby tylko nikt nie wszedł do pokoju, i... to było wspaniałe, cudowne, po raz pierwszy, w pracy, o dziewiątej rano. Boże! Niemożliwe!

Po chwili, gdy nieco się opanowała, postanowiła przemyśleć swój stosunek do Konrada. Nic się w końcu takiego nie zdarzyło – uznała – ale zastanowić się trzeba. Nagle się zorientowała, że w jednej ręce trzyma papierosa, a w drugiej rozgrzaną już zapalniczkę Zippo. Jednak nie zapaliła.

Wyjęła z szuflady lusterko i przejrzała się uważnie. Dotknęła ręką policzków.

Nigdy chyba nie miałam takich pięknych oczu – pomyślała. Mogłyby mi tak błyszczeć zawsze... no, przynajmniej częściej.

Twarz dziewczyny w lusterku uśmiechnęła się do niej miło.

Właśnie chowała je do szuflady kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Ewa z jakimś dokumentem w dłoni. Już miała go podać Sarze i coś powiedzieć, ale jakby nagle się zawahała. Spojrzała na nią przenikliwie, zmrużyła oczy i dziwnym tonem zapytała:

– Dobrze się czujesz, Saro?

– A co? Coś nie tak? Dlaczego...? – Sara była wyraźnie zakłopotana.

– Dziwnie wyglądasz...

– Dziwnie? Coś chyba złapałam dzisiaj, jak jechałam metrem... może... na pewno.

Brzmiało to tak niewiarygodnie, że Ewa ze zdumienia rozchyliła usta. Wręczyła Sarze dokument, odwróciła się i stojąc już w drzwiach, rzuciła:

– Depesza ze Sztokholmu. Właśnie przyszła.

Sara położyła kartkę na biurku i pomyślała, że doskonale wie, co na niej jest.

Ależ ta Ewka wścibska! – powiedziała do siebie w duchu.

Partnerzy nic nie ustalili. Była tego pewna. Rozpięta zszywacz

i przeczytała angielski tekst depezy.

Gustav Winklund nie figuruje w rejestrze obywateli Szwecji. Nie figuruje też osoba o przesłanym przez Was numerze personalnym. Po dokładnym sprawdzeniu informujemy, że w naszym rejestrze obywateli nie ma osób o nawet zbliżonych parametrach.

Numer telefonu komórkowego należy do systemu pre-paid firmy Telia i na terenie Szwecji nigdy nie prowadzono z niego rozmów. Zakupiony został w kiosku na lotnisku Arlanda w 2008 roku. Doładowywany był dwukrotnie, również na lotnisku, po czym go wyłączano i nie logowano w sieci.

Azjaci przedstawieni na przesłanych przez Was zdjęciach nie są znani naszej służbie.

Adres e-mailowy sprawdzamy.

Jeżeli uzyskamy nowe informacje, natychmiast Was poinformujemy.

Dziękujemy za współpracę i do zobaczenia w Sztokholmie.

L.L.

Tak jak się spodziewałam! Skąd ja to wiem? – pomyślała.

Wzięła depezę i poszła do Konrada. Pchnęła drzwi do jego pokoju na tyle gwałtownie, że nie zdążył zdjąć nóg z biurka i odłożyć telefonu. Poprawił się szybko, usiadł przepisowo, rzucając do słuchawki:

– Oddzwonię za chwilę.

– Masz tutaj pilną depezę ze Sztokholmu od tej swojej ulubienicy, Lindy Lund. – Głos Sary zabrzmiał dziwnie i Konrad wyczuł to natychmiast.

Przeczytał dokument i pokiwał znacząco głową.

– No to mamy problem. Wirtualny Gustav na lewych papierach. Sprawa wygląda poważnie...

– Mityczny Gustav! – wtrąciła ostro. – Co z tym teraz zrobisz, naczelniku Radku? No... co?

– Normalna sprawa, Saro – odparł Konrad. – Przecież to nie pierwszy przebieraniec.

– Wirtualny Gustav, Koreańczyk z Północy w Warszawie...

– O co ci chodzi?

– Sprawa „Ural”!

Konrad wstał. Wydawało mu się, że dzieje się z nią coś bardzo dziwnego.

– Dobrze się czujesz?

– Mówi, że złapała jakiegoś wirusa w metrze – odezwała się Ewa, wchodząc do pokoju i niosąc kawę z mlekiem w kubku CIA. – Ale kłamie! – dorzuciła.

– Ewuniu... może tak byś i dla mnie zrobiła kawę – wtrąciła natychmiast Sara, zdecydowana odwrócić uwagę od stanu swojego zdrowia, bo doskonale wiedziała, co jej dolega.

Gdy tylko za Ewą zamknęły się drzwi, usiadła na fotelu i zapaliła papierosa. Chwyciła go gestem Ricka Blaine’a, pociągnęła mocno i wypuściła powietrze z ledwo słyszalnym gwizdem, jakby zaraz miała powiedzieć: „Zagraj to jeszcze raz, Sam”. Konrad patrzył na nią z coraz bardziej mieszanymi uczuciami. Pomyślał, że Sara chce mu coś zademonstrować. Ten papierosowy gest pasowałby raczej do kobiety siedzącej za kierownicą SUV-a, o rudych włosach i w zielonym kapeluszu. Gorszej wizji Konrad nie mógł przywołać i już chciał jej powiedzieć, że powinna rzucić palenie, gdy ponownie weszła Ewa i postawiła przed nią kawę. Wtedy Sara przełożyła papierosa do drugiej ręki i chwyciła go jak Marlena, czyli tak, jak lubił. Opuścił brwi i uśmiechnął się. Wszystko było w porządku.

Jej oczy błyszczą jak u Ilsy Lund – pomyślał. – Dopiero teraz to do mnie dotarło.

– Rozmawiałem przed chwilą z Tadkiem z kontry. Nic nie więdą o nowych Koreańczykach w ambasadzie...

– Bo nie obstawiają ambasady! – odparła zdecydowanie i strzepnęła papierosa do popielniczki. – Założę się, że nie mają środków! Lepiej pogadać z policją, bo żółtki na pewno handlują, żeby utrzymać ambasadę i zarobić na jedzenie i fajki.

– Oni na pewno nie palą, bo wiedzą, że to niezdrowe i skraca życie. – Konrad chciał trochę dopiec Sarze, lecz ona tylko spojrzała na niego z politowaniem.

– Kogo znamy w policji? – zapytała.

– Bo ja wiem... – Konrad wziął swój notatnik z biurka i zaczął go przeglądać. – Nie jesteś chora? – rzucił, nie podnosząc głowy.

– Jestem zupełnie zdrowa, a Ewce coś się popier... – odparła wyjątkowo hardo. – Może mają z Lutkiem ciche dni?

– Niemożliwe. Lutek zawsze ma ciche dni.

– Daj mi spokój!

– Nic nie znalazłem, ale...

Nie zdążył dokończyć, gdy drzwi się uchyliły i Marcin wsunął przez nie głowę.

– System Face 69 wczoraj nie działał... no kurde, jak zwykle, szefie – zakomunikował. – To... ja jadę na Miłobędzką, bo może już go zrobili... Okay, szefie?

I nie czekając na reakcję Konrada, wycofał się równie cicho, jak się pojawił.

– Czy przypadkiem nie dzwoni twój iPhone? – niespodziewanie zapytała Sara i Konrad rzucił się do swojej marynarki, która wisiała na wieszaku przy drzwiach.

Zanim zdążył wydobyć telefon, melodia zamilkła.

– Trzy nieudane połączenia od nieznanego nume...

Nie zdążył dokończyć, bo iPhone znów zadzwonił.

– Tak? – odezwał się Konrad i po chwili już było wiadomo, z kim rozmawia, bo rzucił: – *Hi, George!* – A Sarze zakomunikował bezgłośnie: – Gordon!

Stał ze słuchawką przy uchu i z sekundy na sekundę jego twarz jakby przechodziła transformację. Sara patrzyła na niego z narastającym niepokojem, ale kiedy przygryzł dolną wargę, wiedziała, że wszystko jest w porządku.

Nie zdążył wyłączyć telefonu, kiedy zapytała:

– Gustav Winklund? Trafiłam?

– Nie, nie ma tak dobrze. Ale jesteś bardzo, bardzo blisko... Blondi!

Konrad niezwykle rzadko pozwalał sobie używać tego słowa, a ona jeszcze rzadziej je akceptowała. Przynajmniej oficjalnie, bo właściwie podobało jej się to określenie, którym nie obdarzał nigdy żadnej innej kobiety, i miała wrażenie,

a właściwie pewność, że jest zarezerwowane wyłącznie dla niej. Byli teraz sami, więc uśmiechnęła się i zapytała:

– No... i?

– Dzwonił sam kontroler George Gordon i oznajmił, że Bill Stenton jest od godziny w samolocie do Warszawy.

– W związku z naszą wczorajszą depeszą?

– Ich łącznik jest poza Warszawą, więc wysyłają Stentona, który nam wszystko wyjaśni. – Konrad z niedowierzaniem pokręcił głową. – Sam kontroler MI6 dzwoni na mój prywatny numer, żeby zakomunikować mi przyjazd Billa, jakby on sam nie mógł tego zrobić. Dziwne nieco...

– Mógł przecież zadzwonić na twój telefon służbowy – dorzuciła Sara. – Czujesz, o co chodzi?

– Czuję. Zaraz się pewnie zdziwimy. – Podniósł się i spojrzał na zegarek. – Ląduje za półtorej godziny. Po sprawie Rupertów Anglicy pewnie dalej nam nie ufają i myślą, że jesteśmy inwigilowani przez Rosjan, dlatego Gordon dzwonił na mój prywatny numer...

– Nie wierzę! – zdecydowanie wtrąciła Sara.

– To nie jest kwestia wiary, Saro. Tylko chłodnej kalkulacji i posiadanych informacji.

– A może zwyczajnie... nie miał pod ręką twojego numeru służbowego?

– Tak też mogło być – skwitował Konrad i dorzucił: – Za czterdzieści pięć minut jedziemy na Okęcie, a stamtąd na Miłobędzką do pokoju ciszy. Powiedz Ewie, żeby go zarezerwowała. Zbierz wszystkie materiały w sprawie „Ural”, żebyśmy na spotkaniu mieli je pod ręką.

Obszedł biurko, opadł na swój czarny fotel i podniósł słuchawkę telefonu.

Sara strzeliła dwa razy zapalniczką, podniosła się, postąpiła jeszcze chwilę, jakby o czymś zapomniała, i w końcu wyszła.

Samolot British Airways wylądował piętnaście minut przed czasem i gdy Sara weszła do hali przylotów, Bill właśnie wychodził z gazetą w ręce i torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Nie ciągnął za sobą żadnej walizki na kółkach i wyglądał, jakby wysiadł z metra, a nie przyleciał przed chwilą

z Londynu.

Dostrzegł ją pierwszy i nad głowami tłoczących się ludzi pomachał na powitanie gazetą. W pierwszej chwili Sara go nie poznała, bo na głowie miał kraciatą angielską z cieniutkiej wełny i grube rogowe okulary.

– No, nie poznałam cię, Bill! Co za odmiana! – zareagowała, gdy stanął już przed nią.

– *Hello, Sara.*

– Popsuł ci się wzrok, czy się kamuflujesz? – rzuciła z uśmiechem.

– Jakby żona zobaczyła, kto na mnie czeka na lotnisku w Warszawie, to mógłbym już nie wracać do Londynu...

– Czyli wzrok masz dobry!

– Tak! Ale to nie znaczy, że dopiero teraz widzę, jaka jesteś piękna. Tego nie możesz ukryć, to po prostu widać i bez okularów. – Wcale nie silił się na komplement. Mówił, co myśli, i łatwo było to dostrzec w jego oczach.

Sarze zrobiło się miło, ale Bill o urodzie fińskiego chłopca, jak mówił Konrad, nie miał u niej większych szans.

– Milusiński Bill, jak zawsze – zrewanżowała się za jego angielską galanterię i dorzuciła już bardziej służbowo: – Chodźmy stąd. Konrad czeka w samochodzie. Po torbie widzę, że zostajesz tylko do jutra.

– To się okaże. Narobiliście sporego zamieszania na Vauxhall Cross...

– Dało się wyczuć po telefonie Gordona. Co się stało? – zapytała, gdy dochodzili już do samochodu i Konrad wysiadł, żeby się przywitać.

– Nie pytaj – zaczął Bill, zanim Konrad zdążył się odezwać. – Usiądziemy i pogadamy. Mamy ciekawostkę wręcz bajkową, całkiem nieprawdopodobną. – Mówił jak szybkostrzelne działko. – Powiedziałbym nawet: szekspirowską... a może montypythonowską... sami ocenicie – zakończył, gdy już wszyscy siedzieli w samochodzie.

Konrad zatrzasnął drzwi.

– Po co ci te okulary? – zapytał. – Popsuł ci się wzrok czy się kamuflujesz?

Ku jego kompletnemu zaskoczeniu Sara i Bill wybuchnęły śmiechem.

Z lotniska na Miłobędzką jest na tyle blisko, że Bill zdążył opowiedzieć tylko drobną część swoich ostatnich przygód z nieustającym remontem osiemnastowiecznego domu, który kupił dwa lata temu gdzieś w Bromley za astronomiczną kwotę. Sara i Konrad dopytywali się z przejęciem o szczegóły, ale w rzeczywistości męczyła ich ta sama myśl: Z czym Bill przyjechał? Jego silne pobudzenie świadczyło, że trzyma w teczce bombę i wyraźnie przeciąga dyżurne tematy, by odpowiednio przygotować atmosferę. Oboje o tym wiedzieli, bo każde z nich znało i stosowało tę prostą, lecz skuteczną technikę. Umiejętność manipulacji to abc każdego inteligentnego oficera wywiadu.

– Pojedziemy potem do pierogarni? – zapytał Bill, rozkładając swoje dokumenty na stole.

– To zależy, czy na to zasłużysz – z mieszaniną ironii i podenerwowania rzuciła Sara. – Może być tak, że nic nie dostaniesz do jedzenia, ani nawet kawy... nic!

Nastrój Sary wyraźnie udzielił się Konradowi.

– Przez George'a jestem tak nabuzowany, że radzę ci się pospieszyć, Bill.

– Widzę, że nie mam wyboru, bo nie tylko dostanę od Radka w dziób, ale w dodatku pójdę głodny spać. W takim razie zaczynamy! Panie i panowie, jestem zdenerwowany jak zakonnica w oczekiwaniu na wynik testu ciążowego... – Mówiąc to, Bill wyjął z tekturowej teczki powiększone zdjęcia Winklunda i drugie, nieznanego mężczyzny z hotelu.

Były to kopie fotografii, które wysłał im Konrad.

– Ten tu... – Bill położył palec wskazujący na czole Winklunda – to nikt inny... tylko legenda IRA... Conor Gallagher... zwany też Connie Colt. We własnej osobie.

Konrad i Sara spojrzeli na siebie z wyrazem twarzy, jakiego nigdy jeszcze u siebie nie widzieli, aż Bill, zaskoczony, zamilkł na moment.

– Coś nie tak? – zapytał nieco zdezorientowany. – Nie? To dobrze. – Wrócił do przerwanej wątku. – Mieszka

w Dublinie. Honorowy przewodniczący Partii Postępowej... to tacy zamierchli komuniści... lat siedemdziesiąt, brak lewej stopy. – Bill mówił z pamięci, ale brzmiało to tak, jakby czytał notatki. – Żonaty od pięćdziesięciu lat z Kate Kennedy, ale nie z tych Kennedych. W Irlandii postać pomnikowa, historyczna. Już od dawna nie uczestniczy w walce. Nawet nie musieliśmy sprawdzać w archiwum, bo każdy starszy Anglik zna tę twarz. Kiedyś nieźle napsuł nam krwi i ma na sumieniu sporo naszych żołnierzy, ale nie jest już ścigany. – Przerwał i poczuł niepokój, bo zdziwienie na twarzach Sary i Konrada nie dość, że nie znikło, to jeszcze nabrało większego dramatyzmu. – No? Co jest? – zapytał i podniósł obie dłonie, jakby sprawdzał, czy pada deszcz. – Co jest grane?

– To wszystko? – odezwał się Konrad.

– Nie! To dopiero początek! O co chodzi? Konrad! – Bill był już wręcz przestraszony.

– Dawaj dalej! – wtrąciła Sara, pokiwała głową i dodała: – No... to mamy nieźle variétés! Najpierw ty dokończ swoje, a potem my damy niezły show... Miłobędzka nie jest gorsza niż ten wasz Vauxhall Cross.

Lekka ironia Sary była już ostatnim, trochę wymuszonym akordem luźnej atmosfery tego dnia. Wszyscy troje poczuli, że napięcie zaczyna gwałtownie rosnąć. Nikt jeszcze nie pokazał swoich kart, ale po identyfikacji Conniego Colta, osoby znanej w Irlandii i Zjednoczonym Królestwie, wydawało się, że teraz wszyscy mogą mieć pokera. W pracy każdego oficera wywiadu na świecie może się zdarzyć ten najwspanialszy moment, na który warto czasem czekać latami. Mieć pokera!

– Okay! Okay! – Bill Stenton przesunął bliżej środka stołu zdjęcie nieznanego mężczyzny z hotelu Marriott. – W takim razie Szekspir! Ojciec Hamleta... to jest duch. – Znów położył palec na czole mężczyzny ze zdjęcia. – A ten człowiek... nie istnieje!

– O czym ty mówisz? Albo ja mam coś ze słuchem, albo... – Konrad nie zdążył dokończyć, bo spojrzenie Billa było wystarczająco surowe, by zauważyć, że nie ma ochoty na żarty.

– To Jack O'Brien. Kiedyś przyjaciel i towarzysz Conniego

Colta z IRA.

– No i... – wtrąciła Sara.

– No i właśnie! – Bill uderzył lekko pięścią w stół. – Jack O’Brien od dwudziestu pięciu lat leży na cmentarzu w Londonderry! Zginął w potyczce z naszymi żołnierzami pod Cookstown.

– Skąd wiecie, że to on? Może jest tylko podobny do tamtego O’Briena? – zapytał Konrad niepewnie, bo wiedział, że MI6 rzadko się myli.

– Jack O’Brien pochodził z Londonderry i jego ciało zostało wydane rodzinie, po obdukcji oczywiście. Nic nie reklamowali... Twarz miał podobno trochę zmasakrowaną od pocisków, ale zgadzały się odciski palców i zęby. Tak brzmi raport koronera. Wtedy nie mieliśmy jeszcze banku DNA. – Bill przerwał na chwilę i zamyślił się. – Będziemy występować o ekshumację.

– To musi być pomyłka. – Sara nie dawała się przekonać. – Takie cuda nie zdarzają się w przyrodzie...

– *Fuck!* Sara! – ostro zareagował Bill. – Zrozum, nie mogę wszystkiego powiedzieć, bo sam nie wszystko wiem. Powiem ci tylko, że to jest Jack O’Brien. Na sto procent! Sto! Ani mniej, ani więcej!

– To znaczy? – zapytał Konrad tonem domagającym się bezzwłocznej odpowiedzi.

– Ktoś go rozpoznał. Ktoś, kto bardzo dobrze go znał... Nie pytaj, bo nie wiem, kto to był. To sprawa Security Service... Ale zrobili natychmiast pomiary twarzy i... pełne bingo! – Bill był wystarczająco przekonujący, by Sara pozbyła się resztek wątpliwości. – Choćbyśmy nie wiem jak nie chcieli w to uwierzyć, to jednak mamy do czynienia z Jackiem O’Brienem... I co on robił w Warszawie ze swoim mentorem Gallagherem?! Skąd macie te zdjęcia? Słucham! – Był ostry tylko z pozoru, czasami miał taki styl, ale tylko wtedy, gdy był czymś bardzo przejęty.

– Pokaż mu tamte zdjęcia – rzucił Konrad po polsku do Sary, po czym zwrócił się do Billa: – Connie Colt był przedwczoraj w Warszawie i zatrzymał się w hotelu Marriott, ale nie jako

Conor Gallagher, tylko Gustav Winklund, obywatel szwedzki.

Bill Stenton wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Podniósł się gwałtownie, patrząc z niedowierzaniem na Konrada.

– To nie koniec historii – ciągnął Konrad z dziwną przyjemnością w głosie. – To są ludzie, z którymi panowie Gallagher i O'Brien spotkali się w pokoju hotelowym na dwudziestym trzecim piętrze. Przyjrzyj się uważnie! – I rzucił na stół plik zdjęć.

Bill przesunął okulary na czoło i zaczął uważnie przeglądać fotografie. Zajęło mu to dobre półtorej minuty. Podeszedł do okna, by lepiej im się przyjrzeć w świetle dziennym. Sara i Konrad w milczeniu czekali na jego reakcję. Wyglądał jak ekspert Sotheby's badający autentyczność rysunku Leonarda da Vinci

– Chińscy? – odezwał się w końcu niepewnie.

– Gorzej... – odparła Sara.

– Północni Koreańczycy – wyjaśnił natychmiast Konrad.

– No to mamy problem. Poważny problem! – skomentował Bill, odłożył zdjęcia i ciężko opadł na fotel.

– Co robimy? – zapytała Sara.

– Muszę się natychmiast skontaktować z Londynem. – Bill był wyraźnie podenerwowany. – Mogę wam tylko powiedzieć, że już wcześniej mieliśmy informacje, że Connie Colt może być zaangażowany w jakieś kontakty z Koreańczykami... prawdopodobnie chodziło o dostawy broni dla IRA... ale to nie mój teren... Muszę natychmiast skontaktować się z Londynem – powtórzył.

Wyjął telefon komórkowy, podłączył baterię i zaczął czegoś w nim szukać.

– Dokąd dzwonisz? – zainteresowała się Sara.

– Do George'a Gordona, oczywiście! Trzeba natychmiast ściągnąć naszych ludzi z Wydziału Terroryzmu Irlandzkiego i z Security Service. Ja niewiele wiem na ten temat i nie chcę swoim paplaniem wprowadzać niepotrzebnego zamieszania. Wiem tylko, że kontakty działaczy IRA z Koreańczykami to była jakaś zamierzchna historia z pogranicza fantazy Martina – tłumaczył Bill, trzymając telefon w dłoni. – Connie Colt od

dawna nie uczestniczy w walce zbrojnej. To, co wyłapaliście w hotelu Marriott, może wywrócić nasze oceny sytuacji na rynku terroryzmu. Zmartwychwstanie O'Briena... *Fuck!* – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Czyżby IRA szykowała nam coś ekstra? To może być bardzo ważna sprawa! – dorzucił z przekonaniem i spojrzał na Konrada i Sarę.

– Jasne! – odparł Konrad. – Ściągaj ich. – I zwrócił się do Sary: – Złap Marcina! Trzeba przełożyć nasz wyjazd do Sztokholmu. Ja idę do szefa! Niech też się trochę pomartwi i ruszy swoją ministerialną głową.

Po kilku nieudanych próbach Bill dodzwonił się w końcu do Jamesa, sekretarza George'a Gordona, który poinformował go krótko, że kontroler jest bardzo zajęty i nie może w tej chwili rozmawiać. Zapytał wprawdzie, czy sprawa jest na tyle pilna, by wywoływać szefa z pokoju ciszy, jednak ton jego głosu nie pozostawiał złudzeń, że Bill dzwoni w najmniej odpowiednim momencie. Na Vauxhall Cross musiało się coś stać, coś absolutnie nadzwyczajnego, i Bill zrozumiał to natychmiast. Gordon rzadko odmawiał kontaktu z oficerami, a jeszcze rzadziej oddawał telefon aroganckiemu Jamesowi.

Bill poinformował go krótko, że zadzwoni później, i od razu się rozłączył.

Zanim Karol otworzył oczy i ściągnął koc z głowy, powiedział po arabsku szahadę:

– Świadczę, że nie ma Boga prócz Allaha, i świadczę, że Mahomet jest jego prorokiem.

Usiadł na brzegu łóżka. W samochodzie było ciemno, chociaż przez zasłonę z przodu przebijały się już słoneczne smugi. Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta, i aż się zdziwił, że spał tak długo.

Włączył swojego iPhone'a. Na niebieskiej ikonce z kopertą widniała czerwona kropka z numerem 01. Pociągnął z butelki łyk wody i sięgnął do torebki z pierniczkami.

Postanowił, że zanim otworzy maila od Retiariususa, pójdzie do toalety. Miał nieodparte wrażenie, że musi być gotowy i czysty, żeby go otworzyć, jakby miał odmówić salat. Przez moment pomyślał, że to nawet dobry moment, bo zbliża się południe. Coraz częściej obwinał się o nie dość wierne przestrzeganie zasad. Spontaniczne wyznanie wiary zaraz po przebudzeniu dobitnie świadczyło, że musi nad sobą więcej pracować, żeby osiągnąć, w imię Allaha, zamierzone cele.

Muszę w przyszłości solidniej się przykładać do szariatu – stwierdził w duchu ze szczerym przekonaniem, założył szelki z berettą, a potem marynarkę.

Ciężkie opancerzone drzwi volkswagena przez moment stawały opór i kiedy z chrzęstem puściły, Karola uderzyło świeże powietrze, ostre słońce i hałas z pobliskiej drogi. Na stacji benzynowej był już spory ruch. Obok stały zaparkowane samochody, utworzyła się też niewielka kolejka do dystrybutorów.

Wrócił z jogurtem owocowym. Usiadł wygodnie za kierownicą, odchylił oparcie i wyjął iPhone'a. Stuknął palcem w ikonkę z kopertą i na ekranie pojawił się obraz złożony z różnych liter, cyfr i znaków. Przeniósł tekst do aplikacji SafeTribe i nacisnął Enter.

Cześć Mirmillo, tu Gal. Retiarius nie miał czasu zająć

się twoją sprawą. Przeprasza. Uzgodniliśmy, że ja to załatwię. Przy okazji, przylatujesz, jak było ustalone? Jestem prawie gotowy...

Karol przerwał czytanie i uderzył pięścią w kierownicę. Zupełnie zapomniał, że ma przecież od dawna umówione spotkanie z Galem w Sztokholmie.

To poważny błąd! Jak to możliwe, żebym zapomniał?! – uderzył jeszcze dwa razy w kierownicę, tak by zabolalo. Zasłużył na to.

Nie mógł sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia. Ostatnie kilka dni w podróży pomieszało mu zupełnie kalendarz. Sprawdził kalendarz w iPhone: był wtorek. Odetchnął z ulgą, chociaż właściwie mógł z łatwością przesunąć spotkanie w Sztokholmie na każdy inny termin. Projekt, nad którym pracowali w Zatoce pod kierunkiem Gala, był ważny, ale mógł chwilę poczekać. Najważniejsza była teraz sprawa Abdula.

Pomyślał, że zanim zajmie się Abdulem, pojedzie kupić bilet na samolot do Sztokholmu. I wraz z tą myślą dotarło do niego, że w torbie, która leży z tyłu samochodu, jest książka z wierszami Hawiego, a w niej karteczka z adresem matki w Szwecji.

– „«Ja otrzymałem tylko rozkaz, abym czcił Pana tego miasta, które On uczynił świętym. Do Niego należy każda rzecz! I otrzymałem rozkaz, abym był wśród tych, którzy się poddali całkowicie, i abym recytował Koran». A ten, kto idzie drogą prostą, idzie drogą prostą tylko dla siebie; a temu, kto błądzi, powiedz: «Ja jestem tylko ostrzegającym!»” – wyrecytował po arabsku z pamięci fragment sury dwudziestej siódmej, An-Namal, i przez moment zastanowił się, dlaczego przyszły mu na myśl akurat te wersy.

Znów pomyślał, że przecież najwspanialszy człowiek na świecie, Piotr, jego ojciec, kochał Wandę... i Ahmed al-Husajn też ją kochał. Czy to możliwe, bym mógł jej tak nienawidzić?! – po raz pierwszy ta wątpliwość dotarła do niego z taką ostrością. Wrócił do wiadomości od Gala.

Jestem prawie gotowy i czekam na twoją decyzję.

Tahti – niemal nic o nim nie ma. Trochę to dziwne, bo piszesz, że ma austriackie obywatelstwo, ale pod takim nazwiskiem nikt w rejestrze nie figuruje. Nie ma ubezpieczenia i nie płaci podatków. Nie ma numerów IP także dla innych form pobytu w Austrii, jako bezpaństwowiec itp. Może ma papiery z innego kraju UE? Niemiec? To mieszkanie przy Albrechtskreithgasse 5a wynajmuje jednak legalnie, więc musi mieć jakieś papiery. To dwa pokoje na pierwszym piętrze. Dzielnica nieciekawa. Możliwe, że coś nakręcił, by je wynająć z firmy. Najciekawsze jednak jest to, że od trzech miesięcy ma kartę kredytową Visa w Raiffeisen Bank na pięćdziesiąt tysięcy euro, z limitem trzech tysięcy miesięcznie. Ciekawe! Chciałbym taką mieć! To nie jest normalne! W domu ma komputer i kartę obsługuje przez Internet. Tak też płaci. Ale nie ma żadnego zabezpieczenia i z łatwością wszedłem na jego konto. Ktoś z zagranicy sponsorował jego kredyty. Potrzebuję czasu, żeby ustalić kto. Zupełnie sobie nie radzi z Internetem i komputerem. Przegląda strony arabskie. Najczęściej IslamOnline. Nic specjalnego.

Jego telefon to pre-paid w bardzo dobrej sieci A1. Nie udało nam się jeszcze wejść do bazy danych operatora. To trochę potrwa. Według zwykłej triangulacji jego stałe miejsca to adres, który przesłałeś (tam telefon nocuje), i rejon Europaplatz, właściwie dworzec West – według Google to chyba jakiś kebab, ale jest tam więcej sklepików jeden przy drugim. Zajrzyj na 360. Jest tam codziennie od szesnastej do dwudziestej drugiej. Dobrze! Ma taką kasę, a tnie kebab!

Najsłabszy zasięg w Wiedniu ma sieć T-Mobile w rejonie dworca West, nawet sto pięćdziesiąt do dwustu metrów.

To wszystko na jego temat. Jeżeli wytrzymasz, to za dwa, trzy dni dostaniesz więcej...

– Nic więcej nie potrzebuję! – powiedział na głos. – To mi już

wystarczy! – westchnął głęboko i nabrał powietrza w płuca.

Sypiesz, Abdul! Zdradziłeś nas! Oszukałeś! Teraz czekasz, żeby wciągnąć mnie w zasadzkę. Tak? To absolutnie pewne!

...dostaniesz więcej.

Do naszego serwera podłączyłem kamery HD (!) z pobliskiego Westbahn Hotel, Pelzgasse 1. Widok na westybul i recepcję idealny. Cała Albrechtskreithgasse jest dość dobrze widoczna w systemie City Cam, też podłączonym teraz do naszego serwera. Masz jednak nie więcej niż 24 godziny, potem zmieniają kod dostępu i znów trzeba czasu, żeby wejść. A drugi raz to dwa razy większe ryzyko, jak wiesz. Koło jego domu nic jeszcze nie znalazłem, ale nad tym pracuję. Hasło do dziupli z kamerami: RaM12Xxx876.

Na koń! Powodzenia!

Gal

Miał już wszystko, czego potrzebował.

Najpierw wprowadził hasło do serwera i przejrzał kamery w hotelu. Widok był dobry, nie idealny, jak pisał Gal. Ważne było jednak, że żadna z kamer nie obejmowała zasięgiem drzwi wejściowych. Potem oglądał przez kilka minut zdjęcia z dworca West i był niemal pewien, że Abdul tam teraz pracuje. Wspominał kilkakrotnie, że jego współplemieniec... chyba Aziz... ma tam kebab. Ostatnio Tunezyjczyk pracował w jakiejś restauracji na Esterhazygasse.

Sięgnął pod pachę i dotknął beretty, jakby chciał się upewnić, że jest na swoim miejscu. Wiedział, że dojdzie do starcia i będzie musiał strzelać. Ostatni raz strzelał do człowieka cztery lata temu w Afganistanie, kiedy jego oddział natknął się w okolicy Pirzadeh na ukrytych w krzakach dwóch żołnierzy Deltę. Talibowie zdarli z nich wszystko, zostawiając nagie ciała, i Karolowi ledwo się udało nie dopuścić do ich zbezczeszczenia. Sam wziął tylko zegarek, który wciąż nosił na ręce jak talizman. Dotąd nie wymieniał baterii i wciąż mu się wydawało, że tli się w nim życie tamtego żołnierza.

Spojrzał teraz na seledynowy ekran. Dochodziła dwunasta.

– Bóg mi świadkiem, że nie doczekasz jutra, Abdul! – powiedział przez zaciśnięte zęby i poczuł, jak napływa mu krew do twarzy. – Ale najpierw sprawdzę, czy jesteś zdrajcą, a ty powiesz mi, jak na ciebie wpadli i dla kogo pracujesz! Wszystko mi opowiesz.

Włożył kluczyk do stacyjki. Silnik zaskoczył miarowo.

Puścił sprzęgło i wcisnął gaz, aż szarpnęło samochodem.

London–Dublin, 15 czerwca 1971

– Pospiesz się, skarbie. Mój pieseczek niegrzeczny. Taksówka już czeka. Spóźnisz się na samolot! – Mary wyraźnie podniosła głos, bo już trzeci raz próbowała zmusić męża, by w końcu zszedł na dół.

Tymczasem Peter Virag spokojnie sprawdzał swoje notatki. Doskonale wiedział, że nie tylko zdąży na samolot, ale też będzie jeszcze miał czas wypić drinka w barze na lotnisku Heathrow. Zresztą Mary od dawna cierpiała na obsesję punktualności, co przysparzało mu nieraz sporo niespodziewanych kłopotów.

Dokumenty schował do niedużej skrytki w blacie biurka. Był to schowek podręczny. Wszystkie pozostałe trzymał w ogniotrwałym sejfie ukrytym pod podłogą w garderobie na parterze.

– Skarbie! Co się z tobą dzieje?! Schodź już! Natychmiast! Słyszysz? – Głos Mary skrzeczał już nieprzyjemnie i Peter, jak zawsze w takim momencie, poczuł dreszcz, który mu przypominał, że przecież sam jej sobie nie wybrał na żonę.

Przesunął ręką po blacie mahoniowego biurka, gdzie było zamknięcie skrytki. Do drugiej ręki wziął kryształową szklaneczkę z końcówką whisky na dnie i spojrzał z miłością na swój mebel za dwa tysiące funtów.

Biurko wykonał osobiście sam Thomas Chippendale w 1756 roku, ebenista jedyny w swoim rodzaju, i nie dość, że obdarzył je szczerze, po mistrzowsku intarsją i markieterią, to jeszcze sam wykonał skrytkę, z której korzystał teraz Peter Virag, spełniony biznesmen w średnim wieku.

Duży łyk whisky bez lodu przeleciał mu przez gardło, drażniąc krtań uwrażliwioną od alkoholu i tytoniu, aż dało się odczuć przez chwilę bolesne pieczenie.

Peter z żalem pomyślał, że kiedyś pewnie będzie musiał zostawić to biurko, a także wszystkie inne antyki, które przez dziesięć lat z takim wysiłkiem gromadził w swoim domu

w Kingston, i przenieść się do jakiegoś ponurego mieszkania w Moskwie. Miasta, w którym już dawno nikt nie słyszał o zawodzie ebenisty.

Odstawił szklaneczkę na barek i zdecydowanym ruchem chwycił teczkę, bo było już słyhać, że Mary energicznie idzie po schodach.

Przed domem drzemała czarna taksówka FX4. Peter zatrzymał się przy drzwiach, trzymając w jednej ręce teczkę, a w drugiej modny jasny prochowiec. Mary poprawiła mu cienki krawat i spojrzała badawczo w oczy.

– Niczego nie zapomniałeś? – zapytała.

– Nie, niczego.

– Masz wszystko?

– Mam.

– Wszystko pamiętasz?

– Pamiętam.

– Nie pij na lotnisku!

– Nie będę.

– Skrytkę dobrze zamknąłeś?

– Dobrze.

Objęła go w pól i mocno przyciągnęła do siebie. Była mu równa wzrostem nawet bez domowych pantofli i stanowczo od niego silniejsza, nie tylko fizycznie.

– *Budź ostrożnyj, miłyj moj* – wyszeptala mu po rosyjsku do ucha, jak zawsze gdy wyjeżdżał na robotę.

– *Budu, budu, obieszczaju* – odparł tak miło, jak tylko potrafił, ale nie zabrzmiało to wiarygodnie.

Mary była jego żoną od jedenastu lat, to jest odkąd wyjechali ze Związku Radzieckiego do Australii w 1960 roku. Została przydzielona przez kierownictwo Zarządu „S” KGB i od razu mu się spodobała, bo wcale nie wyglądała na Rosjankę.

Naprawdę wygląda jak prawdziwa Angielka – myślał wówczas.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że on też wpadł jej w oko już na pierwszym spotkaniu. Na początku nie rozumiał swoich szefów, którzy zalecali mu dużo cierpliwości i zrozumienia dla Mary, a mówiąc to mrugali do niego porozumiewawczo i uśmiechali się dwuznacznie. Mary miała być tylko jego żoną

i dawać mu solidną legendę oraz zabezpieczać i prowadzić dom, w którym było sporo podejrzanych rzeczy.

Nie miała żadnych innych zadań wywiadowczych, bo w kierownictwie KGB panowało przekonanie, że kobiety nie nadają się do szpiegowskiego rzemiosła. Jednak z tych obowiązków, które nałożyła na nią Centrala, wywiązywała się nadzwyczaj skrupulatnie. Specjalizowała się w pilnowaniu punktualności Petera, chociaż nigdy dotąd się nie spóźnił, bo był już doświadczonym oficerem radzieckiego wywiadu nielegalnego.

Nie to jednak stanowiło dla Petera problem. Mary tak bardzo wczuła się w przydzieloną jej rolę i chciała tworzyć z nim prawdziwą parę, że życie Petera stało się wkrótce koszmarem. Dlatego każde wyjście z domu, nawet naznaczone niebezpieczeństwem, sprawiało mu przyjemność. Żadne kłamstewka i skoki w bok nie wchodziły w rachubę, bo Mary kontrolowała całą jego dokumentację. Nie spodziewał się tego w najśmielszych snach i szybko pożałował swojego zauroczenia.

Nie próbował nigdy prosić Moskwy o „uśmiercenie” Mary albo „wymianę na inny model”, bo zdawał sobie sprawę, że od początku było wiadomo, jaka jest. I oczywiście też było, że tak musi być.

Czasami, gdy siedział za swoim ulubionym biurkiem w stylu chippendale i udawał, że pracuje nad dokumentami, strzegąc ukrytej za książkami kryształowej szklaneczki, zastanawiał się, jak by tu wrócić do Moskwy, tak jak, nie przymierzając, jego poprzednik Konon Mołodyj albo jeszcze lepiej. Wtedy akt małżeństwa z Mary wyprodukowany przez kolegów z Wydziału II straciłby swoją moc.

Jednakże zastosowanie wariantu Mołodego martwiło go o tyle, że wiązało się z perspektywą kilkuletniej odsiadki w angielskim więzieniu, no i stratą kolekcji mebli, którą tak sobie upodobał. Wcale do niego nie docierało, że była socjalistyczną własnością Związku Radzieckiego.

Denerwowało go, że wciąż nie ma jeszcze własnej wielkiej sprawy. Wprawdzie udział w wyciągnięciu George’a Blake’a

z więzienia Wormwood Scrubs okrył go chwałą, ale na krótko. Jednocześnie coraz większa udręka, jaką musiał znosić w sypialni, była już ponad jego wytrzymałość.

– Dokąd? – zapytał kierowca i Peter zorientował się nagle, że jest już w taksówce.

– Heathrow! Ale gazem, bo się spóźnię! – podał komendę kierowcy, bo pomyślał, że może zdąży jeszcze wysączyć dwie, a może trzy kolejki whisky.

– Stoję od półgodziny – kwaśno i z lekka złośliwie odrzekł cockneyem barczysty taksówkarz o papierowych włosach. Na więcej nie mógł sobie pozwolić.

– Wie pan... – zreflektował się Peter – te kobiety! Ciągłe zostawiają coś na ostatnią chwilę. – Spojrzał na licencję numer 7-3 wystawioną na nazwisko Ollie. Zdjęcie było jednak małe i Peter pomyślał, że bardziej praktyczny byłby wizerunek tyłu głowy. Kto zapamięta twarz taksówkarza?!

– Wiem! Wiem! – odkrzyknął niemal radośnie Ollie. – Mam trzy córki. Dokąd pan leci? – zapytał i spojrzał w lusterko.

– Do Dublina – odparł zgodnie z prawdą Peter.

– W interesach?

– Coś w tym rodzaju...

– Irlandczyk?

– Nie...

– Trzeba z nimi zrobić porządek – oznajmił nieoczekiwanie kierowca, poruszył się w fotelu i spojrzał gniewnie w lusterko.

– Wie pan, z tymi ajdżi z IRA...

– Nie interesuję się polityką... pochodzę z Australii – szybko przerwał mu Peter i dla pewności przyjrzał się jego licencji na szybie. Przy okazji stwierdził, że taksówkarz nie wziął sobie do serca prośby o szybszą jazdę.

– Od razu wiedziałem. Dobrze znam wasz angielski, bo w Afryce służyłem przez jakiś czas u Australijczyków. Też nie interesowali się polityką... – I nagle znów się ożywił. – Słyszałem, że Australijczycy wycofali się właśnie z Wietnamu...

– Jak tam, przestawił się pan na nowe pensy? – Peter zmienił temat, żeby przypadkiem nie padło pytanie o coś, czego o Australii nie wie, a nowy dziesiętny podział funta musiał być

kwestią, która taksówkarzy żywo interesowała.

– Bez problemu. A pan?

– Ja też. – Wysunął popielniczkę, wyciągnął z papierośnicy złotego dunhilla, założył nogę na nogę i zapalił.

To były przedostatnie słowa, jakie Peter zamienił z taksówkarzem, który z niewiadomych przyczyn zamilkł i odezwał się dopiero przed lotniskiem.

– Należy się trzy dwadzieścia pięć.

Peter pomyślał, że Ollie mówi cockneyem z jakimś dziwnym, trudnym do określenia akcentem. Wysiadł, wręczył mu pieniądze, ale nie zdążył już powiedzieć „dziękuję”, bo czarne FX4 odjechało.

Dochodziła osiemnasta, co bezbłędnie oznajmiał zegar nad wejściem, obok którego podrygiwała w takt mridang i karatali grupa mężczyzn ubranych w szafranowe *dhoti kurta*, głośno intonujących *Maha Mantra*. Peter sprawdził też czas na swoim złotym atlanticu. Nigdy nie ufał innym zegarom, chociaż nie wiedział dlaczego. Piętnastego czerwca pogoda w Londynie była wyśmienita, czyste niebo, bezwietrznie, więc przy starcie nie spodziewał się turbulencji. Gorzej mogło być w Dublinie.

Tam zawsze cholernie wieje! Jak skurwysyn! – skonstatował, bo nie lubił latać, szczególnie do Irlandii, i skierował się prosto do najbliższego baru.

Usiadł na wysokim stołku tak, żeby widzieć przez okno płytę lotniska. Nie lubił latać, ale lubił patrzeć na samoloty. Zamówił podwójnego grantsa, bo taksówkarz wcale się nie wysilił i nie zaoszczędził zbyt wiele czasu, więc teraz on musiał nadrobić stratę.

Peter Virag nie lubił Irlandii, a jeszcze bardziej Irlandczyków. I nie było to spowodowane jakąś osobistą urazą czy też obiektywną oceną tego kraju. Jego niechęć wynikała z chłodnej kalkulacji, że – z jednym wyjątkiem – nie narodził się jeszcze taki Irlandczyk, który nadawałby się na agenta specjalnego KGB, nie mówiąc już o tym, że w samej Irlandii nie było nic ciekawego do szpiegowania. Dlatego rezydentura w ambasadzie ZSRR w Dublinie miała niewiele do roboty.

No bo jak można zrozumieć naród, który wydał takiego

pisarza jak Joyce? Przecież jego prawie nikt nie czyta! Albo tego... no... Becketta? – zastanawiał się już nie po raz pierwszy Peter, kręcąc kostkami lodu w szklaneczce. To ciekawe... każdy mówi, że przeczytał tego *Ulissesa*, ale jak zapytasz o szczegóły, zaraz dodaje, że to było dawno temu, jakby od razu chciał uniknąć trudnych i demaskujących pytań. Przecież nie ma obowiązku nauki *Ulissesa* na pamięć... takiej popapranej pedalskiej powieści! Nie to co nasz Tolstoj, taka *Wojna i pokój*... Każdy zna. Albo Szołochow, Dostojewski, Czechow... Mały naród, marne dzieła, duży naród, wielkie dzieła... No i pić też nie umieją, bo jak się nawalą, to zaraz chcą się bić i nie potrafią trzymać języka za zębami. Trzeźwy Irlandczyk to martwy Irlandczyk... czy coś takiego.

Przez te dziesięć lat, odkąd przyjechał do Anglii, świat zmienił się nie do poznania. Na początku lat sześćdziesiątych na Kremlu i w Jaseniewie wszyscy się zastanawiali, co się dzieje. Czy następuje jakaś prawdziwa rewolucja kulturalna i kruszą się fundamenty resztek brytyjskiego imperium, czy też to wszystko jest zwykłym happeningiem i wkrótce nastąpi powrót do starych zasad i norm.

Na razie Anglia zakwitła niebywałymi wprost kolorami dziwnych strojów, które Mary postrzegала jako symptom kompletnego wyuzdania, braku poczucia estetyki i zbliżającego się upadku kapitalizmu. Dziwiło to nieco Petera, bo sama lubiła ubierać się jak dziwka, chociaż tylko w sypialni.

Pojawienie się „czwórki z Liverpoolu” i to, co się potem stało, było w ocenie radzieckiego wywiadu dowodem na zbliżającą się śmierć systemu kapitalistycznego i wyższość socjalistycznej moralności. Okazało się, że Mary i towarzysz Chruszczow myśleli podobnie, więc ta koncepcja była bliska dogmatowi. Peter jednak był przekonany, że przemiany w świadomości młodego pokolenia na Zachodzie są nieodwracalne i wcale nie doprowadzą do upadku kapitalizmu, lecz wprost przeciwnie – wzmocnią go jak nic wcześniej.

Dwukrotnie nawet napisał analizę na ten temat, ale Mary ją zniszczyła, bo uważała, że naraża się na pośmiewisko i – co gorsza – nie rozumie, co to jest kultura socjalistyczna, a to już

mogło być niebezpieczne. Z tym musiał się zgodzić i zrezygnował z kolejnych analiz. Ale nowy biustonosz à la Brigitte Bardot Mary zaakceptowała bez zastrzeżeń, chociaż i tak był jej niepotrzebny.

Koniec ery „piątki z Cambridge” i późniejsze wydarzenia stały się dla Rosjan prawdziwym wyzwaniem. Nie mówiąc już o aresztowaniu Konona Mołodego alias Gordona Lonsdale’a i George’a Blake’a. Cały świat się dowiedział, że brytyjskie służby specjalne i MSZ były przykrywką dla radzieckiego wywiadu. Większego wstydu nie zaznał dotąd nikt.

W rzeczywistości po 1963 roku w Londynie zrobiło się trochę ciszej i nudniej. Kierownictwo wywiadu KGB dwoiło się i troiło, żeby odbudować swoje wpływy, ale szło to opornie. Peter i Mary Viragowie mieli być ważnym instrumentem naprawy sytuacji.

Przyszedł jednak czerwiec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku i Peter siedział na lotnisku Heathrow w drodze do Dublina na spotkanie z agentem o kryptonimie „York”, jedynym, jakiego miał w Irlandii.

Mimo poważnych strat KGB w Londynie trzeba było kontynuować rozpoczęte projekty. Liczyło się to, by w końcu do władzy doszła Partia Pracy, ale oczywiście pod kierownictwem Harolda Wilsona. Miało to szczególne znaczenie dla Kremla, bo Wilson nie był przecież Konradem Adenauerem.

Kiedy został w końcu szefem partii, wystarczyło porządniej dopieć konserwatystom, którzy przez niemal trzydzieści lat dzierżyli ster rządów w Zjednoczonym Królestwie i nieśli wysoko sztandar światowego antykomunizmu. Jak znalazł przydała się wtedy sprawa ministra obrony Johna Profumo, który miał wspólną kochankę, Christine Keeler, z komandorem Jewgienijem Iwanowem z rezydentury GRU w Londynie. Pierwotnie plany wobec ministra Profumo były oczywiście zupełnie inne.

Mimo że GRU to dla KGB służba konkurencyjna, obalenie konserwatywnego rządu i osadzenie Wilsona w White Hallu było warte współdziałania, gdyż mogło się wyjątkowo opłacić Związkowi Radzieckiemu. I tak się też stało. Harold Wilson

został premierem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku.

Peter i Mary podczas pobytu w Moskwie dostali nawet odznaczenia, które przypiął im sam przewodniczący KGB, generał Władimir Siemiczastny. Mary była w siódmym niebie, ale nie Peter, bo znów nie zdobył się na to, by poprosić szefa o jej wymianę. W tych okolicznościach zabrzmiałoby to wyjątkowo nieodpowiedzialnie.

Teraz, po czterech latach, trzeba było coś zrobić, bo Partia Pracy straciła władzę, Harold Wilson od roku nie był już premierem, a na Downing Street 10 znów mieszkali konserwatyści.

Peter Virag jechał więc do Dublina na spotkanie z agentem „Yorkiem”, bo kierownictwo wywiadu ZSRR uznało, że należy ruszyć Irlandczyków, by zaczęli intensywniej działać w Ulsterze na szkodę Anglików, czyli teraz konserwatystów premiera Edwarda Heatha.

Irlandczyków właściwie nie trzeba było do tego namawiać, bo od kilkuset lat robili to nieustannie. Całkowicie spontanicznie. Ale walcząc też, niestety, między sobą, i to z nie mniejszym zacięciem. W Jaseniewie wiedzieli o tym wszystkim bardzo dobrze, ale Peter utrzymywał, że „York” jest kimś wyjątkowym i ma solidne wsparcie IRA, więc może więcej niż inni. Był jedynym, któremu mogli zaufać. Nawet jeżeli skutek wydaje się niepewny, warto spróbować – uważała Moskwa.

„York” liczył się w oczach Viraga nie tylko dlatego, że był jedynym Irlandczykiem, który pracował dla KGB i tym samym potwierdzał regułę, że naród ten nie nadaje się na agentów, ale przede wszystkim dlatego, że biuro wywiadowcze IRA miało swoje wtyczki w MI5 oraz Scotland Yardzie. Peter jednak jeszcze nie informował o tym Centrali, bo uznał, że nie będzie uprzedzał faktów i zamelduje, jak uda mu się zdobyć coś konkretnego, bo w Jaseniewie wszyscy byli przekonani o małej przydatności Irlandczyków.

Na razie, jeśli nie liczyć pomocy udzielonej przy wydostaniu George’a Blake’a z więzienia, „York” rzeczywiście nie wyróżnił się niczym szczególnym. Peter jednak miał nadzieję, że teraz

sprawy się posuną, bo nie widział się ze swoim agentem od czterech miesięcy.

Na lotnisku zrobiło się gęsto od podróżnych. Peter jednak, zatopiony w myślach, nawet tego nie zauważył. Zastanawiał się, jak ma poprowadzić rozmowę z „Yorkiem”, by lepiej zmotywować go do roboty, i jak go przycisnąć, aby w końcu wyjawiał, jaką agencję IRA ma w MI5.

Wciąż siedział na stołku przy barze i bezwiednie ślizgał się wzrokiem między rozkładem lotów a dużym oknem, za którym przesuwwały się ogony samolotów.

Przez moment wydawało mu się, że spiker ogłosił coś przez głośniki w sprawie lotu do Dublina. Nie był jednak pewien, czy dobrze zrozumiał, i zaczął się nerwowo rozglądać. Kilkanaście sekund później powtórzono informację, że odlot jest opóźniony o dwadzieścia pięć minut. Peter natychmiast podniósł rękę i dał znak barmanowi, pokazując dwa palce. Po chwili na blacie pojawiła się nowa szklaneczka podwójnego grantsa z lodem.

Pachnący jeszcze nowością boeing 737 linii Aer Lingus był pełny. Peter podróżował nim już nie pierwszy raz i doceniał elegancję wnętrza i komfort lotu. Schował teczkę i płaszcz w luku bagażowym, po czym zajął miejsce przy oknie. Po chwili przypomniał sobie, że ma przecież w teczce dzisiejszego „Guardiana”, więc przeprosił sąsiada, który coś mruknął w odpowiedzi, i wstał, by wyjąć gazetę.

Śliczna stewardesa w zielonym kostiumie, sprawdzając pasy bezpieczeństwa u pasażerów, obdarzyła go delikatnym kobiecym uśmiechem. Żeby to Mary taki miała! Peter pomyślał nawet, że był to uśmiech wyłącznie dla niego, ale się mylił.

Samolot zaczął się toczyć po płycie lotniska. Peter, rozgrzany grantsem i boskim uśmiechem irlandzkiej stewardesy, wyjątkowo spokojnie obserwował przesuwający się za oknem widok.

Heathrow to chyba jedyny na świecie plac budowy z własnym lotniskiem – pomyślał, obserwując dźwigi. Tyle lat tu jestem, a ono wciąż jest rozbudowywane.

Otworzył gazetę na dziale kulturalnym i zaczął czytać recenzję książki pod tytułem *Listonosz* niejakiego Charlesa

Bukowskiego, gdyż to nazwisko zabrzmiało mu swojsko. Wprawdzie szybko się zorientował, że to Amerykanin i nie ma nic wspólnego z Rosją, zainteresował się jednak samą postacią pisarza, którego talent, jak twierdziła autorka artykułu, wypływał ponoć z patologicznego alkoholizmu.

My mamy wielu wybitnych pisarzy i co drugi był alkoholikiem, ale nikt z tego nie robi sprawy... normalka... no bo jak inaczej może się wypowiedzieć rosyjska dusza? A tutaj to zaraz problem! No, nie w Irlandii oczywiście! A może ten Bukowski to jednak Rosjanin... albo Polak. Ech... to i tak wszystko jedno... A może jest gejem...

To była przedostatnia myśl Petera, nim zasnął, bo ostatnią było marzenie o jeszcze jednej szklaneczce whisky z rąk ślicznej stewardesy Aer Lingus. Leciał w końcu klasą biznes.

Gdy się ocknął, znów zobaczył anielską twarz dziewczyny, która była tak blisko, że poczuł jej zapach i ciepły oddech na policzku. Zapinała mu właśnie pasy bezpieczeństwa i nagle ta sytuacja nabrała dla niego niezwyklej, intymnej mocy. Pomyślał, że chyba polubi latanie, przynajmniej tymi liniami.

Samolot mocno już zniżył lot i Peter zauważył jego cień na gładkiej turkusowej tafli morza. Po chwili przechylił się miękko na lewe skrzydło i wszedł nad ląd. Widać było mozaikę pól i poletek w różnych odcieniach zieleni, upstrzoną z rzadka niewielkimi kępami drzew i krzaków. Wkrótce samolot wyrównał lot i słychać było, jak wysuwa się podwozie. Maszyną zaczęły wstrząsać coraz silniejsze turbulencje. Peter czuł, że pocą mu się dłonie i z całej siły zapiera się nogami o podłogę. Gdy po kilku minutach koła dotknęły płyty lotniska, odniósł wrażenie, jakby latanie nie było dlań niczym szczególnym, i zaczął składać gazetę w kostkę.

Lotnisko w Collinstown było stare i znacznie mniejsze niż lotniska w większości zachodnich stolic, więc panował na nim większy tłok. Dublin stał się ostatnio wygodnym portem tranzytowym w lotach do USA i Kanady.

Za każdym razem, gdy Peter tu przylatywał i patrzył z oddali na jasny budynek terminalu, wydawało mu się, jakby widział mostek kapitański jakiegoś monstrualnego transatlantyku,

który zatonął w ziemi. Lubił ten widok, taki nierealny, trochę baśniowy, dziwnie irlandzki.

Pokój miał zarezerwowany w hotelu Shelbourne, najelegantszym w mieście, więc nazwa ta zrobiła należyte wrażenie na mrukliwym starszym taksówkarzu, który mimo letniej pogody nie zdjął ani na chwilę miękkiej tweedowej irlandzkiej czapki z daszkiem. Przejazd z lotniska zajął nieco ponad trzydzieści minut, a Peter uregulował rachunek angielskimi funtami.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Zaczęło się ściemniać. Stał przed hotelem na St. Stephen's Green, rozejrzał się i po chwili przeszedł kilkanaście metrów w lewo. Doszedł do Kildare Street i znów się zatrzymał. Wzdłuż ulicy stały zaparkowane samochody. Po drugiej stronie zielona ściana parkowych drzew zamykała perspektywę. W zasięgu wzroku zauważył kilku przechodniów, dwa samochody osobowe i piętrowy autobus. Pokręcił zde gustowany głową i pomyślał, że o tej porze w Dublinie, który dla niego nie był żadnym miastem, tylko zaniedbaną i smętną dziurą, można umrzeć z nudów. Postanowił więc spędzić jeszcze godzinę w hotelowym barze.

Nagle zdało mu się, że otacza go zewsząd przeraźliwa pustka i cisza, ale to nie miało nic wspólnego ze strachem czy poczuciem zagrożenia, które z różnym natężeniem stale mu towarzyszyło. To było wrażenie osamotnienia, jakiego nigdy dotąd nie doznał.

Chyba zadzwonię do Mary – przeleciało mu przez myśl, ale zaraz wycofał się z tego pomysłu, bo uznał, że jest chyba zbyt spięty, by z nią rozmawiać. Szklaneczka irlandzkiej whisky będzie lepszym rozwiązaniem.

Omiótł wzrokiem fronton pięciopiętrowego hotelu w wyjątkowo pięknym georgiańskim stylu i ruszył w kierunku wejścia.

Spał już w tym hotelu poprzednio. Georgiańska architektura, której w Londynie był przesyt, nie robiła na nim wrażenia, ale cztery brązowe posągi przed hotelem – już tak. Były to dwie naturalnej wielkości nubijskie księżniczki i dwie niewolnice niosące nad głową lampiony w kształcie dzbanów z mlecznego

szkła. Kiedy zobaczył te postaci po raz pierwszy, miał wrażenie, że jest w nich dokładnie to, czego brakowało Mary. Coś głęboko zmysłowego, podniecającego. W ruchach, kształtach i pełnej pokory postawie. Postanowił wtedy, że zawsze będzie się zatrzymywać w tym hotelu.

Pod portykiem kolumnowym z wykutą nazwą stał portier w sztuczkowych spodniach i szarym surducie z wyłogami. Na widok wchodzącego gościa uchylił z wyćwiczoną gracją i służbowym uśmiechem siwego cylindra, odsłaniając rzadkie, długie i tłuste włosy.

Pokój wypełniało słońce. Była już ósma rano. Peter wyłączył swój budzik turystyczny, wstał i od razu poczłapał do toalety. Poranne opróżnienie pęcherza zajmowało mu w ostatnich miesiącach coraz więcej czasu, więc stał prawie dwie minuty nad sedesem, chwiejąc się nieregularnie w przód i w tył, rzadziej na boki, i puszczając gazy.

– Muszę w końcu iść do urologa... jak tylko wrócę – powiedział do siebie jak zwykle rano. Jednak samo wyobrażenie badania, przeprowadzanego grubym palcem jakiegoś doktora z potężną nadwagą, wstrząsało nim do głębi, dlatego w ciągu dnia starał się nie myśleć o tej przypadłości i zostawiał sprawę do następnego ranka.

Podszedł do łazienkowego lustra. Obejrzał dokładnie swoją zaczerwioną i napuchniętą twarz. Nacisnął palcem policzek i uznał, że nie jest nabrzmiały bardziej niż zwykle. Przypatrzył się uważniej swoim oczom i stwierdził, że są mocno przekrwione, ale głowa, o dziwo, była w najlepszym porządku.

Za godzinę wszystko wróci do normy. Będę wyglądał jak należy – pomyślał z pełnym przekonaniem i puścił wodę do wanny.

W ciągu czterdziestu pięciu minut Peter Virag rzeczywiście przeszedł cudowną odmianę. Stał teraz w swoim pokoju hotelowym, z papierosem w dłoni, i przeglądał się w ogromnym lustrze ze złotą barokową ramą.

Spodnie w prasownicy odzyskały kant, buty za sprawą ściereczki – czarny połysk, a wykrochmalona koszula bez krawata idealnie trzymała sztywność. Wyglądał świeżo, jak przystało na przystojnego dżentelmena z Kingston. Uśmiechnął

się do siebie i zaczesał do tyłu włosy.

Jeszcze raz sprawdził, czy sejf jest zamknięty, i zszedł na pierwsze piętro do Heritage Lounge.

Od razu poczuł ten zapach.

To nie był jakiś zwykły zapach, lecz jedyny w swoim rodzaju, najpiękniejszy, podniecający, prawie bolesny, który przeszywa człowieka na wskroś i przywodzi mu na myśl coś miłego, niezapomnianego.

Peter wyłuskał go bezbłędnie spośród tysiąca innych krążących po sali i walczących o dominację. Z łatwością potrafił odróżnić go od zapachu gorzkich jajek, suchego bekonu, fasoli w pomidorach czy nawet świeżej kawy.

Instynktownie skierował się do bufetu, skąd ten zapach dochodził i gdzie w stalowym podgrzewaczu dojrzał brunatnoszarą nieregularną masę. Pochylił się nad nią, zamknął oczy i mocno zaciągnął się jej wonią. Po kilku sekundach uznał z zadowoleniem, że zapowiada to, o czym pomyślał, więc wziął duży talerz i nałożył sobie ogromną porcję, czym wzbudził nieukrywane zainteresowanie stojącej obok starszej amerykańskiej pary, która też miała na talerzach spore porcje, ale czegoś innego.

– To... to moje ulubione danie – rzucił nieco zawstydzony i oddalił się szybko.

Zajął miejsce tyłem do sali przy stoliku z widokiem na St. Stephen's Green. Postawił przed sobą talerz i położył na kolanach białą serwetkę. Odczekał parę minut, nim nabrał na widelec niewielką porcję i uniósł dostojnie do ust. Wymieszał ją powoli i dokładnie językiem, pomagając sobie policzkami i pozwalając każdemu kubkowi smakowemu na niezależny, obiektywny osąd.

Wystarczyło kilka sekund i Peter Virag mógł z głębokim przejęciem skonstatować, że duszona wątróbka drobiowa po francusku, z jabłkami, gruszką prowansalską, imbirem, odrobiną calvadosu i mielonym kminkiem, jest nadzwyczaj wyborna, choć nawet to określenie wydawało się mało precyzyjne. Była miękka, delikatna, lekko słodka z wyraźnym imbirowym akcentem i trochę rozgotowana, czyli dokładnie

taka, jaką najbardziej lubił.

Odwrócony od wścibskich spojrzeń hotelowych gości, z wolna, nie spiesząc się, na pozór obojętnie, rozpoczął za pomocą widelca podróż w najpiękniejsze zakątki świata. Na początek delektował się bujną zielenią parku widoczną po drugiej stronie ulicy, by po chwili wzbogacić to odczucie marzeniem o pomarańczowych gajach i polach pełnych dojrzałych melonów.

Nawet przez moment nie pomyślał, że nigdy dotąd, w żadnym hotelu na świecie, nie jadł wątróbki na śniadanie. Ale Dublin miał się okazać dla niego wyjątkowy nie tylko pod tym względem...

Gdy Peter Virag wrócił do swojego pokoju numer 306, było tam już posprzątane. Sprawdził sejf. Zdjął buty i położył się na łóżku. Spojrzał na złoty zegarek marki Atlantic. Była dziewięta czterdzieści trzy. Za kwadrans dziesiąta miał zadzwonić do Mary i potwierdzić tym samym, że wszystko jest w porządku.

Odczekał chwilę i podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, Mary – odezwał się, gdy usłyszał jej głos.

– Dzień dobry, kotku! Jesteś już po śniadanku, pysiu? – Od razu rozpoznał, że Mary leży jeszcze w łóżku.

– Tak. Zjadłem wątróbkę...

– Wspaniale! Musisz być szczęśliwy, kotku.

– Owszem. Leżysz jeszcze?

– Tak, kotku. Piję kawę i rozwiązuję krzyżówkę, żeby się uspokoić.

– Czy coś się stało, Mary?

– Tak... hm... miałam niezwykły sen, erotyczny... taki realistyczny i taki mocny... powiedziałabym nawet, że wspaniały...

– Tak? – przerwał jej Peter.

– Tak... ale to nie byłeś ty, kotku. Niestety!

Zabrzmiało to dziwnie i dwuznacznie. Mary przez chwilę wyraźnie czekała na jego reakcję.

– Trudno – odparł i nawet nie próbował zapytać, kto to był, bo doskonale wiedział, co chciała mu zakomunikować, i musiał uciąć ten wątek. – Zaraz wychodzę do miasta. Spotkanie mam

zgodnie z planem o trzynastej – powiedział, żeby zmylić ewentualną obserwację i podsłuch, bo z „Yorkiem” umówiony był na piętnastą.

– Poczekaj, kotku! – Mary ożywiła się na moment. – Co to jest... wędrówka duszy? Mam takie hasło w krzyżówce...

– Awatar?

– Nie.

– Na ile liter?

– Na... raz, dwa... trzy... na dwanaście.

– Reinkarnacja?

– Pasuje! Jaki ty jesteś mądry! Musisz mi powiedzieć, co to takiego... jak wrócisz, oczywiście. A może mi pokażesz? Pa, kotku. Powodzenia!

– Pa! – Peter odłożył słuchawkę i od razu zrobiło mu się lepiej. Ale co miałbym jej pokazać? – dotarło do niego po chwili. Reinkarnację?

Punktualnie o dziesiątej Peter Virag z przerzuconym przez ramię prochowcem stanął na chodniku przed hotelem Shelbourne. Odetchnął głęboko świeżym irlandzkim powietrzem i rozejrzał się wokół. Wyglądał, jakby chciał wszystkim oznajmić: „Panowie i panie! Przyjechałem! Oto jestem! Zaczynamy? *S'il vous plaît!*”.

Założył ciemne okulary z wbudowanym w oprawkę maleńkim, niewidocznym lusterkiem i uniósł palec wskazujący. Niemal w tym samym momencie podjechał do krawężnika czarny vauxhall velox LIP z 1951 roku. Peter wsiadł do taksówki, rzucił krótko: „Custom House”, po czym z całej siły zatrzaskał drzwi, uznawszy, że to wrak i że mogą się nie zamknąć.

– Proszę delikatniej – odezwał się szorstko kierowca, spoglądając z gniewem w lusterko, i pomyślał, że szkoda nawet włączać licznik na tak krótką trasę. Od razu wyczuł Anglika.

Po niecałych dwustu metrach samochód skręcił w prawo w jednokierunkową Dawson Street. Minał po prawej Mansion House i po chwili neogotycki kościół Świętej Anny. Ruch był niewielki, więc dojazd do Nassau Street zajął mu niecałe półtorej minuty. Taksówka skręciła w lewo i wzdłuż ogrodzenia Trinity College dojechała do wąskiej St. Andrew Street, potem

lekko w prawo w Suffolk Street i po kilkunastu metrach dotarła do szerokiej i z rzadka zadrzewionej College Green. Po lewej szybko przesunął się monumentalny fronton Banku Irlandii, a po prawej równie imponujące jak na Dublin wejście do Trinity College, do którego zmierzały grupki turystów. Szeroką Westmoreland Street, pełną małych sklepów i typowych dublińskich cztero- i pięciopiętrowych budynków, dotarli do mostu O'Connella i przejechali na drugą stronę rzeki Liffey.

Jazda przez most i skrzyżowanie zajęła trochę czasu, ale Peter wcale się nie spieszył. Nawet nie próbował się zastanawiać, czy kierowca jedzie najkrótszą trasą, czy też próbuje go naciągnąć. Nie zauważył też, że nie włączył taksometru. To wszystko nie miało żadnego znaczenia. Ważne było jedynie, czy on sam jest czysty, czy nie posuwa się za nim obserwacja. Był absolutnie czysty, jak zawsze zresztą. Ciemne okulary z lusterkiem, które pozwalało mu obserwować, co się dzieje za plecami, sprawdzały się wyśmienicie. W słoneczne dni, oczywiście.

Od Custom House dzieliło go nieco ponad czterysta metrów i przejazd nadbrzeżną Eden Quay zajął ledwie minutę. Taksówka przejechała pod wiaduktem kolejki DART i zatrzymała się na poboczu. Peter bez słowa zapłacił żadaną sumę, nawet nie zapamiętał jaką, i szybko wysiadł. Z tyłu, w zasięgu wzroku, nie przystanął za nim żaden samochód.

Złoty atlantic wskazywał dziesiątą siedem.

Teraz Peter musiał zrobić pieszą trasę sprawdzeniową, by nabrać całkowitej pewności, że może bezpiecznie działać. Na liście spraw, które miał załatwić tego dnia w Dublinie, były trzy punkty: poczta, cmentarz i „York”.

Zawrócił na drugą stronę Liffey mostem Seana O'Caseya i na moment zatrzymał się na nadbrzeżnej City Quay. Rozejrzał się, dyskretnie udając, że zastanawia się nad właściwym wyborem drogi. Wyjął papierosnicę, z namaszczeniem wyciągnął papierosa i zapalił. Wokół nie działo się nic, co mogłoby wzbudzać jego podejrzenia. Kilkadziesiąt metrów od niego stała grupka ludzi z książkami w rękach, otaczająca mężczyznę, który wyglądał na przewodnika.

Ruszył zdecydowanie w lewo, wzdłuż rzeki. Miał do przejścia

ponad pięćset metrów prostą drogą obok nielicznych domów, opuszczonych składów, warsztatów i nieczynnej tłoczni oleju. Po drugiej stronie rzeki widoczne były martwe już doki. To był odcinek słabo nadający się na spacer, który nawet piękna słoneczna pogoda z trudem mogłaby usprawiedliwić, za to idealny na trasę sprawdzeniową. Peter szedł więc sobie powoli, rozglądając się wokół swobodnie i co pewien czas przystając. Przy okazji jednego z takich postojów strzelił do rzeki niedopałkiem papierosa.

Po dziesięciu minutach doszedł wreszcie do Lime Street. Był tak rozluźniony, że o mało jej nie przegapił. Tutaj miał skrócić w prawo. Przerzucił płaszcz na drugie ramię, spojrzął w lewo, potem w prawo, jeszcze raz w lewo i przeszedł na drugą stronę City Quay.

Wszedł na krzywy chodnik po lewej stronie Lime Street, bo po prawej straszyły jakieś opuszczone stare warsztaty, a on nie znosił szurów. Minał starszego mężczyznę i kobietę z książkami w dłoniach, zmierzających w tym samym kierunku. Zdziwiła go obecność turystów w tak ponurym miejscu.

Była dziesiąta dwadzieścia dwie i Peter nieco przyspieszył. W ciągu dwóch minut przeszedł wzdłuż kamiennego muru, obok jakichś zabudowań, aż dotarł do Hanover Street. Skręcił w prawo, spojrzął przez ramię w głąb Lime Street, lecz nie zauważył niczego nowego. Przyspieszył kroku, ale bez przesady, i ruszył szeroką pół brukowaną, pół asfaltową ulicą, znów mijając dwie grupki turystów z książkami w dłoniach, dyskutujące o czymś w zaaferowaniu. Tym razem wydało mu się to już dziwne.

Gdy dotarł do końca ulicy, była dziesiąta dwadzieścia siedem. Według wcześniejszych obliczeń powinien znaleźć się w tym miejscu o dziesiątej trzydzięci, więc uznał, że realizacja trasy sprawdzeniowej przebiega w miarę prawidłowo. Cały czas szedł prawą stroną jezdni, zgodnie z zasadami, żeby przejście na drugą stronę zawsze miało uzasadnienie w legendzie marszu. Dlatego ten prosty manewr wykonał wręcz przepięknie i w miejscu, gdzie Hanover Street łączy się z Townsend Street, przeszedł na drugą stronę, sprawdzając ulicę szybkim

spojrzeniem przez lewe ramię. Mimo że cały czas obserwował w okularach, co się dzieje za jego plecami, to jednak klasyczny i profesjonalny rzut okiem za siebie był nie do zastąpienia.

Po pięćdziesięciu metrach przeszedł lekkim łukiem w prawo na drugą stronę Townsend Street, powtarzając manewr sprzed chwili. Przez ostatnie trzy i pół minuty zrealizował trzy punkty sprawdzeniowe, co wielu mogłoby uznać za wręcz agresywne prowokowanie obserwacji, ale nie Peter Virag. Taki po prostu miał styl, robił to dobrze i nigdy nie wtopił.

W niecałą minutę przeszedł między jednopiętrowymi ceglanymi czynszówkami o brudnych oknach zasłoniętych szarymi od kurzu firankami a rzędem starych, pordzewiałych samochodów po prawej. Od razu pomyślał, że musi się dziać coś dziwnego, skoro w takim miejscu kręci się tyłu turystów.

Dotarł w końcu do szerokiej Lombard Street i zrobiło mu się jakoś raźniej.

Skręcił w lewo i już nieco spokojniej ruszył przed siebie. Za chwilę miał do wykonania pierwsze zadanie. Po lewej minął narożny pub, przeszedł na prawą stronę i posuwał się chodnikiem wzdłuż czteropiętrowego ceglanego bloku mieszkalnego, aż dotarł do rzędu lichych piętrowych domków ze sklepami na parterze.

Gdy zobaczył szyld zakładu pogrzebowego J & C Nichols Ltd., swój punkt kontrolny, sprawdził czas. Na atlanticu była dokładnie dziesiąta trzydzieści. Zatrzymał się ze zdziwienia, jak to możliwe, że nadrobił pięć minut w obrębie pół godziny.

Szesnaście i sześćdziesiąt sześć setnych procenta – pomyślał. To dużo! Ale i dziwne. Superatę czasu mają przecież zawsze tchórze. Dziwne?! – skonstatował z lekką ironią, uśmiechnął się do siebie i ruszył dalej.

Po kilkudziesięciu metrach przeciął Pearse Street, wszedł na Westland Row, która była naturalnym przedłużeniem Lombard Street, i dotarł do stacji kolejki DART. Pojawiło się znacznie więcej przechodniów zmierzających w różnych kierunkach i znikły grupki turystów z książkami. Stalowy wiadukt kolejowy nad Westland Row, gęsto nitowany i bogato zdobiony, oparty na sześciu romańskich kolumnach, oddzielał ubogi świat,

w którym dotąd przebywał, od świata, do którego wchodził. Druga strona Westland Row, zabudowana po obu stronach trzypiętrowymi georgiańskimi kamienicami zamożnych mieszczan, i wtopiony między nie neoklasycystyczny fronton kościoła Wszystkich Świętych sprawiały wrażenie spokoju i dostojności.

Doszedł do końca Westland Row, pamiętając, że nadrobił pięć minut, które mógłby wykorzystać do urozmaicenia swojej trasy sprawdzieniowej. A może wstąpić gdzieś na szklaneczkę whisky? Gdy tylko o tym pomyślał, jak spod ziemi wyrósł po prawej stronie bar Kennedys, dokładnie naprzeciwko urzędu pocztowego, który był jego pierwszym celem.

Wprost idealnie położony, by wpaść na szklaneczkę – pomyślał z radością.

Przed jedenastą w barze było stosunkowo pusto. Zamówił szklaneczkę jamesona, usiadł za stolikiem przy oknie i zapalił papierosa. Do baru nikt za nim nie wszedł, ale Peter był już tak pewny siebie, że nawet nie zwracał na to uwagi.

Siedział przy oknie, wydmuchiwał dym na szybę i obserwował kilkunastoosobową kolejkę do jakiegoś sklepiku po drugiej stronie Lincoln Place. Przez moment mu się wydawało, że w tym widoku jest coś dziwnego, surrealistycznego, burzącego harmonię miejsca. Jakby go wycięto z zupełnie innej historii. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy dostrzegł, że ta kolejka stoi przed maleńką drogerią z napisem Sweny's.

Przez chwilę odniósł wrażenie, jakby ten obraz go hipnotyzował. Nie mógł oderwać od niego wzroku, a jego myśli rozpląwały się bezwiednie na wszystkie strony. Ocknął się gwałtownie, gdy zamówiona szklaneczka stuknęła o blat stołu. Zapłacał od razu.

Atlantic wskazywał za kwadrans jedenasta.

Dokładnie między jedenastą czterdzieści pięć a jedenastą pięćdziesiąt Peter Virag miał wysłać list, który otrzymał w ostatniej poczcie z Moskwy. Jego adresatką była Molly Bloom w Los Angeles. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest ta Molly, i wcale go to nie obchodziło, bo takich listów wysyłał sporo. Jego zadaniem było nadać go w określonym czasie

w urzędzie pocztowym przy Westland Row właśnie szesnastego czerwca.

Wciągnął powietrze, wstrzymał oddech i jednym haustem wypił całą whisky. Wypuścił powietrze i czekał. Po kilku sekundach przeszył go wstrząs podobny do uderzenia małego tsunami. Tak miał zawsze przy pierwszej szklaneczce. Później już było normalnie. Zaciągnął się głęboko papierosem, rozgniół niedopałek w szklanej popielniczce i podniósł się do wyjścia.

Na poczcie było pusto, więc załatwił sprawę od ręki i wyszedł na ulicę. Stał na rogu i przez chwilę przyglądał się kolejce przed drogerią Sweny's. Ze zdziwieniem odkrył, że są to turyści z mapami i przewodnikami w dłoniach.

Jakaś atrakcja turystyczna...? – pomyślał zadowolony, że tajemnica okazała się tak oczywista, i ruszył w lewo, przecinając Lower Merrion Street, w kierunku potężnej bryły hotelu O'Callaghan Davenport, przypominającej bardziej operę lub kościół.

Wsiadł do taksówki i polecił zawieźć się na cmentarz Glasnevin. Zaczynał realizację drugiego punktu, swojego ulubionego, czyli nekromancji, jak zwykł określać to, co będzie robił przez następne godziny.

Kiedyś przeczytał w „Guardianie”, że ożywianie zmarłych było niegdyś przedmiotem poważnych badań radzieckich naukowców w jakimś tajnym ośrodku w górach Altaj. Pomyślał wówczas z rozbawieniem, jakie miny mieliby ci angielscy dziennikarze, gdyby się dowiedzieli, że KGB właściwie już dawno opanowało tę technikę, i to do perfekcji. Zawsze chciało mu się śmiać, kiedy sobie o tym przypominał. Tak też było teraz, kiedy jechał taksówką na cmentarz Glasnevin w północnym Dublinie, spoglądał w lusterko, palił papierosa i czuł, że szklaneczka jamesona dzięki małemu tsunami mile pobudziła jego zmysły i za chwilę wyostrzy też intelekt.

Wysiadł na Finglas Road i wszedł na cmentarz przez główną bramę, ozdobioną celtyckimi krzyżami. Nosem wciągnął mocno powietrze i stwierdził w duchu, że wszystkie cmentarze na świecie pachną podobnie. Rzucił okiem na neoromańską

kaplicę po lewej i dziwny monument godny Gagarina i Korolowa po prawej.

Na cmentarzu Glasnevin było pusto jak prawie na każdym cmentarzu.

Ludzie nie przychodzą, jeśli nie muszą – pomyślał z zadumą. A z cmentarza żyje tylko ksiądz, grabarz, kamieniarz, kwiaciarz i nasz Wydział II Departamentu „S” Pierwszego Zarządu Głównego KGB ZSRR.

– I to żyje nieźle!

Ostatnie zdanie powiedział na głos po rosyjsku i poczuł prawdziwy przypływ dumy. Zaraz też dodał z satysfakcją:

– Czas się brać do roboty, Pietia! Och, Pietia, ty łobuzie! Jak ty to lubisz!

Włożył rękę do lewej kieszeni spodni i wymacał miły kształt skórzanego futerału aparatu fotograficznego Minox C produkcji niemieckiej. W prawej kieszeni miał papierośnicę. Produkcji rosyjskiej.

Najpierw zapalił złotego dunhilla.

Słońce złośliwie znikło za tłustymi nimbusami, zerwał się wiatr i zrobiło się chłodno. Jak to w Irlandii. Jednak Peter Virag nie włożył płaszcza. Wciąż trzymał go na przedramieniu, bo tak właśnie było trzeba, przeniósł go tylko na prawą rękę, lewą zaś włożył do kieszeni i wyciągnął z futerału aparat, który mieścił mu się w dłoni. Przełożył płaszcz z powrotem na lewe przedramię, tak by skryć dłoń z aparatem.

Powolnym, rozluźnionym krokiem ruszył w kierunku najbliższej alejki i wszedł między rzędy nagrobków.

Rytuał nekromancji nie był jakimś niezrozumiałym, tajemniczym szamańskim obrzędkiem, lecz ściśle naukową procedurą, która ma swoje zasady i prawa. Swój początek i koniec. To, co miał zrobić Peter na tym cmentarzu, było właśnie początkiem, a że początek jest zawsze najważniejszy, Peter czuł, że spoczywa na nim szczególna odpowiedzialność. I był z tego powodu bardzo dumny.

Na cmentarzu Glasnevin miał znaleźć przynajmniej sześć mogił. Dwie dziewczynek urodzonych około 1936 roku, dwie chłopców urodzonych około 1944 i dwie z 1925 roku. Groby

dzieci, które w chwili śmierci miały nie więcej niż pięć lat.

Takie warunki wyjściowe Peter otrzymał tym razem.

Stricte matematyczne parametry rytuału nekromancji były tylko pewną ogólną zasadą czy też kierunkiem tego, co miał zrobić. Prawdziwą sztuką zaś było odnalezienie wśród setek mogił tej właściwej. Niełatwe zadanie.

Peter w tym zakresie miał talent niezwykle, za co zbierał w Moskwie nieustanne pochwały. Wszyscy mówili, że Pietia na cmentarzu czuje się jak w domu, a niektórzy nawet – że jak w niebie. Było w tym sporo prawdy. Bardzo lubił takie zadania i wyszukując mogiłki dzieci, nigdy nie czuł dyskomfortu. Więcej, wydawało mu się nawet, że robi coś ważnego: ożywia małą duszyczkę, o której nikt już nie pamiętał, i daje jej kolejną szansę. Kiedyś w dalekiej Australii ktoś w ten sposób ożywił Petera Viraga i jego żonę Mary, więc teraz on spłacał swój dług za nowe życie. Z pełnym oddaniem i wiarą w słuszność tego, co robi.

Wybierał zawsze groby porzucone, zapomnianych i niechcianych dzieci, o których śmierci ktoś chciał jak najszybciej zapomnieć. Mogiłki stare, zaniedbane, bez zaschniętych nawet kwiatów.

Znał na pamięć niezliczone epitafia na małych nagrobkach, piękne, wzruszające i infantylne, mądre i głupie. Czyli takie właśnie, jakie są dzieci – pomyślał kiedyś, chociaż sam ich nie miał.

Szedł teraz powoli, przyglądając się nagrobnym pomnikom i sarkofagom otulonym bluszczem, strzelistym celtyckim krzyżom misternie zdobionym kamieniarskim dłutem. Z łatwością wyszukiwał te, które mogły go zainteresować, i pomijał wszystkie inne. Czasem było łatwiej, gdy dzieci miały własną kwaterą, ale tak nie było na cmentarz Glasnevin. Zdarzało się również, że w ogóle nie mógł znaleźć żadnego grobu pasującego do oczekiwań.

Gdy udało mu się trafić na odpowiednią mogiłkę, szybko ją fotografował, ale w taki sposób, by nie mogły tego zauważyć żadne osoby postronne. Miał to perfekcyjnie przećwiczone. Małeńki i sprawny minox był do tego celu wprost idealny,

mieścił się w dłoni i robił zdjęcia doskonałej jakości.

Spisywanie danych z nagrobka nie wchodziło w grę, bo mogłoby zostać dostrzeżone przez obserwację i nekromancja byłaby obciążona grzechem pierworodnym. Także błąd podczas przepisywania obcych imion i nazwisk mógł kosztować czyjś życie. Zatem konspiracyjnie zrobione zdjęcie było najlepszym rozwiązaniem.

Z takiego zdjęcia rodził się potem przy pomocy techników Departamentu „S” KGB prawdziwy człowiek – czyli nielegal – i ruszał w świat, ożywiony jakby wbrew prawom natury.

Peter Virag, dotąd skoncentrowany i zamyślony, nagle się zatrzymał i z niepokojem spojrzał na zegarek. Przeklął ostro po angielsku i rosyjsku. Potem znów po angielsku. Była piętnasta zero jeden. Przesuwając się przed nagrobkami jak w jakimś transie, zapatrzony w minione ludzkie losy, zatracił zupełnie poczucie czasu. Nie czuł głodu i nie zapalił przez ten czas ani jednego papierosa. Nie pamiętał też, ile zrobił zdjęć, ale na pewno zrobił ich dużo. Teraz, gdy się ocknął, stojąc samotnie gdzieś na bezkresnym polu śmierci dziesięciu pokoleń wiernych, poczuł głęboko przesywającą tęsknotę za szklaneczką whisky i gęstym dymem z papierosa.

O piętnastej w pubie Johna Kavanagha przy wschodniej bramie cmentarza, znanym bardziej jako U Grabarzy, miał spotkanie z „Yorkiem”, więc schował aparat do kieszeni i mocno przyspieszył kroku.

– Witaj, Connie! – Peter zaszedł go od tyłu i położył mu rękę na ramieniu. – Ten tam przy wejściu... – zrobił prawie niezauważalny ruch głową – to twoja obstawa? Wciąż mi nie ufasz?

Conor Gallagher siedział nad dużą szklanką guinnessa w kolorze smoły z pianą białą jak świeża śmietana.

Peter rzucił płaszcz na ławkę obok i usiadł.

– *Guinness is good for you?* – zapytał z wyczuwalną nutką ironii.

Conor nie zareagował, podobnie jak nie zareagował na wcześniejsze pytania, bo uważał, że Peter Virag jest zwykłym angielskim arogantem. Właściwie czy angielskim, tego nie był

pevien, ale że arogantem – to było oczywiste.

Arogancja zresztą wydawała się najmniejszym problemem, bo w Viragu zupełnie nic mu się nie podobało. Najgorsze i zupełnie niezrozumiałe było dlań to, że ten człowiek, reprezentujący formalnie KGB, twierdził uporczywie, iż jest szczerym marksistą, tak jak on. W żadnym jednak jego słowie, geście czy spojrzeniu Conor nie mógł dostrzec woli walki o lepszą przyszłość klasy robotniczej świata. Virag patrzył na niego oczami wroga.

Conor miał dopiero trzydzieści lat i był o dobre pięć lat młodszy od Viraga, ale zdobył już niemałe doświadczenie. Mógłby nawet śmiało powiedzieć, że ma konspirację w genach, bo Gallagherowie walczyli o wolną i sprawiedliwą Irlandię od dwustu lat, tak daleko przynajmniej sięgali pamięcią, bo pisać i czytać potrafili dopiero od pięćdziesięciu. W domu mówiło się zawsze po gaelicku.

Szkołę podstawową pierwszy skończył jego ojciec Sean, ale prawdziwe wykształcenie odebrał w angielskich więzieniach i w konspiracji. W IRA nie był nikim ważnym, ale znano go i ceniono za upór i bezkompromisowość. Miał też wyjątkowo dobre oko i na dwieście jardów nie pudłował z żadnego karabinu.

Aż do śmierci wyznawał ideały Karola Marksa i świętego Patryka, tak jak dziadek Ryan, który niezłomnie uważał, że odzyskanie niepodległości przez Irlandię możliwe jest tylko przy wsparciu światowej rewolucji proletariackiej. Ryan pozostał wierny II Międzynarodówce, ale Sean przeskoczył od razu do IV i też dał się poznać jako utalentowany strzelec w XV Brygadzie Międzynarodowej imienia Abrahama Lincolna w Hiszpanii.

Conor przejął te ideały w spadku, lecz marksizm słabo mu się już kojarzył z ZSRR. Irlandia nie była jednak jeszcze zjednoczona i czwarta prowincja wciąż czekała na powrót do ojczyzny. Trzeba więc było sprzymierzyć się nawet z diabłem, by dokończyć dzieła. Rewolucja mogła jeszcze chwilę zaczekać.

– *Guinness is good for you too!* – odparł w końcu Conor jakby nigdy nic. – Napij się, podobno wkrótce browar

przestanie produkować portera... ma zostać tylko stout...

– Nie lubię piwa, a guinnessa szczególnie – przerwał Peter. – Wolę whisky.

W pubie było jeszcze stosunkowo pusto, ale z wolna zaczęło przybywać gości. Kryzys w Irlandii dopadł w końcu i puby, co dobitnie świadczyło o jego głębokości. Był jednak czerwiec, szczyt sezonu, więc John M. Kavanagh i synowie nie czekali do wieczora, tylko otwierali swój lokal wcześniej.

Kavanaghowie prowadzili go od stu trzydziestu sześciu lat, kiedy John ożenił się z Suzanne O’Neill – córką pierwszego właściciela, też Johna – z którą spłodził dwadzieścioro pięciorko dzieci. Przez te wszystkie lata pub nie tylko odegrał ważną rolę w walce o niepodległość Irlandii, organizując stypy na cześć bohaterów grzebanych na sąsiednim cmentarzu, ale też – co równie ważne – dodawał sił grabarzom, którzy wykopali na Glasnevin milion grobów.

Tego dnia za barem stał sam stary John M., wspierany przez młodego i energicznego Eugene’a.

Peter zapalił papierosa, podniósł się i poszedł do baru. Po chwili wrócił ze szklanką pełną tullamore dew i przez moment intensywnie się przyglądał samotnemu młodemu mężczyźnie, który siedział przy drzwiach, nerwowo wyglądając przez okno i dokładnie lustrując wszystkich obecnych w pubie.

– To mój chłopak. Nie gap się tak na niego. On się dopiero uczy. Speszy się i zastrzeli cię z nerwów. Potrzebne ci to? – Conor odchylił się do tyłu. – I dmuchaj w drugą stronę!

– Nie podoba mi się to – rzucił Peter. – To nie było uzgodnione... Wie, kim jestem?

– Nie.

– A co wie?

– Nie wyglądasz na Libijczyka – odparł Conor. – Więc o co się martwisz?

– Connie, posłuchaj. – Peter przybliżył się do niego. – Mówiłem ci już poprzednio, żebyście powstrzymali się od kontaktów z Kaddafim...

– Potrzebujemy broni! Ile czasu będziemy wozic się z tą sprawą?! – Conor też się przybliżył, bo Peter zgasił już

papierosa. – Wciąż obiecujecie... i co?!

– Spokojnie, Connie – odparł Peter. – Wszystko w swoim czasie. No... wiesz, jak jest. Mówiłem ci poprzednio, że Moskwa miała wątpliwości, bo nie mogliście się dogadać między sobą...

– No, ale teraz już się chyba wyjaśniło, kto jest kim w IRA – wtrącił Gallagher. – Potrzebujemy broni. Sytuacja w Ulsterze staje się z dnia na dzień coraz bardziej napięta... Zaczęła się prawdziwa walka i wciąż giną ludzie...

– Tego żołnierza w lutym... to wy czy... tymczasowi?

– A jakie to ma znaczenie?

– Dwa lata temu Michael O’Riordan nie występował przeciw do nas o broń w imieniu irlandzkich komunistów, tylko w imieniu IRA – obruszył się Peter. – A dzisiaj mamy dwa skrzydła IRA. Co byś zrobił na naszym miejscu?

– Ale teraz już nie macie wątpliwości?

– Nie mnie to osądzać, ale bardziej podoba mi się wasza... oficjalna IRA. Mniej szaleństwa i nacjonalizmu niż u tymczasowych. No i Cathal Goulding jest prawdziwym rewolucjonistą i marksistą...

– On wie o mnie? O tym, że się spotykamy? – zapytał z niepokojem Conor.

– Skąd! Nasze kontakty są całkowicie poza schematem... Zwariowałaś! Kontakty z Cathalem utrzymujemy zupełnie innym kanałem. Nawet ja nie wiem jak. – Virag starał się wypaść jak najbardziej naturalnie, bo rzeczywiście przywódca oficjalnej IRA nie wiedział, że KGB wykorzystuje Conniego jako agenta „Yorka” i próbuje rozgrywać wewnętrzne konflikty w IRA.

– To dobrze! – odetchnął z ulgą Conor. – Mówiłem ci już, że jeżeli Cathal dowie się o naszych spotkaniach, to będę miał kłopoty... nie mówiąc już o tymczasowych... Mac Stíofáin ma swoją politykę i zasady. Wiesz przecież!

– To po kiego przyprowadzasz obstawę?! – podniósł głos Peter. – U was, kurwa, już bez tego szpanu nie można... Na chuj chodźcie w tych czarnych skórach? – Szarpnął go lekko za rękaw kurtki. – To już lepiej, żebyście mieli opaski z napisem IRA taka albo siaka, oficjalna albo tymczasowa, czy co tam

jeszcze. – Przerwał i wychylił whisky do końca.

U nich, bladź, tak zawsze – pomyślał ze złością. Powiesz coś w tajemnicy, a następnego dnia będą o tym gadać we wszystkich pubach w Dublinie... Co za naród popierdolony! Jak wspólnie z nimi coś robić? Dobrze, że ten Gallagher jest trochę inny.

– Nie twoja sprawa – odparł spokojnie Conor i ta odpowiedź niespodziewanie spodobała się Viragowi. – Pilnuj spraw i żeby nic nie wyciekło, bo Kate spodziewa się dziecka.

– No... Connie! Gratuluję! – Peter szczerze się ożywił. – Gratuluję! Gratuluję! – wciąż powtarzał, jakby nie mógł znaleźć innego słowa. – Gratuluję! To już czwarte?

– Nie. Piąte.

– Oblejemy?

– Kiedy indziej. Mam jeszcze robotę wieczorem.

– Szkoda – odparł obojętnie Peter, bo z Conorem i tak nie dało się popić. To był taki dziwny Irlandczyk. Nie pasował do żadnego pubu w tym kraju.

– Masz kasę?

– Mam.

– No to dawaj!

– Nie tak szybko, Connie! – odparł zadowolony Virag, bo lubił, żeby agent miał parcie na pieniądze. I najlepiej na początku spotkania. To zawsze dobrze wróżyło. – Najpierw musimy załatwić biznes – dodał, wyciągnął papierosa ze srebrnej papierośnicy z jakimś rubinowym emblematem i po chwili zapytał: – Kiedy będziesz się widział z Gouldingiem?

– W przyszłym tygodniu.

– Poczekaj! – Podniósł się gwałtownie, wziął swoją pustą szklaneczkę i mrużąc dziwacznie oczy, zapytał: – Chcesz jeszcze tej smoły?

– Nie, dziękuję – odparł Conor.

Peter wydał usta i ze zdziwieniem pokręcił głową.

Wrócił po chwili ze szklaneczką whisky w jednej ręce i guinnessem w drugiej. Postawił go przed Conorem, po czym usiadł i zaczął się intensywnie rozglądać.

Chłopak w czarnej skórze przy drzwiach nieudolnie ukrywał

swoje zainteresowanie Peterem i wydawało się, że jest bardziej zdenerwowany, niż wymaga tego sytuacja i zadanie, jakie przyszło mu realizować. Sam obserwowany nie zauważył jego podniecenia, bo chłopak siedział za daleko, za to Conor wyczuwał, że młody nie jest w stanie się opanować. Miał dopiero szesnaście lat i było to jego pierwsze zadanie z bronią za paskiem.

– Posłuchaj uważnie, Connie. – Peter przerwał milczenie. – To bardzo ważne, co ci teraz powiem, i wiele zależy od ciebie.

Odsunął się od stolika, odchylił do tyłu, włożył ręce do kieszeni i założył po amerykańsku nogę na nogę, ale skarpetki miał granatowe z delikatnym wzorkiem na bokach, a nie białe. Wyglądał, jakby był właścicielem nie tylko tego pubu. Dwóch mężczyzn przy barze spojrzało na niego ze zdziwieniem i niesmakiem.

– Zachowaj to w tajemnicy, a przysłużysz się sprawie... i zrób dokładnie tak, jak ci powiem.

Powiedział to ściszym głosem i zaczął delikatnie kiwać się na ławce. Ten widok nie pasował zupełnie do tego, co mówił, i Conor pomyślał, że Virag robi przedstawienie. Zrozumiał, że za chwilę usłyszy coś ważnego.

– Mówię o takiej tajemnicy, Connie, jakiej nie zdradza się nikomu, nawet żonie w podziękowaniu za udane bzykanie...

Peter wyjął z kieszeni spodni papierośnicę. Jedną ręką otworzył ją, wyjął złotego dunhilla, włożył go do ust i schował papierośnicę z powrotem do kieszeni.

Conor był zachwycony jego zdolnościami manualnymi. Nigdy wcześniej tego nie zauważył i pomyślał, że Virag musi dużo ćwiczyć, a w zawodzie szpiega to się może przydać.

– Wiesz, co to jest irlandzki sekret? – zaczął Peter.

– Pierwszy raz słyszę... – Conor uśmiechnął się półgębkiem.

– Zna to każdy szpieg na świecie... CIA miała kiedyś w Irlandii uśpionego agenta... Jamesa O'Bonda, w małym miasteczku gdzieś w głębi kraju, gdzie nie ma nawet owiec ani ziemniaków. Postanowili go odmrozić i wdroić do roboty, więc wysłali do niego najlepszego oficera. Nie znali jednak dokładnego adresu.

– Virag zaciągnął się mocno i wypuścił dym przez nos. – Ten

oficer CIA, jak tylko przyjechał, poszedł do jedyne­go miejscowego pubu, licząc, że tam się dowie, gdzie mieszka ten O'Bond. W pubie było pusto, przy jednym ze stołów siedział tylko jakiś staruszek nad pustą szklanką. Oficer postawił mu piwo i zapytał, czy wie, gdzie mieszka James O'Bond. Stary spoj­rzał zdziwiony spod krzaczastych brwi. „Który?”. „No... James O'Bond”, powtórzył jankes. „Ale który?”, dopytywał się stary. „No bo u nas co drugi to O'Bond. James O'Bond piekarz mieszka tam, po drugiej stronie ulicy. James O'Bond szewc tutaj, obok pubu. James O'Bond złodziej siedzi w więzieniu. Nasz ksiądz to też James O'Bond... Więc który?”. Jankes rozdziawił gębę i już chciał coś powiedzieć, gdy stary zapytał: „A dlaczego pan go szuka?”. Tamten na to: „No... bo... ja... mam...”, i zaczął się jąkać. „Pan z Ameryki? Z CIA, tak?”. Jankes otworzył gębę jeszcze szerzej. „Trzeba było tak od razu!”, powiedział stary. „James O'Bond szpieg mieszka po drugiej stronie rzeki, przy moście”.

Virag wybuchnął śmiechem, najwyraźniej zadowolony z dowcipu, ale Conor zdobył się tylko na suchy uśmiech, bo coś jednak było w tym opowiadaniu.

– To dobre, Peter, ale nieprawdziwe. Nie znasz Irlandii ani Irlandczyków... – Pochylił się bardziej do przodu i oparł na przedramionach, obejmując oburącz dużą szklankę piwa. – Przejdź do rzeczy, bo czas ucieka. – Spojrzał wymownie na zegarek.

– Okay! To delikatna sprawa, Connie. – Virag usiadł w końcu tak, jak powinno się siedzieć w irlandzkim pubie, dzięki czemu przestał przyciągać uwagę napływających gości. – Moskwa podjęła decyzję o dostarczeniu wam broni. Dowiadujesz się o tym pierwszy! – Zawiesił znacząco głos. – Doceń to!

– O czym ty mówisz?! Peter! – Conor zrobił poważną minę, ale w duchu chciało mu się krzyczeć z radości, bo u żołnierza IRA słowo „broń” zawsze wzbudzało entuzjazm. – O'Riordan od ponad dwóch lat rozmawia z wami o dostawie broni...

– Mówiłem ci, że czekaliśmy, aż... No dobrze! Irlandzcy towarzysze z partii komunistycznej okazali się solidnymi partnerami w negocjacjach... i na szczęście nie było wśród nich

zadnego O'Bonda. – Virag uśmiechnął się ironicznie. – Oczywiście pomoc dla towarzyszy irlandzkich jest naszym internacjonalistycznym obowiązkiem, ale za dużo jest wśród nich sympatyków Trockiego... no i dochodzą do nas niepokojące informacje o kontaktach z Chińczykami. Rozumiesz teraz?! – Zrobił się śmiertelnie poważny. – Nie liczcie na to, że Libijczycy czy Chińczycy są w stanie ominąć Brytyjczyków i dostarczyć wam broń... Zresztą jaki mieliby w tym interes?

– Kiedy będzie dostawa? – zapytał Conor, bo tylko to go teraz interesowało. – I... czego ode mnie oczekujesz?

– Jurij Władimirowicz...

– Kto?

– Jurij Władimirowicz Andropow, szef KGB... co ty? – zdziwił się Peter. – Zapadła decyzja polityczna, ale dostawa broni musi mieć jakiś sens dla rewolucji proletariackiej. – Zawsze gdy mówił o ideologii, jego głos przybierał paskudnie ironiczny ton.

Nic nie drażniło Gallaghera bardziej niż brak szacunku dla Karola Marksa, świętego Patryka i tradycji, a Peter Virag demonstrował go każdym gestem i słowem, a nawet samą swoją obecnością. Ale broń była najważniejsza! Święta! – uważał Conor, jak przystało na bojownika IRA.

– To znaczy co? – zapytał. – Czego od nas... ode mnie oczekujesz?

– O'Riordan, Goulding, a szczególnie Mac Stíofáin, pogrywają z nami, dążąc do własnych celów politycznych. Nie chodzi im tylko o broń przeciw unionistom, Anglikom. Zastanawiamy się, czy przypadkiem nie chcą jej najpierw użyć do załatwienia spraw wewnętrznych w IRA... a to się Moskwie nie podoba. Nie musicie się z tymczasowymi kochać, ale, na litość... nie musicie się z nimi strzelać... na śmierć. Chcemy mieć pewność, że ta broń zostanie dobrze użyta i nie obróci się w końcu przeciwko nam. Rozumiesz, Connie?!

– Rozumiem, Peter! Doskonale! – Conor starał się, by zabrzmiało to możliwie przekonująco, i sądząc z wyrazu twarzy Viraga, chyba mu się udało. – Pytam jeszcze raz: czego oczekujesz ode mnie?

– Jesteś blisko z Cathalem i Garlandem... to twoi towarzysze broni, jesteś w końcu szefem wywiadu. – Peter przeszedł do konkretów. – Obaj decydują o tym, co się dzieje w waszym skrzydle IRA i w Sinn Féin. Musisz ich przekonać, że należy rozkręcić walkę zbrojną w Ulsterze...

– Przecież już się zaczęło...

– Sprawy idą w dobrym kierunku. To prawda. Ale nam zależy, żeby Londyn odczuł to boleśnie... bardzo boleśnie!

– Tu się w pełni zgadzamy!

– Jak zobaczymy, że sytuacja w Irlandii Północnej dojrzała i macie solidne wsparcie do rozwinięcia walki zbrojnej, ruszą dostawy broni. My jesteśmy gotowi – zakończył Virag i po raz pierwszy pociągnął duży łyk z drugiej szklaneczki tullamore dew.

– Dlaczego nie zwrócić się bezpośrednio do Cathala i Seana? Przecież macie bezpośrednie kontakty i nie mów mi, że im nie ufacie. – Conor nieco się obruszył.

– Rusz głową, Connie! – Peter się przybliżył. – Dostawa broni dla was to nie dostawa mleka czy ciastek, czy nawet pieniędzy. To poważna sprawa, szczególnie dla ZSRR. Musisz ich przekonać, że jeśli IRA ruszy ostro do akcji w Ulsterze, Rosjanie zdecydują się w końcu dostarczyć wam te pukawki. Na tym polega twoje zadanie, rozumiesz? My tak czy owak będziemy z nimi rozmawiać, ale z pewnych powodów nie możemy powiedzieć im tego wprost. Żeby z całej akcji coś wyszło, trzeba działać kompleksowo, z dwóch stron.

– Jasne! Ile mamy czasu? – zapytał Conor, siląc się na zaangażowanie, choć po raz kolejny się upewnił, że Rosjanie próbują manipulować IRA, i trochę chciało mu się śmiać.

– Jest czerwiec... powiedzmy, że siedem... osiem miesięcy. A tymczasem może otrzymacie jakiś dar od losu... Coś pierdolnie w Derry albo Belfaście, w końcu to beczka prochu i niewiele potrzeba. Co, Connie?

– Dobra! – Gallagher wyciągnął rękę. – Zrobię co w mojej mocy. Jestem dobrej myśli!

Uścisnęli sobie mocno dłonie i wymienili wyjątkowo nieszczere uśmiechy. Nawet się nie zorientowali, że w pubie

zrobiło się gęsto od ludzi i dymu.

– To teraz druga sprawa. Wasz człowiek w MI5, o którym mówiłeś... – zaczął zadowolony Peter.

– Zaczekaj! – przerwał mu Conor. – Muszę się odlać! – Podniósł się i dyskretnie dał znak chłopakowi przy drzwiach.

– Nie zalej sobie colta, jak będziesz sikał – zażartował Peter, ale zaraz zdał sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało, i szybko się odwrócił.

Conor Gallagher i tak tego nie dosłyszał. A gdyby nawet, to wcale by się tym nie przejął. Nic go teraz nie cieszyło bardziej niż informacja, że Rosjanie zdecydowali się w końcu dostarczyć im broń. Już widział, jak nowe oddziały bojowników IRA rwą się do zrobienia porządku z Królewską Policją Ulsteru. Z wrażenia tysiące pomysłów kłębiło mu się w głowie. Postanowił, że jak wróci, wypije jeszcze jednego portera.

To był udany dzień – pomyślał, zapinając rozprek, w kabinie z brunatną dziurą w podłodze.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął aluminiowe pudełko wielkości solidnej kanapki. Sprawdził na zegarku czas i nacisnął wystającą z pudełka dźwignię. Kiedy uniósł wieko, jego oczom ukazał się widok, o jakim w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku szpiedzy większości wywiadów świata mogli tylko pomarzyć.

Magnetofon Nagra Série Noire nie był czymś, był jak najbardziej Kimś – i wiedział o tym każdy, kto z niego korzystał. Miał duszę, był piękny i niezawodny, był cudownym dzieckiem szalonych uczuć Stefana Kudelskiego i wszelkich możliwości, jakie kryją się w niezbadanych zakamarkach ludzkiego umysłu. Był stopem sztuki i techniki uwięzionym w idealnej postaci, stworzonym, by żyć własnym życiem obok rodzaju ludzkiego i w doskonałej z nim symbiozie.

Kiedy Conor Gallagher trzymał ten magnetofon na dłoni, czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Nawet słodko-kwaśny smród uryny w zaszczonej toalecie najstarszego pubu w Dublinie nie mógł przyćmić tego wrażenia.

Sprawdził, czy pozostało wystarczająco dużo taśmy na szpulce, dla pewności wyzerował jeszcze licznik, po czym delikatnie

zamknął wieko, wcisnął dźwignię nagrywania i z czułością wsunął magnetofon z powrotem do kieszeni. Poprawił zatknięty z tyłu za pasek pistolet, mikrofon przypięty do wewnętrznej kieszeni i ruszył do wyjścia.

Peter Virag siedział przy stoliku tak, jak go zostawił. Przez moment Conor pomyślał, że coś mu się stało, bo wyglądał jak woskowy manekin od Madame Tussauds.

– Co ci jest? – zapytał Conor nieco zaniepokojony, zajmując miejsce naprzeciwko.

– Nic! A co? – odparł Peter, a jego ciało jakby ożyło. – Stało się coś?

– Nie... – Conor z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Posłuchaj uważnie – zaczął Virag. – Mówiłeś poprzednio, że macie swoich ludzi w MI5 i Scotland Yardzie...

– Irlandczycy są wszędzie. Patrioci! – wtrącił Conor z dumą.

– No właśnie! Bylibyśmy bardzo zainteresowani bliższą współpracą z tymi ludźmi, tymi patriotami. Dobre źródła w kontrwywiadzie, a nawet w policji, są na wagę złota. – Peter odsunął od siebie niedopitą szklaneczkę i przyciągnął popielniczkę. – Powiesz mi w końcu, co to za ludzie i na jakich stanowiskach pracują? Jeszcze jedno. – Przerwał na moment. – Garland i Goulding nic o tym nie wiedzą? Obiecałeś!

– Masz na myśli, że nie wiedzą o twoim zainteresowaniu naszymi ludźmi wewnątrz MI5?

– No... tak!

– Oczywiście, że nie wiedzą! – odparł Conor. – Masz złe zdanie o dyskrecji Irlandczyków. To się daje łatwo zauważyć. Ale mówiłem ci, że nas nie znasz...

– Nie czepiaj się!

– To jasne, że nic nie wiedzą – skłamał najbardziej wiarygodnie, jak potrafił, i czekał na kolejny pokaz Petera z papierośnicą, bo ten właśnie sięgnął do kieszeni.

Postanowił, że teraz przyjrzy się uważnie, jak on to robi.

– To dobrze, Conor. W tej chwili jestem przygotowany, żeby...

– Peter nie zdążył dokończyć, bo właśnie wyjął papierośnicę, ale ku rozczarowaniu Gallaghera tym razem zapalił papierosa

całkiem zwyczajnie. – Żeby – powtórzył i położył rękę na swoim płaszczu – wypłacić ci w tej chwili dwa tysiące funtów... na początek, oczywiście. – Wiedział, że to przyzwoita suma dla każdego Irlandczyka i dla szefów w Moskwie też, ale zdecydował się zagrać z Conorem, mimo że nie miał na to zgody przełożonych.

– Ładna sumka! Chętnie ją przyjmę i się zastanowię.

– No... nie, Conor! – obruszył się Peter. – Muszę mieć konkrety. Przecież nie kupimy kota w worku. Może ci wasi agenci są dla nas nieprzydatni...

– Daj te dwa tysiące, a wtedy ci powiem, jak będziecie mogli wykorzystać naszych ludzi. Z wami trzeba uważać! Ja ci podam nazwiska, a wy będziecie ich potem podchodzić. Nikt ci nie pomoże tak jak ja. – Conor dopił piwo i odstawił szklanekę. – Kontakt z tymi ludźmi utrzymuję tylko ja i gdyby Cathal się dowiedział, że chcecie podkupić naszych szpiegów w Londynie, musielibyście zapłacić nam znacznie więcej. Zdajesz sobie sprawę?! – Conor podniósł się i dorzucił: – Więc dawaj te dwa tysiące! – I poszedł do baru po piwo.

Sytuacja stała się więcej niż nieciekawa. Peter Virag ocenił z zaniepokojeniem, że po prostu wdepnął w gówno. Ten irlandzki chłopak wyciągnie od niego te dwa tysiące, a on będzie miał kłopot, jak to rozliczyć.

Ja, stary oficer, a dałem się zrobić jak dziecko – pomyślał, patrząc na szerokie plecy Conora w czarnej skórce, po których poklepywało go dwóch mocno napitych facetów. No bo tak... jak mu nie dam, to nic się nie dowiem, albo gorzej... powie Garlandowi i Gouldingowi, że macałem go o ich ludzi w Londynie. No... a oni mogą to przekazać naszym... No i masz problem, Pietia... Ja pierdołę!

Zapałał wrogością do IRA, ale nie do tullamore dew, i gdy Conor na moment się do niego odwrócił, pokazał mu swoją pustą szklaneczkę i zasygnalizował palcem, że chce kolejną.

W tym samym momencie przyjrzał się uważniej mężczyźnie, z którym Conor rozmawiał przy barze, i odniósł wrażenie, że już gdzieś go widział. Mężczyzna był wyraźnie pod wpływem alkoholu, nieostrzyżony, brodaty, z zapuchniętą twarzą.

Gallagher wrócił do stolika po kilku minutach, trzymając w jednej ręce whisky, a w drugiej guinnessa.

– Gdzieś go widziałem – stwierdził od razu Peter i przesunął się z krzesłem tak, by zejść z pola widzenia brodacza. – Chodźmy stąd lepiej...

– Nie znasz go? – z autentycznym zdziwieniem rzucił Conor. – To przecież sam Sean Bourke! To on wyciągnął waszego asa George’a Blake’a z Wormwood Scrubs... bohater roku sześćdziesiątego szóstego, ucieczki wszech czasów...

– Rzeczywiście! – zdecydowanie odparł Peter i od razu się uspokoił, bo nie znał Bourke’a osobiście, ale doskonale wiedział, kim jest. – Widziałem go tylko w telewizji... bardzo się zmienił...

– Po ucieczce, w Moskwie, podobno pokłócił się z Blakiem. Tak czy inaczej wrócił do Irlandii. Bardzo się zmienił, wydał książkę... i zaczął więcej pić...

– No właśnie! Czytałem ją! – wtrącił Peter zgodnie z prawdą, bo miał obowiązek ją przeczytać, a o pobycie Bourke’a w ZSRR wiedział wszystko.

– Sean zarobił trochę pieniędzy... ale jest prawdziwym bohaterem. Zorganizować ucieczkę najniebezpieczniejszego rosyjskiego szpiega z angielskiego więzienia... no! – Conor był wyraźnie podniecony. – Jesteśmy najlepsi. *Ar sláinte!* – rzekł tak głośno, że z sąsiedniego stolika odpowiedziało mu potrójnie: *Ar sláinte! Ar sláinte! Ar sláinte!* Podniósł szklanekę i wypił duszkiem dobrą ćwiartkę piwa.

Ja pierdolę! Co za popaprany kraj! – pomyślał Peter z wściekłością i na moment zapomniał o dwóch tysiącach funtów. Już ten Bourke długo nie pociągnie – przypomniał sobie nie bez pewnej przyjemności. W Moskwie nasi zaaplikowali mu co trzeba i teraz zatonie w gorzale ten bohater irlandzkich pieśni...

– No to co, Peter? Dawaj te dwa tysiące i załatwiamy sprawę – zakomunikował Conor.

Virag poczuł się, jakby dostał całkiem mocny cios pod mostek.

Wziął swój prochowiec i z wewnętrznej kieszeni, wszytej specjalnie w tym celu, wyjął dwie spore paczki zawinięte

w biały papier. Podał je pod stołem Conorowi, który natychmiast po prostu położył wszystko na blacie, wywołując u Petera ponowny przyływ wściekłości.

– Posłuchaj, Peter – zaczął Conor. – Nasze wtyki w MI5 są dobrze uplasowane, ale nie sędzę, by chciały pracować z wami bezpośrednio. My mamy tam ludzi od dziesiątków lat, a wasi co pewien czas wpadają. Poza tym to ideowcy, ale nie wiem, czy są marksistami i czy w ogóle lubią ZSRR. Pewnie nie lubią. Poza tym weź pod uwagę jeszcze jedno. – Peter już zrozumiał, że z podkupienia Conora nic nie wyjdzie i że pieniądze przepadły. – Prędzej czy później Cathal i Garland by się o tym dowiedzieli i miałbym poważne kłopoty, i ty też, a my chcemy współpracować i wspólnie walczyć z Anglikami. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Peter z rezygnacją pokiwał głową i pociągnął whisky.

– Ale nie będziemy tacy chciwi i nieużywi. Cieszy mnie decyzja o dostarczeniu nam broni, więc zrobię coś dla was.

– Co? – z niedowierzaniem zapytał Peter.

– Cathal i Sean nic nie będą wiedzieć... zrobimy tak. – Ściszył głos i przysunął się bliżej do stolika. – Jeżeli czegoś będziecie potrzebować, będziecie mieć konkretne zadania, pytania... wtedy przyjdiesz do mnie i razem się zastanowimy, jak można tego dokonać, o ile w ogóle...

Peter zrobił kwaśną minę i sięgnął po papierośnicę, która od jakiegoś czasu leżała na stoliku. Otworzył ją błyskawicznie jedną ręką i papieros wylądował w kąciku jego ust.

– Musisz mi kiedyś pokazać, jak to robisz. – Conor był rozczarowany, że nie skupił się wystarczająco.

– Taka współpraca to do dupy! – skomentował Peter. – Nic z tego nie będzie.

– A George'a Blake'a to kto wyciągnął z więzienia? – Gallagher podniósł lekko głos. – Nawet wy tego nie potrafiliście, a tu taki zwykły irlandzki chłopak... Popatrz na niego! – Wskazał głową na chwiejącego się przy barze Bourke'a.

Z całą mocą dotarło do Petera to, co mówili wszyscy w kierownictwie KGB: że Irlandczycy, chyba jako jedyny naród na świecie, są zupełnie niesterowalni. Zawsze robili tylko to, co

chcieli, i tylko tyle, ile było im potrzebne. Nawet jeżeli mówili, że są marksistami, to w gruncie rzeczy najpierw byli nacjonalistami, a dopiero potem rewolucjonistami. Ale kimkolwiek by byli, ciągle chodzili na bani. Werbowanie Irlandczyków jako agentów było dla KGB zwyczajną stratą czasu i najczęściej początkiem nowych kłopotów.

Jak z Seanem Bourkiem, nie przymierzając – pomyślał Peter. Ale współpraca jest możliwa, owszem, przynajmniej dopóki w Ulsterze stacjonują brytyjskie wojska.

Szybka ocena sytuacji pozwoliła mu w końcu na umiarkowanie optymistyczne wnioski. Uważał, że nic tak nie szkodzi pracy wywiadowczej jak frustracja oficera prowadzącego, i teraz postanowił zaradzić temu zagrożeniu. Uznał, że może w tym celu wykorzystać swoje przemyślenia na temat angielskiego superbohatera.

– Brytyjczycy próbowali poprawić reputację swojego wywiadu po klęskach w walce z KGB i pokazali światu swojego najlepszego agenta 007, czyli Jamesa Bonda, czyż nie? – mówił wyraźnie rozbawiony, z niewielką domieszką złośliwości w głosie. – Ale mało kto zwrócił uwagę, że Bond też był absolwentem Cambridge...

Conor roześmiał się głośno i rzucił:

– Nie wiedziałem!

– No... jak to? Nie zauważyłeś? Sam przecież powiedział w *Żyje się tylko dwa razy*, że był prymusem w językach wschodnich w Cambridge... Książek Fleminga co prawda nie czytałem, ale...

– Gdzieś ty to wylapał? Wiem, do czego zmierzasz!

– Myśleli też, że po historii „piątki z Cambridge” pod dowództwem Harolda Philby’ego 007 poprawi też nadszarpnięty prestiż szacownego uniwersytetu, a tu... patrz! Sean Connery niespodziewanie znikł z ekranu i pojawił się jakiś jego nieudany australijski sobowtór, George Lazenby. A wiesz, jaka jest prawda? Wiesz, gdzie znikł 007? – zapytał w końcu Peter z szelmowskim spojrzeniem.

– Nie... skąd! – Z twarzy Conora nie schodził uśmiech.

– Sean Connery, czyli 007, Bond, James Bond, to też... nasz...

oficer KGB. Nazywa się Sasza Koniery, chłopak z Dniepropietrowska. To on jest tym słynnym „szóstym z Cambridge” i właśnie odbiera w Moskwie Czerwony Sztandar! Będzie teraz grał w naszych filmach. Widzisz? Radziecki wywiad jest najlepszy na świecie! – Peter nagle spowaźniał i popatrzył Conorowi prosto w oczy. – Zapamiętaj to sobie dobrze! Najlepszy!

Pracował jeszcze nad Conorem przez dwadzieścia minut, starając się podbudować jego motywację do współpracy z KGB, by można było go w końcu przekwalifikować ze zwykłego agenta na agenta specjalnego.

Widząc jego szeroko otwarte oczy, pełne zaangażowania i miłości do ZSRR, oraz nieustanny tik głową, mówiący, że na wszystko się zgadza i wszystko rozumie, Peter Virag nabrał po raz kolejny głębokiego przekonania, że po prostu traci czas. Ale Conor Gallagher był jego jedynym agentem w IRA i trzeba było ciągnąć współpracę, chociaż od dziesięciu minut ten bojownik kręcił się już niecierpliwie na ławce i bezczelnie spoglądał na zegarek.

Ci Irlandczycy są zupełnie nieobliczalni i mogą jeszcze narobić kłopotów... no, ale są naszymi sojusznikami – pomyślał Virag. Ja pier... też wybraliśmy sobie przyjaciół! Dwa tysiące! – skonstatował na koniec i stracił resztki motywacji do dalszego urabiania Conora.

Irlandczyk jakby czytał w jego myślach. Po prostu zgarnął ze stołu paczki z pieniędzmi gestem tak chamskim, że Peterowi aż pokwaśniało w ustach, a potem położył mu na ramieniu swoją wielką łapę i oznajmił, że cieszy się ze współpracy z ojczyzną wielkiej rewolucji i ze wspólnej walki, ale najbardziej z tego, że mógł poznać kogoś takiego jak on, Peter Virag, czy jak się tam naprawdę nazywa. Wreszcie podniósł się, jeszcze raz poklepał go po ramieniu, rzucił miło: „Do zobaczenia za miesiąc”, odwrócił się i natychmiast znikł w tłumie podobnych mu osobników. Tak się Peterowi przynajmniej wydawało, zanim rozluźnił mięśnie twarzy rozciągające jego usta w coś na kształt uśmiechu.

Przed oczami stanęła mu niespodziewanie Mary

w biustonoszu, którego nie potrzebowała, i poczuł się przyjemnie. Otrząsnął się jednak szybko z tej wizji, uznając ją za efekt stresu po spotkaniu z Conorem.

– To dwa tysiące funtów – rzucił Conor do chłopaka w czarnej skórze i wręczył mu paczki, gdy tylko wyszli na zewnątrz. – Zaniesiesz je do Johna... zaraz. Niech to zaksięguje i od razu wypłaci po sto funtów matce Mike'a i siostrze Jessiego... Nie zapomnisz?

– Oczywiście, Connie! – odparł z przekonaniem Jack O'Brien, który tydzień temu skończył szesnaście lat.

– Idę teraz na spotkanie z Seanem Garlandem – powiedział z nutką zadowolenia Conor i położył chłopakowi rękę na ramieniu. – To był udany dzień, Jack! Wykonaliśmy dobrą robotę! To był bardzo udany dzień! – Sprawdził ręką kieszeń, w której miał magnetofon Nagra, potem swojego colta za paskiem i obaj ruszyli noga w nogę krokiem podobnym do double jiga.

Mimo kryzysu gospodarczego w Irlandii szesnasty czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku był wyjątkowo udany dla właściciela pubu U Grabarzy, Johna M. Kavanagha. Goście dopisali tego dnia wyjątkowo licznie, a Peter Virag zapłacił solidny rachunek i wyszedł o własnych siłach jako jeden z ostatnich.

Jeden z trzech zastępców dyrektora FRA, Michael Hermansson, miał już ponad sześćdziesiąt lat, ale nie wyglądał na tyle. Może dlatego, że od czterdziestu lat pracował w najpotężniejszej szwedzkiej służbie specjalnej, której funkcjonariusze godzinami siedzą ze słuchawkami na uszach, piją kawę i piszą, i znów piją kawę, piszą i słuchają. Żadnego deszczu, mrozu, stresu. Żadnych pistoletów Walther P5 ani mieszania alkoholu. Spokojne, ciche i doskonale konserwujące zajęcie. No, chyba że ktoś wybrał pracę w samolotach nasłuchowych i stacjach z potężnymi parabolami gdzieś na krańcach niemałego przecież Królestwa Szwecji.

Tak wielu wyobraża sobie pracę SIGINT, ale nie Hasan Mardan. On wiedział dobrze, że chociaż kwintesencją wywiadu elektronicznego są najczęściej fotel i komputer, to jednak jest to praca wymagająca najwyższych kwalifikacji językowych i psychologicznych, a także wytrzymałości i odpowiedzialności. Wiedział też, jak wiele zależy od wysiłku funkcjonariuszy – bezpieczeństwo państwa i czasem czyjeś życie. Przekonał się o tym wielokrotnie.

Do siedziby FRA, położonej wśród pól i lasów wyspy Lovön i w zasięgu strzału z łuku od pałacu królewskiego Drottningholm, dojechał około jedenastej.

Zostawił samochód na parkingu, poprawił czarny garnitur i kołnierzyk białej jak śnieg koszuli, która cudownie kontrastowała ze wszystkimi odcieniami granatu w jego oczach, włosach i ubiorze. Z całą pewnością piękno tego obrazu w skandynawskim słońcu zasługiwało na utrwalenie przez jakiegoś artystę, a jeśli nie, to przynajmniej na okładkę tygodnika „Cosmopolitan”.

Mógł przyjechać znacznie wcześniej, ale zatrzymały go obowiązki na Polhemsgatan. Musiał zatem zadzwonić do Hermanssona i wytłumaczyć się ze spóźnienia. W kontaktach między służbami było to oczywiście bardzo łatwe, bo wystarczyło powiedzieć, że wynikły ważne i niespodziewane sprawy – i tyle, każdy wiedział, o co chodzi. A wszelkie

dopytywanie się było bezcelowe, a nawet niestosowne.

Dyrektor Hermansson, w kolorowej koszulce i spodniach chino, czekał na Hasana przed wejściem do budynku. Wyglądał, jakby przyszedł do pracy tylko na to spotkanie i zaraz miał wracać do swojego domku gdzieś na szkiecach.

Weszli na pierwsze piętro i najpierw skierowali się do automatu z kawą. Potem, z kubkami w rękę, poszli do gabinetu Hermanssona.

– Poprosiłem cię o spotkanie, bo... – dyrektor zawiesił na moment głos – bo chciałem zobaczyć, jak szybko rosną twoje włosy. – Uśmiechnął się wesoło.

Odkąd znał Mardana, zawsze interesował się jego dredami, jakby śledził ich rozwój, i od tego tematu zaczynał każde spotkanie. Hasanowi nawet się to podobało, bo w końcu był jedynym w szwedzkich służbach oficerem z takimi włosami.

Obrócił głowę na bok i chwycił dłonią krótki gruby ogon, żeby się pochwalić solidnym przyrostem.

– Mam więcej genów arabskich niż perskich, więc rosną dość szybko, ale i tak wolniej niż normalne włosy... – odparł.

– Bardzo mi się to podoba – wtrącił dyrektor.

– Są naturalne. Oczywiście! – dodał Hasan. – Ale nie mają podłoża religijnego... jeżeli o to chodzi.

– Wcale nie miałem tego na myśli...

– Oczywiście! – skwitował swoją małą prowokację Hasan, chociaż nie był przewrażliwiony na tle religijnym, właściwie w ogóle nie był przewrażliwiony, na żadnym tle. – Wiem, że robicie zakłady o to, czy jestem szyitą, sunnitą czy też rastafarianinem – dodał. – A to przecież nie ma znaczenia.

– No dobrze. – Hermansson, lekko zawstydzony, zaczął szukać czegoś na biurku. – Poprosiłem cię o spotkanie w sprawie tego... no... – wciąż przekładał dokumenty – tego...

– Którego, dyrektorze? – Hasan próbował mu pomóc, chociaż doskonale wiedział, po co został tu zaproszony.

– No... tego barona...

– Von Utrechta... Claesa? – Zaniepokoił się, że dyrektor nie pamięta tak znanego w Szwecji nazwiska.

– Właśnie! – odparł Hermansson i od razu znalazł potrzebny

dokument. – Popatrz – dodał, wręczając go Hasanowi. – Zamierzamy to do was wysłać, ale przedtem chciałbym coś z tobą ustalić. To nie takiego... jednak...

Hasan przebiegł wzrokiem początek kilkustronicowego dokumentu i odłożył go na biurko. Stwierdził, że nie ma co się w niego zagłębiać, bo Hermansson i tak za chwilę opowie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Wzięli swoje kubki z kawą i przenieśli się na fotele w rogu pokoju.

– Sprawa wygląda następująco – zaczął dyrektor i pociągnął mały łyk. – Obserwujemy Claesa von Utrecht na wasze zlecenie już od ponad roku...

– Od listopada. To już półtora roku.

– Tak! Tak. Właściwie do wczoraj nie stało się nic nowego, ciekawego, co choć trochę posuwałoby sprawę czy zmieniało charakter naszego zainteresowania tym człowiekiem. – Hermansson w typowy dla siebie sposób rozpoczął referowanie sprawy. – Von Utrecht wciąż uczestniczy w procesie o podział spadku po rodzicach, chociaż wie, że zostały same długi. Mieszka na Strandvägen i z komputerów, które tam ma, obsługuje swoją firmę i pocztę. Kontrolujemy też jego iPhone'a.

– Coś nowego w jego kontaktach z Azizem Hazimim... Komitetem Poparcia Mudzahedinów... WikiLeaks? – wtrącił Hasan, bo to był główny powód inwigilacji Claesa.

– Nic, co miałyby wpływ na naszą ocenę sprawy. Żadnej dynamiki, nic nowego, nic nielegalnego, ale na krawędzi...

– Może się przechylić w każdej chwili – dodał z pewnością w głosie Hasan. – Hazimi to poważna sprawa, a Claes nie wszystko wie... podobnie jest z tymi mudzahedinami...

– Zdajemy sobie z tego sprawę. – Dyrektor poprawił się w fotelu. – Claes jest naiwny jak dziecko. Wiemy o tym!

Hasan pokiwał znacząco głową, bo podobnych zagrożonych dzieci Sâpo miało pod opieką sporo. Claes von Utrecht nie wyróżniał się z tej grupy niczym szczególnym i Hasan podchodził do jego sprawy bez większego zaangażowania. Bardziej martwił się tym, czy naiwny Claes w porę się zorientuje, że trzeba się z tej aktywności wycofać, bo inaczej

skutki mogą być fatalne. Przeprowadzenie z nim rozmowy ostrzegawczej byłoby ostatecznością.

– Kilka dni temu rząd podjął decyzję o sprawdzeniu wrażliwych systemów, ich zabezpieczeń i przygotowaniu nowych, bezpieczniejszych koncepcji...

– W związku z ostatnią aferą Assange’a?

– W rzeczy samej – potwierdził Hermansson. – Pojawiają się u nas jego liczni naśladowcy. Na razie są nieskuteczni, ale któregoś dnia... kto wie? Wyskoczy jakiś kret i... Sława ma potężną siłę przyciągania.

– Claes to absolutny talent!

– To geniusz, Hasanie! Skończony geniusz! – Dyrektor wyraźnie się ożywił. – Od dawna utrzymuje kontakty z Assange’em, chociaż ostatnio jakby rzadziej. W związku z tą decyzją rządu, o której mówiłem, sporządziliśmy listę „Julianów”, no... potencjalnych klonów Assange’a... tak nazywamy ewentualnych przyszłych terrorystów sieciowych... No i twój Claes von Utrecht figuruje na jej czele. Ale to nie koniec. – Dyrektor przerwał i zapytał: – Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

– Obserwujemy całą aktywność Claesa w sieci ze znanych nam źródeł. Mamy na oku jego domowy komputer, laptop, telefon, karty kredytowe... całą korespondencję i rozmowy. Sprawę prowadzi nasz nowy zdolny pracownik. Dziewczyna, w jego wieku. Można nawet powiedzieć, że trochę do niego podobna. Bardzo się zaangażowała.

– To jej pierwsza robota?

– No... tak... – przyznał z ociąganiem Hermansson.

– To bardzo dobrze! – zdecydowanie zareagował Hasan. – Świeże spojrzenie!

– Analizując całą sprawę von Utrechta, Harriet Berghen wysnuła ciekawe wnioski. Nie będę wchodził teraz w szczegóły, wszystko jest w naszym piśmie, ale przedstawię ci je pokrótce...

– W takim razie wezmę sobie jeszcze kawy. – Hasan podniósł się i wyciągnął rękę także po kubek Hermanssona, ale ten pokręcił głową i położył na nim dłoń.

Po minucie Hasan wrócił do pokoju i zajął miejsce w innym

fotelu, bo tam, gdzie siedział poprzednio, słońce świeciło mu prosto w twarz. Dyrektor przez moment czytał coś w jakimś dokumencie, po czym znów zaczął mówić.

– Claes, jak wiesz, ukończył informatykę na KTH i studia podyplomowe na MIT. To więcej niż dobrze w tej branży. Prawdę mówiąc, mógłby dostać pracę, gdziekolwiek by chciał i za ile by chciał.

– Nawet u was? W FRA? – zapytał bez cienia ironii Hasan.

– Nooo... u nas to raczej nie. Nie ta psychika. Jest ukierunkowany w inną stronę...

– Ideowiec lewicowo-anarchistyczny...

– Nawet nie to. Claes żyje bardziej w świecie wirtualnym niż materialnym i podobnie jest z jego zespołem wartości. To są wartości wirtualne. Rozumiesz?

– Oczywiście! Jak pierwsi chrześcijanie...

– Albo muzułmanie – wtrącił Hermansson. – Nie ma wątpliwości, że jesteśmy świadkami nowej syntezy wszystkich znanych do tej pory strumieni świadomości człowieka.

– Nooo, tak! – Hasan zamrugał dziwnie oczami i potrząsnął głową. – Oczywiście! Strumienie...

– Von Utrecht to perła na rynku IT. Dodaj do tego jego ponadprzeciętną inteligencję i wszystko to owocuje pięknym, wielkim znakiem zapytania – stwierdził z odrobiną ironii Hermansson.

– To znaczy?

– Dlaczego Claes nie zarabia normalnych pieniędzy, pracuje dorywczo, jest niesolidny i ciągle się spóźnia?

– O ile wiem, nie ma żadnych oszczędności.

– Ani grosza! Mało tego. Niedawno wyznaczono mu termin opuszczenia mieszkania na Strandvägen. Właściwie to nie wiadomo, z czego żyje. – Dyrektor Hermansson zrobił minę, która oznaczała nic innego, jak tylko to, że doskonale wie, z czego żyje Claes.

– A więc?

– Według Harriet on ma niebywały wprost talent. Najtrudniejsze zlecenia i zadania potrafi rozwiązać w jednej chwili, jakby miał jakiś dodatkowy chromosom... Przydałby mi

się ktoś taki!

– Haker?

– Otóż nie! – Hermansson się poruszył. – Nie trafiłeś. Choć twoje przypuszczenie jest całkiem logiczne.

– Wszyscy trochę uprawiają piractwo, a wielu hakuje...

– Nie, nie wszyscy! – Nagle głos dyrektora zabrzmiał ostrzegawczo, bo Hasan wspomniał o przestępcach, których ściga FRA. – A Claes von Utrecht w ogóle nie hakuje! Nawet nie jest piratem. Jest nienaturalnie uczciwy, wręcz święty!

– No... to już jest dziwne. Wiem... wiem... Zaczynam się domyślać, o co chodzi... To bardzo ciekawe! – Hasan przybrał poważny wyraz twarzy, ale nie za bardzo wiedział, do czego zmierza Hermansson, i wydawało mu się, że ten natychmiast go przejrzał.

– Von Utrecht jest zaangażowany politycznie – zakomunikował dyrektor. – Islamiści, antyglobaliści, Assange... I wcale się z tym nie kryje... wszędzie go pełno...

– Tak, pamiętam! Był nawet zatrzymany za udział w zamieszkach w Göteborgu podczas szczytu Unii w dwa tysiące pierwszym...

– To jest w jego aktach – dodał Hermansson. – Czy ktoś taki może być świętym Internetu... ze swym potencjałem, wiedzą, umiejętnościami? Przecież nietrudno zrozumieć, że ten chłopak... mężczyzna... może być niesłychanie niebezpiecznym orężem w czyichś rękach. Jest jak tykająca bomba. – Oparł się głęboko w fotelu, zdjął okulary i zaczął pocierać nos. – Rozpracowanie Claesa von Utrecht odbywa się zgodnie z prawem, ale teraz pojawiły się nowe aspekty jego działalności, a nawet, powiedziałbym, podejrzenia.

– Nie jestem pewny... czy wiem, o co chodzi. – Hasan zawiesił głos. – Domyślałam się tylko, że dzieje się z nim coś dziwnego...

– Szukał odpowiedniego określenia, lecz w końcu zapytał wprost: – O co go podejrzewacie? Nie jest terrorystą... takich jak on mamy w Szwecji setki...

– Drogi Hasanie, zastanów się... – Dyrektor założył okulary.

W FRA wszyscy wiedzieli, że Hermansson zdejmował je i pocierał nos tylko wtedy, gdy był czymś bardzo przejęty, ale

Hasan o tym oczywiście nie miał pojęcia. Potrafił za to szybko kojarzyć fakty, składać fabułę i wyciągać wnioski, w co nie wątpił nikt na Polhemsgatan.

– Myślicie, że Claes jest zaangażowany w jakąś ukrytą działalność... nielegalną? – zapytał z ledwo wyczuwalnym zdziwieniem. – Że ukrywa swoją prawdziwą aktywność? – Pokręcił lekko głową. – Coś mi tu nie pasuje. Dlaczego zatem prowadzi tryb życia, który z oczywistych powodów przyciąga naszą uwagę? Przecież jest inteligentny i musi zdawać sobie z tego sprawę... Urwał w pół zdania i zamilkł.

Przez chwilę pokój wypełniała cisza, a Hermansson wpatrywał się w Hasana błędzącego wzrokiem po kątach. Znowu zdjął okulary, potarł nasadę nosa, zmrużył oczy i przechylił nieco głowę w prawo. W FRA wszyscy wiedzieli, co to znaczy.

– Sądzicie, że Claes kamuluje w ten sposób działalność innego rodzaju? – odezwał się w końcu z przekonaniem Hasan. – To przykrywka dla czegoś znacznie poważniejszego? Czy tak?

– Właściwie tak to wygląda. Tak też widzi to Harriet, oczywiście z pewną modyfikacją. Według niej Claes jest jak najbardziej autentyczny w tym, co robi. To głęboko zaangażowany ideowiec, który wierzy w słuszność tej walki... jakkolwiek by ją nazwać.

– Jak wielu z nich.

– Ale on jest taki jeden jedyny. Harriet ogląda na bieżąco jego interfejs, kontakty ze światem, maile, blogi, czaty... wszystko, całą jego cloud computing. Przez te półtora roku poznała go dobrze... może nawet lepiej, niż on zna siebie samego...

Przez moment Hasan poczuł pewien dyskomfort, gdy pomyślał, że i jego ktoś mógłby tak podglądać, szczególnie jakaś kobieta.

– I jest przekonana – kontynuował Hermansson – że to jednak nie przykrywka. Jeżeli nawet kalkuluje, że może być pod kontrolą Säpo, o czym pisał między wierszami do jakiegoś internauty, to robi tak, bo najciemniej jest pod latarnią. Albo z wyrachowania...

– Albo wszystko razem! – wciął się zgrabnie Hasan. – Najczęściej na taki motyw składa się wiele czynników, ale

różnie ułożonych, przemieszanych, różnie pojmowanych i ocenianych. Mimo to przemawia do mnie teza Harriet Berghen. – Posłał Hermanssonowi przygaszony uśmiech i zapytał: – To jeszcze nie koniec, prawda?

– Nie – odparł z podobnym uśmiechem dyrektor, wciąż trzymając w ręku okulary. Teraz jednak wziął zauszniak do ust i zamilkł na kilka sekund. W FRA wszyscy by wiedzieli, że zbliża się do finału. Zawsze lubili ten moment. – Zatem zgadzamy się, że Claes von Utrecht ukrywa jakieś swoje drugie zajęcie, inne życie? Czy tak?

– Naturalnie.

– I nie jest to cyberterrorizm w stylu Assange’a ani praca dla obcego wywiadu...

– Dlaczego to wykluczacie?

– Wiemy coś o tym. To nie są obce służby... Rosjanie robią to inaczej. Zostawmy to, wiem, co mówię.

– Nie chciałem być źle zrozumiany – bronił się Hasan.

– Okay, nie ma sprawy. – Hermansson zdecydowanie uciął wątek, aż Hasanowi zrobiło się jeszcze bardziej głupio. – Nie sądzę też, żeby miało to związek z WikiLeaks. Claes zbyt oficjalnie obnosi się ze swoim uwielbieniem dla Assange’a.

– Al-Kaida?

– Tego właśnie nie możemy wykluczyć. – Dyrektor pokiwał głową i założył okulary.

– Do tej pory nie natrafiliśmy na ślad Al-Kaidy w aktywnym, w sensie operacyjnym, wykorzystywaniu sieci. Amerykanie informowali nas, że Bin Laden coś planuje, ale to nigdy nie było nic konkretnego, jakieś domysły, poszlaki. Że wykorzystują w jakimś stopniu sieć do łączności, to możemy założyć w stu procentach, ale co do cyberataków... temat otwarty!

– Cóż. Nasz Claes von Utrecht pasuje do tego profilu... – zaczął Hasan.

– Już kończę – przerwał mu delikatnie dyrektor. – Od pewnego czasu... od prawie trzech lat... obserwujemy dość częste, niekiedy pojawiające się kilka razy w tygodniu, szyfrowane transmisje w Internecie. Bada je u nas specjalnie

powołany w tym celu zespół. Jedni próbują zidentyfikować serwer, inni starają się złamać szyfr. Współpracujemy w tej sprawie z NSA, ale nie mamy kompleksów. Początkowo byliśmy przekonani, że to jakaś nowa forma łączności rosyjskich nielegalów... może chińskich, ale ostatnie odkrycia Harriet Berghen rzucają na to wszystko nowe światło...

– Rosjanie, nielegalowie... nie... to niemożliwe.

– Projekt prowadzony jest w ścisłej tajemnicy, bo to istne Archiwum X. Przez cały ten czas nie złamaliśmy szyfru nawet o cal, nie mówiąc o namierzeniu serwera. – Przerwał na chwilę i przełknął ślinę. – Jak oni to robią? To jakiś system doskonały...

– Co odkryła Berghen? – Hasan wyrwał Hermanssona z wyraźnie zbliżającego się transu.

– Ach, tak, Berghen! – ocknął się dyrektor. – I to jest najciekawsze! Może nawet ma sens... – Zobaczył ciemne, pełne napięcia spojrzenie Hasana. – Miejsce emisji jest zupełnie przypadkowe, to musi być jakiś łańcuch, ale najistotniejszą rolę odgrywa czas emisji, do i ze Szwecji. Zawsze jest to rejon Sztokholmu, chociaż rzeczywisty odbiorca może być gdziekolwiek na świecie.

– Skąd wiadomo, że nie jesteśmy tylko ogniwem i Szwecja nie ma tu żadnego szczególnego znaczenia?

– Otóż to! – rozpogodził się Hermansson. – Zaszyfrowane wiadomości wchodzą na serwery w Libanie, Egipcie i Jordani, czasami w Indiach, ale już nie wychodzą. Serwery ciągle się zmieniają i znikają! Znikają jak w jakiejś ciemnej dziurze. Ciekawe! Podobnie jest w drugą stronę. Prawie nigdy wiadomości nie wychodzą z tego samego serwera, ani u nas, ani na świecie... To anonimowe serwery. Wygląda też na to, że zastosowano kryptografię krzywych eliptycznych, więc pewnie nigdy tego nie złamiemy.

– A co odkryła Harriet Berghen? Co ma z tym wspólnego Claes?

– Przez dwa lata obserwacji sprawy, kryptonim „Phantom”, zebraliśmy spory materiał porównawczy. „Blofeld”, jak go nazywamy, wyemitował około pięciuset siedemdziesięciu

wiadomości i przyjął ponad dziewięćset...

– To dużo?

– Trudno powiedzieć. Nie mamy z czym porównać, ale jest na czym się oprzeć w badaniach. Dzieje się coś, nad czym nie panujemy, coś, co ktoś chce ukryć, więc z pewnością jest to działanie niezgodne z prawem i może zagrażać naszemu, a może nawet międzynarodowemu bezpieczeństwu, ale my nie wiemy co! Ktoś naprawdę wybitny włożył mnóstwo pracy w stworzenie tego systemu... Nie mogę przez to spać... jestem u kresu wytrzymałości psychicznej.

Hasan spojrzał na Hermanssona, lecz nie zauważył w jego twarzy nic, co potwierdzałoby te słowa. Jednak jako oficer operacyjny mógł sobie doskonale wyobrazić, co czułby inspektor Wallander albo komisarz Beck, gdyby nie był w stanie rozwiązać tajemnicy jakiegoś morderstwa.

Chyba nigdy im się to nie przydarzyło – pomyślał i poczuł autentyczną solidarność z dyrektorem Hermanssonem. Nawet zaczął mu współczuć.

Najbardziej jednak go ciekawiło, co „Phantom” ma wspólnego z nieszczęsnym młodym baronem von Utrecht. Postanowił już o to nie pytać, przekonany, że dyrektor w końcu sam musi mu powiedzieć, co takiego odkryła Harriet Berghen.

Na pewno jest równie ładna jak inteligentna... – przeleciało mu niespodziewanie przez myśl, ale gdy tylko usłyszał głos Hermanssona, natychmiast wrócił na ziemię.

– Rozporządzenie premiera o przejrzeniu systemów zabezpieczeń zrobiło jednak swoje. Zaczęliśmy od wszystkich rejestrowanych hakerów, przestępców komputerowych, współpracowników WikiLeaks i wszystkich innych organizacji hakerskich w Szwecji...

– Skoro urodziły się takie genialne nastolatki jak Analyzer, TooShort czy Makaveli, to gdzieś musi istnieć ich dorosła wersja – wtrącił ze znajomością tematu Hasan, bo czytał o nich niedawno w „Dagens Nyheter”.

– Trafieś w dziesiątkę! – skwitował z wyraźnym uznaniem dyrektor. – Na przykład hakerzy z organizacji Enforces przez sprawę Ehuda Tenenbauma w Izraelu... czyli Analyzera,

zaprzestali działalności, ale przecież nie zniknęli. To ideowcy. Tacy jak nasz Claes.

– Rzeczywiście pasuje.

– Hakerzy i piraci nie uznają granic, narodowości ani ras, nienawidzą wojny i pedofilii... I dokładnie taki jest nasz Claes! Harriet wie o nim wszystko. On jest jak Neo, a ona jak Trinity, i to nie jest żart. Matrix naprawdę istnieje. Ale to nie jest nasz świat. Nas tam nie ma. Za to geniusz gdzieś tam jest...

– A co odkryła Harriet? – nie wytrzymał Hasan.

– Nałożyła wszystkie dane z „Blofelda” na Neo i wyszły jej ciekawe dane, obarczone wprawdzie sporym marginesem prawdopodobieństwa i błędu, ale mamy jakiś początek... no... jest się o co zaczepić... chyba że to jakiś sofizmat matematyczny. Hermansson założył okulary i ponownie wziął do ręki dokument, który cały czas przed nimi leżał jak czekający na podpisanie kontrakt.

– Albo *argumentum ad ignorantiam* – dodał Hasan, aż dyrektor podniósł wzrok. – Rozumiem, że teraz macie dla nas robotę. – Wykorzystał chwilę milczenia. – Mamy zająć się jego rozpracowaniem? Dobrze kombinuję?

– Znów trafiłeś w dziesiątkę! – rzucił Hermansson, nie odrywając wzroku od dokumentu. – Sytuacja wygląda następująco – dodał po chwili, odkładając dokument. Zdjął okulary i położył je na stole. – Harriet ustaliła, że w dzień poprzedzający emisję „Blofelda” lub w samym dniu emisji telefon komórkowy Neo był nieruchomy średnio przez dwie, trzy godziny. Dotyczy to siedemdziesięciu procent przypadków. W tym czasie Neo nie przyjmował żadnych rozmów ani nigdzie nie dzwonił. W pozostałych trzydziestu procentach brak jest jakiegokolwiek zbieżności parametrów...

– No... panie dyrektorze, zaczyna się robić ciekawie...

– Aparat najczęściej leżał w domu, ale też prawdopodobnie w jego samochodzie... nawet na pewno...

– Ostatnio miał garbusa?

– Tak. Zostawiłbyś swojego iPhone’a w takim samochodzie na Rissne?

– Raczej nie... ale...

– Więc właśnie! A tak było w trzydziestu pięciu procentach przypadków. Sto czterdzieści razy na osiedlu Rissne! To nie jest normalne. Von Utrecht nie ma tam żadnych znajomych, za to mieszka tam wielu imigrantów! Ma natomiast wielu znajomych w pobliskim Rinkeby. – Hermansson podniósł trochę głos. – Ale to nie koniec. Neo wie, że możemy nie tylko śledzić jego telefon, ale też podsłuchiwać go aktywnie, jeśli jest włączony. Dlatego musi go gdzieś zostawiać. Był zalogowany w sieci w siedemdziesięciu procentach emisji „Blofelda”, w pozostałych trzydziestu był zwyczajnie wyłączony. Neo nie ma żadnego innego aparatu. Wiemy to na pewno!

– A co z wiadomościami przychodzącymi? – przerwał Hasan, bo wywód dyrektora był aż nadto przekonujący i mocno go zaniepokoił.

Wszystko, co dotąd usłyszał, wystarczało – jak uważał – by objąć Claesa von Utrecht intensywnym rozpracowaniem operacyjnym. Wiedział doskonale, że Linda natychmiast zapyta, co Neo może mieć wspólnego z terroryzmem islamskim, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że z łatwością ją przekona. Nawet jeżeli będzie musiał się uciec – czego najbardziej nie lubił – do swego uroku osobistego, na który nie była uodporniona.

Hermansson nie założył już okularów do końca rozmowy. Siedział w fotelu, ze splecionymi na piersi maleńkimi jak u dziecka dłońmi, i jeszcze przez pół godziny podawał procenty, liczby, diapazony, stopnie. Zaczął używać tak specjalistycznego języka podlanego emocjami, że Hasan rozumiał go coraz mniej i zaczął się niecierpliwić, bo w myślach układał już sobie rozmowę z Lindą.

Wystarczyłaby mu jedna trzecia tego, co usłyszał z ust Hermanssona, żeby zainteresować się tajemniczą postacią barona Claesa von Utrecht. Z uwagi na historyczne zaszczości i głośne skandale obyczajowe było to nazwisko dobrze znane w Szwecji. Najbardziej jednak podniecająca i wyzywająca była tajemnica, jaką ów młody Neo skrywał, i żaden officer na świecie, nie tylko Hasan, nie mógłby spokojnie zasnąć, usłyszawszy takie rewelacje.

Autostradą z Bratysławy do Wiednia jechało się znacznie wygodniej, ale Karol nie lubił tej drogi, bo było na niej dużo policji i kamer. Dlatego pojechał starą dziewiątką wzdłuż Dunaju. Postanowił też zatrzymać się w nadgranicznym Hainburgu i tam w jakimś biurze turystycznym kupić bilet do Sztokholmu. Potem nie będzie miał do tego głowy.

Był już skoncentrowany wyłącznie na zbliżającym się spotkaniu z Abdulem i obmyślał każdy swój ruch, wszystkie zagrożenia i ewentualne konsekwencje. Próbował przewidzieć jego zachowanie. Czy strach pomoże mu się przyznać i wszystko wyjawić, czy wprost przeciwnie? Karol od początku wiedział, że Abdul ma słaby charakter, jest chorowity i delikatny. Mimo to mu zaufał i dał szansę na przeistoczenie się ze sprzedawcy kebabu w bojownika. Taki już był Safir as-Salam ibn Butrus, wierzył w człowieka. Oczekiwał, że udział w walce i rewolucji zahartuje Abdula jak niegdyś jego samego. Dlatego teraz czuł się podle i jego zdrada, czymkolwiek byłaby podyktowana, mogła oznaczać wyłącznie śmierć.

Wszedł do biura podróży TUI. Wylot o jedenastej piętnaście tanimi liniami Air Berlin pasował mu idealnie. Przyłot do Sztokholmu o trzynastej dwadzieścia. Zawahał się chwilę, na kiedy wykupić powrotny. Początkowo zamierzał wrócić za dwa dni, ale uznał, że ma sporo spraw do omówienia z Galem i powinien też od razu spotkać się z Irlandczykami, a ci mogą nie zdążyć przylecieć w ciągu jednego dnia. Postanowił zatem, że zostanie cztery dni, a jak będzie trzeba, zawsze może wrócić wcześniej. Tak to sobie wytłumaczył, jakby nie chciał się pogodzić z ukrytą gdzieś głęboko myślą, że może spotka się z matką. Nie zdążył sobie tego wyraźnie uzmysłwić, bo kiedy tylko próbował ją wspomnieć, natychmiast ogarniała go szalona tęsknota za Zużą, za wciąż niespełnionym wymarzonym spotkaniem. Poczuł, jak zaciska mu się gardło.

Ostatecznie wykupił bilet w jedną stronę. Zapłacił trzysta dwadzieścia euro gotówką, tłumacząc, że jego karta kredytowa ma problem z zalogowaniem.

Dochodziła szesnasta, kiedy zjechał z dziewiątki na zatłoczoną A4. Dotarł do Schwechat na przedmieściach Wiednia. Drogowskaz wskazywał, że do lotniska zostało sześć kilometrów.

Karol zaparkował swojego volkswagena obok blaszanego pawilonu Billi. Najpierw zwolnił z uchwytów kawasaki, potem otworzył tylne drzwi samochodu i opuścił pochylnię. Sprawnie, w kilka sekund ściągnął motocykl na ziemię.

Odstawił samochód sto pięćdziesiąt metrów dalej na ogromny lotniskowy parking i wrócił pieszo do motocykla. Manewr z rozdzieleniem obu pojazdów miał dobrze przećwiczony, bo przeprowadzał go tutaj już piąty czy szósty raz. Doskonale rozpracował cały system monitoringu i ochrony parkingu i wiedział, gdzie należy stawiać samochód i gdzie są martwe punkty. Nikt nie był w stanie powiązać volkswagena na niemieckich numerach z jego motocyklem.

Nawet jeżeli kamera mogła uchwycić mężczyznę w bejsbolówce, to nie mogła zarejestrować jego twarzy.

Poruszanie się samochodem po zatłoczonym Wiedniu było nieporównywalne z szybkością i przyjemnością jazdy na motocyklu, szczególnie w życiu bojownika takiego jak on, dla którego kawasaki KX 450F odznaczał się cudowną siłą i mistyką demona. Jeszcze nigdy Karol nie miał okazji sprawdzić motoru w walce i nawet czuł z tego powodu pewien niedosyt.

Wyjechał na autostradę A4 i pognał w kierunku Wiednia. Na wysokości rafinerii Schwechat samochody zaczęły zwalniać, by wreszcie przejść w dwupasmowy ruch posuwisty z ciągłymi przystankami.

Karol jechał z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę prawym poboczem i minął nawet dwa radiowozy policyjne uwięzione w korku. Wkrótce dołączyło do niego jeszcze dwóch motocyklistów, wyraźnie traktując go jako zająca.

Przejechał wiadukt Schrägseil nad Kanałem Dunajskim i wzdłuż jego prawego brzegu popędził w kierunku centrum. Po trzech kilometrach dojechał do mostu Erdberg, którym wrócił

na lewą stronę kanału. W dwie minuty dotarł do ciągu komunikacyjnego Gürtel i o szesnastej czterdzieści był już w pobliżu dworca West, na Europaplatz, u zbiegu z handlową Mariahilferstrasse.

Naprzeciwno dworca, w kiosku Tobak na stacji metra West, kupił u śniadego sprzedawcy dwie karty telefonów komórkowych T-Mobile po pięć euro sztuka i wrócił do motocykla.

Od jakiegoś czasu miał lekki ucisk w dołku, lecz wiedział, że za chwilę jego system nerwowy wypełni adrenalina i już nie będzie czuł głodu. Zawsze uważał, że gdy wychodzi się z bronią do miasta, lepiej mieć pusty żołądek.

Podjechał pod wejście do hotelu Westbahn, zsiadł z motoru i przez szklane drzwi zajrzał do wnętrza. Następnie przejechał sto metrów dalej i zatrzymał się na parkingu przy bocznym wyjściu od strony dworca West. Spojrzał jeszcze raz na hotel i pomyślał, że Gal dobrze wybrał miejsce na pierwszą próbę lojalności i wierności, które Abdul ślubował kiedyś w imię Allaha.

„Czyż nie widziałeś tych, którzy zaprzyjaźnili się z ludem, na którego zagniewał się Bóg? Oni nie są ani z was, ani z nich; oni przysięgają kłamliwie, a przecież wiedzą! Przygotował dla nich Bóg karę straszną. Zaprawdę, złe jest to, co oni czynili!”. Karolowi przyszedł na myśl fragment sury pięćdziesiątej ósmej i przez moment zawahał się, czy aby dobrze wybrał. Przypomniał sobie jednak, że profesor Ahmed zalecał te właśnie wersy na określenie krzywoprzysięzcy w imię Boga.

Zdjął kask, włożył bejsbolówkę i ciemne okulary, chociaż słońce znikło i zrobiło się szaro.

Kebab, w którym pracował Abdul, był po drugiej stronie dworca, od południa, w głównym holu na parterze, więc Karol nie musiał się obawiać, że zostanie zauważony.

Wszedł do hali dworca West przez automatycznie rozsuwane drzwi. Minął po lewej młodego Araba o dużych, smutnych oczach, który próbował sprzedawać zdezaktualizowane kolorowe magazyny rozłożone w idealnym porządku na kamiennej posadzce.

– *Salam alejkum* – powiedział do niego Safir.

– *Alejkum salam* – odparł z uśmiechem chłopak.

W hali dworca było sporo ludzi korzystających z podmiejskiej kolejki i pobliskiej stacji metra. Safir wszedł do małego sklepiku po prawej stronie i kupił sobie lody, niegroźny posiłek na postrzał w brzuch.

Ruchomymi schodami wjechał na pierwszy poziom i stanął za potężnym filarem. Z tego miejsca mógł obserwować kebab, który był po drugiej stronie hali, i widzieć dokładnie, co się dzieje na dworcu. Był tutaj pierwszy raz, ale jak tylko wszedł, wiedział dokładnie, gdzie powinien się ustawić.

Teraz przyjrzał się uważnie. W białym fartuchu i białej czapce przy kręcącym się walcu mięsa stał Abdul, zwany Tunezyjczykiem.

Karol wyjął z kieszeni telefon Nokia 1101, jakich miał w Warszawie kilkadziesiąt, i włożył pierwszą kartę SIM. Odczekawszy, aż aparat zaloguje się w sieci T-Mobile, wybrał uważnie numer Abdula. W jednej ręce trzymał lody, w drugiej telefon. Twarz zasłaniały mu ciemne okulary i daszek czapki.

Skupił wzrok na mężczyźnie, którego widział w odległości prawie czterdziestu metrów. Mimo pięciu sygnałów Abdul wciąż nie odbierał. Wreszcie z ociąganiem sięgnął do kieszeni fartucha i wyjął telefon. Przez chwilę mu się przyglądał, zapewne próbując sobie przypomnieć, czy zna numer, który się wyświetlił, jednak nie zdecydował się odebrać. Odezwała się automatyczna sekretarka po niemiecku, ale zanim skończyła, Karol się wyłączył.

Zachowanie Abdula było dziwne, jakby się czegoś bał – ocenił. Teraz każdy ruch, każde spojrzenie, każdy jego gest był jak żelazny dowód na słuszność wyroku, który już zapadł.

Ponownie wybrał ciąg cyfr. Druga próba połączenia z tego samego numeru nie mogła już być pomyłką i Abdul, wiedziony ciekawością, w końcu odebrał.

– *Salam*, Abdul – zaczął Karol.

– *Salam* – usłyszał z nieznacznym opóźnieniem i zorientował się, że Abdul go poznał.

– Gdzie jesteś?

– W... w domu... teraz...

– Weź taksówkę i przyjeźdź zaraz do hotelu Westbahn przy Pelzgasse... Wiesz, gdzie to jest?

Obserwował Abdula, jak stoi za ladą z telefonem przy uchu, i mógłby przysiąc, że chociaż jest ciemnym Beduinem, to teraz zrobił się biały jak papier, trzęsły się pod nim nogi, zapadał brzuch, pod włosami pojawił się obfity pot i zaschło mu w gardle.

Nie raz, nie dwa widział ten typ przeraźliwego strachu i nawet z dużej odległości był w stanie wyczuć dziwny, nieokreślony, wstrętny zapach tchórza i zdrajcy. Sam nie bał się nigdy, więc może dlatego z taką łatwością potrafił rozpoznać cudzy strach.

– Chyba przy dworcu... – Abdul nieudolnie grał komedię. – Znajdę. Ale chyba nie przyjadę wcześniej niż za pół godziny... Nie mam samochodu...

– Będę czekał w recepcji. Pospiesz się! Ważna i pilna sprawa. Zaraz muszę wyjechać z Wiednia. Rozumiesz? – Karol rozłączył się.

Przez chwilę obserwował jeszcze Abdula, który stał z otwartymi ustami, wciąż trzymając komórkę przy uchu. Ten widok nawet go rozbawił. Co teraz robi Tunezyjczyk, było oczywiste.

Przede wszystkim musi zadzwonić do swojego oficera prowadzącego i poinformować, że Safir as-Salam ibn Butrus pojawił się w końcu w Wiedniu. Sieć na niego musiała być od dawna przygotowana i teraz wystarczyło ją tylko zarzucić. Karola rozpierała ciekawość, która służba wpadła na ślad Abdula. Anglicy, Niemcy, Izraelczycy... CIA...? Bo na pewno nie Austriacy, ci mogli tylko służyć pomocą. Jako że informację przekazali Irlandczycy, z niemal stuprocentową pewnością obstawiał MI6. To mu zresztą odpowiadało, bo już od dawna chciał zaimponować służbom brytyjskim, pokazać coś, co je zaskoczy i zawstydzi.

Na swój sposób nawet się cieszył, że będzie miał starcie z tym „nieznośnym angielskim krokodylem”, który nieustannie na niego poluje, więc postanowił zrobić z tej sprawy prawdziwe arcydzieło.

Od wyjazdu z Adenu szczegółowo planował każdy krok i starał się nie myśleć o niczym innym, lecz Dzwoneczek pojawiał się mimowolnie. Każde nawet najlżejsze marzenie o niej nie tylko dodawało mu sił, jakby miała jakieś cudowne magiczne moce, ale też utwierdzało go w przekonaniu, że po załatwieniu Abdula Zuza również wpadnie w jego sidła... w jego ramiona.

Przebiegł na drugą stronę Felberstrasse i wszedł do hotelu. Zatrzymał się przy samych drzwiach, tuż obok kosza na śmieci. Recepcjonistka, zajęta rozmową z jakimś starszym mężczyzną, nawet nie spojrzała w jego kierunku. Wykorzystał sytuację i szybkim ruchem wrzucił do kosza swoją nokię 1101, obrócił się i natychmiast wyszedł. Wiedział, że miejscowe służby potrzebują piętnastu minut, by namierzyć numer.

Zapadał zmrok i ruch na ulicach w tym rejonie był niewielki. Przed hotelem opustoszało, gdzieś w oddali majaczyli jacyś pojedynczy przechodnie. Karol założył kask, ale podniósł zaciemnianą szybę.

Spokojnie, wolnym krokiem podszedł do motocykla i usiadł na nim. Nieco z boku, po lewej stronie, miał w polu widzenia wejście do hotelu.

Dziewiętnastowieczny hotel Westbahn na rogu Felberstrasse i Pelzgasse był przeciętnej urody, w nijakim stylu. Dokładnie odpowiadał nazwie, jaką nosił od stu pięćdziesięciu lat. Jednak gdy Karol obejrzał go sobie w Internecie, od razu uznał, że pasuje wprost idealnie do tego, co sobie zaplanował. Wejście było dokładnie na rogu i pozwalało całkiem dobrze obserwować obie ulice.

Spojrzał na zegarek. Od zakończenia rozmowy minęło dwanaście minut. W tym czasie z hotelu wyszła tylko kobieta z dzieckiem, nikt nie wszedł, ruch był niewielki. Nie działo się nic podejrzanego.

Wyjął iPhone'a i połączył się z serwerem plemienia w Sztokholmie. Kod, który podał mu Gal, miał już zapisany na adresie, więc niemal od razu na monitorze pojawił się obraz podzielony na osiem sekwencji. Karol dotknął palcem tej, która odpowiadała kamerze nad recepcją, i zobaczył całkiem wyraźnie recepcjonistkę. Starszego mężczyzny już nie było.

Wsadził rękę pod kurtkę i położył dłoń na beretcie. Spojrzał na zegarek, minęło już osiemnaście minut. Uliczne latarnie zapaliły się jak światła rampy. Karol miał już pewność, że za chwilę coś zacznie się dziać. Żadnego zdenerwowania, niepewności. Nawet teraz, na chwilę przed wielkim show. Wiedział dobrze, że to, co robi, jest poniekąd zbędną fanfaronadą i niepotrzebnym ryzykiem, bo mógłby to przecież załatwić prościej i szybciej, bez tego śledztwa, lecz nie mógł odpuścić sobie starcia z tym, którego określał słowem ON. Z Kapitanem Hakiem. Abdul też się liczył, ale teraz był na drugim miejscu.

– Są! – powiedział na głos, budząc się z rozmyślań. – Jesteście! Najpierw technika... jak zawsze... Oczywiście!

Na Felberstrasse od strony Gürtel pojawił się nieduży ciemnozielony furgon Peugeot Partner z zaciemnionymi szybami. Na drzwiach miał jakieś napisy. Przez przednie szyby, również zaciemnione, nie było widać kierowcy. Karol aż się uśmiechnął z politowaniem i od razu pomyślał, że to nie mogą być Anglicy. To byli oczywiście Austriacy.

Na trzydzieści metrów przed Pelzgasse samochód wyraźnie zwolnił. Zatrzymał się przed skrzyżowaniem, chociaż nie było tam sygnalizacji świetlnej. Bez kierunkowskazu skręcił w prawo i na moment znikł Karolowi z oczu. Tymczasem pod wejście do hotelu podjechał na chwilę biały mercedes, z którego w pośpiechu wysiadło trzech mężczyzn. Dwoch, w marynarkach, weszło do hotelu, a trzeci, w jasnej kurtce, ruszył w górę Felberstrasse. Przeszedł może kilka metrów i już zaczął dociskać słuchawkę w uchu.

Na Allaha! Czy oni muszą wciąż kopiować te hollywoodzkie crapy? Powinni kupować lepszy sprzęt albo robić sobie dokładniejsze badania słuchu... Ciągłe wpychają ten paluch do ucha i mruczą: „Jedynka. Jestem gotowy. Jak mnie słyszysz? Odbiór”.

Karol był autentycznie rozbawiony widokiem mężczyzny w kurtce.

Znów pojawił się peugeot i na moment przystanął przed wejściem. Karol spojrzął na zegarek. Minęły dwadzieścia dwie

minuty. Na iPhone otworzył okienko z widokiem recepcji. Jeden mężczyzna, w ciemnej marynarce, rozmawiał z recepcjonistką, a drugi, w jasnej, stał parę metrów z boku i obserwował otoczenie. Karol przełączył obraz i dostrzegł, że w sali restauracyjnej i westybulu pojawiła się duża grupa ludzi, której dotąd nie zauważył.

Wspaniale! – pomyślał. Wpadliście, panowie!

Mężczyzna w jasnej marynarce zaczął nerwowo wpychać palec do ucha, co mogło świadczyć tylko o jednym. „Houston, mamy problem”. Peugeot ostro skręcił w lewo, wbrew przepisom przejechał szybko na drugą stronę Felberstrasse i zniknął w piętrowym garażu.

Naprzeciwko hotelu, od Pelzgasse, po lewej, zaparkował duży furgon Ford firmy UPS. Jednocześnie na parkingu, na którym stał Safir, jak spod ziemi pojawił się policyjny radiowóz Ford Mondeo z czterema umundurowanymi funkcjonariuszami i zaparkował parę metrów od niego.

Szkoda, że nie mam czasu tego sfilmować! Złota Malina! Fuck... – przeleciało mu przez myśl. Teraz spoko! Ocena! Peugeot z techniki namierzył mój telefon w westybulu. Doskonale! Jacyś pielgrzymi w holu zasłaniają im widok i pole ostrzału, więc faceci w marynarkach pocą się mocniej i grzebią w uszach. W fordzie UPS siedzą chłopcy w kominiarkach i z MP5, mundurowi w radiowozie do zabezpieczenia terenu... Pewnie są jeszcze gdzieś ze dwa samochody, ale ich nie widzę. Przedszkole! *Szklana pułapka 8 i pół...* Bruce Willis made in Austria... ja pier...

Było dokładnie dwadzieścia sześć minut od rozmowy telefonicznej, kiedy w bocznym wyjściu z dworca pojawił się Abdul, a parę metrów za nim kobieta z wózkiem dzieciennym, który popychała, jakby to była taczka z kamieniami.

Karol opuścił szybę w kasku i przyglądał się Abdulowi. Ten, błąd jak ściana, kroczył na sztywnych nogach niczym manekin. Wydawało się, że słyhać jego małe serce, które było tak szybko, jakby zaraz miało się wyrwać z kurzej piersi. Karol pomyślał przez moment, że mógłby teraz odstrzelić go na oczach wszystkich antyterrorystów, tajniaków, wiedeńskich

policjantów i przechodniów, po czym, jak na mistrzostwach Enduro, podnieść na wiwat przednie koło i po prostu zniknąć niczym Ghost Rider w labiryncie miasta, zostawiając po sobie ognisty ślad.

To byłoby piękne! Cudowne! Aż sięgnął odruchowo pod kurtkę i w tym samym momencie dostrzegł zaniepokojone spojrzenie kobiety z wózkiem, zawahał się przez moment i zrezygnował.

Podniósł szybę i spojrział na ekran iPhone'a. W westybulu pojawił się Abdul. Przeszedł energicznie przez salę i usiadł w fotelu. Było oczywiste, że nie ma w uchu słuchawki ani żadnego innego sprzętu na sobie, bo grał tylko rolę przynęty, na którą miał się złapać Karol Hamond alias Safir as-Salam ibn Butrus alias Mirmillo. Żywy lub martwy, ale lepiej żywy.

Uznał, że ma około dziesięciu minut przewagi, by dotrzeć na Albrechtskreithgasse 5a, gdzie mieszkał Abdul. Bez wysiłku jednak dojedzie tam na motorze w niecałe pięć. W linii prostej to dwa kilometry sześćset metrów, a według GPS trzy i pół na północny zachód przez gęstą, symetryczną sieć ulic Ottakring, szesnastej dzielnicy Wiednia.

Dotarł na miejsce w dwie i pół minuty. Zatrzymał się na Rückertgasse między samochodami zaparkowanymi wzdłuż ulicy, dwadzieścia metrów od skrzyżowania z Albrechtskreithgasse. Według GPS dom, w którym mieszkał Abdul, był po lewej stronie, za rogiem, około piętnastu metrów dalej, ale Karol nie widział go z tej pozycji.

Wyjął iPhone'a i połączył się z serwerem plemienia. Abdul wciąż siedział w westybulu, facet w jasnej marynarce zajmował miejsce opodal, a ten w ciemnej gdzieś znikł.

Lampy rozwieszane w poprzek Rückertgasse tylko trochę rozpraszały mrok. Karol siedział okrakiem na motorze, ledwo dotykając stopami ziemi.

Zalogowanie się do wiedeńskiego systemu City Cam zajęło mu dwie minuty, ale – tak jak się spodziewał – widok z kamer o tej porze dnia i przy takim oświetleniu był zupełnie nieprzydatny.

Właściwie mieszkanie Abdula nie powinno być obstawione – pomyślał. Na pewno rzucili wszystkie siły na ten hotel... Może obstawią dom później, jak się zorientują, że telefon jest

w koszu. Pewnie już się połapali, że coś nie gra. Telefon jest w hotelu, a mnie tam nie ma...

Karol rozpoczął szybką analizę sytuacji, bo jedynie w ten sposób mógł ocenić, jak niebezpieczne może być dla niego wejście do domu Abdula.

Muszą dojść do wniosku, że wyczułem lub zobaczyłem coś, co mnie wystraszyło... Tak. Spokojnie, Safir... Abdul wróci na noc do domu – stwierdził. To pewne! I nie wróci sam! To też pewne! Dostanie ochronę, będzie miał kogoś w pobliżu... bo niespodziewanie może się pojawić Safir. A jeżeli ten zorientował się, że Westbahn był obstawiony, to znaczy, że wie o zdradzie Abdula i może chce go zabić... *Fuck!* Jakie to oczywiste!

Wciąż siedział na motorze, ale wyraźnie czuł narastające napięcie nadchodzącego finału. Miał coraz mniej czasu.

Teraz biedny Abdul jest już prawdziwą przynętą! Bo oni wiedzą, że Baza nigdy nikomu nie odpuszcza, a Safir as-Salam w szczególności... Że też wcześniej o tym nie pomyślałem! Ale Abdul wie to najlepiej i powinien się cieszyć, że nie ma rodziny... Jest już jak *a Whiter Shade of Pale*... Allah nie pozwoli mu nigdy zaznać spokoju! *Allah akbar!*

Czteropiętrowy dom pod numerem 5a przy Albrechtskreithgasse nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród setek innych bloków stojących w tej dzielnicy. Karol jednak potrafił go rozpoznać, bo był tu już kilka razy, choć nigdy nie wchodził do środka.

Drzwi wejściowe do budynku stały otworem. Klatka schodowa była wyjątkowo brudna, ściany pomazane pseudograffiti, a klosz nad żarówką już dawno zatracił swoją biel. To wszystko kontrastowało z silnym zapachem kardamonu. Karol bardzo go lubił. Ojciec i profesor Ahmed zawsze dodawali kardamon do kawy.

Miał już wejść na schody, gdy nagle otworzyły się drzwi mieszkania po prawej i wyszło z niego dwóch niskich, krępych chłopców. Spojrzeli ze zdziwieniem na mężczyznę i z kaskiem w rękę i zaczęli z podnieceniem rozmawiać w sorani. Nie znał tego języka, ale potrafił go rozpoznać. Chłopcy z ociąganiem

skierowali się ku wyjściu, wciąż oglądając się za siebie.

Wszedł na pierwsze piętro, przyłożył ucho do drzwi mieszkania Abdula i przez chwilę nasłuchiwał. Próbował sprawdzić, co się dzieje wewnątrz. Mógł tam przecież być jakiś okazjonalny współlokator, choć, jak pamiętał, Gal o nikim takim nie informował. A może jednak ktoś ze służb specjalnych albo z policji... tylko po co?

I tak nie mogę się już wycofać! W imię...

Sięgnął ręką do klamki i bardzo powoli, z wyczuciem zaczął ją naciskać. Naoliwiony zamek pracował cicho, lekko i gdy klamka dotarła na sam dół, Safir delikatnie pociągnął ją kilka milimetrów do siebie, nie pozwalając zawiasom skrzypnąć. Ku jego zaskoczeniu drzwi drgnęły.

Zamarł na moment. Dlaczego drzwi nie są zamknięte? Właściwie zupełnie się tego nie spodziewał. Intuicja podpowiadała mu uporczywie, że skoro już je otworzył, to nie może teraz tak po prostu ich zamknąć. Niezależnie od tego, co jest po drugiej stronie i co się za chwilę stanie.

Włożył rękę pod kurtkę i powoli wyciągnął beretkę. Poczul, że mocno rozgrzana broń jest teraz jak część jego ciała. Włożył kask między kolana, nakręcił tłumik, odbezpieczył kciukiem pistolet i cicho przeładował.

Nie lubię tłumika... broń źle leży – pomyślał i zaczął otwierać drzwi.

Wsunął się cicho do wnętrza i przekręcił za sobą zamek. Kask położył na podłodze. W mieszkaniu panował półmrok. Do długiego i zagraconego przedpokoju wpadało sine światło ulicznej latarni, która musiała wisieć tuż przy oknie. Karol szybko ocenił, że w środku nikogo nie ma. Niepokoił go jednak świeży, ostry zapach przypalonego mleka.

To dziwne! – pomyślał. Skąd wiem, że to zapach mleka?

Z przedpokoju wychodziło troje drzwi. Tylko jedno, w głębi, były zamknięte. Przyjrzał im się dokładnie i w wąziutkiej szparze przy podłodze zauważył światło.

Chwycił oburącz pistolet, wycelował w zamknięte drzwi i ruszył w ich kierunku. Miał do przejścia cztery metry. Doszedł do kuchni po lewej. W pomieszczeniu było ciemno. Dlatego od

razu zauważył niewielki błękitnopomarańczowy płomyk pod garnkiem.

Spalone mleko – zrozumiał i zaraz pomyślał: Tu jest dziecko!

Poczuł się dziwnie. Nagle znikł wróg, a niebezpieczeństwo stało się jakieś nieokreślone. Spojrzał na wycelowany w zamknięte drzwi pistolet i po raz pierwszy w życiu mu się wydało, że to, co teraz robi, jest jak wycięte z jakiegoś durnego amerykańskiego filmu.

Już miał opuścić broń, gdy niespodziewanie otworzyły się drzwi do pokoju, rzucając na niego snop światła, i pojawił się ciemny kontur postaci. W pierwszej chwili Karol chciał strzelić, lecz coś go powstrzymało. Instynktownie poczuł, że ta postać mu nie zagraża, i niemal jednocześnie do niego dotarło, że to kobieta. Dostrzegł, że na rękach trzyma dziecko. Odetchnął. Nie widział jej twarzy. Dziecko chyba spało.

– Sama jesteś? – zapytał po niemiecku, ale kobieta nie odpowiedziała, więc powtórzył po arabsku.

Zrobiła nieokreślony ruch głową.

Zdecydował się opuścić pistolet, bo dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest przerażona widokiem mężczyzny z wycelowaną w jej kierunku bronią.

Cofnęła się powoli do pokoju, a Karol ostrożnie wszedł za nią. Dopiero teraz zobaczył, że to ładna młoda kobieta, prawie dziewczyna, w koszulce i dżinsach. Na rękach trzymała śpiące dziecko, nie więcej niż roczne. Była przerażona. Wyglądała, jakby za chwilę miała krzyczeć. Zaniepokoił się, że może upuścić dziecko.

– Jak masz na imię? – zapytał. – Usiądź i uspokój się. – Pistoletem wskazał jej fotel. – Rozumiesz po arabsku?

Pokiwała głową i usiadła powoli, wciąż przyciskając dziecko do piersi.

– Nie bój się. Nie ściskaj go tak mocno – powiedział łagodnie i schował pistolet za plecami. – Nic ci nie zrobię. Jesteś bezpieczna. – I po chwili dodał: – Idź wyłącz to mleko... spalisz cały dom. – Gdy nie zareagowała, ponaglił: – No, idź!

Rozejrzał się po pokoju. Było to małe pomieszczenie z dziecinnym łóżeczkiem pełnym pluszowych zabawek

i niepościelonym tapczanem. Najwyraźniej kobieta musiała zasnąć, zostawiwszy mleko na ogniu. Przy tapczanie, na stoliku, leżał telefon komórkowy.

Podniosła się, wciąż kurczowo trzymając dziecko, i powoli poszła do kuchni. Karol zabrał w tym czasie ze stolika jej telefon.

– Jak masz na imię? – zapytał, kiedy wróciła.

– Jasmin – odparła drżącym szeptem.

– A on? – Wskazał głową na wtulone w jej pierś dziecko. – To chłopiec?

– Asif.

– Ile ma?

– Prawie rok – odpowiedziała cicho.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu, ale domyślał się, co odpowie, i dodał: – Jesteś żoną Abdula? To jego syn?

Pokiwała głową. Karol poczuł przypływ wściekłości na Abdula. Ale jeszcze większy na samego siebie. Nigdy nie zainteresował się tak prostą i ważną sprawą – czy Abdul ma rodzinę. Wszystkie plany wzięły teraz w łeb. Pogubił się zupełnie, nie wiedział, co ma zrobić. Usiadł na krześle.

Jasmina stała z dzieckiem wciśnięta w kąt, jakby myślała, że tam może znaleźć lepsze schronienie.

Próbował zebrać myśli i coś postanowić. Miał ochotę po prostu wstać i wyjść, gdy ktoś zastukał do drzwi.

Oboje spojrzeli w stronę przedpokoju i zamarli. Karol położył palec na ustach i uspokajającym gestem dał kobiecie znak, żeby została w pokoju. Sam wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Pukanie nie ustawało. Podszedł bliżej i usłyszał wołanie po angielsku:

– Jasmina, otwórz! To ja, Mike! Otwórz!

Z bocznej kieszeni w nogawce wyjął paralizator. Pistolet wsunął za rozpiętą kurtkę. Odsunął się od drzwi, stanął po lewej stronie przy szafie i zwolnił zamek. Niemal od razu otworzyły się na zewnątrz i do ciemnego pokoju wkroczył zdecydowanie jakiś mężczyzna, o pół głowy niższy od Karola.

Stanął zaskoczony, że nikogo nie ma przy drzwiach, i jakby coś wyczuwając, chciał się już odwrócić do stojącej za plecami

postaci, gdy jego ciałem wstrząsnęło potężne uderzenie pięciuset tysięcy woltów. Karol zdążył go podtrzymać wpół, żeby nie upadł, a drugą ręką zatrzasnął drzwi.

Mike nie był wysoki, ale wyjątkowo ciężki. Karol z trudem przeciągnął go do kuchni i położył na podłodze. Zapalił światło i sprawdził, czy żyje. Teraz poznał, że to jeden z tych, których widział w westybulu.

Wyjął z jego kabury sig-sauera P226 i położył na stole. W kieszonce marynarki znalazł telefon komórkowy.

Czuł silne podenerwowanie, bo nic nie szło tak, jak sobie zamierzył. Kobieta z dzieckiem, teraz ten mężczyzna, najprawdopodobniej ze służb albo policji. Naszła go myśl, żeby się wycofać i spróbować kiedy indziej, inaczej to wszystko zaplanować, zastanowić się jeszcze raz. A jeśli na dole czekają koledzy gościa naładowanego elektrycznością? Zdarzyło mu się to już kilka razy, ale zawsze jakoś sobie radził... Postanowił więc ciągnąć akcję, nawet improwizować.

Facet zaczął coś mruzczyć. W wewnętrznej kieszeni jego kurtki Karol znalazł portfel, a w nim legitymację brytyjskiej Security Service na nazwisko Mike Fulman.

Anglicy! Świetnie! Bingo! – ucieszył się. Czekałem na was, panowie!

Nagle zapomniał o zagrożeniu i dał się ponieść nowemu duchowi walki. Poczul się silny, gotowy podążyć za instynktem.

Wiążąc mężczyznę, wyszeptał do jego ucha:

– *Tyger tyger, burning bright in the forests of the night: What immortal hand or eye could frame thy fearful symmetry?* Znasz to, Mike? Na pewno znasz... a jak nie, to... właśnie mnie poznałeś! Jestem Safir as-Salam, Desperado Maczeta!

Położył go na brzuchu i wciągnął za nogi w kąt między lodówkę a szafkę. Oczy zawiązał mu ścierką.

Chwilę później mężczyzna się ocknął.

– Leż tu cicho! – wyszeptał Karol po angielsku. – Rozumiesz mnie?

Tamten poruszył głową.

– Inaczej będę musiał cię zastrzelić... Zrozumiałeś?

W kieszeni Karola odezwał się sygnał SMS-a. Telefon Jasminy, który zabrał z pokoju dziecka. Otworzył kopertę i przeczytał po arabsku: „Będę za 15 minut”.

Znów wspaniała wiadomość! – pomyślał. Drugie bingo! Czekamy na ciebie, Abdul!

Mike Fulman stanowił ochronę Abdula. I nie był to jakiś austriacki policjant, ale oficer z samego Londynu. To było dla Karola tak oczywiste, że nawet nie próbował się nad tym zastanawiać. Cieszył się z tego spotkania, bo dokumenty służbowe Mike’a przydadzą się w Bazie jak znalazł. Nieczęsto można załatwić legitymację służbową Secret Service, czyli MI5, i jeszcze czystego sig-sauera. Telefon, chociaż Blackberry 9800, był całkowicie nieprzydatny.

Karol położył go na stoliku w kuchni i poszedł sprawdzić, co się dzieje z Jasminą.

Siedziała skulona w rogu pokoju, tak jak ją zostawił. Asif ufnie się rozglądał rozespanymi jeszcze oczami. Zatrzymał wzrok na stojącym nad nim mężczyzną, uśmiechnął się i kiedy Karol odpowiedział mu tak samo, rozbawiony i zawstydzony odwrócił głowę i wtulił się w matkę, jakby chciał się schować.

– Wszystko w porządku! Nie bójcie się niczego – zdążył rzucić, zanim zamknął za sobą drzwi.

Usiadł na stołku w kuchni.

– W porządku, Mike? Żyjesz? – Trącił go nogą. – Daliście się zrobić jak dzieci w tym hotelu. Nie wstyd ci?

Mężczyzna poruszył się, ale zdołał tylko coś zamruczeć, zakneblowany ścierką.

– Nie możemy sobie pogadać, bo jak wyjmę ci tę szmatę z gęby, to jeszcze zechcesz być niegrzeczny i zrobić mi jakiś brzydki kawał... a ja... nie mogę ryzykować... Rozumiesz, Mike?

– Karol mówił żartobliwym tonem, pozbawionym głębszego wyrazu.

Był pewny, że Anglik i tak nic mu nie powie z własnej woli, a na zastosowanie przymusu nie miał czasu, bo Abdul mógł wrócić w każdej chwili. A tylko on jeden wiedział, co ujawnił Anglikom, kiedy i dlaczego.

– Fulman jest już na miejscu. Widzisz tę szarą toyotę? To jego.

– Tom Freeden, mężczyzna w jasnej marynarce, zatrzymał samochód na wprost wejścia do domu przy Albrechtskreithgasse 5a. – Mike zostanie u ciebie do jutra. Potem go zmienimy. Okay?

Abdul wyglądał, jakby nie miał ochoty wysiąść.

– Wszystko w porządku. – Freeden położył mu rękę na ramieniu. – Nie bój się! Wszystko jest pod kontrolą – dodał i pochylił się, żeby spojrzeć przez szybę. – W kuchni pali się światło. Pewnie Mike zrobił ci już herbatę i bawi się z Asifem... No, idź już! – zakończył nieco zniecierpliwiony.

Na ulicy było pusto i cicho. Wzdłuż krawężników, w świetle ulicznych latarni, stały ciasno zaparkowane samochody. Freeden, jak tylko pozbył się pasażera, ostro ruszył z miejsca, jakby gdzieś się spieszył.

Abdul przeszedł na drugą stronę ulicy. Postawił kołnierz i oparł się o ścianę. Wiedział doskonale, że Safir jest w jego domu, a Mike Fulman, jeśli żyje, i tak nic mu nie pomoże. Sprawę musi załatwić sam. Nie wątpił, że Safir, dopóki z nim nie porozmawia, nie skrzywdzi Jasminy i Asifa. Po prostu wziął ich jako zakładników, bo wiedział, że to jedyny argument, który może go przekonać, obezwładnić i rozbroić. A on był gotów oddać za nich życie, ratować ich za wszelką cenę. Nie czuł strachu, ale chciało mu się płakać.

Zastanawiał się teraz, czy miał jakieś wyjście i czy mógł to rozegrać inaczej. Jeżeli Baza zorientowała się, że zdradził, to od tego momentu było tylko kwestią czasu, kiedy do niego przyjdą. Wiedział o tym, zanim jeszcze zgodził się pracować dla Anglików i Polaków.

Stał jeszcze chwilę na ciemnej, opustoszałej ulicy. Zrobiło mu się zimno i spróbował szczelniej się okryć przydużą tweedową marynarką.

Wydawało mu się, że jest mały, słaby i opuszczony. Zupełnie bezbronny wobec Safira. Ale nawet przez chwilę nie pomyślał, żeby uciec. Wspomagała go wiara w Allaha, dla którego gotów był poświęcić własne życie w obronie życia innych.

„Nie powątpiewajcie w dobroć Boga! Zaprawdę, w dobroć Boga powątpiewa tylko lud niewiernych” – pomyślał i poczuł

przyплыw siły.

Dotarło do niego z całą mocą, że po prostu musi stawić czoło przeciwnikowi, nawet w tak beznadziejnej sytuacji.

Podszedł do drzwi. Nie zamierzał walczyć z Safirem, choć gdyby mógł go zabić, nie wahałby się ani chwili.

Niech Allah mnie wspiera i doda mi sił – pomyślał i włożył klucz do zamka.

– *Salam alejkum*, Safir! Przyszedłem! Gdzie jesteś?! – rzucił donośnie, gdy tylko zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się w przedpokoju.

Zaniepokoił się, bo poczuł zapach przypalonego mleka. Nie mógł od razu ocenić, co to oznacza, ale każdy na jego miejscu wiedziałby, że mleko musi mieć związek z Jasmimą i Asifem. Drzwi do pokoju dziecka były zamknięte, ale spod nich wydobywała się smuga światła. Nie chciał uwierzyć w to, o czym pomyślał. Czuł, jak coraz silniej drżą mu ręce i nogi.

Dopiero teraz kątem oka zauważył, że w drzwiach do kuchni pojawiła się wysoka postać. Nie widział Safira od kilku miesięcy, ale natychmiast go rozpoznał – wyglądał jak Iblis, jakiś nierealny, przerażający dzin.

– *Alejkum salam*, Abdul! – usłyszał i zdało mu się, że Safir jest nienaturalnie wielki i spogląda na niego z góry, aż musiał zadrzeć wysoko głowę. – Witaj w domu!

Spojrzał w kierunku pokoju dziecka.

– Nic im nie jest... – spokojnie zakomunikował Safir. – Twojemu przyjacielowi z Security Service też.

– Wierzę ci! – odparł Abdul. – Mogę...? – Wskazał na drzwi.

– Idź. Sprawdź.

– Wierzę ci! – powtórzył. – Może później.

Doszedł do wniosku, że nie będzie wchodził do pokoju, bo Jasmima mogłaby się zdenerwować jeszcze bardziej i zrobić coś nieprzewidywalnego. Jeżeli Safir będzie chciał go zabić, na pewno pozwoli mu pożegnać się z rodziną. Gdzieś w głębi serca nie chciał się przyznać, że na ich widok sam mógłby się załamać i uczynić coś, za co zapłaciłby znacznie więcej, niż zaplanował.

Zrobił krok do przodu i zajrzał do kuchni. Zobaczył wystające

nogi Mike'a przywiązane z tyłu do rąk. Teraz był już pewien, że Safir jeszcze nikogo nie skrzywdził. Zauważył w jego opuszczonej dłoni pistolet z długim tłumikiem i drugi, leżący na stole.

– Masz dziesięć minut – odezwał się Safir. – Jak się sprawdzisz, Jasmina i Asif przeżyją... Ten Anglik też! – Lufą pistoletu popchnął Abdula do dużego pokoju oświetlonego przez uliczną latarnię. – Dlaczego ukrywałeś, że jesteś żonaty?

– Nie ukrywałem – odparł Abdul obojętnie i wzruszył ramionami.

Usiadł na starym skrzypiącym fotelu, a Safir wziął jedno ze stojących przy stole krzesel, obrócił je i usiadł okrakiem, podpierając się na oparciu. Pistolet zwiślał luźno w jego dłoni i Abdul przez moment pomyślał, że mógłby zaryzykować skok, ale zaraz zrozumiał bezsens tego pomysłu, bo nigdy w życiu nie strzelał, nigdy nikogo nie zabił, a za śmierć Safira przyszedłoby zapłacić wszystkim członkom jego klanu.

– Twoja żona jest piękna... Ile ma lat?

– Dziewiętnaście.

– Pochodzi z twojego klanu?

– Tak.

– Od dawna tu jest?

– Dwa lata.

– Nielegalnie?

– Teraz już legalnie.

– Załatwili ci Anglicy?

– Tak.

– Za to się sprzedajesz?

– Nie.

– A za co? Kupili cię? Szantażowali? Co cię skłoniło, żeby zdradzić braci? Nie pomyślałeś o żonie... dziecku? – Safir z niedowierzaniem pokręcił głową, a jego suchy głos w ciemnym pokoju zabrzmiał wyjątkowo przerażająco. – Co? Wytłumaczyli ci, że jesteśmy terrorystami, przestępcami, mordercami... i ty w to uwierzyłeś? A gdzie twoja wiara w Allaha? Zapomniałeś słowa Proroka? – Był coraz bardziej podenerwowany. – Nie chodzisz do meczetu? Nie rozumiesz

słów imama? Potrzebujesz pomocy czy co...? Abdul!

Abdul siedział ze spuszczoną głową. Każde słowo Safira dotykało go boleśnie. Raniły go nawet bardziej niż sytuacja, w jakiej się znalazł, i gdyby nie Jasmina i dziecko, rzuciłby się na niego i zaczął walkę. Do jeszcze większej rozpaczyny doprowadzała go myśl, że nie miał szans z nim wygrać nawet w walce na słowa, bo nie potrafiłby dobrze wytłumaczyć, dlaczego zdradził. Nawet teraz, siedząc w tym starym fotelu, na chwilę przed śmiercią, był przekonany, że postąpił właściwie. Czuł to głęboko w sercu i właśnie dlatego uważał, że taka była i jest wola Allaha. Utwierdzała go w tym Jasmina, jego ojciec Tarik i pewien imam z ich meczetu w Wiedniu.

– Nasi bracia przepędzili dyktatorów... budujemy teraz lepsze społeczeństwa... nie trzeba już zbijać... Dżihad musimy obrócić przeciwko naszym ciemnościom, w naszym domu. Wsłuchuję się teraz uważnie w słowa Jusufa al-Kardawiego... – Abdul próbował podjąć wyzwanie i wyjaśnić sens swojej decyzji, ale dobrze wiedział, że jego tłumaczenia brzmią naiwnie, nawet śmiesznie.

– Kiedy do nas przystępowałeś, mówiłeś inaczej.

– Bo był Ben Ali, Mubarak...

– Wiedziałeś, że bez ofiary naszych towarzyszy z jedenastego września nasi bracia nigdy by się nie obudzili... Czy ty nic nie rozumiesz?! Za co Osama oddał życie... stał się wzorem walki i męczeńskiej śmierci dla każdego muzułmanina? – Safir był poruszony. – Abdul! Pomyliłem się bardzo, kiedy zarekomendowałem cię do Bazy. Ale i ty powinieneś być wiedzieć, co na siebie bierzesz!

– Wtedy była inna sytuacja... – próbował się bronić Abdul, ale Safir mu przerwał.

– Koran nie zna królów ani kapłanów. Ani dyktatura, ani monarchia nie są zgodne z islamem. Wiedzą o tym wszyscy, którzy uważnie czytają Koran! A ty nie? – Wyprostował się na krześle i Abdulowi się wydało, że urósł jeszcze o metr. – Nasze bogactwa kradną władcy i ich rodziny, a lud ciemny, niepiśmienny nie ma żadnych praw. I ty, Abdul, myślisz, że jak tłum wyjdzie na ulicę, to kamieniami coś zmieni? Po jednych

dynastiach faraonów przyjdą następne... prędzej czy później, bo krzyżowcy i Izraelici nie są zainteresowani naszym powodzeniem... Boją się nas! Gdyż islam... – Nie dokończył, usłyszawszy dźwięk telefonu.

Wstał i szybko poszedł do kuchni. Na displayu komórki Mike'a, która leżała na stole, wyświetlało się imię Tom. Podał szybko aparat Abdulowi.

– Powiedz, że jest w toalecie! – Pogroził mu pistoletem.

Abdul odebrał i przez moment słuchał, po czym odezwał się sztucznym, obojętnym głosem, jakby chciał powiedzieć coś zupełnie innego:

– Mike jest w toalecie.

Słuchał jeszcze przez chwilę, zanim się rozłączył i oddał aparat Safirowi.

– Czego chciał?

– Rozmawiać z Mikiem. Słyszałeś przecież...

– To wszystko?

– Zadzwoń za kilka minut – odparł Abdul, chociaż w rzeczywistości Tom wcale tak nie powiedział, tylko odparł zwyczajnie: „Okay” – i zaraz się rozłączył. Abdul to wymyślił, bo chciał, żeby Safir już zakończył sprawę. Ta rozmowa była ponad jego wytrzymałość.

– To Al-Kaida daje moc islamskim narodom, wiarę we własne siły i nadzieję na przyszłość. – Safir kontynuował jakby nigdy nic. – To my pokonaliśmy Sowietów w Afganistanie, Amerykanów! To my zwróciliśmy naszemu ludowi dumę, jakiej nie miał od czasów Saladyna. To Osama bin Laden! Dał nam wzór swoim pokornym życiem wobec Najwyższego, pokazał drogę męczeńskiej śmierci na chwałę Allaha... Czy ty tego nie rozumiesz?!

Urwał nagle, pistoletem pchnął go głębiej w fotel i zaczął nasłuchiwać.

– Co im powiedziałaś? – zmienił temat.

– Wszystko.

– To znaczy co? – Safir wciąż nad nim stał, ale Abdul na niego nie patrzył, tylko siedział odwrócony twarzą do okna.

– Wszystko, co wiedziałem. Ale oni byli zainteresowani

właściwie tylko tobą...

– Co ich interesowało?

– Wszystko! – Abdul podniósł głos.

– Wszystko! – powtórzył Safir, jakby to stwierdzenie było więcej niż oczywiste. – Jasne! – I na moment się zamyślił.

– Wyjawilem im wszystko, co wiedziałem. Wystarczy ci?

– Kiedy na ciebie wpadli?

– Nie pamiętam, ale na pewno po naszym ostatnim spotkaniu... Chcieli przede wszystkim dopaść ciebie. To było najważniejsze! Powiedziałem im, że jestem łącznikiem z Irlandczykami, ale ci z IRA ani razu nie zadzwonili... miałem przecież kontakt tylko w jedną stronę. Ludźmi z IRA interesowali się głównie Anglicy, ale nie miałem nic do powiedzenia... przecież wiesz. Żeby ciebie złapać, to najbardziej naciskali Polacy...

– Polacy? – przerwał mu gwałtownie Safir. – Polacy? Jacy Polacy? Kto?

– Było ich dwoje. Spotkałem się z nimi może cztery razy... tu, w Wiedniu, razem z tym Anglikiem... Erikiem...

– Skąd wiesz, że to Polacy? – Safir wyglądał na poruszonego.

– Bo powiedzieli, że są z Polski...

– I co? Co mówili? Jak wyglądali? Co o mnie wiedzą?

– Nie mówili, co o tobie wiedzą, tylko że jesteś niebezpiecznym terrorystą i tak dalej... Najwięcej to mówiła i wypytywała ta kobieta. Wyglądała, jakby miała coś do ciebie... osobiście, ale ważniejszy był ten mężczyzna...

– O co pytała?

Abdul już się zorientował, że Safira nie interesuje nic innego, żadna rewolucja islamska, żaden dżihad, jakby nagle przeszedł jakąś tajemniczą, niezwykłą metamorfozę. Wydawało mu się nawet, że długi pistolet z tłumikiem trzyma w dłoni zupełnie przez przypadek. Pojawiła się nadzieja, ulotna jak dymek z nargili, że może Safir zrezygnuje z tego, co zamierza zrobić.

– O co pytała? Dokładnie! Jak się nazywała... i ten mężczyzna? Jak wyglądają... ile mają lat? Mów!

– Mówili, ale ja nie zapamiętałem, jak się nazywają... – Abdul uczepił się tej kruchej nadziei i gotów był do współpracy. –

Słabo mówili po niemiecku, a ja nie mówię po angielsku.

– Nieważne. I tak nie podali prawdziwych imion. Dalej!

– Ten mężczyzna był wysoki, szczupły... miał takie gęste włosy...

– Czarne?

– Takie jak twoje, ale bardziej siwe. Koło czterdziestki, może więcej. Spokojny, grzeczny... nawet całkiem miły, on był najważniejszy. Mówił, że cię zna i potrafi namówić, abys przestał walczyć. – Abdul uniósł brwi, a Safir się uśmiechnął.

– Śmieszne! Niemożliwe...

– O islamie nie mówił ani słowa... No nie, mówił, że szanują, rozumieją, uznają... ale nic konkretnego.

– A ta kobieta? Co mówiła?

– Tak! Ona tak! Ona mówiła więcej...

– To znaczy?

– Wyglądało, jakby czytała Koran... No... takie miałem wrażenie...

– Jakie wrażenie? – Safir był jak w transie. – Co mówiła?

– Mówiła coś o szejku Saidzie al-Kahtanim, że jej się podobają jego rozsądne poglądy... że islam zabrania zabijania...

– Znaczą, że nic nie rozumie! A Biblia to co...? – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Ale dobrze, że w ogóle coś wie... Co dalej? Mów!

Abdul już nie był przedmiotem tego wieczoru, powoli stał się podmiotem, i gdyby nie powracający wciąż niepokój o Jasmine i Asifa, mógłby wykrzesać z siebie więcej odwagi.

– Nie wiem... co jeszcze powiedzieć...

– Mówili, z jakiej są organizacji... z wywiadu... ABW?

– Ja nie wiem. – Abdul był zdezorientowany. – Ja nie wiem... co to jest!

– No... tak!

Safir zamyślił się i usiadł na krześle w takiej pozycji jak poprzednio. Wydawało się, że z Abdula już nic nie da się wyciągnąć, bo stres, w jakim się teraz znajdował, zaciemniał mu wspomnienia i utrudniał koncentrację.

– Bardzo ładna była – rzucił Abdul. – Blondynka z długimi włosami – dodał, ale Safir wciąż trwał w zamyśleniu. –

Wysoka... niebieskie oczy... bardzo ładna...

Safir podniósł wzrok i spojrzął na Abdula spod przymrużonych powiek. W jego oczach pojawiło się coś dziwnego, niesamowitego i po chwili cała twarz, w sieniej poświacie ulicznej lampy, wyglądała, jakby była wymalowana czystym gniewem.

– Co chcesz jeszcze wiedzieć? – z niepokojem zapytał Abdul. – Wszystko ci powiem... tylko pytaj...

Znów zadzwonił telefon Mike'a i na ekranie wyświetlił się napis „Tom”.

– Odebrać? – zapytał Abdul, ale Safir pokręcił głową i odłożył na stół uporczywie dzwoniący aparat.

Wstał, podszedł do okna, wyrztał dyskretnie na zewnątrz. Od razu zauważył przejeżdżający ulicą znany mu furgon Ford firmy UPS. Zaparkował kilkanaście metrów od wejścia do domu i wyłączył światła. Nikt z niego nie wysiadł. Na ulicy zaległa cisza, nie przejechał żaden samochód, nie było żadnych przechodniów. Jakby Ziemia stanęła. Wydawało się oczywiste, że za chwilę coś się stanie.

Cofnął się do pokoju i stanął tak, żeby nie być widocznym z domu po drugiej stronie ulicy. Abdul też się zorientował, że coś się dzieje. Tego właśnie obawiał się najbardziej, bo akcja komandosów przeciwko Safirowi skończyłaby się niechybnie śmiercią wszystkich obecnych w mieszkaniu. Był tego tak pewny, że chciał się modlić, ale nie mógł się uspokoić, więc nic z tego nie wychodziło. Czuł, że ogarnia go panika, nie może się ruszyć, nie panuje nad swoim ciałem ani umysłem.

Gdy Safir wziął do drugiej ręki sig-sauera, odbezpieczył go i przeładował, Abdul zaczął pleść z miną drewnianego manekina:

– Ona była piękna... tak jak ci mówiłem... wysoka... Podobałaby ci się... wiesz... tylko strasznie dużo paliła... miała taką zapalniczkę... Zippo... wiesz, taką dużą metalową, amerykańską, i ciągle nią strzelała... złotą... – mówił coraz szybciej, jakby chciał ubić interes. – To było takie denerwujące! – dodał poważnym głosem i zmarszczył brwi.

Safir miał wrażenie, że głos Abdula wydobywa się z jakiegoś ukrytego pomieszczenia. Stał nieruchomo przy ścianie małego

mieszkania przy Albrechtskreithgasse 5a w szesnastej dzielnicy Wiednia i czuł, jak krew odpływa mu z ciała, a wewnątrz wypełnia pustka.

Na zewnątrz zatrzeszczał megafon.

– *Karl Hamond! Du bist umzingelt! Raus hier! Hörst du?* – odezwał się ostry, piskliwy niemiecki głos.

Safir powoli uniósł w wyprostowanej ręce beretę z tłumikiem i wycelował ją w Abdula.

Konrad odczekał przy windzie tylko kilka minut, a wydawało mu się, że trwa to w nieskończoność. Myślał nawet, żeby przejść do drugiego budynku i stamtąd wjechać na siódme piętro, ale strzałki ciągle wskazywały, że obie windy jadą na dół.

Gdy w końcu metalowe drzwi się rozsunęły, naprzeciw niego stanął Marek Belik w towarzystwie o głowę niższego Franciszka Kopy, znanego w Agencji Wywiadu jako Plastuś, co zawdzięczał potężnym, odstającym uszom i pękatomu brzuchowi.

Konrad zdziwił się, widząc ich razem, bo Belik pracował gdzieś w bloku C, a Kopa przebywał na placówce w Hiszpanii. Jeszcze przed wyborami wyprosił sobie ten wyjazd u generała Pęka, który szczerze obdarzał swoich totumfackich. Wynik wyborów parlamentarnych był już wtedy przesądzony i wszystkie wierne służby pilnie potrzebowały kryjówek. Zbliżał się kolejny zakręt, tym razem wytyczony przez Partię Gładkiej Gadki.

Franciszek Kopa był rówieśnikiem Konrada i znali się jeszcze z czasów Departamentu I, tyle że Kopa zajmował się wówczas Stolicą Apostolską. Po 1990 roku trafił od razu do Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jakby chciał się gdzieś przyciąć, i pracował tam aż do wyjazdu, dochodząc do stanowiska zastępcy naczelnika.

Nikt w Agencji nie mógł zrozumieć tej niezwyklej kariery, ale najbardziej wszystkich zastanawiało, jak człowiek bez doświadczenia operacyjnego jest w stanie czuć nad bezpieczeństwem wewnętrznym, nie mówiąc już o chwytności szpiegów. Jednak w gruncie rzeczy wszyscy wiedzieli, o co chodzi, bo zadaniem Kopy było tropić przede wszystkim wrogów wewnętrznych. Miał ku temu wyjątkowe predyspozycje, które wyniósł z poprzedniego systemu. Rozwinął je szczególnie za rządów generała Pęka.

Konrad w ułamku sekundy się zorientował, że Belik i Kopa nie spotkali się w windzie przypadkowo. Po zdawkowych „cześć – cześć” udali się każdy w swoją stronę, a on pojechał na siódme piętro w oparach jakiejś taniej whisky. Ich widok nie podzielał

nań krzepiąco i osłabił nieco podniecenie rewelacjami, jakich dowiedział się przed chwilą o Irlandczykach.

– Dzień dobry, Miss MoneyPENNY! – wydekłamał, wchodząc do pokoju sekretarki Szefa, Małgosi, i zrobił gest, jakby rzucał kapelusz na wieszak.

– Daj spokój, Konrad! Nie jestem w dobrym nastroju! – odparła, nawet nie podnosząc oczu znad biurka.

– Co się stało?

W odpowiedzi wskazała ruchem głowy drzwi do gabinetu Szefa.

– Co ci zrobił? Czekaj, zaraz przywołam go do porządku! – próbował ją rozweselić.

– Poprosiłam go o podwyżkę w grupie. Od pięciu lat nic nie dostałam. Marne dwieście złotych... Na co on mi powiedział, że jestem bezczelna, w kraju kryzys i trzeba oszczędzać, a ja domagam się pieniędzy. – Ściszyła głos. – Niech się wali.

– Dobrze powiedziane, Małgosi! Celnie i adekwatnie!

– Czego chcesz, naczelniku? – przerwała mu, nieco zażenowana. – Pewnie z nim pogadać?

Pokiwał głową.

– Nic z tego! Od dwóch godzin siedzi tam Magda...

– Powiedz mu, że mam bardzo pilną sprawę, i zapytaj, czy będzie mógł mnie teraz przyjąć.

Małgosia podniosła słuchawkę i zrobiła to, o co ją prosił.

– Dobrze, szefie... powtórzę... – Spojrzała na Konrada. – Już kończą. Powiedział, że masz czekać.

Czekał parę minut. W tym czasie Małgosia opowiedziała o szkolnych sukcesach swoich dzieci, a Konrad o koszmarnym śnie, w którym rozbił saaba. Zdążyli jeszcze oplotkować Sarę, gdy otworzyły się drzwi gabinetu szefa i wyszła Magda Arendt, naczelnik Wydziału Rozpoznania Operacyjnego, czyli wywiadowczego zabezpieczenia operacji wojskowych w Afganistanie. Pod pachą trzymała plik dokumentów. Na jej pociągłej twarzy malował się ostry grymas wzbogacony silnymi wypiekami, co w połączeniu z krótkimi kasztanowymi włosami dawało sympatyczny i śmieszny zarazem obraz.

Gdy przechodziła obok Konrada, w teatralnym geście

podniosła wzrok i wysylabizowała przez zaciśnięte zęby:

– Ja pier-do-lę!

Często używała tego sformułowania do opisanego swojego stanu emocjonalnego. Nikogo to nie drażniło, bo ten ostry, choć niezbyt bogaty język pasował do tego, czym się zajmowała, jak również do jej atletycznej figury.

Wyszła z sekretariatu, stawiając mocne kroki, i trzasnęła drzwiami, aż budynek zatrzęsł się w posadach.

Małgosia i Konrad nie zdążyli jeszcze oderwać wzroku od drżących wciąż drzwi, kiedy te się otworzyły i ponownie pokazała się w nich ruda głowa Magdy.

– Kurwa! Przepraszam! To nie było do was! – rzuciła z przekąsem, uśmiechnęła się i puściła oczko. – Zadzwoń, Konrad, mam sprawę! – dodała i znów trzasnęła drzwiami.

W ciągu kilku sekund pojawił się w sekretariacie szef AW. Był w koszuli w groszki, bez krawata, za to z dużymi złotymi spinkami w mankietach. Wyglądały jak prezent od CIA albo jakiejś zaprzyjaźnionej arabskiej służby specjalnej. Najpewniej katarskiej.

Sprawił wrażenie, jakby dobrze wiedział, kto trzasnął drzwiami, i wyskoczył, żeby przyłapać sprawcę na gorącym uczynku, kiedy ten robi to po raz trzeci. Bezsens i małostkowość jego zachowania rzucały się w oczy, lecz nie były żadnym zaskoczeniem.

– Zapraszam – odezwał się sucho do Konrada, gdy zauważył, że Magdy już nie ma, i wszedł pierwszy do swojego gabinetu.

Powietrze wewnątrz było tak naładowane elektrycznością, że Konrad miał wrażenie, jakby włosy unosiły się mu na głowie, a gdy dotknął metalowego krzesła i strzeliła iskierka, był już tego pewny.

Odczekał przy stole konferencyjnym przepisową minutę, kiedy Szef stał za swoim biurkiem i z miną człowieka zatroskanego losem kraju przekładał jakieś dokumenty z lewej strony na prawą i odwrotnie, udając, że dobrze wie, co robi.

– Co się stało? Masz jakąś pilną sprawę? Chyba nie jakieś... – nie dokończył, lecz Konrad zauważył w jego spojrzeniu autentyczne zaniepokojenie. Szef Agencji Wywiadu wyjątkowo

nie lubił spraw pilnych i nietypowych.

– O tak, szefie! – nie bez pewnej przyjemności odparł Konrad.
– Mamy niezły pasztet! Obawiam się, że może z tego wyniknąć sporo problemów. Pewnie trzeba będzie porozmawiać z ministrem Wróblewskim, bo sprawa dotyczy obywateli Unii Europejskiej.

Nazwisko ministra spraw zagranicznych podziało na Szefa wyjątkowo deprymująco. Nie znośił chodzić do ministra Tadka, jak go nazywały media, bo uważał się za lepszego niż on, ale Wróblewski tego nie wiedział i traktował go tak, jak na to zasługiwał.

– Słucham. Co się stało? – odezwał się drętwo Szef.

– Na dole, w sali konferencyjnej, siedzi Bill Stenton z SIS. To oficer prowadzący od Anglików w sprawie o kryptonimie „Zaraza”...

– Karola Hamonda? – zapytał z wahaniem.

– Tak. Safira as-Salama ibn Butrusa i tego jego wiedeńskiego łącznika Abdula. Ale dzisiejsza wizyta Stentona nie ma z tym nic wspólnego. – Konrad zaczynał się rozkręcać – Teraz mamy legendę IRA pod przybranym nazwiskiem w towarzystwie innego bojownika, który według Anglików powinien od dwudziestu pięciu lat leżeć na cmentarzu w Londonderry, oraz trzech północnych Koreańczyków. Wszyscy razem spotkali się w hotelu Marriott.

– Skąd wiecie, że to Koreańczycy? – zapytał ze zdziwieniem i wyraźnym zainteresowaniem Szef.

Konrad po kolei przedstawił wszystkie fakty. Niczego nie ubarwił ani nie pozwolił sobie na zbyt dużą swobodę, bo to mogłoby się fatalnie odbić na klarowności decyzji Szefa.

Nieoczekiwane wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nie miał czasu na napisanie raportu, który był konieczny do formalnego zatwierdzenia działań. A odkąd Szef zastąpił generała Pęka – który czasami doceniał spontaniczność i odwagę oficerów, o ile mogły także jemu przynieść jakieś korzyści – bez papieru nie można było prawie nic załatwić. *Tisze jediesz, dalsze budiesz* – to dosadne rosyjskie powiedzonko stało się dewizą szefa polskiego wywiadu.

Po wyborach wygranych przez PGG Konrad miał nadzieję na odbudowę polskiego wywiadu i jego powrót do pierwszej ligi, szybko jednak zszedł na ziemię, wściekły na siebie samego, że wciąż jest taki naiwny. Pomogła mu w tym wydatnie Justyna, która z racji swojej profesji, uroku osobistego i wyjątkowej dziennikarskiej przebiegłości od lat miała dobre wejścia w kierownictwie zwycięskiej partii. To ona pierwsza się dowiedziała, kto zostanie szefem Agencji Wywiadu i czego będzie się po nim spodziewał premier. Zadanie było proste, choć niełatwe do wykonania. Szef miał pilnować, by oficerowie Agencji nie zmajstrowali żadnej afery, która mogłaby sprawić kłopot rządowi, śmiało i efektownie surfującemu właśnie na fali. Innymi słowy: najlepiej, żeby nie wychodzili z budynku przy Miłobędzkiej dalej niż do szpitala MSWiA.

Na początku Konrad przyjmował słowa Justyny z przymrużeniem oka. Ale z czasem musiał przyznać, że była więcej niż dobrze poinformowana. I zrobiło mu się głupio, bo już któryś raz z rzędu ujawnił wobec niej swoją naiwność. Nie dzielił się jednak tymi spostrzeżeniami z nikim oprócz Sary, którą teraz i tak oszczędzał, bo musiała mieć świeży umysł do walki z prokuratorem.

Sprawa Conora Gallaghery, o której właśnie skończył opowiadać Szefowi, miała jednak charakter *fox chase*, czyli każdy ruch Agencji był opóźniony w stosunku do biegu wydarzeń. Albo inaczej – wydarzenia wyprzedzały czas.

Szef o tym wiedział, bo w służbach specjalnych pracował już kilkanaście lat, choć znał je najlepiej od strony swojego gabinetu i dokumentów. Rozumiał jednak, co to jest sprawa typu *fox chase*, i było dla niego jasne, że będzie musiał podjąć decyzję bez formalnego raportu Konrada. Dlatego od dwóch minut w gabinecie panowała cisza.

Delikatnie kiwająca się w przód i w tył głowa Szefa, ściągnięte brwi i bębniące po szklanym blacie palce wskazywały niezbicie, że za chwilę zapadnie decyzja.

– Uważam, że powinniśmy przekazać tę sprawę ABW. Nie widzę innego rozwiązania. Niech generał Barka rozmawia z ministrem Wróblewskim. Ja zadzwonię do szefa stacji CIA

i poinformuję, że mamy czerwonych Koreańczyków w Polsce. Pewnie bardzo się ucieszy – stwierdził z przekonaniem i przypieczętował pomysł mocnym stuknięciem palcami o blat.

Informacje od Justyny po raz kolejny się potwierdziły, lecz Konrad właśnie tego się spodziewał i był przygotowany na taką decyzję Szefa.

– Też tak uważam! – odparł twardo. – To sprawa dla ABW! Potrzebne będą ekipy obserwacyjne... technika... podsłuchy... To duże przedsięwzięcie!

W uznaniu dla jego rozsądku Szef pokiwał mocniej głową i wyglądało na to, że sprawa jest załatwiona.

– Mam zadzwonić do Barki, żeby przyjechał? – Szef podniósł się, dając do zrozumienia, że gotów jest bezzwłocznie to uczynić.

Nadszedł czas na ruch Konrada.

– Wstrzymałbym się chwilowo z jakimikolwiek posunięciami, a szczególnie z informowaniem Amerykanów. Musimy najpierw poczekać na wynik rozmowy Billa z Gordonem... George'em Gordonem. Nie jestem pewien, czy Anglicy byliby z tego zadowoleni... no... w końcu mamy na widelcu IRA, a to niekoniecznie musi być ten sam problem dla CIA co dla MI6.

– No tak, to prawda...

– Proponuję zrobić tak... – wtrącił Konrad, przekonany już, że wszystko pójdzie po jego myśli. – Przekażemy sprawę ABW, jak tylko się zorientujemy, o co w tym wszystkim chodzi. Wtedy niech sobie Barka rozmawia z ministrem Tadkiem. Na razie wiemy jeszcze zbyt mało i nie warto sprzedawać kota w worku. Mamy północnych Koreańczyków w Warszawie, i to in flagranti, a to wartość sama w sobie. Sprzedamy ich Wielkiemu Bratu, gdy cena towaru odpowiednio wzrośnie. Jeśli jankesi dowiedzą się o sprawie teraz, to będziemy mieć ich na głowie od rana do nocy i wyjdzie z tego wielki szit. Nie możemy zresztą podejmować decyzji sami... trzeba ją uzgodnić z wywiadem brytyjskim...

– No... właściwie tak... – wtrącił niezadowolony Szef.

– Sprawa jest delikatna, bo Conor Gallagher to legenda, obywatel zaprzyjaźnionej Irlandii... no... Unii Europejskiej,

choć komunistą, osobą publiczną, polityk...

– No... kurwa, rzeczywiście! Zapomniałem! – rzucił lekko naburmuszonym tonem Szefer i uśmiechnął się delikatnie na myśl, że minister Tadek będzie miał problem do rozwiązania, a tę zabawę będzie musiała zjeść ABW.

– Otóż to, szefie! My sklejmy temat, będziemy wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, i dopiero wtedy oddamy sprawę ABW. – Konrad rzeczywiście tak uważał, a cały jego wybieg polegał na tym, żeby Szefer nie poinformował zaraz o wszystkim CIA i na razie pozostawił sprawę w gestii AW, bo w innym wypadku mogłaby się zakończyć, zanim na dobre by się zaczęła, a to nie przyniosłoby niczego dobrego ani Polsce, ani światu.

Gdzieś w głębi duszy czuł, że trafiła mu się sprawa niezwykła, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie prowadził. IRA, Koreańczycy... To było nowe wyzwanie, niezwykle i niesamowite. Żaden rasowy oficer nie wypuściłby czegoś takiego z rąk. W Wydziale „Q” wszyscy czuli podobnie jak Konrad. Tego przecież ich uczył i wiedział, że gdyby wrócił na dwudzieste piętro z inną decyzją, nie mógłby już dłużej być ich przywódcą. Wydawało mu się, że nikt oprócz nich nie jest w stanie rozwikłać tej zagadki. I choć w rzeczywistości wcale tak nie było, wszyscy w Wydziale myśleli tak samo.

– Chyba masz rację. Tak trzeba zrobić! – Szefer skwitował pomysł Konrada, wkomponowując się niemal idealnie w jego małą manipulację. – Ale informuj mnie na bieżąco o postępach i... na miłość boską... bądźcie ostrożni! Żadnego szaleństwa! – zakończył zatroskany bynajmniej nie o bezpieczeństwo oficerów, lecz swoje własne, bo przed oczami stanął mu OSOBIŚCIE, w czarnym garniturze, wysportowany premier rządu RP.

Nie minął tydzień od spotkania z Miszą Popowskim, kiedy dzwonił prywatny telefon komórkowy Jagana i wyświetlił się napis „Ukryty”.

Jagan siedział na sedesie w swojej lustrzanej łazience i czekał, aż umilknie ostatni, jedenasty dzwonek, po którym włączy się automatyczna sekretarka. Zawsze tak robił, a potem sprawdzał, czy rozmówca zostawił wiadomość i czego chciał. Jeśli ktoś miał do niego ważną, ale niekoniecznie pilną sprawę, nigdy się nie nagrywał. Nagranie głosu było jak zostawienie wizytówki ze zdjęciem i odciskami palców, więc decydowano się na to tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Dobrze o tym wiedział każdy, kto poważnie traktował służbę w rosyjskim wywiadzie, a szczególnie oficerowie oddziału Gamma.

Telefon się wyłączył, ale nie pojawiła się informacja, że jest wiadomość w skrzynce.

– Nooo... dzwoń! – Jagan siedział z opuszczonymi spodniami i liczył do trzynastu.

Gdy powiedział na głos: *Trinadcat* – telefon zadzwonił.

Nacisnął zielony przycisk.

– Jagan? – usłyszał po chwili niski męski głos, który od razu przypadł mu do gustu, bo nie zaczął jakimś tam *priwiet!* czy głupim pytaniem „Andriej Trubow?” albo, co gorsza, *dobryj dzień!*

– Czego? – odparł Jagan przez zaciśnięte gardło, bo miał właśnie kulminację.

– Ja od Miszy – oznajmił tamten, ale nie doczekał się odpowiedzi. – Jesteś tam? Co z tobą?

– Nic. Sram!

– Skończyłeś?

– Kończę.

– To wytrzymaj otwór, wciągnij sztany i posłuchaj... starszyna! – rzucił beznamiętnie i Jagan poznał język dowódcy. Od razu pomyślał, że to właśnie jest ten ktoś od Popowskiego, kto ma mu pomóc w polowaniu na Bogajewów. Zapowiadał się dobrze.

– O jedenastej przed wejściem do Teatru na Tagance. *Poniał?*

– Czekaj... – Jagan szukał papieru toaletowego. – Chwila!

– Nie byłeś w teatrze czy co?

– Czekaj... już... – Znalazł papier. – Byłem! Oczywiście, że byłem! Co... idziemy na przedstawienie? – W końcu zaczął się kontrolować. – Wysocki tam śpiewał... nie?

– Co ty pierdolisz? Nie wiem! O jedenastej! – rzucił tamten bojowo i wyłączył się.

Jagan wciągnął spodnie i spuścił wodę. Długo już czekał na telefon człowieka od Popowskiego i pomyślał z radością, że wreszcie ma towarzysza i zacznie się bój. Poczł się dobrze, tak dobrze, że mógłby nawet niechcący zrobić sobie krzywdę.

Musiał się otrzeć o wysokie góry... *parień*... O jedenastej... czyli mam jeszcze dwie godziny dwadzieścia dwie... no... dwadzieścia pięć. Mnóstwo czasu!

Poszedł do pokoju i zaczął szperać na półce regału. Wyciągnął płytę z piosenkami Michaiła Szufutinskiego, włożył do CD i wybrał numer 5. Pokój wypełnił ciepły, mocny i nieznacznie ochryply od wódki głos:

Cyganka s kartami, doroga dalnaja,

Doroga dalnaja – kazionnyj dom...

– Bładź! – powiedział Jagan i pomyślał: U nas nawet Żydzi śpiewają rosyjskie pieśni tak, jak my chcemy, żeby brzmiały! No, kurwa, gdzie jest drugi taki kraj?! Żyd w czerkiesce!

Wyjął ubranie z szafy i rozłożył je na tapczanie, symetrycznie i starannie. Wziął szczotkę i zaczął rozczesywać włosy. Wydało mu się, że zrobiły się jakby gęstsze i dłuższe, a czarne ubranie – bardziej czarne. Wybrał czarne pięćsetjedynki Levisa i koszulę z długimi rękawami Wranglera.

W Rosji jest porządek. Żydzi służą państwu tak jak wszyscy obywatele, a nie jak w Ameryce... że państwo służy Żydom... Co on z tym teatrem? – przypomniało mu się. Sadzi się panisko! Życie to dopiero teatr! Zobaczysz!

Zdjął trykotową koszulkę, powąchał się pod pachami i spryskał dezodorantem.

Mógłbym coś o tym napisać... Pisać?

Obrócił się tyłem i przez ramię sprawdził w lustrze, czy smok jest na swoim miejscu.

*Taganka, wsie noczy pońnyje ognia,
Taganka, za czem zgubiła ty mienia?*

Szufutinski dawał z siebie wszystko i Jagan zaczął śpiewać razem z nim, chociaż to Żyd.

Włożył spodnie, koszulę i stanął boso przed lustrem. Przejrzał się i uznał, że czerń nie jest jednak tak czarna, jak powinna być, by ukazać swój dramatyzm i potęgę.

W teatrze byłem w sumie ze dwa razy... – pomyślał, zaczesując włosy do tyłu i ściągając je w koński ogon. Ostatnio w dwa tysiące drugim na przedstawieniu Mowsara Barajewa w Teatrze na Dubrowce, a poprzednio... Kiedy to było? – zastanowił się przez chwilę. Byliśmy ze szkołą na wycieczce w Moskwie... Ach, tak! W teatrze Obrazcowa... kukielki jakież były! Pamiętam! Rzeczywiście!

Uśmiechnął się do siebie w lustrze, zadowolony, że pamięta takie szczegóły. Ale samego Obrazcowa nigdy nie widział.

Kukielki na zegarze nad wejściem do teatru Obrazcowa... godzina jedenasta... Godzina Wilka. To był prawdziwy horror! Dobry tytuł dla filmu. Od tej godziny Gorbaczow zezwolił na sprzedaż wódki w Rosji... i tak skończył... Bładź! Jaki, kurwa, głupi był ten Gorbaczow!

Ściągnął mocno włosy z tyłu i spiął je czarną gumką.

Rosja jest wielka! Jak się ktoś napierdolił we Władywostoku, to mógł tak pić przez całą podróż Koleją Transsyberyjską do Moskwy... Jak to było możliwe, że Rosjanie w Petersburgu i na Kamczatce nie mogli się razem napić? Nic dziwnego, że Sojuz się rozpierdolił.

*Taganka, ja twój na wieki ariestant,
Pogibli siła i tałant w twoich stienach!*

Szufutinski skończył śpiewać, a Jagan usiadł na tapczanie i włożył czarne skarpetki. Przez moment pomyślał, że jakoś mu nie pasują ostatnie słowa piosenki, i postanowił przez pewien czas nie słuchać tego Żyda. Już lepszy Siergiej Russkich albo Rastorgujew!

Wysiadł na stacji metra Taganska i jak tylko wyszedł na powierzchnię, przy krawężniku zatrzymało się granatowe audi Q7 z przyciemnionymi szybami. Otworzyło się okno i Jagan

zobaczył ciemnego blondyna zaczesanego do tyłu, grubo po trzydziestce. Miał tak wąskie usta, że były prawie niewidoczne w okrągłej twarzy, a ciemne oczy z fałdami na powiekach wydawały się hipnotyzować. Musiało coś w nich być, bo przez sekundę i smok poruszył się nerwowo.

– Wskakuj – odezwał się mężczyzna i jego twarz znikła za szybą samochodu.

– Skąd wiedziałeś, że wyjdę z metra od tej strony? – zapytał z nieukrywanym uznaniem Jagan, kiedy tylko zatrzasnął za sobą drzwi.

– Andriej Batyszkin – przedstawił się tamten. – Popracujemy razem...

– W porządku! – wciął się Jagan. – Cieszę się!

Nie kłamał, bo Batyszkin zrobił na nim jak najlepsze wrażenie. Czuć było twardziela, zawodowca. A Jagan błyskawicznie potrafił przejrzeć człowieka.

– Mówią mi Giena.

– Okay! – skwitował Jagan. Lubił to imię. – Nie będzie dwóch Andriejów. – Z powagą pokiwał głową.

Batyszkin ruszył ostro, zawrócił niemal w miejscu i zaczął mocno przyspieszać ulicą Wierchnią Radiszczewską, aż Jagana wcisnęło w fotel.

– V12 TDI, pięćset koni, tiptronic, quattro – oznajmił bez emocji Batyszkin, jakby czytał w jego myślach.

– Prywatny? – zapytał Jagan z niedowierzaniem.

– Służbowy... Zawiezie nas do Polski.

– Super. Świetnie!

Jagan ucieszył się na samą myśl, że będzie prowadził taki samochód, ale zaraz się skarcił, bo nie powinien się podniecać w obecności Gieny, żeby nie tracić rezonu. Batyszkin był opanowany i chłodny, więc on też postanowił, że dorówna mu klasą.

Ale coś takiego jak Q7 wyzwała w każdym mężczyźnie zwierzę i trudno się opanować – skonstatował na swoje usprawiedliwienie.

Batyszkin naciskał gaz, jakby był sam w mieście, ale Jagan nie widział w tym żadnego szpanu. Sam też by tak zrobił.

Po trzystu metrach audi skręciło w lewo i krótkim łącznikiem dojechało do ulicy Gonczarnej. W perspektywie ukazała im się na moment w całej okazałości siódma empirowo-stalinowska Wysotka Kotielniczeska, która dominowała nad wszystkimi innymi domami w tym rejonie. Skręcił znów w lewo w Pierwy Kotielniczeski Pierieulok i ostrym zjazdem zjechał w dół do rzeki Moskwa.

Jagan nie pytał, dokąd i po co jadą. Giena nie wyglądał na kogoś, kto traciłby czas na jakieś pierdoły. Jechał, bo pewnie miał w tym jakiś cel, i jasne było, że zaraz się okaże jaki.

Po prawie trzystu metrach Batyszkin mocno przyhamował i skręcił w prawo, aż zarzuciło tyłem samochodu. Wjechał w wąską bramę i po chwili zatrzymał samochód pod drzewami na placyku przy cerkwi Mikołaja Cudotwórcy. Byli zupełnie sami. Jagan już chciał pochwalić Gienę za krótki pokaz wyczynowej jazdy miejskiej, kiedy ten odezwał się pierwszy.

– Posłuchaj, Trubow, jak się sprawy mają – zaczął, gdy tylko wyłączył silnik. – Prosiłeś Popowskiego o pomoc w sprawie rodzeństwa Bogajewów i masz to załatwione. Michaił wszystko mi opowiedział, więc oszczędzaj słowa...

– Rozumie się!

– Pokaż, kurwa, te tatuaże, bo nie mogę uwierzyć! – wtrącił niespodziewanie.

– A co...?

– No pokaż!

Jagan rozpiął rękawy i wyciągnął obie ręce.

– Nooo... nie wierzyłem... ale mam nadzieję, że z twoją głową jest wszystko w porządku, bo inaczej wypisuję się z tej roboty.

– Batyszkin po raz pierwszy uśmiechnął się jakby z uznaniem.

– Żartowałem! Masz dobrą opinię. Jeżeli Misza daje ci gwarancję, to nie mnie ciebie sądzić... Czekać! Dlaczego mówią, że ty jesteś Nexus?

– Błądź! Jaki Nexus?! Co wam wszystkim odwaliło? – obruszył się Jagan. – Co jest grane?

– W porządku... nic... ja tylko tak... – Batyszkin wycofał się nieudolnie. Wolał nie drażnić Jagana, bo słyszał, że jest mocno przewrażliwiony na swoim punkcie. – Ale dobrze, że sobie

zrobiłeś tatuaż na wewnętrznej stronie ramion... możesz chodzić z krótkimi rękawami, nie?

– Jak wszystko wiesz, to co robimy? Będziemy jeździć po Moskwie?! – Jagan zmienił temat, bo wyczuł, że Gienie zrobiło się głupio. Chciał mu pomóc się wycofać i w końcu pozwolić dowodzić.

– To mi się podoba, Andriej! – zaczął Batyszkin. Jagan zdziwił się, bo odkąd zmarła jego matka, nikt nie mówił do niego po imieniu, i zrobiło mu się dziwnie miło. – Wygląda na to, że wymyśliłeś poważną operację wywiadowczą i przyczynisz się do umocnienia bezpieczeństwa naszej ojczyzny, Federacji Rosyjskiej.

– Giena... co ty... co jest?

Jagan był autentycznie zaskoczony i reagował jak dziecko. Nikt tak pięknie do niego nie mówił ani na Kaukazie, ani na Dubrowce, ani nigdy. Nawet wtedy, gdy miał zlikwidować jakąś szmatę, zdrajcę, terrorystę albo wysadzić coś tu czy tam. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Giena, jak przystało na dobrego oficera wywiadu rosyjskiego, cynicznie nim manipuluje. Tak czy inaczej Batyszkin kupił jego serce tymi prostymi słowami. Musi jeszcze tylko sprawdzić się w boju, ale to wyglądało na zwykłą formalność. Smok przeciągnął się zadowolony, aż Jagan poczuł ból.

– Z grubsza rzecz wygląda tak – zaczął Batyszkin. – Michaił przedstawił sprawę... towarzyszowi generałowi... i zrodził się pomysł, żeby ją wykorzystać do przypierdolenia emigracji terrorystycznej...

– Komu?

– Czeczenom i wszystkim innym gołoworiezom, kozłom od Umarowa, Maschadowa i jakiego tam jeszcze komendanta wiejskiego czy miejskiego...

– W porządku! Rozumiem!

– Mówiąc krótko, mamy odnaleźć Bogajewów w Polsce, a potem nasz MSZ i FSB ogłoszą na cały pieprzony świat, że Polacy dają schronienie terrorystom od Muhamedowa albo z Al-Kaidy. I że tak bardzo nienawidzą Rosji, że chcą jej jeszcze dodatkowo zaszkodzić... i to wbrew międzynarodowej koalicji

antyterrorystycznej...

– Aha! To ciekawe! Rozumiem – wtrącił Jagan, choć nie bardzo chwycił, o co chodzi.

– To jest wersja numer jeden. – Batyszkin uniósł kciuk. – Jest też wersja numer dwa. – Dołączył drugi palec. – Odnajdujemy Bogajewów, a potem robimy tak, żeby cały pieprzony świat się dowiedział, że Czeczeni razem z Al-Kaidą przygotowywali jakiś zamach terrorystyczny w Polsce. Kto jak kto, ale Polacy to też dzikusy, pognają czarnuchów gdzie pieprz rośnie. Czyli wyruchamy Czeczenów tak czy inaczej!

– Nooo... to poważna operacja! Jeszcze w czymś takim nie uczestniczyłem. Ale czegoś nie rozumiem, Giena. – Jagan zamyślił się i po chwili zapytał: – No to jak? My mamy ich złapać i co dalej...? Przecież mieliśmy te diabły odstrzelić, żeby nikogo już nie...

– No widzisz, Andriusza! – Giena przerwał mu w pół słowa. – I dlatego jedzie z tobą na tę robotę oficer rosyjskiego wywiadu, kapitan Andriej Gierasimowicz Batyszkin. Żebyś nie spalił połowy Polski i żeby z tej sprawy wynikło dla nas coś dobrego... nie tylko cztery trupy.

– Czyli co? – Jagan był nieco zdezorientowany.

– A teraz popatrz! – Batyszkin uniósł trzeci palec. – Jak nam nie wyjdzie z jakichś powodów paluszek jeden i dwa, to zostanie trzeci. I to jest... ten... twój paluszek. – Złożył dwa palce, pozostawiając w górze trzeci, serdeczny. – Wtedy pierdolić terrorystów! Będzie po twojemu.

Na takie słowa Jagan czekał. Jakieś tam pomysły z Polakami, co kto będzie z tego miał, mało go interesowały, i to nie tylko dlatego, że nie bardzo rozumiał, o co chodzi. On wiedział, że Bogajewowie nie mogą ująć spod jego ręki. I po to wybierał się do Polski.

– Musisz też wiedzieć, że jedziemy bez formalnego raportu i robota jest trochę na lewo.

– To znaczy, że co?

– To znaczy, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to dostaniesz buzi, a jak nie... to nikt się do nas nie przyzna i zakopią cię w niepoświęconej ziemi... Mamy powody przypuszczać, że

gdyby Polacy dowiedzieli się o naszej misji, to mogliby nam zrobić jakiegoś psikusa, a teraz nie możemy sobie na to pozwolić.

– Eee... co tam... – Jagan w ogóle się nie przejął. – Zawsze mi się udaje! – dodał i pomyślał z żalem o Tatarze i Kosowie, ale na wspomnienie o Zorinie z wyklutymi oczami od razu poczuł przypływ wściekłości.

– O szczegółach porozmawiamy po drodze. Będziemy mieć dużo czasu. – Batyszkin mówił Jaganowi tyle, ile trzeba, ale nie kłamał, żeby się potem nie wysypać przez przypadek, bo Jagan był przewrażliwiony na tym tle. – I żeby było jasne, Andriusza! – Zmrużył oczy. – W tej misji ja dowodzę i nie ma żadnej dyskusji. Wykonujesz moje polecenia bez zbędnego komentarza i ociągania. Wiem, że jesteś dobrym żołnierzem i nie trzeba ci tego powtarzać, ale dla porządku...

– Nie ma sprawy.

– Tylko ty potrafisz rozpoznać Bogajewów. Nie mamy ich zdjęć ani niczego innego, ale mówią, że masz niezwykłą pamięć do twarzy... fotograficzną albo jeszcze lepszą...

– Czy ja wiem... – odparł Jagan i pomyślał z radością, jaki był przezorny, wręcz przebiegły, nie zdradziwszy nikomu, że ma portrety Bogajewów, nawet teraz w kieszeni.

Wzięliby te rysunki, a mnie zwyczajnie wydymali... Tyle bym ich widział! A tak bez Andriuszy nic... ni chuja... Taki już, kurwa, jestem, że potrafię wyczuć każde niebezpieczeństwo!

Oparł się mocno o fotel, przycisnął smoka i odchylił do tyłu głowę.

– Mam tak, że jak pamiętam twarz, to nie pamiętam nazwiska, i na odwrót... Nie wiem, tak już jakoś mam, bładź! Te diabły pamiętam, jakby to było dzisiaj, i rozpoznam je, choćby przebrały się za anioły... Wiesz, dlatego musiałem sobie wytatuować ich imiona... choć mogłem i gęby. – Uśmiechnął się sztucznie, ale Batyszkin nie mógł tego zauważyć.

– W porządku, Jagan! Bez ciebie nic nie zrobimy – odparł Giena. Wcale nie wziął wyvodu Trubowa za jakieś majaczenie, bo byli tacy, co wiedzieli, że to prawda, i dlatego nazywali go Nexusem. – Ale i ty bez nas ich nie znajdziesz. W Polsce mamy

człowieka, który nam pomoże ich odszukać.

– Kiedy jedziemy?

– Jutro!

Jagan spojrział z niedowierzaniem na Batyszkiną i chciał już o coś zapytać, ale zrezygnował, bo odpowiedziało mu jednoznaczne kiwanie głową.

– Dokładnie jutro! Jedziemy jednak dookoła świata. Coś ci pokażę. – Batyszkin wysiadł z samochodu i przeszedł na tylne siedzenie. – Zobacz!

Pociągnął za wystający ze szpary pasek i uniósł fotel jak wieko skrzyni. Jagan musiał się mocniej wychylić, by widzieć, co robi Batyszkin.

– Przyjrzyj się! – rzucił Giena. – Zapamiętasz? Przekręcasz te dwie śruby i otwiera się nasz skarbiec... widzisz?

Pod siedzeniem mieściła się skrytka sześćdziesiąt na dwadzieścia pięć i głębokości dziesięciu centymetrów. Wewnątrz były ułożone równo tablice rejestracyjne, a do nich przypięte kieszenie z dokumentami.

– Jedziemy do Finlandii. Tam zmieniamy numery na łotewskie. – Batyszkin wyciągnął ze schowka blachy. – Do każdego numeru są odpowiednie dokumenty rejestracyjne i nasze paszporty. – Pokazał Jaganowi przyczepione kieszenie. – To jest zrobione tak, żebyśmy się nie pomylili. Na Litwie zmieniamy numery na fińskie, a w Polsce na litewskie. W drodze do granicy polskiej jesteśmy rosyjskimi biznesmenami z Helsinek, po jej przekroczeniu – biznesmenami z Litwy. Za samochód i zmianę numerów ty odpowiadasz i będziesz tego pilnował... Przećwiczymy wszystko po drodze... Schowek jest odporny na prześwietlenie.

– Co tu ćwiczyć, Giena? Robiłem to sto razy! – Jagan puścił do niego oko i wychylił się jeszcze mocniej, żeby przyjrzeć się skrytce. Szybko ocenił, że jest w niej wystarczająco dużo miejsca na jego zdobycznego skorpiona i zapas amunicji, i pomyślał, że wszedłby jeszcze pistolet. – A gdzie jest broń? – zapytał, chociaż znał odpowiedź.

– Jak znajdziemy Bogajewów i trzeba będzie realizować wariant trzeci, broń dostarczy nam nasz człowiek w Polsce –

odparł Batyszkin.

– Czyli tak jak zawsze. – Jagan ze zrozumieniem pokiwał głową.

Jednak tym razem nie zamierzał polegać na utartych schematach. Dotąd to zawsze on dostawał rozkazy, zlecenia i realizował plan zatwierdzony przez Centralę. Ktoś określał cel i zasady jego osiągnięcia, wyznaczał granice i środki. Tak było ostatnio w Szwecji, w Groznm, tak było zawsze. A skończyło się śmiercią kolegów. Mimo to cel został osiągnięty. Chociaż śmierć formalnie nie była częścią planu, to zawsze było wiadomo, że jedzie tym samym samochodem.

Teraz miało być inaczej. To była jego sprawa, jego zlecenie na Bogajewów i jego pomysł. Nie mógł już dłużej odkładać zemsty, bo czuł, że oszaleje. „Jak pewien duński król” – mówiła Gala. Pewnie dawno już by się to stało, gdyby nie smok, który nad nim zapanował, uspokoił go i dodał mu sił. Jagan już dawno zapomniał, jak wyglądał jego kizlyar, a wciąż na samą myśl o nim ogarniała go wściekłość i rozgoryczenie.

Po raz pierwszy to była jego sprawa osobista, a nie jakaś polityka, z Polską czy przeciw Polsce. Nie miał nic do tego kraju. W końcu Matuszka Rossija też mogła coś zrobić dla swojego syna.

Giena w mig to zrozumie, jak mu wyjaśnię szczegóły... jeżeli chce wyjść z tego cało – pomyślał. Jest dobrym żołnierzem, to widać i czuć! Zrozumie.

Batyszkin i Trubow rozmawiali jeszcze dziesięć minut. Okazało się, że Jagan ma zabrać na noc audi, ponieważ wyjeżdżają o świcie, a Giena mieszka w Dołgoprudnym w północnej Moskwie, dokładnie po drugiej stronie miasta, w dodatku w pobliżu trasy do Petersburga.

Jagan odwiózł więc Batyszkina do stacji metra Taganska.

W ciągu trzydziestu sześciu minut rozmowy ani przez chwilę nie pomyślał o nim źle. Intuicja mu podpowiadała, że z kimś takim jak Giena dopadnie Bogajewów, gdziekolwiek się ukryli. Postanowił jednak, że o prywatnej broni w schowku powie mu dopiero po przekroczeniu fińskiej granicy.

Nie powinien się niepotrzebnie denerwować – pomyślał

z sympatią o nowym koledze, partnerze, może kiedyś przyjacielu.

Zanim ruszył spod stacji, wyjął telefon i zadzwonił do zielonowłosej Gali. Pomyślał, że skoro jedzie na ostrą robotę za granicę, to dobrze byłoby zobaczyć się z nią przed wyjazdem i doładować smoka wiarą i wolą walki.

Najpierw wprowadzi ją w dobry nastrój – planował – i pojeżdżą po Moskwie audi Q7 w stylu wolnym – wolnym od przepisów drogowych – a potem udadzą się do niego.

Gala odebrała telefon natychmiast i chętnie zgodziła się na spotkanie, chociaż właśnie była na wykładzie o Człowieku Witruwiańskim i bardzo ją to interesowało.

Skończył krótką rozmowę i zrobiło mu się przyjemnie. Spotkania z Galą coraz częściej zaczynały wyzwalać w nim doznania, jakich dotąd nie znał, a właściwie nie rozumiał, i nie chodziło akurat o smoka. To było już coś więcej, bo Gala dwugłowego potwora oswoiła całkowicie, zatem więcej czasu spędzali już w pokoju niż w lustrzanej łazience.

Siedział teraz sam w samochodzie i obserwował, jak na przedniej szybie rozpryskują się krople deszczu. Zrazu nieśmiało, nieregularnie, by za chwilę uderzyć z całą siłą, zalewając wszystko wokół.

Jagan kochał deszcz, a najbardziej właśnie taki jak teraz, gęsty i ciężki, taki, w jakim najłatwiej jest się ukryć, jaki chroni i ratuje. Ale prawdziwy deszcz pada tylko w Moskwie, na Kaukazie też się zdarza, ale nie taki. Za każdym razem, gdy pada, przypomina mu się suche gardło i straszliwe pragnienie, które czuł szesnastego lipca 2001 roku i które doprowadziło go do górskiego strumienia w zniszczonej czeczeńskiej wsi i spotkania z Bogajewami.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Wierchnią Radiszczewską płynęła rwąca rzeka. Stał po kostki w zimnej wodzie i poczuł, jaką przyjemność sprawiają mu uderzenia ciężkich jak ołów kropel. Przemókł całkowicie w kilka sekund.

Złożył dłonie w czarkę i wysunął je przed siebie. Natychmiast wypełniły się wodą. Podniósł je powoli do ust i wypił kilka łyków. Tak jak wtedy, szesnastego lipca.

Powrót na Polhemsgatan przez Brommę zajął mu stanowczo zbyt wiele czasu. Takie miał wrażenie, ale w rzeczywistości jechał tyle, ile było trzeba. Historia Claesa von Utrecht, którą barwnie opowiedział dyrektor Hermansson, tak go zaintrygowała, że zapomniał włączyć komórkę. Przypadek świrowatego antyglobalisty i informatyka poruszył go nie tylko dlatego, że krył w sobie jakiś sekret, lecz także – a może bardziej – z powodu Harriet Berghen, postaci równie tajemniczej jak niebezpiecznej. A przez to podniecającej i intrygującej – uzmysłowił sobie w końcu Hasan i pomyślał, że chyba już nigdy nie wyleczy się z macyzmu.

Hasan Mardan myślał tak czasami o sobie i nigdy mu się to nie podobało. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że nikt go takim nie postrzegał, wprost przeciwnie – uważano powszechnie, że jest skromny i kulturalny, a wiele kobiet sądziło, że również nieśmiały.

To było bardzo dziwne uczucie. Wcześniej mu się wydawało, że tylko Linda ma tak niezwykle umiejętności i wyjątkową zdolność analizy konsekwencji. A teraz pojawiła się Harriet Berghen z FRA, która nawet nie spotkała Claesa von Utrecht, lecz potrafiła rozszyfrować jego tajemnicę. Musiała więc dorównywać urodą Lindzie.

Do siedziby Säpo miał już nie więcej niż pół kilometra i stał na światłach przy Hantverkargatan. Uwięziony w swoich myślach, utrwał fakt po fakcie to, co powiedział mu Hermansson, i nawet nie zauważył dudniącego obok czarnego demona Night Rod Special. Wszystkie *Matrixy* obejrzał po kilka razy, ale nie mógł wyjść ze zdumienia, że wirtualny świat Neo i Trinity jest tak nieprawdopodobnie realny. Hermansson wcale nie przesadzał – doszedł do wniosku i z dużym opóźnieniem spostrzegł, że zmieniły się światła, a czarny motocykl pognął ostro do przodu przy głośniejszej muzyce swojego silnika.

Gdy Hasan wszedł do biura, od razu uderzyła go przejmująca cisza. Nie było nikogo na korytarzu ani w pokojach. Jakby wszystkich pracowników wyssała jakaś tajemnicza siła.

Instynktownie ruszył w kierunku sali konferencyjnej i włączył komórkę. Na monitorze pojawiła się informacja: dziesięć nieodebranych połączeń i pięć SMS-ów. Dopiero teraz sobie uzmysłowił, że powinien był to sprawdzić zaraz po wyjściu od Hermanssona.

– *Fuck! Fuck!* Jeszcze raz! – rzucił na głos i zacisnął zęby.

Poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Coś musiało się stać, skoro wszyscy gdzieś znikli, a miał tyle połączeń. Był jak zagubiony żołnierz, który boi się, że wojna zakończy się bez niego, a wszyscy pomyślą, że zdezerterował.

Przyspieszył kroku i zaczął prawie biec korytarzem. Był już metr od sali konferencyjnej, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi i na zewnątrz wylał się gwar podnieconych ludzkich głosów, a za nim wyszła na korytarz zbita masa kolegów zdziwionych jego obecnością.

Odetchnął z ulgą.

– Gdzie byłeś! – Głos Lindy zabrzmiał tuż przy jego uchu niczym wystrzał z pistoletu.

Hasan omal nie przysiadł z wrażenia.

– No... jak to? – odparł mechanicznie. – Przecież wiesz... Mówiłem ci rano, że jadę do FRA... do Hermanssona. – Był zdezorientowany i nie mógł pozbierać myśli, ale kiedy zobaczył naburmuszone spojrzenie Kurta Lövenströma, który wyszedł z sali ostatni, zachciało mu się płakać.

– Dzwoniłam... dzwoniliśmy...

– *Fuck!* Linda! Byłem w FRA... Co ty?

– Hermansson jest od poniedziałku na urlopie i żegluję swoją łodzią po szkiełach!

– Przecież z nim... – Teraz Hasan zrozumiał, dlaczego dyrektor był ubrany w wakacyjnym stylu.

– Mamy alarm! – Linda szybko zmieniła temat. – Grupa Czerwonego Szejka jutro rano jedzie ze Sztokholmu do Kopenhagi. Planują razem z miejscowym dżihadem zrobić jatkę w którejs z duńskich gazet. Całe Säpo i PET zostały postawione na nogi!

– Jestem gotów! Co mam robić?

Neo i Trinity znikli jak bańka mydlana, bo sprawa Czerwonego

Szejka była jedną z najważniejszych, jaką prowadzili obecnie w wydziale. I najniebezpieczniejszych. A takie Hasan lubił najbardziej, szczególnie że ludzie Szejka byli uzbrojeni.

– Jutro wcześniej rano wszyscy wyjeżdżamy w teren. W wydziale zostają tylko ciężko ranni, kobiety i dziećmi... nie, kobiety nie! – Linda zmrużyła oczy i dźgnęła Hasana palcem w pierś. – Ty się zaopiekujesz rannymi i dziećmi. Zostajesz w domu. Nie będzie nas kilka dni, ale będzie o nas głośno.

– Ale... Lindo! – Hasan otworzył z przejęcia usta i przez moment nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Zostajesz!

Już tyle lat pracował w Säpo, ale coś takiego spotkało go pierwszy raz. I to od osoby, którą szanował i stawiał sobie za wzór, którą uważał za najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał! Poczul się, jakby nagle dostał od niej silny cios poniżej mostka. Zaczął tracić oddech, spokój i rozsądek... Brak słów był teraz najmniejszym problemem.

Zwątpienie i rozgoryczenie nie zdążyły jeszcze dotrzeć do niego z pełną siłą, gdy Linda uśmiechnęła się niewyraźnie i rzuciła w typowym dla siebie stylu:

– Muszę mieć kogoś zaufanego tu, na miejscu. I to jesteś ty! Zrozumiałeś? To ważne!

– Lindo... ale ja naprawdę spotkałem się z Hermanssonem...

– W porządku. Wierzę ci, Hasan. Zostawmy to. Nie mam już czasu, musimy się przygotować do wyjazdu. – Była mocno pobudzona. – Aha! Wszystkie ekipy obserwacyjne Rolfa Blomkvista są zdjęte z dotychczasowych obiektów i jadą z nami. Żeby tylko nie dowiedzieli się o tym Rosjanie i inni harcownicy... Mówię ci, byś się nie zdziwił. Sztokholm zostaje na parę dni bez opieki. Decyzja szefa Kurta! Jakież uwagi? Mów... bo nie mam czasu. – Uczyniła gest, jakby chciała się odwrócić.

– Może jednak pojedę? Może by tak ktoś inny...

Zupełnie się pogubił w tych emocjach. Zawsze uważał – i każdy w Säpo o tym wiedział – że akcja specjalna tego typu bez jego udziału jest jak żeglowanie bez wiatru. Pozostawienie go w Sztokholmie uważał za niesprawiedliwą, a przez to tym

bardziej bolesną karę.

– Zostajesz. Będziesz pilnował wydziału. Masz być cały czas pod telefonem i do dyspozycji Kurta. – Puściła do niego oko.

Hasan stał niczym zamurowany i patrzył, jak Linda odchodzi szybkim krokiem. Po chwili zatrzymała się, odwróciła i rozkładając ręce w geście bezradności, rzuciła głośno:

– Odwołaj Konrada i Sarę!

– Czego mam tu pilnować... – powiedział do siebie ze zdziwieniem i smutkiem – skoro nikt nie zostaje? *Fuck! Fuck! Fucking Åmål!*

Rozejrzał się wokół i zobaczył, że wszyscy kursują w pośpiechu między pokojami, tylko on jeden stoi nieruchomo na środku korytarza.

No... tak! To w końcu jej pierwsza akcja po sprawie Jorgensenów i załamaniu nerwowym – pomyślał Hasan i stwierdził, że Linda ma w sobie teraz niezwykłą dynamikę, energię i wiele optymizmu.

Zrobiło mu się źlej.

Tylko co ja mam robić? Sprawa Czerwonego Szejkę pewnie zakończy się już na dobre... – pomyślał i ruszył powoli do swojego pokoju.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na wieszaku, usiadł w fotelu i założył ręce za głowę. Spojrzał na zegar: dochodziła szesnasta. Przez okno nigdy nie wyglądał, bo wychodziło na ponury bliźniaczy blok policyjny. Sięgnął odruchowo do kieszonki koszuli i wyciągnął karteczkę z numerem telefonu Harriet Berghen zapisanym przez dyrektora Hermanssona, który – *fuck!* – miał być na urlopie.

– *Jävlar också!* – przeklął, akcentując wykrzyknik, i spojrzał na rozmazany numer.

Tyle razy ci mówiłem, bałwanie, żebyś nie wkładał zapisanych kartek do kieszonki koszuli, kiedy się pocisz! – pomyślał z wściekłością i spojrzał na niebieską plamkę tuszu na piersi... Ralph Lauren... Zaklął po arabsku i persku.

Na korytarzu wciąż trwała nerwowa wędrówka ludów, więc wstał i zamknął drzwi, aż szyba zadrżała. W pokoju zrobiło się cicho. Odwrócił się w fotelu od przeszklonej ściany i wziął do

ręki karteczkę.

Numer telefonu był ledwie widoczny. Cyfry zlewały się ze sobą niebezpiecznie, więc Hasan postanowił, że nie będzie czekał i odpłaci Lindzie, zdradzając ją z mityczną Harriet Berghen. Z góry wiedział, że nie warto, ale musiał coś zrobić, żeby się zemścić. Tak trochę, nie za mocno, bez żadnego seksu.

Wziął telefon komórkowy i obiecał sobie, że jeżeli za pierwszym razem nie wybierze numeru prawidłowo, nie będzie już do niej dzwonił.

Taka jest, znaczy się, woła Allaha! I już!

Odebrała niemal natychmiast.

Allah akbar! – powiedział w myślach, po czym głośno się przedstawił.

– Tak myślałam, że zadzwonisz – odparła Harriet – ale obstawiałam, że jutro.

– To Hermansson ci o mnie mówił?

– Tak. Uznał, że sprawa wciągnęła cię na tyle, że...

– To prawda – przerwał jej delikatnie. – Wydaje się ciekawa. Nawet bardzo!

– Może się spotkamy? – zapytała niepewnie.

– Właśnie miałem ci to zaproponować... Kiedy? Jestem słomianym wdowcem... szefowa wyjeżdża. Może byśmy się spotkali poza firmą?

– Doskonały pomysł! Ze mnie też wesola wdówka, bo Hermansson jest na urlopie. – Głos Harriet był bardzo łagodny, wręcz subtelny, tembr w sam raz, nawet trochę sexy.

Hasan pomyślał, że będzie straszne, jeśli Harriet Berghen okaże się niską grubaską o długich tłustych włosach, źle ubraną, nabitą ćwiekami i z masą tatuażu.

Jak mutacja Lisbeth Salander i Plague'a w jednym, nie daj Boże! – pomyślał z jeszcze większym przerażeniem.

Dziś wolałby, żeby choć od pasa w górę dorównywała urodą Lindzie, ale w końcu machnął na to ręką, bo liczyła się sprawa Claesa.

A wyglądało na to, że Harriet ma głowę na karku. Miły głos zachęcił go do działania. Uznał, że jeżeli Linda rozbije w Danii bandę Czerwonego Szejka, on w tym czasie z tłustą Harriet

złapie cudownego Neo i przejdzie do historii jako pierwszy oficer szwedzkich służb, który wszedł do Matrixa.

– Super, Harriet! Świetnie! – odezwał się po chwili wahania. – Co proponujesz? Gdzie się spotkamy?

– Może zacznijmy tradycyjnie... pod grzybkiem... Stureplan, co? O... siedemnastej trzydzieści?

Już chciał powiedzieć, że to mało oryginalnie, lecz ugryzł się w język.

– Jeszcze nigdy się tam nie umawiałem... Ale pasuje! Oczywiście! – odparł, obserwując przez dźwiękoszczelną szybę Lindę wydającą polecenia i gestykującą jak Aleksander Wielki pod Gaugamelą. – Jak cię poznam?

– Ja cię poznam! Nie ma obawy! *Hej dâ! Vi ses!* – rzuciła i Hasan pomyślał, że musiała się teraz uśmiechnąć.

Mam nadzieję, że nie ma aparatu na zębach... – naszło go dokładnie w momencie, gdy Harriet się wyłączyła. Oj, nieładnie, Hasan! Nieładnie nawet tak myśleć... ale wszystkiemu winna Linda.

– Jak ona mogła mi to zrobić... jechać beze mnie?! – powiedział na głos i spojrzał na zegarek. Była szesnasta dziesiąć.

Wstał z fotela, podszedł do szafy pancерnej i z niemałym trudem wydobyl z wysokiej sterty teczek tę właściwą, z napisem: „Claes von Utrecht – rozpracowanie wstępne”. To była najcieńsza teczka, jaką kiedykolwiek trzymał w ręku, ale wydawała mu się teraz wyjątkowo ciężka.

Nie spał prawie czterdzieści godzin. Pociągnął z butelki trzy porządne łyki club-mate i odstawił ją na stół. Zjadł czekoladowy wafel Kex firmy Cloetta, zmiął papier i z odległości trzech metrów trafił do kosza pełnego identycznych żółtych kulek.

Program maskujący Bluered skończył pisać kilka godzin wcześniej i dziś miała być jego premiera. Wydawać się mogło, że program jest stosunkowo prosty, lecz w rzeczywistości jego przygotowanie zajęło mu sporo czasu i wymagało dużo pracy. Napisać mógł go wyłącznie na laptopie niepodłączonym do sieci, więc działanie programu mogło być sprawdzone dopiero

podczas jego premiery. Wiedział, że to będzie improwizacja, ale nie mógł skonsultować sprawy z nikim z plemienia. Myślał nawet, by porozmawiać o tym z Provocatorem, ale uznał ostatecznie, że i tak nie dowie się od niego więcej, niż sam wie. A poza tym chciał mieć coś wyłącznie swojego, czym będzie mógł później zaimponować w plemieniu. O ile, oczywiście, program się sprawdzi.

Bluered był programem sterowanym z dysku zewnętrznego nazwanego Ghostbusterem. Powodował, że macierzysty komputer przez kilka godzin zachowywał się tak, jakby obsługująca go osoba przy nim siedziała i wykonywała wszystkie typowe czynności, od przeglądania stron i wysyłania poczty do czatu i pracy zawodowej. Oczywiście program miał masę niedoskonałości i gdyby ktoś się uparł, mógłby odkryć tę cyberintrygę. Jednak potencjalne korzyści przeważały i warto było zaryzykować – uważał Claes.

Zakładał, że jest obserwowany we wszystkich dostępnych sieciach, że może mieć chipa w ubraniu lub samochodzie. Dlatego premiera Bluereda miała nastąpić dzisiaj, bo tego dnia jechał na Rissne i chciał być pewny, że nikt mu nie przeszkodzi zrealizować tego, co sobie zaplanował.

Następnego dnia oczekiwał przylotu Mirmilla, powinien więc przygotować pokaz projektu Coloseum, nad którym pracował od miesiący. Potem mogłaby go zatwierdzić Wielka Rada plemienia. To miał być *The Day After* – dwunasty września – jak mówili.

Wykąpał się i naszykował czyste ubranie. Dżinsy, dwie koszulki, granatową bluzę z kapturem, zieloną bejsbolówkę, kefiję i ciemne okulary. Włączył timery w lampach i w telewizji kablowej, po czym wrócił do swojego pokoju. Ubrał się bez przeglądania w lustrze.

Zajmował tylko dwa najmniejsze pokoje z dwunastu, jakie się składały na mieszkanie Utrechtów przy Strandvägen. Kiedyś wykorzystywane były jako pokoje dla służby i z tego właśnie powodu czuł się w nich najlepiej, prawdziwie i głęboko uduchowiony cierpieniem klasowym.

Na starym, wytartym skórzanym fotelu z dziewiętnastego

wieku, obitym mosiężnymi gwoździami, służącym mu jako miejsce pracy, konsumpcji i nierzadko snu, posadził swojego najbliższego przyjaciela Jaśka Bukowskiego, misia rozmiaru XXXL. Nie dostał go od rodziców ani rodzeństwa, ani nikogo innego. Kupił go sam wiele lat temu w jakimś sklepie na Gamla Stan.

– Zostajesz sam w domu, *El Comandante* – oznajmił misiowi.

– *Sí, señor! Hasta la victoria siempre! Venceremos!* – odpowiedział sobie w imieniu Jaśka i podniósł jego łapę w geście żołnierskiego pozdrowienia.

– Włączamy, *El Comandante*?

– Włączamy, *compañero!*

Dochodziła siedemnasta trzydzieści, kiedy Claes palcem wskazującym uderzył w klawisz Enter na aluminiowym MacBooku i uruchomił program Bluered. W ciągu kilku sekund pojawiła się niebieska linia z komunikatem Ładuję i zaczęła się przesuwać w prawo, a chwilę później ożył stojący obok dwudziestosiedmiocalowy monitor iMaca. Na ekranie wyświetlił się interfejs Ulubione i gdy Claes zobaczył, że kursor sam zaczął krążyć po ekranie, uznał, że premiera Bluereda okazała się sukcesem i że może jechać na Rissne.

Obok komputera położył swój telefon i portfel, z którego wyjął tylko dowód osobisty. Dopił resztkę ciepłej club-mate, a pustą butelkę wstawił do żółtego kontenera pod stołem.

Jedyne wolne miejsce na ścianie nad stołem zajmowało czarno-białe zdjęcie mężczyzny o delikatnym uśmiechu, z krótką bródką i w okrągłych okularach bez oprawek – zdjęcie, które wciąż porusza serca wiernych mu przyjaciół. Steve Jobs 1955–2011.

– Zmysłowe i uduchowione komputery Apple! Kocham was... a wy kochacie mnie! Nieprawdaż? – z głęboką emocją wygłosił swoje wyznanie wiary i dotknął czule monitora, bo był dogłębnie przekonany, że człowiek wolny i sprawiedliwy może tworzyć tylko na Apple.

Wybór między Apple i PC to jak najszczęsza i najgorętsza deklaracja ideowa, jak wybór między Bobem Dylanem i Joan Baez a Johnnym Cashem i Dolly Parton. To tak, jakby Steve

Jobs był emanacją rewolucji kwiatów, pacyfizmu, hipisów, Woodstock i paryskiej rewolty studentów. Za to wszystkie odmiany PC identyfikowały właściciele ciężkich umysłów i ciężkich łap, epigonów wojny wietnamskiej, wyznawców globalizmu, buszystowskich republikanów i miłośników picia herbaty.

Tę głęboką emocjonalną różnicę dostrzegał nie tylko Gal, ale i bracia z Zatoki Psów Niewiernych. Zarówno ich, jak i wszystkich im podobnych bojowników można było poznać na drogach świata po nadgryzionym białym jabłuszku naklejonym na tyle starego volkswagena albo volvo serii 240.

Na polecenie syndyka wszystkie okna w mieszkaniu przy Strandvägen były szczelnie zasłonięte zielonymi aksamitnymi storami, więc Claes z niemałym trudem przeszedł po ciemku do służbowego wyjścia znajdującego się od strony podwórza.

Zamknął za sobą wysokie trzymetrowe drzwi na dwa potężne zamki i chwycił za ramę stary norweski rower DBS, który stał na klatce schodowej. Zszedł na dół po schodach, bo winda była za mała.

Wyszedł na ulicę. Było jeszcze słonecznie i ciepło. Włożył do uszu białe słuchawki i włączył iPoda. Odczekał chwilę i gdy po pierwszych dźwiękach gitary rozległ się czysty głos Scotta McKenzie – *If you're going to San Francisco...* – wszedł na rower i ruszył.

Minął swojego zaparkowanego przy krawężniku garbusa i bez pedałowania zjechał kilkadziesiąt metrów do Strandvägen. Skręcił w prawo i znalazł się na ścieżce rowerowej zacienionej trzema rzędami drzew, oddzielającej ciąg najpiękniejszych domów w Sztokholmie od nabrzeża pełnego łodzi i jachtów.

Ulicą Strandvägen zawsze ciągną liczni turyści, poszukujący atrakcji na pobliskiej wyspie Djurgården, więc Claes musiał bardzo uważać, by kogoś nie potrącić.

Dotarł do Nybroplan. Przy Królewskim Teatrze Dramatycznym przejechał na drugą stronę ulicy i dalej podążył wąską ścieżką po prawej stronie Birger Jarlsgatan. O tej porze ruch w centrum był spory i Claes pomyślał, że źle zrobił i może powinien zmienić trasę. Szybko jednak sobie wytłumaczył, że

przecież teraz korki są wszędzie.

By dotrzeć na Rissne, musiał pokonać prawie piętnaście kilometrów. Autobusem czy metrem byłoby oczywiście szybciej i wygodniej, ale monitoring w komunikacji miejskiej był tym, czego akurat dzisiaj chciał uniknąć.

Przejechał kilkadziesiąt metrów Birger Jarlsgatan, gdy ze zdziwieniem poczuł, że w rowerze oblużowało się siodełko. Przeklął nie tylko w duchu. Zatrzymał się obok restauracji Riche, gdzie przez lata przesiadywał jego ojciec, powiększając z uporem rodzinny dług, i gdzie raz do roku klan Utrechtów spotykał się przy świątecznym stole, by najeść się do bólu.

Claes zdał sobie sprawę, do jakiej irytacji może doprowadzić człowieka jedna oblużowana śruba, psująca harmonię i rytm tak ważnej podróży.

Przecież nie wrócę teraz do domu, bo to byłby zły znak. Nie mogę skapitulować wobec złośliwości techniki... jakiejś śruby w siodełku norweskiego roweru.

Był zdeterminowany jechać dalej i zaczął intensywnie się zastanawiać, gdzie teraz znajdzie odpowiedni klucz.

Biura wydziału opustoszały w ciągu pół godziny i tyle samo zajęło Hasanowi dwukrotne przeczytanie dokumentów z teczki Claesa von Utrecht. Przez chwilę się zastanawiał, czy zrobić jeszcze notatkę z rozmowy z Hermanssonem, ale uznał, że byłoby to przedwczesne, bo przecież dyrektor miał przysłać pismo w tej sprawie.

Wyszedł na korytarz i zaczął się rozglądać. Przeszedł do końca najpierw w jedną, potem w drugą stronę i stwierdził, że została tylko sekretarka i dwóch pracowników z zespołu informacji i analiz, których znał słabo, bo nigdy nie wychodzili ze swojego pokoju.

Wszedł do łazienki i splukał twarz zimną wodą.

Dochodziła siedemnasta i stracił chęć na dalsze siedzenie w biurze. Opuścił żaluzję i przebrał się. Garnitur schował do szafy, a zaplamioną koszulę zwinął i wepchnął do plecaka. Włożył znoszone brązowe kowbojki, džinsy i trykotową koszulkę, a na nią indiańską zamszową kurtkę z łosia, którą kupił kiedyś w Malung. Wziął kask do ręki i przerzucił przez

ramię plecak.

Muszę zadzwonić wieczorem do Marcina – pomyślał, zjeżdżając windą, bo przypomniał sobie o poleceniu Lindy.

Wyszedł na wewnętrzny parking, gdzie pod wiatą stał zaparkowany jego Super Glide Custom model 2011, błyszczący sterylnym chromem i pachnący nielakierowaną naturalną skórą.

Ciężka stalowa brama przesunęła się tylko do połowy i Hasan wyjechał na Bergsgatan. Zatrzymał się na chwilę i zastanowił, którądy powinien dotrzeć na Stureplan. Uznał w końcu, że najlepiej będzie jechać teraz przez Kungsgatan, więc skręcił w prawo i dał mocno w gary.

Zaparkował na wąskiej Biblioteksgatan blisko parku Humlegården i przeszedł kilkadziesiąt metrów do Stureplan. Była siedemnasta piętnaście, piękna pogoda, więc po placu kręciło się mnóstwo osób z okolicznych biur i sklepów. Pod charakterystycznym betonowym zadaszeniem, przypominającym ogromnych rozmiarów grzyb, tradycyjnie spotykali się sztokholmczycy, znajdując tam także schronienie przed deszczem, nierzadkim w kapryśnym skandynawskim klimacie.

Hasan stanął przepisowo pod grzybkim, z plecakiem na ramieniu i kaskiem w dłoni. Zastanawiał się, jak Harriet go rozpozna, gdy ktoś przeszedł obok, rzucając: „*Salam*, Hasan”. Zdążył odpowiedzieć: *Salam*, nim się zorientował, że to znajomy z meczetu. I wtedy wszystko zrozumiał.

Pozostało mu jeszcze kilka minut, więc zaczął typować kandydatki na Harriet. Nie mógł się uwolnić od myśli, że musi być mutacją karłowatej i wyćwiekowanej Salander i grubego Plague’a, co się nigdy nie mył. Przez moment mu się wydawało, że taki miks mógłby jednak być intrygujący.

Obserwował uważnie dziewczyny, które niespokojnie spacerowały w pobliżu, i te grzebiące z zaangażowaniem w swoich telefonach komórkowych. Starał się jednak nie patrzeć im prosto w twarz, bo wiedział, że daje to niepożądane skutki uboczne. Dziewczyny zwykle reagują emocjonalnie, gdy w jego spojrzeniu wyczuwają zainteresowanie. Tak już miał

i nic na to nie mógł poradzić.

– Hej, Hasan! – usłyszał niespodziewanie i dopiero wtedy spostrzegł, że stoi przed nim uśmiechnięta blondynka średniego wzrostu.

Jak to możliwe, że jej nie zauważyłem? – skarcił się w myślach.

– Hej... hej! Harriet? – odparł z wahaniem i nagle stwierdził, że jest całkiem ładna.

Prawie każdy obcokrajowiec ma utrwalony w wyobraźni pewien stereotyp urody szwedzkiej dziewczyny – o blond włosach, pociągłej twarzy, niebieskich, rzadziej piwnych oczach i wysportowanej sylwetce. I choć przez ostatnie dziesięciolecia Szwedki nabrały często orientalnych cech, to ten obraz wciąż dominował.

Harriet była tak typowa w swojej szwedzkiej normalności, że rzeczywiście mógł jej wcześniej nie zauważyć. Miała równo przycięte do ramion włosy i delikatny makijaż na lekko piegowatej twarzy. Duże okulary w grubych czarnych oprawkach firmy Ray Ban kontrastowały z jej jasną cerą. Hasan nie lubił tych okularów, w których chodziła teraz co druga dziewczyna w Sztokholmie.

Ubrana była w ręcznie robiony granatowy sweter z dużymi, czerwonymi jak pomidor guzikami na lewym ramieniu oraz w dżinsy niewiadomej marki. Przez prawe ramię miała przewieszoną dużą torbę z napisem „Stadium”, a w rękę trzymała kask rowerowy. Ogólnie zrobiła na Hasanie nieco pretensjonalne wrażenie. Może przez te siarzyste okulary i torbę Stadium.

– Przyjechałaś z Lovön na rowerze? – zapytał z niedowierzaniem i pomyślał, że czerwone guziki kupiła w Panduro, a sweter na pewno zrobiła sama.

– Tak. A ty, widzę, na motorze. – Wskazała na jego kask. – Easy Rider czy Ghost Rider?

– Owszem... Rider... – odparł z wahaniem i lekkim niepokojem, bo dziewczyny najwyraźniej nie spłoszyły jego oczy.

– To co? Usiądziemy gdzieś? – zaproponowała.

– Co, na kaskach? – zupełnie bez sensu zapytał Hasan.

Harriet spojrzała na niego z niedowierzaniem, jakby się przesłyszała.

– Pewnie... może tam... w Sturehof. – Hasan pokonał zmieszanie i wskazał wystawione na chodnik stoliki z kafeterii przy wejściu do Sturegallerian.

Wybrali nasłonecznione miejsce, który pozwalało im na swobodną rozmowę. Nim przyszła kelnerka, Harriet, lekko stymulowana przez Hasana, bez skrępowania opowiedziała o sobie.

Pochodziła z przemysłowego Sundsvall i w ubiegłym roku skończyła informatykę na KTH. Obecnie była na piątym roku filologii klasycznej na Uniwersytecie w Uppsali. Praca w FRA była jej pierwszym stałym zatrudnieniem.

Mówiła o sobie spokojnie, nie dbając specjalnie o dobór słów. Hasan od razu poczuł bijącą z niej spontaniczność. To nie było typowe, ale urzekające, miłe. Już chciał zapytać, skąd u niej zainteresowanie klasyką, gdy wyjaśniła, że badanie języków i kultury antycznej pozwala jej lepiej pojąć naszą rzeczywistość, wartości współczesnego świata.

– Mam trochę skomplikowany charakter: dopóki nie zrozumieć jakiegoś problemu, nie mogę zaznać spokoju... nie mogę spać, męczy mnie to. Czuję nawet coś w rodzaju bólu. Taki zespół niezaspokojenia emocjonalnego, lecz bez depresji, raczej wzbogacony euforią. Trochę jak u Odyseusza, który musi rozwiązywać wciąż nowe problemy, by dotrzeć do Itaki...

– Ja najbardziej lubię *Sztukę kochania* Owidiusza. – Hasan chciał czymś błysnąć, ale wypadł żałośnie.

Harriet jednak od razu darowała mu naiwny seksizm.

– Mam taką odmianę kompleksu Stendhala. Ale to nieważne... Po prostu staram się poznawać jak najwięcej, ale człowiek ma ograniczone możliwości percepcji, więc musiałam się na coś zdecydować i wybrałam filologię klasyczną... początek naszego świata.

Na żywo miała jeszcze ładniejszy głos i Hasan zauważył, że ma też sporo do powiedzenia. Ucieszył się, że na oko w niczym nie przypomina Lisbeth Salander, wprost przeciwnie – jest rozmowna i bardzo towarzyska.

– Nie jesteś podobna do Salander – rzucił trochę nieopatrzenie.

– Ty też nie masz nic z Kallego Blomkvista – odparła z uśmiechem i wyciągnęła rękę w kierunku jego głowy. – Mogę? Nigdy nie dotykałam dredów.

– Jasne – odparł.

Spodobało mu się, że nie zapytała, z jakiego pochodzi kraju, lecz zainteresowała się jego dredami. Dotknęła ich tak delikatnie, że nic nie poczuł.

– Cudowne w dotyku... twardsze, niż myślałam – powiedziała z uśmiechem. – Wybacz mi, że jestem taka bezpośrednia... Nie masz mi za złe?

– Daj spokój, Harriet! O czym ty mówisz?! To przyjemne, ludzkie... Jesteśmy ludźmi, mamy emocje. W czym rzecz?!

W rzeczywistości jednak jej dotyk wydał mu się podniecający. Hasan pomyślał z nadzieją, że jest nim zainteresowana, a brak osobistych pytań z jej strony nie wynika z egoizmu czy obojętności, lecz stanowi przejaw kultury osobistej i tolerancji. Bardzo mu to odpowiadało.

– Hermansson mówił, że Neo to twój pierwszy. Opowiedział mi w szczegółach o twoich spostrzeżeniach i pomysłach... że dobrze kombinujesz... Co myślisz o tym von Utrechcie? Kim on jest? – Przeszedł do sedna, chociaż wolałby porozmawiać o niej.

– Rozumiem, że chodzi ci o moje nieoficjalne spostrzeżenia... o to, czego nie napiszę w raporcie? Chcesz, żebym sobie pofantazjowała? – Uśmiechnęła się, pokazując trochę za duże śnieżnobiałe zęby à la Tina Nordström.

Zamówili dwa razy caffè latte, a Harriet dodatkowo semlę, którą zobaczyła u klienta na sąsiednim stoliku. Dochodziła siedemnasta trzydzieści i słońce chowało się za wysokimi dachami domów otaczających jeden z najładniejszych placów dziewiętnastowiecznego bogatego Sztokholmu.

– Mój profesor nazywa to zjawisko „krzywą poszlaki chimerycznej”... – Dostrzegła podejrzliwe spojrzenie Hasana. – Spokojnie! To nie jest określenie naukowe. To jego konstrukcja semantyczna, trochę filozoficzna...

– Harriet, masz do czynienia z inżynierem budownictwa...

– W porządku – wtrąciła miękko. – Ja też jestem inżynierem, tyle że informatyki. Poszlakę chimeryczną tworzą zdarzenia, które na pierwszy rzut oka wydają się zupełnie ze sobą niepowiązane, więcej, odmienne organicznie, a które ostatecznie potrafią połączyć się w żywy organizm... twór... postać... zdarzenie. Powstaje jakaś rzeczywistość istniejąca wyłącznie w naszej świadomości, mająca swój kształt, ciało... taka właśnie chimera... łeb lwa, nogi słonia, ogon świni i psie uszy.

– Twór wirtualny! – odkrył zaskoczony Hasan.

– Po prostu jest sobą. Nikogo nie udaje.

– Chimera po prostu jest sobą – powtórzył z mieszaniną pewności i rozczarowania.

– W starożytności ludzie wierzyli, że chimera istnieje...

– Rzeczywiście! Chimera istnieje w świecie wirtualnym, czyli... istnieje! – Hasan wciągnął się w tok myślenia Harriet i złapał się na tym, że zaczyna odkrywać coś niezwykłego, nowego.

– Wróćmy do Neo, bo rozplyniemy się na dobre – ostudziła niespodziewanie jego zaniepokojenie. – Tak jest dokładnie z nim, a raczej z tą sprawą, bo to ona jest chimera, nie Neo. On w niej gra! Jest jak Prince of Persia albo komiksowy Superman, tyle że żyje w cieniu, który powstał z nakładania się na siebie jego dwóch światów, realnego i wirtualnego. Odbijają się od siebie jak w lustrze, tworząc między sobą strefę wiecznego zmierzchu. Tam właśnie żyje nasz Neo, złożony z oderwanych od siebie faktów wymagających udowodnienia, lecz tworzących realnie istniejącą tajemniczą chimere.

Krótki wywód Harriet dowodził niezbicie, że informatyka i filologia klasyczna mają ze sobą coś wspólnego. Hasanowi bardzo się spodobał ten poetycki opis Claesa von Utrecht i nawet przyszło mu na myśl, że lepiej się stało, iż został w Sztokholmie. Pewnie inaczej nigdy nie poznałby Harriet.

– To ciekawe... bardzo ciekawe. Podoba mi się twoja interpretacja postaci Neo... Ale czy na pewno znasz go aż tak dobrze? – próbował ją delikatnie sprowokować do intelektualnej szermierki.

– Coś ci pokażę. – Sięgnęła do swojej torby. – Mam tutaj

uwięzioną jego duszę. – Wyciągnęła trzynastocalowego laptopa MacBook Air, przysunęła się do Hasana i otworzyła pokrywę.

Przebiegła długimi palcami po klawiaturze. Pojawił się obraz jakiejś strony internetowej, po chwili znikł i jego miejsce zajęło coś zupełnie innego. Hasan potrzebował dłuższej chwili, by się zorientować, że monitor komputera żyje, zmienia obrazy, a kursor się porusza – i to wszystko bez jakiegokolwiek ingerencji Harriet, która wymownie uniosła dłonie.

– Co się dzieje? Co jest grane?! – Hasan wyczuł, że w tym, co widzi, jest coś nienormalnego, i wyraźnie się zaniepokoił.

– To jest obraz z komputera Neo... na żywo – powiedziała mu na ucho. – Obserwuję go cały czas... mogę to robić nawet teraz! W tej chwili właśnie siedzi w swoim mieszkaniu na Strandvägen i coś przegląda... Zobacz!

Hasan przypatrywał się przez moment, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Wiesz, że Hermansson nazywa cię Trinity? – zapytał w końcu, nie odrywając wzroku od monitora.

– Wiem. Coś w tym jest. To nawet miłe! Wciąż podążam za Neo, opiekuję się nim i może dlatego bardzo go lubię. Mam nadzieję, że uchronię go przed samozagładą... Muszę tylko odkryć jego tajemnicę – zakończyła tak, jakby mocno wierzyła w to, co mówi, i z głośnym klapnięciem zamknęła pokrywę komputera.

Hasan poczuł się nieswojo. Po plecach przebiegł mu dreszcz i zrobiło się zimno. Cień, jaki rzucały domy z drugiej strony Stureplan, zakrył już wszystkie stoliki w kafeterii.

– Może pójdziemy coś zjeść? – zaproponował, jakby nie zauważył, że Harriet właśnie zjadła semlę. – Co ty na to?

Podniósł z podłogi swój kask i położył go na kolanach, ale Harriet zupełnie nie zareagowała na jego propozycję. Siedziała nieruchomo, wyprostowana, trzymając komputer w rękach kilkanaście centymetrów nad stołem.

Wyglądała, jakby nagle odpłynęła gdzieś w głąb siebie, a jego słowa odbijały się od niej i spadały na ziemię. Dopiero po chwili zauważył, że wpatruje się w coś, co znajduje się naprzeciw niej. Spojrzał w tę stronę, ale nie dostrzegł niczego

niezwykłego. Zwyczajny o tej porze tłum przechodniów. Wtedy zobaczył, jak jej prawa ręka unosi się powoli, prostuje z wyciągniętym palcem, a twarz przybiera niezwykle, tajemniczy wyraz.

DBS. Chyba jakieś dziecko musiało wymyślić taką nazwę... infantylne... Den Beste Sykkel, *fy fan*... jakie to norweskie!

Claes prowadził rower po chodniku Birger Jarlsgatan i był wyraźnie zły. Jeździł nim po Sztokholmie, odkąd dosięgnął pedałów, a wcześniej dosiadał go jego brat. Ten rower miał już pewnie ponad czterdzieści lat, ale po raz pierwszy coś w nim się zepsuło. Claes oczywiście lubił go i doceniał jego wytrzymałość, jednak tego dnia nie mógł mu darować. Tym bardziej że na tylnym błotniku widniał biały napis na czerwonym tle: *Fuck Bush*, trochę zabrudzony, ale jego zdaniem wciąż aktualny. Wydrukował tych naklejek kiedyś ponad tysiąc i wszystkie rozeszły się w okamgnieniu. Cieszyło go to podwójnie, bo rozdawał je za darmo.

Na Stureplan jest postój taksówek, a kierowcy muszą mieć narzędzia, więc pewnie znajdzie się też klucz piętnastka, żeby dokręcić siodełko – pomyślał roztropnie Claes i od razu przeszła mu cała złość na Norwegię.

Już z daleka zobaczył rząd granatowych taksówek czekających przy krawężniku. Po prawej stronie minął przyklejone do siebie uliczne ogródki dwóch kawiarni – Friday's i Subito – i zadowolony z bliskiego rozwiązania poważnego problemu uważnie prowadził rower, starając się nie najechać któremuś z przechodniów na nogę.

Na ulicy było tłoczno od ludzi zmierzających w różnych kierunkach. Nie brakowało dosyć licznych w tym miejscu yuppies ubranych w modne garnitury i dobrane do nich jasnobrązowe szyczone buty. Portfele wypchane kartami do fitness klubów, wąskie ramionka w obcisłych marynarkach i wypukłe piersi. Każdy z drogą teczką pełną prac domowych i miną władcy świata, choć własnego życia prawie nie miał. W ich wypadku Claes niespecjalnie starał się być ostrożny i czasami nawet udawało mu się przejechać kołem po jakimś bucie za trzy tysiące koron.

Dotarł do ostatniego samochodu z napisem „Taxi Kurir” na drzwiach i zastukał w szybę. Otyły kierowca grubo po pięćdziesiątce bez słowa wysiadł z samochodu, kiedy Claes zapytał go o klucz. Otworzył bagażnik i wyjął komplet narzędzi. Spojrzał na śrubę pod siodelkiem, wybrał z zestawu klucz numer 13 i podał go Claesowi.

Hasan, zaniepokojony, już chciał dotknąć ramienia Harriet, gdy usłyszał jej stłumiony głos, ale nie rozumiał, co powiedziała.

– Nie dosłyszałem... Co się dzieje, Harriet?

– Neo... – dotarło do niego niewyraźnie, ale od razu powtórzyła głośno, z emocją: – Neo! Tam! Neo... prowadzi rower... – Wskazała ręką.

Hasan dostrzegł mężczyznę z rowerem. Pomyślał idiotycznie: Czy to Tiger Woods?! Wprawdzie facet nie był czarny, lecz zmyliła go bejsbolówka.

– Ten w zielonej czapce i granatowym...?

– Tak! To on!

Harriet, poruszona, podniosła się z miejsca, nie spuszczać wzroku z mężczyzny w chuście wokół szyi, który szedł po chodniku dziesięć metrów od nich. Spojrzała na Hasana rozradowanymi oczami, lecz jej zaciśnięte usta mówiły, że stało się coś niezwykłego. Zanim się odezwała, rozumiał, dlaczego tak emocjonalnie zareagowała na widok Claesa pośrodku Stureplan.

– To kto teraz siedzi przy jego komputerze? – zapytał tonem ucznia, który przypadkiem rozwiązał zadanie.

– Otóż to! Właśnie! Ale ciekawsze, dokąd jedzie! – dorzuciła Harriet. – Neo chce mnie oszukać! On coś knuje! – Przewiesiła torbę przez ramię i chwyciła kask rowerowy.

W przechowywanej w kasie pancерnej teczce Claesa von Utrecht było jego zdjęcie paszportowe i fotografie z różnych manifestacji, ale Hasan nigdy nie zadał sobie trudu, żeby utrwalić tę twarz w pamięci. Nie było ku temu powodu.

Do dzisiaj, do osiemnastej trzydzieści trzy – spojrzał odruchowo na zegarek.

Od spotkania z dyrektorem Hermanssonem minęło ledwie

kilka godzin i baron von Utrecht stał się dla niego kimś niezwykłym, godnym czegoś więcej niż tylko rutynowego zainteresowania, intrygującym i denerwującym jednocześnie. Wyzywającym. Zdarzało mu się tak reagować, bo gorączkowa egzaltacja podobna ekstazie była w jego rodzinie dziedziczna.

Claes von Utrecht i Harriet Berghen zdominowali jego wolną przestrzeń i nie miał już odwrotu. I to było najwspanialsze.

– Hasan! *Is anybody home?* – Szarpnęła go gwałtownie za rękaw i spojrzała mu w twarz z widocznym poruszeniem. – To co? Gdzie masz motor? Hasan?!

Claes von Utrecht właśnie kończył przykręcać siodełko. Zacisnął śrubę tak mocno, że o mało nie zerwał gwintu.

– Ostatni raz widzieliśmy się dwa lata temu, czyż nie? W Rejkiawiku?

– Właśnie tak, Peter! W hotelu Borg. Masz dobrą pamięć!

– Już nie tak dobrą, myślą mi się miejsca. Ale pamiętam tego rekina w restauracji... smakował jak zdechły pingwin.

– Hákarl... Tak, to był rekin.

– Ile to już lat się znamy? – zapytał Peter, dłubiąc łaską w ziemi.

– Chyba ponad czterdzieści...

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem na naszym pierwszym spotkaniu... w Armagh... że nasza znajomość to początek pięknej przyjaźni...

– To było w Belfaście.

– Popatrz, Connie! Świat się przewrócił do góry nogami, znikł Związek Radziecki, Murzyn jest prezydentem Ameryki, a Ulster wciąż należy do Anglików. Symboliczne, nie? Kurna, Obama też jest przecież Irlandczykiem...

– Taki czarny prezydent to może sobie być, kim chce... nawet O'Bamą. Nie uważasz?

– Co my tu robimy? Czy my się przyjaźnimy? – Virag stał zgarbiony na tarasie Martello Tower i mówił powoli, bez najmniejszego śladu emocji, głęboko się zaciągając złotym dunhillem.

Nad Zatoką Dublińską słońce wyszło zza chmur i zniżyło się do linii horyzontu. Okulary Petera zciemniły się od ultrafioletu.

– Raczej się nie przyjaźnimy, ale jest w tej naszej znajomości coś niezwykłego... niepowtarzalnego. Przejdziemy się? – zaproponował Conor Gallagher. – Tam dalej, na klif.

– A to? – Peter stuknął go łaską w stopę, która wydała tępy drewniany dźwięk. – Nie obetrzesz sobie pięty? – zaśmiał się sucho.

– Wiesz, Peter, zawsze się zastanawiałem, kim jesteś. Za grosz nie masz angielskiego poczucia humoru. – Conor otulił się płaszczem, bo powiało mocniej znad morza. – Każdy Anglik ma w sobie coś z Byrona, a ty... ani śladu! A nikt nie zna Anglików

tak dobrze jak my, Irlandczycy.

– Jesteście nawet jakąś ich odmianą... Pochodzę z Australii, przecież wiesz. To ma dla ciebie jakieś znaczenie... kim jestem?

– Żadnego. Może masz rację. – Conor wycofał się delikatnie.

– Chciałbyś, żebym był taki jak Edna Everage – odparł ponuro Peter. – Myślisz, że jestem jakimś przebierańcem...

– Nie, skąd! Ale też nigdy nie wierzyłem, że jesteś prawdziwym marksistą. Myliłem się?

– Myliłeś! Kiedyś byłem ideowcem... młodość ma swoje prawa. Czas wypłukał ze mnie ideały... ale kiedy? Nie pamiętam. Może gdy umarła Mary i znikł Związek Radziecki...

– Ze mnie nie! – wtrącił Conor i obaj zamilkli.

Wciąż stali wpatrzeni w wody zatoki, w których odbijało się czerwone słońce. Dla Petera Viraga ten widok nic nie znaczył, ale dla Conora to był kawałek Irlandii.

– Ty nigdy nie byłeś prawdziwym marksistą – odezwał się w końcu Peter. – Jesteś Irlandczykiem... Wy nawet nie wiecie, co to znaczy być internacjonalistą...

– A co to znaczy? – zapytał Conor z ironią.

– Okazało się, że to nic nie znaczy... Ale brzmiało ładnie, nie?

– Może.

– Dajmy spokój... ile razy można o tym samym...

– Okay, załatwiamy biznes?

– Cóż, załatwiamy. – Virag rzucił niedopałek na ziemię i rozdeptał czubkiem buta. – Tylko to nam zostało. Sprawy trzeba doprowadzić do końca, a potem...

– No to chodź! – Conor wziął go pod ramię. – Dlaczego ja cię lubię, Peter? Nawet jak śmierdzisz papierochami.

– Przyzwyczajiliśmy się do siebie, Connie! – odparł sucho Virag. – Nie ma w tym żadnych uczuć, tylko interesy...

– Może.

– Tak, tak, Connie. Nic z tej naszej roboty nie wyszło... Zjednoczone Królestwo wciąż trzyma łapę na Ulsterze, a w Rosji szaleje dziki kapitalizm... Kto to jest Bieriezowski, kto to jest Abramowicz?

Conor wciąż trzymał Petera pod ramię. Zeszli z tarasu i ruszyli powoli w prawo ścieżką wzdłuż wybrzeża. Wiał lekki wiatr,

mierzwiąc włosy Irlandczyka. Peter podpierał się laską i robił małe kroki. Był o pięć lat starszy od Conora, ale wyglądał, jakby miał znacznie więcej.

Przeszli może pięćdziesiąt metrów i zatrzymali się na moment. Virag pomyślał, czy powinien powiedzieć Conorowi, że ich spotkania dobiegają końca. Rak krtani jako choroba zawodowa szpiegów nie był niczym szczególnym. Nierozcieńczony alkohol, papierosy i stres, który towarzyszył mu przez trzydzieści lat, prawie zawsze dawały taki efekt, niezależnie od rasy i narodowości.

Właściwie co go to może obchodzić... W moim wieku zawsze można dostać jakiegoś raka – pomyślał i zrezygnował.

Ponad dwadzieścia lat temu w londyńskim szpitalu zmarła na raka piersi Mary. Pochował ją jesienią 1990 roku na cmentarzu Bonner Hill w Kingston pod nazwiskiem Mary Virag, chociaż wcale tak się nie nazywała.

Kiedy został sam w domu, zrobiło się tam nagle pusto i smutno. Nie mógł uwierzyć, że przez prawie całe życie myślał tylko, jak się jej pozbyć. Nawet rozpad ZSRR nie zrobił już na nim wielkiego wrażenia. Wkrótce wykupił obok niej miejsce dla siebie, Petera Viraga, choć przecież też się tak nie nazywał. Wciąż uporczywie powracała do niego myśl, że Mary Virag, z domu Fekecz, leży już na jakimś małym cmentarzu w Australii, podobnie zresztą jak Peter Virag.

Do dnia jej śmierci cmentarze odwiedzał tylko w celach zawodowych, i to dosyć często. Nigdy nie myślał o tych miejscach tak jak wszyscy ludzie. Dotąd był to dla niego tylko obszar eksploracji i nekromancji – jak wówczas mówił. Ale po jej śmierci już nigdy nawet tak nie pomyślał.

Od tej pory wszystko zmieniło się diametralnie. Peter nie musiał już wracać do Moskwy i mógł zostać na starość w Anglii, dokąd zaczęły napływać tysiące nowych Rosjan, więc i zadania pojawiły się nowe.

Żar życia wcale w nim nie wygasł, tylko uległ głębokiej transformacji. Dokładniej rzecz ujmując, Peter Virag stał się zupełnie innym człowiekiem. Utrata wpływu na swój los i obojętność na bezideową rzeczywistość wyzwoliły w nim

nieznane dotąd poczucie siły i wiary w samego siebie. Determinację w dążeniu do celu, we własnym interesie, jakby chciał coś udowodnić sobie i światu. Jedyne świadomość galopującego raka krtani przeszkadzała mu w tym przekonaniu. I to coraz bardziej.

– Co się stało, Connie, że musiałem tak pilnie przyjechać do Dublinu? Oby to było coś ważnego, bo już tyle razy mnie nabrałeś i musiałem za ciebie świecić oczami... Dlaczego ja ciebie tak lubię? – Znów stuknął laską w jego protezę. – Jesteś jedynym takim Irlandczykiem... Ja wiem, wiem – uprzedził go, unosząc laskę do góry. – Masz swoje interesy. Jasne.

– Posłuchaj, Peter, bo to może być ważne...

– Connie! Co może jeszcze być ważnego w Irlandii? Chyba tylko narkomani. – Virag wyciągnął papierośnicę z kieszeni płaszcza, otworzył ją z trudem drżącymi rękami i wyjął papierosa. – Jesteśmy na otwartej przestrzeni. Wolno? – rzucił z uśmiechem. – Nooo... nie dąsaj się! Co to za sprawa?

– Długo się zastanawiałem, czy ci o tym powiedzieć, bo to, co usłyszysz, jest trochę pod prąd, ale uznałem, że trzeba coś z tą sprawą zrobić – oznajmił Conor z dobrze przeciwioną intonacją i ruszyli dalej ścieżką wzdłuż klifu.

– Nie ma problemu, Connie. Przecież nie zaprosiłeś mnie tutaj, żeby zepchnąć mnie z tej skały. Jasne, że przekażę do Moskwy tylko to, co chcesz, żeby zostało przekazane. Nie jest jeszcze ze mną tak źle, choć też nie jest już tak jak poprzednio. Wiesz przecież – rzucił Peter obojętnie, ale Conor wiedział, że to prawda. Virag bardzo się zmienił od śmierci żony i likwidacji KGB.

Conor Gallagher zawsze uważał, że Peter jest Australijczykiem, ale jego przywiązanie do ZSRR budziło podejrzenia. Nie próbował rozwikłać tej zagadki, dopóki IRA miała z niego pożytek. A po śmierci Mary Peter zmienił się na tyle, że Conor zupełnie zapomniał o swoich wątpliwościach. Dzisiejszy Peter Virag – cechujący się cynizmem tak jawnym i widocznym, że mógłby go używać jako wizytówki – odpowiadał mu bardziej niż w poprzednim, ideowym wcieleniu. Stał się najprawdziwszym człowiekiem bogartowskim. Całkiem

przewidywalnym.

– Najpierw ci powiem, o co chodzi, a potem coś wyłącznie do twojej wiadomości. Na koniec będziesz mógł mi zadawać pytania. Okay?

– Jedyne, czego nie mogę ci zagwarantować, to tych pytań na koniec. Tak się nie da. Nie kombinuj, Connie. – Peter spojrzał na Gallaghera z politowaniem. – Za starzy jesteśmy. Nie uważasz?!

– Mamy kontakty z północnymi Koreańczykami... od lat...

– Nooo... przecież o tym wiemy. Teraz Moskwa tego nie pochwała, ale ja was rozumiem – stwierdził ze spokojem Peter.

– Przypomnij sobie, jak się na nas wypięliście w osiemdziesiątym pierwszym waszą wielką ruską dupą...

– W porządku, Connie. Nie bądź taki wulgarny – wtrącił Peter. – Przecież mówiłem, że was rozumiem. Teraz nie ma jedynej słusznej linii... ale Mary by tego nie pochwałała. Świat stanął na głowie. Wiesz, Connie, pamiętam, jak kiedyś poszedłem do kina na taki film Stanleya Kubricka *Mechaniczna pomarańcza*. To był wtedy spory szok dla widzów...

– Coś pamiętam... Malcolm McDowell w meloniku i z wielkimi jajami...

– Otóż to! Poszedłem na ten film w tajemnicy przed Mary, bo ona uważała, że to szczyt zgnilizny i okrucieństwa. Dużo o nim wcześniej czytała i była bardzo pryncypialna, ale na mnie ten film nie zrobił wówczas takiego wrażenia. Nie wiem dlaczego. Ludzie jednak wychodzili z kina i oburzali się, że bezmyślne okrucieństwo i takie tam...

– Podczas gdy w Ulsterze walili do nas z automatów, a w Wietnamie palili dzieci napalmem – wtrącił z marksistowską wrażliwością Conor.

– Niedawno czytałem, że dzisiaj ten film ludzi śmieszy... no, niektórych... a w ogóle jest nudny. Wyobrażasz sobie?

– Pewnie! Idziemy dalej. Sztuka się rozwija... nie?

– No dobra. – Peter uciął wątek. – Co z tymi Koreańczykami?

– Kiedyś szkolili naszych ludzi. Trochę pieniędzy, jakieś pistoleciki, ale to było dawno. Teraz zaproponowali nam dobry

interes...

– *Jesus Christ!* Chyba nie mają na sprzedaż jakiejś bombki?!

– Peter wyraźnie się ożywił. – Czyżby wam się marzyło... tego... Buckingham? – dodał z ironią.

– To nie to – odparł z uśmiechem Conor. – Biznes, dobry biznes. Sporo na tym zarobimy. Posłuchaj, bo może i wy na tym zyskacie...

– Musimy usiąść – oznajmił Peter i otarł pot z czoła. – Tam jest ławka. – Wskazał laską.

– Dobrze się czujesz? Peter! Chwyć mnie za ramię! Mocno. – Gallagher zauważył, że Virag zbladł, i poczuł przez płaszcz jego drżącą rękę.

– W porządku. Czuję się nietego, ale głowa pracuje... Nawijaj, Connie. Usiądziemy i zaraz mi przejdzie.

– Wywiad koreański zdobył w Japonii technologię, która pozwala drukować fałszywe banknoty. O niespotykanej jakości. Znaleźli specjalistów w Chinach, Stanach, w Europie, informatyków, drukarzy i sprowadzili ich do siebie.

– Jak to sprowadzili? Co ty...? – zapytał z lekkim niedowierzaniem Peter.

– Z tego, co zrozumiałem, to niekiedy wbrew ich woli.

– Porwali? – Ze zrozumieniem pokiwał głową. – To dla nich typowe.

– Chyba tak... no... na pewno! – dodał Conor. – Wiem to od nich, ale to teraz nieważne. – Zaczynał się wyraźnie rozkręcać, a Peter, odkąd usiedli na ławce, nabrał rumieńców.

– To bardzo ciekawe. Ale co... co wy do tego macie? Chcecie drukować euro... czy co?

– Nie o to chodzi, Peter – odparł Conor i założył nogę na nogę. Ściągnęła mu się przy tym skarpetka, ukazując zawias z nierdzewnej stali. – Koreańczycy opanowali druk nowej studolarówki. I to ma być ich broń masowego rażenia...

– W Rosji, Chinach i Iranie takich drukarni są tysiące... Connie... to żadna broń. Ktoś was nabiera – stwierdził Peter, ale wcale nie był pewny, czy ma rację. Czuł, że w opowieści Conora kryje się coś poważniejszego. W końcu ten nie ściągałby go z Londynu w jakiejś niesprawdzonej, duperelnej sprawie.

Gallagher miał doświadczenie i nosa. Peter nigdy w to nie wątpił.

– Peter! – Conor uniósł głos. – Skup się! Nic nie rozumiesz czy nie chcesz zrozumieć? Martwisz mnie... Co z tobą?

– Okay! W porządku. Co z tą... studolarówką, tak?

– To nie jest zwykła studolarówka...

– A jaka?

– Amerykanie wprowadzili ostatnio nowy banknot studolarowy, bo poprzedni był już powszechnie fałszowany. – Conor zawiesił na moment głos. – Technika, Peter, poszła tak do przodu, że dolara jest teraz znacznie trudniej wyprodukować i jednocześnie znacznie łatwiej podrobić... i na odwrót.

– Miałem kiedyś banknot dziesięciodolarowy z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– Zabezpieczenia na starej setce nie wytrzymały próby czasu. W końcu był to banknot z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, z ulepszeniami oczywiście, które Amerykanie wprowadzają co pewien czas. Ale nowa setka kosztowała Bank Amerykański gigantyczne pieniądze, miliardy. Jest sporo droższa w produkcji, no i stanowi symbol siły ich gospodarki.

– Słabnącej, Connie. Słabnącej – wtrącił Virag. – Czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego Koreańczycy mieliby produkować fałszywe dolary? Co to za biznes? Ile tego można wprowadzić do obiegu? Zastanów się, co to za bomba atomowa dla amerykańskiej gospodarki! To śmiech, Connie, jakieś zawracanie głowy! Secret Service rozwali fałszerzy w pięć minut. – Virag stuknął łaską w ziemię. – Powiedz, że tak nie jest, bo zaraz wracam do Londynu.

– Mówiłem ci na początku, żebyś zaczekał z pytaniami, aż skończę. Z tobą tak zawsze. Zapal papierosa i posłuchaj przez chwilę. – Conor wyraźnie się zdenerwował, chociaż wiedział, że Virag nigdzie teraz nie pojedzie i tylko udaje cynika.

W rzeczywistości Pietia uwielbiał takie historie, chociaż mało co mogło go jeszcze zaskoczyć. Widział, słyszał, napisał i zrobił już tak wiele, że z trudem mógł się skoncentrować na wiadomościach telewizyjnych, nie mówiąc już o czytaniu gazet.

Jednak północnokoreański wywiad, Fed of USA, nowe technologie i Conor Gallagher, legenda IRA – wszystko to razem składało się na ezoteryczną historię, która powinna zainteresować Służbę Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej. Postanowił zatem dla dobra sprawy powstrzymać się od aktywnego sterowania Conorem.

– Dobrze, Connie. Nie denerwuj się. Mów dalej.

– To, co chcę ci powiedzieć, nie dotyczy właściwie sprawy studolarówek... to jest tylko początek, część większej całości.

– Jakiej całości, Connie? Masz już siedemdziesiątkę! Dorośnij!

– Miałem w ręku tę fałszywą studolarówkę. To naprawdę mistrzostwo, prawdziwy kunszt... W jej doskonałości właśnie kryje się jej siła. Zatem pomysł Koreańczyków, niezwykły i śmiały...

– Co to za fałszyfikat, którego nie można odróżnić od oryginału?

– Nie ma takiego fałszyfikatu i nigdy nie będzie! – Gallagher opuścił nogę i rozparł się na oparciu ławki. – Chodzi dokładnie o to, żeby to był fałszyfikat prawie idealny, czyli taki, który można wykryć tylko po najbardziej specjalistycznych badaniach. – Conor dostrzegł zdziwienie w spojrzeniu Petera, choć jego oczy były zakryte ciemnymi okularami. – Chodzi o to, żeby poderwać zaufanie do dolara. Rozumiesz? Kim potrzebuje gotówki na różne cele. Program jądrowy, zbrojenia... Ale najważniejsze dla niego to skompromitować Biały Dom i przysporzyć mu jak największych strat finansowych...

– Ciekawe. – Virag zdjął okulary i teraz wyraźnie było widać, że rzeczywiście się zainteresował. – Nawet bardzo! Ale przecież obrót gotówkowy to już prawie historia – próbował polemizować.

– To nie jest tak, jak myślisz. Wystarczy średnio inteligentny bankier z londyńskiego City, żeby ocenić wysokość strat. Amerykanie od dawna zapowiadali, że wypuszczą idealną studolarówkę, najważniejszy banknot świata. Franklin rządzi dużą częścią globu nie gorzej niż ci ich marines. Zdziwiłbyś się, ilu transakcji dokonuje się studolarówkami, w gotówce... w Afryce, Ameryce, Azji, w Chinach, w Rosji...

– Chiny! – wtrącił głośno Peter. – Chiny! To bardzo ważne, Conor! Niezwykle ważne! – rzucił tonem, jakby dokonał ważnego odkrycia, i natychmiast z przyjemnością poczuł, jak narasta w nim napięcie.

Uzmysłowił sobie z satysfakcją, że opłaciło się podtrzymywać kontakt z Conorem Gallagherem przez prawie pół wieku, żeby na koniec dostać od niego taką informację. Zawsze wiedział, że Connie chodzi własnymi ścieżkami, jak każdy Irlandczyk, ale jego oddanie sprawie narodowej i żarliwa, naiwna wiara w marksizm sprawiały, że miał do niego większe zaufanie niż do kogokolwiek na tej wyspie.

Doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego, co właśnie usłyszał. Wiedział, że z tej krótkiej i prostej informacji analitycy w Jaseniewie stworzą arcydzieło, materiał, nad którym powinno się poważnie zastanowić kierownictwo państwa. Każdego państwa!

Już teraz potrafił stworzyć schemat intrygi wywiadowczej, która może wpłynąć na losy świata. Ludzie śmieją się z „efektu motyla”, ale nie wiedzą, że to nie żadne bajki, tylko w pełni prawdopodobna historia. To było tak proste i genialne, tak idealnie konfucjańskie, że mogli to wymyślić wyłącznie Koreańczycy lub Chińczycy. Makiaweliczni Amerykanie i Europejczycy nie mają szans w tym starciu!

– Dlaczego Chiny? – zapytał ze zdziwieniem Conor. – Nie bardzo rozumiem.

– Nie ważne – odparł Peter. – Masz ten banknot?

– Nie... jeszcze nie! Ale trzymałem go w ręku.

– Aaa... tak, mówiłeś. Co dalej? Właściwie można powiedzieć, że jesteś jedynym dowodem na to, że za sprawą stoją Koreańczycy. Kto jeszcze o tym wszystkim wie?

– Tom... Tom Flynn, tylko on. To mój najbliższy partner... mój przyjaciel...

– Powinienem go znać? Masz do niego zaufanie?

– To nie twoja sprawa – odparł Connie. – Tom Flynn właściwie nie istnieje.

– Dobra. Zostawmy to. Twoja sprawa. Ufam ci. – Virag z dobrze zagrany szacunkiem uciął wątek. – Skup się teraz

i mów wszystko po kolei.

Z kieszeni płaszcza wyjął piersiówkę obciążoną skórą, odkręcił i podał Conorowi, szturchając go jednocześnie łokciem.

– Pij! Irlandzka!

Conor, niezbyt zachwycony, pociągnął symboliczny łyk.

– Oszczędzasz się? – Peter wziął od niego piersiówkę i nie dotykając jej ustami, wlał w siebie potężną dawkę, przełknął i skulił się na moment, po czym wydmuchał głośno powietrze i zapytał: – No i co dalej, Connie?

– W falsyfikacie, którego nie jest w stanie wykryć zwykły człowiek czy nawet doświadczony kasjer, kryje się potężna siła destrukcyjna. Wkrótce po wprowadzeniu tych banknotów do obiegu wiadomo będzie na cały świat, że Korea Północna zrobiła finansowy przekręt. Oni sami zadbają o odpowiednie przecieki, żeby nie było wątpliwości, ale oficjalnie wszystkiemu zaprzeczą. Innymi słowy, ludzie będą tracić zaufanie do amerykańskiej waluty i zaczną przechodzić na euro jako bezpieczniejsze. No i pewne kraje mają jeszcze argumenty polityczne za tym, żeby przejść na rozliczenia w euro albo rublach... czy juanach... Wyobraź sobie teraz giełdy na świecie. Przecież niektórzy na Wall Street tylko na to czekają! Uwierzyłybyś?

– Dobrze, to już jest dla mnie jasne – wtrącił Peter. – Zostawmy ocenę finansową i polityczną tego pomysłu fachowcom. Ja potrzebuję teraz faktów, konkretów. Prawdziwych! – podkreślił. – Wyłącznie prawdziwych! Inaczej możesz to sprzedać Flemingowi, Forsythowi albo Clancy'emu, bo Le Carré tego w takim stanie nie kupi... Fleming zresztą też już nie.

– Czasem jesteś żaloszny, Peter... ale co tam! – zaczął Conor. – Sprawy zaszły za daleko! Kontakty z Koreańczykami mamy od dawna, ale to teraz nieważne. Jack przyjaźnił się kiedyś z obiecującym oficerem wywiadu, Lee Young-chulem... dzisiaj pierwszym zastępcą szefa północnokoreańskich służb.

– Nie słyszałem.

– Lee zaproponował nam interes... właśnie ze studolarówką.

Pewnie nie tylko nam...

– Ale dlaczego wam? – Virag był zaskoczony.

– Mają do nas zaufanie, a poza tym wiedzą, że możemy wprowadzić banknoty do obiegu... przynajmniej jakąś część.

– No tak, macie swoje banki. Nie ma lepszego sposobu, by wpompować do obiegu większą gotówkę.

– To nie tak! Ale to dla ciebie teraz nieważne. Zaproponowali nam wcześniej wymianę jeden do dwóch, ale przy takim ryzyku to dla nas za drogo i zaproponowaliśmy jeden do czterech...

– Czyli dwadzieścia pięć dolarów za stówkę? – zapytał Virag. – To dużo czy mało?

– W mojej ocenie to i tak dużo, ale potrzebujemy pieniędzy. Na początek miało być sto milionów dolarów... za dwa i pół... w ciągu trzech miesięcy.

– Connie! Po co wam te pieniądze? Chcecie kupić broń? To bez sensu!

– Walka zbrojna już się skończyła. Popatrz! – Gallagher rozchylił płaszcz. – Od dawna nie noszę broni. Jesteśmy teraz w Unii. Wykupimy Ulster! Nasze cele nie zmieniły się i nie zmieniają, dopóki nie zjednoczymy kraju...

– Śmieszne! Ale... może coś w tym jest – z powątpiewaniem odparł Peter.

– To już są nasze sprawy. Nic wam do tego! Chcesz czy nie, my w ten biznes prawdopodobnie wejdziemy. Zastanówcie się, co wy możecie z tego mieć, bo czuję, że też na tym zarobicie. Moim zdaniem, Peter, od teraz jedziemy na tym samym wózku, więc żadne sztuczki są niepotrzebne. Koreańczycy zrobią ten biznes. Z nami czy bez nas.

– Od kiedy i gdzie się spotykacie? Bo chyba nie w Pjongjangu...

– Od kwietnia ubiegłego roku. W Warszawie.

– Gdzie?

– W Polsce... w Warszawie.

– Aha... – Peter z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Spotkaliśmy się dotąd osiem razy.

– I Polacy was nie namierzeli? Zupełnie wam odważyło! Dziwne... Północnych pilnuje cały świat, a co dopiero Zachód! Taki jak ten Lee jakiś tam nawet nie odleje się bez eskorty.

– Wiem tylko, że przyjeżdża z Moskwy w obstawie dwóch ochroniarzy, ale czym... to nie wiem.

– Z Moskwy, mówisz? – Peter podniósł wysoko brwi. – Z Moskwy. To bardzo ciekawe, Connie! – Zaczesał ręką włosy, wyjął papierosa i zamilkł wpatrzony w małą sylwetkę promu przecinającego Zatokę Dublińską w drodze do Liverpoolu.

Z Moskwy? – pomyślał. To Centrala musi o tym wiedzieć, nie ma siły! Lee jakiś tam to zbyt duża figura w tym interesie, żeby sobie biegał wolno po placu Czerwonym jak jakaś gęś. Nasi muszą o tym wiedzieć! A jak wiedzą nasi, to Anglicy też mogą. Od dawna wiadomo, że ryje u nas ich kret. No tak... to komplikuje sprawę.

Pietia wiedział, że sam tego rebusu łatwo nie rozgryzie, więc nie miał wątpliwości, że musi teraz zadać więcej pytań. Nie Conorowi, lecz sobie samemu.

Jeżeli nasi o tym wiedzą, to co jest grane? Dlaczego nikt mi o tym nic nie powiedział? Przecież „York” to mój agent! Bładź! Mary, rozumiesz coś z tego? W coś mnie wrabiają? To nie tajemnica, że jestem chory. Dziwne to wszystko...

– Co zamierzasz, Peter? – Głos Conora wyrwał go z zamyślenia. – Rozumiem, że przekażesz informację do Moskwy. Chcę, by dla Rosjan było jasne, że jeżeli dogadamy się z Koreańczykami, to zrobimy ten biznes, czy będzie wam się to podobało, czy nie. Mamy swoje interesy i nic nas nie powstrzyma.

– Wiem, wiem, Connie... Poznałem was dobrze przez te lata – odparł Peter. – Kiedyś mnie denerwowaliście tym zacięciem do niesubordynacji, ale z czasem zrozumiałem, dlaczego Irlandczycy tacy są, i właściwie to muszą powiedzieć, że mi imponujecie... Wierzysz mi? – Zrobiło mu się dziwnie przyjemnie, bo po raz pierwszy powiedział prawdę.

Żaden Rosjanin nie zrozumie Irlandczyka... i na odwrót – pomyślał. Jak prawosławny katolika.

– To dobrze. – Conor zareagował z niedowierzaniem i obojętnością, ale Peter tego nie wyczuł. – Więc jeżeli nie będziesz nam przeszkadzał i mi obiecasz, to wtedy... –

uśmiechnął się szczerze i położył rękę na kolanie Viraga – dowiesz się o jeszcze jednej sprawie. Może nawet ważniejszej! W tej sprawie musicie coś zrobić, więc uznałem, że trzeba was poinformować, bo tylko wy macie możliwości ich powstrzymać. – Przerwał na chwilę i dodał: – Przecież nie pójdę z tym do Anglików!

– Co tam jeszcze masz, Connie? – Głos Petera dobitnie świadczył o stanie jego ducha, był gorszy.

Żeby w moim wieku musiał się jeszcze denerwować! Dlaczego Centrala nie poinformowała mnie o sprawie Lee?

Z tego podniecenia nawet nie próbował się skupić na tym, co Gallagher ma mu jeszcze do powiedzenia.

No... nie może być inaczej! – olśniło go nagle. Moskwa nic nie wie o tej sprawie! Czy to możliwe, żeby towarzysze przepuścili coś takiego? – postawił sobie pozornie retoryczne pytanie i zaraz na nie odpowiedział: Pewnie, że możliwe! Ty stary durniu! Oczywiście, że możliwe!

– Podczas dwóch ostatnich spotkań w Warszawie Lee Youngchul zaproponował nam jeszcze jeden interes – zaczął Conor.

Spojrzał na zachodzące słońce i pomyślał, że do zmroku zostało nie więcej niż trzydzieści minut.

Od kilku minut Sara chodziła po pokoju, a Bill Stenton opowiadał angielskie dowcipy, które spływały po niej jak woda po gęsi. On za to śmiał się, gestykulował i próbował jej wyraźnie zaimponować swoimi zdolnościami i dystansem do ostatnich wydarzeń. Sara jednak od razu wyczuła, że robi to zupełnie bez przekonania. Dlatego przedłużająca się nieobecność Konrada irytowała ją na równi z infantylną wesołkowatością Anglika, a może nawet bardziej.

Gdy otworzyły się drzwi, poderwała się z krzesła, ale do pokoju wszedł Marcin i czujnie się rozejrzał.

– Nie ma szefa? – zapytał.

– Nie ma go, jest u boss – odpowiedział mu Bill po polsku.

– Dobrze, że jesteś. Skontaktuj się ze Sztokholmem i przełoż nasz wyjazd – poleciła Sara.

– A na kiedy, pani naczelnik, na kiedy? – zapytał Marcin.

– No tak! Dobrze pytanie. Twoja trzeźwość umysłu jest jak zawsze imponująca. Bravo! – odparła i od razu zrozumiała, że powinna była trzymać język za zębami.

– Rozumiem! Przyjdę później, oczywiście! Ale jeżeli coś się stało, to jestem do dyspozycji. – Zareagował jak zawsze, kiedy w głosie Sary wyczuwał napięcie.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo nagle drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wszedł rozpromieniony Konrad.

– Ty to masz talent do nawijania bawełny! – stwierdziła z uśmiechem na jego widok, przeczuwając, że znów mu się udało omotać strachliwego szefa. – Jak ty to robisz?

– Naczelnik, kiedy trzeba, zawsze ma właściwe argumenty. Każdy to wie! – skomentował Marcin, chociaż nie wiedział, o czym mowa.

– Nie mądraluj! – przyciął go Konrad. – Masz samochód?

– Jasne, szefie!

– Jest już po wpół do trzeciej. – Spojrzał na zegarek. – Trzeba coś zjeść. Opowiem wszystko po drodze... Mamy carte blanche na tę robotę! Zabawimy się z Koreańczykami! – zakomunikował.

– Świetnie! – odezwała się Sara. – W takim razie dokąd jedziemy?

– Do pierogarni na Kabatach. – Spojrzał na zdezorientowanego Billa i westchnął wymownie.

– Tak, tak, pierogarnia... Bardzo dobre! – wykrzyknął uradowany Anglik i poderwał się z krzesła.

Bill, nie czekając na zaproszenie, usiadł na przednim siedzeniu volkswagena touarega. Marcin chciał mu powiedzieć, że to miejsce Konrada, ale zrezygnował, bo zobaczył, że szef siada już z tyłu z Sarą. Wyglądało na to, że chcieli porozmawiać.

Konrad, Sara i nawet Marcin dobrze wiedzieli, że niektórzy angielscy koledzy lubią udawać, że nie rozumieją takich egzotycznych języków jak polski, węgierski czy fiński, choć w rzeczywistości uważnie śledzili każde słowo, które padało w ich obecności, a szczególnie te wypowiedziane poza protokołem. Konrad wykorzystywał to czasami, by w ten sposób sprzedać sojusznikom coś niecoś. Tak też wyszkolił swoich ludzi. Oczywiście Anglicy potrafili odpowiednio interpretować podkładane im informacje, co Konrad naturalnie też brał pod uwagę. W efekcie pomiędzy oficerami zaprzyjaźnionych służb tworzył się nieformalny, uzupełniający tryb komunikacji, podobny do zabawy w głuchy telefon, niekiedy całkiem przydatny.

Tym razem jednak Bill Stenton wybrał rozmowę z Marcinem i z przejściem opisywał mu kłopoty z firmą, która złośliwie nie wywiązywała się z zadania odgrzybienia jego londyńskiego domu. Marcin tylko kiwał głową i myślał, że taki stary angielski dom bez grzyba zatraciłby całą swoją urodę i Bill powinien się cieszyć, że go ma. Bill natomiast, kiedy o tym mówił, uderzał całkiem mocno pięścią w drzwi samochodu i używał słowa *fuck*. Zupełnie nie jak oficer Jej Królewskiej Mości. W rzeczywistości był to efekt podwyższonego poziomu adrenaliny, spowodowanego głodem i odkryciem warszawskiego epizodu przyjaźni IRA i KRL-D, a dopiero potem wspomnieniem grzyba na ścianach.

Przejazd z Miłobędzkiej na Kabaty zajął im dziesięć minut i nikt nie zauważył, że Marcin zaliczył w tym czasie trzy

wykroczenia drogowe.

Konrad opowiedział Sarze ogólnikowo o rozmowie z Szefem, podsumowując krótko: „Robimy po naszymu!”. Trochę więcej uwagi poświęcił dziwnemu zachowaniu Magdy Arendt. Skupił się natomiast na spotkaniu z Belikiem i Kopą przy windzie. Wysłął odważną teorię, że ten ostatni musiał przyjechać z Hiszpanii nie po odbiór dymisji, co powinno być logiczną konsekwencją jego kariery, lecz w zupełnie innym celu.

– Czyli jakim? – zapytała wyraźnie poruszona Sara, ale Konrad tylko zamyślił się na chwilę. – No? Konrad! W jakim? – powtórzyła i wtedy zdał sobie sprawę, że nie powinien był poruszać tego tematu.

– Właściwie to nie wiem... No, chyba nie będzie zastępcą Szefa – zaczął nieudolnie kręcić.

– Boże! Konrad! – Sara ściszyła głos. – Przecież wiesz tak samo jak ja, że pewnie będzie szefem WBW. *Shit!* Jestem umoczone! On nie dość, że nic nie robi, by mi pomóc w sprawie „Travisa”, to jeszcze poda mi brzytwę! Prokurator posika się z radości!

– Nie chce mi się wierzyć, żeby Szef mianował naczelnikiem wewnętrznej bezpieki takiego wazeliniarza, komucha na dodatek! – Konrad próbował ratować sytuację, ale Sara miała, niestety, rację.

– Radecku... Nie zarzucaj sobie, że mi to powiedziałeś. Nie obwiniaj się jak dziecko. Jesteś dobrym przyjacielem. Czasem trzeba ci pomóc, ale bez ciebie daleko byśmy nie zajechali. – Sara uśmiechnęła się miło i tak na niego spojrzała, że aż coś go ścisnęło w dołku. – Sam mówiłeś, że premiera nie obchodzi, co robimy, bylebyśmy nie sprawiali kłopotów i media nas nie zauważały...

– No, niestety... Sprawa Rupertów miała swój ciężar, czyż nie? A CBA, ABW i duchy WSI ciągle biegają po Polsce...

– Szef nie musi się przecież spowiadać premierowi z tego, kogo mianuje naczelnikiem.

– Na jedno by wyszło! Taki szmaciarz jak Franio Kopa obskakiwał już każdego, zatem dużo wie. Wylizał wszystko, co się da, i przetaił spodnie na kolanach. Będzie wiernie służył

szefowi i nigdy go nie zdradzi, a on o tym wie. Tacy zawsze mogą się przydać. Dopóki będzie rządzić PGG!

– Okay! Dajmy temu spokój... Zobaczymy, co będzie dalej. – Sara powiedziała to dokładnie w chwili, gdy Marcin wyłączył silnik.

Jednocześnie w samochodzie rozległ się dzwonek telefonu komórkowego Konrada i kilka sekund później Stentona. Jak na komendę obaj wysiedli i odeszli na kilka metrów w przeciwnych kierunkach. To błahe z pozoru zdarzenie zaniepokoiło Sarę. Wyglądało to tak, jakby przed chwilą wybuchła jakaś nowa wojna. Pamiętała, jak jedenastego września w ciągu minuty zaczęły nagle dzwonić wszystkie telefony.

Spojrzała w stronę Billa, którego wyraz twarzy nie wróżył nic dobrego. Konrad odwrócił się plecami i stał jak zamurowany. Marcin coś mówił, ale Sara go nie słyszała. Sekundy przeciągały się w nieskończoność.

Skończyli rozmawiać w tej samym momencie, jakby się umówili.

Sara wysiadła z samochodu, stanęła na ulicy i zaczęła śmiesznie kręcić głową, na przemian w lewo i w prawo. Konrad i Bill ruszyli ku niej z dwóch stron, trzymając w dłoniach telefony komórkowe, jakby zaraz mieli z nich do siebie strzelać. Obaj z miną Clinta Eastwooda, brakowało tylko muzyki Ennia Morricone.

– Miałem telefon... z Londynu... dzwonił Rick – oznajmił Bill z miną samuraja w deszczu. – Coś się stało w Wiedniu. Wczoraj wieczorem doszło tam do strzelaniny w... – Sześć par oczu wpatrywało się w jego okrągłą twarz, zastygła w wyrazie grozy, jakiej dotąd na niej nie widzieli. – Zginął Tom Freeden.

Bill opuścił głowę i przysiadł ciężko na zderzaku samochodu.

– Co się stało? – zapytał Konrad z niedowierzaniem. – Tom? Jak?

– Bill, ocknij się! – dołączyła się Sara. – Powiedz coś więcej! Hamond? Safir?

Bill wciąż siedział jak oniemiały.

– *Fuck!* – rzucił Konrad i złapał się za czoło.

– Kurwa! Ogłuchleś, Angolu jeden?! – Marcin chwycił Billa za ramiona.

Na moment wszyscy zamilkli, obserwując Stentona, który powoli zaczął dawać oznaki życia. Cała polska trójka stojąca na parkingu przed pierogarnią na Kabatach знаła Toma Freedena, bo to on z ramienia SIS prowadził w Wiedniu sprawę Abdula, czyli zastawiał tam pułapkę na Karola Hamonda. Ale żadne z nich nie wiedziało, że Stenton i Freedom byli przyjaciółmi z wojny irackiej.

– Doszło do ostrej rozpiarduchy w domu Abdula – zaczął Bill.
– Zginął Tom i jeszcze kilka osób...

– Kto? Safir? Abdul? Kto jeszcze? – dopytywał się zaniepokojony Konrad. – Jak to się stało?

Sara wyraźnie zbladła.

– Posłuchajcie! – Bill podniósł się i wyprostował w żołnierskiej postawie. – Nic nie wiecie! Nic wam nie mówiłem! Okay? – I po chwili dodał: – Dzwonił do mnie Rick Studenton... prywatnie... to nie jest jeszcze oficjalna informacja. Ludzie! – podniósł głos. – Nie pytajcie mnie o nic więcej! Nic więcej nie wiem... *Fuck!* Muszę natychmiast wracać do Londynu!

– Poczekaj – odezwał się Marcin. – Skoro oficjalnie nic nie wiesz, to czemu chcesz już wracać do Londynu? Jak się wytłumaczysz, dlaczego wróciłeś wcześniej? *Think twice!* Zaczekaj na swój termin... jutro? Okay? – Położył mu rękę na ramieniu.

– Która jest? – zapytał Bill.

– Trzecia – rzuciła Sara bez sprawdzania.

– Najwcześniej polecisz jutro rano – dodał Konrad.

– Wiecie co? – Bill uśmiechnął się smutno. – Nie mam już ochoty na pierogi...

– Jasne, Bill! – odparł Marcin. – My też! Duża wódka?

– Pewnie!

– Ja pilnuję furazu, szefie! – zarządził podniecony Marcin, świadomy, że wieczór może być ciężki. – Jak zawsze możecie na mnie polegać. Zajmę się wszystkim. 2KC, kefir, przebiore w piżamkę... nawet panią naczelnik!

– Jakiego furazu?! Marcin! – wykrzyknął Konrad i zarządził: – Jedziemy do Bolka!

Wsiedli z powrotem do samochodu i nikt już nie pamiętał, czy jest głodny. Nikt nie pamiętał o farbowanych Irlandczykach ani północnych Koreańczykach. Nikt nawet nie zapytał, czy Safir as-Salam też zginął, czy nie.

Jedynie Sara pomyślała, że będzie teraz musiała złożyć do archiwum dziewięć tomów sprawy o kryptonimie „Zaraza”, którą prowadziła przez sześć lat.

I nagle poczuła, jak do oczu cisną jej się łzy, więc szybko odwróciła twarz do okna, żeby nikt ich nie zauważył. Skarciła się od razu za niedopuszczalną słabość i brak dystansu do zawodowej rzeczywistości. Na myśl, że ktoś mógłby jej to zarzucić, poczuła nawet przyływ niechęci do samej siebie. Wytłumaczyła sobie, że nie ma żadnych powodów, by się mazać. Było oczywiste, że Safir as-Salam sam się wypisał z jej życia. Był przecież obiektem rozpracowania i zwykłym lwowskim złudzeniem. Uchyliła okno i wyjęła z kieszeni papierosy. Strzeliła trzy razy zapalniczką Zippo, która złośliwie odmawiała posłuszeństwa. Kiedy w końcu błysnął płomień, Sara mocno się zaciągnęła i poczuła, że w jej gardle tkwi ciężki zimny kamień, który nie przepuszcza dymu. Wyrzuciła papierosa przez okno.

Odwróciła się i w momencie, gdy mijali Multikino przy alei KEN, pozwoliła, żeby trzy łzy spłynęły sobie swobodnie po policzkach. Dwie po lewym i jedna po prawym.

Nikt tego jednak nie spostrzegł, a gdyby nawet, to przecież moment był jak najbardziej odpowiedni. W końcu zginął kolega. W samochodzie zaległa grobowa cisza. Ogarnęło ich zwykle odretwienie, właściwie klasyczny stupor, który normalnie trwa do trzeciej wódki wypitej przed jedzeniem. Nikt nie mógł się odezwać wcześniej, bo po prostu brakowało instrukcji na taką okoliczność. Byli tacy, co próbowali coś wymyślać, grać i tworzyć, ale oczywiście nic się nie przyjęło, bo nie mogło. Nieczęsto zdarza się stracić towarzysza w walce.

– Masz telefon? – rzuciła Harriet, wciąż nie odrywając wzroku od Claesa przebywającego na postoju taksówek.

– Mam.

– Słuchawki?

– Mam... ale...

– Załóż! – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu, przez co od razu zyskała w oczach Hasana. Sama wyjęła swój telefon i podłączyła słuchawki.

Hasan stał nieco zdezorientowany.

Harriet poprawiła przewieszoną przez ramię torbę i ruszyła ostro przed siebie. Po kilku krokach zaczęła biec. Claes von Utrecht wsiadał właśnie na rower.

Hasan położył na stoliku dwieście koron i wyszedł przed kafeterię. Zanim się zorientował, Harriet zniknęła mu z oczu w tłumie przechodniów. Potrzebował chwili, żeby się zorientować, co się właściwie dzieje, gdzie znikła Harriet i co tu robi Claes. Dlaczego jego widok tak nią poruszył, jakąż to ważną misję ma do wypełnienia, o co chodzi z tym jego komputerem, kto go właściwie obsługuje?

– No... coś się dzieje! – wyszeptał.

Pewnie ktoś tam siedzi przy jego komputerze... jakiś kolega, braciszek albo panienka. Harriet zbyt to przeżywa. Musi się jeszcze trochę poduczyć, jak wygląda świat neoklasycy. Ale swoją drogą ma dziewczyna talent! Będą z niej...

Dzwonek telefonu komórkowego przerwał bieg jego myśli.

– Jadę za nim – odezwała się Harriet.

– Za von Utrechtem? – zapytał nieco zdziwiony Hasan.

– Oczywiście! Co ty?

– Ale po co?

– Jak to po co? – obruszyła się Harriet. – Hasan! Nie rozumiesz?

– No tak... a gdzie teraz jesteś?

– Na Birger Jarlsgatan. Jadę z piętnaście metrów za nim...

– A nie pomyślałaś, że on wybrał się na zakupy albo coś w tym rodzaju, a w domu kumpel bawi się tym jego...

– Hasan! – przerwała mu. – Albo wchodzisz w sprawę ze mną, albo nie! Jak nie, to mów od razu. Dam sobie radę sama...

– Nie, to nie tak! Harriet... ja... oczywiście...

– To rusz dupę i pomóż mi! – skwitowała go ostro, ale pogodnie.

– Co mam robić?

– Najpierw załóż słuchawki... poczekaj... – Jej głos gdzieś znikł, ale wciąż było słyhać odgłosy ulicy.

– Założyłem! Harriet, coś się stało? – Po chwili milczenia ponownie zapytał: – Coś się stało? Harriet?

– Okay! – odezwała się ściszym głosem. – W porządku. Staliśmy obok siebie na światłach. Założyłeś słuchawki?

– Tak, i co teraz?

– Ten Claes ma bardzo zgrabną pupę.

Hasan pomyślał, że się przesłyszał.

– Co ma? – zapytał na wszelki wypadek.

– Teraz idź do swojego motoru...

– Bike'a!

– I przyjedź tu!

– Gdzie?

– Właśnie minęłam Kungstensgatan... Po prawej szkoła baletowa...

– Aaa... tak!

– Hasan, wsiądź w końcu na tego swojego rumaka i jedź Birger Jarlsgatan w kierunku Odengatan... Obserwuj ścieżkę rowerową po prawej stronie. Chyba nie zapomniałeś, jak wyglądam?

– No co ty, Harriet?

Jak tylko usłyszał te słowa, dostał prawdziwego przyspieszenia i zaczął biec.

– Hasan! Słyszysz mnie?

– Tak, oczywiście!

– Według mnie Claes jedzie na Rissne. Mamy szansę ustalić, gdzie jest jego kryjówka... Hasan... słyszysz?

– Oczywiście, Harriet! – odparł z opóźnieniem i odpalił swojego harleya, aż charkot silnika odbił się od okolicznych domów. – Już jadę!

– Jak znajdziemy jego kryjówkę... to ustalimy, co jest grane... Mamy szansę znaleźć jego komputery, złamać ten cholerny, cudowny szyfr... – urwała. – Misiaczek skręca w lewo, w Odengatan... Może odkryjemy jego ścieżkę łączności, jego serwery... Hasan, słyszysz mnie?

– Tak, Harriet! Jadę... rozglądaj się...

– Słyszałeś, co powiedziałam?

– Oczywiście! – odparł. – Uratujemy Neo i zniszczymy Agenta Smitha...

– Żebyś wiedział! – Harriet zabrzmiała niezwykle przekonująco. – Jak będziesz się mnie trzymał i nie przeszkadzał, to przejdziesz do historii... jako mój pomocnik, oczywiście!

– Kocham cię!

– Ja ciebie też, ale rób, co mówię! Wtedy nasza świeżutka miłość rozkwitnie jak kwiat tysiąca i jednej nocy...

– Arabska klasyka?

– Nie, gapciu! Kwiat, nie księga... Kwiat! To Pasolini.

Hasan poczuł, że Harriet nie musi przechodzić na islam i w ogóle nie musi czcić żadnego znanego ludziom bóstwa, żeby stać się jego boginią. Tak mu się spodobało to określenie – gapciu. Przykręcił gazu w swoim harleyu, by jak najszybciej dogonić tę zwykłą szwedzką blondynkę na rowerze nieustalonej marki.

To pewnie Crescent, a może Monark... Ksenofobiczna rasistka? – pomyślał z rozbijającym oportunistycznym. Dureń! Ech... wszystko jedno! Prędej czy później polubi harleya, już ja się o to postaram. Pasolini... gdzieś to słyszałem...

Taki był już ich los, że życie i śmierć deptały sobie po piętach i stale chodziły jedno śladem drugiego. Bo śmierć jest częścią życia, jak mówiła matka Forresta Gumpa.

Co tam! Wszyscy czworo wiedzieli o tym od zawsze i już niczemu się nie dziwili. Nie musieli sobie tego powtarzać. Oni nie tylko wiedzieli, co to jest śmierć, nie tylko ją widzieli, oni znali ją lepiej niż ktokolwiek inny, chociaż niełatwo było ją rozpoznać, bo wciąż się przebierała.

Ona знаła ich równie dobrze. Potrafili nawet z nią rozmawiać.

Ich wzajemne relacje były czymś więcej niż zwykłą znajomością naznaczoną pospolitym strachem, jaka najczęściej się utrzymuje między człowiekiem a śmiercią. Uznanie, pokora i szacunek graniczyły z przyjaźnią. Dla wielu Czechenów nie było w tym niczego nadzwyczajnego.

Spośród całej czwórki w najbliższej przyjaźni ze śmiercią byli Asłan i Szamil. Testowali ją nieustannie na wszelkie sposoby w realu i w świecie wirtualnym. Call of Duty, Mortal Kombat czy Battlefield były dla nich dziecinnie proste. Wręcz śmiesznie łatwe. Tak łatwe, że przechodzili wszystkie poziomy bez żadnych strat. Patrząc z boku, ktoś mógł nawet pomyśleć, że to rodzaj sportowego turnieju, w którym rywalizacja ze śmiercią jest tylko zwykłą improwizacją. Asłan i Szamil nigdy nie walczyli między sobą, wszystkim się dzielili i nigdy o nic nie rywalizowali, gdyż nawet nie potrafiliby sobie wyobrazić, że któryś z nich mógłby przegrać albo wygrać. Nie pozwalała na to Amina, która najlepiej wiedziała, że w dwóch identycznych ciałach Asłana i Szamila bije tylko jedno serce.

Obaj nosili mocno już wytarte bejsbolówki Tommy Hilfiger – Asłan zieloną, a Szamil brązową – i ku utrapieniu Aminy ciągle się nimi wymieniali, więc nawet ona miała czasami kłopot z rozróżnieniem braci.

Odkąd zdołali unieść broń i oddali swój pierwszy strzał do człowieka, nigdy nie przegrali żadnego starcia. Wiedzieli jednak aż nadto dobrze, że tej najważniejszej walki jeszcze nie stoczyli i że prawdziwe wyzwanie czeka na nich gdzieś

w niedalekiej przyszłości. Wciąż o nim rozmawiali i próbowali wyobrazić je sobie w najdrobniejszych szczegółach. Oczekiwali, że ich wspólne marzenia wkrótce się zmaterializują i będą mogli walczyć razem na chwałę Allaha.

Gra na ekranie komputera była częścią codziennego ćwiczenia koncentracji połączonego z treningiem autogennym. To był ich obowiązek i przyjemność zarazem.

Amina planowała im każdą minutę, każdą godzinę, dzień i tydzień. Wyznaczała terminy treningów i wszystkich innych zajęć. Pilnowała bliźniaków jak lanista swoich gladiatorów, bo ponad wszystko lubili wykonywać rozkazy. Odpoczywali dopiero przy Assassin's Creed Brotherhood. Nie musiała jedynie przypominać o czasie modlitwy, zarówno tej odmawianej pięć razy dziennie, jak i tych dodatkowych. Allaha wszyscy mieli w sercu.

Każdego z braci traktowała tak samo surowo. Rustam i bliźniacy całym sercem poświęcali się nauce, wierząc niezłomnie, że taka jest wola Allaha i że robią to na jego chwałę. Nade wszystko jednak trwali w przekonaniu, że jedyna droga do zbawienia świata wiedzie poprzez walkę w szeregach Braci Czystości i bezwzględne posłuszeństwo. O niczym nie marzyli bardziej niż o tym, by jak najszybciej złożyć baję i stać się bojownikami fida'i. I wraz z innymi braćmi wypatrywać nadejścia Mahdiego.

Od trzech dni padał gęsty, ciepły deszcz, tylko wieczorami na krótko przerywany lekkim prysznicem. W całym drewnianym domu słychać było odgłos ciężkich kropli uderzających z niezwykłą siłą w blaszany dach.

Karol kupił ten dom wraz z dużą parcelą dwa lata wcześniej od jakiejś rodziny z pobliskiego Olsztyna, która traktowała go jako siedzibę letniskową. Dom był zupełnie przeciętny, podobny do wielu innych w tym rejonie. Kiedyś pewnie należał do jakiegoś gospodarza. Miał własne ogrzewanie i można było z niego korzystać przez cały rok.

Najważniejsze wydawało się jego położenie. Stał samotnie nad niedużym jeziorem, z dala od wścibskich oczu sąsiadów, otoczony wysokim, gęstym lasem świerkowym i zaopatrzony

w dyskretny dojazd.

Na oko nie prezentował się najlepiej. Okna domykały się z trudem, a podłoga skrzypiała za każdym stąpieniem. Wyposażenie również pozostawiało sporo do życzenia. Stare meble z lat sześćdziesiątych ledwo się już trzymały, a w kuchni wyraźnie czuć było myszy. Na szczęście łazienka działała sprawnie i była ciepła woda z termy.

Dom miał jednak też swoją drugą twarz. Karol wyposażył go w najnowocześniejszą elektronikę, nie skąpiąc na to grosza. Czterdziestosiedmioletni monitor, szerokopasmowy Internet satelitarny, komputer, laptopy, GPS-y, sprzęt do nurkowania, paintball i wszystko to, co tylko mogło być przydatne do szkolenia całej czwórki.

Każde z nich dostało po kilka kompletów ubrań The North Face, butów trekkingowych i sportowych i wszystko, co tylko było potrzebne. Najlepszej jakości. Do dyspozycji mieli też starego nissana navara na olsztyńskich numerach.

W piwnicy, w zamkniętej na kłódkę zielonej wojskowej skrzyni, spoczywały dwa P-64 i dwa PM-63 ze sporym zapasem amunicji 9 milimetrów.

Aslan i Szamil nieustannie obwąchiwali tę skrzynię. Schodzili do piwnicy kilka razy dziennie, żeby choć na niej posiedzieć. Klucz jednak trzymał Rustam, niewzruszony na gorące i pełne požądania spojrzenia bliźniaków. Taki był rozkaz dai-kabira, Safira as-Salama. Trudno było powstrzymać zwykły kaukaski zew krwi najmłodszych Bogajewów, lecz na razie musiały im wystarczyć karabinki do paintballu, które traktowali z oczywistą pogardą.

Amina, Rustam, Aslan i Szamil mieszkali już drugi sezon w domku stojącym jedenaście kilometrów od Szczytna nad jeziorem o nieustalonej nazwie. Do szosy prowadziła wyboista droga, poprzecinana głębokimi dołami, koleinami i potężnymi świerkowymi korzeniami.

Trzy kilometry dalej, przy szosie, leżała wieś Warpnik, gdzie był mały, za to bogato zaopatrzony sklep spożywczy U Hrabiego. Połowę półek zajmował alkohol i można było tam kupić nawet chivas regal 25 w kartoniku. Konsumenci takich

trunków kryli się w domach nad okolicznymi jeziorami. Jednak Rustam prawie nigdy nie robił zakupów U Hrabiego.

Raz w tygodniu jeździł do Kauflandu w Szczytnie na ulicy Chrobrego 5. Piastował nieformalne stanowisko zaopatrzeniowca, ponieważ niemal perfekcyjnie opanował język polski i zupełnie dobrze radził sobie z angielskim. Potrafił się wszędzie wkręcić, wzbudzał zaufanie i miał niezwykle zdolności w owijaniu spraw w bawełnę.

W żaden sposób nie mógł się równać z bliźniakami w wyszkoleniu fizycznym, obsłudze broni i elektroniki. Nie mówiąc już o walce wręcz czy sporcie, bo przerośli go o głowę i gołym okiem było widać, że Allah ich stworzył do walki, a jego nie.

Miał jednak szczególną umiejętność, a właściwie prawdziwy talent, chociaż nikt tak tego nie nazywał. W walce na noże był najlepszy i mało kto mógł stawić mu czoło. Był nie tylko zwinny jak wiewiórka i szybki jak błyskawica, ale też przede wszystkim oburęczny. Z dziesięciu metrów trafiał w każdy sęk w lesie.

Nigdy tego nie mówił na głos, bo obawiał się śmieszności, ale w głębi duszy bardzo chciał, by wszyscy nazywali go mistrzem, tak jak cyrkowego miotacza. Ten tytuł sprawiał mu prawdziwą przyjemność i wydawało mu się, że w pełni na niego zasługuje. Ale nikt go tak nie nazywał, bo jakim mógł być mistrzem przy Aślanie i Szamilu!

Miał kilka noży, każdy był inny i służył do innego celu. Do walki w starciu, do rzucania, do obrony i do ataku. Tylko on potrafił odróżnić jakoś stali George'a Tichbourne'a i Chrisa Reeve'a. Najbardziej lubił proste fińskie noże Karesuando z rękojeścią z brzozy karelskiej i kości renifera. Miały w sobie coś dzikiego, może nie kaukaskiego, ale czuć było, gdy spoczywały w dłoni, że łączą człowieka z naturą jak żaden inny nóż.

Jedne noże kochał bardziej, inne mniej. Ale dbał o nie wszystkie jednakowo, czyścił je, ostrzył, oliwił. Niektóre miały już za sobą walkę, krwawą historię, a inne dopiero czekały na swój dzień. Leżały zamknięte w specjalnej aluminiowej skrzynce, w ściśle określonym porządku, ułożone tak, by się ze

sobą nie stykały. Zawsze też jakiś nóż pełnił dyżur w jego kieszeni.

Był jednak jeden nóż, ten pierwszy, co nigdy nie spoczywał w aluminiowej skrzynce i miał status wyjątkowy, tajemniczy, mistyczny. I chociaż życia jeszcze nikomu nie odebrał, to jednak w pojęciu Rustama miał tak bojową, dumną duszę, że nie z każdym przeciwnikiem chciałby i powinien walczyć.

Rustam nigdy o tym nie myślał, bo to tkwiło gdzieś głęboko w jego podświadomości, ale ten nóż, kizlyar z dedykacją Putina, był dla niego jedynym prawdziwym nożem, nożem zemsty osobistej. Za cierpienie – nie tylko jego, rodziny Bogajewów, tejpu, którego już nie było, ale też całego czeczeńskiego narodu. I choćby Kadyrow wybudował u stóp Kaukazu drugą Moskwę i wszyscy jeździli tam mercedesami, to dusza narodu nie zmieni się nigdy. Każdy Czeczen, Dagestańczyk czy Ingusz – każdy kaukaski góral – musi mieć przecież jakiś nóż.

Odkąd uciekł im z niewoli rosyjski żołnierz, któremu odebrał tego kizlyara, nigdy się już z nim nie rozstawał. Trzymał go tak blisko swojego ciała, by był niewidoczny i by mogli sobie wzajemnie oddawać swoje ciepło. Jakby w ten sposób przekazywali jeden drugiemu dar życia.

I za każdym razem, gdy dotykał pod ubraniem rękoności, napotykał wygrawerowany głęboko napis: „Sierżantowi Andriejowi Trubowowi za wierną kaukaską służbę – Putin”.

Czuł się z nim pewnie i bezpiecznie. Jakby był nieśmiertelny. Odkąd go zdobył, wiedział, że teraz nie może mu się nic stać i będzie miał też siłę zadbać o rodzeństwo.

Skąd miał takie przekonanie, nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć. Chwilami odnosił wrażenie, że sam Allah wziął go w ramiona i cały czas trzyma, dając mu moc, o jakiej inni wierni nawet nie mogą marzyć.

Wątpił jednak, by którekolwiek z rodzeństwa przyznało, że śmiertelny człowiek może mieć tak bliski kontakt z Bogiem, więc nie mówił o tym nikomu.

Piątego dnia pod wieczór deszcz przestał padać i w domu nad jeziorem zrobiło się cicho. Tej nocy Bogajewowie spali

wyjatkowo dobrze.

Dzień wcześniej Amina skończyła dwadzieścia pięć lat. Jednak żaden z chłopaków nie zająknął się o tym ani słowem. Nie było żadnych życzeń ani kwiatów. Dzień narodzin jako początek istnienia nie pasował im do życia, na które się zdecydowali, a które i tak nie należało do nich. Nie wybierali daty swoich narodzin i dzień ich śmierci też wyznaczał ktoś inny. Gdyby więc ktoś zapytał Aminę, ile ma lat, musiałyby się chwilę zastanowić.

Po fadźrze, modlitwie o świcie, Aślan i Szamil pobiegli na ćwiczenia do lasu, a Amina zajęła się sprawdzaniem planu zajęć na najbliższe dni. Rustam przygotowywał śniadanie.

Dochodziła siódma i na bezchmurnym mazurskim niebie, nad wysokimi świerkami, zawisło słońce jak świeżo wymalowane. Amina siedziała przy komputerze przed oknem i podpierając twarz dłońmi, obserwowała, jak drżące odbicie pomarańczowej tarczy zmienia kształt w sieniej tafli jeziora.

To był wyjątkowo piękny widok, tchnący spokojem i nadzieją na szczęście. Pobudzający do życia, może nawet miłości. Amina czuła, że ten widok ją uspokaja, ale też lekko drażni. To było delikatnie wibrujące, miłe doznanie. Choć nie miało nic wspólnego z podnieceniem, to zdawało jej się, że tak czuć może tylko kobieta, taka jak ona. I niespodziewanie, jakby z głębin jej istnienia, pojawiło się pragnienie miłości, nie pożądania, lecz takiej miłości, jaką się daje i bierze, takiej zwykłej, co niesie ze sobą ciepło i światło.

Zobaczyła go w polowym mundurze, z odkrytą głową, jak idzie powoli ścieżką w wąskim, głębokim wąwozie, w dłoni trzyma opuszczony automat, a drugą ręką wskazuje na wysokie szczyty odległych gór. Uśmiecha się do niej i coś mówi, potem opuszcza rękę i daje znak, żeby do niego podeszła. Ten obraz, utrwalony gdzieś w zakamarkach jej pamięci, był tak piękny, że oddałaby wszystko, żeby teraz tam się znaleźć. Wydawało jej się, że wystarczy nacisnąć na klawiaturze przycisk Enter, by po prostu, jak w Googlach, przenieść się na Kaukaz.

Żeby to mogło być prawdą, żeby być z powrotem w domu, w górach! – przeleciało jej przez myśl.

W końcu tęsknota i pragnienie miłości stopiły się w jedno uczucie, a serce zabiło w jej piersi tak mocno, że aż chciało jej się płakać, więcej – krzyczeć, wyć.

Amina poklepała się po policzkach, jakby chciała ocucić omdlałego ze strachu złodzieja. Zauważyła, że Rustam spojrział na nią ze zdziwieniem, więc uśmiechnęła się do niego niewyraźnie i pospiesznie wróciła do pracy. Rzadko się uśmiechała, nawet tak blado jak teraz, i Rustam trochę się zaniepokoił. Stał przez moment z nożem kuchennym w dłoni i układał już w myślach pytanie, gdy otworzyły się gwałtownie drzwi i do domu wpadli bliźniacy, ubłoceni, zdyszani i rozweseleni.

Za nimi wpłynęło do wnętrza słońce i poranne powietrze. Dom niespodziewanie wypełnił się gwarem, nabrał życia. Zaczynał się nowy wiosenny dzień.

– Aslan! Szamil! – rzuciła nagle Amina wyjątkowo głośno i podniosła się energicznie, przewracając krzesło. – Rustam! Chodźcie tutaj! – Stała, wpatrując się w monitor.

Bliźniacy w okamgnieniu stanęli za jej plecami, Rustam wytarł ręce i spokojnie dołączył do braci. Cała czwórka stała teraz, patrząc na ekran komputera. Powoli na ich twarzach pojawiał się uśmiech. Aslan i Szamil zawyli w końcu z radości jak Indianie w szalonym ataku, przybili szybką piątkę i przeturlali żółwika. Rustam spokojnie i z satysfakcją pokiwał głową. Na twarzy Aminy pojawił się uśmiech, jakiego dotąd nie знаła, i gdyby przejrzała się teraz w lustrze, nie uwierzyłaby, jak piękną jest kobietą.

– No to co, braciszku? Odmówimy sunnę – zarządziła Amina i z prawdziwą pogodą ducha dodała: – Każdy wie, o co mamy się pomodlić.

Stanęli w szeregu na dywanikach. Pierwsza Amina, dalej Rustam i bliźniacy. Według starszeństwa, twarzami w kierunku południa. Aslan i Szamil obrócili czapki daszkiem do tyłu. Stawali tak do modlitwy od zawsze. Podnieśli ręce do góry, w pozycji iftitali, i wyrecytowali na głos:

– *Allah akbar...*

– Ożeż ty! – wyrzucił z siebie wyrwany z drzemki Batyszkin, zanim jeszcze otworzył oczy.

Audi Q7 stanęło dęba, aż zapiszczały opony.

– Co jest? Co... – Zaczął rozglądać się nieprzytomnie z miną dziecka zbudzonego w środku nocy.

Na przejściu dla pieszych przed maską samochodu stało dwóch facetów trzymających się pod ręce i z przerażeniem spoglądających na Jagana, który w ostatniej chwili darował im życie.

– Co wy, kurwa wasza jebana mać, oczu nie macie?! Chuje kołem łamane... Obsrane Litwiny... Włóż na czerwonym świetle! – Jagan wylewał z siebie potok uzasadnionych przekleństw, choć dwaj mężczyźni i tak nie mogli go usłyszeć. Wciąż stali jak zamurovani, z głupawym wyrazem na czymś, co przypominało ludzkie twarze.

– Widzisz? – zapytał Batyszkin.

– Co?

– Tego tu... Nie widzisz?!

– Widzę.

– Ich koszulki! Widzisz?

– No... widzę...

Jagan dopiero teraz zdał sobie sprawę, że obaj kłozardzi o szerniałych od alkoholu twarzach, skołtunionych włosach i zgarbionych sylwetkach, z plastikowymi reklamówkami sklepów Rimi w dłoniach, ubrani są w nowe czerwone koszulki ze złotymi, mieniącymi się w słońcu literami na piersiach – CCCP.

– Co jest... bładź? Co za jedni? – z autentycznym zdziwieniem rzucił Jagan i zapytał: – Nasi? – I po chwili sam sobie odpowiedział: – Nooo... jak nic, nasi!

– Skąd oni wzięli te koszulki? – odezwał się Batyszkin. – Chyba nie kupili sobie... sami?!

– Może znaleźli gdzieś na śmietniku... bo ja wiem? – dodał Jagan, obserwując, jak mężczyźni niepewnym krokiem ruszają w kierunku chodnika.

– Coś ty! Chyba ukradli!

– Z byka spadłeś, Giena? Popatrz na nich! Oni nie są w stanie podnieść peta z chodnika... Nawet nie są w stanie sami się rozebrać, a co dopiero ubrać! – Uwagi Jagana były niezwykle trafne.

– To znaczy, że ktoś ich tak ubrał. – Giena z troską pokiwał głową. – Celowo! Tu, na Litwie, w Wilnie, jest sporo naszych... Rosjan.

Kłozardzi dotarli do chodnika i poczłapali przez trawnik, wciąż solidarnie się podtrzymując. Okazało się, że złoty napis CCCP widniał też na ich plecach.

– Pewnie, że tak! – rzucił przez zęby Jagan. – Skurwysyny z tych Litwinów! Niewdzięczny naród...

– U nas w wydziale jest jeden Litwin – odparł Batyszkin. – Porządny facet, kierownik sekcji. Inteligentny wywiadowca. Wkurwiłby się, jakby to zobaczył. Opowiem mu... Mówił, że gdyby nie Stalin, to Litwini nigdy by tego Wilna nie mieli...

– Nie rozumiem – szczerze przyznał się Jagan, bo rzeczywiście nie rozumiał.

– Kiedyś to było polskie miasto...

– Chuj z tym Wilnem, Giena! Polskie, szwedzkie czy tureckie! Litwini to taka sama bładź jak Łotysze... Ile tego tałatajstwa jest?

– Bo ja wiem... – zastanowił się Batyszkin. – Niedużo... tyle co w dwóch dzielnicach w Moskwie... ze dwa, trzy miliony.

– A co oni mają?

– Ten Litwin u nas to mówi, że nigdzie nie ma takich grzybów i miodu jak tutaj...

– Ja pier... – Jagan z niedowierzaniem pokręcił głową. – I nic więcej?

– No... nie przypominam sobie... Mają dobrą drużynę... tego... koszykówki...

– Ja pierdołę! Wiesz co? – przerwał na chwilę. – Zrobimy tym faszystom jakiś kawał, co? – Uśmiechnął się złośliwie i po raz pierwszy od granicy łotewskiej spojrzął na Batyszkiną.

– Bardzo chętnie – odparł Giena. – Z przyjemnością!

– Ale samochód! – rzucił ni stąd, ni zowąd Jagan. – Bładź!

Chciałbym mieć takie cacko na własność. Maszyna bojowa! Ma duszę zabójcy, nie?

Smok od razu potwierdził, że nie przesadził.

Wjechali do centrum Wilna przez Zielony Most i skierowali się w stronę prospektu Giedymina, gdzie w hotelu Novotel mieli zarezerwowane pokoje. Tak ich poprowadził GPS, chociaż to nie była najkrótsza droga.

– Może jednak tym łapciom darujemy – odezwał się Giena. – Nasi dobrze trzymają fason. Niełatwo pokonać Armię Czerwoną. Popatrz! Sztandar, lornetka, pepeszka... – Wskazał ręką na prawo, gdzie przy wjeździe na most stał pomnik dwóch dumnych żołnierzy radzieckich we wzorowo odprasowanych mundurach.

– Nic im nie darujemy! Faszyści! Tylko patrzeć, jak rozbiją ten pomnik. Muszę pomyśleć, co powinniśmy im zrobić, żeby nas zapamiętali... na zawsze. Co to za naród?! To jakieś leśne plemię... nawet o nich nie słyszałem.

– Ty w mordę, Jagan, jakiś ty uparty! To prawda, co o tobie mówią, że nigdy nie odpuszczasz... – Batyszkin klepnął go mocno w kolano. – Lubię cię, zbóju! Ale musisz mnie słuchać. Jak na ciebie patrzę, to zaraz widzę czarne chmury. Ech, ty... Andriusza!

Głos Gieny Batyszkiną brzmiał szczerze i sympatycznie. Jaganowi nawet się to podobało, ale nie dał nic po sobie poznać. Wiedział, że lepiej nie przywiązywać się zbyt mocno do partnera, nawet jeśli jest dobrym kumplem. Gdy przyjdzie co do czego i trzeba będzie wyciągnąć broń, szczerść i sympatia Gieny mogą nie na wiele się zdać. Gorzej – mogą nawet pomóc nieszczęściu. Jagan oczywiście martwił się o samego Batyszkiną, bo on, starszy sierżant Andriej Trubow, żołnierz rosyjskiego specnazu, na pewno da sobie radę. Nie miał co prawda swojego noża, ale teraz chronił go przecież smok.

Byli już trzeci dzień w drodze, odkąd wyjechali z Moskwy i przez Helsinki, Tallin i Rygę dotarli do Wilna. Przez cały ten czas Batyszkin dużo opowiadał o różnych zdarzeniach ze swojego zawodowego i prywatnego życia, które wyglądało całkiem imponująco, chociaż nie sposób było ustalić, gdzie,

kiedy i co się zdarzyło. Jagan słuchał go z zainteresowaniem i nieustannie z uznaniem kiwał głową. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że Batyszkina próbuje kręcić, by zyskać niezасłużony szacunek w oczach zwykłego sierżanta, jak często kombinowali inni niedorobieni oficerowie wywiadu.

Ogólne wrażenie Giena robił dobre. Jagan jednak nie był w stanie zapamiętać jego opowieści i rozważań. Tak się skupił na tym, co ich wkrótce czeka, że nic nie mogło zakłócić jego myśli, które z wolna układały się w określonym porządku. Martwiło go jedynie, że na każde pytanie o szczegóły operacji Giena odpowiadał „Na wszystko przyjdzie czas”, jakby los Bogajewów w ogóle go nie obchodził. Można było pomyśleć, że mu nie dowierza albo, co gorsza, sam nie wie, co robić.

Właściwie to taka postawa kapitana mu odpowiadała, bo poszukiwanie czeczeńskiego rodzeństwa uważał za sprawę osobistą i trochę go denerwowało, że musi z kimś się liczyć i kogoś słuchać. Mimo zaangażowania Gieny, naczelnika Popowskiego i całego rosyjskiego wywiadu nie zamierzał się zastanawiać nad jakąś wielką polityką rosyjsko-polską, czy na odwrót, jak próbował tłumaczyć mu w Moskwie Batyszkina. Tym bardziej że robota w Polsce jest na lewo – cokolwiek by to znaczyło – i bez formalnego raportu. Ale czy dla kogoś takiego jak Jagan mogło to mieć znaczenie?

Widać Giena nie zadał sobie trudu, by przez te trzy dni choć trochę poznać Jagana. A powinien! Zbyt wiele wysiłku wkładał w autoprezentację, licząc, że tą techniką wypracuje sobie odpowiednią pozycję w relacjach z Jaganem. Ktoś mu jednak w Jaseniewie źle doradził – ktoś, kto musiał słabo znać albo starszego sierżanta Trubowa, albo kapitana Batyszkinę. Bez wątpienia mógł to być największy błąd w życiu Gieny. Inna sprawa, czy Jagana w ogóle da się poznać.

Odnalezienie Bogajewów wydawało się Gienie zadaniem dosyć łatwym. Polska to nie Bałkany. Jednym słowem, spacerek, kawa z mlekiem i duży margines na improwizację. Cztery czeczeńskie dzieciaki powinny być niegroźnym przeciwnikiem, chociaż ich powiązania z bandą Muhamedowa budziły lekki niepokój. Potencjalne siłowe rozwiązanie sprawy Popowski

zostawił Jaganowi. To jednak miała być ostateczność. Misza powiedział wyraźnie: tylko w samoobronie.

Im dłużej Batyszkin przebywał z Jaganem, tym silniej dręczyły go wątpliwości, czy jego partner odróżnia atak od obrony. Chociaż Jagan mówił mało, a o sobie zgoła nic, w żaden sposób nie zmniejszało to podejrzeń. Wprost przeciwnie. Ciągłe pytał o plany akcji, patrzył przed siebie, kiwał głową i prowadził samochód, dokładnie przestrzegając nakazów ograniczenia prędkości. Giena sprawdzał to cały czas i nie mógł wyjść ze zdumienia, jak on to robi, bo przecież Jagan wcale nie spoglądał na licznik.

I jeszcze te tatuaże na rękach! – pomyślał i z niedowierzaniem pokręcił głową. Jak kierownictwo służby może to tolerować? Nawet, bładź, ponoć jakąś operację plastyczną mu zrobili... na koszt firmy!

Jeszcze mocniej pokręcił głową i mimowolnie rzucił na głos:

– Ja pierdołę!

Trubow jednak o nic się nie dopytywał.

Dobrze, że dba o zasady i bezpieczeństwo – zastanawiał się Batyszkin – ale to wszystko jest trochę dziwne jak na żołnierza specnazu, który na rosyjskich drogach pozwala sobie wyciągać ponad dwieście na godzinę. Wygląda, jakby był w jakimś transie, jak drapieжник, który skrada się za ofiarą i nie może popełnić najmniejszego błędu, by jej nie spłoszyć.

Batyszkin w żaden sposób nie mógł sobie wyrobić opinii o starszym sierżancie Andrieju Trubowie i to była jedyna rzecz, która go w tej misji denerwowała. Dlatego postanowił, że będzie dla niego przynajmniej miły i koleżeński, bo na tym etapie to nie powinno zaszkodzić. Zdecydował nawet, że dla dobra sprawy godnie zniesie piosenki zespołu Lube, których Jagan słuchał nieustannie.

Ale uważać na takiego Robocopa, jakiegoś Nexusa pierdolonego... no, trzeba! – dotarło do niego z siłą uderzenia pięścią o kolano. – *Dowieriaj, no prowieriaj!* Klasyka socrealizmu, Giena!

Była szesnasta czterdzieści osiem, kiedy Jagan zatrzymał samochód na podjeździe do hotelu Novotel przy prospekcie

Giedymina 16. Wyszedł na zewnątrz, przeciągnął się miło, spojrzął na napis nad wejściem i wysylabizował: *vieš-bu-tis*.

To pewnie „hotel” po litewsku. Co za język, bladź! – pomyślał.

W tym czasie Batyszkin wyjął z bagażnika torby podróżne i ruszył w kierunku dużych drzwi obrotowych. Jagan przez moment odprowadzał go wzrokiem i coś w nim drgnęło, kiedy zobaczył, że Giena swoją torbę zarzucił na ramię, a jego zieloną wojskową, zasłużoną i postrzelaną w niejednym boju, trzyma obojętnie w dłoni i ciągnie po chodniku. Już chciał do niego krzyknąć, ale ostatecznie machnął ręką i wsiadł z powrotem do samochodu. Odwdzięczy mu się, będzie okazja, tak jak tym pieprzonym litewskim złodziejom leśnego miodu – pomyślał. Włączył silnik i spokojnie odprowadził audi na podziemny parking po drugiej stronie ulicy. Każdy dokładnie wiedział, co, jak i kiedy ma robić.

Przesiadł się na tylne siedzenie i otworzył skrytkę w podłodze. Broń była ułożona tak, jak zostawił ją w Rydze przed wyjazdem. Spojrzął na ciemną sylwetkę swojego skorpiona i dotknął go z namaszczeniem. Pomyślał, że powinien w końcu powiedzieć Batyszkinowi, co jedzie z nimi w skrytce, ale rozmyślił się, bo nie był pewny, jak partner zareaguje na taką wiadomość, na ewidentną przecież niesubordynację z nieregulaminową i nielegalną bronią na pokładzie. Na samą myśl, że mógłby ją po prostu spuścić z jakiegoś mostu do rzeki, Jagan dostał dreszczy. Polska granica tuż-tuż, a za nią czają się gdzieś Bogajewowie – pomyślał z przyływem niepokoju i postanowił jeszcze trochę wytrzymać. Zdecydował, że powie mu o wszystkim, jak wjadą do Polski. Wtedy Giena nie będzie miał już wyjścia – uznał całkiem błędnie. Bo mimo że Batyszkin przez trzy dni wciąż o sobie opowiadał, to jednak psychoanaliza była najsłabszą stroną sierżanta Trubowa.

Zamknął skrytkę, upewnił się, że wszystko zrobił prawidłowo, wysiadł i włączył pilotem autoalarm. Powoli obszedł samochód, sprawdzając wszystkie drzwi i okna. Zajrzał pod podwozie. Po czym stanął w rozkroku przed maską i podparł się pod boki.

– Eeech... – wyrzucił z siebie przeciągle z wyjątkowym przejęciem, zmrużył oczy, cmoknął i dodał przez zęby: – Ja

bym cię... eeech... ty wiesz!

Przeciągnął dłonią po błotniku, strzyknął śliną na podłogę i z wolna ruszył w kierunku wyjścia. W drzwiach obejrzał się jeszcze raz. I wyszedł.

Giena siedział wygodnie w westybulu i obserwował przez okno Jagana, który właśnie wchodził do hotelu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy tylko ten zasiadł naprzeciwko, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Jagan nie znosił amerykańskich filmów, a jeszcze bardziej ludzi, którzy z upodobaniem kopiowali różne durne scenki.

Jasne, kurwa, że wszystko w porządku! – pomyślał.

Giena przechylił głowę i wpatrywał się w niego z uśmiechem. W prawej ręce trzymał swojego iPhone'a i z dużą wprawą obracał nim między palcami jak prestidigitator monetą. Zrobił na Jaganie wrażenie, bo iPhone wcale nie był mały ani lekki.

– Mój pokój pięćset dwa... twój pięćset pięć. – Rzucił na stolik biały kartonik z kartą magnetyczną. – Jest teraz...

– Siedemnasta siedem – dokończył niespodziewanie Jagan i poprawił kucyk.

– Dziewięć – stwierdził Giena, patrząc na iPhone'a.

– Masz zły czas. Popraw sobie.

– Dobrze, dobrze... poprawię – odpowiedział z kompletną obojętnością Batyszkina. – Widzimy się o wpół do siódmej. Masz tam zapisane gdzie. – Wskazał wzrokiem na kartonik z kluczem.

Jagan skinął nieznacznie głową i obaj jak na komendę podnieśli się z foteli.

Wszedł do swojego pokoju, położył torbę na łóżku i rozejrzał się. Surowe wnętrze nie nastrajało pozytywnie. Zajrzał do łazienki i pomyślał, że Batyszkina albo ktoś tam w Wydziale Polskim poskapał pieniędzy na porządny hotel.

Wyrzał przez okno. Z piątego piętra rozciągał się ładny widok na dachy miasta i na wycieniowany przez zachodzące słońce pagórkowaty teren w oddali, wabiący oko soczystą zielenią.

W dole, w perspektywie prospektu Giedymina, Jagan dostrzegł białą budowlę. W Moskwie jest kilka takich rzymskich świątyń – pomyślał i przeniósł wzrok na stojącą obok niej ceglana

wieżę, nad którą powiewała ogromna żółto-zielono-czerwona flaga.

– Nooo... bladź! Faszyci leśni... specjaliści od grzybów suszonych... Mam pomysł! – oznajmił głośno z widoczną satysfakcją. Odwrócił się od okna i rzucił na łóżko skórzaną kurtkę. Włączył telewizor na kanał Rossija, po czym rozebrał się do naga, wyjął z torby kosmetyczkę i poszedł wziąć prysznic.

„Restauracja Tores, Užupio 40, 18.30” – przeczytał i wbił napis w programie Maps swojego nowego iPhone’a. Po chwili ujrzał na wyświetlaczu najkrótszą drogę do celu. Skalkulował, że wystarczy mu dwadzieścia minut. Przez kilka sekund utrwał obraz w pamięci, sprawdził pogodę na wieczór, wreszcie wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Wytarł porządnie włosy ręcznikiem, chociaż na ścianie wisiała suszarka. Obejrzał w lustrze smoka, przeciągnął dłonią po policzku i bez rozczesywania zebrał wilgotne włosy w kucyk. Włożył dodatkowy podkoszulek, bo wieczorem miało się ochłodzić.

Gotowy do wyjścia stanął jeszcze raz przy oknie i popatrzył na litewską flagę powiewającą na Górze Zamkowej. Będzie jakieś sześćset sześćdziesiąt, sześćset osiemdziesiąt metrów... blisko.

Stuknął palcem serdecznym w szybę, zostawiając idealny odcisk. Podszedł do lustra, przejrzał się, sprawdził dłonią dokumenty, telefon, włożył klucz do kieszeni i wyszedł.

Była dokładnie osiemnasta dwadzieścia jeden, gdy dotarł do niewielkiego mostku nad głębokim jarem, którym toczyła wody płytka rzeka. Po drugiej stronie na wysokiej skarpie ulokowała się restauracja Tores. Jagan dostrzegł, że barierki mostku obwieszane są kłódkami miłości, i pomyślał, że to zupełnie jak w Rosji.

Przed wejściem na most widniała duża biała tablica z litewskim napisem „Užupio Res Publika”, a pod nią mniejsza, na której Jagan rozpoznał rosyjski tekst – „Riespublika Zarieczje”. Zrobiło mu się nawet przyjemnie, więc zdecydowanym krokiem wszedł do nieznanego mu dotąd republiki. Jakoś się nie spodziewał, że pobyt na tym terenie może być dla niego niebezpieczny. Giena wiedział, co robi, wybierając to miejsce na spotkanie.

Chociaż w tej Unii Europejskiej nigdy nic nie wiadomo... trzeba stale mieć się na baczności – pomyślał, idąc pod górę wąskim chodnikiem wzdłuż ulicy Użupio.

Po chwili dotarł do niewielkiego brukowanego placu, na którym stała smukła kolumna zwieńczona posągami anioła dmącego w trąbę. Wokół kręciło się sporo młodzieży i turystów, niektórzy siedzieli na stopniach pod kolumną, inni fotografowali otoczenie.

Jagan rozejrzał się. Widząc martwe okna i odrapane elewacje domów, nieraz w stanie rozkładu, uznał, że republika musi być bardzo biedna, i zdziwił się, że ktoś tu znajduje coś godnego sfotografowania. Nie mógł też sobie przypomnieć, żeby ostatnio była na Litwie jakaś wojna, ale może coś mu uciekło.

– To taki pieprzony Grozny już lepiej dziś wygląda – zamruczał pod nosem i wciągnął powietrze, jakby chciał sprawdzić, czy czuć jeszcze spalenizną.

Wszedł do restauracji Tores dokładnie na minutę przed czasem. Od razu mu się tam spodobało. Był to duży urokliwy lokal, częściowo zadaszony, położony na skarpie z imponującym widokiem na Wilno. Większość stolików na zewnątrz była zajęta. Minął rzeźbę mężczyzny z wyciągniętą ręką i podszedł do drewnianej barierki nad skarpa. Po prawej, nad linią drzew, znów sterczała ta sama ceglana wieża, na której powiewała litewska flaga, tylko w przeciwną stronę niż poprzednio.

Stał przez chwilę oparty o barierkę i przyglądał się wieży, kiedy poczuł, że jest obserwowany. Spojrzał odruchowo w prawo i zobaczył Batyszkina, który siedział przy stoliku w głębi drewnianego podwyższenia.

– Jestem głodny jak wilk! – oznajmił Jagan, gdy tylko zajął miejsce za stołem. – Jadłeś coś?

– Nie – odparł Batyszkin, patrząc w stronę wejścia. – Zaczekamy.

– Na co? – ze zdziwieniem zapytał Jagan i otworzył menu. – Co tu można zjeść? Ooo... jest po rosyjsku! Jakiś kebab albo mięso...

Nie zdążył przewrócić pierwszej strony, kiedy się zorientował,

że ktoś dosiada się do stołu. Zobaczył mężczyznę przed trzydziestką, średniego wzrostu, o blond włosach zaczesanych starannie do tyłu. Miał na sobie oliwkową kurtkę typu flyers na pomarańczowej podszewce i ciemne okulary lotnicze American Optics. Nie wyjmując rąk z kieszeni, usiadł przodem do zachodzącego słońca i Jagan natychmiast ocenił, że okulary muszą być oryginalne i warte ze dwieście euro.

Pierwsza ocena nieznanego nie wypadła pozytywnie.

W żadnym wypadku nie wygląda na typowego Rosjanina, ale teraz łatwo się pomylić... Zresztą on mi kogoś przypomina – pomyślał, czekając z niecierpliwością, aż tamten się odezwie. Zresztą ci z wywiadu lubią pajacować.

Mężczyzna oparł się o krzesło i wyprostował. Nie wydawał się zbyt wysoki i mimo dużych okularów miał dziecienny wyraz twarzy. Rozglądał się wokół, jakby był sam przy stole. Nie zwracał uwagi ani na Jagana, ani na Batyszkina, tylko kręcił głową w lewo i prawo. Na dodatek wciąż trzymał ręce w kieszeniach kurtki i mogło się wydawać, że jest uzbrojony.

Nagle Jagan zauważył, że Giena przeczesuje otoczenie dokładnie takimi samymi przeciągłymi, koszącymi spojrzeniami jak tamten. Jakże ci dwaj różnili się od Tatara! Im dłużej ich obserwował, tym bardziej chciało mu się śmiać. I już miał coś powiedzieć, kiedy odezwał się Giena:

– Jak tam?

– W porządku. Czysto – odparł blondyn.

– U nas też – dorzucił Giena.

– Kiedy przyjechaliście?

– Godzinę czterdzieści sześć minut temu – odpowiedział Jagan.

Nikt nie zwrócił uwagi, że podał czas co do minuty i nawet nie spojrzął na zegarek.

– A ty kiedy? – odezwał się Giena.

– Dzisiaj po południu, ale od dwóch godzin kręcę się po tej wsi... Ciężko tu coś zaimprovizować, taka wiocha, że... – Blondyn zrobił minę znużonego ucznia.

– Poznajcie się – wtrącił się Batyszkin. – To Jagan... no... Andriej...

– Przecież wiem, Giena, co ty?

Pierwsze spotkanie młody szpieg rozegrał wyjątkowo źle, bo nie dość, że potraktował Jagana jak powietrze, to jeszcze nawet nie podał mu ręki. Trubowa nie obchodziło, czy go zna, czy nie, ale żołnierz specnazu tak się nie nadyma.

Teraz będzie musiał ciężko popracować, żeby wyrównać straty – pomyślał Jagan i wyciągnął rękę.

Blondyn, zdaniem Jagana rozjaśniany, z wyraźnym przymusem podał mu drobną rączkę. Otrzymał uścisk tak mocny, że aż zasyczał, chociaż był to ledwie procent tego, na co było stać Jagana.

– Witalij Bobriukow. Kapitan... – Jego maślane oczy od razu się ożywiły. – Ale teraz mów mi Witia. Żadnych tam stopni i meldowania. Rozumiesz?

Jagan pokiwał głową i pomyślał, że w Szwecji popełnił błąd, wymieniając Tatarowi pociski w pistolecie. Przydałby się teraz tutaj.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! – odparł hardo.

– Daj spokój... Jagan. – Batyszkin położył mu rękę na ramieniu. – Co tam dla nas masz, Witia? – zwrócił się do Bobriukowa. – Spokojnie w Warszawie? Polacy gryzą?

– Wygląda na to, że posiedzicie tu kilka dni...

– Jak to kilka dni? – wtrącił Giena.

– Mój agent będzie mógł przyjechać w ciągu dwóch, trzech dni, nie wcześniej... Co tak patrzysz? – obruszył się Bobriukow na widok zdziwionej miny Batyszkina. – Coś ci nie pasuje? Chyba nie od dzisiaj szlajasz się w wywiadzie. Tak już bywa... *Žizń prožit, nie pole pieriejt...* Michaił wie o wszystkim.

– To może coś zjemy, skoro mamy tak długo tu siedzieć – odezwał się Jagan i machnął ręką na kelnera.

W tej chwili dominował u niego głód. Za nim szło wkurzenie, że nie wie, o co chodzi, a polowanie na Bogajewów wyraźnie napotyka jakieś przeszkody. Dopiero na samym końcu czuł zadowolenie, że ma więcej czasu, by przysrać tym litewskim faszystom w łapciach z kory brzozej.

– Wypijemy? – zaproponował Giena.

– Bo ja wiem... – zawahał się Bobriukow.

– Pośpicie sobie jutro, towarzyszu kapitanie – dorzucił Jagan.
– Mamy czas. Nie?

Jagan i Giena od razu wyczuli, że Bobriukow nie ma chęci z nimi pić, ale sam się wmanewrował w tę sytuację i teraz nie mógł się łatwo wykręcić. Rosjanin czasami jak nie chce, to może nie pić, ale nie zawsze i nie każdemu może odmówić.

– No dobra... trochę mogę... Mam... tego... jeszcze inną robotę tutaj – odparł Bobriukow niewyraźnie jak nie swój i tak też zostało to odebrane.

– W Polsce nie piją? – zapytał Jagan, ale Witalij go zignorował.

Stolik obok zwolniła para starszych ludzi, która przez cały czas cicho rozmawiała między sobą w języku jidysz. Oboje nie zwracali uwagi na otoczenie i rozglądali się, jakby czegoś się bali. Dlatego Batyszkin od razu wiedział, że nie mogą stanowić żadnego zagrożenia.

Teraz jednak sytuacja zmieniła się diametralnie, bo zwolniony stolik zajęła natychmiast hałaśliwa grupa polskich studentów z plecakami. Przebiegło mu przez myśl, żeby zmienić lokal, ale spojrzął na głodnego Jagana, nadętego Witalija z rękami w kieszeniach i kelnera, który niósł już na tacy trzy piwa i butelkę wódki. Zrezygnował więc i skonstatował tylko, jak trudne i dramatyczne dylematy muszą rozwiązywać szpiedzy.

Tacy jak my? – pomyślał. I zrobiło mu się weselej.

Butelka wódki Beluga za dwieście sześćdziesiąt dwa lity znikła szybciej niż piwo. Widać było, że nie są specjalnie spragnieni. Zamówili drugą, która pojawiła się na stole wraz z daniami: kaczym udkiem za czterdzieści trzy lity dla Gieny, żeberkami z plackiem ziemniaczanym za dwadzieścia osiem litów dla Jagana i królikiem z jarzynami za trzydzieści litów dla Witalija.

Trubow nie mógł uwierzyć własnym oczom, że ktoś zamówił królika w restauracji. Poczuł się przez moment, jakby był na innej planecie.

Bobriukow zdjął w końcu ciemne okulary, bo słońce zaszło już jakiś czas temu, i okazało się, że Jagan się nie mylił. To było jeszcze dziecko.

Prochu to dzidzi widać nie wahało... Cipy w głowie

i brylantyna na włosach, bladź! Razwiedczyki jebane! Bufon szarpany! „Mój agent nie może przyjechać”... kurwa! Skąd się takie smrody biorą? Jakiś synalek generalski albo wyżej...

Jagan nie mógł myśleć o niczym innym.

Ja pierdołę, a może to pedał?!

Nie uczestniczył w rozmowie Batyszkina i Bobriukowa, bo mówili o sprawach, których nie znał i nie rozumiał, wymieniali jakieś nazwiska, a on przecież prawie żadnych nazwisk nie pamiętał, z wyjątkiem Bogajewów. Nikt go poza tym o nic nie pytał. Siedział więc sobie cicho, popijał i dziobał widelcem po talerzu. Planował, co będzie robić w wolne dni w litewskim mieście Wilno.

– Tak, Witia, tak... więc nasz Misza, powiadasz, zna doskonale sprawę tego twojego agenta? Ale osobiście nikt z Centrali oprócz ciebie się z nim nie spotykał, co? – zapytał Giena obojętnym tonem, lecz każdy oficer na świecie wiedziałby, co się kryje między wierszami, a szczególnie drażliwy był ten znak zapytania na końcu.

– Oczywiście... a co? Sprawdzony. Nie ma obaw! Co ty, Giena, boisz się? Popowskiemu nie ufasz? – Bobriukow nie wypił dużo, ale zaleciało od niego arogancją.

Batyszkin wcale nie był tym zaskoczony. Od początku wiedział, że Witalij to najslabsze ogniwo całej operacji i jak nie będzie wystarczająco uważny, mogą łatwo wtopić. Po wyrazie twarzy Jagana poznawał, że ten ma już wyrobioną opinię o towarzyszu kapitanie, i całe szczęście, bo sam mógłby tego problemu nie udźwignąć.

Mimo to darzył Popowskiego tak głębokim zaufaniem i osobistą sympatią, że niepokojące rozważania o Bobriukowie nie urastały do rozmiarów fobii. Wciąż mógł zasypiać spokojnie.

– Misza dobrze wie, co robi. Ja mu ufam i nigdy się na nim nie zawiodłem – odparł, a Witalij pokiwał głową, jakby wiedział coś więcej i uznał to oświadczenie za nieco aroganckie.

– No... to czego chcesz?

– Nie zdążyłem zapoznać się przed wyjazdem ze sprawą tego twojego agenta. Misza bardzo ogólnie mi powiedział, o co

chodzi... Zapewniał, że ty znasz szczegóły i wszystko mi zrelacjonujesz na miejscu. – Giena blefował, bo oczywiście przestudiował, co trzeba, bardzo dokładnie, ale zachowanie Bobriukowa budziło lekki niepokój, więc lepiej było jeszcze go sprawdzić.

– *Do you have a lighter?* – usłyszał niespodziewanie i zobaczył stojącą obok uśmiechniętą piegowatą dziewczynę z papierosem w dłoni.

– *I don't smoke! Sorry* – odparł.

– Chwileczkę – wtrącił się Witalij po polsku i wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. – Możesz ją wziąć, proszę bardzo – dodał z szerokim uśmiechem.

Dziewczyna podziękowała grzecznie i wróciła do stolika obok.

Batyszkin miał zdziwioną minę. Przecież wiedział, że Bobriukow nie pali.

– Pewnie studenci z Polski... Pełno ich tu – rzucił Witia tytułem wyjaśnienia i posłał kolejny uśmiech w stronę polskiego stolika.

– Nie podoba mi się to.

– Co?

– Oni. – Giena wskazał głową.

– Studenci? Człowieku, wyluzuj!

– Polacy! Zbieg okoliczności? Nie podoba mi się to. – Trącił Trubowa w ramię. – Jagan, co sądzisz?

– Chuj mnie to obchodzi – odparł ten z absolutną obojętnością. – Ja tu nie dowodzę. Towarzysz kapitan, polski specjalista, niech się martwi...

– Odwaliło wam kompletnie... to przecież dzieciaki! W Wilnie jest pełno Polaków, z Polski i miejscowych – zadeklamował Bobriukow z poczuciem wyższości. – Jak chcecie, możemy iść gdzie indziej. Ale jak tam przyjdą szwedzcy studenci, to co? Dalej będziemy spacerować... Ktoś wam pasuje?

– No nie, tylko nie Szwedzi! – szczerze obruszył się Jagan, lecz jego rozmówcy nie zwrócili na to uwagi.

– W porządku – zakończył dyskurs Batyszkin i zwrócił się do Jagana: – Zamów piwo...

– Flaszeczkę też?

– Jeszcze mamy. – Zaniepokojony Bobriukow pokazał stojące na stole pół butelki.

– Niech przyniesie. Co? Chory jesteś? Nie wymiękaj. To będzie tylko po flaszcze na łeb – rzekł zdecydowanie Batyszkin.

Towarzysz kapitan podejrzenie odmawiał picia, więc Giena chciał w niego wlać, ile się da. Tego testu nikt w Rosji nie oszuka, chyba że nie jest prawdziwym Rosjaninem.

Jagan dał znać kelnerowi, pokazując butelkę, po czym podłączył słuchawki do swojego iPhone'a i zaczął w nim grzebać palcem. Po chwili położył telefon na stoliku, wypił kieliszek wódki i zamknąwszy oczy, wyciągnął się wygodnie na krześle. Do uszu włożył słuchawki. Teraz nie był już w jakimś Wilnie, tylko na tarasie ośrodka wypoczynkowego w Hurghadzie.

– Wiesz o tym, że ten – Bobriukow wskazał głową na Jagana – jest tu tylko po to, żeby nam pomóc odnaleźć tych Czechenów?

– Wiem.

– Misza pisał, że ma nie być żadnego strzelania i mordowania.

– Wiem.

– Trzeba go dobrze pilnować. – Popatrzył na Trubowa. – Mamy ich odnaleźć i ustalić, co robią...

– Witalij, to akurat wszystko wiem, bo sam uczestniczyłem w przygotowaniu tego planu. Powiem ci więcej! – Batyszkin wyraźnie się ożywił. – Przez naszych ludzi ruszy potężna akcja propagandowa w Brukseli, USA i Izraelu... Zaboli Polaków. Miał w tym uczestniczyć Kadyrow, ale Kreml zmienił zdanie. Nie wiadomo dlaczego.

– Ma mocną pozycję wśród Czechenów na emigracji. Jego ludzie są wszędzie...

– Bogajewów potrzebujemy żywych – odparł Giena. – Żywych!
– powtórzył. – I módlmy się, żeby byli jeszcze w Polsce, inaczej cała operacja do dupy... Zdrówko! – Podniósł kieliszek.

– Zdrówko!

Jagan mocniej odchylił głowę do tyłu i widać było, że muzyka ma dla niego głębokie, intymne znaczenie. Wydawało się, że za chwilę zacznie śpiewać.

– Ja pierdołę! Co to za zwierzę! – rzucił Witalij. – Jakiś Nexus

pokręcony czy co? I ten kucyk... Trzeba go ostrzyć! – Z dezaprobatą pokręcił głową.

– Ten twój agent to kto? Jakiś dyrektor w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych... tak? Wojskowy czy policjant? Agent... pseudonim „Czarowny”, tak?

– Nie. „Czerwony”.

– Dlaczego? Pije dużo? Komunista?

– Kurwa! Odpierdoliło ci?! Czerwony to czerwony. To nic nie znaczy. Uczestniczyłeś w przygotowaniu tej operacji i nie wiesz takich rzeczy? – zapytał Witalij i Batyszkin poczuł ukłucie od celnego strzału.

– To kiedy tu przyjedzie?

– Najwcześniej pojutrze. Cała ta sprawa jest trochę na wariackich papierach i dopiero parę dni temu zleciłem mu, co ma zrobić. Nawet nie wiem, czy się z tego wywiąże.

– Kasę dla niego masz?

– Mam. To nie policjant. To cywil. Zastępca dyrektora w MSWiA...

– Tak, to pamiętam – wtrącił Giena.

– Ma pod sobą ośrodki dla imigrantów. Mieliśmy gościa na oku od dawna, ale dopiero ja go zwerbowałem pół roku temu. Kasę lyka... ma dziury w kieszeniach i szerokie gardło. Typowy, ale potrzebny.

– To jego pierwsze takie zadanie?

– Właściwie to nie. Przekazał informacje o paru Czechenach, których szukaliśmy kilka lat. Schowali się pod skrzydłami poprzedniego prezydenta, Zielińskiego.

– „Czerwony” nie lubi Czechenów?

– Sam był kiedyś zaufanym Zielińskiego. Lubi kasę i nie wypuszczamy go jeszcze na Polaków, żeby się nie zbiesił przedwcześnie. Potem zobaczymy. Lubi czy nie lubi... – Witalij wzruszył ramionami. – A kogo to...

– Jaka jest szansa, że ich znajdzie? – zapytał Batyszkin i pomyślał, że Bobriukow to rzeczywiście bufon i dyletant.

– Twierdzi, że jeżeli są w Polsce, to na dziewięćdziesiąt procent. Ma akta wszystkich rówieśników Bogajewów i przywiezie je na płytce razem ze zdjęciami. To najważniejsze,

bo pewnie żaden z nich nie przebywa tam pod swoim prawdziwym nazwiskiem. – Spojrzał na Jagana, który miał zamknięte oczy i bezgłośnie poruszał ustami. – Może on rozpozna ich gęby.

– Ten twój sprawdzi się? Nie wydyma nas? Kurwa, przykro byłoby wpaść na takiej Litwie.

– Dostał a conto trzy tysiące euro i ma dostać jeszcze pięć, jak wszystko dobrze pójdzie. Decyzja Centrali! Powiedziałem mu, że to mordercy i że obcinają kłamcom głowy. Chyba się wystraszył. To właściwie palant i można go łatwo lepić.

Bobriukow rznął cynika, ale dla Batyszkinina był to pierwszy poważny dowód na to, że trzeba bardzo uważać na słowa kapitana z Warszawy.

– Co z nim potem zrobimy? – Witalij wskazał oczyma na Jagana. – Trzeba będzie go skuć albo... Nie było nikogo innego?

– Co ci nie pasuje? To zawodowiec...

– Widać, błądź!

– Tylko on wie, jak wyglądają Bogajewowie. Nie martw się... Jagan to moja działka! – rzucił Gienna i zdał sobie sprawę, że czuje coraz większą sympatię do sierżanta, jednocześnie tracąc zaufanie do kapitana.

Właśnie dlatego powinienem wyślizgać go ze sprawy tak szybko, jak tylko się da. Problem w tym, że Popowski, nie wiedzieć czemu, wciąż mu ufa – pomyślał.

Rozpoczęli trzecią butelkę, porozumiewając się z Jaganiem na migi. Tymczasem kelner uprzątnął stolik i doniósł piwa. Bobriukow miał już zamglone oczy i z każdym kieliszkiem robił się coraz mniej rozmowny.

Takiej reakcji Gienna się nie spodziewał i na razie zaniechał dalszego rozpracowania. Miał już właściwie wyrobione zdanie na temat Witalija i pewnie się nie mylił, skoro przez prawie dwadzieścia lat szpiegostwa nigdy nie wtopił, jak lubił podkreślać. Zastanawiał się jedynie, co zrobić z Miszą Popowskim. Powiedzieć mu, co sądzi o jego pupilu Batyszkinie, czy olać sprawę – jak wcześniej – i robić swoje? Postanowił, że formalnie decyzję podejmie dopiero jutro. Ale nieformalnie już

ją podjął.

Dochodziła dziesiąta i Batyszkin poczuł zmęczenie, wzmocnione wypitym alkoholem i koniecznością dodatkowej koncentracji nad reakcjami Bobriukowa. Jagan zdjął słuchawki i wyglądał jak wypoczęty, zadowolony z życia Rosjanin na urlopie. Witalij miał na wpół przymknięte oczy i z głupawym uśmiechem wpatrywał się w pieguskę obok, wzbudzając tym rozbawienie pozostałych studentów.

Powtórzyli plany na następny dzień. Jagan uregulował rachunek i schował go do kieszeni.

Ustalili, że pierwszy rusza Witalij, drugi Batyszkin i na końcu Jagan. Taka była decyzja Gieny, który przeczuwał, że zostawienie w restauracji pijanego kapitana może stanowić poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Natomiast wyjście Jagana jako ostatniego gwarantowało, że tego wieczoru nie może już się stać nic złego.

Przed restauracją Tores stały taksówki w oczekiwaniu na łatwych gości. Bobriukow w pełni zaliczał się do tej grupy. Wręczył kierowcy z góry sto litów i zarządził po angielsku:

– Najpierw po kwiaty, tylko... eee... ładne jakieś... a potem do hotelu... – Wyciągnął z trudem karteczkę. – Tego Stikliai na... Gaono coś tam. Tylko szybciotko... dobrze, panie kierowco? – Podciągnął zamek błyskawiczny przy kurtce tak energicznie, że aż uszczypnął się w szyję, i jednym okiem próbował sprawdzić czas na zegarku.

Jagan nie musiał, była dwudziesta druga siedem. Stał przed restauracją na pustej, ponurej ulicy w republice Użupio. Było całkiem ciepło i właściwie należałoby uznać, że wieczór dopiero się zaczyna.

Skontrolował na swoim iPhone'ie jakość nagrania i uznał, że jest bardzo dobra. Rozmowę Batyszkina z Bobriukowem nagrał na wszelki wypadek, bo przez cały czas i tak słuchał jej na żywo.

Ale głupie wałki z tych rozwyderczków! Myślą, że mogą wyruchać takiego sierżanta jak ja? Ja nikomu nie ufam, nawet pułkownikowi, co ma kredens jak ołtarz... a może właśnie dlatego! Już, kurwa, dawno bymgnił w jakimś dole albo śmietniku, jakbym...

Tak rozmyślając, szedł powoli w dół ulicy. Czuł się dobrze, rozluźniony, pewny siebie. Nie czerpał żadnej satysfakcji z tego, że kogoś przechytrył. Po prostu jego siódmy zmysł zawsze potrafił dostrzec niebezpieczeństwo. Wystarczył mu sam widok Witalija Bobriukowa – kurtka, okulary, ręce w kieszeniach i ta farba na włosach. Trudno było nie zauważyć. Smok też się wtedy poruszył.

Teraz musiał się zastanowić nad swoim planem na jutro. Jak to zrobi, już wiedział, musiał jednak koniecznie spisać, co i gdzie ma kupić. Spisać szybko, żeby niczego nie zapomnieć.

Było już ciemno i słabe oświetlenie skrywało ponury obraz republiki. Dotarł do placu z aniołem na kolumnie i zauważył po lewej lokal z żółtymi parasolami, pod którymi siedzieli goście. Postanowił też usiąść, zrobić listę zakupów i wypić jeszcze piwo.

– Hej! Hej! – usłyszał za plecami rozweselone głosy i kiedy się odwrócił, zobaczył mijającą go grupę polskich studentów.

– Hej! – odpowiedział niepewnym głosem i nieznacznie uniośł rękę, ale kiedy uznał, że to zbyt wiele, szybko się odwrócił. Uśmiechnął się i pomyślał, że coś musi być z nim nie tak.

Wypił piwo, zrobił listę i zapłacił. Rachunku nie brał, bo sporządzenie spisu nie było elementem operacji, tylko osobistym przedsięwzięciem. Chciał, żeby już było jutro, żeby przyjechał ten polski agent, „Czerwony” czy „Czarowny”, i żeby przywiózł ze sobą dysk. Wiedział, że jutro po raz pierwszy od jedenastu lat spojrzy Bogajewom prosto w oczy. To będzie początek ich końca i choćby cała Matuszka Rossija, wszyscy generałowie i sam prezydent, premier mieli wobec nich inne plany, to on, Andriej Trubow zwany Jaganem, robi to, co zaplanował. Nikt mu nie przeszkodzi, a już zwłaszcza jakiś Bobriukow.

Szedł powoli wąską uliczką Paupio i zobaczył, że jakaś para starszych ludzi z plecakami przygląda się połyskującym na ścianie metalowym tablicom, które przyjemnie odbijają nocne światło latarni.

Znalazł tablicę w języku rosyjskim i zaczął czytać: „Republika Zarzcza – Konstytucja”. Potem uważnie punkt po punkcie

przeczytał na głos wszystkie trzydzieści osiem artykułów. Każdy w jednym zdaniu określał, co obywatel republiki może robić, a czego nie. Co powinien robić, a czego nie.

Z początku Jagan czuł się dziwnie i nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, czy to ma być jakiś żart, czy to tak na poważnie. Każdy artykuł zaczynał się od słów: „Człowiek ma prawo” albo „nie ma prawa” – i dalej następowały dziwaczne propozycje dotyczące zwierząt, ludzi, życia i stanu świadomości.

Gdy skończył czytać, miał kompletny zamęt w głowie i próbował niezdarnie uporządkować to, czego się właśnie dowiedział. Zdawało mu się, że ktoś w tej republice czegoś nie rozumie. Że niedawno musiała się tu skończyć wojna i pewnie dlatego ludzie wciąż piszą takie niedorzeczności. Każdy człowiek chce żyć, ale czasem nie może – skonstatował, tak jak potrafił, zapisy konstytucji i splunął przez zęby.

Trzeba by takie tablice wywiesić na każdym rogu w Grozным albo Gudermesie... Człowiek to... człowiek tamto... – pomyślał i roześmiał się, aż jego ostry głos poniósł się po pustej, ciemnej ulicy.

– Nie zwyciężaj, nie broń się, nie poddawaj... – powtarzał na głos ostatnie słowa konstytucji. – Nic nie rozumiecie... popierdoleni Litwini! No to się wkrótce obudzicie w nowej rzeczywistości. Ja, starszy sierżant rosyjskiego specnazu, wam to gwarantuję... Bóg mi świadkiem, że tak będzie... złodzieje miodu leśnego! Żeby was pszczoły obsrały... Śmiechu warta cała ta wasza republika!

Szedł, uważnie wybierając miejsce na postawienie stopy. Ulica zwęziła się i martwe okna starych dwupiętrowych kamienic sprawiały jeszcze bardziej ponure wrażenie. Wyglądało, jakby wkroczył niespodziewanie w dziwny, obcy mu świat bez ludzi i życia, więc dla otuchy zaczął mówić do siebie. W lesie, w górach czuł się jak w domu, ale w mieście zawsze ogarniał go niepokój.

Idąc bezpiecznie środkiem ulicy, zauważył kątem oka, że z ciemnej bramy po prawej stronie coś się wysuwa na zewnątrz. Zatrzymał się, przyjrzał uważnie i ze zdumieniem stwierdził, że

to olbrzymi kot, który zdecydowanie i bez strachu zmierza w jego kierunku. To było bardzo dziwne. Niebywale dziwne. Jak na kota, oczywiście.

Wielki był niczym koziół, oczy miał żywe jak człowiek, sierść czarną i gęstą jak u niedźwiedzia i wystające pazury, które nieprzyjemnie chrzęściły po bruku.

Jagan pomyślał, że chyba śni, bo przecież nie wypił za dużo, a omamów od dawna już nie miewał. Poczul też dziwny, znajomy swąd siarki, który nie pozostawiał złudzeń, że to jawa, nie sen. Jak kiedyś na Kaukazie, gdy dał się tak haniebnie pojmać diabelskim Bogajewom.

Stał teraz na środku brukowanej ulicy i patrzył na to tajemnicze zwierzę ze sterczącym ogonem, które kryjąc się w cieniu nocy, stało parę metrów przed nim.

– Ja pierdołę! Kot? – Jagan poczuł taki dreszcz, że nawet smok się wystraszył. – Co jest?! Co? – Rozejrzał się zaniepokojony, ale na mrocznej ulicy Paupio nie było nikogo.

Kot nagle drgnął, poruszył się, na moment skulił jak w jakimś transie, wygiął grzbiet i po chwili się wyprostował, stając na tylnych łapach. Wyglądał jak wyrosnięty karzeł i takie też zrobił na Jaganie wrażenie. Nie mogło być nic gorszego! Jagan najbardziej nienawidził karłów, a zaraz po nich kotów.

– Co się gapisz, głupku ruski?! Kota nie widziałeś? – odezwało się zwierzę i podparło dumnie pod boki.

Jagan stał jak wmurowany, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma. W głowie szumiało mu coraz mocniej, a serce przyspieszało i waliło jak młotem. Przetarł z niedowierzaniem oczy i z całej siły pociągnął się za ucho.

– Co się gapisz, durny analfabeto! Trzeba więcej czytać! – Kot nie tylko był niegrzeczny, właściwie był agresywny, i Jagan wystraszył się jeszcze bardziej.

Jak tu walczyć z kotem wzrostu karła, bladź? Może to jakiś dzieciak... – przeleciało mu przez myśl z prędkością nietoperza.

– Czytałeś konstytucję? – Kot nadał głosowi trochę bardziej przyjacielski ton. – No i co? Czytałeś, że człowiek ma prawo kochać kota i się nim opiekować? No? Ty... ruski!

– Czytałem – wydukał po chwili Jagan.

– A czytałeś, zbójcu jeden, że kot nie musi kochać swojego gospodarza, ale w trudnej sytuacji powinien mu pomóc?

– Czytałem, kocie. Oczywiście! – Jagan poczuł się tylko odrobinę pewniej.

– A czytałeś, że pies ma prawo być psem?!

– Tak jest, kocie! Czytałem!

– No... to wiesz, co masz robić! – rzucił ostro kot, splunął wysoko i zanim ślina spadła, dodał: – Zrób porządek z tymi Bogajewami! Urwij im te sobacze łby! O tak! – Pokazał łapą, jak to zrobić. – A jeżeli nie wiesz, jak urwać psi łeb, to zadzwoń do mnie!

Uniósł pazur niczym człowiek keiuk i z powrotem opadł na cztery łapy. Puścił szelmowskie oko, okręcił się i krocząc dumnie, znikł w bramie jeszcze ciemniejszej niż ta, z której wyszedł.

– Ja pierdołę! Bładź, bładź, jebana bładź! – powiedział Jagan tak głośno, że sam się wystraszył, i tupnął, aż poczuł odbicie w kolanie. – To przecież niemożliwe! Nie-moż-li-we... – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Muszę o tym opowiedzieć Gali, nie uwierzy! Kurwa... gadający kot... Gdzieś to było...

Wypuścił powietrze z płuc jak z opadającego miecha hutniczego i zajrzał ostrożnie w głąb ciemnej bramy, w której przed chwilą znikł czarny kot. Ale nic tam nie dostrzegł. Oprócz ciemności.

Witalij włożył kartę do zamka najdelikatniej, jak potrafił. Trzy próby się nie powiodły i drzwi pozostały zamknięte, chociaż numer pokoju się zgadzał. Sprawdził to trzy razy. Dopiero za czwartym podejściem zapaliła się zielona lampka. Odetchnął z ulgą.

Zdjął kurtkę i bezszelestnie powiesił ją na wieszaku. W pokoju panował półmrok. Światło z ulicy rzucało siny cień na łóżko. Na środku ktoś spał otulony w biały szlafrok i skulony jak dziecko. Witalij podszedł bliżej i położył się obok, obejmując nieruchomy kształt.

Dziewczyna obudziła się i powoli wyprostowała.

Położył jej na piersi bukiet różyczek, odgarnął z twarzy długie rude włosy i pocałował pomiędzy brwiami.

– Przepraszam, że trwało to tak długo, Kasiuniu. Przepraszam... nie gniewasz się? Wiesz, jak to jest z tymi ludźmi z ambasady. Koćku mój – powiedział po polsku, wtulił twarz w jej miękkie, pachnące kąpielą, wilgotne włosy i raz jeszcze pocałował.

– Piłeś, Witia? – wymruczała niezadowolona. – Będziesz spał w wannie. Nie tak miało być. Obiecałeś.

– Koćku mój... ja ci wynagrodzę wszystkie nieszczęścia, jakie Rosja sprawiła Polsce i komukolwiek na świecie... tylko nie każ mi spać w wannie...

Już z głosu Kasi wyczuwał, że żadna kara raczej mu nie grozi, ale przestał ją całować i nawet próbował wstrzymywać trujący oddech, żeby się przypadkiem nie rozmyśliła. Mogła zastosować inne represje, których nie lubił znacznie bardziej, a które już poznał.

– To idź wykup się. Cuchniesz piwem...

Podczas gdy Bobriukow brał kąpiel i do krwi szorował szczoteczką zęby, a Jagan pił czwartą wódkę przy barze w jakiejś knajpie na Starym Mieście i próbował zrozumieć, co ten kot miał na myśli, Giena Batyszkin leżał w swoim pokoju hotelowym, z telefonem na piersi, i wpatrywał się w cienie na suficie.

Właśnie skończył rozmowę z Miszą Popowskim, który wysłuchawszy potoku wątpliwości, protokołu uwag, zestawu narzekań oraz palety rozczarowań i rozterek dotyczących Witalija Bobriukowa, stwierdził krótko, że zdaje sobie ze wszystkiego sprawę, ale ma być tak, jak jest. A jest dobrze! Przypomniał Gienie rzecz oczywistą: żadna operacja wywiadowcza – wbrew temu, co myślą ludzie na ulicy i co podaje prasa i telewizja – nie ma drugiego czy piątego dna, nie ma w ogóle żadnego dna. I każda operacja, nawet jak jest porażką, w rzeczywistości jest sukcesem. Trzeba tylko umieć odpowiednio na to spojrzeć, a potem rozsądnie wytłumaczyć wszystkim mniej rozbudowanym politykom i dziennikarzom. I Giena nie mógł się z tym nie zgodzić.

– *Ja wsio ponimaju. U mienia prosto rabota takaja.* – Popowski zakończył rozmowę z Batyszkinem lekko ironicznie,

cytatem z obecnie obowiązującego kremlowskiego klasyka, i natychmiast się rozłączył.

No i co ja mam teraz robić? – zastanawiał się Giena już od pół godziny, leżąc na wznak ze skrzyżowanymi nogami. Tu Jagan... tam Bobriukow...

– *Gospodi, pomihuj!*

Te ostatnie dwa słowa wypowiedział na głos i uczynił gest, jakby chciał się przeżegnać, chociaż w życiu nie był na nabożeństwie.

Cienie na suficie trwały nieporuszone i Giena pomyślał, że chyba tak już dzisiaj zostanie. Naciągnął na głowę kapę i zawinął się w nią jak w kokon. Postanowił, że wykąpie się rano, może nawet przed śniadaniem. Żadnych innych decyzji, przynajmniej teraz, nie będzie podejmować! Smrodek z nóg i pach nie robił na nim żadnego wrażenia. Tak czasami pachnie oficer wywiadu, jak się napracuje. Znaczą pachnie zdrowo!

Była dwudziesta trzecia trzydzieści i w Wilnie już tylko gdzieś słychać było zanikające dźwięki europejskiej stolicy. Giena Batyszkin, Witalij Bobriukow i Kasia o kasztanowych włosach spali już w swoich hotelowych łóżkach, w pościeli pozbawionej woni krochmalu. Tylko Jagan wciąż stał na jednej nodze przy barze, czekając na kolejne wódki, które zamówił na konto czarnego kota – jak uważał – i kolejny raz sprawdzał listę zakupów.

Osiedle Rissne w najmniejszej szwedzkiej komunie Sundbyberg nie wyróżnia się niczym szczególnym wśród podobnych budowanych w latach osiemdziesiątych. W założeniu miało to być wzorcowe osiedle domów komunalnych, gdzie Szwedzi i imigranci mieli stworzyć zintegrowane społeczeństwo nowego typu, czyli multikulti. Tak to sobie wyobrażali rządzący socjaldemokraci i Ingvar Kamprad. Zgodnie z zasadą, że rząd wybuduje ci dom, a IKEA go umebluje.

Co do wybudowania i urządzenia wszystko spełniło się idealnie. Co do społeczeństwa nowego typu – efekt był więcej niż mizerny. Tak czy inaczej bardziej dynamiczny i żywiołowy element napływowy wyparł słabszy miejscowy i Rissne zakwitło szybko tylko jedną kulturą – orientalną.

Z czasem jednak w socjalistycznej Szwecji władzę przejęli kapitaliści i sprywatyzowali mieszkania komunalne, w tym te na Rissne. Dopiero teraz powstało tam prawdziwe multikulti. Część imigrantów sprzedała swoje mieszkania mniej wybrednym i zubożałym Szwedom. Inni woleli pozostać w pobliżu Sztokholmu, gdyż niewielka odległość od miejsca pracy czy nauki była dla nich ważniejsza niż solidarność plemienna.

Powstała nowa klasa, do której należał też Hasan Mardan. Siedział teraz na ławeczce w pustym ogródku dla dzieci przy Mjölnerbacken 61-64 i czekał na Harriet.

Biało-ceglane osiedle o spadzistych dachach położone było na dość wysokiej zalesionej skale granitowej i widoczne z dużej odległości. Składało się z kilku prawie identycznie rozplanowanych mniejszych trójblokowych układów, tworzących podobną do labiryntu zamkniętą całość. Odnalezienie właściwego adresu mogło tu sprawić sporo trudności.

Hasan takich problemów nie miał, bo mieszkał kiedyś na tym osiedlu przez dwa lata. Kończył wówczas studia na KTH i żył ze swoją partnerką Jasminą z irackiego Kurdystanu, która

kończyła studia w Instytucie Karolińskim i chciała zostać pediatrą. Również przez dwa lata oboje wspólnie odpierali ataki jej rodziny, która w żaden sposób nie mogła zaakceptować ich wolnego związku. Jasmina w końcu uległa ojcu i trzem braciom. Hasan musiał się wyprowadzić.

Teraz jednak nie żałował tej decyzji. W niecały rok później Jasmina poślubiła Kurda z tej samej wsi, a jemu pozostała przynajmniej dobra orientacja w topografii osiedla Rissne, która teraz mogła się bardzo przydać.

Harriet, zasapana i przyjemnie zarumieniona, usiadła na ławeczce obok Hasana.

– Trzeba było rower poprowadzić pod górę – zaczął Hasan.

– Spieszyłam się... Bałam się, że nam zginie...

– Przecież mówiłem ci, że dobrze znam to osiedle.

– Uff... zaczekaj chwilę... Odsapnę i złapię oddech...

– Spokojnie Harriet. Już nie ma pośpiechu... na razie *Neo is gone*. – Hasanowi bardzo się podobało, jak Harriet łapie oddech. Było w tym coś niezwykle zmysłowego.

– No... to co? Nie widziałeś, do której wszedł bramy? – bardziej zapytała, niż stwierdziła.

– Kiedy wjechałem na górę, już go nie było. Prowadzi tu tylko jedna droga. – Wskazał głową za siebie. – Gdyby udał się w głąb osiedla, musiałbym go widzieć. A skoro znikł mi wcześniej, to może być tylko gdzieś tutaj, w którymś z tych domów.

– A jeżeli się zorientował, że go śledzimy?

– Jeśli potrafi z rowerem na plecach skakać po tych skałach, to możemy go szukać do us... – zawahał się. – Ale wątpię. Nie wygląda mi na takiego cwaniaka...

– Obyś się nie mylił – wtrąciła.

Rozpięła guziki na ramieniu i próbowała się ochłodzić. Hasan zobaczył kątem oka jej nagie ramię i stwierdził, że Harriet nie ma na sobie biustonosza ani w ogóle nic pod spodem.

Ciekawe. To ułatwia czy utrudnia jazdę na rowerze? – pomyślał w przyływie lekkiego rozbawienia.

– Mam nadzieję, że wspólna operacja oficerów FRA i Säpo nie pójdzie na marne i odnajdziemy barona von Utrecht w jego

tajemniczej kryjówce. – Hasan lekko ironizował, ale w głębi duszy bardzo mu odpowiadała ta akcja pod komendą Harriet.

– Nie bądź taki cyniczny – usłyszał zaskoczony.

– Co ty, Harriet... skąd! Ja?! Zastanawiam się tylko, gdzie on może teraz być – próbował się bronić. – Patrz. Jeżeli tutaj jest siedem wejść, na każdym piętrze trzy mieszkania i cztery piętra w bloku, to razem mamy...

– Osiemdziesiąt cztery mieszkania!

– No... i jeszcze sutereny – nie poddawał się Hasan. – Ale – wskazał ręką – tylko w tych blokach.

Harriet zapięła sweter i spokojnie lustrowała otoczenie. Milczeli przez chwilę, ale Hasan wiedział już, co trzeba robić. Ciekaw był tylko, co zaproponuje Trinity.

– Pamiętasz, na jakim rowerze jechał? – zapytał jakby nigdy nic.

– Oczywiście! – niemal wykrzyknęła. – Pewnie, że pamiętam! Granatowy norweski DBS... z piękną czerwoną naklejką na tylnym błotniku: *Fuck Bush*.

– Świetnie! To mamy od czego zacząć – rzucił tak uroczo, że posłała mu z wdzięczności niemal miłosne spojrzenie. – Ty zaczniesz tam... ja od tej strony.

Przed każdą bramą na wszystkich szwedzkich osiedlach, przed domami, sklepami, dworcami i szkołami są stojaki rowerowe. A w nich rowery wszelkiej maści, wieku, narodowości, a nawet płci. Mieli więc w czym szukać.

– A ty na jakim jeździsz? – zapytał Hasan, gdy już wstawali z ławki.

– Nawet nie wiem... Kungs chyba – rzuciła i ostro ruszyła w lewo.

Hasan ucieszył się, że Harriet nie wie, na czym jeździ. Jeżeli tak – pomyślał – to może być nawet Monark albo Crescent.

Rower Claesa von Utrecht stał przed wejściem do bramy numer 65 i Harriet odnalazła go w ciągu kilku minut. Triumfalnie podniosła rękę i Hasan od razu zrozumiał ten gest.

– No to mamy jego rower – oznajmił, gdy podszedł. – Teraz trzeba ustalić, które to mieszkanie. – Spojrzał w górę. – Trzynaście...

– Dwanaście.

– Trzynaście, bo w tym bloku jest jeszcze suterena. Chodź, obejdziemy go z drugiej strony. Zobaczymy, w których oknach pali się światło.

– To mieszkanie chyba wykluczamy. – Harriet spojrzała w kierunku lokalu na parterze, przed którym stał wózek dziecięcy, leżały zabawki i trójkołowy rowerek.

– Dlaczego?

– Jak to? Nie widzisz?

– Ja bym niczego nie wykluczał. Może wynajmuje pokój albo ma po prostu kumpla... albo kumpelkę... Chodzi przecież tylko o jego cudowny komputer. Neo ma wielu przyjaciół i współpracowników... członków Komitetu Poparcia Mudzahedinów, bohatera trzech kontynentów Aziza Hazimiego...

– No tak, racja – odparła Harriet. – Chodźmy.

Dom pod numerem 65 stał na skarpie i z drugiej strony sprawiał wrażenie znacznie wyższego. Dochodziła suterena z balkonem i wysokie podpłoniczenie. Balkony wszystkich pozostałych mieszkań wychodziły też na drugą stronę.

Stanęli ukryci w cieniu wysokich sosen porastających skalną skarpę i przez chwilę w milczeniu obserwowali okna.

– Ja nic nie widzę. Co nam to da? Widzisz coś, Hasan?

– No dobrze, Harriet. – Wciągnął powietrze i od razu było widać, że teraz będzie miał swoje pięć minut. – Popatrz na te okna... w tym pionie. – Wskazał ręką. – Co widzisz?

– No, okna.

– Ale co widzisz?

– Okna...

– A w tych oknach?

– W oknach? – powtórzyła. – Co w oknach?

– No, skup się.

Harriet zaczęła lustrować cały budynek od góry do dołu i z powrotem, a Hasan się jej przyglądał.

– Co widzisz? – zapytał w końcu.

– Kurczę, Hasan... nic nie widzę! Nie kręć i w końcu powiedz, o co chodzi. Ty sobie jechałeś na motorku, a ja musiałam

pedałować kilkanaście kilometrów. – Była lekko podenerwowana. – Jestem zmęczona...

– Oczywiście, Harriet. – Hasan poczuł się winny. – Moim zdaniem to musi być mieszkanie w suterenie... – Wskazał ręką na trzy ciemne okna. – Oczywiście, że może też być każde inne, ale to jest najbardziej prawdopodobne. Obstawiam na... dziewięćdziesiąt procent.

– Dlaczego?

– Po pierwsze... zobacz, okna są brudne, nie?

– Nooo... chyba tak...

– Brudne i zasłonięte światłoszczelnymi roletami. W obu pokojach i kuchni. Trzeciego pokoju nie ma, bo to suterena na skarpie.

– No... tak, rzeczywiście. To coś mówi!

– I to sporo! – Hasan zaczynał coraz mocniej wczuwać się w swoją rolę. – To jest jedyne w całym bloku zaciemnione mieszkanie, a przecież jest już prawie noc. Okna tego mieszkania wychodzą na północny wschód i słońce jest tu... na tej wysokości i przy takich wysokich drzewach, no... może przez dwie godziny o świcie...

– Rzeczywiście! – wtrąciła Harriet z uznaniem. – To dlaczego jest zaciemnione? Przecież z poziomu drogi, stąd gdzie stoimy, i tak byłoby widać tylko sufit. Ciekawe...

– Trzy rozwiązania. Albo ktoś chce coś ukryć, albo psychol, albo jedno i drugie. No dobrze... poważniej. – Złapał się na dziecinnej bufonadzie. – Brudne okna? To wskazuje bardziej na mężczyznę, co?

– Pewnie!

– Jest jeszcze coś ważnego w odniesieniu do tego mieszkania.

– Co takiego? – Harriet podobał się wywód Hasana, pasował do jego urody i dodawał mu charakteru.

– Masz trzy okna w dwupokojowym mieszkaniu, tak?

– Tak.

– Balkon po prawej, tak?

– No tak.

– Więc to z balkonem to musi być salon, środkowe okno to kuchnia i trzecie to sypialnia... nie? Typowe... standard.

Zgadzasz się?

– Jasne!

– To okno po prawej za balkonem to klatka schodowa. Widzisz?

– Nooo...

– Na pewno! – ciągnął Hasan wpatrzony w budynek przy Mjölnerbacken 65. – To mieszkanie musi sąsiadować ze zsysem na śmieci i maszynownią windy. I to jest akurat duży pokój, salon! Dosłownie przez ścianę.

– Jak ty to ustaliłeś? Skąd wiesz? Coś ty, Hasan, kręcisz. – Harriet była poruszona jego zdolnościami, lecz jednocześnie podejrzewała jakiś podstęp. Tak czy inaczej robił na niej wrażenie.

– Jak będziesz mnie słuchała i nie przeszkadzała, to przejdiesz do historii... jako mój pomocnik oczywiście! – wyrecytował jak z kartki.

– *Fuck!* Ty jesteś niezły model! – Harriet zarzuciła mu rękę na szyję i ścisnęła go mocno, przyciągając do siebie. – To była moja kwestia. Za-pa-mię-taj to sobie!

– Mówiłaś też, że... – ledwo wymamrotał przyduszony Hasan – że nasza świeżutka miłość rozkwitnie jak kwiat tysiąca i jednej nocy... jak mówi twój chłopak... Pasolini... To jakiś Włoch, Harry?

– Nie, wariacie. On wolał takich smacznych facetów jak ty. – Zwolniła uścisk i Hasan się wyprostował. – Co za Harry? – zapytała.

– Harriet to brzmi oczywiście pięknie, ale trochę staromodnie. Przy takim mocnym chwycie za szyję lepiej pasuje Harry, co? Nie podoba ci się?

– Coś nowego... nie wiem... może być... nawet fajne. Harry? Harry Caul na przykład. No bo przecież nie... Brudny Harry! – Była bardziej niż zadowolona, że Hasan tak ją nazwał, ale jeszcze nie mogła tego okazać. – No, to co z tym Claesem? Co tam wypatrzyłeś w tych oknach? – Nawet nie zauważyła, że von Utrecht interesował ją teraz trochę mniej niż Hasan. Trzeba jednak było wrócić do pracy.

– Kto będzie chciał mieszkać obok zsypu na śmieci

i maszynowni windy? Oglądasz *Allsång på skansen* albo czytasz Läckberg, a tu co chwila łup! Winda albo śmietnik. Pomyśl.

– Nie przepadam za Läckberg...

– No właśnie. Czyli jeżeli ktoś kupił to mieszkanie, musiał je wynająć za małe pieniądze. Do tego niekrępujące wejście, żadnych innych wścibskich lokatorów obok, tylko piwnice...

– No i łatwa i szybka ewakuacja. – Harriet pokiwała z uznaniem głową. – Ty to masz nosa, Hasan. Moje uznanie – dodała wyraźnie poruszona. – To co teraz? Jest już późno i robi się zimno. Masz jakiś pomysł? Trzeba by się dobrać do tego mieszkania i zobaczyć, co on tam ma, na jakim sprzęcie pracuje i tak dalej.

Podeszli do wejścia i Hasan odruchowo pociągnął za klamkę. Solidne stalowe drzwi z pancernym szkłem były zamknięte. Zajrzał do środka, jednak nic nie dostrzegł. Po lewej stronie na ścianie wisiała lista lokatorów, ale zbyt daleko, by mógł odczytać nazwiska.

Zrobił dwa kroki w bok i nacisnął na domofonie przycisk z symbolem kluczyka. Harriet stała kilka metrów od niego i rozglądała się z niepokojem.

Na małym ekranie pojawił się alfabetyczny spis lokatorów, jednak bez oznaczenia piętra. Hasan wyjął swój telefon komórkowy i zrobił zdjęcie. Sprawdził, czy wyszło, i schował aparat. Miał już odejść, gdy drzwi otworzyły się niespodziewanie i wyszedł z nich postawny mężczyzna o smagłej karnacji i czarnych włosach. Towarzyszyła mu niska brunetka na wysokich obcasach i w obcisłych legginsach.

– *Salam* – rzucił Hasan i chwycił drzwi, przepuszczając wychodzącą parę.

– *Salam* – odparł mężczyzna i uśmiechnął się.

Para zajęta sobą, nie zatrzymując się, zmierzała w kierunku parkingu. Mężczyzna trzymał w ręku kluczyk od samochodu.

Hasan wciąż stał w otwartych drzwiach i dawał znaki Harriet, żeby szybko podeszła.

Na liście lokatorów pod hasłem „suteryna” widniało tylko jedno nazwisko: Paweł Kwiek.

– Polski Cygan – stwierdził Hasan. – Na pewno wynajmuje. Sporo ich mieszka w pobliskim Rinkeby.

– Skąd wiesz? – zapytała cicho Harriet.

– Nooo... wiem.

– I co teraz?

– Ty zaczekasz tutaj, a ja pójde na dół sprawdzić, czy jest jeszcze jakieś inne nazwisko na drzwiach... Do korespondencji, rozumiesz?

– Jasne! Tylko uważaj... – wyszeptała jeszcze ciszej.

– Na co?

– Nie wiem, ale uważaj.

– Dobrze, będę! – Nie pokazał po sobie, jak go rozbawiła.

W końcu pracuje w FRA przy komputerach – pomyślał. Nie musi mieć tego w genach.

– Tylko szybko, Hasan. – Harriet była coraz bardziej zaniepokojona.

– Dobrze, Harry! – rzucił w jej stronę najładniejszy uśmiech, na jaki było go stać.

Zszedł piętro niżej po krętych schodach. Na korytarzu było okno i trzy pary stalowych drzwi. Jedne do piwnicy, drugie do zsypu i trzecie do maszynowni. Drzwi do mieszkania Pawła Kwieka były po lewej stronie, za rogiem.

Starł się poruszać tak cicho, jak to możliwe. Claes nie był zwykłym przeciwnikiem i w każdej chwili mógł mu zgotować jakąś niespodziankę. Toteż Hasan zachowywał szczególną ostrożność. Jeden nieodpowiedzialny ruch i mógł spalić całą operację. Zdawał sobie sprawę, że miałby problem z wyjaśnieniem powodu swojego pobytu w tym miejscu, bo w suterenie było tylko jedno mieszkanie. Dlatego kazał Harriet zostać na górze.

Wyjrzał zza rogu i jego oczom ukazały się brązowe drzwi.

– Bingo! – powiedział bezgłośnie i zrobił ruch, jakby chciał strzelić palcami.

Na metalowej kłapce pocztowej widniało nazwisko Kwiek i nic więcej. W drzwiach nie było wizjera. Natomiast na wysokości górnej krawędzi widniał przyklejony napis: *Fuck Bush*.

Hasan podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Po czym

kucnął, bardzo powoli uchylił klapkę wrzutki na korespondencję i zajrzał do wnętrza. W przedpokoju było ciemno, ale z głębi mieszkania padała niewyraźna smuga światła. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Claes von Utrecht jest wewnątrz.

Delikatnie puścił klapkę, wyprostował nogi i niczym mim zaczął się wycofywać w kierunku schodów. Rozpierała go taka radość, że przeskakiwał do góry po trzy stopnie. Kiedy zobaczył przerażoną twarz Harriet, stwierdził, że dzisiejszy dzień rzeczywiście przejdzie do historii. Ich znajomość została przypieczętowana pierwszym niespodziewanym sukcesem i zapowiadała się jeszcze lepiej.

No, Lindo – pomyślał Hasan z satysfakcją, idąc w kierunku Harriet. Co tam Czerwony Szejk! Jak Hermansson dowie się o naszym odkryciu, to zaraz wróci z wakacji... a co dopiero Lövenström!

Podszedł do Harriet, która stała jak wmurowana i patrzyła wystraszona w jego uśmiechnięte orientalne oczy.

– Chodź, Harry. To był bardzo udany dzień – powiedział. – Coś mi się wydaje, że będziesz musiała wymienić tego Pasoliniego... na lepszy egzemplarz... Na mnie! Tak jak obiecałaś.

– To on?

– Tak, Harry! To on. Gratuluje! To twoja zasługa. – Objął ją ramieniem i ruszyli szybko w kierunku wyjścia. – Teraz zacznie się prawdziwa robota – dodał, gdy już byli na zewnątrz.

Jak dobrze, że mieszkałem akurat w tym domu, ale Harry przecież wcale nie chce o tym wiedzieć – pomyślał rozbawiony swoim małym oszustwem. Później jej powiem.

– Twój chłopak... Pasolini? Na pewno lubisz włoską kuchnię!

Harriet spojrzała na swój rower i chciała już coś powiedzieć, gdy Hasan oznajmił z przekonaniem:

– Kask masz? Masz! Wsiadasz na mojego harleya i zabieram cię na kolację. Zasłużyłaś, więc nie możesz odmówić! Poza tym musimy się najeść, booo... mamy teraz dużo pracy i nie wiadomo, kiedy zjemy kolejny ciepły posiłek. Potem zawiozę cię do domu. A rower odbierzemy jutro.

Popatrzył na nią tak uroczo i orientalnie, że nie mogła odmówić. Właściwie to miała cichą nadzieję na coś jeszcze tego wieczoru, więc propozycję przyjęła z dobrze ukrytą radością.

Miała to być też jej pierwsza w życiu podróż na motocyklu, ale zdała sobie z tego sprawę dopiero, kiedy Hasan zapalił silnik i usłyszała groźne dudnienie.

Przez całą drogę obejmowała Hasana tak mocno, że musiał poprosić, by trochę poluzowała, bo tak go krępowała, że nie mógł prowadzić. Chociaż głęboką przyjemnością napawała go jednocześnie świadomość, że Harry nie ma biustonosza. Z oczywistych powodów nie zauważył, że równie mocno przez całą drogę zaciskała powieki i uniosła je dopiero, kiedy wyłączył silnik.

– Capri Due! – Wskazał na narożne wejście ozdobione lampami i prostym granatowym daszkiem. – To najlepsza włoska restauracja w Sztokholmie – oznajmił, zdejmując kask. – A już na pewno na Vasastan! I mają na pewno najlepsze pasty w mieście. Polecam pasta alla valdostana...

– Wolę pasta con pesto di mandorle e scampi i najlepiej ze świeżego makaronu – oznajmiła Harriet głosem znawcy włoskiej kuchni.

– Jest! Oczywiście, że jest! – natychmiast zapewnił Hasan i coś go tknęło. – Skąd wiesz? Szefem kuchni jest prawdziwy Włoch, sam robi pastę, cała obsługa to Włosi... Co za atmosfera! *Mamma mia!*

Przeszli na drugą stronę skrzyżowania Tomtebogatan z Norrbackagatan i stanęli przed wejściem.

– Bądź moim gościem! – stwierdził z rodzajem miłego zadęcia i szarmancko wskazał ręką drzwi.

– Kucharz nazywa się Martin Dobrowolski – stwierdziła Harriet – i nie jest Włochem... raczej Polakiem. – Spojrzała filuternie na zaskoczonego Hasana. – Tak jak ten gość tam... – Wskazała ręką na niewysokiego mężczyznę z brodą, który po drugiej stronie ulicy zamykał drzwi do lokalu z napisem „Galleri Mitteleuropa” i na jej widok pomachał ręką. – Już dobrze! – powiedziała, widząc minę Hasana. – Ja tu mieszkam, pod jedenastką, po drugiej stronie – wyjaśniła z uśmiechem.

- To bardzo ciekawe! Aż trudno uwierzyć! Od dawna?
- Od czterech lat. A co? Dlaczego trudno uwierzyć?
- Bo ja... mieszkam... tam za rogiem, przy Rörstrandsgatan 28. Wyobrażasz sobie?

Twarz Harriet niemal natychmiast spoważniała. Stali teraz oboje przed restauracją Capri Due, patrząc sobie w oczy z takim zdziwieniem, jakby okazało się przed chwilą, że są rodzeństwem.

O ósmej rano, już po godzinnej wizycie w centrum fitness na ostatnim piętrze hotelu i gorącej kąpieli, Jagan stał w oknie i obserwował zachmurzone niebo nad Wilnem. Zastanawiał się nad geniuszem rosyjskich gorzelników, którzy potrafią wyprodukować taką wódkę jak Beluga, ponad sto dolców za butelkę... przynajmniej w restauracji Tores w Wilnie. Wódkę, po której człowiek nie dość, że nie ma śladu kaca, to jeszcze dostaje dodatkowo niezwykle przeżycia.

Do czego dojdzie ludzkość, skoro mamy taki postęp w produkcji wódki? – pomyślał i z zadumą pokiwał głową. Ciekawe, co, smoku? Ciekawe...

Był trochę zły na smoka, że wczoraj nie pomógł mu podczas spotkania z kotem. Chyba nie spił się? – pomyślał. Postanowił więc zadzwonić do Gieny, żeby namówić go na wspólne śniadanie i spróbować wysondować delikatnie, czy i jemu ukazały się wczoraj jakieś gadające koty albo psy na przykład. Czy w ogóle spotkało go coś ciekawego. Flaszka za sto baksów! Już to samo w sobie było niesamowite.

Giena odebrał telefon z dużym opóźnieniem.

– Czego? – zachrypiął nieprzyjemnie w słuchawce i Jagan już wiedział, że nie mogło go spotkać wczoraj nic ciekawego.

– Idę do miasta – oznajmił, bo ze wspólnego śniadania już zrezygnował.

– Hm... do miasta? Przecież jesteś w mieście – zamruczał Batyszkin. – Nooo... dobrze. Tylko nie daleko i tego... hm... żebyś miał telefon włączony, bo wiesz...

– Jasne – odparł krótko Jagan i odłożył słuchawkę. – No i dobrze! – dodał na głos, wziął kurtkę i zjechał na pierwsze piętro, żeby zjeść śniadanie. W końcu było wliczone w cenę pokoju.

Tego dnia niebo nad Wilnem zakryła gruba warstwa chmur i co jakiś czas deszczowe prysznice przeganiały przechodniów z prospektu Giedymina. Dla Jagana i Gieny taka pogoda nie była niczym złym, bo każdy z nich siedział w swoim pokoju zajęty własnymi sprawami i czekał na telefon od Bobriukowa.

Ale dla Witalija to była kompletna katastrofa. Po pierwsze, sporo nakręcił Popowskiemu, żeby ten zgodził się na Stikliai, jeden z najdroższych hoteli w Wilnie, w dodatku na junior suite. Po drugie, musiał ustawić agenta „Czerwonego”, żeby przyjechał na Litwę w określonym czasie, czyli następnego dnia. Najgorsze było to, że Kasia nie miała urlopu i symulowała chorobę. Nocleg w prezydenckim hotelu Stikliai na Starym Mieście nie zdarza się często zwykłym szpiegom, a szczególnie za darmo. Na dodatek w przekonaniu Kasi miał to być jego spóźniony prezent imieninowy. Zaplanowane spacery po mieście, wizyty w urokliwych kafejkach i zwiedzanie zabytków straciły z powodu deszczu urok i sens.

„Czerwony” miał przyjechać do Wilna dopiero następnego ranka. Bobriukow od początku tak to zaplanował, żeby wygospodarować przynajmniej jeden dzień dla siebie. Batyszkin ani Jagan o tym nie wiedzieli, ale im dzień wolny też się należał – uznał wcześniej Bobriukow, nie uzgadniając tego z Moskwą. Liczył naiwnie, że uniknie picia alkoholu i czas ofiarowany Kasi nie będzie zmącony bólem głowy i zmęczeniem. A teraz, jak na złość, deszczowe niskie ciśnienie złośliwie pogłębiało ten stan.

Giena Batyszkin wykapał się rano, bo jego własny zapach nie dawał mu już spać. To przez Jagana, który obudził go zbyt wcześnie. Nie zszedł na śniadanie i całe przedpołudnie spędził w łóżku, oglądając rosyjską telewizję. Pod wieczór poczuł głód i zjechał do hotelowej restauracji, żeby coś zjeść, ale gdy znów położył się do łóżka, za nic nie mógł sobie przypomnieć, co jadł. Wypił podwójne lekarstwo z minibaru i wrócił do oglądania kanału Rossija. Do dwudziestej pierwszej Bobriukow nie zadzwonił, co znaczyło, że agent jeszcze nie przyjechał. I dobrze! Trudno. Tak bywa w tej robocie. Odporność na beczynność, silne nerwy i wytrwałość w oczekiwaniu na... na co? To, kurwa, to... – zastanowił się przez moment – no... to ważne cechy rosyjskiego wywiadowcy. Jak mi się wydaje.

Dla Jagana pogoda nie miała tego dnia żadnego znaczenia. Zresztą nawet lubił deszcz, może nie taki nędzny jak ten w Wilnie, ale zawsze deszcz to deszcz, czyli życie.

W odróżnieniu od Witalija i Gieny czuł się wspaniale.

Pojechał taksówką do centrum handlowego i przez dwie godziny kupił wszystko, czego potrzebował. Wydał z własnych pieniędzy prawie osiemset litów, ale nie żałował. Wychodząc z pełnym wózkiem, wyglądał, jakby właśnie zaopatrzył w materiały do robótek ręcznych kilka wileńskich przedszkoli. Papier i karton, klej i plastelina, farbki, nożyczki, drut i kilka tanich zegarków elektronicznych. Obładowany tym wszystkim wrócił do hotelu około trzynastej i wywiesił na kłamec kartkę „Nie przeszkadzać”.

Usiadł na skraju łóżka i zastanowił się przez chwilę nad planem pracy. Zaczął cicho sobie śpiewać:

*Kak na groznyj Tieriek wygnali kazaki,
Wygnali kazaki sorok tysiacz loszadiej.
I pokryłos pole i pokryłsia bierieg
Sotniami porublennych, postrielannych ludiej.
Lubo, bratcy, lubo, lubo, bratcy, żyt,
S naszym atamanom nie prichoditsia tużyt.*

I wziął się tak ostro do roboty, że nawet nie zauważył, kiedy zapadła w hotelu cisza nocna. Zjadł wszystkie słodczyce z minibaru i wypił wszystko oprócz alkoholu.

Gdy skończył i spojrział na swoje dzieło, rozpierała go taka duma, że chciał nawet zawołać Gienę, by też to zobaczył. Zrezygnował jednak w obawie, że Batyszkin mógłby nie zrozumieć jego zamiaru i cała praca poszłaby na marne.

„O trzynastej. Potwierdź. Czekam” – Giena odczytał SMS-a od Bobriukowa i odpisał: „Potwierdzam”. Spojrział na zegarek. Była jedenasta. Zadzwoił do Jagana i polecił mu od dwunastej nie opuszczać pokoju i sprawdzić, czy komputer działa jak należy.

Informacja od Bobriukowa oznaczała, że „Czerwony” jest już w Wilnie i nawiązał kontakt. Miejsce spotkania to restauracja Kaimas obok hotelu, wprost idealna do tego zadania, bo mieszcząca się w podziemiach, utrzymana w stylu ludowej chaty pełnej zakamarków, z wydzielonymi boksami, ciemna

i dzięki drewnianemu wystrojowi dobrze wyciszona.

Batyszkina przyszedł pierwszy, pół godziny wcześniej, i sprawdził lokal. Miejsce nawiązania kontaktu z agentem był pobliski pasaż handlowy przy prospekcie Giedymina. Czas: dwunasta trzydzieści. Następnie Bobriukow miał odbyć z nim krótki spacer po okolicznych zaułkach i sprawdzić, czy nie przyciągnął za sobą ogona.

„Czerwony” wszedł do restauracji pierwszy. Okazał się wysokim, chudym młodym mężczyzną w okularach bez oprawek, z niemodnym przedziałkiem pośrodku głowy. Sprawiał wrażenie nieco zdezorientowanego albo zagubionego, a może nawet trochę wystraszonego. O mało nie uderzył głową o niski sufit. Witalij wyglądał przy nim jak dziecko i aż trudno było uwierzyć, że jest jego oficerem prowadzącym, a co dopiero, że go zwerbował!

Giena od razu poczuł do tego człowieka jakąś odmianę niechęci, trudną teraz do zidentyfikowania. Ptasia głowa, jego wzrost i włosy pobudzały w nim niezdrowe uczucia. Zupełnie niepotrzebnie, bo takie czysto pozasłużbowe odruchy tylko utrudniały robotę.

Agent i Witalij przeszli obok Gienny i zniknęli w głębi restauracji. W lokalu nie było zbyt wielu gości i bez trudu znaleźli odpowiedni stolik. Przez następne dziesięć minut nikt do lokalu nie wszedł. To był dobry, uspokajający znak. Dopiero po chwili pojawiły się dwie dziewczyny mówiące po angielsku. Podeszły do kelnera, który po krótkiej rozmowie odprowadził je do sali, gdzie siedział Bobriukow. Na pierwszy rzut oka nie wzbudzały specjalnych podejrzeń. Były naturalne i dosyć atrakcyjne. Batyszkina miał wrażenie, że już gdzieś je widział. Mimo to sygnał zagrożenia był stanowczo zbyt słaby, by zrywać spotkanie z agentem, i gdy minęło ustalone pół godziny, podniósł się, wziął swoją wodę i ruszył do stolika, przy którym nad piwem siedzieli Witalij i „Czerwony”.

– Witam – odezwał się Giena i od razu zajął miejsce przy stole, bokiem do agenta i przodem do dziewczyn, które w przeciwnym ciemnym końcu sali studiowały menu. Oddzielało ich młode litewskie małżeństwo z dwójką małych

dzieci. „Czerwony” siedział tyłem do sali i zasłaniał Witalija szerokimi, kościstymi plecami.

Teraz spojrział wystraszony na Gienę i chciał się podnieść, ale ciężka dłoń przycisnęła go do krzesła.

– Spokojnie, Grzesiu – zareagował Witalij po polsku. – To kolega... z Moskwy. Wszystko w porządku.

„Czerwony” wyglądał, jakby stracił oddech. W okamgnieniu zrobił się siny i zaraz potem różowy, aż Giena się wystraszył, że zemdleje.

– Spokojnie... Dobrze się czujesz? – zapytał.

Agent wciąż nie mógł wydobyć z siebie głosu, więc pokiwiał nieznacznie głową.

– Napij się. Relaks – ciągnął Witalij, lekko zawstydzony tchórzliwością swojego agenta, i popchnął w jego stronę szklankę. Drżącą ręką „Czerwony” podniósł piwo do ust, ale wyraźnie nie mógł nic przełknąć.

Giena pomyślał: Jakie to typowe, że w takiej sytuacji niemal każdy agent reaguje tak samo, jakby zdrada była najintymniejszą sprawą w jego życiu! A teraz ktoś nagle i brutalnie odziera go z roli, którą grał, i mówi: „Jesteś zwykłym zdrajcą, wiem o tym, i nie próbuj udawać nikogo innego”.

Wcale nie było mu go żal.

– Dobrze już? – zapytał po rosyjsku. – Możemy pogadać? Trochę nam się spieszy.

– Tak, tak – odparł w końcu Grzesio. – A co?

– To mój kolega z Moskwy – zaczął Witalij. – Przyjechał specjalnie do Wilna, żeby się z tobą zobaczyć. Nie uprzedziłem cię, bo, wiesz... zasady.

– Okay – odparł Grzesio i pociągnął spory łyk piwa. – Okay – powtórzył, wycierając dłonią usta.

– Zjemy coś? – zapytał Witalij. – Jesteś głodny?

– Najpierw załatwimy sprawę, a potem zobaczymy – zdecydowanie zarządził Giena. – Dobrze, pan Grzesiu? – dorzucił po polsku.

– Nie jestem głodny – odparł agent i wyciągnął z kieszeni czarny gwizdek. – O to chodziło? – Położył go na stole.

– Wszystko jest tak, jak uzgodniliśmy? – zapytał Witalij.

– Wszystko – odparł bez entuzjazmu „Czerwony”.
– W jakim formacie?
– W PDF-ie... inaczej nie mogłem... Tylko proszę o zwrot, bo to służbowy... zarejestrowany nośnik.
– Nie mógł pan nagrać na prywatny? – zaniepokoił się Giena.
– Nie! – hardo odparł Grzesio. – U nas nie wolno wносить do archiwum nierejestrowanych nośników. Przepisy nie pozwalają.

– No dobrze. – Batyszkin wziął pendrive’a. – To wy sobie teraz pogadajcie, a ja sprawdzę, co na nim jest.

Podniósł się i ruszył do wyjścia. Przeszedł obok stolika dziewczyn i przyjrzał im się uważniej. Zajęte sobą, nawet nie zwróciły na niego uwagi.

Stał przed drzwiami pokoju numer 505 i zastukał. Otworzyły się, zanim jeszcze zdążył oderwać od nich palce. Aż cofnął się ze zdziwienia.

– Bierz komputer i chodź do mnie! – rzucił podniecony. – Mam! – Pokazał czarny gwizdek jak trofeum i obrócił się na pięcie.

Zamknął drzwi na zapadkę, a Jagan otworzył pokrywę i włączył komputer. Czuł wyraźnie, jak cały wewnątrz drży, a smok przeżywał tę chwilę chyba jeszcze mocniej. Obaj wiedzieli, że jeżeli teraz nie odnajdą Bogajewów, to najpewniej już nigdy ich nie dorwą. Przepadnie na zawsze nóż Kizlyar i ich przyjaźń też nie będzie już taka jak dotąd.

Jagan wcale nie próbował panować nad emocjami, ale nie odzywał się, żeby się niczym nie zdradzić, i Giena niczego nie zauważył. Gdyby ktoś ich teraz obserwował, to z pewnością powiedziałby, że tylko Giena jest podniecony.

Nerwy hartowane na Bałkanach z pewnością są mocne, ale nie tak mocne jak te hartowane na Kaukazie – pomyślał Jagan.

Włożył pendrive’a do portu USB i na ekranie pojawiła się ikonka z nic nieznaczącą nazwą. Przeniósł plik wielkości 4000 KB na twardy dysk i otworzył.

– Mamy czterysta dwadzieścia trzy strony – oznajmił. – To potrwa. Muszę mieć spokój.

– Oczywiście, Andriusza. Oczywiście. – Giena był

zdenierwowany. – Połóż się może na łóżku, zrelaksuj, żebyś niczego nie pominął... czy tam pomylił... i przeglądaj. Chcesz czegoś? Coś ci przynieść? Podać?

– Nie, nie trzeba – odparł Jagan i położył się wygodnie, zwinąwszy pod głowę dwie poduszki. – Nic mi nie trzeba.

– To ja sobie posiedzę tutaj... cichutko.

Są takie momenty w życiu – przyszło Batyszkinowi do głowy – że człowiek nie pragnie niczego innego, jak tylko zapalić papierosa. To właśnie taki moment. Chociaż ja nigdy nie paliłem... kurwa! Skazaniec pali przed plutonem egzekucyjnym. Bładź, skąd takie myśli?! Jak ten Nexus ich znajdzie, to dopiero zacnie się zabawa! Pomodlić się czy co? Ale jak to się robi?

Złożył trzy palce razem i postukał się nimi w kolano.

Na ekranie laptopa otworzyła się pierwsza karta z długim napisem „Urząd do spraw Cudzoziemców” i godłem Polski. Jagan kliknął Enter i w górnym prawym rogu pojawiło się zdjęcie młodego mężczyzny. Jagan miał wrażenie, że już gdzieś go spotkał. Jak zwykle nazwisko nic mu nie mówiło, ale twarz – owszem. Nazywał się Ali Chaimbek i nie był związany z Bogajewami.

Teraz za każdym uderzeniem w klawisz komputera wyświetlała się na ekranie kolejna karta i twarz młodego mężczyzny lub kobiety. Jagan na pierwszy rzut oka wiedział, że to nikt z Bogajewów, ale wpatrywał się w każde zdjęcie z takim napięciem, że aż czuł tępy ból w czole i w mięśniach. Wydawało mu się, że zapadł się w ciemną dziurę i stracił słuch. Pracował tylko wzrok, wysiłony do ostateczności.

To nie były jakieś anonimowe twarze z telewizji czy ulicy. To były twarze ludzi zagląających mu prosto w oczy, wpatrujących się właśnie w niego, Andrieja Trubowa, z nienawiścią i żądzą zemsty. Twarze ludzi skrzywdzonych, bez śladu uśmiechu, o smutnych oczach, wyblakłych i zimnych, zastygłych lata temu w cierpieniu.

Tak naprawdę nie znał tych młodych Czeczenów, lecz znał właśnie to spojrzenie. Dlatego wszyscy wydawali mu się znajomi. I choć zdjęcia robione były już w Polsce, w oczach

utrwalonych na nich ludzi wciąż odbijały się wspomnienia. Kiedy to sobie uzmysłowił, po raz pierwszy w życiu poczuł gdzieś w głębi ciężar bezspornie udowodnionej winy. Miał wrażenie, że ktoś ściska go żelazną dłonią za gardło, aż oczy podchodzą mu łzami.

– Amir Sołowjow, osiemnaście lat... przybył do Polski... – czytał po cichu. – Zika Durow, lat dwadzieścia trzy... Dżochar... lat siedemnaście...

W końcu przestał cokolwiek czytać i patrzył im tylko w oczy. Przecież i tak nie przyjechali do Polski jako Bogajewowie – pomyślał.

Minęła godzina i dwadzieścia siedem minut, odkąd zaczął przeglądać akta.

Wciąż te oczy, twarze, oczy, oczy, wciąż te oczy... przesuwają się jak w fotoplastykonie.

Wkrótce dotarł do sto czternastej karty i już miał uderzyć palcem w klawisz Enter, by przejść do następnej, gdy jego ręka zawisała w powietrzu.

Po prostu wiedział! Tak jak zawsze, gdy w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo. Chciał się jeszcze tylko upewnić, czy smok też tak uważa, i powoli, nie mając już wątpliwości, co za chwilę zobaczy, wcisnął klawisz.

Była piękna. Nie przypuszczał, że może być aż tak piękna. Patrzyła na niego lekko zmrużonymi ciemnymi oczami i wydawało się, że za chwilę się odezwie. Patrzyła mu prosto w oczy, bez nienawiści, zwyczajnie i dostojnie. Wyglądała jak dzika i nierealna księżniczka z pięknej baśni, a nie wojowniczką z Kaukazu. Im dłużej jej się przyglądał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że leciutko się do niego uśmiecha. Nie patrzy, wpatruje się!

Jagan dużo w życiu przeszedł. Teraz jednak ogarnął go strach. Nie wojenny, lecz zupełnie inny, który rodzi się gdzieś pod sercem i natychmiast wypełnia całe ciało. Który sprawia, że człowiek nagle staje w miejscu jak sparaliżowany i posłusznie czeka na śmierć. Po raz pierwszy w życiu bał się, że zginie.

– Co z tobą, Jagan? Ocknij się, Andriusza! – Głos Gieny przebijał się powoli przez magiczną bańkę, która otoczyła

Trubowa, i brzmiał coraz wyraźniej. – Co z tobą? Jag... – Spojrzał na ekran komputera. – To... ona? – zapytał cicho.

Ale Jagan nic nie odpowiedział.

– Świetnie! – oznajmił z podnieceniem Giena. – Daj popatrzeć... To Amina? Ładna, psiakrew! Nooo... ładna. – Próbował wziąć od niego komputer, ale stwierdził, że tkwi on w rękach Jagana jak przyklejony, i zrezygnował. – A reszta? Znalazłeś ich?

– Tak – odparł sucho Jagan.

– To ona teraz nazywa się Eliza Ahmadow – rzucił Giena, wpatrując się w zdjęcie. – Śliczna dziewczyna... Eliza? To przecież nie jest czecheńskie imię.

– Nie.

– Ciekawe, dlaczego takie sobie wybrała? A gdzie jej braciszkwowie?

– Tutaj. – Jagan dokładnie wiedział, na których stronach są Rustam i Aslan.

– Rustam?

– Tak – odparł Jagan, patrząc w twarz dumnego młodego mężczyzny o zaciśniętych ustach i przebiegłych oczach. To on miał jego nóż.

– Teraz Husajn Gujew...

– Szamil Aslanow... bliźniak... tu... ale to może być też Aslan Szamilow. – Jagan przeskoczył na kolejną stronę, gdzie pokazała się twarz młodzieńca o prostych rysach i silnym karku. Chłopak patrzył na nich obojętnym wzrokiem, ale Trubow wiedział, że tak patrzy tylko śmierć.

– A ten drugi?

– Jest tylko jeden.

– Skąd wiesz? Przecież nie przejrzałeś do końca.

– Jest tylko jeden! Rozumiesz?

– Jak to? Ten drugi zginął? Nic nie mówiłeś – zdziwił się Giena.

– Nie zginął.

Już nie musiał specjalnie wyszukiwać w komputerze kart Bogajewów, bo wiedział, gdzie one są. Jednojąjowi bliźniacy byli jak pioruny Zeusa.

Odkąd Zelimhan powiedział, że Bogajewowie zostali ludźmi Muhamedowa, Jagan był pewny, że nie można ukryć bliźniaków lepiej niż jednego w drugim. Jak w rosyjskiej matroszce. Każdy, kto zna się na tej branży, tak by zrobił – uważał. Niemniej Giena, mimo niemałego przecież doświadczenia, nawet przez chwilę o tym nie pomyślał.

– Teraz jest tylko jeden i drugiego nie muszą pokazywać...

– Coś ty kręcisz, Andriusza...

– Chciałbyś mieć dwa życia? Pomyśl. Muhamedow i Amina mają człowieka, co ma dwa życia. Chciałbyś takim być albo mieć takiego żołnierza...

Jagan zapisał nowe nazwiska i imiona Bogajewów oraz numery ich kart.

– Masz tutaj... Giena. – Podał mu kartkę. – Teraz trzeba ścisnąć za jajca tego Polaka, bo bez jego pomocy nie będzie łatwo ich odnaleźć.

– Dobra. Idę. Zobaczymy, co da się zrobić... Wiesz co? Czekać!

Wziął od Jagana komputer i spojrzął na kartę Rustama.

– Czy to nie jest numer jego telefonu komórkowego? – zapytał.

– Pewnie tak – odparł Jagan. – Jako uchodźcy muszą być przecież pod jakąś kontrolą. Zresztą tam jest znacznie więcej informacji, tyle że po polsku.

– Idę po Witalija – zdecydował Giena. – Niech on to najpierw obejrzy, a dopiero potem pogadamy z tym Polakiem. Po co ma od razu wiedzieć, o kogo nam chodzi. Może nawet nie trzeba będzie mu mówić. Nie podoba mi się ten Witalij...

– Co ty? Giena! – obruszył się Jagan.

– Nie, to nie to! Nie jestem pewien jego rzetelności i odpowiedzialności. Coś w nim jest takiego, że czuję jakiś smród. Trudno to powiedzieć, ale...

– Wiem, o co ci chodzi. – Jagan podniósł się z łóżka i położył Batyszkinowi rękę na ramieniu, chociaż nigdy dotąd tego nie robił. – Ta kurteczka i te farbowane włoski... Ma też zrobione paznokcie. Idź po niego.

– Paznokci nie zauważyłem, ale włosy to ma takie swoje – rzucił Giena już w drzwiach i wyszedł.

Minęło półtorej godziny, a Witalij i Grzesio siedzieli nad

piwem tak, jak ich zostawił. Dwóch dziewczyn już nie było. Sala wypełniła się do ostatniego miejsca.

– Znaleźliście? – zapytał Witalij, widząc rozpromienionego Batyszkina, który usiadł na tym samym miejscu co poprzednio i pokiwał znacząco głową.

– Znaleźliśmy – odparł Giena po chwili. – Teraz zaczynają się schody. Bez pana pomocy, pan Grzesiu, to może być trudne. Ale na razie jeszcze sobie tutaj popijemy piwka i pogadamy, a mój kolega pójdzie coś sprawdzić.

– Panowie, co miałem zrobić, to zrobiłem... Tak jak się umawialiśmy z Witalijem. I trochę się spieszę – oznajmił Grzesio bez śladu wcześniejszej bojaźni, aż się Giena zdziwił tą jego głęboką transformacją. – Muszę jeszcze dzisiaj wrócić do Warszawy, a to co najmniej siedem godzin jazdy.

– Spokojnie – przerwał mu Giena. – Spokojnie. Jeszcze nie skończyliśmy. Biznes to biznes. Nie?! – Spojrzał dyskretnie na Bobriukowa, który nie dość, że nie zareagował na dyktat pana Grzesia, to jeszcze uciekał wzrokiem i czuć było, że ma w tym swój udział.

– Myśmy z Witalijem już się rozliczyli – odparł Grzesio z wyraźną pewnością siebie. – Biznes na dzisiaj zakończony. Jakby co, to jestem do usług, ale dzisiaj muszę już jechać. Dzięki za piwo...

Nie zdążył się podnieść, bo Batyszkin, z wyuczonym uśmiechem, rzucił cicho przez zęby.

– Siadaj na dupie! Pójdziesz, jak ci pozwolę! Pojebało cię...? Chcesz, żebym się zdenerwował, szmaciarzu! Co ty sobie myślisz? Że jesteś na urodzinach u wujcia Chujcia?!

Bobriukow otworzył szeroko usta i zbladł. Wyglądał, jakby Batyszkin powiedział to wprost do niego. I niewiele się pomylił. Giena zorientował się, że Witalij wypłacił agentowi pieniądze, zanim ustalili, czy materiał, który przywiózł, jest cokolwiek wart. Popęłnił więc elementarny błąd, który mógł kosztować powodzenie całej operacji.

Dobrze, że chociaż wszystko nagrywałem i mam dowód – pomyślał z wątpliwą satysfakcją. Czy to możliwe, żeby oficer rosyjskiego wywiadu mógł być takim idiotą? Przecież ta sprawa

nie ma żadnego dna – przypomniał sobie słowa Michaiła.

Pan Grzesio siedział ze spuszczoną głową i obracał językiem w ustach, wypychając policzki.

– Idź do niego – zarządził krótko Giena, patrząc Witalijowi we wciąż szeroko otwarte oczy.

Ten poruszył się dopiero po chwili, jakby te słowa dotarły do niego z opóźnieniem. Batyszkina, widząc to, musiał wzmocnić polecenie ruchem głowy.

– Wszystko w porządku, Grzesiu – rzekł niepewnie Bobriukow. – Zaraz wracam – dodał na uspokojenie i podniósł się z ociąganiem.

Idź w cholerę! – pomyślał Giena, patrząc za odchodzącym Bobriukowem, który przy wyjściu obejrzał się jeszcze z miną ucznia wyrzuconego z klasy. A teraz przyjrzyj ci się bliżej, panie Grzesiu z polskiego ministerstwa... palancie złamany. Zaraz pojedziesz do tej swojej Warszawy.

– No dobrze... przepraszam pana – zaczął. – Nie chciałem być niegrzeczny, ale wie pan, jesteśmy tacy zdenerwowani, bo ci Czeczeni są bardzo niebezpieczni i planują zamach terrorystyczny. Chyba pan nie chce, żeby wam wysadzili ten... zapomniałem. No... nie gniewa się pan? Panie Grzesiu... Grzegorz właściwie, prawda? – Spojrzał mu w oczy i położył rękę na jego zimnej, kościstej dłoni. – Nooo... już dobrze... Przepraszam! – rzekł tak miło, jak potrafił, nie licząc wcale na wywarcie pozytywnego wrażenia. Tak się po prostu czasem robi z agentem i po chwili wszystko jest już w porządku. Jakaś dyscyplina musi być! Nawet na niby.

– Jeśli oni tacy niebezpieczni... to może powinniście... zwrócić się do naszych... do ABW – wykrztusił niepewnie Grzesio.

– No nie, to nie takie proste. Na tym etapie wręcz niemożliwe – odparł zdecydowanie Giena. – To bardzo skomplikowana i niebezpieczna sprawa. – I gdyby ktoś spojrział teraz na Batyszkina, nie miałby złudzeń, że rzeczywiście tak jest. – Zaraz to panu wyjaśnię.

Kiedy to powiedział, poczuł się w końcu dobrze. Jako oficer wywiadu był w stanie wytłumaczyć każdemu wszystko.

O tej porze w Bolku było pusto, mimo że trwała *happy hour* i piwo Tyskie było po pięć złotych, a w pobliżu mieściły się dwie uczelnie pełne spragnionych studentów.

Zajęli miejsce w rogu słabo doświetlonej sali pubu w stylu rustykalno-góralsko-kowbojskim, jakich sporo na Mazowszu. Sara w środku między Billem a Konradem. Marcin na wylocie, bo w lokalu jest samoobsługa i było oczywiste, że jako najmłodszy będzie biegał do baru.

– To co, czysta wódeczka? – zapytał.

Odpowiedziało mu zgodne milczenie.

– Czyli wódeczka – potwierdził.

Już po chwili obserwowali Marcina przy barze, jakby ich spojrzenia mogły zachęcić barmana do większego wysiłku w poszukiwaniu butelki finlandii. Sara obracała nerwowo swoją zapalniczkę w palcach, ale nie pstrykała, jak miała w zwyczaju. Bill siedział z podpartą głową, a Konrad rozłożył ręce na oparciu, jakby miał zaraz lecieć. Z zewnątrz każde z nich rzeczywiście wyglądało jak ktoś, kto koniecznie musi się napić.

Kelner w końcu znalazł butelkę i Marcin dostarczył z gracją na tacy osiem czterdziestek finlandii, które postawił na środku drewnianego stołu, i obrócił jeszcze raz do baru, żeby przynieść napoje.

– Herbatę już zamówiłem – dodał i jasne było dla kogo.

Pierwszy po kieliszek sięgnął Konrad i przysunął go do siebie. Potem Bill i Sara, na końcu Marcin. Taki przy stole był porządek rzeczy, choć nigdy tego nie uzgadniano. Zawsze dowodził Konrad i było jasne, że przy stole też. Wszystkie wyjścia do knajpy, imprezy poza firmą, wszelakie grille i pikniki, jeżeli odbywały się we własnym gronie, miały swój określony porządek i zasady. Dowodził Konrad albo Sara, albo ktoś przez nich wyznaczony. Dzięki temu odkąd istniał Wydział „Q”, nie wydarzyło się nic, z czego trzeba byłoby się tłumaczyć na Miłobędzkiej. I mimo że Mała Główka z WBW wielokrotnie próbował wprowadzić na imprezy Wydziału swoich ludzi,

donosiciele sami spontanicznie dekonspirowali swoją tajną misję jeszcze przed pierwszym piwem.

Konrad wypił pierwszy. Po nim Sara całą czterdziestkę od razu i tuż po niej Bill zamasyście, nie po polsku. Marcin wypił na priniuszku i przigladku, jak mówili w Wydziale. Nie było żadnego toastu. Zamarli na chwilę, wpatrzeni w pełne kieliszki stojące na środku stołu.

– Na drugą nogę – zarządził Konrad i na tę komendę wszyscy podnieśli kieliszki. Sara wypiała połowę, a Marcin jak poprzednio.

Teraz można było już rozmawiać.

– Tom miał dzieci? – zapytała Sara.

– Nie – odparł Bill.

– Żonę...?

– Miał dziewczynę. Policjantkę ze Scotland Yardu. Planowali się pobrać.

– Długo znałeś Toma? – wtrącił Konrad.

– Byliśmy razem w Iraku.

– Nic nie mówiłeś – zdziwiła się Sara, ale Bill tylko wzruszył ramionami, bo było oczywiste, że o tym się nie mówi.

Zaległa cisza i wszyscy zadumali się nad śmiercią Toma, którego może nie znali tak dobrze jak Bill, ale który stał się teraz kimś bliskim. Jakby ofiarował swoje życie za nich. I choć w tym uczuciu było trochę taniego patosu, to jednak było ono na wskroś szczere i autentyczne.

– Co tam się stało? – zaczął Konrad nieco z obowiązku.

– Cokolwiek by się stało, nie było warte życia Toma – odpowiedziała mu Sara i ogarnęła ją wściekłość na Olka, właściwie na Safira. Wydało jej się nawet, że może i on powinien tam zginąć.

No... ale tego nie wiem – pomyślała i poczuła ni to ulgę, ni to żal.

– Bezsensowna śmierć – odezwał się Marcin wyjątkowo poważnie, bo raczej nie był skory do dramatyzowania.

– Nie ma bezsensownej śmierci – odparł Konrad. – Każda śmierć komuś lub czemuś służy... z każdej śmierci jest jakiś pożytek. Chcecie myśleć o Tomie... o innych w ten sposób –

wyraźnie zaczynał się nakręcać – że zginął bezsensownie?! Zginął tak, jak żył, i miał to wkalkulowane... A ty, Marcinku – położył mu rękę na głowie – chciałbyś, żeby po twojej śmierci ktoś powiedział, że zginąłeś bezsensownie? To jakieś... niesprawiedliwe... nie? Będziesz wspominał przyjaciela i wciąż myślał, że zginął bezsensownie? Popierdolone to jakieś, nie?

– Daj już spokój, Konrad! – przerwała mu Sara. – Ile można? Napijmy się! – Podniosła kieliszek. – Nie prowokuj Konrada – zwróciła się z delikatnym uśmiechem do Marcina. – A ty już przestań chrzanić!

Musiała przerwać ten monolog. To, co powiedział Konrad, było tak oczywiste i tak bolesne, że jeszcze chwila, a jej pobudzone alkoholem serce i rozszalałe myśli wyskoczą na stół i okaże się, że nie jest taką twardzielką, za jaką chce uchodzić.

– Idę zapalić – oznajmiła i podniosła się gwałtownie. Czowała, że jak teraz nie wyjdzie, to zaraz zacznie krzyczeć. Łzy już jej stały w oczach, więc popchnęła mocno Konrada, żeby zrobił przejście. Właściwie wcale nie miała ochoty palić.

Stanęła przed pubem i oparła się o ścianę. Nawet nie wyjęła papierosa z paczki.

– Co z tobą? – usłyszała za plecami głos Konrada.

– Nic – odparła, nawet nie patrząc w jego stronę. – A co z tobą? Co to za bufonada? Pieprzysz jakieś smutne teksty o śmierci.

– Już mi przeszło... a tobie? – Objął ją ramieniem i przytulił. – Nie będziemy już o tym rozmawiać. Jak jest, każdy widzi. Daj zapalić! Przecież wiesz, że cię kocham, Blondi.

Poczęstowała go papierosem, lecz sama nie zapaliła.

– Wiem, wiem... ja ciebie też – odparła obojętnie, kryjąc zrećznie żal.

– Powiedz mi szczerze. Oczywiście jeśli możesz... – Konrad zmienił ton i wypuścił dym. – Myślisz o Hamondzie? Myślisz, że zginął? Co się dzieje? Żal ci go czy co?

Odwróciła się i stanęła do niego przodem. W milczeniu patrzyła mu w oczy. Zaczynał żałować, że zadał jej to pytanie. Właściwie wcale nie chciał znać odpowiedzi. Wolał, żeby pozostało tak, jak jest, ale było już za późno.

– Zginęło dwóch ludzi... – odezwała się w końcu – może nawet więcej. I wiesz co? Nie potrafię cieszyć się ze śmierci Hamonda ani smucić śmiercią Toma. Po prostu nie potrafię. Obu znalazłam mniej więcej tak samo... nie, właściwie nie. Karola znalazłam lepiej, nawet bardzo dobrze. To o Freedenie nie wiem prawie nic. A właściwie wiem tylko, że jest po naszej stronie. Nie ma we mnie nienawiści i nie wiem, jak to w ogóle jest możliwe.

Konrad przypatrywał jej się z coraz większym niepokojem. Widział, że jest przejęta i nieobecna. I od razu się zorientował, że to nie może być z powodu Toma. Jakże oczywiście było dla niego, co za chwilę usłyszy!

– Hamond... Safir wie, o co się bije, wie, jest świadomy swojego wyboru... on w to wierzy. A Tom? A ty? A ja? Jaki jest nasz wybór? Czy to, co robimy, jest naszym wyborem...?

– Tu się urodziliśmy, bronimy naszych praw...

– I wartości? Boże! Jak to okropnie zabrzmiało! – Pokręciła głową. – Sam zobacz, co my mówimy! On też jest stąd. Dokądś zmierza, ma jakiś wyraźny cel. My jednak tak naprawdę nie znamy tego celu. Bo przecież oboje dobrze wiemy, że to nie jest jakiś prymitywny dżihad. Bronimy się przed czymś, czego dobrze nie znamy i nie rozumiemy... Jesteśmy tu, bo zawsze tu byliśmy i nigdy nie musieliśmy wybierać – zakończyła zdecydowanie. – Wracajmy, bo Bill się sam upije... Chodź, Bonduś. – Wzięła Konrada za rękę.

Uśmiechnął się do niej i poczuł, jak przyjemny jest uścisk jej dłoni.

– Kto dzwonił? – zapytała, gdy tylko weszli z powrotem do pubu.

– Misza Popowski – odparł obojętnie.

– Misza?

– Chce się pilnie spotkać. Prywatnie.

– Misza? Prywatnie? Co, chce się napić? To już w Moskwie nie ma z kim się nawalić...? Co on pitoli?!

– Blondi! Zostaw to! Nie teraz...

– Konrad!

– Chce się spotkać... w Wilnie. To coś ważnego... podobno.

– Pojedziesz?

– A co myślałaś? – Spojrzał na nią z ukosa.

– Weźmiesz mnie?

– Z przyjemnością. W każdej chwili i gdziekolwiek zechcesz.

Na stoliku zastali kolejne osiem kieliszków wódki. I według wstępnych obliczeń Konrada Bill musiał tymczasem wypić o dwa więcej, bo te przysługujące Marciniowi też były puste. Widać to zresztą było po wypiekach na twarzy Anglika, jego pobudzonych, szklistych oczach i bladym uśmiechu. Czyli – jak czasami sam o sobie mówił – „ja jusz poplinol”, czego nauczył go kiedyś Marcin

Atmosfera przy stole wyraźnie się poprawiła i zaczynała się prawdziwa szpiegowska stypa.

Po godzinie pub zapełnił się gośćmi. Konrad i Bill skakali z tematu na temat i gubili co chwila wątek. Marcin z naturalnym rumieńcem na policzkach przysłuchiwał się ich rozmowie i nieustannie atakował jak mucha.

W końcu zadzwonił telefon i wszyscy zaczęli sprawdzać swoje komórki, aż Sara zdecydowanie oświadczyła, że to jej sygnał i że nie powinni już więcej pić. Odeszła od stolika, by odebrać.

Po chwili wróciła i szepnęła Konradowi na ucho:

– Dzwonili z szyfrów. Przyszła depesza z Londynu. Muszę jechać na Miłobędką, wezmę Marcina i za pół godziny wrócimy. Zobaczę, co to jest. To może dotyczyć wiedeńskiej strzelaniny... Tylko nic mu nie mów. – Skinęła głową na Billa.

– I na miłość boską, nie pijcie już! Mamy jutro mnóstwo roboty.

Konrad popatrzył na Sarę okrągłymi oczami pełnymi akceptacji. Ona jednak nie była pewna, czy dobrze ją zrozumiał, więc powtórzyła jeszcze raz, dokąd i po co jedzie. Konrad pokiwał głową i wrócił do rozmowy z Billem, który zaczynał już wyglądać niebezpiecznie.

– Chodź, Marcin, przejedziemy się na Miłobędką – rzuciła i pociągnęła go za ramię. – Rusz się, chłopie! Musimy zaraz wracać. Widzisz ich przecież...

Birutė obudziła się o siódmej rano z dziwnym uczuciem, że coś musiało się stać. Miała wrażenie, jakby całe Wilno nagle opustoszało, wszyscy gdzieś wyjechali, uciekli przed jakąś inwazją z kosmosu. W sypialni było ciemniej niż normalnie.

Na szczęście jej przyjaciel i partner, najbliższy mężczyzna, leżał obok. Dotknęła go ręką, jakby chciała się upewnić, że jest prawdziwy. Ale i tak nie poczuła się lepiej. Koszmarne bóle głowy jak rozżarzony pręt przeszywał jej mózg.

– Kurczę... zacząć dzień od takiego paskudnego wrażenia – pomyślała Birutė Jonauskaitė, niespełna trzydziestoletnia gwiazda litewskiej telewizji. – No nie... – dotarło nagle do niej. – Wypaliłam wczoraj tylko dwa jointy i wypięłam jedno czerwone wino... Jasne!

Spojrzała na zegar: była siódma piętnaście. Tego dnia miała wolne. Wzięła pilota i nacisnęła przycisk. Włączył się wielki telewizor plazmowy na ścianie i pojawiła prognoza pogody. Wyłączyła głos, by nie obudzić Igorisa.

Co ta pogodynka, ruda dziwka na krzywych nogach, zaproponuje na dzisiaj? – pomyślała o Daivie, byłej partnerce Igorisa Ivanisa, spełnionego biznesmena młodego pokolenia.

Przez dwa lata zajmowała dokładnie to samo miejsce, w tym samym łóżku. Ciężko było Birutė znieść to upokorzenie, ale Igoris nie chciał wyrzucić rzeźbionego w aniołki łoża, inkrustowanego ciężkim złotem.

Na ekranie pojawiła się Daiva, uśmiechnięta i zadowolona, więc Birutė postanowiła sama sprawdzić, jaka jest pogoda. Wyłączyła telewizor i za pomocą pilota rozsunała wertikale w ogromnym oknie.

Zwykle z łóżka widziała zalesioną Górę Giedymina i wieżę zamkową, ale teraz do szyby przyklejona była od zewnątrz biała wata.

Podeszła naga do okna. Na dwa metry nie było nic widać. Teraz do niej dotarło, że nikt nie mógł wyjechać do pracy w taką pogodę i miasto musiało zamrzeć. Stała cisza.

Ciekawe, jak ta dziwka dojechała do telewizji? – pomyślała,

przeczuwając z satysfakcją, że musiała iść pieszo. Taką mgłę powinna przecież była zapowiedzieć! Dziwka ruda!

Spojrzała na Igorisa i zdecydowała się wrócić do łóżka. I tak muszą czekać, aż opadnie mgła. A to trochę potrwa. Przemknęło jej przez myśl, że może warto byłoby go obudzić i jakoś uprzyjemnić ten poranek, ale zrezygnowała, bo przypomniawszy sobie, że akurat zbliża się owulacja.

Położyła się na plecach i postanowiła czekać, aż z okna będzie można zobaczyć Wieżę Giedymina.

Minęło może piętnaście minut i Biruté wydało się, że tłusta mgła przesuwana się coraz szybciej, poganiana przez wschodni wiatr. To był przyjemny widok, tym bardziej że zaczęły się przebijać pierwsze promienie słońca.

Biruté czekała, aż rozejdzie się mgła i odsłoni symbol Wilna. Wtedy ona wstanie i pójdzie się wykapać. Potem obudzi Igorisa i razem wypiją kawę. Będzie miło.

Pomarańczowym odcieniom coraz częściej zaczynały towarzyszyć błękitne strzępy nieba. Ten widok wprowadził Biruté w dobry nastrój. Zaczęła się zastanawiać, co będzie dzisiaj robić, bo Igoris jechał w interesach do Kaliningradu.

W pewnym momencie, jak na scenie, mgła na ułamek sekundy odsłoniła Wieżę Giedymina. Biruté pomyślała, że się przewidziała. Przetarła ze zdziwienia oczy. Obraz znikł za mgłą, lecz po chwili znów się wyłonił i młoda litewska dziennikarka nie miała już wątpliwości, że to nie złudzenie.

Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna.

– Co tam? – odezwał się leniwie Igoris obudzony jej gwałtownymi ruchami.

– Igoris! Podnieś się i chodź tutaj! Szybko! – Jej głos zwiastował co najmniej wojnę. – Coś takiego! Niemożliwe!

Mężczyzna przeturlał się przez łóżko i stanął nagi obok niej.

– Co? Ale mgła... – nie dokończył. – Ja pier... Czy coś się w nocy zmieniło? Nie palimy już więcej! Film kręca?

Stali obok siebie, młodzi ludzie sukcesu, on Rosjanin litewski, ona Litwinka kowieńska, i ze zdumieniem patrzyli, jak na Wieży Giedymina, sercu Wilna i dumie Wielkiego Księstwa, w miejscu żółto-zielono-czerwonej flagi powiewa ogromnych

rozmiarów czerwony sztandar, a w promieniach słońca mienia się na nim złote litery: CCCP. Tego dnia wiało ze wschodu wyjątkowo złośliwie i mocno.

– Ja pier-do-lę! – wypowiedzieli jednocześnie.

– Dawaj kamerę! – krzyknęła Biruté i Igoris pobiegł natychmiast do drugiego pokoju, klapiąc bosymi stopami po mahoniowej podłodze.

Tego dnia Biruté Jonauskaitė nie miała wolnego, tak jak sobie zaplanowała. Nawet nikt nie musiał do niej dzwonić, by natychmiast zrozumiała, że jej miejsce jest w studiu przed prompterem. Czerwony sztandar bił na głowę każdą prognozą pogody. Litewskie, łotewskie i rosyjskie media na żywo przez cały ranek relacjonowały próby usunięcia flagi. Trwało to długo, gdyż perfidia i determinacja komunistycznych dywersantów okazały się bezgraniczne, a cała wieża była podobno zaminowana. Tak twierdziła telewizja litewska, zaniepokojona o los najstarszego zabytku w mieście.

Zupełnie inaczej to niezwykle zdarzenie postrzegala telewizja rosyjska, a szczególnie kanał Rossija.

Liczni gapie zebrani na brzegach Wilii i we wszystkich innych miejscach, skąd mogli widzieć czerwony sztandar, byli podzieleni w ocenie tego niezwykłego zjawiska. Podzieleni według wieku, wykształcenia, narodowości, statusu społecznego i wszystkich innych czynników, jakie tylko mogą występować w mieście takim jak Wilno.

Grzesio wyjechał do Polski jeszcze tego samego wieczoru, czyli tak, jak chciał. Miał w Warszawie pilną robotę, którą zlecił mu Giena za dodatkową zapłatą.

Witalij wrócił do hotelu wściekły jak nigdy dotąd i walczył sam ze sobą, żeby tylko Kasia tego nie zauważyła. Ale to i tak nie miało szansy się udać, bo Kasia była bardzo inteligentna i z łatwością potrafiła przejrzeć kogoś takiego jak on.

Giena Batyszkin spędził pół nocy na pisaniu raportu ze spotkania z agentem „Czerwonym” i odnalezienia rodzeństwa Bogajewów przez niezwykłego Jagana. Na koniec zasugerował, co należałoby teraz zrobić, żeby cała operacja miała sens. Raport musiał być na tyle jasny, jednoznaczny i czytelny –

zarówno w zakresie propozycji, jak i oczekiwanych i nieoczekiwanych skutków – żeby Michaił Popowski nie miał żadnych wątpliwości, jak dalej postępować. A dokładniej – jakie decyzje zarekomendować generałowi Lebiedziowi, i to bez zadawania żadnych dodatkowych pytań. Tak powinien wyglądać raport idealny i Giena potrafił takie pisać. Mimo że zwykle zajmowało mu to dużo czasu, dzieło końcowe zawsze wzbudzało uznanie przełożonych, którzy doceniali również jego walory literackie. Taka umiejętność łączenia fikcji i faktów nie była w Jaseniewie powszechna.

Tej nocy, gdy Giena pisał swój raport, a Witalij próbował wytłumaczyć Kasi powód swojego spóźnienia, Jagan znikł gdzieś na kilka godzin w gęstej mgle.

Wrócił dopiero o świcie i wcale nie chciało mu się spać. Postawił krzeselko przy oknie i czekał, aż wszędzie słońce i rozpędzi mgłę.

Po śniadaniu musieli szybko się spakować i jeszcze tego dnia opuścić Wilno.

Dochodziła ósma trzydzieści, a czerwony sztandar wciąż dumnie powiewał na Wieży Giedymina. Operacja jego usunięcia wyraźnie się przeciągała. Policyjny śmigłowiec, który miał go zerwać, nie mógł wystartować z powodu usterki technicznej. Wyglądało, jakby wszystko się sprzysięgło, by złote litery CCCP jak najdłużej trwały nad Wilnem.

Birutė Jonauskaitė na bieżąco relacjonowała działania policji, ale nie potrafiła wyjaśnić, co się stało z helikopterem.

Tymczasem Batyszkın zjadł śniadanie i zszedł do recepcji opłacić rachunek. Jagan już na niego czekał, świeży, w doskonałym nastroju, chociaż przez całą noc nawet na chwilę nie zmrużył oka. Zdecydował zatem, że teraz samochód poprowadzi Giena, a on zrobi sobie w drodze trening autogeny i w ten sposób spokojnie dotrwa do nocy.

– Mamy zostać na Litwie – oznajmił Batyszkın, siadając obok Jagana.

– A co jest?

– Taki rozkaz dostałem piętnaście minut temu od Popowskiego. – Rozłożył ręce. – Ale musimy wyjechać z Wilna.

Podobno jest tu jakaś awantura z flagą czy coś... Oglądałeś telewizję?

– Neeee... Co mnie to obchodzi!

– Na razie mamy nie opuszczać Litwy. Tu jest bezpieczniej niż w Polsce. I czekać na dalsze rozkazy.

– Co jest grane?! – obruszył się Jagan. – Przecież znaleźliśmy Bogajewów. Bładź! Co znowu?

– Przestań się rzucać! U was w wojsku tolerują takich historyków? – spokojnie wyrecytował Giena. – Zaczynasz mnie wkurzać. Zapomniałeś, co ci mówiłem? Sprawa tych górskich zbójów nie jest taka prosta, jak ci się wydaje, a twoje marzenie będzie spełnione na samym końcu. Popowski wie, co robi. Trzyma wszystkie nitki w garści i decyduje, którą i kiedy ma pociągnąć. Jak każe nam czekać, to czekamy! – Zawiesił na chwilę głos, po czym wycedził przez zęby: – Zrozumiałeś, sierżancie?! No... to wykonać!

Tak chcesz ze mną gadać? – pomyślał Jagan. Ty fiucie z wywiadu! Zobaczymy... Jak przyjdzie co do czego, będziesz walił w sztany. Kiedy zobaczysz, kim są Bogajewowie, to ci zmięknie rura. Wtedy będzie potrzebny sierżant Trubow Andriej. Przekonasz się, wałku jeden! *Budiet i na mojej ulicy prazdnik.*

W rzeczywistości jednak wcale nie był zły na Gienę, bo on wykonywał tylko rozkazy. Nie był nawet zły na Popowskiego, który to wymyślił, bo on też realizował jakiś swój plan. Był po prostu zły, że musi jeszcze czekać, kiedy Bogajewowie są gdzieś blisko, już w zasięgu ręki. Czuł to i nie mylił się. Ani tym bardziej jego smok.

– Pojedziemy do miejscowości Druskininkai – wyrecytował z pewnym trudem Giena – czy coś takiego. To gdzieś nad granicą polską. Około stu kilometrów stąd. Jakiś kurort czy spa... I tam się zamelinujemy. – Spojrzał na Jagana. – Będzie fajnie! Odpuść, nie gniewaj się. Służba nie drużba! – Chciał już nawet położyć mu rękę na ramieniu, ale coś go powstrzymało, więc rzucił tylko: – *Nie wołujścia. Czemu byt, tomu nie minowat.* Jedziemy!

Podniósł się z fotela.

– Za dwie godziny masz samolot. Wstawaj! Jesteś tam... Konrad?! Obudź się! – Sara grzmiała w telefonie jak szef kompanii karnej. – Ocknąłeś się już?

– Obudziłem – odparł markotnie, ale nie był tego wcale pewien. – Która godzina?

– Późno! Na miłość boską, wstawaj! Weź prysznic, tylko nie biegaj już dzisiaj, bo zasłabniesz i nie zdążysz... Zjedz śniadanie. Zadzwonię do ciebie za pół godziny. Billa już podniosłam. Nie zrób nam wstydu! Marcin przyjedzie po ciebie za czterdzieści pięć minut. Dotarło? – Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Leżał w swojej zaciemnionej sypialni i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. A przede wszystkim – w jakiej kolejności. Miał co najmniej kilka pilnych potrzeb, które z pewnością nie pozwoliłyby mu już zasnąć. Szczególnie dokuczliwa była jedna. Podniósł się z łóżka i podciągnął roletę. Do pokoju wpadł potężny strumień słonecznego światła, który uderzył go z taką siłą, że Konrad o mało nie stracił przytomności. Odruchowo zamknął oczy, ale musiał zakryć je jeszcze dłonią, bo promienie nawet przez opuszczone powieki wbijały się boleśnie w mózg.

– *Never again... I'll kill you... Kill Bill volume one* – powtarzał na głos, zmierzając jak Brueglowski ślepiec w kierunku toalety. – *Fuck! Kill Bill volume two, Bill Kill, fuck!* – I gdy tak stał nad toaletą, dotarło do niego w końcu, że przecież pili wczoraj z powodu śmierci Toma i ta mantra jest zupełnie nie na miejscu.

Ciekawe. Nie boli mnie dzisiaj noga – pomyślał, jakby szukał usprawiedliwienia.

Zgrabnie ominął lustro, zrzucił bokserki w misie i wszedł pod prysznic. Puścił najpierw zimny, potem letni, znów zimny i gorący, i znów letni strumień, zmieniał jego natężenie i rodzaj... aż do skutku.

Gdy wreszcie sobie uświadomił, że dzisiaj leci do Londynu na spotkanie z George'em Gordonem w sprawie „Zaraza”, mógł

już tylko zakręcić kran i wytrzeć się. Przeliczył się jednak. Sił starczyło mu jedynie na wytarcie głowy. Owinął się więc w pasie białym ręcznikiem kąpielowym i poczłapał do kuchni, przerażony, że mógł nie kupić kefiru Robico. Na szczęście kefir był na miejscu i po pierwszej butelce przypomniał sobie, że wczoraj Sara pojechała z Marcinem na Miłobędzką odebrać pilną depezę z Londynu.

– No tak! Teraz pamiętam – powiedział na głos. – George chce rozmawiać o Safirze... tym Karolku szarpanym.

Wszystkie fakty złożyły mu się jak zardzewiała kostka Rubika i Konrad zrozumiał grozę swojej sytuacji. Jeszcze nigdy w życiu nie zawałił roboty z powodu alkoholu, a tym bardziej z powodu kaca. Nie wytłumaczyłby się ani w Londynie, ani na Miłobędzkiej.

Pełny airbus 320 należący do British Airways wylądował na lotnisku Heathrow dokładnie o czternastej dwadzieścia.

Bill Stenton spał całą drogę gdzieś z tyłu samolotu, a Konrad siedział obok dwóch gadatliwych pań po sześćdziesiątce, które leciały do swoich dzieci w Londynie. Tyle zrozumiał z ich rozmowy, chociaż wcale nie próbował im się przysłuchiwać. Przeciwnie, ich podniesione głosy rozpraszały go i przeszkadzały mu się skupić nad tym, co było teraz najważniejsze.

Zastanawiał się, co takiego stało się w Wiedniu. Czy Safir as-Salam zginął i jak? Miał nieodparte wrażenie, że znaleziono przy nim coś, co może mieć pierwszorzędne znaczenie.

Kiedyś sprawa Safira as-Salama była jego osobistym wyzwaniem. Przeżywał wszystkie porażki i tygodnie spędzone w Jemenie czy Afganistanie. Do żywego dotykała go obojętność przełożonych. Ale dzisiaj było już inaczej. Po sprawie Rupertów i rosyjskiego archiwum w Brześciu Safir stał się jakby bledszy, przezroczysty. Dlatego nie odpowiadało Konradowi emocjonalne podejście Sary do jego śmierci i miał do siebie dziwny żal, że poddał się jej nastrojom.

Wolałbym, żeby ten Hamond jednak zginął. Byłoby lepiej dla wszystkich – pomyślał jeszcze siłą bezwładności i aż sam się zdziwił, skąd u niego taka refleksja.

Potrząsnął ostro głową, jakby chciał uporządkować krążące bezładnie myśli i strącić ostatnie kryształki alkoholu, które jeszcze zaciemniały mu jasność oceny.

Starsze panie przerwały nagle rozmowę i popatrzyły na Konrada z przykrym zdziwieniem. Odpowiedział im najbardziej złośliwym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć. Poskutkowało natychmiast.

Hamond to pewnie już historia. George poinformuje o śmierci polskiego obywatela Karola Hamonda alias Safira as-Salama, bez którego świat stał się trochę bezpieczniejszy. I dobrze! Sarze wątpliwości z czasem przejdą, jak zawsze zresztą. Wrażliwość to wspaniała cecha, ale nie da się z nią budzić i zasypiać. Człowiek potrzebuje czasem trochę cienia. Po tylu latach pracy powinna to zrozumieć. Miłość to co innego!

– *Karolek Hamond is gone* – wymamrotał.

Teraz trzeba będzie porozmawiać z George'em o irlandzko-koreańskim tandemie. Jak to pięknie brzmi! Mamy smakowitą sprawę, za którą musi się coś kryć... Dam sobie uciąć... nie, nie dam sobie uciąć, ale założę się, że telefon Popowskiego musi mieć z tym jakiś związek. Szpiegowska dialektyka nie zna próżni... ładnie powiedziane. *Fuck!* George, Popowski i ja... przydałaby się jeszcze Linda... Kurczę! – przypomniał sobie nagle. Trzeba poinformować Sztokholm, że nie przyjedziemy... nasze zachowanie wobec nich staje się coraz bardziej niepoważne. Linda jest taka bardzo, bardzo... nooo...

Miły głos stewardesy niespodziewanie wyrwał go z rozmyślań i zapowiedział po angielsku i po polsku, że samolot rozpoczął schodzenie do lądowania.

Przybliżył się do okna, bo to był jego ulubiony fragment lotu. Szczególnie nad Londynem. Żadne inne miasto na świecie nie wygląda tak imponująco z powietrza.

Przy wyjściu czekał na Billa i Konrada funkcjonariusz SIS. Zaprowadził ich od razu do stojącego nieopodal ciemnozielonego rovera 75 i poinformował krótko, że kontroler George Gordon oczekuje pana Wolskiego na Vauxhall o szesnastej trzydzieści.

Bardzo sprawnie dojechali w trzy kwadranse do hotelu Mint

Westminster przy John Islip Street. Konrad zawsze się w nim zatrzymywał, bo położony był w pobliżu siedzib MI5 i MI6 oraz centrum miasta. I zawsze był tam dla niego wolny pokój.

Konrad podziękował kierowcy i poinformował go, że na Vauxhall przyjdzie sam. Przy wejściu stał jak zawsze hotelowy boy, czyli Karol z Gorzowa, a w recepcji siedziała Kasia z Białegostoku, która powitała stałego gościa szerokim uśmiechem.

O piętnastej trzydzieści Konrad był już odświeżony, zmienił koszulę na białą i przełożył przez ramię marynarkę od służbowego granatowego garnituru. Wahał się, czy włożyć krawat, ale ostatecznie zrezygnował. Wkrótce będzie już po godzinach pracy, a poza tym w kontaktach z Gordonem nigdy nie przestrzegał sztucznych norm bondowskiej elegancji.

Siedziba SIS na Vauxhall Cross na drugim brzegu Tamizy oddalona była od hotelu o jakieś piętnaście minut wolnym spacerem, więc korzystanie z samochodu służbowego graniczyło z brakiem wycucia i dobrego smaku. Tym bardziej że pogoda była ładna. Już sam spacer po Londynie dostarczał przyjemnych wrażeń.

Konrad skręcił w lewo w spokojną zadrzewioną John Islip Street i po dwustu pięćdziesięciu metrach znalazł się na tyłach Tate Gallery. Potem w lewo w Attenbury Street i między galerią a Chelsea College of Art and Design w kierunku Tamizy. Gdy dotarł do Millbank, przeszedł na drugą stronę i ruszył w prawo wzdłuż kamiennego murku nad rzeką.

Nigdy nie potrafił określić, w jakim stylu utrzymany jest monumentalny gmach SIS, wolał jednak o to nie pytać, bo musiałby wtedy przyznać, że to jeden z najbrzydszych budynków w Londynie. Przypominający orwellowską fabrykę zmieszana z egipskim grobowcem i bunkrem Alberta Speera. Partnerzy nigdy nie mówili o walorach architektonicznych swojej siedziby, bo o takich sprawach dżentelmeni wywiadu JKM nie rozmawiają. I dobrze, bo cóż mogliby wówczas powiedzieć o wyblakłym zielonym budynku polskiego wywiadu na Miłobędzkiej? Pewnie, że wygląda jak internat przy szkole pielęgniarskiej.

Konrad lubił Londyn jak żadne inne miasto na świecie. Szedł więc powoli, kontrolując czas i bawiąc się swoimi myślami. Po wczorajszej stypie nie zostało już śladu. Nic tak nie leczyło jak intensywny trening intelektualny, zwłaszcza w taki miły dzień, i to nad Tamizą.

Doszedł do mostu Vauxhall i wspiał się na jezdnię po kamiennych schodkach. Stąd miał już tylko czterysta metrów. Wejście do SIS było z drugiej strony budynku, od Albert Embankment Street.

Tam czekała już na niego Diana, koleżanka Sary. Niewysoka, dobrze zbudowana blondynka między trzydzistką a czterdzistką. Konrada trochę zdziwiła jej obecność, bo Diana była oficerem Wydziału Białoruskiego.

Przywitali się serdecznie i przez pierwszą bramkę wkroczyli na teren SIS. Diana wręczyła Konradowi identyfikator z napisem *Visitor* i po kolei, pojedynczo przeszli przez służbę bezpieczeństwa, która wyglądała jak urządzenie do teleportacji.

To skojarzenie nie było wcale fantastyczne. Od tego momentu każdy wchodzący był teleportowany do innej rzeczywistości, nieznaney zwykłym ludziom, zbudowanej na tajemnicach złożonych w niekończących się archiwach, które gromadzono w Zjednoczonym Królestwie przez setki lat. Tajemnicach całego świata. Trafiał do rzeczywistości opartej na piramidalnych kłamstwach, heroizmie zwykłych ludzi, zbrodniach i zdradach, mądrości i odpowiedzialności ludzi i herosów – czyli na tym wszystkim, o czym pisał już wcześniej William Shakespeare, figurujący w archiwum SIS pod numerem 007.

Wychodząc ze służby, Konrad zawsze miał wrażenie, jakby wszedł do świątyni Aresa, boga szpiegów. I choć wielu mogłoby go potraktować jako śmiesznego do gruntu naiwniaka, nawet dzieciucha, to jemu jednak się wydawało, jakby nieznaną siłą ładowała jego szpiegowską duszę i dodawała mu w tym miejscu tajemniczej mocy.

Wjechali windą na piąte piętro. Po drodze Diana wypytała Konrada, co nowego u Sary, i w końcu podeszli do drzwi z numerem 5AB.

Był to typowy duży pokój konferencyjny bez okien, na piętnaście osób. Pokój, w jakim każdy oficer wywiadu – na całym świecie – czuje się najbezpieczniej.

George Gordon siedział, opierając wyciągnięte nogi o oparcie drugiego krzeselka. Przy jego wzroście ten widok sprawiał wyjątkowe wrażenie. Zdawało się, że Gordon swoim wyglądem zaprzecza prawom fizyki i biologii jednocześnie.

Był bez marynarki, bez krawata, w butach tych co zawsze. Spodnie dawno straciły fason. Nad wysokim czołem zwisiała mu grzywka, normalnie zaczesana do tyłu. Zaczytany w jakimś dokumencie, potrzebował chwili, żeby się zorientować, że Konrad wszedł do pokoju i stanął obok.

– Jak się nazywa taka sytuacja w szachach, kiedy każde możliwe posunięcie pogarsza sytuację tego gracza, który ma akurat ruch?

– To zugzwang – odrzekł Konrad. – Ja mówię, że najlepszym możliwym ruchem jest wtedy nie robić nic. Brzmi lepiej, nie?

– Często przytrafia ci się coś takiego? – George odłożył dokument, zdjął nogi z oparcia i ruchem głowy wskazał krzesło.

– Co cię dręczy, przyjacielu? – Konrad usiadł, a Gordon zaczesał grzywkę. – Zdarza się... to nierzadkie w naszej grze.

– Hm... tak, to prawda... – zadumał się Gordon.

– Właściwie, jak się dobrze przyjrzeć, to najczęstsza kombinacja w naszej profesji.

– Och... tak! – Gordon westchnął i jego twarz się rozpromieniła. – Jak podróż? Odpocząłeś chwilę? Dziękuję, że przyleciałeś tak szybko. Można na ciebie liczyć. – Wstał i przyniósł z bufetu talerz z trójkątnymi kanapkami. – Pewnie nic nie jadłeś?! – Postawił go przed Konradem. – Wieczorem pójdziemy na kolację. Tam – wskazał termos i filiżanki – jest kawa i herbata.

– Wiem o Tomie.

– Tak. To straszne. – George usiadł i położył ręce na stole.

– Co się stało?

– Badamy sprawę. To wszystko stało się tak nagle, że nie zdążyliśmy was uprzedzić...

– Nie ma sprawy – przerwał mu Konrad. – Tak bywa!

– Austriacy chyba trochę spaprali sprawę, ale o tym później. Nie to było decydujące. Zresztą za wcześnie na wnioski. Dochodzenie trwa.

– Jak zginął Tom?

– Dziwnie. Nie mamy jeszcze pewności, czy zastrzelił go Safir, czy policjant z austriackiej Delty... Dostał serię z automatu w pierś i głowę. – Gordon westchnął. – Zginął na miejscu.

– Kto jeszcze?

– Trzech policjantów z oddziału antyterrorystycznego. I to jest właśnie trochę dziwne, bo zginęli z broni krótkiej... od pojedynczych celnych strzałów w głowę ze sporej odległości.

– A z jakiej broni zginął Safir? – zapytał Konrad.

George spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Safir nie zginął – odparł. – Wymknął się.

– Nie rozumiem... – Konrad był więcej niż zaskoczony. – Bill mówił, że... – Nagle zdał sobie sprawę, że przecież Bill nic nie mówił o śmierci Safira, a on dał się zasugerować wrażeniom Sary. – To znaczy, że żyje... Uciekł?

– Dobre pytanie. – Gordon rozłożył ręce. – Policja wiedeńska czesze całe miasto i okolice. Zmobilizowali wszystkie siły, ale przepadł jak kamień w wodę.

– *Fuck!* Jak to przepadł? Rozpłynął się czy co?

– Uciekł na motocyklu... takim sportowym...

– A co z Abdulem?

– Lekko ranny.

– *Fuck!*

– Jego rodzina jest bezpieczna. Mike Fulman z Security Service też wyszedł z tego cało. To wszystko, co się stało, jest bardzo dziwne. – George zmarszczył czoło. – Bardzo! I nie tylko to. Dlatego poprosiłem cię, żebyś pilnie przyjechał. – Spojrzął Konradowi w oczy. – Mamy właśnie ciekawy zugzwang!

Od dłuższej chwili Konrad miał ochotę sięgnąć po angielską kanapkę, ale teraz zupełnie stracił apetyt. George zebrał leżące przed nim dokumenty i przez chwilę czegoś w nich szukał.

– Po kolei – zaczął w końcu.

Nareszcie! – pomyślał Konrad.

– Wszystko rozegrało się wieczorem. – Gordon zaglądał do dokumentów, ale z nich nie czytał. – Późnym popołudniem Safir zadzwonił do Abdula, gdy ten był w pracy w tym...

– Kebabie na dworcu West!

– Tak, dokładnie. Potem Safir wyznaczył mu spotkanie w hotelu obok dworca, jakieś sto metrów dalej. Stwierdził, że będzie tam na niego czekał. Abdul powiadomił natychmiast Toma, tak jak to było uzgodnione. Safir dzwonił oczywiście z telefonu na kartę, ale i tak Austriacy natychmiast go namierzyli i wysłali dodatkowo samochód, żeby zacieśnić diapazony. Zebraliśmy wszystkie możliwe siły, a nie było łatwo, bo Safir nie zostawił nam dużo czasu.

– Zawodowiec – skomentował Konrad. – Dobrze wie, że na kogoś takiego jak on trzeba wysłać antyterrorystów, obserwację, technikę.

– Niestety, tak. Tym bardziej że Tom i Mike byli zajęci czymś poza miastem i musieli wszystko rzucić, by pognać do Wiednia.

– George nie sprawiał wrażenia specjalnie zatroskanego. – Tak czy inaczej w ciągu pół godziny zorganizowaliśmy... na tyle, na ile to było możliwe... obserwację hotelu. I Abdula. Ale co najciekawsze, telefon Safira cały czas wysyłał sygnał, że jest w hotelu lub w jego pobliżu. Tom miał wątpliwości, ale nie było wyboru i musieliśmy czekać, bo mógł wypłynąć w każdej chwili. Austriacy panicznie bali się strzelaniny w hotelu, bo była tam jakaś wycieczka z Izraela i zachodziło podejrzenie, że Safir chce wykorzystać Abdula do dokonania zamachu.

– Też bym się tego obawiał – wtrącił Konrad. – Safir jest zdolny do wszystkiego, ale chyba też zbyt cenny dla Al-Kaidy, żeby pozwolono mu osobiście przeprowadzić taki atak. Jego inteligencja i oddanie organizacji każą się spodziewać, że zafunduje nam coś ekstra.

– Tak, tak! Wiemy...

Konrad wziął pszennego tosta i posunął talerz w kierunku Gordona.

– Dzięki. Też zjem. – George ręką długą jak ramię dźwigu wziął kanapkę, ale nim ugryzł, dodał: – Po jakichś piętnastu minutach znaleźli telefon Safira. Zgadnij, gdzie był.

– No... gdzie?

– W koszu na śmieci przy wejściu do hotelu... I co ty na to?

Konrad wstał i zaczął się przechadzać po sali. Powoli zjadł kanapkę, a Gordon wciąż trzymał swoją w dłoni, śledząc go wzrokiem.

– Ciekawe. Nawet bardzo ciekawe!

– Tom uznał, że Safir, idąc na spotkanie z Abdulem, musiał się zorientować, że w hotelu jest zasadzka, i pozbył się telefonu... Tak przynajmniej powiedział Mike'owi. Co naprawdę myślał, już się nie dowiemy...

– A nie przyszło mu do głowy, że jeszcze przed jego przybyciem do hotelu telefon nadawał sygnał z tego miejsca? Znalezienie aparatu w koszu to inna sprawa. Coś nie zagrało z Austriakami? – zapytał Konrad, dając Gordonowi szansę na rehabilitację Toma, który, jak widać, popełnił ewidentną pomyłkę.

– Nie. To musiał być błąd Toma. Niestety, tak to trzeba ująć. Wolalbym jednak o tym teraz nie mówić, bo on nie może nic powiedzieć na swoją obronę. – George zachował się uczciwie i honorowo. – To był dobry oficer. Cóż, obaj byli mocno zdenerwowani, mieli mało czasu.

– Bywa! Czasami dusza nie pasuje do ciała, nie? Każdy z nas ma na sumieniu takie potknięcia, delikatnie mówiąc. – Konrad zrekapitulował osąd George'a. – Sam nie wiem, co bym zrobił. Izraelska wycieczka, nerwowi Austriacy i koszmarny stres. Wszystko w jednym miejscu i czasie!

– Zostawmy to. Błąd to błąd i tyle. Istotniejsze jest to, co nastąpiło potem – zaczął Gordon.

– George, to była pułapka zastawiona przez Safira. Nie widzisz tego? On wiedział, że Abdul jest przynętą, i wciągnął nas razem z łódką. On tam był i wszystko obserwował. Wrzucił telefon do kosza, bo chciał was ściągnąć i zobaczyć, co się dzieje. – Konrad przestał chodzić i stanął na środku pokoju.

– Niestety, masz stuprocentową rację. Na pocieszenie można dodać, że gdyby Tom się nie pomylił, to i tak koniec byłby podobny. – Gordon ugryzł wreszcie kanapkę i w palcach został mu tylko koniuszek. Przelknął, otrzepał dłonie i obtarł nimi

usta. – Z mojej analizy tego, co się zdarzyło w Wiedniu, wynikają inne wnioski. Znacznie poważniejsze! Zacząłem się martwić, ale... nie o Safira, o nie! Jest coś innego. – Przerwał na moment i po chwili zastanowienia dodał: – Ale o tym później. Dokończę ci, co było dalej, chociaż nasi w Wiedniu wciąż ustalają szczegóły i obraz nie jest jeszcze pełny. Za to scenariusz rysuje się już dosyć wyraźnie.

– Rozumiem, że Safir pojechał do domu Abdula.

– Też byś tak zrobił?

– Oczywiście.

– I ja.

– Tego wariantu nie ćwiczyliśmy z Abdulem. Szkoda!

– Teraz to nie ma znaczenia. Safir jest bardziej przebiegły, niż przypuszczaliśmy, ale trochę zbyt łatwo nas przechytrzył – stwierdził z przekonaniem Gordon.

– Rozumiem, że on to wszystko zaplanował. Klasyczny wariant. Najpierw doprowadził do mobilizacji naszych sił, spowodował, że się ujawniliśmy, potem nastąpiła dekoncentracja i rozluźnienie... Typowe zagranie.

– O mało się jednak nie przeliczył.

– Co się później wydarzyło?

– Pojechał do mieszkania Abdula kilka kilometrów dalej. Sterroryzował jego żonę i dziecko, ale nie zrobił im krzywdy. Po kilkunastu minutach przybył Mike Fulman. Gdy wszedł, został obezwładniony paralizatorem i związany. Safir trzymał go w kuchni...

– Znęcał się nad nim?

– Nie. Skrępował go tylko i zasłonił mu oczy. Nie interesował się nim specjalnie. Zabrał mu dokumenty i broń. Wyraźnie czekał na Abdula, który się wkrótce pojawił. Z hotelu przywiózł go Tom. Jest trochę problemów z dokładnym ustaleniem, co się stało w tym domu potem...

– To znaczy...?

– Mamy szczątkowe informacje od Mike'a, który jednak miał zasłoniętą głowę i leżał w kuchni, a Abdul jest w szoku... albo udaje... i nie chce współpracować. Twierdzi, że nic nie pamięta, i chce wracać do Tunezji. Pracujemy jednak nad nim.

– Dlaczego Safir nie zabił Abdula? Nie zdążył? Co się stało? – Konrad wyglądał na mocno zdziwionego, ale powoli zaczynał rozumieć, co się stało.

– Nie wiemy. Miał dość czasu, żeby to zrobić. Badamy sprawę dokładnie.

– Jak zginął Tom?

– Prawdopodobnie zorientował się, że Safir jest w domu Abdula, bo dzwonił na telefon Mike'a, ale odbierał Abdul. – Gordon zamyślił się na moment. – Tom i jeden z policjantów zginęli w mieszkaniu Abdula. Dwóch pozostałych na klatce schodowej, kiedy Safir wyrwał się z mieszkania. Był w kasku motocyklowym. Strzelał z dwóch pistoletów. Nie mieliśmy pojęcia, że ma w pobliżu motocykl. Uciekł. Austriacy byli bez szans. Przeglądają teraz monitoring miejski.

– Mówiłeś, że Tom dostał serię z automatu?

– Niestety. Wygląda na to, że dostał przez pomyłkę od antyterrorystów. Safir nie miał broni automatycznej, a policjantów trafił pojedynczymi strzałami. – Gordon zwiesił głowę i zamilkł.

– Szkoda chłopaka – dodał Konrad. – Bywa.

– Aha, jeszcze jedno! – Gordon nabrał nieco animuszu. – To przyszło wczoraj wieczorem z Wiednia. – Wziął do ręki kartkę. – Austriacy ustalili, że kilka godzin przed akcją Hamond wykupił za gotówkę bilet na samolot do Sztokholmu na następny dzień. W jedną stronę. Kupił go w Hainburgu, to małe miasteczko przy granicy słowackiej w drodze do Bratysławy. Miał polski ID na nazwisko Jerzy Jankowski.

– Jak John Smith. Od początku podejrzewaliśmy. – Konrad potarł dłonią podbródek. – Hamond musi się ukrywać w Polsce. Teraz już nie ma co do tego wątpliwości. A co ze Szwedami? Ciekawe, po co się tam wybierał? Bilet w jedną stronę?

– Oczywiście nie poleci...

– To typowa zmyłka, żeby nas skierować na boczny tor, odciągnąć siły. Hamond nie jest głupcem. Wie, że Austriacy rzucą wszystkie siły na lotnisko.

– Tak też zrobili – stwierdził Gordon. – W każdym razie

wysłałyśmy informację do Säpo... Niech trzymają rękę na pulsie, chociaż mają ostrą sytuację z Czerwonym Szejkiem w Kopenhadze.

Konrad usiadł na krzeselku i przygryzł dolną wargę.

– Dlaczego Safir nie zabił Abdula? – zapytał po chwili.

– Bo zależało mu, żebyśmy dokładnie się dowiedzieli, o czym rozmawiali. Liczył się z tym, że Abdul wszystko nam powie. Chciał mieć pewność.

– Więcej! – Konrad sięgnął po butelkę wody. – Chciał, żebyśmy go poznali. Wiedzieli, kim jest, jakim człowiekiem. Że nie jest zwykłym zabójcą, mordercą. Oszczędził Abdula i jego rodzinę, nie zabił Mike’a, a policjanci zginęli w walce. Chciał nam powiedzieć, że jest żołnierzem, wojownikiem. Nawet Tom nie zginął z jego ręki. Rozumiesz?

– Nie pomyślałem o tym – odparł Gordon. – To możliwe.

– Koniecznie musimy się dowiedzieć, i to z najdrobniejszymi szczegółami, o czym rozmawiał z Abdulem i Mikiem. To bardzo ważne... – Konrad urwał w pół zdania i wypił wodę prosto z butelki. – Wyślę do Wiednia Sarę. Powinna uczestniczyć w przesłuchaniu Abdula. Zna go dobrze.

– Oczywiście. Powiadomię naszych w Wiedniu.

– No... to co? Przejdziemy do najważniejszego?

– No właśnie! – George uśmiechnął się nieznacznie. – Od tego wszystko się zaczyna.

– To musi być ktoś u was – stwierdził z przekonaniem Konrad.

– Przeciek u nas jest mało prawdopodobny. Kret jest po tej albo po tamtej stronie Tamizy – zasugerował wyciek w MI5.

– Zgadza się...

– Przeanalizujemy to wszystko po kolei. – Konrad przejął inicjatywę, bo nade wszystko lubił takie kombinacje. – Popraw mnie, jeżeli się pomylę.

Gordon z aprobatą pokiwał głową i wziął kolejną kanapkę. Wiedział, że Konrad lubi ten fragment rozmowy i ma wyjątkową wyobraźnię operacyjną.

– Powiem tak: jeżeli informacja wyciekła z waszych służb do Al-Kaidy, to chroń nas Panie Boże. – Konrad nie owijał w bawelnę. – A na to wygląda.

– Zgadzam się – powtórzył Gordon, przyglądając mu się z zainteresowaniem.

– O tym, że Abdul został przez nas zwerbowany, Safir dowiedział się całkiem niedawno, bo nie zwlekałby tak długo z jego likwidacją. Całe to przedstawienie w Wiedniu zrobił też po to, żeby się dowiedzieć, co wiemy, nie tylko po to, żeby nam coś zademonstrować. – Konrad wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Abdul miał tylko jedno zadanie, tak? Być łącznikiem z IRA, skrzynką kontaktową. Mimo że znali się z Safirem dość długo, to jednak formalnie wszedł do Al-Kaidy niedawno. Dotąd Safir sam kontaktował się z Irlandczykami. Wyraźnie zaufał Abdulowi i musiał mieć na to zgodę kierownictwa. Jeżeli Abdul zdradził, to Safir mógł mieć kłopoty i chciał sam wyjaśnić sytuację. Sajed nie jest drobiazgowy i zlikwidowałby Safira i Abdula jednocześnie. – Stał i spojrzał pytająco na George'a. – Dobrze myślę?

– Zgadzam się w całej rozciągłości – odparł Gordon i uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

– Dlaczego Irlandczycy ani razu nie skorzystali z kanału Abdula? Nie mieli potrzeby? Nie ma kontaktów między nimi? Nie! – Konrad podniósł palec wskazujący prawej dłoni. – Kontakty są, wiemy o tym dobrze z innych źródeł, po to w końcu utworzyli skrzynkę kontaktową. To IRA się dowiedziała, że Abdul pracuje dla nas, i poinformowała o tym Safira. Dysponują zatem łącznością rezerwową. Czyli co? Irlandczycy mają u was kreta?

– Szukamy go od dłuższego czasu. Mówię to szczerze, chociaż to nasza sprawa wewnętrzna i objęta ścisłą tajemnicą. Sam rozumiesz... wiesz, jak się szuka kreta we własnych szeregach. – Gordon wyraźnie spoważniał. To, co powiedział, było na tyle niezwykle dla brytyjskiego wywiadu, że i Konradowi udzielił się jego nastrój. – Rosjanie od zarania dziejów utrzymują kontakty z IRA. Wiemy o tym doskonale... no, nie wszystko oczywiście. Szczególnie co robi pion „S”... ich nielegalowie, ale to inna sprawa. Chodź, Konrad. – Wskazał krzeselko. – Siadaj tutaj. Trochę mnie rozpraszasz tym chodzeniem. – A chciał już powiedzieć „denerwujesz”. – To ważne!

- Jak ważne, to siadam – odparł Konrad z nutką ironii.
- Mamy w Jaseniewie źródło... agenta... właściwie nawet... to ktoś więcej...
- Gratuluję! – Konrad pokiwał głową z autentycznym uznaniem. – Nietrudno było się domyślić.
- Domyślić się to jedno, a wiedzieć to drugie. Rosjanie też się przecież domyślają.
- Oczywiście – odparł z jeszcze bardziej widocznym uznaniem.
- Nazwijmy go Borys... Otóż nasz Borys już wiele lat temu informował, że Rosjanie próbują penetrować nasze służby przez IRA. Informacje od Borysa były szczątkowe, ale musiało być coś na rzeczy, skoro tak usilnie starali się wsadzić swój nos w ten biznes. Borys zaangażował się i o mało go nie przypaliliśmy. Oczywiście wiedzieliśmy, że Irlandczycy mają swoich ludzi w Scotland Yardzie, a nawet w Security Service, ale u nas... nie. Do niedawna! Dlatego sprawa Safira i Abdula stawia nasze podejrzenia w nowym świetle.
- Z zewnątrz to się wydaje takie oczywiste – wtrącił Konrad. – Nie jest tajemnicą, że Irlandczycy zawrą pakt z diabłem przeciwko Anglikom.
- I tak, i nie... to nie takie proste...
- Wystarczy poczytać uważnie Mitrochina, żeby zobaczyć, jak Rosjanie wykorzystywali IRA do swoich interesów...
- Już dobrze, Konrad. Daj sobie spokój z Mitrochinem – przerwał mu Gordon. – Wiem coś o tym i o nim. Posłuchaj dalej, bo będzie jeszcze ciekawiej. Niestety. Kiedyś w IRA za wywiad odpowiadał... kto? No... Conor Gallagher, twój warszawski bohater.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Dobrze... dalej... Prawą ręką Conniego Colta był Jack O'Brien. Człowiek z waszego zdjęcia. Gallagher wychował go jak syna. To był wierny żołnierz IRA, ale jeszcze wierniejszy był Conorowi. Bill, jak rozumiem, wszystko wam powiedział.
- Chyba nie wszystko, bo twierdził, że nie wszystko wie...
- To prawda. To nie jest sprawa SIS, tylko służby wewnętrznej. Ustaliliśmy, że śmierć O'Briena pod Cookstown w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku była

sfiingowana przez Conora. Od tamtej pory nigdy nie był widziany w Zjednoczonym Królestwie, aż wypłynął w Warszawie, po dwudziestu pięciu latach. Jego śmierć i całe to przedsięwzięcie musiało być na coś obliczone.

– To jasne, że Connie Colt potrzebował człowieka do zadań specjalnych – stwierdził Konrad.

– Myślimy, że Jack przejął od Conora najwrażliwsze kontakty IRA i odpowiadał za ich agenturę w naszych służbach. Sam Conor był przez nas obserwowany, ale nic nie ustaliliśmy. Zresztą miał tyle kontaktów, że nie było sposobu, szczególnie w Irlandii.

– To oczywiste. A jak był obsługiwany przez rosyjskiego nielegala, to nigdy byście na niego nie wpadli.

– To możliwe, tak.

– Co teraz?

– Mamy zamknięte kółko, Safir i Abdul, Tom i Conor, Borys i kret.

– I Koreańczycy – dodał Konrad.

– Zugzwang. Czyli cokolwiek zrobię i kogokolwiek tknę, mogę zagrozić Borysowi, a on jest dla nas najcenniejszy.

– Nie rozumiem dlaczego, ale nie pytam – rzucił Konrad i wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci, że Borys jest przypalony. Jeżeli przez Safira i potem Toma trafimy na ich kreta w naszej służbie, zdekonspiruję Borysa. Nie mogę go teraz wycofać. Ekstytucja nie wchodzi w grę. Rozumiesz?! Jest duża szansa, że Borys namierzy ich rezydenta nielegalów, zwanego Kwiatuskim. – Wbrew temu śmiesznemu pseudonimowi głos Gordona zabrzmiał poważnie, nawet dramatycznie.

– Jest gorzej, George. Ja też coś przywiozłem. Coś, co może ci nie pasować do tej łamigłówki – niespodziewanie oznajmił Konrad bez śladu entuzjazmu. – Jest gorzej, niż ci się wydaje. Bill Stenton już wie, raptem od wczoraj... o wszystkim go poinformowaliśmy, ale z oczywistych powodów nie mógł jeszcze ci tego przekazać. Usiądź wygodnie... – Sięgnął po swoją teczkę.

George Gordon spojrział na Konrada z prawdziwie angielskim

zdziwieniem, pełnym ironii i wrodzonej wyższości, by po chwili zmarszczyć czoło i przymknąć lekko jedno oko, nad którym nerwowo drgała kępa rozczochranych brwi. Wszystko było doskonale zgrane i wyćwiczone. Od razu dało się poznać wytrawnego oficera wywiadu Jej Królewskiej Mości, ale Konrad potrafił dostrzec drgającą brew. Nad tym jednym Gordon nigdy nie potrafił zapanować.

Jasne było, że sytuacja, którą przedstawił, spędza mu sen z powiek, lecz to uchodziło za stan w miarę normalny w tym zawodzie. Oprócz tego jednak musiał mieć dramatyczny problem do rozwiązania i nie potrafił sobie z tym poradzić. Dlatego stwierdzenie Konrada, że jest gorzej, niż mu się wydaje, nie mogło być tym, co chciałby usłyszeć.

Gordon niezauważalnie nabrał powietrza i wstrzymał oddech.

Przez następne trzydzieści minut obaj zjedli wszystkie kanapki, a w tym czasie Konrad w szczegółach opowiedział o spotkaniu Conora Gallaghery i Jacka O'Briena z Koreańczykami na dwudziestym trzecim piętrze hotelu Marriott w Warszawie. Gordon nie zadał przez ten czas ani jednego pytania. Zadawał je Konrad i sam na nie odpowiadał. Ale kiedy George oglądał na iPadzie zdjęcia z hotelu, jego policzki zapłonęły czerwienią angielskiej gwardii.

Konrad skończył i zamilkł.

Gordon podszedł do telefonu, wybrał z pamięci numer i po chwili oczekiwania rzucił krótko:

– Jesteś jeszcze? Przyjdź do 5AB.

W ciągu dwóch minut zjawił się szczupły, niski młody człowiek w niemodnym garniturze i okularach przynajmniej plus sześć. Konrad dotąd nie widział takiego oficera brytyjskiego wywiadu.

– Zobacz to. – George bezzwłocznie podał mu iPada.

Młody człowiek nawet nie usiadł. Konrad i George wpatrywali się weń jak oskarżony w sędziego, z nadzieją na łagodny wymiar kary.

– Ten starszy to Lee Young-chul, pierwszy zastępca szefa wywiadu północnokoreańskiego NCIS – wyrzucił z siebie obojętnie młody człowiek. – Odpowiedzialny za operacje specjalne. Ostry zawodnik. Zdjęcia stosunkowo nowe. Dwaj

pozostali to z całą pewnością jego ochroniarze.

– Na jutro rano przygotuj mi notatkę na temat tego Lee – zarządził Gordon.

Młody człowiek skinął głową i wyszedł.

W pokoju zaległa kompletna cisza. Konrad i Gordon odpłynęli w zakamarki swoich myśli, robiąc szybką analizę tego, czego się przed chwilą dowiedzieli od młodzieńca w grubych okularach.

W przeszłości IRA kontaktowała się ze wszystkimi na świecie, którzy mieli na pieńku ze Zjednoczonym Królestwem. Ale dzisiaj? Legendarny Gallagher i zmartwychwstały O'Brien w konszachtach z wywiadem KRLD, z Lee Young-chulem, ostrym zawodnikiem, w 2011 roku w Polsce, unijnym i natowskim kraju – to wszystko razem brzmiało tak baśniowo, że mogło być tłumaczone w jeden tylko sposób: szykuje się coś niezwykłego! Gordonowi wydawało się, jakby słyszał słowa niezastąpionego HAL-a 9000, że wkrótce ma się coś stać. Coś wielkiego. W tych okolicznościach filozofia zugzwang nie miała już zastosowania. Trzeba było podjąć działania, i to natychmiast.

Natomiast Konrad zastanawiał się, jak to możliwe, żeby te spotkania odbywały się w Polsce. Czy to zwykła arogancja Irlandczyków i Koreańczyków, czy też ewidentna pogarda dla polskich służb? Właściwie jedno i drugie łączyło się ze sobą nierozzerwalnie i nie trzeba było być wybitnym specjalistą, żeby zobaczyć, co politycy robią w tym kraju ze swoimi służbami – uważał z pewną przesadą Konrad. Przypomnił sobie ostatnią rozmowę z Szefem w koszuli w groszki i zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Co robimy? – zaczął pierwszy.

– Musimy przekazać tę informację Simmonsowi – odparł Gordon. – Musi ją przeanalizować pion Dalekiego Wschodu i Wydział Terroryzmu Irlandzkiego. Trudno teraz ocenić, co może mieć z tym wspólnego Russia House, ale...

– Też mi się wydaje, że Rosja Władimira Władimirowicza siedzi gdzieś w tym interesie. Inaczej to wszystko byłoby za proste, nie?

– Hm... – Gordon pokiwał głową i po chwili dodał: – Wcale

bym się nie zdziwił. Gdybyśmy chcieli złożyć rebus z haseł Rosja, Polska, terroryzm, IRA, to mam jeszcze jeden element do tej układanki...

– Zaraz, George! – przerwał mu Konrad. – Co robimy z tymi Irlandczykami w Warszawie... i z Koreańczykami?

– Jeżeli miejsce spotkania zostało wybrane przypadkowo lub było jednostkowe, to niewiele da się z tym zrobić. Uzyskaliśmy niezwykle ciekawe informacje i zajmiemy się tym w trybie specjalnym. Mamy numer telefonu Gallaghera. To już coś, jest od czego zacząć. Trzeba porozmawiać ze Szwedami. – Gordon sprawiał wrażenie niezdecydowanego. – Wydaje mi się, Konrad, że nie obejdziesz się bez poinformowania Amerykanów. Oni prędzej czy później namierzą generała Lee albo Gallaghera i będą mieć pretensję, że ich nie poinformowaliśmy.

– Tak. Tego nie da się długo utrzymać w tajemnicy... Zbyt wielu aktorów na scenie.

– Zdarzenie miało miejsce w Polsce, więc zostawiamy wam poinformowanie partnerów – stwierdził z przekonaniem Gordon. – Ale nie zwlekajcie! Jak Amerykanie będą mieć potem pretensję, że weszliśmy im z butami w jakąś operację...

– Zbyttno jednak bym się nie spieszył – zareagował Konrad. – Wiesz, jak z nimi jest. To oni najczęściej włączają w buciorach i sprawiają problemy. Wy to starsi bracia, ale my?! Przywałał wielką pałą i będziemy mieć problem. Na razie wiemy tylko, że w Warszawie odbyło się spotkanie. Nawet nie potrafimy powiedzieć, czy kiedykolwiek się powtórzy. To jedno. A drugie: jeżeli CIA zajmuje się tą operacją, to chyba oni powinni nas o tym poinformować... i was też! Są przecież naszymi przyjaciółmi. W końcu siedzi w tym IRA. Nie sądzisz?

Gordon wyprostował się na krześle, oburącz zaczesał długą grzywkę do tyłu i skrzyżował na piersi ręce. Wywód Konrada nie tylko nie był pozbawiony sensu, lecz był także głęboko uzasadniony, i chociaż nie padło to wprost, obaj wiedzieli, że CIA nieraz miała inne zdanie na temat IRA i sposobu rozwiązywania konfliktu w Ulsterze.

Los feniankiej z krwi i kości Brygady Irlandzkiej podczas wojny secesyjnej 1862 roku do dziś jest żywą historią Stanów

Zjednoczonych, jej duchem, fundamentem. Każdy Irlandczyk, Amerykanin, każde dziecko zna heroiczną historię brygady Thomasa Francisa O’Meaghery. Za to Londyn przez dziesiątki lat miał tam opinię zupełnie przeciwną. Są żartownisie, którzy i dzisiaj nie są pewni, kto kim rządzi – CIA przywódcami IRA czy odwrotnie.

I choć świat nie jest już taki jak kiedyś, to jednak George Gordon znał dobrze historię swoich przodków, którzy pilnowali, by Irlandia za wszelką cenę była zawsze wierna koronie. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, ale w bieżącej pracy wciąż musiał uwzględniać historyczne zaszczości.

Każdy wywiad działa w interesie swojego kraju i żadna przyjaźń, sympatie czy sojusze nie są w stanie tego zmienić. To w końcu Churchill powiedział, że Wielka Brytania nie ma przyjaciół, tylko interesy. Teraz każdy tak mówi, Polacy też – pomyślał Konrad.

– Jesteście gospodarzem sprawy – dyplomatycznie wybrnął Gordon. – Myślę, że dopóki nie wypłyną nowe fakty, wstrzymamy się z informowaniem jankesów. Zostawiamy to wam. Okay?

– Okay. Zabezpieczymy granice i przygotowujemy się na kolejną wizytę generała Lee w Polsce... zgodnie z zasadą dubletu operacyjnego. – Mówiąc to, Konrad się uśmiechnął. – O ile sprzątaczką nie wystraszyła ich skutecznie.

– Współpracę ze Szwedami weźcie też na siebie. Przekażcie im, że robimy to razem. Niech będzie jeden kierownik sprawy. Tylko informujcie nas na bieżąco. – Z Gordona wyszedł na chwilę prawdziwy kontroler i Konrad chciał mu coś odburknąć w tym samym stylu, ale machnął ręką, przeczuwając koniec spotkania.

– Zanim pojedziemy do mnie... – oznajmił Gordon z wyraźnym już zmęczeniem w głosie – jest jeszcze jedna sprawa do omówienia, o której ci wspominałem. Kolejny element naszej układanki. Ale możemy zostawić to do jutra?

– Nie mówiłem ci? Samolot mam o jedenastej przed południem – odparł Konrad i spojrzał odruchowo na

zegarek. – Załatwmy to teraz – dodał bez emocji i oparł się wygodnie na krześle.

– To nie zajmie dużo czasu. Zresztą nasz łącznik w Warszawie ma już odpowiedni dokument, ale z oczywistych powodów nie zawiera on wszystkiego – zaczął George. – O Borysie już słyszałeś, więc wiesz, jak wrażliwe jest nasze źródło. Musicie nadzwyczaj ostrożnie obchodzić się z tymi informacjami. Nawet nie w pewnym sensie... dosłownie oddaję jego los w twoje ręce...

– George, rozumiem, że to jest twoja polisa... więc masz moje gwarancje.

– Nie obrażaj się...

– Nie obrażam – odparł Konrad. – To zawsze brzmi śmiesznie, szczególnie między nami... nie?

– Dobrze. Zostawmy to. W tym wypadku chodzi o zagrożenie atakiem terrorystycznym w Polsce albo gdzieś w Europie – zaczął Gordon, wyraźnie dobierając słowa. – Jest na Kaukazie dziwny Czechen, współpracownik Al-Kaidy, nazywa się Muhamedow. Podejrzana postać... ma jakieś kontakty z rosyjskimi służbami, z GRU i Kadyrowem... przeczytasz sobie dokładnie w notatce, którą wam wysłaliśmy.

– To teraz standard – skomentował Konrad.

– Muhamedow jakiś czas temu przetrzasnął do Polski przeszkolony oddział terrorystyczny...

– Nooo...

– Więcej! To jest osierocone czecheńskie rodzeństwo... dziewczyna, ona jest najstarsza, i trzech braci, w tym dwaj bliźniacy jednojajowi. Wszyscy bardzo młodzi. Ich rodzinę wybili Rosjanie.

– Ciekawe. Robi się gorąco – ocenił Konrad.

– Nazywają się Bogajewowie, imiona znajdziesz w naszym dokumencie. Najprawdopodobniej są teraz w Polsce na lewych papierach...

– Dlaczego uważasz, że mają dokonać u nas zamachu? Wiesz przecież, że nasz nowy szef uważa taką groźbę za minimalną, szczególnie ze strony, powiedzmy, przyjaciół Czechenów – stwierdził Konrad z ironią.

– Wiem, wiem – odparł George bez cienia emocji, ale obaj dobrze wiedzieli, jaki jest szef AW. – Jednak tym razem to coś innego. Wygląda poważnie. Są od Muhamedowa, a to poważna sprawa, przeszkoleni i zdeterminowani... no i jakieś ślady GRU...

– Może coś planują w Londynie albo Berlinie... Tak by odpowiedział mój szef – ironizował Konrad nie bez podstaw.

– Zejdź na ziemię. – Gordon ewidentnie nie chwycił tej ironii. – Raczej jednak w Polsce. – Zawiesił głos i uśmiechnął się ni to złośliwie, ni to tajemniczo, ale na pewno po angielsku. – Sprawę tych Bogajewów prowadzi twój przyjaciel z SWZ, sam Michał Popowski, a więc Wydział Polski.

– Rzeczywiście! – Konrad zmienił ton. – To dowodzi powagi sytuacji.

– Popowski wysłał do Polski swoich ludzi, żeby odnaleźli tych Bogajewów.

– W jakim celu?

– Nie mamy pojęcia. Może być przynajmniej kilkanaście wariantów, każdy równie prawdopodobny. Wszystko wie tylko Popowski. Zwróć uwagę na coś innego. Wygląda na to, że GRU i SWZ grają przeciwko sobie, a może nawet nie wiedzą jedni, co robią drudzy, ale to mało...

– Już nieraz tak bywało.

– Konrad! – Gordon uniósł lekko głos. – Możesz liczyć na naszą pomoc, ale pamiętaj, że to wasz teren. Myślę, że sprawa jest bardzo pilna. Trzeba ustalić, gdzie są teraz ci Bogajewowie, zdobyć ich zdjęcia albo przynajmniej rysopisy.

– Ten Borys może jeszcze pomóc? Można mu podrzucić jakieś pytania – wtrącił Konrad, czując, że wobec zbyt fragmentarycznej informacji Gordona może mieć kłopoty, podobnie zresztą jak ABW, z ustaleniem, o co chodzi z tymi Czeczenami. Był nawet trochę zły, bo ta informacja mieszała mu teraz szyki, a terrorystów nie można zostawiać na później. Chciał się zająć tylko sprawą „Ural”, która gwałtownie pączkowała.

– Zapomnij o tym. Nie ma najmniejszych szans! – odparł jednoznacznie George. – Jeszcze jeden ruch i będzie po

Borysie... i po mnie.

– Popowski chce się ze mną pilnie spotkać – oznajmił Konrad.

– W jakiej sprawie?

– Nie mam pojęcia, ale prosi o prywatne spotkanie...

Rozumiesz?

– Prywatne, oczywiście. Masz rację, robi się ciekawie!

– Zapytam go o generała Lee – rzucił z odrobiną cynizmu

Konrad.

– Lepiej zapytaj o tych Bogajewów – dodał Gordon z czytelną ironią. – To wie na pewno!

Tego samego ranka, kiedy audi Q7 wyjeżdżało z Wilna i trasą A4 kierowało się do Druskiennik, w Londynie była szósta trzydzieści i Konrad kończył właśnie śniadanie w hotelu Mint Westminster.

Dwa jogurty, przypiekane na grillu kielbaski, bekon, smażone pomidory i jajecznica z dodatkiem mąki kukurydzianej. Ciężkie angielskie śniadanie, ale strawne dzięki miłej polsko-litewskiej obsłudze płci żeńskiej przed trzydziestką.

Konrad w podróży służbowej zawsze starał się jeść obfite śniadania, zupełnie inaczej niż w domu. Ten nawyk spowodowany był przeświadczeniem, że śniadanie może być ostatnim posiłkiem dnia, a przynajmniej jedynym zjedzonym w spokoju.

Przy okazji porannego hotelowego rytuału obserwował gości przy stolikach i nigdy nie mógł wyjść ze zdumienia, że biznesmeni czy turyści na hotelowym śniadaniu, gdziekolwiek byli, w Londynie, Rio czy Kapsztadzie, robili dokładnie to samo. Niektórzy potrafili nawet zabrać ze sobą do plecaka czy teczki słabo wysmażony omlet z warzywami. A przecież nie wszyscy byli oficerami wywiadu – zastanawiał się czasem, robiąc sobie jak zwykle kanapkę na później.

Tego dnia jednak śniadanie miało dodatkowy walor. Do hotelu wrócił grubo po pierwszej w nocy. Na Vauxhall Cross siedzieli z George'em do siódmej wieczorem tylko o pszennych kanapkach, wodzie i herbacie. Resztę wieczoru spędzili w ogromnej kuchni domu Gordona na Mayfair. Laura, jego żona, próbowała przyrządzić coś do jedzenia, ale piątka dzieci nieustannie atakowała Konrada, ciągnąc go za ręce każde do swojego pokoju. Dlatego pomysł Laury, by coś ugotować, nie miał szansy powodzenia, bo jako gospodyni musiała bronić gościa przed zmasowanym atakiem małych Anglo-Szkotów. Musieli się zadowolić butelką Isle of Jura Single Malt i kartonikami z pobliskiej chińskiej restauracji.

Ten wieczór, z jakże oczywistych dla nich obu powodów, miał specyficzny, niepowtarzalny klimat i gdyby nie to, że był środek

tygodnia i Konrad rano leciał do Warszawy, potrwałby pewnie znacznie dłużej. A być może nawet zakończył się gdzieś w klubach Londynu.

W chwili gdy Konrad oczekiwał na pojawienie się napisu *Warsaw – gate open* przy rękawie numer 35 na lotnisku Heathrow, lotem BA 0777 ze Sztokholmu przyleciał obywatel polski Marek Waluś.

Zamierzał odwiedzić szpital przy Galsworthy Road w Kingston upon Thames i pewien dom przy East Road.

Jaki był cel jego podróży do Londynu – wiedzieli tylko generał Lebież i generał Samojłow, szef pionu „S” SWZ.

Podpułkownik Popowski został wytypowany do tej akcji nie przez przypadek. Nie dlatego, że był wyjątkowo uzdolnionym oficerem, ani nie dlatego, że był synem generała rosyjskiego wywiadu. Został wybrany, ponieważ nigdy nie miał nic wspólnego z pionem „S”, co gwarantowało większą obiektywność i świeżość spojrzenia na problem, który trzeba było rozwiązać.

Wchodził w skład siedmioosobowej ściśle tajnej grupy operującej pod kryptonimem „Pająk”. Grupa była tak tajna, że nawet utajniono ten kryptonim.

Mimo że Michaił na bieżąco kierował pracą Wydziału Polskiego, nikt z jego zastępców, podwładnych ani przełożonych nigdy się nie zorientował, że ma on też zupełnie inne zadania.

Powołanie tajnej grupy w tajnej organizacji, jaką jest wywiad, nie było proste. Bo choć wszystkich oficerów obowiązuje zasada, by nie interesować się niczym innym niż to, czym powinni się interesować, to jednak w tak wrażliwej strukturze każda, nawet nieznacząca anomalia jest natychmiast wychwytywana. Dlatego ukrycie operacji „Pająk” musiało być absolutnym majstersztykiem konspiracji i Popowski za to odpowiadał.

Grupa pracowała już od kilku lat. Od dwóch miesięcy jej spotkania odbywały się w specjalnie dobranym mieszkaniu konspiracyjnym w centrum Moskwy, na trzecim piętrze bloku w zaułku przy ulicy Twerskiej. Lokal było zmieniany co pół

roku i zajmował się tym numer piąty. Michaił miał co prawda numer trzeci, ale pierwsze dwa należały do obu generałów, więc praktycznie to on dowodził.

„Pająk” miał złowić „Muchę”. Wyjątkowo natrętną i przebiegłą, która od lat kalala własne gniazdo, roznosiła choroby i już samym swym istnieniem zatrzymywała atmosferę i szargała dobre imię służby. Takie „muchy” zdarzają się czasami w służbach specjalnych i świadomość, że się lęgną i żyją, jest czymś oczywistym. Prawdziwy problem zaczyna się wtedy, kiedy już je słyhać, choć jeszcze ich nie widać. Najdokuczliwsza odmiana to *Musca domestica* zwana również kretem. Obcy agent, oficer nielegał wewnątrz organizacji, przypadek najgorszy z najgorszych.

Pierwsze szczątkowe informacje o istnieniu kreta wewnątrz rosyjskiego wywiadu uzyskał kilka lat temu utytułowany nielegał znany jako „Kwiatuszek”, chociaż w oficjalnych rejestrach figurował pod zupełnie innym pseudonimem. Kupił te informacje od swojego agenta „Yorka” z IRA, który nawet nie przypuszczał, że mają one jakąkolwiek wartość. „Kwiatuszek” zresztą też tego nie wiedział. I nic dziwnego. Namierzenie kreta we własnych szeregach czasem jest proste, zwłaszcza gdy ma się swojego nielegała u przeciwnika. Jeśli jednak nie można prowadzić walki na krety, praca jest trudniejsza, wymaga ogromnego poświęcenia, przebiegłości i bywa bardzo ryzykowna.

O tym, że „Mucha” naprawdę istnieje, rosyjski wywiad przekonał się po kilku latach ciężkiej harówki, kilkunastu kombinacjach operacyjnych, wydaniu paru milionów dolarów i poświęceniu dwóch ludzi.

Michaił, zgodnie z poleceniem generała Lebedzia, już wcześniej zamierzał się spotkać z Konradem Wolskim. Jednak wydarzenia ostatnich dni w Londynie spowodowały, że musiał z tych planów czasowo zrezygnować, symulować chorobę, wziąć zwolnienie i jako Polak lecieć przez Sztokholm do Anglii. Wciąż też musiał nadzorować Batyszkina i Jagana, którzy właśnie opuścili Wilno.

Kiedy przed wylotem z Moskwy, jeszcze na lotnisku

Szeremietiewo, oglądał w telewizji akcję policji litewskiej na Wzgórzu Giedymina, miał dziwne uczucie, że to nie może być przypadek, bo zdarzyło się to akurat, kiedy przebywał tam oddział specjalny SWZ.

Ważniejsze jednak niż ten happening było to, co miał do zrobienia. Miał trzy dni na realizację zadania. Potem do akcji wchodził zespół specjalny pionu „S”.

Tego dnia pogoda była przepiękna i z okien samolotu Londyn jawił się jako wspaniały, pulsujący, żywy organizm, pocięty niezliczonymi uliczkami jak naczyniami krwionośnymi i Tamizą wijącą się niczym życiodajna tętnica.

– Ukochane miasto szpiegów – powiedział do siebie Michał Popowski, gdy samolot miękko schodził do lądowania.

Dokładnie w tym samym momencie tak samo pomyślał Konrad Wolski, kiedy wyjrzał przez okno wznoszącego się miarowo airbusa 320 British Airways, którym odlatywał do Warszawy.

Michał wyszedł przed terminal lotniska Heathrow i zaczerpnął głęboko powietrza. Lubił zapach lotniczych spalin. Zarzucił plecak na ramię, włożył czapkę, ciemne okulary i skierował się na postój taksówek.

Najpierw musiał ustalić, czy jest czysty. Zanim zameldował się w wytypowanym wcześniej hotelu, musiał się sprawdzić. Akurat Londyn nadawał się do tego jak żadne inne miasto na świecie. Jeżeli jeszcze pogoda dopisała, było to zajęcie nie tylko przyjemne, lecz także ciekawe. Nie jeden Michał tak uważał. Tę opinię zgodnie podzielali szpiegzy, przestępcy, terroryści i psychopaci z całego świata.

Samolot z Londynu przyleciał z niewielkim opóźnieniem. Marcin czekał na Konrada tam gdzie zawsze.

– Coś ty ze sobą zrobił?! – wyrzucił z siebie Konrad na widok wygolonej do skóry głowy Marcina. – Kibol? Narodowiec? Łupież złoisty? – Klepnął go otwartą dłonią po łysej czaszce. – Dobrze, że chociaż włożyłeś garnitur i koszulę. Boże drogi... co ja z tobą mam!

– Och... szef to ostatnio ze wszystkiego robi problem. Moja mama bierze hydroksyzynę dziesięć miligramów i bardzo sobie

chwali... Szpieg to już nie może o siebie zadbać... no... tak inaczej?! – Marcin chciał wziąć od Konrada torbę.

– Zostaw – odburknął Konrad. – Dam sobie radę.

– Kurczę, mam taki kask do motoru. Super cool orzeszek, czarny metalik, ale coś ma w środku i ciągle wyrywam sobie włosy... no to dlatego – wytłumaczył Marcin, wsiadając do służbowego touarega, założył ciemne okulary i spojrzał na Konrada. – Co, źle, szefie? Pełny respekt! Nie?

– Uff... – westchnął Konrad. – Jedź na Miłobędzką...

– Otóż nie, szefie! Nie, nie...

– Co ty pitolisz?

– Pani naczelnik Sara, znana nam obu, powiedziała, że numer jeden, szef wszystkich szefów, wyjechał w podróż służbową do Zanzibaru i wróci za tydzień. Zastępcy do spraw o-pe wciąż nie ma, ale podobno...

– Marcin! Do rzeczy!

– Podobno pierwszym zastępcą ma wkrótce zostać Orzeł Bielik – wyrzucił z siebie w końcu Marcin.

– Żarty sobie stroisz?! Marcin! – Konrad myślał, że się przesłyszał.

– Ja nic więcej nie wiem, ale mówiłem pani naczelnik, żeby szefa oszczędzać i nie mówić mu o tym za wcześnie...

– Jedź do firmy! – niemal wykrzyknął Konrad.

– Której?

– Naszej.

– Ale której?

– Jak cię...

– Czyli do nas. Oczywiście, szefie! Od razu wiedziałem. – Marcin docisnął mocniej gaz, bo wiedział, że Konrad na tę wiadomość odpląnął gdzieś daleko i nawet nie zauważy, z jaką jadą prędkością.

Minęli skrzyżowanie z Raclawicką, gdzie po prawej, w oddali, widać było zielony gmach Agencji Wywiadu. Ale Konrad nawet nie spojrzał w tamtą stronę.

Dojechali do centrum w kilka minut. Winda w garażu była szeroko otwarta, jakby na niego czekała i zapraszała do jak najszybszej podróży na dwudzieste piętro.

Po chwili Konrad był już w swoim pokoju.

– Ani słowa! – rzucił, nawet na nią nie patrząc. – Nie chcę o tym rozmawiać. To mnie nie interesuje, dopóki nie okaże się, że to prawda. Ani słowa! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem i zrobił ręką gest podkreślający zdecydowanie.

– Dobrze. Coś taki nerwowo? Wyluzuj! – Sara stała w drzwiach i nerwowo strzelała zapalniczką. Ale nie paliła.

– Od kiedy? – zapytał, otwierając szafę.

– Nie wiadomo.

– Skąd wiesz? To pewne?

– Podobno.

– Dlaczego on? Kurwa!

– Co ty, ślepy jesteś? Przecież oni byli razem w szkole w...

– Rzeczywiście! – Konrad stanął jak wmurowany. – Zupełnie zapomniałem! – Uderzył pięścią w metalową szafę, aż zadudniło.

– To już trzeci zaufany szkolny kolega, który idzie szybką ścieżką awansu. To był, jak wiadomo, wyjątkowo udany rocznik, sami geniusze – dodała Sara i usiadła na fotelu. – Żeby dopełnić obrazu, Kopa idzie na zastępcę Małej Głównki w WBW.

– Dlatego wyjechał w delegację – stwierdził nieco spokojniej Konrad. – Wiedział, że mógłbym go zabić.

– Co teraz?

– Robimy swoje! – odparł. – Póki plotki się nie zmaterializują, pozostają tylko plotkami – dodał z wyraźnym rozgoryczeniem w głosie. – Kiedy wraca ten kolekcjoner spinek do mankietów?

– Za tydzień. Zastępuje go jego pupil, kolega szkolny Wacusz.

– Przecież nie pójdziemy do specja od prześcieradeł i opon zimowych, żeby decydował o...

Sara w końcu zapaliła papierosa i wyprostowała się w fotelu. Wyglądała zbyt zmysłowo jak na szpiega, może nawet tandetnie. Dopasowana niebieska bluzka podkreślała jej kształty.

Konrad usiadł w swoim fotelu za biurkiem i położył nogi na blacie. Przez szybę zobaczył wygoloną głowę wchodzącego Marcina i ten widok rozdrażnił go jeszcze bardziej.

– Ja pierdolę! Zbieracz spinek i miłośnik różowych krawatów

będą rządzić wywiadem...

– Słyszałeś, że Szeff fotografuje wszystkie spinki, jakie dostaje w prezencie, i ma w swoim laptopie tajny folder? – rzuciła Sara.

– Zalewasz!

– Nie. To pewne.

– Dobrze, że tylko takie zdjęcia zbiera – odparł Konrad i nagle oboje wybuchnęli śmiechem. – Inaczej musielibyśmy poinformować prokuraturę.

– Co będzie, to będzie – powiedziała Sara, zamykając temat. – Co przywiozłeś?

– Pozdrowienia od Diany.

– Dzięki. Coś jeszcze?

– I od George'a – dodał Konrad, ale spojrzenie Sary wskazywało, że jej limit poczucia humoru się wyczerpał.

– Safir żyje i ma się dobrze – oznajmił po chwili najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się teraz zdobyć. – Załatwiał bieżące sprawy i leć do Wiednia. Trzeba na miejscu ustalić...

Przerwał w pół zdania, bo zauważył, że Sara zamarła i jakby zbladła, a papieros w jej dłoni zgasł. Już chciał zapytać, co jej się stało, ale przypomniał sobie rozmowę przed Bolkiem i zrozumiał, że postąpiłby idiotycznie.

– Zbierz zespół... Marcina, Lutka i M-Irka – dodał po chwili, bo uznał, że przez jakiś czas lepiej będzie z nią nie rozmawiać i dać jej działać. Dopóki nie dojdzie do siebie.

Jak duże dziecko – pomyślała Sara, gdy tylko wyszła z pokoju Konrada. Ale czasami jest uroczy w tej swojej nieporadności. No... teraz trochę się nie dziwię, że Justyna go zostawiła...

Usiadła w swoim wielkim czarnym fotelu.

– Ale ja bym go nie zostawiła – powiedziała do siebie, nim nacisnęła przycisk interkomu. – Marcin, Lutek, M-Irek – rzuciła do słuchawki – za pięć minut u Konrada.

Do pokoju weszła Ewa.

– Poczta z Miłobędzkiej. – Położyła na biurku jasnożółtą kopertę. – Pilne! – podkreśliła, ale Sara jakby jej nie dosłyszała. – Mówię, że pilne! Co ci jest? – Pochyliła się, by lepiej jej się przyjrzeć. – Znowu?

– Co znowu? – ocknęła się Sara.

– Coś ty jesteś ostatnio jakaś dziwna. Zakochałaś się czy co? Masz w końcu kogoś? – dopytywała się Ewa.

– A jak twój Lutek? Wszystko w porządku? – próbowała się odgryźć Sara. – Nic tam... nie tego... wiesz...

– Co... nie tego? – Ewa wzruszyła ramionami. – Też mi... pleciesz coś... – Wycofała się z pokoju, bo z Sarą w takim starciu nie miała szans.

To jednak ten łotr żyje! Kurczę, żyje!

Sara obróciła się w stronę okna, położyła nogi na parapecie i uśmiechnęła się.

Mogłam się tego spodziewać! Takiego zbrojnego jest pokonać. Ma chłop charakter! Nie ma co! Terrorysta z klasą... szkoda, że terrorysta... i te oczy, kurczę! Te oczy są najgorsze, cholera!

Pokręciła głową jakby z niedowierzaniem i spojrzała w kierunku otwartej szafy pancерnej.

Jak pomyślę, że musiałabym zdać tę sprawę do archiwum, to robi mi się słabo. Dwa tygodnie samej archiwizacji... jak nic! Spisać każdy kwitek. Sprawa kryptonim „Zaraza”, dziewięć tomów... Dobrze, że nie zginął! Już ja cię dopadnę, Oleczku, Karolku, Safirku jeden... Już ja cię znajdę!

Poczuła się, jakby wstąpił w nią nowy duch. Nabrała sił i woli walki. Wszystko wokół zrobiło się takie proste i oczywiste, nawet sympatyczne.

Ten typ jest bardzo niebezpieczny, kurczę...

– Co z tobą?! – uderzył ją podniesiony głos stojącego w drzwiach Konrada. – Śpisz? Czekamy!

Sara, zdezorientowana, zerwała się na równe nogi.

– Idę, idę, już idę... tak, tak... – Zaczęła czegoś szukać na biurku. – Mam... tak, już idę. – Wzięła notatnik i pisak, podczas gdy Konrad obserwował ją z narastającym zdziwieniem.

Pierwszy raz widzę, by wzięła notatnik do ręki. No, jak amen w pacierzu! Dobrze przeczuwałam. Coś się musiało stać w tym Lwowie! Co ty kręcisz, Saro?

Przez moment poczuł się zazdrosny.

– No, idziemy! Szybciutko! Nie ma czasu. Idziemy! – Sara popchnęła lekko Konrada, który wciąż stał w drzwiach.

Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Uznał, że musi z nią poważnie porozmawiać. Jak wróci z Wiednia oczywiście i na neutralnym gruncie, najlepiej gdzieś w mieście. W Oparach Absurdu na przykład – pomyślał mimowolnie o lokalu na Pradze.

Zabrakło krzesła dla Lutka, który ubrany w swój gruby marynarski golf stanął jak zwykle pod oknem. Założył ręce na piersi i dyskretnie obserwował, co się dzieje na ulicy.

Sara, z notatnikiem na kolanach, usiadła w fotelu przy drzwiach. To było jej miejsce. Marcin obok, na drugim fotelu, i widać było po jego minie, że czuje się jak równy swoim szefom albo lepiej. M-Irek usiedli na dostawianych krzeselkach. Konrad pozostał za biurkiem.

– Szanowni państwo – zaczął z lekką ironią. – Narobiło się trochę! Nasz szef wyjechał służbowo i Agencją Wywiadu dowodzi obecnie znany wszystkim dyrektor logistyka Wacus Kłoczek Lego.

Wszyscy tak go nazywali, bo pasował na każde stanowisko.

– Dobrze... – Konrad zastanowił się przez chwilę. – Od czego to ja miałem zacząć? Tak... dobrze...

– Właśnie szef przyleciał z Londynu... pamięta szef? Sam szefa odebrałem z lotniska – usłyszał przytłumiony głos. – Jakąs godzinkę temu.

– Pamiętam. Nie bądź taki mądrała... No... jak on wygląda! Widzicie? – wydusił z siebie Konrad i wskazał ręką na Marcina, jakby chciał się odgryźć. I dokładnie tak to zostało przez wszystkich odebrane. – Proszę państwa, sprawa „Ural” – spojrzał na Sarę, która uśmiechnęła się ironicznie. – Nasza sprawa o kryptonimie „Ural” – powtórzył głośniejszym głosem – nabiera zupełnie nowego znaczenia...

– Kurczę, Konrad! – odezwała się Sara. – Oszczędź!

– Mamy trzech aktorów spektaklu w hotelu Marriott – zaczął już normalnym tonem. Wstał i z kieszeni spodni wyjął mały kołonotatnik mieszczący się w dłoni. – Conor Gallagher, legendarny bojownik IRA, Jack O'Brien, jego zaufany

współpracownik, i... uwaga... proszę państwa... hokus-pokus. – Konrad przygryzł dolną wargę. – Ten Azjata to – zajrzał do notatnika – Lee Young-chul, pierwszy zastępca szefa wywiadu północnokoreańskiego. Odpowiedzialny za operacje specjalne. Ostry zawodnik. – Zamknął notatnik.

– Łau! – zareagował z angielska Marcin.

– Dla nas to żadna nowina – rzucił obojętnie Irek.

– Mówiliśmy przecież, że to *bad guys from North Carolina* – dodał Mirek.

Mina Sary wskazywała najwyraźniej, że do poprzedniego zaskoczenia, dotyczącego Safira, doszło teraz nowe, nie mniejsze.

W pokoju zaległa cisza. Lutek stał niemal nieruchomo pod oknem i obserwował coś na zewnątrz. M-Irek siedzieli z identycznie obojętnym wyrazem twarzy. Tylko Marcin niemo wpatrywał się w Konrada. Ciszę przerwało kilka szybkich i głośnych uderzeń wieczka zapalniczki Sary, aż wszyscy spojrzeli mimowolnie w jej kierunku. Oprócz Lutka, oczywiście.

– Czyli mamy konszachty terrorystów z IRA z wywiadem północnokoreańskim w Warszawie – zaczęła. – Co to znaczy? Co z tego dla nas wynika? Teren nasz, ale temat trochę egzotyczny, nie uważasz? Poradzimy sobie sami? Co chcesz dalej robić, Konrad?

– Pewnie, że sobie poradzimy – wtrącił Marcin. – Nie takie rzeczy...

– Od strony politycznej – zaczął Konrad, uciszając Marcina – sprawa jest dosyć skomplikowana. IRA i Korea to wyjątkowo wybuchowy miks. Ale zostawmy to teraz. Od strony operacyjnej jest nie mniej skomplikowana... o ile nie bardziej... i musimy się zastanowić, jak z nią postępować. Aha! – przerwał na moment i zwrócił się do Marcina: – Odwołałeś naszą wizytę w Sztokholmie?

– Oczywiście, szefie! – odparł niemal obrażony. – Czy ja kiedyś nie wykonałem rozkazu?

– Dobrze.

– Terrorystami to ja bym się chętnie zajął – dorzucił

natychmiast.

– Informacja Brytyjczyków, że na scenie mamy wywiad Kima, zmienia rangę tego zdarzenia i zmusza nas do podjęcia wszelkich możliwych działań, by ustalić, po co oni tu przyjechali. Kontakty IRA z KRL-D nie są dla kolegów niczym nowym. Tak twierdzi Gordon i na pierwszy rzut oka widać, że nie ma co z tym faktem polemizować. Spróbujemy podsumować, co mamy – zaproponował Konrad i zamilkł.

– Tajne spotkanie w hotelu działaczy IRA i Koreańczyków, które przypadkowo przerwała sprzątaczką – zaczęła Sara. – Panowie opuścili Marriott w wyraźnym pośpiechu. Conor Gallagher ma dokumenty wystawione na nazwisko obywatela szwedzkiego Gustava Winklunda, który nie figuruje w żadnych rejestrach. Z Warszawy odleciał do Kopenhagi. Mamy numer jego komórki w szwedzkiej sieci Telia. To telefon na kartę kupiony trzy lata temu na lotnisku Arlanda i dwukrotnie doładowywany. – Sara cytowała z pamięci pismo od Lindy. – Mamy też drugi numer, który najprawdopodobniej należy do Jacka O'Briena. Też telefon na kartę, ale w belgijskiej sieci Vodafone. Nigdy nie logował się w Belgii.

– To całkiem sporo – podsumował Konrad z wyczuwalnym zadowoleniem. – Teraz musimy zastanowić się nad najważniejszym. Czy panowie spotkali się w Polsce po raz pierwszy? Bo jeżeli nie, to znaczy, że nie bez powodu wybrali na miejsce spotkań akurat ojczyznę Chopina i Wałęsy. W takim wypadku może się okazać, że przyjadą tu jeszcze raz! – Konrad przygryzł dolną wargę i po kilku chwilach dorzucił: – Wtedy ich mamy!

– Jezu, szefie! – wymamrotał Marcin. – Szef to ma nosa! Polska to też ojczyzna Kopernika...

– Nie pajacuj! – wtrąciła Sara, ale żart Marcina był dobrym kontrapunktem dla patetycznego tonu Konrada. – Pewne jest jedno: Conor i Jack kontaktowali się ze sobą telefonicznie zaraz po wyjściu ze spotkania...

– I wcale nie jest powiedziane, że sprzątaczką ich wystraszyła. To ona tak twierdzi. A może jest strachliwa, bo ją mąż maltretuje – dorzucił Marcin. – Skoro Conor pojechał prosto

na Okęcie, to musiał mieć wykupiony lot do Kopenhagi i po prostu się spieszył. Nie sądzicie?

– Właśnie. Dlatego pozwolili sobie na swobodną rozmowę w taksówkach... Oni się nie bali!

– Zawodowcy w stanie zagrożenia nigdy by tak nie zrobili – dodał Konrad.

– Trzeba zacząć od telefonów. To najważniejsze! – Sara nabierała tempa, wciąż ściskając notatnik na kolanach. – To nas poprowadzi do figurantów.

– Na pewno mają więcej telefonów i kilka kart – włączył się Mirek.

– To typowe, ale mało praktyczne – dodał Irek.

– Na heimannie od razu widać, jak gość ma więcej niż dwie komórki – ciągnął Mirek.

– Co z miejsca zwraca uwagę. Dwie to jeszcze w miarę normalne, ale trzy już nie – zakończył Irek.

– Wiemy coś o tym – powiedział Konrad z wyraźnym rozbawieniem. – Z autopsji!

– Z wymienianiem kart też przecież mogą być kłopoty... roaming, różne sieci. To tylko na filmach jest takie proste i oczywiste. – Sara często wyjeżdżała ostatnio za granicę na ostrą robotę i dobrze wiedziała, jakie mogą być problemy z telefonami.

– Z punktu widzenia techniczno-operacyjnego figuranci posługują się dwoma telefonami w równoległych systemach lub dwiema kartami, ale to mniej praktyczne – odezwał się Irek.

– Telefony mają w dwóch wielkich sieciach. Nigdy nie używają ich w kraju, w którym są wykupione – dorzucił Mirek. – Przypuszczam, że każdy ma po jednym numerze służącym do łączności między nimi... i to są te, które mamy... i po jednym do innej łączności, z osobami trzecimi. Mogą zresztą mieć więcej numerów, ale to znacznie podnosi ryzyko namierzenia. A każde szpiegowskie dziecko powinno wiedzieć, że sam aparat też sieje.

– Pamiętamy o tym. – Konrad wziął do siebie uwagę Mirka. – Dodatkowe diapazony i punkt równania logicznego – dodał. – Mają po dwa telefony. Zgadzam się!

– Jeżeli tak jest, to panowie popełnili poważny błąd – oznajmiła Sara z uśmiechem odkrywcy.

– Jaki, pani naczelnik? Jaki? – ożywił się Marcin.

– Jeżeli mają podwójny system łączności i nie logują się w sieci macierzystej, to znaczy, że tam przebywają albo mają jakieś schronienie, bunkier...

– Dobrze kombinujesz, Saro – przerwał jej Konrad. – Ale dotyczy to tylko O'Briena. Gallagher to w Irlandii osoba publiczna i w wielu krajach jest dobrze znany. To O'Brien stanowi klucz do sprawy, nie Conor. Jack musi odpowiadać za operacje specjalne IRA, a przede wszystkim za jej agenturę... tak uważa Gordon. – Konrad połapał się, że jeszcze chwila, a zacząłby opowiadać o Borysie.

– Nie sadź się, Konrad – odparła Sara z udawanym oburzeniem. – Tak właśnie myślałam! Też mi coś! – Wzruszyła filuternie ramionami, co zdarzało jej się niezwykle rzadko. Unikała takich zachowań, żeby nie być posądzona o seksizm, ale czasami nie mogła się powstrzymać. – Czyli podsumowując: O'Brien na pewno nie mieszka w Belgii, a Gallagher alias Winklund nie mieszka w Szwecji, tylko ma wykupiony tam telefon...

– To Jack O'Brien mieszka w Szwecji! – niemal wykrzyknął Marcin i wszyscy spojrzeli na niego z prawdziwym zdziwieniem, a może nawet rozdrażnieniem. Oprócz oczywiście Lutka, który wciąż kontrolował, co się dzieje na ulicy.

– *Fuck!* – po chwili ciszy odezwał się Konrad. – Wiesz... to...

– To tylko niewielkie prawdopodobieństwo – skomentował odkrycie Marcina Irek.

– Ale w tym układzie danych i parametrów najwyższe... no... dziesięć procent – dodał obojętnie Mirek.

– Musimy jednak już iść – zakończył Irek.

– Dokąd to? Jeszcze nie skończyłem! W takim razie niech zostanie ten, co ma lepszy słuch – zdecydował nieco oburzony Konrad.

– Dobrze, szefie. Ja zostaję, on idzie – odparł Irek.

– Okay – rzucił Konrad, ale nawet nie zapytał, o co chodzi. Wiedział, że wkrótce się dowie, bo za takimi zachowaniami M-

Irka zawsze kryło się coś ważnego. – To co? – zapytał, gdy tylko wyszedł Mirek. – Zaczynamy od tego?

– Jak wyliczyliście, że to dziesięć procent? – Sara spojrzała na Irka, który siedział z kamienną twarzą. – Niech wam będzie!

– Szeffie – włączył się Marcin. – On tam jest! Ja to wiem!

– Wiem, że wiesz. – Konrad od razu pomyślał, że Marcin się nie myli, bo ma przecież zdolności paranormalne.

– Wystarczy sprawdzić, czy jego belgijski telefon logował się w Szwecji, a szwedzki w Belgii.

Konrad poczuł się jak skarcone dziecko. To było takie oczywiste!

– Przygotuj szyfrogram do Lindy... czy swojego przyjaciela Hasana... i koniecznie do Belgów!

– Trzeba porozmawiać z ABW, żeby sprawdzili w hotelach, czy Winklund gdzieś się wcześniej nie meldował... Zapomniałeś? – wtrąciła Sara.

– Nie. Nie zapomniałem. Ale to nie twoja robota... Ty już jedziesz do Wiednia! Masz tam coś pilnego do załatwienia. Niech Ewa zamówi ci bilet na samolot. Do ABW sam zadzwonię. Trzeba ruszyć kolegów z kontry. Sami niewiele zdziałamy... są nam coś winni, nie?

Konrad wyszedł zza biurka, stanął na środku pokoju i wziął się pod boki. Miał przy tym taką minę, że Sarze się wydawało, iż za chwilę rozłoży ręce i robi titanica. Marcin natomiast ujrzał w nim generała Custerą nad Little Bighorn.

– Pojedziesz na Rakowiecką. – Konrad zwrócił się do Marcina.

– Weźmiesz dane tego Gustava Winklunda i niech hotelówka go szuka. Zacząć od Marriotta zgodnie z zasadą kręgów i nie schodzić poniżej czterech gwiazdek. Najpierw Warszawa. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem. A... a co z terrorystami, szefie? Coś mi szef obiecał. – Marcin nie tracił rezonu.

– Nie przypominam sobie, że bym ci coś obiecywał... No, nie mogę! Jak ty wyglądasz?! Nie można cię nigdzie pokazać! – Konradowi niespodziewanie wrócił dobry nastrój.

Było jasne, że sprawę Bogajewów będzie prowadził Marcin, i to nie dlatego, że już wcześniej wymusił tę decyzję na Konradzie,

ale dlatego, że nikt w Wydziale nie mógł się pochwalić taką dynamiką pracy i tak niezwykłym talentem do rozwiązywania spraw nierozwiązywalnych.

Za jego pozorną infantylnością kryły się zdolności, o jakich wielu mogłoby pomarzyć. Najbardziej zadziwiająca była ta, która pozwalała mu siłą woli wyłączać uliczne latarnie. Ani Konrad, ani Sara nie widzieli tego na własne oczy, jednak byli świadkowie, którzy przysięgali, że rzeczywiście tak jest. Ponoć nie zawsze mu to wychodziło za pierwszym razem, ale efekt tak czy owak wydawał się zaskakujący.

Jednego Konrad był pewny: Marcin potrafił czytać w jego myślach, chociaż wszystko wskazywało na to, że sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Żeby ustrzec się ewentualnych manipulacji z jego strony, Konrad wołał o swych spostrzeżeniach nie mówić nikomu, nawet Sarze. Ona zresztą i tak by w to nie uwierzyła.

Talenty Marcina bez doświadczenia jego starszych kolegów miały jednak ograniczone zastosowanie. Dlatego Konrad musiał umówić się na spotkanie z Marcelem Wilkiem, dyrektorem Departamentu Kontrwywiadu ABW. Byli rówieśnikami i już choćby z tego powodu chętnie ze sobą współpracowali, bo takich oficerów w polskich służbach specjalnych zostało niewiele. Ich wzajemna sympatia opierała się na szacunku dla kompetencji zawodowych, zaufaniu i kulturze osobistej. Innymi słowy, łączyła ich chemia i zamiłowanie do burbona.

Konrad i Marcin zjawili się w obszernym gabinecie Marcela na Rakowieckiej przed czternastą. Za kadencji kilku jego poprzedników nic się tam nie zmieniło. Wielki, ciężki kredens w kiepskim gdańskim stylu podpierał ścianę po lewej. Kiedyś był pełen ohydnych szpiegowskich pamiątek z różnych stron świata. Teraz Marcel poustawiał w nim swoje książki.

– Mam poważną sprawę – zaczął Konrad nieco patetycznie, aż sam się zdziwił, ale nie potrafił inaczej. – Dotyczy Popowskiego...

Przerwał w pół zdania i przygryzł wargę, bo na dźwięk nazwiska Rosjanina Marcel uśmiechnął się w sposób jednoznacznie wskazujący, że ma jakąś mocną niespodziankę

i że zaraz będzie przebijał.

– Miałeś, Radeczku, nosa z tym Bobriukowem – oznajmił. – Nasza akcja „Malczyk” wkracza w fazę realizacji. A już myślałem, że będziesz musiał mi zwrócić mój wkład w ten interes – ciągnął, wyraźnie rozradowany. – Mam prawdziwą bombę, Konrad! Nie uwierzysz!

– To dlaczego nie dzwoniłeś?

– Moja ekipa wróciła dopiero dzisiaj rano i jeszcze porządkujemy materiały, ale już mogę powiedzieć, że mamy coś absolutnie ekstra.

Marcin siedział za stołem, zachowując milczenie, lecz po jego twarzy było widać, że zżera go ciekawość i że za chwilę albo wybuchnie, albo zemdleje. Sięgnął po butelkę wody i jednym ciągiem wypił połowę, mimo że obok stały szklanki.

– Moja sprawa też jest ważna... – próbował jeszcze walczyć Konrad. – To informacja od partnerów brytyjskich... Właśnie wróciłem z Londynu... – przerwał i widząc wciąż rozpromienionego Wilka, rzucił z rezygnacją: – No dobra, Marcel, mów, co jest grane. Co tam masz?

– „Malczyk” wyłożył się jak dziecko. Aż trudno uwierzyć, że jest taki naiwny... Nie mogłeś wymyślić lepszego kryptonimu!

– To nie jest dobra informacja – wtrącił Konrad. – Nie lubię, gdy sprawa zaczyna się od takiej oceny, ale dobrze, dawaj dalej. *Pożywiom, uwidim!*

Wilk zwrócił się do Marcina:

– Ty też taki będziesz? Faceci w czerni? Wy nikomu nie ufacie? Ożeż ty... Radek! Najpierw posłuchaj, potem będziesz marudził. Wyluzuj!

– Ja też taki będę! – zdecydowanie wciąż się Marcin i zamilkł.

– Boże, miej nas w opiece! – Wciąż rozweselony Marcel z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Moi ludzie są zdyscyplinowani i lojalni – dowcipnie dodał Konrad. – Mów w końcu.

– Nasz Witalij stał się tak pewny siebie, że już nawet nie patrzy pod nogi. Właściwie można powiedzieć, że zrobił się arogancki. Po tej waszej sprawie z archiwum brzeskim dostał jeszcze wiatru w żagle...

– Przecież mówiłem ci, że Popowski mógł mieć tylko dwie koncepcje. Albo uznał, że cała ta sprawa ze zgniłym archiwum to sukces, więc pozostawienie Bobriukowa w Warszawie miało to potwierdzać. Albo podrzucił nam śmierdzące jajo i na coś czeka.

– Myślę, szefie, że ta druga koncepcja jest zdecydowanie bardziej prawdopodobna – wtrącił poważnym tonem Marcin i zaraz dodał: – Ale ta pierwsza też jest sugestywna.

Konrad uciszył go wzrokiem, ale też tak uważał. Nie chciał jednak niczego Marcelowi sugerować, żeby ten nie zawęził pola działania. Miał w końcu nie tylko sprawę Popowskiego na celowniku.

– „Laleczka”...

– Ruda Kasia?

– Odkąd „Malczyk” awansował i usamodzielniał się w ambasadzie, poczuła u niego przyływ kasy i zaczęła stawiać nam warunki...

– Finansowe?

– Tak. Ale daliśmy sobie radę. Nakryliśmy ją na romansie z dziennikarzem TV24 i trochę spuściła z tonu. Wciąż twierdzi, że ma zamiar wyjść za Bobriukowa i zostać żoną dyplomaty. Lubi salony.

– Może to jakiś pomysł na przyszłość... – zastanowił się na głos Konrad. – Nie... bzdura! – szybko się wycofał. – Bobriukow prędzej czy później kapnie się, co jest grane.

– W ambasadzie wciąż nikt nie wie o tym romansie – dodał Marcel – więc trzeba założyć, że ukrywa go też przed Popowskim. Tak zakładaliśmy, nie? Ani krztyny patriotyzmu, a panienska z dobrego domu i po politologii!

– I tu mamy przewagę nad Miszą, jeżeli przyjąć, że Bobriukow to pułapka. *Hokus-pokus* grupy Focus i jest rosyjska babuszka – stwierdził Konrad bez przekonania. – Tak czy inaczej „Laleczka” to dziwka środowiskowa, cwana i niegłupia. Cholera wie, co jej kielkuje w tym rudym łbie...

– Ona mogła już wszystko powiedzieć Ruskiemu... Bobriukowowi naturalnie... że dla nas pracuje – wtrącił Marcin.

– To niemożliwe! – zdecydowanie wszedł Marcel. – Posłuchajcie dalej! Wygląda na to, że zbliżamy się do... *grande finale*. – Nabrał powietrza, po czym głośno i nieestetycznie wypuścił je przez nos. – Kawy? – zapytał, ale nikt nie zareagował. – Nie to nie. Pamiętasz, mówiłem ci w ubiegłym tygodniu, że „Malczyk” zlecił „Luli” zebranie informacji o Czeczenach w Polsce...

– Rzeczywiście! Zapomniałem! – niemal wykrzyknął Konrad. – No, no... mów dalej!

– Niby nic nowego, a jednak – kontynuował Marcel. – Chodziło o czwórkę młodych Czeczenów, którzy mieli przyjechać do Polski w ostatnim czasie. „Malczyk” określił dokładny czas, ale nie pamiętam teraz jaki... sprawdzę potem. Nie podał nazwisk ani żadnych bliższych danych. Albo nie wiedział, albo krył to przed „Lulą”. Ważniejsze było, że wyznaczył bardzo krótki termin realizacji. Coś jednak Witalij pokręcił z tym spotkaniem...

– Co pokręcił? – zapytał Konrad.

– Czekaj... – Marcel zastanowił się. – Nie pamiętam... nieważne, kurczę! Przypomnę sobie później – dodał i ciągnął dalej: – Mieliśmy trochę mało czasu na przygotowanie tego, o co prosił Bobriukow, bo „Lula” sam nie mógł tego zrobić. To jedno! A drugie: wyznaczył miejsce spotkania w Wilnie. Myśleliśmy, że jak zwykle jedzie sobie na koszt Putina do luksusowego hotelu na bzykanko z „Laleczką”, więc musieliśmy zebrać porządną ekipę obserwacyjną... no... w końcu jechał za granicę. Wziął oczywiście junior suite za trzysta euro. Mieliśmy mało czasu, więc musieliśmy nacisnąć „Laleczkę”, żeby opóźniła wyjazd o dzień. – Przerwał na moment. – Co tak patrzycie? – zapytał ze zdziwieniem. – Przecież nie mogłem wziąć Litwinów do tej roboty!

– Oczywiście, Marcel. Wiemy, że nie lubisz Litwinów – z ironią odparł Konrad.

– A co? – obruszył się Marcel. – Miałem wziąć do pomocy tego waszego łącznika z ambasady, żeby rozklekotał na pół Wilna, że dowodzi akcją ABW, a potem domagał się odznaczeń?

– Oczywiście, Marcel! – odparł przekornie Konrad i przełknął

gorzką, lecz prawdziwą uwagę Wilka, bo niejakiego Żurawia, zwanego też Klekotem, znali wszyscy. – No i co dalej?

– Wyglądało na to, że jadą prywatnie, a „Lulę” ciągną do tego Wilna na przykrywkę. Tak jak już nieraz poprzednio. Mieliśmy sporo kłopotu, żeby go namówić na ten wyjazd...

– Syndrom zdrajcy. Odwrócony agent dopiero z czasem odzyskuje świadomość stron świata i pory dnia, ale musi odpracować chwilę słabości – skomentował Konrad. – Dalej odmawia nagrywania rozmów?

– Tak. Boi się, że go sprawdzą i znajdą u niego mikrofon.

– Trochę jest w tym racji. Nie da się zaprzeczyć!

– Mamy najlepszy sprzęt! Nic by nie znaleźli – obruszył się Marcel. – Dlatego to wciąż najsłabszy element tego rozpracowania, ale w obliczu tego, co zaszło w Wilnie, to po prostu... – Marcel zacisnął pięść i wysunął dolną szczękę. Wyglądał jak harujący bokser. – Ja pier...

– Dawaj dalej!

– Pierwszego dnia po przyjeździe nasz „Malczyk” pomaszerował do restauracji na spotkanie z dwoma dżentelmenami, a „Laleczka” została w hotelu. Znasz któregoś? Przyjrzyj się uważnie. – Marcel posunął w kierunku Konrada kartonową teczkę. – Pojedli, popili ostro i rozjechali się, każdy osobno, do hoteli. Rozmawiał głównie Bobriukow z tym krótko obcięty. Ten z kucykiem, jak widzisz, siedział ze słuchawkami, jakby go nic nie obchodziło. Dziwne, nie?

Konrad przeglądał uważnie zdjęcia i podawał je Marcinowi.

– Ten krótko ostrzyżony – powiedział – przypomina mi jednego gościa z Brześcia. Był tam z Popowskim i Bobriukowem. Lutek zrobił im zdjęcia, ale nie są zbyt wyraźne...

– To ten sam, szefie! – wtrącił się Marcin. – To on!

– Jesteś pewny?

– Na sto procent!

– To musi być ktoś od Popowskiego. Jesteśmy w domu, Marcel. Kółko się zamknęło.

Zmrużył lekko oczy, przygryzł na sekundę wargę i pomyślał, że jak na Miszę to wszystko jest stanowczo zbyt proste. Choć

w jego przypadku najkrótsza droga to nie to samo co najprostsza. Dwa dni temu Popowski proponował mu przez telefon pilne spotkanie właśnie w Wilnie. Przypadek?

– Nasza obserwacja – kontynuował Marcel – pociągnęła za wszystkimi trzema. Ten z kucykiem poszedł na piechotę do Novotelu...

– Na prospekcie Giedymina?

– Tak... chyba... nie pamiętam. A co? Za parę dni dostaniesz wszystko w notatce. – Marcel był nieco podenerwowany. – Wyluzuj! Potrzebujemy trochę czasu. ABW to nie wywiad. Jest gospodarz i porządek musi być!

– Ja nic nie mówiłem – odparł spokojnie Konrad. – I co dalej?

– Łaził pół nocy po jakichś ciemnych zaułkach... na Zarzeczcu czy gdzieś tam... machał rękami, gadał do siebie i popijał w knajpach. Jakiś kompletny świr. W końcu wrócił do hotelu, tego samego co ten krótko ostrzyżony.

– Ustaliliście ich dane?

– Jak? Co ty? – Marcel wzruszył ramionami. – Mieliliśmy się od razu wyłożyć? Pojechała młoda ekipa, ze szkoły.

Konrad ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Możemy poprosić Litwinów, żeby ustalili – zaproponował Marcel.

– Chyba trzeba będzie, ale bez pośpiechu, żeby nie pogrzebać akcji przedwcześnie – wtrącił Konrad. – Ruscy i tak są na lewych papierach. Jednorazówki, to pewne! Zobaczymy, jak sprawy się potoczą, czy ich lewe dane będą nam potrzebne. Grunt, że mamy zdjęcia.

– Też tak uważam.

– To dawaj dalej!

– Następnego dnia wszyscy zrobili sobie wolne. Wiedzieliśmy, że „Lula” ma wyznaczone spotkanie dopiero dzień później o dwunastej trzydzieści w małym centrum handlowym nieopodal Novotelu. Coś musiało być na rzeczy, że wybrali to miejsce. Dlatego obstawiliśmy hotel dwie godziny wcześniej. Teren był dobry do rozprowadzenia obserwacji. Ruch, sklepy, ludzie... idealnie. W hotelu wystawiliśmy czujkę. Cały teren od hotelu do miejsca nawiązania kontaktu był niewielki, więc

możliśmy zgromadzić tam wszystkie siły. „Malczyk” po zajęciach z „Laleczką” wyszedł ze swojego hotelu dokładnie o jedenastej trzydzięci i zrobił trasę sprawdzeniową po Starym Mieście, ale serca w to nie włożył i zwyczajnie ją odwalił, robiąc kilka tanich numerów. Nawet nasza szkółka nie dała się na to złapać. Jasne było, że idzie na spotkanie z „Lulą”. W tym czasie „Laleczka” zdała krótki raport, co robili dzień wcześniej, a dwaj nasi przetrzepali mu łachy, ale poza nową paczką czarnych prezerwatyw i środkiem nawilżającym Chili nie znaleźli nic ciekawego.

– Nie prowadziliście za nimi obserwacji dzień wcześniej?

– Nie... A po co? Przecież mieliśmy „Laleczkę” – dodał Marcel, jakby nie zrozumiał uwagi Konrada. – Dokładnie o dwunastej wyszedł z hotelu ten krótko ostrzyżony – wrócił do przerwanej relacji. – Nie było wątpliwości, że coś się dzieje. Świr z kucykiem znikł. Tamten poszedł do restauracji obok hotelu. W tym czasie „Malczyk” kręcił się już w pobliżu. Nasz człowiek, który pilotował „Lulę”, ustawił go...

– Marcel! – przerwał mu Konrad.

– Okay. Spotkali się we trzech w tej restauracji o trzynastej. Rozmowę prowadził ostrzyżony. Wiedzieliśmy, że celem spotkania jest przekazanie pendrive’a z aktami Czeczenów. Najważniejsze było jednak to, że „Malczyk” po raz pierwszy wyraził chęć przejęcia materiałów na nośniku... oni mówią „na flaszcze”... – Marcel urwał i uniósł obie ręce w wałęsowskim geście.

– Świetnie! Wspaniale! Ale fart! – dołączył się Konrad, ale Marcin siedział kompletnie zdezorientowany. – No... i? Daliście mu pijawkę? Naszą czy amerykańską?

– Jasne, że naszą! – odparł. – Lepsza, bo polska! Musisz dać M-Irkowi specjalną premię. Ale pijawka nic nie ściągnęła. Niestety! – Marcel zmienił niespodziewanie ton, ale nie wyglądał na zasmuconego. – Liczyliśmy na to, że „Malczyk” wsadzi ją do swojego komputera, a ta wysie cały jego twardy dysk. A tu kłapa! Pendrive’a wziął obcięty i poszedł z powrotem do hotelu. Znikł na piątym piętrze... w pokoju pięćset pięć, jak ustaliliśmy.

– Ja pie... – odezwał się przejęty Marcin. – I co?

– Wsadził naszą pijawkę do jakiegoś nieznanego komputera...

– Z czystym dyskiem! – wciął się natychmiast Konrad. – Gość przyjechał z Moskwy, więc musiał mieć czysty komputer do takiej roboty. Myślicie, że w Jaseniewie nie wiedzą, co można zrobić, podłączając obce ciało do operacyjnego laptopa? Nasz „Malczyk” to co innego... jak wskazuje kryptonim! Mogliśmy raczej liczyć na jego błąd, lenistwo, przypadek, gapiostwo... W naszym biznesie pierwszy krok do zguby to arogancja, a on ma jej pod dostatkiem. Nie może przecież jeździć z trzema laptopami i na pewno ma tylko podwójne oprogramowanie i wymienny twardy dysk.

– Ale ostrzyżony go nie wyjął, kiedy pracował na swoim komputerze – kontynuował Marcel niezrażony akademickim wywodem Konrada – i twój supergwizdek zarejestrował dokładnie wszystkie przeprowadzone operacje...

– To znaczy?

– Z łatwością ustaliliśmy, na których kartach ten gość zatrzymywał się dłużej... Zresztą okazał się jeszcze większym frajerem.

– Dlaczego?

– Myślał, że wyczyścił pendrive’a, że wykasował z niego wszystkie dane, cały zbiór czeczeńskich akt.

– Na jego miejscu też bym tak zrobił. Miał wątpliwości, czy w tym gwizdku nie siedzi jakiś malutki Odyseusz, tym bardziej że musiał oddać pendrive’a i nie miał możliwości go zbadać. Ale to teraz nieważne... – Konrad był mocno pobudzony. – I co wam wyszło, Marcelu drogi? Możemy obstawiać – dodał z szelmowskim uśmiechem. – Rosjanie szukają czterech Czeczenów! Zgadłem? Dziewczyny i trzech chłopców... mężczyzn.

– Tak. Skąd wiesz? – Marcel spojrzał na niego podejrzliwie. – Obejrzyj zdjęcia. – Popchnął w jego kierunku drugą niebieską teczkę. – Na tych trzech komputer zatrzymał się na dłużej. Najpierw na tym gościu, Amir Sołowjow... lat osiemnaście, ale najdłużej na tej dziewczynie – kontynuował, kiedy Konrad i Marcin oglądali wydruki. – Nazywa się Eliza Ahmadow –

odczytał z kartki.

– Piękna! – wymruczał Marcin.

– No... – dodał niepewnie Konrad, ale pomyślał identycznie.

– Dwaj pozostali to Husajn Gujew i Szamil Asłanow – wyjaśnił Marcel. – Na tej czwórce komputer stał po kilka minut, mimo że byli na różnych, oddalonych od siebie kartach.

– Może w tym czasie gość był w kiblu albo rozmawiał przez telefon – zauważył roztropnie Marcin.

– Nie. Najdłużej na tej dziewczynie i, co ciekawe, od razu przeskoczył na karty Gujewa i Asłanowa, jakby dokładnie wiedział, kogo szuka. Wcześniej na każdą kartę poświęcał po kilka sekund. Zresztą na Asłanowie zakończył przeglądanie, wyłączył komputer i wrócił do „Luli” i „Malczyka”. Oznajmił, że znalazł, kogo szukał, ale nie powiedział kogo, tylko wytłumaczył, że to bardzo niebezpieczni czeczeńscy terroryści. Stwierdził, że strona rosyjska poinformuje władze polskie, jak będzie trzeba. – Marcel trochę się zapowietrzył, przełknął ślinę i dodał ironicznie: – Przecież wiesz. Niektórzy nasi politycy uważają Czeczenów za bojowników o wolność i nie odróżniają czarnego od białego, bo sami wiedzą najlepiej, jakie powinny być prawidłowe nazwy kolorów. – Marcel powiedział to takim tonem, że wszyscy trzej buchnęli gromkim śmiechem. – No dobrze... Taka była poprzednia ekipa.

– Obecna w ogóle unika rozmów o kolorach – dorzucił Marcin i nagle wesoła atmosfera gdzieś się rozplynęła. – Więc też nie wiadomo, jak jest.

– Tak... No dobrze! – odezwał się po chwili Konrad, przygryzł wargę i widać było, że zaczyna nabierać pary.

Marcin z szeroko otwartymi oczami czekał na to, co za chwilę nastąpi, i czuł, że rosną mu u ramion skrzydła. Bo to była jego sprawa! Miała być!

– Naprawdę noszą nazwisko Bogajew! – oznajmił Konrad z lekko wyczuwalnym zadęciem. – Amina, Rustam, Asłan i Szamil.

Marcel wyglądał, jakby zapowietrzył się na poważnie. Pomyślał, że wyszedł na durnia, tak starannie reżyserując swoją opowieść o wileńskim sukcesie.

Mimo wszystko obaj poczuli, że ich polowanie na Michała Popowskiego nabiera niezwykłego tempa. W krótkim czasie pojawiło się tyle nowych elementów, że każda służba mogłaby o czymś takim jedynie pomarzyć. Było jeszcze zbyt wcześnie, by ustalić, jak zastawić sidła na Michała, ale ich rozmiar nie budził już wątpliwości. A Marcel i Konrad mieli osobiste powody, by doprowadzić sprawę do finału. Wiedzieli dobrze, że czynnik emocjonalny tylko przeszkadza w robocie operacyjnej, któż jednak wytrzymałby spokojnie po takim numerze, jaki zrobili im Rosjanie, a ściślej Popowski, z Rupertami.

Szykowała się okazja do zapłaty. Prawdziwego męskiego rewanżu. A może nawet czegoś więcej: próby werbunku Popowskiego, chociaż Konrad dawał tej opcji jeden procent szansy. Ale teraz, po namierzeniu Bogajewów w Polsce i powiązaniu ich z Miszą, podniósł rating do dwóch procent. Marcel, urodzony optymista, uważał, że jest pół na pół.

Patrzyli na siebie w ciszy i rozważali, od czego powinni zacząć. Właściwie było to jasne: każda służba zaczęłaby od odnalezienia Bogajewów! Ale najważniejsze – co dalej?

Konrad miał dodatkową satysfakcję: jutro rano będzie mógł poinformować George'a Gordona, że odnaleźli Bogajewów. No, może nie całkiem, ale było pewne, że wkrótce ich zlokalizują.

Dobrzy jesteście – pomyśleli jednocześnie Konrad i Marcel, kiedy dotarł do nich niepewny głos wygolonego na zero Marcina.

– Szefie... Coś tu się nie zgadza.

Obaj spojrzeli na niego ze zniecierpliwieniem.

– Co się nie zgadza?! – wykrzyknęli niemal jednocześnie.

– Mieli być jednojajowi czeczeńscy bliźniacy – stwierdził Marcin nieco zblazowanym głosem, patrząc na leżące przed nim zdjęcia. – Ci trzej nie są w ogóle do siebie podobni, a już na pewno nie ma wśród nich bliźniaków jednojajowych. Tę śliczną panienkę wykluczamy, bo bliźniaki jednojajowe są zawsze tej samej płci, a ona jest solo, więc pozostają ci panowie, lecz nijak nie widzę między nimi żadnego podobieństwa.

– Rzeczywiście – odezwał się Konrad, stojąc za plecami

Marcina. – To o co tu chodzi? – Spojrzał na Marcela, który rozłożył bezradnie ręce. – To na pewno...

– Możemy sprawdzić jeszcze raz, ale komputer wychwytał tych czworo. Nikogo więcej – odparł Marcel. – To ty przyniosłeś informację, że wśród nich są bliźniacy. My nic o tym nie mówiliśmy. Program też przecież jest autorstwa waszego M-Irka. A może się myłę?! – Zgrabnie zrzucił z siebie odpowiedzialność. – Mamy to sprawdzić jeszcze raz? – zapytał nieco złośliwie.

– Nie – rzucił zdecydowanie Konrad. – Nie ma potrzeby.

– W takim razie... Jak to nie oni, to co robimy?

– Daj pomyśleć!

– No... dobrze...

– Jeżeli ci na twoich zdjęciach to nie Bogajewowie, to kto? – Konrad nie poddawał się i spoglądał uważnie na Marcina. – Zgadza się, dziewczyna i trzech młodzieńców... brakuje bliźniaka... czyli też mamy o jednego za dużo. Którego? Zbyt wiele jest zgodnych informacji, tych od Gordona i tych z Wilna, żeby uznać to wszystko za zbieg okoliczności czy jakiś bluff. – Zaczął chodzić po pokoju. – Gdzieś prawdopodobnie nastąpiło przekłamanie albo za naszymi plecami dzieje się coś, o czym nie wiemy... Proste? – Stał w miejscu, przygryzł wargę i spojrzał na Marcela i Marcina pytającym wzrokiem.

– To co robimy? – powtórzył po chwili Marcel. – Puszczamy maszynę w ruch czy nie?

– Nie mamy wyboru. Więcej jest zbieżności niż rozbieżności, a ryzyko zbyt duże. To są terroryści i według Brytyjczyków coś planują. Wysadzą nam... Stadion Narodowy albo Sejm, nie daj Boże. – Konrad usiadł i pokiwał głową. – George mówił, że ta sprawa może mieć jakieś podteksty... GRU kontra SWZ... i wykorzystują do tego Czeczenów. *Biez wodki nie rozbieriesz*. Okay! Szukamy tej czwórki z Wilna...

– To co? Olewamy Popowskiego i „Malczyka”? – zapytał Marcel, ale Konrad nie odpowiedział. – Trzeba w takim razie poinformować szefostwo i wziąć do spółki Henryka.

Marcel słusznie uznał, że bez udziału Departamentu Zwalczania Terroryzmu ABW niewiele zdziałają.

– W gruncie rzeczy nie mogę uwierzyć, żeby Misza nasłał nam tu dywersyjne komando z Kaukazu. – Konrad zasepił się na moment. – To nie w jego stylu... no nie, w życiu! Szybciej by nas... ostrzegł. – Przerwał i uniósł głowę. – Czekaście! Może o tym właśnie chciał ze mną rozmawiać... pilnie, prywatnie i... zapraszał do Wilna. To by pasowało! Rzeczywiście... Bogajewowie mogą pracować dla GRU i Muhamedowa!

– Poszlaki, Konrad! – wtrącił Marcel. – Równie dobrze mógł po prostu dostać rozkaz i musiał go wykonać. A może jest tam jakieś drugie dno. Kto to teraz ustali!

– To też prawda! Na razie pewne jest tylko to, że lada moment może nam tu coś pierdolnąć... I dupa zimna, czy Popowski chciał dobrze, czy nie. Przygotujesz raport do szefa? – zwrócił się do Marcela. – Mój pojechał po nowe spinki...

– Jasne.

– A co ze mną, szefie? – wtrącił obrażonym tonem Marcin. – To miała być moja sprawa.

– Nie możemy czekać! Sam odkryłeś, że sprawa ma zbyt wiele niejasności, byśmy mogli zaufać naszej intuicji czy jakiemuś tam szarpanemu doświadczeniu. Nie mówiąc już o ryzyku...

– A jeżeli tak nie jest, szefie? – Marcin nie dawał za wygraną. – I tych wątpliwości nie ma tak dużo, jak by się szefowi wydawało?

– Co ty kombinujesz?

– Brakuje nam bliźniaków, prawda? – Marcin nie zrażał się podejrzliwymi spojrzeniami Marcela i Konrada. – Asłana i Szamila Bogajewów, tak? To jest ta niejasność według szefa?

– No... i co?

– A jak ich znaję, to szef da mi tę sprawę?

– Dam ci zaraz w łeb!

Konrad jednak już czuł, że Marcin znalazł jakąś odpowiedź, bo nie ryzykowałby w ten sposób, a poza tym miał przecież te cholerne zdolności.

– To proste jak drut! – Marcin nabrał pary. – Szamil Asłanow to Asłan i Szamil w jednej osobie. To ten gościu! – Położył rękę na zdjęciu. – Przecież są jednojajowi, to po co dwa zdjęcia? Równie dobrze mógłby się nazywać Asłan Szamilow. Tu

Czeczeni przestrelili i dali dupy! Tak są przyzwyczajeni do swoich imion...

– Aslan Maschadow... czeczeński bohater – dodał Marcel.

– To imię pochodzi z tureckiego i *aslan* znaczy ni mniej, ni więcej, tylko lew – włączył się Konrad. – A Imam Szamil to też bohater Kaukazu.

– Aslan to też lew z Narnii, czyli lew to Aslan – przejął inicjatywę Marcin. – Jaki kaukaski wojownik zrezygnowałby z takiego imienia czy z imienia Szamil? Stąd mamy dwóch w jednym...

– No... kurczę! Nieźle! – Marcel pokręcił głową. – Masz, chłopie, nosa. I co teraz, Konrad?

– Nie można wykluczyć i takiej kombinacji – chłodno stwierdził Konrad, bo Marcin zaskoczył go jak zawsze. – Ale w tej chwili nie mamy lepszej. W porządku. Będiesz prowadził tę sprawę. Musisz jednak jeszcze popracować... – chciał już powiedzieć „zdolnościami paranormalnymi”, ale ugryzł się w język – głową i ustalić, który z tych trzech facetów ze zdjęć jest tym bliźniakiem, a który jest zmyłką. Bo mamy o jednego za dużo, czyż nie?

– Konrad! Do cholery! – odezwał się zniecierpliwiony Marcel. – To co robimy? Późno już.

– Rejestrujemy wszystkich Bogajewów na prawdziwe i lewe nazwiska, jak leci...

– Z tym fałszywym?

– Wszystkich! Nie jesteśmy teraz w stanie go zidentyfikować. Porozmawiaj jutro rano z Henrykiem, opowiedz mu o sprawie i niech uruchomią wszystkie możliwości drugiego B, by odnaleźć Bogajewów, a przynajmniej ustalić, czy są w Polsce...

– Trzeba zacząć od ośrodków dla uchodźców – wtrącił Marcin, robiąc notatki.

– Dobrze myślisz, ale koledzy z drugiego B doskonale wiedzą, co mają robić. Więc nie próbuj im o tym przypominać, Marcinku, bo się tylko najesz wstydu. – Konrad zwrócił się do Marcela: – Poproś Henryka, żeby przez najbliższy tydzień prowadzili możliwie intensywnie poszukiwania, ale w ścisłej tajemnicy...

– Wiesz, że tak się nie da, to sprzeczność...

– Wiem. Ale, niestety, zagrożenie jest realne. Poza tym muszę się spotkać z Popowskim i nie chcę, żeby wcześniej do niego dotarło, że wiemy o Bogajewach i że ich szukamy. Może uda mi się coś z niego wycisnąć. Znaleźć element, który łączy te wszystkie wątki. Bo na dzisiaj to mam kompletny mętlik w głowie.

– Ja też – dodał Marcel.

– I ja – dołączył się Marcin z poważnym wyrazem twarzy.

– Odnajdziemy Borgiów z Kaukazu, czyli tych Bogajewów – kontynuował Konrad – i co? Jak im udowodnimy, że planowali coś brzydkiego, że są terrorystami? Przecież nie mają ze sobą metryk od Bin Ladena. Mamy przecież tylko informacje wywiadowcze i operacyjne, a to za mało. W ogóle to wszystko jest bardzo dziwne, wiele informacji, prawie natłok, hałas z lewa i prawa, wydawałoby się, że jesteśmy na tropie, tuż-tuż...

– I może właśnie o to chodzi? – zasugerował celnie Marcin.

– Też odnoszę wrażenie, że ta sprawa ma drugie dno – dorzucił Marcel. – Wszystko wygląda tak, jakby ktoś chciał porządnie nas nastraszyć. My ściągniemy na Bogajewów wszystkie siły i środki ABW, policji i wojska, a tymczasem uderzenie nadejdzie z zupełnie innej strony.

– Nie wierzę w żaden zamach terrorystyczny w Polsce. Wszyscy by na tym stracili, a zyski byłyby niewielkie. Gdzie indziej... może. – Konrad przygryzł wargę. – Ale sprawa na sto procent ma nie tyle drugie dno... bo w Jaseniewie tak nie myślą... ile jest rozpisana na wiele scenariuszy i zawsze ma się zakończyć sukcesem. Takim czy innym. Znam Miszę Popowskiego i to jest dokładnie w jego stylu.

Spotkanie u Marcela w Departamencie Kontrwywiadu ABW, zwanym też częściej kontrą lub dwójką, trwało jeszcze ponad pół godziny. Ustalili dokładny podział ról na najbliższe dni i kalendarz zdarzeń. Marcin został oficerem prowadzącym sprawę z ramienia AW, ale właściwa władza spoczywała w rękach Marcela. I nie chodziło o to, że Konrad nie miał zaufania do kompetencji Marcina i jego doświadczenia, było nawet wręcz przeciwnie, ale ta sprawa potrzebowała jednego

ośrodka, który ma za sobą realną władzę i odpowiednie siły, by jej podołać. Takim ośrodkiem mogła być teraz tylko ABW.

Sprawę Michaiła Popowskiego Konrad zostawił dla siebie. Była esencją tej rozgrywki i jej rozwikłanie nie wymagało ogromnej maszynierii polskich i brytyjskich służb specjalnych. Wymagało za to sporo doświadczenia i wyczucia, które pozwoliłoby oddzielić splątane ze sobą fakty, wątki i hipotezy. Konrad przynajmniej wiedział, jak się do tego zabrać.

Gdy tylko wszedł do mieszkania, otworzył okno na taras i poczuł silny powiew znad Lasu Kabackiego. Poszedł do kuchni, otworzył zamrażarkę i w najniższej szufladzie znalazł karton pizzy pepperoni. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ją kupił. Sprawdził datę przydatności i ze zdumieniem stwierdził, że upływa jutro. W zamrażarce nie było jednak nic innego oprócz zielonego groszku i baraniny. Stał tak przez chwilę, jakby ważąc w ręku celowość skonsumowania tej pizzy i szukając jednocześnie innego sposobu na powstrzymanie ssania w żołądku.

Myśl o zamówieniu chińszczyzny przegrała w końcu z perspektywą zjedzenia pepperoni w ciągu kilku minut i zmrożona deska wylądowała w mikrofalówce.

Konrad usiadł przy stole i czekał, aż dzwonek kuchenki obwieści zakończenie procesu pieczenia. Gdy przypomniał sobie, że Lisbeth Salander, ulubiona postać literacka Sary, odżywiała się głównie w ten właśnie sposób, to już zupełnie odechciało mu się jeść i gdyby nie brak wyboru, pizza niechybnie wylądowałaby w koszu. Zastanowił się przez moment, czy Sara też się tak odżywia, i niespodziewanie zdał sobie sprawę, jak mało o niej wie. Przynajmniej w tym zakresie – pomyślał, gdy ostry dźwięk dzwonka aż podrzucił go do góry.

Włączył telewizor i zaczął jeść. Kiedy skończył, zdał sobie sprawę, że pizza smakowała tak jak relacja TV24 z konferencji premiera, i aż sprawdził na pustym kartonie, czy aby dobrze nastawił kuchenkę. Uznał w końcu, że to wrażenie musiało być efektem upływającego o godzinie 00.01 terminu przydatności do spożycia, i wrzucił karton z powrotem do śmieci.

Wyjął z lodówki butelkę piwa Warka Strong i postawił na stole,

by się zagrzała, a sam poszedł się przebrać.

Początkowo zamierzał usiąść wygodnie na tarasie i przynajmniej spróbować uporządkować wydarzenia ostatnich dni. Przypomniał sobie jednak, że powinien zajrzeć do garażu i sprawdzić saaba. Stało się to nagle ważniejsze niż cokolwiek, bo nie zaglądał do niego od kilku dni. Wziął piwo, telefon służbowy i w klapkach zjechał windą.

Saab stał tak jak zawsze obok nędznego mercedesa klasy SL model 2011 po lewej i sympatycznego polo po prawej. Konrad przejechał palcem po czarnym lakierze i stwierdził zbyt dużą ilość kurzu. Obiecał saabowi nazajutrz ręczną myjnię i woskowanie świeżą czarną pastą.

Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Rozłożył fotel, wyciągnął się wygodnie i łyknął piwa z butelki. Poczł się rozluźniony, spokojny, pewny siebie, zupełnie jakby na świecie nie było IRA, Korei Północnej, Al-Kaidy ani nawet Rosji.

Nie... kurczę, Rosja zawsze będzie – przeleciało mu przez myśl, ale bez nutki smutku czy rozczarowania. No i dobrze, bo inaczej co byśmy robili?

Przejechał ręką po kokpicie i wytarł kurz o koszulkę. I tak trzeba zrobić pranie – pomyślał i znów pociągnął piwa, które smakowało jak nigdy.

Posiedzę sobie tutaj... – rozejrzał się po wnętrzu i pokiwał z uznaniem głową – i wszystko przemyśle. Dlaczego zawsze mam to robić na tarasie?

Założył czapkę z napisem SAAB i ciemne okulary Ray Ban, przejrzał się w lusterku, cmoknął i stwierdził: Potrzebna jeszcze kobitka!

Wyciągnął się wygodnie w rozłożonym fotelu, lewą stopę wystawił na zewnątrz. Przyjemny chłód garażu i zapach spalin samochodowych wymieszany z czymś jeszcze działały na niego niezwykle kojąco.

No dobra... Co my tu mamy... Taaak... Gordon to niezły cwaniaczek. Boże, chroń królową i nic więcej... A my tu nad Wisłą sami musimy z Ruskimi... Kurczę, jak przyjemnie...

Pociągnął warki i westchnął z widocznym zadowoleniem. Myślał coraz wolniej.

A ta Rosja... raz czerwona, raz biała, teraz to chyba różowa czy co... A Polska ciągle tu... raz trochę na wschód, raz na zachód... i tak ciągle... Kurczę, ja pier...

– Panie sąsiedzie! Obudź się pan!

Konrad przez moment nie wiedział, co się dzieje. Co to za chrapliwy głos grzmi nad jego głową i czyja silna ręka szarpie go za ramię. Potrzebował chwili, by dojść do siebie i zorientować się, że widzi napuchniętą twarz właściciela mercedesa

– Już pan dojechał, sąsiedzie. Jest pan w domu. No... kuźwa jedna kopana, w życiu bym pana nie posądzal! – Pokiwał z uznaniem kwadratową wygoloną głową z niskim czołem i płaską potylicą. – Gliny pana nie namierzyły? Obejrzałem samochód z przodu. Czyściutko! Nikogo pan nie rąbnał... he... he...

Dopiero teraz Konrad się połapał, że prawie leży w samochodzie, i to z butelką piwa między nogami. Właściciel mercedesa, wyrażając swoje uznanie, musiał być autentyczny i szczery, bo kiedy wsiadał do samochodu, wciąż jeszcze kiwał z podziwem topornym łbem.

Konrad zerwał się na nogi, aż się oblał piwem. Sąsiad pożegnał go klaksonem i odjechał. Była dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć i wyglądało na to, że przespał w samochodzie prawie dwie godziny.

Dotarł na górę wściekły na siebie jak nigdy wcześniej. Nie mógł sobie darować, że facet od mercedesa SL potraktował go jak swojego, równego sobie, na wskroś mu podobnego. A kto znał Konrada, ten wiedział, że pałał on gorącą nienawiścią do wszystkich pijaków za kierownicą. Dlatego fakt, że ten typ złapał go śpiącego z piwem w samochodzie, odebrał jak cios w serce albo coś jeszcze gorszego.

Usiadł na kanapie i włączył telewizor, bez dźwięku. Za chwilę na TV24 miały być ostatnie wiadomości.

Na czerwonym pasku z napisem PILNE przesuwał się tekst, w którym widoczne były słowa: Al-Kaida, Polak, Wiedeń. Przez moment Konrad nie mógł odczytać informacji, znaleźć jej sensu, po prostu nie mógł się skupić, tak go wkurzył ten

mercedes. A mimo to wiedział już, jaka to wiadomość.

Powoli wziął do ręki pilota i włączył dźwięk. Pojawił się sygnał wiadomości i zaraz po nim Justyna z mikrofonem w dłoni przed domem Abdula przy Albrechtskreithgasse 5a w Wiedniu.

Konrad niemal usłyszał, jak uchodzi z niego powietrze. Zrobił się miękki, jakby był odlany z ciepłego wosku i pozbawiony woli życia.

„...w Wiedniu przy tej ulicy, gdzie teraz stoję, miały miejsce dramatyczne wydarzenia, których prawdopodobnym uczestnikiem był obywatel polski Karol H., znany też tutejszym służbom jako Safir as-Salam, współpracownik Al-Kaidy. W starciu zginęło dwóch austriackich policjantów, a kilku zostało rannych...”

Słuchał Justyny, która z wprawą i zaangażowaniem relacjonowała przebieg wypadków, i ostro przeklinając, zastanawiał się, co teraz będzie.

„Karol H. zbiegł i przebywa w nieustalonym miejscu. Według tutejszej policji prawdopodobnie udało mu się opuścić Austrię. Policje krajów Unii Europejskiej zostały poinformowane o tym tragicznym zdarzeniu i trwają intensywne poszukiwania terrorysty...”

Nawet nie wiesz, Justynko, w co wdepnęłaś... Mogłaś chociaż do mnie zadzwonić! – pomyślał Konrad, zamknął oczy i położył głowę na oparciu kanapy.

„Przedstawiamy państwu portret pamięciowy domniemanego polskiego terrorysty, przekazany naszej stacji przez austriacką policję. – Na ekranie pojawił się obraz pamięciowy Safira pochodzący z programu Face 69. – Jak się dowiedziałam, Karol H. może w tej chwili przebywać na terytorium Rzeczypospolitej i gdzieś się ukrywać...”

Dlaczego Austriacy to zrobili? Upadli na głowę czy co? Nie mogę tego pojąć! Przecież to nic nie da. Muszę zadzwonić do Gordona... Obyś, Brytolu, nie miał z tym nic wspólnego! – pomyślał i sięgnął po telefon.

„Łączymy się teraz z naszym wysłannikiem, który jest na ulicy Rakowieckiej przed budynkiem ABW. Zbyszku, czy Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego przedstawiła swoje oficjalne

stanowisko w tej sprawie? Czy podjęto już jakieś działania mające ustalić miejsce pobytu Karola H.? Czy był on wcześniej znany polskim służbom. Czy stwarza zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa?”

Nie zdążył wybrać numeru, kiedy telefon zawibrował mu w dłoni. Odebrał, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– No i co? – zapytał pierwszy.

– Będzie źle – odparła Sara.

– Po co to zrobili? Rozumiesz coś z tego?

– Zaczęło się medialne polowanie na Ol... na Karola. To nie wróży nic dobrego! – Była wyraźnie wściekła.

– Austriacy nawet nie wiedzą, jaką lawinę błotną uruchomili w Polsce... Znam Justynę...

– Nareszcie, ku..., mamy swojego terrorystę! Nie? Zaraz obudzi się we wszystkich stacjach i gazetach nasz chłopiec z boiska i oczywiście ten mały, co ma włosy w nosie, kluski w gębie i kielbie we łbie...

– Co robimy?

– Nie lecę do Wiednia. Nie ma już po co. Jest tam teraz twoja Justynka. Zna się na rzeczy dziewczyna... Już ona tam wszystko załatwi jak trzeba. Wyśledzi, rozpocznie polowanie z nagonką, to pewne! Jeszcze do ciebie nie dzwoniła?! Zadzwoń, zadzwoni. I poprosi ładnie: „Radeeczeku... miauu, miauu, koteczku...”. – Sara zawsze była trochę uszczypliwa wobec eksdziewczyny Konrada, a teraz miała wyśmienitą okazję, bo ten nie mógł się bronić.

– Pytam poważnie: co robimy?!

– Ona myśli, że jak jest dziennikarką, to wszyscy ją kochają. Więc odpowiadam ci poważnie...

– Daj już spokój z tą Justyną! Jesteś śmieszna. Muszę zadzwonić do George’a i...

– Mówię jak najbardziej poważnie! – powtórzyła Sara, zmieniając ton. – Nie rozumiesz?

– Co?

– Już nie powstrzymamy tych wszystkich twoich Justynek i jej podobnych dziennikarzy śledczych, komentatorów analitycznych, docentów, doktorów od terroryzmu i islamu.

Zacznie się kolejna narodowa histeria i medialny pościg za facetem wszystkich dziennikarzy... z „Głosu Ogrodnika”, telewizji... że o agencji Rutkowskiego nie wspomnę.

– Sara! – przerwał jej ostro Konrad. – Co się z tobą dzieje?! *Is anybody home?* – I złośliwie dodał: – Dziewczyno?!

Nie znosiła, kiedy tak do niej mówił, i natychmiast zamilkła. Nie wyłączyła się, co oznaczało, że udało mu się ją ostudzić. W gruncie rzeczy całkowicie się z nią zgadzał.

– Powiedz mi teraz spokojnie... Prowadzisz tę sprawę od lat. Poznałeś go... no... jesteś jedyną osobą, która poznała go osobiście...

– Właśnie staram ci się to wytłumaczyć. Słyszysz mnie? – Jej głos brzmiał spokojnie i oschle. – On teraz pójdzie na całość! Rozumiesz?! To wojownik, mężczyzna! Jest teraz jak osaczony tygrys... nie będzie uciekał, krył się... Konrad! On teraz zaatakuje! Jestem tego pewna! On wierzy w to, co robi, i jest gotów zginąć, ale tylko w walce! To nie jest gość, który pozwoli wykonać na sobie egzekucję, a już szczególnie mediom!

– Tak myślisz? – z zadumą spytał Konrad.

– Jestem pewna!

– Będziemy mieć problem...

– Już go mamy! Jego ulubionym poetą jest William Blake...

– *Tyger?*

– Dokładnie.

– Tak, to coś tłumaczy. Nie mówiłaś, że o tym wiesz. – Konrad nie mógł sobie przypomnieć, by pisała o tym w raporcie ze spotkania we Lwowie.

– Ale wiem!

– Nooo... dobrze! – rzucił pojednawczo, bo poczuł to, co podejrzewał. – Jutro porozmawiamy, co robimy dalej. Pomożesz mi z tą nową sprawą... wiesz... Marcel spisał się wyśmienicie i mamy poważne problemy nie tylko z tym Karolem... Padam z nóg... Cześć! I nie gniewaj się!

– Cześć! – odparła wcale nie służbowym tonem i wyłączyła telefon.

Leżała w piżamie na kanapie. Była już po kąpieli i jeszcze przez chwilę bezwiednie oglądała telewizję. Dokończyła herbatę

z cytryną, wyłączyła pilotem odbiornik, zamknęła okno i przeszła do sypialni. Jak zwykle wsunęła telefon pod poduszkę. Położyła się na boku i podciągnęła nogi pod brodę.

Teraz już Olek nie wywinie się śmierci... o nie... na pewno! – pomyślała i zrobiło jej się dziwnie, ale nie tak jak wtedy, kiedy sądziła, że zginął. Bo będzie tego chciał... bo chce... albo może...

– ...musi? – ostatnie słowo wypowiedziała na głos. – A skąd ty to wiesz? Dziewczyno! – dodała, naśladowując męski głos Konrada, i przygryzła wargę. – Intuicja! Chłopie! Kobięca intuicja! Czy ty wiesz, co to jest?! – odpowiedziała sobie z ironią i od razu zrobiło jej się weselej.

Wysunęła głowę spod kołdry i zgasła lampkę.

– Jestem sama ze swoimi myślami. Jak zwykle, kurwa! Najgorsze towarzystwo! – pomyślała z sarkazmem.

Była dwudziesta trzecia trzydzieści. To był wyjątkowy dzień i Sara chciała, żeby wreszcie się skończył.

Słoneczny Londyn znikł za szarymi chmurami i deszczem. Jak to Londyn.

Popowski miał na koncie sporo niebezpiecznych operacji w najróżniejszych miejscach świata i więcej sukcesów niż porażek. Cieszył się szacunkiem kolegów i podwładnych. Przy takim życiorysie wielu mogłaby uderzyć woda sodowa do głowy. Michaił jednak taki nie był i bał się tylko jednego: wielkiej, spektakularnej klapy. Bo jak się stąpa po kruchym lodzie albo wlatuje za wysoko, katastrofa prędzej czy później jest nieunikniona. Wie o tym każdy szpieg.

To, co miał teraz zrobić w Londynie, może nie wydawało się specjalnie trudne, ale było najważniejszym zadaniem w jego życiu. Od powodzenia tej misji zależało bezpieczeństwo wywiadu i Rosji. Każdy szczegół, każdy krok, słowo, spojrzenie, ruch należało wykonać idealnie, absolutnie perfekcyjnie. Jeden błąd i erupcja konsekwencji byłaby katastrofalna.

Najpierw musiał się dostać na dworzec Waterloo. Była dziewiąta trzydzieści i Popowski czuł już lekki ucisk głodu. Za godzinę miał odebrać od kuriera w dworcowym Burger Kingu niedużą paczuszkę, więc postanowił do tego czasu nic już nie jeść.

Kiedy w Moskwie przed wyjazdem powiedział generałowi Lebedziowi, że nie potrzebuje broni, otrzymał odpowiedź, że musi ją mieć do samoobrony... na wypadek gdyby Anglicy chcieli go aresztować.

„Towarzysze z Biura Politycznego byłiby bardzo niezadowoleni, gdyby jakiemuś Anglikowi stała się krzywda – wyjaśnił wówczas Lebedź. – Po sprawie Litwinienki są bardzo przewrażliwieni... boją się. Jesteś rosyjskim oficerem. Rozumiesz!” – zakończył jednoznacznie, kładąc mu obie ręce na ramionach i spoglądając w oczy jak nigdy dotąd.

Popowskiemu wydawało się wtedy, że zrozumiał, co generał ma na myśli. Ale kiedy się dowiedział, że w Londynie zostanie walthera P22, nie miał już żadnych wątpliwości, że chodziło o pieniądze towarzyszy z BP ulokowane w londyńskich

bankach i nieruchomościach. Wiedział, że taka broń nie służy do walki.

Teraz miał ją odebrać. Krzywdy Anglikom nią nie robi. Zrozumiał, że w razie wpadki jedyną formą jego samoobrony ma być samobójstwo. Walther P22 był jak stworzony do tego celu.

Ktoś niewprawiony nawet by się nie zorientował, że w jego plecaku wyładował jakiś „prezent”. Rozpakował go w toalecie i wyjął nieduży pistolet, zważył w dłoni, przeładował, zabezpieczył i schował do specjalnie zrobionej kieszeni w plecaku. Miał tylko jeden magazynek, a w nim sześć pocisków.

Mało? – zastanowił się przez moment. Hm... powinno wystarczyć.

Ale w rzeczywistości miał nadzieję, że nie będzie musiał ich użyć. Oficer wywiadu, jeśli wszystko dobrze zaplanuje, nie musi sięgać po broń.

Suicide is painless... – zaczął nucić i ruszył do wyjścia.

Wysiadł na stacji Norbiton. Wiedział, że kontrwywiad MI5 ma dobrze opanowane wszystkie trasy kolejki i metra, także przez wyjątkowo sprawny monitoring, ale to i tak zawsze sprawiało im problemy. W takim mieście jak Londyn każdej służbie by sprawiało. W Moskwie było podobnie i FSB miała nawet wyspecjalizowaną jednostkę do prowadzenia obserwacji w metrze.

Trzeba byłoby zaangażować więcej samochodów i sprzętu, odciągnąć ludzi od innych zdań. Na to liczył Michał i był pewien, że przy ruchach, które zaplanował, obserwacja musi się wyłożyć. Na polskich papierach czuł się wyjątkowo bezpiecznie. Był prawie pewny, że jest czysty, ale nigdy nie wiadomo... Mógł wejść pod jakąś obcą obserwację zupełnie przypadkowo.

Właściwie powinien wysiąść na stacji Kingston. Szpieg nigdy jednak nie chodzi najkrótszą drogą. Dlatego wysiadł ze środkowego wagonu czerwonej kolejki na Norbiton, przystanął na skraju wąskiego peronu, przy ławce, i udawał, że szuka czegoś w plecaku. Z tego miejsca mógł doskonale obserwować

wszystkich pasażerów idących w jego kierunku.

Zastosował stary, wypróbowany trik. Dyskretne prowokowanie obserwacji. Czasem jakiś młody nie wytrzyma, stary popełni błąd i się wyłoży. Zagranie bezpieczne, naturalne i łatwe.

Spośród mijających go pasażerów nie wyłowił nikogo podejrzanego, ale wytypował dwóch do bliższej kontrobservacji. Starszego mężczyznę w wełnianej czapce i dziewczynę ze studencką torbą na ramieniu.

Nie ma siły, muszą się wyłożyć – pomyślał i ruszył tuż za nimi.

Przed niedużym budynkiem dworca mężczyzna wsiadł do zaparkowanego starego opla, który idealnie do niego pasował, i odjechał. Dlatego spokojnie można było od razu go wykreślić z listy podejrzanych. Dziewczyna minęła parking, przeszła po pasach na drugą stronę Coombe Road, odbiła w lewo i zniknęła w głębi Manorgate Road.

Ruch był niewielki. Typowe londyńskie przedmieście.

Michał stał jeszcze przez chwilę przed dworcem, jakby się zastanawiał, w którą stronę ma iść, chociaż wiedział dokładnie, gdzie jest duży kompleks szpitalny Kingston. Widać go było już z dworca.

Wszystko wskazywało na to, że jest bezpiecznie. Ruszył prosto w kierunku szpitala. Żeby dotrzeć do wejścia głównego od Galsworthy Road, musiał przejść między zabudowaniami i parkingami około czterystu metrów. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Na tę część zadania miał czterdzieści pięć minut.

Spędził w szpitalu prawie pół godziny, kręcąc się po różnych oddziałach i udając zagubionego pacjenta. Przesiedział kilka minut w holu na ławce i na jakiś czas zniknął w toalecie. Udawał, że rozmawia przez telefon. Bez trudu odnalazł oddział otolaryngologiczny.

O trzynastej piętnaście wyszedł przed szpital. Rozejrzał się i wrócił tą samą drogą w kierunku stacji kolejki. Potem Coombe Road na zachód dotarł do London Road, a następnie do Old London Road. Po dwudziestu minutach od wyjścia ze szpitala wszedł do polskiej restauracji Republic przy Old London 35.

Wewnątrz siedziało parę osób. Nie był specjalnie głodny, bo

podjadł porządnie w Burger Kingu na Waterloo, ale musiał tu spędzić czas do czternastej. Mógł skorzystać z bufetu za pięć pięćdziesiąt, ale postanowił zjeść schabowego, który w menu zapisany był jako *zhabovhy*, za dziewięć dziewięćdziesiąt. Wybrał taki stolik, by mieć w polu widzenia duże okno i kontrolować, co się dzieje na zewnątrz.

Przez chwilę bezbłędną polszczyzną dyskutował z młodą kelnerką, co powinien wybrać – pierogi czy mięso, by w końcu zdecydować się na schabowego i wodę mineralną.

Położył lewą rękę na stoliku, by widzieć zegarek. Była za dwie druga, kiedy na stoliku pojawiła się butelka wody niegazowanej. Zaczął odczuwać lekki niepokój. Za chwilę nastąpi coś, co spowoduje, że zbliżające się wydarzenia złączą już życie własnym życiem. Nie będzie można ich powstrzymać.

Na zegarku wyświetliła się liczba 14 i dwa zera. Za chwilę się okaże, czy mucha jest bardziej przebiegła niż pająk. Czy walther P22 na próżno odbył podróż do Anglii, czy nie. Czy mit Michaiła Popowskiego utrwali się na tyle, by jego portret zawisł w izbie pamięci. Każdy szpieg w Jaseniewie marzy o tym, żeby niektórym kolegom kamień utkwiał w gardle, najlepiej na zawsze.

W dużym oknie polskiej restauracji Republic w Kingston upon Thames pojawił się niewysoki, otyły mężczyzna po pięćdziesiątce o wyraźnej wschodnioeuropejskiej twarzy i płaskiej, ogolonej do skóry głowie. Przypominał bardziej niewykwalifikowanego robotnika budowlanego z podmoskiewskiej oblasti niż człowieka z Jaseniewa, ale tak właśnie miało być. Michaił sam go wybrał na podstawie zdjęcia. Wyłącznie do tego zadania. Nazywał się tak, jak wyglądał. Iwan.

Teraz stał po drugiej stronie szyby i szeroko otwartymi, okrągłymi, wypłowiałymi oczami bez brwi i rzęs wpatrywał się z przerażeniem w coś niewidzialnego. W palcach ścisnął dymiącego papierosa.

Dochodziła czternasta zero jeden, a Popowski wpatrywał się w jaskrawoczerwoną czapkę, nienaturalnie sterczącą na głowie Iwana. Czekał, aż też uniesie krótkie ramię i pulchną dłoń

chwyci ją za daszek, zdejmie i znów założy.

Oznaczało to – o czym Iwan nie miał najmniejszego pojęcia – że operacja trwa dalej, że kontrobservacja, która dotąd go zabezpieczała, nic nie wykryła, że pajak bezpiecznie tka swoją pajęczynę. Od tej chwili Popowski miał już działać zupełnie sam.

Iwan zdjął czapkę jak rosyjski chłop przed panem na inspekcji pola ziemniaków, aż Michaiłowi się zdało, że za chwilę jeszcze się pokłoni.

Dobrze go wybrałem – pomyślał z zadowoleniem. Chyba nie ma u nas większego durnia.

Poruszając wargami, Iwan odliczył trzydzieści sekund, po czym włożył krzywo czapkę z powrotem na głowę, obrócił się niezdarnie w lewo, nieco pewniej w prawo i odmaszerował jak na komendę.

Misza nawet się nie zorientował, kiedy stanął przed nim granatowy talerz, a na nim złocisty panierowany kotlet z kapustą i ziemniakami. Dotąd nie był głodny, ale w tej chwili poczuł autentyczną radość i z przyjemnością zaciągnął się bukietem polskich zapachów. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– *Zdrawstwuji, Polska! Skolko let ja miecztał ob etoj wstriece...* – zanucił po cichu Aleksandra Dolskiego i wziął się do jedzenia.

W rzeczywistości to widok Iwana tak go uradował, ale sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać. No bo jak ktoś taki mógł być oficerem rosyjskiego wywiadu!

Na suficie, w samym środku obszernego pomieszczenia wielkości dwóch sal lekcyjnych, tkwiła ciemna szklana półkula. Tuż obok, pod dużym szyldem z napisem *Reception*, była wysoka, zakręcająca w lewo lada. Za nią siedziały dwie pielęgniarki w śnieżnobiałych fartuchach. Pierwsza szczupła, o głęboko czarnej karnacji, ładnych regularnych rysach typowych dla mieszkańców Rogu Afryki, w cienkich tytanowych okularach i z gęstymi włosami spiętymi wysoko z tyłu. Na plastikowej tabliczce przypiętej do lekko wzniesionej piersi widniało jej imię – Gohoa. Druga pielęgniarka była biała,

otyła i siedziała odwrócona do niego plecami.

Popowski doskonale wiedział, że pomieszczenie jest monitorowane, bo sprawdził to już wcześniej. Topografia szpitala w Kingston nie stanowiła dla niego tajemnicy, szczególnie zaś to, że oddział otolaryngologii znajduje się na drugim piętrze.

Kilka minut wcześniej wszedł do toalety na parterze. Zamknął się w kabinie, usiadł na sedesie i wyjął z plecaka płaskie pudełeczko podobne do szkolnego piórnika. Na wewnętrznej stronie pokrywki było lustro. Z wprawą przykleił sobie wąsy i bródkę w stylu goatee lub nawet Italo Balbo, założył niebieskie maskujące szkła kontaktowe, wpiął kolczyk w ucho i zmierzwił żelem włosy. Zmienił też koszulkę.

Wyszedł z kabiny. W toalecie nikogo nie było. Przejrzał się w lustro i uznał, że odmienił się wystarczająco skutecznie. Musiał jeszcze tak zapanować nad zmianą ruchów ciała, by ukryć swoją naturalną motorykę. Nigdy nie uda się w stu procentach oszukać kamery i identyfikacji człowieka, ale można przynajmniej zyskać trochę na czasie.

Podszedł do recepcji.

– Dzień dobry – odezwał się po angielsku z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Dzień dobry – czystą angielszczyzną odpowiedziała Murzynka. – Czym mogę służyć? – zapytała, pokazując piękne zęby, bielsze niż jej fartuch.

Ten widok trochę speszył Popowskiego, tak że przez moment stracił orientację.

Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety – przeleciało mu przez myśl i ni stąd, ni zowąd powiedział:

– *Hi, Gohoa!*

– *Hi!* – odezwała się grzecznie. – W czym mogę panu pomóc?
– powtórzyła, aż druga pielęgniarka oderwała się od komputera i obróciła na krzeselku.

– *Hi!* – ponownie rzucił Popowski i obie pielęgniarki zaczęły mu się przyglądać z coraz większym zainteresowaniem. – Szukam znajomego, który leży na tym oddziale. – Silił się na luzacki styl pasujący do jego wyglądu. – Peter Virag, starszy

pan z Kingston...

– Świetnie, że pan przyszedł – odparła biała pielęgniarka skrzeczącym, wysokim dyszkantem z silnym, twardym akcentem. Zabrzmiało to tak nieuprzejmie, że Michał poczuł niesmak w ustach. Na tabliczce identyfikacyjnej widniało imię Zofia i od razu było jasne, że to musi być Polka. – Czy pan jest z rodziny pana Viraga?

– Nie... skąd! Moja żona sprząta w jego domu i trochę się nim opiekujemy, ale żona wyjechała do Polski, Peter nie odbiera telefonu w domu... a komórka milczy.

– Polak? – zapytała pielęgniarka.

– Tak... pani też? Zofia? – odparł.

– Przecież pytam po polsku. – Wciąż sprawiała wrażenie nieuprzejmej. – Zna pan kogoś z rodziny pana Viraga?

– O ile wiem, to Peter nie ma rodziny. Jego żona zmarła wiele lat temu... pochodzili z Australii czy coś takiego. – Trochę się zaniepokoił niespodziewaną indagacją ze strony polskiej pielęgniarki. To nie było wkalkulowane w ryzyko, ale legenda, którą przyjął, dobrze się sprawdzała. Kiedy jednak czarna piękność, usłyszawszy pytanie o Petera Viraga, straciła pogodny uśmiech i odwróciła się do telefonu, poczuł jeszcze większe zaniepokojenie.

Było mało prawdopodobne, żeby Virag znajdował się pod kontrolą kontrwywiadu, bo pielęgniarki nie zachowywałyby się w ten sposób. Byłoby to zbyt proste i naiwne. Przez moment Michał się nawet zastanawiał, czy nie wycofać się i nie zrealizować wariantu zapasowego. Jednak czarna piękność z Rogu Afryki połączyła się z jakimś doktorem Brownem i poprosiła go o pilne przyście do recepcji. To go uspokoiło.

– Pan wie, że Peter Virag jest po całkowitej laryngektomii? – zapytała Zofia już zupełnie innym tonem, a jej twarz niespodziewanie nabrała miłego wyrazu.

– Po czym? – Popowski był wyraźnie zaskoczony.

– Całkowitym usunięciu krtani.

– Jak to? Krtani?

– Miał... ma bardzo złośliwego i rozległego raka. Ale zaraz porozmawia z panem doktor Brown, bo być może w pewnych

kwestiach będzie pan w stanie nam pomóc.

Popowski poczuł, że ugięły się pod nim kolana. Jakiś czas temu „Kwiatuszek” zupełnie niespodziewanie przesłał pilną informację SMS-em, że leży w szpitalu w Kingston i będzie miał operację. Potem jeszcze jedną wiadomość, że jest już po operacji, i zamilkł. Nikt w Jaseniewie nie miał pojęcia, na co zachorował, jednak nikogo to specjalnie nie zdziwiło, bo chorował od dawna i miał już swoje lata.

Tymczasem polowanie na muchę nabrało tempa i trzeba było koniecznie porozmawiać z Viragiem, skonsultować się z nim nawet w szpitalu. Sprawa nie mogła czekać.

– To znaczy, że... on...

– Nie mówi. Oczywiście. Ale sprawa jest poważniejsza... bardziej złożona... – Zofia urwała w pół zdania. – Idzie doktor Brown. On panu wszystko wyjaśni.

Doktor Brown był po sześćdziesiątce i w niczym nie przypominał doktora House’a. Schludny, niski, drobny, w modnych okularach, Chińczyk bez laski. Popowski zdziwił się: Brown? Chińczyk?

Gdy ściskali sobie dłoń, Zofia krótko, lecz wiernie streściła wcześniejszą rozmowę.

– Jak pan się nazywa? – zaczął doktor.

– Marek Waluś.

– Ma pan jakieś dokumenty?

Popowski wygrzebał z plecaka swój paszport i podał Brownowi, który, jak na lekarza przystało, zaczął go bardzo uważnie badać. Po chwili zwrócił dokument i zapytał:

– Rozumiem, że jesteście w bliskich relacjach?

– Można tak powiedzieć.

– Twierdził, że nie ma żadnej rodziny, że wszyscy zginęli w czasie wojny, chyba na Węgrzech, więc powiadomiliśmy opiekę społeczną. Ale kiedy jej pracownicy się dowiedzieli, gdzie i w jakim domu mieszka pan Virag, powiedzieli, że mają ważniejsze sprawy na głowie. W dodatku pan Virag wyraźnie nie życzył sobie ich wizyt – tłumaczył doktor Chińczyk.

– My się opiekujemy domem Petera... o, mam nawet klucze. – Popowski wyjął zapasowy zestaw, który zawsze był

w Jaseniewie. – Po wizycie u niego miałem tam iść...

– Nie, nie, źle się wyraziłem. Nie chodzi o dom pana Viraga, ale o niego samego. – Doktor Brown musiał mocno zadzierać głowę, by rozmówca mógł widzieć jego twarz. – Panie...

– Waluś.

– Tak... Pan Virag jest w bardzo ciężkim stanie. Po usunięciu krtani okazało się, że ma bardzo zaawansowane przerzuty do płuc i mózgu. Złośliwy guz płaskonabłonkowy. Nastąpiło ogólne wyczerpanie organizmu. Ustaliliśmy, że pan Virag nigdy się nie leczył na te schorzenia. Początkowo wydawało nam się dziwne, że doprowadził się do takiego stanu, ale od jakiegoś czasu chyba już wiemy dlaczego.

Popowski stał jak osłupiały. Chińczyk Brown opowiadał o czymś, co ani trochę nie mieściło się w londyńskim fragmencie planu operacyjnego „Pajak”, a już to, co Michaił przed chwilą usłyszał, było wręcz nieprawdopodobne. Dlaczego „Kwiatuszek” nie informował Moskwy o stanie swojego zdrowia? Każdy oficer jest do tego zobowiązany!

– Otóż pan Virag nie chce żyć – oznajmił ściszym głosem doktor. – Chce umrzeć. Po prostu.

– Co pan opowiada, doktorze?! – Popowski myślał, że się przesłyszał. – Jak to... nie chce żyć? Znaczy, że co?

– Pan Virag domaga się... nooo... domaga się, żeby szpital pomógł mu... odejść...

– Domaga się eutanazji? Tak?

– No... tak to się nazywa. Wie pan, my nie możemy dopuścić...

– Nigdy nie zauważyłem, że chciałby... no... wie pan, doktorze. Żona pewnie też nie, bo raczej by mi powiedziała.

– To może wynikać z jego aktualnego stanu, załamania psychicznego... Po laryngektomii pacjenci często popadają w depresję, bo nie mogą się porozumieć z otoczeniem, nawiązać kontaktu...

– Uff... – Popowski westchnął głęboko. – To mnie pan zaskoczył! – wyznał nadzwyczaj szczerze. – No to wszystko się po... – urwał w pół słowa. – Czyli nie można się z nim porozumieć, czy tak?

– Właściwie można... słyszy normalnie. To on ma problem.

Poza tym, że leży pod respiratorem i... niestety... jest skrepowany. Nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy położyć go w izolatce. Przez cały czas czuwa przy nim pielęgniarka. – Doktor był autentycznie przejęty tym, co mówił. – Ale to już tylko kwestia czasu. Nie miałem jeszcze takiego przypadku – dodał na końcu.

– Czy mogę coś dla niego zrobić? – Michaił już sam nie wiedział, jak ma się zachować, ale naprawdę żał mu się zrobiło „Kwiatuszka” i to, co powiedział, wypłynęło z głębi serca. Pomyślał o swoim ojcu, który zmarł w domu otoczony rodziną. W końcu też oficerze rosyjskiego wywiadu.

– Właśnie dlatego z panem rozmawiam. Spadł nam pan z nieba! – Doktor Brown nieco się rozpozgodził. – Może pan bardzo pomóc i nam, i panu Viragowi. Zgadza się pan? – Spojrzał na Popowskiego zza okularów z prośbą w swoich chińskich oczkach.

– Oczywiście! Jeżeli to coś da. Ale czego pan ode mnie oczekuje? Co miałbym zrobić? – zapytał Michaił, chociaż na dobrą sprawę powinien się odwrócić i wyjść. Szybko udać się do jego domu, wyczyścić skrytki i wrócić do Moskwy. Przecież „Kwiatuszek” nawet go nie zna, nigdy go nie widział. Jednak coś mu mówiło, że może jeszcze nie wszystko stracone i że powinien spróbować.

– Chodźmy do niego – zarządził Brown i pierwszy ruszył długim szpitalnym korytarzem. – Niech pan po prostu będzie z nim przez jakiś czas. Potrzebny jest teraz ktoś, kto stanie między nami, ktoś neutralny. Niech pan spróbuje zaoferować mu swoją pomoc. Może to coś da... może na jakiś czas...

– Nie wiem, czy potrafię.

– Niech pan tylko będzie sobą i pozwoli dojść do głosu emocjom. To doprawdy bardzo niewiele, ale nic więcej nie możemy mu już dać.

Wszedł pierwszy do sali numer 23. Za nim wsunął się Popowski. Pokój był dość duży, ale stało w nim tylko jedno łóżko. Obok kolumna z aparaturą medyczną, na której migwały różnokolorowe światełka. Na podłodze przy łóżku wózek z butlą sprężonego powietrza i aparatem do odsysania śluzu.

W pokoju czuwała pielęgniarka.

Na łóżku leżał człowiek przykryty do połowy piersi, podłączony do kroplówki. Spod narzuty wystawał cewnik. Szyja, z otworem po tracheotomii w dolnej części, była zasłonięta opatrunkiem i nienaturalnie cienka. Z nosa wystawał gruby przezroczysty przewód przypięty opaską do głowy. W pierwszym momencie Popowski miał wrażenie, że to nie człowiek, lecz jakiś kosmiczny stwór. Niewielkie wychudzone ciało w niczym nie przypominało dorosłego mężczyzny. I gdyby nie duże i żywe oczy, można by odnieść wrażenie, że na łóżku leży szmaciana kukielka.

– Jak pan się czuje, panie Virag? – zapytał miłym głosem Brown. Podszedł do łóżka, wziął go za rękę i spojrzał na aparaturę. – Będzie dobrze! – I zaraz dodał: – Przyszedł pana znajomy... pan...

– Waluś – odpowiedział natychmiast Michał, też podszedł i stanął w nogach łóżka. – Co się stało, Peter? – przejął inicjatywę, mówiąc po angielsku ze wschodnim akcentem, tonem autentycznego zakłopotania i troski. Liczył, że Virag domyśli się, kim jest i po co przyjechał. W końcu wysłał wiadomość do Moskwy, więc musiał na kogoś czekać.

Peter obserwował Michała uważnie. Martwą, woskową twarz ożywiały ruchliwe oczy, które o coś pytały. W pewnym momencie zaczął energicznie poruszać przypiętą do łóżka prawą dłoń. Popowski spojrzał na doktora Browna, który od razu dał znak pielęgniarce, by odpięła obie dłonie pacjenta.

Kiwnął porozumiewawczo głową w stronę Popowskiego i ruszył do wyjścia, a pielęgniarka za nim.

– Jestem w pobliżu, gdyby pan czegoś potrzebował – dodał i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Misza przyciągnął bliżej krzeselko i usiadł przy samej głowie Viraga, który śledził uważnie każdy ruch gościa. Wydawało się, że w oczach chorego odbija się jakiś śmieszny dziecięcy strach pomieszany z ciekawością. Sprawiało to razem dość groteskowe wrażenie i Popowski mimowolnie się uśmiechnął. Musiał wypaść bardzo naturalnie, bo woskowa twarz drgnęła w mizernym grymasie.

– *Priviet, Pietia* – rzekł cicho po rosyjsku i dotknął zimnej, kościstej dłoni. – Jak się czujesz? Co się stało?

Odpowiedziały mu tylko smutne oczy, w których zakręciły się łzy.

Popowski poczuł się skrępowany i odwrócił wzrok.

– Przyjechałeś mnie zabić? – usłyszał dźwięki na pograniczu szeptu i mlaskania i właściwie nie był pewien, czy rzeczywiście coś usłyszał.

Przybliżył twarz do twarzy Viraga, aż mógł widzieć wypukłe niebieskie żyły na jego czole pod skórą jasną jak papier śniadaniowy, gdy usłyszał ponownie:

– Przyjechałeś... mnie... zabić?

Spojrzał na starca z przerażeniem i chciał już coś powiedzieć, zaprzeczyć, gdy na zimnej twarzy pojawił się nieśmiały, delikatny, trochę złośliwy uśmiezek. A po chwili, jakby z opóźnieniem, to samo powtórzyło się w oczach. Popowski poczuł, że w tym na pozór martwym ciele tkwi jednak życie, i ogarnęło go niezwykle poruszenie, jakby uczestniczył w narodzinach dziecka.

– Dlaczego tak mówisz, Pietia? – wyszeptał. – Musisz żyć! Jesteś potrzebny ojczyźnie. Mamy ważne rzeczy do zrobienia. Rosja jest z ciebie dumna. – Pierwszy raz był w takiej sytuacji i nie potrafił znaleźć właściwych słów, więc zabrzmiał jak urzędnik na świeckim pogrzebie, przemawiający z tandetnym patosem.

Viragowi jednak musiało się spodobać to, co usłyszał, bo uśmiechnął się już znacznie wyraźniej, aż coś zaświszczało w otworze tracheotomicznym. Poruszył głową i chwycił Michaiła za rękę. Memłął ustami, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Oczami wskazał na szafkę przy łóżku, na której leżał kołnотatnik A4, i Popowski od razu zrozumiał, o co mu chodzi. Okazało się niespodziewanie, że w Peterze Viragu drzemie jeszcze całkiem sporo życia.

– Aleksander Konstantinowicz prosił, by serdecznie was pozdrowić, towarzyszu pułkowniku – wyszeptał Michaił i poczuł, jak dłoń Pieti zaciska się na jego przegubie.

– Sasza... Alik – odczytał z ruchu pomarszczonych ust. Alikiem

nazywali generała Lebedzia tylko najbliżsi przyjaciele.

– Nazywam się Michaił Wiktorowicz Popowski...

Virag wyraźnie się rozpromienił.

– Syn... Wiktora... Mironowicza? – zapytał z ogromnym wysiłkiem, bezdźwięcznie, robiąc wyraźne odstępy między słowami. Z uznaniem pokiwał głową, co oznaczało, że musiał go znać.

– Tak – odparł Michaił. – Zmarł prawie pół roku temu na raka.

Virag wysoko uniósł wypłowiałe brwi.

Popowski był już pewny, że nawiązał z nim dobry kontakt. Dopiero teraz przypomniał sobie, po co tu właściwie przyjechał. Ale doświadczył też czegoś więcej. Pierwszy raz zdał sobie sprawę, że istotą następstwa pokoleń jest nic innego, tylko śmierć. Wydawać by się mogło, że to taka oczywista, prosta prawda, ale kiedy człowiek ją dostrzega, czuje na sobie ciężar przeszłości i przyszłości, bo wie, że teraz to on jest następny w kolejce.

To nie napływało do niego w postaci uporządkowanych myśli, to działo się samo z siebie, jakby było jego obowiązkiem zapisanym w genach, gwiazdach, szumie drzew i morza, w tchnieniu Boga.

– Zabijesz... mnie? – wydobyło się jakby z jakiejś otchłani i usta starca złożyły się w sylaby: – Po... mo... żesz?

Michaił nie wiedział, czy to pytanie, czy bardziej rozkaz. A jednak teraz nie poruszyło go to tak jak wcześniej.

– Dlaczego, Piotrze? Co się dzieje?

Virag wyraźnie się ożywił, podniósł ręce, oparł łokcie o łóżko i jak w pantomimie zaczął wskazywać dłońmi i palcami siebie, swoje gardło, głowę. Ta niezwykła inscenizacja, wsparta błagalnym wyrazem oczu i przyspieszonym oddechem, oznaczała jedynie, że Peter Virag wie, iż wkrótce umrze, i prosi o ulgę w cierpieniu.

Wziął od Popowskiego kołnotatnik i ołówek. Zaczął niezdarnie pisać, a Michaił przytrzymał go w wygodnej pozycji. Z rurki tracheotomicznej za każdym nerwowym, głębszym oddechem wyskakiwały drobiny śluzu.

Virag pisał cyrylicą, krzywo, niewyraźnie.

– Chcę leżeć przy Mary na Bonner Hill. Rozu...

– Rozumiem – wyszeptał Michaił.

Starzec zrobił taką minę, jakby uznał, że wszystko jest oczywiste i uzgodnione, a zdecydowany ruch głową w górę i w dół nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Peter Virag był pewny, że spocznie obok Mary i że Michaił mu pomoże.

– Wiesz, co dalej...

Pisał zupełnie sprawnie, jakby nabrał nowego życia, ale Popowski absolutnie sobie nie wyobrażał, że mógłby w jakikolwiek sposób pozbawić go życia. To było z jednej strony całkiem irracjonalne, lecz z drugiej wiedział, że w plecaku ma walthera. Najbardziej odrzucało go to, że Virag używał słowa „zabić” w sposób tak obcesowy, jakby nie potrafił albo nie chciał wyrazić się inaczej.

Michaił pokiwał głową i wyciągnął pęk kluczy.

– Wiem, Pietia, wiem dobrze – odparł. – Idziemy zgodnie z planem awaryjnym... East Road wyczyścimy jak trzeba, będzie dobrze...

Virag mu przerwał, unosząc palec wskazujący.

– Tak, tak... wiem... – zapewnił Popowski. – Pion „S” już dawno przygotował spadkobiercę, który ma zamieszkać w twoim domu, ale to potrwa... no... zaskoczyłeś nas trochę.

Virag pokręcił głową.

– O co chodzi, Piotrze? Nie rozumiem. – Przybliżył się do niego.

– Skryt... ka – wymlaskał tamten z trudem i pogroził palcem.

– Wiem, w piwnicy. Wiemy – odparł uspokajająco Michaił, ale Virag znów pokręcił głową. – Nie rozumiem...

– Biur... ko – wykrztusił starzec wraz z drobinkami śluzu.

– Biurko?

Przytaknął.

– Co... biurko?

Machnął ręką i wziął notatnik. Zaczął w nim pisać. Z trudem kreślił rosyjskie litery, ale widać było, że chce napisać coś ważnego. Michaił przytrzymał mu notatnik i czekał.

„W gabinecie na piętrze jest biurko, w nim moja skrytka, nikt

nie wie, są tam dokumenty do pracy. Jeden jeszcze nieszyfrowany. Bardzo ważny, nie zdążyłem wysłać. Ważny! – To słowo było podkreślone dwa razy. – Przeczytaj, zabierz i przyjdź. Powiem ci coś! Ważny! – Znów podwójne podkreślenie i prosty szkic, gdzie jest skrytka i przycisk, by ją otworzyć, a na samym końcu dopisek: – I przynieś mój pistolet”.

– Dobrze, Pietia, ale... pistolet? Po co?

Virag zmarszczył brwi i gwałtownie ścisnął rękę Popowskiego.

– Dobrze – wyszeptał Michał. – Jak chcesz. Tak zrobię. Przyjdę jutro do ciebie.

Virag pokiwał głową.

– Chciałem cię o coś... – Popowski urwał w pół zdania i niezdecydowanie dodał: – Przyjechałem tu też, żeby z tobą... – Znów przerwał, zamyślił się i ku zaskoczeniu Viraga rzucił: – Nieważne!

Zrozumiał, że rozmowa z „Kwiatuszkim” na temat agenta „Yorka” i próba zidentyfikowania muchy nie mają w tej sytuacji najmniejszego sensu. Jadąc do Londynu, liczył na solidną rozmowę z Viragiem, na jego sugestie, pomysły i podejrzenia, które pozwoliłyby znaleźć sposób na wprowadzenie za pośrednictwem IRA takich wibracji operacyjnych wewnątrz SIS, żeby na drugim końcu Europy, zgodnie z efektem motyla, zabzykała w objęciach pająka zgwałcona angielska mucha.

Tak to sobie wcześniej wykombinował i do swojej idei przekonał obu generałów. A tu niespodziewanie pomieszał mu szyki jakiś cholerny płaskonabłonkowy rak krtani z przerzutami.

– Przyjechałem, żeby ci pomóc, Pietia, bo martwimy się o ciebie, ale... chcieliśmy też czegoś się dowiedzieć w sprawie „Yorka”. – W akcie desperacji Popowski zdecydował się jednak wyłożyć główny cel swojego przyjazdu, bo nawet w najczarniejszym scenariuszu nie zakładał, że Virag będzie na krawędzi życia, w dodatku bez krtani. – Na podstawie twoich informacji sprzed lat... nawet o tym nie wiedziałeś... jakiś czas temu doszliśmy do wniosku, że w Jaseniewie siedzi angielski kret... pieprzony zdrajca. Dobrze się maskuje, jest spokojny,

delikatny i wyważony. Próbowaliśmy go sprowokować i nic. – Nakręcał się coraz bardziej. – Sprawdzamy nieustannie, karmiąc fałszywkami to tu, to tam, a on nic, ani drgnie. Odzywa się tylko wtedy, kiedy chce, i nic nie kupuje, trutki nawet ogonem nie trąci, omija pułapki, jakby sam je zakładał. A teraz, Pietia, sprawa stała się pilna... bardzo pilna – szeptał Viragowi do ucha jak w jakimś transie, sam nawet nie wiedział dlaczego, ale coś mu mówiło, że jeśli tego nie zrobi, nie będzie mógł spokojnie wrócić do Moskwy.

– Moja skryt... ka – wyciamkał Peter. – Tam do... ku... ment... mówiłem. Prze... czytasz, pomówi... my. – Virag wydawał z siebie zadziwiająco wyraźne dźwięki, nagle jednak pomachał dziwnie dłonią w powietrzu i wykrztusił z tchawicy sporą grudkę śluzu. – Pielęg... – wyszeptał i zaczął szukać dłonią przycisku. – Idź... jutro... przyjdź. – Wyglądał, jakby brakło mu powietrza i zaczynał się dusić.

Popowski wyrwał z kołonotatnika zapisane kartki i schował je do tylnej kieszeni dżinsów. Stał już przy drzwiach i trzymał za kłamkę, gdy odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na Viraga. Peter wyraźnie pobladł, ale dawał Popowskiemu znaki ręką. Z ogromnym wysiłkiem, niemal bezgłośnie, mówił do niego ni mniej, ni więcej, tylko:

– Pod... lej kwia... ty w do... mu.

Michaił minął się w drzwiach z pielęgniarką pędzącą na wezwanie. Z pokoju numer 23 skierował się prosto do recepcji, by porozmawiać z czarną piękną o imieniu Gohoa i przekazać za jej pośrednictwem doktorowi Brownowi, że zaopiekuje się Peterem Viragiem i przyjdzie do niego jutro. Zapewnił, że pacjentowi wróciła wola życia i nie trzeba go już krępować.

Niestety, w recepcji była tylko gruba Zofia, która jednak z ogromną radością przyjęła jego słowa i obiecała poinformować doktora natychmiast, jak tylko wróci z obchodu.

„Podlej kwiaty w domu”. Brzmiały mu nieustannie w pamięci ostatnie słowa Viraga, ale w żaden sposób nie potrafił ich zinterpretować. Bo przecież Pietia nie mógł mieć na myśli prawdziwych kwiatów. Jego pragnienie śmierci ani trochę nie

pasowało do tej prośby. Więcej, stało w oczywistej z nią sprzeczności! Michaił sam był kawalerem i żaden kwiat, żadna roślina nie zdołała dotąd samodzielnie przeżyć miesiąca w jego domu. Z wyjątkiem dwóch kaktusów.

Taki jest los samotnych wywiadowców – pomyślał.

Niemniej jednak postanowił uważnie obejrzeć wszystkie rośliny w domu na East Road.

Zatrzasnął za sobą drzwi i stanął w przedpokoju. Wewnątrz panował półmrok.

To był dość typowy ceglany angielski dom, wybudowany w początkach XIX wieku. Z przedpokoju na piętro prowadziły szerokie proste schody. Na prawo były otwarte podwójne drzwi do obszernego salonu z kominkiem, a na lewo – pojedyncze do biblioteki. Na wprost biegł korytarz i widać było jeszcze trzy pary drzwi do pozostałych pomieszczeń.

Przez chwilę Michaił stał z zamkniętymi oczami i przypominał sobie rozkład pokoi, kuchni, piwnicy. Wydawało mu się, że zna dom przy East Road, jakby się w nim urodził i mieszkał całe życie. Dokładnie wiedział, gdzie co jest, pamiętał rozstawienie mebli i kolor zasłon. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, gdzie stoją rośliny, które miał podlać. Trochę go to niepokoiło. Może Virag chciał mu przekazać w ten sposób coś, co powinien teraz rozszyfrować.

Film operacyjny jakości HD, który obejrzał w Moskwie, ukazywał mieszkanie do najdrobniejszego detalu. Nakręcił go sam Virag kilka miesięcy temu. Zza kadru słychać było jego zachrypnięty głos, wyjaśniający, co gdzie się znajduje. Dlatego Popowski miał tak silne wrażenie, że zna ten dom jak własny, chociaż nigdy w nim nie był. Jednak do pełnego obrazu czegoś mu brakowało, a właściwie coś powodowało, że obraz wnętrza, który widział w Moskwie, był jakby ten sam, ale nie taki sam.

Po chwili zdał sobie sprawę, że to złudzenie wywołuje zapach wiszący w nieruchomym powietrzu tego na pozór martwego domu. To nie był przykry zapach, ale też nie wiązało się z nim żadne wspomnienie, które mógłby zidentyfikować, określić. Każdy dom pachnie inaczej, tak jak człowiek, który w nim mieszka.

Biedny Rosjanin pachnie inaczej niż biedny Anglik, bogaty Ukrainiec inaczej niż bogaty Francuz – pomyślał Michaił i rozejrzał się uważniej, gdy oczy przywykły już do ciemności.

Po zapachu można poznać tchórza, kobietę w ciąży, żołnierza i księdza, ale to nie jest język międzynarodowy, uniwersalny. Bywa jednak i tak, że przeszłość też ma swój zapach, swój odcień. Feromony historii potrafią trwać w powietrzu jak nieśmiertelne dźwięki muzyki.

I to był właśnie ten rodzaj zapachu, którego Popowski nie potrafił rozpoznać, choć znajdował się przecież w domu Rosjanina.

W każdym domu dominuje woń ostatniego właściciela, na którą nakładają się zapachy wszystkich wcześniejszych gospodarzy. Tak mieszają się czasy i ludzie. Tu można było wyczuć lekko zaznaczony bukiet whisky, gdyż od czasu wybudowania domu wszyscy jego właściciele spożywali ten alkohol, rzadziej sherry, a już z pewnością nie rocznik 51. Spożywali nieustannie, przy każdej okazji i bez okazji. Nie raz, nie dwa przez ponad dwieście lat whisky rozlewała się na podłogę, wsiąkając w dywany, posadzkę, w drewniane stropy.

Tytoń palony we wszystkich możliwych odmianach działał podobnie na ściany, przenikając je na wskroś, i tylko ich zburzenie mogłoby zmienić ten stan. Mieszany efekt whisky i tytoniu skutecznie tłumił lekko kwaśną woń grzyba z piwnicy i wilgoci, złamaną bardzo starym nalotem dymu z kominka z dodatkiem słabego, słodkawego odcienia gazu ziemnego. Na samym końcu między tymi nutami trwały wypłowiałe zapachy przypraw korzennych i suszonych jabłek.

Nie było za to czuć żadnych odświeżaczy powietrza, płynu do naczyń, proszku do prania, dezodorantów, wody po goleniu czy płynu do kąpieli i może dlatego zapach w domu przy East Road tak zmylił Popowskiego.

Nie zapalił światła. Włożył lateksowe rękawiczki i wszedł na górę po cicho skrzypiących schodach. Otworzył drzwi pokoju Viraga.

W mroku mógł dostrzec kontury mebli. Podszedł do okna i zaciągnąwszy ciężkie pluszowe story, po omacku dotarł do

biurka. Zapalił mosiężną lampkę typu bankers z zielonym kloszem i ujrzał duży mahoniowy mebel w stylu chippendale. Żarówka o mocy siedemdziesięciu pięciu watów rzucała na blat mocne światło i rozsiewała wokół niewielką poświatę. Reszta pokoju tonęła w głębokim cieniu.

Popowski wiedział, że to ponadtrzydziestometrowy pokój pełen antyków, starych mebli, obrazów w złoconych ramach i wszechobecnych książek. Teraz jednak musiał się skupić na poszukiwaniach w biurku Viraga. Lampka rzucająca niskie światło nadawała się do tego wysmienicie.

Na ogromnym blacie stało brązowe popiersie admirała Nelsona z obtłuczonym nosem, miedziany koszyczek na przybory biurowe, arabski dzbanuszek do parzenia kawy, szklana kula na srebrnej podstawie, mikroskop z XVII wieku i hebanowy słonik. Na środku leżało czarne wieczne pióro. Po prawej stronie stała butelka whisky Glen Scotia 1973 i pusta kryształowa szklanka. Butelka była pełna, a szklanka czysta. Odkręcił nakrętkę i zawahał się na moment. Nie był pewien, czy powinien wlać whisky do szklanki, z której mógł przecież pić Virag. Pociągnął łyk prosto z butelki.

Znalazł przycisk w bocznej ścianie biurka i delikatnie go nacisnął. W blacie otworzyła się skrytka. Popowski nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nigdy by nie przypuszczał, że skrytka może być umieszczona w takim miejscu i tak idealnie zamaskowana. Praktycznie nie było możliwości, by ją zauważyć. Od razu też było widać, że nie jest dziełem specjalistów z techniki operacyjnej, lecz integralną częścią mebla.

Prostota jej obsługi i zamaskowanie były tak pomyślane, że siedzący przy biurku, nawet zaskoczony, mógł ukryć dokument w ciągu sekundy. Michaił nie wiedział, że skrytkę wykonał sam Thomas Chippendale w XVIII wieku i że od chwili powstania wciąż służyła z powodzeniem do tego, do czego została stworzona.

Pod uchyloną pokrywą znajdowało się wyłobienie o rozmiarze nieco większym niż kartka papieru, głębokie na pięć centymetrów. Wewnątrz widać było cienką żółtą tekturową

teczkę zapinaną na gumkę. Przyciągnął bliżej lampkę, uchylił szerzej wieko skrytki, delikatnie wyjął teczkę i położył na blacie.

Dopiero wtedy dostrzegł, że wewnątrz leży jeszcze mały pistolet, a obok niego kolorowe pudełko cygar.

– Nieprawdopodobne! – powiedział na głos, biorąc broń do ręki.

Beretta 418! Skąd, do licha, u Viraga taka zabawka? Nawet nienaoliwiona.

Wysunął pusty magazynek. W pudełku też nie było żadnej amunicji.

Po co mu taki archiwalny pistolecik, i to bez nabojów? – pomyślał ze zdziwieniem i lekkim rozbawieniem. W tajnej skrytce? To mu się przecież do niczego nie przyda.

Przez chwilę potrzymał broń na dłoni i odłożył z powrotem do skrytki.

Wyjął cedrowe pudełko Morland Cigar. Wewnątrz jednak cygar nie było. Były za to równo ułożone strzykawki jednorazowe, mały spray do dezynfekcji, waciki i ampułki z napisem „Morphinum”.

O ile zabytkowa beretta bez amunicji była dla Popowskiego zaskoczeniem, o tyle pudełko z morfiną nie wymagało żadnych wyjaśnień.

Pociągnął potężny łyk whisky i odstawił pudełko do skrytki. Teraz wiedział, co znaczyło wyszeptane z takim trudem pytanie: „Zabijesz mnie?”. Pomyślał, że skoro beretta bez amunicji do niczego się nie nadaje, to może będzie lepiej, jeżeli zanieś mu morfinę. Czuł, że ta sytuacja go przerasta i że być może nie powinien był słuchać nalegań Viraga i powstrzymać się od jakiegokolwiek działania. Jednak jego beznadziejny stan i przerażająca samotność w oczekiwaniu na śmierć wzbudzały w nim tak głęboką litość, jakiej sam oczekiwałby w podobnym położeniu.

Wyjął pudełko z morfiną i strzykawkami i schował do plecaka.

Nabrał głęboko powietrza w płuca, pociągnął jeszcze raz z butelki i przysunął do siebie żółtą teczkę. Ściągnął gumkę, otworzył i jego oczom ukazała się pierwsza strona równo

zapisana staranną, wręcz kaligraficzną cyrylicą. Gdziekolwiek widoczne były skreślenia, znaczki, jakieś podkreślenia i zmiany. Popowski nie miał żadnych wątpliwości, że leży przed nim rękopis depešy, o której „Kwiatuszek” mówił w szpitalu.

Natychmiast nr... Miejsce: Dublin... Czas... Agent kryptonim „York”. Moskwa...

„Y” przyjechał na spotkanie przy Martello Tower punktualnie. Samochód prowadził jego ochroniarz. Ten co zawsze. Gdy odeszliśmy, wysiadł z samochodu i obserwował nas z oddali. „York” nigdy nie ujawnił jego tożsamości.

RELACJA

Podczas spotkania „York” przekazał następujące dwie informacje. Jako przedstawiciel frakcji IRA spotyka się od kwietnia ubiegłego roku z zastępcą szefa wywiadu północnokoreańskiego, generałem Lee Young-chulem. Odbyło się dotąd osiem spotkań. Wszystkie w hotelach w Warszawie. Lee ~~w towarzystwie dwóch ochroniarzy przyjeżdża z Moskwy~~ (?). Ostatnie odbyło się tydzień temu. IRA nie utrzymywała już współpracy operacyjnej z KRL-D tak jak w latach poprzednich, jednak wciąż podtrzymywała kontakty techniczne. Odpowiadał za nie bliski współpracownik „Yorka”, Tom Flynn, który ma znać Lee od lat.

Lee Young-chul zaproponował „Yorkowi” przeprowadzenie wspólnie dwóch operacji specjalnych o wyjątkowym znaczeniu dla bezpieczeństwa międzynarodowych rynków finansowych i relacji polityczno-militarnych, w szczególności na Dalekim Wschodzie.

„Superdolar”

Według informacji pochodzących od generała Lee wywiad KRL-D uzyskał w Japonii dostęp do technologii umożliwiającej produkcję nowych banknotów, tak zwanych amerykańskich superstudolarówek, które niedawno weszły do obiegu.

Produkcja ma się odbywać pod nadzorem specjalistów sprowadzonych do Korei siłą lub specjalnie opłaconych. Głównym założeniem tego projektu jest wyprodukowanie banknotu o jakości zbliżonej do oryginału, możliwej jednak do odróżnienia dopiero po specjalistycznym badaniu. Koreańczycy proponują IRA sprzedaż fałszywych banknotów w cenie 1:0,25. W pierwszej transzy 100 milionów dolarów. „York” poinformował mnie jednoznacznie, że IRA zamierza uczestniczyć w tym przedsięwzięciu, gdyż potrzebuje pilnie środków finansowych na swoje nowe projekty w Ulsterze (chodzi o wykupywanie nieruchomości). IRA ma możliwość wprowadzenia pieniędzy do obiegu przez własne struktury bankowe i kontakty w światowych organizacjach finansowych. Na spotkaniu w Warszawie w maju generał Lee poprosił o umożliwienie mu nawiązania kontaktu z Al-Kaidą. Stwierdził, że po śmierci Bin Ladena i zmianach w kierownictwie stracili pewny kanał łączności. „York” przekazał Lee kontakt na łącznika Al-Kaidy w Sztokholmie, utrzymywany przez Flynna. Koreańczycy chcieliby wykorzystać możliwości Al-Kaidy we wprowadzaniu banknotów do obiegu w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Rynek chiński i indyjski mają już opanowany. Podobnie Amerykę Południową. Zajmuje się tym prawdopodobnie wywiad kubański. Tak to zrozumiał „York”. Koreańczycy liczą, że uda im się w ciągu pół roku wprowadzić na rynek 3 miliardy fałszywych dolarów. Powodzenie operacji zależy od skoordynowanego uderzenia wszystkich podmiotów, by uniemożliwić władzom USA szybką reakcję. Według informacji „Yorka” akcja ta ma przynieść poważne korzyści finansowe KRL-D, przede wszystkim mające posłużyć do finansowania zakupu komponentów do ich programu raketowo-jądrowego. ~~„Y” przedstawił swoją ocenę skutków finansowych tego przedsięwzięcia, której jednak nie będę przytaczał, pozostawiając ją wnikliwej analizie naszych specjalistów.~~

„Statek”

Na przedostatnim spotkaniu w Warszawie generał Lee próbował sondować „Yorka” w sprawie możliwości zorganizowania przez IRA ataku terrorystycznego polegającego na wysadzeniu tunelu pod kanałem La Manche. Twierdził, że ma możliwość dostarczenia w dowolne miejsce specjalnego ładunku wybuchowego o potężnej sile rażenia. Atak miałby być zsynchronizowany z wprowadzeniem fałszywych studolarówek na rynki światowe. Lee zaproponował IRA 200 milionów fałszywych dolarów za przeprowadzenie tej operacji. „York” kategorycznie odmówił udziału w jakichkolwiek akcjach terrorystycznych, zgodził się natomiast na zakup superdolarów. Na ostatnim spotkaniu zapytał Lee, czy dalej planują atak terrorystyczny na tunel. Uzyskał odpowiedź, że zmienili plany i tunel pozostanie bezpieczny, o ile Zachód nie zaostrzy swoich działań wobec KRL-D. ~~W mojej ocenie Pjongjang testuje Europę i daje sygnał, żeby Paryż i Londyn zastanowiły się dwa razy, zanim poprą Waszyngton w sankcjach przeciw Korei.~~

Pod koniec maja Tom Flynn uczestniczył w nawiązaniu kontaktu między przedstawicielem generała Lee, niejakim Kim Son-sakiem, a łącznikiem Al-Kaidy w Sztokholmie. Pierwotnie miało się to odbyć w Wiedniu, ale tamtejszy łącznik Al-Kaidy okazał się współpracownikiem brytyjskich służb. Przed spotkaniem w Sztokholmie Flynn upozorował wobec Kim Son-saka, że gotów jest przekazać im kontakt na łącznika, jeśli otrzyma odpowiednie wynagrodzenie. Koreańscy stanęli pozornie w sytuacji bez wyboru i wypłacili mu 2 miliony prawdziwych dolarów. W rzeczywistości sytuacja ta była ukartowana i cała kwota została podzielona między Flynna i generała Lee. Irlandczyk prowadzi jego finanse od wielu lat i wykonuje inne jego prywatne zlecenia za granicą. Pieniądze wpłynęły na konto Lee w Szwajcarii. Lee jest przekonany, że „York” nie wie o jego specjalnych relacjach z Flynnem. Pieniądze uzyskane z tytułu wspólnych interesów z Lee Flynn przeznacza na cele IRA. W ten sposób Irlandczyk został włączony do sztokholmskich rozmów z Al-Kaidą, które de facto odbywały się pod kontrolą „Yorka”. Stąd pochodzi informacja.

Spotkanie się odbyło i uczestniczył w nim Kim Son-sak

i człowiek z ich ambasady w Sztokholmie, Cha Chol-sik. Koreańczycy dysponują w Skandynawii nieznanym dotąd ładunkiem wybuchowym o niezwyklej sile rażenia i stosunkowo niewielkich rozmiarach. Zainteresowani są przeprowadzeniem ataku na tankowiec lub gazowiec. Gotowi są zapłacić za tę operację 300 milionów superdolarów. ~~Mają wytypowany konkretny statek jako cel ataku. Uderzenie miałoby nastąpić w cieśninie Bab al-Mandab między Jemenem a Dżibuti.~~ Według Lee nikt na świecie prócz Al-Kaidy nie ma możliwości dokonania akcji w tym miejscu. Przypominałaby uderzenie na amerykański okręt USS Cole w Adenie. Łącznik Al-Kaidy w Sztokholmie nie chciał rozmawiać na ten temat, twierdząc, że nie ma pełnomocnictw. W rzeczywistości sprawiał wrażenie mocno przerażonego. Zapowiedział, że powiadomi odpowiednie osoby i skontaktuje się za pośrednictwem Flynna. Koreańczycy nie chcieli podać żadnych szczegółów planowanej operacji, dopóki Al-Kaida nie podejmie choćby wstępnego zobowiązania, że jest zainteresowana tym projektem.

Flynn nie ma w chwili obecnej możliwości ustalenia bliższych szczegółów planowanego ataku.

Niedawno łącznik Al-Kaidy poinformował, że wkrótce przyjedzie do Sztokholmu ktoś, kto będzie w stanie rozmawiać o szczegółach. „York” ma się starać, by w rozmowach brał udział Flynn, ale nie może tego zagwarantować bez wzbudzania podejrzeń Al-Kaidy, Koreańczyków i samego generała Lee, który ma ograniczone pole manewru. Twierdzi, że jest pod stałą obserwacją jednego ze swoich ochroniarzy.

ANALIZA

1. „York” przekazał informację dotyczącą zamachu bombowego w poczuciu odpowiedzialności za życie niewinnych ludzi. Mimo wszystko jednak jego celem nadrzędnym jest sprawa irlandzka i walka IRA o wyzwolenie Ulsteru. Innymi słowy, w zakresie ideowo-politycznym „York” nie zmienił się od czterdziestu lat i już się nie zmieni. To typowe dla ludzi z frakcji związanej

z Partią Postępową, której przecież sam przewodzi.

2. Według informacji „Yorka” Koreańczycy chcą dokonać symultanicznie operacji „Superdolar”/„Statek”, ale wedle jego oceny nie są one ze sobą powiązane sine qua non. W ocenie „Yorka” Lee widzi obie operacje bardziej w kategoriach „byłoby dobrze” niż „musi być”. Niemniej jest to tylko ocena „Yorka” zbudowana na podstawie poszlak. Nie był też w stanie podać przekonujących przesłanek, korzyści i celów operacji „Statek” dla Korei Północnej. Warunek symultanicznego efektu jest mało wiarygodny.

3. IRA zdecydowana jest uczestniczyć w operacji „Superdolar” i w żadnym wypadku nie oczekuje z naszej strony jakiegokolwiek oceny ani akceptacji dla swoich działań. „York” stawia sprawę jasno: IRA podejmie działania w kwestii uzyskania szczegółowych informacji o planowanej akcji „Statek” w zamian za ciche wsparcie naszej służby w ich udziale w akcji „Superdolar”. Podjęcie aktywnych działań w tym zakresie „York” uważa za niezwykle ryzykowne, dlatego oczekuje co najmniej naszej neutralności. Oceniam, że „York” wyraźnie gra tym tematem i pozornie deprecjonuje swoje możliwości, by jednocześnie podnieść ich wartość i utrwalić swoją pozycję. Wydaje mi się, że Flynn jest na bieżąco w kontakcie z łącznikiem Al-Kaidy w Sztokholmie i uczestniczy w rozmowach na równych prawach. „York” jest zbyt wytrawnym graezem, by mogło być inaczej.

4. Co więcej, „York” chciałby pójść krok dalej i proponuje włączenie możliwości SWZ w Afryce (w handlu diamentami) do czyszczenia pieniędzy. W jego ocenie jeżeli nie zrobimy tego wspólnie, i tak zrobi to Al-Kaida. Ponadto „York” sugeruje nam zastanowienie się nad ewentualnymi korzyściami finansowymi i gospodarczymi dla Rosji w wypadku powodzenia koreańskiej operacji „Superdolar”, głównie w odniesieniu do naszych relacji z Chinami.

5. IRA nie będzie rościć sobie żadnych praw do politycznego zdyskontowania sprawy „Statek”. Ewentualne polityczne korzyści z tytułu zapobieżenia poważnemu atakowi terrorystycznemu ze strony Al-Kaidy przypadną wyłącznie

władzom rosyjskim.

6. „York” nigdy nie był agentem pierwszej klasy. Jako ideowy marksista, Irlandczyk i konspirator nigdy na takiego się nie nadawał. Sprawy „Superdolar” i „Statek” dowodzą jednoznacznie, że moje dotychczasowe podejrzenia i oceny co do stopnia dyspozycyjności „Yorka” były w większości błędne. „York” współpracę z nami traktuje czysto instrumentalnie, a dokładniej – wykorzystuje ją wyłącznie dla dobra IRA. Muszę przyznać ze smutkiem, że lata mojej pracy nad tym kontaktem przyniosły niewielki pozytywny efekt.

~~7. Przedstawiłem przebieg naszego ostatniego spotkania wnikliwie i dokładnie. Nie znaczy to jednak, że przedstawiłem obiektywny obraz spraw. Wymagają one oczywiście weryfikacji z innych źródeł informacji. Nie znaczy też, że przedstawiłem obraz fałszywy. Przedstawiłem obraz spraw widziany oczami „Yorka”, czyli taki, jaki chcieliby widzieć w IRA, a nie tak, jak wygląda on w rzeczywistości. Nie mogę ocenić, jakie są nasze możliwości wpływu na IRA w tych sprawach, a właściwie kim kim może skutecznie manipulować. Nie mogę zatem stwierdzić, że wszystko, o czym poinformował mnie „York”, jest kłamstwem, grą, inspiracją, ani też, że jest prawdą. Rozumiem, że moja aktualna ocena sprawy może być rozbieżna z moimi wcześniejszymi raportami, więc gotów jestem przyjechać do Moskwy, złożyć szczegółowe wyjaśnienia i poddać się osądowi kierownictwa...~~

Na tym tekst notatki się urywał, lecz można było odnieść wrażenie, że to nie koniec analizy, że Peter Virag chciał coś jeszcze powiedzieć.

Poniżej widniał odręczny, nakreślony w poprzek, dosyć niewyraźny zapis:

„Tom Flynn? Kim jest Flynn? Klucz...”

Popowski czuł dziwną pustkę w głowie. Wydawało mu się, że jest w jakimś nierealnym świecie ze szpiegowskiej bajki i gdy za chwilę się obudzi, okaże się, że wszystko to był tylko wytwór chorobliwej wyobraźni, zmęczenia i zawodowego stresu.

Odłożył kartkę i chwycił mimowolnie butelkę. Podświadomość mówiła mu, że to teraz jedyny sposób, aby się wydostać z tej

bańki i przeskoczyć do rzeczywistości. Pociągnął dwa mocne łyki.

– To niemożliwe! Kurwa! Niemożliwe! – wyrzucił z siebie na głos i od razu poczuł, że wraz z uderzeniem whisky do mózgu wróciła mu jasność myślenia.

Uch... towarzyszu generale... chyba tego nie ukartowaliście? – pomyślał z niepokojem. To jakaś pułapka Siemionowa? Czy może niespodzianka? Chyba nie robicie mnie w konia, towarzyszu generale, co? Mam nadzieję.

Odstawił butelkę i pomyślał, że właściwie powinien przeczytać ten tekst jeszcze raz, żeby dokładnie zrozumieć, co Peter Virag napisał i dlaczego pewne rzeczy wykreślił. Po chwili jednak uzmysłowił sobie, że to przecież on sam postanowił wykorzystać „Kwiatuszka” do złapania muchy. No i, rzecz jasna, nikt nie wyciąłby staremu krtani tylko po to, żeby uwiarygodnić jakąś mistyfikację.

Niespodziewanie wybuchnął śmiechem, aż opryskał kropelkami śliny leżący przed nim dokument. Chociaż...

Z nerwów człowiek może zobaczyć nawet żywego Lenina, a co dopiero... – wytłumaczył sobie swoje aberracyjne myśli o generale Lebedziu. Dobra. Muszę teraz to wszystko jakoś uporządkować. Co tu jest grane? Bładź! Co jest grane?!

Schował teczkę do plecaka i zamknął skrytkę. Pistolet bez amunicji zostawił w pudełku. Zgasił lampkę na biurku i w pokoju zapadła ciemność. Wyjął swoją latarkę, po czym, podążając za jej promieniem, ruszył w kierunku drzwi.

Gdy był już na korytarzu, przypomniał sobie o prośbie Viraga. Jednak nigdzie nie zauważył żadnych roślin. Po prawej stronie były zamknięte drzwi do sypialni.

Nacisnął na klamkę i pchnął ciężkie skrzydło, które cicho zaskrzypiało. Zaświecił do środka. Wewnątrz panował idealny mrok. Okna były zasłonięte storami, na środku stało wielkie niepościelone dwuosobowe łóżko, a nad nim wisiał obraz w biedermeierowskich ramach przedstawiający jakiś pejzaż.

Przesunął światło powoli w lewo i pod ścianą ujrzał niezwykłą kompozycję. Pod empirowym lustrem z licznymi uszkodzeniami stała dość duża i ciężka komoda w stylu

regencji. Popowski nie odróżniał zbytnio regencji od empire'u, ale dobrze wyczuwał, że nie są to przedmioty tanie ani powszechne.

Podszedł bliżej i dopiero teraz dostrzegł wyraźnie to, co spodziewał się zobaczyć. Na środku komody stało oprawione w srebrną kutą ramę zdjęcie uśmiechającej się kobiety z wysoko upiętymi włosami. Po obu stronach stały mosiężne lichtarze z nadpalonymi świecami. Całość otoczona była gęstą kompozycją najróżniejszych roślin doniczkowych, ustawionych trochę bezmyślnie i stanowczo za ciasno.

– To Mary Virag! – powiedział ze szczerym zdumieniem, które przemieniło się od razu w rodzaj sympatii i współczucia dla cierpienia i wielkiej miłości „Kwiatuszka”.

Z niezwykłą siłą dotarło teraz do niego, dlaczego Virag nie chciał już żyć i prosił tylko o podlanie kwiatów. Michał poczuł się, jakby spadła na niego odpowiedzialność za coś niezwykle ważnego, ważniejszego niż wszystko, z czym miał do tej pory do czynienia.

Z prawdziwą ulgą, wręcz satysfakcją postanowił, że spełni obie prośby Petera. Pierwszą od razu. Podniósł z podłogi małą zieloną konewkę.

Zatrzymał się w południowo-wschodnim Londynie. W małym, tanim motelu w Bickley, który miał w nazwie słowo „Old” i coś jeszcze, ale nie zapamiętał co. Jednak to słowo dobrze charakteryzowało jego jakość, niemającą nic wspólnego ze szlachetnym angielskim standardem.

Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści jeden, kiedy wszedł do pokoju. Dotknął ręką kontaktu, ale zawahał się przez moment i w końcu zrezygnował. Pokój był na pierwszym piętrze i wypełniało go wpadające z ulicy światło.

Przez cały dzień zjeździł, schodził, wystął i wysiedział kawał Londynu, był w szpitalu i w domu „Kwiatuszka”, więc kiedy tylko dostrzegł w rogu kontur łóżka, rzucił się na nie tak, jak stał. Był wykończony i bolał go kręgosłup. W Moskwie od dawna wszyscy już spali. Pewnie gdyby nie różnica czasu, nie zdążyłby załatwić wszystkiego, co sobie zaplanował.

Materiały, które zabrał z domu Viraga, i swoją broń miał

zdeponować w skrytce na dworcu Waterloo dopiero następnego dnia, tuż przed wyjazdem na Heathrow i wylotem do Amsterdamu. Wcześniej jednak czekała go jeszcze wizyta w szpitalu w Kingston. Wiedział, co ma zrobić, i był na to przygotowany. Nie odczuwał już niepokoju ani strachu. Zrozumiał, że właściwie to jego obowiązek, i czuł dyskretną satysfakcję, iż może go wypełnić. Zrozumiał to, gdy w domu przy East Road zobaczył zdjęcie Mary Virag ozdobione małym ogrodem.

Po drodze do motelu w Bickley, około dwudziestej drugiej, zjadł w jakimś barze *fish and chips* i wypił dwie szklanki real ale. I chociaż nic bardziej zwyczajnego w Londynie nie można było zjeść, to jednak uważał, że bez tego wizyta w brytyjskiej stolicy byłaby jak wejście do National Gallery bez biletu. A poza tym był zwyczajnie zmęczony i głodny.

Rozpiął dżinsy, zrzucił buty, zdjął zegarek, na stoliku położył telefon. Wyciągnął się na wznak z rękami za głową i obserwował tańczące na suficie światła ulicznego neonu. Zamknął oczy i ogarnęło go przyjemne rozluźnienie. Dwie szklanki ale wypite do kolacji i świadomość, że jest czysty, poczucie dobrze wykonanej roboty działały lepiej niż jakikolwiek środek nasenny.

Wygląda na to, że pomysł z wprowadzeniem wibracji w SIS, by wyłować tę cholerną muchę, trzeba będzie odłożyć na później, ale... nie szkodzi! Załatwimy tę sprawę za jakiś czas. Mam za to prawdziwy prezent dla generała. No... Siemionow, przyjacielu, znowu zagrywa Michaił Wiktorowicz Popowski! Podpułkownik Popowski, panie i panowie! *Here I am.*

Odkrycie, że w Warszawie spotyka się z generałem Lee agent „York”, a nie staruszek Zagorski chory na zespół Kramera, było bardzo ekscytujące. Może nawet szokujące, tak nieprawdopodobne, że akcja „Pająk” mogła zaczekać – uważał Popowski. Co więcej, operacje „Superdolar” i „Statek”, które opisał Virag, zapowiadały gorącą wiosnę, i to nie tylko w Jaseniewie. Bez głębszej analizy mógł to stwierdzić każdy szpieg w każdym kraju i w dowolnym czasie, zarówno po martini wstrząśniętym, jak i zmieszanym, czy w ogóle bez.

Telefon do Wolskiego! Muszę natychmiast zadzwonić do Konrada – przypomniał sobie z niepokojem i przyznał, że to najlepszy sposób, by mieć kontrolę nad sprawą, trzymać Siemionowa w szachu i na dystans, od generała Lebedzia oczywiście.

A jeżeli Polacy już wiedzą o spotkaniach w Warszawie? – pomyślał z przerażeniem. Jeżeli wszystko kontrolują lub chcą nas sprowokować... i to wspólnie z Amerykanami albo Anglikami? A jeżeli „York”...? Bładź, nie znam tych pierdolonych Irlandczyków! Tak! Nie ma innej możliwości, niż sprawdzić to w rozmowie z Wolskim... to z niego wyjdzie, wylezie. Przynajmniej powinno... Polaka trzeba umieć podejść...

Mimo podniecenia Popowski czuł, że za chwilę zaśnie, bo światła z sufitu gdzieś znikły i zrobiło się całkiem cicho.

Słabe światelko zgasło o dwudziestej trzeciej trzydzięci. Sara na pewno poszła spać. Przez zasłonięte do połowy roletami i lekko uchylone okno niewiele było widać.

Wydarzenia ostatnich dni – wyznanie Abdula, strzelanina i ucieczka z Wiednia – pomieszały mu plany na tyle, że musiał zmienić kierunek podróży i odłożyć wylot do Sztokholmu na później.

Było oczywiste, że lotnisko zostanie obstawione przez policję, a gdyby nawet udało mu się wylecieć, to i tak wypatrzyliby go na nagraniach z monitoringu. Potrwałoby to dzień, dwa, ale na pewno by go znaleźli. Potem samochód na parkingu. Jego aktywa w Szwecji były zbyt cenne, by mógł je narażać. Równie cenne jak Cztery Źródła. A tak niewykorzystany bilet do Sztokholmu wzięto pewnie za zmyłkę – pomyślał. I dobrze! Dzięki temu osłabnie czujność Szwedów.

Czuł też głęboko w podświadomości, że musi z nią porozmawiać właśnie teraz, bo sytuacja zaczęła się zagęszczać i nie wiadomo, jaki będzie finał. Bał się, że nie zdąży jej wszystkiego wytłumaczyć. Po rozmowie pojechaliby już razem na Mazury odebrać baję od Czterech Źródeł.

Czy ja wiem... zaczekam jeszcze...

Przełożył do drugiej ręki potężny bukiet kwiatów zawinięty w biały papier i spojrzął na zegarek.

Nooo... zaczekam jeszcze pół godziny. Do... północy.

Czuł, że drżą mu nogi. Był tak zdenerwowany jak jeszcze nigdy dotąd.

Już tyle razy planował to spotkanie. Co powie i kiedy, jak się zachowa, jak spojrzy, uśmiechnie, dotknie. Widział tę scenę oczami wyobraźni i to miała być najpiękniejsza chwila w jego życiu. Swoją rolę miał rozpisaną do najdrobniejszego szczegółu, głęboko przemyślaną i uzasadnioną, perfekcyjną. A jednak drżące kolana i kompletny mętlik w głowie jednoznacznie świadczyły, że nawet najlepsze pomysły i plany na nic się nie zdadzą, bo przecież nie mógł przewidzieć, jak ona się zachowa i co zrobi, gdy zobaczy go w drzwiach z bukietem

kwiatów. Tego bał się najbardziej.

Noc była wyjątkowo ciepła. Żoliborz wypełniała dorodna zieleń. Mimo to musiał założyć czapkę z daszkiem. Włożył też ciemnozieloną cienką wiatrówkę ze ściągaczami, zapinaną na metalowy zamek błyskawiczny. Nie zacinął się tak często jak plastikowy, a to miało niebagatelne znaczenie, bo pod pachą na szelkach wisiał M9. Nie lubił nosić pistoletu za paskiem. Uważał, że to nie tylko niebezpieczne, ale i niepraktyczne. Nawet tandetne!

– Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dwie – odczytał na głos liczby z seledynowego wyświetlacza zegarka Suunto. – Trzy! – dodał po chwili.

Spojrzał w górę, w okno na trzecim piętrze, i nabrał głęboko powietrza, przytrzymał je przez chwilę i wypuścił. Zamknął oczy i powtórzył tę czynność kilka razy, starając się recytować w myślach fragmenty Koranu. Musiał się uspokoić, skupić, pozwolić, by myśli przestały skakać bezładnie i uporządkowały się same. Drzenie nóg ustąpiło, ale nie potrafił opanować dziwnego ucisku, który czuł w żołądku, a który go rozpraszał i coraz bardziej denerwował. Pomyślał, jak dobrze byłoby zrobić choć jedno Falun Zhuang Fa, więc z podniesioną głową próbował przynajmniej opanować oddech.

– Uff... idę! – Wypuścił głośno powietrze i wyszeptał po arabsku: – W imię Boga Miłosiernego i Litościwego...

Nagle usłyszał za plecami znany mu już głos.

– Jest u siebie ta cipa, jest, jest, panie gaziarz. Widziałem ją dzisiaj.

Odwrócił się i zobaczył za sobą sąsiada Zuzy, z którym wcześniej rozmawiał. Był w towarzystwie podobnego mu osobnika.

– Nie ma co się gapić w jej okno... trza iść z tymi kwiatkami i ją... tego. – Przełożył butelkę piwa do lewej ręki, a prawą zrobił wulgarny ruch. – Trza ją tak... od razu... panie gaziarz. Daj, Władziu, browarek panu, bo się cyka.

Władziu wyciągnął rękę z otwartą butelką piwa Królewskie i uśmiechnął się niepewnie. Chyba było mu jej żal.

– A może zrobimy jakąś flaszeczkę? – zaproponował sąsiad. –

Mała zrzutka i Władzio skoczy za róg do nocnego... mig, mig, walniemy po jednym i zaraz cipa się otworzy.

Karol rozsunął suwak wiatrówki powolnym ruchem z góry do dołu, tak by ostatnie centymetry zostawić zapięte. Władzio stał z wyciągniętą ręką uzbrojoną w butelkę, a sąsiad paskudnie się uśmiechał, ukazując zepsute zęby.

Patrzył na nich i zastanawiał się, którego pierwszego powinien zastrzelić. Serce mówiło: sąsiada, ale rozum podpowiadał, że lepiej Władzia, bo wtedy cierpienie tamtego nabrałoby znacznie efektowniejszego wymiaru.

– Dobra! – odparł Karol. Dotknął już pistoletu, ale wstrzymał się, zmienił rękę i wyjął portfel. – Idź, Władziu, po flaszkę – rzekł uprzejmie i wyjął banknot pięćdziesięciozłotowy.

Zaskoczony Władzio delikatnie ujął go w dwa palce, jakby nigdy nie widział tak wysokiego nominału, i niepewnym truchtem ruszył do sklepu.

– Idziemy do ciebie? – zwrócił się Karol do sąsiada.

– No pewnie! – odparł ten, rozradowany, i zatarł ręce. – Zaczekamy na Władzia? Nie wejdzie sam. Mam zepsuty domofon... Aaa tam... – Paternalistycznym gestem położył rękę na ramieniu Karola. – Chodź, gazownik! Założę drzwi wycieraczką i już. Nie?

Mimo silnych emocji, jakie wyzwolił w nim sąsiad wulgarnymi wypowiedziami o Zuzie i Władzio swoim nie mniej ordynarnym wyglądem, Konrad szybko się opanował. Zdał sobie sprawę, że chwila nieuwagi, poddanie się emocjom – i najważniejsze spotkanie jego życia będzie nieaktualne. Przez moment poczuł nawet satysfakcję, że darowuje im życie, a zaraz potem nawet rodzaj rozbawienia, gdy pomyślał, jak blisko byli śmierci.

Weszli na klatkę schodową. Sąsiad zabezpieczył drzwi wycieraczką i poczłapał pierwszy. Z widocznym trudem dotarł na drugie piętro, przytrzymując się poręczy. Karol pomyślał, że musi mieć brudne, owrzodzone nogi, spuchnięte i sine od alkoholu, żyłaków i pasożytów. I gdy tak wspinał się za nim powoli, słuchając jego świszczącego oddechu, coś go tknęło.

To przyszło samo, mimowolnie, jakaś odmiana współczucia

dla tego chorego, słabego człowieka. Uzmysłowił sobie niespodziewanie, że to przecież nędza, zwykła bieda, jakiej pełno wokół. A przecież, jak wszyscy Bracia Czystości, przysięgał swojemu imamowi i sobie samemu walczyć z nią zawsze i wszędzie.

– Wie pan co? – odezwał się. – Wypijcie sobie tę flaszczykę... za moje zdrowie. Ja pójdę... – Zrobił ruch głową. – Pójdę na górę. Jestem umówiony z... sąsiadką. – Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Panie gazownik... ale pięć dych?! Coś pan! – Na zniszczonej twarzy odmalowało się głębokie zaskoczenie, jakby jej właściciel nie wierzył w niespodziewany obrót sprawy. – Zrobimy flaszczykę, szybciutko! – dodał z nieznaczną nadzieją w głosie.

– Nie! – odparł Karol. – Weźcie forszę. Niech to będzie mój zakat...

– Co?

– Nic.

Facet wszedł do swojego mieszkania i stojąc już w drzwiach, rzucił do Karola:

– Jak pan chcesz. Szkoda. Ale nooo... – Spojrzał na sufit. – Fajna. Rozumie się! A gdzie ci gazownicy, co mieli przyjąć? – Puścił oko.

Na korytarzu na trzecim piętrze było dość ciemno. Stary dom z lat pięćdziesiątych, wąski korytarz. W głębi drzwi. Karol podszedł bliżej. Wcześniejsze zdenerwowanie minęło bez śladu. Czuł się fizycznie rozluźniony, intelektualnie skupiony, gotowy psychicznie na najważniejszą rozmowę w życiu, na spotkanie z kobietą, która tak nad nim zapanowała.

Pomyślał przez moment, że sam Allah zesłał mu tych dwóch nędzarzy akurat teraz i odpowiedział, że trzeba dać im jałmużnę.

– W imię Boga Miłosiernego i Litościwego... – znowu wyszeptał po arabsku, poprawił wiatrówkę, zdjął czapkę, rozwinął kwiaty, schował papier do kieszeni i nacisnął dzwonek.

Było dwanaście minut po północy.

To spotkanie nie mogło się skończyć inaczej. Hasan i Harriet spali ciasno ze sobą spleceni, chociaż była to bardzo niewygodna pozycja. Wyglądali jak barokowa figurka z białobrazowej czekolady. Żadne z nich nie chciało puścić pierwsze, więc przeleżeli tak do rana, aż w iPhonie Hasana odezwały się dzwony.

Prawdę mówiąc, nie spali zbyt długo, gdyż każdą przerwę w gorącej dyskusji o Claesie poświęcali na jeszcze gorętszy seks. I tak na zmianę do bladego świtu. Na niecałą godzinę przed zaśnięciem oddali się już wyłącznie seksowi.

Hasan wstał, żeby wyłączyć budzik, i Harriet miała w końcu okazję zobaczyć go w świetle dziennym. W całej okazałości i w pozycji pionowej.

Widziane z wysokości materaca, poszczególne części jego ciała nabierały niezwyklej wyrazistości i nadnaturalnych proporcji. Skóra wydawała się znacznie jaśniejsza w promieniach porannego słońca niż w mroku nocy i przypominała fakturę marmuru. Harriet mogła określić to, co widziała, jedynie słowem „boskie”, choć zdawała sobie sprawę, że nie było ono specjalnie wyszukane. Poranek to jednak nie najlepszy moment na wysiłek intelektualny – pomyślała.

Dwie butelki chianti, które wypili w Capri Due, stępiły lekko jej zmysły i wolę walki, ale wyostrzyły intelekt i apetyt na seks. Wino odniosło efekt jak najbardziej prawidłowy i pożądany, właściwie wyważony, proporcjonalny i kobieco podniecający. Nie było czego żałować. Wprost przeciwnie, w ostatnim akcie poranna obdukcja ciała Hasana nie zmieściła się w żadnej znanej jej skali ocen. I ta konstatacja w zupełności wystarczała Harriet za podsumowanie tego, co się stało. Miała stuprocentowe alibi.

Nie żałowała ani jednej chwili i patrząc teraz na niego, pragnęła, aby było ich jak najwięcej i trwały w nieskończoność. Jeśli rano, bez efektu ubocznego chianti, miała tak silne doznania, to znaczyło, że podjęła słuszną decyzję, dając się zaprosić do jego mieszkania.

Więcej! Jestem szczęśliwa – pomyślała, obserwując Hasana.

Posłał jej delikatny poranny uśmiech i napił się wody, która pociekła mu po policzku, potem po piersi, przez umięśniony brzuch i niżej, aż spadła na podłogę.

Jezu! Jaki kicz! Każda byłaby szczęśliwa!

Harriet zacisnęła zęby.

– Muszę iść do siebie. Przebrać się – oznajmiła zdecydowanie, bo czuła, że jeżeli nie podejmie radykalnych działań, nie będzie w stanie wyjść. – W końcu... mieszkam za rogiem – dodała i podniosła się energicznie.

– Zrobię kawy, Harry. Zdązysz. Po arabsku... Sam wybieram kawę w tym sklepiku na rogu... wiesz...

– Wiem... Zrób – odparła. Czekwała na tę propozycję, chociaż wcale nie miała ochoty na kawę, a już zwłaszcza po arabsku.

W łazience zarzuciła na siebie męski szlafrok i ze zdumieniem zauważyła, że panuje tam idealny porządek. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Była też trochę zaskoczona, może bardziej zdziwiona, bo pobieżna lustracja nie wykazała śladów żadnej innej kobiety. Gdzie jak gdzie, ale w łazience nie da się ukryć choćby nawet przelotnej obecności kobiety.

Gdy wyszła, Hasan miał już na sobie spodnie i koszulkę. W mieszkaniu rozchodził się przyjemny, mocny aromat kawy, ale Harriet wciąż czuła zapach seksu.

Nie mogła się skupić i zorientować, co właściwie Hasan robi, krzątając się po kuchni. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że skoncentrowała się wyłącznie na nim: na jego ruchach, rękach, gołych stopach. Próbowała wyrzeć przez okno, obejrzyć lampę, kuchenkę mikrofalową, sokowirówkę i meble, choć na chwilę znaleźć jakikolwiek inny punkt odniesienia. Bezskutecznie.

Usiadła na krzeselku. Hasan zatrzymał się przed nią i ujął w dłonie jej twarz. Poczowała ciepło jego rąk i przez moment miała wrażenie, że wszystkie wcześniejsze emocje i doznania wracają ze zdwojoną siłą.

Nie znajduję żadnego innego punktu odniesienia. Powinnam jak najszybciej iść do domu – dotarło do niej i zrozumiała, że tak już musi być. Przynajmniej dzisiaj.

– Ubóstwiam cię – wyszeptał i pocałował ją w oczy.

Harriet się zdało, że serce jej stanęło i coś odebrało oddech. A ona wciąż żyje! Zaskakujące!

Przecież mógł tego nie mówić – pomyślała z radością bliską euforii i już chciała powiedzieć mu to samo, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się przerażona. To przecież może być złudzenie albo jego kaprys, może nawet kłamstwo.

– Ubóstwiam cię, Harry! – powtórzył, patrząc z uśmiechem w jej oczy. – Nie bój się mnie!

– Nie boję się. Jest cudownie. Jest tak...

W miedzianym tygielku kipiała kawa z cukrem. Kropelki wyskakiwały na palnik, sycząc i wzmacniając jej zapach. Hasan wystawił małe filiżanki i podał ciasto marchewkowe. Przez drobne sitko nalał kawę i usiadł obok Harriet.

Wydawało jej się, że jego milczenie coś oznacza i że za chwilę usłyszy coś ważnego. Dopiero teraz zaczęła drżeć. Miała wrażenie, że cisza jest tak nabrzmiąta, iż musi się coś stać. Nie była przygotowana tylko na jedno słowo, nie byłoby jeszcze dojrzałe i prawdziwe na tyle, by mogła je przyjąć.

– Lubisz ciasto marchewkowe? – zapytała, byle tylko przerwać to milczenie.

– Tak. Świeżutkie. Kupiłem wczoraj w... tu obok, w tej naszej cukierni – odpowiedział bez przekonania, bo kupił je przedwczoraj.

– Wiem, wiem, też tam kupuję... czasem.

W sypialni nagle rozległ się dzwonek telefonu Hasana i Harriet poczuła ulgę, jakby odezwał się na jej wyraźną prośbę.

Kiedy Hasan wyszedł z kuchni, skorzystała z okazji, żeby się ubrać, i szybko podniosła swoją garderobę z podłogi w przedpokoju.

– Linda wraca do Sztokholmu – rzucił, gdy tylko wszedł z powrotem do kuchni. – Nic na razie nie będzie z Czerwonego Szejka... Ubrałaś się już? – Był zaskoczony, może nawet rozczarowany.

– Przecież musimy iść do pracy.

– Nooo... tak, tak... i Linda będzie za godzinę w Sztokholmie. – Sprawiał wrażenie zakłopotanego dziecka.

– Mamy się przecież zająć sprawą Neo. Zapomniałeś, o czym rozmawialiśmy? To ma być nasza największa akcja. – Harriet próbowała polectać jego ambicję.

– Jasne! To nawet dobrze, że Linda wraca. Teraz szefowa przyda się jak znalazł – zamruczał niewyraźnie. – Reszta wydziału ma tam zostać na czuwaniu jeszcze przez parę dni.

– Mam nadzieję, że entuzjazm nie minie ci wraz z moim wyjściem. Zapomniałeś, co sobie obiecaliśmy?

– No co ty, Harry?! – obruszył się Hasan.

Na pozór wyglądał, jakby był rozczarowany z powodu niepowodzenia kopenhaskiej operacji, jednej z najważniejszych, jakie prowadzili w wydziale. W rzeczywistości jednak poczuł zaniepokojenie, jakby coś głęboko w nim drgnęło. Zrozumiał, że Linda przestała już być najpiękniejszą i najmądrzejszą kobietą jego świata. Teraz była nią Harriet, zwykła szwedzka dziewczyna. To mogło nawet wyglądać, jakby zdradził Lindę. A jednak wcale tego nie żałował. Harriet była warta każdej zdrady. Dziwne tylko, że przyszło mi to tak łatwo – pomyślał.

– Powiedziałaś jej?

– Z grubsza. Sam muszę jeszcze pomyśleć, jak powinniśmy rozegrać tę sprawę, żeby nam jej nie odebrali. Liczyłem, że Linda wróci za kilka dni... a tak... kurczę, wszystko mi pomieszała. – Oparł się o framugę drzwi i zamyślił na moment.

– Muszę jechać po nią na Arlandę.

– W FRA ja prowadzę sprawę Utrechta i Hermansson na pewno mi jej nie zabierze. Szczególnie teraz, kiedy ustaliliśmy, gdzie jest kryjówka. Tylko sobie wyobraź, co możemy osiągnąć!

– mówiła z pełnym przekonaniem, chociaż rozmawiali już o tym przez pół nocy. – To w końcu jest coś warte, nie?

– Harry, kochana jesteś, ale to nie takie proste, jak ci się wydaje. Wasze komputery, mózgi, analizy, sygnały czy co tam jeszcze macie to za mało. O wiele za mało. Von Utrechta musimy przede wszystkim wziąć na regularne rozpracowanie: obserwacja, technika i tak dalej. Rozumiesz? – Hasan spokojnie tłumaczył zasady pracy operacyjnej. – Wcale nie jestem pewien, czy będziemy mieli jakiś priorytet i dostaniemy

odpowiednie środki. Dlatego muszę to sobie przemyśleć i pogadać z Lindą. Okay?

– Jasna sprawa – odparła ze zrozumieniem. – Idę do domu, żeby się przebrać, i do roboty! *Ciao*, ciacho! – rzuciła i posławszy mu całusa, obróciła się energicznie i ruszyła w kierunku wyjścia. – Zdzwonimy się – doleciało go z przedpokoju niemal równocześnie z trzaśnięciem drzwi.

– Robimy tak, jak uzgodniliśmy... Kurczę! Nie napisałem do Sary i Konrada. – Hasan przypomniał sobie polecenie Lindy, ale Harriet już go nie słyszała, bo była na schodach.

Na stole stały nieruszone filiżanki kawy po arabsku.

– Przeczytałem twój raport, Misza, i notatkę Piotra. – General Lebedź siedział za biurkiem, z okularami na czole. – Pisałeś w nocy? Spałeś choć trochę?

– Trochę spałem, towarzyszu generale – odparł Popowski, choć tej nocy nie spał wcale.

Między Moskwą a Londynem są trzy godziny różnicy. Złapał jeszcze przesiadkę na lotnisku Schiphol w Amsterdamie i zaraz po przylocie pojechał prosto do Jaseniewa, żeby złożyć generałowi ustny raport, a potem wszystko to spisać. Sprawa nie mogła czekać. Był tak przejęty tym, co się stało, że nie mógł zmrużyć oka.

– Jak to się mogło stać? Wciąż nie rozumiem. – General był wyraźnie zatroskany. – Dlaczego nikt, do cholery, nie zauważył, że on jest chory? Zajmiemy się tym osobno... Zajmiemy! Znajdę winnych... Nie ujdzie im to...

– On nie chciał, żeby ktokolwiek zauważył, że jest chory – wtrącił Popowski. – Chciał umrzeć już wcześniej, zanim jeszcze trafił do szpitala.

– Oj... Piotrze, Piotrze... – Lebedź jakby z niedowierzaniem pokręcił głową. – On zawsze był dziwny. Chodził swoimi ścieżkami. Nie znałeś go, więc nie możesz tego wiedzieć. Bardzo kochał Marię Wiktorownę... tak dziwnie, trochę po swojemu, ale mocno, po rosyjsku. Ona kochała go jeszcze bardziej.

– To dlatego... został...

– Tak, kiedy zmarła, pozwoliliśmy mu zostać razem z nią... w Anglii. To byłoby nieludzkie zabierać go od... stamtąd.

Popowski położył ręce na stole i splótł palce. General pocierał twarz dłońmi jak pobożny muzułmanin. W wielkim gabinecie szefa SWZ zaległa cisza. Tym prostym gestem Rosjanie żegnają życie i witają śmierć.

Wiedzieli, że właśnie przed chwilą „Kwiatuszek” zakończył życie, samotnie na szpitalnym łóżku, w podlondyńskiej dzielnicy Kingston.

– Dobrze, że zostawiłeś mu swoją broń – odezwał się w końcu

generał. – Wykazałeś się charakterem i odpowiedzialnością. I... sercem. – Wstał i wolnym, dostojnym krokiem podszedł do kredensu, wyjął z lodówki karafkę ormiańskiego koniaku, dwie szklanki i postawił je na stole.

Popowski wstał.

To nie był zwykły koniak, jakiś Ararat ze sklepu czy nawet francuski Martell Hors d'Age. To był pięćdziesięciosiedmioprocentowy Erewan, koniak produkowany niegdyś dla rosyjskich polarników. Lebieź dostawał go regularnie od szefa armeńskich służb Mikojana, przyjaciela jeszcze z czasów KGB. Jak przystało na tradycję polarników, pił koniak zmrożony.

Mimo że była dopiero dziesiąta rano, nalał potężne porcje i podał Miszy rżniętą kryształową szklankę. To był wyjątkowy gest szacunku dla podpułkownika. Wypili jednym ciągiem do dna i z głośnym stuknięciem odstawili szklanki na stół.

– Napisałeś w raporcie, że nie chciałeś użyć morfiny?

– Tak jest, towarzyszu generale. – Popowski bezsensownie się wyprężył i poczuł, jak koniak zakręciło mu w głowie. – Nie chciałem, towarzyszu generale. Nie chciałem.

– Prawdziwy czekista! Chciał zginąć od kuli, a nie zastrzyku jak... – Lebieź urwał i spojrzał podejrzliwie na Michaiła. – Zakręciło cię? No... tak, widzę... zakręciło! Kłamiesz, że spałeś. I pewnie też nic nie jadłeś, co?! – Przejrzał Popowskiego na wskroś. – Pójdiesz zaraz do naszego hoteliku. Przedtem porozmawiamy jeszcze z Siemionowem o Koreańczykach. Czekaj już w sekretariacie. Śmierć Piotra... ma nadzwyczajną klauzulę tajności. Wyśpisz się potem i o piętnastej zameldujesz u mnie. Będziemy mieć gości z Kremla... i gościa specjalnego z Gazpromu.

– Krugłowa?

– Zaprosiłem Millera, ale gdzieś wyjechał i przysłał Krugłowa. Mam podstawy przypuszczać, że sprawa „Statek”, o której dowiedział się Piotr, będzie dotyczyć też Gazpromu. Nie cieszysz się na spotkanie z Krugłowem?

– Hm... – zamruczał rozluźniony już Misza. – Cieszyć się czy martwić? Jak to jest, towarzyszu generale, że tacy oficerowie

jak Piotr zdychają w bólu i samotności, a takie szmaty wożą dupy służbowymi mercedesami? Jak to jest?

– Nie zastanawiaj się. Zresztą dobrze wiesz, jak jest. Nie udawaj naiwnego, Misza. Tak już jest! I nie tylko u nas! Rozumiem twoje rozgoryczenie. To, czego doświadczyłeś teraz w Anglii, pozostawi ci piętno na całe życie, zahartuje cię jeszcze bardziej, ale też w większym stopniu uodporni na głupotę i zło. Dzięki takim właśnie doświadczeniom możemy służyć ojczyźnie. Brać na siebie to, czego tacy jak Krugłow i jemu podobni nigdy nie rozumieją. Oni o tym wiedzą... Do tego trzeba mieć odwagę. To my pilnujemy, żeby Rosji nie stało się nic złego i żeby tacy Krugłowowie mogli nawpierdalać się do woli ropy i gazu.

Lebiedź był nienaturalnie szczery i wylewny, nawet trochę cyniczny. Popowski nigdy go takim nie słyszał i pomyślał, że i jego koniak musiał mocno uderzyć. Nie przyszło mu jednak do głowy, że generał też mało spał tej nocy, tak wielkie bowiem wrażenie zrobiła na nim śmierć Piotra.

– Ach... dobrze... – Lebiedź machnął ręką i wrócił za biurko.

Popowski odetchnął z ulgą i usiadł. Wydawało mu się, że jak zaraz tego nie zrobi, to ziemia usunie mu się spod nóg. Szklaneczka ormiańskiego koniaku i od razu trzeci poziom Generała Stakana? – pomyślał. Nieźle!

– Piotr powiedział... – zawahał się – poinformował mnie wczoraj, że to ten Tom Flynn, najbliższy i zaufany współpracownik „Yorka”, musi odpowiadać za wtyczki IRA w brytyjskich służbach...

– Piotr informował o tym człowieku już trzydzieści lat temu, ale nigdy nie podał nic konkretnego. Nawet z nim nie rozmawiał. Pion „S” poświęcił mu sprawę o kryptonimie „Errol”. – Lebiedź położył rękę na zielonej teczce, która leżała na jego biurku. – To cała teczka. Cienka, jak widzisz...

– Myślę, towarzyszu generale – wtrącił Popowski – że chyba mamy sposób na wyłowienie muszki. Trzeba tylko dotrzeć do tego „Errola”.

– Flynn kilkakrotnie natknął się na naszych ludzi w różnych miejscach... w Korei, Libii, Syrii... i chyba gdzieś jeszcze... aha,

ostatnio w Namibii. Nie próbowaliśmy do niego podchodzić, bo obawialiśmy się, że spalimy Piotra. Zresztą mieliśmy kontakt z „Yorkiem”, znacznie cenniejszy.

– Teraz sytuacja się zmieniła. Piotr nie żyje.

– Małe są szanse na szybkie odbudowanie kontaktu z Gallagherem, więc musimy pójść innym torem. Na skrót... Flynn właśnie!

– Według Piotra „Errol” się ukrywa, mieszka w Szwecji...

– Zauważyłem! – Generał uniósł lekko głos. – Jeżeli jest w Szwecji, to go znajdziemy. Z łatwością! Mamy tam spore możliwości... Można nawet powiedzieć, że wyjątkowe.

– Według Piotra nazwisko Flynn nie jest prawdziwe...

– Z pewnością! Ale mamy jego zdjęcia... i to sporo. Znajdziemy go, ale to nie jest robota dla ciebie, przynajmniej nie teraz. Zajmie się tym numer sześć od Samojułowa. Masz co innego do roboty. – Lebień zawiesił na moment głos i po chwili dodał: – Sam widzisz, Misza, jak sprawa koreańska niespodziewanie nabrała tempa... Dzwoniłeś?

– Do Wolskiego? Tak. Zgodził się, ale nie uzgodniliśmy terminu... miałem ten wyjazd do Londynu. Zaproponuję mu spotkanie w Wilnie w najbliższych dniach...

– Dobrze... Zaraz dowiesz się szczegółów od Siemionowa. Nie powiedzieliśmy ci wcześniej o wszystkim, ale teraz, po tym, co przywiozłeś z Londynu, to bardzo poważna sprawa. Sam Władimir Władimirowicz... – urwał w pół zdania i znów zamilkł.

Początkowo Popowskiemu się wydawało, że to może być naturalny efekt pięćdziesięciosiedmioprocentowego ormiańskiego koniaku. Niespodziewanie jednak zauważył, że po pierwszym uderzeniu w nogi wyostrzyły mu się zmysły. Zaczął myśleć jasno i logicznie, jakby krew nabrała tempa i mocy. Teraz zrozumiał, jak generał może funkcjonować na takich obrotach tyle lat.

– Rozumiem, towarzyszu generale, ale ten Flynn...

– Mamy w Szwecji kogoś bardzo dobrze uplasowanego... kogoś, kto w ubiegłym roku ostrzegł nas przed zdradą naszego człowieka z pionu „S”, starego nielegała. Nazywał się tam Hans

Jorgensen. W ostatniej chwili udało się zapobiec poważnym problemom, ale teraz to nie ma nic do rzeczy. – Generał wyraźnie nabrał sił i animuszu. – Znajdziemy go, mamy zdjęcia i dobre informacje od Piotra. To w zupełności wystarczy, nawet jak jest na innych danych. Nawet jeśli „York” manipulował informacjami i samym Piotrem, to i tak esencja musi być prawdziwa... przynajmniej w jakimś stopniu. Rosyjski wywiad nie może być gorszy od irlandzkich terrorystów. – Uśmiechnął się i klepnął dłonią teczkę z napisem „Errol”. – Dobrze zatarłeś ślady w Londynie?

– Dobrze... chyba. Zgodnie ze sztuką. Kamery w szpitalu na pewno mnie wyłapią... ale czy rozpoznają? Pójdzie na Polaków.

– Przydał się twój polski...

– Tak to wszystko zaaranżowałem, że angielska policja powinna kupić mistyfikację.

– Mimo wszystko przez jakiś czas będziesz omijał Anglię i Polskę, aż sprawa przycichnie i zobaczymy, czy ci coś nie grozi. Tak czy owak jestem z ciebie dumny. Wiktor Mironowicz... twój ojciec... też byłby dumny.

– Tak jest, towarzyszu generale!

– Przekonamy się, co w najbliższych dniach napiszą o tym angielskie gazety. – Lebień wychylił się i wcisnął przycisk na interkomie. – Wiera, niech Siemionow wejdzie!

– Co to za kryptonim „Errol”? – zapytał Michał. – To Piotr wymyślił?

– Zobaczysz zdjęcia, to zrozumiesz. – Generał westchnął głęboko i zapytał: – Jak drużyna Batyszkina? Gdzie teraz są?

– Czekają na Litwie... – zdążył powiedzieć Popowski, zanim otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Siemionow.

Był w tym samym garniturze co poprzednio. Docisnął palcem okulary i zameldował się gromkim głosem. Miszy wydawało się, że koszulę też ma tę samą.

– Jak najszybciej jedź na Litwę – wyszeptał Lebień do Miszy.

– Porozmawiaj z Wolskim... No i czas zarzucić kolejną przynętę na muchę... Mam dobre przecucia co do twojego pomysłu. – Po czym rzucił głośno: – Chodźcie, Siemionow... siadajcie.

Popowski odsunął od siebie kryształową szklanę, jakby chciał

powiedzieć: „To nie moje”, podniósł się i już zamierzał wyciągnąć rękę do Siemionowa, kiedy zdał sobie sprawę z niestosowności takiego gestu w gabinecie szefa SWZ, który jako gospodarz pierwszy powinien podać rękę, a skoro tego nie zrobił... Misza bezsensownie pogładził się po brodzie. Ormiański koniak pomieszał mu trochę szyki.

Okazało się, że sprawa generała Lee Young-chula i superbomby zatoczyła koło przez Irlandię, „Kwiatuszka” i jak wieko trumny zamknęła się z hukiem nad Kremlem.

– No to sprawa się zamknęła – oznajmił Lebieź, jakby czytał w myślach Michaiła. – Mamy poważny problem!

Śniło jej się, że siedzi przy wielkim, odrapanym biurku. Stało ono w równym rzędzie setek mu podobnych, znikającym w dalekiej perspektywie ciemnego horyzontu, który rozświetlały bezdźwięczne błyskawice. Na każdym biurku stał czarny ebonitowy telefon.

Sara widzi, że przed nią nikt nie siedzi. Czuje za to, że ktoś jest za jej plecami, ale nie może obrócić głowy. Po prostu kręgosłup i szyja nie chcą wykonać polecenia. Ogarnia ją złość na tę bezsilność. Mimo że boli ją szyja, powoli zaczyna odwracać głowę, gdy na biurku odzywa się telefon. Wie, że ktoś pragnie ją ostrzec. Chce podnieść słuchawkę, ale z przerażeniem stwierdza, że nie ma rąk. Telefon dalej dzwoni, ostro, boleśnie, coraz głośniej...

Było dwanaście minut po północy, kiedy z bólem w szyi obudziła się w ciemnym pokoju. Z ulgą stwierdziła, że to był tylko sen. Jednak telefon wciąż dzwonił. Wyjęła komórkę spod poduszki, ale wyświetlacz był ciemny. Wtedy do niej dotarło, że to dzwonek u drzwi.

Przeszła przez ciemne mieszkanie. Stała przy drzwiach i nie patrząc w wizjer, spytała:

– Kto tam?

– Sąsiad z dołu... to ja, Zbrojewski... pani otworzy, znów mnie pani zalała... pani Zuzo, pani otworzy!

Warszawski zaśpiew w głosie wydał jej się znajomy. Wcześniej już raz zalała Zbrojewskiego, więc otworzyła odruchowo drzwi i zapaliła światło w przedpokoju.

I nagle dotarło do niej, że powiedział „pani Zuzo”. A przecież Zuzanna Wilska była jej tajnym wcieleniem wyłącznie do operacji za wschodnią granicą. To było tak nierealne, jakby wciąż jeszcze spała, a ciężkie ciało miała wykute z kamienia. Jakby nie mogła się wybudzić i – choć to niemożliwe – za chwilę miała zobaczyć... jego oczy.

W otwartych na oścież drzwiach stał w smudze światła uśmiechnięty nieśmiało Olek Kurtz z ogromnym bukietem różnokolorowych tulipanów w dłoni.

– Cześć, Zuza – powiedział cicho.

– Boże! To niemożliwe! – odparła, potrząsając głową. – Ja chyba jeszcze śpię... Nie, to nieprawda...

– A jednak to ja! Wpuścisz mnie?

– Co? Nie... tak, tak, oczywiście! – Z trudem dostrajała się do rzeczywistości.

– To dla ciebie. – Wyciągnął rękę z bukietem.

– Tak? A co to jest? Ach... kwiaty! Dla mnie?

– Mogę wejść?

– Tak, tak, oczywiście. – Zrobiła mu przejście i wzięła kwiaty. Podszedł bliżej i objął ją. Stali tak przez chwilę w przedpokoju, przy otwartych drzwiach. Wyraźnie wyczuła, że ma pod wiatrówką pistolet, i natychmiast otrzeźwiała.

Karol Hamond alias Safir as-Salam był w jej domu. Pocałował ją w szyję.

– Wejdz, wejdz dalej. Wstawię kwiaty do wody.

Weszła do kuchni, położyła tulipany na stole i usiadła. Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, co robić. Nie mogła jednak wystarczająco się skupić. Po raz pierwszy w życiu zaczęła się bać. Nie wiedziała, co robić.

Konrad, Konrad, Konrad... – zaczęła powtarzać w myślach jak mantrę słowo klucz, które musiało rozwiązać problem, przynieść ratunek.

– Zaskoczyłem cię. Przepraszam. – Karol stanął w drzwiach. – Przepraszam za ten podstęp z sąsiadem. Chyba nie sprawiłem ci przykrości?

– Nie... nie, skąd! Nie wiem, czy jeszcze śnię, czy... to prawda. Czekaj. Zaraz ochłonę. – Próbowała zyskać na czasie i obmyślić jakiś plan. – Ubiorę się... jestem w piżamie...

– Wyglądasz uroczo.

– Jednak się ubiorę. A ty włóż kwiaty do tego wazonu. – Podniosła się i minęła go w drzwiach.

Gdy weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi. Natychmiast odsłoniła żaluzje. Spod poduszki wyjęła swój telefon komórkowy. Zobaczyła, jak drżą jej ręce.

To nie był Olek z lwowskiej przygody, to nie był wirtualny Karol Hamond, bohater sprawy „Zaraza”. To był realny Safir

as-Salam. Terrorysta i zabójca. W jej domu, z bronią. Nie wiedziała, czy boi się bardziej jako kobieta, czy jako oficer wywiadu. I mimo że już nieraz była w prawdziwych tarapatach, to jednak strach nigdy dotąd nie wydawał się tak realny. Dom był jedynym schronieniem, gdzie czuła się bezpiecznie i pewnie. A teraz wtargnęły tu wraz z Safirem wszystkie brudy i problemy tego świata, gwałcąc świętość jej azylu.

Błyskawicznie włożyła dżinsy i T-shirt, pomijając zbędną bieliznę. Słyszała, że Safir odkręcił kran z wodą.

Postanowiła zadzwonić do Konrada i zostawić telefon włączony, tak by mógł słyszeć jej rozmowę z Safirem. Była pewna, że zorientuje się w sytuacji i będzie wiedział, co robić.

To był jedyny ratunek. Teraz musiała grać na czas.

Safir był uzbrojony i nie wiedziała, jakie ma zamiary.

Konrad jest najmądrzejszy, najwspanialszy – powtarzała w myślach.

Trochę panikowała, gdyż Safir w każdej chwili mógł wejść do pokoju. Trzymała telefon w dłoni i zastanawiała się, gdzie go ukryć. Dżinsy były dość obcisłe, więc w kieszeni mógłby się uwydatnić. Instynktownie odpięła zamek i wsunęła komórkę w spodnie. Wydawało jej się, że tak będzie najbezpieczniej. Postanowiła, że włączy ją w toalecie.

Usłyszała kroki Safira na korytarzu. Podszedł do jej drzwi i przystanął. Zamarła. Była pewna, że nasłuchuje z drugiej strony.

– No... teraz czuję się lepiej – oznajmiła, otwierając gwałtownie drzwi, ale Safir siedział w pokoju na fotelu i oglądał okładkę płyty CD.

– Gotye? Lubisz?

– Bardzo! – odrzekła, chociaż płyty jeszcze nie słuchała. Usiadła na kanapie naprzeciw niego i podciągnęła nogi. – Zaskoczyłeś mnie! Myślałam, że się już nie odezwiesz... Nie odpisywałeś na moje maile. I nagle przychodzisz w środku nocy... z kwiatami. To miłe, nawet bardzo, ale...

– Bardzo chciałem się z tobą spotkać. – Był miły, ciepły. – Od naszego rozstania na dworcu we Lwowie nie mogłem przestać o tobie myśleć.

– To dlaczego nie odpowiadałeś na moje maile? Myślałam, że ci na mnie nie zależy. Nie chciałam się narzucać.

– Nie mogłem odpisywać. Zaraz wszystko wyjaśnię. To trochę skomplikowane, wymaga... no... przygotowania.

Safir był szczerzy, wyraźnie chciał zrobić dobre wrażenie. Wiedział, że to on musi się wytłumaczyć. Jej zaskoczenie było oczywiste i jego wcześniejsze marzenia o powitalnej burzy zmysłów okazały się po prostu naiwne. Szybko zdał sobie z tego sprawę, ale nie czuł rozczarowania.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

Zrozumiała, że musiał ją śledzić. Mógł też przecież ustalić, gdzie pracuje. Pomyślała nawet, że to jakaś mistyfikacja... te kwiaty, nocna wizyta. Może wie, że to ona spotykała się z Abdulem w Wiedniu, że prowadzi jego sprawę w Agencji. I przyszedł ją zabić. Przecież musi wiedzieć, że wszystkie stacje telewizyjne w Europie pokazują jego podobiznę. Czyż byłby aż tak cyniczny, przebiegły, mściwy? Coś jej nie pasowało!

– Chyba nie podawałam ci adresu. – Była tego pewna, chciała go tylko sprawdzić. – Napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty?

– Chętnie, Zuza... może herbaty – odparł zupełnie spokojnie. – Oczywiście, że nie podałaś. Ustaliłem adres IP twojego komputera...

Fuck, kurwa!

Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć tego na głos.

Szkolny błąd, *fuck*! Moja wina... dałam mu prywatny adres mailowy, kurwa!

Próbowała się uśmiechać, ale chyba nie bardzo jej to wychodziło.

– To czego się napijesz?

– Herbaty, chętnie. – Podniósł się z fotela. – Pomogę ci. Wiesz, Zuza, byłem tu już kilka razy, ale cię nie zastałem. Poznałem twojego sąsiada z dołu i to on mi powiedział, że go kiedyś załałaś. Wykorzystałem to. Nie gniewaj się! – Czuć było, że jest mu przykro.

– Zdejmij tę kurtkę. Chyba nie będziesz tak w niej siedział? – Badala, co on robi, jak się wytłumaczy.

– Dobrze, oczywiście... jednak nie przestrasz się...

– Dlaczego? – udała zdziwioną.

– Mam broń.

– Broń? – Zastygła w bezruchu. – Po co ci? Jesteś teraz policjantem? Już cię islam nie interesuje?

– To nie tak. – Zdjął wiatrówkę i powiesił ją w przedpokoju.

– Łau! – rzuciła Sara z mocno udawanym zdziwieniem. – Niesamowite! Po co ci to? – Dotknęła delikatnie wystającej kolby pistoletu. – Jesteś w służbach specjalnych?

– Nie... – Uśmiechnął się tak jak kiedyś, ale teraz nie zrobiło to już na niej wrażenia.

Wtargnął do jej domu, a zatem był wrogiem. Lecz, o dziwo, nie czuła do niego nienawiści. W jego spojrzeniu, słowach, gestach nie było nic z człowieka, który jest ścigany. Uspokoila się. Było oczywiste, że nie przyszedł jej zabić.

– Nie jestem ze służb... ale...

– Ale masz pozwolenie?

– Tak, mam – skłamał, bo nie chciał przedwcześnie wzbudzać jej podejrzeń.

– Zdejmij to! – zarządziła zdecydowanie. – Po co z tym chodzisz? Boisz się czegoś?

– I tak, i nie. – Zdjął szelki z pistoletem i powiesił na wieszaku. Beretta... M9 – pomyślała. Zawodowiec. Nieźle. Co się dziwisz, głupia kobieto!

Weszli do kuchni. Sara włączyła czajnik elektryczny, wyjęła herbatę z szafki i cytrynę z lodówki.

– Muszę iść do toalety, a ty zrób herbatę... Tam są kubki. – Położyła mu rękę na głowie i poczochnała jego gęste włosy. – Zrobiłeś mi niespodziankę. Jesteś niesamowity! Przez kilka miesięcy nie dajesz znaku życia i nagle przychodzisz w nocy, z bronią i kwiatami. Co ja mam o tym wszystkim myśleć? – Zacisnęła dłoń na jego włosach. – Wariat! – Uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy, pokręciła z niedowierzaniem głową i wyszła do przedpokoju.

Przechodząc, spojrziała na pistolet wiszący na wieszaku. Przez ułamek sekundy pomyślała, że mogłaby go teraz chwycić, przeładować, pójść z powrotem do kuchni, wycelować i powiedzieć: „Zabawa się skończyła! Rączki do góry, Safirze

as-Salam czy jak tam się nazywasz”. Jednak ten pomysł wydał jej się tak groteskowy, że nawet się nie zatrzymując, poszła dalej. Safir z pewnością by się jej nie wystraszył, a ona i tak by nie strzeliła... Czowała, że jest jeszcze czas, by rozegrać tę sytuację.

Zaalarmować Konrada, naszych... – pomyślała.

Jego telefon od pół godziny był zajęty. Konrad rozmawiał z Justyną, która próbowała wykorzystać ich dawny związek i znajomość jego słabych punktów, by wyciągnąć jakiegokolwiek informacje w sprawie Karola Hamonda. Nieustanne pytania na zmianę z prośbami i obietnicami nie mogły przynieść żadnego skutku. Konrada za to intrygowało, jak daleko ona może się jeszcze posunąć w pogoni za sukcesem i sensacją. Dlatego wciąż kontynuował rozmowę, choć denerwowało go, że Justyna traktuje go jak przedmiot, a jeszcze bardziej – że zapomniała, jaki jest naprawdę.

Rozmawiając z nią, słyszał jednocześnie, że ktoś do niego dzwoni, ale nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć na ekran iPhone’a. Zaniepokoił się dopiero, kiedy zadzwieczał SMS. Na niebieskim pasku pojawiło się imię – Sara. Otworzył wiadomość.

„Natychmiast dzwoń! Jest u mnie Karol! Ma broń! Pomocy!”

Przez moment wydawało mu się, że to jakiś żart. Bez słowa rozłączył się z Justyną, która właśnie chciała mu powiedzieć, że jest podły, i zadzwonił do Sary. Odebrała natychmiast.

– Jestem w kiblu – wyszeptała. – Nie mogę mówić. Przyszedł z kwiatami... – Zamilkła na moment. – Chyba nie wie, że jest w telewizji. Zostawiam mój telefon włączony, będziesz wszystko słyszał. Zrób coś! Konrad!

– Okay! – też wyszeptał i Sara się rozłączyła.

Potrzebował dobrej chwili, żeby uwierzyć w to, co usłyszał. Gdyby w jego drzwiach stanęła teraz Stevie Nicks pod rękę z Keithem Richardsem, to byłby mniej zaskoczony. Ale nocna wizyta Safira u Sary była isticie metafizyczna. Każdy czasem pęka, przed szefem, żoną, kochanką, policjantem czy prokuratorem, ale oficer wywiadu nigdy nie pęka, chyba że w okolicznościach, których nie rozumie. I tak było właśnie

teraz. Konrad w pewnym sensie pękł. To znaczy, że wiedział, co robić, ale nie miał pojęcia, od czego zacząć. A wszystko dlatego, że w mieszkaniu na Żoliborzu Safir był z Sarą. Jego Sarą!

Dotknął okienka Kontakty na swoim iPhone i przesunął palcem do napisu Centrum Antyterrorystyczne ABW.

Spojrzał na zegar. Trzydzieści minut po północy. Skończył się właśnie wyjątkowo popaprany dzień. Ale ten zapowiadał się już całkiem szczególnie.

Zadzwoił telefon. Na ekranie pojawiło się imię Sara i Konrad dotknął zielonego paska z poleceniem Odbierz. Przyłożył słuchawkę do ucha. Z głośnika dochodziły dziwne dźwięki, jakby komórka Sary o coś szorowała.

– Wyłączyłam swój głośnik – usłyszał donośny szept zmieszany z szumem spływającej wody – i nie będę cię słyszeć... Liczę, że ty mnie tak... Idę do niego! Niech się dzieje, co chce!

Telefon zasygnalizował przychodzącego SMS-a. Konrad spojrzał na ekran. Justyna.

„Jesteś podły! Nie dzwoń do mnie więcej!”

– Spierdalaj! – powiedział cicho i wrócił do słuchania Sary.

Ten SMS podzielał jednak na niego jak zimny prysznic. Olśnienie zmiotło panikę. Konrad poczuł, że wie, co ma robić, i że nabiera rozpędu. Intuicja i doświadczenie mimowolnie zaskoczyły.

Z podłączoną do ucha słuchawką zadzwonił z prywatnego telefonu do Marcina, jedyne go człowieka na świecie, który potrafił czytać w jego myślach. Teraz jak nigdy dotąd potrzebował właśnie kogoś takiego.

– Słuchaj uważnie – zaczął, gdy tylko usłyszał jego głos. – Safir jest teraz u Sary w domu. Ma broń. Prawdopodobnie nie wie, kim ona jest, i nie wie, że jest ścigany...

– Możliwe – poważnym głosem wtrącił Marcin.

– Zbieraj natychmiast ludzi! Niech wezmą wszystko, co potrzebne! Zrozumiałeś?

– Jasne, szefie!

– Ja dzwonię do ABW. Spotykamy się w parku Żeromskiego, przy dziewczynie z dzbanem...

– Wiem!

– Marcin...

– Szefie... wszystko wiem! Nie zawiodę! – uprzedził go Marcin.

Rozmawiając, Konrad jednocześnie wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące z telefonu Sary. Po raz pierwszy usłyszał głos Karola Hamonda.

Zadzwoił do Henryka z Departamentu Zwalczenia Terroryzmu ABW i najkrócej, jak się dało, objaśnił mu sytuację, ale to nie był Marcin i zajęło mu to trochę więcej czasu, niż planował. Henryk był jeszcze na Rakowieckiej i przygotowywał plan poszukiwań Karola Hamonda, więc kiedy usłyszał informację od Konrada, najpierw go zamurowało, a po chwili wybuchnął entuzjazmem i potokiem pytań. Ostatecznie uzgodnili miejsce zbiórki obu zespołów w parku Żeromskiego.

Od SMS-a Sary minęło niecałe pięć minut, gdy Konrad siedział już w swoim saabie. Po chwili wyjechał z garażu na ulicę Wilczy Dół. Skręcił w niemal pustą o tej porze aleję KEN i po raz pierwszy w życiu nacisnął pedał gazu tak, że strzałka turbodoładowania stanęła na czerwonym. Pęd powietrza niemal nie pozwalał oddychać i czuć było siłę stu osiemdziesięciu pięciu koni.

Sara wyszła z łazienki w znacznie lepszym nastroju. Wiedziała, że teraz czuwa nad nią cała potęga Wydziału „Q” i osobiście Konrad, który wszystko słyszy.

Safir siedział w kuchni z kubkiem herbaty w dłoni i wyglądał na zrelaksowanego. Kiedy ją zobaczył, jego twarz przybrała jeszcze bardziej miły i przyjazny wyraz. Sarze nawet przemknęło przez myśl, że to może jakaś pomyłka z tym Karolem terrorystą, ale wisząca w przedpokoju dziewięciomilimetrowa beretta nie pozostawiała złudzeń. Safir as-Salam miał sporo na sumieniu i ten pistolet pewnie też.

Milczeli przez chwilę. Safir wpatrywał się w swój kubek, jakby zbierał myśli przed wygłoszeniem orędzia. Sara wiedziała, co to będzie za oświadczenie, i była to ostatnia rzecz, jaką chciałaby teraz usłyszeć. Nie miała jednak wyboru i musiała wszelkim sposobem przeciągać rozmowę.

– Ładne mieszkanie – zaczął typowo. – Masz smak... Długo tu

mieszkasz?

– Dziękuję. Będzie już parę lat... A ty gdzie mieszkasz?

– W Otwocku – skłamał. – Wynajmuję piętro w domku. Twoja własność?

– Niece... – zawahała się, bo przypomniała sobie, że na liście lokatorów jest jej prawdziwe imię i nazwisko. – To mieszkanie mojej cioci, Sary Kaliskiej.

– Ładne imię... Sara... hebrajskie, znaczy „księżniczka”. Żona Abrahama takie miała – plótł trochę bez sensu.

To może być jakaś zagrywka i on doskonale wie, że Sara to ja – pomyślała. Zadał sobie sporo trudu, by mnie odnaleźć, mógł więc też ustalić, że nie mam na imię Zuza.

– No dobrze. To nieważne... Teraz na spokojnie... powiedz mi, dlaczego nie odzywałeś się tak długo. Co się stało? – zaczęła bardzo łagodnie, uciekając trochę naiwnie w emocje.

– Wtedy... we Lwowie... – wstał, podszedł do okna i wyraźnie wstrzymał oddech – cały mój świat stanął na głowie. – Odwrócił się do niej plecami. – Nie mogłem o niczym myśleć... pamiętam każdą chwilę, twoje spojrzenie, twoje oczy... – przerwał, jakby zabrakło mu słów, ale Sara pomyślała teraz o Konradzie po drugiej stronie linii i ogarnął ją wstyd. – A ty pamiętasz? – zapytał. – Pamiętasz to spotkanie na korytarzu? Pamiętasz? Pamiętasz moją dłoń... i swoją? – Odwrócił się. – Trzymałaś mocniej... niż ja, prawda? – Uśmiechnął się dziwnie, sucho, bez wyrazu. Mówił powoli, wyraźnie, z coraz większym przejęciem. – Pamiętasz? – powtarzał to słowo, jakby je sobie zakodował, zaplanował.

Sara przestała się uśmiechać. Uciekała wzrokiem to w jedną stronę, to w drugą. Wiedziała aż nadto dobrze, do czego Safir zmierza.

Gdyby to powiedział we Lwowie, uległaby mu natychmiast. Później, całymi miesiącami, nieustannie o nim myślała. W jej wyobraźni żył niezwykle mężczyzna Aleksander-Karol-Safir. To było bardzo intymne uczucie.

Bała się, że on zaraz powie to słowo i nie będzie umiała wiarygodnie zagrać siebie. Kilka razy w życiu je słyszała, wypowiedane w różnych kombinacjach, i zawsze wtedy serce

zaczynało jej walić jak oszalałe i miękkie nogi. Nie potrafiła się opanować. Bo to było najpiękniejsze słowo ze wszystkich. Kiedyś straciło swoją magiczną moc, znikło – plum – jak bańka mydlana. Lecz im większych doznawała rozczarowań, tym mocniej go pragnęła. Po prostu taka była, ale nie mówiła o tym nikomu.

Siedział teraz przed nią mężczyzna, w którym się kiedyś zakochała i którego odbicie trwało w jej pamięci. Za chwilę usłyszy z jego ust, że kocha ją nad życie – lub inną liryczno-pompatyczną frazę – i nie zareaguje. Safir był teraz wrogiem i wszystko się kompletnie pomieszało.

Pomyślała o Konradzie, który czuwa na drugim końcu linii, i nagle do niej dotarło, że to właściwie jest jedyny mężczyzna, który kocha ją naprawdę. I satysfakcję sprawiła jej myśl, że to właśnie on będzie świadkiem tej rozmowy.

Pobudzona tą świadomością podjęła decyzję i nabrała bojowego ducha.

– Pamiętasz mnie... siebie? Zuza... – Odstawił kubek na bufet, odwrócił się do niej i podparł z tyłu rękami. – Przeczytałem nawet *Jądro ciemności* i *Tajnego agenta*. Musiałem cię poznać... lepiej... – Zmrużył oczy i przestał się uśmiechać.

– Pamiętam. Wszystko pamiętam. – Nie miała wątpliwości, że właśnie to chciał usłyszeć. – Czy sądziłeś, że będę pisała do ciebie w nieskończoność, kiedy ty milczysz? Przecież... – już chciała powiedzieć, że to byłoby nienormalne, ale powstrzymała się, bo wołała go nie prowokować, musiała dać mu jeszcze czas. – Już sama nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. – Podniosła kubek do ust i pozorując zadumę, zaczęła pić herbatę małymi łykami.

Dobrze wyczuła, że w ten sposób opóźni wygłoszenie deklaracji miłości, choć była ciekawa, jaką wersję on wybierze.

– Pytałaś o broń. – Wrócił na krzesło i przysunął się do stołu. – Nie mam zezwolenia – oznajmił bez emocji i Sara podniosła głowę. – Przecież idąc do ciebie, wiedziałem, że będę musiał się wytłumaczyć, dlaczego jestem uzbrojony... Byłem przygotowany na te pytania i... i przyszedłem właśnie po to, żeby ci na nie odpowiedzieć. Ten pistolet... tam, w przedpokoju

– wskazał głową – jest początkiem i końcem historii, którą zaraz usłyszysz. Mojej historii. To nie będzie zwykła opowieść.

Sara też przysunęła się do stołu. Spojrzała na Safira ze zdziwieniem zagrany tak dobrze, jak tylko ona to potrafiła. Ten fragment gry zwykle wychodził jej najlepiej.

– Tak, okłamałem cię. Nie mogłem postąpić inaczej. Naprawdę nazywam się Safir as-Salam i jestem muzułmaninem – powiedział cicho, beznamyślnie, trochę niewyraźnie, banalnie.

– Ale to nie jest tak, jak myślisz... chociaż... – na moment przerwał – nie wiem, co myślisz.

– Jak to? – wtrąciła. – To ty nie jesteś Polakiem? Nie nazywałeś się Kurtz?

– Jestem Polakiem. Przyjąłem islam... wiele lat temu. Urodziłem się i wychowałem w Jemenie. Nie w Afryce. Wszystko inne było właściwie prawdą.

– Naprawdę jesteś muzułmaninem? – zapytała z idealnie wyreżyserowanym zdziwieniem. – Myślałeś, że tego nie zaakceptuję? Dopóki nie narzucasz swojej wiary innym, jest w porządku. – Mimowolnie odniosła się do dżihadu, więc szybko dorzuciła: – To dotyczy wszystkich religii. Ale chyba nie o tym chcesz ze mną rozmawiać w środku nocy? Powinieneś raczej powiedzieć, dlaczego mnie okłamałeś. To dlatego nie odzywałeś się tak długo?

– Jestem szyitą i nie tylko, zresztą nie to jest teraz najważniejsze. Niegdyś szyici byli prześladowani w świecie islamu i żeby przetrwać, musieli nauczyć się kłamać. Takie kłamstwo w samoobronie nazywa się takijją i jest usprawiedliwione.

– Musiałeś się przede mną bronić kłamstwem? O czym ty mówisz? Jaka samoobrona? – Doskonale wiedziała, co miał na myśli, ale o takijji nie słyszała. – Trzeba było powiedzieć to wtedy, we Lwowie, zamiast czekać tyle miesięcy i skradać się pod moimi drzwiami.

– Nie skradałem się – zaprotestował.

– Wszyscy kłamią, chrześcijanie też. Nie musisz jednak swojego postępowania tłumaczyć religią, to nie fair. – Wyczuła, że Safir ma problem z rozwinięciem swoich myśli, gubi się, jest

niepewny, więc postanowiła go przycisnąć, zyskać przewagę i czas. – A jak nazwać to wypytywanie sąsiadów i krążenie wokół mojego domu? W dodatku z pistoletem pod pachą!

– Zuza! To nie tak, jak myślisz. Wytlumaczę ci to. Miałem wszystko przygotowane, każde słowo, dokładnie pamiętałem, co mam powiedzieć, wyjaśnić... ale kiedy cię zobaczyłem, pogubiłem się... Daj mi chwilkę! Ja wiem, że to wszystko wygląda bardzo dziwnie.

Sara poczuła maleńką satysfakcję, widząc, że dobrze go oceniła, i nabrała jeszcze większego przekonania, że powinna kierować się intuicją.

– Co to za pistolet? Nosisz go na co dzień?

– Właściwie to tak... Beretta... M9... Dlaczego pytasz?

– Bo to największa niespodzianka tego wieczoru. Nie sądzisz?

– No tak. Masz rację...

– Więc?

– Więc... – zawiesił głos – od wielu lat jestem zaangażowany w walkę... Należę do organizacji... która...

– Do jakiej organizacji? To mafia czy co?

– Nie! Skąd!

– Chwileczkę. Jesteś muzułmaninem, zmieniłeś, jak rozumiem, nazwisko, urodziłeś się w Jemenie. Masz broń. – Popatrzyła na niego z przerażeniem. – Chyba nie jesteś terrorystą? Rany boskie! – próbowała ironizować.

– Ludzie tak to nazywają – odparł. – Ale prawda jest inna.

– Żartujesz! – Sara uśmiechnęła się niewyraźnie. – Nie wierzę! Jesteś terrorystą? Zabiłeś kogoś?

– Jestem nizarytą – niespodziewanie dla siebie samego oznajmił Safir.

Powiedział to po raz pierwszy w życiu do obcej osoby. Do kogoś spoza zakonu. I chociaż sprzeniewierzył się w ten sposób najważniejszej zasadzie Braci Czystości, to poczuł ulgę. Skoro już zdecydował się na tę rozmowę, musiał powiedzieć jej prawdę. Teraz był już tego pewien. Zuza nie pozostawiła mu wyboru. Wcześniej naiwnie myślał, że to spotkanie będzie wspaniałym powrotem do przeszłości, że emocje zastąpią słowa i z łatwością wszystko jej wytłumaczy. Nie żałował jednak

swojej pomyłki i nie był rozczarowany. Chciał jedynie uniknąć rozmowy o nizarytach, ale to okazało się niemożliwe. Tak naprawdę to wiedział o tym od początku.

Ujawniając się, skazywał Zużę na śmierć. Teraz nie miał wyboru, musiał ją przekonać, a ona musiała się zgodzić.

– Boże drogi! A cóż to takiego? – Sara była autentycznie zaskoczona. Zajmowała się islamistami od lat, ale o nizarytach nigdy nie słyszała.

– W Europie nazywali nas też asasynami, czyli zabójcami. Ale to legendy wymieszane z bajkami, pełne bzdur i fantazji. Konfabulacji Marco Polo. – Safir zaczął swoją opowieść. – Jestem nizarytą ismailickim, to odłam szyizmu. Rozróżniasz sunnitów i szyitów?

– Oczywiście!

– Ponad tysiąc lat temu, w dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, powstało w Basrze stowarzyszenie pod nazwą „Bracia Czystości”, choć i to nie jest dokładne tłumaczenie... Ichwan as-Safa – dodał po arabsku – którego celem było dokonanie syntezy ówczesnej nauki, filozofii i religii. Bracia podzieleni byli na cztery stopnie wtajemniczenia. Razem mieszkali, razem się uczyli w duchu dobroci, przyjaźni, prawdy. Najważniejsze było samokształcenie i osiągnięcie doskonałości przez poznanie i połączenie tego, co jest najlepsze we wszystkich religiach, filozofiach oraz naukach wszystkich ludów, ras i wszystkich czasów. Poszukiwali drogi do powszechnej szczęśliwości i zbawienia ludzkości. Nie traktowali islamu jako jedynej prawdy, ale jako jedną z wielu w ówczesnym świecie. Studiowali wszystkie dostępne i znane dzieła naukowe, czyniąc to w duchu nauki i poznania, a nie tolerancji. Poszukiwali prawdy obiektywnej.

– Nigdy o tym nie słyszałam. To brzmi jak jakaś bajka. Dan Brown? Zaraz pojawi się albinos z Opus Dei – wtrąciła się nieco nieuprzejmie Sara i zaraz zrobiło jej się przykro, chociaż nie było widać, by Safir się przejął.

Był skupiony i wyraźnie przejęty tym, co mówił. Każdy z łatwością by zauważył, że to dla niego niezwykle przeżycie.

– Swoje dokonania naukowe Bracia spisali w wielkiej

encyklopedii *Rasail Ichwan as-Safa*, co można tłumaczyć jako *Listy Braci Czystości*. Składała się ona z pięćdziesięciu jeden traktatów podzielonych na cztery części. Było to dzieło wspaniałe, piękne, swoją mądrością daleko przewyższające umysły zwykłych ludzi, a jednak napisane tak, by każdy mógł się z nim zapoznać. – Safir na moment przerwał i zamyślił się z pustym kubkiem w dłoniach. – Nie wolno naszym braciom lekceważyć żadnej doktryny, gardzić żadnym pismem, nienawidzić żadnej wiary. Nasza nauka i nasze zasady wykraczają poza granice wszystkich religii, obejmują wszystkie wyznania – wyrecytował. – Takie prawa obowiązywały Braci Czystości... i obowiązują – dodał z nutką melancholii.

– Nie obraż się, ale... ta twoja opowieść brzmi trochę jak wspomnienia Indiany Jonesa z ostatniej podróży na Bliski Wschód. – Sara jakby nie dosłyszała jego ostatniego słowa. – To niewątpliwie bardzo ciekawe, ale co to ma wspólnego z twoim pistoletem i tym, że jesteś... nizarytą... tak? O ile wiem, przejście na islam nie jest niebezpieczne. Bardzo chciałabym wysłuchać tej niezwykłej historii sprzed tysiąca lat i jeśli tylko mi wyjaśnisz, co z tobą jest nie tak, w jakiej organizacji się udzielasz, i przekonasz mnie, że jesteś dobrym człowiekiem, będziemy mogli kontynuować do rana. Na razie mam w głowie zamęt, który tworzą wątpliwości, kłamstwa, pistolet i kwiaty. Jak ty byś się czuł na moim miejscu?

Sara zawsze miała dystans do ludzi zbyt głęboko tkwiących w sekciarstwie, a Safir tak zatopił się w swej opowieści, że zapomniał, o co go pytała. Wyraźnie był w jakimś transie, ale nie wydawał się nawiedzony. Tak czy inaczej nie wiedziała, do czego zmierza w tej swojej intrygującej opowieści, więc postanowiła mieć się na baczności.

W chwili gdy to pomyślała, poczuła wibrowanie telefonu i aż podskoczyła.

– Zrób nam jeszcze herbaty, a ja pójde do toalety. Chyba się przeziębiam. – Wstała od stołu, poprawiając długi T-shirt. – Na Bliskim Wschodzie tyle się dzieje, że pewnie Bracia Czystości już dawno znikli w mrokach historii, prawda? – rzuciła, by okazać Safirowi większe zainteresowanie i na

wszelki wypadek poprawić nastrój rozmowy.

– Nie. Nie znikli – odparł z dziwnym uśmiechem i Sara zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

Mały placyk z fontanną ozdobioną rzeźbą kobiety z dzbanem położony był niecałe sto pięćdziesiąt metrów od domu Sary. Dobrze zasłonięty roślinnością i oddzielony szeroką ulicą Krasińskiego.

Konrad dotarł na miejsce pierwszy. Nawet nie sprawdzał, ile czasu jechał. To i tak nie miało znaczenia, bo nie można było pędzić szybciej. Z samochodu zabrał latarkę, chociaż noc była jasna i świeciły uliczne latarnie.

Na bieżąco kontrolował, co się dzieje w domu Sary. Doskonale słyszał każde ich słowo i ani razu nie pomyślał, gdzie mogła ukryć telefon. Martwił się tylko, czy jest wystarczająco naładowany.

Nie minęło kilka minut, gdy pochwycił charakterystyczny dźwięk motocyklowego silnika. Odwrócił się i zobaczył zbliżające się szybko światło. Po chwili, z poważnymi problemami, zatrzymał się przed nim harley, na którym siedział Marcin z plecakiem.

– O mój Boże! Myślałem, że się zabiję – oznajmił zdyszany, jakby przyjechał na rowerze. – Matko święta! Pierwszy raz jechałem sam w nocy i do tego tak szybko! O Jezuniu! – Zsiadł z motoru i zdejmując kask, zapytał: – Co nowego? Co się dzieje? On tam jest? Zaraz wszyscy będą, szefie. Ale się porobiło!

– Przywiozłeś mojego sig-sauera? – przerwał mu Konrad.

– Jasne, szefie! – Marcin wyciągnął z plecaka pistolet i dwa magazynki luzem.

– A gdzie kabura... szelki?

– Za pasek, szefie. – Marcin podciągnął koszulkę i pokazał broń. – Tak jest wygodniej i poważniej... no kurczę, *cool!* Nie?

– Nie. – Konrad nie miał teraz ochoty się z nim sprzeczać, bo wsłuchiwał się w rozmowę Sary z Safirem i nie mógł sobie pozwolić na rozdwojenie uwagi.

– Jadą! – rzucił podniecony Marcin. – To Lutek i M-Irek! Na pewno.

Kilkanaście metrów od nich zatrzymał się służbowy touareg, z którego wyskoczył Lutek z plecakiem. M-Irek pospiesznie wyjęli z bagażnika dwie duże aluminiowe walizki na kółkach. Przyjechała też Ewa. W ciągu kilku chwil wszyscy otoczyli Konrada i w ciszy oczekiwali, aż się odezwie.

To była najbardziej dramatyczna chwila w życiu Wydziału Specjalnego „Q” i chociaż nie pierwszy raz czuli na plecach oddech śmierci, to jednak teraz los Sary spoczywał w ich rękach. Nie było w tej chwili nic ważniejszego na świecie.

Jak zawsze w takich sytuacjach dowodził Konrad. Był dyktatorem absolutnym, a oni jego wojskiem, i wszyscy wiedzieli, że nigdy ich nie zawiódł.

Mirek otworzył walizkę i rozdał wszystkim radiostacje Motorola i słuchawki.

– Kanał czwarty – powiedział Irek.

– W mieszkaniu Sary jest uzbrojony Safir. Mam na bieżąco podsłuch rozmowy z jej telefonu komórkowego. Wygląda na to, że przyszedł w pokojowych zamiarach... nawet osobistych. Próbuje jej wytłumaczyć, dlaczego tyle czasu się nie odzywał... ale to teraz nieważne. Sytuacja jest dynamiczna i w każdej chwili może wymknąć się spod kontroli. – Konrad zmarszczył brwi i przygryzł wargę. – Karol Hamond jest ścigany przez policje całej Europy i... Widzieliście wiadomości?

– Tak, szefie – odparł Marcin i widać było, że pozostali też doskonale wiedzą, o co chodzi. Szare półcienie dodawały ich twarzom ostrości i wyjątkowo realistycznie podkreślały dramatyzm sytuacji.

– Hamond prawdopodobnie jeszcze o tym nie wie, ale w każdej chwili może się zorientować... telefon, Internet, cokolwiek. Wiadomo! Wtedy może być gorąco. – Konrad przypomniał sobie, co jeszcze niedawno mówiła mu o Safirze i jego determinacji Sara.

– Czy Hamond wie, że ona jest oficerem wywiadu? – celnie zapytał Marcin.

– Z tego, co słyszę... to chyba nie. Ale może udawać. Sara prowadziła jednego Araba w Wiedniu, który... – przerwał. – Nieważne!

Przez plac Wilsona przejechał radiowóz. Drugi zbliżał się od strony Wisły.

– Zaczęło się! To ABW i policja – oznajmił Konrad. – Zaraz tu będą. Posłuchajcie uważnie! – Wszyscy skupili się wokół niego. – Cokolwiek by się działo, wykonujecie moje rozkazy. Wyłącznie! – Spojrzał na nich trochę pytająco, trochę niepewnie, tak jak zawsze. – Zaufajcie mi!

Nikt nie zareagował, tak było oczywiste, że mu ufają.

– Jest pierwsza zero jeden. – Konrad podał czas i wszyscy sprawdzili zegarki. – Realizujemy wariant z Dubaju. – Spojrzał na nich z pełnym przekonaniem. – Pamiętacie?

Odpowiedziało mu zgodne skinienie wszystkich głów.

– M-Irek? Macie małego wywiadowcę?

– Zestaw zawsze z nami.

– Lutek? Masz fuzję?

– Mam.

– Sara i Safir siedzą w kuchni. Okno wychodzi na podwórko. Zajmij się tym! – Nim Lutek ruszył, Konrad dodał: – Jej życie jest w twoich rękach.

Lutek skinął głową. Z bagażnika wyjął futerał z karabinem snajperskim, zarzucił go na ramię i pobiegł w kierunku ulicy Krasińskiego.

W tym czasie z głębi parku wyłoniły się dwa ciemne samochody i zaparkowały obok touarega. Wsiadło z nich kilku mężczyzn i szybkim krokiem ruszyło ku grupie Konrada. Po chwili dołączył do nich radiowóz policyjny z włączonym sygnałem świetlnym, ale bez syreny. Wsiadło z niego dwóch cywilów i jeden mundurowy.

Przyjechał Henryk, dyrektor Departamentu Zwalczania Terroryzmu ABW, i Marcel. Towarzyszyli im szef Wydziału Zabezpieczenia Realizacji i Działań Antyterrorystycznych oraz szef Centrum Antyterrorystycznego. Wkrótce dołączyli policjanci z Komendy Stołecznej. Przedstawili się, ale Konrad nie zapamiętał nazwisk. Wszyscy stanęli w ciasnym kole.

– Wyłączcie te światła. – Konrad wskazał na błyskającego koguta na radiowozie i mundurowy natychmiast zerwał się do biegu.

- Jaka jest sytuacja? – zaczął Henryk.
- Safir jest w mieszkaniu Sary. – Podał adres i krótko opisał jego rozkład. – Mam bieżący nasłuch tego, co się dzieje wewnątrz...
- Świetnie! – niemal wykrzyknął Henryk.
- Sara ma włączony telefon komórkowy, ale w każdej chwili może się rozładować. Hamond nie wie, że jest ścigany, a jego wizyta ma prawdopodobnie charakter osobisty...
- Osobisty? – zapytał Marcel.
- Poznali się kiedyś. Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Hamond jest uzbrojony w armatę...
- O sprawie poinformowani są już szef ABW i minister spraw wewnętrznych, policja właśnie obstawia teren – zdecydowanym głosem zaczął Henryk. – ABW jest gospodarzem operacji i ja obejmuję nad nią nadzór. Waldek – zwrócił się do oficera, który z nim przyszedł – rozdaj radiostacje.
- Za chwilę połowa Warszawy będzie wiedziała, że namierzyliśmy Hamonda – wtrącił ostro Konrad. – Zaraz będzie tu telewizja. Henryk! – Spojrzał mu prosto w oczy. – Hamond nie da się wziąć żywcem! On się nie podda...
- To go zabijemy – odparł spokojnie Henryk. – O jedno ścierwo mniej!
- Tam jest Sara. Rozumiesz?! – Konrad uniósł głos.
- Agencja Wywiadu nie ma tu nic do rzeczy... sprawa bezpieczeństwa wewnętrznego. To terrorysta i morderca. Nie oglądasz telewizji? Słuchaj Justyny! Nie lubicie się już z TV24?
- Konrad zrobił krok do przodu i gdyby Marcin nie przytrzymał go za pasek, być może uderzyłby Henryka.
- Wal się, Heniu. Wal się...! Daruj sobie... przynajmniej teraz!
- Panowie! – wtrącił się Marcel. – Mamy kłopoty. Nie zauważyliście?
- Co chcesz zrobić? – zapytał Konrad.
- Obstawiamy dzielnicę, dom i wzywamy Hamonda, żeby się poddał... a jak nie... to... wysadzamy kamienicę.
- Okay. Niech tak będzie, ale daj mi pół godziny. Spróbuję wyciągnąć Sarę z tego gówna. Jak mi się nie uda, wchodzisz do

akcji... z tym swoim bum! Co?

– Trzeba spróbować – wtrącił Marcel i puścił oko.

– Dobrze – odparł Henryk po chwili namysłu i zwrócił się do swoich ludzi: – Słyszeliście? Zająć pozycje, rozstawić się, ukryć i czekać na mój rozkaz. Policjanci... nie hałasować na mieście.

– Przez ten czas ja dowodzę, Heniu.

– Oby ci się udało! Może będziesz miał klienta do sanatorium Guantánamo albo na szkolenie w Kiejkutach. Wy przecież nawet nie wiecie, że Glock nie ma bezpiecznika – rzucił złośliwie w powietrze i dodał: – No to działaj! – Odwrócił się i zawołał dosyć głośno: – Tempo, ruszać się!

– Chodźcie! – powiedział Konrad do swoich ludzi.

Odszedł na bok, przykładając lewą rękę do ucha. Cztery pary oczu wpatrywały się w milczeniu w każdy jego gest, licząc, że wyczytają z niego jakąś informację.

– Jestem na pozycji – usłyszeli w słuchawkach głos Lutka. – Dom naprzeciwko, od podwórka, klatka piąta, piętro trzecie.

– Co widzisz? – zapytał Marcin.

– Siedzą w kuchni, coś piją z kubków, nie widzę broni, jest spokojnie, w sypialni pali się lampka.

– Informuj na bieżąco o zmianie sytuacji – odezwał się Konrad. – My zaraz zaczynamy. Mamy pół godziny. Jest pierwsza zero dziewięć.

– Zrozumiałem. Pół godziny. Pierwsza zero dziewięć. Mam go w celu – zakończył Lutek.

– Bez odbioru – odparł Konrad i zwrócił się do swoich ludzi: – Telefon Sary może w każdej chwili paść i będziemy bez łączności, a wtedy dupa błada. – Powiedział to tak spokojnie, że wszyscy od razu wiedzieli, że nerwy ma napięte do ostateczności. – Zaczynamy Dubaj! Beacon i pluskwa, jest?

– Jest! – odparł Mirek.

– Żwaczka?

– Jest! – potwierdził Irek.

– Przygotujcie wszystko.

– Robi się. Gotowi za trzy minuty – odpowiedzieli jednocześnie i natychmiast zaczęli coś dłużyć w swojej ogromnej aluminiowej walizce przypominającej wnętrze

pojazdu kosmicznego.

Konrad wyjął drugi telefon i przez kilka sekund namyślał się, przygryzając dolną wargę, aż w końcu zaczął pisać SMS-a. Marcin i Ewa wciąż stali nieporuszeni i z tym samym wyrazem twarzy wpatrywali się w każdy jego ruch, gotowi wykonać każde polecenie.

Skończył pisać i przez chwilę skupiał uwagę na słuchawce w lewym uchu, po czym docisnął dłonią słuchawkę w prawym.

– Lutek! Słyszysz? – zapytał.

– Tu Lutek. Słyszę.

– Uwważaj. To bardzo ważne! – Marcin i Ewa wpatrywali się w niego w napięciu. – Za chwilę wysyłam Sarze SMS-a. Obserwuj ją teraz dokładnie i mów, co będzie robić! Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– Wysyłam! – Konrad nacisnął przycisk w telefonie. – Poleciało!

Konrad, Ewa i Marcin zamarli w oczekiwaniu. Wydawało im się, że przesyłanie wiadomości trwa nieprawdopodobnie długo, za długo, że musiało się coś stać, że Konrad się pomylił, że operator ma awarię, że stało się cokolwiek. W końcu usłyszeli w słuchawkach ściszony, ciepły głos Lutka:

– Sara podniosła się od stołu i wychodzi.

– Obserwuj ją i jego! – polecił Konrad. – Zaczynamy! Trzymaj go na kółku. Jak uznasz, że trzeba... wal! Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – odparł bez wahania.

Wszyscy dobrze słyszeli, co powiedział Konrad. Nie miał prawa wydać takiego rozkazu i oni o tym wiedzieli, a Lutek w szczególności. Ale teraz każdy z nich wykonałby go bez namysłu. To było oczywiste. Chodziło przecież o Sarę.

– Gotowi – zameldował Irek.

– Możemy odpalać, szefie – dodał Mirek.

Mahmood rozciął nożem plastikową banderolę spinającą pakiet gazet z wielkim czerwono-białym logo „The Sun”. Rozdzielił go na dwie części i rozłożył obok innych tytułów.

Zaczynał się nowy dzień i dublińscy jak zwykle spieszyli się do pracy, mijając kiosk Mahmooda na ulicy O’Connell bez większego zainteresowania. Przejrzą sobie spokojnie poranne internetowe wydania gazet, w towarzystwie kolegów lub koleżanek, przy pachnącej kawie albo herbacie. Wkrótce jednak, kiedy wypełnią się już biura, firmy i urzędy, na ulice wylegną emeryci, bezrobotni i kobiety na macierzyńskim. Wtedy Mahmood sprzeda wszystkie egzemplarze brytyjskiego tabloidu „The Sun”, co do jednego.

Tego ranka kupującym będzie również wyjątkowo Conor Gallagher, który nie brał „The Sun” do ręki, bo ta gazeta dawno już straciła swoje lewicowe oblicze i stała się jedynie organem Ruperta Murdocha. Conor był przekonany, że ten australijski kapitalista nigdy nie będzie w stanie wykrzesać z siebie jakiegokolwiek empatii dla sprawy irlandzkiej, i nie kupował tej gazety. Ale tylko jej, bo gdyby zbojkotował wszystkie pozostałe media Murdocha, straciłby dostęp do wielu potrzebnych informacji. Dla Irlandii można znieść i takie upokorzenie – uważał, chociaż w IRA i Partii Postępu był odosobniony w tym przekonaniu.

Tego dnia Gallagher miał na sobie niebieską koszulę z krótkimi rękawami i piaskowe spodnie chino. Jasne, jeszcze wilgotne siwoblond włosy zaczesał gładko do tyłu. Pod pachą trzymał miesięcznik „An Phoblacht”, z którym lubił obnosić się demonstracyjnie po ulicy O’Connell. Prawą rękę wyciągnął już jak zwykle po „Daily Mirror”, gdy nieoczekiwanie schylił się po „The Sun”. Na pierwszej stronie dostrzegł znajomą twarz. W pierwszym momencie pomyślał, że to ktoś podobny do człowieka, którego zna od lat. Założył więc okulary i przyjrzał się uważnie.

To był Peter Virag. Bez najmniejszej wątpliwości. Peter Virag, którego jeszcze kilka dni temu widział tutaj, w Dublinie. Poczul

znajome ukłucie pod mostkiem, więc natychmiast wziął głęboki oddech. Jeszcze kilka razy zaczerpnął powietrza i ból ustąpił.

Mysterious murder in Kingston Hospital! Deadly Pole! Do you know his face? – takie tytuły ujrzał Conor Gallagher, podobnie jak trzy i pół miliona pozostałych czytelników, na pierwszej stronie tabloidu.

Refleksja przyszła dopiero po chwili.

Czy Virag zdążył poinformować swoich w Moskwie o interesach z generałem Lee i superdolarach? – nasunęło mu się pytanie i zaraz przyszło drugie: A jeżeli nie... to co powinienem teraz zrobić?

Przyjrzał się uważniej niewyraźnemu zdjęciu z kamery przemysłowej, które przedstawiało młodego mężczyznę w bejsbolówce, z plecakiem na ramieniu, w okularach i z krótką bródką.

– *Deadly Pole!* – przeczytał na głos i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Zabili go czy co? – pomyślał z niepokojem. Rosjanie? Koreańczycy? Al-Kaida? *Fuck!* Wszystko jak najbardziej możliwe! To by znaczyło, że przekazał informację do Moskwy... Chociaż? Chyba że to ktoś od nas?! A może Anglicy? Eee... nie...

Nawet się nie zorientował, kiedy dotarł do Middle Abbey 78, gdzie był The Oval Bar z wiktoriańskim portykiem zdobionym smukłymi jońskimi kolumnami.

Usiadł na ulicy przy swoim stoliku, otworzył gazetę i zaczął czytać. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to wyjątkowy poranek. Poczul z wyraźnym żalem, że wraz ze śmiercią Viraga skończyła się ważna epoka w jego życiu.

– Miał raka krtani? Zastrzelił się? – zapytał półgłosem z niedowierzaniem.

No tak... dziwny był. Musiał być chory. To było widać, ale jakoś o tym nie pomyślałem... no tak... Bardzo był słaby. Nie leczył się czy co?

Conor pochłaniał tekst całymi zdaniem.

Polak dostarczył mu broń? Dziwne. Podejrzone. Zmusili go do samobójstwa... tak... to bardzo prawdopodobne. Podejrzone to wszystko, ale nie musi mieć związku z nami. Chuj jeden wie, co

on tu jeszcze robił, jakie Rosjanie mają interesy! Przecież mają... kurwa... interesy wszędzie!

– Hej, Connie! – rzuciła wyjątkowo głośno jakaś przechodząca kobieta o wyglądzie gospodyni domowej.

Fuck! To jakaś incecja czy co? – pomyślał i uśmiechnął się niewyraźnie do gospodyni. Co ja powinienem teraz zrobić? Czy w ogóle powinienem coś robić?

– Hej, Connie! – odezwał się kelner. Postawił na stoliku filiżankę kawy i jabłecznik.

– Hej, Ed! – odparł Gallagher, nie podnosząc wzroku znad gazety.

– Paskudna sprawa – skomentował Ed. – Ja też skończyłbym ze sobą. Ale zastrzelić się... – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – U nas pracują dwaj Polacy... wiesz... i mówią, że w życiu nie przyłożyliby ręki do czyjegoś samobójstwa...

Conor podniósł wzrok i spojrzał na Eda z dobrze udawanym zaciekawieniem.

– No... tak mówią... – zreflektował się kelner.

– Katolicy, co? Daj spokój – przerwał mu Gallagher i na znak zniecierpliwienia przytknął oczy. – Przynieś mi wody, Ed.

– Hej, Connie! – usłyszał, zanim zdążył wrócić do lektury.

– Hej, Mary! – odpowiedział przechodzącej kobiecie koło czterdziestki i uniósł dłoń.

Fuck! No... nie poczytam spokojnie, nie mogę się skupić – pomyślał z zaniepokojeniem i złożył gazetę.

Zawsze siadał przy tym stoliku właśnie po to, żeby wymieniać się z przechodniami powitaniem i żeby wszyscy widzieli, że czyta „An Phoblacht”. Tego dnia jednak był wyjątkowo rozdrażniony.

Po chwili pojawił się Ed z wodą, więc Conor polecił mu przenieść nietkniętą jeszcze kawę i ciastko do środka.

Ed bez słowa wszystko zebrał i zaniósł na pierwsze piętro. Postawił na stoliku przy dużym oknie w malinowej sali. O tej porze w lokalu było pusto.

– Przyniosę nową – oznajmił i zabrał filiżankę.

Muszę zadzwonić do Jacka – pomyślał Conor. Pewnie jeszcze o niczym nie wie. Nie możemy się zatrzymać właśnie teraz!

Tyle lat przygotowań, tyle pracy...

Miał wrażenie, że pierwszy raz w życiu stracił kontrolę nad operacją, którą sam wymyślił i w którą, co gorsza, wciągnął tylu towarzyszy. To miała być jego największa bitwa. Ostatnia.

Bez pieniędzy od Koreańczyków wykupienie Royal Bank of Ulster nie wchodziło w grę. Nie udało się odzyskać sporych połaci irlandzkiej ziemi i licznych irlandzkich domów, odebrać choć części tego, co Anglicy zagrabili przez wieki. Uwłaszczyć wielu rodaków. To miało być pierwsze nowoczesne i największe zwycięstwo nad Londynem od czasu wojny o niepodległość. To miał być jego osobisty hołd dla wielkiego O'Connella.

A tu, *fuck*, martwy Virag i jakiś Polak mieliby wszystko zepsuć?

Conor zaczynał nabierać siły.

W życiu! Robimy swoje!

Wyjął telefon komórkowy.

Tymczasem Ed przyniósł nową kawę, a Conor dał mu znak, żeby zamknął drzwi do lokalu. Ed zrobił, co mu kazano, i dyskretnie znikł gdzieś na parterze. Conor wyjął z portfela kartę SIM i włożył ją do telefonu.

– Mamy problem – zaczęła, gdy tylko usłyszał głos w słuchawce. – Czytałeś?

– Nie – odpowiedział Jack.

– Przeczytaj w Internecie dzisiejsze poranne wydanie „The Sun”. Zadzwoń za pięć minut.

– Okay.

Conor siedział przy oknie i wyglądał na Middle Abbey. Na dole Ed rozmawiał z kimś podniesionym głosem, ale nie dało się zrozumieć ani słowa. To chyba był jeden z Polaków pracujących w barze.

Nauczył się polskiego czy co? Wszędzie pełno tych Polaków – przemknęło mu przez myśl.

Chociaż Irlandczyków nic nigdy z tymi Słowianami nie łączyło, to jednak czuł do nich sympatię. Nawet teraz, kiedy patrzył na zdjęcie mężczyzny w gazecie i tytuł *Deadly Pole*. Lubił Polaków może dlatego, że tak dramatycznie się oburzali, kiedy brał ich za Rosjan. Zupełnie jak Irlandczycy wzięci za

Anglików. Conor szybko nauczył się rozróżniać Słowian.

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy na stoliku zabrzączał telefon.

– Niedobrze – zaczął Jack po gaelicku. – Urwał się nam kontakt, co?

– Na to wygląda.

– Co robimy?

– Nie będziemy sami szukać kontaktu, bo nie wiadomo, na co się natkniemy.

– Myślisz, że zdążył poinformować swoich?

– Jeżeli zdążył, to zakładam, że mu uwierzyli. Wiedzą, że nie żartujemy.

– Ładnie to przecież uszyliśmy!

– Nie w tym rzecz, młody. Zakładam, że uwierzyli. Koledzy z Karoliny Północnej są zdeterminowani i zrobią to, co zamierzają, z nami lub bez nas... i mogą nas wydymać. Nie możemy się na to zgodzić...

– To co? Może zaczekamy?

– Wszystko mam już gotowe, młody. Nie możemy zatrzymać się w pół drogi. Mam maksymalnie dwa tygodnie. Kiedy ma przyjechać ten miłośnik daktyli?

– Powinien już tu być. Partnerzy mocno się denerwują. Mają mało czasu.

– Posłuchaj, młody! Zrobimy tak... Jak już ten od oliwek dogada się z biznesmenami i będziemy wiedzieli, jaki jest plan, sprzedasz to wszystko... ale tylko to... naszemu Olivierowi. Rozumiesz?

– Jasne!

– Niech Olivier wymaca najpierw, czy rodzina nieboszczyka zna jego testament i co wie o planowanym kontrakcie. Jak już się zorientuje, to niech nic nie robi, dopóki nie powiem mu co dalej.

– Rozumiem. Co nam to da?

– Jeżeli oni już wiedzą i nieboszczyk zdążył o wszystkim poinformować, to sprawa leci tak, jak miała lecieć, a jak nie, to nic! Spokojne sumienie, młody, i...

– I kasa?

– Z kasą trzeba będzie się chyba pożegnać... chociaż mam pewien plan awaryjny.

– No to trochę się popierdoliło...

– Niech Olivier na bieżąco o wszystkim informuje. Niech uważa na siebie i każdy krok! Ale musi się spieszyć...

– Nie będzie łatwo...

– Młody, wszystko teraz w jego rękach. Pilnuj sprawy! Liczę na was...

– Jasne! Zaraz się tym zajmę.

Conor odłożył telefon na stolik. Odsunął od siebie „An Phoblacht”, wypił wodę i nawet nie próbował dotykać zimnej filiżanki. Jabłeczник też zostawił nieruszony.

– Gdzie stoisz? – odezwała się w telefonie Linda, nim zdążył powiedzieć „słucham”.

– Przed terminalem. Za przystankiem autobusowym... na lewo od wyjścia. Granatowy saab... – nie dokończył.

Wysiadł z samochodu i stanął na chodniku, by mogła łatwiej go dostrzec.

Na trzecim terminalu lotniska Arlanda było zadziwiająco pusto, chociaż o tej porze samoloty lądują co chwila. Linda ukazała się na zewnątrz już po minucie i od razu zauważyła Hasana, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Duże ciemne okulary zakrywały jej pół twarzy, a na czoło miała nasuniętą fikuśną czapkę. Do tego czerwona koszulka polo, na niej tweedowa kamizela i klasyczne džinsy. Stroju dopełniały żeglarskie buty. Przez ramię przerzuciła niedużą torbę stanowiącą cały jej bagaż.

Hasan obserwował, jak zbliża się do niego, i był przekonany, że to nie może być Linda. Wyglądała jak klaun, a nie oficer szwedzkich służb specjalnych wracający z akcji. Co prawda nie z Afganistanu, tylko z Kopenhagi, ale Czerwony Szejk też wymagałby bardziej wysublimowanego, bojowego stylu – pomyślał.

– Co tak patrzysz? – zapytała Linda.

– Twarzowa czapka – stwierdził z lekkim ociąganiem Hasan. – Duńska? Co to za okulary?

– Nie nudź! – odparła, wsiadając do samochodu. – Jestem wykończona. Co się tak przyglądasz? Mam tłuste włosy... czy co?!

– W porządku. Ja przecież...

– Nie spałam całą noc, a i tak wszystko na nic.

– Szejk nie odpuści, *to be continued*...

– Wiem. Niestety.

– Kurczę! – Hasan podniósł głos. – Znów źle pojechałem! Ciągłe się gubię na tym lotnisku... – Uderzył pięścią w kierownicę.

– Wyjedziesz przez piątkę...

– Jestem dzisiaj jakiś rozkojarzony.

– Źle wyglądasz, Hasan. Też nie spałeś? – Zdjęła okulary i przysunęła się bliżej, żeby spojrzeć mu w twarz. – Balowałeś? Miałeś przecież pilnować wydziału!

– Nie spałem, bo... – przełknął z trudem ślinę – bo... denerwowałem się, co tam wyrabiacie... no wiesz! – Spojrzał Lindzie prosto w oczy, jakby chciał coś sobie udowodnić.

Miała mocno podkrążone i zaczerwienione oczy, pobladłą, ziemistą cerę i spękane usta. Czyli jednak wyglądała jak oficer wracający z roboty. Zrobiło mu się głupio, że tak niesprawiedliwie ją wcześniej ocenił. Tym bardziej że jego poranne wyczerpanie miało zgoła pozasłużbowe przyczyny.

– Co tak pospiesznie przyjechałaś?

– Nie kręć! Gdybyś nie balował w jakimś klubie, to wiedziałbyś, co się zdarzyło w Wiedniu, i sprawdził pocztę! – Głos Lindy zabrzmiał chłodno. – Trzeba było włączyć Internet, skoro nie mogłeś spać...

– Linda! – wtrącił Hasan. – Ja wczoraj... z jedną dziewczyną... nazywa się Harriet, kurczę...

– Nooo... przynajmniej teraz brzmisz wiarygodnie! Zawsze mów mi prawdę!

– Ale to nie tak... *Fuck!* To nie tak, jak myślisz! A właściwie... tak, ale... – Wyraźnie się pogubił. – No, ale co się stało w Wiedniu?

– Pamiętasz takiego Polaka z Al-Kaidy, Karola Hamonda, Safira as-Salama?

– Pamiętam! Oczywiście! – Hasan ożywił się, bo Linda wyraźnie mu odpuściła. – Mamy go w kartotece... Jest w Face 69. Sprawę prowadzą Sara i Konrad... opowiadali, jak tu byli...

– No właśnie! Wczoraj w Wiedniu była strzelanina. Hamond zabił dwóch policjantów i agenta brytyjskiej SIS.

– Nooo... to nieźle! – Pokiwał głową.

Wjechali na autostradę A4 i minęli po prawej zabudowania Arlandastad i dojazd do E18 w kierunku Sigtuny.

– Ale co my mamy...? – zaczął niepewnie.

Linda jednak niespodziewanie zamilkła i zaczęła się wpatrywać w pędzący za oknem krajobraz, więc Hasan

postanowił na razie nie kończyć pytania. Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu nocy spędzonej z Harriet i tylko czekał na odpowiednią okazję, żeby zaimponować Lindzie informacją o Claesie von Utrecht, który w jego świadomości utrwalił się jako Neo. Na razie jednak dało się wyczuć, że to nie najlepszy moment na opowiedzenie Lindzie o odkryciu schronu Neo, chociaż w opinii Hasana to właśnie było prawdziwym hitem roku, a nie jakiś polski konwertyta z pistoletem.

Nawet nie zauważyli, kiedy dojechali do Upplands Väsby.

– Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie James...

– Łącznik SIS?

– Tak. Austriacy ustalili, że Hamond miał dzisiaj lecieć do Sztokholmu. Wykupił bilet w jedną stronę na linie Air Berlin. Samolot ma lądować o trzynastej trzydzieści na Arlandzie.

– Chyba nie jest aż takim durniem?! – obruszył się Hasan. – Co planujesz?

– Nazywa się teraz Jerzy Jankowski, ma polskie papiery. Rozmawiałam już ze Stigiem. Securitas będzie prowadzić na lotnisku obserwację wszystkich pasażerów tego lotu. Uruchomi ekipy piesze i kamery.

– Nic więcej nie możemy zrobić...

– Jasne! Jakby próbował wsiąść, to Austriacy zdjąliby go od razu. To zresztą klasyczna zmyłka, ale trzeba być czujnym. – Mówiła cicho i wolno, widać było, że jest zmęczona i zaczyna powoli odpływać.

– A jeżeli Hamond rzeczywiście coś planował w Szwecji i to nie miała być zmyłka? Co wtedy? – Hasan zastanawiał się na głos.

– Wtedy: Houston, mamy problem! Na naszym terenie grasuje banda terrorystów z Al-Kaidy. Tylko ich nam tutaj brakowało... Oj, oj... premier rządu koalicyjnego będzie miał dodatkowe zmartwienie. Ale ja mu o tym nie zamelduję!

– Hm... – Linda cicho się zaśmiała. – Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. – Opuściła się głębiej w fotelu i zamknęła oczy. – James zostawił pismo u nas na Polhems. Wszystko tam jest napisane. Stig na Arlandzie wie, co ma robić... Hasan, przyjacielu! – Wciąż siedziała skulona, z zamkniętymi oczami.

– Zajmij się tą sprawą, a mnie zawieź do domu, dobrze? –

Przez moment popatrzyła na niego opuchniętymi oczami. – Nie gniewaj się. Myślałam, że dam radę... – Naciągnęła kapelusik na oczy, objęła się ramionami i wtulona w fotel zasnęła.

– Jasne, Lindo! – odpowiedział cicho i poprawił swój dredowy kucyk. Każdy mężczyzna lubi, gdy kobieta taka jak Linda o coś prosi, i to takim głosem, i gdy tak słodko zasypia.

Kilka minut temu minęli Sollentunę i Hasan wjechał teraz w krótki tunel obok szpitala Karolinska. Byli już w Sztokholmie. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że powinien jechać prosto, w kierunku Södermalm, gdzie mieszkała Linda, a nie w lewo na Kungsholmen, gdzie była siedziba Säpo.

Nie mógł się zdecydować, czy powinien teraz zadzwonić do Harriet i zająć się Neo, czy najpierw załatwić polecenie Lindy i przypilnować tego Polaka. Obie sprawy były ważne. I obie dziewczyny też, chociaż każda z innego powodu. Po raz pierwszy uczucia pomieszały mu się z pracą i przez moment miał spore trudności z rozwikłaniem tego problemu.

Skulona w fotelu Linda spała już na dobre, kiedy ostatecznie postanowił, że pojedzie na Arlandę i osobiście przyjrzy się wszystkim pasażerom tego lotu. A nuż coś wypatrzy. W drodze na lotnisko zadzwoni do Harriet i przez telefon omówią, jak się dostać do tajnego lokalu mrocznego barona Internetu i do jego mrocznego wirtualnego świata. Patrząc na Lindę śpiącą z opuszczoną głową, był już na sto procent przekonany, że spokojnie może planować resztę dnia.

Zatrzymał się przy Götgatan pod domem Lindy.

– Lindo. – Dotknął jej ramienia. – Jesteśmy na miejscu.

– Co? Co mówisz? Gdzie? – Ocknęła się i rozejrzała nieprzytomnym wzrokiem. – Aha, tak! – Wzięła głęboki oddech i głośno wypuściła powietrze. – Dziękuję, Hasan. Zajmiesz się samolotem?

– Oczywiście.

– No... to do jutra... Jakby co, to dzwoń do Kurta. – Otworzyła drzwi, z trudem wysiadła z samochodu, po czym ociężale poczłapała w kierunku bramy.

Była jedenasta dziesięć, a samolot miał lądować o trzynastej trzydzieści, więc Hasan miał trochę czasu w zapasie. Przez chwilę się zastanawiał, co powinien zrobić w pierwszej kolejności. Zadzwoić do Harriet i jechać na lotnisko czy też wpaść jeszcze na Polhems?

Odczekał, aż Linda znikła za bramą, i wrzucił jedynekę w saabie. Wcisnął się między ciągnące z lewej samochodu i pojechał w kierunku centrum.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przecież nie zna twarzy Hamonda. Ludzie z bezpieczeństwa na Arlandzie również. I chociaż prawdopodobieństwo pojawienia się tego terrorysty było równe zeru, to jednak czuł, że musi zajrzeć do Face 69 i zrobić sobie wydruki. Inaczej oszukiwałby sam siebie i mógłby wtedy w ogóle darować sobie wyjazd na lotnisko.

Za mostem łączącym Gamla Stan z Riddarholmen zjechał w prawo przy Dworcu Centralnym na Vasagatan, zawrócił w Klara Mälarstrand i przez most obok Ratusza pojechał prosto Hantverkargatan na Kungsholmen, do siedziby Säpo. Prawie identyczną trasę pokonywała zwykle na rowerze Linda, gdy udawała się do pracy.

Jak tylko wszedł do wydziału, oficer dyżurny wręczył mu zaklejoną szarą kopertę formatu A4 z czerwonym stemplem *Urgent* i kartę magnetyczną do jego pokoju. To była typowa koperta, w jaką SIS pakowała tajne dokumenty, i od razu było jasne, że to pismo w sprawie Hamonda.

W wydziale panowała zupełna cisza i tylko drzwi do zespołu analitycznego w końcu korytarza były otwarte. Jakieś rozbawione głosy dochodziły też z pokoju socjalnego.

Usiadł w fotelu i położył nogi na stole. To nie była jego zwykła pozycja w pracy, szczególnie z rękami za głową. Tego dnia jednak mógł sobie wyjątkowo na nią pozwolić, i to w godzinach urzędowania. Smakowała zatem szczególnie.

– Harry, Harry, Harry... na Allaha... – Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. – Hm... Harry... – Przez chwilę mruczał jak kot w marcu. – Oj, Harry... – Przypomniał mu się bardzo konkretny epizod z ostatniej nocy.

Zreflektował się, że poszedł za daleko w swoich fantazjach.

Odliczył więc do dziesięciu, rozkoszując się jeszcze ostatnim wspomnieniem o Harriet, po czym usiadł przepisowo, sięgnął po szarą kopertę, wziął nóż do papieru i rozciął ją wzdłuż górnego brzegu.

Jakkolwiek by było, to normalny dzień pracy – pomyślał z żalem.

W kopercie znajdowały się dwie kartki formatu A4. Pierwsza, jak wskazywał nagłówek, dotyczyła zdarzenia w Wiedniu. Na drugiej były trzy zdjęcia Karola Hamonda vel Safira as-Salama z programu Face 69.

Właściwie to były kopie dwóch fotografii. Powiększenie jego zdjęcia paszportowego sprzed lat oraz fotka ukazująca Hamonda w pakolu, z krótką brodą, w afgańskim stroju i z kefiją na szyi. Przez ramię miał przewieszony amerykański karabinek szturmowy M4. Hasan przybliżył zdjęcie.

Taki pistolecik, w tej wersji? Rzadkie. A u innych wiszą kałachy – pomyślał. Musiał go zdobyć na Amerykanach. *Shit!* To nie jest amator... oj, nie! Ma gość styl i smak.

Przypatrzył się uważniej trzeciemu zdjęciu, które było portretową animacją Hamonda.

Jeszcze ciebie tu brakowało. Lepiej, żebyś do nas nie przyjeżdżał! I bez ciebie mamy sporo problemów!

Spojrzał na zegar ścienny. Była za piętnaście dwunasta. O dwunastej powinien wyjechać na lotnisko, miał zatem kwadrans na przeczytanie notatki z wydarzeń w Wiedniu. Podparł głowę rękami, żeby zakryć uszy, i zaczął czytać.

Lektura nie zajęła mu nawet pięciu minut. Nie wynikało z niej nic szczególnego, co mogło go specjalnie zainteresować. Zresztą po wydarzeniach w domu Jorgensena w Åkersberdze niewiele mogło go poruszyć. Mimo to na podstawie notatki SIS Karol Hamond wydał mu się znacznie groźniejszą wersją komanda Garbinowa.

Hasan Mardan jako w miarę pobożny muzułmanin wiedział aż nadto dobrze, co oznacza nawiedzony ekstremizm. A szczególnie w przypadku takich konwertytów jak Hamond. W samej tylko Szwecji żyło ponad trzysta tysięcy muzułmanów i nie brakowało wśród nich ludzi zaślepionych w wierze,

niewykształconych, niezdolnych pojąć swoich praw lub nawet świadomie rezygnujących z wolności. Ale jako oficer Säpo znacznie bardziej bał się skandynawskich odmian Breivika, drzemiących w zakamarkach szwedzkich czy norweskich wsi i miasteczek.

W rękach nazistów było wystarczająco dużo broni, by rozpalić piekło na ziemi. Multikulturowość Szwecji była już wspomnieniem i czuć było, że coś wisi w powietrzu. Coś nieprzewidywalnego. Czasami Hasan miał wrażenie, jakby stanęły naprzeciw siebie dwie armie i zamarły w oczekiwaniu na sygnał do walki.

Na razie Czerwony Szejk planował swoje akcje poza Szwecją, bo wiedział, czym grozi drażnienie miejscowych nazistów, ale jakiś drobny nawet incydent mógł zburzyć ten stan cichego pokoju.

Karabinek M4 na ramieniu Hamonda mówił o wiele więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. To, co teraz czuł Hasan, nie było zwykłym strachem, który mija po obejrzeniu prognozy pogody albo *X Factora*. To była suma wszystkich małych i dużych strachów, które towarzyszyły mu prywatnie i służbowo, odkąd jako dziecko przybył z Iraku do Szwecji.

Jeżeli ja o tym wiem, to on pewnie też – pomyślał z niepokojem. Hamond to nie jest Czerwony Szejk. O nie! To prawdziwa bomba atomowa...

Spojrzał na zegar. Było dziesięć po dwunastej.

Do lądowania samolotu Air Berlin z Wiednia została godzina i dwadzieścia minut. Przebrał się w dwie minuty. Zdjął marynarkę, włożył zamszową kurtkę, zmienił spodnie i buty. Wziął kask i wyszedł. Po drodze zostawił dyżurnemu wiadomość, dokąd się wybiera, i zjechał windą na parking.

Odpalił swojego harleya, odczekał chwilę, aż otworzy się brama, i ostro skręcił w ulicę. Zaczęła się pora lunchu i sztokholmskie ulice nabrały życia. Hasan wiedział o tym jak każdy i dlatego właśnie postanowił jechać motocyklem. Nawet gdyby był korek na E4, mógł dotrzeć na Arlandę w ciągu trzydziestu minut.

Zupełnie niespodziewanie Karol Hamond zaabsorbował jego

uwagę, pobudził autosugestię, zmusił do wyzwolenia z pamięci dawno zapomnianych obrazów i do nieznośnej projekcji podświadomości. Czuł zapach prochu, spalenizny i krwi jak wtedy, gdy widział w Bagdadzie kłębowisko rozerwanych ciał. Nie był w stanie zadzwonić teraz do Harriet.

Zresztą przy prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę rozmowa przez Bluetooth na chopperze nie ma sensu – wytłumaczył sobie. Musiał się przede wszystkim upewnić, że Hamonda nie ma w tym samolocie, chociaż wiedział, że go tam być nie może. Coś go jednak pchało, by sprawdzić to samemu.

O trzynastej dziesięć wszedł do stanowiska kierowania ochroną lotniska Arlanda. Na dziesiątkach monitorów funkcjonariusze Securitas śledzili życie sporego miasta, jakim było to sztokholmskie lotnisko.

– Na tym monitorze... o... tu – Stig wskazał ręką – masz wyjście z rękawa pięćdziesiątego siódmego. To Boeing 737-700. Na pokładzie ma stu dwudziestu jeden pasażerów.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Hasan.

– Na podejściu. Ląduje za mniej więcej dziesięć minut.

– Przywiozłem zdjęcia...

– Już mamy, i listę pasażerów też – przerwał mu Stig. – Od policji... a co?

– Nie, nic! Wszystko w porządku – odparł Hasan i pomyślał, że Linda musiała przecież powiadomić także policję. A jemu nawet nie przyszło to do głowy.

– Mamy antyterrorystów w odwodzie. Coś nie tak? – Stig, stary policjant, a teraz szef ochrony lotniska, nie dawał za wygraną. – Przecież to terrorysta!

– Bardzo dobrze, Stig! – odparł Hasan pewnym siebie tonem, choć w rzeczywistości był wściekły, że stracił zimną krew i zapomniał o tak oczywistej i ważnej sprawie.

Nie mógł znieść, że Hamond nazwał się Safirem as-Salamem, Wysłannikiem Pokoju. Pomyślał z determinacją, że właściwie byłby w stanie go teraz zastrzelić.

– Masz jakąś broń do pożyczenia?

– Co? – Stig jakby nie dosłyszał, zmrużył oczy i dodał: – Pytałeś o broń?

– Ech... żartowałem! – Hasan poklepał go po ramieniu. – Chcę iść do rękawa – zmienił temat. – Może coś wyłapie...

– Olle! – zawołał Stig i machnął ręką.

Nie wiadomo skąd pojawił się niski Azjata o wyglądzie dziecka, w okularkach i z plecakiem?

– Idź z naszym kolegą z Säpo do rękawa – zwrócił się do niego Stig. – Ale jeśli on przyleciał tym samolotem, to ja jestem Allahem – dodał, zupełnie się nie krępując. – Będę na stanowisku kierowania. Tam już jest nasza ekipa. Pospieszcie się, bo do pięćdziesiątego siódmego jest daleko!

Rzeczywiście, kiedy dotarli do rękawa, samolot z czerwonym ogonem już kołował. Hasan przez moment obserwował go przez okno. Po chwili zajął miejsce na wprost wyjścia, ale uznał, że z pozycji siedzącej nie widzi wystarczająco dobrze, więc wstał i oparł się plecami o filar. Ręce założył na piersi, ale były jakieś ciężkie i z opóźnieniem wykonywały polecenia, więc opuścił je wzdłuż ciała. Prawa bezwiednie wsunęła się do kieszeni. Hasan dawno już nie był taki zdenerwowany.

Cholera! To pewnie dlatego, że się nie wyspałem – pomyślał na swoje usprawiedliwienie.

– Eee... nie! To niemożliwe! – dodał zaraz na głos, bo musiałyby obciążyć też winą Harriet.

– Co niemożliwe? – zapytał cicho Olle.

– Nic. A co? – odparł Hasan, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi do rękawa i pojawił się pierwszy pasażer.

Hasan i skośnooki Olle zamilkli i zaczęli wpatrywać się natrętnie w korpulentnego Wolfganga Komolkę z rozległą łysiną i czerwoną twarzą. Austriak był księgowym małej firmy budowlanej w Linzu i od razu pomyślał, że za chwilę zostanie aresztowany, czego spodziewał się od dawna. Otworzył szeroko oczy i usta i zwolniwszy kroku, by nie zostać posądzonym o próbę stawiania oporu, zbliżał się struchlały do Hasana i Ollego. Kiedy jednak ich spojrzenia powędrowały nad jego głową gdzieś dalej, od razu do niego dotarło, że to przecież jakiś cholerny Arab z dredami i japoński smarkacz z plecakiem, a nie Interpol, więc zacisnął usta, uniósł głowę i minął ich z wyraźną pogardą na twarzy, ściskając teczkę z pieniędzmi.

Miejsce, w którym stali, było tak wyeksponowane, a ich wzrok tak natarczywy i przenikliwy, że prawie każdy, kto wychodził z samolotu, musiał zwrócić na nich uwagę i spojrzeć w semicko-azjatyckie twarze. Prawie każdy też instynktownie wyczuwał, że dzieje się coś dziwnego, i albo robił rachunek sumienia i zmieniał temat rozmowy, albo próbował uciekać gdzieś wzrokiem. Tak na wszelki wypadek. Niektórzy jednak nie zauważali Hasana i Ollego i dążyli pospiesznie w stronę napisu *Exit*.

– Sto dwudziesta pierwsza i pół – oznajmił Hasan z niedowierzaniem, widząc wychodzącą kobietę z dzieckiem.

– Nie ma go – stwierdził piskliwie Olle, docisnął słuchawkę w uchu i powtórzył: – Nie ma go! Zwijamy interes!

Hasan wyczuł w jego głosie ironię, co miało oznaczać, że cała ta robota od początku była jakąś dziecinadą.

– Ja jeszcze pójdę na taśmę... popatrzę sobie... co?

– Jak chcesz – rzucił Azjata obojętnie, obrócił się na pięcie i szerokim korytarzem odszedł do poważnych zajęć.

Hasan szedł za kobietą z dzieckiem w stronę wyjścia i miał nieodparte uczucie, że to nie może być koniec przygody z Hamondem, że on gdzieś tutaj musi być. Jego pole magnetyczne z ogromną siłą przyciągało myśli Hasana, powodując burzę zmysłów i niezdolnie wzmagając napięcie.

Minął taśmociąg, na którym przesuwwały się bagaże, i kilkanaście osób przyglądających im się jak w transie. Przeszedł obok kobiety z dzieckiem i grubego, spoconego Austriaka, wyprzedził grupę sportowców w dresach, skręcił w prawo pod dużym napisem *Exit* i dotarł do drzwi, które się przed nim rozsunęły.

Wszedł do obszernego holu, gdzie na pasażerów czekało kilka osób. Zrobił ledwie dwa-trzy kroki i zatrzymał się jak wryty. Parę metrów dalej, tuż przed nim, stał znany mu człowiek. I wtedy dotarło do niego z całą mocą, że ciąg zdarzeń, który zaczął się poprzedniego dnia, układa się w logicznym porządku i nie bez znaczącego udziału Allaha.

Wysłannik Pokoju miał tu być – pomyślał z satysfakcją. Och, Harry! Co myśmy narobili?

„Robimy tak jak w Dubaju. Za 5 minut szyba w sypialni. Lutek widzi cię w kuchni i zabezpiecza. Ma go na kole! Mamy 30 minut, żeby cię wyciągnąć, potem ABW. Teren obstawiony przez kolegów. Przyczep mu pluskwę, jeśli się da. Musisz się go pozbyć z mieszkania!!!”

Sara przeczytała SMS-a i spuściła wodę w toalecie. Telefon był mokry. Pierwszy raz w życiu tak jej się spocily ręce. Wylała je o koszulkę.

W tej krótkiej wiadomości było wszystko, czego mogła oczekiwać. Teraz wszystko jest w jej rękach. Hamond w kuchni, pistolet w przedpokoju, trzecie piętro. To wszystko razem powodowało, że czuła się jak w klinchu.

Mogła spróbować uciec, otworzyć po cichu drzwi i wybiec. Było jednak coś, co ją powstrzymywało. I nie był to strach. Wiedziała, że gdyby uciekła i zostawiła go samego, Karol nie dałby się wziąć żywcem. Zginąłby sam i pewnie też zginęliby inni. Nigdy by się nie dowiedziała, kim jest ani dlaczego dokonał tego wyboru. Czułaby się współwinna jego śmierci.

Mogła też użyć jego pistoletu, który wisiał w przedpokoju, ale nawet o tym nie pomyślała.

Była pierwsza dwadzieścia.

– Rzuciłaś palenie? – zapytał, gdy tylko weszła do kuchni.

– Nie. Ale ograniczam się od jakiegoś czasu – skłamała.

– To dobrze... pijesz alkohol?

– Nie – znów skłamała.

Hamond siedział w tym samym miejscu, dokładnie w takiej pozycji, w jakiej go zostawiła. Wydało się to dziwne. Ten jego spokój nie pasował do sytuacji, w jakiej się znalazł. Wszystko wokół sprawiało wrażenie jakiegoś niesamowitego teatru, groteski, greckiego mitu.

Morderca z Wiednia i terrorysta Al-Kaidy w mieszkaniu niedoszłej miłości, która rozpracowuje go od lat, otoczony przez batalion uzbrojonych antyterrorystów. Brakowało tylko czerwonej kropki z lasera Lutka na jego czole. Sara roześmiała się na głos i ku zdumieniu Karola przez chwilę nie mogła się

powstrzymać. Na dodatek to pytanie o alkohol!

– Coś nie tak? – odezwał się zaskoczony, a Sara zaczęła się śmiać jeszcze głośniejsze. – Powiedziałem coś... – nagle przerwał. Sara też zamilkła.

– Słyszałaś?

– Nie... a co? – skłamała.

– Coś stuknęło...

– To pewnie sąsiad z dołu – stwierdziła pewnym siebie głosem. – Pijacka melina. – Pokręciła z przekonaniem głową.

Wiedziała, że był to dźwięk gumowej kulki, która przykleiła się do szyby w sypialni.

W kulce ukryte były dwa maleńkie przedmioty – beacon i pluskwa. Urządzenie miotające i cały system stanowiły autorski wynalazek M-Irka, z ogromnym sukcesem sprzedawany zaprzyjaźnionym służbom. Celność kuszy była imponująca, ale tajemnica kryła się w gumie zwanej żwaczką, która potrafiła przykleić się do każdego podłoża i amortyzować uderzenie, chroniąc elektronikę.

Teraz musiała jakoś wymknąć się do sypialni i wyłuskać ze żwaczki pluskwę i beacon.

– Zapalę... jeśli pozwolisz – zmieniła temat i zaczęła się rozglądać po kuchni. – Zaraz... papierosy mam chyba w pokoju – powiedziała i natychmiast wyszła.

W sypialni paliła się tylko lampka nocna. Sara zwinęła żaluzje i otworzyła okno. Pośrodku szyby, z lewej strony, tkwiła spłaszczona kulka wielkości orzecha laskowego. Chwyła ją prawą ręką i w ciągu kilku sekund wyłuskała dwa maleńkie przedmioty – większą pluskwę i o połowę mniejszy beacon – które ukryła w spoczonej lewej dłoni. Spojrzała na budynek po przeciwnej stronie i od razu dostrzegła otwarte, ciemne okno. Dała dyskretny znak ręką. Wiedziała, że jest tam Lutek i obserwuje ją przez lunetę. Od razu poczuła się raźniej. Przy Lutku nic nie mogło jej się stać.

– Mogę skorzystać z toalety?

Odwróciła się gwałtownie. Za jej plecami stał Karol

– Oczywiście! – odpowiedziała trochę za szybko, zbyt nerwowo, nienaturalnie i dotarło do niej, że za chwilę może

popęłnić błąd, a może właśnie już go zrobiła.

Coś zauważył? – pomyślała z niepokojem.

– Zaczekaj!

Podeszła do niego bliżej. W pierwszej chwili chciała go nawet pocałować, ale ostatecznie zdobyła się jedynie na dotknięcie dłonią jego policzka. Zrobiła to dokładnie tak samo, jak kiedyś on dotykał jej twarzy we Lwowie. Spojrzała mu w oczy i od razu było widać, że pamięta to spotkanie wieczorem na korytarzu nędznego ukraińskiego hostelu.

– Musisz mi wszystko wyjaśnić – powiedziała tak ciepło, jak tylko potrafiła. – Zaczekam – dodała i przecisnęła się obok niego do przedpokoju.

Kiedy wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, poczuła odpływ napięcia. Karol z całą pewnością nie miał wobec niej złych zamiarów. To było teraz tak oczywiste! Nie zostawiłby jej przecież sam na sam z pistoletem! Od razu nabrała pewności siebie i zupełnie zapomniała, że czas szybko ucieka i antyterroryści mogą się już mocno denerwować.

Gdybym wzięła teraz jego broń, zmusiłabym go, żeby się poddał? Albo gdybym pozbawiła go możliwości walki, wyrzucając tego gnata przez okno? – pomyślała przez moment, patrząc na wiszący pistolet i światło w łazience.

Nie podda się! Ooo... nie!

Na wytartej i przebarwionej od potu skórzaney kaburze znajdowała się mała kieszonka, jakby specjalnie zrobiona na bilet tramwajowy. Sara bez wahania wsunęła do niej beacon. Zmieścił się wprost idealnie.

Wróciła do kuchni i wcisnęła pluskwę do doniczki z kaktusem, która stała na półce. Podeszła do okna, uniosła kciuk i przez chwilę próbowała dostrzec Lutka, ale otwarte okno po drugiej stronie podwórka tchnęło martwą czernią.

Ona wyraźnie się mnie boi. Dlaczego? To przecież oczywiste! Nie rozumiała, o co mi chodzi.

Karol pochylił się nad umywalką i polał sobie twarz wodą, wytarł ręcznikiem i ponownie spojrział w lustro.

Ze szklanej półki pełnej bajecznych damskich kosmetyków wybrał flakonik francuskich perfum. Otworzył i ostrożnie

powąchał. To był zapach Sary, wyjątkowy, ten jeden jedyny. Czując go, mógłby ją odnaleźć po ciemku, w tłumie, w deszczu, na ulicy. Zaciągnął się głęboko tym zmysłowym aromatem, aż poczuł narastające podniecenie, a wraz z nim zakłopotanie. Ale podniecenie było najmocniejsze.

Uff... Na Allaha! Nie mogę dłużej trzymać jej w niepewności! Ty fiucie, złamasie, palancie! – pomyślał i na uspokojenie kilka razy zaczerpnął powietrza, poprawił rękami włosy, uśmiechnął się do siebie w lustrze i rzucił cicho:

– Idę... w imię Boga Wszchemogącego!

– Sara odebrała przesyłkę. – Konrad usłyszał w słuchawce głos Lutka. – Dała znak, że wszystko w porządku. Safir gdzieś zniknął.

– Pluskwa aktywna – zakomunikował Mirek, klęcząc przy walizce. – Masz ją teraz na piątce.

Konrad wyjął radiostację i przełączył kanał.

– Beacon? – zapytał.

– Aktywny. Dobry sygnał.

– Co z Sarą? – zwrócił się do Lutka.

– Bez zmian. Siedzi w kuchni. Jest spokojna. Pokazała kciuk. Wie, że tu jestem.

– Do wszystkich! – Konrad podniósł lekko głos. – Zostało nam... – spojrzął na zegarek – trzynaście minut. – W tym samym momencie zobaczył, że w jego stronę zmierzają Henryk, Marcel i dwóch antyterrorystów z ABW. – Lutek, wszystko w twoich rękach.

– Jasne, szefie – odparł zimno Lutek i po sekundzie dodał: – Zaraz, zaraz... pojawił się Safir.

Kiedy Karol przeszedł obok niej, natychmiast poczuła zapach swoich perfum.

Musiał je otwierać – pomyślała. Dziwne? Nie.

Przez chwilę zrobiło jej się miło, ale też poczuła niepokój.

Z ociąganiem usiadł na swoim miejscu i zaczął jej się przyglądać.

– No to kim ty jesteś? – zapytała trochę ze strachu i żeby dodać sobie otuchy. – Z kim i o co się bijesz? Nizaryto, tak? Bracie Czystości czy jak tam!

– Chcemy wielkiego konfliktu naszych cywilizacji, islamu i świata łacińskiego. Musimy go wyzwolić, sprowokować! Nie ma innej drogi – oznajmił cicho Karol, jakby się spowiadał, a nie wieścił hekatombę. – Tylko z potężnego starcia zrodzi się nowy ład świata, tylko wtedy się poznamy, pojmiemy prawdę, nauczymy się siebie... Musi nastąpić eksplozja... jak wybuch atomowy, wiele wybuchów. Ten wrzód współczesności musi pęknąć. Nie może być wyłączości na biedę. – Spuścił wzrok i zaczął mówić coraz głośniej. – Tylko tak może się dokonać wielka synteza Ichwan as-Safa...

– Co ty opowiadasz? – Sara była zaskoczona. – To jakiś szyfr? Jakie wybuchy atomowe?

– Islam, chrześcijaństwo i judaizm... jedno wynika z drugiego, a Koran jest tylko poetycką kwintesencją prozy obu Testamentów.

– Co z tobą? Ty jesteś w Al-Kaidzie, ja wiem... – Teraz Sara była już autentycznie zaniepokojona i aż podniosła się z krzesła.

On bez wątpienia musi być szalony – pomyślała.

– Musisz to zrozumieć, Zuza – przerwał jej. – Bez naszej ofiary świat islamu nigdy by się nie obudził. Widzisz, co się dzieje! Śmierć Osamy będzie jak śmierć Che dla Ameryki Łacińskiej. Ja wiem, że to brzmi jak jakaś szaleńcza historia, a jednak taka jest prawda. Spróbuj to zrozumieć!

– Przecież są... przecież ludzie nie chcą umierać... w islamie też. – Wzięła do ręki zapalniczkę i wyjęła z paczki papierosa. – Przecież są tacy jak szejk Said al-Kahtani. Islam zabrania zabijania...

Nie słyszał już jej dalszych słów. Poczuł, jak ciężka krew spływa mu do nóg, a głowę wypełnia głucha pustka. To nie mógł być przypadek. Patrzył, jak jej usta się poruszają, a ręce pływają w powietrzu jak u natchnionego dyrygenta. Nagle stała się dla Karola irracjonalna, nieprawdziwa. Jej obraz coraz bardziej się rozmazywał i odpływał w ciemną toń.

Zastępowała go wyraźna i czysta wizja Abdula, jego zrozpaczonych ciemnych oczu, drżącego z przerażenia ciała i struchlałego głosu. „Mówiła coś o szejku Saidzie al-Kahtanim,

że jej się podobają jego rozsądne poglądy... że islam zabrania zabijania...” Dokładnie pamiętał te słowa, każdy przecinek, każdy akcent, ton. Brzmiały teraz tak realistycznie.

Czyli to jest ONA, nie ON? To Zuza – myślał ze zdumieniem. Czy to możliwe?

To wrażenie jednak nagle znikło i w jego miejsce nie pojawiło się nic. Patrzył na nią, ale widział kogoś innego, nieznaną dziewczynę, która coś do niego mówiła, gestykułując zaciśniętą dłońią.

Czy to w ogóle możliwe? Gdzie ja jestem? Kto to jest?

Podniósł się powoli z krzesła, ale nie wiedział, co chce zrobić. Parę razy odetchnął głęboko i zamknął na moment oczy.

Sara urwała w pół zdania. W kuchni zapanowała cisza.

Jego oczy nagle wystygły i straciły barwę. Poczowała dreszcz. Zdawało jej się, że Safir zapadł się na moment w siebie i gdzieś odpłynął, ale wróci zaraz z potężną siłą i stanie się coś strasznego. Jego twarz nie zostawiała złudzeń, że powiedziała coś, co musiało nim wstrząsnąć, ale w żaden sposób nie mogła zrozumieć, co to mogło być.

Po kilku sekundach otworzył oczy. Spojrzał na nią chłodno, a ona poczuła, jak ogarnia ją panika. Odruchowo włożyła papierosa do ust. W drugiej ręce ścisnęła zapalniczkę. Kciukiem pchnęła wieczko, które wydało metaliczny dźwięk, i natychmiast strzelił płomień.

Safir uważnie obserwował każdy jej ruch. Czuć było, że wzbiera w nim jakaś siła.

Zapaliła papierosa, wypuściła dym i położyła na stole złotą zapalniczkę Zippo.

„Bardzo ładna była. Blondynka z długimi włosami. Wysoka... niebieskie oczy... bardzo ładna... Podobałaby ci się... wiesz... tylko strasznie dużo paliła... miała taką zapalniczkę... Zippo... wiesz, taką dużą, metalową, amerykańską, i ciągle nią strzelała... złotą...”

Safir widział twarz Abdula jak w kadrze z ulubionego filmu i na głos, jak za suflerem, powtarzał całą kwestię.

– Co z tobą... Karol? – zapytała, zdezorientowana, drżącym głosem i poczuła, jak przez jej ciało sunie kolejne tsunami

dreszczy.

I dokładnie wtedy ich spojrzenia się spotkały. Gdzieś pośrodku kuchni w mieszkaniu przy placu Wilsona. Oboje mieli wrażenie, jakby Ziemia niespodziewanie wyhamowywała. Dziwne, nieznane im dotąd uczucie zamieniło się w stop strachu i zdumienia zmierzający do katastrofy.

W tej samej chwili zdali sobie sprawę, że Sara po raz pierwszy wypowiedziała jego prawdziwe imię – Karol. Wszystko, co się dotąd między nimi zdarzyło, nie miało już żadnego znaczenia.

Lutek stał na ciemnej klatce schodowej, trzymając na taśmie nośnej karabin Sig-Sauer 3000. Na zielonym obrazie celownika noktowizyjnego Simrad widział kobietę i mężczyznę stojących w bezruchu naprzeciw siebie i czuł, że będzie musiał zdecydować o życiu Safira as-Salama, a jeżeli popełni błąd – także o losie Sary. Już nikt nie mógł mu pomóc, ani Konrad, ani nawet sam Pan Bóg. Każdy snajper jest na to przygotowany, punkt bez powrotu.

Położył palec na spuście, w celu miał głowę Safira, w komorze karabinu sprawdzony norweski pocisk Raufoss 7,62. Z pamięci jak z twardego dysku odtworzył warunki strzału przez szybę, chociaż w kieszeni miał książkę strzelań snajperskich. Mijały sekundy. Widział napięcie na twarzy Safira, która w zielonej poświacie nabrała niesamowitego wyrazu. Nie było już wątpliwości, że zamierza zaatakować Sarę.

Docisnął spust. Poczul nieznaczne kopnięcie w ramię i po klatce schodowej rozniosło się tępe echo wystrzału. Natychmiast wprowadził do komory następny nabój i spojrzał w celownik. Safir i Sara znikli.

Podszedł już wystarczająco blisko. Wstrzymała oddech, wypuściła papierosa i z całej siły pchnęła Safira oburącz w pierś. Nie spodziewał się tego, wychylił do tyłu i stracił równowagę. W tym samym momencie do kuchni wpadł z łoskotem pocisk. Przebił dwie szyby w oknie, rozpryskując drobiny szkła, i uderzył w stojący na stole toster, który aż podskoczył.

Safir upadł na wznak, uderzając się o kant stołu i łamiąc krzesło. Natychmiast się zorientował, że oddano do niego

strzał, ale teraz, leżąc na podłodze, był już poza zasięgiem snajpera. Zobaczył, że Sara jak w zwolnionym tempie rusza w kierunku drzwi.

Jak za naciśnięciem funkcji Combat w grze włączył swój instykt walki i przetrwania. *Tyger tyger, burning bright in the forests of the night...* – doleciało do niego z zewnątrz jak zawsze, gdy musiał walczyć. Poczul, jak wypełnia go siła.

Odepchnął się mocno od szafki i wciąż leżąc na podłodze, w ostatniej chwili złapał za stopę Sarę, która była już w przedpokoju. Nie miał wątpliwości, że próbowała dosięgnąć jego broni. Decydowały sekundy, czuł to, wiedział. I to, że za chwilę nastąpi szturm antyterrorystów.

Pociągnął ją mocno do siebie i Sara upadła. Kątem oka zobaczył, że pistolet wciąż wisi na wieszaku. Próbował złapać ją za drugą stopę, ale otrzymał bolesne kopnięcie piętą w nasadę nosa i pociemniało mu w oczach. Mimo to wciąż ją trzymał. Starła się unieść i dosięgnąć pistoletu, jednak był za wysoko. Chciała ponownie uderzyć napastnika piętą, lecz nie trafiła, bo zrobił unik, uchylając głowę. Zadała jeszcze kilka ciosów. Bezskutecznie.

Safir odzyskał siłę, podciągnął się i oburącz ścisnął jej obie nogi. Poczula, że straciła swój jedyny oręż, a rękami nic nie zdoła mu zrobić. Mimo potwornego bólu zaczęła go bić pięściami po głowie. Straciła czucie w prawej dłoni. Safir skulił się, unikając ciosów, i błyskawicznie usiadł na jej nogach. Chwyił ją mocno za prawy nadgarstek i odciągnął rękę na bok.

Był teraz nad nią. Zobaczyła, że po twarzy ścieka mu strużka krwi i kapie na jej piersi. Usta miał zaciśnięte. Błyszczące oczy. Próbowała jeszcze walczyć, wyrwać rękę i zrzucić go z nóg. Był jednak silny i nieczuły na uderzenia. Gdy na niej siedział, miała wrażenie, jakby przywalił ją granitowy głaz. Chciało jej się krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Próbowała jakoś wyłuskać rękę z uścisku, gdy dostrzegła, jak Safir unosi pięść. Na moment się zawahał, jakby chciał ją ostrzec, że zaraz uderzy. Zdażyła zacisnąć powieki i odchylić na bok głowę, gdy poczuła ostry ból i pograżyła się w bezgwiazdnej ciemności.

Przy wielkim stole konferencyjnym w gabinecie szefa SWZ nie było ani jednego wolnego miejsca. W powietrzu unosiło się napięcie i zapach ormiańskiego koniaku.

Generał Lebieź wyjątkowo sprawnie przedstawił sprawy „Superdolar” i „Statek” oraz ustalenia Wydziału Północnokoreańskiego Siemionowa. Z niewielkimi zmianami przytoczył wszystko to, co w swojej notatce tak szczegółowo opisał przed śmiercią „Kwiatuszek”.

Ale teraz, w chwili gdy mówił do zebranych w jego gabinecie najważniejszych ludzi w państwie, nie myślał o światowych interesach Rosji, tylko o Mary i Peterze Viragach. Nikt na tej sali, oprócz niego i Michaiła, nie miał pojęcia o istnieniu kogoś takiego jak Pietia, którego generał Lebieź ukrył w jednym sformułowaniu – „uzyskaliśmy wiarygodną informację” – tak jak zawsze.

W Jaseniewie i na Kremlu każdy wiedział, że generał jest mistrzem w szpiegowskiej erystyce. Powiedział tyle, ile trzeba, nie ujawniając niczego, co nie było absolutnie konieczne.

– Takie są fakty, towarzysze – zakończył. – Teraz należy się zastanowić, co z tego wynika dla naszego kraju i co powinniśmy zrobić.

Na kilkanaście sekund zapadła cisza. W obliczu tego, co usłyszeli, nie mogło być inaczej. Lebieź i Popowski odczytali w tej ciszy także rodzaj hołdu dla Pieti.

Pierwszy odezwał się generał Nikołaj Pietrycki, sekretarz Rady Bezpieczeństwa, wcześniej szef FSB.

– Musimy teraz wypracować wspólne stanowisko, które przedstawimy Władimirowi Władimirowiczowi – powiedział. – Jak rozumiem, Sasza – zwrócił się do Lebieźa – mamy niewiele czasu. Ile konkretnie?

– Zawsze mamy mało czasu, Kola... Jeszcze nie potrafimy określić ile. – Po chwili dodał zdecydowanie: – Otwieram dyskusję.

– Ty zacznij, Sasza – zaproponował Gribow, doradca ministra spraw zagranicznych. – Zreferowałeś nam co trzeba, ale

w rzeczywistości masz znacznie szerszy obraz problemu – dodał i rozejrzał się po zebranych, jakby szukając akceptacji. – No bo któż mógłby mieć szerszy?!

Gribow nie musiał tego mówić, to było oczywiste. Cała dwunastka zasiadająca za stołem pochodziła ze służb specjalnych i doskonale rozumiała, o czym mają rozmawiać. W najmniejszym może stopniu dotyczyło to Krugłowa z Gazpromu, bo chociaż kiedyś był w KGB, to póki nie pojawił się u boku Władimira Władimirowicza, nikt o nim nie słyszał. Jeszcze niedawno oczekiwał, że zastąpi generała Lebiedzia na stanowisku szefa SWZ, ale ostatecznie wyłądownął w Gazpromie jako zastępca Millera do spraw bezpieczeństwa. Było to stanowisko znacznie poniżej jego ambicji, za to powyżej jego możliwości umysłowych. No i tymczasowe – jak uważał.

Lebiedź podszedł do swojego biurka, wziął do ręki pilota i opuścił rolety w oknach. Z sufitu wysunął się ekran i zakrył wielką mapę Rosji.

– Towarzyszu majorze – zwrócił się do Siemionowa. – Proszę!

Iwan podniósł się sprężysto, poprawił palcem okulary i włączył pilotem PowerPointa. Na ekranie pojawiła się mapa świata poprzecinana tysiącami dziwnych wielobarwnych linii o różnych kształtach i długościach.

– Tak wygląda układ krwionośny świata... – rzucił Lebiedź.

– I nerwy – dodał całkowicie poważnie generał Fiodor Łopatin, szef GRU.

– Tak. Na Ziemi jest sześć kontynentów, pięć oceanów, siedemdziesiąt jeden mórz, sto dziewięćdziesiąt trzy państwa i jedno dziwadło, Watykan. Ale dzisiaj najważniejszy jest ten obraz świata. – Lebiedź wskazał głową na mapę. – To światowy system energetyczno-paliwowy, szlaki, rurociągi, magistrale... i tak dalej – dodał z ironią. – Tak wygląda świat naprawdę! A w jego geografii najważniejsze jest siedem cieśnin. Siedem... zwykłych... cieśnin! – rzucił z przekonaniem, usiadł na swoim fotelu i skinął głową na Siemionowa.

– Jak wiadomo, prawie wszystkie potęgi gospodarcze świata, z wyjątkiem Rosji, uzależnione są od importu surowców energetycznych... – zaczął Iwan.

– No, co jest, majorze?! – przerwał mu Krugłow. – Do rzeczy! Nie mamy czasu na jakieś pieprzone wykłady! – Założył nonszalancko ręce za głowę.

Na chwilę zaległa cisza. Siemionow spojrział na Lebidzia, który dał mu głową znak, by nie zwracał uwagi na Krugłowa i kontynuował.

– Jak każdy organizm świat też ma swoje słabe punkty. Wiadomo, że transport ropy i gazu odbywa się przede wszystkim drogą morską i rurociągami – ciągnął niespieszony Iwan, rzuciwszy okiem na Krugłowa, który wpatrywał się w sufit. – Transport morski jest szczególnie wrażliwy na uwarunkowania zewnętrzne, znacznie bardziej niż rurociągi. W transporcie morskim, i to nie tylko surowców energetycznych, strategiczne znaczenie ma siedem miejsc na świecie. Siedem cieśnin. Cieśnina Ormuz... – wskazał na mapie – między Iranem a ZEA... piętnaście i pół miliona baryłek dziennie. Malakka... między Malezją i Indonezją... trzynaście milionów sześćset tysięcy. Dalej idą cieśniny duńskie... trzy miliony sześćset tysięcy. I czwarte miejsce: Bab al-Mandab... między Afryką a Półwyspem Arabskim. Pozostałe to Bosfor, kanały Sueski i Panamski...

– Dziękuję, towarzyszu majorze – wtrącił Lebidź.

Podniósł się z fotela i wyszedł na środek sali, jakby zaniepokojony zbyt akademickim wystąpieniem Siemionowa. Tak w każdym razie pomyślał Popowski i miał rację, bo negatywna ocena podwładnego zawsze odbija się na przełożonym.

– Koreańczycy chcą dokonać zamachu terrorystycznego rękami Al-Kaidy i starają się przekonać ją do tego pomysłu. Terrorysty oczywiście mają swój interes, by przyłączyć się do akcji, i gdyby zatrzymać się na tym etapie, sprawa byłaby stosunkowo prosta. – Generał założył ręce do tyłu i zaczął przechadzać się po sali. – Jednak Koreańczycy mają zupełnie inny cel, bez związku z fałszywymi dolarami. To jest... naszym zdaniem... przykrywka dla czegoś innego, czegoś znacznie ważniejszego dla interesów KRL-D niż to, co próbują nam powiedzieć.

– Chiny? – podsunął Łopatin. – Musieli się dowiedzieć o naszych rozmowach z Pekinem i Kim poważnie się zaniepokoił, że straci oparcie. To jasne!

– Może to jakaś zagrywka Pekinu... wyciek kontrolowany – dodał Gribow. – Nie mamy żadnych przesłanek, by podejrzewać Chińczyków o nielojalność... no... przynajmniej na tym etapie negocjacji. Przecież nic by nie zyskali.

– Też tak oceniamy – potwierdził Łopatin.

– My również – zgodził się Lebieź. – Muszą być jakieś inne okoliczności...

– Pomysł z fałszywymi dolarami nie jest taki nieracjonalny... – wtrącił doradca prezydenta Gebert.

– Wcale tak nie twierdzą! – natychmiast wtrącił generał. – Absolutnie!

– To znaczy, że co, Sasza? – zapytał Pietrycki. – Co się za tym kryje?

– Wprowadzenie fałszywej studolarówki wzbudzi wściekłość Waszyngtonu, ale oni sobie z tym poradzą. Nie zrobią jednak wiele przy tej administracji i bombach Kima, to oczywiste... – odpowiedział Lebieź. – Korea pewnie trochę na tym zarobi, ale w sensie strategicznym to nie przyniesie im wymiernych korzyści finansowych... więcej problemów, myślę...

– No, Sasza! – odezwał się gromkim głosem Gebert, który wcześniej przez lata kierował pionem ekonomicznym SWZ. – Wiem, do czego zmierzasz! – Podniósł się i szybkim krokiem podszedł do generała. – Teraz to rozumiem!

– Może i my się dowiemy? – z sarkazmem w głosie zapytał Krugłow.

– Chiny są największym wierzycielem USA – zaczął Gebert. – Rezerwy walutowe przekroczyły trzy biliony dolarów. Nawet niewielkie zachwianie zaufania do dolara może przynieść Chińczykom ogromne straty, także w relacjach z Amerykanami...

– Sasza! – Teraz podniósł się generał Łopatin. – Wspaniała sytuacja! Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić!

– To znaczy co? – Krugłow wyglądał na zaniepokojonego.

– Jakie to proste! – dodał Łopatin.

– Co proste?

Generał jednak pokręcił głową, wyraźnie ignorując Krugłowa, i wrócił na miejsce.

– Cokolwiek szkodzi Chinom, musi być dla nas korzystne – stwierdził Gebert z przekąsem i wszyscy buchnęli śmiechem, ale najgłośniej śmiał się Krugłow.

– I, o dziwo, dla Koreańczyków też – dodał odważnie Siemionow.

– Wyłumacz temu pajacowi, o co chodzi – wyszeptał Gebert do Lebedzia, spoglądając w kierunku Krugłowa. – Może tylko narobić problemów. Po co nam to?

– Uderzenie w szlaki morskie, szczególnie Bab al-Mandab, musi zaniepokoić Pekin – zaczął generał. – I nie tylko, Europę i Amerykę też. Bezpieczeństwo dostaw z Bliskiego Wschodu byłoby zagrożone. To dla nas korzystna sytuacja, szczególnie jeśli nie jest wynikiem konfliktu zbrojnego.

– No tak! To jasne! – odezwał się Krugłow. – Wszyscy rzucają się na nasz gaz i ropę!

– W pewnym sensie masz rację – dodał Gebert. – Atak terrorystyczny na szlaki komunikacyjne na Oceanie Indyjskim tylko wzmocni w tym regionie obecność Amerykanów, którzy i tak tam są. Z naszego punktu widzenia niewiele się zmieni. Za to Zachód zaciśnie dłoń na chińskiej aorcie. Amerykanie już wypychają Chińczyków z Birmy i nici z ich dostępu do oceanu. I tu akurat zgadzamy się z Waszyngtonem, chociaż korzyści odniesiemy zgoła inne. Im większy nacisk Amerykanów na Chiny, tym lepiej dla nas. Będą przecież musiały szukać jakiegoś rozwiązania swoich problemów, nie?

– To też szansa dla naszego kompleksu zbrojeniowego – włączył się Pietrycki. – Niepokoi mnie jednak coś innego. Co z Europą? Prezydent nie jest obecnie zainteresowany jakimkolwiek wzrostem napięcia.

– Przecież Niemcy i Francuzi nie dowiedzą się, że mieliśmy informacje o planowanym zamachu – oznajmił Łopatin takim tonem, jakby już zdecydował, co należy zrobić.

– To nie takie proste – odezwał się Lebedź. – Trzeba byłoby ukryć pochodzenie materiału wybuchowego. Wyobrażacie

sobie, co by było, gdyby Zachód i Chińczycy dowiedzieli się, że użyto rosyjskiego ładunku?

– Sprawą profesora Zagorskiego zajmiemy się później. Nie powinno być problemu – stwierdził Pietrycki i nikt nie miał złudzeń, że wie, co mówi. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Sasza. Co z Europą?

– Zablockowanie cieśniny Bab al-Mandab doprowadzi do zablokowania Kanału Sueskiego dla tankowców i dostępu do rurociągu Sumed. Inaczej mówiąc, tankowce musiałyby okrążyć Afrykę. To jasne, że w takiej sytuacji cena ropy w Europie znacznie by wzrosła. Przez Sumed idzie do niej dwadzieścia procent ropy. Robi się miejsce dla nas. To oczywiste!

– Przecież Amerykanie odblokują cieśninę – wtrącił z miną mentora Krugłow. – Takie gadanie. To nie ma przecież sensu...

– To nie takie proste – drugi raz tak samo zareagował Lebieź.
– Uderzenie w tankowiec spowoduje katastrofę ekologiczną na ogromną skalę. Nim usuną skutki i wprowadzą odpowiednie zabezpieczenia, minie wiele miesięcy. Pewnie będą musieli też wejść militarnie do Jemenu i Somalii. To oczywiście nie spowoduje jakiegoś znaczącego kryzysu gospodarczego, ale pokaże Europie, jak przewidywalnym i solidnym partnerem jest Rosja. Wystarczy! Nasza agentura zrobi resztę, by nasze surowce energetyczne były w cenie.

– To wyśmienita sytuacja, towarzysze! – ożywił się Łopatin. – W którąkolwiek stronę pójdziemy, akcja Koreańczyków i Al-Kaidy przyniesie korzyści Federacji Rosyjskiej.

Popowski i Siemionow nie odzywali się, podobnie jak kilka pozostałych osób. Było oczywiste, że to Pietrycki, Lebieź, Łopatin, Gebert, Gribow i Krugłow muszą wypracować decyzję. Czuć było jednak wyraźnie, że już ją podjęli, chociaż pewnie każdy kierował się innymi przesłankami.

Obaj po raz pierwszy uczestniczyli w takim spotkaniu i na własne oczy widzieli, jak się robi globalną politykę. I byli więcej niż rozczarowani. Misza Popowski nie potrafił zaakceptować zamachu terrorystycznego jako metody obrony interesów Rosji. To było sprzeczne z jego pojęciem honoru. Nie mógł

również zrozumieć, dlaczego generał Lebiedź się na to godzi.

Nic nie może usprawiedliwiać sojuszu Rosji, Korei Północnej i Al-Kaidy w obronie paliwowych oligarchów – pomyślał i aż coś nim zatrzęsło.

Spojrzał na siedzącego obok Siemionowa, który wyglądał, jakby zmarł godzinę temu. Od razu zdał sobie sprawę, że on myśli podobnie. A jeżeli tak, to co obaj mogą zrobić? Odpowiedź przyszła sama i była przerażająco prosta: nic nie mogą zrobić. Więc nawet nie próbował ożywiać Iwana.

W pomieszczeniu rozchodziły się wyraźne dźwięki, ale Popowski nie umiał dopasować głosu do osoby. Mieszały się i brzmiały, jakby je wypowiadano w jakimś obcym, niezrozumiałym dialekcie. Potrzebował sporo wysiłku, żeby się skoncentrować i zorientować, co się dzieje wokół. Zupełnie jakby to nie on, podpułkownik Michaił Popowski, oficer rosyjskiego wywiadu, siedział teraz w gabinecie generała Lebiedzia, tylko jakiś zupełnie obcy mu człowiek, który znalazł się tu przez przypadek.

– Sasza! Musimy w końcu przyjąć jakieś wyraźne wspólne stanowisko, które będziemy mogli przedstawić prezydentowi. – Misza usłyszał gromki głos generała Łopatina i uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu przestał śledzić bieg wydarzeń.

– Przedstawimy rekomendacje prezydentowi. Tylko Władimir Władimirowicz będzie mógł podjąć ostateczną decyzję – dodał Pietrycki. – Zbierzmy wszystko, co mamy. Towarzyszu Popowski – zwrócił się do Michaiła. – To wy uzyskaliście te informacje?

– Tak jest, towarzyszu generale.

– Zrobicie konspekt wraz z moim sekretarzem. – Pietrycki skinął na młodego mężczyznę, który siedział w końcu stołu i ani razu się nie odezwał. – Kostia – zwrócił się z kolei do Geberta.

– Jak sprawa wygląda od strony ekonomicznej? Oceń to, podsumuj. Jakie korzyści możemy mieć z blokady Bab al-Mandab i wprowadzenia fałszywych dolarów. Jakie zagrożenia.

– Nooo... dobrze! – odparł Gebert. – W perspektywie długoterminowej obie sprawy mogą nam przysporzyć więcej korzyści niż potencjalnych strat. Niezależnie od przesłanek,

jakie przyświecają Kimowi, możemy odnieść realne zyski. Paradoksalnie akcja Korei skierowana przeciw Chinom powinna przynieść odwrotny skutek i skłonić Pekin do bliższego dialogu z nami. Zatem tamtejsze władze mogą być bardziej skłonne do zaakceptowania naszych cen za gaz i ropę... – Gebert przerwał na chwilę. – Wprawdzie nie możemy tam liczyć na takie ceny, jakie mamy w Europie, ale zwiększony popyt w Unii powinien podziałać na Pekin stymulująco. Atak na Bab al-Mandab spowoduje umocnienie osi USA–Izrael–Indie na oceanie i odsunie Chinę od głównych szlaków morskich. Dodatkowo Birma oddala się od Pekinu. Sprawa fałszywych dolarów jest ważnym elementem, ale wyłącznie uzupełniającym. Z naszego punktu widzenia straty będą symboliczne, dla nas ważniejsze jest teraz euro, ale przy zasobach dolarowych Pekinu efekt paniki na rynku może być bardzo bolesny. Niewykluczone, że zechcą wykorzystać ten argument do przejścia na rozliczenia w euro albo, co dla nas jeszcze lepsze, w juanach.

– Przecież my z Chinami już rozliczamy się w rublach i juanach – wtrącił się Krugłow.

– Nie z nami, ale z Arabią Saudyjską, Iranem, Sudanem – wyjaśnił Gebert. – To byłby poważny problem dla Amerykanów, a to nie jest źle... chyba?

Wszyscy jak na komendę pokiwali ze zrozumieniem głowami.

– A wejście Amerykanów do Jemenu? Czym nam to grozi? – zapytał Pietrycki.

– Dzisiaj już niczym. To teraz problem Chin – odparł Lebedź.

– Nie mamy już możliwości wojskowych, by zaistnieć w regionie. Ludowo-Demokratyczna Republika Jemenu to odległa przeszłość – dodał Łopatin.

– Wracając do sedna sprawy, muszę stwierdzić, że nasza współpraca w sektorze paliwowym z Chinami może nabrać dużego rozpędu i na pewno nie zaszkodzi utrwaleniu kontraktów europejskich – ciągnął Gebert.

– Mamy wiarygodne informacje wywiadowcze, że Chińczykom bardzo zależy na podpisaniu z nami umowy długoterminowej na dostawę gazu i wbrew temu, co mówią oficjalnie, w dwa

tysiące trzynastym roku ich potrzeby osiągną poziom stu miliardów metrów sześciennych, o ile będą chcieli utrzymać aktualne tempo rozwoju. Może uda się zbliżyć do trzystu dolarów za metr – uzupełnił Lebedź. – To najświeższe dane.

– No więc właśnie! – zdecydowanym tonem dorzucił Gebert. – Wszystko przemawia za tym, aby rekomendować prezydentowi wyrażenie zgody na realizację obu operacji...

– Towarzysze! – wtrącił Pietrycki. – To nie jest żadna nasza operacja. Trzeba widzieć sprawę we właściwych proporcjach. Chodzi raczej o przymknięcie oczu. – Wszyscy uśmiechnęli się znacząco. – A jak to widzi nasz wywiad wojskowy? Nasze GRU?

– Chińska flota nie jest w stanie zabezpieczyć szlaków morskich i jeszcze długo nie sprosta temu zadaniu – odezwał się generał Łopatin. – Ocean Indyjski to niemal suwerenne wody USA, ale też życionośna aorta Pekinu. W tym stuleciu Chińczycy nawet nie mogą marzyć, że dogonią Amerykanów, ale gonić muszą. Nie mają wyboru. To jest szansa dla naszego przemysłu zbrojeniowego. Oceniamy, że w ciągu dziesięciu lat moglibyśmy zwielowokrotnić nasze obroty sprzętem wojskowym, a w zakresie techniki morskiej nawet pięcio-, sześciokrotnie.

– Kolejny dowód na pozytywną rekomendację – skwitował wypowiedź generała Pietrycki i spojrzał wymownie na Lebedzia. – Jak to widzisz, Sasza?

– Właściwie moglibyśmy udzielić rekomendacji prezydentowi, ale diabeł jest tam gdzie zawsze. Najważniejsze pytanie, to jak zareagują Amerykanie i Europejczycy, kiedy dowiedzą się o planowanym zamachu i superdolarach. O ile już nie wiedzą. Zakładam, że CIA albo MI6 może wiedzieć, a jeśli jeszcze nie, to tylko kwestia czasu. To jedno, i nie najgorsze. Problem wyniknie wtedy, gdy się dowiedzą, że dysponowaliśmy informacjami o planowanym zamachu i koreańskich fałszywkach, ale nabraliśmy wody w usta. No i że użyto naszego materiału wybuchowego. Wtedy z łatwością się zorientują, że mamy w tym interes i jaki. Tu nie trzeba noblisty z ekonomii. Kalkulacja jest prosta. Nie sądzę jednak, by poinformowali o tym Chińczyków. To się nie opłaci. Przynajmniej przez jakiś czas.

– To co proponujesz, Sasza? – zapytał Pietrycki.

– Teraz jest praca dla rosyjskiego wywiadu – odparł Lebedź ze zgrabnie udawaną kurtuazją i uśmiechnął się. – Czas na naszą cudowną broń. Nie jakąś tam amerykańską bombę neutronową czy SDI, ale na nieśmiertelne Protokoły Mędrców Syjonu, dezinformację i inspirację najwyższej jakości. To wciąż się sprawdza, lepiej nawet niż cały nasz arsenał atomowy.

Przez salę przeszedł pomruk rozbawienia.

– Zawsze można liczyć na twój intelekt i przenikliwość, Sasza!

– Gebert z uśmiechem skomentował wypowiedź generała.

– Nie ma na świecie takiego zdarzenia, które nie mogłoby przynieść korzyści Rosji. Wszystko zależy od tego, jak się podejdzie do sprawy i kto się nią zajmie. Rzeczywiste przeprowadzenie przez Al-Kaidę aktu terrorystycznego w Bab al-Mandab to jedno i oczywiście będzie miało swoją siłę, również oddziaływania psychologicznego. Lecz druga strona to realność zagrożenia takim atakiem i świadomość, że terroryści mają techniczne możliwości realizacji swoich zamierzeń. Tak źle i tak niedobrze... dla Chin, oczywiście. Drugi wariant jest nawet lepszy. Nic tak nie stymuluje jak strach. Pekin wie, że kryzys wewnętrzny może skończyć się wybuchem.

– Nie rozumiem – włączył się Krugłow. – To co mamy w końcu robić?

– Musimy działać tak, by Amerykanie wiedzieli o zagrożeniu, ale nie mogli powstrzymać go zbyt wcześnie. Najlepiej, żeby w ogóle nie mogli go powstrzymać. Nie możemy też wykluczyć, że do zamachu nie dojdzie z innych przyczyn.

– Ważne, by zagrożenie było realne – dodał Łopatin.

Pietrycki i Gebert pokiwali ze zrozumieniem głowami. Krugłow też, chociaż zupełnie nie rozumiał, o co chodzi.

– Wiem, od czego powinniśmy zacząć. To proste i da się załatwić całkiem szybko. – Generał Lebedź spojrzał w kierunku Michaiła Popowskiego, który zapatrzył się przed siebie nieobecny wzrokiem. – Mam rację, Misza?

– Tak jest, towarzyszu generale! – odparł, mimo że wcale nie wiedział, czego ta racja miałaby dotyczyć.

– To co? Będziesz rekomendował, Sasza. – Pietrycki bardziej

stwierdził, niż zapytał.

– Proponuję, żebyśmy zostali w wąskim gronie – rzucił Lebieź. – Łatwiej i szybciej się zrozumiemy. To delikatna materia.

– Oczywiście. – Pietrycki z akceptacją pokiwał głową i siedem osób podniosło się od stołu.

– Ty, Misza, zostajesz. – Lebieź powstrzymał Popowskiego ruchem ręki.

– Artur Artuzow, nasz olimpijski mistrz inspiracji i dezinformacji, autor takich wspaniałych operacji jak „Trust” czy „Tarantela”... pamiętacie przecież... już ponad osiemdziesiąt lat temu mówił, że tajnym służbom przeciwnika nie możesz dostarczać zupełnie nowych informacji, bo w nie nie uwierzą. To muszą być informacje, które już znają – stwierdził Lebieź. – Tak w największym uogólnieniu można ująć sens naszej pracy... a dokładniej to, co powinniśmy zrobić w sprawach „Statek” i „Superdolar”.

Pierwszy odezwał się Łopatin.

– Dobry pomysł, Sasza – pochwalił. – Proste i niezawodne. Sprawdzone... dawno temu, Borys Łago i Wiktor Bogomolec... Artuzow był mistrzem...

– To znaczy? – zaniepokoił się Pietrycki.

– Informacja podwójnie ukierunkowana. Musimy Zachodowi podrzucić określone dane – odparł Lebieź.

– Chcesz podrzucić im patchwork? Dobry pomysł... ucieczka do przodu – włączył się Gebert. – Mamy przecież takie możliwości.

– Niezupełnie tak, Kostia. Mówiłem o informacji podwójnie ukierunkowanej. Poinformujemy zachodnich partnerów o planowanym ataku terrorystycznym... ale o fałszywych dolarach już nie.

– Byłoby im za dobrze! – wtrącił rozbawiony Krugłow, ale nikt nawet nie spojrział w jego kierunku. Z wyjątkiem Miszy Popowskiego, który na moment przestał robić notatki.

– Schemat mógłby wyglądać tak – zaczął Lebieź. – Wybierzemy jedną z gier operacyjnych, jakie prowadzimy na przykład z Włochami albo Hiszpanami. Mogą być też Węgrzy

lub Duńczycy. To jeszcze ustalimy. W krajach arabskich i Afryce mamy kilku nielegalów, którzy pracują dla sekcji piątej pionu „S”, czyli inspiracja i dezinformacja. Musi to być kanał już sprawdzony, wcześniej wykorzystywany, bez jakichkolwiek oznak wytarcia czy zużycia.

– My też mamy kilku – wtrącił Łopatin, szef GRU. – Możemy ich wykorzystać.

– Niech wszystko będzie w jednych rękach – zamknął temat Pietrycki. – Co dalej, Sasza?

– Uważasz, że trzeba ominąć Amerykanów i Brytyjczyków? – rzucił niezdecydowanie Gebert.

– Oczywiście! Na pewno! Izraelczyków i Francuzów też! – odparł natychmiast Lebedź. – Przypomnij sobie nasze wcześniejsze podobne akcje... z Polakami, Finami... Pamiętasz?

– Pamiętam. Oczywiście, że pamiętam.

– Rzecz w tym, towarzysze, że z taką informacją Grecy czy Polacy natychmiast pobiegną do swojego pana, czyli do CIA, bo sami nic z nią nie robią. Nawet nie będą w stanie ocenić potencjalnych skutków takiego ataku. Amerykanie natomiast będą się oczywiście domagali ujawnienia źródła informacji. A tamci ujawnią albo nie. Tak czy inaczej ocena samej wiadomości i wiarygodności jej źródła, czyli de facto naszego oficera, musi być... powiedziałbym... nieco kulawa. Wydłużymy łańcuszek i będzie to informacja typu *second hand*, oczywiście.

– Generał przerwał na chwilę, wstał i pilotem włączył zwijanie rolet.

Na zewnątrz było już ciemno, a nad miastem wisiało rozgwieżdżone granatowe niebo. Widok z okna gabinetu szefa SWZ na jedenastym piętrze budynku w Jaseniewie należał do najładniejszych w Moskwie. Żaden szef żadnej innej służby w Rosji nie miał podobnego. Mówiło się nawet z uznaniem, że szef wywiadu musi widzieć horyzont, jeżeli ma skutecznie dbać o interes Federacji. Jedyne gabinet, z którego wszystko widać i z którego nic nie słychać.

Krugłow jednak tak nie myślał. Dla niego ten widok był nie tylko wyjątkowy. Ze swojego biura w wieżowcu Gazpromu na Namietkina 16 miał nawet lepszy. Najważniejsze było, że to był

widok na wyłączność. I to mu wystarczyło, by zawalczyć o ten gabinet raz jeszcze. Dlatego teraz, kiedy przysłuchiwał się rozmowie, zastanawiał się usilnie, jak wykorzystać tę wspaniałą okazję, by spróbować znowu wysadzić Lebidzia z siodła.

I przy okazji też tego dziobatego Pietryckiego, bo to przyjaciel Lebidzia i ogólnie wyjątkowa bładź – pomyślał. Łopatina można zostawić, bo z wojskiem nie warto zadzierać.

W przypiływie samozadowolenia rozparł się wygodnie i powiódł wzrokiem po zebranych. Nieco dłużej zatrzymał się na Popowskim, który właśnie robił notatki.

Tego pierdolonego Tuchaczewskiego posunę najpierw. Bondus w dupę szarpany!

– Wypuścimy dwie równoległe informacje, na przykład w Japonii i... powiedzmy... w Kuwejcie. – Lebidź zapalił światło. – Będą miały następujące zbieżne elementy, słowa klucze: co się zdarzy, gdzie, jaki cel, czym i kiedy. A brzmieć to będzie tak: atak terrorystyczny, cieśnina, tankowiec, nowa broń, wkrótce. Jak najmniej przymiotników. Puścimy też dwie podobne informacje w eter, NSA z pewnością je wyłapie. We wszystkich pozostałych punktach dane będą rozbieżne, lecz nie mogą być sprzeczne. Mają wyglądać na typowe przekłamania w procesie obiegu informacji, a nie na celową dezinformację. Najpierw wiadomość przefiltrują w Centrum Antyterrorystycznym CIA. Będzie dwuźródłowa... Japonia, Kuwejt... i uzyskana w tym samym czasie. Nałoży się pewnie na podobne, które uzyskali wcześniej, i tak dalej. Tak czy inaczej ruszy cała machina operacyjna CIA na świecie, MI6, Mosad, BND i wszyscy sojusznicy, gdziekolwiek są. Uruchomią agenturę i nasłuch NSA i wszędzie będą szukać zarówno potwierdzenia, jak i szczegółów. Wiemy nie od dzisiaj, że Amerykanie obawiają się zamachu na tankowiec czy też gazowiec. Od ataku na USS Cole w Adenie nie śpią spokojnie, więc...

– To powinno postawić ich na nogi – wtrącił Łopatin. – Nie są w stanie upilnować wszystkich statków we wrażliwych regionach. Przy okazji dostaną nowe zajęcia. Będą mieli w co zaangażować czas, ludzi i pieniądze.

– Ale się napocą! – dorzucił Krugłow i zarechotał.

W pokoju natychmiast zaległa cisza. Nie z powodu komentarza Krugłowa, ale dlatego, że wszyscy się zastanawiali, gdzie mogą być dziury w koncepcji Lebidzia. On sam zresztą też o tym myślał.

– Spełni się przesłanie Artuzowa – odezwał się po chwili Pietrycki i z uznaniem pokiwał głową. – Wyśmienicie, Sasza! A gdzie druga strona?

– To, co zaproponowałem, to pierwszy element gry. Inspiracja i nasze alibi jednocześnie – zaczął Lebidź. – Drugi element to dezinformacja służb zachodnich i ten fragment gry powinien zdecydować o powodzeniu naszej operacji. To zadanie dla obecnego tutaj podpułkownika Michaiła Wiktorowicza Popowskiego.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Miszę, który nie przestawał pisać i wyglądał, jakby pochłonięty tym zajęciem zapomniał o bożym świecie.

Ocknął się z udawanym opóźnieniem i lekką złością, że generał robi mu takie szkolne numery. Odłożył długopis, wstał, wyszedł przed stół i wyprężył się, jakby za chwilę miał wyrecytować *Lewą marsz*. I wszyscy generałowie dokładnie tak pomyśleli. Popowski od razu zyskał ich sympatię, z wyjątkiem Krugłowa oczywiście, który nigdy nie mógł się nauczyć Majakowskiego na pamięć.

Misza nabrał powietrza, pewności siebie, zmrużył oczy i jako odbiorcę swego wystąpienia wybrał okrągłą twarz Krugłowa ozdobioną świńskimi oczami.

– Od lat jestem w kontakcie z pewnym oficerem polskiego wywiadu – zaczął. – To postać znacząca, z którą liczą się szefowie. Człowiek wyjątkowo inteligentny i przebiegły...

– Czy to ten, który podpierał wam, towarzyszu majorze, archiwum SBU podczas tej pomarańczowej ruchawki na Ukrainie i niedawno podrzucił zgniłe archiwum NKWD? – wtrącił złośliwie Krugłow.

– Tak, to ten – odpowiedział spokojnie Lebidź. – To ten, dzięki któremu udało nam się usunąć w Polsce prezydenta.

Krugłow wydał policzki i parsknął.

– Dalej, Misza! – polecił generał.

– Planujemy, że możliwie jak najszybciej spotkam się z Konradem Wolskim i powiem mu o naszych ustaleniach dotyczących wizyt Lee Young-chula w Warszawie. Informacja będzie tak skrojona, by nie wiązała się ze sprawami „Statek” i „Superdolar”. Wystąpimy do Polaków z propozycją wspólnego rozpracowania tego tematu, ale bez udziału innych służb, zwłaszcza CIA czy MI6. Wolski zostanie poinformowany, że ze względu na bezpieczeństwo międzynarodowe musimy przez trzy miesiące mieć w tej sprawie wolną rękę. Po ich upływie zostaną włączeni Amerykanie. Sens naszego działania opiera się na przekonaniu Wolskiego... osobiście... żeby zaangażował się w akcję na naszych warunkach. To powinno dać nam więcej czasu i pozwolić, by wydarzenia potoczyły się z własną dynamiką, najkorzystniejszą dla nas. Istnieje oczywiście prawdopodobieństwo, że Wolski nie zrobi tak, jak chcemy, i o sprawie dowiedzą się Amerykanie. Ważne jest w tym wypadku, aby nie połączyli od razu wszystkich wątków. Jest też trzeci wariant, najmniej prawdopodobny, że CIA już wie o sprawie z tego samego źródła co my lub zbliżonego...

– Gdyby tak miało być, tobyśmy już to odnotowali – wtrącił Lebieź. – Sprawdziliśmy nasłuchy floty amerykańskiej w naszym SIGINT za ten okres. Nie było żadnych nowych instrukcji...

– A powinny być! – zdecydowanie dodał Łopatin. – Amerykanie mają bardzo ostre procedury bezpieczeństwa, szczególnie po zestrzeleniu irańskiego liniowca w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym i po akcji Al-Kaidy w adeńskim porcie w dwutysięcznym. Każde pierdnięcie Irańczyków w Zatoce to zaraz szum w eterze. Masz rację, Sasza. Amerykanie nic jeszcze nie wiedzą. Swoją drogą zobaczymy, co się będzie działo w eterze, kiedy te informacje pójdą w obieg. To może być ciekawe!

– Także dla naszych kryptologów – włączył się Pietrycki. – *Ina naszej ulicy budiet prazdnik*, jak mówił Stalin. Proszę dalej, towarzyszu pułkowniku.

– W gruncie rzeczy chodzi o to, że informując Polaków,

zapewniamy sobie alibi. Bo jeżeli Wolski zaakceptuje naszą propozycję, to odpowiedzialność spadnie na Warszawę i ich wywiad. Skutki uboczne, w ramach NATO, będą dla nich niekorzystne, a zatem korzystne dla nas. W wariancie drugim, zakładając, że poinformują Amerykanów, też będziemy mieć alibi. Ważne, by nie połączyli wszystkich wątków zbyt wcześnie. Podsumowując, można stwierdzić, że jeśli dojdzie do zamachu, odpowiedzialność spadnie na zachodnie służby, głównie CIA, i dodatkowo na Polaków, wiernych sojuszników. Władze Rosji będą mogły poinformować światową opinię publiczną, że lojalnie ostrzegały zachodnich partnerów przed tym niebezpieczeństwem. Kolejny punkt dla nas w grze z Chińczykami. Jeżeli do zamachu nie dojdzie, efekty będą połowiczne, ale wciąż korzystne... z naszego punktu widzenia, jak mówił wcześniej towarzysz generał. Na tym polega informacja podwójnie ukierunkowana – zakończył Popowski swoje krótkie wystąpienie.

Na sali zaległa cisza. Misza nie ruszał się z miejsca i obserwował generałów zatopionych we własnych myślach. Tylko Siemionow patrzył mu prosto w oczy, nerwowo poprawiając okulary.

– Prawdę mówiąc... nie mamy możliwości powstrzymania Koreańczyków i Al-Kaidy... – odezwał się Gebert i popatrzył niepewnie po zebranych.

– Gdybyśmy wszyscy... Amerykanie, my, Chińczycy... podjęli odpowiednie działania, to pewnie moglibyśmy zlikwidować ten problem i do zamachu by nie doszło – odezwał się cicho Lebieź.

– Ale świat jest wielobiegunowy i kręci się teraz tak szybko, że trudno go zrozumieć, a co dopiero nad nim zapanować! – włączył się Pietrycki i po chwili dodał z zadumą: – Zimna wojna była właściwie dobrodziejstwem ludzkości... jak broń atomowa. W obecnej sytuacji gospodarczej i strategicznej naszym obowiązkiem jest dbać o interes Rosji i dopóki nie odzyskamy swojej pozycji, musimy się godzić na takie i... może nawet gorsze rozwiązania.

– No dobrze, towarzysze! – gromko wszedł Łopatin. – Czas

podjąć decyzję. Głosujmy nad rekomendacją dla prezydenta! – I pierwszy podniósł rękę. – Jestem za!

– Za – dołączył Gebert.

Pietrycki uniósł lekko rękę i spojrzał na Lebedzia.

– Za.

Generał chwilę się zastanawiał.

– Za – powiedział.

– W czym problem, Sasza? – zapytał lekko zaniepokojony Pietrycki.

– Nie, w niczym... wszystko w porządku.

– Wiem, że mój głos się tutaj nie liczy... ale ja też uważam, że trzeba dać rekomendację – odezwał się Krugłow. – Poinformuję osobno o swoim stanowisku Władimira Władimirowicza.

– No to mamy uzgodnione. Na jutro zwołam posiedzenie – oznajmił Pietrycki i podniósł się z trudem. – Dostaniecie informację o której i gdzie.

Na ten sygnał podnieśli się wszyscy oprócz Popowskiego, który wciąż stał w tej samej pozycji i w tym samym miejscu. Doskonale wiedział, dlaczego generał Lebedź się zawahał. On też miałby poważny problem, by odpowiedzieć zwyczajnie i prosto: „Za”. Moralne wątpliwości to jedno. Dla pokolenia Popowskiego inne niż dla pokolenia Lebedzia. A interes kraju to osobna sprawa, której nie potrafił teraz ocenić. Był oficerem i musiał się podporządkować rozkazom. Kiedy to sobie uzmysłowił, od razu mu ulżyło. Wypuścił zasłonę dymną, której pewien zapas ma każdy oficer wywiadu właśnie na takie okazje. Inaczej by zwariował albo, co gorsza, zdradził.

Jednak generał Lebedź miał inne problemy. Wiedział aż nadto dobrze, jak ryzykowna i delikatna to będzie operacja. Pełna własnych i cudzych pułapek. Może mieć wiele finałów, niespodziewanych, nieprzewidywalnych, zaskakujących, dramatycznych. Wszyscy zebrani, głosując za, doskonale zdawali sobie z tego sprawę, jednak to nie oni będą ponosić konsekwencje. Ani Pietrycki, ani Gebert, ani Łopatin. Głowę będzie musiał dać on, generał Lebedź, szef SWZ. Ale najgorsze jest to, że głównym zwycięzcą będzie Krugłow, który tylko

czeka na jego porażkę, gotowy zasiąść na jedenastym piętrze budynku w Jaseniewie.

– Sasza – odezwał się Krugłow, gdy już wszyscy wyszli z gabinetu – możesz mi poświęcić jeszcze piętnaście minut? Potrzebuję informacji o naszych działaniach operacyjnych w sprawie gazu łupkowego w Polsce. To osobista prośba Aleksieja.

– Teraz? Może przyjedziesz jutro?

– No nie... jutro wieczorem lecimy do Kazachstanu i Miller prosił, bym mu zreferował to w drodze. Bardzo się interesuje tym tematem. Nalej koniaku i szybko załatwimy sprawę. – Krugłow uśmiechnął się niewyraźnie.

Skąd u tego małego, otyłego człowieczka tyle siły? – pomyślał Lebieź. No, bładź! Nie dam mu rady.

– Siadaj – powiedział.

Krugłow usadowił się w fotelu, wyciągnął papierosy i wziął do ręki swoją pustą szklankę, dając znak, że czeka na uzupełnienie.

Czy to już koniec? – pomyślał Safir, próbując powstrzymać dłonią krew płynącą z nosa. Czuł jej ciepło na ustach i podbródki. W prawej ręce trzymał M9.

Takie życie jak moje tak się przecież nie kończy.

Spojrzał na ciało Sary leżące na podłodze w przedpokoju.

Właściwie powinienem ją dobić. Oszukała mnie i zdradziła. To ona musiała zawiadomić policję. To o niej mówił Abdul.

Pokręcił z niedowierzaniem głową i aż do bólu zacisnął zęby.

– Na Allaha, jak mogłem być taki ślepy! – wyrzucił z siebie. – Boże! Co się ze mną dzieje?!

Sara poruszyła się i zaczerpnęła powietrza, ale wciąż była nieprzytomna.

– Od początku wiedziałas, kim jestem! Wiedziałaś! Wiedziałaś!

– Zacisnął jeszcze mocniej szczęki i wydał z siebie niemy krzyk bezsilności. – Bawiłaś się ze mną! To była pułapka... ty nią byłaś... Zuza! – Wycelował pistolet w jej głowę i położył palec na spuście. – Darowałem życie Abdulowi, czy i tobie mam darować? Ty też mnie zdradziłaś.

Sara leżała na plecach, ze spokojnym, sennym wyrazem twarzy. W podwiniętej koszulce, z rozrzuconymi włosami i rękami, bosymi stopami i ugiętą nogą wyglądała jak piękna tancerka, która przed chwilą oderwała się od ziemi w szalonym ballotté i zastygła w powietrzu.

Opuścił broń. Nigdy nie zabił kobiety. A to była Zuza, chociaż pewnie wcale się tak nie nazywała. I tak jej śmierć nie miałaby już sensu – przemknęło mu przez myśl, ale tak naprawdę nie mógł tego zrobić. Była zbyt piękna.

– Wiedziałaś o mnie wszystko, więc pewnie też wiesz, że się nie poddam... i zrealizuję swoją ostatnią misję. Oboje wiemy, jaki będzie jej koniec. – Safir mówił na głos. – Dam ci szansę raz jeszcze się ze mną zmierzyć... i albo mnie pokonasz, albo będziesz świadkiem mojego zwycięstwa. To będzie godne zakończenie tej naszej trochę głupiej... znajomości.

Jeżeli jednak miał coś jeszcze w życiu udowodnić, musiał teraz wyrwać się z tego mieszkania. Wiedział, że jest osaczony i że

ścigają go służby kilku państw. Zastrzelił trzech austriackich policjantów, a tego nikt mu nie daruje. Nie przypuszczał jednak, że namiętność zaprowadzi go w pułapkę, i to tak szybko. Jeszcze nie wiedział, czy tego żałuje, czy popełnił błąd. Teraz był jednym z Braci Czystości, wiernym przysiędce, i musiał szybko działać. Za chwilę bowiem odezwie się przez megafon głos, który wezwie go, by się poddał, a potem nastąpi szturm antyterrorystów.

Trzecie piętro, noc, jeden magazynek do pistoletu – obliczał swoje szanse. Nie będzie tak łatwo jak w Wiedniu.

Wytarł o spodnie lepką od krwi dłoń.

Snajper w bloku obok.

Wyrzał ostrożnie przez wizjer na klatkę schodową.

Od podwórka snajper położył mnie od razu, teraz nie spuszcza, zbyt blisko. Nie ma innej drogi niż od strony placu Wilsona... chociaż tam pewnie też jest strzelec.

Popatrzył na Sarę, która zaczęła cicho jęczeć.

Nie ma czasu! Każda sekunda to moja strata.

Nie chciał, żeby ona go teraz zobaczyła. Nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy. Inaczej zaplanował ich następne spotkanie.

Założył szybko szelki od pistoletu, wiatrówkę i zaciągnął pod szyję zamek. Podeszedł do drzwi i opierając się plecami o ścianę, delikatnie otworzył je na oścież. Na klatce schodowej było ciemno i cicho.

– Niech Allah będzie z tobą! I oby ci dopomógł pomocą potężną – wyszeptał.

Spojrzał jeszcze za siebie na leżącą Sarę, wstrzymał oddech i ruszył. W wyprostowanych, wyciągniętych przed siebie rękach ścisnął pistolet.

– Poczekaście chwileczkę... niech dojdę do siebie... – Linda pocierała oburącz twarz. – Harriet, tak? – Popatrzyła zaspanymi oczami na dziewczynę z francuskim warkoczem, która stała przy oknie. – Zrób kawy. Wszystko znajdziesz w szafce w kuchni. Bądź tak miła... – Usiadła ciężko na kanapie, odchyliła do tyłu głowę i zamknęła na chwilę oczy. – Która godzina? – zapytała.

– Dochodzi dziewiętnasta – odparł Hasan.

– Gdzie jest Olaf? – wyrzuciła z siebie i wypuściła głośno powietrze. – Nieważne. Już mi lepiej. Spałam jak zabita. Uff... No... dobra! Co jest grane? Wolno i po kolei.

– Więc tak... – Hasan usiadł na fotelu. – Pojechałem na lotnisko, tak jak mi poleciłaś. Oczywiście tego Polaka w samolocie nie było, ale coś mnie tknęło i poszedłem za pasażerami. Coś wisiało w powietrzu...

– Coś wisiało w powietrzu? – Linda spojrzała z niedowierzaniem, może nawet z ironią.

– Powiedzmy, że coś poczułem... no... tak czy inaczej postanowiłem nie kończyć przy taśmie bagażowej, tylko pójść jeszcze razem ze wszystkimi do hali przyłotów. – Hasan mówił ze szczerą powagą. – Wychodzę! – Zawiesił głos. – I co widzę? Naprzeciw mnie stoi Claes von Utrecht we własnej osobie i najwyraźniej kogoś wypatruje. No kurczę, nie mogło być inaczej: on czekał na tego Polaka! Postanowiłem jeszcze trochę tam zostać, tak dla pewności, bo pasażerowie z tego lotu wciąż wychodzili. Stałem z tyłu i pomyślałem, że jeżeli odbierze za chwilę jakąś dziewczynę albo wujka z Wiednia, to będzie znaczyło, że zawiodła mnie intuicja...

– Jasne, Hasan – przerwała mu Linda. – Nikogo nie odebrał, czy tak?

– Właśnie. Wrócił sam do swojego volkswagena. – Hasan pokiwał głową. – Tylko jedna osoba nie przyleciała tym lotem i tylko jedna osoba nikogo nie odebrała. Widziałem wszystko na własne oczy. Safir as-Salam i Claes von Utrecht. Nie może być większej zbieżności. Lindo, to nie jest przypadek.

– Okay. To dobrze brzmi. Jeżeli ten Polak ma jakieś interesy w Szwecji, to musi tu kogoś mieć, to oczywiste. – Linda wyraźnie już się obudziła. – No tak! To jednak nie była podpucha ani zmyłka z tym jego lotem do Sztokholmu. On rzeczywiście planował tu przylecieć, ale widocznie coś mu przeszkodziło czy poszło nie tak i musiał zmienić plany. Masz nosa.

– Pewnie! Claes to jego szwedzki kontakt. *Allah akbar!* – Hasan triumfalnie uniósł ręce.

– Nie mieszaj religii do naszej pracy – powiedziała Harriet, stając w progu z trzema kubkami parującej kawy. – To nie fair!

– Okay, okay! Ja tylko tak... A na marginesie... wiecie, że Safir as-Salam znaczy po arabsku Wysłannik Pokoju?

– To ironia czy złośliwość? – zapytała Harriet.

– No dobrze, i co dalej? – Linda wyraźnie nabrała animuszu. – Dlaczego ta sprawa jest ważniejsza niż inne i nie mogła zaczekać do rana? Co wiemy o tych figurantach prócz tego, że jeden, powiedzmy, chce przynieść Szwecji i światu pokój?

– Ten drugi też! – dodała Harriet – Jak najbardziej, tylko trochę inaczej, od środka. Obaj chcą wywrócić nasz świat i stworzyć coś nowego. Zniszczyć go i na gruzach budować od nowa.

– Islamiści i anarchiści razem? Przymierze keffii? – Linda pokręciła głową. – Rzeczywiście, politycznie potrafią się zjednoczyć.

– Mamy w Szwecji ponad dziesięć tysięcy etnicznych Szwedów, którzy przeszli na islam. Przeważająca większość zrobiła to po jedenastym września – wtrącił Hasan i zaraz dodał: – A wielu z nich to ortodoksyjni islamiści, wiem coś o tym.

– Tak, to prawda. – Linda myślała na głos. – Rzeczywiście coś w tym jest... Ale Polak konwertyta i anarchista?

– Chodzi o terror, o formę walki z obecnym porządkiem, niesprawiedliwością podziałów współczesnego świata. – Harriet siedziała, trzymając oburącz kubek i opierając łokcie na kolanach.

– Ludzie biją się o to od zarania dziejów – odparła z wyraźnym

dystansem Linda. – Ale przejdźmy do faktów. Co wynika ze znajomości Safira i Claesa? Bo rozumiem, że macie coś jeszcze.

– Spotkanie na Arlandzie to dopiero początek – zaczął Hasan.
– Zadzwońm zaraz do Harriet i umówiliśmy się u nas w biurze... nooo... bo my teraz z Harriet... – Hasan poprawił dredowy kucyk, starając się unikać spojrzenia Lindy. – No bo... jak już mówiłem, Harriet w FRA rozpracowuje teraz Claesa. Na nasze zlecenie. Nazywamy go Neo, prawda?

Harriet uśmiechnęła się tylko i lekko westchnęła.

– No to może w końcu ty powiesz, o co chodzi – zwróciła się do niej Linda.

– Ja już wszystko mówię – obruszył się Hasan. – Harry powie za chwilę... Jak wynika z przeglądu teczki, von Utrecht od lat jest zaangażowany w działalność polityczną, anarchistyczną i lewacką, gdziekolwiek się da. Prawdziwy wojownik antyglobalizmu, ale nie tylko. Neo działa aktywnie na rzecz Komitetu Poparcia Mudzahedinów...

– Ale to nie są islamiści – wtrąciła Linda, przeczuwając, do czego on zmierza.

– Tak, ale to też terroryści.

– No tak.

– Za to Aziz Hazimi to szczerzy islamista, prawda?

– Prawda.

– Claes był widziany na Stureplan podczas demonstracji na rzecz uwolnienia Aziza. Jest też na zdjęciach z jego triumfalnego powitania na Arlandzie...

– Pamiętam. Kto by nie pamiętał! Cała Szwecja oglądała to przedstawienie. – Linda weszła mu w słowo. – Ale takich entuzjastów mamy sporo. Więc...? – Linda spojrzała na Harriet.

– Claes von Utrecht nie jest zwyczajnym zadymiarzem, naiwnym antyglobalistą czy jakąś tam dzisiejszą odmianą hipisa – zaczęła Harriet, jakby została wezwana do odpowiedzi.

– To jest zupełnie nowa mutacja, człowiek z dodatkowym chromosomem, żyjący na pograniczu światów. Prawdziwa broń przyszłości. Chimera. Ma wielowymiarową świadomość i kiedy patrzy na drzewo, to nie mówi, że jest ładne i zielone, że rodzi

jabłka lub orzechy ani że można sobie na nim posiedzieć. On pyta, dlaczego to drzewo rośnie akurat tutaj, jak jest zbudowane i jak przedłużyć jego życie. Dlatego mówimy na niego Neo.

Linda zaczęła uważniej przyglądać się Harriet i dostrzegła w niej błysk zadziorności i pewności siebie. Nie mogła potwierdzić, że to, co przed chwilą usłyszała, jest prawdziwe, bo nie знаła sprawy von Utrechta, ale ten lekki, spokojny ton budził zaufanie. Nie było wątpliwości, że Harriet wie, co mówi. Tego Linda nie mogła bagatelizować.

Obserwując Hasana, a zwłaszcza jego rozbiegane spojrzenie, utwierdziła się w przekonaniu, że ta zwykła szwedzka piegowata dziewczyna musiała zdobyć go szturmem. I za to należał jej się dodatkowy punkt.

– To ja prowadzę rozpracowanie Neo w FRA i śledzę jego życie wirtualne. Realne śledzi Hasan...

– Nooo... powiedzmy – wtrącił.

– Jak wspólnie ustaliliśmy – ciągnęła Harriet – życie wirtualne i realne Claesa nie nakładają się na siebie, a on przebywa w półcieniu. To absolutny geniusz internetowy, ale nie jest hakerem, hatem czy geekiem. Utożsamia się z Hazimim i innymi, a jednak w sieci nie ma śladu potwierdzenia jego zainteresowań. Przecież jest ideowcem, więc dlaczego? Ukrywa swoje prawdziwe oblicze, ale to mu się nie udaje.

– Jeżeli połączymy teraz potencjał Safira i Claesa, to mamy potężny ładunek, jakiego dotąd nie znaleźliśmy – włączył się Hasan. – Hazimi to showman, Safir jest wojownikiem. To spora różnica.

– Safir as-Salam nie wyszedł nam w żadnej z możliwych spiral konfiguracji zbieżności – dodała Harriet – Praktycznie nie mamy ani jednego punktu...

– To znaczy co? – Linda zdezorientowana pokręciła głową. – Nie rozumiem.

– W charakterystykach osobniczych Safir as-Salam nie ma żadnego odbicia w wirtualnym świecie Claesa. Czyli w tym wymiarze się nie znają. Zatem odkrycie, jakiego Hasan dokonał na Arlandzie, nabiera szczególnej wagi, bo oznacza, że

w realnym świecie nasi figuranci nie tylko się znają, lecz także ze sobą konspirują.

– To nie wygląda dobrze, Lindo. Oni coś planują, a co mogą planować takie dwa świry? – dodał Hasan.

– Rzeczywiście. Jeżeli jest tak, jak mówicie, to mamy coś całkiem nowego. Właściwie teoretycznie rozważaliśmy podobną ewentualność, ale nie mieliśmy niczego, co mogłoby ją potwierdzać. – Linda odstawiła pusty kubek na stolik i podeszła do okna. – Okay – odezwała się po chwili. – Przygotujcie na jutro raport ze szczegółową analizą tego wszystkiego, o czym mówiliśmy. Pójdę do Kurta, żeby...

– To nie wszystko, Lindo – wtrącił tajemniczo Hasan. – Mamy jeszcze dla ciebie prawdziwy hit sezonu. Lepiej usiądź.

Linda odwróciła się w jego stronę.

– I posłuchaj, co wczoraj odkryliśmy... razem.

Uśmiechnięte twarze obojga świadczyły, że to odkrycie nie tylko było ciekawe, ale też zabrało im całą noc.

To dlatego na lotnisku był taki rozkojarzony – pomyślała Linda.

Nagle zrobiło jej się smutno, jakby zgubiła pamiątkę z dzieciństwa.

Do licha! A co mnie to obchodzi? Prawda, mój Olafku, koteczku niedobry? Ty jesteś mój naj...

W ciągu kolejnych dwudziestu minut Hasan i Harriet szczegółowo opowiedzieli, co się wydarzyło poprzedniego dnia, poczynając od wizyty Mardana w FRA i rozmowy z dyrektorem Hermanssonem o sprawach „Blofeld” i „Phantom”, poprzez spotkanie na Stureplan z Claesem von Utrecht, aż do rowerowo-motocyklowego pościgu i odnalezienia kryjówki na Rissne. Co zdarzyło się później, Linda domyśliła się sama.

Początkowo nie mogła się połapać, o co chodziło Harriet, kiedy mówiła, że wciąż nie wiadomo, w jaki sposób Claes sterował zdalnie swoim komputerem, a jeżeli nawet ktoś go obsługiwał za niego, to po co. Kiedy w końcu zrozumiała, do czego była mu potrzebna kryjówka, z której nadawał szyfrowane wiadomości, przyznała, że Hasan i Harriet mieli dobry powód, by ją nachodzić w domu.

Wciągająca była ta dziwna łamigłówka wirtualno-terrorystycznego tandemu, który potrafił stworzyć szyfr krzywych eliptycznych. I cokolwiek by to znaczyło, nawet NSA nie była w stanie go złamać, a to mówiło już samo za siebie. Odkrycie kryjówki Claesa na Rissne oznaczało, że operacja „Phantom” nabrała dla FRA i Säpo zupełnie nowego znaczenia i dynamiki. Wcześniejsze podejrzenia piegowatej Harriet, że Claes von Utrecht może mieć coś wspólnego z Al-Kaidą, nie były naiwne. Były przerażająco prawdziwe.

– Co proponujecie? – zapytała sucho Linda, ale każdy, kto ją znał, z łatwością mógł dostrzec, jak jest przejęta. – Kiedy na was patrzę, wydaje mi się, że jesteście bardzo zmęczeni i nie mam co oczekiwać waszego raportu jutro rano, dlatego powiedzcie mi teraz, co powinnam przekazać Kurtowi.

– Jest pewien drobiazg, Lindo – wtrącił Hasan. – Harry pomagała mi na Rissne bez formalnej zgody swoich przełożonych i ani Hermansson, ani szef FRA nic jeszcze nie wiedzą o naszych działaniach... nawet o tym, że jesteśmy tu u ciebie...

– To znaczy nie wiedzą o tym, że jest tu Harriet Berghen – uściśliła z uśmiechem Linda. – Rozumiem. Sprawa jasna. Kurt z pewnością to załatwi. Nikt nie skrzywdzi takiego oficera jak... Harry.

– No właśnie!

– Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze – odparła, choć w jej odczuciu obawy Hasana były co najmniej naiwne. – No! To dowiem się w końcu, co mam powiedzieć Kurtowi?

– Właściwie w grę wchodzi dwie sprawy. Jedna dla nas. To obłożenie Claesa obserwacją i techniką operacyjną...

– Mamy teraz Czerwonego Szejka.

– Zaraz możemy mieć Czerwonego Safira w Sztokholmie, międzynarodowego zawodowca, a nie amatorów w Kopenhadze...

– Bez wątplenia jest teraz gwiazdą w Polsce, Austrii i Niemczech i ściga go połowa Europy. Mogę to powiedzieć z pewnością bliską absolutnej. Uważam też, że na jakiś czas gdzieś się ukryje.

– Może w cichej, przyjaznej Szwecji. – Hasan nie dawał za wygraną. – Miejsce idealne. Kraj duży, ludzi mało, lasy i woda, oddany Neo. Lindo, Claesa trzeba obłożyć ścisłą obserwacją, może ściągnąć wsparcie z Göteborga albo Malmö, ale ważniejsza jest technika. Oko i ucho w jego mieszkaniu na Strandvägen.

– Najważniejsza jest jednak obserwacja Neo w wirtualu, tam są jego dusza i myśl – włączyła się Harry. – Musimy dostać się do komputera na Rissne. Nie rozszyfrujemy „Blofelda”, jeżeli nie wyślemy za nim Trinity.

– To znaczy?

– Mnie.

– To może lepiej od razu Agenta Smitha? – ironizowała Linda.

– Nie o to chodzi, żeby walczyć z Neo, powstrzymać go, zniszczyć, ale żeby poznać, zrozumieć i przekonać, by przyłączył się do nas. Mogą zrobić to tylko Morfeusz, bo zna problem... – spojrzała na Hasana – i Trinity, bo są z tego samego materiału i między nimi jest więź i zrozumienie.

Lindzie podobało się to poetyckie zacięcie Harry rodem z *Matrixa*, choć sama wołała *Łowcę androidów*.

– *Oui, oui!* – odparła po francusku. – Ładnie to ujęłaś.

– Agentem Smithem tak naprawdę jest ten Polak, Safir as-Salam – włączył się Hasan.

– No to już wiemy, kto jest kim, Morfeuszu i Trinity. A jaką rolę mnie przydzielicie?

– Oczywiście Wyroczni! – zdecydował Hasan i Linda się skrzywiła.

– Wszystko ładnie, ale teraz przejdźmy do reala. Dobrze, przekonaliście mnie. Bierzymy Claesa w regularne rozpracowanie.

– Musimy dostać się do jego dziupli na Rissne i wejść do komputera – odezwała się Harry. – To nie będzie łatwe, nawet nie wiem, czy w ogóle możliwe. Zwłaszcza w przypadku takiego geniusza jak Neo. Każda nasza myśl wyrażona w świecie wirtualnym wyzwala natychmiast jego antygeny. W ten sposób Neo zatyka dziury w swoim systemie bezpieczeństwa.

– Zawsze możemy mu wyłączyć prąd – wtrącił się Hasan.

Ku jego kompletnemu zaskoczeniu Linda i Harry buchnęły śmiechem.

– Nie będzie trzeba – odezwała się Harry. – Mam pewien pomysł. Powinno się udać.

Nie zdążyła dokończyć, bo w zamku zazgrzytał klucz i po chwili w przedpokoju pojawił się Olaf Svensson. Po jego minie od razu było widać, że Hasan i Harry powinni jak najszybciej się wynosić.

Olaf znał i lubił Hasana Mardana i nie miał nic przeciwko piegowatej dziewczynie z francuskim warkoczem, którą właśnie poznał, ale nieprzespana noc odcisnęła na jego twarzy widoczne piętno i widać było, że chce być sam. Gdy tylko zdjął buty i się odezwał, jasne było, że coś się stało, więc Hasan i Harry wymknęli się dyskretnie.

Objawy wkurwienia u Olafa były czytelne jak u dziecka, któremu upadł lizak. Chodził po kuchni i trząsał drzwiczkami w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, chociaż dobrze wiedział, gdzie co jest. Linda znała na pamięć ten fragment gry Olafa i czekała na jego pierwsze pytanie.

– Dlaczego nie ma nic do jedzenia?

– Dzisiaj wróciłam z Kopenhagi.

– Ale na pogaduszki z Hasanem to miałaś czas!

– To sprawa służbowa.

– Taaak... służbowa! Już ja was znam. – Olaf wciąż krzątał się po kuchni, wydając liczne dźwięki, a Linda siedziała w salonie.

– W zamrażarce jest pyttipanna.

– Znalazłem... Jajka są?

– Poczekaj. – Linda podniosła się z kanapy, bo uznała, że teraz już Olaf potrzebuje pomocy. Zawsze przypalał pyttipannę.

Gdy weszła do kuchni, siedział z opuszczoną głową na krześle, a na kolanach trzymał kartonowe pudełko z jedzeniem. Ujęła go otwartymi dłońmi pod brodę i uniosła mu głowę tak, by widzieć całą jego twarz.

– Co się stało, Kłapouchy? – zapytała.

– Nic takiego, *business as usual*. A co u ciebie?

– Nic nowego ponad to, co ci mówiłam przez telefon. – Wzięła od niego pudełko.

– A czego chciał Hasan? – Podniósł się ciężko z krzesła. – Potrzebuję drinka. Chcesz też?

– Nie. Dziękuję.

– Co to była za dziewczyna?

– Harriet Berghen z FRA...

– FRA?

– To chyba sympatia Hasana, tak mi coś zapachniało od nich gorzko-słodkim seksem...

– Czym?

– Nieważne.

– Przyszedł ci ją przedstawić, pokazać czy prosić o zgodę?

– Daj spokój! – Uśmiechnęła się, bo Olafowi na myśl o szklaneczce burbona wrócił dobry humor. – Trafili pod moją nieobecność na wyjątkowo ciekawą sprawę. Pamiętasz tego Polaka z Al-Kaidy, o którym mówił Konrad?

– Nooo... – Olaf wrócił do kuchni ze szklaneczką bursztynowego płynu. – Pamiętam. I co?

– Zrobił właśnie jatkę w Wiedniu, zginęło kilku oficerów i jeden Anglik z MI5, a on im zwał i miał przylecieć do Sztokholmu. – Linda postawiła na płycie patelnię i wylała na nią odrobinę oleju. – No i Hasan wyłapał, że ten Polak, Safir as-Salam, Wysłannik Pokoju, jest w kontakcie z rozpracowywanym przez nas anarchistą, geniuszem, jakimś tam hakerem tajemniczym, Claesem von Utrecht...

– Z tych Utrechtów?

– Z tych. Sprawa zapowiada się superciekawie. Z samego rana idę do Kurta, żeby wydzielił na nią środki ekstra. – Wyjęła z lodówki jajko, rozbiła je delikatnie, żeby nie naruszyć żółtka, i położyła na rozgrzanej patelni.

– No, to zobaczymy, kto będzie pierwszy. – Olaf pociągnął spory łyk burbona. – Bo my też coś mamy. Już informowałem Kurta, że stawiam się u niego z rana. Będziesz musiała poczekać, Puchatko. – Wychylił się do przodu, złapał Lindę w pół i próbował posadzić ją na swoich kolanach.

– Puszczaj! Jajko ci się spali! – rzuciła i Olaf bez dyskusji wykonał rozkaz. – Zjesz z burakami?

– Jasne. I ciebie też zjem! Co ty na to?

Burbon wyraźnie robił swoje i przywracał Olafowi siły. Ale Linda wiedziała, że tylko na krótko i że zaraz odbierze mu to, co dał. Olaf źle przyjmował burbona.

Zdjęła z patelni jajko sadzone, położyła na talerzu i wysypała na rozgrzany tłuszcz porcję pyttipanny.

– Pamiętasz tę hurtownię papierosów na Lidingö? – zapytał.

– Tak... w ambasadzie koreańskiej?

– No właśnie. To jest ich główna hurtownia papierosów na całą Skandynawię... Dlaczego u nas, w Szwecji? No... tak czy inaczej wszelkie akcje dyplomatyczne, by to ukrócić... na razie pudło. Już sam nie wiem, co to nasze MSZ kombinuje.

– Nic nie mówiłeś, że siedzisz teraz na Koreańczykach. To co? Rosjanie, Chińczycy, Irańczycy chodzą sobie wolno po Sztokholmie? Kurt o tym wie? – Linda ironizowała, mieszając łyżką na patelni.

– Wszystko wie – odparł Olaf. – Od jakiegoś czasu mamy tu na występach gościnnych jednego podejrzanego gościa. Według naszych amerykańskich kolegów to może być oficer służb. Ma paszport dyplomatyczny, ale nigdy nie był na placówce, nie pracował w ambasadzie, nie jest nigdzie notowany. I to jest właśnie najciekawsze.

– Rzeczywiście – rzuciła Linda znad patelni, a po kuchni rozchodził się już intensywny zapach smażonej cebuli. – No i co?

– Nienotowany, a zatem założyliśmy, że przyjechał tu z jakąś misją, i zajęliśmy się nim na serio. Ale pani Linda zabrała większość obserwacji, żeby ścigać jakiegoś Czerwonego Szejka, i musieliśmy improwizować. Sami, kurczę! – Olaf małymi łykami pociągał burbona. – I trafiliśmy! Ciach! – Machnął dłonią, jakby rąbał drewno, i pociągnął nosem. – Długo jeszcze?

– Czeka! – Linda odwróciła się niespodziewanie. – Gdzie ja ostatnio słyszałam o tych szarpanych Koreańczykach? Ktoś mi... – Oblizwała drewnianą łyżkę i zmrużyła oczy. – No kurczę, ktoś mi mówił... – Pyttipanna skwierczała na patelni. – Zaraz sobie przypomnę. – Wróciła do mieszania.

– O Koreańczykach w Szwecji? – zainteresował się Olaf. –

Lepiej sobie przypomnij, bo sprawa jest poważna.

– Nie! – Znów się odwróciła. – Przypomniałam sobie... w Polsce. Konrad przysłał mi pismo, żeby mu ustalić jednego gościa, niejakiego Winklunda, ale to była fałszywka. Spotykał się z Koreańczykami w Warszawie. Dostałam zdjęcia, ale żaden nie jest nam znany. Hasan sprawdził dokładnie. – Z kuchni dochodził coraz ostrzejszy zapach przypalanej cebuli i ziemniaków. – Powinieneś to zobaczyć. – Linda się zamyśliła.

– Obejrzę jutro. – Olaf dopił burbona i wstawił szklankę do zlewu. – Coś ci pokażę.

Wyszedł do przedpokoju i po chwili wrócił z teczką. Wyjął iPada.

Linda wciąż stała zamyślona, z łyżką w ustach.

– Czy jest możliwy taki zbieg okoliczności? – zapytała. – Akurat z Koreańczykami? Północni to rarytas w naszym biznesie. Nie? Jak kimchi, co? Próbowałaś? – Wyglądało, jakby zupełnie zapomniała o grzejącej się pyttipannie, a łyżkę trzymała dla ozdoby.

– Mamy na oku tego gościa. – Olaf podał Lindzie tablet. – To jest Kim Son-sak, ten, o którym ci mówiłem. Obejrzyj sobie. To są fotki zrobione przez obserwację.

Linda trzymała w jednej ręce tablet, a w drugiej łyżkę. Przez moment nie mogła się zdecydować i w końcu wręczyła łyżkę Olafowi.

– Nałóż sobie – zarządziła. – Buraki są na oknie. – Usiadła przy stole i zaczęła przerzucać palcem strony. – Doskonała jakość!

– Nowy sprzęt.

– Gdzie to robione?

– Na Lidingö. Te akurat są sprzed kilku dni. – Zaglądał jej przez ramię. – Do Göteborga zawinął koreański statek i przywiózł tę skrzynię jako pocztę dyplomatyczną. Nie udało się jej przeświecić. Nie odstępowali ani na moment. – Nałożył sobie na talerz porządną porcję pyttipanny, krojone w plasterki marynowane buraki i jajko sadzone.

– No... nie powiesz mi, że to skrzynia z papierosami! – oznajmiła zdecydowanie. – Czterech osiłków...

– Pewnie, że nie. Coś przywieźli... może jakieś urządzenia do łączności, może książki albo kapustę... Nooo, Linda! – obruszył się Olaf. – Spaliłaś! Twarde!

– Oj tam! Nie bądź wybredny. Ty zawsze robisz sobie taką. Myślałam, że lubisz przypaloną. – Nie odrywała wzroku od tableta. – Jak ci nie smakuje, to są jeszcze zupki chińskie. A ten to kto? – Uniosła tablet wyżej.

– Cha Chol-sik z ambasady. Bezpieka zwykła. – Olaf dziobał widelcem bez entuzjazmu. – Bratanek szefa sztabu armii koreańskiej. Zarządza hurtownią.

– Jak ty zapamiętujesz ich nazwiska? – zdążyła zapytać i niespodziewanie zamarła. – A... a... ten? Ten tu to kto? – odezwała się po dobrej chwili. – Kto to jest, Olaf? – Podąła mu tablet z miną, jakiej dawno u niej nie widział.

– No właśnie! To jest nasze wczorajsze odkrycie! – odparł i spojrzał na nią podejrzliwie. – Coś nie tak? – Przyjrzał się jej uważniej. – Co z tobą, Lindo? Co jest? Znasz go czy co?

– Ale numer, Kłapouszku! Chodź tu... niech cię... – Podniosła się i przez stół ścisnęła Olafa pięściami za uszy, aż syknął z bólu, i tak ucałowała go w nos, że syknął jeszcze bardziej. – Co za dzień! Co ty byś beze mnie zrobił? – Rozpromieniona pokiwała głową. – Co? Pyttipanna nie smakuje Kłapouchemu? – Wzięła go za rękę i pociągnęła do sypialni. – Zaraz dam ci deser, głodomorze, ale wcześniej się dowiesz, coś dzisiaj upolował. Chcesz? Wybieraj!

– To najpierw deser, dobrze? – Uniósł brwi i zrobił minę psa proszącego o wyprowadzenie na spacer. – *Please, please, please...*

W pokojach nie było klimatyzacji, a dzień wstał słoneczny, bardzo ciepły i wilgotny. W nocy nad Warszawą przeszły potężne letnie burze z wyładowaniami jak nalot dywanowy US Air Force i ulica Dolna zamieniła się w wodospad porywający samochody. Nic zatem dziwnego, że od samego rana okno do sali numer 22 w szpitalu MSW na ulicy Wołoskiej było uchylone.

O dziewiątej pięć przez szparę w oknie szerokości niespełna pięciu centymetrów bezczelnie wtargnęła żółto-czarna vespa, czyli osa.

Wtargnęła i zawisała w powietrzu, jakby nie istniały żadne prawa fizyki. Nikt nie miałby wątpliwości, że właśnie oznajmiała swoje przybycie. Potem jednak, jakby zaskoczona niedorzecznością swojego pomysłu, na pełnych obrotach zatoczyła pod sufitem trzy razy kartezyjańskie koło, by w efektownym finale, z pełnym impetem, zakończyć swój pozornie błędny lot głośnym uderzeniem w okienną szybę. Ktoś nieznający biologii owadów mógłby nawet pomyśleć, że ta vespa jest po prostu głupia albo nawet ślepa.

Z szeroko rozrzuconymi skrzydłami i drgającymi nerwowo odnóżami opadła lekko na parapet. Jakby martwa, zastygła w bezruchu, śmierci przeznaczona. Wnet jednak, po chwilowym oszołomieniu, stanęła dziarsko na nogi, przebiegła się w lewo, przeszła w prawo i strzepnęła skrzydła, by zrazu niepewnie, a już po chwili zdecydowanie unieść się w powietrze, jakby nic się nie stało, gotowa żyć dalej i bzyczyć z jeszcze większą nienawiścią.

Sara leżała w łóżku pod oknem i jednym okiem obserwowała, jak owad z determinacją próbuje przedrzeć się przez szybę.

Głupie to stworzenie czy może jednak jest w tym jakaś metoda? – pomyślała dość obojętnie. Mówią, że mądre to i swój cel ma... i żądło, kurczę, też... No i są ludzie uczuleni na jad. Taka mała, a może zabić.

– Patrz pani! – usłyszała głos z tyłu. – Pierdyknęła z takim siłom i nic. Żyje se! A mnie ten fijut najechał na zad i kark od

razu jeb! – odezwała się z sąsiedniego łóżka pulchna, rumiana kobieta koło czterdziestki, z usztywnioną szyją. – A jak sie takom pszczołe walnie autem na drodze, to tylko plac na szybie, nie? Trza toto ubić, bo nas uzre jeszcze albo co. – Zwinęła „Fakt” w rulon i wyciągnęła rękę do Sary. – Ja nie mogię, bo mnie boli, ale pani weźnie, co? I łup jom...

– Pszczoły są pożyteczne – odparła Sara, która nie odróżniała pszczoły od osy, i nawet się nie odwracając, pomyślała, czy kobieta nie naśladuje przypadkiem jednego ze znanych polityków. – A poza tym wymierają i trzeba je chronić, bo nie będzie owoców. Też chcą żyć, nie? A może ta pszczołka ma małe?

– Eeee... tam! Ugryzie i co wtedy? Trza jom walność! – nalegała kobieta. – Wcisne salowom i niech przydzie, jak sie pani boisz. – Sięgnęła ręką po przycisk wiszący przy łóżku.

Sara podniosła się i podeszła do okna. Uchyliła szerzej jedno skrzydło i dłonią delikatnie wypchnęła vespę na zewnątrz. Kobieta z usztywnioną szyją wciąż siedziała na brzegu łóżka ze zwiniętym w pałę „Faktem” w dłoni, obserwując Sarę obojętnie. Zmarszczyła czoło i nos w jakimś dziwnym grymasie i zaczęła zsuwać nogi z posłania. W końcu krótkimi, pulchnymi stopami dotknęła podłogi i na bosaka poczłapała do okna.

– Zamkne, bo jeszcze wróci – oznajmiła i trzasnęła tak, że aż zadrżała szyba.

Sara nie wytrzymała.

– Jak cię strzelę w łeb, ty głupia babo, to się nogami nakryjesz! – wycodziła przez zęby. – Wskoczysz z butów razem z rajtkami, debilko jedna! Zaraz ci ten gruby kark do końca złamię!

Miała ochotę przyłożyć kobiecie w nos, ale kiedy zobaczyła jej głupią minę i szeroko otwarte oczy i usta, wstrząsnął nią głośny śmiech. Aż zabolą ją cała lewa strona głowy. Mimo to nie mogła się opanować. Kobieta stała z durną miną jak zahipnotyzowana i patrzyła na Sarę, która wciąż śmiała się niczym oszalała. Nagle zamilkła, zbladła i zaczęła osuwać się na ziemię. Kobieta próbowała ją podtrzymać, ale Sara była za ciężka.

Do sali weszła pielęgniarka i natychmiast podbiegła do Sary, która właśnie otworzyła oczy i rozglądała się błędnie wokół. Siostra wzięła ją za rękę i zmierzyła tętno. Pomogła jej wstać z podłogi i usiąść na łóżku. Sara kilka razy odetchnęła głęboko, zanim znów się położyła.

– Jak się pani czuje? – zapytała pielęgniarka, podsunąwszy jej zwinięty koc pod nogi. – Zaraz poproszę lekarza.

Ledwie zdążyła dokończyć, gdy lekarz wszedł do sali. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wziął pacjentkę za rękę.

– Trzeba zmierzyć ciśnienie – zwrócił się do pielęgniarki. – Zaraz dam pani coś na wzmocnienie...

– Ona chciała mnie bić – wtrąciła się kobieta.

– Tak?

– Za pszczołę... nooo!

– Za co?

– Pszczołę, mówię... tu latała, oooo! – Pokazała palcem na sufit.

Młody, ledwie po trzydziestce, więcej niż przystojny lekarz wyraźnie zignorował sprawę pszczoły i przysiadł na łóżku.

– Jak się pani czuje, pani Saro?

– Już dobrze – odparła. – Zrobiło mi się słabo. Zdenerwowałam się trochę. – Odetchnęła dwukrotnie i zapytała: – Długo tu zostanie?

– Zobaczymy. Pewnie kilka dni. Tomograf głowy nic nie wykazał. Doznała pani poważnego urazu twarzoczaszki i wstrząśnienia mózgu. – Lekarz wciąż trzymał Sarę za rękę. – Musimy panią poobserwować. Zrobić jeszcze trochę badań. Przeszła pani silny wstrząs psychiczny. Damy też coś na to.

Uśmiechnął się i Sarze zrobiło się przyjemnie, poczuła rozluźnienie i z oka pociekła jej po policzku swobodna łza. Od razu zrozumiała, że to nie mógł być dyżurny uśmiech, więc ścisnęła jego dłoń na znak, że o tym wie.

Muszę okropnie wyglądać z tym zapuchniętym okiem – pomyślała. Lekarz! Co to dla niego! Milutki chłopczyk. Kurczę – zastanowiła się – chyba Safir pomieszał mi w głowie tym uderzeniem... Przecież to Konrad jest teraz najmiluteńszy.

Doktorem zajmiemy się w drugiej kolejności, zostanie w rezerwie, jak będzie czas. Nie ma już Safira as-Salama, więc mamy teraz wolne moce.

– Dziewczyno! – dodała, naśladując głos Konrada.

– Hej, hej! Dziewczyno! – wyraźnie usłyszała jego głos i przez chwilę pomyślała, że Safir naprawdę musiał jej coś uszkodzić.

Otworzyła oczy i zorientowała się, że wcale nie śni. Leżała na szpitalnym łóżku, a w drzwiach stał Konrad, za nim Marcin, obok Lutek i Ewa, a zza ich pleców wyglądali M-Irek. Wszyscy w niebieskich fartuszkach. Prezentowali się wspaniale.

Matko Boska! Elita polskiego wywiadu – pomyślała Sara. Ja pier... ale kabaret!

Tymczasem doktor rozpląnął się jak niezasłużone marzenie. Kobieta z gorsetem na szyi leżała na łóżku obok i czytała „Fakt”.

Granatowy saab 95 stał zaparkowany od dwóch dni w niedozwolonym miejscu, a pod jego wycieraczką widniał mandat.

Jakobsberg Västera to duża dzielnica willowa w zachodnim Sztokholmie, tuż nad brzegiem jeziora Melar. Mieszkańcy poszczególnych uliczek i zaułków znają się jednak dobrze i każdy obcy widoczny jest tu jak na dłoni.

Dlatego Tom Morgan, gdy tylko zobaczył nieznanego saaba, sprawdził w Internecie jego numery rejestracyjne i od razu ustalił, że to nowy samochód i świetnie wyposażony. Zadzwoił do znajomego, który ma na Kungsholmen firmę handlującą samochodami, i dowiedział się, że saab należy do jakiejś babci z dzielnicy Kista. W końcu zadzwonił po służbę parkingową, która zjawiała się w ciągu pięciu minut i po odczekaniu piętnastu wypisała mandat na sześćset koron.

Tom obserwował tę scenę z okna na pierwszym piętrze swojego domu przy Aprilvägen 1a. Było oczywiste, że właściciela nie ma w pobliżu, bo nikt nie pozwoliłby sobie na wydatek sześciuset koron, gdyby nie musiał.

Cudowny kraj ta Szwecja – pomyślał. Nic się nie da ukryć, tylko trzeba wiedzieć, gdzie i jak szukać. I trzeba chcieć.

Podszedł do szafki. Ze skrytki pod blatem wyjął szesnastozrzałowy polski pistolet Walther P99 i schował go za paskiem pod koszulą.

Od dwóch dni działało się wokół niego coś, co budziło jego niepokój. Wciąż dostrzegał starego srebrnego forda mondeo i parę młodych ludzi przed trzydziestką. Raz się kłócili, raz całowali i ciągle rozmawiali przez komórkę. Byli w sklepie spożywczym ICA, pojawili się na stacji kolejki Karlberg i na parkingu obok IKEA w Barkarby. Ich obecność była na tyle widoczna, że musiało być w tym coś podejrzanego. Sprawdził, że ford należy do młodej dziewczyny z Vasastan. Gdy do tego wszystkiego dołożył jeszcze samochód pod domem, musiał się już poważnie zastanowić, co się dzieje.

Poszedł do łazienki i wypłukał usta płynem SB12, innego nie

używał. Robił to całe trzy minuty, z głową uniesioną wysoko, i tak dokładnie, by dotrzeć do najdalszych zakamarków jamy ustnej. Zawsze był przekonany, że jak ma czyste zęby, to od razu lepiej mu się myśli.

Już w czasie płukania doszedł do wniosku, że to nie mogą być szwedzkie służby specjalne, bo przecież zawodowcy tak nie partolą roboty ani nie wystawiają się na widok publiczny. Anglicy z pewnością nie pozwoliliby sobie na samowolkę w Szwecji. Rosjanie? Nooo... może, ale po co?

Usiadł na krzeselku przy oknie i utkwiał wzrok w saabie.

Ciekawe, czy wiedzą, kogo obserwują, czy dopiero chcą to ustalić? – pomyślał w zadumie.

Oparł łokcie na parapecie.

Hm... chyba wiedzą, bo co kogoś może obchodzić jakiś Tom Morgan, informatyk z Amsterdamu? Jack O'Brien to co innego! O tak! No więc jeżeli wiedzą, że Morgan to O'Brien... to bardzo źle. Oj, źle!

Poszedł do kuchni, posmarował margaryną pszenny tost i położył na nim plasterk mortadeli. Wycisnął z tubki musztardę, rysując na wędlinie kształtną literę „M”. Zjadł kanapkę dwoma kęsami i popił wodą z kranu.

Nooo nie... To nie mogą być te angielskie dupki ze Stowarzyszenia Obrony Ulsteru, to cieniasy zupełnie! Chociaż...?

Jack nie był pewny, bo chociaż irlandzkich lojalistów uważał za bandziorów, a nie za wojsko, to nie mógł wykluczyć i takiej możliwości.

Okay! Jak nie oni, to zostali tylko ci z Real IRA. I to byłoby najbardziej prawdopodobne. Jak nic mają u nas jakiegoś kreta i coś wyniuchali, a teraz niuchają dalej. No tak! Takie partactwo to tylko oni potrafią wydziergać, jak w Omagh. *Fuck!* Trzeba zadzwonić do Conora. Jak mnie wyhaczyli? Przypadek jakiś czy co? Bo przecież Conor by się nie wysypał, to niemożliwe.

Wrócił na krzeselko przy oknie i do swoich rozważań. Co się mogło stać? Kto, gdzie i kiedy nawalił?

Te żółtki popierdolone też mogły coś zmajstrować. Zesrał się

któryś i psy pociągnęły trop? Eee... nie...

Założył ręce za głowę.

Trzeba się spakować. Nie ma wyjścia – pomyślał bez specjalnej emocji, bo to byłaby jego kolejna przeprowadzka. Nawet nie pamiętał która.

Bywało, że musiał opuszczać swoje schronienie ze znacznie bardziej błahych powodów. Wystarczyła wścibska sąsiadka, pęknięta rura czy zbyt hałaśliwi sąsiedzi, żeby trzeba było szybko się pakować, a co dopiero trefny samochód jak teraz, jakaś ewidentna podstawka i ta podejrzana para! Wszystko miał idealnie przećwiczone, szczególnie jak nie pozostawiać po sobie śladów. Przez dwadzieścia pięć lat można się tego nieźle wyuczyć.

Lubił takie życie, a innego nie znał. I tak było dosyć długie jak na żołnierza IRA pierwszej linii. Zresztą już raz zginął, a ile razy był bliski śmierci, nawet nie liczył.

Teraz jednak najważniejsza była sprawa fałszywych dolarów i przekazanie Safirowi kontaktu na przesyłki od Koreańczyków. Conor przykładał ogromną wagę do tych projektów, bo miały wynieść walkę o odzyskanie Ulsteru na wyższy, nowocześniejszy poziom. Dlatego on, Jack O'Brien, był ostatnim, który kwestionowałby jego rozkazy. Nie zawsze rozumiał, co robi Conor Gallagher, szczególnie spotykając się z Rosjanami, lecz perspektywa wykopania lojalistów z Ulsteru i zjednoczenia ojczyzny była ważniejsza niż cokolwiek innego. Dlatego teraz poszedł do sypialni i zaczął się pakować.

Zajął mu to prawie pół godziny, czyli tyle co zawsze. Zaniósł dwie torby do garażu i wrzucił je do bagażnika. Wrócił do domu i jeszcze raz sprawdził, czy wszystko dokładnie uprzątnął. Po paru minutach wsiadł do samochodu, włączył silnik. Na siedzeniu obok położył pistolet i przykrył go gazetą.

– W imię Ojca i Syna... – przeżegnał się i otworzył pilotem bramę garażu.

Dochodziła dwudziesta trzecia, połowa czerwca, było szaro, ani noc, ani dzień, ciepło, ani świt, ani zmierzch. To był Sztokholm przed midsommarem.

Jack wyjechał powoli na Aprilvägen, zatrzymał się i spojrział

w prawo na granatowego saaba, po czym skręcił w lewo. Jechał z otwartym oknem trzydzieści kilometrów na godzinę. Ulice były wymarłe, żadnego ruchu. Z okolicznych ogrodów dochodził intensywny zapach jaśminowca i czarnego bzu.

Znów skręcił w lewo, w Nyårsvägen, i lekko przyspieszył. Dojechał do skrzyżowania z Februarivägen i przystanął. W bocznym lusterku zauważył nieznaczny ruch. Przyjrzał się uważniej. Sto metrów za nim wysunął się z bocznej uliczki przód samochodu. Nie dało się rozpoznać marki, ale to na pewno był srebrny metalik. Kabiny nie było widać, bo zasłaniał ją żywopłot, więc nie mógł ustalić, kto jest w środku. Popuścił z lekka hamulec i samochód powolutku zaczął się toczyć. Jack obserwował tył w lusterkach i odliczał. Kiedy samochód za nim drgnął, zanucił na głos:

*It's a beautiful day, the sky falls
And you feel like it's a beautiful day.
Don't let it get away.*

To był srebrny ford mondeo. Jack puścił hamulec i samochód potoczył się powoli. Wcisnął pedał gazu, najpierw lekko i po chwili mocniej. Ford jak zaczarowany powtarzał jego czynności.

W saabie jest kamerka na dom... frajerzy. Tylko czemu taki drogi samochód? – pomyślał. Sądził, że mnie wykiwają. No... to nie są zawodowcy, ale zaraz się dowiemy, co to za ptaszki.

Wyjechał na Mälarvägen i mocno przyspieszył. Szeroka dwupasmowa droga rozwidlała się po dwóch kilometrach. Jedna odnoga prowadziła w prawo przez pola do zamku Görvåln nad jeziorem, a druga prosto przez gęsty las do kąpieliska. Jack oczywiście pojechał prosto. Wizyta w takim miejscu o tej porze miała słabą legendę, ale on nie potrzebował teraz zabawy w kotka i myszkę, tylko odludzia. Leśny parking przy kąpielisku nadawał się wyśmienicie. Na ostatnich trzystu metrach mocno przyspieszył, by zyskać na czasie. Obserwacja powinna wiedzieć, że to droga bez przejazdu i że go nie zgubi.

Zahamował, pomagając sobie ręcznym, aż zarzuciło tyłem na

żwirowym podłożu. Wskoczył z samochodu i przebiegł kilkanaście metrów do gęstych krzaków na skraju lasu.

Ford pojawił się po chwili. W środku widać było dwie sylwetki. Minął parking i pojechał dalej. Za chwilę wrócił i znów minął parking, tym razem bliżej. Zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej na poboczu. Był za daleko i Jack nie mógł rozpoznać, co się dzieje wewnątrz. Zdawał sobie sprawę, że pasażerowie rozglądają się, zastanawiają, gdzie może być, a już na pewno – po co tu przyjechał o tej porze.

Są przekonani, że nie zauważyłem, iż jestem śledzony, więc ich intryguje, dlaczego zatrzymałem się akurat tutaj. Analiza oczywista, i to z tych najprostszych – pomyślał i przykucnął głębiej w krzakach.

Dobrze wiedział, co się zaraz stanie. Srebrny ford powoli zawrócił i wjechał na parking od drugiej strony. Dotarł na przeciwległy kraniec i znów się zatrzymał.

– Hiena obwąchuje padlinę – powiedział cicho. – Nie wytrzyma i podejdzie bliżej. Wtedy was mam... Coście, kurwa, za jedni?!

Jak na jego znak ford ruszył i zaczął się przesuwać wzdłuż ściany lasu zamykającej dłuższy bok parkingu. Jack słyszał, jak opony chrzęszczą po żwirze, i czekał, kiedy samochód dotrze bliżej i przystanie. Był pewny, że wtedy jeden wysiadzie, żeby sprawdzić jego wóz. Drugi będzie go ubezpieczał i obserwował otoczenie. Należało czekać, aż się rozdzielią.

Zatrzymali się trzydzieści metrów od niego i dwadzieścia od jego samochodu. Za daleko i zanadto z boku. Liczył na to, że staną tyłem w jednej linii.

– Niedobrze – wycedził przez zaciśnięte zęby. Czuł narastające napięcie, ale nie mógł się już wycofać.

Musieli się zorientować, że to zasadzka i nie mają odwrotu – pomyślał z niepokojem.

Mimo lat spędzonych w boju, zawsze miał tremę w takich sytuacjach.

Chwycił oburącz pistolet i zaczął się przesuwać w prawo. Po chwili był już za foldem. Tymczasem z samochodu wysiadł postawny mężczyzna. Jack od razu się zorientował, że to nie

jest chłopak, którego widział wcześniej. Nie wyglądało to dobrze. Nieznajomy rozejrzał się i zapalił papierosa. Przez moment stał, kręcąc bez sensu obcasem w żwirze. Ruszył powoli łukiem w kierunku samochodu Jacka, lustrując otoczenie. Drugi mężczyzna siedział za kierownicą. Widać było jego wystającą przez okno potężną rękę.

Trochę to wszystko szło nie tak, jak Jack zaplanował. Ocenił, że ford jest za daleko, a on, jeżeli ma mu się udać, powinien jednego z przeciwników położyć od pierwszego strzału. Czyli musiałyby podejść bliżej, a że na parkingu był żwir, skradanie się raczej nie wchodziło w grę.

Jedyne rozwiązanie to szybki atak z zaskoczenia. Jak pod Enniskillen, nie przymierzając – pomyślał z nadzieją, ale sytuacja wcale nie była lepsza. Muszę zdążyć przebiec przynajmniej dwadzieścia metrów, żeby trafić tego na zewnątrz – obliczył i sprężył się do skoku.

Przełożył pistolet do prawej ręki, wstrzymał oddech i wybił się z całej siły jak Yohan Blake do biegu na dwieście metrów. Pokonał dziesięć metrów, nim tamten się zorientował, że ktoś zmierza w jego kierunku, a nim wyciągnął pistolet – jeszcze siedem. Facet nie zdążył wycelować, gdy dostał dwie kule w pierś. Pociski kalibru 40 S&W powaliły go natychmiast jak ścięte drzewo.

W tej samej chwili ford niespodziewanie szarpnęła do przodu, a spod jego kół wytrysnęła fontanna ostrych żwirowych kamyków. Jack już miał zwrócić broń w stronę kierowcy, kiedy na twarzy poczuł ból jakby setki ukąszeń. Samochód ujechał kilkanaście metrów, zatrzymał się, a nieznajomy wyskoczył na zewnątrz i skrył się po jego drugiej stronie. Huknęły trzy strzały. Zanim Jack zdążył przykucnąć, poczuł silne szarpnięcie za lewe ramię i jednocześnie usłyszał świst przelatujących pocisków.

Oddał cztery szybkie strzały i zrobił półprzewrotkę na plecach, by skryć się za swoim wozem. Usiadł na ziemi i zobaczył, że po palcach spływa mu obficie krew. Zaległa głucha cisza. Kilka metrów od niego leżał jeden z napastników, drugi siedział ukryty za fordem, dobrze strzelał i nie panikował. Walka nie

była jeszcze skończona, a czas grał na niekorzyść Jacka.

Ja pierdolę! Nie tak miało być! – pomyślał, ale nie zastanawiał się, gdzie popełnił błąd, działał instynktownie. Dotąd mu się udawało. Teraz też powinno. Otworzył drzwi do samochodu i wślizgnął się za kierownicę tak, by nie być widocznym przez okna.

Tamten zorientował się, co się dzieje, i strzelił trzy razy, roztrzaskując boczne szyby, których krysztalki wpadły do wnętrza. Jack, leżąc na siedzeniach, włączył silnik i przez wybite okno oddał na oślep serię wystrzałów. Wrzucił bieg drive i auto zaczęło się powoli toczyć. Kierownicą próbował sterować na pamięć tak, by odjechać jak najdalej. W końcu wyrzwał ostrożnie i zobaczył, że jest już w wystarczającej odległości od forda. Usiadł za kierownicą i na wszelki wypadek strzelił w jego kierunku jeszcze dwa razy. Nacisnął na gaz, ostro poszedł do przodu i wyjechał na drogę. Tam przyspieszył jeszcze bardziej. Czuł ostry ból w lewym ramieniu i z trudem poruszał ręką.

Było oczywiste, że Jack O'Brien znalazł się w poważnych kłopotach. Musiał natychmiast podjąć trzy decyzje: szybko pozbyć się trefnego samochodu, dotrzeć do swojej zapasowej kryjówki i powstrzymać upływ krwi. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić najpierw, bo był naprawdę zdenerwowany. Nie strzelaniną ani tym, że w końcu nie udało mu się ustalić, kto go śledził, ale tym, co powie Conor. O mało nie zawałił jednej z najważniejszych akcji IRA ostatnich lat. Za coś takiego kara była jedna i nieunikniona. I musiałby ją wykonać sam.

– Jedziemy! – z podnieceniem, ale bez entuzjazmu oznajmił Batyszkina, wchodząc z impetem do pokoju. – Dostyc leniuchowania, Andriusza! *Smirno!* Zbieramy się! – Położył laptopa na stoliku i przysiadł na krzeselku.

Jagan leżał w szlafroku, z rękami pod głową, i wpatrywał się w jakiś punkt na suficie. Właśnie wrócił ze spa i jeszcze się pocił. Zastanawiał się też, jak mocne wrażenie musiał zrobić w saunie smok na dwóch leciwych niemieckich turystkach. Kiedy wychodził, stanął jeszcze chwilę przy drzwiach, by ukazać całe piękno pracy artysty Głogowa.

Żeby dobrze się przyjrzały, jak wygląda rosyjski smok, prawdziwy Rosjanin. Tak jest, powinny się bać... germańskie wywołki, faszystowskie bładzie – pomyślał z zadowoleniem i delikatnie pokiwał głową.

– Jak to? – zdziwił się Batyszkina. – Nie cieszysz się? Mamy ich! – dodał i położył znacząco rękę na komputerze.

– Co? – ocknął się Jagan. – Co... co mówisz?

– Za dobrze ci tu było, starszyna. Rozleniwiłeś się w tym kurorcie. Spa, jedzonko, wódeczka... luksusy. – Giena wyraźnie był w dobrym nastroju. – Tracisz czujność, Jagan. Można cię teraz łatwo podejść i... ciach! – Przejechał kantem dłoni po gardle.

– Co ty powiedziałaś? Że co? – Trubow, z mokrymi rozrzuconymi włosami, usiadł na łóżku i podciągnął nogi pod brodę.

– Wyglądasz teraz jak jakaś dziwka, Andriusza – skomentował Batyszkina i zrobił grymas dezaprobaty – a nie żołnierz oddziału Gamma.

– Nie pierdziel, Giena, tylko powtórz, coś tam mówił przed chwilą... Że co?

– Nasi z SIGINT namierzyli telefon komórkowy Bogajewów.

Jagan zerwał się z łóżka i stanął na równe nogi jak do apelu.

– Powtórz! – Zmrużył oczy i przechylił teatralnie głowę. – Powtórz, bo nie uwierzę!

– Mamy ich! – Batyszkina zabębnił palcami po laptopie. Nie

sprawa! jednak wrażenia specjalnie uradowanego. – Są tu!

Jagan wziął się pod boki i wysunął do przodu szczękę. Sam nawet nie wiedział, jak czasami potrafił pięknie zagrać. Do pełni szczęścia czegoś mu jednak brakowało. Zebrał ślinę i siarczyście splunął przez otwarte okno z pierwszego piętra hotelu Best Western w Druskiennikach.

Urraaaa... Urraaaa... Urrrraaaaaaaaaaa...!

Miał wrażenie, że dziewiątego maja stoi na placu Czerwonym ze swoim oddziałem, pięknie wyprężony w mundurze, i czuje całym sobą, jak z piętnastu tysięcy gardeł rosyjskich wojowników, takich jak on, niepokonanych i nieśmiertelnych, wydobywa się okrzyk, aż ziemia zaczyna drżeć i wibruje pod stopami, a on robi się lekki, wlatuje w powietrze i płynie wysoko nad wielką Moskwą i Rosją całą, a wszyscy słyszą ten ich głos, jego echo, cały świat, wszędzie, i patrzą na niego, jak leci, a smok razem z nim...

– Ech... starszyna! Dociera coś do ciebie? Ocknij się! – Giena sprowadził go na ziemię. – Mamy dużo szczęścia, bo satelita nie wychwycił numeru, ale wyłapały go nasze stacje naziemne z Kaliningradu. Wojskowe, te, które kontrolują eter przy granicy z Polską. Będą aktualizować dane co dwie godziny...

– Giena! – Jagan podszedł bliżej. Wyglądał naprawdę groźnie, nawet w szlafroku. – Giena! Gdzie oni są? Gdzie te sobaki czeczeńskie?

– Spokojnie, Jagan, odpuść na moment. Co z tobą? Odbiło ci czy co?

– Gdzie oni są?

– Niedaleko... niedaleko...

– Gdzie?

– Zaraz ci pokażę. – Batyszkin uniósł pokrywę laptopa. – Popatrz. Są tutaj...

– Aaa... co to za miejscowość? W Polsce?

– Mrągowo. Według naszego programu dwieście czterdzieści pięć kilometrów stąd, to jest jakieś trzy godziny pięćdziesiąt pięć minut jazdy...

– Cztery godziny i pięć minut – sprostował Jagan.

– To nasz najnowszy wojskowy program do identyfikacji

satelitarnej. Nigdy się nie myli. – Batyszkin był nieco zaskoczony. – A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Bo wiem. Nie pytaj! Wiem i już. – Jagan wyraźnie się już uspokoił. – To co? Pakuję się – oznajmił i chciał już zrzucić szlafrok, gdy zdał sobie sprawę, że jest jeszcze za wcześnie na zademonstrowanie Batyszkinowi smoka.

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Giena. – Siadaj! Popowski przysłał nam nowe rozkazy. Ja tu dowodzę i masz wykonywać moje polecenia. Nie pamiętasz?

– Nooo... co tam? – Jagan usiadł posłusznie. – A broń będzie? – zapytał, ale Batyszkin nie wyczuł ironii.

– Spokojnie, żołnierzu. Będzie, co ma być. – Zaczął coś przeglądać w komputerze. – O wszystkim się do-wiesz... – wysylabizował.

Jagan zebrał ubranie z fotela i poszedł do łazienki. W dużym lustrze obejrzał smoka, poruszając przy tym ramionami, by się upewnić, że wszystko z nim w porządku. Kiedy uznał, że smok ma się lepiej, niż przypuszczał, włożył koszulkę i spodnie. Ściągnął rękami włosy i spiął je gumką. Przejrzał się uważnie w lustrze i uśmiechnął tak radośnie jak nigdy dotąd. Aż sam się zdziwił, że ma takie ładne zęby. Cekał na ten dzień tyle lat i teraz Batyszkin oznajmił, że Bogajewowie są w pobliżu. Jagan czuł to od jakiegoś czasu, ale nie potrafił określić miejsca, gdzie się znajdują. Rozpierała go radość na samą myśl, że wkrótce ich zobaczy, martwych. Tę przyjemność psuł mu nieco Batyszkin. Dziwny był jakiś i Jagan powoli zaczynał nabierać wątpliwości, czy aby powinien mu ufać. Niby się cieszy, że odnaleźli Bogajewów, ale jego dusza jakby nie. To takie nierosyjskie – pomyślał.

– Siadaj! – zarządził Giena, nie podnosząc wzroku znad komputera, i Jagan usłuchał. – Nasz plan działania wygląda następująco. Misza chce, żebyśmy teraz pojechali do tego... Mrągowa, gdzieś się zaczepili i ustalili dokładnie miejsce pobytu Bogajewów... Rozumiesz, Jagan? – W końcu na niego spojrział.

– Rozumiem, co tu nie rozumieć? Ale co dalej? Nic? A broń? Jak mamy ich potem odstrzelić?

Jagan pytał, ale i tak niewiele go obchodziło, co powie kapitan, bo w skrytce miał swojego skorpiona. Wdzięczny był pułkownikowi Popowskiemu za pomoc, ale nie zamierzał bawić się z Bogajewami w jakąś szpiegowską ciciubabkę i pozwolić, żeby umknęli swemu przeznaczeniu.

– Broń dostarczy nam jutro Witalij, ale nie myśl sobie, że zaraz będziesz strzelał w tym Morowie. Misza wydał jasne polecenie, że dopóki nie dostaniemy rozkazu likwidacji Bogajewów, broń ma być w mojej dyspozycji. Zrozumiałeś?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! – Jagan stanął na baczność.
– Tak jest! – Zasalutował.

Batyszkin wziął to przedstawienie za prawdziwe i kontynuował:

– Mamy jeszcze dzisiaj znaleźć i przygotować punkt nawiązania kontaktu z Bobriukowem w pobliżu... tego miasta, zrobić pełną dokumentację foto i szkic i przesłać to do Moskwy. Centrala przekaże wszystko do Warszawy, temu nieszczęsnemu Witalijowi, i on jutro podrzuci nam walizeczkę w umówione miejsce. Zrozumiałeś? – Batyszkin wyglądał, jakby opowiadał o łowieniu ryb, ale w rzeczywistości czuł niepokój.

Powiedział Jaganowi wszystko, co polecił im wykonać Popowski, ale Giena był za starym repem, żeby nie zwąchać, że coś jest nie tak. Przed wyjazdem Misza wyraźnie mówił, że siłowe rozwiązanie to wersja specjalnie skrojona pod Jagana, a teraz zdecydował się na podrzucenie im broni.

Po co? Musiało stać się coś, o czym nie wiem – pomyślał z obawą. Dotąd wszystko kontrolowałem. Miał być spacer po Polsce, a teraz...? Skoro będzie broń, to wcześniej czy później wystrzeli... nie ma wątpliwości! Szczególnie w rękach tego cyborga.

Popatrzył na Jagana, który uśmiechał się głupawo.

Najkrótsza droga do wpadki. *Fuck!* Co ja mam teraz zrobić?

– Pakujemy się czy nie? – Jagan wyrwał go z zadumy.

– Pomyślę w drodze – powiedział na głos Batyszkin.

– Co?

– Nic.

Kiedy zostali w końcu sami, Sara poczuła prawdziwą ulgę.

Pierwszy raz leżała w szpitalu, w jakiejś nędznej koszuli, bolała ją głowa, była nieuczesa i wygląda jak maska kabuki. Na dodatek wszyscy stali wokół łóżka i wpatrywali się w nią z głupawymi uśmiechami, jakby to miało coś znaczyć. A poza tym dziwnie wyglądali z perspektywy poduszki, i do tego jeszcze w tych niebieskich fartuszkach!

Nigdy ich takich nie widziałam – pomyślała ze złością. Przyszli sobie popatrzeć, kurczę!

Na szczęście wcześniej dostała zastrzyk wzmacniający, a babsko od pszczoły pojechało na badania, więc zrobiło jej się odrobinę lepiej.

Konrad przysunął sobie krzeselko, ale Sara klepnęła ręką łóżko, pokazując, gdzie ma usiąść.

Doktorek może, to Radeczek tym bardziej – pomyślała i spróbowała się uśmiechnąć.

Usiadł niepewnie w nogach.

– Bliżej! Nie zarazisz się, nie jestem chora, tylko ranna... Poza tym chcę z tobą porozmawiać i nie będę krzyczeć na cały szpital. – Znow klepnęła łóżko, dokładnie wskazując mu miejsce. – Jestem odrażająca? Brzydzisz się mnie czy co?

– No co ty? Sara! – Konrad nieudolnie próbował się ratować. – Głupstwa opowiadasz.

W rzeczywistości widok Sary trochę go przeraził. Bał się, że to oko może jej już takie zostać.

– Doktor obiecuje, że za parę dni to dopiero będę wyglądać! Nabiorę kolorów, jak mówi. – Wzięła go za rękę. – Nie martw się. Nic mi nie będzie. Czasem jesteś jak duże dziecko. Muszę się martwić o własne zdrowie, żebyś ty się z tego powodu nie rozchorował. – Uśmiechnęła się niewyraźnie i puściła oko. – Tylko się nie rozpłacz! Przecież to jedynie podbite oko.

– Nooo... Saro... wiesz... – Konrad próbował się skoncentrować, ale wciąż uciekał spojrzeniem gdzieś w bok. – To moja wina, że wszystko tak się skończyło. Dałem dupy, i tyle! Przepraszam.

– Konrad! *Wake up!* Może w końcu dowiem się, co się stało. – Ścisnęła jego dłoń z całej siły. – Zaczynaj! Tylko po kolei... i nie kłam.

– No, kurczę, nie ma go – oświadczył po chwili zastanowienia.

– Tyle to już wiem. Ale gdzie jest? *Any idea?*

– Nie wiadomo. Pracujemy nad tym. ABW, policja, telewizja...

– Aaa... Justynka w siódmym niebie, co?! Ona go znajdzie, na pewno! A jak nie, to i tak swoje wygra... celebrytka.

– Daj spokój...

– Dziewczyno! – dodała Sara, naśladowując jego głos. – Już dobrze, nie denerwuj się, mam ją w nosie. Ale ty musisz się od tego ducha uwolnić. Rozumiesz?

– Jeśli jestem do kogoś przyspawany, to tylko do ciebie...

– Dziewczyno! – powtórzyła z delikatnym uśmiechem. – To akurat wyjdzie ci na zdrowie. Co z tym Hamondem?

– Zapadł się pod ziemię. Przeczesałiśmy cały Żoliborz, Warszawę, przeglądają monitoring miejski... i dotąd bez efektu. Jak kamień w wodę! – Konrad uśmiechnął się ironicznie. – Niemal dosłownie. W nocy nad miastem przeszła burza i było oberwanie chmury. Allah mu sprzyja czy co? Kim on jest? Ma jakieś nadprzyrodzone zdolności?!

– Nikogo nie zabił?

– Nikogo. Ostatni widział go Lutek, nooo... no i ty.

– A beacon? Przecież ma go w kaburze pistoletu! Mówiłam ci wczoraj. Jestem pewna! Konrad, chyba nie sądzisz... – Sara obruszyła się, chociaż niczego jej nie zarzucił.

– Oczywiście! No i tu jest pies pogrzebany. Działanie beacons M-Irka opiera się na sieci GSM. Była burza tysiąclecia i wyładowania atmosferyczne spowodowały jakieś zakłócenia...

– Ja pier... – Puściła rękę Konrada. – No to super! Akurat teraz! Nie mogła ta burza poczekać? W mordę! – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Nie zalogował się? No i co teraz? Ja pier... Wypuściliśmy wściekłego szerszenia – powiedziała takim tonem, jakby sama była temu winna. – Dopiero zaczną się schody! Musimy brać się do roboty... Natychmiast!

– Spokojnie, Saro – uciszył ją Konrad. – Znajdziemy go. Jest pewna nadzieja. Nie wymknie się tak łatwo, wszystko

obstawione i w mediach... – urwał w pół zdania, żeby nie prowokować Sary, która była coraz bardziej wrogo nastawiona do Justyny.

– Beacon, odkąd zdjąłś go z szyby, przez kilka minut dawał sygnał. Mocny i czytelny, jeszcze po strzale Lutka...

– Niewiele pamiętam. Ten strzał tak... potem... – zawahała się – potem próbowałam dostać się do jego broni. Trochę to trwało... biliśmy się... Uderzył mnie, nie pamiętam, ale chyba miał coś w ręku. Potem to już ciemność, widzę ciemność – próbowała ironizować.

– Posłuchaj teraz, Saro. To dopiero zagadka. Trzymaj się mocno...

– Jezu, Konrad! Jestem w szpitalu, źle się czuję. Oszczędź!

– Gdy antyterrorysty wchodzili do domu, sygnał był wciąż silny. Urwał się chwilę potem. Przeczesałmy całe mieszkanie, bo myśleliśmy, że Hamond gdzieś się ukrył, ale nic. Pudło. M-Irek twierdzą, że to mogło być tylko jakieś echo, a sygnał wygasł już wcześniej. Zresztą wtedy to myśmy go już mieli... no, wiesz gdzie. Martwiliśmy się tylko o ciebie. – Konrad na moment przygryzł wargę. – Teraz najważniejsze jest twoje zdrowie. Hamondem zajmują się ABW i policja.

– Ale oni bez nas go nie znajdą. W życiu! – Sara sięgnęła do przycisku, by wezwać pielęgniarkę. – Wychodzę!

– Spokojnie. Poczekaj. – Wyjął urządzenie z jej dłoni, nim zdążyła nacisnąć. – Kabury jego pistoletu też nie znaleźliśmy, a po burzy beacon powinien wysyłać sygnał. Bateria wystarczy na tydzień. M-Irek słusznie twierdzą, że jeżeli nie mamy kabury, to musi ją mieć Hamond, a w niej siedzi nasz beacon. Czyli jeżeli udało mu się jakimś cudem wymknąć, to jest po prostu poza naszym zasięgiem. Stacja odbiera sygnał w promieniu pięciu kilometrów.

– Nooo... dalej...

– No właśnie! M-Irek wsiadają dzisiaj do policyjnego helikoptera i będą czesać teren. Może złapią gdzieś ten sygnał – powiedział bezbarwnym głosem i Sara od razu wyczuła, że szanse odnalezienia Karola są niewielkie. – Ale teraz to robota ABW. My mamy „Ural”, pamiętasz? I tych Czeczenów... No,

jest czym się martwić.

– Pamiętam – odparła wyraźnie zrezygnowana i odwróciła się na bok. – Najpierw muszę wyzdrowieć.

Wyglądała, jakby nic jej nie obchodziło. Jak mała, obrażona dziewczynka, której mama nie pozwoliła włożyć ulubionej sukienki, a nie jak oficer wywiadu. I rzeczywiście czuła się oszukana przez los. Ale najbardziej chciało jej się zapalić.

– Wieczorem lecę do Wilna. Popowski znowu dzwonił. Ma coś pilnego...

– Konrad! – Ożywiła się nagle i usiadła na łóżku. – Miałeś mnie zabrać ze sobą!

Dochodziła za kwadrans pierwsza, środek krótkiej, ciemnoszarej czerwcowej nocy. Z Södermalm do Jakobsberg Västra przejechali policyjnym radiowozem na sygnale w ciągu kilkunastu minut. Przez całą drogę Linda i Olaf nie odezwali się do siebie ani słowem. Jedyne z radia dochodziły nerwowe policyjne komunikaty.

Zacząła się obława na Toma Morgana, informatyka z Amsterdamu. Kimkolwiek był ten człowiek, to za zabójstwo szwedzkiego policjanta miał już przechłapane i było tylko kwestią czasu, kiedy go dopadną. Jednak jego brutalność i profesjonalizm nastrojały ścigających pesymistycznie. Trzeba było się liczyć z możliwością kolejnych ofiar. I jak zwykle w takich okolicznościach powstał dylemat: czy ostrzec społeczeństwo i poprosić o pomoc, czy dla dobra pościgu jeszcze się z tym wstrzymać? Nikt przecież nie wiedział, kim jest Tom Morgan i dlaczego morduje.

Na drodze do kąpieliska Görväln stał na światłach policyjny radiowóz i blokował przejazd. Obok pełniło straż dwóch umundurowanych policjantów z automatami. Samochód z Lindą i Olafem ominął ich z prawej i pognął dalej.

Cały teren parkingu otoczony był niebieską taśmą. Pośrodku stał srebrny ford z otwartymi drzwiami, a nieopodal leżał człowiek. Ramiona miał szeroko rozrzucone. Wokół kręciło się kilka osób rozstawiających oświetlenie na stelażach. Z czterech stron teren ochraniały radiowozy z włączonymi migającymi światłami. Widok niczym z filmowego kryminału, gdyby nie to, że był jak najbardziej realny.

– Inspektor Kuoppamäki – przedstawił się z fińskim akcentem dwumetrowy mężczyzna o szerokiej, pogodnej twarzy. – Z tutejszego komisariatu. Zabezpieczamy miejsce przestępstwa.

– Olaf Svensson z Säpo, a to Linda Lund. – Podali sobie ręce. – Co się właściwie stało?

– Tam jest ten drugi, który przeżył... Lenny. – Wskazał ręką w kierunku radiowozu.

– Jest w szoku? – zapytała Linda.

– Nie... wszystko dobrze. Twardy policjant. To on wezwał wsparcie.

– Chcemy z nim porozmawiać – powiedział Olaf.

– Oczywiście.

W ciągu paru minut Lenny opowiedział bardzo dokładnie, co się stało od chwili, gdy Morgan opuścił swój dom na Aprilvägen, aż do przyjazdu pierwszego radiowozu. Był bardzo przejęty, trzęsły mu się ręce i palił nerwowo papierosa, ale mówił składnie i rzeczowo.

Tymczasem podjechało do nich granatowe volvo z niebieskim kogutem. Wsiadł z niego rozczochrany Kurt Lövenström w koszuli, granatowych spodniach od garnituru i żeglarskich butach włożonych na gołe nogi. Od razu było widać, że chwycił do ubrania, co było pod ręką.

Najpierw skierował się na parking, gdzie przez chwilę rozmawiał z policjantem nad ciałem zabitego. Potem podszedł do Lindy, Olafa i Lenny'ego. Włożył ręce do kieszeni i przez moment milczał, jakby się zastanawiał, co tutaj robi.

– To pan był w samochodzie? – zapytał w końcu.

– Tak jest – odparł Lenny.

– Dziękuję w imieniu prawa. – Lövenström położył mu rękę na ramieniu. – Dziękuję!

Lenny nic nie odpowiedział, tylko pokiwał niezdarnie głową i wrócił do czekających policjantów.

– To niejaki Tom Morgan – zaczął wyjaśniać Olaf. – Namierzyliśmy go przy tych Koreańczykach od skrzyni. Kontakt odpryskowy. Myśleliśmy, że to jakiś handlarz papierosów, który bierze od nich towar, ale nie... To nikt taki! Szybko ustaliliśmy, kim jest. Holender, informatyk. Mieszka niedaleko stąd na Aprilvägen... ale... ale nie przypuszczaliśmy, że to ktoś taki. Szok! Do głowy nam nie przyszło...

– W porządku, Olafie. To zrozumiałe. Co z domem tego Morgana?

– Jest tam nasza ekipa...

– I Hasan Mardan – dodała Linda.

– A on po co? To robota dla kontrwywiadu – ostro zareagował

Kurt.

– Tak, ale... – Olaf zawahał się.

– Ten gość znany jest Polakom – zaczęła Linda. – Parę dni temu Mardan odebrał informację Agencji Wywiadu, że w Warszawie doszło do spotkania, w którym uczestniczył Morgan, a także Gustav Winklund, obywatel szwedzki. Jak ustalił Mardan, taki człowiek nie istnieje i najprawdopodobniej jest to fałszywa tożsamość. Nawet na pewno! – zreflektowała się Linda. – Bardzo podejrzana sprawa... i ten Winklund. Najważniejsze jednak jest to, że obaj spotkali się w Warszawie z trzema Koreańczykami w mocno podejrzanych okolicznościach. Koreańczyków nie znamy, nie figurują w naszych rejestrach.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? – Kurt był wyraźnie poruszony. – Olafie, wytłumacz.

– To czysty przypadek...

– Czyli to, czego najbardziej nie lubię – wtrącił Kurt.

– To nie tak, jak myślisz – bronił się Olaf. – Polacy błędnie zaadresowali pismo i odpowiedzi udzielił wydział Lindy, a potem ona pojechała do Kopenhagi. No kurczę, zdarza się...

– Co dalej?

– Nooo... – włączyła się Linda. – Zgadaliśmy się wieczorem w domu. Olaf pokazał mi zdjęcia tego Morgana i rozpoznałam w nim człowieka z fotografii, którą dostałam od Polaków. Mieliśmy poinformować cię o tym dziś rano, no ale... stało się, co się stało.

– Pościęciem za Morganem zajmuje się policja. Wy macie rozpracować, o co chodzi z tymi Koreańczykami. – Kurt wyraźnie wychodził z dołka. – Dowodzi Johan Briden i jego macie o wszystkim informować... i mnie oczywiście. Mam nadzieję, że tym razem niczego nie spalicie i nie będę musiał znów tłumaczyć się za was w Rosenbadzie. Myślałam, że jak was rozdzielę, to w końcu będzie spokój, ale najwyraźniej się myliłam. – Uśmiechnął się gorzko i dorzucił: – Co tak stoicie? Do domu, spać! Nic tu po was. Wypocznijcie i rano do roboty! Mamy ekstremalną sytuację i jesteście mi potrzebni. – Odwrócił się i poszedł do policjantów.

Linda i Olaf spojrzeli po sobie z mieszaniną smutku i nadziei. Postali tak w milczeniu jeszcze chwilę i w końcu z ociąganiem wsiedli do radiowozu.

– To co? Ja biorę na siebie Polaków, a ty Koreańczyków – oznajmiła Linda, więc tak musiało być.

– Jasne! Ale na razie musimy się przespać... choć trochę. – Popatrzył na nią, jakby prosił o litość.

Uregulował rachunek gotówką i spojrzął na Jagana, który ze słuchawkami w uszach siedział rozwalony w fotelu. Przed hotel zajechał wielki biały autobus i zaczęli wysypywać się z niego ludzie.

– Spadamy! – zarządził Giena.

Jagan podniósł się dziarsko, lewą ręką chwycił swoją zieloną wojskową torbę i zarzucił ją na ramię, jakby nic w niej nie było. W drzwiach przepuścili uprzejmie grupę starszych ludzi mówiących w niezrozumiałym języku i wyszli przed hotel. Skręcili w prawo i po chwili dotarli na hotelowy parking, gdzie stało ich audi.

– Ja prowadzę – oznajmił Jagan i nie czekając na odpowiedź, zajął miejsce za kierownicą.

– Włączę GPS – powiedział Giena i zaczął go szukać w skrytce.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby trafić tam, gdzie chcemy...

– Mnie to niepotrzebne, ale jak chcesz – odparł obojętnie Jagan i włączył silnik.

Zanim ruszył, zaczął się poprawiać, sadowić w fotelu, ustawiać lusterka, sprawdzać przyciski, kręcąc głową i chrząkając, jakby miał startować raketą kosmiczną, a nie samochodem.

Od razu było widać, iż jest w swoim żywiole. Giena nawet pomyślał z rozbawieniem, że wygląda i zachowuje się jak nieodłączna część pojazdu i że producent powinien sprzedawać go od razu w zestawie. Taki model nie potrzebowałby GPS, jeździł zgodnie z przepisami, no i potrafiłby wcześniej dostrzec niebezpieczeństwo. Batyszkina musiał się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem.

Teraz już wiadomo, dlaczego mówią na niego Nexus – stwierdził w duchu, gdy Jagan miękko ruszył do przodu.

W ciągu kilku minut przejechali przez luźno zabudowane, senne miasteczko, dotarli do ulicy Veisiejų, skręcili w lewo i znaleźli się na drodze numer 180.

– Pamiętasz, że musimy gdzieś stanąć i przed polską granicą zmienić tablice? – zapytał Giena.

– Jasne.

Pokonali dwa kilometry i dojechali do mostu nad Niemnem. W tym samym momencie do skrzyżowania z ulicą Veisieję zbliżyła się zielona alfa romeo 159 na polskich numerach i spokojnie pojechała w lewo. Przez zaciemnione szyby niewiele było widać, ale wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn w ciemnych okularach. Jeden pił kawę z kartonowego kubka, a drugi jadł kanapkę.

Batyszkina ustawił prawe lustro tak, by widzieć drogę za samochodem. Środkowe i lewe zawsze było dla kierowcy. Co dwie pary oczu, to nie jedna. Dzięki temu obaj mogli obserwować, co się dzieje za nimi. To było nadzwyczaj ważne, nawet ważniejsze niż to, co się dzieje z przodu. Tak uważał Batyszkina, oficer rosyjskiego wywiadu z wieloletnim doświadczeniem. Jaganowi jednakże lustra w ogóle nie były potrzebne. I tak wiedział, co się dzieje z tyłu.

Ale dla dwóch mężczyzn w alfie romeo, podążających dwa kilometry za nimi, sprawy miały się całkiem na odwrót. Dla nich znacznie ważniejsze było właśnie to, co się dzieje z przodu. Oni nie musieli oglądać się za siebie.

Droga numer 180 wśród lasów wkrótce się skończyła i audi wjechało na trasę 134. Przejechali przez Lejpuny i ciągnęli spokojnie na północny zachód do Łódziejów, gdzie powinien być już zjazd do granicy z Polską. Ruch był niewielki, droga dobra, krajobraz nużący, więc Jagan i Batyszkina zajęli się swoimi sprawami. Każdy inną.

Jagan myślał wyłącznie o Bogajewach. Ach, co tam myślał! On o nich marzył, tęsknił. Znał początek historii i wiedział, jaki będzie jej koniec, ale co ma się wydarzyć między tymi dwoma punktami, było przesłonięte mgłą. Dostrzegał przez nią kontury, światło, słyszał dźwięki i czuł zapach. Wydawać by się mogło, że niczego mu więcej nie trzeba, a jednak coś nieustannie zakłócało odbiór. Dopiero po pewnym czasie, poprzez selekcję negatywną faktów, zidentyfikował prawdopodobne źródła tych zakłóceń.

Po pierwsze, wciąż nie wiedział, do czego służy złoty pistolet, który jest teraz w jego posiadaniu. Miał niewątpliwy związek

z Bogajewami i nie mogło być inaczej. Wciąż też nie wiedział, co jest na nim wyryte. Po drugie, wyraz twarzy Zelimhana, nim kula rozerwała ją w połowie, mówił sam za siebie. Po trzecie, związek diabelskiego rodzeństwa z przebiegłym Muhamedowem był więcej niż oczywisty i świat powinien mieć się na baczności. No i na koniec ten pierdolony gadający kot w tym popieprzonym Wilnie.

Bładź! – zaklął w duchu. Chyba sam sobie z tym wszystkim nie poradzę. Może z nim pogadać?

Spojrzał na Batyszkina, który wpatrywał się tępo w krajobraz.

Eee tam... *Tisze jediesz, dalsze budiesz.*

Giena rzeczywiście wpatrywał się w krajobraz, ale nic nie widział. Równie dobrze mogliby teraz jechać nad Lazurowym Wybrzeżem, też by tego nie zauważył.

Poranna wiadomość od Popowskiego w sprawie odbioru broni nie dawała mu spokoju. Już wcześniej coś go tknęło. Znał Miszę od tylu lat, byli nieraz w poważnych opałach, zawsze mieli do siebie zaufanie i lubili się, co w takiej profesji jak szpiegostwo jest wartością samą w sobie. Tymczasem jeszcze w Wilnie, kiedy po spotkaniu z Bobriukowem rozmawiał z nim przez telefon, odniósł wrażenie, że Misza jest jakiś inny, dziwny. A teraz taka radykalna i niespodziewana zmiana planów! I ani słowa wyjaśnienia, żadnego telefonu, tylko zwykła wiadomość na kompa. Po co mają odebrać broń, i to tak szybko? Co się dzieje? Użyją jej przeciw Bogajewom? Każdy oficer wywiadu wie, że jeżeli dzieje się wokół niego coś, czego nie potrafi zrozumieć czy wytłumaczyć, to znaczy, że powinien mieć się na baczności i przygotowywać sobie lotnisko zapasowe.

Nooo... coś się dzieje! – pomyślał z niepokojem i spojrzał w lusterko.

Droga za nimi była pusta.

Siedział na kanapie i obserwował swoje dłonie, które swobodnie spoczywały na kolanach. Po chwili podniósł je do pionu i zatrzymał na wprost twarzy, wierzchem do przodu. Długie, proporcjonalne palce, wyraźne kostki, prawa lekko otarta. Żadnego drżenia. Rozczapierzył palce i obrócił dłonie wnętrzem do twarzy. Zacisnął w pięści i znów rozprostował. Otarł twarz.

– *Allah akbar* – wyszeptał i zawahał się.

Początkowo pomyślał, żeby się pomodlić, ale zrezygnował. Nie był pewien, czy powinien rozmawiać teraz z Bogiem, a tym bardziej o coś go prosić. Panował nad rękami, jednak wewnątrz cały drżał, jakby ta noc zupełnie go odmieniła.

Jeszcze wczoraj był refleksyjnym wyznawcą Allaha, radził się Go, wiedział, że jest On dobry i kocha ludzi, ale kiedy trzeba, potrafi być surowy. Czerpał z Jego myśli, które wiernym przyniósł Mahomet, całą mądrość o wietrze, słońcu, piasku i wodzie, o miłości, wierności i śmierci. Dzisiaj jednak Safir as-Salam był już tylko wojownikiem, ogniem i mieczem, ściganym i zdradzonym. Wiedział, czuł to całym sobą, że musi wypełnić misję do końca. Tylko tak udowodni Zuzie, że podążał słuszną drogą, tylko tak ją zwycięży. Bo będzie jak Mahdi i wtedy wypełni przesłanie Wielkiego Zmartwychwstania.

– „I nie mówcie na tych, którzy zostali zabici na drodze Boga: «Umarli!» Przeciwnie, oni są żyjący!”

Po raz pierwszy wyrecytował na głos wers sto pięćdziesiąty czwarty sury drugiej. Dotąd powtarzał go tylko w myślach. I zrobił to tak, jak robili wszyscy bracia, którzy przez wieki z tymi właśnie słowami na ustach i na bandanach ruszali do boju.

Dochodziła dziewiąta rano. Był gotowy do opuszczenia domu. Zniszczył wszystko, co nie przedstawiało już żadnej wartości. Resztę spakował w dwie torby i plecak i zaniósł do samochodu.

Miał za sobą wyjątkowo trudną, nieprzespaną noc, ale kilka ćwiczeń Falun Dafa pozwoliło mu dotrzeć w dobrej formie do rana. Dzień zapowiadał się jednak jeszcze cięższy. Safir musiał

opuścić miasto, które za wszelką cenę będzie chciało go zatrzymać. Oczywiście było, że na wszystkich trasach wylotowych, nawet tych najbardziej niewidocznych drogach, drózkach i ścieżkach, czekać będą ludzie, którzy go nienawidzą, boją się i za wszelką cenę chcą złapać, a najlepiej – zabić przed kamerami TV24.

Safir as-Salam był teraz wrogiem publicznym numer jeden i nie musiał włączać telewizora, by się o tym przekonać. Polska nareszcie miała jednego wspólnego przeciwnika. Przerazającego terrorystę, mordercę z Al-Kaidy. Zaczęła się ogólnonarodowa nagonka z psami i kołatkami. Stacje radiowe i telewizyjne zarobią na reklamach, dziennikarze na wierszówce, tantiemach i prestiżu, specjaliści na swojej specjalności, zarobi każdy. Safir oczywiście wiedział o tym wszystkim, ale zastanawiał się, jak to możliwe, że tak łatwo udało mu się wymknąć z pułapki w domu Zuzy i bez przeszkód dotrzeć do Iwicznej. Opieka Wszechmogącego to jedno, ale gdzie byli ludzie?

Dla Safira stan procedur polskich służb miał zasadniczą wagę. To, co się zdarzyło, oznaczało, że są duże szanse na wydostanie się z Warszawy. Musiał się tylko dobrze przygotować. Miał na to prawie całą noc.

Godzina dziewiąta zapowiadała korki i wzmożony ruch na drogach. Przebudowy tras wylotowych z miasta dodatkowo komplikowały ruch samochodowy, więc uznał, że nie ma policji, która mogłaby w takich warunkach zorganizować sprawną blokadę. Nadszedł czas wyjazdu.

Wyjście z domu Zuzy było tak banalnie proste, że wciąż nie mógł uwierzyć, iż intuicja podpowiedziała mu takie rozwiązanie. Wykorzystywał ją zwykle do znacznie bardziej skomplikowanych zadań, ale może tym razem musiało być inaczej. Jałmużna w wysokości pięćdziesięciu złotych, której udzielił pijakowi w brudnym podkoszulku i spragnionemu Władziowi, wróciła do niego jak prawdziwy dar Boga. Jak ratunek.

Safir wyszedł z mieszkania Sary z bronią gotową do strzału. Zamknął za sobą drzwi i posuwał się powoli wzdłuż ściany

mrocznego korytarza. Dwa metry od niego, za rogiem, były schody, których jeszcze nie widział. Spodziewał się, że jeżeli antyterroryści są już na klatce, to z pewnością stoją w szyku na schodach. Było jednak zbyt cicho.

Doszedł do rogu, przywarł do ściany plecami, wziął głęboki oddech i po kilku sekundach wychylił się z wycelowaną bronią. Na schodach nie było nikogo. Poczł niespodziewany przypływ energii i nadziei. Zdawało mu się, że ma jeszcze szansę, że może się wyrwać. Nagle zaczął myśleć jasno i logicznie. Spojrzał na dół przez prześwit aż do parteru i nie zauważył żadnego ruchu. Od strzału snajpera minęło może półtorej minuty, może dwie. Jasne było, że za chwilę drzwi na parterze się otworzą i po schodach zaczną wbiegać ubezpieczonym szeregiem antyterroryści ze swoimi MP5 gotowymi do strzału.

W starciu z nimi w takich warunkach nie miał żadnych szans. Mógł położyć dwóch, trzech, ale serie pozostałych rozerwałyby go w kilka sekund. To nie byłaby zła śmierć, myślał o niej od zawsze, spodziewając się, że zginie w walce z niewiernymi. Męczeństwo to zwieńczenie tego, o co walczy, dżihadu, wojny o światło i lepszy świat. Czł jednakże, że teraz jego śmierć miałyby zbyt niską cenę. Stać go było na znacznie więcej niż tylko na zwykłe poświęcenie się Allahowi. Jego poświęcenie powinno być równe lub większe od tego, jakie ofiarowali bohaterowie jedenastego września. Był w końcu dai-kabirem Braci Czystości i mogło się okazać, że to on jest Mahdim, każdy mógł nim być.

Zbiegł po schodach piętro niżej i od razu skierował się do mieszkania pijaka. Po prostu wiedział, że ma tam iść. Był już na drugim piętrze, jeszcze zbyt wysoko, by skoczyć z okna, ale też bliżej wolności. Nawet nie dzwonił, od razu nacisnął klamkę i tak jak się spodziewał, drzwi ustąpiły. Allah mi je otwiera albo ich nie zamyka – pomyślał z radością, bo przypomniał sobie, że drzwi do mieszkania Abdula też były otwarte. Wsunął się do ciemnego przedpokoju i niemal równocześnie usłyszał na klatce schodowej hałas dochodzący z dołu. To nie mogło być nic innego niż oddział ubranych na czarno antyterrorystów. Safir wiedział to doskonale.

Z trudem zamknął drzwi na zasuwkę, która początkowo stawiała zdecydowany opór, by zwolnić z chrzęstem i uderzyć o wsuwkę. Od razu zrozumiał, dlaczego drzwi były otwarte. Pijak nie miał pewnie siły, by ruszyć zardzewiałą zasuwkę – pomyślał.

– Gaaaziarz... – doszedł go niewyraźny, bełkotliwy głos zza pleców.

Błyskawicznie schował pistolet do kabury.

– Eeeee... hyyppp!... Wła... Władz... uuu... Yhppp! – W drzwiach do kuchni, z której wydobywało się blade światło, stał pijak w brudnym podkoszulku i trzymając się oburącz framugi, próbował złapać równowagę. – Eeeee... gaziarz... chodź! Yhpp!... Władz... Władziu, podaj nakry... yhpp!... nakrycie dla pana gaziaaarza. – Spojrzał błędnym wzrokiem i machnął na Safira ręką, jakby chciał go zaprosić do środka, ale zachwiał się niebezpiecznie, więc znów złapał za framugę.

Safir wszedł głębiej do mieszkania, podczas gdy na korytarzu już wyraźnie było słyhać wzmożony ruch. Pijak chciał zrobić przejście w drzwiach i puścił się framugi. Safir wyciągnął rękę, by mu pomóc, ale ten wbrew prawom fizyki poleciał dokładnie w przeciwną stronę i upadł, przewracając taboret. Zaczął niewyraźnie przeklinać, coś bełkotać, po czym zupełnie sprawnie się podniósł, przytrzymując ściany.

Władzio siedział wyprostowany przy stole zastawionym butelkami i brudnymi talerzami. Ręce zwisały mu luźno wzdłuż ciała, miał odchyloną do tyłu głowę, zamknięte oczy i szeroko otwarte usta, z których wydobywał się dziwny charkot wraz z drobinami śliny. Safir nie był pewien, czy Władzio przypadkiem nie umiera, ale kiedy na moment przestał charczeć i smacznie zamlaskał, już było wiadomo, że żyje.

W tym momencie ktoś zaczął energicznie dobijać się do drzwi. Władzio ocknął się niepewnie, a pijak stał już na nogach. Safir chwycił niedopitą butelkę wódki i pociągnął potężny łyk. Wyszedł do przedpokoju, wypluł wódkę na ręce i zmierzwił nią sobie włosy. Dobijanie się do drzwi było coraz bardziej natarczywe. Wiedział, że to policja. Do przedpokoju wysunął się też niepewnie pijak i trzymając się ściany, próbował

obserwować, co robi Safir.

– Ewakuujemy mieszkańców! – Do środka energicznie wszedł niski policjant w cywilu, a za nim dwóch uzbrojonych antyterrorystów. – Proszę natychmiast opuścić mieszkanie.

– Aleee... panie, my tu... – Safir bełkotał i chwiał się na nogach. – A co jest? Cooo... – Pochylił się i objął cywila za szyję.

– Ja pier... to melina! Co za smród! – Policjant sprawnie wyzwolił się z uścisku. – Wyprowadźcie ich stąd! Szybko! – zwrócił się do mundurowych. – Tego tylko nam brakowało! Ja pierrr... – Był mocno zdenerwowany. – Szybko! Zabierajcie ich! Tu jest jeszcze jeden! – zawołał z kuchni na widok Władzia. – Dawać mi tu dwóch do pomocy! – krzyknął do krótkofalówki.

Safir podszedł do pijaka i wziął go pod rękę. Z drugiej strony chwycił go policjant i zdecydowanie ruszył z nimi w kierunku drzwi. Wyszli na korytarz i zaczęli schodzić na dół obok stojących na schodach zamaskowanych antyterrorystów. Po chwili byli już na parterze. Dopiero kiedy znaleźli się na zewnątrz, Safir się zorientował, że nad Warszawą przechodzi burza. Zaczęło padać, wiatr jak oszalały szarpał drzewami na podwórku, a powietrze wypełniały bezdźwięczne błyski, które jak w stroboskopie oświetlały ukrytych pod ścianami ubranych na czarno antyterrorystów.

Policjant pociągnął swoich podopiecznych w lewo wzdłuż ściany domu, ale wszyscy się przewrócili i pijak zaczął coś bełkotać, wyraźnie oburzony brutalnym traktowaniem. Mundurowy przeklął głośno kilka razy i szybko się podniósł.

– My już... tego... nooo... damy sobie radę... uff... panie kapitanie. – Safir naśladował pijacki bełkot i czuł, jak z jego ciała próbuje się wydostać oszalała z radości dusza.

Jestem na zewnątrz, Zuza żyje. Udało się! – pomyślał z niedowierzaniem. Tak łatwo?!

– Idźcie tam, na ulicę! – Policjant w kominiarce wskazał ręką kierunek. – I spierdalajta stąd, bo zaraz będzie gorąco! – rzucił i pobiegł z powrotem, mijając dwóch innych policjantów wlokących nieprzytomnego Władzia.

Safir odciągnął pijaka jeszcze kilkadziesiąt metrów, aż dotarli do miejsca, z którego nie było widać budynku. Na drodze stał radiowóz policyjny na światłach i wejście blokowało kilku policjantów. Kiedy ich minęli, Safir nie bez trudu wyzwolił się z uścisku pijaka i posadził go na ławce. Dwaj antyterrorysty dosadzili mu Władzia i pobiegli z powrotem.

Zwycięstwo było bliskie, ale jeszcze niepewne. Teraz musiał przede wszystkim zapanować nad sobą. Powstrzymać radość, strach, euforię i spokojnym krokiem odejść ulicą Książnina, gdzie sto metrów dalej, przy skwerze „Żniwiarza”, stał jego samochód. Policja na pewno już się zorientowała, że wroga numer jeden nie ma w mieszkaniu Sary, i zaczęła nerwowo przeszukiwać budynek.

Wiatr niespodziewanie osłabł, z nieba lały się ciepłe, tropikalne strumienie, a na niebie trwał atomowy pojedynek bogów. Ulicą Książnina płynął dziki kaukaski strumień i tym strumieniem, zanurzony po kostki w wodzie, szedł spokojnym, miarowym krokiem Safir as-Salam.

Był środek nocy, ale na Starym Żoliborzu mało kto spał w taką burzę. Ludzie pospiesznie zamykali okna i uspokajali wystraszone dzieci, psy chowały się w najciemniejszych kątach. To nie była burza jakich wiele, była szczególna, wyjątkowo piękna i groźna. Safir szedł w strugach ciężkiego deszczu, przekonany, że nie nadciągnęła nad Warszawę przypadkowo. Taką burzę Bóg mógł zesłać tylko komuś wyjątkowemu, tylko swemu najwierniejszemu słudze, by go chronić, ukryć w sobie, kiedy wszyscy inni kulą się i kryją, przerażeni Jego mocą.

Dlatego on, od wczoraj wróg publiczny numer jeden, dojechał w trzydzieści minut do Iwicznej, nieniekajony przez nikogo. Gdy zatrzymał się przed swoim domem, przestało padać i niebo ucichło.

Minęła dziewiąta piętnaście. Safir otrząsnął się z nocnych wspomnień. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie musi o nic prosić Allaha, bo On i tak mu sprzyja. To dobrze wróżyło na przyszłość.

– Wystarczy uważnie się wsłuchiwać w wolę Najwyższego – powiedział na głos i nastawił zegar na dwunastą. – Gdybym nie

dał jałmużny tym nędzarzom, nie wyszedłbym z tego żywy... *Allah akbar!* – Uśmiechnął się, z niedowierzaniem pokręcił głową i ruszył do garażu.

Tym razem nie tylko wziął swoje M9 na szelkach. Z tyłu za siedzeniem pasażera postawił karabinek szturmowy M4. Sytuacja była wciąż nieprzewidywalna, a M4 potrafił utorować drogę każdemu, kto potrafił się nim posługiwać. Safir potrafił, bo robił to w Afganistanie nie raz i nie dwa.

Z Warszawy wyjechał bez najmniejszych problemów, a kiedy minął most w Zegrzu, poczuł się jeszcze pewniej. Im bardziej oddalał się od stolicy, tym większej nabierał wiary w swoją misję pod opieką Najwyższego i determinacji do walki.

Dojechał do skrzyżowania z trasą numer 57 i skręcił w lewo. Do Szczytna zostało nieco ponad sto kilometrów. Od wyjazdu z Iwicznej przez całą drogę nie włączał radia. Wolał polegać na własnej intuicji i opiece Najwyższego, dlatego skupił się na recytacji sury czterdziestej ósmej, Al-Fath, Zwycięstwo. Przyszła sama. Dopiero od Pułtusza zaczął puszczać płyty z koranicznymi naszidami.

O jedenastej pięćdziesiąt minął Szymany i wkrótce na wysokości Nowin wjechał na leśny odcinek trasy 57. Do Szczytna zostało około sześciu kilometrów. Przejazd przez miasto i potem jeszcze kilkanaście kilometrów. Minie Warpnik i będzie już bezpieczny, chroniony przez Cztery Źródła.

Amina, Rustam, Szamil i Aślan mieli jeszcze tego samego dnia złożyć przed nim, Safirem as-Salamem, swoim dai-kabirem, przysięgę. Dopiero po niej mogli stać się fidai, wojownikami Hasana ibn Sabbaha, Braćmi Czystości, i wypełnić swoją misję: w imieniu Najwyższego podjąć się zadania wielkiej syntezy.

Dochodziła dwunasta. Safir spojrzął na swój zegarek Suunto i sprawdził czas na zegarze samochodowym. Gdy podniósł wzrok na drogę, w ostatniej chwili zauważył policyjny radiowóz i dwóch funkcjonariuszy w czarnych mundurach, którzy dawali znak, by się zatrzymał. Na piersi mieli automaty Glauberyt.

Po ich znudzonych minach widać było, że nie czekają w tym miejscu specjalnie na niego. Od razu pomyślał, że muszą to być słuchacze ze Szkoły Policyjnej w Szczytnie.

Młodzi, niedouczeni jeszcze policjanci mogą być bardziej niebezpieczni niż stare wygi – pomyślał i zatrzymał samochód na poboczu dwadzieścia metrów za nimi. Przejeżdżając, zauważył, że w radiowozie siedzi trzeci policjant.

Dwaj młodzi ruszyli w jego kierunku. Obserwował ich w lusterku. Nie spieszyli się, szli powoli, niedbale, jakby chcieli pokazać, że niczego się nie boją, że to ich teren i nikt z nimi nie ma szans. Ta ich arogancja trochę go drażniła.

Była dokładnie dwunasta w południe i jego zegarek wydał krótki sygnał. W tym momencie niedużym domem w Iwicznej wstrząsnął wybuch, wyleciały szyby i po chwili w oknach pojawiły się płomienie. Okoliczni mieszkańcy zamarli zaskoczeni tym, co usłyszeli, po czym wrócili do swoich zajęć. W ciągu kilku minut rozległy się syreny wozów strażackich, karetek pogotowia i policji. Nastąpił wybuch gazu.

Na drodze pod Szczytnem, parę kilometrów za Szymanami, o tym, co się stało w Iwicznej, wiedział tylko Safir, młodzi policjanci nie, więc dalej szli obojętnie w kierunku volkswagena na warszawskich numerach.

Safir nie miał wątpliwości, że nie powinien uciekać, bo radiowóz z całą pewnością ruszyłby za nim w pościg, wszczynając jednocześnie alarm. On sam straciłby wtedy efekt zaskoczenia i naraził się na pewne starcie z policją, które nie wiadomo jak by się skończyło. Był już blisko celu, więc musiał się wystrzeżać błędu, głupiego, niepotrzebnego ruchu, który mógł wszystko zniszczyć. Gdzieś tam niedaleko czekali na niego Bogajewowie.

Gdy dwaj policjanci byli już na wysokości jego samochodu, przeszedł na tył furgonetki, wyjął z kasetki na ścianie granat obronny F-1 i wyrwał zawleczkę. Otworzył tylne drzwi i rzucił granat, który potoczył się pod radiowóz. Powietrzem wstrząsnął wybuch. Za ledwie Safir zdążył się skulić za zatrzaśniętymi drzwiami, poczuł, jak odłamki uderzają w samochód, rozbijając tylną szybę. Skoczył do przodu, usiadł za kierownicą i ruszył ostro do przodu. W lusterku dostrzegł obu policjantów. Zdezorientowani zamarli na drodze, jakby nie mogli uwierzyć w to, co się stało.

Nawet nie próbowali dotknąć swoich glauberytów – pomyślał. Nie mają jeszcze wyrobionych nawyków... Młode psy. Mieli szczęście, że byli poza zasięgiem odłamków.

Docisnął pedał gazu do końca. Obraz w lusterku oddalał się szybko i w końcu znikł za zakrętem.

Safir pędził pustą drogą między wysokimi sosnowymi drzewami, które jak w perspektywie wskazywały mu kierunek. Wiedział, że lasy wkrótce się skończą i wjedzie na przedmieście Szczytna, więc musiał zdecydować, co robić dalej.

Policjanci z pewnością zaalarmowali już swoich i właśnie zabrzmiał sygnał do rozpoczęcia wielkiej nagonki. Numery rejestracyjne i typ jego samochodu znał teraz każdy policjant w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Za chwilę na wszystkich drogach pojawią się blokady i kolczatki. Wzniesie się śmigłowiec. W ciągu kilku minut zorientują się, że samochód jest zarejestrowany na fałszywą osobę. Tylko kwestią czasu będzie ustalenie, że człowiekiem, który rzucił granat, jest Karol Hamond i że to jego dom w Iwicznej wyleciał w powietrze. Wróg publiczny numer jeden jest w Szczytnie. Najbardziej poszukiwany i najniebezpieczniejszy człowiek w Polsce. Bezwzględny morderca i terrorysta, islamista, przeżarty nienawiścią, powiązany z Iranem, Irakiem, Afganistanem, Pakistanem, Libanem, Egiptem, a nawet z Nepalem i Kolumbią – jak twierdzą, z nieznacznymi różnicami, wszyscy komentatorzy telewizyjni.

Kupując domek nad jeziorem, Safir nie pomyślał, że znajdzie się w takiej sytuacji jak teraz i że Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie przysporzy mu prawdziwych problemów. Nagromadzenie napalonych na robotę policjantów było w tym rejonie Polski największe i każdy z pewnością wziął sobie za punkt honoru ujęcie wroga publicznego numer jeden. Dlatego Safir musiał jak najszybciej dotrzeć do Czterech Źródeł, by wszyscy mogli bezpiecznie opuścić ten teren. Bogajewowie byli największą nadzieją Braci Czystości i Bóg nie pozwoli ich zmarnować.

Zjechał na pobocze i skręcił w leśną drogę. Im bardziej się zagłębiał w gęsty las, tym droga była gorsza. Zatrzymał się po

prawie czterystu metrach obok jakiegoś wysypiska. Przeszedł na tył samochodu i przeladował do plecaka wszystkie najbardziej potrzebne rzeczy. Musiał zdecydować, co ma zabrać, a czego nie, ale nie mógł zostawić niczego, co ułatwiłoby jego identyfikację i ujęcie. Sam karabinek M4 zajmował sporo miejsca.

Po chwili plecak był już spakowany. Safir otworzył tylne drzwi, spuścił rampę i wyprowadził swój zielony motocykl Kawasaki.

Przyszedł ten dzień – pomyślał z prawdziwą satysfakcją. To będzie mój... – zawahał się, patrząc na motor – nasz najważniejszy tour. Enduro wszech czasów przed największym audytorium! Przed publicznością całej Polski, a potem i świata! I choć gonią nas wszystkie psy niewierne, to my, w imię Allaha, zwyciężymy!

Wsunął rampę z powrotem do furgonetki. Z małego kanistra rozlał wewnątrz benzynę i wyskoczył na zewnątrz. Musiał spalić samochód, bo nie mógł pozwolić, by psy chwyciły trop. Przez moment zrobiło mu się żal volkswagena, ale uspokoił się, kiedy uzmysłowił sobie, jak wspaniale wypełnił swoją misję.

Teraz czas na wielki finał.

Zarzucił na ramiona ciężki plecak, z którego wystawała lufa karabinka. Zapiął wiatrówkę pod szyję, sprawdził swój GPS, pistolet pod pachą, zapiął wysokie buty Alpinestars i wsiadł na motor. Był solidnie obciążony, ale wydawało mu się, że może latać, jakby miał za chwilę rozwinąć skrzydła.

Z kopa odpalił silnik, aż głębokie basowe echo poniosło się po lesie. Safir as-Salam był gotowy do drogi. I walki.

– W imię Boga Miłosiernego i Litościwego! – powiedział i założył kask enduro.

Z kieszeni wyjął złotą zapalniczkę Zippo, otworzył kciukiem wieczko, które klapnęło znajomo, i wrzucił ją do samochodu. Z wnętrza buchnął płomień.

– Zapamiętasz mnie – wyszeptał.

Założył gogle i rękawice, wrzucił bieg, puścił sprzęgło i przekręcił manetkę gazu. Spod tylnego koła wystrzelił strumień ziemi i motocykl z potężnym impetem rzucił się do biegu, unosząc na grzbiecie jeźdźca.

Leżała z zamkniętymi oczami. Odliczyła w myślach do dziesięciu i budzik zadzwonił. Była siódma rano.

Wydawało jej się, że przez te kilka krótkich nocnych godzin czekała na ten sygnał i jakimś cudownym zrządzeniem losu potrafiła go przewidzieć. Słyszała każdy oddech Olafa, czuła każdy jego ruch, mogła śledzić jego sny i razem z nim je przeżywać.

Jak on tak może spać? – pomyślała z domieszką złości. A może to ze mną jest coś nie tak? Może się jeszcze nie wyleczyłam?

– Olaf, wstawaj! – Szarpnęła go lekko za ramię, gdyż zupełnie nie reagował na dźwięk budzika. – Wstawaj! Siódma! – Szarpnęła mocniej, ale on spał dalej. – Nie udawaj! Obudź się!

– Nie udaję – wymamrotał. – Mam dosyć tej roboty – oświadczył tonem pokonanego rycerza. – Nigdzie dzisiaj nie idę. Mam to wszystko gdzieś! – Zaczął mówić wyraźniej i przeciągnął się. – Czuję się jak po przegranym turnieju unihokeja... po dwóch!

– Nie marudź. – Linda podniosła się zrywem i ściągnęła z niego kołdrę. – Mam robotę – dodała w drzwiach. – Idę pierwsza do łazienki.

– Pojedziemy dzisiaj samochodem – odparł. – Śniadanie kupimy na stacji benzynowej.

Ale Linda słyszała już tylko szum odkręconej wody.

Hasan Mardan wrócił o siódmej rano do swojego mieszkania na Rörstrandsgatan 28. Zdążył tylko zdjąć buty i nastawić budzik w telefonie na dziewiątą trzydzieści, po czym padł na łóżko. Nie próbował nawet zasłaniać okna, przez które wpadało do pokoju ostre północne słońce. Nakrył tylko głowę poduszką i prawie natychmiast zasnął. Miał dwie i pół godziny na powetowanie sobie dwóch zarwanych nocy.

Przeszukanie w domu Toma Morgana na Aprilvägen nic nie dało. Technicy znaleźli wprawdzie sporo odcisków palców, ale żadnych nie byli w stanie dopasować. Trochę śladów DNA do identyfikacji. Nic więcej, co przedstawiałoby jakąś wartość operacyjną. Brak informacji to jednak też informacja. Morgan

mieszkał w tym domu sześć miesięcy i nie zostawił żadnych znaczących śladów. Wyraźnie było widać, że opuścił go pospiesznie, celowo wyciągając obserwację w ustronne miejsce, i że z zimną krwią zastrzelił człowieka.

Notatka, którą Polacy przesłali kilka dni wcześniej, była teraz najgorętszym dokumentem na Polhemsgatan. Kim byli Gustav Winklund i Tom Morgan, wciąż pozostawało tajemnicą, ale jeszcze większą zagadkę stanowiły ich kontakty z dyplomatami z Korei Północnej. Hasan w drodze z Jakobsberg Västra do domu wpadł do biura i przygotował dla Lindy komplet dokumentów w tej sprawie wraz z szyfrogramem do Warszawy. Wszystko to zostawił na jej biurku. Dał sobie trzy godziny na odpoczynek, bo dobrze wiedział, że odpowiedź przyjdzie nie wcześniej niż koło jedenastej.

Sprawa zabójstwa policjanta miała teraz absolutny priorytet i nikt w to nie wątpił. Policja w całym kraju była już w stanie najwyższej aktywności, a spodziewano się, że rano, gdy do akcji ruszą media, będzie jeszcze większy nacisk na jak najszybsze wyjaśnienie sprawy i ujęcie zabójcy. A jeżeli zdarzy się wyciek, że w tę sprawę zamieszani są północni Koreańczycy, zacznie się historyczny spektakl i będzie można zapomnieć o pomyślnym zakończeniu poszukiwań, gdyż sprawca, który wcale nie wygląda na amatora, nie będzie czekał, aż wyda go jakiś sprzedawca gazet czy staruszka z psem. Czas był teraz największym wrogiem. W Säpo wiedzieli o tym wszyscy, dlatego sen nie był w cenie.

Hasan, nim zasnął, poczuł w pościeli silny zapach Harriet i zrobiło mu się żal, że będzie musiał teraz odłożyć sprawę Neo na później. Jeszcze poprzedniego wieczoru, kiedy wyszli od Lindy, ustalili, co mają robić. Ale teraz wszystko się zmieniło. Tak bardzo chciał, żeby Harriet miała swoją pierwszą wielką sprawę, w której mógłby odegrać rolę mentora. Mógłby wejść do jej życia i na zawsze utrwalić w nim swoją obecność. Żaden oficer bowiem nie zapomina swojej pierwszej wielkiej sprawy.

A może ty ją kochasz, Hasanie Mardan? Co... kochasz? Pewnie, że ją... – pomyślał resztką ulatującej świadomości i odpłynął do krainy tysiąca i jednej nocy.

Gdy Hasan zasypiał, a Linda i Olaf z trudem podnosili się z łóżka, Harriet Berghen jechała Odengatan autobusem linii 42. W Sztokholmie rozpoczynał się wyjątkowo piękny dzień. Była wypoczęta, pogodna i pełna energii do działania. Każdy, kto przyjrzałby się jej uważniej, mógłby to bez trudu zauważyć, bo wszystko odbijało się w jej spojrzeniu, uśmiechu, a nawet w stroju.

Wbrew marzeniom Hasana Harriet dobrze wiedziała, co ma tego dnia zrobić, i nie potrzebowała żadnego mentora. To ona śledziła Neo, a Hasan jej pomagał.

Harriet jechała do Królewskiego Instytutu Technologicznego przy Valhallavägen na spotkanie z Antonem Peteriusem, znanym bardziej jako Młot.

Instytut należy do najlepszych uczelni tego typu na świecie i jest dumą Szwecji, kuźnią kadr dla nauki i przemysłu, mekką młodzieży, która chce zmieniać rzeczywistość. To są wystarczające powody, dla których instytut jest wysoko notowany również w planach służb specjalnych całego świata. Władze szwedzkie doskonale zdają sobie z tego sprawę i muszą dbać, by unikatowa wiedza nie stała się pożywką dla innych krajów, zwłaszcza że uczelnia jest dotowana z budżetu państwa.

Anton, czyli Młot, wyglądał na dwadzieścia pięć lat i nie odróżniał się od studentów, chociaż był zdecydowanie od nich wszystkich niższy, a od Harriet Berghen nawet o pół głowy. W rzeczywistości miał trzydzieści cztery lata i był doktorantem, szarą eminencją, guru kolejnych roczników przy Valhallavägen, choć z wyglądu nie pasował do panteonu wikińskich wojowników. To jednak Młot znał wszystkich i wszyscy znali jego. Był nie tyle lubiany, ile wręcz uwielbiany za talent organizatorski, erudycję, chęć niesienia pomocy każdemu i o każdej porze, a także – jak przystało na wojownika Valhalli – za mocną głowę. Sprawnie posługiwał się rosyjskim, francuskim i niemieckim, znał podstawy arabskiego i chińskiego.

Wyjątkowe predyspozycje Młota bardzo wcześnie dostrzegł Michael Hermansson, który przed laty wykładał na tej uczelni bezpieczeństwo informatyczne. Zaproponował mu wówczas

tajną pracę dla FRA, co Młot od razu uznał za zaszczyt. Odtąd wylapywał szpiegów nasyłanych, by wykraść osiągnięcia szwedzkiej nauki, wyszukiwał utalentowanych studentów mogących pracować na rzecz bezpieczeństwa państwa i doskonalił własną wiedzę w zakresie technologii informatycznych.

Skąd wzięło się przezwisko „Młot”, nikt już nie pamiętał, ale miało ono jakiś związek z „reaktorem”, wyjątkowym miejscem, gdzie zawsze można było go spotkać.

Świątynią uczelnianych hakerów i geeków była grota wykuta w granitowej skale dwadzieścia pięć metrów pod ziemią dla badawczego reaktora atomowego w czasach, gdy Szwecja miała ambicje stać się mocarstwem z bronią jądrową. Dzisiaj, gdy jest mocarstwem informatycznym, gromadzą się w tym niezwykłym miejscu niezwykle młodzi ludzie z całego świata. Młot organizuje im zajęcia, a przede wszystkim hakatony, które są najlepszym testem na wyszukiwanie hakerskich talentów i sieciowych zagrożeń.

Harriet poznała Młota, kiedy tylko rozpoczęła pracę w FRA. Natychmiast przypadli sobie do gustu. Nie potrzebowali wielu słów, by się porozumieć. Młot nigdy nie miał kompleksów z powodu swojego wzrostu i lubił słuchać Paula Simona. Dlatego nikt lepiej niż on nie mógł się wcielić w rolę Agenta Smitha – uważała Harriet i uzgodniwszy to z Hasanem, przyjechała złożyć mu taką propozycję.

Zjechała windą do „reaktora” i kiedy weszła do hali, od razu dostrzegła Antona.

W ponurym, ciemnym pomieszczeniu przypominającym opuszczoną fabrykę, ozdobionym hakami i suwnicami zawieszonymi na ciężkich łańcuchach, było zaledwie kilka osób. Na środku sali, otoczony barierką, widniał duży otwór, w którym spoczywał niegdyś reaktor, a który teraz sprawiał wrażenie drogi do środka ziemi. Surrealistyczna, industrialna architektura tego pomieszczenia z dodatkiem zapachu granitowych skał musiała wyzwać ekstremalne doznania i może właśnie dlatego stało się ono świątynią hakerów.

Harriet nigdy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że bracia

Wachowscy musieli spędzić tu jakiś czas, a później swoje doznania opowiedzieli w *Matriksie*, bo „reaktor” to był właśnie Syjon.

– Hej, Anton. – Zaszła go od tyłu, gdy stał pochylony nad swoim piętnastocalowym MacBookiem Pro. – Retina? Dwa i sześć dziesiątych gigaherca?

– Hej, Harriet. – Anton odwrócił się i wymienili całusy na powitanie. – Służbowy – wyszeptał jej na ucho.

– Też taki dostałam – odparła podobnym tonem i oboje uśmiechnęli się porozumiewawczo.

Przeszli w róg hali do automatu z kawą. Anton bez pytania wlał czarny płyn do dwóch tekturowych kubków i wrzucił monety do pudełka, które stało obok. Usiedli przy stoliku. To był prywatny kącik Młota i nikt nie ośmieliłby się go zająć.

– Co cię tak wcześniej przygnało, antyczna piegusko? – zaczął bezceremonialnie Anton. – Wpadnij do mnie wieczorkiem, włamiemy się razem do mitów greckich i poszalejemy w zakamarkach antycznego seksu. Noo... chyba że jakiś Apollo z wyjątkowo twardym dyskiem już tobą zawładnął.

– Daj spokój, Anton! – Harriet lubiła wirtualny seksizm Młota. Pasował idealnie do jego poczucia humoru i wzrostu. Pomyślała jednak, że z tym boskim Apollem udało mu się trafić idealnie. – Przyszłam w sprawie Hasana. Pamiętasz?

– Nie. Hasana? Nie znam i tym bardziej nie pamiętam!

– Aaa... nieee... tego Neo, von Utrechta – poprawiła się zawstydzona i Anton od razu to wyczuł.

– Jednak jest już jakiś Apollo, kurczę. Żebyś potem do mnie nie przychodziła. Żadnych powrotów nie będzie! *No way!* – ironizował. – Wiesz, co robisz, dziecko? Zabezpieczacie się chociaż?

– Daj spokój, nie rób sobie jaj! To kolega z Säpo. Poważna sprawa. Razem pracujemy nad von Utrechtem...

– Nie mam nic nowego na jego temat – przerwał jej Anton. – Już ci mówiłem. Wyparował. Nie ma go. Przestał przychodzić do „reaktora”.

– Nie dziwi cię to? Możliwe, żeby się wyleczył?

– Taki jak on? – Anton pokiwał głową. – Nie, niemożliwe!

Znam go. On ma wirusa w genach. Mówiłem ci. Robię teraz tygodniowy BlueSky Hakaton, czyli jak pozszywać Google Earth ze Skype'em i Blocketem. Wszyscy zainfekowani będą, ale on nie przyszedł nawet powąchać...

– Znaleźliśmy przedwczoraj jego dziuplę – wtrąciła Harriet tonem pozbawionym cienia skromności.

– Łau! – Anton próbował zademonstrować swoje uznanie, ale wypadł śmiesznie. – Gdzie?

– Na Rissne.

– Co dalej?

– No właśnie. Mam pomysł, ale potrzebuję kogoś do pomocy.

– Masz tego boskiego wirusa... Hasana!

– Bez żartów. W Säpo są teraz zajęci czymś innym. – Harriet popatrzyła na niego takim wzrokiem, że nawet okulary w grubych oprawkach nie zmniejszyły siły jej promieniowania.

Anton nie był na to odporny.

– Jasne! – odparł bez wahania. – Możesz na mnie liczyć. Byle szybko, bo wkrótce mam ten hakaton. No, to co robimy?

– Zaraz ci pokażę. – Harriet wyjęła swojego maca. – Ale nim przejdziemy do sedna sprawy, musisz się dowiedzieć o dwóch rzeczach.

Anton zmarszczył brwi w udawanym zaciekawieniu.

– Po pierwsze, Neo jest w Al-Kaidzie – oznajmiła z maksymalną powagą.

– Eeee... – Anton uśmiechnął się niewyraźnie, ale Harriet wymownie milczała. – No co ty? Żartujesz? – zapytał niepewnie. – Ja pier... Niemożliwe! – W końcu to do niego dotarło, bo wyraz twarzy Harriet nie pozostawiał wątpliwości, że to nie są żarty. – I co teraz?

– Po drugie, FRA i Säpo powinny się dogadać... choć Hermansson jeszcze o tym nie wie, bo to generalnie sprawa Säpo, ale... nooo... i przydzielić nam tę sprawę, a przynajmniej jej kawałek, bo ci farbowani policjanci sami w wirtualu wymiękną...

– Pewnie! – wtrącił Anton.

– No to krótko, Anton... – urwała na moment. – Wchodzisz w to?

– Bim-bam! – Pokiwał z uznaniem głową. – Enter!

– Dobrze. Prawdziwy z ciebie kumpel, ale najpierw posłuchaj, o co chodzi. – Harriet poprawiła się na składanym krzeselku, pociągnęła łyk kawy i przybliżyła się do Antona. – W Al-Kaidzie jest pewien Polak, który parę dni temu urządził jatkę w Wiedniu – zaczęła.

W ciągu kilkunastu minut opowiedziała wszystko, co wiedziała o sprawie Claesa von Utrecht i Safira as-Salama. Jej wywód był jasny, prosty, pozbawiony emocji i ocen. Fakty wiązały się ze sobą w logiczny, interesujący ciąg, a w odczuciu Antona – nawet piękny. Tak opisywać rzeczywistość potrafili tylko ludzie, którzy mają dar kreacji sprawnie funkcjonującego wirtualnego świata. Jeżeli Anton nie zadał żadnego pytania, to oznaczało, że zapis programu, który mu zaprezentowała Harriet, pozbawiony jest błędów. Kto jak kto, ale on – Młot – wychwyliłby je natychmiast. Obrót spraw był tak podniecający, że kiedy jej słuchał, już w myślach pisał swój kompatybilny subprogram.

Zgodnie ocenili, że zatrzymanie Neo nie wchodzi w grę, więc tajne wejście do jego mieszkania jest niemożliwe. Na razie wszystko, co o nim wiedzieli, było tylko podejrzeniami zmieszanymi z poszlakami.

Średnio zdolny haker czy cracker był w stanie tak zabezpieczyć swój komputer i mieszkanie przed niechcianymi gośćmi, że jakiegokolwiek pomysły cichej penetracji nie mogły być w ogóle brane pod uwagę. Podobnie sprawa się miała z ewentualnym wejściem do jego komputera od strony sieci. Claes był w stanie stworzyć zapory nie do przejścia, jak również zniszczyć zawartość dysków w razie rozpoznania intruza przez komputer.

Anton i Harriet znali jednak sposób, o którym Neo nie powinien wiedzieć. Dysponowali bowiem ściśle tajnym, eksperymentalnym urządzeniem zwanym TenFingers, nieużywanym jeszcze nigdy w akcji i opracowanym przez specjalistów z FRA. Była zatem szansa, że Claes von Utrecht nie jest przygotowany na atak z tej strony. Zaledwie szansa, bo urządzenie było stosunkowo łatwe do wykrycia, jeżeli ktoś znał sens jego działania. Miało też, niestety, mały zasięg.

TenFingers miało służyć do podsłuchiwania fal elektromagnetycznych i hipersonicznych wydzielanych przez klawiaturę komputera podczas pisania i do śledzenia ruchu myszki czy gładzika. Obserwując te ruchy, można było stworzyć bliźniaczy software i potem na żywo śledzić aktywność komputera. Sam czujnik, wielkości łebka od szpilki, podobny był do zwykłego szpiegowskiego mikrofonu, lecz emitował bardzo silne ultradźwięki. To była właśnie największa słabość tego urządzenia. By ukryć emisję, potrzebne było w pobliżu silne pole magnetyczne, dlatego TenFingers miało ograniczone zastosowanie i wciąż było w fazie eksperymentalnej.

Harriet wiedziała o tym wszystkim od samego początku, lecz kiedy dokonywała z Hasanem zewnętrznej penetracji kryjówki Neo, odkryła coś, co prawdopodobnie mogłoby umożliwić wykorzystanie urządzenia. Sama nie była jednak w stanie rozwiązać tego problemu i musiała poprosić o pomoc Antona, który o TenFingers wiedział wszystko.

Przejrzeni plan domu przy Mjölnerbacken 65 i mieszkania w suterenie, które zajmował Neo. Radość Harriet nie miała granic, bo okazało się, że jej nadzieje się potwierdziły. Tego Neo nie przewidział.

– Nooo... to teraz TenFingers może przejść chrzest bojowy w starciu z koalicją Al-Kaidy i antyglobalistów – z satysfakcją stwierdził Młot.

Za dłuższą ścianą dużego pokoju Neo znajdowało się zewnętrzne pomieszczenie, do którego wchodziło się z klatki schodowej. Mieściła się w nim maszynownia windy, a zatem pracował tam silnik elektryczny wysokiej mocy, który idealnie, a nawet z pewnym zapasem, był w stanie zakryć pole emisji z mikrofonu TenFingers.

– Nooo... to teraz mamy szansę dobrać się do komputera Claesa von Utrecht – ocenili zgodnie i z radości przybili piątkę.

Konrad wsiadł do samochodu i prosto ze szpitala pojechał do siedziby ABW na Rakowiecką.

Na dwunastą szef ABW zwołał naradę poświęconą nieudanej akcji ujęcia Safira as-Salama. Obecni mieli być szefowie wszystkich jednostek uczestniczących w nocnej operacji. Agencję Wywiadu reprezentowali Konrad i tymczasowy zastępca dyrektora Wacusz Kłoczek Lego, który na wieść o tym zupełnie spanikował i od rana dzwonił do Konrada przynajmniej dziesięć razy. Szef Agencji wciąż przebywał z oficjalną wizytą gdzieś w Afryce.

Dochodziła jedenasta i Konrad poszedł prosto do Marcela, który od rana dopraszał się o spotkanie. Chciał porozmawiać na temat Bobriukowa. Było to trochę dziwne, bo mało kto w ABW czy AW miał tego dnia nastrój do rozmowy o czym innym niż o ucieczce Safira. Ludzie byli wkurzeni, zestresowani, zmęczeni. Czesanie do rana Warszawy i okolic nie było zajęciem relaksującym.

Ale w szczególnie złym nastroju był Konrad, bo nie tylko naraził Sarę na niebezpieczeństwo, ale też uważał, że to przez niego Safir zdołał zbiec.

Zdawał sobie sprawę, że o dwunastej zacznie się nad nim sąd, i spotkanie z Marcelem w sprawie Bobriukowa było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował. Wieczorem leciał do Wilna na spotkanie z Popowskim i nie mógł tej sprawy zbagatelizować, bo była elementem operacji „Malczyk”. Safir uciekł, ale czeczeńska czwórka Bogajewów była gdzieś w Polsce i mogła planować coś znacznie gorszego niż on.

– O dwunastej wspólny front! – oznajmił Marcel zamiast zwykłego „cześć”.

– Pójdiesz pod prąd? Przeciw swoim? Nie boisz się? – zapytał z grzeczności Konrad.

– Nie ma żadnego „pod prąd”. Jest jedna prawda i ona musi zwyciężyć. Trzeba jej tylko pomóc – wyjaśnił spokojnie Marcel i usiadł w fotelu. – Kawy? – Konrad skinął głową. – Wiadomo, że szef będzie zrzucał całą odpowiedzialność na AW i bronił

Henryka, bo nie ma innego wyjścia. Podobno premier dostał rano furii na wieść, że coś takiego miało miejsce w jego Polsce, i już całkiem was znienawidził. – Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. – Za to ten mały od razu zapowiedział konferencję prasową o totalnym załamaniu się systemu bezpieczeństwa w Polsce, ale to nieważne. Liczy się tylko, że dzięki tobie Sara wyszła z tego cało. Ja to wiem i powiem publicznie na naradzie. A jak się wymknął Safir, to... wstydliva sprawa Henryka i policji.

– To znaczy? – zaciekawił się Konrad.

– Krótko teraz, bo nie mamy czasu. O szczegółach dowiesz się na naradzie. – Marcel podał mu termos z kawą. – Trzymaj się mocno! Policja przesłuchiwała wszystkich mieszkańców i swoich ludzi. Wstępnie wygląda na to, że Safir przedostał się do mieszkania piętro niżej... to pijacka melina... i wyszedł podczas ewakuacji domu.

– Nieprawdopodobne! – Konrad uniósł brwi, po czym zagryzł wargę aż do bólu. – Żarty?

– Nie – zaśmiał się Marcel. – Lepiej. Hamond razem z policjantami wyprowadzał ludzi z budynku. Wyobrażasz sobie? – Obaj wybuchnęli śmiechem. – Razem z policjantem... wyprowadzał pijaka... z meliny. – Konrad trząsał się ze śmiechu i czuł, jak ustępują napięcie i stres. – To nie koniec! – Marcel próbował się powstrzymać i wycierał spływające po policzkach łzy. – Jak... jak prowadzili... tego pijaka... to się wszyscy trzej... wy... wy... wypierdolili na chodniku...

Konrad dostał skurczu żołądka, a Marcel zupełnie się zapowietrzył. Minęła dobra chwila, nim się uspokoili.

– Wiem to od policjantów, info sprzed dziesięciu minut. – Marcel wstrząsały ostatnie spazmy. – Pijacy dopiero co wytrzeźwieli. Henryk jeszcze nie wie. Ani szef. Dowiedzą się na naradzie. Ale będą mieli miny! – zamknął temat, gdy już zupełnie się opanowali. – Teraz Bobriukow, bo czas ucieka.

– Okay! – odparł Konrad i spróbował napić się kawy, ale cały czas myślał, jak zareaguje Sara, kiedy się dowie o brawurowej ucieczce Safira.

– Dobra. – Marcel podszedł do biurka i wziął z niego jakiś

dokument. – O szóstej dziesiątej Witalij Bobriukow przyjechał do ambasady na Belwederską. W parę chwil po przybyciu rezydenta. O siódmej piętnaście wyjechał służbowym volvo i zaczął kręcić się po mieście. Prowadziła go tylko jedna ekipa obserwacyjna, dyżurna. Początkowo wyglądało na to, że ma coś do zrobienia w Warszawie...

– A ruda?

– No właśnie! Nic. Dlatego liczyliśmy, że nigdzie nie wyjedzie, pokręci się po mieście i spokój. Mają nasłuch naszej policji i oglądają telewizję, więc wiedzieli, że mamy problem na głowie i obserwacja jest zajęta...

– Idealny moment na szpiegowską robotę – wtrącił Konrad.

– Może zorientowali się z nasłuchu, że akcja wciąż trwa, i Bobriukow ruszył do miasta. Zresztą w ciągu pół godziny poszło w miasto jeszcze czterech oficerów rezydentury, ale też tylko z dyżurną obserwacją.

– No tak! Korzystali z okazji. Normalka, obsługiwali schowki, materiały...

– Ciągnęliśmy za Bobriukowem z dystansu, bardzo ostrożnie. W końcu koło dziesiątej Witia zakończył trasę, sprawdzanie się, wyjechał na Wisłostradę i dał w gary tak, że tylko smród po nim został.

– Oduściliście?

– A co myślałeś?! – Marcel lekko się oburzył. – Obserwacja to też ludzie!

– Przecież ja nic... wszystko w porządku. Co ty, Marcel? – Konrad rzeczywiście nie miał żadnych uwag.

– Z analizy wynika, że wszyscy pozostali musieli robić za harcowników, żeby przyciągnąć nasze siły i odwrócić od niego uwagę, ale to Witia grał główną rolę. Nie ma wątpliwości. Gdy Bobriukow znikł, cała reszta po półgodzinie wróciła do ambasady. Tak się sprawy mają – zakończył Marcel i spojrzał na Konrada.

– As Miszy Popowskiego wyjechał z Warszawy na jakąś ostrą robotę. Jak nic! Urwał się obserwacji i wiedział o tym. – Konrad zastanowił się przez chwilę. – I to krótko przed moim spotkaniem z Miszą w Wilnie. Nie sądzisz, że to dziwne?

- Otóż to! I co więcej, sędzę, że Bobriukow nie jest przynętą.
- Chyba masz rację. Ale jeżeli tak, to czym jest? Coś tu nie pasuje...
- A może tu wcale nie chodzi o nas, Polaków? Może z kimś innym bawią się w chowanego? Nie pomyślałeś?

Rana krwawiła obficie i Jack czuł, że jeśli natychmiast nie zatamuje upływu, to straci przytomność. To było więcej niż pewne, a do zapasowego mieszkania w Danderydzie miał kilkanaście kilometrów. Dzięki adrenalinie, którą produkował stres, jeszcze się trzymał, ale było oczywiste, że w tym stanie nie dojedzie. Zasląbnie, wezmą go gołymi rękami i wtedy wszystko pójdzie na marne. Co gorsza, zawiedzie Conora i towarzyszy, których dotąd nigdy nie zawiódł. O wstydzie nawet nie wspominając.

Musiał zaryzykować i improwizować. Przede wszystkim należało się pozbyć postrzelanego i zakrwawionego samochodu, który stał się najbardziej poszukiwanym pojazdem w Szwecji. Dlatego Jack zrobił rundę wokół osiedla Viksjö i pojechał na znany mu dobrze leśny parking opodal przystani jachtowej. Od miejsca, gdzie doszło do strzelaniny, dzieliło go w linii prostej mniej niż pięćset metrów gęstego lasu, ale na szczęście nie było bezpośredniego dojazdu. Przy takich przystaniach zawsze stały w nocy samochody ludzi, którzy wypłynęli. Można było coś sobie wypożyczyć i mieć nadzieję, że właściciel nie zorientuje się od razu i nie zawiadomi policji.

Wjechał na pusty parking. Rozejrzał się i wybrał gęste krzaki na poboczu. Samochód bez trudu się w nie wtoczył i znikł w gąszczu zieleni.

Jack wyjął z bagażnika swoją torbę i apteczkę samochodową, po czym stromym kamienistym zboczem zszedł nad jezioro. Usiadł na wielkim granitowym głazie, ściągnął buty i zamoczył nogi w wodzie. Ostrożnie zdjął zakrwawioną koszulę. Wyjął sprężynowy nóż i odciął czysty prawy rękaw. Samą koszulę zmoczył w wodzie i obmył rękę i brzuch. Z niedużej okrągłej rany spokojnie wypływała krew i widać było, że tętnica jest nienaruszona. Jednak silny ból i drętwienie ręki wskazywały, że musiał zostać uszkodzony jakiś ważny nerw. Mimo to była szansa, że obejdzie się bez szpitala. Jack O'Brien, jak przystało na żołnierza IRA, potrafił sobie radzić w takich sytuacjach.

Z apteczki wyjął środek dezynfekujący i oczyścił ranę. Zrobił

solidny opatrunek, dodatkowo zawiązując mocno ranę czystym odciętym rękawem, na wypadek gdyby krew przesiąkła. Od razu poczuł się lepiej. Przemył twarz i ręce. Zmoczywszy włosy, zaczesał je rękami do tyłu. Wyjął z torby niebieski sweter i z trudem wciągnął go przez głowę.

Ramię zaczęło boleć jeszcze bardziej niż poprzednio. Z walthera wyjął magazynek i stwierdził, że jest pusty. Nie miał czasu go doładowywać, więc założył drugi, który znalazł w torbie. Podniósł się i na moment pociemniało mu w oczach, ale zaraz doszedł do siebie i ścieżką nad brzegiem ruszył w kierunku portu.

Na parkingu stało kilkanaście samochodów. Wokół panowała kompletna cisza. W szarym półmroku słychać było tylko pluskającą o brzeg i burty łodzi wodę jeziora Melar.

Jack wybrał skodę fabię, bo nie miał ani siły, ani czasu na łamanie zabezpieczeń saaba czy audi. Skoda odpaliła bez problemów i wyjechał z parkingu. Na razie sprawy szły w dobrym kierunku, ale to dopiero początek drogi. Teraz musiał się dostać do Danderydu i zdobyć żywność na parę dni, a także lekarstwa. Ukryć się, aż przycichnie pościg, przyjedzie łącznik Al-Kaidy i zakończy się sprawa z Koreańczykami. Potem Gallagher załatwi jego ewakuację ze Szwecji. W sumie miał się o co martwić.

Leśnymi drogami przedarł się na zachód do nabrzeżnej Kyrkhamnsvägen i dalej do osiedla Hässelby. Ruch był niewielki. Do Danderydu postanowił dotrzeć trasą okrężną przez Sztokholm. Wjechał na przelotową Lövestavägen i od razu natknął się na radiowóz policyjny na poboczu. Jeden funkcjonariusz stał na zewnątrz, a drugi siedział w kabinie. Jack zwolnił przepisowo. Gdy był już kilkanaście metrów od policjanta, z uśmiechem skinął mu głową. Walther leżał pod gazetą na siedzeniu obok.

Policjant nawet nie zwrócił uwagi na uśmiechniętego kierowcę skody i wpatrywał się w głąb drogi. Od razu było widać, że poszukują określonego samochodu i mężczyzny o niepełnym rysopisie. Teraz Jack nie miał już wątpliwości, że obława jest jeszcze dziurawa i że powinien się spieszyć, zanim zewrą

szeregi i zacisną pętlę.

Dotarł do Danderydu w ciągu dwudziestu pięciu minut i zdążył jeszcze zrobić zakupy na stacji benzynowej. Samochód zostawił na parkingu przed szpitalem, rozlał wewnątrz płyn do czyszczenia silników i przejściem podziemnym przeszedł na drugą stronę trasy E18. Do mieszkania na Alpstigen miał już blisko.

Włożył zakupy do lodówki i w ubraniu wyciągnął się na łóżku, zrzucił tylko buty. Walthera wsunął pod poduszkę. Budzenie nastawił na ósmą rano, czyli zanim Conor Gallagher zasiądzie z gazetą w The Oval Bar na Middle Abbey 78 i położy na stoliku „An Phoblacht”.

Jack O'Brien wiedział, że o tym, co się stało w Sztokholmie, powinien natychmiast poinformować Conniego, ale teraz musiał się przede wszystkim wyspać.

Nim zasnął, usłyszał jeszcze gdzieś w oddali ochryply, wściekły głos Conora: *Jack, fuck! You scutterin' gobshite...*

Zaraz po przyjeździe do Mrągowa Jagan i Batyszkin – zgodnie z poleceniem Popowskiego – w niespełna trzy godziny wyznaczili i przygotowali miejsce odbioru przesyłki od Bobriukowa. Miała to być sztywna walizka rozmiaru midi, jaką można kupić w każdym domu towarowym. Odpowiednia dokumentacja została przekazana drogą elektroniczną do Jaseniewa, a stamtąd do rezydentury SWZ w Warszawie.

Według zestawienia, które otrzymali z Moskwy, wewnątrz miały być dwa dziewięćmilimetrowe amerykańskie pistolety maszynowe Ingram M10 z tłumikami, spory zapas amunicji, parabellum, kominiarki oraz dwa noktowizory.

Jagan był bardzo zadowolony z zestawu, bo M10 z tłumikiem to dobra broń do rozwalki z krótkiego dystansu. Wypluwał z siebie tysiąc sto czterdzieści pięć pocisków na minutę, a to mówiło samo za siebie. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że za chwilę przyjdzie rozkaz rozwalenia Bogajewów. M10 służył dokładnie do tego celu, nie do jakiegoś celowania i zabawy w ręce do góry. Seria z bliska w kilka sekund zamieniała duże bmw razem z pasażerami w durszlak. I tak miało się stać z Bogajewami.

Ta myśl napełniała go radością, której jednak nie potrafił z siebie wydobyć we właściwej formie, więc chodził pobudzony, w naiwnej euforii, gadał od rzeczy i ogólnie nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Z Gieną Batyszkinem było dokładnie odwrotnie. Odkąd Jagan uzmysłowił mu, do czego służy M10, stał się jeszcze bardziej posepny i podenerwowany. Wyglądało to tak, jakby wszystkie jego bohaterskie opowieści z Bałkanów były zwykłym blefem, a jego etos pustym frazesem, bo teraz w obliczu ostrej roboty wyraźnie panikował i trząsł portkami. Tak go ocenił Jagan i wiedział już, że Giena nigdy nie będzie jego partnerem jak Tatar czy Jura, bo faceci z wywiadu to mięczaki i cioty.

Jasne też było, że znowu cała robota spadnie na niego, i nawet był z tego zadowolony. Giena jako dowódca z pewnością doprowadziłby do jakiegoś nieszczęścia i sam sobie zaszkodził.

Bo przecież nie jemu. Dramatyczny los Tatara i Jury nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Po skończonej robocie wzięli dwa pokoje w hotelu Panoramic-Oscar nad jeziorem Czos. Zameldowali się jako Litwini, Vytautas Bačiulis i Andrius Rindokas, biznesmeni z Kowna. Na pograniczu rosyjsko-polsko-litewskim legendę mieli idealną. Już same numery rejestracyjne zapewniały im bezpieczeństwo. Wokół było mnóstwo podobnych.

Jagan obszedł cały hotel i z zadowoleniem stwierdził, że na miejscu jest wszystko, czego potrzebuje, czyli dobrze wyposażony klub fitness i bar. Piękne położenie na wysokiej skarpie nie zrobiło na nim większego wrażenia – był już przecież w Szwecji i Finlandii – ale różnokolorowy las żagłówek na jeziorze stwarzał idylliczny nastrój.

W barze wypił dwie szybkie wódki. Spodobało mu się, że barman mówił po rosyjsku. Zza szyby samochodu i po oględzinach hotelu Polska wydała mu się całkiem przyjemna. Dziwiło go tylko, dlaczego wspiera terrorystów, ale rozwikłanie tego problemu zostawił sobie na później, do rozmowy z Popowskim, który wiedział wszystko o Polsce i powinien mu to objaśnić.

Była dziewiętnasta jednaście, gdy poszedł do pokoju Batyszkina. O wpół do ósmej mieli iść na kolację do hotelowej restauracji.

Drzwi do pokoju były zamknięte. Jagan nie miał w zwyczaju pukać, bo jak by to wyglądało, gdyby żołnierz rosyjskiego specnazu pukał, zanim wejdzie! Zawsze wchodził tam, gdzie chciał, i nie musiał nikogo pytać o pozwolenie. Mocniej nacisnął klamkę, ale drzwi nadal stawały opór.

– Jesteś tam? Giena? – zapytał wystarczająco głośno, by Batyszkin mógł go usłyszeć, i przyłożył dłoń i ucho do drzwi. – Otwieraj!

Od razu się zorientował, że Giena jest w środku, i po chwili usłyszał, że z kimś rozmawia. Drugą osobę wyczułby przez ścianę, a co dopiero przez cienkie drzwi! Przywarł więc do nich całym ciałem i zaczął się wsłuchiwać. Nie mógł zrozumieć ani słowa, ale był pewny, że Giena mówi szeptem i jest wyraźnie

zdenerwowany. Po chwili zdał sobie sprawę, że słyszy go rozmawiającego przez telefon po raz pierwszy od wyjazdu z Rosji.

– Coś ty taki nerwowy? – oznajmił ślamazarnie Batyszkin, otwierając drzwi. – Pali się czy co? Wysrać się człowiekowi nie dasz...

– Głodny jestem. Idziemy?

Jagan wszedł do pokoju i zaczął się rozglądać. Na stoliku stał otwarty laptop, a obok leżał telefon komórkowy, i to wcale nie ten, który widział u Giény w Wilnie.

– Odleję się – oświadczył i poszedł do łazienki.

Kiedy tylko tam wszedł, był już pewny, że Batyszkin coś przed nim ukrywa. Nikt w ciągu pół minuty nie zatrze śladów w kiblu. Nos i oko rosyjskiego żołnierza były w tym względzie niezawodne.

Postanowił zdwoić czujność i zaczął się zastanawiać, czy właściwie nie powinien jakoś pozbyć się partnera i samemu dokończyć sprawę. Jednak to Giena dysponował laptopem i wszystkimi potrzebnymi informacjami. Także tą, jak po rozwaleniu Bogajewów mają się przedostać do Kaliningradu.

Wot bladź kakaja! – pomyślał, wychodząc z łazienki i widząc Batyszkiną pochylonego nad komputerem. Co on kombinuje? *Sobaka!*

– Bogajewowie mieszkają w wynajętym domku na ulicy Sosnowej 15A – oświadczył Giena spokojnym tonem.

– Pokaż! – Jagan podniósł głos i natychmiast podszedł do stolika. – Gdzie? Pokaż!

Pod jego naporem Batyszkin usunął się nieco na bok i pokazał palcem na zdjęciu satelitarnym pulsujący niebieski punkcik.

– To jest za miastem. – Jagan przyjrzał się uważniej. – Dobrze, bardzo dobrze! Bałem się, że mieszkają w jakimś bloku. Byłby problem, a tak... – urwał i z zadowoleniem pokręcił głową. – Powinno pójść łatwo. M10 zburzy chałupę w minutę. Trrrrr... – Zrobił gest, jakby strzelał z automatu.

– Idź i zjedz coś. Ja jeszcze popracuję – niespodziewanie zaproponował Giena. – Wieczorem, jak się ściemni, pojedziemy obejrzeć ten dom...

– A co to ja pies jakiś jestem, że mam iść do koryta?! – oburzył się Jagan. – Sam mam wpierdzielać?! Jak zwierzę jakie? Ludzie to kulturalny naród i jedzą razem... jak mogą. Nie?! Chodź, Giena... chodź...

Jego oburzenie było jednak udawane. Chciał sprawdzić, jak mocno Batyszkin będzie się opierał, co mogło świadczyć o sile jego zdradliwych knowań.

Ten jednak dał się przekonać nadspodziewanie chętnie i tym samym namieszał Jaganowi w jego koncepcji zdrady.

– Oczywiście! – odparł. – Też jestem głodny, ale nie wiedziałem, że zawodnicy ze specnazu to taki kulturalny i wrażliwi naród. Macie jakieś nowe szkolenia z savoir vivre’u? A ciamkać i siorbać to jeszcze możecie?

– My się ciągle szkolimy – odpowiedział z pełną powagą Jagan.

Zeszli do restauracji. Jagan był tu już wcześniej i bardzo mu się spodobał jej antyczny wystrój i obfita zieleń. Gości było niewielu i większość siedziała przy stolikach pod oknem i na zewnątrz. Jagan i Giena zajęli miejsca po lewej stronie sali, gdzie nie było nikogo.

Kelner podszedł niemal natychmiast. Zamówili butelkę wódki, dwie cole i wykupili bufet.

Jagan wziął sobie na początek talerz rosółu i trzy kromki chleba. Choć rosół nie był gorący, Jagan za każdą łyżką siorbał i przegryzał chlebem. Gienie wcale by to nie przeszkadzało, gdyby nie zaciekawione spojrzenia innych gości. Zwrócił mu uwagę, ale Jagan, nisko pochylony nad talerzem, wyglądał, jakby był w jakimś transie, i wcale nie reagował. Jadł szybko, więc Batyszkin postanowił już mu nie przeszkadzać, bo mógłby być niebezpieczny i ugryźć. Przypomniało mu się, jak jeszcze przed chwilą w pokoju na górze Jagan protestował, że nie będzie jadł sam jak pies, i zrobiło mu się wesoło, pierwszy raz od dłuższego czasu.

Zupa i chleb znikły, nim na stole pojawiła się butelka i kieliszki. W ciągu paru minut rozpili połowę i byli gotowi do kolacji. Oczekali chwilę, aż goście odeszli od bufetu, i samotnie ruszyli do szturmu.

Giena nałożył sobie ogromną porcję sałatki warzywnej i polał ją obficie sosem winegret. Jagan położył sobie na jednym talerzu dwa kotlety i górę kartofli na drugim.

– Co ty? Koza jesteś, że trawę jesz? – Skomentował talerz Gieny. – Trzeba jeść mięso, żeby mieć siłę i sprawnie myśleć – dodał z pełnym przekonaniem. – Czekaj nas ostra robota.

Jagan zawsze lubił mięso, ale odkąd na plecach przybył mu smok, nabral na nie jeszcze większego apetytu. Śniło mu się często, jak pożera wielki, świeży, krwisty kawał i wraz z każdym kęsem jego smok nabiera coraz większej siły, sprężystości, bezwzględności i waleczności, a on staje się taki wraz z nim. Miał wrażenie, jakby karmił oswojoną bestię.

Potem budził się rano wspaniale wypoczęty i zadowolony jak nigdy wcześniej. Gotów na każde wyzwanie.

Cóż więc taki Giena, który je kozią paszę, może wiedzieć o życiu prawdziwych drapieźników? – pomyślał i ze wstrętem obserwował, jak jego partner wypycha sobie zieleninę do ust.

Do bufetu dochodzili jeszcze po dwa razy i każdy brał to samo, chociaż wybór był większy. Skończyli wódkę i ustalili zgodnie, że następną butelkę sobie odpuszczają, bo mają jeszcze robotę na Sosnowej 15A i muszą zachować pełną sprawność.

Była za piętnaście dziewiąta. Postanowili poczekać, aż zacznie się zmierzchać, i dopiero wtedy zamówić taksówkę. Wzięli jeszcze po piwie i w milczeniu obserwowali otoczenie. Giena miał przed sobą salę i widok na oszklony taras, Jagan zaś z prawej bufet i bar po drugiej stronie schodów.

– W barze siedzi dwóch podejrzanych facetów – wyszeptał i pociągnął łyk piwa. – Jeden wyraźnie ma na nas oko. Coś tu śmierdzi. Nie podoba mi się to.

– Niemożliwe. Masz omamy...

– Co?

– Wydaje ci się. Jak jechaliśmy, cały czas kontrolowałem drogę i nie mieliśmy żadnego ogona...

– To co? Pedaly jakież?

– Słuchaj, Jagan. – Giena uniósł lekko głos. – Ty zajmij się tym, co do ciebie należy. Przygotuj się na jutro, idź gdzieś na strzelnicę albo do siłowni, znajdź sobie jakąś dupę i odpierdol

się od roboty operacyjnej. Pogięło cię?

– No to obejrzyj się za siebie. – Jagan nie tracił rezonu. – Ten z prawej... no...

Giena z rezygnacją pokręcił głową i spojrzał na Jagana, jakby chciał mu dać do zrozumienia, by przestał się w końcu interesować facetami przy barze.

– Nie gap się na nich! – wyrzucił z siebie. – To może być ochrona hotelowa i niepotrzebnie zwracasz ich uwagę. Nigdy nie wolno pokazywać, że się boisz! *Poniał, pacan?*

Wstał ociężale od stołu, poprawił spodnie i poruszył parę razy głową, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze się trzyma.

– Idę do kibla! – zakomunikował wystarczająco głośno, żeby było go słychać przy barze, i ruszył leniwie w kierunku schodów.

Dwaj trzydziestokilkuletni mężczyźni siedzieli plecami do sali. Jeden, z zarzuconym na ramiona swetrem typu cricket, trzymał przed sobą szklankę piwa, drugi, z okularami słonecznymi na czole, wodę mineralną z cytryną. Nie rozmawiali, tylko chrupali orzeszki i patrzyli w barowe lustro. Wyglądali jak znudzeni mężowie, którzy czekają na żony zajęte trudnym wyborem kreacji na wieczór.

Wspiął się pięć stopni na podwyższenie, na którym był bar, i widział teraz obu mężczyzn z prawej strony. Gdy zaczął wchodzić na schody, spojrzał najpierw na Jagana, który obserwował go z dziwnym wyrazem twarzy, a następnie na mężczyznę ze swetrem, siedzącego bliżej. I on, i jego towarzyszy wciąż trwali w tej samej pozycji, przygarbieni jak górnicy po szychcie w jakimś pubie na przedmieściach Swansea.

W chwili gdy wszedł w ich pole widzenia, mężczyzna z piwem nieznacznie obrócił głowę w jego stronę. Ich spojrzenia niespodziewanie spotkały się w pół drogi i zastygły na ułamek sekundy. Giena odruchowo i trochę prowokacyjnie puścił do niego oko, a nieznajomy odpowiedział ledwo dostrzegalnym uśmiechem, po czym ich spojrzenia rozjechały się tak szybko, jak się spotkały.

W sali przybyło kilku gości, a Giena wciąż nie wracał. Minęło dwanaście minut, odkąd poszedł do toalety, i dziewięć od

wyjścia obu mężczyzn. Ich miejsca zajęli jacyś Rosjanie. Jagan nie miał przy sobie pieniędzy, żeby zapłacić za rachunek, nie mógł więc wyjść i sprawdzić, gdzie jest Batyszkin. Teraz było już oczywiste, że jego wcześniejsze podejrzenia nie miały sensu, bo jaka obserwacja wychodziłaby za figurantem dopiero po trzech minutach i na dodatek zostawiała drugiego bez nadzoru? Ale zniknięcie Batyszkina zaczęło go niepokoić. Nawet smoka przeszedł dreszcz. Gieną oczywiście nie przejmował się wcale. Problem był w tym, że to on miał laptopa ze wszystkimi informacjami o Bogajewach i znał szczegóły przejścia broni od Bobriukowa. Z czeczeńskim skorpionem można by oczywiście spróbować, ale to nie to co M10.

Po chwili jednak zdał sobie sprawę z bezsensu tych obaw, bo niby dlaczego Batyszkin miałby zniknąć? I to akurat teraz.

– Już prawie ciemno – usłyszał za sobą głos. – Zaraz jedziemy.

– Giena usiadł i dopił swoje piwo. – Zamówiłem już taksówkę.

– Gdzie byłeś? – zainteresował się Jagan.

– W kiblu.

– A jak wszedłeś, że cię nie widziałem?

– Od tarasu. A co? W czymś problem?

– No... nie... właściwie to nie...

Jagan był wyraźnie zdezorientowany, że tak łatwo dał się zejść od tyłu. Przez moment mu się zdawało, że stoi w rwącym górskim strumieniu i widzi Rustama siedzącego w kucki, jak mierzy do niego z automatu.

Dziwny ten Batyszkin, kurczę! – pomyślał i poczuł, jak zadrżał smok. Ciągle mnie ostatnio zaskakuje. Nooo... trzeba na niego uważać.

Giena czekał w taksówce, a Jagan poszedł jeszcze do swojego pokoju po lornetkę Pentax DCF, którą zawsze ze sobą woził. Penetracja domu Bogajewów bez lornetki nie miałaby sensu. Przez moment pomyślał nawet, że mógłby skoczyć jeszcze do samochodu i wziąć skorpiona, ale zrezygnował.

Mrukliwy taksówkarz dowiózł ich w kilka minut do śródmieścia. Wysiedli na ulicy Warszawskiej pod budynkiem Centrum Informacji Turystycznej. Zrobiło się chłodno i Jagan postawił kołnierz kurtki. Rozejrzał się wokół i uznał, że jest tu

ładnie, a neoklasycyzy fronton sprawia znajome wrażenie. Giena przez moment sprawdzał coś w GPS, po chwili podniósł palec i bez słowa wskazał Jaganowi kierunek.

Ruszyli w prawo szeroką, zatopioną w zieleni ulicą Marii Skłodowskiej-Curie. Giena szedł po lewej stronie jezdni, a Jagan po prawej siedemnaście metrów za nim, tak by cały czas mieć go w polu widzenia i obserwować otoczenie. Minęli parking przed sklepem Lidla. Było stosunkowo pusto, niewielu przechodniów, żadnego ruchu, tylko gdzieś w oddali widać było migające na poboczu żółte światła awaryjne jakiegoś samochodu. Przeszli już prawie pół kilometra. Rzadko rozstawione latarnie rzucały sodowe światło, tworząc co kilkadziesiąt metrów coś na kształt pustej sceny teatralnej.

Z posesji po prawej wyjechały na rowerach dwie dziewczynki, przecięły Jaganowi drogę i znikły w zaułku po drugiej stronie ulicy. Na przystanku autobusowym siedzieli na ziemi chłopak i dziewczyna, obok nich stały pękate plecaki. Oboje rozmawiali przez komórki. Chłopak spojrzał na Jagana obojętnie i pociągnął piwo z butelki.

To był wyjątkowo spokojny dzień w Mrągowie i Jagan czuł to całym sobą. Batyszkina szedł po drugiej stronie ulicy i nawet nie próbował się kontrolować, bo też był pewny, że są czysti. Gdyby jakieś zagrożenie czaiło się w pobliżu, z tyłu za ich plecami, gdzieś w bocznych uliczkach, w jakimś samochodzie, Jagan wyczułby to natychmiast. Ale teraz nie czuł zupełnie nic i to było dziwne, bo w żadnym stopniu nie pasowało do niepokoju, jaki wyzwalala w nim świadomość bliskiego spotkania z Bogajewami. Chwilami mu się wydawało, że zaraz zacznie biec, by jak najszybciej się znaleźć na Sosnowej 15A, a tymczasem nogi sunęły po chodniku, jakby je odlano z ołowiu, a powietrze było gęstsze od wody. Zaciskał pięści w kieszeniach i miał szczękościsk. Jak długo walczy, jeszcze tak się nie czuł i to było całkiem miłe doznanie. Przez moment pomyślał nawet, że po śmierci Bogajewów będzie mu tego brakowało. Dziesięcioletnia pogoń dobiega końca i wraz z nimi zniknie też kawałek jego duszy. I to się stanie już jutro.

Wyjął z kieszeni swojego iPhone'a, wbił kod i otworzył

aplikację Zdjęcia. Na ekranie pokazała się podobizna Aminy przeniesiona z jej karty imigranckiej. Szedł i wpatrywał się w ekran. Potem przeczucił palcem na Rustama i Szamila-Asłana. Przez moment odpłynął w myślach do jutrzejszego dnia. Poczuł nie tylko drżenie smoka na plecach, lecz także silne męskie podniecenie. Aż się zdziwił, bo w takiej sytuacji nigdy wcześniej mu się to nie przytrafiło. Szybko wyłączył telefon, bo obawiał się, że na samym podnieceniu może się nie skończyć.

Dotarli do wiaduktu kolejowego. Stąd mieli już tylko trzysta dwadzieścia metrów do domu, w którym mieszkali Bogajewowie. Teraz, zgodnie z planem, rozdzielili się. Mieli się spotkać w tym samym miejscu za piętnaście minut.

To było osiedle domków jednorodzinnych. Dom numer 15A stał na tyle posesji numer 15, oddalony od asfaltowej drogi o czterdzieści osiem metrów. Jagan bezbłędnie ocenił odległość. Parterowy drewniano-ceglany domek wyglądał jak przerobiona poniemiecka stodółka. Prowadziła do niego wąska droga między płotami dwóch posesji. Z obu stron zasłaniały go wysokie drzewa i był ledwie widoczny z drogi.

Jagan przeszedł dalej i przystanął. Splunął przez zęby i zaczął się rozglądać za Gieną. Zauważył go, jak stoi sto pięć metrów dalej w cieniu drzewa u wylotu ulicy. Wyjął lornetkę.

– Co jest? – powiedział na głos zaskoczony. – Rozmawia przez telefon? Bładź! Nooo... rozmawia! Z kim, bładź, z kim? – Był mocno poruszony tym odkryciem. – Pogadamy później – rzucił do siebie. – Teraz mam ważniejsze sprawę na głowie.

Z drogi głównej skręcił w Sosnową samochód i oświetlił Batyszkina, który natychmiast się cofnął i schował telefon. Jagan był mocno zdenerwowany, bo podejrzane zachowanie Gieny wyprowadzało go z równowagi, a teraz powinien być skupiony, żeby wykonać zadanie. Położenie domu wcale mu tego nie ułatwiało i musiał się szybko zastanowić, jak to zrobić.

Przeszedł na drugą stronę, bliżej drogi dojazdowej do domu, i gwałtownie odskoczył do tyłu. Na siatkę skoczył wielki kudłaty sznaucer i zaczął głośno ujadać. W tej samej chwili, jak na komendę, odezwały się wszystkie okoliczne psy. Jagan

nienawidził psów. Może dlatego, że tylko one potrafiły lepiej od niego wyczuć niebezpieczeństwo.

Wrócił natychmiast na drugą stronę i schował się za drzewem. Psy wciąż szczekały.

– Tego jeszcze brakowało! – powiedział cicho. – Sobaki pierdolone! Gorzej, bladź, nie mogło być! Polaki szarpane, żeby was te psy pierdolone zeżarły i wysrały na tym polu... Na chuj wam tyle tych psów obsranych! Schronisko jakieś czy co? – mówił przez zaciśnięte zęby. – Powystrzelam ten zwierzyniec! Jak mi Bóg miły, w imieniu Matuszki Rossii! Ani jednego nie zostawię! Wypatroszę... Żeby was pogryzły jak tego... Mahometa, to wam przejdzie ta miłość...

Kątem oka dostrzegł zbliżającego się Gienę. Psy już się trochę uspokoily.

– Co się dzieje? – zapytał Batyszkin.

– Co? Bladź! Nie słyszysz? – Zrobił głową ruch, jakby chciał uderzyć o pień drzewa. – Słyszysz te suki?

– Słyszę.

– Co proponujesz, dowódco? Jak się tam dostaniemy? Z drugiej strony jest tak samo albo jeszcze gorzej. Sprawdziłem.

– Kupimy jakiegoś mięsa i je przekupimy albo... otrujemy?

– *Gospodi!* – Jagan uniósł wzrok. – Otrujemy... oczywiście! – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Ech... szpiedzy!

– A który to dom?

– Ten... tam... – wskazał palcem.

– Nie-do-brze – wysylabizował Giena. – Nawet nie wiemy, czy oni tam są, co?

– Pewnie, że nie wiemy – odparł Jagan i wyjął lornetkę. Psy przestały szczekać, tylko jeden cienko ujadł na końcu ulicy. – Stul pysk! – rzucił i zaczął obserwować dom Bogajewów.

– No i co? – zapytał po chwili Giena.

– Niewiele widać. Drugi dom zasłania. I drzewo. Krzaki... – Jagan nie odrywał oczu od lornetki. – Ale... pali się tam światło... to chyba są... Wygląda jak jakaś obora... W sam raz dla Ciechów... Muszą tam być.

Pies ucichł. Batyszkin westchnął głęboko i zaczął się rozglądać.

Z posesji po lewej, trzydzieści metrów dalej, wyjechał samochód i stanął na jezdni. Kierowca wysiadł i wrócił zamknąć bramę, która zaskrzypiała, aż poniosło się po całej ulicy. Batyszkin i Jagan cofnęli się głębiej i skryli w krzakach.

– Co sądzisz? – wyszeptał Giena. – Nie damy rady?

– Gdzie dzwoniłeś?

– Co? – zapytał Batyszkin zaskoczony. – O czym ty mówisz?

– Widziałem, jak dzwoniłeś osiem minut temu.

– Nigdzie nie dzwoniłem – odparł zdecydowanie Giena i zamilkł. Po chwili dodał: – A gdybym nawet dzwonił, to nie muszę prosić cię o zgodę. Nie twoja sprawa. Zrozumiałeś?! – Szturchnął go mocno łokciem w bok. – Odpowiadaj na moje pytania. Rezygnujemy? Tak mam napisać do Miszy? Że rezygnujemy? Nie ma warunków...

– Co ty? Psów się boisz? – odparł Jagan. – Odwaliło ci? Nie ma takiego zadania, którego nie wykonałby żołnierz oddziału Gamma. Jasne, że nie rezygnujemy! – Spojrzał na Batyszkiną. – Tylko wytrujemy te psy – dodał z wyraźną ironią.

Giena znów ciężko westchnął.

– Wracamy! – zarządził i wyszedł z krzaków.

– Odbierzemy jutro broń od tej panienki z Warszawy i do boju! – rzucił zdecydowanie Jagan i pomyślał, że Giena śmierdzi tchórzem i próbuje się wyślizgać z roboty. – Ja ich jutro załatwię! A ty słuchaj się mnie, to dobrze na tym wyjdiesz – dorzucił z satysfakcją.

...z życiem! – dodał w duchu.

– Muszę się napić – stwierdził Giena.

– Chodź. Powiem ci, jak ich załatwimy. To proste.

– Nie ma jeszcze rozkazu... i może nie będzie, nie spiesz się tak.

Dotarli do ulicy Olsztyńskiej i skręcili w prawo. Szli razem, bez ubezpieczenia, w milczeniu. Na drodze był większy ruch niż poprzednio i zaczynało lekko mżyć, ale nawet tego nie zauważyli.

Jagan kombinował intensywnie, w jaki sposób uderzyć na Bogajewów, bo wbrew temu, co sugerował Gienie, nie miał żadnego planu, ale też nie zamierzał Czeczenom odpuścić. To

nie wchodziło w grę, choćby miał zginąć razem z Batyszkinem i spalić pół Mrągowa. I nie przeszkodzą mu w tym żadne polskie psy!

Batyszkin, przeciwnie, wcale nie myślał o Bogajewach, tylko o dwóch mężczyznach, których widział w hotelowym barze.

Następnego dnia do Mrągowa miał przyjechać Witalij Bobriukow i przywieźć broń.

Rozpoczęcie narady w pokoju konferencyjnym szefa ABW opóźniało się już ponad dwadzieścia minut. Brakowało samego szefa, policjantów i Henryka. Marcel i Konrad stali przy oknie i zgodnie uznali, że musiało coś się stać, skoro nikt nie odwołuje narady. Reprezentujący AW dyrektor Klocek Lego siedział w kącie i rozmawiał przez telefon, zasłaniając dłonią usta, jakby się bał, że ktoś zechce go podsłuchiwać, i z niepokojem rozglądał się po sali.

Dokładnie o dwunastej trzydzieści otworzyły się drzwi i bojowym krokiem wszedł Henryk. Podeszedł do Konrada i Marcela, włożył ręce do kieszeni, zrobił nadętą minę i przez chwilę kołysał się na piętach, jakby szukał tego pierwszego, właściwego słowa, od którego powinien zacząć.

Zacznie od ja „pierdoleń” – pomyślał Konrad.

Zacznie od „kurwa” – pomyślał Marcel i nie pomylił się, bo znał Henryka lepiej.

– Nooo... ku... – jak na złość nie dokończył. – Nie jest dobrze, panowie, mamy kłopoty. Szef pojechał do premiera, a to nie wróży nic dobrego, jak wiadomo. Premier nie lubi kłopotów... uff... – wypuścił głośno powietrze. – Panowie! Karol Hamond się odnalazł

– Gdzie?! – wykrzyknęli niemal równocześnie, aż nawet Kostek się ocknął i wyłączył telefon. – Gdzie jest? Mamy go? – pytali na zmianę.

– Karol Hamond zabił policjanta pod Szczytnem – oznajmił Henryk i wszyscy zamilkli. – I zbiegł – dodał po chwili.

– Jak? Co się stało? – zapytał wyraźnie zaskoczony Konrad. – Powiedz! W jakich okolicznościach?

– Policjanci zatrzymali furgonetkę do rutynowej kontroli, a on otworzył wtedy tylne drzwi i rzucił pod radiowóz granat. Zginął policjant, który był w środku, a jeden jest lekko ranny odłamkiem. Ten skurwysyn zbiegł! – Henryk z niedowierzaniem pokręcił głową. – Nie darują mu! Są wściekli, za to... no... wczoraj, jak ich... – zawiesił głos – rozumiecie... a w dodatku to był chłopak ze szkoły w Szczytnie.

Jak Hamonda dopadną, to go żywcem obedną ze skóry. Nie chciałbym być na jego miejscu...

– Nie wezmą go żywego – z przekonaniem odparł Konrad. – Zginą jeszcze ludzie.

– Pół Polski jest blokowana, a w warmińsko-mazurskim to chyba nawet ścieżki leśne. Całe Szczytno ruszyło w pole szukać tego zbója... Teraz to sprawa policji, my tylko będziemy ich wspierać. – Henryk popatrzył Konradowi w oczy. – Przepraszam za wczoraj. – Wyciągnął rękę. – Właściwie... to ty uratowałeś Sarę.

– W porządku. – Konrad uścisnął mu dłoń. – My! – dodał z lekkim uśmiechem.

– Możecie wracać. Narady nie będzie... będzie konferencja prasowa szefa, jak tylko wyjdzie od premiera. Pani Justyna już szaleje! – rzucił ze zwyczajną dla siebie niezręcznością. – Może byś z nią pogadał albo...

– Czekać! – wykrzyknął Konrad, aż wszyscy zamarli i ze zdziwieniem zobaczyli, że jego twarz powoli zaczyna się rozpromieniać. – Znajdziemy go!

– To znaczy...

– M-Irek mieli dzisiaj zacząć czesać Warszawę z helikoptera w poszukiwaniu sygnału z beacons, który Hamond ma w kaburze pistoletu...

– No i? – zapytał Marcel.

– Dawać ich mi gitem... – odezwał się podniecony Henryk i od razu wyjął telefon.

– Beacon sieje w promieniu pięciu kilometrów – odparł Konrad i też wyjął telefon. – W odkrytym terenie jest wyjątkowo dobrze czytelny. Mamy szansę, tylko trzeba się spieszyć i natychmiast przerzucić moich ludzi do Szczytna.

– Skąd może ich zabrać helikopter? – zapytał Henryk z telefonem przy uchu.

– Z parkingu nad torami przy Centralnym. Za dziesięć minut.

– Świetnie! – odparł Henryk i zaczął z kimś rozmawiać. – Staszek, dawaj mi zaraz helikopter...

Nim Konrad wrócił na dwudzieste piętro i usiadł w swoim fotelu, M-Irek lecieli już helikopterem Bell 206B-3 w kierunku

Szczytna. Była trzynasta czterdzieści i do wylotu do Wilna zostało równo dziewięć godzin. W biurze panowała dziwna cisza. Jak po burzy, która w nocy zaatakowała Warszawę i pozwoliła zbiec Safirowi.

Ewa siedziała w sekretariacie nad czymś pochylona, Lutek czyścił broń w zbrojowni na Miłobędzkiej, pokój M-Irka był pusty. Ale najgorsza była nieobecność Sary. Konrad miał gonitwę myśli, kompletny mętlik, i nie wiedział, gdzie jest początek, a gdzie koniec spraw, które przygniotły go w ostatnich dniach.

Zastanawiał się, czy powinien najpierw do niej zadzwonić i powiedzieć, że Safir znów zabił człowieka, a teraz kryje się gdzieś na Mazurach, ścigany przez połowę polskiej policji, czy też zająć się czymś innym.

Otworzył drewniane pudełko, które dostał od przyjaciela z Mosadu, Dawida Awnera.

A co ty, Dawidzie, zrobiłbyś na moim miejscu? Wspomóż mnie swoim doświadczeniem i dobrą radą.

Sara i tak wkrótce o wszystkim się dowie, gdy tylko włączy telewizor, a jeśli dowie się o tym od Justyny, to na pewno będzie niezadowolona. Wręcz wściekła!

Pierwsza rada Dawida była celna, ale mało odkrywczą.

Wiem to i bez ciebie – uśmiechnął się Konrad. Lepiej powiedz, co robić w sprawie Safira. No... Dawid?

Nic już nie możesz zrobić. Zostaw sprawę policji i ABW, to nie jest zadanie dla wywiadu. Zajmij się pilnie czeczeńskim rodzeństwem i leć do tego Wilna, porozmawiaj z Miszą. Los Safira jest przesądzony, to tylko terrorysta. On był już martwy, kiedy wstąpił na drogę dżihadu. I dobrze o tym wiedział. Dla ciebie naprawdę niebezpieczny jest Popowski. To twoje alter ego i chyba nie liczycie z Marcelem na serio, że uda wam się go zwerbować. Musisz zagrać znaczonymi kartami, coś sfałszować, wyprać kłamstwo, oddać kawałek siebie. Powiedz mu o Rupertach, powiedz prawdę. Niech ci pomoże w sprawie Bogajewów, na pewno coś wie. Przecież w jakimś celu urządził dla ciebie to przedstawienie z Bobriukowem. Dowiedz się w jakim. Dla niego to musi być ważne, więc dla ciebie też.

Czuję, Konrad, że to będzie bardzo znaczące spotkanie, dlatego musisz być dobrze przygotowany i spokojny. Nie pozwól, by cokolwiek zakłócało twoją fantazję i intuicję. To nasza najważniejsza broń i Misza też o tym wie, ale teraz musisz wznieść się na szczyt. Musisz być lepszy. Gdybyś miał teraz do wykorzystania ostatnią szansę, telefon do przyjaciela, i zapytał Dawida Awnera: „Co jest tym powodem, dla którego pan Popowski się do mnie zwraca?” – to co byś od niego usłyszał?

– Koreańczycy, panie Wolski. Koreańczycy! – odpowiedział na głos Konrad, żydląc, by oddać wymowę Dawida.

Otóż to! Mądry z ciebie szpieg, Radku. Prawdziwy rabin z Warszawy. To jest właśnie intuicja wykształcona przez nasze rzemiosło. Jeżeli jest jakaś ważna sprawa w Warszawie, Londynie czy Korei, to musi być też ważna w Moskwie – to takie proste. No i u nas też, oczywiście. I na koniec pamiętaj o butach od Kielmana. On bardzo je lubi. A teraz idź i zainteresuj się, co robi ten twój Marcin o zdolnościach paranormalnych. Do Sary zadzwonisz później. Zaczeka.

Konrad zamknął pudełko i podniósł się zdziwiony, że sam dotąd nie pomyślał, gdzie przepadł Marcin.

– Gdzie jest Marcin? – zapytał przez interkom Ewę.

– Jak to gdzie? – odparła zdziwiona. – U siebie. Odkąd wróciliśmy ze szpitala, siedzi i coś pisze. Chyba jest chory.

Konrad podszedł do szyby i zobaczył plecy Marcina pochylone nad biurkiem. Był to widok niezwykle i rzadki. Nie wiadomo dlaczego Marcin miał wstręt do pisania i rzadko dostarczał raporty na czas, nie mówiąc o notatkach informacyjnych i szyfrogramach. Zawsze trzeba go było pilnować. Na szczęście wszyscy w Wydziale dobrze wiedzieli o tej jego przypadłości i terminy wyznaczali mu z dużym wyprzedzeniem.

Wrócił do biurka, wybrał numer Marcina i na centralce zaczęła mrugać czerwona dioda. Potrzebował chwili, by zorientować się ze zdziwieniem, że dioda wciąż mruga, a Marcin nie odbiera. Rozłączył się i ponowił połączenie, przeświadczony, że to musiał być problem techniczny, bo niemożliwe było, żeby podwładny nie odebrał telefonu od szefa. Marcin wciąż jednak milczał i Konrad, zdopingowany radą Davida, ruszył do jego

pokoju.

Otworzył drzwi z taką siłą, że Marcin aż podskoczył na fotelu i stanął wyprężony jak do meldunku.

– O Jezuniu, ale mnie szef wystraszył...

– Dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Ja... telefonu...? – Zaczął szukać po kieszeniach komórki, choć stacjonarny wciąż dzwonił i błyskała dioda. – Żadnych nowych połączeń...

– A ten?! – Konrad wskazał palcem telefon na biurku. – Głuchy jesteś? Mam cię skierować na badania psychologiczne? Co z tobą? Zostaw tę jazdę na motorze... wyraźnie ci szkodzi! I ucisz ten telefon, do cholery!

Marcin wykonał polecenie i swobodnie przeskoczył na inny temat.

– To narada była taka krótka, szefie? Nie spodziewałem się... oj, nie.

– Co tam piszesz? – Konrad zerknął na biurko pełne papierów.

– Możemy porozmawiać poważnie, szefie? Są sprawy do załatwienia. Bez żartów! I proszę bez żadnych insynuacji o psychologu i badaniach słuchu.

– Co jest? – Konrad westchnął.

– Szef usiądzie, proszę. O tu... – Podsunął krzeselko. – Ale możemy też przenieść się do jakiegoś innego gabinetu, jeśli w moim jest niewygodnie. Bo szefa... na przykład...

– Co jest grane? – Konrad znał na wskroś ten zgrabnie dęty ton Marcina i wiedział, że dobrze mu zrobi, jeżeli usiądzie, bo z całą pewnością dowie się zaraz czegoś specjalnego, a nie ma czasu znowu otwierać pudełka Awnera.

– Ze Sztokholmu przysła dzisiaj historyczna depesza, szefie! Ale nie proponują nam znowu swojego króla. Gorzej! Ach... jaki jestem zdenerwowany!

– Marcin!

– Dobrze. Niech szef przeczyta tę depeszę. – Marcin wręczył Konradowi kartkę. – Nasz Jack O'Brien zabił w nocy szwedzkiego policjanta. U nich nazywa się Tom Morgan i knuje coś... z Koreańczykami... I kółeczko się zamknęło, szefie. Oni teraz też mają swojego wroga publicznego i szwedzka policja

rozpoczęła pościg...

– Nooo... to jest problem... – oznajmił Konrad i odłożył kartkę.
– Świat stanął na głowie. My mamy Al-Kaidę w Warszawie, a oni mają IRA w Sztokholmie.

– A służby północnokoreańskie udzielają się i u nich, i u nas – dodał Marcin nadzwyczaj celnie, aż Konrad popatrzył na niego z uznaniem.

– Widzę, że chcą się pilnie spotkać. – Spojrzał na kartkę. – To pisał Hasan Mardan, a podpisała Linda. Hm... Sara w szpitalu, a ja lecę dzisiaj do Wilna... Najwcześniej w przyszłym tygodniu...

– Niech szef się nie denerwuje. Będzie dobrze, ja się tym zajmę – wszedł mu w słowo Marcin. – Wszystko już załatwiłem. Lecę dzisiaj o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć, krajowymi liniami oczywiście.

Konrad otworzył szeroko oczy.

– Coś nie tak, szefie? Wszystko już mam, o... – wskazał na torbę pod oknem. – Z lotniska odbierze mnie Hasan... motorem, rzecz jasna...

– Jak to możliwe, że ja cię dotąd nie ukatrupiłem? Marcin! – Konrad opuścił głowę i zakrył twarz rękami. – Przecież to czysta samowolka! – dodał. – Ty chyba nigdy tego nie zrozumiesz...

– Jak to! – obruszył się Marcin. – Trzeba działać, szefie! I to szybko. Czarne kapelusze sprzysięgły się z Hadesem i z zombi...

– Dobrze, dobrze! – przerwał mu Konrad i pomyślał: A może to i dobrze, niech jedzie. Przynajmniej Szwedzi będą go mieć pod kontrolą...

– Jest jeszcze jedna sprawa, szefie. – Marcin zaczął grzebać w papierach na biurku. – Zaraz, zaraz... już... a, mam! – Wyciągnął rękę z kolejnym dokumentem. – To dotyczy gwiazdy naszego wczorajszego wieczoru, czyli Safira as-Salama, wroga publicznego numer jeden, Polaka terrorysty i znajomego pani naczelnik...

– Ucisz się na chwilę... Trzeci raz zaczynam czytać!

Marcin zamilkł i siedział, wpatrując się w Konrada, który studiował zadrukowaną kartkę, co chwila mrużąc oczy

i unosząc brwi. Dwa razy wydał policzki i raz wypuścił powietrze, na koniec lekko zagwizdał i przygryzł wargę.

– Baaardzo ciekawe! Claes von Utrecht, co to za nazwisko? Ciekawe! Jakaś międzynarodówka islamistów i antyglobalistów, brzmi trochę groteskowo, nieprawdopodobnie...

– Żadna międzynarodówka, szefie. Zwyczajnie. Dwóch niebezpiecznych świrów i trzeba przyjrzeć się sprawie z bliska.

– Ale co my możemy teraz zrobić? – postawił sobie pytanie Konrad. – Przecież Safir może już gdzieś leży z przestreloną głową... a jak nie, to jutro będzie, na pewno. On się nie podda i policjanci nie zamierzają brać go żywcem, czyli trup murowany. Sprawa ciekawa, ale już nie dla nas. „Zaraza” idzie do archiwum. Koniec.

– Jak to, szefie? Przecież trzeba wszystko wyjaśnić! – oburzył się Marcin.

– Dobrze, jedź, jak zaplanowałeś! Ale najważniejsza jest kwestia koreańska. Przekaż im wszystko, co mamy, wszystkie nasze ustalenia i powiedz, że w sprawie są też Brytyjczycy, niech się skontaktują z łącznikiem MI6 w Sztokholmie, a ja swoją drogą zadzwonię do George’a Gordona i go uprzedzę. – Konrad mówił spokojnie, z przekonaniem i wiarą, że Marcin, kiedy trzeba, jest niezastąpiony. – Tylko nie szarżuj i spokojnie z nowymi teoriami. Słuchaj uważnie Lindy i Olafa i uściskaj ich serdecznie.

– A co z Safirem i Claesem? – zapytał Marcin, ale Konrad zamilkł i zamyślił się.

– Wyglądać może na to – odezwał się przytłumionym głosem – że spotkanie Koreańczyków i IRA w Warszawie to tylko epizod większej całości. Oby finał nie nastąpił u nas... ale mam złe przeczucie... – I zaraz jakby się ocknął. – O co pytałeś? Aha... dobrze, dobrze, zorientuj się w sprawie, ale Säpo ma nasłuch medialny i pewnie już wie, co się u nas wydarzyło. Możesz im wszystko zrelacjonować w szczegółach, tylko, na miłość boską, bez swojej samodzielnej twórczości...

Nie zdążył dokończyć, bo drzwi do pokoju omal nie wyleciały z zawiasów, uderzając z trzaskiem o ściankę.

Do pokoju wtargnęła Sara niczym bezwzględna erynia w dużych ciemnych okularach à la Sophia Loren. Była czternasta dwadzieścia dwie, ale ani Konrad, ani Marcin nawet nie pomyśleli, żeby spojrzeć na zegarek.

– Konrad! – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Co jest grane? Czy ja się muszę dowiadywać, co dzieje się z moim figurantem... z tym cholernym Safirem, z telewizji... od tej wywołki dziennikarskiej... tej twojej... – Z trudem łapała oddech. – Konrad! – wydusiła z siebie. – Co z tobą?

Awner! Ty cholerny mosadziaku, zwalniam cię z funkcji mojego doradcy... w trybie natychmiastowym! – pomyślał Konrad, bo musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za to, że dał mu się zwieść i nie zadzwonił do Sary.

– Wypuścili panią naczelnik? – zapytał nieco zdziwiony Marcin.

– Sama wyszłam, jak zobaczyłam w telewizji, że teraz to pani Justynka z ekipą TV24 ściga Kar... Safira po Mazurach, a nie my – wyjaśniła z grymasem na twarzy. – Co wy tu wyprawiacie, do jasnej cholery?! Wystarczyło, że pół dnia mnie nie ma...

– Już dobrze... – Konrad podszedł i ją przytulił. – Dobrze... Wszystko jest pod kontrolą.

Sara na pozór zmiękła.

– Chodź, wszystko ci opowiem. – Wyprowadził ją, wciąż obejmując ramieniem, i puścił oko do Marcina. – A ty bierz się do roboty! Lecisz przecież do Sztokholmu. – I wyszeptał: – Pozdrów ode mnie Lindę... ciepło.

– *Jack, fuck! You scutterin' gobshite...* – usłyszał w słuchawce dokładnie to, czego oczekiwał.

Znał Conora lepiej niż siebie samego. Słówka *gobshite* używał on rzadko, ale zawsze świadomie i celnie. Nigdy się nie pomylił, obdarzając kogoś tym epitetem, co opisanemu nie wróżyło nic dobrego. Jack O'Brien wiedział o tym lepiej niż inni.

W ciągu kilku minut dokładnie opowiedział Gallagherowi, co stało się w ostatnich dniach. Niczego nie ukrywał, bo teraz tylko szczerą spowiedź mogła mu pomóc, wstawiennictwo świętego Patryka trochę mniej. Jednak gdy skończył, po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza, znacznie dłuższa, niż się spodziewał. Znał Conora, więc wiedział, że w tym momencie w The Oval Bar przy okrągłym stoliku, na którym stoi kawa, ciastko i leży „An Phoblacht”, trwała ocena skutków jego nierozważnego postępowania dla sprawy irlandzkiej. Bo dla IRA sprawa była zawsze najważniejsza, tak jak ludzie, tyle że nieco bardziej.

Sam wykonywał wyroki na zdrajcach, które wydawał Conor Gallagher, i nie zastanawiał się nad ich zasadnością, bo walka wciąż trwała, a żołnierz musi mieć dowódcę, gdyż inaczej zginie. A na wojnie różnie bywa i czasem dla dobra sprawy trzeba poświęcić własnych żołnierzy. Kto bierze broń do ręki, musi o tym wiedzieć, a Jack nosił ją od dziecka.

– Posłuchaj, Jack – odezwał się w końcu Conor po gaelicku. – Siedź tam, gdzie jesteś, nie narażaj się niepotrzebnie. Czekaj na przyjazd beżowego biznesmena... Pamiętaj, to dla nas bardzo ważne. Jak już przyjedzie i odezwie się do ciebie, daj mi natychmiast znać. Zrozumiałeś? Zanim się z nim spotkasz.

– Zrozumiałem – odparł O'Brien. – Co ze mną?

– Powiedziałem, że masz czekać, to czekaj. Przyjedzie Robin i po wszystkim cię zabierze. Sam rozumiesz, że musimy przygotować twój transport. Nawaliłeś i mamy teraz kłopoty. Robimy najważniejszą operację w naszej historii, do cholery! Dotarło to do ciebie?

Conor był wyjątkowo oschły i nawet nie siłił się na odrobinę

zrozumienia. Jednak Jack doświadczał tego na sobie po raz pierwszy. Rozpoznawał głos sędziego, który jeszcze nigdy nikogo nie uniewinnił, bo znał tylko jeden rodzaj kary.

– Okay, Connie! – rzucił O'Brien łagodnie i przekonująco. – Będę czekał na Robina, oczywiście. Kiedy przyjedzie...

– Czekaj! – wtrącił Conor.

– Beżowy biznesmen będzie wkrótce...

– Nie mówiłeś – zdziwił się Gallagher. – Co jest?

– Dzwonił wczoraj – skłamał. – Zapomniałem, bo się tyle wydarzyło i jestem trochę zakręcony...

– To się, kurwa, odkręć – wymamrotał Conor. – Pilnuj naszych spraw! – Wyłączył się.

Jack usiadł na skraju łóżka. Spoglądał przez okno na wielki dąb zasłaniający całą słoneczną perspektywę. Jego zieleń odbijała kojąco błękit nieba i dawała miły refleks liści drgających na porywistym wietrze.

Musi bujać na morzu – pomyślał i wsunął rękę pod poduszkę. Wyjął swój pistolet i sprawdził magazynek. Położył go na łóżku i zaczął mu się przyglądać. Po chwili wstał, poszedł do kuchni, wziął dwie tabletki przeciwbólowe Ipren, popił wodą z kranu i wrócił na łóżko. Zsunął buty i położył się na narzucie. W mieszkaniu było tak cicho, że słyszał niemal szum krwi płynącej w jego żyłach. Żeby się upewnić, zatkał uszy dłońmi i zaczął wpatrywać się w żyrandol typu kryształ korona wiszący tuż nad nim. Żyrandol lekko się kołysał, chociaż okna były zamknięte. Jack wziął poduszkę i położył sobie na głowie, zakrywając oczy.

Jack, fuck! You scutterin' gobshite... – usłyszał głos Conora, z łatwością przebijający się przez szum w uszach.

– *Fuck you, Conor! You old fecking ejgit* – odpowiedział mu na głos.

Conor wydał na niego wyrok, to było jasne, i teraz należało się solidnie zastanowić, co robić dalej. Przez lata życia w konspiracji Jack był przygotowany na wszystko, tylko nie na to, że jego mentor i ojciec zdecyduje się go odstrzelić. Przyciągał uwagę szwedzkiej policji, która prędzej czy później by się zorientowała, z kim ma do czynienia. I nie było

gwarancji, że nie wzięłaby go żywcem.

Wiedział stanowczo za dużo, zwłaszcza o współpracy z Rosjanami, superdolarach i koreańskiej bombie. Dlatego Gallagher liczył się z tym, że w szczególnej sytuacji będzie musiał go zlikwidować. Byłby zresztą gotów poświęcić własnego syna, a nawet samego siebie. Ta prosta prawda dotarła do Jacka z całą mocą. Właściwie to nie była żadna kara, bo w walce czasem popełnia się błędy. Jego śmierć miała być zabiegiem na wskroś higienicznym, zabezpieczeniem przed porażką.

Jack sam był sobie winien, bo dobrze wiedział, jak działa ten organizm, jakie obowiązują w nim zasady. Teraz miał do wyboru: albo czekać na Robina, który strzeli mu w tył głowy, gdy tylko uzna, że to konieczne, i wrzuci jego ciało do jeziora Melar, albo wiać gdzieś z potężną kasą IRA i próbować ułożyć sobie życie od nowa. Oba rozwiązania były mało satysfakcjonujące.

To oczywiste, że nikt nie chce umierać, ale on i tak był już martwy i zajmował ważne miejsce w panteonie bohaterów IRA, którzy poświęcili się dla sprawy. W pubach dalej wznosiliby toasty za jego pamięć i przepijali w rocznice bitwy pod Cookstown.

Pamięć to jednak coś! W końcu oddałem walce całe swoje życie – pomyślał po gaelicku.

Wyczyszczenie kont i ucieczka z całą pewnością pozwoliłyby mu na luksusowe życie, ale nie na długo. Irlandczycy są wszędzie i prędzej czy później skończyłby gdzieś w rowie jako strawa dla dzikich zwierząt, a jego niezwykła historia znikłaby z ksiąg IRA. Ciekawe życie poszłoby na marne.

Było też trzecie rozwiązanie: zakończenie sprawy z Koreańczykami i przekazanie im kontaktu na bezowego biznesmena z Bliskiego Wschodu. Ruszy wówczas sprawa superdolarów, Gallagher zrealizuje najważniejszą operację w historii IRA i czwarta prowincja, kawałek po kawałku, zacznie wracać do macierzy. Wtedy Jack O'Brien się ulotni, zabierając ze sobą tylko swoje pieniądze, które uskładane w równych paczuszkach powinny wystarczyć na skromne życie.

Conor raczej nie zaakceptowałby takiego rozwiązania, gdyby mu je zaproponował wprost, ale kiedy zrobi rachunek zysków i strat, z pewnością odpuści. Dzięki temu nie będzie miał na rękach krwi swojego syna, a bojownicy będą mogli wciąż przepijać w pubach pod jego imię. Nie ucierpi sprawa i nie zginie ani jeden cent z konta.

Dobrze zrobiłem, że powiedziałem o telefonie od łącznika Al-Kaidy. Intuicja. Teraz mam nad wszystkim kontrolę i Conor musi czekać – pomyślał z zadowoleniem.

Zdjął poduszkę z głowy i spojrział na żyrandol, który przestał się kołysać. Ipren zaczął działać, ból w ręce ustąpił i pojawiła się jasna perspektywa na przyszłość. Już wiedział, co ma robić.

Podniósł się i przysiadł na skraju łóżka. Poczul się dobrze. W uszach przestało mu szumieć, krew pulsowała normalnie.

Podszedł do zniszczonego jasnego sekretarzyka w gustawiańskim stylu, przysunął krzeselko z IKEA i otworzył blat. Wyjął kartkę papieru i długopis.

„Connie, jesteś moim przyjacielem, bratem, ojcem, moim dowódcą, jesteśmy Irlandczykami, ale ja chcę żyć...” – zaczął pisać po gaelicku.

Kawasaki, zwany też kawką, to nie jest motor jak wiele innych. Kto jeździ w Enduro, ten wie, że nie szybkość jest jego największą zaletą, ale siła i sprawność. Dobrze wyważony, resorowany, wymarzony do wysokich hopów. Nie było dla niego przeszkody, której nie pokonałby z łatwością. Dobry jeździec mógł na nim zrobić niemal wszystko.

Safir stał na motorze i pędził wąską, wyboistą pełną drogą między pachnącymi łąkami rzepaku. Widziane przez gogle kwiaty nabrały ostrej barwy i wyglądały jak żółty dywan. Miał wrażenie, jakby ta droga została wytyczona wyłącznie dla niego i prowadziła gdzieś w bezpieczne strony. Z każdą chwilą był coraz dalej od swojego furgonu i coraz bliżej domu, gdzie czekali na niego Bogajewowie.

Przejechał niewiele ponad kilometr i niespodziewanie się zatrzymał. Miał nieodparte przeczucie, że musi teraz stanąć, jakby kazała mu to zrobić jakaś tajemnicza siła. Obejrzał się za siebie i usłyszał słumiony odgłos wybuchu. Odczekał jeszcze chwilę, aż daleko nad lasem dostrzegł ciemny słupek dymu. Wybuchł zbiornik z paliwem i jego volkswagen zakończył swoją misję w szeregach Al-Kaidy. Przez chwilę Safir poczuł nawet smutek.

Sprawdził na GPS kierunek jazdy i gdy tylko się upewnił, że zmierza w dobrą stronę, ruszył ostro ku majaczącym w oddali zabudowaniom. Zostało mu dwanaście kilometrów. Była dwunasta dwadzieścia pięć i w ciągu dwudziestu minut powinien dotrzeć na miejsce. Pełna droga poprawiła się i przeszła w równą szutrówkę. Mógł teraz nabrać prędkości i usiąść na siodełku. Za motocyklem unosił się gęsty pióropusz polnego kurzu i wolno rozpływał w powietrzu. Czas grał na niekorzyść ściganego, ale policja nie wiedziała, że porusza się on na motorze, i to właśnie dawało mu ogromną przewagę, którą musiał teraz wykorzystać. Należało tylko ominąć dużym łukiem Szczytno.

Wkrótce dotarł do jakiejś wsi, którą przeciął niemal niezauważony, i wjechał w piaszczysty leśny dukt, z każdym

metrem coraz węższy i coraz gęściej zarośnięty. O kask i handbary uderzały gałęzie, choć slalomem próbował ich unikać. Droga niespodziewanie urwała się nad głębokim jarem, na którego dnie płynął strumień. Safir zatrzymał się, rozejrzał wokół i przez chwilę się zastanawiał, czy podola zjechać na dół i pokonać jar, czy też powinien szukać objazdu.

Ruszył przed siebie i ostrożnie, na hamulcu, podpierając się nogami i dokładnie wybierając drogę, zaczął sprowadzać motor na dół. Poszło wyjątkowo łatwo. Gdy był już na dnie jaru, dodał mocno gazu i przecinając strumień, wspiął się z impetem na przeciwległy brzeg. W połowie drogi na chwilę stracił równowagę i wydawało mu się, że runie do tyłu, lecz w ostatniej chwili zdołał przesunąć środek ciężkości ciała do przodu i podeprzeć się prawą nogą. Rozpędzony motor wyniósł go łatwo do góry.

Następne półtora kilometra pokonał, przedzierając się przez świerkowy las, aż w końcu dotarł do polnej drogi. Zatrzymał się, sprawdził GPS i pewny obranego kierunku ruszył dalej. Wkrótce dojechał do drogi numer 53. Wysunął się ostrożnie z lasu i po lewej stronie, w odległości stu metrów w kierunku Szczytna, zauważył radiowóz policyjny, który stał w poprzek drogi z włączonym kogutem, blokując przejazd od strony miasta.

No i dobrze – uznał Safir – bo to oznacza, że jestem poza pierścieniem obławy. I pozostanę jeszcze przez jakiś czas.

Przejechał na drugą stronę drogi i znikł w gęstym mazurskim lesie.

Bogajewowie już czekali. Mieli wszystko spakowane i samochód był przygotowany do drogi. Kiedy tylko Safir wszedł do domu, ubłocony, z kaskiem w dłoni, opuścili głowy i przyklekli na jedno kolano.

– *Salam alejkum, fidai* – powitał ich w drzwiach.

– *Alejkum salam, dai-kabir* – odpowiedzieli chórem.

– Gotowi? – zapytał i spojrzął na cztery torby stojące przy drzwiach.

– Gotowi – odparła Amina.

– Siadajcie. Daj komputer, Amino.

Wszedł głębiej, rozpiął wiatrówkę, usiadł przy stole i położył na nim kask. Wpatrywali się w niego w milczeniu jak najwierniejsi żołnierze gotowi na swój ostatni szturm. To były jego Cztery Źródła.

– Wiecie, co się dzieje?

– Tak – odpowiedziała Amina, a reszta skinęła głowami. – Widzieliśmy w telewizji – dodała.

– Musimy wyjechać z Polski. Natychmiast. – Położył ręce na stole i splótł palce, obejmując kask. – W drodze do was miałem starcie z policją, jakąś godzinę temu. Musiałem użyć broni... mógł ktoś zginąć. Tak czy inaczej wkrótce cała okolica zaroi się od policjantów. – Słuchali w ciszy i skupieniu. – Wiedzą, że jestem gdzieś tutaj, i będą przetrząsać każdy dom i samochód. Nie wiedzą jednak... myślę... że mam motor, i to jest nasza nadzieja. – Przerwał na moment i spojrzał na Rustama. – Uzupełnij paliwo w moim motorze i przyczep do niego ten mały kanister... z piwnicy! Wiesz który? – Rustam bez słowa wskazał na kanistry z benzyną ustawione równo w pokoju i popatrzył pytająco na Safira, który skinął głową. – Daj komputer! – zwrócił się teraz do Aminy

Przysunęła mu laptopa.

Uruchomił Google Earth. Wpisał do wyszukiwarki trasę przejazdu ze Szczytna do Elbląga i natychmiast na ekranie ukazała się fioletowa linia łącząca oba miasta.

– Macie prawie sto sześćdziesiąt kilometrów, czas przejazdu dwie i pół godziny. Teraz jest trzynasta dziesiąć, czyli powinniście dotrzeć tam przed szesnastą. Ty tego pilnujesz! – zwrócił się do Aminy, która słuchała go z uwagą. – Zakładam, że w promieniu stu kilometrów od Szczytna jest już ścisła blokada policyjna. Dalej będzie coraz luźniej, ale trzeba być ostrożnym. Dlatego ja pojedę na motorze bocznymi drogami, które nie będą pewnie tak dokładnie obstawione, więc łatwiej mi będzie ominąć patrole lub uciec gdzieś w bok. – Spojrzał na Szamila i Asłana. – Dobrze ukryjcie broń w samochodzie... na pace... i weźcie też z plecaka mój M4. – Poderwali się obaj jak na rozkaz. – I niech któryś przyniesie z piwnicy moją zbroję motocyklową... jest w kufrze. Nie możecie mieć przy sobie nic

podejrzanego. Broń w skrzyniach zamaskowana na pace. – Zwrócił się do Aminy: – Musisz o to zadbać! To należy do ciebie! – Uśmiechnęła się znacząco i od razu zrozumiał, że wszystko już przygotowała. – Od szesnastej czekacie na mnie przy tej stacji benzynowej koło Elbląga. – Wskazał palcem na ekran. – Dokładnie tu... – Zapisał zdjęcie w pamięci komputera. – Będziemy też w kontakcie telefonicznym, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wszystko jasne? Amina?

Zamiast odpowiedzieć, uśmiechnęła się i zmrużyła ciemne błyszczące oczy. Była pogodna i pewna siebie. Wiedział, że ona nigdy nie zawiedzie. Jego największa nadzieja i najgroźniejsza broń.

– A dokąd jedziemy? – zapytała.

– Do Szwecji. – Wziął od Asłana swoją zbroję, którą ten właśnie przyniósł. – Likwidujemy nasze interesy tutaj, w Polsce. Zrobiło się ciasno. W Szwecji mieszka ktoś mi bliski, kto da nam schronienie, i mam też ważną sprawę do załatwienia... i pomyśl na akcję. A poza tym nie wydostanę się z Polski samolotem. Popłyniemy promem z Gdańska o osiemnastej, jeśli zdążymy, albo o dwudziestej pierwszej z Gdyni. Schowacie mnie na pace... to proste.

– Gotowe! – oznajmił Rustam, stojąc w drzwiach.

– Pospieszmy się! – rzucił Safir i podniósł się od stołu.

Wszyscy zaczęli się krzątać po domu i wykonywać w pośpiechu przypisane im czynności. Każdy wiedział, co ma robić. Safir wyszedł przed dom i sprawdził, czy plastikowy kanister jest wystarczająco mocno przytwierdzony taśmą do motoru. Rustam przezornie przyczepił też do kanistra nożyk, by można było go łatwo i szybko odciąć. Safir aż się uśmiechnął na ten widok.

Zdjął wiatrówkę i szelki z pistoletem. Położył je na motorze i zaczął wkładać zbroję. Czekala go długa jazda po mazurskich bezdrożach, musiał więc przywdziać specjalny strój i pozbyć się plecaka. Zbroję kupił już dawno temu i teraz ledwo się w nią mieścił. Z trudem ją zapiął. Założył też nakolanniki.

– Wszystkie moje rzeczy spalcie razem z domem... swoje też – powiedział do Rustama, który odpowiadał za ten fragment

akcji. – Nie zostawiamy żadnych zapachów! Kupimy wszystko w Gdańsku – dodał i rzucił mu swoją wiatrówkę. – To też spal!

Wyjął z kabury berettę i z trudem wcisnął ją do bocznej kieszeni w zbroi. Zapasowy magazynek włożył do kieszeni w spodniach. Wziął skórzaną kaburę z szelkami, która służyła mu tyle lat, i podszedł do jeziora, którego nazwy nikt nie znał. Zakręcił nią mocno nad głową i puścił. Poszybowała daleko i po chwili znikła w sianej toni.

Wrócił do domu, który czuć już było benzyną. Wyszli na zewnątrz. Wszyscy czworo zebrali się wokół swego mistrza, chociaż wcale ich nie wołał.

– Wiecie, co macie robić? – zapytał nie dla pewności, ale by poczuć dodatkową satysfakcję, i wszyscy skinęli posłusznie głowami. – Jutro o świcie złożycie przysięgę i staniecie się Braćmi Czystości, prawdziwymi fida'i, wojownikami Hasana ibn Sabbaha – oznajmił uroczyście.

Odpowiedziało mu gromkie: *Allah akbar! Allah akbar! Allah akbar! Allah akbar!*, i poniosło się po mazurskim jeziorze.

Safir obejrzał się jeszcze i po chwili znikł na swoim motorze w leśnej gęstwinie. Zaraz potem zapłonął pod Szczytnem stary dom letniskowy.

Czterdzieści kilometrów na północny wschód od Szczytna, w Mrągowie, była za kwadrans trzynasta. Jagan przechadzał się po lewej stronie ulicy Królewieckiej, między Żeromskiego a Wyspiańskiego. To był dwustumetrowy odcinek, ale nie wolno mu było pokonać go szybciej niż w ciągu piętnastu minut. Czas musiał mieć idealnie zgrany nie tylko z odległością, lecz także z legendą przebywania w tym miejscu. Żadne nerwowe spoglądanie na zegarek nie wchodziło w grę, bo mogło być dekonspirujące. I to było właśnie idealne zadanie dla Jagana, bo on zegarka nie potrzebował, a odległość potrafił ocenić z dokładnością do pół metra.

Giena siedział niecałe sto metrów dalej w audi na parkingu przy ulicy Krakowskiej i miał dobry widok w obie strony.

Wszystkie cztery ulice tworzyły kształt zbliżony do trapezu, z czterema ostrymi zakrętami. Dwie dłuższe miały po dwieście dwadzieścia cztery i dwieście trzydzieści metrów, krótsze po sto czterdzieści pięć i sześćdziesiąt sześć. Wszystkie były proste, o dobrej widoczności i zmiennym natężeniu ruchu. Obwód całości liczył sześćset sześćdziesiąt pięć metrów. Idealny szpiegowski kręciołek, który wyłowi każdy ogon.

Między dwunastą czterdzieści pięć a trzynastą powinno się pojawić srebrne volvo o numerze rejestracyjnym W 065699, z Witalijem Bobriukowem za kierownicą, i powoli, uważnie zatoczyć trzy kółeczka. Miał to być ostatni element trasy sprawdzeniowej przed przekazaniem przesyłki.

Giena, podobnie jak Bobriukow, był bardzo zdenerwowany. Namierzenie dyplomaty w służbowym samochodzie i z bronią automatyczną w bagażniku mogło fatalnie się odbić na stosunkach polsko-rosyjskich. W razie porażki musiałyby dać głowę kilka osób, i to bez względu na poniesioną winę.

Jagan nie był zdenerwowany, był podniecony. Stał na ulicy Królewieckiej 5 przed pizzerią Margarita i czuł wyraźne ssanie w żołądku. Czasami podniecenie wyzwalало w nim uczucie głodu, ale potrafił nad tym panować. Akurat teraz miał ochotę na grubą pizzę z podwójnym serem i dużą ilością mięsa, ale bez

ananasa i kukurydzy. Mógł sobie pozwolić na takie zachcianki, bo wiedział, że teren jest czysty i nie ma żadnego zagrożenia. Smok nawet nie drgnął na myśl o niebezpieczeństwie, za to się poruszył, kiedy poczuł zapach dochodzący z pizzerii.

Punktualnie o dwunastej czterdzieści pięć na Królewiecką wtoczył się niespiesznie samochód. Za kierownicą siedział Bobriukow w swoich lotniczych okularach, z miną, jakby powoził maybachem, a nie volvo. Od razu nawiązali kontakt wzrokowy. Witalij dał Jaganowi znać, że go dostrzegł, i otrzymał potwierdzenie. Minął go powoli i po dziesięciu metrach zatrzymał się przy krawężniku.

Od pojawienia się Bobriukowa żaden inny pojazd nie wjechał na Królewiecką. To był dobry znak, ale Jagan nie wydawał się zaskoczony. On wiedział, jak jest. Po chwili Bobriukow ruszył i pokonał sto metrów, zanim mocno przyspieszył i skręciwszy w prawo, znikł z pola widzenia Jagana i Giény.

Zgodnie z planem zrobił trzy kółka w różnym tempie, stosując najbardziej wulgarne szpiegowskie triki, żeby się sprawdzić i sprowokować obserwację. W końcu wszyscy trzej zgodnie uznali, że Mrągowo jest najbezpieczniejszym miastem w Polsce, wymienili odpowiednie sygnały i przystąpili do ostatniego etapu. Audi stało na parkingu i Jagan sprawnie wskoczył do środka. Ruszyli spokojnie na północ do swojego hotelu Panoramic. W dwie minuty po nich do tego samego hotelu miał przyjechać Bobriukow. Jagan i Giena musieli sprawdzić jeszcze raz, już na zakończenie, czy ktoś go nie śledzi, bo – jak wciąż sobie powtarzali – w wywiadzie nie ma stuprocentowo bezpiecznych operacji.

Gienna stanął samochodem w lesie, na poboczu drogi dojazdowej do hotelu, tak by widzieć zbliżającego się Witalija. Jagan czekał w pobliżu parkingu, w wybranym wcześniej martwym polu, bo teren wokół Panoramica był monitorowany.

Volvo pojawiło się z minutowym opóźnieniem, ale teraz i tak to nie miało już większego znaczenia. Bobriukow jechał sam i do hotelu zostało mu jeszcze dwieście metrów. Kiedy zbliżył się do Batyszki, zwolnił, uchylił szybę i zasalutował teatralnym gestem, pełnym buty i ironii. Gienna odruchowo

odpowiedział mu tym samym.

Uzgodnione było, że dla pewności odczeka jeszcze dwie minuty, zanim wróci za nim do hotelu.

Dwie minuty to niewiele w życiu człowieka, ale dla Batyszkina to była cała wieczność. Kurczowo ścisnął skórzaną kierownicę i czuł, że ręce ma mokre od potu. Otworzył okno, wstrzymał oddech, zamknął oczy i zaczął nasłuchiwać.

Witalij Bobriukow mimo młodego wieku miał już na koncie sporo sukcesów, tak mu się przynajmniej wydawało. Przekonany był, że jako jedyny oficer Rezydentury SWZ w Warszawie potrafi wywieść w pole polskie służby specjalne, kiedy tylko zechce. Swoje własne zresztą też, bo gorący romans z rudą Kasią był ewidentnym majstersztykiem jego talentu i konspiracji. I znów punkcik w biografii młodego rosyjskiego oficera – pomyślał z zadowoleniem, mijając audi Batyszkina. Tak wyglądają początki przyszłego szefa wywiadu Federacji Rosyjskiej. No, wychodzi mi to... wychodzi, i nie ma co udawać. Nie jestem jakimś hipokrytą jak ten Giena ani karierowiczem. Talent, Giena! Talent trzeba mieć. Trzeba mieć to coś... ale z tym musiałbyś się urodzić... Lizanie dupy Miszy ci nie pomoże. Talent, Giena! Talent!

Bobriukow czuł, że od środka, niczym w kotle parowym, rozpiera go potężna siła i nic już nie jest w stanie powstrzymać jego marszu po sukces.

– Batyszkin, ty... – powiedział na głos, uśmiechając się ironicznie.

Wjeżdżał już na parking przed hotelem, już widział Jagana na parkingu, gdy nagle obraz urwał się jak taśma filmowa. Wchłonął go oślepiający błysk i zrobiło się ciemno, a świat wypełnił przeraźliwy gwizd wymieszany z głuchym dźwiękiem cerkiewnych dzwonów.

Poczuł w ustach lepkosłodki smak i ostry ból w karku. Potrzebował dobrej chwili, by zdać sobie sprawę, że jest w swoim samochodzie. Bał się otworzyć oczy, bo już wiedział, co zaszło. Poruszył się. Oprócz głowy nic go nie bolało, tylko przeraźliwie szumiało mu w uszach.

To był jego pierwszy wypadek samochodowy.

Wystawił najpierw jedną nogę, potem powoli drugą, pochylił się do przodu, by z trudem wysunąć się z samochodu. Zmrużył oczy i zobaczył, że przód jego volvo jest kompletnie zmiądzony, podobnie jak zielonej alfy romeo 159.

Z rozbitej alfy wysiadł młody mężczyzna w swetrze typu cricket i zaczął przeraźliwie krzyżeć. Z hotelu wybiegło kilka osób i po chwili na parkingu zrobiło się gęsto. Ktoś dzwonił na policję, ktoś inny po karetkę, nerwowo ruch, krzyki, ktoś szarpał go za rękę, ktoś kogoś przywoływał, mieszały się języki i emocje. Bobriukow czuł, jakby stał gdzieś z boku, poza własnym ciałem, w środku mazurskich lasów i obserwował tę niezwykłą inscenizację. Miał wrażenie, że się unosi, krąży jak ptak w gęstym powietrzu i nie może zrozumieć, co się wokół dzieje, skąd wzięli się ci ludzie i czego od niego chcą.

– Bładź! Bładź! Bładź! Wiedziałem, że tak będzie! Pieprzony warszawski gnojek! – zaklął Jagan i zaczął dyskretnie wycofywać się w stronę hotelu.

Volvo ambasady rosyjskiej i alfa romeo z wypożyczalni Rent a Car nadawały się wyłącznie do kasacji. Bobriukow, gdy tylko wysiadł i doszedł do siebie, wyjął telefon i zadzwonił do Warszawy. Równocześnie przeszedł na tył, żeby sprawdzić, czy od uderzenia nie otworzył się bagażnik.

Szczegółowo poinformował dyżurnego o tym, co zaszło, i poprosił o natychmiastową pomoc. Dyżurny był oficerem FSB i zareagował prawidłowo. Witalij Bobriukow jako dyplomata wiedział dobrze, co ma teraz robić i na co nie może pozwolić miejscowej policji, więc oparł się o bagażnik, gotowy bronić go siłą, dopóki nie dotrze pomoc z Warszawy.

Gdy skończył rozmawiać, zorientował się, że z ucha leci mu krew. Ktoś z gapiów podpowiadał mu, żeby wyjął z bagażnika apteczkę, ale zignorował radę i próbował zatamować krew ręką.

Tymczasem Giena dotarł już do hotelu i dołączył do Jagana, który wraz z kilkoma osobami obserwował z westybulu parking i Bobriukowa.

– Co się stało? – zapytał Batyszkin po angielsku mężczyznę, który stał obok i wyglądał na recepcjonistę.

– Rosyjski dyplomata zderzył się z naszym gościem –

beznamiętnie odparł tamten, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem.

– A kto winny?

– Wezwaliśmy już policję, a i tak wszystko jest nagrane na monitoringu. Ustalą bez trudu. – Wskazał głową drzwi do jakiegoś pomieszczenia w głębi. – Rosjaninowi, choćby był winny, i tak nic nie zrobią, nawet jeśli jest pijany. Ma immunitet dyplomatyczny. Oni tak jeżdżą.

– Ech... ci Rosjanie!

Giena pokiwał głową z widocznym politowaniem i zaczął się przesuwać bliżej Jagana.

– No to jesteśmy w czarnej dupie! – wyszeptał, stając po jego lewej ręce.

– *Wiek żywi, wiek uczys* – uraczył go ludowym przysłowiem Jagan. – Od początku wiedziałem, że to złamas i palant. Te paluszki, włoski, okularki... jebał go pies! Trzeba by jakoś wyciągnąć naszą walizkę. Bez pistoletów to możemy Bogajewom nagwizdać – szeptał przez zaciśnięte zęby i czuć było, że rozpiera go wściekłość. – Pójdę... *komandir*, co?

– Ani się waż! – ostro zareagował Giena. – Cały parking jest okamerowany... Rozejrzyj się! Chcesz się podłożyć polskiemu kontrwywiadowi? Przecież oni wiedzą, co to za ptica ten Bobriukow. Zaraz wezmą cię za dupę i ani zipniesz!

– Dobra, dobra! – wtrącił Jagan z pokorą, ale oczami wyobraźni już widział, jak wchodzi nocą do domku Bogajewów ze swoim skorpionem, który cierpliwie czekał na swój czas.

I ten czas właśnie nadszedł – pomyślał. Dzisiaj w nocy.

– Muszę natychmiast napisać do Miszy – rzucił Giena. – Zobaczymy, co powie... ale na razie pewnie misja skończona. Nie można fastrygować poważnej operacji i trzeba będzie wracać. – Zwrócił się do Jagana: – Obserwuj, co się dzieje z Bobriukowem. Ja idę do pokoju... Jakby co, dawaj znać – zakończył i ruszył w kierunku schodów.

Dziwny ten Batyszkin – stwierdził w duchu Jagan. Wcale się nie przejął. Zresztą nie ma kogo żałować.

Popatrzył na Bobriukowa, który stał oparty o swoje volvo, trzymał się za ucho i z kimś rozmawiał.

Hasan Mardan nie przyjechał na lotnisko motorem, jak obiecał, ale nie dlatego, że tego dnia w Sztokholmie padało. Skorzystał ze służbowego saaba, bo chciał przedstawić Marcinowi Harriet Berghen.

– To co? – zapytał, gdy tylko wyszli z terminalu. – Mamy gorące dni w Polsce i Szwecji?

– U nas bardziej gorąco – skwitował Marcin, spoglądając w niebo. – Jak zawsze.

– Schwytaliście go już? – wtrąciła się Harriet.

– Przed chwilą sprawdzałem w necie. Jeszcze nie, ale to kwestia czasu. Pewnie się gdzieś ukrywa – odparł i zaraz zapytał: – A co z Tomem Morganem? Dalej na wolności?

Harriet siedziała z tyłu, przysłuchując się słownej przepychance Marcina i Hasana, która trwała kilka minut i początkowo polegała na wyliczaniu sukcesów każdej ze służb, po czym przeszła na drużyny piłki nożnej. Pojednanie nastąpiło natychmiast, gdy Hasan zapytał Marcina, jak się sprawuje jego harley-davidson V-Rod VRSC. Rozmowa na ten temat trwałaby pewnie jeszcze długo, gdyby Harriet zdecydowanie nie weszła im w słowo.

– Jutro planujemy zainstalować podrzutkę w kryjówce von Utrechta – oznajmiła. – Może wasz As-Salam będzie chciał się z nim skontaktować. Lis szuka kryjówki, więc kto wie...

– Nie da się wykluczyć – potwierdził Hasan. – Przecież nie będzie teraz obdzwaniał kumpli z Al-Kaidy ani nie schowa się w meczecie. Musi wiedzieć, że służby uruchomiły całą swoją agencję w środowisku.

– Na kogo może bardziej liczyć niż na swoich! – włączył się Marcin. – W Polsce to jednak małe środowisko. Myślę, że Safir będzie starał się przekroczyć granicę i ukryć się tam, gdzie są duże skupiska muzułmańskie... w Niemczech na przykład albo... Ilu jest u was muzułmanów?

– Zależy jak liczyć, ale ponad trzysta tysięcy – odparł Hasan.

– W tym dziesięć tysięcy Szwedów, którzy przeszli na islam – dodała Harriet.

– Wśród nich sporo świrów i ekstremistów – dorzucił Hasan i z niedowierzaniem pokiwał głową. – Są tacy, którzy uważają, że Szwecja to najbardziej islamski kraj w Europie. Allah przysnął czy co?

– No to tylko czekać, jak Safir zjawi się tutaj – oznajmił Marcin z przekonaniem. – A co z tą podrzutką?

Nim dotarli na Rörstrandsgatan 28, Harriet opowiedziała Marcinowi ze szczegółami, czym zajmuje się Claes von Utrecht. Hasan co jakiś czas dorzucił jakieś detale z jego życia i starał się nakreślić sytuację w środowisku szwedzkich islamistów. Marcin nie pytał, na czym polega podsłuchiwanie komputera Claesa, bo wiedział, że i tak by mu tego nie zdradzili.

Gdy stanęli pod domem Hasana, Harriet pożegnała się i poszła do siebie. W końcówce rozmowa słabo im się już kleiła, bo wszyscy mieli za sobą ciężki dzień i marzyli tylko o długim, spokojnym śnie.

Linda i Olaf mieli czekać na Marcina o dziewiątej rano w siedzibie Säpo na Polhemsgatan. Miał być też obecny Kurt Lövenström. Sprawa Toma Morgana i Koreańczyków wywołała polityczne poruszenie i otrzymała absolutny priorytet. Premier zaprosił kierownictwo Säpo do Rosenbadu na jedenastą, a wcześniejsze spotkanie z Marcinem mogło wnieść do sprawy coś nowego.

Marcin wziął długie, rozluźniające prysznic. Kiedy wyszedł z łazienki, Hasan już spał z szeroko rozłożonymi rękami i głośno chrapał.

– Chciałem cię o tym uprzedzić, przyjacielu, Bóg mi świadkiem, ale skoro tak szybko odpłynąłeś... – powiedział na głos Marcin, stając nad jego łóżkiem. – Ciekawe, jakie jutro będziecie mieć miny, gdy się dowiecie, że Tom Morgan to Jack O'Brien z IRA, we własnej osobie. – W jego głosie brzmiała szczególna satysfakcja. – Musisz sobie zoperować przegrodę nosową, Hasan. Koniecznie. A może ty masz bezdech senny? Dobranoc.

Odwrócił się i poszedł do salonu, gdzie miał już pościelone. Zamknął za sobą drzwi, położył się i nakrył głowę poduszką.

Safir dotarł na stację benzynową o szesnastej piętnaście. Poruszał się bocznymi drogami według GPS i tylko dwa razy natknął się na blokady, które zauważył już z oddali i zdążył sprawnie ominąć.

Chciało mu się pić i jeść. Bolały go ręce, kolana i kark. Jechał z jedną tylko przerwą na uzupełnienie paliwa. W ciągu trzech godzin pokonał sto pięćdziesiąt dwa kilometry i aż sam się zdziwił, że poszło mu tak dobrze. Tylna opona w kawce była zupełnie starta i nadawała się do wyrzucenia. Spory odcinek przejechał po asfalcie, a nie żałował gazu.

Rustam kupił mu na stacji butelkę wody i pierniczki. Safir miał wprawdzie chęć na francuskiego hot doga z kielbaską pepperoni, ale zrezygnował, bo nie chciał wzbudzać u Bogajewów wątpliwości co do rodzaju mięsa.

Szamil i Aslan sprawnie wrzucili motor na pakę i wszyscy wsiedli do samochodu. Amina i Rustam z tyłu po bokach, a Safir między nimi. Prom do Nynäshamn odbijał o osiemnastej. Mieli godzinę czterdzieści pięć minut, żeby zdążyć.

Dotarli do Gdańska na czas.

Rustam wykupił na terminalu cztery bilety i dwie kabiny. Wjechali na pokład jako ostatni. Chwilę potem podniosły się wrota i głośnym uderzeniem oznajmiły, że prom Scandinavia gotowy jest do rejsu. Safir leżał na pace nissana zawinięty w zdjętą pokrywę, tuż obok motoru, starej drabiny i materiałów budowlanych, pod którymi były ukryte skrzynie z bronią. Nikt się nie zainteresował, co jest na pace. Pracowników portu obchodziło jedynie, by samochód jak najszybciej wjechał na prom.

Ustawili się między dwoma tirami i Safir mógł swobodnie wyjść na zewnątrz. W pobliżu nie było nikogo, a tiry zasłaniały nissana przed kamerami. Po chwili poczuł, że prom lekko drgnął.

Odbili od brzegu. Czekala ich siedemnastogodzinna podróż przez Bałtyk do Szwecji. Pogoda była ładna i bezwietrzna.

Wyglądało na to, że bezpiecznie opuszczą Polskę. Była zatem duża szansa, że równie bezpiecznie wylądują i rozpoczną nowy etap walki. Bogajewowie na razie o tym nie wiedzieli, bo jeszcze nie złożyli przysięgi, lecz już o świcie mieli się stać wojownikami Braci Czystości.

Dopiero potem Safir miał im powiedzieć, jaką misję zaplanował dla nich Allah. A miało to być ich pierwsze i ostatnie zadanie, które powinno wyzwolić wielką syntezę i przybliżyć powrót Mahdiego. Szykował tę akcję od wielu lat i widział w niej zwieńczenie swojej walki w szeregach Al-Kaidy i hołd dla Hasana ibn Sabbaha.

Po wydarzeniach ostatnich dni jego los był już przesądzony, wiedział o tym dobrze, i każdy dzień przybliżał go do śmierci, która przecież nie mogła być bezcelowa, jałowa. Musiała coś znaczyć dla świata, naprawić go, przybliżyć powrót Mahdiego, dać ludzkości nową wizję. Te słowa nieraz słyszał z ust profesora Ahmeda al-Husajna, odkąd z woli Allaha wstąpił na drogę walki, i teraz chciał je wypełnić czynem.

Bogajewowie pierwszy raz płynęli statkiem i Safir dostrzegał ich niezwykle pobudzenie. Zaglądali do każdego kąta, sklepu, restauracji. Obeszli wszystkie pokłady widokowe i na koniec zatrzymali się na zewnątrz, by obserwować, jak potężne cielsko promu sunie cicho kanałem portowym i po chwili wychodzi na otwarte wody Zatoki Gdańskiej. Szamil i Aślan zachowywali się jak dzieci podniecone zabawą i komentowali po czeczeńsku każdy drobiazg, intensywnie przy tym gestykulując. Rustam przyglądał się w spokoju dwóm małym jachtom wchodzącym właśnie do portu, a Amina stała z zamkniętymi oczami i delikatnie uśmiechała się do słońca. Safir pomyślał, że wyglądają, jakby to były najszczęśliwsze chwile w ich życiu, i wcale się nie pomylił. Musieli wypłynąć na morze, by to poczuć, bo na ziemi nie spotkało ich dotąd nic dobrego.

– Pokażę wam znacznie większy statek – powiedział Safir, ale tylko Rustam zareagował spojrzeniem. – Może nawet dwa razy większy.

Prom Scandinavia, mrużąc delikatnie, sunął powoli przez ciche wody między Gotlandią a Olandią. Wydawało się, że na

pokładzie nie śpi tylko kapitan. Za chwilę zza linii horyzontu, gdzie morze styka się z niebem, wychynie pomarańczowa tarcza słońca i zacznie się nowy dzień.

Wyszli na rufę, na odkryty poziom widokowy. Za pomocą programu Find Mecca Safir odnalazł dokładny kierunek, w którym powinni się zwrócić.

Wszyscy pięcioro stanęli oczyszczeni do fadżru, modlitwy o świcie. Baję, przysięgę Braci Czystości, składaną w porze jutrzni w obecności dai-kabira, tworzyły cykle modlitewne wybrane setki lat temu przez Hasana ibn Sabbaha. Należało ją zakończyć, zanim słońce wzejdzie zbyt wysoko nad horyzont.

Zaczęli od obowiązkowej sury pierwszej, Al-Fatiha, czyli wyznania wiary, bez którego żadna modlitwa nie jest ważna:

„W imię Boga Miłosiernego i Litościwego! Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu i Litościwemu, Królowi Dnia Sądu. Oto Ciebie czcimy...”

Potem słowami proroka Mahometa, zawartymi w surze drugiej, Al-Bakara, wyznawali wolę porozumienia i tolerancji oraz wolę walki. Taki był sens misji Braci Czystości i ich wielkiej syntezy, zjednoczenia wszystkich ludzi.

„Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijaństwo i sabejczy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni! Oto zawarliśmy z wami przymierze i wznieśliśmy nad wami górę: «Trzymajcie mocno to, co wam daliśmy, i wspominajcie to, co tam jest! Być może będziecie bogobojni!» Wy jednak potem odwróciliście się. I gdyby nie łaska Boga nad wami i Jego miłosierdzie, to bylibyście między stratnymi”.

„Zwalczajcie na drodze Boga tych, którzy was zwalczają, lecz nie bądźcie najeźdźcami. Zaprawdę; Bóg nie miłuje najeźdźców! I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili – Prześladowanie jest gorsze niż zabicie. – I nie zwalczajcie ich przy świętym Meczeciu, dopóki oni nie będą was tam zwalczać. Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich! – Taka jest odpłata niewiernym! Ale jeśli oni się powstrzymają... –

zaprawdę, Bóg jest przebaczący, litościwy! I zwalczajcie ich, aż ustanie prześladowanie i religia będzie należeć do Boga. A jeśli oni się powstrzymają, to wyrzeknijcie się wrogości, oprócz wrogości przeciw niesprawiedliwym! Miesiąc święty za miesiąc święty. Rzeczy święte podlegają talionowi. A jeśli kto odnosi się wrogo do was, to i wy odnoście się wrogo do niego, podobnie jak on odnosi się wrogo do was. I bójcie się Boga! I wiedźcie, że Bóg jest z bogobojnymi! Rozdawajcie na drodze Boga! Nie rzucajcie się własnymi rękami ku zatraceniu! Czyńcie dobro, bo, zaprawdę, Bóg miłuje czyniących dobro!”

Nim słoneczna tarcza wzniosła się nad horyzontem na wysokość krótkiego drzewca arabskiej włóczni, Cztery Źródła stały się fidai Braci Czystości, a Safir as-Salam – ich dai-kabirem.

Jagan kupił u barmana kolejną butelkę wódki i wrócił do pokoju. Dochodziła dwunasta w nocy i Batyszkin był już mocno napity. Mimo to siedział nad otwartym laptopem i co chwila sprawdzał, czy nie przysłała wiadomość.

– W Moskwie jest już druga – rzucił Jagan. – Oduść sobie... Popowski pewnie już śpi. Dawaj! Wypijemy! – Przysunął szklanki i napełnił do połowy. – Za tę szmatę, tego bohatera wywiadu i obsrańca pierdolonego, dziwkę turecką... Bobriukowa, szofera dziobanego...

– Daj spokój, Andriusza – odezwał się Giena. – Chuj z nim! Chcę wiedzieć, czy wracamy. Ale... celnie go oplułeś. Uff... no, celnie, Jagan.

– No to cyk! – Jagan podniósł szklankę. – *Budiet i na mojej ulicy prazdnik! Dawaj, kapitan!*

– Uff... – westchnął Giena i wypił wódkę jednym haustem.

– A ta cipa pewnie już w Warszawie.

– I pisze raport. Oj... dostanie wpierdol, nawet mu Misza nie pomoże. – Batyszkin uniósł wyżej głowę. – Nikt mu, kurwa, nie pomoże. Nikt! – oznajmił gromkim głosem. – Nie takich frajerów widziałem.

– I dobrze mu!

– A pewnie! Nie będzie taki nam... – urwał Giena – nam... tego, no...

– Pewnie, kapitanie!

– Nalej, Jagan! W Moskwie druga, mówisz?

– Druga trzy.

– Misza śpi! – Batyszkin potrząsnął głową nad laptopem. – Ale mi się zrymowało, co?

– Nooo... fajnie, kapitanie! Zdrowie! – Jagan znów podniósł szklankę. – *Dawaj, bratok, na pososzok!*

– *Dawaj za!*

– *Dawaj za!* – podchwycił ochoczo Jagan i zaczął mrużyć piosenkę specnazu:

Dawaj za żyźń, dawaj, brat, do konca.

Dawaj za tych, kto s nami był togda...

Ale Giena już z nim nie śpiewał, tylko zwiesił głowę na piersi. To był efekt zamierzony i oczekiwany. Giena Batyszkina padł. Jagan przeniósł go na łóżko, zdjął mu buty i rozpiął pasek. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że kapitan odpłynął na dobre i że do rana się nie obudzi. Z pewnością też potwierdzi, że Jagan spał razem z nim. A zresztą kto uwierzy, że tak pijani mogli to zrobić? Byłoby to sprzeczne z prawami natury.

Za każdym razem, kiedy wychodził po butelkę, biegł do swojego pokoju, wypijał dwa litry wody i wymiotował. Redukował w ten sposób ilość alkoholu w organizmie. Znał tę metodę, lecz nigdy wcześniej jej nie stosował, bo uważał, że to zwyczajne marnotrawstwo. Nie po to Rosjanin pije wódkę, żeby nią rzygać. Tym razem jednak musiał przetrzymać Gienę.

Najpierw poszedł do samochodu. Ze skrytki wyjął swojego skorpionia i zapasowy magazynek. Zawinął broń w hotelowy ręcznik, włożył do potrójnej torby foliowej na śmieci i pomyślał, że przydałyby mu się teraz gogle noktowizyjne i tłumik, ale machnął ręką.

– I tak dam sobie radę – powiedział do siebie i po chwili zastanowienia dodał: – A na co mi noktowizor i tłumik, jak tam są te pieprzone psy! Na nic!

Zszedł po schodkach na brzeg jeziora. Promenada była oświetlona, ale o tej porze nie spacerowali po niej już żadni goście. Na granatowym gwiazdzystym niebie wisiał srebrny dysk, raz po raz przesłaniany przez lekkie chmury. Jagan poszedł kilkanaście metrów w prawo i przystanął tuż przy linii wody. Chwilę nasłuchiwał i rozglądał się uważnie, a gdy uznał, że nikogo nie ma w pobliżu, rozebrał się do naga. Ubranie, pistolet i ręcznik starannie zawiązał w dwie torby, tak jak na szkoleniu, i włożył do trzeciej, którą potraktował jak plecak. Wsunął się cicho do wody i zaczął płynąć. Chmury jak na rozkaz zasłoniły księżyc.

Tysiąc dwieście metrów do drugiego brzegu. W sam raz na rozgrzewkę – pomyślał bez śladu ironii. Cudowna woda! Poczul, jak naprężył się smok, który nigdy dotąd nie pływał.

Spokojnie, spokojnie! Jesteś ze mną!

Nie wkładał w tę czynność wysiłku, bo chciał się zrelaksować przed tym, co wkrótce będzie robił. Musiał ostudzić podniecenie i wypłukać resztki alkoholu. To miał być najważniejszy dzień w jego życiu, więc żadna improwizacja nie wchodziła w grę, a tym bardziej pomyłka czy słabość. Odpocznie potem i niech się dzieje, co chce. Mam to gdzieś! – pomyślał całkowicie poważnie.

Dopłynął do drugiego brzegu w ciągu czterdziestu ośmiu minut, ale ostatnie sto metrów pokonał wolno i w absolutnej ciszy, jak na ćwiczeniach. Nocą słabo widać z wody brzeg i nie wiadomo, na co można się natknąć.

Tak jak wynikało z mapy, dopłynął do centrum. Na ulicy Nadbrzeżnej, biegnącej nad jeziorem, było pusto o tej porze. Wiedział, że jest pierwsza dwadzieścia. Gdzieś w oddali majaczyły jakieś postacie i słychać było rozbawione głosy.

Jagan schował się za drzewem, wytarł dokładnie, wycisnął kucyk i błyskawicznie się ubrał. Ulica, którą szli wczoraj, zaczynała się dwieście pięćdziesiąt metrów dalej, ale i bez tego łatwo odnalazłby dom Bogajewów.

Skorpionia niósł w plastikowej torbie, tak by bez wyjmowania mógł natychmiast strzelać. Miasto było jak wymarłe i Jagan pomyślał, że musi się ze wszystkim uporać błyskawicznie, bo huk wystrzałów obudzi połowę mieszkańców.

Gdy doszedł do wiaduktu kolejowego, zatrzymał się na chwilę i zorientował, że nie czuje żadnej emocji. Zupełnie nic. Nawet smok trwał w dziwnym bezruchu. To było dziwne, bo w obliczu wroga czy niebezpieczeństwa miał silne doznania, dzięki którym nigdy nie przegrał. To go ratowało, zawsze ostrzegało skutecznie, a teraz nic... Nie mógł tego zrozumieć i początkowo się wystraszył, że stracił swój talent, gdyż nie dość poważnie potraktował kota w Wilnie, ale w końcu uznał, że to musi być chwilowe zakłócenie i wkrótce wszystko wróci do normy.

Ruszył ulicą Sosnową po jej prawej stronie, w cieniu drzew, i stanął naprzeciwko wąskiej drogi prowadzącej do domu Bogajewów. Założył na głowę plastikową torbę z wyciętymi otworami na oczy i usta i przeszedł na drugą stronę. Na siatkę

posesji obok rzucił się ten sam pies co poprzednio, ale nie zdążył zaszczekać, bo na widok człowieka ze straszną głową, który odwrócił się gwałtownie, zaskowyczał i uciekł w krzaki.

– *Nuuu... polskąją sobaka, trus kakoj!* – powiedział z satysfakcją Jagan i rozglądając się uważnie, podszedł do bramy.

Wewnątrz było ciemno, furтка otwarta, wejście zacienione drzewami. Zbliżył się do drzwi i po cichu, delikatnie oparł się o nie plecami. Odczekał chwilę, lecz zupełnie nic nie poczuł. Zdziwiony potrząsnął głową, aż mu się torba przesunęła, i pomyślał z niepokojem, że to przecież niemożliwe. Bogajewów nie było w tym domu, był tego absolutnie pewny. Więcej – ich tu nigdy nie było! Zajrzał jeszcze przez okno i w świetle księżycy zobaczył wewnątrz dwie śpiące osoby, starą kobietę na tapczanie i mężczyznę przy stole, a przed nim pustą butelkę. Czy to możliwe, żeby rosyjski wywiad tak spartolił robotę?

Coś mi nie gra – przeleciało mu przez myśl – przecież wyraźnie czułem, że oni gdzieś tu są, niedaleko.

Miał wrażenie, że zaraz się rozpłacze albo kogoś zabije. Chociażby tego psa. Wydawało mu się, że rozdziera go wściekłość. Na Popowskiego, Batyszkina, Władimira Władimirowicza, na cały rosyjski wywiad i na samego siebie też.

– To jednak nie może być koniec – powiedział na głos.

Zdjął worek z głowy i ruszył z powrotem. Zaczynało świtać.

Szkoda było wódki – pomyślał.

Przeszedł obok siatki, ale pies się nie pokazał.

– Szkoda, że nie mogę z tobą jechać, ale sam widzisz. – Sara wskazała na opuchnięte oko. – Wyglądalibyśmy razem jak damski bokser i jego ofiara, a nie jak oficerowie wywiadu.

– To wcale nie jest śmieszne – odparł Konrad, wyprostował się i dodał: – Spakowałem się. Gotowe.

Sara leżała na kanapie przykryta pledem.

– Pojadę z tobą na lotnisko, a potem do domu...

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – Usiadł w fotelu obok.

– Nie chcę.

– Możesz przecież zostać u mnie, mówiłem ci. – Poglądził ją po włosach. – To też twój dom...

– Nie chcę tam wracać – wyszeptwała. – To już nie jest moje miejsce... i nigdy nie będzie. – Zaczęła pociągać nosem. – Nigdy już nie będę się tam czuła bezpiecznie, straciło swoją intymność, przestało być moim azylem.

– Cały blok już wie o tobie – wtrącił. – Zafundowaliśmy lokatorom nie lada przedstawienie. Długo nas będą pamiętać. Choćby z tego powodu nie możesz tam wrócić. Zostaniesz na noc u mnie. Wracam za dwa dni, do tego czasu uspokoisz się i znajdziemy dla ciebie coś nowego. Ewa pojedzie na plac Wilsona i przywiezie ci wszystko, czego potrzebujesz. Zresztą znajdziesz u mnie wszystko, no... prawie. – Uśmiechnął się. – Wiesz, gdzie co jest. – Nie przestawał gładzić jej po głowie. – A może... może zostaniesz u mnie... na zawsze... co? – rzucił niespodziewanie trochę żartobliwym tonem, ale od razu można było wyczuć, że w tej naiwnej propozycji jest coś głęboko osobistego i szczerzego.

Aż sam się zdziwił, że złożył tak emocjonalną deklarację, i zrobiło mu się miło, że w końcu zdecydował się na ten krok. Bo chciał, żeby tak było. Chciał jeść z Sarą śniadania, pić kefir i patrzeć, jak się ubiera. Nie chciał być dłużej sam, chciał być z nią i tylko z nią. Żadnej kobiety nie poznał lepiej, bo Sara zawładnęła całym jego życiem, była w każdym zakamarku jego wolnej przestrzeni, na jawie i w snach, z jego woli i za jego zgodą.

– Nie żartuj sobie teraz – odparła po dłuższej chwili, bo musiała ochłonąć po tym, co usłyszała, i upewnić się, czy to może być prawda. – Zostanę tylko do twojego powrotu – powiedziała bez przekonania, ale niczego nie pragnęła bardziej, niż zostać u Konrada na zawsze. Mieć mężczyznę takiego jak on, który co prawda przygryza wargę, ale daje ciepło i poczucie bezpieczeństwa, żyć wśród jego przedmiotów, ubrań, czuć codziennie zapach jego ciała i móc się do niego przytulać.

Głaskałby mnie tak codziennie, kiedy tylko bym chciała, a nie wyłącznie wtedy, gdy dostanę w dziób – pomyślała. Miałabym w nosie niezycziwego szefa, którego nigdy nie ma, nieudolnych koleśków zastępców i prokuratora z ambicjami... Może przeszedłabym na emeryturę... i może jakieś... dzieci... może...

Miłe myśli nabierały barw, gdy w przedpokoju zadzwoniła komórka. Skończyło się głaskanie. Konrad poderwał się nerwowo i niemal po nią pobiegł. Wrócił, przyciskając ją do ucha i raz po raz powtarzając: tak, rozumiem, dobrze. Wyraz jego twarzy i przeciągłe spojrzenia mówiły Sarze, że coś się stało, więc usiadła przezornie i czekała.

– Znaleźli kaburę od pistoletu Safira – oznajmił, gdy tylko się rozłączył. – W małym jeziorze kilka kilometrów na wschód od Szczytna. Spłonął tam też domek letniskowy, ale nie wiadomo jeszcze, czy to ma z nim jakiś związek. Sprawdzają. M-Irek wracają do Warszawy jutro. Safir as-Salam wciąż się kryje. – Pokiwał wymownie głową i rozłożył ręce w geście bezradności.

– Szkoda – wyrzuciła z siebie Sara, ale nie wyglądała na specjalnie zasmuconą.

Było jej obojętne, co się stanie z Safirem. Nie miała na to wpływu i nie chciała mieć. Wolałaby jak najszybciej zapomnieć o tej sprawie i zająć się Konradem, który – choć niezdarnie – w końcu się zdeklarował.

Cóż może być teraz ważniejszego? – pomyślała z nadzieją.

Konrad wyszedł do łazienki i wtedy w jego komórce zadzwęczał SMS. Spojrzała: to taksówkarz powiadał o swoim przybyciu. Zrobiło jej się smutno. Jasne było, że Konrad musi już jechać na lotnisko, jednak świadomość, że zaraz wyjdzie z domu, a ona zostanie sama z niedokończoną

rozmową, powodowała, że czuła się jak porzucona. Jakby los potraktował ją niesprawiedliwie, choć mógł jej przecież coś dać. Poczowała, jak wraca ból głowy, więc położyła się z powrotem na kanapie i upuściła małą leżkę.

– Będziemy w kontakcie, dobrze? – powiedział ciepło Konrad i przysiadł obok. – Dbaj o siebie... i czekaj na mnie.

Pogładził ją po głowie, ale Sara leżała odwrócona tyłem, więc pochylił się i pocałował ją w kącik ust. Chwyciła go ręką za szyję i z całym siłą przycisnęła do siebie.

– Będę! Będę czekała! – wyszeptwała i jak mała dziewczynka wtuliła twarz w poduszkę.

Michaił Popowski siedział w pokoju ciszy nad sprawą „Pająk” i studiował uważnie oba raporty – Witalija Bobriukowa z Warszawy i Andrieja Batyszki z Mrağowa – które kilka godzin wcześniej wpłynęły do Centrali. Czytał uważnie każde zdanie, słowo, badał kontekst, opisany czas i miejsce, uzasadnienie i konstrukcję wniosków. Wszystko podlegało wnikliwej ocenie, analizie i porównaniu.

Minęła północ i w Jaseniewie siedzieli o tej porze tylko maruderzy i dyżurni, z wyjątkiem Popowskiego, który nie był ani jednym, ani drugim. Rano wyjeżdżał do Wilna na spotkanie z Konradem i musiał wiedzieć, co się zdarzyło w Polsce. Jego misja była niezwykła i liczył się każdy przecinek. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że mucha wpadła w pajęczynę. To był jego życiowy sukces. Tyle czasu, tyle przynęt, tyle pracy – i w końcu wpadła. Dlatego trzeba było kuć żelazo póki gorące i odważnie iść do przodu.

Siedział w dużym skórzanym fotelu, w koszuli z podwiniętymi rękawami, bez krawata, z rękami założonymi za głowę i nogami na stole. Patrzył na sufit, gdzie drgała zepsuta jarzeniówka, i zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do generała Lebedzia i poinformować go o swoim odkryciu, czy też jeszcze zaczekać.

Po „nocy generałów”, jak nazywał ostatnią naradę, im dłużej zastanawiał się nad przebiegiem tego spotkania, tym więcej miał wątpliwości. Nie mógł uwierzyć, żeby Lebedź mógł z premedytacją uczestniczyć w tym spisku. Było jasne, że

pomysł generałów na odbudowę ZSRR w Rosji przy pomocy Korei Północnej i islamskich terrorystów musi doprowadzić do nieszczęścia. Cynizm nie może być naszą cechą narodową – uważał. Z powodu gazu i ropy nie wolno kłaść na szali dumy Rosji.

Miał nadzieję, że generał zdoła wytłumaczyć Władimirowi Władimirowiczowi bezsens tego pomysłu, mimo że musi nieustannie walczyć z Krugłowem, który przy wsparciu kremlofskich koterii śmiało naciera na Jasieniewo.

Zresztą teraz i tak wszystko w moich rękach – stwierdził w duchu. Zdecyduje rozmowa z Wolskim. Łatwo mogę zatopić kremlofską bładź, Krugłowa, i ukrećić łeb tym pomysłem. Może generał ma związane ręce i nie będzie mógł nic zrobić, ale ja mogę... na pewno! Jeżeli nic z tej operacji nie wyjdzie, nasz wywiad nie ucierpi i obronimy interes kraju, a Krugłow zatonie. Świat stanie się lepszy, na pewno!

Popowski wziął swój bezpieczny telefon komórkowy i przez chwilę ważył go w dłoni. Mógł zadzwonić teraz do generała i poinformować, że właśnie złapał „Muchę”. Lebień jutro poszedłby do Władimira Władimirowicza i oznajmił mu dobrą wiadomość, a przy okazji by powiedział, co myśli o operacji „Statek” i operacji „Superdolar”.

Jednak generał jest uwikłany w polityczne układy – pomyślał – więc nie ma pewności, że zrobi tak, jak powinien. Nie ma pewności, czy w ogóle to robi. To ja muszę podjąć decyzję za niego i najlepiej, żeby nawet o tym nie wiedział. A „Muchę” podam na tacy zaraz po powrocie z Wilna.

Uśmiechnął się do siebie, odłożył telefon na stół i z głośnym trzaśnięciem zamknął teczkę z napisem: *Dielo – Pauk*.

Czas do domu. Jutro ważny dzień!

Wstał, przeciągnął się i zaczął zbierać dokumenty.

O trzynastej prom Scandinavia przybił do portu w Nynäshamn i po piętnastu minutach wyjechał z niego nissan navara na olsztyńskich numerach. Nie było gorąco, ale świeciło ostre słońce i wszyscy jak na komendę założyli ciemne okulary. Samochody posuwały się powoli jeden za drugim i skręcały w prawo, zgodnie z drogowskazem, w kierunku Sztokholmu.

Za kierownicą siedział Safir i zamiast w prawo skręcił w lewo. Nie pierwszy raz przyplłynął do Szwecji tym promem i wiedział, gdzie się musi teraz udać. Przede wszystkim należało kupić karty SIM do Internetu i telefonu. Chciał też, żeby oddaliła się kolumna samochodów na polskich numerach ciągnąca trasą numer 73 do Sztokholmu. Zawsze było ryzyko, że szwedzka policja zechce kogoś skontrolować.

Dojechali Nynäsvägen do stromej Centralgatan i po skarpie wjechali do centrum miasteczka. Bogajewowie rozglądali się z zainteresowaniem, komentując wszystko po czeczeńsku. Skalista Szwecja budziła w nich miłe wspomnienia, bo trochę przypominała Kaukaz.

Safir zaparkował na Floravägen i poszedł do PhoneHouse kupić karty. Dwie do Internetu i trzy telefoniczne. Wrócił po piętnastu minutach i odjechali tą samą drogą, w dół do Nynäsvägen, a potem skręcili w prawo. Chciał znaleźć miejsce, gdzie mógłby spokojnie załadować karty i zatelefonować, nim ruszy do Sztokholmu.

Przejechali wąską drogą obok wypełnionej łodziami mariny i wjechali na Strandvägen, ciągnącą się malowniczo nad samym brzegiem atramentowego morza. Po chwili szosa zaczęła się wić coraz bardziej i wznosić między skałami. W końcu Safir znalazł odpowiednie miejsce i zaparkował samochód. Przeszli na drugą stronę i wąską ścieżką wspięli się na wysoką skałę, z której rozpościerał się widok na otwarte morze. W dole, na kamiennej plaży nad zatoczką, biwakowała jakaś rodzina z dziećmi.

Internet zaskoczył od razu, sygnał był bardzo silny. Na ekranie pojawiła się aplikacja SafeTribe. Safir otworzył ją i wpisał:

„Mirmillo do Gala. Jestem w Szwecji, potrzebuję natychmiast twojej pomocy i schronienia dla pięciu osób”. Zasyfrował wiadomość i od razu wysłał.

Następnie włożył kartę do zwykłego telefonu Nokia, z pamięci iPhone'a wybrał numer w Belgii, napisał SMS-a: „Ted Kelly?” – i wysłał. Oba telefony położył obok siebie na skale.

Siedzieli w ciszy, wpatrując się w morze. Wyglądali jak zwyczajni młodzi ludzie, którzy przyjechali cieszyć się przyrodą i za chwilę pewnie rozpalą grilla, a potem będą się kąpać w morzu. Ale Bogajewowie tylko tak wyglądali, bo nie na świecie nie mogło zatrzeć w ich wspomnieniach obrazów wojny, śmierci i okrucieństwa. Te chwile na skale w cichej, czystej i kolorowej Szwecji wydawały im się tak piękne, że nie mogły być prawdziwe.

Safir patrzył na nich jak na wojowników Allaha, prawdziwych bohaterów, którzy wkrótce w szeregach Al-Kaidy stoczą walkę o lepszą przyszłość dla wiernych i niewiernych.

Pierwszy odezwał się iPhone. „Od 16 czekam na Järnvägsgatan 44, Sundbyberg – Gal”. Safir odczytał wiadomość i schował telefon. Wyjął GPS i wpisał adres. Mieli godzinę na dojazd. Postanowił poczekać jeszcze chwilę na odpowiedź od Teda i zaraz potem jechać, bo spodziewał się korków w mieście.

Spojrzał na nokię, która w tej samej chwili zadzwoniła, jakby wywołana do odpowiedzi. Numer się nie wyświetlił. Safir odczekał dwa sygnały, zanim dotknął przycisku z zieloną słuchawką.

– Tak? – zapytał po angielsku.

– Ted Kelly – odpowiedział głos. – Dzisiaj o dwudziestej trzeciej w marinie przy Stocksunds Hamnplan. Zapamiętasz?

– Tak – odparł Safir i rozmowa się zakończyła.

Wyjął kartę SIM z telefonu, przełamał ją i rozgniół butem. Aparat rzucił daleko w morze.

– Jedziemy – oznajmił i Bogajewowie podnieśli się posłusznie.

– Zobaczycie Sztokholm, ładne miasto. Spotkamy się z moim przyjacielem. Znam go od lat. On nam pomoże, można mu zaufać. To Szwed, nie zna polskiego ani czeczeńskiego, ani rosyjskiego, więc nie będziecie mogli z nim porozmawiać.

Chyba że ja będę tłumaczył. On nic o nas nie wie, ale jest po stronie dżihadu, walczy z Amerykanami i Izraelem.

Pokiwali głowami na znak, że wszystko jasne, i ruszyli do samochodu.

Dojazd do Sundbybergu, tak jak się Safir spodziewał, zajął im prawie półtorej godziny. GPS poprowadził ich przez największe korki w mieście. Postawili samochód na parkingu przy torach kolejowych, dokładnie naprzeciwko domu z numerem 44. Nie mogło być pomyłki. Safir spojrzął na zegarek. Do szesnastej zostało piętnaście minut, więc wysiadł, by się rozejrzeć, czy Claes w swoim białym garbusie nie czeka już gdzieś w pobliżu. Poszedł w lewo wzdłuż zaparkowanych samochodów. Na stumetrowym odcinku naliczył cztery pikapy, busy i półciężarówki na polskich numerach, wyglądające na własność firm budowlanych. Stary nissan navara ze swoją maskującą paką pasował tu idealnie. Safir aż się uśmiechnął z satysfakcją.

Nie minęło pięć minut, gdy zobaczył zbliżającego się z lewej strony garbusa. Jak na tak stary samochód jechał nadzwyczaj szybko i wyglądało na to, że Gal jest mocno pobudzony.

Przywitali się serdecznie.

– Ale niespodzianka! – odpałił od razu Claes. – Czekałem na lotnisku...

– Mam kłopoty, Gal – przerwał mu zdecydowanie Safir. – Musisz mi pomóc.

– Pewnie! Jasne, Karol... Mirmillo! Przecież wiesz! – Claes sprawiał wrażenie gotowego na wszystko. – Psy Niewierne! *Hasta la victora siempre!* – wyrecytował ich internetowe zawołanie. – A... mówiłeś, że jest was... pięć osób. – Zrobił zdziwioną minę.

– Siedzą w samochodzie. – Safir wskazał głową nissana. – U ciebie wszystko w porządku? Policja? Säpo? Nikt cię nie podchodził?

– Eee... co ty, Karol! Czysty jestem! Cisza i spokój! Nasz projekt jest już prawie ukończony! – Claes wyduł usta. – Możemy odpalać próbną wersję. Jesteśmy gotowi, wszyscy, całe plemię! Ja pierrr... jak to dobrze, że już jesteś! – Klepnął

Safira kordialnie po ramieniu.

– Dobrze, dobrze, zajmiemy się tym wkrótce, ale teraz...

– Aaa... tak, tak! Schronienie! Oczywiście!

Gal wykazywał nadmierną pobudliwość i Safir się zaniepokoił, czy aby wszystko jest w porządku i gdzieś w pobliżu nie czai się policja. Rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. W końcu Gal sam wyznaczył miejsce spotkania i gdyby zdradził, wszyscy już dawno leżeliby na ziemi – pomyślał z ulgą i wydało mu się, że jest trochę przewrażliwiony. Miał ku temu ostatnio wystarczające powody.

– Noo...?

– U mnie.

– To znaczy?

– Póki nie znajdziemy czegoś lepszego, w moim mieszkaniu na Strandvägen...

– Aaa... tak.

– Miejsca jest dosyć, prawie czterysta metrów, i mieszkam sam.

– Gdzie to jest?

– W centrum miasta. No?

– Prowadź. Jedziemy za tobą.

Safir był pewien, że Claes się pomylił i chciał powiedzieć „czterdzieści metrów”, a może to on się przesłyszał.

Tak czy inaczej sześć osób na czterdziestu metrach? Jakiś czas pomieszkamy, zdąży jeszcze coś znaleźć. Doceń to, Safir! – pomyślał z uznaniem i wszedł do samochodu.

Zaparkowali z tyłu domu na Torstenssonsgatan, przy małym skwerku zamykającym wylot ulicy. Safir poznał Claesa z Rustamem. Bliźniacy i Amina zostali w samochodzie.

Kiedy weszli do budynku, Rustam tylko rozejrzał się obojętnie, lecz Safir zaniemówił ze zdumienia. Nigdy nie widział tak eleganckiej klatki schodowej w tak starym domu. W ogóle nigdy nie był w takim domu. Marmurowe schody, sztukateria i antyczne malowidła, a wszystko jakby zrobione dopiero wczoraj. Bogactwo klatki schodowej zapowiadało, że za drzwiami mieszkań musi się kryć jakaś bajka. Nie wiedział jeszcze, że to były schody dla służby. Od razu pomyślał, że Claes

musi tu chyba wynajmować pokój i skuteczne ukrycie Bogajewów będzie wątpliwe. Już nawet chciał mu powiedzieć, że powinni poszukać czegoś innego, ale postanowił się powstrzymać, dopóki się nie upewni.

Gdy podeszli do drzwi, Safir i Rustam jednocześnie zadarli głowę. Nigdy nie widzieli, by drzwi miały ponad trzy metry wysokości i były tak pięknie zdobione.

Chwilę później, kiedy Claes pokazał mu mieszkanie, Safir nie mógł uwierzyć, że jeden człowiek może żyć w czymś tak imponującym. Nie wyobrażał sobie wspanialszego miejsca na kryjówkę oddziału Braci Czystości niż dom Claesa von Utrechta. Niestety, było to jego oficjalne mieszkanie i Safir uznał, że następnego dnia będą musieli poszukać czegoś innego. Ryzyko było zbyt duże. Zdjęcie i dane Safira miała już cała europejska policja. Z tym mógł sobie jeszcze przez jakiś czas poradzić, ale prędzej czy później pętla się zaciśnie. Jego wielką nadzieją były teraz Cztery Źródła, o których istnieniu nikt nie wiedział.

Mimo wszystko Safir czuł przypływ entuzjazmu, bo w ostatnich dniach wbrew przeciwnościom losu Allah szczerze uchylał mu nieba.

Aslan i Szamil wnieśli na górę skrzynki z bronią i amunicją, a Amina i Rustam torby z rzeczami osobistymi. Gdy tylko ochłonęli po pierwszym wrażeniu, powoli rozeszli się po przepastnym mieszkaniu i Claes musiał pomóc Safirowi ich odnaleźć.

Zebraли się w ciemnej jaskini komputerowej Gala, gdzie oprócz starej lampki tylko monitory dawały światło. Claes zaproponował wszystkim kawę, ale nikt nawet nie zareagował. Usiedli, gdzie kto chciał, miejsca było dużo. Safir zasiadł w dziewiętnastowiecznym fotelu, co Claes uznał za zaszczyt. Popatrzył na swojego misia Jaśka Bukowskiego, który zwykł na nim siadać, i z jego spojrzenia od razu wyczytał, że myśli podobnie. Uwagę młodego von Utrechta przyciągała teraz głównie Amina. I Jasiak też to zauważył.

Claes nie widział jeszcze tak pięknej kobiety. O tak pięknym imieniu, takich oczach, cudnych ustach i piersiach, rękach, smukłych nogach. Swoim wyglądem, każdym ruchem,

spojrzeniem spełniała jego ideał piękna. Ale kiedy Safir powiedział, że Amina jest dowódcą kaukaskiego oddziału partyzanckiego walczącego z Putinem i Ameryką, Claesowi się zdało, że do mieszkania na Strandvägen zstąpiła najprawdziwsza Nemezis.

Jak piękna może być walka o wolność! – pomyślał z głębokim przekonaniem i zbiegł po schodach na dół. Pod dowództwem Aminy był gotowy na każdą śmierć, cierpienie, przytapienie, cokolwiek. W końcu wypełniło się przesłanie Alejandra, *conserje* z Almuñécar.

Wsiadł na swój norweski rower i pojechał do Ciao Ciao Grande na Storgatan 11 odebrać sześć pizz, które zamówił przez Internet. Pięć vegetarian po siedemdziesiąt pięć koron sztuka i swoją ulubioną mafioso z pieprzem cayenne za osiemdziesiąt pięć koron. W dzielnicy Östermalm wszystko było najdroższe, ale pizza nie, bo cieszyła się dużym wzięciem wśród yuppich i podupadłej arystokracji. Pierwsi nie mieli czasu na gotowanie, drugim brakowało umiejętności. Dlatego w Ciao Ciao Grande niełatwo było o stolik.

Tego dnia pizzę wydawał mu siwy Zoran z Sarajewa i od razu zapytał:

– Jakieś przyjęcie, Claes?

Sześćset metrów dzielące lokal od domu młody von Utrecht pokonał w iście cyrkowym stylu, trzymając kierownicę jedną ręką i sześć kartonów na drugiej. Jechał szybciej niż zwykle, bo bardzo mu zależało, żeby Amina dostała jeszcze ciepłą pizzę.

Konrad dostał pokój numer 56, a Michaił 59 w Radisson Blu Astorija na Starym Mieście w Wilnie i żadnemu nawet nie przyszło na myśl, że mogli się zatrzymać w tym samym hotelu, i to na tym samym piętrze.

Byli umówieni o czternastej w restauracji René na ulicy Antokolskio 13, w dawnej dzielnicy żydowskiej. Restaurację wybrał Michaił, bo była czterysta metrów od hotelu, a Konrad hotel Radisson, bo był blisko restauracji.

Mimo że dojście do niej zajmowało ledwie kilka minut, Konrad wyszedł z hotelu czterdzieści pięć minut wcześniej, a Michaił pięćdziesiąt.

Konrad miał na sobie jasną koszulkę polo i brązowe spodnie. Zatrzymał się, rozejrzał i po chwili ruszył w prawo. Nie wiedział, że pięć minut wcześniej Michaił, w ciemnej koszulce i jasnych spodniach, zrobił dokładnie tak samo i poszedł lewo.

Wąska brukowana uliczka Antokolskio, ładnie odrestaurowana, z dwupiętrowymi kamienicami i drewnianymi okiennicami na parterze, miała niepowtarzalny urok dawnej żydowskiej dzielnicy. Konrad szedł od południa, a Michaił od północy i dostrzegli się już z daleka.

Spotkali się pod łukiem łączącym domy po obu stronach uliczki, przed wejściem do restauracji René.

– Belgijska restauracja w Wilnie? Dobrze wybrałeś? – zainteresował się Konrad.

– Musimy dokończyć naszą rozmowę z Brukseli i rozpocząć nową. Nieprawdaż, Radecku? – Popowski jak zwykle położył mu rękę na ramieniu i weszli do środka.

Czysty, przyjemny lokal składał się z kilku sal. Stoliki były nakryte papierowymi obrusami, na których stały puszki z ołówkami. Ściany odsłaniały starą czerwoną cegłę i czuć było, że przez wieki musiał się tu mieścić jakiś żydowski warsztat.

Od razu podeszła do nich młoda kelnerka o litewsko-polsko-rosyjskiej urodzie, w spodniach na grubych szelkach i w meloniku.

– Chcemy zjeść, wypić i spokojnie porozmawiać – oświadczył

uprzejmym tonem Misza i kelnerka imieniem Zuzanna poprowadziła ich w głąb restauracji do oddzielnej sali. Położyła na stole menu i zapytała, co podać do picia.

– Pszeniczne, białe... – Misza spojrzał porozumiewawczo na Konrada. – Blanche de Bruges? Macie?

– Oczywiście – odparła Zuzanna.

– Od tego zaczniemy – stwierdził Popowski i usiadł. – Jak się nazywa ta restauracja w Brukseli, gdzie jedliśmy żeberka?

– Aux Pavés de Bruxelles – odparł natychmiast Konrad.

– Zapomniałem nazwy, a powinienem pamiętać. – Misza popatrzył na niego z lekką ironią. – Sporo się zmieniło dzięki tej naszej rozmowie.

Konrad nic nie odpowiedział, lecz zrobił minę wskazującą na lekkie zdziwienie.

– No... nie w Rosji. W Polsce, oczywiście. Macie nowy rząd... – urwał w pół zdania i zapytał: – Lepszy? A nowy prezydent... jak?

– Misza, odpuść! Po to chciałeś się spotkać?

Konrad uciął wątek, bo wiedział doskonale, że Popowski próbuje ustawić się w rozmowie i myśli, że to on reguluje życie polityczne w Polsce. Tymczasem jeżeli nawet afera Rupertów przemodelowała polską demokrację, to jednak w sumie wzmocniła kraj, odsuwając od władzy Partię Brzydkich i osłabiając politykę historyczną. W tym punkcie interes Konrada był zbieżny z interesem Popowskiego, chociaż on o tym nie wiedział. Nie wiedział też, że dymisja generała Pęka uratowała Konrada przed odejściem ze służby, ale to był skutek uboczny.

– Co? To przecież ważne – nacierał Misza.

– Dobrze – wtrącił Konrad. – Jeżeli uważasz, że cała wasza operacja z Rupertami, „Hookiem” i „Baobabem” czy jak tam ich nazywaliście, była realizacją boskiego planu usunięcia Zielińskiego i rządu, to niech ci będzie. Śpij smacznie i śnij kolorowo, ale na mnie to nie działa. Próbujesz mnie ustawiać, Misza. Po co ci to? Przejdź do rzeczy. Jaka masz do mnie sprawę?

Zuzanna przyniosła dwa mleczne piwa i z gracją postawiła je

na stole.

– Po co te ołówki na stole? – Konrad wskazał na zieloną puszkę z przyborami do pisania.

– Żebyście, panowie, mogli nie tylko rozmawiać, lecz także pisać i rysować. Stąd specjalne papierowe obrusy. Klienci nasi czasami zostawiają na nich bardzo udane rysunki, nowe wzory matematyczne, wiersze, plany budowy... Zachęcam! – Uśmiechnęła się miło, uchyliła melonika i znikła.

– Dobry pomysł – rzekł Konrad i zwrócił się do Miszy: – Zaczynaj, tylko nie od historii mojej rodziny. – Pociągnął długi łyk piwa.

– Okay – odparł Popowski i też pociągnął piwa, nawet więcej niż Konrad.

Misza wydawał się jakiś dziwny, zupełnie inny niż podczas ich ostatniego spotkania. Wtedy był zdecydowany, wyrazisty, wiedział, co mówi, i wszystko miał dobrze przemyślane, jak na profesjonalistę przystało. To się nie tylko dało łatwo wyczuć, to po prostu było widać w każdym jego geście i słowie. Taką postawę Konrad lubił najbardziej, bo była przewidywalna i nie miał problemów z określeniem, o co chodzi. Tym razem Popowski zaczął od naiwnej ustawki i aż trudno było uwierzyć, że to zaplanował. Był na coś takiego stanowczo za dobry.

– Mam do ciebie dwie, może trzy sprawy – zaczął, zaglądając do szklanki z piwem, i zaraz zamilkł. – Wypijemy po wódeczce? Jakoś potrzebuję motywacji. – Zabrzmiało to niezwykle szczerze, jak jeszcze nigdy dotąd, i nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości, że Popowski robi coś wbrew sobie i że zaraz padną jakieś ważne słowa.

– Pewnie – odparł Konrad.

W tym momencie jak spod ziemi pojawiła się Zuzanna i z szerokim uśmiechem zapytała, czy już coś wybrali.

– Na razie poprosimy po dwie wódki, dwa razy rosyjska, dwa razy polska.

– Taaak... hm... hm... – mruczał Misza i pociągał piwo, aż opróżnił szklankę, ale Konrad go nie popędział i spokojnie czekał.

Taki Rosjanin jak Michaił Popowski odporny był na naciski,

więc Konrad też wypił piwo, żeby było po równo i solidarnie. Tyle mógł zrobić w tej chwili.

W końcu nie wytrzymał, bo to mruczenie zaczynało go denerwować.

– Jaki masz problem? – zapytał. – W czym ci mogę pomóc?

– To nie tak – odezwał się Misza. – W jednej sprawie to ja chciałem wam pomóc, a w drugiej chciałem, żebyście wy pomogli nam. No i nie wiem, od czego mam zacząć, żeby nie wyszło...

– Misza, nie zalewaj. Jakbym cię nie znał! – wtrącił Konrad. – Nie wierzę, że przyjechałeś nieprzygotowany. Ech... *szutisz, parień!*

Zachowanie Popowskiego trudno było uznać za działanie z premedytacją. Było w nim coś naiwnego, dziecinnego, typowego dla improwizacji. Konrad widział to dobrze i był pewny, że Misza wcale się nie kryje i chyba nie ma żadnego planu. Rosjanin, który nie patrzy prosto w oczy, na pewno chce zrobić coś złego – pomyślał.

Na szczęście na stoliku pojawiły się cztery kieliszki wódki i rozładowały atmosferę. Konrad zamówił jeszcze dwa piwa. Często tak się zdarzało, że podczas ważnych spotkań, kiedy rosło napięcie i nie było wiadomo, co się stanie, organizm odmawiał jedzenia i żywił się tylko alkoholem. Ale w pewnym momencie następował przełom i można było zacząć jeść. Na razie ten moment jeszcze nie nadszedł, więc wypili po kieliszku, wciąż zwlekając z zamówieniem jedzenia.

– Zaczynam się nudzić, Misza. Zrób coś! – Konrad próbował pomóc wódce w rozluźnieniu atmosfery.

– Przebywa u was czeczeńskie rodzeństwo – zaczął Misza i Konrad już wiedział, o co chodzi. – Jest ich czworo, nazywają się Bogajewowie. Radek?

– Co?

– Nie nagrywamy. To nie jest potrzebne.

– Ja nie nagrywam. I co? U nas jest sporo Czeczenów.

– Wiem, ale ci nie są tacy jak inni.

– Co przez to rozumiesz?

– To najczystsza Al-Kaida. Są wyjątkowo niebezpieczni.

Przeszli szkolenie w oddziale Muhamedowa na Kaukazie i zostali przerzuceni do Polski pod fałszywymi nazwiskami. To dziewczyna i trzech chłopaków, w tym dwaj bliźniacy. – Popowski wyciągnął kartkę. – Nazywają się teraz Eliza Ahmadow, Husajn Gujew i Szamil Asłanow, ale ten ostatni to dwie osoby.

Brawo, Marcin! Miałeś nosa z tymi bliźniakami – pomyślał uradowany Konrad.

Jednocześnie nabrał szacunku do Miszy. Tak jak przypuszczał, Popowski nie wypuściłby do Polski terrorystycznego komanda, był na to za uczciwy.

Od tej chwili wszystko, co powie, będzie miało podwójną wartość. Jeśli oznajmi, że ma agenta w naszym MSW, to uznam, że sam pracuje dobrowolnie dla polskiego wywiadu – przeleciało mu przez myśl i uśmiechnął się w duchu.

– Naprawdę nazywają się Amina, Rustam, Szamil i Asłan Bogajewowie...

– Skąd to wiesz?

– Konrad... – Misza popatrzył z politowaniem. – Wszystko ma swoje granice.

– I co dalej? Mają na celowniku coś czy kogoś w Polsce?

– Tego akurat nie wiemy. Powiedziałbym przecież.

– Właściwie dlaczego mi to mówisz? Przydałyby się jakieś dowody... coś na potwierdzenie.

– Ja pierrr... Konrad! – obruszył się Misza. – Gdyby wam wysadzili jakiś dom w Warszawie albo metro... cokolwiek, to Polacy odwróciliby się od prawych czeczeńskich bojowników i pognali ich z Polski. Nie sądzisz? – Zawiesił głos. – A my byśmy na tym tylko skorzystali. Ruszylibyśmy media i wyszlibyście na dupków. Nie mam racji?

– Coś w tym jest, ale lekko zajeżdża od ciebie moskiewską arogancją.

– Bogajewowie to sieroty wojenne, mocno doświadczone przez los. Są zindoktrynowani przez islamistów i całkowicie zdeterminowani. Zrobią wszystko, co im każą. Jak trzeba będzie uderzyć w Polaków, to uderzą, chociaż ich głównym wrogiem są, rzecz jasna, Rosjanie. – Spojrzał Konradowi

prosto w oczy. – Zginą niewinni ludzie. My w Rosji wiemy coś o tym.

– Misza, czy to jest oficjalna wiadomość?

– Nie. – Popowski wymownie pokręcił głową. – Teraz rozumiesz? Dam ci coś więcej – dodał i wyciągnął z kieszeni karteczkę, na której były zapisane dwa rzędy cyfr. – To są współrzędne geograficzne. Jeszcze dwa dni temu przebywali tam Bogajewowie. Nie pytaj, skąd to mamy... *Sowerszenno sekretno*. Wrzucić do komputera i znajdziesz. To kilka kilometrów na wschód od Szczytna. Wczoraj około trzynastej Bogajewowie opuścili to miejsce i przenieśli się do Gdańska, gdzie sygnał znikł około osiemnastej w okolicy ulicy Przemysłowej...

– Słuchacie nas? – wtrącił Konrad, świadomy naiwności pytania.

– A wy nas nie?

Roześmiali się obaj. Po raz pierwszy tego dnia.

Konrad wziął kartkę, uważnie przepisał współrzędne i wysłał je mailem do M-Irka z poleceniem natychmiastowego ustalenia miejsca.

– Zaraz sprawdzimy. Jeżeli pozwolisz.

– Rozumiem, że to ma być zabawne? – Misza był złośliwy. – Pozwolę, ale mógłbyś być bardziej wyluzowany...

– Żartowałem.

– No to teraz najciekawsze w tym pakiecie tematycznym. Macie problemy z niejakim Karolem Hamondem, konwertytą z Al-Kaidy, czyli Safirem as-Salamem. Nieprawdaż?

– Oglądasz polską telewizję. Jesteś na bieżąco...

– Bogajewowie są pod opieką tego Safira – oznajmił niemal uroczyście Popowski, obserwując Konrada, który w ułamku sekundy zamienił się w figurę woskową.

– Powtórz!

Ale Popowski wcale nie musiał powtarzać. Pokiwał tylko znacząco głową.

Było oczywiste, że Konrad się nie przesłyszał. To, co powiedział Misza, mogło wyjaśniać, dlaczego Safirowi udało się wymknąć obławie. Miał współników.

– Ale... ale, Misza. Muszę cię o to zapytać... Co wy z tego będziecie mieli?

– Przecież walczymy z terroryzmem. Nie słyszałeś? – odparł z ironią Popowski.

– Skąd to wiesz? Źródło! Uwiarygodnij chociaż! – nalegał Konrad. – Znasz zasady, Misza.

– Pewnie cię nie zaskoczę, ale są u nas tacy, którym zależy na... powiedzmy, eskalacji problemu czeczeńskiego. Są tacy, którzy nie są zadowoleni, i to z bardzo różnych powodów, że wojna się skończyła...

– Wiemy o tym. Misza! Źródło! – nie ustępował Konrad.

Popowski wyjął ołówek z puszki i chciał już coś napisać na obrusie, kiedy zorientowali się, że przed nimi stoi nowe piwo i niewypite dwa kieliszki polsko-rosyjskiej wódki. Wypił swoją wódkę, a szklanekę z piwem przesunął i napisał: „GRU źródło Muhamedow”, po czym to zamazał. W pierwszym momencie Konrad pomyślał, że Popowski musi nagrywać, ale zaraz uznał to za bezsensowne. Z tego, co napisał, wynikało niezbitcie, że GRU ma swoje źródło w oddziale, o ile nie jest nim sam Muhamedow.

Wcale bym się nie zdziwił – pomyślał.

– To ci musi wystarczyć. Doceniasz? – zapytał Misza.

– Doceniam – odparł Konrad i wiedział, że już nic więcej się nie dowie, bo choć GRU i SWZ czasami ze sobą konkurują i nie zawsze chodzą tymi samymi ścieżkami, to jednak jako rosyjskie służby potrafią być względem siebie lojalne.

O tym, że GRU siedzi mocno w Czeczenii, wiedział dobrze, bo od czasu do czasu wyłapywano w świecie przerzucanych stamtąd agentów.

Teraz on wypił swoją wódkę i popił piwem.

Na iPhone pojawiła się czerwona kropka w aplikacji Mail, co oznaczało, że odpisali M-Irek. Otworzył i przeczytał: „Dane, które przesłałeś, odpowiadają co do 20 metrów miejscu przy spalonym domu, gdzie znaleźliśmy kaburę Safira. Co mamy zrobić? Ściągnąć Sarę?”

Konrad odpisał: „Skontaktujcie się natychmiast z Marcelem i o wszystkim go poinformujcie. W spalonym domu mieszkali

Bogajewowie, on będzie wiedział, o co chodzi. Prawdopodobnie Safir podróżuje razem z nimi. Ostatnio byli widziani wczoraj około 18 w Gdańsku na ulicy Przemysłowej”. Wahał się przez dłuższą chwilę i w końcu napisał: „Poinformuj Sarę o wszystkim, ale niech zostanie w domu. Zadzwoń do niej później”.

– Wszystko się zgadza, Misza. Dziękuję, nie zapomnę. Idźmy w takim razie dalej. Co mała Polska może zrobić dla Rosji?

Konrad był więcej niż usatysfakcjonowany.

Awner, ty szpiegu! Jak zawsze miałeś rację – pomyślał. Ale na kobietach to się nie znasz.

– Dobrze nam idzie! – Popowski wyraźnie nabrał animuszu, oparł się wygodnie i zaczął wypatrywać Zuzanny. – Cztery wódeczki pod piwko i coś ciepłego na ząb. Mogą być nawet świńskie uszy albo cepeliny.

– Mają tu mule. Widziałem napis przy wejściu...

– Mule na Litwie? Eee... profanacja. Rzuć okiem na menu, ja wezmę to co ty.

Zanim Konrad po nie sięgnął, znów jak zaczarowana pojawiła się Zuzanna w meloniku.

– Sześć wódeczek, piwo...

– Widzę, że panowie lubią piwo – wtrąciła uprzejmie. – Proszę spróbować warzonego specjalnie dla naszej restauracji. To piwo birżajskie...

– Spróbujemy – odezwał się Popowski. – I coś do jedzenia... Co pani proponuje?

– Może królik duszony z warzywami i szafranem? Goście chwalą...

– Brzmi zachęcająco. – Spojrzał na Konrada.

Ten zaakceptował pomysł, po czym wstał i poczuł, że alkohol lekko nim zakręcił. Pomaszerował do toalety nieco usztywnionym krokiem i ze słabą już koordynacją ruchu rąk.

Wydarzenia ostatnich dni musiały odcisnąć piętno na jego kondycji. I chociaż fizycznie czuł się dobrze, to psychicznie nie mógł się pozbierać. Osaczony przez natłok wydarzeń, nie był pewny, czy za wszystkim nadąży.

Ostatnia rozmowa z Sarą, a zwłaszcza deklaracja, którą wtedy

złożył, była zaskoczeniem dla niego samego i kiedy obudził się rano w hotelu, pomyślał przez chwilę, że może powinien do niej zadzwonić i spytać, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę. A teraz jeszcze sprawa Safira i Bogajewów nabrała nowej dynamiki, i to dzięki Popowskiemu.

Umył ręce i przejrzał się w lustrze. Za chwilę Misza wystawi rachunek za Safira, ale już teraz można było śmiało powiedzieć, że tym razem zagrał fair, dając operacyjny tips, zanim o coś poprosił. Z reguły robi się odwrotnie.

Claes z myślą o Safirze wynajął nowego volkswagena golfa i zrobił zakupy dla Bogajewów. Przygotował im łóżka i wydał ręczniki. Trzy obszerne łazienki wystarczały z powodzeniem.

Szamil i Aslan zajęli się komputerem Claesa i zrobili przegląd jego gier. Rustam stał w oknie i starał się możliwie najdokładniej poznać miasto, które sprawiało na nim wrażenie bogatego i obcego, a jednocześnie tak ciekawego, że aż zapragnął wyjść. Domy, woda, skały i łodzie – nagromadzenie szczegółów wydawało się przeogromne. Amina zajęta była cichą rozmową z Safirem. Claes zaś błąkał się między nimi, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

O dwudziestej drugiej Safir wziął swoją beretę, wcisnął ją za pasek, zawołał Rustama i oznajmił, że wychodzą. Claes dał mu zapasową parę kluczy od domu i zaproponował, że z nimi pojedzie, ale Safir wziął kluczyki od samochodu i wyszedł bez słowa. Rustam podążył za nim.

Dojazd do mariny przy Stocksunds Hamnplan zajął im piętnaście minut. Mimo późnej pory wciąż było jasno. Przez następne piętnaście minut kręcili się po okolicy. Czas i miejsce spotkania wyznaczył Irlandczyk i chociaż sam był ścigany, to jednak zawsze trzeba było mieć się na baczności. Ludzie IRA mieli swoje zasady konspiracji i nigdy nie podporządkowywali się innym. Safir nie mógł się z tym nie zgodzić, bo walczyli z Anglikami długo. Czuł dla nich szacunek wymieszany z sympatią, nie tylko za celtycką wojowniczość, lecz także za wierność ideałom. Sam taki był, bo tacy byli Bracia Czystości, ale Al-Kaida mogłaby się od nich wiele nauczyć.

Wysadził Rustama wcześniej i pokazał mu, gdzie ma się ukryć. Nad samym brzegiem wąskiego fiordu, sto pięćdziesiąt metrów od mariny, na wysokiej skalnej opoce stał opuszczony drewniany kościółek, otoczony dziką zielenią i drzewami. Z tego miejsca Rustam mógł swobodnie obserwować ścieżkę nad brzegiem, po której Safir będzie spacerował z Irlandczykiem. Odległość była na tyle mała, że mieściła się w zasięgu noża.

O dwudziestej trzeciej Safir podjechał na Hamnvägen przy samej marinie i pozostał w samochodzie. Miał dobry widok na kościółek, gdzie czekał Rustam, i drogi prowadzące do marinie. Uchylił okno i nasłuchiwał. Gdyby nie pomruk miasta, panowałaby niemal idealna cisza.

Dobrze wybrane miejsce – pomyślał z uznaniem. Cóż... zawodowcy.

Pięć minut później dostrzegł wysoką, szczupłą sylwetkę i po chwili rozpoznał Teda Kelly'ego. Irlandczyk nie zauważył Safira ukrytego w samochodzie i podszedł nad sam brzeg fiordu. Nie rozglądał się, nie sprawdzał, ale czuć było fachowca.

Z pewnością ma obstawę – pomyślał Safir. Oby nie przy kościele.

Mrugnął do niego światłami. Kelly odwrócił się i dał znak ręką, żeby podszedł. Safir odbezpieczył pistolet i wcisnął go z tyłu za pasek.

- Witaj, Ted – odezwał się pierwszy.
- Witaj – odparł Irlandczyk, nie wyjmując rąk z kieszeni.
- Co słychać?
- Różnie.
- Sajed zaniepokoił się waszym telefonem.
- I słusznie.
- Rozwiązaliśmy problem z Abdulem.
- To dobrze.

Kelly odpowiadał krótko, wciąż trzymał ręce w kieszeniach i nawet nie patrzył na Safira, tylko lustrował drugi brzeg fiordu.

- Co masz dla mnie?
- Interes do zrobienia.
- Jaki?
- Dobry. Przejdziemy się? – zaproponował Kelly, bo o biznesie najlepiej jest rozmawiać, spacerując. – Mam do sprzedania coś ekstra, a właściwie do odstąpienia za darmo, ale musisz to zabrać szybko i wykorzystać zgodnie z określoną instrukcją.
- Co to jest?
- Duża, silna bombka. I właściciel życzy sobie, żeby zatonał jakiś tankowiec, najlepiej w Bab al-Mandab. Rozumiesz?
- Nie bardzo. Podaj jakieś szczegóły. To nie takie proste.

– To ładunek o sile ciężarówki semtexu, ale w pomieszczeniu zamkniętym działa ze zdwojoną siłą, jak duża torpeda morska. Macie doświadczenie w atakach na statki. Nie? USS Cole?

Ted Kelly, a właściwie Jack O'Brien, w ciągu zaledwie kilku minut wyjaśnił Safirowi, o co chodzi. Koreańczyków określał terminem „zleceniodawca” i unikał jakichkolwiek komentarzy. Nie wspomniał też ani słowem o sprawie superdolarów. Transakcja miała być załatwiona najdalej w ciągu dwóch dni, bo „towar” był już na miejscu i zaczynał grać. W rzeczywistości Jack chciał zyskać na czasie, by jak najszybciej wyjechać ze Szwecji i gdzieś się ukryć.

– A co wy będziecie z tego mieć? – zapytał w końcu Safir i dostał odpowiedź, jakiej się spodziewał.

– Nie wasz interes. Bierzesz?

– Czy ja wiem... muszę pogadać z Sajedem. To jakieś rozgrywki koncernów naftowych? Zresztą dla nas to bez znaczenia.

Safir próbował przeciągać podjęcie decyzji, choć tak naprawdę rozpieła go radość. Chciał się tylko zorientować, czy nie kryje się za tym jakiś podstęp. Szybko jednak zrozumiał, że w jego sytuacji to i tak nie odgrywa już większej roli. A bomba pasowała mu wprost idealnie do pomysłu, który nosił w sobie, odkąd pierwszy raz przyjechał do Szwecji.

– Nic was to nie będzie kosztować.

– A jeżeli użyjemy tego do innych celów?

– To zleceniodawca będzie zły i nic więcej od niego nie dostaniecie. My też będziemy bardzo źli, a naszą złość odczujecie jeszcze boleśniej. Nie wolno oszukiwać w biznesie. Nie sądzisz, przyjacielu? – Irlandczyk używał prostych słów i mówił niczym aktor w tanim filmie gangsterskim, ale Safir dobrze wiedział, że to nie fikcja. – Jeśli zamierzasz oszukiwać, to lepiej nie siadaj do stołu. A jak nie możesz się wywiązać ze zobowiązań, to spierdalaj!

– Okay! Jak to dostanę?

– Jutro dam ci kluczyki i powiem, gdzie jest zaparkowany samochód. Towar będzie w środku razem z instrukcją użycia. To proste. Reszta należy do was. Jak to dostarczycie tam... do

Jemenu, Somalii?

– To nasza sprawa.

– Zadzwoń o siedemnastej – rzucił Irlandczyk i odszedł.

Gdy wrócili na Strandvägen, wszyscy natychmiast zauważyli po twarzy Safira, że stało się coś niezwykłego, ale nikt nie śmiał zapytać co. Patrzyli tylko na Rustama, który wzruszał obojętnie ramionami i robił zdziwioną minę. W końcu Safir nie wytrzymał, zebrał wszystkich w kuchni i zapowiedział uroczyście, że od jutra rozpoczną przygotowania do dużej operacji i wypełni się ich misja, jeśli Allah pozwoli.

Claes był zachwycony.

Bogajewowie, nieco zdziwieni jasną nocą, poszli do wielkiego barokowego salonu z oknami zasłoniętymi pluszowymi storami, by tam zmówić ostatnią modlitwę.

Safir postanowił trochę pofalować w samotności.

Podczas gdy Konrad był w toalecie, na papierowym obrusie stolika pojawiły się nowe kieliszki z wódką, piwo oraz talerze i sztucce. Zuzanna była szybka, sprawna i cały czas uroczo się uśmiechała, ale trudno było powiedzieć, czy działała tak na nią orientalna uroda Michała, czy też miała to wliczone w napiwek. Tak czy inaczej Misza nawet tego nie zauważał, i to nie dlatego, żeby był nieczuły na kobiecy urok, lecz dlatego, że miał nieznośną gonitwę myśli, a wydarzenia pędziły jeszcze szybciej. Na to wszystko nakładało się jeszcze nieodparte odczucie, że robi coś złego, jakby rzucał na szalę honor rosyjskiego oficera. Uczynił już jednak pierwszy krok i teraz nie mógł się zatrzymać. Postępujesz właściwie, Misza, i nie masz sobie nic do zarzucenia – zapewnił się w duchu. Zdaj się na intuicję. W Jaseniewie leży zamknięty w szafie dowód twojej bezgranicznej lojalności, zdemaskowana „Mucha”, więc nie musisz mieć żadnych skrupułów.

– Na zdrowie! – zarządził Konrad, gdy tylko zasiadł za stołem.

– *Na zdorowje!* – odparł po rosyjsku Misza i szybko wypili. – Patrz! Najważniejszy toast dla Rosjan i Polaków i w obu językach brzmi prawie identycznie! Gdzie tak masz?

– Misza, a jeżeli będę jeszcze potrzebował twojej pomocy w sprawie tych... Bogajewów? Macie z nimi doświadczenie... no i to – wskazał palcem zamazany napis na obrusie.

– Zależy jakiej pomocy – odrzekł z nieznacznym opóźnieniem Popowski, bo wyglądało, jakby Konrad próbował go delikatnie szantażować. Mimo to od razu pomyślał, że mógłby wynająć Wolskiemu Andrieja Trubowa, który nie dość, że jedyny zna Bogajewów osobiście, ma z nimi porachunki, potrafi walczyć w każdych warunkach i tropić jak pies myśliwski, to jeszcze jest teraz w Polsce. – Niewykluczone, że będę miał dla ciebie coś ekstra, ale muszę się jeszcze zastanowić. – Odsunął wymownie palec Konrada z zamazanego napisu.

Nooo... Misza! – pomyślał z satysfakcją Konrad. Jakże mogło być inaczej! Prosto, zgrabnie, inteligentnie. No... dawaj, chłopie, dawaj!

– *Za nas, za was, za russkij spiecznaz!* – Misza niespodziewanie wzniosł toast w stylu rosyjskich komandosów.

– *Ege szege dre!* – odparł Konrad powiedzonkiem gromowców, powtarzanym przy tabace i wódce. Nikt nie wiedział, co ono znaczy, ale według Lutka wciąż było w użyciu.

Popowski zmarszczył czoło, ale o nic nie zapytał, tylko wziął to za przejaw okazjonalnego ekscentryzmu Konrada.

– Dobrze. Posłuchaj uważnie, Radek. – Odsunął od siebie puste kieliszki i szklankę po piwie. – Będziemy rozmawiać o wielkiej polityce. – Zaczerpnął powietrza i zmrużył oczy. – Od jakiegoś czasu w Warszawie, w hotelu Marriott, odbywają się spotkania... Właściwie nie musiał kończyć. Konrad poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach, i usłyszał głos Awnera: „Jeżeli jest jakaś ważna sprawa w Warszawie, Londynie czy Korei, to musi być też ważna w Moskwie – to takie proste”. W pierwszej chwili pomyślał, że Rosjanie muszą mieć kreta na Miłobędzkiej albo na Vauxhall Cross, ale im dłużej Popowski mówił, tym bardziej było widać, że Rosjanie wiedzą znacznie więcej niż on czy nawet Gordon.

Możliwe, że Anglicy w coś grają – pomyślał. Tylko po co?

Uważnie słuchał Miszy, który mimo silnego rumieńca na twarzy i lekko maślanych oczu mówił bardzo logicznie, precyzyjnie, powoli, z uwagą cedząc każde słowo.

Patrząc na niego, Konrad nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, by mu oznajmić uroczyście, że Wydział „Q” już namierzył Koreańczyków i że są właśnie obiektem intensywnego rozpracowania.

Na szczęście niespodziewanie wylądował na stoliku królik w warzywach i otulił ich wspaniały zapach. Obaj uznali, że to okazja do małej przerwy i przegrupowania sił przed drugą, ważniejszą częścią rozmowy.

W obszernym, głębokim kamionkowym naczyniu tkwił zatopiony w skwierczącym jeszcze, gęstym szafranowym sosie smacznie zarumieniony króliczy comber. Wszystko było posypane drobno siekaną pietruszką i ozdobione gałązką rozmarynu. Przez chwilę w milczeniu przyglądali się temu widokowi i dopiero wtedy zauważyli, że wśród sztuców jest też

łyżka. Spojrzeli na siebie, bez słowa pokiwali z uznaniem głowami, wypili ostatnią wódkę i zaczęli jeść.

– O czym oni rozmawiają? – odezwał się Konrad. – Wiecie, o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego wybrali Warszawę? No... to zakrawa na jakieś szaleństwo. Jest tyle lepszych miejsc na świecie do takich schadzek.

– Nie wiemy, dlaczego wybrali Warszawę. Może dlatego, że to Unia i dla Irlandczyków jest wygodnie, a Koreańczycy mają blisko z Moskwy. Ale to tylko moje podejrzenia. – Popowski brzmiał wiarygodnie. – Wiemy, o czym rozmawiają. – Przerwał jedzenie i odłożył sztućce. Spojrzał Konradowi w oczy i niby obojętnie rzucił: – Za pośrednictwem IRA weszli w kontakt z Al-Kaidą i jej rękami chcą dokonać zamachu na tankowiec na Bliskim Wschodzie. – Oparł się o krzesło i dziwnie zmrużył oczy. – Tak, tak!

– Uff... – westchnął Konrad. – Trzeba o tym wszystkich poinformować. Natychmiast! – odparł z przejęciem. – Jak chcą przeprowadzić ten zamach?

– Otóż to! Dobre pytanie. Jak? Tego właśnie nie wiemy. I musimy znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. Ale jeżeli nie pomożesz mi załatwić sprawy tak, jak tego oczekuję, to wyprę się wszystkiego i nie przekażę ci żadnych szczegółów, a bez nich nic nie zdziałacie. Dupa zimna! Bez nich to będzie tylko kolejny sygnał o zagrożeniu terrorystycznym. – Popowski wciąż siedział wychylony do tyłu. – Musisz mi wcześniej coś obiecać i nie potrzebuję, byś podpisywał się pod zobowiązaniem własną krwią. Wystarczy mi twoje słowo. Czy nie uwiarygodniłem się już dzisiaj wystarczająco? Gram czysto?

Popatrzył pytająco i Konrad nie mógł nie potwierdzić.

– Wierzę ci, Misza. Czego konkretnie ode mnie oczekujesz?

– Koreańczycy posiadają materiał wybuchowy o ogromnej sile rażenia. Mogą nim zatopić dowolny statek na świecie – zaczął Popowski z powagą. – Niestety, to nasza technologia, którą nam wykradli.

– Co to jest? Co to za technologia? Atom jakiś?

– Nie, nawet dokładnie nie wiem, co to jest.

– I myślicie, że to mogłoby się wydać?

– Wtedy część odpowiedzialności spadłaby na nas – odparł Misza. – Wyobrażasz sobie, co by wyprawiały światowe media? Ale najostrzej by nam wytykano, że zatailiśmy naszą wiedzę przed zachodnimi partnerami. Potem oczywiście posypałyby się domysły, dlaczego Rosja chciała to ukryć.

– Poinformujecie nas oficjalnie? – Konrad nie rozumiał jeszcze istoty problemu, ale zaczął się już domyślać, że Popowski nie działa sam, a na Kremlu musi trwać jakaś wewnętrzna rozgrywka.

Misza jakby czytał w jego myślach.

– Nie jest tajemnicą, że są różnice między nami i GRU. – Wskazał palcem zamazany napis na obrusie. – Dobrze! Powiem tak: są u nas ludzie, którzy widzą w tym zamachu szansę dla naszej polityki... no... energetycznej. Rozumiesz?

– Wiemy, jak to jest. Żyjesz wśród samych egoistów i jesteś szczęśliwy, przyjdzie jeden altruista i wszystko zepsuje. Znamy mechanizmy waszej polityki wewnętrznej...

– Zostawmy na boku politykę czy ekonomiczną ocenę tego faktu. Są u nas też tacy – mówił Misza coraz bardziej zdecydowanym tonem – którzy uważają, że ta sprawa przyniesie nam same szkody. – Przerwał jedzenie, odłożył sztućce i dokładnie tak jak poprzednio, starając się, by wypadło to w pełni wiarygodnie, dodał: – Osobiście też nie mogę się na to zgodzić. I nie zamierzam! – Jego wzrok uciekał gdzieś na boki. – Nie mogę się zgodzić na obronę interesów Rosji przy pomocy Al-Kaidy i Korei Północnej. I wielu zdolnych oficerów wywiadu z pewnością myśli tak jak ja.

– Misza, byłoby najlepiej, gdybyś wystąpił w CNN albo BBC i o wszystkim tym opowiedział tak jak teraz – zażartował Konrad, bo nie wątpił, że Popowski nigdy by na coś takiego nie poszedł. Był na to zbyt dumny, a jego rosyjski patriotyzm wydawał się niezłomny.

Dopiero teraz zrozumiał, jak naiwne były jego nadzieje, że potrafiłby tak uwikłać Popowskiego, by ten zmiękł i dał się zwerbować. To, co właśnie zrobił, wszystko to, o czym opowiedział, świadczyło niezbitnie o jego odwadze i determinacji, powodowanych miłością do swojego kraju.

Konrad mógł tylko żałować, że Popowski nie jest po jego stronie.

– W gruncie rzeczy o to chodzi, Radek – niespodziewanie rzekł Misza. – Tyle że to wy musicie poprowadzić tę sprawę i zrobić to w taki sposób, by wytrącić opinii publicznej argumenty przeciwko Rosji... Inaczej wiesz, co zaczniesz mówić. Że ZSRR wciąż ma się dobrze, a u nas przecież wyrosło już nowe pokolenie...

– Wiesz, że to jest poza moimi kompetencjami, o ile w ogóle mogę cokolwiek zrobić.

– Ale to do ciebie mam zaufanie. Tak Bogiem a prawdą nawet nie wiem dlaczego. Czuję jednak całą swoją szpiegowską historię, że ty nigdy byś nie ujawnił swojego źródła informacji...

– Zawiesił głos, jakby się zastanawiał, czy powinien kontynuować, lecz w końcu rzekł: – Jak twój szef. Ten rzuciłby mnie Amerykanom jak stęchłe mięso psom, a jak Langley jest szczelne, to sami się przekonaliście.

Strzał Popowskiego był celny i bolesny.

– Dobrze, Misza, dam ci krysę. Masz moje słowo. – Konrad zagrał *va banque* i wyciągnął do niego rękę.

Popowski uśmiechnął się i wymienili uścisk dłoni.

– Nie sadz się tak, Misza! Niedawno w Warszawie wyłowiliśmy tych twoich Koreańczyków w hotelu Marriott – wyrzucił z siebie Konrad i poczuł przyływ niezmierzonej satysfakcji. – Też dobrze pracujemy, ale muszę przyznać z uznaniem, że wiecie więcej.

Popowski nawet nie próbował kryć zaskoczenia.

– Brawo! Brawo, Polacy! *Mołodcy!* Ale... czy tylko wy o tym wiecie? – zapytał zaraz lekko zaniepokojony.

– Sprawę robimy z Anglikami i Szwedami, ale na razie to my jesteśmy jej gospodarzem...

– To dobrze! Znakomicie! Jankesów trzymacie na dystans? Dobrze zrozumiałem? – Misza rozejrzył się za Zuzanną. – Wypijemy jeszcze?

– Dobrze zrozumiałeś, ale ja tego nie powiedziałem. Omówimy sprawę koreańskiej bomby, skończymy tego królika, kupimy flaszkę Jacka Daniel'sa i pójdziemy do mnie do hotelu.

Tradycyjnie. To blisko – zaproponował Konrad.

– Okay.

– Tym razem obaj powinniśmy zachować minimum trzeźwości, by uzgodnić jakiś sensowny plan działania. Nie sądzisz?

– *Soglasien* – potwierdził Popowski.

– Posłuchaj, Misza. Zastanów się, co możesz mi dać takiego, czym będę mógł przekonać swoich partnerów, żeby poważnie potraktowali sprawę tej koreańskiej bomby. Rozumiesz, że taką historię średnio zdolny szpieg jest w stanie wymyślić w pięć minut. Problem w tym, żeby w nią uwierzyli decydenci, ruszyli swoje tłuste dupy i zrobili coś pożytecznego. Wiesz przecież, ile kosztuje podniesienie stanu pogotowia służb, a jeżeli źródło jest niesprawdzone albo, co gorsza, niezidentyfikowane, to w ogóle mało komu będzie się chciało wstać z fotela. I jak rozumiem, mam ukryć źródło informacji, czyli ciebie, Michaile Wiktorowiczu...

– Nie tylko mnie! – Popowski obruszył się z takim dramatyзмом, jakby właśnie pierwszy raz wyszedł na scenę. – Nikt nie może wiedzieć, że przeciek pochodzi z Rosji. Zrozum, Radek, spotykam się z tobą za zgodą generała Lebedzia, ale bez jego zgody powiedziałem ci o Bogajewach. To mój prywatny prezent dla Polski. Taki bonus. Doceń to! – wtrącił. – Taktyka rozmowy uzgodniona była z generałem i naczelnikiem Wydziału Północnokoreańskiego, ale scenariusz, który teraz realizuję, jest mój, autorski. W pierwotnym planie moim zadaniem nie było powstrzymanie ataku terrorystycznego na jakąś łajbę, tylko neutralizacja jego skutków dla Rosji i zabezpieczenie tym samym naszych interesów. Mieliśmy zamiar wykorzystać was jako alibi. Chyba nic nie pokręciłem... Brzmi logicznie?

– Bardzo.

– A jak wygląda? Myślę, że generałowi też by się to nie podobało – dodał Popowski i Konrad zrozumiał, że za nim stoi sam generał Lebedź. – Ale za samowolkę i niesubordynację z pewnością postawiłby mnie przed sądem.

Uśmiech Miszy sugerował jednak coś zupełnie innego i Konrad

nabrał już pewności, że dobrze myśli.

– Nie musisz mnie więcej obrabiać, Misza. Wszystko pojmuję i wchodzę w ten interes. Na naszą stronę, jak widać, nie chcesz przejść, ale możemy zapobiec nieszczęściu. Jest dla mnie jasne, że powiesz tylko to, co niezbędne, i dokładnie będziesz ważył słowa, więc daruję sobie wszelkie nalegania, ale, niestety, musisz mi coś dać. – Konrad był surowy i zdecydowany, alkohol wypłukała już adrenalina. – Rozumiesz?

– Rozumiem, ale co to ma być?

– To ty powinieneś wiedzieć.

– Co mam ci dać? – Michał postawił retoryczne pytanie i zaraz sobie odpowiedział: – Dobrze, Radeczku. Coś ci dam. Dam ci wrednego brytyjskiego kreta, który siedzi w naszej służbie od lat, i laskawie mu pozwolę wyjechać swobodnie z Rosji.

Borys – przeleciało Konradowi przez myśl i po raz drugi podczas tego spotkania poczuł gęsią skórkę.

– Tylko ja o nim wiem – ciągnął Misza. – To moje ostatnie odkrycie... polowaliśmy na to ścierwo od lat. Powiesz o tym swoim angielskim przyjacielom... George'owi Gordonowi? Tak się przecież nazywa kontroler, nie? Niech ta angielska kurwa znika jak najszybciej. Czy to dobry list gwarancyjny?

– Wyśmienity! Mocne i dobre. Misza, to, co powiedziałeś, jest więcej niż przekonujące...

– Wypuściłbyś kreta?

– Nie, chyba żebym go wcześniej przewerbował – odparł Konrad i obaj się roześmiali. – Jak on się nazywa?

– Spokojnie, wszystko w swoim czasie. No to co, dogadaliśmy się? – zapytał zadowolony Misza.

– Co do zasady tak. Pójdziemy z flaszeczką do mojego hotelu i będę musiał zrobić sobie szczegółowe notatki, żeby nic mi nie uciekło, a ty mi pomożesz. Potem pogadamy *po duszom*, jak zawsze.

Nawet nie zauważyli, kiedy zjedli królika. Zapomnieli już, jak smakował, a nawet pachniał. Gdy pojawił się na stole, robił imponujące wrażenie, a teraz był już tylko smutnym, bezkształtnym zbiorem drobnych kosteczek. Wileński królik

przez chwilę uczestniczył w wielkiej polityce.

Popowski podniósł rękę i panna Zuzanna w meloniku natychmiast się zjawiała.

– Poproszę rachunek – powiedział, a kiedy odeszła, rzucił do Konrada: – Dzisiaj płaci Federacja Rosyjska, jeśli pozwolisz.

Nim wyszli z restauracji, w kieszeni Konrada zabrzączał telefon. Odczytał SMS-a od Sary: „Natychmiast zadzwoń”. Odszedł na bok i połączył się z jej numerem.

Odebrała od razu i słychać było, że gdzieś idzie. Z całą pewnością nie była w mieszkaniu na ulicy Wilczy Dół.

– Radeczku, zostaw tego ruskiego pijaka, bo mamy tutaj karmazynowy przyływ.

– Sara! Co z tobą? – Konrad pomyślał, że od tego uderzenia jednak coś się jej musiało stać. Jakiego pijaka? Przecież wypił tyle samo co Misza i wcale nie jest pijany. – Usiądź... znaczy stań i spokojnie wyjaśnij, o... co... cho-dzi! – wysylabizował rozkaz.

– Podaleś M-Irkowi adres w Gdańsku. Ulica Przemysłowa?

– Tak! Saro, streszczaj się. Jestem z Miszą...

– Olej go! Na Przemysłowej urywa się ślad Bogajewów i Safira, tak?

– Tak, Jezu... – Konrad był już mocno poirytowany.

– Masz tam jakieś krzesło, siedzisz? Nie? To usiądź. – Wyraźnie przyspieszyła kroku, bo coraz głośniejsze łapała oddech.

– Posłuchaj zatem.

– Gdzie jesteś?

– Idę do biura. Słuchaj i nie przerywaj!

– To się streszczaj!

– Na ulicy Przemysłowej są tylko portowe magazyny, głównie składy samochodowe. Tam nie ma żadnych domów ani miejsc, gdzie mogliby się ukryć.

– Sara! *Hurry up!*

– Na Przemysłowej pod numerem pierwszym jest za to... co? Terminal promowy.

– Szwecja?! – wykrzyknął nagle Konrad. – Jasne! Szwecja!

– Jaki ty jesteś mądry, Radeczku! – z miłą ironią rzuciła Sara.

– Za to lubię cię najbardziej.

– Pchnij natychmiast informację do Marcina, on jest w Sztokholmie... Nasz Karolek ma tam jakiegoś księcia czy barona za przyjaciela... von coś tam. U Marcina w szafie jest pismo od Szwedów w tej sprawie...

– Tak, już to wiem. Teraz wszystkie drogi prowadzą do Sztokholmu. Masz wykupiony bilet na jutro rano, szósta czterdzieści, lecisiz SAS-em. Tylko się nie spóźnij, więc nie pij za dużo. Ja lecę dzisiaj wieczorem z Lutkiem. Bilet dostaniesz mailem. – Głos Sary brzmiał bardzo bojowo. – A właściwie to skąd miałeś tę informację...? – Przerwała w pół zdania i zaraz dodała: – Powiedz, że się mylę... Od niego? Niemożliwe! To jakiś żart? Od niego!

Konrad milczał wymownie.

– Uwważaj, żeby cię w coś nie wpuścił. Wiesz, do czego jest zdolny. Ale jeżeli się zmienił, to podziękuj mu ode mnie.

– Nie tym razem – odparł pewnym siebie tonem. – Wszystko pod kontrolą. Widzimy się w Sztokholmie, a na razie informuj mnie o wszystkim.

Rozłączył się i nie usłyszał już, jak Sara powiedziała:

– Radeczkę, rzuciłam palenie!

– Zapłaciłeś? – zapytał Miszę.

– Tak.

– Chodź, musimy jeszcze pogadać. – Teraz to Konrad położył mu rękę na ramieniu. – Wygląda na to, że Bogajewowie, niebezpieczni terroryści i obywatele Federacji Rosyjskiej, są już w Królestwie Szwecji...

– Pewnie w towarzystwie niebezpiecznego terrorysty, obywatela Rzeczypospolitej Polskiej – odparł złośliwie Misza. – Koniecznie musimy pogadać.

– Buty od Kielmana, szyte na miarę? – zapytał Konrad, gdy wyszli na zewnątrz. Misza uniósł stopę i lekko nią pokręcił.

– Ostatnia para, niestety – rzekł z wyraźnym żalem. – Muszę przyjechać do Warszawy na dłużej i zamówić sobie kilka par. Rosjanie nie potrafią robić dobrych butów.

– Poza walonkami, oczywiście – rzucił Konrad.

Misza westchnął z politowaniem.

Hasan odmówił poranną modlitwę w swoim pokoju i dopiero potem obudził Marcina.

Wypili kawę i zjedli croissanty z czekoladą, które Hasan rozmroził w mikrofalówce. Mimo że czekolada w środku wciąż była zimna, Marcin zjadł i nie narzekał. Dobrze, że w ogóle było coś do jedzenia. Pewnie, że wołałby jajecznicę na kielbasie ze szczypiorkiem, ale u Hasana nie miał co liczyć na kielbasę. Ani na bekon, ani na szynkę. Postanowił, że następnym razem przyleci ze swoimi kanapkami.

Dochodziła za dwadzieścia dziewiąta i ostatnie czynności wykonywali już w pośpiechu. Zanim wyszli, stanęli przed lustrem w przedpokoju i jednocześnie buchnęli śmiechem. Mieli na sobie podobne granatowe garnitury, białe koszule z amerykańskim kołnierzykiem typu button down i bordowe krawaty. Różnili się tylko głowami. Marcin świecił świeżo wygoloną łysiną, a Hasan sfilcowanym krótkim dredem.

Gdy weszli do pokoju ciszy, zrobili podobne wrażenie. Wszyscy uśmiechnęli się na ich widok. Może tylko z wyjątkiem Kurta Lövenströma, który od rana miał zły humor. Widać to było po paście do zębów w kącikach ust i spince do bielizny na nogawce. Wstał późno, nie zjadł śniadania i przyjechał na rowerze, a o trzynastej miał spotkanie z premierem w Rosenbadzie.

Marcin trochę nieudolnie wymienił powitalne całusy z Lindą i Olafem, po czym mocno uścisnął pulchną dłoń Kurta. Na stole stała kawa w stalowym termosie, pięć filiżanek i owsiane ciasteczka z orzechami.

Zajął krzesło przed jedyną wolną filiżanką. Od razu pomyślał, że wyznaczyli mu to miejsce, bo chcą mieć na niego widok ze wszystkich stron, i poczuł się nieswojo. Jakbym był podejrzanym na przesłuchaniu – przemknęło mu przez myśl i zaczął jeszcze bardziej się pocić. Pierwszy raz sam reprezentował Agencję i nie mógł liczyć na Konrada czy Sarę, a sprawa była nie byle jaka.

Ech, co tam! – pocieszył się w duchu, wyjmując dokumenty

z teczki. Nie jestem przecież gorszy, a poza tym jak tylko usłyszą, z czym przyjechałem, od razu nabiorą dla mnie szacunku.

Popatrzył na Hasana, który siedział z boku i uśmiechał się do niego porozumiewawczo.

Dobrze, że wczoraj nie powiedziałem ci o Irlandczyku. Teraz dostaniesz karę za brak śniadania – pomyślał i też się do niego uśmiechnął.

– Mamy dwie ważne sprawy, które ostatnio mocno związały Szwecję i Polskę – zaczął nieco patetycznie, ale tak to sobie właśnie przygotował. – Najważniejsze... Tom Morgan, o którym piszecie w swoim piśmie, a który pojawił się w Warszawie w towarzystwie tajemniczego Gustava Winklunda i Koreańczyków, to... – Spojrzał w twarze doświadczonych szwedzkich oficerów i zrobiło mu się przyjemnie – to Jack O'Brien, bojownik IRA, bardzo tajemnicza postać i bliski współpracownik Gustava Winklunda, czyli... Conora Gallaghery, legendy IRA, a obecnie honorowego przewodniczącego irlandzkiej Partii Postępowej.

– *Oh... my... God...* – wysylabizował Kurt. – *Oh... my... God!* Tylko tego nam brakowało! – dodał wyraźnie zasmucony.

Wszyscy siedzący za stołem popatrzyli po sobie. Jedyne Hasan szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Marcina.

– Partnerzy brytyjscy są poinformowani o naszym dzisiejszym spotkaniu i oczekują na inicjatywę ze strony Säpo – wtrącił Marcin.

– Czy wiecie, co łączy Irlandczyków z tymi Koreańczykami...?

– Kurt nie dokończył, bo Marcin już kiwnął głową, że wie.

– To Lee Young-chul, pierwszy zastępca szefa wywiadu północnokoreańskiego NCIS. – Wyjął zdjęcie zrobione w hotelu Marriott i położył na stole.

– Zgadza się. Dostaliśmy je od was – rzuciła cicho Linda.

– Kim Son-sak, ten Koreańczyk z ambasady, kontakt Morgana, czyli O'Briena... – włączył się Olaf. – Amerykanie słusznie podejrzewali, że to oficer służb. I ten drugi, Cha Chol-sik, co zarządza hurtownią, bratanek szefa sztabu armii koreańskiej. Co oni kombinują? Co oni trzymają w tej hurtowni? Wciąż nie

wiemy, co jest w skrzyni, która przyplęła do Göteborga.

– Trzeba rozważyć podjęcie kontaktu ze służbami irlandzkimi. To jest zbyt poważna sprawa, Kurt. To nie nasz poziom – dodała Linda z troską w głosie. – Mamy w sprawie irlandzkiego polityka... i irlandzkich terrorystów. Może być niezły międzynarodowy pasztet. Dostaniemy po piętach, jak coś spieprzymy.

– Taaak, wiem – zasępił się Kurt. – Wiem... wiem... porozmawiam z premierem i ministrem. O pierwszej mam spotkanie. Hm... – Przez chwilę zastanawiał się intensywnie. – Dobrze! Nic nie będziemy robić, dopóki nie porozmawiam z premierem. Zbierzcie teraz wszystkie materiały w tej sprawie, dobrze się przygotujcie... Porozmawiajcie jeszcze o szczegółach z polskim kolegą. Ściągnijcie Jamesa, jeżeli w Londynie już o sprawie wiedzą, ale... premierowi może się nie spodobać, że rozmawiamy o obywatelach Irlandii za ich plecami z oficerami wywiadu brytyjskiego i polskiego. Rozumiecie?

Pokiwali głowami.

– Wy... – wskazał palcem Lindę i Olafa – pojedziecie ze mną do Rosenbadu. Nabałaganiliście, to teraz trzeba wziąć na siebie odpowiedzialność i zrobić porządek. – Uśmiechnął się i skierował do wyjścia. – Do roboty! – rzucił jeszcze w drzwiach i już wychodząc, zorientował się, że na nogawce ma spinę.

Atmosfera nieco się rozluźniła. Linda i Olaf zaczęli po cichu ze sobą rozmawiać, a Hasan przysiadł się do Marcina.

– Ale jesteś kolega! – rzucił przez zaciśnięte zęby, żeby nikt nie usłyszał. – Nie mogłeś mi wczoraj powiedzieć? Taki news, Marcin... Eeech!... Czekał, też ci kiedyś czegoś nie powiem... – Oczywiście tylko udawał rozczarowanego, bo przecież wiedział, że w sprawach służbowych należy przestrzegać określonych zasad.

– Marcin – odezwał się Olaf – porozmawiajmy jeszcze o tym, dobrze? Prześledźmy szczegół po szczególe, co się wydarzyło i co wiemy. Uporządkujmy to. A ty, Hasan, zadzwoń do Jamesa. Niech przyjedzie możliwie jak najszybciej.

– Mamy jeszcze do omówienia z Marcinem sprawę Claesa von Utrecht – przypomniał Hasan. – Dzisiaj Anton i Harriet

zakładają TenFingers w jego dziupli na Rissne...

– O tym później – przerwała mu Linda. – Mamy poważny międzynarodowy problem z północnymi Koreańczykami na scenie w Sztokholmie. Nie ma teraz w Säpo nic ważniejszego, nie zauważyłeś?

– Jezu! Odbierz w końcu, co z tobą?

Harriet chodziła po pokoju i po raz siódmy próbowała się dodzwonić do Hasana. Wysłała trzy SMS-y i dwa razy nagrała się na sekretarce.

– Mówiłem ci, żebyś uważała z tym Apollem – odezwał się Anton Młot, z nogami na jej biurku, grzebiąc czymś pod paznokciami. – Moje drzwi już zamknięte i ostrzegałem cię, że nie będziesz miała powrotu. Ale co mogłem zrobić? Sama wybrałaś.

– Zdejmij nogi z mojego biurka – warknęła gniewnie.

Stała pod oknem, zapatrzona w pusty leśny krajobraz.

– Umówiliśmy się na dziesiątą trzydzieści, a on wciąż nie dzwoni.

Z telefonem w dłoni usiadła na krzeselku i zaczęła pisać kolejnego SMS-a. Niemal w tym samym momencie odezwał się jej iPhone. Wyświetlił się napis „Ukryty”, ale to był Hasan, wiedziała.

– Od godziny dzwonię... – zaczęła podniesionym głosem i zaraz przerwała. – Oj... nie gniewaj się! – powiedziała pojednawczo. – Jest u mnie Anton i czekamy na ciebie, żeby zacząć instalację TenFingers u Neo... Ekipa na dole też czeka...

– Znów przerwała i zaczęła się wsłuchiwać w to, co mówił Hasan. Anton uporczywie wodził za nią wzrokiem, więc odwróciła się do niego plecami. – Oczywiście, że możemy sami. Ja i tak zostaję w centrali, bo będę pilnować Neo w necie.

– Pozdrów Hasana – wtrącił cicho Anton.

– Ale jest jeszcze jedna ważna sprawa. – Zmieniła nieco ton. – Przejrzałam dzisiaj komputer Neo i znalazłam coś bardzo dziwnego. Znam go jak siebie samą, może nawet lepiej...

– Ja cię znam najlepiej – wyszeptał Anton i wciągnął nosem powietrze.

Harriet pogroziła mu pięścią.

– Moim zdaniem wczoraj ktoś był u niego w domu. Jakaś impreza się tam odbyła czy co... nie wiem. Było u niego co najmniej pięć osób. On nigdy nikogo nie zapraszał na Strandvägen. Zamówił przez Internet sześć pizz. Dla siebie mafioso, jak zawsze, i... uważaj teraz, Hasan... i pięć wegetariańskich! Ciekawe, co?

– Ja jestem weganinem... wiedziałaś? Ale czasem mam ochotę na świeże mięsko... – zamruczał Anton.

Uciszyła go zdecydowanym gestem dłoni.

– Wypożyczył też samochód. Pierwszy raz od dwóch lat. Ale co ciekawsze, ktoś grał na jego komputerze w... Mortal Kombat. I to nie był Neo. On nie dochodził do drugiego poziomu, a ci gracze to absolutni mistrzowie... było ich dwóch... – Przez chwilę słuchała Hasana, po czym zwróciła się do Młota: – Czy przy okazji instalacji naszego TenFingers jest możliwość założenia w dziupli Neo oka i ucha?

– Możliwość jest – odparł. – Tyle że Hermansson się na to nie zgodzi. Taki gość jak Neo jest w stanie wydłubać ze ściany podsłuch i podgląd, a wtedy znajdzie też TenFingers. Nie oplaca się. Program kosztował już półtora miliona.

– Słyszałeś? – Harriet wróciła do rozmowy z Hasanem. – No dobrze... to zaczynamy. Pozdrów Martina...

Dwie sroki, walcząc ze sobą, szarpały ścierwo trzeciej. Safir przyglądał się tej scenie i zastanawiał, która zwycięży. Trudno mu było rozróżnić ptaki, bo nieustannie skakały i niczym się od siebie nie różniły. Mimo to było w tej scenie coś podniecającego, co wzbudzało w nim poczucie siły, sensu i potrzeby walki.

Kelly nadszedł, tak jak poprzednio, od strony drogi. Ręce trzymał w kieszeniach. W okolicy mariny był nieznaczny ruch. Ktoś właśnie przyplłynął i rzucał cumy, ktoś inny krzątał się na łodzi, a w pobliżu biegały dzieci w pomarańczowych kapokach.

Rustam stał na skale przy kościółku, tam gdzie poprzednio, i obserwował otoczenie. Gdy zobaczył Irlandczyka, dał znak Safirowi, że wszystko jest w porządku. Amina i bliźniacy również zauważyli ten sygnał i przesunęli pikapa trzydzieści metrów dalej, za drewnianą szopę, tak by nie było ich widać od strony portu.

Kelly od razu dostrzegł Safira i wsiadł do jego samochodu. Była dokładnie dziewiąta rano.

– Masz tu adres i kluczyki od samochodu – powiedział, nawet na niego nie patrząc. – Tak jak jest napisane, czerwony saab 9-3. Wszystko, co dotyczy towaru, znajdziesz w środku.

– Gdzie to jest? – Safir przeczytał kartkę.

– Täby, to pod Sztokholmem. Piętnaście minut stąd. Parking obok stacji kolejki i terenu wyścigów konnych.

To tam, gdzie mieszka matka – pomyślał. Co za zbieg okoliczności!

– Pamiętasz o umowie? Nie próbujcie kręcić, bo to będzie was drogo kosztowało. – Głos Kelly'ego był oschły i zimny. – Rozumiemy się?

– Zaczekasz ze mną, dopóki nie sprawdzimy towaru. Muszę się upewnić, czy czegoś nam nie zmajstrowałeś – odparł Safir podobnym tonem, aż Kelly po raz pierwszy na niego spojrział. – W przeciwnym razie niczego nie wezmę i radzę ci, by wszystko było w porządku. – Zamknął drzwi, jednocześnie wyjął beretę i przystawił mu ją do brzucha. – Dawaj pistolet.

Kelly westchnął i powoli wyjął swojego walthera.

– Dostaniesz go z powrotem, nie martw się, nie jestem złodziejem broni.

Safir dał sygnał światłami i za chwilę do samochodu podszedł Szamil. Bez słowa wziął kartkę z kluczykiem od saaba i natychmiast znikł.

– Masz tu drugą kartkę – odezwał się Kelly. – Zamieścicie ten tekst na jednym ze wskazanych tam portali. Będzie to oznaczało nie tylko, że podjęliście się tej roboty, ale też że akceptuje ją osobiście Ajman. Dotarło? Macie na to dwa tygodnie.

– Dobrze – odparł Safir ze szczerą obojętnością, kiedy przed maską samochodu przejechała półciężarówka navara. – Najpierw zobaczymy, co to za towar.

– Zabierz ten pistolet. – Kelly próbował się wyzwolić z klinca. – Trochę szacunku! Za kogo mnie masz?!

– Zobaczymy, kim jesteś, za... ile? Piętnaście minut? – Safir nie ustępował.

Rustam cały czas stał na swoim posterunku, ale Kelly nie mógł go zauważyć. Tylko Safir wiedział, że on tam jest. Krzaki wokół kościółka były na tyle gęste, że mogły skryć nawet kilka osób, i to nawet w tak słoneczny dzień jak ten.

Skrzeczące sroki gdzieś znikły i znikło też ścierwo. Asfalt przed samochodem był zupełnie czysty, jakby nic się tu nie wydarzyło, a minęło ledwie kilkanaście minut. Safir nie był już pewny, czy to, co widział, wydarzyło się naprawdę. Może Allah chciał mu coś powiedzieć, może pokazał mu tę scenę w jakimś celu. „Czyż oni nie widzieli ptaków posłusznych w przestworzu nieba, których nie podtrzymuje nikt, jak tylko Bóg? Zaprawdę, w tym są znaki dla ludzi, którzy wierzą!” Safir przywołał w pamięci fragment sury szesnastej i zaczął się zastanawiać, co może oznaczać to przesłanie, gdy dostał SMS-a. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przesiedział prawie dwadzieścia minut z pistoletem wciśniętym w brzuch Kelly’ego, który nie odezwał się ani słowem. Zachowanie Irlandczyka zrobiło na nim wrażenie. Widać było, że ma w sobie zbyt wiele godności, by rozmawiać z Safirem, który mógłby być jego synem.

SMS był od Aminy. Potwierdzał bezpieczne przejęcie samochodu z ładunkiem.

– Oddaj broń – odezwał się Kelly i wyciągnął rękę, nie czekając na potwierdzenie, że wszystko jest w porządku.

Safir zabezpieczył swój pistolet i schował go za pasek, po czym zwrócił Kelly’emu walthera i odblokował drzwi. Irlandczyk również wcisnął swoją broń za pasek, wystawił jedną nogę na zewnątrz i rzucił:

– Tymczasem. Do następnego razu.

Safir chciał mu odpowiedzieć tym samym, kiedy na sekundę zrobiło mu się ciemno w oczach.

Cios w kość jarzmową nie był zbyt mocny, ale bolesny. Gdy otworzył oczy, zobaczył plecy Kelly’ego oddalające się w kierunku, z którego wcześniej przyszedł.

Zaimponował mu stary żołnierz IRA, miał klasę, ale biznes ma swoje prawa, więc Safir światłami dał Rustamowi znać, że może ruszać.

Na miejsce spotkań z Safirem Kelly wybrał marinę oddaloną zaledwie trzysta metrów od swojej kryjówki. To był jego drugi poważny błąd popełniony w ciągu ostatnich dwóch dni, ale tak już jest, że błędy lubią się powtarzać, a najgorsze, że każdy kolejny jest zawsze większy od poprzedniego. Jack O’Brien był ścigany przez szwedzką policję, a do tego ranny. Musiał szybko załatwić sprawę, żeby mieć czas na ucieczkę ze Szwecji, dlatego tak mu zależało na skracaniu odległości.

Droga do mariny prowadziła przez osiedle willowe o luźnej zabudowie, za to gęsto zalesione, gdzie wszyscy mieszkańcy dobrze się znają, ale rzadko widują. Szansa na to, że ktoś go rozpozna, była więc minimalna.

Rustam podążał pięćdziesiąt metrów za Kellym drugą stroną ulicy, tak by mieć go w zasięgu wzroku. Oprócz nich nie było już innych przechodniów. Mieszkańcy, jeśli byli w domach, musieli przebywać od strony ogrodu. Żadnych sklepów, samochodów, rowerzystów, matek z dziećmi, tylko bujna zieleń, słońce i lekki wiatr.

O’Brien szedł wolno i ociężale. Wyglądał, jakby miał dziewięćdziesiąt lat, a nie pięćdziesiąt siedem. Można było

pomyśleć, że idzie bez celu. Po prostu idzie. Donikąd.

Dla Rustama droga z mariny do domu Kelly'ego również była wyjątkowo korzystna. Gdy tylko się zorientował, że okolica jest opustoszała, a Kelly nie zachowuje żadnych środków ostrożności, skrócił dystans najpierw do trzydziestu metrów, potem dwudziestu, przeszedł za nim na drugą stronę ulicy i kiedy Irlandczyk otworzył furtkę, skręcił do domu i na moment znikł mu z pola widzenia – podbiegł bliżej.

O'Brien usłyszał, że ktoś wszedł za nim na posesję, i niepewnie się obejrzał. Dostrzegł nieznanego mężczyznę i wiedział już, że jest w niebezpieczeństwie. Zdążył jedynie wyrwać walthera zza paska i unieść uzbrojoną dłoń, gdy napastnik zrobił szybki, zamaszty ruch ręką i długie, cienkie ostrze wbiło się głęboko w krtań Irlandczyka.

Najpierw, odbijając się kilkakrotnie od chodnika, upadł z metalicznym łoskotem pistolet, a później, już całkiem cicho, osunęło się na ziemię ciało Jacka O'Briena.

Zebrali się w obszernej sali urządzonej w stylu szwedzkiego empire'u. Claes zapalił światło, chociaż na zewnątrz świeciło słońce. Syndyk zabronił odsłaniania okien, tłumacząc, że słońce mogłoby uszkodzić wartościowe obrazy. W rzeczywistości chciał zmusić w ten sposób Claesa, żeby nie korzystał z tego pomieszczenia, ale on i tak z niego nie korzystał. Teraz chwilowo spał w nim Safir.

Usiedli na podłodze, mimo że wokół nie brakowało foteli. Wydawać się mogło, że w ten sposób odcinają się od przeszłości tego miejsca. Z pewnością historia rodu von Utrecht, gdyby ją znali, byłaby dla nich obciążeniem. Wystarczyło, że znał ją Claes. To on pierwszy przyklęknął na ziemi. Dla Bogajewów zaś siedzenie w kucki nie było niczym niezwykłym. Jedynie Amina, w dżinsach i białym T-shircie, usiadła po turecku.

Safir stał nad nimi i wyglądał jak mesjasz, który za chwilę rozpocznie głosić przesłanie. Bogaty wystrój pomieszczenia dodawał mu majestatu, a oświetlenie – dramatyzmu. Rzeczywiście, w oczach naiwnych i żyjących pragnieniem zemsty Bogajewów mógł uchodzić za wcielenie Mahdiego.

Natomiast dla Cleasa był jak dowódca, który prowadzi skrzywdzonych ku wolności, krusząc świat imperializmu, niesprawiedliwości i kłamstwa.

– *Allah akbar* – zaczął i odpowiedziało mu gromkie *Allah akbar*, które wypełniło całe pomieszczenie. – Wszchemocny zesłał dzisiaj dar, który pomoże nam przybliżyć powrót Mahdiego i dokonać wielkiej syntezy. Podziękujmy za to Najwyższemu. – Powstali do iftitahi. – *Allah akbar*... Moja twarz bije pokłon przed Tym, który ją stworzył i uformował, i dał jej oczy i uszy dzięki swej Sile i Mocy...

Claes po raz pierwszy widział z bliska modlących się muzułmanów. Przyglądał się ich skupionym twarzom i czuł, że bije od nich siła i wiara w to, co robią i mówią, wola walki i świadomość celu, do którego dążą. Chociaż nigdy z własnej woli nie był w żadnym kościele, by szukać kontaktu z Bogiem, teraz po raz pierwszy poczuł Jego obecność, i to we własnym domu.

– Naszym celem będą promy na Bałtyku, dusza i duma Skandynawii, jej historia i przyszłość. Pokonać Szwecję na morzu to tak, jakby podbić cały kraj – oznajmił Safir z patosem, kiedy już odmówili modlitwę i z powrotem usiedli na podłodze. – Samolot zabiera dwieście, trzysta osób, a prom nawet trzy tysiące. Uderzymy więc w prom. Wyzaczyłem już czas i miejsce. Skandynawia otrzyma cios, który nie tylko odbije się największym echem, lecz także zmieni oblicze tego świata... na zawsze. To będzie wstrząs, który do tego stopnia poruszy wiernych i niewiernych, że będą musieli się porozumieć, znaleźć sposób współżycia na wieki... na zawsze. To będzie nasza synteza w duchu Braci Czystości.

Claes słuchał Safira i nie mógł uwierzyć, że dzieje się to naprawdę. W jego domu przy Strandvägen zawiązuje się spisek, który ma odmienić losy Skandynawii i świata! Od dziecka o niczym tak nie marzył jak o walce z Utrechtami, generałem Franco, Pinochetem i George'em Bushem. A teraz stanie do boju u boku Aminy, która dowodziła oddziałem partyzanckim na Kaukazie.

Alejandro, byłbyś ze mnie dumny! – pomyślał z głębokim

wewnętrznym uniesieniem.

Zakończy ostatecznie dekadencje losy rodu von Utrecht i przyczyni się do narodzin nowej przyszłości. Do powstania nowego porządku, który wyłoni się z chaosu i śmierci. On, Claes von Utrecht, będzie w tym uczestniczył, a jego imię stanie się synonimem odwagi, mądrości i sprawiedliwości. Będzie pierwszym od prawie czterystu lat von Utrechtem, który zrobi coś dobrego dla innych ludzi.

– Mamy broń, której możemy użyć – oznajmił Safir. – Potężną broń, o jakiej dotąd mogliśmy tylko marzyć. Planowałem tę akcję od lat, lecz wydarzenia ostatnich dni przyspieszyły jej realizację. *Allah akbar!*

– *Allah akbar!* – odpowiedzieli Bogajewowie. I Claes też.

Nikt o nic nie pytał, bo wszystko było proste i oczywiste. Twarze Bogajewów rozjaśniała wielka radość. Cieszyli się, że będą mogli poświęcić się dla sprawy. Od dawna byli na to gotowi, ale ten dzień przyszedł szybciej, niż się spodziewali. Szczęście, jakie malowało się na twarzy Aminy, miało narkotyczny wpływ na Claesa. Wydawało mu się, że jeżeli ona doświadcza tak głębokich przeżyć, to i jemu też się coś należy.

– Tym czynem obudzimy sumienia wszystkich ludzi, zburzymy fałszywy mit społeczeństwa dobrobytu, wolności, równości, braterstwa. – Safir był coraz bardziej zaangażowany emocjonalnie i czuć było narastającą w nim determinację. – W eksperymentalnej Skandynawii obudzimy wszystkich Breivików, Mangsów, Ausoniusów, rasistów i antyislamistów i niech do walki z nimi staną nasi bracia, nasi towarzysze. – Spojrzał wymownie na Claesa. – A jest nas pół miliona! I niech z tej walki zrodzi się wieczny pokój. Zwycięzimy! Każda cywilizacja musi czasami iść na kompromis z wartościami.

Wstali. Podchodzili kolejno, żeby ucałować Safira. Na końcu stanął przed nim Claes. Miał łzy w oczach i widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie może dobrać z siebie głosu.

– Dziękuję! – wydusił w końcu i naśladując Bogajewów, niezdarnie uściskał Safira. Wyczuł u niego broń za paskiem i z uznaniem pokiwał głową.

– Claes, bracie. W tobie cała nadzieja...

– Co każesz!

– Musimy wykorzystać nasze plemię, ale tak, żeby nie wiedziało, o co chodzi. Rozumiesz? Trzeba to zrobić inteligentnie, mądrze. A ty to potrafisz.

Safir był bardzo zadowolony, że Claes zapalał takim entuzjazmem. Gdyby było inaczej i pojawiły się jakieś wątpliwości, musiałby go zastrzelić. Opłaciły się lata pracy, wskazywanie mu właściwych dróg i wzorców. Komputerowy geniusz ze Strandvägen stał się jego koniem trojańskim, bez którego zdobycie promu byłoby nierealne.

– Nie ma problemu. Zrobię wszystko – odparł z wiarą i dodał:
– Mirmillo, bracia z plemienia na pewno się do nas przyłączą. Jestem pewien!

– Pomyślmy o tym później. Najpierw musimy się stąd wynieść, jeszcze dzisiaj, znaleźć coś wyjątkowo bezpiecznego...

– Oczywiście. Mamy takie miejsce, mówiłem ci o nim. To tam, gdzie jest nasz komputer... Nie takie duże jak to, ale wyjątkowo bezpieczne. Możemy też coś wynająć...

– Twoja kryjówka będzie na razie dobra. Potrzebujemy bezpiecznego dostępu do komputera. Potem zobaczymy.

– Karol... znaczy Safir... – Claes przerwał i spuścił wzrok, po czym uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. – Safir... ja... ja... – wahał się jeszcze – chciałbym przyjąć islam. Jak najszybciej, nim ruszymy do walki. Chcę być taki jak ty... wy.

Kiedy Hasan wrócił do pokoju ciszy, trwało jeszcze przepytywanie Marcina, choć wyraźnie zbliżało się już do końca. Widać to było po gęsto zapisanych notatnikach Lindy i Olafa oraz po wyczyszczonych talerzykach i pustym termosie.

Marcin kilka razy opowiedział minuta po minucie, co się stało w Warszawie, poczynając od telefonu Jacka Morawca z hotelu Marriott. Zgodnie z zaleceniem Konrada powstrzymywał się od własnych komentarzy i nowych teorii, ale Linda nieustannie go pytała, co o tym czy tamtym sądzi, więc nie mógł nie odpowiadać. Tak czy inaczej wiedza Polaków na temat tej sprawy niewiele pomogła w ustaleniu, o co w niej tak naprawdę chodzi. Podobnie zresztą jak wiedza Säpo.

– Kubrick, jak przymierzał się do filmu o Napoleonie, miał na kartkach opisany każdy jego dzień: co robił, jadł, mówił, gdzie był, z kim i o której – rzuciła w powietrze Linda i przysunęła się do Olafa. – A my co?

– Premier będzie pytał, a my nie będziemy mogli nic odpowiedzieć – szepnęła Olaf do Lindy, kiedy Hasan zajął się wymęczonym Marcinem. – Ale w powietrzu coś wisi. Ja to czuję.

– Ja też, ja też... – z troską przyznała Linda i zamknęła notatnik. – Wywiad północnokoreański spotyka się z IRA w Warszawie i Sztokholmie, i Bóg wie gdzie jeszcze, a my nie mamy pojęcia, co oni knują. Anglicy pewnie też nic nie wiedzą, bo gdyby było inaczej, to poinformowaliby Polaków.

– Jasne! Od Jamesa nie dowiemy się niczego nowego, a będą tylko nam przeszkadzać i stracimy czas. Co robimy?

– Może jednak trzeba się zwrócić oficjalnie do Dublina? – podsunęła niepewnie Linda. – Premier na pewno nas o to zapyta.

– Bo ja wiem? – odparł Olaf. – Póki nie ustalimy czegoś konkretnego, ja bym nikogo jeszcze o tym nie powiadamiał, szczególnie Irlandczyków. U nich te sprawy wewnętrzne są mocno skomplikowane i nie zawsze wiadomo, kto w co gra. – Podniósł się od stołu i zaczął zbierać swoje rzeczy. – Chodźmy,

Lindo. Uporządkujmy naszą wiedzę w tej sprawie.

Linda też już wstała, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł mocno zafrasowany młody pracownik wydziału Olafa z kartką w ręku.

– Właśnie przyszła informacja z policji – zaczął nerwowo. – Dwie godziny temu na posesji domu przy Alpstigen w Danderydzie znaleziono ciało Toma Morgana...

– Nie żyje? – przerwała mu Linda. – Co się stało?

– Zginął najprawdopodobniej od ciosu nożem w szyję – odczytał z kartki.

– Coś jeszcze wiadomo? – zapytał Olaf.

– Obok ciała znaleziono gotowy do strzału pistolet. Wyglądało, jakby Morgan został przez kogoś zaskoczony i chciał się bronić. Policja przeszukuje teraz jego mieszkanie – zakończył.

– No to mamy jeszcze większy problem. Co się dzieje? Czy ktoś to rozumie? Może mi powiedzieć, co jest grane? – Olaf zadał serię retorycznych pytań i pokręcił z troską głową, po czym spojrzał na zegarek. – Na trzynastą jedziemy do premiera, zostało mało czasu. – Popatrzył uważnie na Lindę i zawahał się. – Hasan, zostaw wszystko i jedź natychmiast do Danderydu. Przetrząśnij jego mieszkanie. Może znajdziesz tam coś, co nieco nam rozjaśni sprawę.

Hasan spojrzał wymownie na Marcina.

– Martin niech jedzie z tobą, przyda się, wie, o co chodzi – dodał Olaf. – O wszystkim natychmiast nas informujcie. Szukajcie czegokolwiek, ale głównie śladów północnokoreańskich, jakichkolwiek.

Obaj skinęli posłusznie głowami, a Linda i Olaf wyszli z pokoju.

– A co z naszym Safirem i waszym Claesem? – Marcin rozłożył ręce. – O nich też mieliśmy porozmawiać. Przygotowałem cały pakiet informacji...

– Odpuść teraz, Marcin – przerwał mu Hasan. – Zajmiemy się tym później. Dotąd zginęły dwie osoby. Nasz policjant i główny figurant, tajemniczy irlandzki terrorysta. Linda i Olaf mają dzisiaj premiera na głowie. Czujesz bluesa?

– Czuję. – Marcin zaczął składać swoje dokumenty. – U nas

też premier ma sraczkę z powodu Safira... A nie ma niczego gorszego niż biegunka szefa rządu. Wszyscy się wtedy ubrudzą.

– Harriet ze swoimi ludźmi z FRA zakłada dzisiaj TenFingers w kryjówce Claesa – rzucił Hasan. – Właśnie z nią rozmawiałem. Ale jest coś jeszcze, coś bardzo ciekawego. – Przepuścił Marcina w drzwiach i wyłączył zagnuszenie w pokoju. – Opowiem ci po drodze... Daj te dokumenty, schowam je u siebie w szafie. Nie będziesz przecież chodził z nimi po mieście. – Wsiadł do windy i próbował wziąć od niego teczkę. – No daj, co tak trzymasz?! Masz tam coś?

Dom, w którym mieszkał Jack O'Brien, obstawiony był przez policję i otoczony niebieską taśmą. Ruch na ulicy Alpstigen wstrzymany. W pobliżu widać było też kilku uzbrojonych antyterrorystów. Marcin i Hasan podjechali pod dom służbowym saabem. Na terenie posesji rozstawiony był parawan zakrywający ciało, przy którym uwijało się dwóch techników.

– Panowie z Säpo? – usłyszeli głos za plecami.

Obejrżeli się i Hasan ze zdumienia otworzył szeroko oczy, ujrzał bowiem idealną kopię komisarza Wallandera.

– W porządku – odezwał się nieznajomy. – Wszyscy mnie myślą z Rolfem Lassgårdem, ale ja nie nazywam się Wallander, tylko Brink, komisarz Brink z policji w Danderydzie.

Rozmowa toczyła się po szwedzku, więc Marcin zrozumiał tylko słowo „Wallander”. Hasan przedstawił kolegę z Polski i natychmiast przeszli na angielski.

– Co my tu mamy, panie komisarzu? – zaczął Hasan, zbliżając się do ciała.

– Zginął od noża rzuconego z dużą siłą i precyzją. Badają go teraz, może będą jakieś ślady. – Wskazał głową na samochód laboratoryjny. – Ale małe szanse, że coś znajdą. Cyrkowiec? Zawodowiec na pewno.

Stali przez chwilę nad zwłokami O'Briena, który leżał z otwartymi oczami w kałuży zaschniętej krwi. W pozycji, jakby zbierał się do biegu.

– Zapraszam do jego mieszkania – odezwał się po chwili komisarz. – Bardzo ciekawy zbiór dokumentów, możemy

zrobić wystawę w naszym muzeum. Mało który prawdziwy, więc właściwie nie wiemy, kto to jest.

– To Jack O’Brien – wtrącił się Marcin. – Żołnierz IRA.

– Żołnierz? – z ironią w głosie odparł Brink. – Ciekawe. To wygląda na robotę jego kumpli, też pewnie żołnierzy.

– Miał telefon komórkowy? – zapytał Hasan.

– Cztery. Właśnie je badają w wozie. Wszystkie kodowane, więc to trochę potrwa. Denat chyba wybierał się w podróż, bo wszystko stoi spakowane w przedpokoju. Wyglądało, jakby wracał tylko po swoje rzeczy.

Weszli na pierwsze piętro. Drzwi do mieszkania były otwarte, a wewnątrz krzżeli się technicy. W przedpokoju siedziała na krzeselku młoda dziewczyna i czytała zapisany odręcznie dokument oprawiony w przezroczystą folię.

– Pani jest tłumaczem z języka gaelickiego. – Brink wskazał na dziewczynę. – To bardzo ciekawy dokument, rodzaj listu pożegnalnego tego... jak pan powiedział?... żołnierza? Proszę bardzo, niech pani przeczyta.

Connie, jesteś moim przyjacielem, bratem, ojcem, moim dowódcą, jesteśmy Irlandczykami, ale ja chcę żyć. Poświęciłem się sprawie, oddałem jej wszystko. Byłeś moją jedyną rodziną. Kiedy składałem przysięgę, wiedziałem, na co się godzę, i wiem, że nasza sprawa jest najważniejsza. Każdy z nas gotów oddać za nią życie. Problem w tym, że ja już raz je oddałem i nie zamierzam tego robić ponownie. Wystarczy zginąć raz dla ojczyzny, prawda? Dlatego z uwagi na naszą przyjaźń i moje poświęcenie dla sprawy pozwól mi odejść. Należy się staremu żołnierzowi jakaś emerytura. Nie szukaj mnie i daj mi spokojnie żyć. Nie będziemy już śpiewać razem *A Nation Once Again*. Trudno, ja już nie żyję.

Gdy ten list do Ciebie dotrze, będę już daleko. Chcę się jednak wywiązać ze swoich obowiązków do końca. Spotkałem się wczoraj z SS, a dziś odebrali towar. Sprawę z NC załatwiłem już wcześniej, ale Ci o tym nie mówiłem, bo chciałem kontrolować sytuację. Nie będziesz miał z nimi problemów. Realizacja Twojego wspaniałego projektu będzie mogła się rozpocząć.

Nie biorę nawet centa z kasy, chociaż mógłbym. Docień to. Mam skromne oszczędności, które powinny mi wystarczyć na życie. Mógłbym też wyczyścić konto Lee Young-chula, ale wiem, jak by to zaszkodziło sprawie.

Pozdrów Kate. Oczywiście Robin nie musi już przyjeżdżać. Twój J.

– NC, SS. Co to może być? – zapytał Hasan, ale Brink tylko wzruszył ramionami.

– Jak to co? North Corea, oczywiście – rzucił z przekonaniem Marcin. – Ale SS...

Gdy Marcin i Hasan byli w Danderydzie, Anton Młot w towarzystwie dwóch techników wszedł do domu przy Mjölnerbacken 65. Ubrani byli w niebieskie kombinezony serwisu wind osobowych, a w rękach mieli duże torby z narzędziami.

– Wchodzimy do domu – powiedział Anton do mikrofonu.

– Neo wciąż jest w domu na Strandvägen – odparła Harriet. – Sygnał z obu telefonów stabilny.

Siedziała w swoim pokoju w FRA przed monitorem i śledziła sygnały telefonów komórkowych Claesa. Na drugim monitorze obserwowała jego interfejs, który był martwy. To znaczyło, że Claes jest w domu, lecz nie przy komputerze. Gdyby wybierał się na Rissne, włączyłby pewnie program maskujący, tak jak poprzednio.

Nie mogła wiedzieć, że w tym samym momencie, kiedy rozmawiała z Antonem, na Strandvägen, w sali empirycznej, odbywało się spotkanie, na którym Safir as-Salam objaśniał Bogajewom i von Utrechtovi cel i sens ich życia.

Gdzieś głęboko czuła, że za zwykłym zamówieniem pięciu pizz wegetariańskich kryje się jakaś niezwykła i ważna tajemnica, figura chimeryczno-retoryczna. I była prawie pewna, że jej objawienie jest bliskie.

Powinna się tylko trochę rozluźnić – pomyślała.

Teraz jednak musiała się skupić nad tym, co robi Anton, i pilnować Neo, żeby im nie przeszkodził. TenFingers to było coś więcej niż jakiś tam koń trojański. To miał być prawdziwy

taran, który rozbija tajemnicę Neo.

– Jesteśmy w maszynowni. Winda wyłączona. Zaczynamy wiercić – wyszeptał Anton. – Co u ciebie?

– Spoko! – powiedziała, ale wcale się tak nie czuła.

Dochodziła czternasta i sztokholmczycy już godzinę wcześniej wylegli na ulice w poszukiwaniu stolików w restauracjach. Nawet policjanci w Danderydzie przerwali pracę nad ciałem O'Briena.

Hasan, podobnie jak Harriet, też pamiętał o pięciu pizzach, ale teraz bardziej martwił się o to, co przyniesie wizyta Lindy, Olafa i Kurta w Rosenbadzie. I pewnie dlatego zaprosił Marcina na lunch do lokalu w pobliżu siedziby rządu. W Il Gardino trzeba było co prawda odstać w kolejce do stolika, ale za to serwowano tam najlepszą pizzę w mieście.

– Nie pomógł nam martwy Irlandczyk – zaczął Hasan, gdy tylko usiedli w ogródku.

Przez całą drogę z Danderydu do centrum milczeli, jakby zbierali w sobie siły do dalszej rozmowy i czekali, aż opuści ich duch śmierci, bo widok zwłok zawsze wywołuje refleksję u zwykłych ludzi, z wyjątkiem policjantów.

– Taaak... – potwierdził Marcin. – Nic się nie wyjaśniło. Może znajdą coś w jego telefonie...

– Nie sądzisz chyba, że gość, który ma taki życiorys, popełnił jakieś błędy.

– Przecież nie wiedział, że zginie. Chyba że sam dźgnął się nożem, żeby nam zamieszać w głowach – odparł pewny siebie Marcin, dłubiąc widelcem w sałatce z kapusty.

– Numer dziewięćdziesiąt dwa! – krzyknął po szwedzku śniady kelner.

Hasan podniósł rękę i po chwili wylądowały przed nimi dwie wielkie pizze na cienkim cieście. Jednocześnie w kieszeni Marcina zadzwonił telefon.

– To musi być Warszawa. Ech... tylko zawracają głowę. Słucham – rzucił Marcin znudzonym głosem, bo wiedział, że Konrad jest w Wilnie, a Sara na zwolnieniu. – Tak, słucham, pani naczelnik. – Natychmiast się wyprostował na krześle.

Od tej chwili przez dwie minuty tylko słuchał, a Hasan

wpatrywał się w jego twarz, która przybierała wszystkie możliwe grymasy, jakie może zrobić człowiek zaskoczony. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że musiało się coś stać, bo oczy Marcina mówiły to bardzo wyraźnie.

– Tak jest, pani naczelnik.

Marcin jak w zwolnionym tempie odłożył telefon na stół.

– Straciłem apetyt – oznajmił, patrząc na pizzę.

– Co jest? – zapytał nerwowo Hasan.

– No to słuchaj... – Przełknął ślinę i nabrał powietrza, jakby zamierzał wyrzucić z siebie wszystko jednym tchem. – Safir as-Salam... jest teraz... w Szwecji... – wydukał.

– Skąd to wiecie? – przerwał mu Hasan.

– Mało tego... – ciągnął Marcin na wydechu. – Są tu z nim Bogajewowie...

– Kto? Jacy znowu Bogajewowie?

– No ku... Gdybyście dali mi czas rano, tobym wam wyjaśnił... Musimy jechać do was. Sara wysłała już pismo, w którym wszystko opisała...

– Marcin! Co jest grane? Wysłów się w końcu!

– Bogajewowie to czecheńskie rodzeństwo, komando terrorystyczne, które ukrywało się w Polsce. Czysta Al-Kaida. A teraz okazało się, że są razem z Safirem i że mogą być jego ludźmi. To oni pomogli mu uciec z obławy...

– Rodzeństwo? Kobieta i mężczyzna?

– Cztery sztuki! – Marcin pokiwał głową. – Dziewczyna i trzech braci, w tym dwaj bliźniacy. Zawodowcy! Jak nic kombinują coś w Szwecji. Hamond jest przyparty do muru i będzie zabijał. – Marcin już się nieco uspokoił. – Sara przylatuje dzisiaj wieczorem z Lutkiem i M-Irkiem, a Konrad jutro rano.

– Czy ja dobrze liczę? – odezwał się poważnym tonem Hasan.

– Pięć wegetariańskich pizz? – Popatrzył na leżącą przed nim zimną rivierę z owocami morza, po czym podniósł wzrok i spojrzał na zaskoczony Marcina. – Oni... są... teraz... w mieszkaniu Claesa von Utrecht.

Jak na komendę poderwali się z miejsc, chwycili swoje marynarki, które wisiały na oparciach, i wybiegli na ulicę,

zostawiając nietknięte dwie pizze.

Marcin ruszył w prawo i Hasan musiał go zawołać, by wrócił.

– Idziemy do Rosenbadu, to za rogiem.

Odpowiedziało mu pytające spojrzenie Marcina.

– Tam są Olaf i Linda... no, u premiera. Nie mamy czasu.

Ruszyli szybkim krokiem, przepychając się na zatłoczonej Drottningatan.

– Harriet! Jesteś tam? – krzyknął Hasan do telefonu, aż ludzie się za nim obejrżeli.

– Kończymy test TenFingers, przeszkadzasz... Zadzwoń za...

– Gdzie jest Neo? – przerwał jej ostro. – Gdzie on jest?

– Sygnał mam... wciąż z domu... Nic...

– Zostawcie ten program, Harriet! – Hasan był wyraźnie zdenerwowany. – Uruchom wszelkie środki śledzenia Neo...

– Wszystko dobrze działa.

– Nie odpuszczaj go nawet na sekundę!

– Co się dzieje, Hasan? Gdzie ty jesteś?

– Właśnie wchodzę do Rosenbadu – rzucił zdyszany. – Pilnuj Neo! Zadzwoń.

Jagan leżał na łóżku w ubraniu i butach, z rękami pod głową, a Giena siedział podparty nad laptopem i bez żadnego zaangażowania stukał w klawiaturę. Trwali w tych pozycjach od godziny i przez ten czas nie padło między nimi ani jedno słowo. Obaj mieli powody, by zastanawiać się nad tym, co się stało wczoraj, lecz każdy miał inne.

Wypadek samochodowy Bobriukowa tylko pozornie uniemożliwił realizację misji, bo ona w ogóle była nie do zrealizowania – uważał Jagan. Rozwalenie z M10 dziada z babą w jakiejś polskiej chacie zakrawało na drwinę z majestatu Rosji. Wiedział, że w domu przy Sosnowej 15A nie ma Bogajewów, ale nie wspomniał o tym Batyszkinowi. Początkowo chciał to zrobić, lecz doszedł do wniosku, że powinien go jeszcze poobserwować, bo mimo potężnego kaca Giena dziwnie się zachowywał. Co pięć minut sprawdzał, czy nie przyszła wiadomość, jakby od tego zależał jego los. Milczenie Popowskiego było dziwne samo w sobie, ale dla Jagana nie miało to już takiego znaczenia. Czuł się wydymany – jak sobie nieustannie powtarzał w myślach, patrząc w sufit pokoju hotelowego.

Jeżeli najlepszy wywiad świata ze swoimi agentami, satelitami i radarami nie może zlokalizować czterech durnych Czeczenów, to trzeba wysłać starszego sierżanta Andrieja Trubowa, już on ich znajdzie – myślał.

Jego plan był wyjątkowo prosty. Weźmie audi, ruszy do Warszawy, złapie tę ciotę Bobriukowa za jaja i weźmie od niego M10, potem przycisnie kolanem do ziemi tego jego agenta, który wie, gdzie są Bogajewowie. Pojedzie tam i odstrzeli im sobacze łby.

A potem niech się dzieje, co chce. Mam to w dupie – pomyślał, wciąż patrząc w sufit.

Im dłużej trwała cisza w sieci, tym bardziej Batyszkin był przekonany, że nie jest dobrze. Minęły już dwadzieścia cztery godziny od wypadku Bobriukowa przed hotelem, a Popowski wciąż milczał. Musiało się coś stać i Misza z jakiegoś powodu

przeciągał sprawę. Giena mógłby właściwie do niego zadzwonić, ale otrzymali wyraźny zakaz kontaktu telefonicznego z terytorium Polski. Czuł, że jego czas zbliża się do końca.

– Idę się przejść – oznajmił i zamknął komputer.

A idź w cholerę! – pomyślał Jagan i dalej pisał swój plan na suficie.

– Nie wychodź. Zostawiam komputer na stole.

– Idź już w pi... – pogonił go Jagan po cichu.

– Przynieść ci coś... piwo chcesz?

– Pewnie – odpowiedział.

Giena zszedł do westybulu i rozejrzał się uważnie. Na zewnątrz, przed wejściem, siedział na ławce mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych na czole i rozglądał się znudzonym wzrokiem. Batyszkin przeszedł powoli obok niego i oddalił się nieco szybciej w lewo. Po chwili mężczyzna się podniósł, wrócił do hotelu, przeszedł przez restaurację i wyszedł na promenadę. Ruszył w prawo wzdłuż jeziora. Szedł powoli, bez pośpiechu, jakby czekał na kogoś spóźnionego, i dyskretnie się rozglądał. Po pięciu minutach doszedł do amfiteatru. Na samej górze, w rogu, siedział Giena Batyszkin. Na widok mężczyzny, który zmierzał w jego stronę, podniósł się i cofnął do lasu. Tamten opuścił okulary i powoli zaczął iść w kierunku Gieny.

Kupili po drodze butelkę Jacka Daniel'sa, paczkę papierosów Marlboro i dwie czekolady z orzechami. Chwilę potem stanęli przed hotelem Radisson.

– Mieliśmy przecież iść do twojego hotelu – odezwał się zdziwiony Popowski. – Nie mówiłem ci chyba, gdzie... – nie dokończył, bo zorientował się, że Wolski też mieszka w tym hotelu.

– Ty też się tu zatrzymałeś? – Konrad był szczerze zaskoczony.

– Numer pięćdziesiąt dziewięć.

– Ja pięćdziesiąt sześć.

Wybuchnęli śmiechem.

– To się musiało przydarzyć – stwierdził Misza. – No... musiało!

– Wystarczy, żeby szóstka się przekrzywiła, i będzie...

Obaj roześmiali się jeszcze głośniejsze, aż przechodnie zaczęli im się przyglądać.

– To teraz nie ma znaczenia, do kogo pójdziemy.

– Uff...

– Och...

Gdy wchodzili do pokoju Konrada, wstrząsały nimi ostatnie spazmy śmiechu. W rzeczywistości to nie fakt, że mieszkają w tym samym hotelu, tak ich rozbawił. To był tylko detonator wewnętrznego napięcia, które się w nich kłębiło, odkąd zobaczyli się na ulicy Antokolskio.

Misza Popowski pierwszy raz w życiu powiedział coś, czego oficer wywiadu nie powinien mówić. Zrobił coś, co pachniało zdradą. A jednak tego nie żałował, bo był pewny, że Wolski nie pozwoli mu stracić godności. Obaj wiedzieli, że odebranie godności drugiemu oficerowi nie jest żadnym zwycięstwem. Dlatego Konrad świetnie zdawał sobie sprawę, co ten czyn dla Miszy znaczy. Nie mógł zatem potraktować tych informacji jako inspiracji, czy też nawet dezinformacji, i musiał je przyjąć jako prawdziwe.

Mogą zginać ludzie. W każdej sprawie zawsze jest jakieś „ale”, lecz nie w tej – pomyślał Konrad i podał Miszy szklanekę.

Śmiech ustał równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Konrad nalał po pół szklanki whisky, rozpakował czekoladę i połamał ją na kawałki. Wyciągnął notatnik i zdjął folię z papierosów. Przez chwilę szukał czegoś w kieszeniach, aż w końcu wyjął długopis.

Misza obserwował w milczeniu każdy jego ruch, gest, spojrzenie. Śledził za nim wzrokiem, jakby chciał odkryć jego prawdziwe intencje, dowiedzieć się, kim jest ten człowiek. Liczył, że Konrad czymś się zdradzi – czymś, co albo potwierdzi słuszność tego, co on dzisiaj zrobił, albo udowodni jego szaleństwo. Pociągnął łyk whisky w nadziei, że mu rozjaśni umysł, a potem sięgnął po papierosy. Co się stało, to się nie odstanie – pomyślał i postanowił skończyć z tym psychomazgajstwem.

Odezwał się iPhone Konrada i Misza odniósł wrażenie, jakby to on sam dzwonił siłą woli, by zapytać Wolskiego, dlaczego tak okrutnie się z nim bawi, zwodzi go i oszukuje.

– Tak? – Konrad odebrał telefon.

– Możesz mówić? – zapytała Sara.

– Tak, jesteśmy w hotelu...

– Przed chwilą dzwonił do mnie Marcin. – Była wyraźnie poruszona. – Szwedzi namierzyli Safira i Bogajewów. Przygotowują się do akcji, będzie gorąco. Wiesz... Safir się nie podda i poleje się krew. A do czego zdolni są Bogajewowie?

– *Fuck!* Szwedzi wiedzą, co się działo u nas?

– Jest tam Marcin, pewnie wszystko im opowiedział. Safir i Czeczeni są w mieszkaniu tego Claesa von Utrecht.

– Kurwa! Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić. – Popatrzył na Popowskiego, który z pustą szklanką w dłoni przysłuchiwał się jego rozmowie.

– Też nie wiem...

– Informuj mnie o wszystkim na bieżąco. Może nie będziemy już musieli jechać do Sztokholmu.

– Podziękuj Miszy – rzuciła Sara z przekonaniem. – To dzięki jego informacji namierzyliśmy Safira i Czeczenów.

– Podziękuję. Masz rację. – Spojrzał na Popowskiego i uśmiechnął się. – Czekam na informacje od ciebie. Zadzwoni

natychmiast do Henryka i Marcela.

– Dzwoniłam... – odparła i zaraz dorzuciła: – Aha... byłabym zapomniała. Jack O'Brien nie żyje. Dostał nożem pod domem, gdzie miał tymczasowe lokum. Znaleźli list, który najprawdopodobniej napisał do Conniego Colta. Jack zamierzał zdezerterować i gdzieś się ukryć, ale najpierw chciał coś załatwić z biznesmenami z North Carolina. I ponoć to dzisiaj załatwił... i zginął. Szwedzi uważają, że to robota jego towarzyszy walki, ale mnie się tak nie wydaje...

– Chyba wiem, o co chodzi – przerwał jej. – Wiem, wiem! Saro, to bardzo ważne, co powiedziałaś. Bardzo ważne! – Był niezwykle podekscytowany. – Wszystko zaczyna się ładnie układać, ale to nie sprawa nawet na nasz telefon. Porozmawiamy o tym jutro, ale informuj mnie, jak będziesz miała coś nowego.

– Nie pij! Cześć! – zabrzmiało w słuchawce i Sara się wyłączyła.

Tymczasem Popowski uzupełnił sobie szklankę i zapalił papierosa.

– Ja się jeszcze napiję, ale ty powinieneś się oszczędzać. – powiedział z ironią i pociągnął whisky. – Widzę, że będziesz miał jutro robotę ekstra. Musisz być w formie, nie? Czyżbym się mylił?

– Pierwszy etap, Miszka, zaliczony. Dzisiaj pytanie, dzisiaj odpowiedź. Godzinę temu dałeś informację o Bogajewach, a my już ich mamy... no, prawie. Szwedzi namierzyli całą czwórkę w Sztokholmie. Dziękuję w imieniu służby polsko-szwedzkiej! – Konrad stuknął się szklanką z Miszą i też mocno pociągnął, bo wbrew usłyszanym przed chwilą ostrzeżeniom nie mógł się powstrzymać.

O śmierci Jacka O'Briena nie zamierzał mu jeszcze mówić, bo najpierw chciał uzyskać od niego dowód, który uwiarygodniłby informację o koreańskiej bombie. Niewykluczone, że Popowski mógłby zmienić taktykę, gdyby się dowiedział, że jeden z irlandzkich negocjatorów właśnie zginął. Konrad miał niemal stuprocentową pewność, że nóż był w rękach bojownika Al-Kaidy. Zabili pośrednika, bo dostali to, czego potrzebowali,

i świadek mógł teraz stanowić zagrożenie.

A tym czymś mogła być bomba... – pomyślał i zaraz sobie uświadomił: Safir i Bogajewowie w Sztokholmie i śmierć O'Briena... to nie może być zbieg okoliczności. Nigdy w życiu!

– Teraz drugi etap, Misza – powiedział głośno, odstawiając szklanę. – Dawaj dowód!

Popowski starał się odwlec ten moment jak skazaniec egzekucję. Zaczynało to już przybierać groteskowy wymiar, więc w końcu zdecydował się dać Konradowi satysfakcję.

– No dobrze. Wystarczy, Radek! – rzucił tonem, jakby chciał wydać rozkaz. – Zapisz sobie jego nazwisko i zadzwoń do tego swojego kumpla, George'a Gordona.

Konrad rzeczywiście wziął do ręki notatnik i długopis, chociaż imię i nazwisko kreta zapamiętuje się od razu na całe życie. Tak rzadkie jest to stworzenie.

– Kapitan Andriej Igorowicz Batyszkin, z mojego wydziału.

Padło w końcu nazwisko Borysa, brytyjskiego szpiega, o którym tak tajemniczo mówił Gordon.

To było dziwne uczucie, jakiego doświadczają tylko nieliczni oficerowie wywiadu, którzy mogą dotknąć dowodu na odwieczną względność szpiegowskiej profesji. Czy zwyciężył ten, komu udawało się przez lata penetrować służbę przeciwnika, czy ten, który zdemaskował kreta?

– Zadzwoń do Gordona, żeby natychmiast zabrał to swoje ścierwo do Londynu. Batyszkin jest teraz w Polsce, w Mrągowie. Trzymam go tam celowo, bo gdyby wrócił do Rosji, to musiałbym go postawić pod ścianą. Nie miałbym wyboru. – Popowski ciągnął logicznie, chociaż był już na czwartym poziomie skali Generała Stakana. – Rozumiesz? To dla niego jedyna szansa, by z tego wyjść. Powiem swoim, że gdzieś przepadł, znikł w Polsce, ktoś go utopił albo porwał, cokolwiek... Pieprzyć szmatę! Żadnego oficjalnego dochodzenia nie będzie, bo on fizycznie nie istnieje.

– Jak na niego wyszedłeś? – zaciekał się Konrad.

– To już moja sprawa... – Popowski pociągnął whisky, aż się zakrztusił i zaczął kaszleć, szybko jednak się opanował i łapiąc oddech, stłumionym głosem dodał: – Szkolne metody... tylko

trzeba... czekać. Tworzysz wokół podejrzanego kreta tak przekonującą fikcję, żeby w nią uwierzył i zaczął żyć w jej wnętrzu. Sterujesz nim i czekasz na okazję, żeby mu podłożyć fałszywkę, nakarmić go czymś, na czym się wyłoży. I to ścierwo tak się właśnie wyłożyło. Trzeba mieć tylko cierpliwość. Proste, co?

Nagle zaniemówił, uniósł głowę, przymknął oczy i kichnął potężnie, aż rozlała mu się whisky.

– Ożeż ty! – Wytarł nos. – Chyba zaczynam być uczulony na Jacka Daniels’a. Starzejemy się, Radek.

– Zastosowałaś klasyczną metodę – skomentował Konrad. – Angleton ćwiczył to na wszystkich pracownikach i omal nie sparaliżował CIA.

– Amerykanie to brutalne wieśniaki, wołę Anglików... albo Polaków... No... dzwonisz do tego Gordona? Powiedz mu, że siedzimy w Wilnie i pijemy, niech przyleci.

Misza był już mocno wlany i Konrad bał się, że odpłynie znowu w jakiś historyczny moralitet, jak w Brukseli.

– Batyszkin nie wie, że go zdekonspirowałaś?

– Coś ty, Radek, ochujał?! Pewnie, że nie. Przecież by wtedy zwał i stał się zupełnie bezwartościowy w mojej światowej rozgrywce. No co? Nie? Ale dostaniesz też do Batyszkina bonus ekstra.

– Jaki? – Konrad zaczynał się spieszyć, bo Popowskiemu coraz bardziej zaczynały opadać powieki.

– Aaa... z Batyszkinem jest teraz taki jeden sierżant ze specnazu... Jagan na niego mówią. To cyborg z Czeczenii, ale przyda ci się. *Wot...* rosyjska razwiedka wynajmie go wam nieodpłatnie. I tak jest zdekonspirowany przez tego pierdolonego Batyszkina, bładź! – Misza już wyraźnie odpływał. – On zna Bogajewów! Nooo... osobiście... nikt ich nie zna osobiście, tylko on... i ma z nimi rachunki do wyrównania, wiesz. Przyda ci się w Szwecji, *choroszyj parień*. – Zaczął mieszać rosyjski z polskim, co zwiastowało bliski koniec. – Oj... przyda ci się... w Szwecji. Z Bogajewami nie będzie łatwo... nieee...

Tymi słowami Michaił Wiktorowicz Popowski zakończył dzień.

Konrad zdjął mu buty, rozpiął pasek, podciągnął go na łóżku i nakrył narzutą. Zebrał swoje rzeczy, wziął jego kartę, zasłonił okno i zatrzasnął za sobą drzwi. Poszedł do pokoju Miszy. W końcu między numerami 59 i 56 nie było prawie żadnej różnicy.

Teraz musiał zadzwonić do Gordona i zastanawiał się, jak mu to wszystko powiedzieć. Na chwilę ogarnęło go miłe uczucie, że Brytole wtopili, ale szybko się otrząsnął, bo jednak bardziej lubił Gordona niż Popowskiego.

Najpierw umył zęby, mając nadzieję, że stłumi zapach alkoholu i poprawi swoją wymowę, po czym zasiadł w fotelu, odczekał chwilę i wybrał numer telefonu w Londynie.

Na widok Hasana, który wbiegł do Rosenbadu, ochroniarze poderwali się nerwowo i chwycili za broń. Ledwo zdążył się wylegitymować, gdy na schodach pojawili się Kurt, Linda i Olaf.

Wystarczyło mu kilkadziesiąt sekund, by wytłumaczyć, co się stało. Wprawdzie Kurt Lövenström nie znał sprawy Claesa von Utrecht, lecz widząc zaangażowanie Hasana, zatroskaną minę Marcina i gwałtowną reakcję Lindy, natychmiast zdał sobie sprawę z zagrożenia i przez chwilę pomyślał, czy nie wrócić od razu do premiera.

Za dwa dni, w piątek, jak co roku w czerwcu, Szwedzi w kraju i na całym świecie obchodzić będą swoje najważniejsze święto radości, światła i życia. Zacznie się midsommar. Powitają lato i wakacje. Będą bawić się i tańczyć przez całą noc wokół przystrojonych zielenią wysokich pali, jeść truskawki, pleść wianki, a panny złożą bukiety z siedmiu kwiatów. Obfitym strumieniem poleje się aquavit i wszelkie inne alkohole. Purytańska, spokojna Szwecja zmieni się nie do poznania i następnego dnia będzie długo spać.

Każdy Szwed, nawet taki jak Hasan Mardan, ma to święto w genach, toteż pojawienie się Safira i Bogajewów było ostatnią rzeczą, jakiej teraz oczekiwali. W midsommar Szwecję można pokonać gołymi rękami, a tego roku pogoda zapowiadała się wyśmienita.

Marcin o tym wszystkim nie wiedział, ale napięcie udzieliło się także jemu. Już w drodze do samochodu poinformował, że wieczorem przylatują Sara, Lutek i M-Irek, a następnego ranka Konrad.

Hasan pobiegł po służbowego saaba, a Marcina wpakowano na trzeciego do volvo Kurta. Ruszyli ostro i kierowca włączył koguta, którego trzeba było przekrzykiwać. Mimo to, nim dojechali na Polhemsgatan, Marcin opowiedział pokrótce o aferze z Abdulem w Wiedniu, nocnym oblężeniu mieszkania Sary, ucieczce Safira as-Salama, zabójstwie policjanta pod Szczytnem.

Mówił logicznie i spokojnie. Przez całą drogę nie padło ani jedno pytanie. Wszyscy zrozumieli, że Safir jest śmiertelnie niebezpieczny i że coś strasznego wisi w powietrzu.

Säpo było dobrze przygotowane na takie zagrożenia i każdy funkcjonariusz wiedział, co ma robić. W ciągu kilkunastu minut byli w stanie zablokować i zabezpieczyć każde miejsce w Sztokholmie. Kiedy jednak Kurt pomyślał, że tłum policjantów z bronią, antyterrorystów, karetki pogotowia i niezliczone ekipy telewizyjne będą blokować Strandvägen, to po raz pierwszy w życiu chciało mu się płakać. Każdy sztokholmczyk wiedział, kto mieszka przy tej ulicy.

– Zbierzcie wszystko, co mamy w tej sprawie, i za dziesięć minut spotkajmy się w centrum dowodzenia – rzucił Kurt, gdy dojechali na miejsce, i znikł za drzwiami swojego gabinetu.

– Gdzie ten Hasan, do cholery?! – pokrzykiwała Linda i szła tak szybko, że Olaf i Marcin ledwo mogli za nią nadążyć. – On ma w szafie sprawę von Utrechta.

– Trzeba dzwonić do Hermanssona – stwierdził Olaf i wszyscy opadli na krzesła w pokoju narad. – Hasan mówił, że FRA ma bieżący spanning Claesa... Zakładali mu technikę.

– Zaczekamy na Hasana. Nie będziemy mieszać, bo powstanie bałagan – odparła Linda. – Wie, co robi, to jego sprawa i Harriet Berghen. – Wyjęła telefon i wybrała kontakt. – Gdzie jesteś? – zapytała i bez słowa się rozłączyła. – Właśnie wchodzi.

Dochodziła trzynasta trzydzieści. Safir dał Aminie kartę SIM do jej telefonu, a Claesowi nowy aparat.

– Za chwilę opuszczamy to mieszkanie, tu nie jest bezpiecznie – oznajmił. – Zabieramy broń i wszystkie nasze rzeczy. Nie może po nas zostać żaden ślad. Kontaktujemy się wyłącznie przez telefony, które wam dałem. Claes, wyłączysz wszystkie swoje komputery i telefony... mogą być śledzone. Nie możemy sobie teraz pozwolić na najmniejszy błąd. Sieć i elektronika to zawsze najsłabsze punkty.

Von Utrecht poderwał się nerwowo.

– Nie teraz, Claes – uspokoił go Safir. – Po naszym wyjściu. My idziemy pierwsi, ty nie wcześniej niż pół godziny po nas. – Odwrócił się do Bogajewów. – Zbieramy się!

Nikt nie zapytał, dokąd jada i jakie są dalsze plany, Bogajewowie bezgranicznie ufali swojemu dai-kabirowi, więc nie musieli o nic pytać, ale Claes nic nie wiedział o Braciach Czystości i stał nieco zdezorientowany na środku empirowego salonu.

– A co ja mam robić? Mam coś załatwić w naszym plemienu? Ale co dokładnie? Nie powiedziałaś.

– Siadaj. – Safir wskazał mu wielki fotel na mosiężnych nogach i sam usiadł w identycznym. Z kieszeni wyjął kartkę. – Masz tutaj zapisanych trzydzieści pytań, głównie technicznych, dotyczących konstrukcji promów, ale potrzebuję też złamać zabezpieczenia kilku serwerów. Muszę wiedzieć, Claes – położył mu dłoń na kolanie – gdzie i jak należy zdetonować ładunek, by statek szybko zatonął... Rozumiesz?

– Ale oczywiście tak, żeby ludzie zdążyli go opuścić... prawda?

– Von Utrecht uniósł wysoko brwi. W tym momencie wydał na siebie wyrok.

– No oczywiście, Claes! – odparł z przekonaniem Safir. – Oczywiście! Myślałeś, że zabijemy trzy i pół tysiąca niewinnych ludzi?! Będą musieli opuścić prom, a dopiero potem go zatopimy. To ma być demonstracja, nie egzekucja.

– Nooo... i ja tak myślałem, ale się wystraszyłem – odparł usatysfakcjonowany Claes. – Takie statki łatwo jest zatopić, a straty są dla wszystkich pasażerów. Wystarczy! Wiem, nieraz pływałem. He, he... ale numer!

– Właśnie! Masz tu pytania, na które do jutra muszę mieć odpowiedzi. Więc jedź na Rissne i popracuj na naszym bezpiecznym komputerze. Otrzymałeś nadzwyczaj ważne i bardzo tajne zadanie. Rozumiesz? Od ciebie zależy powodzenie naszej akcji.

Von Utrecht wyglądał, jakby dostał rozkaz ataku na Biały Dom.

– Jasne, Mirmillo, wszystko załatwię. – Przed oczami stanęła mu piękna, apokaliptyczna wizja tonącego promu Europa, jednego z największych na świecie.

Podniósł się żwawo i poszedł do swojego pokoju, a Safir zatopił się głębiej w fotelu i pomyślał, że trochę się przeliczył w ocenie

Gala, ale na szczęście nie jest jeszcze za późno i pewnie wszystko da się załatwić.

– Sygnał z jego telefonu jest bez zmian, od rana tak samo. Komputer wyłączył dwadzieścia minut temu – relacjonowała Harriet na ekranie centralnego monitora w policyjnym centrum dowodzenia. – Wygląda, że jest wciąż w domu na Strandvägen. Popatrzcie – wskazała na planie miasta dwa niebieskie pulsujące punkty. – Ani drgną.

– Może to jakiś podstęp? – zapytał Lövenström.

– Nie można wykluczyć. Obraz jest taki, jaki jest – dodała.

– Wysyłamy ekipę wywiadowczą, Kurt. Nie ma czasu – wtrącił się Bengt Ulwe, zastępca komendanta policji sztokholmskiej. – Nim przystąpimy do akcji, trzeba sprawdzić ten adres.

– Pojadę z nimi – odezwał się Hasan.

– Oni już tam są – wyjaśnił Ulwe. – Mają plany mieszkania. Prawie czterysta metrów, dwa wejścia. Nie będzie łatwo.

– Niech zaczynają! – zdecydował Lövenström.

– Zaczynajcie – rzucił do mikrofonu Bengt. – Dajcie obraz – zwrócił się do technika obsługującego centrum.

– Harriet, pilnuj go uważnie. Mamy cię cały czas na wizji – włączyła się Linda. – Jak tylko drgnie, daj znać.

Kilkanaście osób zebranych w centrum obserwowało wielki monitor plazmowy, pod którym za szeroką konsolą siedziało dwóch mundurowych policjantów. Nagle ekran podzielił się na kilka sekwencji. W prawym górnym rogu widać było Harriet, a na pozostałych poruszające się i rozedrgane obrazy.

– Kamera numer jeden to ekipa od Torstenssonsgatan, wyjście tylne – poinformował technik. – Dwójka pokazuje wejście główne od Strandvägen. Kamera trzecia to dwaj zwiadowcy. Właśnie wchodzą tym wejściem.

Obraz z trójki przesunął się i widać było, jak zwiadowcy w ciszy idą szerokimi schodami w górę. Po chwili dotarli do okazałych, rzeźbionych, dwuskrzydłowych drzwi. Na ekranie pojawiła się damska dłoń, która nacisnęła dzwonek, ale dźwięku nie było słychać. Po chwili oczekiwania powtórzyła czynność i kamera przesunęła się w bok, pokazując twarz drugiej kobiety, która dała znak, że z mieszkania nie dochodzą

żadne dźwięki.

– Cisza – dobiegło z głośników. – Chyba nikogo nie ma.

– Nie wiadomo – stwierdziła Linda. – Mogą po prostu nie otwierać.

– Lisa – odezwał się Ulwe.

– Jestem – wyszeptała kobieta.

– Podsyłam wam techników z endoskopem i sonarem.

– Okay.

– Bądźcie ostrożne.

– Okay.

Do drzwi podeszło dwóch ludzi. Obraz był ostry, jasny. Pochodził z kamery umocowanej na piersi kobiety. Technicy przez chwilę sprawdzali, którądy mogą wprowadzić wziernik. Robili wszystko w ciszy. Nie było słycać żadnych zbędnych słów czy dźwięków.

Mijały minuty i wszyscy w centrum niemal wstrzymali oddech. Marcin i Hasan stali obok siebie i z wyraźnym napięciem na twarzach obserwowali, co się dzieje na monitorze. Obraz zaczął trochę skakać i przesuwać się na boki. Przez chwilę widać było technika, który trzymał w rękach mały komputer.

– Wewnątrz ciemno, nic nie widać – odezwała się w końcu Lisa. – Żadnego ruchu, śladu jakiegokolwiek aktywności. Sonar też nic nie wyłapał. Co robimy? Zostawiamy podrzutkę?

– Wstrzelcie do środka czujnik i zwijajcie się. Tylko dyskretnie – zarządził Kurt i po sali poniósł się cichy pomruk ulgi.

– Sygnał wciąż ten sam, ale to nie znaczy, że on tam jest – odezwała się Harriet z monitora. – Z jakiegoś powodu zostawił telefon. Przypominam, że robił taki manewr, gdy jechał na Rissne. Z całą pewnością coś się za tym kryje.

– Falszywy alarm? – zapytał z poczuciem winy Hasan.

– Zbliźcie się – powiedział Kurt. – Żaden fałszywy alarm! Informacje od polskich kolegów są bardzo wartościowe i wiarygodne, nie wolno ich w żadnym stopniu bagatelizować. – Spojrzał na Marcina. – Bezpieczeństwo obywateli i państwa to nie swobodna ocena dowodów. Mieszkanie von Utrechta objąć całodobową tajną obserwacją i niech ekipy dyżurują w odwodzie. Oddział antyterrorystyczny w pobliżu gotowy do

akcji w każdej chwili. Będziemy na niego czekać. I zachować absolutną ciszę na Östermalm, żeby o was zaraz nie mówiła połowa Sztokholmu. Zdjęcia Czeczenów i Polaka rozesłać do wszystkich posterunków policji.

– Już zrobione – odparł Ulwe.

– Mamy go zdjąć, jak się pojawi? – zapytał Olaf i od razu zdał sobie sprawę, że mocno przestrzelił. Spojrzenie Lindy nie pozostawiało złudzeń. – Nie... oczywiście... że nie.

– Sam Claes nam niepotrzebny, na razie nic jeszcze nie zrobił – rzucił Kurt.

– Ma nas zaprowadzić do Safira i Czeczenów. Nie możemy ich spłoszyć – wtrącił Hasan.

– Otóż to! – potwierdził Lövenström. – Nie chcę, żeby ktoś zginął. Za dużo trupów ostatnio. Do roboty!

O siedemnastej byli już w Kapellskärze, gdzie kończył się szwedzki odcinek E18. Pierwsza jechała pikapem Amina z bliźniakami, za nią zaś Safir z Rustamem czerwonym saabem. Po drodze zatrzymali się w Norrtälje, gdzie Rustam kupił nową oponę do motocykla Safira i szybko wymienił ją w warsztacie.

Gdy dojeżdżali do terminalu promowego, Safir kazał im się zatrzymać, zdjął kawasaki z pikapa, włożył kask i ostrożnie wjechał na motorze w leśną drogę. Wrócił pieszo po piętnastu minutach.

Samochody zostawili na małym parkingu nad wodą. Obeszli kamienistą zatoczkę i usiedli na wysokiej skale nad brzegiem morza, tak by mieć w polu widzenia swoje pojazdy.

– Płyniemy do Finlandii – oznajmił Safir. – A dokładniej na Wyspy Alandzkie. Ukryjemy się... nikt nas tam nie znajdzie...

– A gdzie to jest? – zapytała Amina.

– Tam. – Safir wskazał ręką na morze. – Niedaleko. Półtorej godziny promem. Szwedzkie służby z pewnością już o nas wiedzą, ale fińskie... niekoniecznie. Na Wyspach Alandzkich jest tylko osiemdziesięciu policjantów...

– Ilu? – obruszył się Aslan.

– Nie dadzą nam rady – dodał Szamil. – Rozniesiemy ich.

– Nie o to chodzi – ciągnął Safir. – Już dawno wybrałem to miejsce do przeprowadzenia naszej najważniejszej akcji. To ma

być hołd dla Osamy, jego męczeństwa.

– Uderzymy na promy? – ponownie odezwała się Amina.

Safir pokiwał głową i wszyscy zamilkli, wpatrując się w kamienne wysepki sterczące na horyzoncie z morza.

– To będzie największy i najważniejszy... najmocniejszy cios w zachodnią cywilizację, dotkliwszy niż jedenasty września, znacznie dotkliwszy... – spokojnie ciągnął Safir, a Bogajewowie nie odrywali wzroku od morza. – Po czymś takim będą musieli przejrzeć na oczy, nawet jeżeli sprowokujemy... oby!... nowy konflikt. Mówiłem wam, że liczę na starcie islamu z Europą, nie z Ameryką. Europa jest słabsza i sama nie wie, na jakich wartościach się opiera. Są tam miliony naszych braci i z konfliktu musi się wyłonić nowy porządek... i nadejdzie Mahdi.

– Wypełnimy wolę Allaha! – zapewnił cichy dotąd Rustam.

– Oddamy życie na Jego chwałę... – dodała z uniesieniem Amina i wszyscy powtórzyli razem: – *Allah akbar!*

– *Allah akbar!* – dołączył Safir. – By to osiągnąć, musi być efekt równy wybuchowi atomowemu... – Zawiesił na moment głos i Bogajewowie spojrzeli na niego z uwagą. – Musimy zabić tylu ludzi, ilu się da. To muszą być tysiące. To musi być największa zagłada w dziejach Europy.

– Jak tego dokonamy? – zapytała Amina.

Dopiero wtedy się zorientowali, że po lewej stronie pojawił się między skalistymi wysepkami potężny biało-czerwony prom Rosella i sunął majestatycznie w kierunku brzegu, zostawiając za sobą cieniutką smugę dymu i ślad na wodzie.

Bogajewowie zobaczyli morze po raz pierwszy, gdy dotarli do Gdańska. Kiedy patrzyli na jego bezkres kończący się linią horyzontu, doznawali uczucia bliskiego uniesieniu w modlitwie. Przysięga, którą złożyli o świcie, wiązała ich los z morzem i gotowi byli w nim zginąć.

– Te, na które uderzymy, są dwa razy większe niż ten. – Safir wskazał głową.

– Te? Ile ich będzie? – dopytywała się Amina.

– Uderzymy na cztery równocześnie. To będzie hołd dla naszych braci z czterech samolotów z jedenastego września – powiedział z przekonaniem. – Na każdym jest około trzech

tysięcy ludzi, to razem dwanaście tysięcy. – Bogajewowie w milczeniu obserwowali, jak Rosella sunie po morzu. – Możemy to zrobić tylko w jeden dzień w roku. W najbliższą noc z piątku na sobotę. Tej nocy będzie w Szwecji midsommar... – Rustam i Amina spojrzeli na niego z zaciekawieniem. – To takie święto, ale najistotniejsze, że na każdym pokładzie będzie wtedy mnóstwo pijanych ludzi, co zwiększy efekt zaskoczenia i zwielokrotni straty.

– Allah ukarze niewiernych za picie alkoholu – skomentował Szamil i wszyscy się uśmiechnęli.

– Przygotowywałem tę akcję od lat, ale nie wszystko jeszcze mam dopracowane, dlatego jest nam potrzebny Claes. Allah wysłuchał moich modlitw i zesłał nam broń. Zaplanowałem, że opanujemy mostki kapitańskie i skierujemy promy na skały, których tu nie brakuje. Zatoną błyskawicznie jak Estonia. Zginęły wtedy osiemset pięćdziesiąt dwie osoby. Po zderzeniu Concordii ze skałami byłem już pewny, że pomysł jest realny i może być skuteczny. Trzeba tylko uderzyć bokiem promu o skały. Ale... ale jeden zatonię w morzu... od wybuchu.

Safir przerwał na chwilę, bo dostrzegł radiowóz policyjny, który objeżdżał powoli parking. Po chwili jednak włączył syrenę i popędził w kierunku E18, zapewne w odpowiedzi na wezwanie.

– W tym czerwonym saabie mamy potężny ładunek wybuchowy, który zatopi nawet największy prom. – Bogajewowie jak na komendę spojrzeli na Safira. – Ja to zrobię! – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Wejdziemy na promy w Maarianhaminie. Wszystkie zawijają tam tej samej nocy, żeby znaleźć się w strefie wolnocłowej. To będzie najlepszy moment do ataku. Jednoczesne uderzenie na cztery promy zdezorientuje policję, ale i odciągnie uwagę od tego, na którym zdetonuję ładunek.

– Jesteśmy dumni, że możemy być fidai i walczyć u twojego boku, dai-kabirze – powiedział Rustam z przejęciem. – Jesteśmy gotowi zginąć na chwałę Najwyższego.

Rosella zbliżyła się do terminalu. Za chwilę miała przybić do brzegu. Na lądzie ustawiła się już krótka kolejka samochodów.

– Czas na nas – orzekł Safir i wstał. – Obejrzymy prom i pokażę wam, co mamy zrobić. To będzie jedyny taki trening przed akcją.

Objął Asłana i Szamila i ruszyli ostrożnie po skałach w dół.

Dobrze wiedział, że jeśli każde z Bogajewów uderzy w pojedynczy prom, szanse przejęcia nad nim kontroli i wprowadzenia go na skały będą niewielkie. Ich atak miał mieć znaczenie symboliczne, odciągnąć uwagę policji i sił ratunkowych. Ale o tym Safir jeszcze im nie powiedział.

Natomiast zatopienie promu za pomocą koreańskiego ładunku było niemal pewne. I to był jego główny cel.

W hotelu Panoramic w Mrągowie panował nielichy zgiełk. Cały budynek chodził w posadach. Stowarzyszenie Prawników miało szkolenie zawodowe.

Jagan leżał w swoim pokoju i wciąż czytał z sufitu. Trzaskanie drzwiami i krzyki na korytarzu wcale mu nie przeszkadzały. Przez cały dzień próbował znaleźć sposób na odnalezienie Bogajewów i w końcu, jak mu się wydawało, wpadł na dobry pomysł.

Postanowił pójść do Batyszkina i spróbować go przekonać, że powinien nalegać na Popowskiego, by dał im jeszcze jedną szansę na odnalezienie czecheńskiego rodzeństwa.

Drzwi do pokoju Gieny były zamknięte i trzyminutowe stukanie pozostało bez odzewu. Telefon też nie odpowiadał. Jagan zszedł więc do restauracji, zajrzał do baru, omiół spojrzeniem westybul, obszedł hotel z zewnątrz. Okno pokoju Batyszkina było ciemne. Audi stało na parkingu, więc nigdzie nie wyjechał.

Po godzinie poszukiwań Jagan postanowił interweniować w recepcji.

Zapalił światło i w towarzystwie pracownika hotelu wszedł do pokoju. Rozgrzebane łóżko sprawiało wrażenie, jakby dopiero co ktoś z niego wstał, ale pościel była zimna. W łazience znajdowały się kosmetyki i sucha szczoteczka do zębów, w szafie stała torba i wisiało ubranie. Wszystko wydawało się w porządku, brakowało tylko Andrieja Batyszkina i służbowego laptopa.

Jagan podziękował recepcjoniście za pomoc i wrócił do swojego pokoju. Musiało się coś stać – pomyślał z niepokojem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że już nigdy nie zobaczy Gieny.

Ale co? Zwiął? Zginął? Z laptopem? Porwany?

Zdecydował, że zaczeka do rana i jeśli kapitan – albo jego ciało – się nie odnajdzie, to złamie rozkaz i zadzwoni do Michała Popowskiego.

Mimo że dom przy Strandvägen obstawiony był przez najlepsze ekipy obserwacyjne wyposażone w nowoczesny sprzęt, nikt nie zauważył, by Claes von Utrecht wychodził lub wchodził. Pierścień był tak szczelny, że nie prześlizgnęłyby się nawet mysz. W tym momencie ten rejon dzielnicy Östermalm był najgęściej zaludnionym tajną policją miejscem w Szwecji, a może i na świecie.

Podobnie sprawa wyglądała na Rissne. Harriet wciąż dyżurowała w siedzibie FRA na Lovön, Hasan w centrum dowodzenia, a Linda i Olaf w biurze. Von Utrecht przepadł bez śladu i wszyscy się zastanawiali, czy jeszcze żyje.

Jednak Claes miał się znakomicie i był nieopodal, tysiąc trzysta metrów dalej, na Sergels Torg w centrum miasta. Pokazywały go wszystkie kanały szwedzkiej telewizji, stojącego z wielkim transparentem w pierwszym szeregu manifestantów. Był spośród nich najbardziej aktywny. Udzielił nawet krótkiej wypowiedzi dla SVT24.

Nie mógł opuścić kolejnej demonstracji w obronie Juliana Assange'a ani też powiedzieć o tym Safirowi, który zabronił mu jakiegokolwiek aktywności w środowisku obrońców WikiLeaks. Wkrótce jednak Claes razem z kaukaskim oddziałem partyzanckim i Aminą miał ruszyć do boju. Mógł nie przeżyć, dlatego teraz koniecznie musiał się wykrzyczeć. Być może ostatni raz, jak uważał.

Zatopienie promu Europa to coś wyjątkowego. Pozostanie na wieki w świadomości ludzi jak katastrofa Titanica. To sprawa na miarę kogoś takiego jak ja. Dzieło pomnikowe – myślał Claes, wymachując transparentem z czerwonym napisem *Free Freedom*.

A pytania Safira to pestka. Był pewien, że upora się z nimi w godzinę, góra dwie. Wcześniej skoczy jeszcze na piwo z przyjaciółmi, bo to może być jego ostatnie. Wkrótce przecież przechodzi na islam, a poza tym tak robią prawdziwi bojownicy.

Do końca dnia zostały dwie godziny. Wkrótce zaczynał się

piątek i w całej Szwecji dobiegały końca przygotowania do midsommarowych festynów. Kto mógł, wziął wolne, a kto nie, pracował tylko do trzynastej. Do Leksandu jak co roku zjadą się tysiące Szwedów na centralne obchody i stawianie największego pala w kraju. Ale w wielu miejscach świętowanie zaczęło się już w czwartek wieczorem.

Kiedy Claes von Utrecht w pubie The Londoner przy Karlavägen pił piąte piwo i z sukcesem przewodził w towarzystwie, na lotnisku Arlanda wylądowali Sara i Lutek.

Odebrali ich Marcin i Hasan. Linda musiała na razie zostać na Polhemsgatan, bo była odpowiedzialna za koordynację poszukiwań Safira i Bogajewów.

W drodze z lotniska zapoznała się z pełną informacją o wydarzeniach ostatnich godzin, jednak żadna poważna rozmowa nie wchodziła w grę, bo wszyscy byli zbyt zmęczeni. Hasan nawet nie zapytał o jej sine oko, co uznała za niezbity dowód na to, że Marcin już mu wszystko opowiedział.

I dobrze, bo niby jak miałabym się tłumaczyć... – pomyślała nieco zakłopotana, gdyż Hasan nie był zwyczajnym mężczyzną i to sine oko mocno ją krępowało.

Dwa saaby 9-3 i stary pikap Nissan Navara na polskich numerach przez półtorej godziny krążyły po wąskich drogach Wysp Alandzkich, nie zwracając niczyjej uwagi. Lokalni mieszkańcy też przygotowywali się do festynów i próbowali domowego aquavitu.

Safir w końcu wypatrzył wśród pól samotny drewniany dom, który sprawiał tak żałosne wrażenie, że nie mógł być zamieszkanym. I rzeczywiście.

Samochody schowali tak, by nikt nie dostrzegł ich z drogi.

Noc była na tyle jasna, że nie musieli zapalać światła i wewnątrz mogli się poruszać zupełnie swobodnie. Bogajewowie znaleźli gdzieś materace i koce, które ściągnęli do obszernego salonu. Odsunęli na bok meble, oczyścili pomieszczenie i rozłożyli materace na podłodze, równo jeden obok drugiego. Safir poszedł przygotować sobie miejsce na piętrze.

Claes pojawił się na Rissne o pierwszej pięć po północy i nie

bez trudności wysiadł z taksówki. Obserwacja ukryta w fiacie ducato natychmiast go zauważyła i przekazała sygnał do centrum. Pełną gotowość ogłoszono też dla ekip na Strandvägen

Harriet nocowała na Lovön, więc przejście do pokoju, gdzie miała zainstalowany przez Antona terminal TenFingers, zajęło jej dwie minuty. Drogę z Rörstrandsgatan na Polhemsgatan Hasan i Marcin pokonali na motorze w kilka minut. Chwilę po nich zjawili się Linda i Olaf, a na końcu przybył zdyszany Kurt w żeglarskich butach i bez skarpetek.

Po rozmowie telefonicznej z Lindą Sara postanowiła na razie nie przyjeżdżać do centrali Säpo. Nie chciała przeszkadzać szwedzkim kolegom i krępować ich swoją obecnością. Na miejscu był przecież Marcin, który mógł uczestniczyć we wszystkich czynnościach i w razie potrzeby przekazywać jej informacje.

– Mówicie, że jest pijany? – zapytała Linda.

– Tak wygląda. Miał wyraźne problemy z odnalezieniem kluczy – odezwał się głos oficera z samochodu obserwacyjnego.

– Macie nagranie u siebie.

– To dziwne – wtrącił Hasan. – Bardzo dziwne...

– Co masz na myśli? – włączył się Olaf.

– Przecież nie pił z Safirem i Bogajewami. Musiał być gdzie indziej cały dzień i jeżeli pił, to na pewno nie z islamistami.

Konstatacja Hasana była tak oczywista, że aż wszyscy zamilkli z wrażenia.

– To gdzie oni są? – pytał dalej Olaf.

– Wygląda na to, że się spóźniliśmy i Safir z towarzystwem gdzieś się ulotnił...

– Mogę się wtrącić? – odezwała się z ekranu Harriet.

– Słuchamy cię, Harriet – zachęcił ją Kurt.

– Znam Neo... znaczy Claesa von Utrecht... najlepiej. Obserwuję go już półtora roku i wiem o nim prawie wszystko... no, w każdym razie niemało, i mogę powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że nadużywa alkoholu. Dotąd ani razu nie widziałam go w takim stanie. Powiem więcej: to w ogóle pierwszy przypadek, kiedy alkohol pojawia się w jego obrazie. Znam

rachunki Claesa i wiem, że nigdy nie był w sklepie monopolowym. Przypominam, że tym razem nie włączył w domu programu symulacyjnego. To też o czymś świadczy. No i... nigdy nie jeździł na Rissne nocować. Co najwyżej zdarzało mu się tam spać, gdy zasiedział się przy komputerze.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Harriet? – zainteresował się Kurt.

– Tylko to, że musiał mieć wyjątkowo ważny powód, żeby się napić i tam jechać. Czyli... albo już coś się stało, albo wkrótce się stanie. Safir i Bogajewowie są blisko... to czuć, to odbija się w nim jak w lustrze. – Harriet mówiła cicho, delikatnym głosem, jakby sama nie wierzyła we własne słowa, a jednak wszystkim wydała się ogromnie sugestywna.

– To ciekawe, Harriet. Bardzo ciekawe – zaczęła po chwili Linda. – Jeżeli dołożyć do tego spostrzeżenia Hasana... to... okazuje się, że mamy wystarczające powody do obaw.

– Czy włączył komputer? – zapytał Hasan.

– Jeszcze nie mam danych. Najpierw musimy skopiować jego oprogramowanie, ale to może potrwać do dwóch godzin w zależności od tego, co ma tam w środku.

– Przekonałaś nas, Harriet – stwierdził Kurt i zwrócił się do komendanta: – Bengt, utrzymujemy stan najwyższej gotowości?

– Oczywiście – odparł Ulwe. – Oddziały będą dyżurować na zmianę. Siedzimy na Strandvägen i na Rissne. Szukamy ich w całym kraju, ale nie wiemy, czym się poruszają, i nie dysponujemy dobrymi zdjęciami, więc funkcjonariusze mają problem.

– Nie powinniśmy aresztować Claesa? – zapytał Olaf. – Na pewno wie, gdzie oni są. Trzeba go namówić do współpracy.

– Wcale nie musi tego wiedzieć – włączył się Hasan. – Safir jest wyjątkowo przebiegły. Wydostał się z obław w Wiedniu i Warszawie i udało mu się wyjechać z Polski. Mamy do czynienia z człowiekiem zdeterminowanym i niebezpiecznym... ortodoksyjnym muzułmaninem, islamistą. Próbując przekonać... czy zmusić... von Utrechta, możemy stracić efekt zaskoczenia.

– Jeżeli do jutra, do dziesiątej, Claes nie naprowadzi nas na terrorystów, zdejmujemy go i weźmiemy ostro w obroty – zarządził Kurt. – Jutro midsommar, wszyscy chcielibyśmy świętować w spokoju z przyjaciółmi. – Zwrócił się do Harriet, która wszystko śledziła z ekranu: – W tobie teraz nadzieja, dziewczyno. – Uśmiechnął się do niej i zapytał: – Potrzebujesz czegoś?

– W porządku, jest nas dwoje, damy sobie radę. Pokaż się!

Na ekranie pojawiła się na moment twarz Antona, który pomachał ręką i rzucił wyluzowany:

– *Hello everybody...*

– Zostają dyżurni, a reszta do domu, odpoczywać! – oznajmił zdecydowanym głosem Kurt. – Jutro może być gorąco, musicie być w formie.

Claes wszedł do mieszkania z niemalym trudem i zapomniał zapalić światło w przedpokoju. Przeszedł po ciemku dwa metry i nie trafił w drzwi. Spróbował jeszcze raz, lecz mocno uderzył czołem o framugę. Zaklął. Znalezienie włącznika na ścianie zajęło mu sporo czasu, ale w końcu się udało i Claes niepewnym wzrokiem omiół pomieszczenie. Zatrzymał się na komputerze i trzech dwudziestopięciocalowych monitorach.

– Uff... niedobrze mi – powiedział i ledwo zdążył do łazienki.

Niagara, kurde – pomyślał, widząc obfitość piwa, które miał w żołądku.

Usiadł na podłodze i wytarł twarz ręką. Zaczął głęboko i regularnie oddychać, więc po chwili zrobiło mu się lepiej.

– Ostatni raz. Nigdy więcej! – złożył sobie przysięgę. – No... jutro przyjmuję islam. Jakie sobie, kurde, imię przybrać?

Zaczął bezładnie czegoś szukać po kieszeniach. Wyleciały drobne monety i pomięte banknoty, klucze od mieszkania na Strandvägen, pendrive i jakieś paragony.

– Nooo... kurde... chyba nie zgubiłem... *fuck!* – wymamrotał.

– Gdzie to jest? Aaa... w torbie mam... uff...

Wstał, przejrzał się w lustrze, opłukał twarz zimną wodą. Poszedł do kuchni i z lodówki wyjął club-mate, otworzył i wypił na raz, aż poczuł ból w gardle. Spojrzał jednym okiem na zegarek: była pierwsza dwadzieścia. Odbiło mu się

niebezpiecznie.

– Nie ma wała, teraz nie dam rady, mam coś ze wzrokiem... brak ostrości – powiedział, zacisnął kilka razy powieki i wytrzeszczył oczy, ale nic to nie pomogło. – Eee... te pytania to pryszcz! Rach-ciach je zrobię... dla Aminy... ale muszę się zdrzemnąć chwileczkę.

Poszedł do pokoju, gdzie stała kanapa, wziął budzik i nastawił go na drugą. Przez moment się zawahał i przesunął jednak wskazówkę na piątą.

– Dam radę... Co? Ja nie dam rady? – powiedział z pełnym przekonaniem i padł na kanapę, jak stał, w butach.

Zapalone światło wcale mu nie przeszkadzało, i tak świt był blisko.

W izbie było już jasno. Ściany oblażyły płatami niebieskiej farby i Safirowi wydawało się, że tworzą surrealistyczną kompozycję. Dotknął ich dłonią, ale skruszyły się natychmiast i opadły jak świeży śnieg. W starym drewnianym domu panowała przejmująca cisza i niósł się zapach stęchlizny zmieszany z kwaśnym odorem butwiejących liści. Zaczął się piątek.

Wyświetlacz pokazywał czwartą trzydzieści, lecz na Wyspach Alandzkich było o godzinę później i Safir dopiero teraz sobie o tym przypomniał. Usiadł na skraju łóżka i cofnął czas w swoim suunto.

Wstał i podszedł do okna. Było tak brudne, że z trudem dojrzał kolor nieba.

Dzień zaczę pobożnie od porannej modlitwy, a potem wyjdę na zewnątrz trochę pofalować – pomyślał, ubierając się. Muszę zebrać całą swoją siłę i zamienić ją w wolę walki, w odwagę, której tego dnia nie może mi zabraknąć.

Wziął butelkę wody mineralnej i dokonał pobieżnej ablucji. Złożył modlitwę z dwóch rakatów i od razu poczuł się lepiej. Tego dnia musiał ściśle przestrzegać wszystkich pór modlitwy, by spłynęła na niego łaska Najwyższego. Będzie mu potrzebna jak jeszcze nigdy dotąd.

Trzeba przypomnieć o tym Bogajewom. Ich modlitwa też będzie potrzebna – pomyślał, schodząc na dół.

Drzwi cicho zaskrzypiały i wraz ze snopem światła Safir wszedł do ciemnego pomieszczenia. Początkowo nie mógł się zorientować, co właściwie widzi. Dopiero po chwili sobie uzmysłowił, że to Bogajewowie. Spali na czterech równo rozłożonych materacach, skuleni, z kocami naciągniętymi na głowy. Wyglądali jak kokony istot pozaziemskich.

Okno szczelnie zakrywał koc. Safir zerwał go i pomieszczenie wypełniło się światłem. Kokony zaczęły się rozwijać.

– Wstawajcie! – rzucił gromko. – Czas na modlitwę. Potem zaczynamy przygotowania. – Wyszedł na zewnątrz.

Gdy wrócił, Bogajewowie byli już po porannej modlitwie

i Rustam przygotowywał dla wszystkich śniadanie. Szamil i Aslan z namaszczeniem przeglądali i czyścili broń, rozmawiając po czecheńsku podniesionymi głosami. Amina siedziała zamyślona i wyglądała przez okno.

– Za piętnaście ósma mam prom do Szwecji – zaczął Safir, gdy skończyli jeść. – Wrócę o piętnastej trzydzieści. Rustam mnie zawiezie. Popłynę bez samochodu, tak będzie bezpieczniej. Motor mam ukryty w lesie, na nim czuję się najlepiej. – Odpowiedziały mu uśmiechy. – Nie zapomnijcie przestawić zegarków i pamiętajcie o modlitwie. Jadę odebrać od Claesa informacje potrzebne do naszej akcji. Nie wychodźcie z domu i przygotujcie wszystko na mój przyjazd. Broń ma być sprawna i wyczyszczona.

Bogajewowie nie komentowali jego słów słowem ani gestem. Wszystko było oczywiste. Przygotowywali się do tej misji od dziecka.

Safir sprawdził swoją beretę, wsunął ją z tyłu za pasek i schował do plecaka butelkę wody, tłumik i GPS. Włożył czapkę i ciemne okulary. Był gotowy do drogi.

– Już czas Rustam, jedziemy.

Obaj równocześnie podnieśli się od stołu, ale Rustam poszedł szybciej.

– Obudź się, obudź już, otwórz swoje zaje... sexy oczy, Afrodyto. – Anton gładził Harriet po twarzy i gdyby nie to, że TenFingers odczytało interfejs Claesa, wolałby, żeby jeszcze spała. – Nooo... obudź się, ależ ty masz alabastrową skórę...

– Przestań... – zamruczała. – Przestań... Hasan... – Zerwała się niespodziewanie, aż Anton odskoczył przestraszony. – Co się stało?! – krzyknęła. – Mamy go?!

Anton z przerażoną miną pokiwał znacząco głową.

– Mamy! Hasan, mamy! – powtórzył złośliwie. – Będzie midsommar jak sku... Premier się zmartwi. I dobrze mu tak.

– Spaleś?

– Nie, po co?

– Jesteś z kamienia czy jak? Nie masz duszy? – Harriet wracała do rzeczywistości.

– Przyjdź kiedyś na taki trzydniowy hakaton do „reaktora”, to

zobaczysz. – Sięgnął po dokument leżący na biurku. – Masz! Raport gotowy, *baby*. Przerazający. Brrr... uuu... – rzucił obojętnie. – Dzwon do swojego boskiego Hasana. Powinni jak najszybciej się dowiedzieć, czym dzisiaj rano interesował się nasz kolega Claes von Utrecht. Zmartwią się.

Rozczochrana Harriet usiadła na kanapie i z prędkością lasera przeczytała trzystronicowy tekst.

– Która jest? – Poderwała się, poprawiając chaotycznie włosy i ubranie.

– Dochodzi dziewiąta.

– Gdzie Claes?

– Wciąż na Rissne. Pewnie śpi i leczy kaca.

Chwycała za słuchawkę i wybrała numer Hasana.

– Gdzie jesteś? W centrum? – zapytała.

– Nie. Jadę z Sarą i Marcinem po Konrada na Arlandę...

– Mamy raport w sprawie Claesa. Hasan, oni chcą zaatakować promy!

Takim tonem nie mówiła jeszcze nigdy w życiu, ale odpowiedziała jej cisza. W końcu Hasan odezwał się bez przekonania:

– Niemożliwe.

– Możliwe, Hasan... jednak możliwe. – Ze słuchawki dobiegł ją tylko jego ciężki oddech. – Wysłałam raport do centrum i na skrzynki Olafa, Lindy, Kurta i Ulwego. Zaraz potem jadę na Polhemsgatan.

Safir zszedł z promu wraz z pieszymi pasażerami. Na pokładzie było pełno ludzi. Samych samochodów płynęło ponad trzysta. Teraz wyjeżdżały jeden za drugim. Alandzcy Szwedzi przybywali na midsommar.

Motor stał tam, gdzie go wczoraj zostawił, dobrze zakryty gałęziami w skalnej szczelinie. Odpalił go bez przeszkód, przedarł się przez kawałek gęstego lasu i po chwili wyskoczył na E18. Dał mocno gazu i slalomem, swobodnie zaczął wyprzedzać ciągnące sznurem samochody. Do Rissne było dziewięćdziesiąt kilometrów i powinien pokonać ten dystans w pięćdziesiąt minut.

Według GPS po drodze miał minąć dzielnicę Täby. Pomyślał,

że mógłby na chwilę zboczyć i zobaczyć dom na Veckovägen 12, ale nie był jeszcze pewien, czy tego naprawdę chce. Właściwie nie powinien robić niczego, co mogłoby zakłócić jego równowagę wewnętrzną, a ta wizyta z pewnością by go zdenerwowała.

O dziewiątej trzydzieści Konrad wyszedł z terminalu i w tym samym czasie w centrum na Polhemsgatan zebrał się sztab kryzysowy, który zwołała Harriet. Wszyscy zapoznali się już z raportem Antona Młota. Wokół wielkiego okrągłego stołu nie było żadnych wolnych miejsc i zawisła nad nim wymowna cisza. Wszyscy czekali na to, co powie Kurt Lövenström.

– Ile promów zawija do naszych portów? – zapytał.

– Może osiemdziesiąt... tych dużych trzydzieści – odpowiedział Ulwe. – Z Finlandią, Norwegią i Danią będzie znacznie więcej.

– Czy coś przeoczyliśmy? – zapytał, ale nikt się nie odezwał, bo było oczywiste, że takiego wariantu nie przewidziano.

Linie promowe dbały o bezpieczeństwo we własnym zakresie i choć pracowało na nich wielu byłych policjantów czy wojskowych, to jednak takie wyzwanie było ponad ich siły.

– Jak wynika z raportu FRA, chcą uderzyć na prom... i albo zdetonować na nim ładunek, albo opanować go i rozbić o skały... – zabrała głos Linda.

– Może jedno i drugie – dodał Olaf.

– Wątpię, by terroryści mieli możliwość zatopienia promu za pomocą ładunku wybuchowego – odezwał się Roland Eriksson, szef wydziału minerskiego policji. – To musiałyby być przynajmniej ciężarówka. Może chodzić raczej o unieruchomienie promu albo wywołanie paniki.

– Który prom mogą zaatakować? – zapytał Kurt, ale znów odpowiedziała mu cisza.

– Największy... Galaxy? Europę? – niepewnie włączył się szef antyterrorystów.

– Co robimy? – Kurt zaczynał nabierać determinacji. Budził się w nim dowódca. – Możemy unieruchomić wszystkie promy, ale armatorzy zaprotestują. No i dzisiaj jest midsommar. Promy będą pełne pijanych pasażerów. Raport Harriet Berghen

nie jest jeszcze potwierdzony. Nie wiemy, na kiedy planują ten atak, gdzie i jak. Musielibyśmy unieruchomić ruch na Bałtyku i zachodnim wybrzeżu co najmniej do chwili ujęcia terrorystów, a nikt się na to nie zgodzi, bo nie wiadomo, ile to może potrwać...

– Mogą też doprowadzić do zderzenia dwóch promów... – włączyła się ponownie Linda i od razu przykuła wszystkie spojrzenia. – Jednostki Vikinga i Silji płyną przecież razem, blisko siebie, na każdym trzy tysiące ludzi. Od czasu zatonięcia Estonii wiadomo, że tyłu uratować może tylko drugi taki prom, nie ma innej możliwości.

Kurt westchnął ciężko i powiódł wzrokiem po skupionych, wpatrzonych w niego twarzach.

– Jeśli opanują mostek kapitański i maszynownię, to niewykłuczone... – odezwał się w końcu Ulwe. – Ale my też możemy coś zrobić...

– Tak, Bengt – przerwał mu Kurt. – Nie ma innego rozwiązania. Trzeba natychmiast powiadomić Finów. Ściągamy z całego kraju policyjne oddziały SWAT. Natychmiast! Obsadzimy nimi wszystkie największe promy. Zabezpieczą mostki i maszynownię. A cywilnych policjantów umieścimy między pasażerami. – Przerwał i zwrócił się do oficera dyżurnego za konsolą: – Co z von Utrechtem?

– Jest wciąż w domu na Rissne. Cisza i spokój.

– Na razie trzymamy go na przynętę, dopóki nie będziemy gotowi z zabezpieczeniem promów. Potem go zdejmujemy i do magla! Bengt, zajmij się tym. Ja jadę z Paulssonem do premiera i skontaktuję się z armatorami. Linda i Olaf zajmują się koordynacją.

– Kurt! – Linda podniosła głos. – Właśnie dostałam SMS-a od Hasana. Wiezie z lotniska Konrada Wolskiego, który ma jakieś nadzwyczaj ważne informacje dotyczące as-Salama i Czechenów. Może zaczekasz, będą za piętnaście minut.

– Dobrze! Czekamy na Polaków – zgodził się Lövenström i wrócił na miejsce. – Tymczasem pomyślmy jeszcze, o czym zapomnieliśmy – zaczął.

W piątek rano na wzgórzu Rissne przy Mjölnerbacken 65

panował ożywiony ruch. W midsommar było tak w całej Szwecji. Każdy gdzieś jechał, na wieś, do znajomych, do parku, nad wodę, robił ostatnie zakupy przed zamknięciem sklepów i stał w długich kolejkach po alkohol. Radosna atmosfera udzielała się wszystkim, niezależnie od rasy i religii, z wyjątkiem ekip obserwacyjnych Säpo. Funkcjonariusze musieli tego dnia wkładać więcej uwagi w to, co robią, i odbierać telefony z domu z pytaniem, kiedy wrócą. Dlatego nie marzyli o niczym innym, jak tylko o szybkim zatrzymaniu terrorystów, a potem wspaniałej wieczornej zabawie. Pogoda była przecież gwarantowana.

Safir dotarł na miejsce przed dziesiątą i nim zdecydował się zadzwonić do Claesa, objechał na motorze całe osiedle. Poza dwoma samochodami nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Nieprawidłowo zaparkowany fiat ducato mógł być podstawką. Safir nie miał jednak wyboru i musiał zaryzykować. Bez informacji, które zebrał Gal, powodzenie akcji na morzu byłoby wątpliwe.

Udało mi się tyle razy, uda i teraz – pomyślał z nadzieją, ale nie był już taki pewny.

Wyjął telefon.

Claes nie odebrał od razu.

– Gdzie jesteś? – zapytał Safir.

– Czekam na ciebie. Wszystko już gotowe.

– Wkrótce przyjdę... za dziesięć minut.

Siedział w kasku na motorze po drugiej stronie placu i obserwował otoczenie. Spodziewał się, że jeżeli jest na niego zastawiona pułapka, powinien coś zauważyć.

Drzwi domu numer 65 były otwarte, bo jakaś głośna rodzina z trójką śniadych dzieci pakowała się do volvo combi. Nie zauważył nic podejrzanego, więc podjechał pod same drzwi i zaparkował motor obok volvo. Dziesięcioletni chłopiec podszedł obejrzeć kawasaki. Safir zsiadł i ruszył do wejścia. W drzwiach przepuścił jeszcze mężczyznę niosącego grilla.

Claes wyglądał okropnie i jeszcze gorzej śmierdział. W mieszkaniu czuć było kwaśny zapach niestrawionego piwa i wymiocin. Safir od razu pomyślał, że ktoś taki nie nadaje się

na muzułmanina i Allah nie będzie go żałował.

– Gdzie to masz? – zapytał zaraz po wejściu.

– Zrobiłem wszystko, a może i więcej – odpowiedział Claes z lekkim trudem. – Masz wszystko opisane w notatce, a załączniki ci wydrukowałem. Bracia się napracowali, ale efekt jest dobry.

W tekturowej teczce grubości tygodnika Safir znalazł wzorowo uporządkowane dokumenty. Przejrzał je pobieżnie i poczuł satysfakcję. Nikt nie mógł tego zrobić lepiej niż Claes. Miał niebywale wyczucie, talent i wyobraźnię. Był najprawdziwszym diamentem.

Mimo silnego odoru Safir go uściskał.

– Świetnie, Claes. Jesteś wspaniały! Chcesz jeszcze coś dodać, coś, czego nie napisałeś, masz jakieś wątpliwości...?

– Nie, żadnych. Kiedy zaczynamy? Nie mogę się już doczekać.

– Chwila. Muszę iść do toalety – ostudził go Safir i wyszedł z pokoju.

– Napijesz się czegoś?! – zawołał Claes, ale nie usłyszał odpowiedzi, więc otworzył tylko jeden club-mate, a drugi postawił na stole.

Safir spuścił wodę i wyszedł z toalety. Skierował się do kuchni, gdzie von Utrecht, mocno wychylony do tyłu, pił prosto z butelki.

Skończył z głośnym westchnieniem i odstawił ją na stół. Odwrócił głowę i w tym samym momencie uderzył go w czoło pocisk i drugi w pierś.

Claes zastygł jak zaczarowany z groteskowym uśmiechem na twarzy, pochylił się do przodu i upadł miękko na stół, strącając z niego pustą butelkę.

– Nie pasowałeś do nas i nie nadawałeś się na bojownika świętej sprawy ani tym bardziej na muzułmanina, ale oddałeś życie za sprawę. To jedyne, co mogłeś dla nas zrobić, bo jesteś niewierny. Ale Bóg Litościwy ci to policzy. Dobrze wykonałeś swoją pracę, Claes – powiedział Safir, patrząc na jego nieruchome ciało, i dla pewności trącił go pistoletem.

Podszedł do komputera w salonie i wpakował w niego cały magazynek, aż mu odskoczył zamek. Wiedział, gdzie jest

twardy dysk, i dobrze celował. Potem na nowo załadował berettę, zabrał teczkę z dokumentami, włożył kask i wyszedł.

W fiacie ducato oczywiście zauważyli motocyklistę w kasku, ale jego profil nie pasował im do osoby, której poszukiwali. Od ósmej rano pojawiło się trzydzieści siedem osób i sześć odpowiadało przynajmniej jednemu z pięciu zdjęć. Za każdym razem obserwacja pociągnęła za nimi, ale tropy okazały się fałszywe.

Nie było też żadnych informacji, że podejrzani mogą poruszać się czymś tak niezwykłym jak kawasaki enduro.

Safira w kasku mogli też bez problemu zauważyć wszyscy zebrani wokół okrągłego stołu w centrum, bo obraz był przekazywany na centralny monitor, gdyby nie to, że byli zajęci słuchaniem Konrada Wolskiego, który chwilę wcześniej dotarł na Polhemsgatan.

Jego informacja, że wywiad północnokoreański za pośrednictwem Irlandczyków przekazał Al-Kaidzie materiał wybuchowy do zatopienia statku, spięła wszystkie zebrane dowody, poszlaki i przypuszczenia. Wyjaśniła się tajemnica śmierci Jacka O'Briena i jego listu. Stało się oczywiste, że zabił go Safir, bo Al-Kaida nie zostawiała świadków.

Nikt nawet nie zapytał o wiarygodność informacji, które przywiózł Konrad, gdyż nawet średnio zdolny oficer mógł je ułożyć w logiczną całość. Ta świadomość działała szczególnie przygnębiająco. To mógł być najgorszy midsommar w historii Szwecji.

Ale tylko Kurt, Linda i Hasan Mardan zdawali sobie sprawę, jakie skutki wywoła ten zamach. Jakie wyzwoli emocje we wszystkich skrajnych środowiskach prawicowych, lewicowych i – co najgorsze – religijnych. I to nie tylko Skandynawii. Obudzi demony z wikińskich sag i szaleństwo religijnych mędrców. W tym punkcie zgadzali się z Claesem von Utrecht, że Szwecji grozi wojna domowa.

– Chcemy włączyć się aktywnie do akcji, jeśli tylko pozwolicie – oświadczył Konrad, kiedy Kurt omówił planowane działania szwedzkich służb. – Nie dysponujemy dobrymi zdjęciami Hamonda i Bogajewów, a na podstawie tego, co mamy, trudno

ich rozpoznać. Lutek miał Safira na celowniku, ale najlepiej zna go Sara, jak widać. – Miał na myśli jej sine oko i wszyscy to zrozumieli.

– Oczywiście, z wdzięcznością przyjmiemy waszą pomoc – odparł Kurt.

– Ale jest jeszcze coś... – Konrad zawiesił głos. – Chcą nas wesprzeć także rosyjscy koledzy. – Wśród zebranych przeszedł szmer zdziwienia. – W Kaliningradzie czeka pewien starszy sierżant ze specnazu. Tylko on jeden zna osobiście Bogajewów. W ciągu dwóch godzin może być w Sztokholmie...

– Oczywiście! To wspaniale! – szybko zareagował Kurt. – Coś mamy... jest od czego zacząć. Zapraszamy rosyjskiego kolegę do współpracy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do centrum wszedł minister sprawiedliwości Bergman, a za nim szef policji Sven Bengtsson i dyrektor generalny Säpo Anders Paulsson. Wszyscy wstali, ale minister dał ręką znak, żeby usiedli. Na stojąco pozostał tylko Kurt.

– Jakie wnioski, Kurt? – zapytał Paulsson i od razu było jasne, że szefowie obserwowali ich spotkanie, bo mieli podgląd centrum na żywo.

– Jest gorzej, niż nam się wydawało...

– Wstrzymujemy ruch na Bałtyku – zarządził minister.

– To nic nie da. Bałtyk to najruchliwsze morze świata, około dwóch tysięcy statków... pasażerskich, gazowców, tankowców – odparł Kurt. – Musimy ująć terrorystów, to jedyny sposób rozwiązania problemu.

– Co proponujesz? – odezwał się Paulsson.

– Trzeba ogłosić czerwony alarm dla wszystkich służb, ale z zachowaniem maksymalnej ciszy i utajnienia działań...

– Media to wyłapią – wtrącił minister.

– Dlatego musimy działać szybko i tajnie... w takim stopniu, w jakim się da... ale sami sobie nie poradzimy. Trzeba powiadomić naszych partnerów...

– Ministrów z Danii, Norwegii i Finlandii już poinformowałem – dodał Bergman. – Podejmą odpowiednie działania...

– Trzeba natychmiast poinformować CTC w Brukseli, Europol,

Amerykanów i wszystkie kraje bałtyckie.

– Już wydałem odpowiednie polecenia – odezwał się Bengtsson.

– Terroryci nie mogą się zorientować, co się dzieje, bo zakopią się gdzieś i długo będziemy ich szukać. Mają gdzie, niestety – z nutką sarkazmu wtrącił Kurt. – Muszą mieć wrażenie, że są bezpieczni, tylko wtedy ich namierzemy.

– Zbieraj się, Kurt – rzucił Bergman. – Jedziemy wszyscy do Rosenbadu, premier już czeka.

– Jedną chwileczkę! – zawołała po angielsku Sara. Wszyscy zamilkli i spojrzeli z zaciekawieniem na blondynkę z podbitym okiem. – Myślę, że trzeba natychmiast zdjąć Claesa. Nie możemy już dłużej zwlekać... on musi pójść na współpracę...

– A jak nie? – odezwał się głos z tyłu.

– To nic się nie zmieni... – ciągnęła Sara zdecydowanie – ale będziemy mogli wejść do jego mieszkań, przetrząsnąć wszystko, może coś znajdziemy... i, co najważniejsze, zrobić w nich zasadzki.

– Wykonać. Natychmiast. – Paulsson skinął głową i czwórka szefów szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

Prom z Kapellskäru do Maarianhaminy odpływał o dwunastej, więc Safir miał wystarczająco dużo czasu, by się nie spieszyć.

Wracać miał tą samą drogą przez Täby, więc wbił w GPS adres Veckovägen 12 i ruszył. Miał do przejechania tylko siedemnaście kilometrów.

To był dom, jakich wiele w okolicy. Żółty, świeżo odmalowany, drewniany, z piętrem pod spadzistym dachem. Wokół zadbana zieleń, tuje przy chodniku i dwa potężne świerki w głębi. Z prawej strony puste zadaszenie na samochód, więc było oczywiste, że w domu nikogo nie ma.

Siedział na motorze przed domem i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić.

Płacze – przypomniał sobie słowa profesora. Niech płacze! Ciekawe, co zrobi jutro, kiedy cały świat będzie mówił tylko o Karolu Hamondzie. Zaboli ją jeszcze mocniej. Zasłużyła na to... dziwka!

Pomyślał, że powinien podpalić ten dom – był z drewna, więc

splonąłby szybko – i niespodziewanie wypełniło go miłe ciepło ognia. Zsiadł z motoru i zdjął kask. Znalazł biały kamień, wszedł pod zadaszenie i na ścianie dużymi literami wydrapał napis: „Był tu Safir as-Salam ibn Butrus – *Allah akbar*”.

Domu jednak nie spalił, bo nie mógł skrzywdzić profesora Ahmeda.

Tuż przed dwunastą ciało Claesa von Utrecht znaleźli funkcjonariusze Säpo, którzy weszli do jego mieszkania na Rissne. Oczywiście było, kto go zabił i dlaczego.

– Ten sam schemat co w przypadku Jacka O’Briena – stwierdził krótko Olaf.

Tym samym pomysł Sary, by w mieszkaniach urządzić zasadzki, stał się nieaktualny. Nikt też nie miał wątpliwości, do czego zmierza Safir, skoro likwiduje świadków. Najważniejsze było teraz, by nie pozwolić na jakiegokolwiek przecieki do mediów i nie spłoszyć go przedwcześnie, bo mordując Claesa w biały dzień, najwyraźniej czuł się pewnie. W tym była szansa na jego ujęcie – uważał Olaf.

O zabójstwie Linda natychmiast poinformowała Kurta, który był właśnie u premiera. To była kolejna zła wiadomość tego dnia i atmosfera w Rosenbadzie i na Polhemsgatan pogorszyła się jeszcze bardziej.

W jaki sposób i kiedy Safir dostał się do mieszkania Claesa, wyjaśniło się niemal natychmiast. Osoby wchodzące i wychodzące z Mjölnerbacken 65 rejestrował komputer w centrum.

Jakież było zdumienie wszystkich, kiedy Sara odkryła, że mężczyzna w kasku na motorze enduro to Safir. Przewijali nagranie kilka razy w tył i w przód i Sara nie miała najmniejszych wątpliwości, że to właśnie on.

I dziwnie się poczuła, widząc go wychodzącego z bramy w chwilę po zamordowaniu Claesa. Przypomniało jej się, jak zwiesił w powietrzu pięść, kiedy miał ją uderzyć, i zrozumiała, że tym gestem chciał ją ostrzec przed tym, co zamierza zrobić. Zadrzała w nim wtedy cząsteczka człowieka – pomyślała, choć nie wiedziała nawet, jak blisko była śmierci. Po raz pierwszy Safir zabiłby wtedy z nienawiści, i to właśnie ją.

– Nigdy nie lubiłem tych od enduro – skomentował Marcin motor Safira.

– To świry! Motorem nie jeździ się po lesie, to takie niskie, bez majestatu... no nieee... – dodał Hasan.

Informacja, że Safir porusza się na motorze Kawasaki KX 450F, wraz z jego zdjęciem w kasku w ciągu kilku minut dotarła do wszystkich policjantów w Szwecji, a wkrótce także Finlandii, Norwegii i Danii.

W tym czasie on siedział już na pokładzie widokowym promu Rosella, na rozkładanym leżaku, i przeglądał materiały, które tak skrupulatnie przygotował Claes, a kawasaki leżał w lesie przykryty gałęziami.

Rustam czekał w pikapie na parkingu przy Västerhamn i obserwował wszystkich schodzących z promu. Safir w bejsbolówce, ciemnych okularach i plecaku zarzuconym na jedno ramię wyglądał jak wszyscy inni spieszący na midsommarowe imprezy. Spokojnie przeszedł obok dwóch znudzonych fińskich policjantów stojących przy radiowozie.

– Kupiłeś wszystko? – zapytał, gdy tylko wsiadł do samochodu.

– Tak – odparł krótko Rustam.

– Nie było problemów?

– Nie.

– Miejscowe numery dla saaba zdobyłeś?

– Są na pace. – Wskazał do tyłu głową.

W ciągu dwudziestu minut dojechali na miejsce. Safir wszedł do domu, a Rustam zaczął wnosić plastikowe kanistry. Po chwili wybiegł Aslan, żeby mu pomóc. Amina postawiła na stole jedzenie, które przygotował Rustam.

Safir zwołał wszystkich i zasiedli wokół stołu, ale nikt nie jadł. Wyłożył dokumenty z teczki i każdemu wręczył spięty pakiet. Amina otworzyła laptopa.

– Zaatakujemy cztery promy, dwa czerwone Gabriella i Mariella oraz dwa białe bliźniaki Serenade i Symphony. Na każdym będzie około dwóch i pół tysiąca pasażerów. Promy idą parami, blisko siebie, w odległości około kilometra. Dwa do Helsinek, dwa do Sztokholmu

– Dlaczego? – zapytała Amina.

– Ze względów bezpieczeństwa. W przypadku katastrofy tylko drugi taki prom może przejąć tyle ludzi. Bałtyk jest zimny, ludzie giną szybko w wyniku hipotermii. Gabriella płynie w towarzystwie Serenade, a Marielli twoarzyszy Symphony. – Safir wyciągnął z pakietu kartkę i przez chwilę ją przeglądał. – Wszystkie promy płynące do Helsinek i Sztokholmu zawijają w nocy do Maarianhaminy. I to jest nasza nadzieja i pomysł na uderzenie. Stoją tutaj pięć, dziesięć minut i mało kto wsiada lub wysiada. Załadowuje się przede wszystkim zaopatrzenie.

– Jak się na nie dostaniemy? – dopytywała się Amina.

– Normalnie, jako zwykli pasażerowie, ale po kolei – odparł Safir. – Najpierw w drodze do Helsinek wchodzi do portu Gabriella, o dwudziestej trzeciej czterdzieści, i stoi pięć minut. – Spojrzał na Aminę i Rustama. – Ten jest wasz.

– Gabriella? – powtórzył Rustam. – Gabriella. Ładnie brzmi.

– Pięć minut później wchodzi Serenade... Z załogą jest prawie trzy tysiące ludzi, ponad czterysta samochodów. Ten jest mój.

– Safir uniósł palec wskazujący. – Bonus specjalny! Na promie będzie prawie tysiąc obywateli rosyjskich.

W pokoju rozległ się gwizd radości, Asłan i Szamil przeturlali zółwika, nawet Amina mocno się ożywiła i wszyscy powtórzyli:

– *Allah akbar*.

– To jest Gabriella? – Rustam wskazał kolorowy przekrój promu.

– Tak – potwierdził Safir i Amina z Rustamem pochyliłi się nad schematem. – O czwartej piętnaście w drodze do Sztokholmu wchodzi Symphony. – Zwrócił się do Asłana: – Ten jest twój. Ten prom jest bliźniakiem mojej Serenade, która jest naszym głównym celem i na której zdetonuję ładunek. Według planów konstrukcyjnych bliźniacze promy Symphony i Serenade odznaczają się unikatową konstrukcją. To jedyne tego rodzaju promy na świecie, które wewnątrz mają szeroką promenadę od rufy do dziobu... Spójrzcie... Można powiedzieć, że są przezroczyście. – Rozłożył rysunek i wszyscy Bogajewowie się nad nim pochyliłi. – Wystarczająco silna detonacja spowoduje zalanie pokładów samochodowych, przesunięcie

ładunku i szybki przechyl. Mój samochód wjedzie jako jeden z ostatnich. Prawdopodobnie więc stanie przy przednich wrotach, które być może wyrwie wybuch, co przyniesie dodatkowy efekt. Promy mają płytkie zanurzenie. Jeżeli woda dostanie się na promenadę, prom zatoni błyskawicznie. Przechyl statku uniemożliwi użycie szalup ratunkowych. Trudno powiedzieć, ile czasu będzie tonął, ale najważniejsze jest, żeby uniemożliwić udzielenie mu pomocy... – Spojrzał teraz na Szamila, który natychmiast zrozumiał dlaczego.

– Mariella? – zapytał.

– Tak. Przyływa o czwartej dwadzieścia pięć.

– Rozumiem.

– Uderzamy w dwóch turach. Szamil na Marielli i Aślan na Gabrielli o piątej rano, kiedy promy będą na pełnym morzu, poza zasięgiem sieci komórkowej, a pasażerowie będą spać w kabinach po nocnym pijaństwie. Amina i Rustam oraz ja na Symphony i Serenade pół godziny później, czyli o piątej trzydzieści. Słuchajcie uważnie. – Safir zawiesił teatralnie głos. – Nie będziemy mieli ze sobą łączności, dlatego każdy może liczyć tylko na siebie. Powodzenie akcji zależy od waszej woli walki i determinacji. Jestem pewien, że Allah wspomóż nas swoją mądrością i da nam siłę.

– Pomódlmy się na tę intencję – zaproponowała Amina.

Zmówili czterorakową modlitwę, a Safir naśladował imama. Wrócili do stołu, na którym stały kanapki, woda, a między nimi mnóstwo różnokolorowych kartek, zdjęć, schematów i innych dokumentów. Nikt jednak nie usiadł.

– Rustam przygotowuje dla każdego z was bombę paliwową. Zdetonujecie ją na wszystkich trzech promach, w centralnych miejscach. Pokażę wam gdzie. Gdy członkowie załogi podejmą próbę ugaszenia pożaru, wówczas zaatakujecie ich z broni automatycznej. Musicie wywołać na promie panikę i przerażenie. Mam nadzieję, że kapitan wezwie pasażerów do punktów zbiorczych, więc chaos powinien być jeszcze większy. Z całą pewnością kapitanowie będą porozumiewać się między sobą i promy Symphony i Serenade ruszą z pomocą Marielli i Gabrielli. To ważny moment, bo chodzi o to, żeby jak

najszybciej zbliżyły się do siebie. Wtedy uderzamy my... ja i Amina z Rustamem. Po kilkunastu minutach zaatakujecie mostki kapitańskie. Jeżeli się uda, sterroryzujecie kapitana, załogę i spróbujecie przejąć kontrolę nad sterowaniem. Musicie być zdecydowani i zdeterminowani, nie bójcie się kogoś poświęcić. Śmierć i strach zmuszą ich do uległości. Kiedy opanujecie mostek, spróbujecie staranować jeden z promów. Potem chaos i strach zrobią swoje.

Bogajewowie nie zadali żadnego pytania. Stali dumni, wyprostowani. Czuli, jak otula ich przeszłość narodu i z woli Najwyższego kieruje w stronę światła, jak otwierają się wielkie drzwi, przez które wyjdzie do nich Mahdi.

Zniknięcie Batyszkina, a właściwie jego ciała i laptopa, nie mieściło się w skali bojowych zdarzeń, jakie znał Jagan. Daleki był od wszelkiej metafizyki, jednak to, co zaszło, wydawało się niewytłumaczalne. Dlatego niepokoił się bardziej niż zwykle, smok zresztą też. Rano zadzwonił do Popowskiego, bo nie miał wyjścia. Nikt w Moskwie nie mówił mu przed wyjazdem, co ma robić, jeśli zniknie kapitan Batyszkin z tajnym laptopem.

Popowski był w złym humorze, kiedy odebrał telefon, i bardzo przejął się zniknięciem Gieny, ale nie tak, jak Jagan się tego spodziewał.

Pewnie nie jest tak przewrażliwiony jak ja – pomyślał. Ale to dziwne, że ciągle coś się przydarza oficerom, z którymi jeżdżą na ostrą robotę. Tatar, Kosow, teraz Batyszkin. Chyba mnie zwolnią...

Dostał wyraźne polecenie zebrania wszystkich rzeczy Batyszkina, opłacenia rachunków i dyskretnego opuszczenia hotelu Panoramic w Mrągowie. Miał się udać do miejscowości Bartoszyce i czekać tam na kogoś, kto przyjedzie po niego z Kaliningradu.

I rzeczywiście, kiedy podjechał przed dworzec kolejowy w Bartoszycach, czekał już na niego samochód i dwóch nieznanych mężczyzn, którzy na kilometr pachnieli służbami specjalnymi. Nie przywitali się, tylko polecili Jaganowi jechać za sobą i ostro ruszyli w kierunku granicy. Po stronie polskiej odprawa przebiegła szybko, a po rosyjskiej nie było jej w ogóle, bo pogranicznicy tylko zaszalutowali. W obwodzie kaliningradzkim jego przewodników najwyraźniej nie obowiązywały ograniczenia prędkości, więc przed dwunastą byli już na opuszczonym lotnisku Niwienskoje, gdzie z włączonymi silnikami czekał mały An-28.

Zaskoczenie było zupełne. Jagan znał ten samolot i wiedział, że nie doleci do Moskwy, ale widać Popowski postanowił ściągnąć go w sposób nadzwyczajny. Najpewniej zniknięcie Batyszkina było szczególnie ważnym wydarzeniem. Smok też był poruszony. Pierwszy raz miał lecieć samolotem.

Dopiero na pokładzie Jagan dowiedział się od jakiegoś młodego człowieka, który przedstawił się jako oficer łącznikowy i tłumacz, że leci do Sztokholmu. Otrzymał dokumenty na nazwisko Siergiej Pietrow i musiał się nauczyć nowego nazwiska.

Na koniec oficer stwierdził, że rodzeństwo Bogajewów jest w Szwecji i planuje zamach na prom, a on, Siergiej Pietrow, ma pomóc szwedzkim służbom odnaleźć terrorystów, jako że zna ich osobiście.

To była wspaniała wiadomość! Jagan pomyślał, że gdyby miał skrzydła, sam mógłby teraz latać. Kiedy jednak zobaczył w dole swoje audi Q7, rzucił rozpaczliwie na głos:

– Mój skorpion! – Po czym machnął ręką. – Eeech...

O osiemnastej w centrum kryzysowym przy Polhemsgatan zebrali się wszyscy odpowiedzialni za sprawę Safira i Bogajewów.

Oprócz pełnego zespołu szwedzkiego pod dowództwem Kurta Lövenströma pojawiła się silna ekipa fińskiej policji i Supo pod dowództwem tęgiego, energicznego i równie sympatycznego Tommiego Ahtaholi, Konrad Wolski, Sara i Lutek oraz Rosjanin Siergiej Pietrow z tłumaczem, cichy i wyglądający na porządnie wystraszonego.

Na centralnym monitorze widać było szefa Säpo Paulssona, szefa policji Bengtssona, siedzących ze współpracownikami w swoich gabinetach, oraz dyrektora Hermanssona z FRA i Harriet Berghen. Oddzielne monitory zapewniały łączność z centrum w Helsinkach, Malmö i Göteborgu. Był też monitor przeznaczony dla premiera, ale wyłączony.

– Informuję wszystkich, że w tym momencie rusza operacja „Thunder”. Jest osiemnasta – oznajmił Kurt i wyszedł na oświetlony środek dużego zaciemnionego pomieszczenia, w którym zebrało się dwadzieścia pięć osób. – Dotąd nie doszło do ataku, ale sytuacja staje się coraz bardziej napięta. Osiemnasta to czas, kiedy promy albo przygotowują się do wyjścia w morze, albo już wyszły. – Przerwał na moment, po czym zapytał: – Lindo? Jaka jest sytuacja?

– Na Bałtyku w ruchu między Sztokholmem a portami fińskimi, łotewskimi i estońskimi, Gotlandią i Polską mamy czternaście wielkich promów i dziewięć mniejszych. Jak wynika z analizy materiałów uzyskanych przez FRA z komputera Claesa von Utrecht, terroryści mogą planować atak na prom linii Białej lub Czerwonej. Jest ich pięciu i dysponują ładunkiem wybuchowym zdolnym zatopić prom. Nic więcej nie wiemy. Nie wiemy, jak i kiedy może dojść do akcji, jesteśmy jednak w stanie dokonać projekcji zdarzenia i jego oceny. Z uwagi na trwający właśnie midsommar efekt zamachu byłby zwielokrotniony i trzeba przyjąć, że terroryści mogli to wkalkulować w swój plan. Dlatego zakładamy, że

może do niego dojść tej nocy. – Linda przerwała, podniosła się od stołu i wyszła na środek. – Jak dokonają zamachu? Posiadają unikatowy ładunek produkcji północnokoreańskiej, który mogą zdetonować na statku, mogą użyć małej łodzi i uderzyć w prom jak torpeda, mogą opanować tankowiec lub gazowiec i staranować nim prom, jednocześnie inicjując eksplozję. – Po sali przeszedł szmer. – Skutki? Nie muszę mówić. Dyrektorze Hermansson, oddaję panu głos.

Na wielkim monitorze operator powiększył obraz z FRA.

– W powietrzu jest nasz gulfstream I, który będzie dyżurował na zmianę z II, a na morzu od sześciu godzin jest okręt Orion – zaczął Hermansson. – Zgodnie z naszymi procedurami i we współpracy z fińskimi kolegami kontrolujemy eter nad Bałtykiem i powinniśmy wyłapać sygnał, jeżeli dojdzie do porwania statku czy próby użycia mniejszej łodzi jako torpedy. Marynarka i lotnictwo są w gotowości – zakończył.

Na ekranie pojawiła się Harriet Berghen.

– Prowadzimy wnikliwą analizę informacji w sieci, aby wyłapywać wszystko, co mogłoby nam przybliżyć parametry potencjalnego zamachu, wytypowanie promu, który może być celem, i ustalenie sprawców. Mamy bezpośredni podgląd do wewnętrznej sieci monitoringu. Sąd wyraził zgodę.

– I co? – wtrącił się Kurt.

– Mamy już gotowy algorytm i wypełniamy go treścią – odparła. – Trudno powiedzieć, kiedy będą efekty. Wszyscy nad tym...

– Dobrze, Harriet – przerwał jej Hermansson, lekko poirytowany. – Wszyscy funkcjonariusze FRA są na swoich stanowiskach, jesteśmy w kontakcie z NSA, która nas wspiera. Dziękuję.

– Dziękuję – powiedział Kurt. – Policja?

Na środek wyszedł Bengt Ulwe w granatowym mundurze ze złotym szamerunkiem, a na bocznym ekranie pojawiła się mapa ukazująca północny Bałtyk, od Sztokholmu do Helsinek, z Wyspami Alandzkimi pośrodku. Na mapie widać było też setki niewielkich punktów w kształcie łodzi.

– To jest mapa satelitarna NATO udostępniona nam przez

wywiad wojskowy, ukazująca on line ruch statków na północnym Bałtyku – zaczął Ulwe i włączył czerwony wskaźnik laserowy. – Na zielono oznaczono siedemnaście promów, którym poświęcamy uwagę. A tu... – wskazał laserem – jest ich lista. Na każdym mamy po trzy zespoły SWAT, nasze i fińskie, a na jednym łotewski, oraz po kilkunastu cywilnych policjantów. Antyterrorysty zabezpieczają mostek kapitański, maszynownię i dostęp do zbiorników z paliwem. Policjanci w cywilu patrolują wewnątrz i pasażerów. Wszystkie promy są już na morzu oprócz czterech kursujących na linii Sztokholm–Åbo: Isabelli, Amorelli i dwóch gigantów, Galaxy i Europy. Pierwszy odbija o dziewiętnastej trzydzieści, a ostatni o dwudziestej pięćdziesiąt pięć, czasu lokalnego oczywiście. Od tej chwili właściwie wszystkie promy będą już na morzu i...

– Dziękuję, Bengt. I od tej chwili wszystko może się zdarzyć.

– Czy mogę się włączyć? – odezwał się nieśmiało Konrad.

– Oczywiście, Konradzie – odparł Kurt i wszyscy spojrzeli w kierunku przybysza z Polski.

– W zasadzie mam proste pytanie. – Konrad zawahał się i przygryzł wargę. – Widzę na mapie, że wiele promów, szczególnie tych największych, zawija do Maarianhaminy. Czy nie powinniśmy...

– Rozumiem, o co chodzi – przerwał mu Ulwe. – Kontrolujemy wszystkie terminale, prowadzony jest stały monitoring. Jednak w Maarianhaminie wsiada lub wysiada niewiele osób. To właściwie jest postój techniczny, z wyjątkiem Roselli.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby próbowali wejść na prom w najbardziej wyeksponowanym miejscu – włączył się Olaf. – Myślę, że łatwiej byłoby im się ukryć wśród setek, tysięcy ludzi wsiadających w Sztokholmie lub Helsinkach... ale... – zakończył z powątpiewaniem w głosie.

– Jak zrozumiałem, przy wejściu na prom nie ma kontroli dokumentów i bilet można wykupić na dowolne dane. Czy tak? – zapytał Konrad.

– Tak – odparł Olaf. – Decyduje karta kredytowa.

– Wyłapać Safira i Bogajewów nie będzie łatwo, bo tylko Sara,

Lutek i ten... pan... – Konrad wskazał na Jagana – znają ich z autopsji, i to nie wszystkich razem. Policjanci mogą ich nie zidentyfikować na podstawie tych zdjęć. – Wskazał na fotki Safira i Bogajewów. – Będzie z tym problem. Z lekką charakteryzacją mogą się łatwo przemknąć, a Sara i ten... pan... – znów spojrzął na Jagana – nie będą w stanie przeglądać kilku tysięcy ujęć.

– Nazywam się Siergiej Pietrow – niespodziewanie po raz pierwszy odezwał się słabym, ale donośnym angielskim Jagan, wzbudzając duże zainteresowanie, i od razu dorzucił po rosyjsku: – Ja mogę przeglądać wszystkie ujęcia i jak są na nich te czeczeńskie sobaki, to je na pewno znajdę. Nie ma obaw!

Tłumacz opuścił dwa słowa, lecz wiele osób na sali znało rosyjski.

– Świetnie! – odparła Linda. – Mieliśmy zaraz zacząć przeglądać nagrania z terminali i obejrzeć wyniki poszukiwań biometrycznych. – I cicho zwróciła się do Sary: – Ja tego Rosjanina już gdzieś widziałam.

– Dysponujemy pełną listą pasażerów i samochodów ze wszystkich promów... – włączyła się Harriet – i robimy analizę... ale na razie bez rezultatu...

– Nie traćmy czasu. Każdy wie, co do niego należy – zakończył dyskusję Kurt. – Oby nam się wszystko udało i jutro mogliśmy spokojnie świętować. Cała nadzieja teraz w naszych polskich i rosyjskich kolegach.

Safir as-Salam, dai-kabir Braci Czystości, poprowadził ostatnią, piątą nocną modlitwę isza dla swoich fida'i. Zmówili taubę – modlitwę o wybaczenie grzechów – i wyrazili skrucę. Zakończyli recytacją taslimu, obracając głowę w prawo i potem w lewo.

– Jest dwudziesta trzecia pięć. – Safir spojrzął na zegarek. – Sprawdźcie swój czas. – Bogajewowie stali wokół niego. – Przykręciłeś numery do saaba? – Rustam skinął głową. – To co? Jesteśmy gotowi? – Wszyscy z pogodnym uśmiechem na twarzy pokiwali głowami. – No to ruszamy! *Allah akbar!*

– *Allah akbar!* – odpowiedzieli gromkim głosem.

Bilety wykupił przez Internet na niemiecką kartę kredytową

Deutsche Bank, wystawioną rok wcześniej na Hansa Globkego, kolegę Claesa von Utrecht. Używał jej wyjątkowo i tylko do zadań specjalnych. Była prawie czysta. Trzymał ją na tę właśnie okazję.

Jechali do Maarianhaminy dwoma samochodami, mijając rozrzucone luźno zabudowania, w których paliło się światło i widać było bawiących się ludzi. Niezatrzymywani przez nikogo, dojechali w ciągu dwudziestu minut.

Przed wejściem do terminalu portowego stał radiowóz policyjny, a obok niego dyżurowało dwóch funkcjonariuszy. Safir przeszedł obok i dyskretnie zajrzał do środka. W samochodzie leżały dwa pistolety maszynowe MP5. Uśmiechnął się do chudego policjanta, który odpowiedział mu tym samym. W terminalu były trzy hałaśliwe, mocno podpite dziewczyny z puszkami w rękach. Odebrał bilety z kasy i wrócił do pikapa. Wszystko poszło sprawnie. Chociaż uzbrojenie policjantów trochę go zaskoczyło, to jednak wymiana uśmiechów była uspokajająca – wytłumaczył sobie.

Rozdał bilety, każdy sprawdził, czy otrzymał właściwy, i usiedli w milczeniu. O dwudziestej trzeciej trzydzieści pięć po lewej stronie wyłonił się z szarej nocy potężny kształt promu Gabriella. Ogromne stalowe cielsko sunęło przed nimi w ciszy jak pozaziemska machina poruszana tajemną siłą. Bogajewowie nigdy jeszcze nie widzieli czegoś tak niezwykłego, czegoś, co wyzwoliłoby w nich tak głęboki respekt, a jednocześnie radość, że się z tym zmierzą i pokonają. Tego byli pewni.

– Idźcie! – rzucił Safir z delikatnym uniesieniem. – Niech Allah was prowadzi...

Spojrzeli na siebie i uściskali się jak szczęśliwe rodzeństwo, które żegna się tylko na chwilę. Amina otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Zarzuciła na ramię ciężki plecak.

– W imię Boga Miłosiernego... – zdążyła powiedzieć i odwróciła się.

– *Allah akbar!* – dodał bardzo cicho Rustam i ruszył za nią, ciągnąc walizkę na kółkach.

Przeszli obok policjantów i znikli w terminalu. Prom powoli

cumował.

– Jadę – powiedział Safir. – Pamiętacie o wszystkim?

– Tak, dai-kabirze! – odpowiedzieli zgodnie.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece! Kocham was!

Uściskali się mocno i Safir poczuł, że łyzy kręcą mu się w oczach.

– Idę! W imię Boga... – Słowa uwięzły mu w gardle.

– *Allah akbar!* – usłyszał za sobą, gdy przesiadał się do saaba.

Z lewej strony, zza cielska Gabrielli, wyłoniła się jasna sylwetka wielkiej Serenade z głową foki na ogromnym kominie.

Ruszył powoli w prawo, ostrożnie objechał parking i ustawił się w kolejce za kilkoma samochodami, również czekającymi na wjazd. Gabriella właśnie odbijała, zabierając ze sobą Aminę i Rustama, a Serenade przypląwała po Safira.

Spojrzał w lewo i zobaczył w oddali nissana navarę, jak na pożegnanie daje mu znak światłami. Widział się ostatni raz z Czterema Źródłami. Wkrótce zginą na chwałę Allaha i rozpoczną nową erę w historii islamu, chrześcijaństwa i ludzkości. Lepszą erę.

Nie ma śmierci bezsensownej, śmierci na próżno. Każda ma jakiś sens i zawsze czemuś służy. Bogajewów urodziła wojna, dlatego lojalnie służyli śmierci. Znali jej wartość i sens. Bo śmierć to część życia albo na odwrót, jak lubił powtarzać za matką Forresta Gumpa.

W Sztokholmie, Helsinkach i innych miastach nad Bałtykiem pracowały setki ludzi, by złapać Safira i Bogajewów i zapobiec zamachowi. Z upływem czasu narastały zagrożenie i strach.

Noce na promach to wielkie pieniądze wydawane przez miliony podróżnych, ogromne zyski, bary, restauracje, sklepy pełne Szwedo-Finów, Fino-Szwedów, Rosjan, Estończyków, Japończyków i wszystkich innych nacji, koncerty światowych gwiazd w amfiteatrze Atlantis, dyskoteki, karaoke i rozrywki dla dziadków i wnuków. A wszystko we wspaniałej atmosferze, na tle przepięknej natury i za niską cenę, bo promy zawijają do Maarianhaminy, stolicy małego archipelagu, który nie należy do unii celnej, dzięki czemu jego obywatele żyją bogato z promowej kultury.

Ten świat zna prawie każdy Szwed czy Fin, a także wielu Rosjan. Sara go nie znała, lecz Jagan – owszem. Rok wcześniej płynął promem Baltic Queen z Tallina do Sztokholmu i nieźle zabalował.

Siedzieli w pokoju operacyjnym od kilku godzin i wspierani przez program identyfikacji biometrycznej przeglądali komputerowe zdjęcia pasażerów. Wciąż ten sam obraz, tłum ludzi ciągnących swoje walizki, torby, bagaże. Dzieci, starcy, rozbawiona młodzież, zdyscyplinowani Japończycy, pary małżeńskie i pozamałżeńskie.

Za każdym razem, kiedy pojawiała się na ekranie kolejne zdjęcie, z tylnego miejsca odzywał się Jagan i gromkim, zdecydowanym głosem oznajmiał po rosyjsku: *Ich zdies niet!* Mimo to zdjęcie było szczegółowo badane i podenerwowanie Rosjanina pracy nie przyspieszało.

– Ta Maarianhamina nie daje mi spokoju – odezwał się Konrad. – Może przeskoczmy na chwilę do zdjęć stamtąd.

– Harriet, mogłabyś przejrzeć swoje dane z Maarianhaminy? – zapytał Hasan.

– Jasne. Ale to chwilę potrwa...

– Poprosimy o zdjęcia z Maarianhaminy. – Olaf zwrócił się do operatora, który zaczął wystukiwać coś na klawiaturze.

– Zdjęcia z promów dziennych do Åbo też? – zapytał operator.

– Oczywiście! – rzucił zdecydowanie Olaf. – Mogli wejść na prom w południe, ale zaatakować zamierzają w drodze powrotnej... w nocy.

Na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie sporej grupy ludzi oczekujących w terminalu, z podpisem „Isabella – 14.10”.

– *Ich zdies niet!* – odezwał się Jagan.

Tym razem jednak badanie trwało krótko, bo pasażerów nie było wielu. Podobnie wyglądała obróbka fotografii osób w samochodach.

Następnie pojawiły się zdjęcia z podpisem „Amorella – 14.25”, którym towarzyszyła identyczna reakcja Rosjanina, a po kilkunastu minutach przejrzeni fotki „Galaxy – 13.35” i „Europa – 13.45”.

– Mam coś dziwnego – odezwała się z ekranu Harriet. –

Nawet bardzo dziwnego! Posłuchajcie...

Na monitorze dołączył do niej Anton.

– Pewien Niemiec – powiedział – Hans Globke, wykupił dzisiaj pięć biletów na nocne promy, dwa na Gabriellę i po jednym na Mariellę, Symphony i Serenade. Dla siebie na Serenade, z samochodem na alandzkich numerach. Starym formem fiestą.

– No... no... ciekawe! Mów! – zareagowała Linda i wszyscy oprócz Jagana, który dalej przeglądał kadry, skupili się przed monitorem.

– To nie jedyny przypadek, kiedy z jednej karty kupiono tyle biletów... to nawet całkiem normalne, ale to jedyny przypadek, kiedy kupiono bilety na różne promy, i to idące parami...

– Co wy na to? – Linda zwróciła się do zespołu i spojrzała na zegarek. – Od dwudziestu minut są na morzu.

– Co wiemy o tym Niemcu? – zapytał Hasan.

– Studiował na KTH, sprawdzamy...

– W tej piątce jest kobieta? – włączyła się Sara.

– Nie, to pięciu młodych mężczyzn...

– *Wot ona!* – krzyknął Jagan z palcem wycelowanym w monitor i wszyscy zamarli na ten widok. – *Naszol jejo!*

Potrzebowali kilku sekund, żeby zrozumieć, co usłyszeli. Tak nieprawdopodobnie to brzmiało.

Otoczyli ciasno Jagana, który palcem dotykał ekranu z napisem „Gabriella – 23.40”.

– To Amina! – Wskazał na krótko obciętego chłopaka w grubych okularach, wyciągniętym swetrze, z plecakiem na ramieniu i słuchawkami na uszach.

– To jakiś chłopak! – odezwał się ktoś z tyłu. – Niepodobna...

– To ona! Bez wątpliwości! – Jagan mówił z pełnym przekonaniem i nawet nie zauważył, że wszyscy doskonale go rozumieją. – Nawet jakby się przebrała za słonia, tobym ją rozpoznał. To Amina!

– Mamy ich! – krzyknął Olaf. – Dawać centralny monitor! – rzucił zdenerwowany do operatorów. – Łączyć z Kurtem!

W centrum zapanowało poruszenie, a nawet bałagan. Wszyscy zaczęli mówić naraz i wyglądało, jakby w ogóle nie byli

przygotowani na taką wiadomość.

– *Wot i on!* – ostudził napięcie Jagan i znów zapadła cisza. – *Eto Rustam!*

Operator przerzucił zdjęcie na centralny monitor i wszyscy mogli zobaczyć młodego mężczyznę średniego wzrostu, ubranego na sportowo, w ciemnej bejsbolówce, okularach, z dużym plecakiem i walizką na kółkach. Szedł kilka metrów za Aminą, obok dwóch dziewczyn z puszkami w dłoniach.

– Amina i Rustam są na Gabrielli – oznajmił Hasan i wszyscy poczuli, jak ścina ich strach przed tym, co się może wkrótce stać.

– Dawać zdjęcia z Serenade. Najpierw samochody... tego Niemca! – Olaf objął dowództwo. – Szybko!

Na monitorach pojawili się już szef Paulsson i Bergman. Lada moment miał przyjść Kurt ze swojego biura. Rozdzwoniły się telefony, ale teraz widać było, że każdy już wie, co ma robić.

– Zdjęcie dziesięciu samochodów czekających na wjazd – powiedział operator i na centralnym ekranie pojawiło się zdjęcie z napisem „Serenade – 23.45”.

– Jaki to był samochód? – zapytał Olaf.

– Ford fiesta – pierwsza rzuciła Sara.

– Nie ma żadnego forda fiesty! – odparł Hasan.

– Dawać zdjęcia z wjazdu na prom!

Żądanie Olafa spełniło się niemal natychmiast i na monitorze ukazały się wyraźne zdjęcia wjeżdżających samochodów.

– Stop! – wrzasnął Marcin. – To są numery tego forda, o którym mówiła Harriet... zapisałem...

Na ekranie pojawił się czerwony saab na alandzkich tablicach, ale widać było tylko ręce na kierownicy.

Do centrum wpadł Kurt Lövenström z wypiekami na twarzy, podszedł do Olafa i w milczeniu poklepał go po ramieniu. W chwilę potem w identycznym stanie wtargnął Bengt Ulwe.

Wszyscy w ciszy i napięciu badali wzrokiem przesuujące się klatka po klatce zdjęcia komputerowe z wnętrza pokładu samochodowego i czekali, aż czerwony saab się zatrzyma i zobaczą, kto jest kierowcą. Właściwie to już nie czekali, dobrze wiedzieli, kim naprawdę jest Hans Globke. Sara miała

wrażenie, że ktoś złośliwie spowalnia klatki i oczekiwanie przeciąga się w nieskończoność.

– Safir! – powiedziała półgłosem, ale wszyscy dobrze ją usłyszeli. – To on!

Mężczyzna w czapce wysiadł z samochodu i popatrzył prosto w kamerę. Wydawało jej się, że spojrział właśnie na nią, jakby chciał coś powiedzieć, lecz po chwili się rozmyślił, wziął swój plecak i znikł z kadru.

– Mamy ich! – oświadczył Kurt, stając w świetle na środku sali, jakby miał zagrać rolę swego życia. – Zbliżcie się. Zaczynamy!

Przez następne piętnaście minut trwała dyskusja, zbieranie i porządkowanie faktów. Na koniec Kurt polecił Lindzie dokonać podsumowania.

– Zaatakowane zostały dwa promy. Gabriella przez Aminę i Rustama oraz Serenade przez Safira. Mariella i Symphony czekają na Asłana i Szamila i w tym wypadku sytuacja nie jest tak groźna jak w pierwszym. Problem zostanie rozwiązany, nim dostaną się na pokład. Mamy niewątpliwie do czynienia z atakiem symultanicznym, jak jedenastego września. Wiemy zatem, że ich uderzenie nie nastąpi przed czwartą trzydzięci, kiedy na Mariellę i Symphony mają wejść bliźniacy. – Wszyscy spojrzeli na zegarki. – Mamy co najmniej trzy godziny. Jaka będzie technika, nie wiemy, ale z całą pewnością najważniejszy jest Safir na Serenade. Należy założyć, że ładunek znajduje się w samochodzie. Nie znamy jego siły, ale według Konrada jest w stanie zatopić prom. W plecakach mają broń. Jaką i ile, nie wiemy. Zakładamy, że automatyczną i granaty. Na promie jest trzy tysiące ludzi...

– Wystarczy, że strzelaliby na oślep – wtrącił Ulwe.

– Przede wszystkim należy zneutralizować ładunek w samochodzie... a potem terrorystów.

– Na Serenade w oddziale SWAT są dwaj świetni minerzy – dodał Ulwe.

– Nie wiemy, czy Safir nie ma jakichś czujników i czy nie zdetonuje ładunku przy próbie jego rozbrojenia. A może w ogóle nie ma detonatora czasowego... lub jakiegoś innego... –

ciągnęła Linda.

– Minerzy wojskowi czekają...

– To nie jest zwykły ładunek – włączył się Konrad. – Saperzy mogą mieć trudności z jego rozbrojeniem, a nie mamy czasu... trzy godziny, tak? Ale mam pomysł, jak rozwiązać problem.

– Jaki? – zainteresował się Kurt.

– Wyrzucić cały ten samochód z bombą za burzę – odparł niepewnie Konrad.

Odpowiedziało mu długie milczenie.

– Uff... – westchnął Kurt. – Bo ja wiem... A co wy na to?

– Zdziwiająco proste... – Olaf jakby się wahał. – Trzeba porozmawiać z wojskowymi i kapitanem promu.

– Saab stoi tak, że można go wziąć na podnośnik widłowy – odezwał się Hasan. – Jest blisko wrót.

– Trzeba to sprawdzić na miejscu. Ale podoba mi się ten pomysł coraz bardziej – podsumował Kurt.

Do przodu zaczął się wysuwać Jagan, ciągnąc swojego tłumacza za rękaw. Podszedł do Kurta i odezwał się z żołnierskim zacięciem:

– *Komandir!* Ja znam Bogajewów dobrze i powinniście mnie zawieźć helikopterem na ten prom. I to szybko! Dużo ludzi zginie, jeżeli mnie tam nie będzie. Ja znam ich z Kaukazu, jeszcze jak byli dziećmi. Już wtedy byli bardzo niebezpieczni. Trzeba im te psie łby... ooo... tak! – Wykonał gest, jakby odkręcał butelkę, czyli dokładnie taki, jaki mu pokazał czarny kot w Wilnie.

Pomysł Jagana był tak oczywisty, że Kurt nie mógł się nie zgodzić, chociaż tłumacz nie wszystko przełożył.

– A my zdejmemy Safira! – niespodziewanie włączyła się Sara, wskazując jednocześnie na Lutka.

– Kurt! – odezwał się Olaf z przejęciem. – Bierzemy helikopter, pana Pietrowa, Sarę, Lutka, naszą ekipę, saperów i lecimy na promy... Są blisko siebie.

– Dobry pomysł. Sven? Co ty na to? – zwrócił się do szefa policji. – Słyszałeś?

– Tak. Helikopter cały czas czeka – odparł Bengtsson z ekranu.

– Dostanę jakąś broń? – zapytał Jagan, ale wszyscy ruszyli już do wyjścia i nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa.

Eurocopter Super Puma szwedzkiej marynarki wojennej z piętnastoma osobami na pokładzie leciał z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na wprost wznoszącej się nad horyzontu słonecznej tarczy. Dwaj piloci opuścili przeciwsłoneczne przyłbice w hełmofonach.

Nikt z pasażerów nie pomyślał jednak o ciemnych okularach i teraz wszyscy mrużyli oczy, choć powinni wstrzymać oddech na widok sztokholmskich szkierów z tej wysokości. Aż trudno było im uwierzyć, że lecą w misji bojowej.

Tylko Jagan siedział wyprostowany, z zamkniętymi oczami, bo nad Kaukazem nie takie rzeczy widział. Dla niego ważniejsze teraz było, skąd wziąć broń, pistolet przynajmniej, nóż chociażby. Spotkanie z Rustamem musiało mieć pozytywne zakończenie. To on miał kizlyara i nie teraz nie liczyło się bardziej niż jego odzyskanie. A Amina... ech... wszystko jedno – pomyślał.

Zbliżała się trzecia piętnaście, kiedy helikopter zaczął schodzić do lądowania na Serenade. Z góry widać było oddalone od siebie o kilometr gigantyczne promy i kilka małych ścigaczy wokół. Kapitan już wcześniej kazał opróżnić z podróży pokład widokowy i wbrew protestom rozbawionej młodzieży zamknąć dyskotekę Club Bali. Tylko bardzo wścibscy podróżni byli w stanie się zorientować, że na promie dzieje się coś dziwnego.

Safir siedział w swojej kabinie 8224 z widokiem na wewnętrzną promenadę i nie słyszał, że właśnie na promie ląduje śmigłowiec, którym przyleciała Zuza. Mógłby nawet pomyśleć, że ściągnął ją myślami. Gdy się zastanawiał nad wydarzeniami ostatnich dni, miał nieodparte wrażenie, że wszystko zaczęło się właśnie od niej. Zaczął popełniać błędy, odkąd stracił czujność i więcej uwagi poświęcał jej niż Wszchemogącemu. Stracił siłę wewnętrznego dżihadu, radość życia stała się silniejsza niż wola męczeństwa, niż święte posłuszeństwo woli Najwyższego i oddanie Braciom. Ale nie był na siebie zły, mimo błędów niczego nie żałował. Jego misja

i tak się wypełni, tylko wcześniej. Nie miał wątpliwości, że to sam Allah darował jej życie tamtej nocy w Warszawie, by stała się świadkiem tego, co się wydarzy za dwie godziny. Wtedy zrozumie, że mogła go pokonać tylko w jeden sposób: przyłączając się do niego.

Bo im bardziej człowiek kocha, tym jest słabszy – pomyślał na swoje usprawiedliwienie.

Odłożył na łóżko swój automat M4, wstał i zaczął się modlić.

Na mostku kapitańskim trwała narada, a helikopter z Jaganem, Lindą i saperami odleciał na Gabriellę.

Gdy Sara, Lutek i Hasan wraz z wojskowymi pirotechnikami weszli na mostek, czekali już na nich dwaj dowódcy antyterrorystów i szef cywilnego oddziału policyjnego. Zdenerwowany kapitan powitał wszystkich szybkim skinieniem głowy i dał znak swojemu oficerowi, by włączył radio.

– Olaf Svensson z centrum chce z wami rozmawiać – rzucił krótko.

– Tu Olaf... – zaczął od razu po angielsku. – Dziesięć minut temu na parkingu promowym w Maarianhaminie policja podjęła próbę zatrzymania Asłana i Szamila Bogajewów. Doszło do wymiany ognia... i mimo że mogli się poddać, zabili trzech fińskich policjantów... – Olaf był bardzo zdenerwowany.

– Obaj terroryści zginęli. Wyszadzieli się przy użyciu bomb paliwowych... – przerwał i po chwili dodał: – Jak widzicie, są zdeterminowani i mają ładunki... musicie to uwzględnić, ale naszym zdaniem największe zagrożenie kryje się w tym, że Safir i ci na Gabrielli mogą się dowiedzieć, co się stało z bliźniakami, a wtedy wy... możecie już nie mieć czasu.

– Wokół promów są już fińskie łodzie patrolowe, lada moment mogą się zorientować, co się dzieje – odparł Hasan. – Zaczynamy, Olaf! – I po cichu dodał: – W imię Boga Wszechmocnego... – ale tak, żeby wszyscy usłyszeli.

– Powodzenia! – zakończył Olaf.

– Zjeżdżamy na pokład samochodowy – zadysponował Hasan.

– Nim zajmiemy się Safirem i Linda ruszy z Rosjaninem na Gabrielli, musimy usunąć ładunek.

Sara i Lutek zostali na mostku, a Hasan z wojskowymi zjechał

na poziom samochodowy. Wszystko było zabezpieczone przez antyterrorystów, policjantów po cywilnemu i pracowników technicznych promu.

Okazało się, że czerwonego saaba oddziela od wrót dziobowych promu pięć samochodów osobowych, zamykając do niego dostęp.

– Wszyscy się wynoszą! – krzyknął Hasan, aż poniosło się echem po pokładzie. – Zostają tylko wojskowi, pracownik od podnośnika i trzech z bronią... Reszta na górę! – Szybko ocenił sytuację. – Wszystkie te blokujące samochody... – wskazał ręką – wywalamy za burtę. Otworzyć wrota! – krzyknął do pracownika z krótkofalówką.

Gdy wojskowi rozpoczęli oględziny saaba, Hasan kolbą pistoletu rozbił szybę pierwszego samochodu, otworzył go, zwolnił hamulec ręczny i wszyscy zaczęli pchać pojazd w kierunku otwierających się wrót. Po chwili peugeot 504 wyleciał za burtę i powoli zaczął się zanurzać. W ciągu trzech minut do morza poszły nowy passat i stary nissan.

Zostały jeszcze dwa blokujące samochody, ale okazało się, że oba nowe volvo to automaty, więc bez uruchomienia silnika wypchnięcie nie wchodziło w grę. W ciągu dwóch minut, za pomocą ośmiotonowego wózka widłowego, znalazły się za burtą. Dostęp do saaba był otwarty.

– No i co? – zapytał wojskowych zdyszany Hasan. – Znaleźliście jakąś *booby-trap*?

– Trudno powiedzieć. Potrzebujemy więcej czasu, ale i tak uważamy, że trzeba odpalić ładunek HPMA. Zniszczymy wszystkie źródła energii w promieniu dwudziestu metrów – spokojnie wyjaśnił kapitan z nazwiskiem Olsson na plakietce. – Jeżeli zapalnik jest pobudzany elektrycznie, to powinno go zneutralizować również zdalne sterowanie ładunkiem.

– Powinno?

– Powinno.

Never underestimate the predictability of stupidity – powiedział do siebie w duchu Hasan i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Tylko powinno? A co potem? – zapytał.

– Do morza go! – odparł kapitan. – Czujnik jest już zamontowany w samochodzie. Znajdziemy go potem łatwo.

– No to... odpalamy! Schować podnośnik!

Gdy wszyscy skryli się za stalową ścianką, kapitan odpalił dwa ładunki, które wydały cichy, stłumiony huk podobny do uderzenia ciężkim młotem o ziemię.

Podeszli do saaba, który pokrywała cienka warstwa srebrnego pyłu. W powietrzu unosił się silny zapach spalonego ebonitu.

– Wywalamy go? – zapytał Hasan z niepewnym uśmiechem.

– Nie wybuchnie?

Olsson wzruszył tylko ramionami.

– Dobrze. Jak się obsługuje ten wózek? – zwrócił się do śniadego robotnika w kombinezonie.

– Ja to załatwię – odparł mężczyzna, wyraźnie zadowolony. – Jeszcze pan coś uszkodzi na promie.

Hasan kazał natychmiast wszystkim wyjechać na górę, a sam został z operatorem podnośnika. Po minucie obaj wsiedli do wózka i podjechali do saaba. Kierowca opuścił widły i czekał.

– Nad nami trzy tysiące ludzi – powiedział Hasan. – Trzeba ich ratować. Co, kolego? – zawiesił głos i po kilku sekundach zdecydował cicho i z naiwną ironią: – Jedziemy! Na złom z tym gruchotem! Do morza z nim! I tak jesteśmy na fińskich wodach. – Klepnął operatora w ramię i głośno zawołał: – *Allah akbar!*

– *Allah akbar!* – powtórzył robotnik.

– Skąd jesteś?

– Z Iranu.

Po kilku minutach wiadomo już było, że czerwony saab 9-3 z 1999 roku, z koreańską bombą na skradzionej rosyjskiej licencji, poszedł na dno Bałtyku. Zanim Hasan wjechał windą na mostek kapitański, wiedzieli już o tym premierzy Szwecji i Finlandii oraz wszyscy, którzy od ponad dwudziestu czterech godzin robili wszystko, by zapobiec katastrofie mogącej spowodować nieobliczalne konsekwencje dla Szwecji, a może nawet całego świata.

Teraz ruszała druga część operacji „Thunder”.

Safir czekał w swojej kabinie na ósmym poziomie. Był

spokojny, wszystko wyglądało normalnie. Wyrzwał na promenadę, po której przechadzały się nieliczne już o tej porze grupki podpitej młodzieży i rosyjskojęzycznych turystów. Rzucił okiem na leżący na stoliku detonator, ale miał jeszcze czas, żeby go uzbroić. Kolejny raz sprawdził automat M4 i poprawił rozłożone na pościeli trzy granaty F-1. Był zdenerwowany, ale pogodzony z tym, co ma się stać. To miało być ostatnie poświęcenie.

Na korytarzu słychać było głośne rozmowy i śmiechy podchmielonych pasażerów i ciągle nawoływania po fińsku, szwedzku i rosyjsku. Raz po raz trzaskały jakieś drzwi. Chciał nawet wyrzeć, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale była przecież midsommarowa noc, więc zrezygnował. Zasłonił okno i wyjął Koran.

Na poziomie ósmym trwała cicha ewakuacja wszystkich pasażerów ze stu dwudziestu trzech kabin. Policjanci po cywilnemu wyprowadzili najpierw podróżnych z kabin sąsiadujących z numerem 8224. Natychmiast zajęli je antyterrorysty. Przerażonych i zdezorientowanych pasażerów owiniętych w koce i pościel zebrano w amfiteatrze Atlantis. Niektórzy jednak traktowali to wydarzenie jak niezaplanowany ciąg dalszy zabawy i nie ustawiali w śpiewach i tańcach.

Po kilkunastu minutach teren był przygotowany do akcji i dowódca oddziału antyterrorystycznego zameldował Hasanowi gotowość.

– Pan tu decyduje. – Hasan zwrócił się pro forma do kapitana, który już wyraźnie się rozpogodził, ale gdyby nawet powiedział „nie”, to Hasan i tak wydałby rozkaz rozpoczęcia akcji, bo takie miał polecenie Sztokholmu.

– Oczywiście. Przystępujcie do działania – oznajmił kapitan z nutką zadęcia.

Hasan podszedł do Sary, która razem z Lutkiem czekała z boku i w ciszy obserwowała, co się dzieje.

– Zaczynamy – powiedział z powagą i dodał: – Pomścimy twoje siniaki.

– Może powinnam z nim porozmawiać... – zaproponowała niespodziewanie. – Może się podda?

– Stracimy efekt zaskoczenia – odparł.

– A jeśli ma zakładnika?

– W środku jest cicho, musi być sam...

– My w ekstremalnych sytuacjach mówimy, że nie zostawiamy spraw niezalutwionych, pytań bez odpowiedzi, ludzi na lodzie, a jak już wyczerpiemy wszystkie możliwości, to dopiero wtedy robimy... milczenie owiec.

W głębi duszy chciała ułatwić mu zakończenie i dać zginąć w walce. Wiedziała, że Karol nie zniósłby pohańbienia w mediach, bo był wojownikiem, a nie politykiem.

Hasan pokiwał głową, podniósł słuchawkę telefonu i podał ją Sarze.

– Dzwon.

Skończył czytać surę czterdziestą ósmą, Al-Fath, i odłożył Koran na stolik. W tym samym momencie zadzwonił brązowy telefon. Safir wahał się przez dłuższą chwilę, lecz w końcu odebrał.

– To ja... – powiedziała po polsku łamiącym się głosem.

Powoli odłożył słuchawkę. Wziął swój automat, odciągnął zamek, załadował, uniósł do góry w jednej ręce, wziął kilka głębokich oddechów i chwycił za klamkę.

– W imię Boga Miłosiernego i Litościwego! Chwała Bogu, Panu Światów... – pociągnął energicznie drzwi i wyszedł z kabiny.

W tym samym czasie na stojącej nieopodal Gabrielli Linda i Jagan realizowali zbliżony wariant. Mieli jednak dwie osoby, Aminę i Rustama, w dwóch kabinach na piątym poziomie.

O ile Safir na kadrach z monitoringu miał tylko plecak z bronią, o tyle Rustam ciągnął za sobą walizkę na kółkach, która mogła zawierać bombę paliwową, taką jak te, które Aslan i Szamil zdetonowali na parkingu. Waleczność i determinacja bliźniaków źle wróżyły, bo wskazywały, że Amina i Rustam też nie dadzą się łatwo wziąć, i trzeba było się liczyć z detonacją ładunku. Dlatego ewakuacja objęła znacznie większą liczbę pasażerów niż na Serenade.

Determinacja Lindy też musiała być większa.

Amina i Rustam, odkąd prowadzono za nimi obserwację, nie

wychodzili ze swoich kabin i Linda nie miała pewności, w której jest ładunek wybuchowy.

Gdy dowódca antyterrorystów zgłosił gotowość i Linda już miała dać sygnał do rozpoczęcia akcji, podszedł do niej Jagan i zapytał po rosyjsku:

– Mogę pomóc?

– Owszem, ale jak? – odparła również po rosyjsku i tłumacz od razu się wycofał.

– Dajcie mi pistolet i ja to załatwię. Nic się nikomu nie stanie.

Ale nim do niej dotarło, co powiedział, doznała silnego déjà vu. Była niemal pewna, że skądś zna tego człowieka, i już miała sobie przypomnieć, kiedy Jagan głośno zażądał:

– Pistolet! Rozumie pani? Do strzelania!

Pokazał na jej broń przy pasku.

– To wykluczone, panie Pietrow – odparła. – Przepisy nie zezwalają. Niestety.

Jagan myślał, że wystrzeli zaraz jak beczka prochu, i poczuł, jak smok rozdziera mu pazurami skórę na plecach. Spojrzał na jej sig-sauera i pomyślał, że mógłby ją teraz pchnąć, wyrwać jej ten śliczny pistolecik, pójść i rozwalić tych cholernych Bogajewów, chociaż tę dwójkę.

Na pewno Rustam ma mój nóż, a ci głupi Szwedzi mi go nie oddadzą. Co im powiem? Że co? Tam jest na nim napisane „Andriejowi Trubowowi”... Bładź! Czysta niesprawiedliwość będzie!

Narastała w nim coraz większa determinacja, by spróbować jednak zadziałać po swojemu. Mógłby nawet gołymi rękami, był w tym niezły. Drzwi otwierają się przecież do środka.

– Jedną chwileczkę! – rzucił zdecydowanie Jagan. – Tylko coś sprawdzę.

Ruszył zdecydowanie korytarzem w kierunku kabin Aminy i Rustama. Wszyscy obserwowali, jak żołnierskim krokiem zmierza przed siebie, ale byli tak zdumieni, że nikt nie pomyślał, by go zatrzymać.

Krasiwyje czasy! Człowiek z blizną! Z domu Jorgensena!

Linda poczuła, jakby cała krew spłynęła jej do nóg, ale zaraz się opanowała.

No nie... nie... nie ma przecież blizny... i te włosy... Muszę się przebadać, chyba nie jestem jeszcze w pełni zdrowa. Co ten człowiek robi?

Tymczasem wszyscy obserwowali, jak w głębi korytarza Jagan podszedł do drzwi po lewej i oparł się o nie plecami. Trwał tak chwilę w bezruchu. Potem zrobił to samo z drzwiami po prawej.

– Co on robi? – Linda, zaskoczona, zapytała tłumacza, ale ten tylko wzruszył ramionami.

Pozostali też patrzyli na siebie ze zdziwieniem.

Wtedy Jagan odsunął się nieco do tyłu i z całym impetem jednym uderzeniem nogi wywalił drzwi do kabiny, po czym znikł wewnątrz. Antyterrorysty rzucili się do przodu, za nimi Linda i policjanci.

Kiedy dobiegła, zobaczyła, że Jagan siedzi na plecach Rustama i jedną ręką wykręca mu ramiona do tyłu, a w drugiej trzyma przy jego gardle duży nóż.

– Gdzie dziewczyna?! – zawołała Linda, zaglądając do drugiej kabiny, z drzwiami wyważonymi już przez antyterrorystów.

– Jej tu nie ma – odparł spokojnie Jagan. – W ogóle nie ma jej na promie.

Antyterrorysty przejęli leżącego Rustama, skuli go i przeszukali. Inni zaczęli zabezpieczać pomieszczenie, w którym leżały dwa karabinki AKS, granaty, a w walizce – duży kanister z gęstym płynem. Linda czuła, jakby uszło z niej powietrze, i musiała na chwilę usiąść. Była szczęśliwa, że ujęcie Rustama przebiegło tak łatwo i nikt nie ucierpiał.

– Jak to jej nie ma? – zapytała z niedowierzaniem. – Przecież sam pan ją widział... Przeszukać cały prom! – krzyknęła do tyłu.

– Mówię, że jej tu nie ma. – Jagan usiadł obok niej na łóżku i oglądał nóż.

– Jeżeli ta Amina gdzieś się ukrywa i robi coś jeszcze... będzie pan za to odpowiadał... za samowolną akcję.

– Jej tu nie ma i nie było – powtarzał Jagan.

– Rzeczywiście – wtrącił policjant ubrany po cywilnemu. – Jej kabina nawet nie była używana, a w tej nie ma jej rzeczy... nic.

– No to gdzie ona jest? – zaniepokoiła się Linda.

– Na pewno nie na promie. – Jagan wciąż siedział, obracając w rękach piękny nóż. – Znam ją. Jest już daleko, ci to jej żołnierze... – Trącił nogą Rustama. – A ona to dowódca, przebiegła i mądra. Mściwa Czeczenka, nie daruje wam bliźniaków.

– Skąd pan ma ten nóż? – zapytała Linda, nieco zdziwiona widokiem Jagana. – U nas nie wolno nosić takich...

– To mój prywatny. Zawsze go ze sobą noszę. Rosyjski kizlyar – odparł beznamiętnie i włożył go za pasek.

Od Uroczystości Najświętszego Serca Pana Jezusa do midsommaru Marian Krynicki zgwałcił swoją żonę Marię trzykrotnie i dwukrotnie pobił. Kiedy na spowiedzi poskarżyła się księdzu, jak bardzo cierpi z powodu jego nadpobudliwości i alkoholizmu, to usłyszała, że cierpienie jest świadectwem moralności, a nie słabości, i że powinna bardziej dbać o rodzinę.

Wróciła do domu i jak zwykle przystąpiła do gotowania niedzielnego obiadu. Dzieci walczyły o dostęp do komputera, a Marian pił piąte piwo. W mieszkaniu na ulicy Orzyckiej w Warszawie nic się nie zmieniło. Maria wprawdzie słyszała o jakimś zamachu terrorystycznym na Bałtyku, ale od razu pomyślała, jak by to było cudownie, gdyby mogła kiedyś pojechać z dziećmi nad morze. Nigdy tam nie była.

Po przylocie do Polski Konrada, Sarę, Marcina i Lutka powitał na lotnisku osobiście minister spraw wewnętrznych wraz z szefem Agencji. Stamtąd pojechali prosto do Urzędu Rady Ministrów przyjąć gratulacje od premiera i opowiedzieć o operacji „Thunder”.

Premier nie mógł się nachwalić mądrości i sprawności polskiego wywiadu, jego przenikliwości i wyszkolenia oficerów. Szef Agencji wysłuchał tych słów uważnie i odebrał je bardzo osobiście, chociaż w najmniejszym stopniu się nie przyczynił do takiej czy innej kondycji polskiego wywiadu. Na pytanie premiera, skąd wiedzieli o planowanym zamachu, Konrad zasłonił się zgrabnie tajemnicą służbową, a potem lawirował jak mógł. Nie miał zamiaru złamać słowa, które dał Miszy Popowskiemu.

Jeszcze tego samego dnia Konrad i Sara pojechali na plac Wilsona 2 i zaczęli pakować jej rzeczy. Od tej chwili Sara zamieszkała na Kabatach przy ulicy Wilczy Dół. Przez następny tydzień kawalerskie mieszkanie mocno zmieniło wystrój. Konrad musiał zrobić dużo miejsca w szafach i przykręcić dwie nowe półki w łazience. To był jego najbardziej pracowity urlop od lat. Sara zmieniła kolor włosów i została brunetką. Rzuciła

też palenie, bo gdzieś zgubiła swoją złotą zapalniczkę Zippo, a palenie papierosów bez niej nie miało sensu.

Tymczasem od kilku dni w dziale kadr Agencji czekało na Sarę wezwanie do prokuratury, po raz pierwszy w charakterze podejrzanej, ale ona o tym jeszcze nie wiedziała.

Linda Lund, opracowując raport z operacji „Thunder”, doszła do miejsca, w którym musiała opisać rolę dziwnego Rosjanina z nożem, więc napisała do Konrada, aby jej wyjaśnił, skąd właściwie wziął się ten Siergiej Pietrow. Konrad długo się wykręcał, aż w końcu zasłonił się danym komuś słowem i nic więcej już nie powiedział. W żaden sposób nie mogła też pojąć, skąd Pietrow wiedział, że Aminy nie ma na promie. To musi być jakiś Nexus – pomyślała wówczas. Oczywiście obejrzała ponownie portret pamięciowy oraz zdjęcie rybnym okiem człowieka z domu Jorgensena, ale choć podobieństwo rzeczywiście było uderzające, brak blizny o wszystkim rozstrzygał.

W Jaseniewie Michaił Popowski został powołany na szefa tajnego zespołu śledczego, który miał ustalić, co się stało z kapitanem Andriejem Batyszkinem, czy żyje, a jeżeli tak, to gdzie przebywa. Sprawa była priorytetowa, bo Giena znikł z tajnym laptopem. To było najśmieszniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek Misza dostał. O wiele trudniejsze niż złapanie „Muchy” – myślał z rozbawieniem.

Operacje „Superdolar” i „Statek” nie wypaliły i Rosja musiała rozwiązywać swoje problemy tak jak dotąd – tradycyjnymi, sprawdzonymi metodami. Po ujawnieniu kontaktów wywiadu północnokoreańskiego z Al-Kaidą i jego udziału w nieudanym zamachu wydano z większości krajów świata podejrzanych dyplomatów. Nawet Chiny i Rosja zagroziły Kimowi poważnymi konsekwencjami. Ku zaskoczeniu kremlowskich generałów głowę za porażkę dał tylko Krugłow. Przy szklaneczce ormiańskiego koniaku wszyscy zgodnie uznali, że sprawca został trafnie wybrany i słusznie ukarany.

Po śmierci Jacka O'Briena Conor Gallagher stracił kontakt z Koreańczykami i szansę na miliony superdolarów, tym bardziej że zainteresowali się nim Amerykanie. Bardzo żałował,

że panowanie Anglików w Ulsterze się przeciąga, i postanowił, że tymczasem rozejrzy się za nowymi partnerami. Arirang był teraz niemodny.

We wszystkich światowych mediach nie było innego tematu niż udaremnienie największego w historii zamachu terrorystycznego. W Szwecji news ten mógł konkurować tylko z wybuchem drugiej wojny światowej i zabójstwem premiera Palmego. W tym czasie w kilku krajach przepchnięto przez parlament wiele niepopularnych ustaw i nikt tego nawet nie zauważył, a przez świat islamu przeszły fale demonstracji poparcia dla Al-Kaidy. Safir as-Salam i Bogajewowie stali się bohaterami meczetu i bazaru.

Z nową siłą rozgorzała dyskusja, czy w Europie jest za mało wielokulturowości, czy za dużo. Politycy wszystkich opcji zabierali głos. Jedni dowodzili, że uderzenie terrorystów w samo serce Europy to skutek nadmiaru demokracji, inni – że jej niedostatku. Zgodni byli jednak w tym, że demokracja obroniła się skutecznie. Ale mało kto się zastanawiał, co stałoby się z Europą, gdyby zamach się udał i zginęło dziesięć tysięcy ludzi.

Kurt Löwenström nie musiał się zastanawiać. On wiedział. Dlatego złożył dymisję z funkcji zastępcy dyrektora Säpo i został gubernatorem swojej ukochanej Gotlandii. Złośliwi dziennikarze pisali, że Gotlandia na szczęście jest wyspą, więc pod rządami Löwenströma z pewnością nie zatonie.

Nie tylko Kurt nie musiał się nad tym zastanawiać. Wiedzieli też Hasan Mardan, Linda Lund, Olaf Svensson. I profesor Ahmed al-Husajn z Uniwersytetu w Adenie, którego dzień po śmierci Safira znaleziono siedzącego w swoim wielkim fotelu. Miał przestrzeloną głowę, a w jego prawej dłoni tkwił pistolet.

¹ Wszystkie cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego.

Niewierni to tętniący napięciem wielowątkowy thriller, w którym powracają bohaterowie **Nielegalnych**. Autor, były oficer wywiadu, stworzył pasjonującą opowieść inspirowaną autentycznymi wydarzeniami.

Agenci polskiego wywiadu z zespołu Konrada Walskiego wpadają na trop tajemniczego spotkania w hotelu Marriott. Nie podejrzewają, że wydarzenie to postawi na nogi służby wywiadowcze wielkich mocarstw. Nowe zagrożenie terrorystyczne uruchamia lawinę wydarzeń od Jemenu po Irlandię.

Nieuchwytny Safir as-Salam, polski terrorysta w szeregach Al-Kaidy jest gotowy do decydującego starcia. Wszystkie tropy prowadzą do Szwecji, gdzie uwagę służb zaprzęta genialny haker antyglobalista...



Vincent V. Severski – pseudonim literacki pułkownika polskiego wywiadu. Przez wiele lat pracował poza granicami kraju pod przybraną tożsamością. Zajmował jedno z najwyższych stanowisk kierowniczych w Agencji Wywiadu. Odszedł ze służby na własną prośbę w 2007 roku. Wielokrotnie odznaczony i wyróżniany przez najwyższe władze RP, uhonorowany Legią Zasługi przez prezydenta Baracka Obamę.

Nie dowiecie się, co z tej historii zdarzyło się naprawdę. Nie dowiecie się, które z opisanych postaci są prawdziwe. Były oficer wywiadu tego wam zdradzić nie może. Ale COS zdarzyło się naprawdę, KTOS jest prawdziwy. Polska powieść sensacyjna zyskała autora, który nie tylko wie, o czym pisze. Severski zdradził kiedyś, że po przeczytaniu Millennium Larssona doszedł do wniosku, że skoro Larsson, którego poznał, potrafił tak pisać, to on potrafił co najmniej tak dobrze. Nie pomylił się.

Milada Jędrzyk, była korespondentka wojenna Gazety Wyborczej

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-7554-130-4



9 788375 541304

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Patroni medialni:



lubimyczytać.pl
Twoja internetowa biblioteczka

Ali-Baba

Niewierni to tętniący napięciem wielowątkowy thriller, w którym powracają bohaterowie **Nielegalnych**. Autor, były oficer wywiadu, stworzył pasjonującą opowieść inspirowaną autentycznymi wydarzeniami.

Agenci polskiego wywiadu z zespołu Konrada Walskiego wpadają na trop tajemniczego spotkania w hotelu Marriott. Nie podejrzewają, że wydarzenie to postawi na nogi służby wywiadowcze wielkich mocarstw. Nowe zagrożenie terrorystyczne uruchamia lawinę wydarzeń od Jemenu po Irlandię.

Nieuchwytny Safir as-Salam, polski terrorysta w szeregach Al-Kaidy jest gotowy do decydującego starcia. Wszystkie tropy prowadzą do Szwecji, gdzie uwagę służb zaprzęta genialny haker antyglobalista...



Vincent V. Severski – pseudonim literacki pułkownika polskiego wywiadu. Przez wiele lat pracował poza granicami kraju pod przybraną tożsamością. Zajmował jedno z najwyższych stanowisk kierowniczych w Agencji Wywiadu. Odszedł ze służby na własną prośbę w 2007 roku. Wielokrotnie odznaczony i wyróżniany przez najwyższe władze RP, uhonorowany Legią Zasługi przez prezydenta Baracka Obamę.

Nie dowiedziecie się, co z tej historii zdarzyło się naprawdę. Nie dowiedziecie się, które z opisanych postaci są prawdziwe. Były oficer wywiadu tego wam zdradzić nie może. Ale COS zdarzyło się naprawdę, KTOS jest prawdziwy. Polska powieść sensacyjna zyskała autora, który nie tylko wie, o czym pisze. Severski zdradził kiedyś, że po przeczytaniu Millennium Larssona doszedł do wniosku, że skoro Larsson, którego poznał, potrafił tak pisać, to on potrafił co najmniej tak dobrze. Nie pomylił się.

Młoda Jędrzyś, była korespondentka wojenna Gazety Wyborczej

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Patroni medialni:



lubimyczytać.pl
Twoja internetowa biblioteczka

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-7554-130-4



9 788375 541304

Ali-Baba